BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
KUL
V-251/72

[illegible] 335


2027
Hist. Liter. Polsk

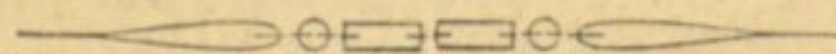
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1893.

TOM IV.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXII.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY
ulica Senatorska № 29.

1893.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Ноября 1893 года.



V-251

SPIS RZECZY.

I. Rzeczy społeczne i współczesne.

2. Filozofia.

3. Nauki przyrodnicze.

4. Literatura.

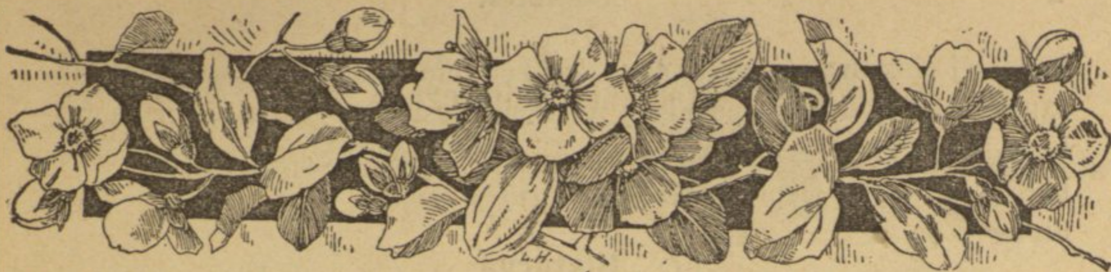
5. Beletrystyka.

6. Ekonomia polityczna.

7. Historya.

8. Sztuki piękne.

9. Rozbiory i sprawozdania.



BABKA TAMERLANA.

NOWELA BUCHARSKA.

— Hei, hei, *kattá-iná!* [1]) Nie masz tam w *turbie* ze dwie *puły* miedziane?... Dawaj prędzéj, bom się zgrał w *bidaná* [2]) z chłopcami na ulicy. Czekają teraz pod „Bocianami“: nie ma czasu, żywo, babko!

To mówiąc 14-letni bosy, cały kurzem letnim zamurzany chłopak, otarł podartym rękawem koszuli czoło spocone i podchwyciwszy jedną ręką nogę swą lewą chromą, przykucnął raźnie na kolano prawe ku ziemi i wczołgał się pośpiesznie do wnętrza niskiéj, zakopconéj budy glinianéj przez otwór wąski, który jéj służył zarazem za drzwi i okno.

W kącie budy na ubitéj gliną ziemi, przykrytéj brudnawą plecionką ryżową, siedziała z podwiniętemi pod siebie nogami kobiéta stara, cała pochłonięta pieśnią i szyciem. Pieśń, ciągnięta ochrypłym ze znużenia wysokim dyszkantem, głosiła od dwóch przeszło godzin czyny bohatérskie króla Turanów Afrosiaba, który, gotując się do walki z królem Iranu—Chosru [3]), siedział sobie na 50-cio-łokciowéj wysokości murze pałacu swego i płukał nogi swe olbrzymie w potoku samarkandzkim, Siabie. Im dłużéj ta kąpiel heroiczna trwała, tém-

---

[1]) Babka.

[2]) Przepiórka. Ptaki te bywają starannie hodowane w Bucharze do sportu bojowego. Chłopcy i nieraz ludzie dorośli wynoszą je w zanadrzu na ulicę i wypuszczają do walki; przy czém odbywa się dość namiętna gra na samorodnym totalizatorze.

[3]) Cyrus, król perski.

bardziéj ciekawa jéj widoku sartka [1]) chybiać musiała grube ściegi łataniny swojéj, którą—pożal się Allahu miłosierny—okrutnie marnowała ta kobiécina. A no, wprawdzie i w dziadowskiéj téj budzie trzeba było miéć chyba ślepie szakala, aby rozejrzéć się w tak misternéj tkaninie, jaką sartka łatała.

Słońce już się zniżało ku meczetowi Hakim-kusz-beg-i, kłaść się już miało za godzinę na święte mury baha-eddińskiego klasztoru, a jeden z jego promieni przedarł się po przez konary i liście drzewa orzechowego nad samą bramą klasztorną i jął zaglądać ciekawie do wnętrza lepianki. Przy świetle jego łacno byłoby może dojrzéć na kolanach żebraczki, jedwabny w blaski szkarłatne żupanik chłopięcy, i niezdarne łaty na nim, i opadające z ramion kobiéty strzępy tęczowego niegdyś kaftana, i rozjaśnione pieśnią o złotolitych szatach rycerzy walczących afrosiabowych fałdy staréj twarzy wychudłéj, i zacienione węglem rzęsy — jako pozostałość wdzięcznéj z młodości toalety niewieściéj, i Bóg wié, czegoby tam jeszcze dojrzéć nie można było, gdyby kuternoga nagłém wciśnięciem się w otwór budy nie spowodował w niéj całkowitego zaćmienia.

Była to chwila, kiedy okrutny Chosru, pojmawszy Afrosiaba podstępem i nie otrzymawszy od niego skarbów pradziada Feriduna, sam zasiadł na murach pałacowych Samarkandy i kazał smagać Afrosiaba.

— *Ja-Äli! Oj-boj!* — krzyknęła przestraszona sartka i kurczowym odruchem ręki lewéj przycisnęła do kolan jeden swój skarb — żupanik, a prawą sięgnęła w zanadrze dla zabezpieczenia téż drugiego—paru miedziaków, użebranych rano z wielkim trudem od jakiegoś pielgrzyma pobożnego a skąpego.

Kuternoga wszakże z szybkością pantery rzucił się ku niéj i jął palcami szorstkiemi łaskotać żebra babki w poszukiwaniach za *pułami*.

— *Ja-Äli*, *ja-Äli!* — lamentowała żebraczka w niebogłosy: — A cóż się zostanie dla mego nieszczęśliwego królewicza!... — i zgiąwszy się ku kolanom, a opasawszy na krzyż rękoma wyschłe swe piersi i łono, broniła groszaków miedzianych, jakby ostatniego skarbu życia.

— A jam to nie królewicz?! — sapał napastnik, borykając się z babką: — Mnie to już nic nie potrzeba, he?... Dawaj, babko, żywo,

---

[1]) Sartowie, mieszkańcy miast bucharskich i wogóle Azyi Środkowéj, pochodzenia irańskiego — zturanizowani.

bo jak ci miłym święty Baha-Eddin, to zaraz zawołam Kasymka do pomocy: on ci inaczéj połaskocze żebra, wiész!

Na groźbę tę zęby babinie zadzwoniły, jak w zimnicy, ciało zadygotało, a po chwili ręce bezwładnie rozsunęły się na kolana.

Chłopak skwapliwie pochwycił wypadłe z zanadrza obie *puły* miedziane i susem ropuchy wyskoczył z budy do świecącéj przed nią kałuży błota *arykowego* [1]). Tam zatrzepotał, obryzgał się i ochłodzony skrył się ostrożnie za lepianką, jakby czatując na kogo.

Niebawem wyczołgała się téż na czworakach żebraczka, przy pomocy kostura stanęła na nogi, zarzuciła na siebie siną perkalową *parandżę* [2]) długą i napróżno usiłowała przejrzéć się w lustrze zbełtanéj przez wnuka kałuży. Przed tak niedogodném zwierciadłem wyjęła z kieszeni szmatę, a z niéj kilka zwilżonych liści *usmy* [3]), któremi mocno pocierać zaczęła brwi swoje, łącząc je razem jedną linią wilgotną. Po paru minutach operacyi téj tualetowéj, długa pod czołem smuga brudno-zielonawa przechodzić zaczęła w barwę ciemno-szafirową: zanim zostanie zupełnie ciemną i zczernieje, wiele zapewne czasu upłynie, no, ale zrobiono to, czego wymagała przyzwoitość tualetowa; a choć stanowisko przeszło pięćdziesięcioletniéj kobiéty jako żebraczki zwalniało ją od obowiązku zakrywania twarzy, zakryła ją *czymetem* z włosienia końskiego, bo po co ludzie mają wiedziéć, że Bibi-chanym, wdowa i teściowa *beka*, a babka może pierwszego w przyszłości dostojnika emirowego, ucieka się nieraz do miłosierdzia ludzkiego? Wszakże teraz nie idzie żebrać, jeno z wizytą, z pokłonem, z *salam*'em do téj pięknéj Szyrin-Aki.

— *T'*, *t'*, — cmoknęła Bibi — piękna bo piękna, nie ma co mówić! i sam wielki król Afrosiab nie pogardziłby nią w haremie; nie darmo zawróciła głowę temu nicponiowi Durbinowi! Jeszcze czego! Jużbym wolała ją dla mego Dżelal-eddinka, ale i on za młody na nią. Już jakem przeznaczyła ją dla ich ojca, tak też będzie, tak widać już sam Allah chciał. Pójdę, złożę jéj salam, pokłonię się, powiem jeszcze raz: niech tego kuternogę trzyma na wodzy: on jéj jednéj tylko się boi, a ja już mu podołać nie mogę: zrujnuje mię do ostatka; a sama niech się przygotuje na wszelki wypadek do wyjazdu: kto wié? może za przyczynieniem się i modłami świątobliwych naszych zakonników ulituje się nademną święty nasz patron Baha-Eddin—niech się uświęci mogiła jego!...

— A ty dokąd, *kattá-iná?*—przerwał wygłaszany monolog Dur-

---

[1]) kanałowego. — [2]) Parandża albo ferendża—długie bez rękawów wierzchnie okrycie. — [3]) Ysatis tinctoria.

bin, wychylając się z za budy, gdzie wszystko słyszał, obserwując babkę; a przyskoczywszy teraz ku niéj i potrząsnąwszy jéj parandżą na piersiach, groził daléj przelękniony: — Ani mi się waż do Szyrin-Aki! Słyszysz? Ani mi się waż! Wszędzie ci wolno, ale do niéj nie można.

— Ufff, ufff! Jakżeś ty mnie przestraszył! — mówiła zadyszana Bibi, przechylając głowę na bok i przytrzymując ręką mocno bijące serce. A gdy ochłonęła nieco, sięgnęła pod parandżę i wyjmując stamtąd jednę pułę miedzianą, wsunęła ją w rękę malcowi.

— Tyś zapomniał, Durbinku, trzecią pułę: na, masz, znalazłam ją na ziemi; — a gładząc wnuka po twarzy, dodała z przymileniem:— A dlaczego nie można, sokoliku mój, do wdówki?

— Nie można i basta, bo ja nie chcę — odparł ze stanowczością mały tyran, uderzając się ręką po nodze chroméj.

— No, no, nie gniéwaj się już, Durbinku: nie można, to nie można, nie pójdę; ja tak tylko od niechcenia mówiłam: co się bo téż nie uczepi głowy kobiéty staréj! Ja się właściwie wybrałam do świątobliwych zakonników naszych, aby się pomodlić przy grobie świętego Baha-Eddina—niech się uświęci mogiła jego!

I to mówiąc, wraz z nieodstępnym żupanikiem swoim płomiennym pod pachą, przeznaczonym dla jéj „królewica“, raźnie i z żywością podreptała istotnie w kierunku głównego portalu klasztornego, pocieszając się tą nadzieją, że skoro nie udało się przekupić Durbina, ani prośbą i przymileniem, więc może się uda podstęp: miała iść wpierw na poradę do wdówki, a późniéj z ofiarą i prośbą do zakonników; teraz pójdzie wpierw do klasztoru, a stamtąd — gdy jéj zniknie Durbin z oczu — do wdówki.

. . . .

Cała droga, po któréj szła teraz Bibi, wybrukowana kawałkami kamienia polnego, była wzdłuż z jednéj i drugiéj strony obstawiona wielką ilością takich samych bud lepiankowych, jak ta, z któréj przed chwilą wypełzli na świat babka z wnukiem: służyły za schronisko dla takich samych jak oni, lub podobnych im nędzarzy. Tworzyła ona właściwie przejście między zewnętrzną kamienną zabudowań klasztornych arkadą, dźwigającą na szczycie swoim święte gniazdo bocianów, a wysokim murem białym, opasującym *sanctuarium* pielgrzymek bucharskich — grób Baha-Eddina i przyległe mu cenniejsze budowle strzegącego go zakonu szeichów nakszbędzkich.

Na lewo od tego pasażu dziadowskiego wznosi się mauzoleum czworokątne o portalu maurytańskim i kopule, zbudowane z cegły

nietynkowanéj. Tam to spoczywają popioły Damiar-bega (ojca emira Maassuma), owego wszechwładnego *atałyka* [1]), ostatniego z Asztarchanidów—Abd-ul-ghazi-chana, którego Damiar trzymał w takiéj kurateli, że ów kroku ruszyć nie mógł bez wiedzy tego major-doma. Niedaleko mauzoleum — nowy gmach *medressy* [2]) imienia tegoż atałyka, protoplasty obecnéj dynastyi bucharskiéj. Wśród mnóstwa grobów cmentarnych, przykrytych najczęściéj tylko płytami marmuru szarego, ze szlakami alabastrowemi, widnieje też grobowiec jednego z największych dobroczyńców Azyi Środkowéj — Abd-ullah-chana, który na szlakach pustyni (i stepów), łączących daleki Wschód z Zachodem, powznosiwszy wspaniałe schroniska karawanserajowe, *sardaby* [3]) i *rawaty* [4]), umożliwiał łączność handlową i cywilizacyjną obu ówczesnych części świata i zapewnił utrzymanie wysokiego stopnia kultury dla krain tamtejszych. Skromny grobowiec jego tworzy sześcian, około 4 metrów długości i tyluż wysokości, z kamienia czarnego i marmuru szarego, otoczony balustradą z tegoż samego kamienia. Przy cmentarzu, *Mazar-i-szerif* [5]), okalającym ową zagrodę z grobem świętego patrona, oprócz wzmiankowanéj już medressy, stoi—jak zwykle w takich razach—*chanekah* [6]) z meczetami i rozlega się wspaniały ogród różany — *Sajn-i-giul-i sórch*, miejsce ulubionych wycieczek mieszkańców stolicy (odległéj tylko o godzinę drogi) i samego *hazret* [7]) emira w czasie kwitnięcia róż.

Od strony zachodniéj i południowéj cmentarz otaczają zabudowania miasteczka, którego mieszkańcy składają się z samych potomków rodu świętego Baha-Eddina—Nakszbędi, mając przyznany sobie tytuł *chodżów* [8]). Święty ten żył za czasów Tamerlana i apostołował ustnie. Mimo że umarł w 17-ym roku życia, zdołał założyć istniejący dotąd zakon Nakszbędi i pozyskać taką cześć, że dwukrotna pielgrzymka do grobu jego równoznaczy z jedną obowiązkową w życiu

---

[1]) Dostojnik, wezyr.

[2]) Wyższa szkoła, rodzaj wszechnicy z dominującym fakultetem teologicznym.

[3]) Cysterny i zbiorniki na wodę z portalami.

[4]) Olbrzymie gmachy, często wysokiéj wartości artystycznéj na pomieszczenie pielgrzymów i karawan handlowych.

[5]) Poświęcony.

[6]) Klasztor derwiszów z meczetem przy medresie.

[7]) Jego świątobliwość—tytuł dawany monarchom muzułmańskim.

[8]) *Chodża*, czyli jak bucharowie i arabowie syryjscy wymawiają — *chawadże* = starzec, pan, profesor. W Bucharze tak przedewszystkiém nazywają się potomkowie chalifów Abu-Bekra i Omara, także Osmana i Alego, ale nie od córek Mahometa, jeno od innych żon.

każdego muzułmanina pielgrzymką do Mekki. Toć wędrówki do grobu tego skierowują się z całéj Azyi Środkowéj, a zwłaszcza z Buchary, któréj Baha-Eddin jest szczególnym patronem. Oprócz dorocznych dwóch głównych pielgrzymek, — co środa, piątek i w każde święto dąży tu chętnie ludność stolicy pobliskiéj, łącząc przyjemność wycieczki z celami pobożnemi.

W sposób rozmaity składane bywają ofiary pobożne od tych kroci ludu pielgrzymującego: bądź przy dotykaniu świętego u wezgłowi grobu kamienia—*säng-i-mürad*, bądź przy piciu wody z obok położonéj studni świętéj, bądź w obolach składanych wprost na talérze ofiarne mnichów, bądź wreszcie przy zakupnie zakątka ziemi cmentarnéj, gdzie niejeden bogobojny muzułmanin spocząć pragnie na wieki. Wreszcie sam *hazrät* emir ilekroć jedzie gościńcem karszyńskim, uważa za swój obowiązek święty odwiedzić grób świętego, i odbyć przed nim modły, połączone oczywiście z sowitą ofiarą.

Z tych wielorakich źródeł płynące dość znaczne dochody należą właściwie do gminy nakszbędzkiéj, składającéj się — jak powiedziano—wyłącznie z potomków rodu Nakszbędów. Ci wszakże chodżowie zlewają prawo swoje poboru — za ryczałtowę sumę roczną 11,000 teńgów—na 32-ch szeichów, przedstawicieli swoich, tworzących starszyznę ich rodu, z których wyboru codziennie po kolei siedmiu mężów odbywa straż przy grobie i odbiera ofiary składane, a którzy wszelką nadwyżkę, jeśli tylko nie idzie na ich własne potrzeby, obowiązani są łożyć na utrzymanie grobowca świętego wraz z całą zagrodą, meczetami, medressą, cmentarzem etc., słowem, na różne cele religijne, kulturalne, filantropijno-humanitarne.

Do takich celów należy też ofiara jałmużnicza ze strony szeichów, znajdująca swój wyraz w utrzymaniu pewnéj ilości żebraków płci obojéj, którym dają strawne, oraz wzmiankowane powyżéj budy lepiankowe na pomieszkanie.

. . . .

Słońce już się chyliło ku zachodowi, gdy Bibi stanęła przed murem białym, otaczającym zagrodę grobowcową. Wytchnąwszy pod jedném z drzew rosochatych, rosnących wzdłuż ściany, zbliżyła się nieśmiało do olbrzymich, bogato rzeźbionych wrot, wiodących do pośmiertnego przybytku młodziana świętego. Tu kilkakrotnie usiłowała napróżno ująć w rękę ciężką bronzową kołatkę, tam zawieszoną, aby nią zapukać o również bronzową płytę; za każdym razem ręce jéj opadały bezwładnie w trwodze i niepewności, ilekroć spojrzała na sterczące gęsto ponad bramą rogi kozie, jelenie, turze, zawieszone tu w ofierze

przez górali bucharskich, jako symbol wielkości i potęgi świętego patrona. Nareszcie po kilku minutach wahania, z sercem bijącém, przycisnąwszy się do bramy, zamknęła oczy i z pośpiechem trzykrotnie raz po raz zakołatała.

Po chwili skrzypnęły ciężkie wrzeciądze, zwolna rozwarła się do połowy furta, i wyjrzała zaturbaniona stara głowa odźwiernego.

— Babka Tamerlana! — zawołał piskliwie Dżak-chodża, chwytając się za siwą klinowatą bródkę i pochlipując biegającemi oczkami.

Już miały się napowrót zawrzéć podwoje, gdy żebraczka szybkim ruchem ręki odrzuciła mu na pierś przygotowany od dawna *bachszysz* [1]) miedziany.

— Czego ty chcesz, Bibi? — zapytał udobruchany nieco Dżakchodża, podejmując z ziemi monetę.

— Puść mię, chawadży, na chwilę.

— Kobiéto! ciebie? I o téj porze?

— Mam pilną sprawę do Ojców świętych, a i jedna dostojna *chanym* [2]) poleciła mi złożyć im ofiarę na pewien cel bogobojny.

— Hm, hm! cel bogobojny!... Poczekaj zresztą: pójdę się dowiedziéć, czy pozwolą ciebie puścić.

I zatrzasnął znów furtę, zostawiając żebraczkę pogrążoną jeszcze w większéj niepewności i trwodze wyczekiwania.

Alboż nie miała się czego lękać? Znów nieprawdę powiedziała. Sprawę pilną ma, to prawda, ale téj sprawy nie wyjawiła, bo pytanie, czyżby ją puszczono przed oblicze świątobliwych chodżów, gdyby ją wyjawiła? Więc zmyślić musiała jakąś rzekomą dostojną chanym. Aj, aj! co tu począć, jeśli się wyda kłamstwo?... Ale nie, ona przecież złoży ofiarę; a sama czyliż nie jest dostojną chanym? Wszakże zięć jéj Rachmet był *inakiem*, generałem, doradcą, ministrem, a więc osobą wielce dostojną. Czyż taki zaszczyt nie spada na teściową? Wprawdzie przeszedł on z *katty-töri* [3]) do Afganistanu; ale przecież *katty-töri* — to rodzone dziecko *hazreta* i po najdłuższém życiu emira wstąpi na tron przodków, a wtenczas i Rachmet zostanie jeszcze bardziéj dostojnym, najdostojniejszym z dostojnych. No, i teściowa przecież otrzyma jeszcze dostojniejszy tytuł. Wprawdzie biedna moja Dżużuk umarła, — niech spocznie miłosierdzie Allaha nad nią, ale

[1]) Datek dla zjednania sobie kogo.

[2]) Pani.

[3]) Książę — syn starszy, domniemany następca tronu, następnie za rokosz przeciw ojcu wydziedziczony przez tegoż.

dzieci pozostały. Cóż babka winna, że Rachmet tak daleko, a grosz był potrzebny na życie, i Dżelal-eddin wraz z Durbinem zostać musieli *baczami* [1]) tańcującymi i zarabiać na chléb tańcami i śpiewem...

A jak oni musieli ładnie śpiewać razem!... Durbin był wtenczas innym, o, wcale innym, daleko lepszém dzieckiem. Powiadali ludzie, co ich słyszeli nieraz śpiewających razem w Bostanie przed licznie zgromadzoną publiką, to nawet starzy *ak-sakali* [2]) i bekowie obsypywali ich różami i srebrem... I nie dziwno, gdy, bywało, w domu próbowali przedemną:

Usta twoje dla uśmiechów
I pocałunków stworzył Bóg...

Jakże jéj się żywo przypominały czasy jéj własnéj młodości! Allahu, Allahu dobrotliwy!...

I żebraczka odchyliwszy zasłonę włosienicową, otarła rękawem oczy, może dlatego, że jéj się smuga od farby zanadto wżerać poczęła.

Albo ta druga, którą Durbin sam śpiewał:

Tu Bibi, zachęcona powodzeniem pierwszego madrygału, który prześpiewała *mezza voce*, podniosła głos o skalę wyżéj i jęła śpiewać następującą romanzę.

Róży kochanku, słowiku, piej,
Biul - biul! [3])
Potok twéj pieśni na świat mój léj,
Biul - biul!
Głosem donośnym szalonych burz,
Biul - biul,
Serca mojego tęsknotę głusz,
Biul - biul!
Daléj, rozgłośniéj, namiętniéj piej,
Biul - biul;
Żarem kochanka mojego grzéj,
Biul - biul:
Godny twéj róży zgotujesz plon,
Biul - biul:
W lubych objęciach chcę znaleść zgon,
Biul - biul.
Nie więdła-b' róża, gdyby nie ty,
Biul - biul;
Nie sechł-by człowiek, gdyby nie łzy,
Biul - biul!

---

[1]) *baczé* — z persk. = chłopak, chłopczyk. — [2]) *ak-sakał* — biało-brody, starszyzna. — [3]) biul-biul — słowik.

I co mu się teraz stało, temu Durbinowi, sama nie wiem. Od czasu, jak mu ten przeklęty *resztá* [1]) wlazł w nogę i jak mu się ona skrzywiła po niefortunnéj snać operacyi *czacz-tarasza* [2]), zupełnie innym stał się chłopcem, istnym oczaj-duszą; a że został *aksakiem* [3]), czyli — jak inni powiadają — *lengiem*, co ma zawsze wychodzić na jedno, zawsze na kuternogę, tak téż i przezwali *Temir-lengiem* [4]). Powiadają, że bardzo dawno, bodaj czy nie za czasów króla Afrosiaba, a może i wcześniéj — abo ja wiem — żył jeden wielki hazret, też był temirem, a że również chromał, więc przezwali go *Timur-lengiem*. A teraz mnie się dostała nazwa „babki Temir-lenga“...

— Ależ, Allachu miłosierny! Cóż ten chodża tak długo nie otwiéra.

I przyłożywszy ucho do szpary, jęła Bibi nasłuchiwać, azali nie płynie szmer z głębi dworu świętego, zwiastujący przybycie Dżak-chodży; poczém nieśmiało i lekko uderzyła dwa razy kołatką.

Żadnéj odpowiedzi.

— Muzyki tu jemu potrzeba, czy co, żeby posłyszał... Bo ja wiem!... Oj muzyki, muzyki. Gdyby mu tak dangaraczowie zabębnili, albo nagmaczowie zagrali, jak bywało chłopcom moim, otóż-by biegł tu raźnie i tańczył... Alboż źle tańczyli? Boże jedyny! lepszych chyba tancerzy nie było w całym Bostanie! [5]). Jak oni, bywało, szli gęsiego w takt jeden za drugim, późniéj cofali się, kłaniali wdzięcznie rękoma... Nie, nie tak: najpierw Dżelal-eddin wziął ten żupanik na siebie...

To mówiąc, Bibi wyjęła z pod pachy nieodłączny od niéj żupanik płomienny, a trzymając go za rękawy rozpostarte i unosząc zdala przed sobą, zataczała koło w takt piosnki nuconéj. Snać jednak albo ta plastyka nie zadawalniała jéj, albo potrzebną się okazała zmiana tańca, zrzuciła parandżę, zatknęła kostur w szalwary, rozpięła na nim żupanik i z temi przyborami dekoracyjnemi rozpoczęła powolne, rytmiczne zataczanie koła, odrzucając nieco w tył i na obie strony głowę, a lekko zginając kolana. Ręce jéj to uderzały dłonią w dłoń

---

[1]) Robak podskórny — wielce rozpowszechniona choroba w Bucharze.

[2]) Cyrulika.

[3]) *aksak* v. *leng* = kulawy, chromy.

[4]) *Temir*, *timir* = żelazo; stąd słynny zdobywca świata, że był chromym, przezwano go *Temir-lengiem*, *Timur-lengiem* — w spolszczeniu Tamerlanem.

[5]) Miasta bucharskie utrzymują trupy tancerzy i śpiewaków, rekrutujących się z małych chłopców. Najsłynniejszy tego rodzaju balet-opera jest w miasteczku Bostan, odległém od stolicy bucharskiéj około 45 kilometrów.

takt, to posuwiście prawa i lewa kolejno przecinały z powagą powietrze, jakby gestykulując rozkazująco. Kilka razy zmieniała w ten sposób kierunek poruszeń swych rytmicznych w kole, cofała się wstecz na prawo i na lewo, to znów wysuwała się w obu kierunkach naprzód, znów się cofała i znów kroczyła posuwiście naprzód, poruszając przytém ramionami i kibicią, tudzież przyśpiewując:

Baj, baj — baj, baj, baj .. baj, baj — baj, baj, baj!

Takt przechodził w *vivace*, a ruch tancerki stawał się coraz wyrazistszym, energiczniejszym, szybszym, aż w końcu przeszedł w *furioso*, — i Bibi poczęła wirować na jedném miejscu, jak derwisz kręcący się...

— Co ty tu za *czymiriki* [1]) wyprawiasz, stara *palvunio* [2])? Kogo to myślisz czarować, ha?... — przerwał jéj nagłym okrzykiem jakiś chodża baha-eddyński, śpieszący z miasteczka, może w interesie gminy, do septemwirów grobu świętego.

Bibi czy przestraszona tym okrzykiem, czy w wirze szalonym potknąwszy się o kamień, straciła równowagę i jak długa runęła na ziemię, nie słysząc i nie widząc nawet jak przechodzień, zapukawszy w bramę, która się przed nim rychło rozwarła, zniknął we wnętrzu zagrody świętéj.

* *
*

Na przeciwległym końcu pasaża dziadowskiego, tuż prawie przy saméj arkadzie z gniazdem bocianiem, przy drugiéj z rzędu budzie lepiankowéj, na kilimku dość wytwornym siedziała kobiéta młoda, z podwiniętemi pod siebie nogami i z bursztynowym w ręku różańcem, którego ziarna niedbale przesuwała paluszkami ręki prawéj. Zdobne kilku pierścionkami złotemi paluszki te cienkie, przejrzyste, wypieszczone, miały paznogcie migdałowe malutkie, ubarwione, podług wymagań mody, *henną*, tak że barwa ich żółtawa, tam gdzie ginął lekko różowawy jéj odcień, zlewała się prawie z barwą ziarnek bursztynowych. Narzucona na ramiona koloru opalowego parandża jedwabna rozchylała się lekko na przodzie i odsłaniała szyję białą, rywalizującą o lepsze ze zdobiącą ją *mardżaną* [3]) pereł aż do torsu, osłoniętego materyą szkarłatną. Czarne bujne włosy, splecione z tyłu w pięć drobnych warkoczyków, zdobnych wstążkami i *tumarami* [4]), miały mocno

---

[1]) Skoki wilcze. — [2]) wróżbitka, czarownica.—[3]) Właściwie korale; w tém jednak powyżéj znaczeniu użyte jako na szyjnik. — [4]) Amuletami.

odcinający się przedział z przodu i, obramiając białe matowe, niskie czoło, kończyły się dwoma półksiężycowemi u skroni zwojami, które łagodziły kontury trochę za szerokiéj a nikłéj twarzy matowéj, zlekka okraszonéj różem *ejliku* [1]) i nadawały jéj wyraz kokieteryi albo figlarności, mimo, że duże czarne oczy, podrysowane u rzęsów czarną *sur'mą* i dolne wargi oddęte zdradzały pewnego rodzaju znużenie czy zniechęcenie.

Takież samo uczucie ujawniały powolne, niedbałe poruszenia palców, przesuwających ziarnka bursztynowe. Dwa z nich obok siebie nanizane w jedném miejscu na sznurek jedwabny, były nadszczerbione w trzeciéj części swéj wielkości. Ile razy więc w przesuwaniu się pod palcami kobiéty przyszła koléj na nie, palce wzdragały się przed przesunięciem onych, jakby w obawie zadraśnięcia się; a nie mając pomocy w ręce lewéj, bezwładnie opuszczonéj na kolano, cofały różaniec wstecz, ziarnko za ziarnkiem.

Na ziemi, obok, stała miseczka drewniana dla jałmużny. Szyrin-Aka-chanym, czyli jak ją przez skrócenie nazywano — *Szyrin-chanym*, była bowiem żebraczką, jak wszystkie inne dziady w pasażu, jeno nie zawodową, lecz przygodną i czasową. Po paru latach małżeństwa, owdowiawszy w całym rozkwicie swéj krasy, a nie życząc sobie iść na służbę lub do haremu jako prosta odaliska [2]), lecz pragnąc wyjść za mąż przyzwoicie, wybrała utorowaną zwyczajem drogę małżeńskiéj kandydatury publicznéj, osłoniętéj pozorami miłosierdzia jałmużniczego. Jak wszystkim innym żebraczkom zawodowym, tak i tym, przybiérającym ich rolę, zakon pozwala pokazywać się, chodzić i siadywać w miejscach publicznych — z twarzą odsłoniętą, co wybornie ułatwia mężczyznom korzystanie z takiéj kandydatury małżeńskiéj. Nie mniéj korzystne zajmuje w tym razie stanowisko i sama kobiéta, może nawet korzystniejsze od męskiego, a nieraz wygodniejsze od stanowiska siostrzyc swoich europejskich. Żaden bowiem bal, raut, ani stosunki towarzyskie nie przesuną przed okiem kobiéty tylu kandydatów, ilu się przewinie przed okiem takiéj skromnie siedzącéj, uprzywilejowanéj żebraczki. A ileż sposobów poznania mężczyzny — od rozmowy z nim i zachowania się jego na zewnątrz, aż do badań i indagacyi opłacanych, a dostarczanych przez agentów odpowiednich!

---

[1]) Róż używany przez kobiéty perskie i bucharkie.

[2]) Oda z tur. = izba, pokój; ztąd odaliska właściwie jest pokojówka w usługach żon i wogóle pań haremowych; doznawszy wszakże względów pana haremu, uważaną bywa za towarzyszkę, prawie za hałajkę.

Szyrin-chanym już od roku korzystała z tych przywilejów. Najpiérw siadywała w bazarze stołecznym; ale po kilku miesiącach przekonała się, że to arena za szczupła dla niéj; po paromiesięcznéj więc pauzie w domu, przeniosła się do Baha-Eddina, gdzie się zbiérają pielgrzymki z różnych stron państwa bucharskiego, z całéj nawet niemal Azyi środkowéj: jest w czém wybiérać. To téż z prawa tego wyboru korzystała ona z całą swobodą i wybiérała pełną garścią. W bazarze odrzuciła trzech kandydatów zgłaszających się o jéj rękę, a tu — już dwóch, w oczekiwaniu trzeciego. Mieszkała stale w Bucharze i codzień rano przyjeżdżała do Baha-Eddina, gdzie siadywała nieraz przez dzień cały przy drugiéj od bramy budce, którą zajmowała stała klientka zakonu nakszbędzkiego — stara i ślepa na jedno oko Mariam, pod osłoną któréj odbywały się szyrinowe [1]) rekolekcye wdowieńskie. Przed zachodem słońca odjeżdżała wdówka napowrót do stolicy, albo nocowała u znajoméj swojéj — pewnéj staréj wdowy, zamieszkałéj w miasteczku.

Dnia tego, że to był wtorek, i mało spodziewano się pielgrzymów,— dziady i żebrzące — z wyjątkiem kilku — porozchodzili się po miasteczku, lub siedzieli w budach; a Szyrin-chanym zjawiła się dopiéro po południu, kiedy upał dzienny zwolniał nieco. Od téj pory przesunęło się zaledwo dwóch-trzech pielgrzymów starych, na widok których spuszczała ona skromnie oczy na dół, zaciskała parandżę pod sam podbródek i chowając różaniec, przysuwała bliżéj miseczkę drewnianą, z któréj rzucane miedziaki przez pielgrzymów, po ich oddaleniu się ku portalowi klasztornemu, zsypała do drugiéj, dalszéj miseczki— w darze jednookiéj klientce, otrzymując od niéj w zamian jednaką zawsze stereotypową odpowiedź:

— *Rahmat syzga*, bardzo dziękuję! Jakaś ty dobra, chanym! Allah niech ci będzie wdzięcznym!

I znów cisza i spokój zapanowały przy lepiankach, przerywane tylko dwukrotném pojawieniem się Durbina, który raz w poprzek, drugi raz wzdłuż pasażu przemykał z nieodłączną w ręku pałeczką łokciową, okutą z jednego końca mosiądzem, a będącą postrachem wszystkich nieprzyjaciół kuternogi. Za pierwszym razem zatrzymał się o kroków kilka od Szyrin-Aki i podparłszy pałeczką podbródek, stał przed kobiétą długo, wpatrzony jak w tęczę; a gdy ona spojrzała nań z uśmiechem pobłażliwym, spłonął rumieńcem wstydliwie i spuścił oczy na dół. Powtórnie gdy przechodził, zdawało się, że ponownie

[1]) Szyrin — z persk. = słodki, stąd imię własne.

zatrzyma się; ale machnąwszy ręką, posunął się zwolna naprzód, aż go doleciał dźwięk głosu chanym, która spostrzegłszy zdala woziwodę, niosącego wodę ze świętéj studni klasztornéj, odezwała się do jednookiéj żebraczki:

— Jeszcze gorąco. Gdybym wiedziała, że nie odmówi, to bym poprosiła o wodę.

Durbin w paru susach już był przy woziwodzie z wyciągniętą ręką po stągiew i czarkę.

— Idź-że, idź! To przecie nie dla takich jak ty drągalów woda, lecz na wypadek choroby — wzdragał się woziwoda, cofając stągiew po za siebie.

Durbin żylastą swą ręką ścisnął go powyżéj pięści jak kleszczami żelaznemi, że ten aż syknął z bólu i wypuścił stągiew, która w lot pochwycona, już wnet była do rozporządzenia Szyrin-Aki.

— Durbinie! — szepnęła wdowa na poły z wyrzutem, na poły dziękczynnie.

W téj chwili pośpiesznie wracał z klasztoru ów chodża, który był przestraszył wirującą Bibi:

— Jak ty śmiész temu *lengowi* dawać wodę święconą? Czyż to dla takich jak on synów zgorzałego ojca? [1]) — napadł chodża na woziwodę, gestykulując groźnie rękona.

— Ależ wydarł mi gwałtem z rąk — submitował się woziwoda.

— No, ja was pogodzę — odezwał się Durbin, odnosząc stągiew i stawiając ją na ziemi, między obu mówiącymi: — jeden z was chce być chorym, drugi świętym; pomieniajcie się więc życzeniami za łaską miłosiernego Allaha i moją.

I z temi słowy, czarkę z wodą, przez siebie niedopitą, nacisnął ręką lewą na głowę woziwody, aż się mu rozlały strumienie po twarzy, a prawie jednocześnie sztorcem pałeczki swojéj, mocno w prawą pięść ujętéj, dźgnął pod brodę chodży, aż mu oczy krwią nabiegły i zatoczył się jak pijany ku ziemi, krzycząc i oburącz chwytając się za twarz.

Założywszy rękę z pałeczką po za siebie, przy lekkiém utykaniu, oddalił się Durbin zwolna i spokojnie ku portalowi klasztornemu, nie troszcząc się wcale o zamęt i gwar po za sobą:

Obie niewiasty zerwały się z miejsc swoich, a chodża z woziwodą pomknęli na oślep ku wrotom bocianim, niewiadomo, z przestrachu,

---

[1]) Z perskiego peder suché.

czy na skargę, ale tak zacietrzewieni, że się zderzyli łbami z wchodzącą właśnie w pasaż ze strony przeciwległéj kompanią pielgrzymów afgańskich.

Na ich widok obie kobiéty przysiadły znów ku ziemi i zaczęły poprawiać tualetę swoją, a kilku dziadów i bab, znęconych szmerem, jęło wypełzać z bud bliższych lub dalszych i wyzierać badawczo, węsząc nową okazyę dla siebie.

Grupa pielgrzymów składała się z kilku afganów, po za którymi postępowało tyluż stepowców turkmeńskich, uzbrojonych co prawda, nie gorzéj od tamtych, ale baranicami swemi i zasmoloną, podartą odzieżą dziwnie odbijających od bogatych szat jedwabnych i zawojów kaszemirskich każdego z afgańczyków.

Z grupy tych ostatnich wyłączył się jeden i gdy inni zajęci byli rozdawaniem jałmużny spieszącym na ich spotkanie żebrakom, zbliżył się do budy, przed którą siedziała z oczyma spuszczonemi Szyrin-chanym, zdjął z oczu szerokie błękitne szkła indyjskie, spojrzał na nią badawczo i pokłoniwszy się, pozdrowił czystém narzeczem dżagatajskiém gwary bucharskiéj, niekiedy z arabska lekko okraszonéj perszczyzną.

Otrzymawszy taką samą odpowiedź, rozpoczął rozmowę od pytania, rzuconego z uśmiechem trochę niedbałym:

— Dlaczego, chanym, nie pozwalasz spocząć dotąd promieniom gwiazd twoich na szczęśliwcu, któregoby wybrało serce twoje?

— Czeka ono trwożnie wyboru.

Był to mężczyzna rosły, czterdziestokilkoletni, z wykrojonemi wąsko ustami, na których wiła się zaciętość lub stanowczość, osłaniana niekiedy uśmiechem przelotnym. Brodę miał podług mody perskiéj ubarwioną na kolor złotawy, a twarz blada i gorączkowo świecące oczy może nie okazywały wstrętu do opium lub namiętności. Ruchy miał wdzięczne i mówił głosem przytłumionym, zawracając lekko oczyma, jak ludzie wychowani w zwyczajach perskich. Najrzawszy w przebieranym przez wdowę różańcu dwa ziarnka złamane, sięgnął po torébkę jedwabną w zanadrze własne i wydobywszy ztamtąd dwa ułamki bursztynowe, złożył je na kolanach niewieścich:

— Pozwól, chanym, niech część idzie do całości.

Ułamki pasowały w zupełności do ziarnek wyszczerbionych i widocznie tworzyły z niemi niegdyś jedną całość.

— Ah! — zawołała Szyrin-chanym, żachnąwszy się na miejscu, i objęła afgana lękliwym ale badawczym wzrokiem, mierząc go od stóp do głowy.

— Czy derwisz dawno ci wręczył, chanym ten różaniec?

— Przed półrokiem.

— Czy przyjęłaś pierścionek od niego? — pytał daléj Afgan.

Szyrin-Aka zamiast odpowiedzi, pod pytającém wejrzeniem szarych, badawczych oczu pytającego, oblała się rumieńcem i wzrok swój skierowała na własne palce.

— Czy chcesz go zatrzymać na zawsze?

— Jestem niewolnicą twoją.

Po chwili rozmowy, Afgan odezwał się:

— Jutro przed południem jeszcze raz tu będą pielgrzymi nasi, a pojutrze o wschodzie słońca karawana nasza wyrusza napowrót przez wrota mazarskie. Czy zechcesz być gotową?

— Rzekłeś.

— Niech Allah dobrotliwy czuwa nad tobą.

I z temi słowy pożegnał ją, śpiesząc połączyć się z resztą pielgrzymów, posuwających się zwolna ku portalowi klasztornemu.

* * *

Bibi tymczasem ochłonąwszy ze wstrząśnienia i przestrachu, jakiego doznała w upadku, jęła wyrzekać na los swój, który jéj zawsze niespodzianie kogoś złego w drogę pośle, jakby i tego chodżę, albo nie przymierzając i owego okrutnego *toksabę* — Mułłę-Szerifa. Potrzeba-ż mu było, takiemu staremu z brodą białą i wąsami czerwonemi rozmiłowywać się w moim Dżelal-eddinku! Wiedział przecie, że chłopak był uczciwy i nie dałby się skusić do grzechu. Po cóż było upiérać się? Dostał za swoje: dobre oplwanie oczu starych przez chłopca! Ale czyż za to tak się mścić okrutnie i zmyślać, że Dżelal-eddin dostał trądu i porwać go do *mahałły Peś* [1]). Allahu miłosierny! Skądże on mógł być *macho*, skąd u niego *peś*, skoro w domu i rodzie naszym zawsze było czysto, a od trędowatych tak daleko? Że pokazała się

[1]) „Dzielnica trędowatych" — jako osobna część miasta Buchary, zamieszkała wyłącznie tylko przez chorych, dotkniętych tą chorobą straszną. Nad tą dzielnicą śmiało wywiesić można napis dantejski: „per me si va tra la perduta gente." Kto raz tam się dostał, już nie wyjdzie ztamtąd na świat boży. Mieszkańcom jéj nie wolno mieć żadnych stosunków z innymi ludźmi, żyją tylko wyłącznie w swojéj sferze: tam się żenią, mnożą się i umiérają; tam mają swoje urzędy, własne meczety i własnych kapłanów również trędowatych. Okryci strupami, lub z gnijącemi członkami ciała żyć mogą ci nieszczęśliwi niekiedy dość długo, a tak są dbali o rozmnażanie się swoje, że gdy się dowiedzą o człowieku, który uległ téj chorobie, a ukrywa się w dzielnicach zdrowych miasta, upominają się o niego u władz, jak o swój haracz, o swoją przynależność.

wysypka na ciele, toć to przecie zwykłe u dzieci. A może bezbożnik sam zatruł chłopca jadem, przyniesionym z mahałły trędowatych?...

Teraz, zapewne, żyjąc z trędowatymi, mogło dziecko naprawdę zarazić się. A jak biedactwo płakało, przeczuwając swoje nieszczęście! jak się wyrywało z objęć tych drabów, jak wyciągało rączęta do mnie z krzykiem: babko, nie opuszczaj mnie, wyzwól z tego piekła!

— Zapewne, mój skarbie, pociecho moja, zapewne nie porzucę, jeno zbiorę jeszcze trochę grosza, i odjedziemy do ojca, do Afganistanu, bo i mnie już pora odpocząć, a to tak się tu poniewieram po żebraczce z tym chłopcem... wszyscy pojedziemy...

...Mówią ludzie, że to już na nic, że to człowiek stracony, że mu już nos gnije i skóra na ciele pęka. Nie prawda, to być nie może. A po coby mnie *tabib* [1]) zapewniał inaczéj? Mówił przecie, abym jeno zebrała 100 *teńgów* [2]) i złożyła mu na ręce, to on już z pewnością wykupi Dżelal-eddinka z mahałły *Peś* i uzdrowi. Sto teńgów! Mój Boże, czemuż jéj wpiérw tego nie powiedział, kiedy była chałupa swoja i dobytek jaki-taki? A teraz, kiedy to się wszystko spaliło przez niedozór w téj zawierusze przy porywaniu chłopca, teraz, kiedy musiała tu przyjść na żebry, to nie tak łatwo. Wszak nawet, aby się i tu dostać, ile trzeba było prośb, kłopotów, zabiegów, ile protekcyi i pół roku czekania, aż się miejsce opróżniło po jakimś zmarłym dziadu!.. No, więc idzie jak po grudzie... Ale przecie byłoby się już dotychczas zebrało, gdyby nie Durbin, ten chłopak niegodziwy. Wszakże za łaską świętego Baha-Eddina — niech się uświęci mogiła jego — zebrała była grosz po groszu w pierwszém półroczu 40 teńgów, i tak je ułożyła porządnie we dwa woreczki, każdy po 20 teńgów, tak je bezpiecznie zakopała w ziemi przy budzie, iż zdawało się, mysz nawet nie zwęszy, a przecież zwęszył i wydobył...

...I co ten hultaj robi z temi pieniędzmi? Wciąż mu zamało, wciąż dawaj i dawaj. Ledwo tamte zabrał, jeszcze głowa była nie przebolała straty tak ciężkiéj, ledwo od tych chiwińców kapnęło kilka miedziaków, a już wpada niespodzianie i groźnie, jakby jaki kłusownik turkmeński i po swojemu zaczyna dusić a naciskać swojemi palczyskami szorstkiemi: — dawaj i dawaj, katta-ina — powiada — bo wszystko jedno zgubisz przy słabéj głowie niewieściéj, albo inni od-

---

[1]) Lekarz.

[2]) Teńgu, moneta srebrna, wartości około 1 franka = 35 — 60 miedzianych puł.

biorą, — aż się ulitował ten białowłosy mały Kasymek i kiedy Durbin nasiadł na nią, on mu czémprędzéj z tyłu zarzuca arkan, łowi obie ręce i uczepiwszy o zdrową nogę, dawaj-że go odciągać od niéj, a wlec, a targać, a tarmosić: widocznie żal mu było, że tak duże pieniądze wciąż się jeno dostają Durbinowi, a nie jemu. I nie inaczéj, pewno, pewno tak myśléć musiał, a na to znów ona pozwolić nie mogła, bo jakże mogą pieniądze, krwawo wyżebrane, w obce ręce przechodzić? Więc się wydobywszy z pod Durbina, jak nie wsiądzie na Kasymka, jak go nie zacznie okładać pałeczką durbinkową po piętach, a odciągać za włosy, a przecinać kozikiem arkan; a znów Durbinek, swobodniejszy, jak się nie odwróci, jak nie wsiądzie na przyjaciela, no, miał-że za swoje, miał... Od téj pory chłopak mściwy zapomniéć mi tego nie może, i już parę razy, pędząc jak szejtanem opętany, obalił ją z nóg i wydarł pieniądze; a jeszcze grozi gorszem...

— Ufff! Straszny to chłopak, z tą czupryną białą, nastroszoną, taki zacięty, a mściwy, ufff...

I Bibi rękoma dygocącemi na wspomnienie strachu, poruszywszy kołatkę od bramy, nie mogła nawet głowy dobrze przyłożyć do szpary, aby zajrzéć, co się dzieje we wnętrzu podwórza: tak jéj dygotała; cofnęła się tedy i usiadła niedaleko bramy, pod murem, podwinąwszy nogi pod siebie.

I znów trzeba był na nowo żebrać, znów zbiérać grosz po groszu, aż oto przez cały rok, dzięki świętemu Baha-Eddinowi — niech się uświęci mogiła jego — zebrało się 80 teńgów. Ale bo też wszystkiego sobie odmawia i nie raz dobrze głodem przymiera, a nie ruszy; szalwary i parandża całkiem spłowiały i wytarły się, a nie tknie na zakupno nowych. (U Szyrin-Aki też brać nie wypada, choć sama ofiarowała się z pomocą: jeszcze by też!)... Ba, ba! i Durbinkowi nie łatwo też się dostać do nich: 20 teńgów zmieniła na dwie cienkie monety złote i zaszyła je tu w *tiunie* dżelaleddinowym, pod samą pachę: ani się przyśni komu, że tu coś się ukrywać może; a 60 teńgów w srebrze i miedziakach schowała aż tu, przy grobie świętego proroka — niech się uświęci mogiła jego — pod jego własną opieką; a że tu też źli ludzie snuć się poczynają, to trzeba będzie chyba zabrać, i też zmienić na złoto, i też zaszyć w tiunie: niech już razem przy mnie będą wszystkie ośmdziesiąt.

Bibi obejrzała się ostrożnie na wszystkie strony, powstała, postąpiła wzdłuż ściany dwa kroki, a pochyliwszy się i odliczywszy kosturem kilka kostek bruku, zatrzymała się, przysiadła i dygocąc na

całém ciele, odważać poczęła jeden z kamieni, powtarzając raz po raz usty drżącemi:

— Allahu wielki, Allahu litościwy! Allahu wielki, Allahu miłosierny!

— Jest — wyszeptała po chwili głośniéj — jest, dzięki ci, Allahu i święty nasz patronie!

A ukrywszy pod parandżą w zanadrze dwa brudne, płócienne woreczki większe i jeden mniejszy, pośpieszyła na miejsce poprzednie, siadając znów, jak przedtém, na ziemi:

— Brakować będzie tylko jeszcze dwadzieścia teńgów... Ale się trzeba śpieszyć i zbiérać gorliwie, bo tabib onegdaj znów przypominał, że jeśli mu za trzy tygodnie albo najdaléj za miesiąc nie da, to wszystko przepadnie, już nic nie uratuje Dżelaleddina... Allahu wielki, Allahu miłosierny i Ty święty Jego proroku, święty Baha-Eddinie, zmiłujcie się nademną!... Za miesiąc! Toć tak krótko! A jeśli się nie uzbiéra?... O, nie, nie, to być nie może, pomodli się ona gorąco na grobie proroka, żebrać będzie miłosierdzia jego, złoży ofiarę chodżom, napije się dla pokrzepienia sił wody ze studni świętéj... Wszakże bywają cuda na świecie... Wszak niejeden litościwy a bogaty pielgrzym rzuci czasem srebrnika... dlaczegoż to się biédnéj wdowie nie ma dostać dla poratowania jéj i wnuków i odwiezienia ich do ojca?... Wszakże uchodząc nagle z Buchary Rachmet-inak powiadał:

— Chowaj mi, matko, dzieci — powtarzał — aż dorosną do jazdy konnéj, a wtenczas przywieziesz mi je, lub przyślesz do Afganistanu, jeśli tymczasem za łaską Allaha mnie samemu nie uda się przyjechać do Buchary, chowaj-że, chowaj.

Ładnie wychowała! Zostali baczami pląsającymi, a naostatek jeden dostał trądu i ginie w mahalle *Peś*, a drugi — *resztá* i poniewiéra się żebrakiem...

— Ah, ah! Jak mi głowa pęka, jak świdruje, jak boli!... — jęknęła Bibi, chwytając się oburącz za głowę: — Cóżem ja winna, cóżem ja winna! Niech jeno dozbiéram te brakujące dwadzieścia teńgów, niech wyzwolę Dżelaleddina, to już łatwiéj się znajdzie na drogę i odwiozę mu chłopców, a w dodatku, na przebłaganie — ładną Szyrin-chanym na żonę.

I skłopotana, wyczerpana wspomnieniami przeszłości, pochyliła głowę na piersi, zamknęła oczy, zasłaniając je nadto żupanikiem, i powoli drzémać zaczęła, nie słysząc jak wrota rozwarły się i pielgrzymi afgańscy wchodzili do zagrody świętéj, aż ją turkmeni zbu-

dzili hałasem podziwu nad rogami tura i jelenia, rzucającemi cień głęboki na mury.

Zerwała się gorączkowo z miejsca, przetarła oczy, pochwyciła pod pachę żupanek i za Turkmenami wcisnęła się do zagrody, tak samo nie postrzeżona przez odźwiernego jak Durbin, który przesunął się tam pomiędzy nimi z Afganami.

. . . .

Złożywszy obuwie u wrót, a wychyliwszy się z pod wysmukłych jaworów i rozłożystych wiązów, ocieniających tę zaciszną, czworokątną niewielką zagrodę, i przeszedłszy werendę poprzeczną, łączącą dwa przeciwległe meczety, pielgrzymi skierowali się wprost, a późniéj na prawo, czyniąc małą ablucyą przy sadzawce świętéj; poczém przeszli w sam kąt, łączący dwie ściany zagrody.

Tu się wznosi mauzoleum największéj świętości bucharskiéj: ciężki, czworoboczny, olbrzymi grobowiec marmurowy, 6 metrów długości a 2 wysokości. U wezgłowia, zwróconego ku meczetowi lewemu, a które ocienia wielki buńczuk, kołyszący się na żerdzi wysokiéj pod szmer harfy eolskiéj, padały ostatnie blaski słońca na białą płytę marmurową.

Ze złożonemi w pokorze rękoma na piersiach i spuszczonemi ku blaskom oczyma, pielgrzymi, złożywszy cztery pokłony głębokie, obeszli tyleż razy grobowiec i stanęli u strony przeciwległéj wezgłowiu. Każdy z nich pokolei, pochylony, przyciskał się czołem do stóp mauzoleum, poczém z bogobojnością przykładał rękę do dwułokciowego, czarnego kamienia — *seng-i mürad*, a późniéj do ust i czoła, rozpoczynając pielgrzymi *namaz* wieczorny na cześć świętego proroka Mahometa i jego wielkiego wyznawcy Baha-Eddina, a „w imię Boga miłosiernego i litościwego.“

Namaz zakończył się siedmiokrotną wędrówką dokoła grobowca.

...Od stóp mauzoleum proroka, przy téj saméj ścianie portalowéj, ciągnie się szereg siedmiu, jeden obok drugiego, grobowców owalnych, również kamiennych, ale roboty pośledniejszéj, zawiérających popioły siedmiu pierwszych uczniów Baha-Eddina. Przed niemi, na rozesłanym na ziemi kobiercu wzorzystym, siedzi rzędem siedmiu szeichów poważnych, z owych trzydziestu starszyzny rodu Nakszbędów, w długich szatach i ciężkich na głowach turbanach, w milczeniu czekających końca namazu, lub w zamyśleniu mających utkwiony wzrok


K.U.L.

w ziemię przed siebie i ustawione przed nimi tacki z ofiarami pielgrzymich pieniędzy miedzianych, srebrnych i złotych.

U samego brzegu, najbliżéj mauzoleum świętego, czuwał szeich szczupły, niski, wychudły, z zapadłemi głęboko w orbity oczyma, z żółtą jak cytryna i pomarszczoną skórką na twarzy i uschłą ręką lewą. Snadź był to najstarszy z nich wszystkich dostojeństwem lub bogobojnością, a może sam *mutewali* zakonu, zarządzający majątkiem jego, bo wszyscy inni zwracali się do niego z szacunkiem i pietyzmem. Do niego też przystąpił Afgan w szkłach indyjskich w chwili, kiedy reszta pielgrzymów rzeźwiła się wodą ze źródła świętego, bijącego obok sadzawki, a pozdrowiwszy i złożywszy ofiarę z jednéj monety złotéj i kilku srebrnych, zapytał o wybór potrzebnego na cmentarzu miejsca pod mogiłę.

— Już nam o zamiarach twoich, *töri* [1]), mówił przysłany z miasta *ilczy-chodża* — odrzekł szeich, nie odejmując wzroku od ziemi: — Czy to dla siebie chcesz zakupić *kabr* [2]) na naszym świętym *giuristanie* [3]).

— Nie, chawadże świątobliwy, ale dla pewnego męża bogobojnego, który zabiwszy człowieka, pragnie z nim razem spocząć na téj ziemi i za przyczynieniem się świętego Baha-Eddina — niech uświęconą będzie mogiła jego — odkupić grzéch swój u wszechmocnego i miłościwego Allaha.

— Czemuż pragnie takiego grobu przestronnego?

— *Ulken basznin, ulken bulur gaudasi* [4]).

— Dlaczego on sam tu nie przybywa?

— W téj chwili kona, chawadże, zdala od miejsc świętych.

— Więc w takim razie kupujesz, *töri*, dwa miejsca na giuristanie, dla dwóch grobów?

— Nie, chawadże: jeden tylko, i w nim ma spocząć ów mąż bogobojny pospołu z ofiarą swoją; dlatego też głowa i kadłub liczą się podwójnie.

Szeich podniósł wzrok od ziemi i z pod przewróconych, zaczerwienionych powiek spojrzał na Afgana, a wraz z nim skierowały się na tegoż spojrzenia wszystkich pozostałych sześciu szeichów.

---

[1]) Tytuł odpowiadający pers. mirza, a dawany przedewszystkiém synom chana lub emira, ale przez grzeczność i innym téż osobom dostojnym lub gościom obcym — w znaczeniu = wasza dostojność.

[2]) Mogiła.

[3]) Cmentarz.

[4]) „Przy wielkiéj głowie wielki kadłub bywa.

— Czy ino mąż bogobojny — mówił mutewali tonem nagany — nie wiedział o tém, że zakon nasz nie pozwala na grzebanie dwóch ciał w jednym grobie?

— Rzekłeś, chawadże świątobliwy, i dlatego za nieświadomość swoją składa tu przezemnie ofiarę na cześć świętego Baha-Eddina.

I z temi słowy złożył przed szeichem monetę srebrną.

— *Kulum aczik, juzium ak* [1]). Przecież ci, *töri*, musi być wiadomo, że święty nasz prorok Baha-Eddin — niech się uświęci mogiła jego — urodził się w siódmym wieku Hegiry, w siódmym miesiącu roku, siódmego dnia w tygodniu, o siódméj godzinie dnia; w 7-ym roku życia nauczył się koranu, w ciągu lat siedmiu nauczał ludzi, w 10 + 7 roku życia umarł i obdarzył prawowiernych siedmioma pierwszymi swymi uczniami, którzy tu są pogrzebani w siedmiu grobowcach, i tyś sam, *töri*, ze wszystkimi tymi pielgrzymami obchodziliście siedm razy dokoła grób święty, wiész tedy, czy tak czynić wypada, jak uczyniłeś przed chwilą? — zakończył szeich, spojrzawszy na monetę srebrną i następnie powiódłszy wzrokiem po sześciu pozostałych tackach reszty sześciu szeichów.

Gdy Afgan dołożył brakujące do liczby siedmiu sześć takich samych srebrników, ustawiwszy je po sztuce na tacce każdego chodży, szeich-mutewali, porozumiawszy się wzrokiem z resztą *collegium* swojego, odezwał się uroczyście:

— Zakon przez usta moje powiada ci, *töri:* Allah jest wielki, Allah miłosierny, a w nieprzebraném miłosierdziu swojém, wejrzawszy na skruchę owego umiérającego męża bogobojnego i jego, w osobie twojéj, wysłannika, zechce pozwolić na zaniesienie modłów naszych do tronu Jego: prosić będziemy świętego patrona naszego dziś w nocy o przyczynienie się za nami, aby prośba twoja i owego męża umiérającego wysłuchaną została, a wyrok nasz obwieszczony ci jutro w południe przez usta nasze. Tak chce Bóg wielki, Bóg miłosierny!

. . . .

Bibi po wejściu do zagrody świętéj, widząc pielgrzymów, skierowujących się na prawo, obok meczetu Hakim-kusz-beg-i, ku mauzoleum, podążyła ku meczetowi lewemu — Abd-ul-Azisa i tam przycisnęła się do muru jego, w postawie kornéj, trwożna, drżąca, to szepcąc słowa modlitwy, to błądząc wzrokiem po ziemi. Poczém ostrożnie

---

[1]) „Ręka moja otwarta, twarz moja biała“ (wesoła) — t. j. szczodremu pociecha.

i lękliwie okoliła werendę, zasłaniając parandżą oczy przed refleksem promieni, bijących od lamp i luster tam rozwieszonych, zbliżyła się do sadzawki, potem do źródła świętego, skąd rzuciwszy okiem na szereg wznoszących się i opadających ramion pielgrzymich przed grobem proroka, pochyliła się i gorączkowo, pośpiesznie zaczerpnąwszy wody, jęła gasić pragnienie i usta spalone zwilżać ręką drżącą raz, drugi, trzeci, prawie bez końca.

Pokrzepiona na siłach, skryła się za grobowiec od strony zachodniéj, upadła na kolana i wsłuchując się w dźwięki eolskie, płynące z pod wielkiego buńczuka, lub wodząc wzrokiem po pęku małych buńczuków, kołyszących się od strony lewéj grobowca, czekała ukończenia namazu Afganów. I gdy ci nareszcie posunęli się po przed szereg siedzących na ziemi szeichów, przysłuchując się rozmowie mutewalego o dwóch mogiłach, lub składając swoje obole ofiarne, rzuciła się ku mauzoleum Baha-Eddina, upadła na ziemię u stóp jego i gorąco błagać jęła proroka o wyjednanie dla niéj miłosierdzia Allahowego. Od czasu do czasu stawała nieruchomo, ze skrzyżowanemi na łonie rękoma, mając wzrok utopiony w wezgłowie, jakby sobie coś przypominała, lub o nową łaskę prosić chciała Boga; poczém przyklękała, padała twarzą na ziemię, przysiadała na zapiętki, kołysząc się ku ziemi i znów się zrywała, biła ośm pokłonów dla przedwieczornéj modlitwy Äkindi: „Allahu, wejrzyj okiem litości... Ty jesteś pełen dobroci, wspaniałości i miłosierdzia...“ Następnie zbliżając się do kamienia czarnego, przykładała do niego dłoń prawą, którą potem skwapliwie przyciskała do ust i pociérała nią czoło swoje uznojone, gorące, zwilżone potem...

Dawno już przebrzmiały z wierzchołków obu minaretów głosy żałośne muezzinów, wzywające do modlitwy wieczornéj; ona ich nie słyszała, cała zatopiona w modlitwie własnéj, i nie widziała — jak szeichowie i pielgrzymi, zaskoczeni temi jakby z nieba płynącemi odgłosami, rzucali się pięćkrotnie na kolana i kończyli *achszam* [1]) wezwaniem: „Cześć Allahowi, władcy światów.“

Gwałtownie trącona za ramię przez odźwiernego, ocknęła się i obejrzała dokoła: pielgrzymi afgańscy, rozproszeni po zagrodzie, powoli oddalali się i znikali w kierunku portalu wychodnego; za nimi przy werendzie wlókł się jeszcze jeden z Turkmenów, a przy nim Durbin, już zaprzyjaźniony i niosący w ręku broń jego; z drugiéj strony szeichowie, pochyleni ku ziemi, rachowali ofiary całodzienne i zgar-

---

[1]) Wieczór, modlitwa wieczorna

niali je do torb skórzanych. Rzuciła się ku nim Bibi pośpiesznie z własnemi obolami ofiarnemi.

— *Es-salam-alekum!* Pokój niech będzie z tobą! — wyszeptała do pierwszego szeicha, kładąc przed nim ofiarę dwóch miedziaków.

Mutewali prędzéjby się spodziéwał gromu z nieba jasnego, niż głosu kobiécego na tem miejscu i o téj porze; spłoszony więc nim, zerwał się na nogi, a za nim to samo uczynili wszyscy inni szeichowie:

— Niewiasto, cóżeś uczyniła? — zawołał w świętém oburzeniu, wskazując na meczet przeciwległy, wznoszący się po za drzewami: — azali nie wiész, co w piśmie powiedziano: niewiastom wchodzić nie wolno pospołu z mężczyznami do świątyni?

— Jam, ojcze świątobliwy, nie była w meczecie.

— Pocóżeś tu?

— Do grobu swiętego proroka, aby...

— „Wierni, dawajcie jałmużnę wpiérw nim będziecie mówić z prorokiem“ — przerwał jéj drugi z rzędu szeich.

— Tyś przed godziną wyszydzała pod bramą tego przybytku świętego zakon derwiszów wirujących, a może *duwanów* naszego zakonu nakszbędzkiego — dodał trzeci.

— Allahu wielki! — wołała Bibi, wyciągając ramiona przed siebie: — toć mi się chyba przypomnieli wnuki tańcujące... albo ja wiem co to było.

— Po takim występku, czegoś się ty mogła spodziéwać od świętego proroka? Mów, po coś tu przybywa? podpatrywać nas, co?

— Ojcze świątobliwy, jam kobiéta nieszczęśliwa: miesiąc mi tylko czasu zostało do wykupienia Dżelaleddina z tego strasznego gniazda mahałły *Peś*...

— Jakiego gniazda?

— A tego *macho*, trędowatych, dokąd wtrącił Dżelaleddina ten niegodziwy sodomita Mułła-Szerif...

— Biada potworcom złorzeczącym! — zawołali szeichowie, podnosząc ze zgrozą ręce do góry.

— Dość tego — nakazał jéj milczenie głosem groźnym mutewall — słuchaj niewiasto: Zakon ulitowawszy się nad twoją nędzą, użyczył ci tu schronienia wraz z wnukiem; ale oddawna niespokojnym śledził wzrokiem za wzrastającą wciąż liczbą grzechów i niegodziwości tego napiętnowanego gniéwem Allahowym utrapieńca. W téj chwili dowiaduję się o srogim przezeń znieważeniu wiernego sługi i syna tego zakonu. Ale miarka pobłażliwości już się przebrała, a teraz ją zwiększają grzechy twoje, niewiasto. Urągasz się pamięci

jednego z największych hazretów naszych i najpotężniejszego władcy świata, mieniąc się „babką Timur-lenga;“ zdajesz się szydzić ze świątobliwego zakonu derwiszów, przedrzeźniając ich; mimo zakazu wchodzisz do zagrody świętéj, a wchodząc, nie zdejmujesz obuwia, nie pomnąc, iż najlżejszą karą, jaka czekać może grzeszników takich na tamtym świecie, będzie przywdzianie trzewików z żelaza rozpalonego; w końcu zdajesz się ciskać potwarz i oszczerstwo na jednego z najpoważniejszych dostojników państwa, a czcicieli tego przybytku. „Ci, którzy zrywają przymierze z Bogiem, którzy gwałcą prawa i oddają się skażeniu, zostaną policzeni między odrzuconych...“ [1]). „Gdyby Bóg nie zalecił z góry ich wygnania, byłby ich wytępił; kara ognia czeka ich na tamtym świecie...“ [2]). Zakon tedy przez usta moje zapowiada ci, niewiasto: gwoli siedmiu cnót proroka naszego Baha-Eddina — niech się uświęci mogiła jego — jeśli w ciągu dni siedmiu nie oczyścisz się wraz z wnukiem z zarzutów wam czynionych, on zostanie poddany chłoście sromotnéj i razem będziecie wygnani z tego przybytku świętego i oddani w ręce sprawiedliwości: „Wierni, bójcie się Pana! On jest świadkiem wszystkich spraw waszych!“

— Ojcowie święci! Litości, miłosierdzia! — jęknęła Bibi.

— A taraz oddal się w spokoju, niewiasto! Ty zaś, odźwierny, czyń swoją powinność! — zakończył mutewali, wskazując gestem rozkazującym Bibi i odźwiernego w kierunku portalu klasztornego.

* *
*

Nazajutrz przed samém południem jeden z dziadów, czatujących przy bramie bocianiéj na szczudle swojém, jak żóraw nad stadem uśpioném, wyjrzawszy w głąb ulicy zewnętrznéj, począł chyłkiem uciekać ku budzie własnéj: tam złożył szczudło na ziemi, usiadł i ze wzrokiem niespokojnym zajął pozycyę wyczekującą.

Dla innych dziadów, wygrzewających się dotąd spokojnie na słońcu, stało się to zapowiedzią przybywającego dla nich obłowu: jeden za drugim zapuszczał wzrok badawczy w przestwór drogi bocianiéj, ten i ów schował się do budy, aby wyczołgać się napowrót stamtąd uzbrojonym w miseczkę jałmużniczą, kostur lub torbę; jedni poprawiali na sobie łachmany, drudzy odsłaniali swe rany, inni jęczeli i stękali głosem urywanym jak muzykanci, próbujący swych narzędzi przed zbliżającym się koncertem,—słowem, na całéj linii powstał ruch do rozpoczęcia kampanii bojowéj.

[1]) Koran, rozdział II. [2]) Koran, rozdział LIX.

Za bramą słabym szmerem dolatujący odgłos gromady pieszéj i konnéj, wzmógł się do tyla, że już wyraźnie rozeznać można było gwar ludzki i tętent koni. Po chwili widać było istotnie całą niemal karawanę. Była to kompania wczorajszych pielgrzymów afgańskich i turkmeńskich, jeno w liczbie zdwojonéj, z dodatkiem nadto dwóch *kiafyrów* [1]), jak się zdaje, z Inglistanu, sądząc po ich brodach jasnych, kapeluszach łopuchowych indyjskich i uporze, z jakim obstawali przy chęci wjechania w pasaż dziadowski konno. Stała temu wszakże na przeszkodzie przeciągnięta w poprzek bramy baryera, któréj nikt nie odważył się, ani mógł usunąć. Chcąc nie chcąc, wszyscy musieli pozsiadać z koni lub wielbłądów i mułów, i pieszo przechodzić na terytoryum święte, zgięci, z pochylonemi karkami, jak tego wymagała pokora przed nieszczęściem ludzkiém i wobec przybytku świętego proroka, Baha-Eddina.

W całym pasażu, jakby makiem zasiał, panowała teraz cisza głęboka, przerywana tylko tupotem chaotycznym wstępujących na bruk nóg pielgrzymich. Żebracy i żebraczki siedzieli lub stali przy budach i miseczkach swoich nieruchomi, obojętni, jakby nic nie widzieli i nie słyszeli, niemal dumni i niedbali, jak kupcy muzułmańscy w bazarze stambulskim wobec przeciągających obok ich sklepów gości:

Kupisz—dobrze, nie—to nie!

Jedna i druga żebraczka i parę dzieciaków, nieobeznanych zapewne z taktyką, lub łamiących świadomie solidarność ogólną, a może wysforowanych na pierwszy harc, podsunęło się z téj i owéj strony ku pielgrzymom, wyciągając ręce po jałmużnę. Tu i owdzie ominięto ich nieuwagą, gdzieindziéj jakiś Turkmen rzucił mały wytarty miedziak, budząc w ten sposób czujność jednych, a niedowierzanie drugich, niepewnych jeszcze, azali kompania, która wyjałmużniła się wczoraj, będzie dziś wypłacalna chęcią i monetą.

Ale oto świeżego kontyngensu Afganowie zaczęli wydobywać z zanadrza drobne puły oraz srebrniki, i składać je na miseczkę tego lub owego żebraka, a nawet rzucać dalszym na ręce. Gdy prośby w imię Allaha, lub kawęczenie na ton przeciągły, litościwy okazały się skutecznemi, to pierwsze powodzenie stało się hasłem ogólnego poruszenia. Bliżsi przycisnęli się ku samym pielgrzymom, a dalsi w obawie zostania pominiętymi, lub zabraknięcia ofiary dla nich, napłynęli całą ławą i otoczyli ze wszech stron kompanię pielgrzymią, wyciągając już zdala ręce, kawęcząc, skomląc i zawodząc tonem bła-

---

[1]) To samo co giaurów.

galnym, przeciągłą nutą dziadowską, począwszy od sopranów dziecięcych, a skończywszy na dyszkantach piskliwych i basach przerażających. Pochód naprzód stawał się coraz trudniejszym, tak, że się posuwać można było zwolna, krok za krokiem i okupować drogę coraz to obfitszą jałmużną, którą już hojnie świadczyć zaczęli i wczorajsi Afganowie i sami Anglicy.

Ale ta właśnie hojność wzmągała napór dziadów, natarczywość ich próśb, głośniejsze zawodzenie i energiczniejszą demonstracyą nędzy. Gdy jeden odsłaniał strupy, osypujące się na głowie, drugi wyciągał rękę złamaną, z raną, świeżém mięsem jątrzącą się, trzecia popychając dwie jęczące przed nią baby, wyciągała przed samą twarz jakiegoś Afgana dziecko swe z wiszącém okiem; tu dwóch trzymających się razem ociemniałych roztrącało gromadę dzieci wrzaskliwych, a nie mogąc dotrzéć do któregokolwiek z szafarzy, miotali w powietrzu rękoma i rozdzierającym głosem pragnęli zwrócić na siebie uwagę; gdzieindziéj znów kilka kobiét, przyparłszy Anglika do budy, gdy ten już nie wiedział, komu dać, — szarpały go za rękę, roztwierały dłoń jego, drapały pazurami i wyciągały gwałtem monetę. Przy budzie przeciwległéj siedzący bez nóg kaléka, nie mogąc ruszyć się z miejsca, ciskał kamykami w tłum i wrzeszczał w niebogłosy, pragnąc na siebie zwrócić uwagę; gdzieindziéj znów dziewczynka, ciągnąc za włosy rwącego się przed nią chłopaka, z jękiem wrzaskliwym pokazywała Turkmenom kłykieć ręki z ropiejącą raną, w któréj się wiło robactwo.

Pielgrzymi z początku usiłowali przeciskać się łagodnie, następnie coraz energiczniéj, a gdy ścisk stawał się gwałtowniejszym, gdy jałmużna, prośby i groźby nie pomagały, gdy jakiegoś Afgana hojnego kilka bab z jednéj, a chłopców z drugiéj strony ciągnęło za ręce, krzyżując go i wydzierając przemocą pieniądze i chustki jedwabne, — zaczęli się opędzać kolbami i jataganami, lub płazować pałaszami.

Zamęt stąd powstał straszniejszy, i biada była wówczas słabszym, starcom, kobiétom lub dzieciom. Jakiś parobek barczysty, należący do kohorty dziadowskiéj, tłukł pięściami po głowach na prawo i na lewo, pragnąc przecisnąć się do Anglika; kobiéty rwały się, szamotały i zębami odciągały jedna drugą. Cały tłum zbił się i skłębił w jednę jakąś bezkształtną masę, poruszającą się na wsze strony, to cofając się wstecz, to kotłując w poprzek, otoczony tumanami kurzu, padającego na ropiejące i cuchnące rany, na twarze zmoczone potem lub krwią, wśród zawodzeń, jęków, wrzasków, złorzeczeń i próśb, rozdzierających serce i uszy.

Durbin w pierwszych jeszcze chwilach zamętu, porwawszy wczorajszego swego świéżo zdobytego przyjaciela turkmeńskiego, takiego jak sam obdartusa, jeno starszego i zbrojniejszego, umknął z nim naprzód ku portalowi: rogi turze i jelenie bardzo mu się tam podobały, oddawna ostrzył na nie swe zęby, więc teraz może się uda je świsnąć przy pomocy towarzysza, wśród ogólnego zacietrzewienia się i zamętu w pasażu.

Szyrin-chanym nie widać było wcale; a Bibi, nie mogąc jéj wczoraj odszukać, tak była zgryziona zapowiedzią szeichów i wiadomością jednookiéj żebraczki o konszachtach małżeńskich Afgana z wdówką, że choć zabezpieczyła swe fundusze pewną lokacyą — pod drugą, nieeksploatowaną jeszcze przez wnuka stroną budy, i mimo snu w nocy, nader szczęśliwie wróżącego, — wyglądała blado, przygnębiona, posiwiała, z oczami głęboko zapadłemi.

Stała nieco opodal od reszty żebraków, czekając łaski boskiéj i pielgrzymiéj.

Gdy ruch po pierwszych powodzeniach jałmużniczych stał się żywszym i powszechniejszym, i ona się ożywiła, stała się ruchliwszą, i po pierwszym-drugim miedziaku, które jéj się szczęśliwie dostały w ręce, zaczęła nabiérać otuchy i wiary w dalsze powodzenie. A gdy jeden z Afganów, omijając dziady natrętne, przecisnął się pomiędzy tłumem i sam jéj włożył srebrnika w rękę, — oczy jéj się rozjaśniły blaskiem, policzki zapłonęły wypiekami, ręce zadrgały gorączkowo, niecierpliwie; przewiązała żupanik dżelaleddinowy pod parandżą dokoła bioder, aby jéj nie zawadzał w ruchach, uwolniła ręce od kostura, ciskając go daleko ku budzie, wyprostowała się i, unoszona falami płynącéj naprzód rzeszy żebraczéj, to znów odrzucana niemi na stronę, wyciągała obie ręce wysoko przed siebie, unosząc je ponad rozwianym włosem własnéj głowy, ponad głowami kłębiącéj się przed nią tłuszczy.

W takiéj postawie ujrzał ją wczorajszy o szkłach indyjskich Afgan i wskazał przeciskającemu się obok Anglikowi. Ten, spojrzawszy badawczo na nią, sięgnął do kiesy, wydobył stamtąd kilka monet, zawinął je w kawałek oddartego z trudem papiéru z notesiku podróżnego i celując chwil parę w Bibi tak, aby przygotowała się do przyjęcia daru, odrzucił zręcznie w nastawione do pochwycenia obie ręce. Papiér w locie rozluźniony, przetarł się do reszty w chwili konwulsyjnego wstrząśnięcia rąk żebraczki, i Bibi szeroko rozwartemi źrenicami ujrzała się w posiadaniu pięciu grubych złotych monet indyjskich. Blask od nich bijący rozświetlił nagłym, błyskawicznym rzutem całą ciemność, w jakiéj dotąd była pogrążona żebraczka i smugą szeroką

zakreślił jéj drogę przyszłości. Wszak te pieniądze nietylko uzupełniają jéj własny tak mozolnie zebrany skarb na wykupienie i uzdrowienie Dżelaleddina, ale wystarczą na podróż z wnukami do Afganistanu. Skończą się jéj troski, nędza, poniżenie; a wobec tego nie dba już o mnichów, rzuci ich przed wykonaniem groźby mutewalego i nawet Szyrin-chanym zabierze z sobą, bo pogłoska o jéj zamążpójściu musi być zwykłą plotką dziadowską.

Ale jakkolwiek błyskawicznie przemknęła jéj przez myśl strugą świetlaną ta cała serya obrazków przyszłości, również szybkim, również błyskawicznym był ruch czatującego na nią Kasymka, który, widząc rozwijane w jéj dłoni złoto, w dwóch susach ocknął się przy niéj i szarpnął ją za rękę lewą, aby rzucić się na prawą, która kurczowo zacisnęła złoto. Bibi, widząc straszne niebezpieczeństwo, w oka mgnieniu zakreśliła mały łuk ręką w powietrzu ku głowie i całą garść monet wrzuciła sobie do gęby. Dla kogo innego byłaby to pozycya już stracona, ale nie dla Kasymka, który w téjże chwili połechtawszy jedną ręką gardło żebraczki, a drugą drasnąwszy jéj wargi i dziąsła, zanurzył trzy palce swoje w jéj gębie i zaczął tam gmyrać natarczywie. Żebraczka, szamocząc się i wyrywając, cofała się gorączkowo ku kłębiącéj się rzeszy dziadów, wciąż napierana przez chłopaka, który jak jastrząb uczepił się swéj ofiary, przyparł ją do żywéj ściany tłumu, łaskotał pod gardło, drapał i szarpał niemiłosiernie. Bibi wykrzywiała twarz konwulsyjnie, podskakiwała, potrząsała rozpaczliwie głową, ryczała głosem nieludzkim, krztusiła się i dławiła. Nareszcie malec, znużywszy ją do bezwładności, silnym kuksańcem w bok i prawie jednoczesném zduszeniem gardła, ostatnim wysiłkiem trzech grzebiących palców podważywszy podniebienie, szarpnął pokrwawioną ręką na zewnątrz i — wyciągnął trzy monety: dwie inne potoczyły się z brzękiem na bruk pasażu, ścigane i łowione przez kilkoro dzieciaków.

Bibi z krzykiem przerażającym rzuciła się za Kasymkiem, wciskającym się w tłum ludzi, ale porwana i rzucona w inne kłębiące się koło dziadów i pielgrzymów, zniknęła rychło w wirze i tumanie kurzawy.

* *
*

We dwie godziny potém, kiedy po namazie południowym dziady, wylizując się z ran otrzymanych, odpoczywali przed budami swemi, lub zabierali się do uczty południowéj, a pielgrzymi w ciszy wychodzili z zagrody świętéj i podziwiali gzyms portalu z jego rogami fan-

tastycznemi (z pomiędzy których już parę jelenich i turzych brakowało),—Durbin, przebiegając pasaż, zatrzymał się przed budą swoją i zawołał głośno na babkę, aby mu czapkę wyszukała:

— Na miasto, na *czarszyję* [1]) muszę z Turkmenem—naglił—żywo, kata-ina, do *czajna-chane* [2]) zajdziemy.

Żadnéj odpowiedzi.

— Nuże, prędzéj, babko — niecierpliwił się chłopak—Turkmen czeka za bramą, za bocianią, chodź i ty, Bibi, z nami: napijesz się herbaty i przekąsisz.

Wciąż milczenie.

Durbin wczołgał się do budy: nie ma nikogo; wylazł na zewnątrz, zajrzał z jednéj i drugiéj strony lepianki: ani duszy żywéj; zajrzał nareszcie z trzeciéj, tam, gdzie o świcie wygrzebał był z ziemi wszystkie trzy woreczki babine z jéj skarbem. Pamiętał to dobrze, że otwór w tém miejscu zasypał był napowrót zwirem i przyłożył kamieniem jak było. Teraz kamień odwalony, zwir wygrzebany z głębi, w któréj natomiast świeciła pustka i czarny, głęboki otwór. Podniósł oczy, spojrzał przed siebie: o parę kroków, oparta o lepiankę siedziała na ziemi Bibi z głową zwieszoną na piersi, z rękoma złożonemi na żupaniku płomiennym, który jéj leżał na kolanach, nieruchoma, bezwładna, z zamkniętemi oczyma, z których dwie łzy, wyciekłe snać już dawno, spłynęły, zatrzymały się w brózdach zapadłych bladych policzków i tam zastygły.

Chłopak zatrzymał się, spojrzał na nią, popatrzył chwilę i chciał figlarnie musnąć ją po twarzy słomką, podjętą z ziemi; ale dostrzegłszy łzę na policzku, pierwszą łzę, jaką widział u niéj, zawahał się, opuścił słomkę i pochylając się ostrożnie nad uchem kobiéty, wyszeptał:

— Babko, a, babko Bibi, wstań-że!

Żadnéj odpowiedzi. Bibi siedziała bezwładna, nieruchoma, wśród ciszy, zalegającéj dokoła, a przerywanéj tylko zdala odgłosem kroków zbliżających się ludzi.

— Poczekaj trochę, odrobinkę jeno: ja zaraz przybiegnę, przyniosę.

I mimo nogi chroméj, pomknął z miejsca lotem strzały, pędząc przed siebie na oślep, nic nie widząc, potrącając i obalając po drodze dzieci i ludzi dorosłych.

Dobry kwadrans minął, zanim powrócił zadyszany, zziajany, dźwigając przed sobą zawiniątko z rańtucha. Przed babką zastał

---

[1]) Bazar kryty. — [2]) herbaciarnia.

wczorajszego o szkłach indyjskich Afgana i obok niego Szyrin-chanym, zakwefioną już i otuloną w parandżę ciemną. Afgan zdejmował właśnie z siebie *kabę* [1]) bronzową, chcąc ją zarzucić na Bibi, a chanym szeptała do niego:

— Że też Allah wszechmocny nie dozwolił jéj doczekać wyjazdu naszego: byłaby razem wyjechała, jak tego pragnęła.

Durbin odsunął ją zlekka ręką, przystąpił ku babce, złożył u stóp jéj zawiniątko i usiadł obok na ziemi.

— Babko Bibi, kata-ina moja, popatrz na mnie, no, popatrz! — mówił półgłosem, ocierając rękawem własnéj koszuli łzy skrzepłe i zmieszane z kurzem na licach babki: — nie płacz już, nie płacz: patrzaj, ja tu wszystkie przechowałem *chalty* [2]) twoje z pieniędzmi — i wydobywał kolejno z zawiniątka wszystkie torebki: — patrz, przyniosłem i tamte pierwsze dwa z 40-ma teńgami, i te wczorajsze trzy, coś wyjęła z pod turzych rogów z 60-ma teńgami, a oto masz i trzy moje własne woreczki, com sam uzbierał z 70-ma teńgami, a oto jeszcze dziesięć srebrniaków, które mi dziś Turkmen dał za rogi. No, popatrz, babko Bibi, — gładził ją pieszczotliwie ręką pod podbródek.

— Popatrz! — krzyknął przeraźliwie, roztwierając szeroko oczy i wstrząsając ramieniem babki.

Martwy, zimny trup Bibi pochylił się na ziemię i potoczył się po kamieniach ku lepiance.

. . . .

W nocy lepianka bibina była już pustą i głuchą: zniknął z niéj Durbin, zniknęła Bibi.

Nad ranem, gdy z obu minaretów przywoływali muezziny wiernych do pierwszego namazu, siedmiu szeichów, idących na straż kolejną do grobu Baha-Eddina, wstrzymali się z przerażeniem przed bramą bocianią: z jednéj i drugiéj strony baryery uwiązane były dwa trupy, twarzami zsiniałemi zwrócone ku sobie: Kasymka i mutewalego, oba widocznie uduszone: gęby ich były zapchane miedziakami i srebrnikami, a szyje związane jednym rzemykiem, który ściągała znana pałeczka durbinowa, okuta mosiądzem.

. . . .

---

[1]) Płaszcz perski z ciężkiéj materyi bez rękawów. — [2]) kaléty, torebki na pieniądze.

W parę dni potém do *hakima* [1]) Buchary, do *kusz-bega* [2]), do *reis-i-szariata* [3]) ponadchodziły dziwne wiadomości o jeszcze dziwniejszém zjawisku, widzianém w stepie, niedaleko jeziora Sangut-Kul, przez oddział żołnierzy, wracających do stolicy z nad Amur-Daryi. Napotkali oni tam skrzynię, zbitą z desek i stojącą sztorcem na ziemi, a w skrzyni w postaci siedzącéj okrytego całunem trupa młodziana kilkunastoletniego, z nosem odgniłym, okrytego ranami i widocznie zmarłego na trąd. Obok głęboki pluskiewnik w ziemi, przykryty również deskami, zawierał zjedzonego żywcem przez pluskwy stepowe człowieka ze związanemi rękoma i nogami. Trudno było dojrzéć twarzy jego, całkiem oszpeconéj, ale po brodzie białéj, a wąsach czerwonych poznano w nim Mułłę-Szerifa. Do desek pokrywy przybity był napis:

„Stary ten grzesznik ma być pogrzebany razem z ofiarą swoją — siedzącym obok młodzianem-baczą — w grobie, zakupionym za życia na cmentarzu nakszbędzkim.“

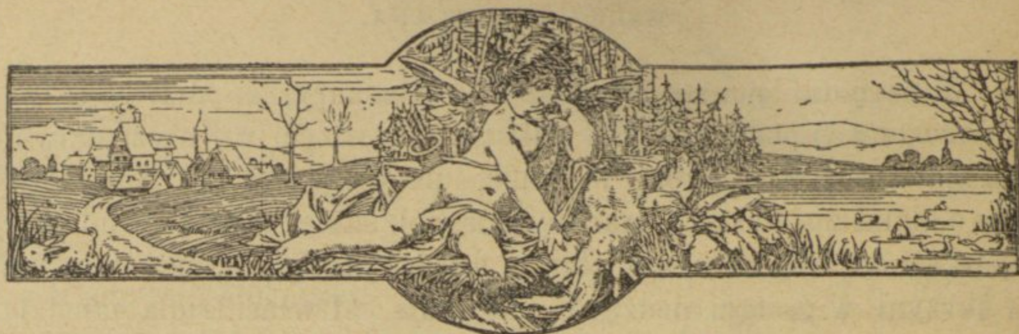
Wszelkie poszukiwania i dochodzenia nie wykryły sprawców téj zbrodni. Nikogo w owych okolicach nie widzieli żołnierze dnia tego, krom karawany, złożonéj z Afganów i Turkmenów, wraz z jakąś niewiastą na wielbłądzie, a zdążających ku szlakowi afgańskiemu.

Jan Grzegorzewski.



---

[1]) Naczelnik miasta lub powiatu. — [2]) *kusz-beg*, a właściwie *kousz-beg-i* — pierwszy minister bucharski = wielki wezyr. — [3]) dyrektor policyi i targowy, oraz cenzor moralności publicznéj.



ROZWÓJ TEORYI WARTOŚCI
I JÉJ STAN OBECNY.



I.

Nie ma chyba w dziedzinie ekonomii politycznéj drugiego zagadnienia, które byłoby tak rozmaicie tłómaczoném, dało pochop do budowania tak licznych teoryi, jak kwestya wartości. Na pytanie, czém jest wartość, co ją określa, dawano najprzeróżniejsze odpowiedzi. Zauważyć się wszakże w nich dadzą dwa dość jasno zarysowujące się typy: pierwszy uważa, że wartość jest skutkiem pracy i nią się mierzy, drugi za przyczynę wartości uznaje zadowolenie naszych potrzeb. Oba one istniały wciąż równolegle, rozwijały i subtylizowały się, lecz ani jeden ani drugi nie był w stanie opanować pola i nie stał się panującą w nauce doktryną.

Przyczyna, iż żaden z dwu typów nie mógł dać dostatecznie zadowalniającéj odpowiedzi lub przynajmniéj dowieść fałszywego stawiania kwestyi przez drugi kierunek, leży w saméj naturze przedmiotu badania. Zjawiska ekonomiczne, jak i wszystkie zjawiska życia społecznego, przedstawiają się nam w dwojakiéj formie: raz, jako pewna siła zewnętrzna, obiektywna, z którą musimy się liczyć jak z czémś od nas niezależném, to znów jako produkt naszych stanów umysłowych i afekcyjnych, w pewnym więc stopniu jako zjawisko subiektywne.

Dwulicowość, dwojakość formy, w jakiéj ujmujemy zjawiska życia ludzkiego, spowodowała, iż we wszystkich dziedzinach wiedzy,

mających z niemi do czynienia, istnieją dwa zupełnie odmienne sposoby obserwowania faktów, iż szuka się przyczyn na przeciwległych krańcach, że powstają teorye nawskroś subiektywne i nawskroś obiektywne. Materyalizm i idealizm w filozofii, subiektywna i obiektywna metoda w socyologii nie są niczém innén, jak tylko skutkiem powyższéj dwoistości formy naszego ujmowania. I właśnie dlatego, iż oba te krańcowe stanowiska są wypływem przypisywania, często nawet nieświadomego, większéj wagi jednéj lub drugiéj formie ujmowania — spór między niemi musiał pozostać nierozstrzygniętym. Rozwiązaćby go mogła tylko odpowiedź na to, czém jest rzecz sama w sobie *noumen*, odpowiedź, do któréj drogą indukcyi nigdy nie dojdziemy i która zatém nigdy nie będzie mogła posiadać wartości pewnika. W ekonomii politycznéj nierozwiązalność powyższéj zagadki odzwierciedla się w istnieniu dwóch powyzéj wskazanych typów teoryi wartości.

Czy który z nich ostatecznie stanie się panującym w świecie nauki, czy też może nastąpi połączenie obu stanowisk, tak jak materyalizm i idealizm znalazły swą syntezę w monizmie, czy też przyjdzie nam wyrzec się nadziei na wszelką teoryę pozytywną, odpowiadającą wymogom nauki, przesądzać teraz nie będziem. Pewne wszakże światło na powyższe pytanie może rzucić historya rozwoju teoryi wartości. Przystąpmyż więc do niéj.

Ojcem kierunku, uznającego za miarę wartości pracę, był Adam Smith. Wartość, podług niego, jest dwojaka: użytkowa i zamienna. Pierwsza, t. j. użytkowa, nie wchodzi w zakres ekonomii, która bada jedynie zbiorowe przejawy życia gospodarczego. Tymczasem ocenianie przedmiotu ze względu na jego użyteczność choć i może (lecz nie musi) być zjawiskiem gospodarczém, pozostaje wszakże czysto indywidualnym aktem. To też pomimo, iż jest ona niezbędnym warunkiem, by przedmiot posiadał wartość zamienną, nie znajduje się w żadnym ilościowym stosunku od ostatniéj. Stopa bowiem wartości zamiennéj zależy od całkiem odmiennéj natury czynników: 1) rzadkość, 2) ilość potrzebnéj dla wytworzenia towarów pracy. Pierwszy z tych momentów wpływa na stopę wartości tych przedmiotów, których ilości nie jesteśmy w stanie dowolnie zwiększać. Stanowią one wszakże nieznaczną tylko część bogactwa narodowego; uważa się więc Smith za uprawnionego do twierdzenia, że „stosunkowe ilości pracy, niezbędnéj dla wytwarzania przedmiotów, dostarczają jedynego kryteryum zamiany jednych na drugie.“ Wniosek jednak powyższy nie zadawalnia go jeszcze. By dojść do poznania ostatecznych czynników i mierników wartości, sądzi on, iż, skoro istnieją najrozmaitsze rodzaje pracy, koniecznem jest naprzód określić, jaką jest miara war-

tości pracy i za taką przyjmuje pieniężną płacę zarobną, która znowu określa się ilością otrzymywanego za dzień pracy, zboża.

Wiele bardzo pytań, które późniéj stały się przedmiotem mozolnych dociekań i licznych sporów, nie zostało jeszcze w powyższém wyłożeniu poruszone. Nad tém, czy wartość tkwi w samych rzeczach, czy też tylko skutkiem zamiany, czy jest ona subiektywną, czy obiektywną, czy istnieje jako podstawa zamiany i cen, czy też jest tylko abstrakcyą konkretnych cen — o tém wszystkiém Smith nie wspomina ani słowa. Pod tym już względem teorya wartości Smitha musiała być znacznie dopełnioną przez jego kontynuatorów. Prócz wszakże dalszego opracowania potrzebowała ona jeszcze znacznych poprawek, któreby usunęły znajdujące się w niéj niedokładności, a nawet sprzeczności.

Najwcześniéj zwróciła na siebie uwagę błędność twierdzenia, że miarą wartości pracy jest płaca zarobna, a téj ilość otrzymywanego za dzień pracy zboża. Zdanie to jest najzwyklejszém „*circulus vitiosus*,“ gdyż, jeśli praca jest miarą wartości przedmiotów — musi nią być i dla pieniężnéj płacy zarobnéj i dla zboża. Słusznemi też są słowa Ricard'a: „Adam Smith, określiwszy z wielką dokładnością najpierwsze czynniki wartości zamiennéj, powinienby konsekwentnie być zdania, że wszelki przedmiot posiada mniéj lub więcéj wartości, stosownie do ilości pracy, niezbędnéj dla jego wytworzenia. Tymczasem utrzymuje on raz, że miarą wartości jest wartość zboża, to znów, że jest nią wartość pracy, tak jakby to były pojęcia równoznaczne, i jakby wskutek tego, że praca stanie się dwa razy produkcyjniejszą i będzie wstanie wytworzyć podwójną ilość przedmiotów, i wynagrodzenie za nią miało w dwójnasób się zwiększyć.“ Z przytoczonego ustępu widoczném jest, iż Ricardo sądzi, że nielogiczność ostatecznéj formuły Smitha spowodowaną została przez chęć określenia wartości pracy. Jest to wszakże przeczuwanie raczéj środka ciężkości błędnych twierdzeń Smitha niż zupełnie jasne zdawanie sobie zeń sprawy. Kwestyą bowiem płacy zarobnéj Ricardo rozstrzygnął tylko połowicznie. Określił on wprawdzie wysokość płac zarobnych w swém sławném „prawie żelazném,“ zaznacza on niejednokrotnie antagonizm, panujący między płacą zarobną a dochodem od kapitału, co wskazuje, iż nie mógł on uznawać, by płaca zarobna była składnikiem wartości, a tém samém i pieniężnym wyrazem wartości pracy; zdarzają się jednak u niego i wręcz przeciwne twierdzenia, w rodzaju, iż zwiększenie płacy zarobnéj sprowadza zmianę stosunku, zachodzącego między wartością produktów, wytwarzanych przy pomocy kapitału stałego i bez niego, a to ponieważ w ten sposób zmniejsza się procent od kapitału.

Nazwaliśmy to zdanie sprzecznėm z poprzedniemi twierdzeniami Ricard'a. I w rzeczy saméj, albo płaca zarobna i procent od kapitału są elementami wartości przedmiotów, i w takim razie ostatnie twierdzenie jest słuszne, albo téż są one tylko częściami, na które rozkłada się wartość przedmiotu w pewnéj formie gospodarki społecznéj, mianowicie w społeczeństwie opartém na pracy najemnéj, a wtedy racyonalném jest zdanie, że wszelkie zwiększenie się płacy roboczéj musi wywoływać zmniejszenie się dochodu od kapitału i odwrotnie, nie zmieniając wszakże w niczem wielkości wartości. Oba one nie mogą istnieć równolegle, opiérają się bowiem na dwóch, wręcz przeciwnych sposobach pojmowania płacy zarobnéj: 1) że płaca zarobna jest pieniężnym wyrazem wartości pracy; 2) że nie jest ona nim, które to zdanie musi być koniecznie przyjęte, jeżeli przyznajemy istnienie antagonizmu między płacą zarobną a dochodem od kapitału. Taka niejasność w poglądzie Ricard'a jest wyłącznie skutkiem tego, iż nie postarał się on, czy téż nie mógł dać kategorycznéj odpowiedzi na pytanie, czém jest płaca zarobna, ograniczając się jedynie do określenia czynników, wpływających na jéj wysokość. Nie uprzytomnił téż on sobie, wskutek tego, należycie, iż błędność zwalczanego przezeń poglądu Smitha polega przedewszystkiém na przypisywaniu pracy — wartości. Praca bowiem, jako miara wartości, sama jéj posiadać nie może. Mierzyć coś możemy tylko tém, co nosi całkiem odmienny od mierzonéj wielkości charakter [1]). Tak więc powierzchnię mierzymy linią, linię — czasem, wagę — ruchem i t. d. Jest to konieczne prawo naszego myślenia, które nie dopuszcza żadnych wyjątków. Jeżeli więc ze Smithem i Ricard'em uznamy pracę za miarę wartości — nie możemy już przypisywać jéj wartości i wypada nam wtedy przyznać, że płaca zarobna jest pieniężnym wyrazem nie wartości pracy, lecz wartości siły roboczéj. Sformułował to wszakże całkiem jasno dopiéro Marx, który dzięki temu mógł nadać teoryi „miarą wartości — praca“ niezrównanie więcéj ścisłości od swych poprzedników. Do jego czasów kwestya płacy zarobnéj zostawała szkopułem, który uniemożliwiał wszystkim stronnikom formuły „miarą wartości — pra-

---

[1]) Co prawda, można mierzyć linię drugą linią, przyjętą za jednostkę miary. Jest to wszakże dopiéro wtórny proces. Pierwotny, zasadzający się na stwierdzeniu, że jedna jednostka miary równa się drugiéj, może polegać tylko na sprowadzaniu dwóch wielkości do trzeciéj, od nich różnéj, wyjąwszy jedynie gdy oba łączone znakiem równania zjawiska są wewnętrznemi, które poznajemy bezpośrednio.

ca" postawienie teoryi, odpowiadającéj wymogom naukowéj ścisłości i konsekwencyi.

Nie zadowolił ich i Mill, pomimo całéj potęgi swéj logiki. Być nawet może, iż właśnie dlatego, że myślenie jego posiadało niezrównaną ścisłość dedukcyi, wyszedłszy z błędnego założenia, doszedł on bodaj że do fatalniejszych od Smitha i Ricard'a rezultatów. Nie mogąc budować swéj teoryi na nieznaném mu *X*, oświadcza on kategorycznie, że płaca zarobna jest wyrazem wartości pracy. Ponieważ wszakże miarą wartości jest wysiłek (Mill uważa wyraz „wysiłek" za odpowiedniejszy od „praca"), który przejawia się pod formą poprzednio już nagromadzonéj pracy, czyli dochodu od kapitału, i żywéj, uznaje więc on za stosowne zastąpić wyrażenie „praca żywa" przez równoznaczne mu „płaca zarobna." W ten sposób dochodzi on do wniosku, że wartość określa się przez płacę zarobną + dochód od kapitału. Do jakich-że rezultatów doprowadza nas rozwiązanie takie?

Wartość, podług określenia Milla, jest stosunkiem, w jakim wymieniają się przedmioty. Stosunek ten, jak to widzieliśmy, ma zależyć od stosunku płac roboczych i dochodu od kapitałów. Czém jest jednak płaca robocza i dochód od kapitału? Pieniężnym wyrazem, zatém, trzymając się określenia Milla, — ceną. Stosunek więc zamienny towarów jest stosunkiem pieniężnych wyrazów, wartość jest stosunkiem cen. A czém-żeż się określa cena, czyli stosunek towaru do pieniędzy? Wartością towaru i pieniędzy. Cena zatém określa się wartością, która jest stosunkiem cen, określa się więc w ostatniéj instancyi sama przez się, z czego jeden tylko wniosek: jest ona niezależną od wartości. Cóż więc się stało z ceną, jako pieniężnym wyrazem wartości?

Teorya Milla, doprowadzona do ostatecznych swych konsekwencyi, byłaby negacyą wartości, twierdzeniem, iż istnieją tylko konkretne ceny, nie będące wyrazem żadnéj wspólnéj, czy to samym rzeczom, czy też ich stosunkom, własności, że istnieją tylko poszczególne stosunki, wypływające z każdorazowego aktu wymiany. Nie wchodząc teraz w to, czyby wniosek taki odpowiedział rzeczywistości, czy byłby on prawdziwym, czy nie, zaznaczymy tylko, że jest on wręcz przeciwny zdaniu „miarą wartości — wysiłek," na które się Mill pisze.

Nie przezwyciężył w sposób zupełnie zadawalniający tych trudności, o które rozbijały się usiłowania angielskich klasyków i Rodbertus, pomimo, iż teorya jego stanowi znaczny krok naprzód i wnioski, do których on dochodzi, wolne są od zarzutów, sprawiedliwie sta-

wianych jego poprzednikom. Cały wykład jego kwestyi wartości przestawia systemat, w którym z zupełną konsekwencyą wypływają jedne twierdzenia z drugich i ostateczne postulaty znajdują się w zupełnéj zgodności z najpierwszemi założeniami. Wartość, podług niego, jest abstrakcyą cen, wspólną ich tendencyą. Konkretne ceny znajdują się pod wpływem najrozmaitszych czynników: podaży i popytu, szwindlów handlowych, chwilowego położenia kupującego i sprzedającego i t. d. Jednak w nich wszystkich daje się odczuwać ciążenie do jednego punktu, któryby mógł się urzeczywistnić, ze słowa stać się ciałem, w społeczeństwie nie mąconém konkurencyjnemi walkami, w społeczeństwie, opartém na wspólnéj własności narzędzi i materyałów produkcyi. Punkt ten ciążenia, dziś jeszcze idealny, jest wartością, a miarą jego ilość pracy, niezbędnie potrzebnéj dla wytworzenia przedmiotu wymiany. Gdy społeczeństwo dojdzie do spodziéwanego przez autora kolektywnego ustroju, wtedy wymiana będzie się odbywała proporcyonalnie do potrzebnych na wytworzenie towarów ilości pracy.

Jak widzimy, teorya Rodbertusa przedstawia przedewszystkiém tę wyższość, iż wolna jest od błędów, wypływających z przyznawania pracy wartości. Na płacę roboczą zapatruje się on jako na część bogactwa narodowego, oddawaną przez klasę kapitalistów najmitom, w celu utrzymania przy życiu robotników i dalszego ciągnięcia z nich zysków. Płaca robocza bynajmniéj nie jest, podług niego równoznacznikiem wartości pracy, lecz całkiem dowolnym okruchem bogactw, wytwarzanych przez robotnika, a zbiéranych przez kapitalistę, wielkość którego conajmniéj jest określona stosunkiem sił obudwu klas: najmującéj i najemnéj.

Niemniejszą przewagę powyższego postawienia kwestyi stanowi większa jego jednolitość. Zarówno Adam Smith, jak Ricardo i Mill uznają, że formuła: „miarą wartości — praca“ nie da się zastosować do wszystkich przedmiotów, lecz przeciwnie, że istnieje cały szereg rzeczy, których ilości nie jesteśmy w stanie dowolnie zwiększać, i których wartość określa się mniejszą lub większą ich rzadkością. Dualizm taki stanowi bezwarunkowo słabą stronę każdéj przyjmującéj go teoryi. Jakąż bowiem w takim razie możemy miéć gwarancyę, iż dobrze poszukawszy, nie znajdzie się więcéj podobnych odrębnych grup. A wtedy teorya przybiéra charakter zaledwie kilku empirycznych uogólnień, pozbawiając się prawa pretendowania do wyjaśnienia tego, czém jest wartość, jakie są jéj czynniki, jakim jest jéj charakter. Wartość bowiem może być tylko jedna. Może się ona przedstawiać nam pod różnemi formami i jeśli postawimy kilka formuł, będzie

to wyjaśnienie jéj form, lecz kwestya istoty wartości pozostanie również ciemną jak poprzednio. Tłómaczenie, że jedna z formuł odnosi się do nielicznéj tylko kategoryi przedmiotów nic tu nie pomoże.

Dualizmu tego Rodbertus uniknął. Podług niego ceny wszystkich przedmiotów ciążą do jednego punktu. Wartość wszystkich wymienialnych rzeczy określa się ilością potrzebnéj dla ich wytworzenia pracy.

Coprawda, możnaby całkiem słusznie zrobić Rodbertusowi zarzut, że nie wszystkie ceny posiadają tendencyę do określania się przez ilość niezbędnéj pracy, że wyłączone przez Smitha kategorye przedmiotów, w każdych warunkach będą musiały określać swą wartość rzadkością, i bodaj, że trudno byłoby Rodbertusowi dowieść indukcyjnie słuszności swego twierdzenia. Nie mniéj wszakże pozostaje faktem, iż pod metodologicznym względem teorya jego była znacznym krokiem naprzód i dała odprawę wielu krytykom formuły: „miarą wartości — praca.“

Jednakowe w głównych rysach, lecz znacznie więcéj opracowane są poglądy na wartość w epokowém Marxa dziele „Kapitał.“ Teorya jego jest najkompletniejszém opracowaniem formuły „miarą wartości — praca.“ Dalszy rozwój ekonomii nie dodał do niéj nic nowego. Późniejsi stronnicy tego rodzaju pojmowania wartości, jak Kautzky, Bernstein, Lafargue, Deville, ograniczyli się tylko na popularyzowaniu poglądów mistrza nowoczesnego socyalizmu. To téż zatrzymamy się nad nimi trochę dłużéj. Wszystkie bowiem złe i dobre strony teoryi Marxa są typowe dla wyłącznie obiektywnéj metody przedstawienia kwestyi wartości, są konieczne dla formuły: „miarą wartości — praca.“

„Bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny sposób produkcyi, mówi Marx, przedstawia się jako olbrzymie nagromadzenie towarów.“ Analiza więc towaru musi być punktem wyjścia dla wszelkich dociekań ekonomicznych. Towar jest przedewszystkiém pewnym przedmiotem zewnętrznym, zadawalniającym nasze potrzeby. Powyższa własność nadaje mu własność użytkową, realizującą się jedynie w aktach konsumpcyi. Wartości więc użytkowe stanowią bogactwo czy to narodu, czy oddzielnych jednostek gospodarczych, niezależnie od form społecznego ustroju, a nawet jego istnienia, nie mniéj jednak służą za materyalną podstawę dla czysto społecznego zjawiska — wartości wymiennéj.

Wartość wymienna przedstawia się na pierwszy rzut oka, jako stosunek ilościowy, w jakim wymieniają się na siebie towary, zdaje się więc być czémś całkowicie względném. Zbadawszy jednak rzecz

bliżéj, okaże się, iż musi istniéć w towarach, coś im wszystkim wspólnego, niezależnego od ich stosunku wymiennego, poprzedzającego sam proces wymiany. Najlepiéj wyjaśni się to na przykładzie. Weźmy dwa towary np. pszenicę i żelazo. Niezależnie od tego, jakim będzie ich stosunek wymienny, może on się zawsze przedstawić w formie równania, przez które dana ilość żelaza uznana jest za równą pewnéj ilości pszenicy, np. 1 korzec pszenicy = *a* funtów żelaza. Cóż oznacza powyższe równanie? Oto, że w dwóch odrębnych przedmiotach, mianowicie w jednym korcu pszenicy i w *a* funtach żelaza istnieje coś wspólnego. Oba więc one są równe trzeciemu, które samo przez się nie jest ani jednym, ani drugim. Każdy z obu przedmiotów, o ile występuje jako wartość wymienna, musi niezależnie od drugiego sprowadzać się do tego czegoś trzeciego." Czém jest ono? „To, co jest obu towarom wspólne nie może być jakąkolwiek ich własnością fizyczną, geometryczną, chemiczną i t. d. Własności materyalne posiadają znaczenie o tyle tylko, o ile nadają towarom użyteczność, a tém samém wartość użytkową. Widoczném zaś jest, że w stosunku wymiennym dokonywa się abstrakcyi od wartości użytkowéj i że abstrakcya ta właśnie jest charakterystyczną cechą wszelkiego stosunku wymiennego. Jako bowiem wartości użytkowe towary są przedewszystkiém różnemi wielkościami jakościowemi; jako wartości wymienne mogą one być różne tylko pod względem ilościowym." Gdy dokonamy abstrakcyi od wszelkiéj użyteczności, pozostanie towarom ta tylko własność, iż są one produktami ludzkiéj pracy, przytém nie pracy konkretnéj, gdyż ta stwarza wartości użytkowe, lecz pracy ogólno-społecznéj, abstrakcyjnéj, prostego wydatku energii mięśniowéj. „Jako skrystalizowania téj wspólnéj wszystkim towarom substancyi społecznéj, stają się one wartościami."

To, co jest im wspólnego i co przejawia się w stosunku wymiennym, czyli w wartości wymiennéj towarów, jest ich wartość." „Jak mierzyć teraz tę wartość? Przez *quantum* zawartéj w towarze stwarzającéj wartość substancyi, przez ilość pracy."

Praca ta wszakże nie jest indywidualną, lecz czysto społeczną. Ilość téż jéj nie może mierzyć się z czasem, potrzebnym dla poszczególnego producenta, by wytworzyć dany towar, lecz czasem społecznie niezbędnym, t. j. koniecznym przeciętnie w daném społeczeństwie, w danym czasie, przy danym stanie kultury. „Jedynie więc *quantum* pracy, czyli czas pracy, niezbędny społeczeństwu dla wyprodukowania towaru, określa jego wartość."

Te same prawa, które rządzą stosunkami wzajemnemi towarów, odnoszą się i do stosunku towaru do złota, t. j. do pieniężnéj miary jego wartości. „Złoto spełnia funkcye pieniędzy względem innych wartości, dlatego tylko, że samo występowało ono poprzednio w roli towaru. Zarówno jak i wszystkie inne towary funkcyonowało ono też jako równoznacznik czy to w przypadkowych pojedyńczych aktach wymiany, czy też jako jeden z wielu równoznaczników.“

Cena więc jest stosunkiem złota do towaru. I dlatego tylko, że oba one posiadają jednakową wartość, że oba są skrystalizowaniem równych ilości abstrakcyjnych społecznéj pracy, mogą się łączyć znakiem równania. Nie dlatego towary wyrażają w złocie swą wartość, że jest ono pieniądzem, lecz spełnia ono funkcyę pieniądza, ponieważ towary wyrażają w niém swą wartość.

W rzeczywistości wszakże stosunek towaru do pieniądza nie zawsze równym jest stosunkowi ich wartości. Zwykle nawet jest on od ostatniego mniejszym lub większym i dopiéro w przeciętnéj uchylenia te w obie strony wzajemnie się znoszą, tak, iż cena staje się prawdziwym pieniężnym wyrazem wartości.

„Forma pieniężna dopuszcza przytém nietylko pewną ilościową niezgodność między ceną a wartością, t. j. między tą ostatnią a jéj wyrazem pieniężnym, lecz może kryć przed sobą całkowitą ich nawet sprzeczność, tak iż cena całkiem przestaje wyrażać wartość, chociaż pieniądz nie jest niczém inném, jak tylko formą równoznaczną towarów. Rzeczy, które same przez się nie są bynajmniéj towarami, jak honor, sumienie i t. d. mogą być przedmiotami handlu i przez nadawaną im cenę otrzymywać formę towaru. Rzecz nie może posiadać ceny, nie posiadając wartości. Cena staje się tu wielkością imaginowaną, jak pewne wielkości matematyczne.

Ostatni ustęp niezmiernie jest charakterystyczny dla całéj teoryi. Marx mówi w nim, iż istnieją ceny przedmiotów lub usług, które nie posiadają wartości. Na jakiéj to jednak zasadzie odmawia im jéj? Ponieważ nie są one towarami. Lecz skąd jesteśmy uprawnieni do podobnego twierdzenia, co nas upoważnia przypisywać wartość jedynie tylko towarom? Toż Marx sam zaznacza, że wartość jako zjawisko społeczne ujawnia się tylko w społeczném zjawisku — wymianie, która wyprowadza na widownię bezpośrednio jedynie konkretne ceny. Wartość zaś jest nieujętą, nie widzimy jéj, jest ona tylko linią, koło któréj wahają się jéj wyrazy pieniężne, stanowiące rzeczywistość. Do poznania jéj dochodzimy tylko pośrednio. To wszystko mówi Marx. W takim wszakże razie punktem wyjścia

w badaniach wartości musi być analiza cen. Szukać, co jest im wszystkim wspólnego, znaleść je, wyświetlić jego charakter — będzie jedynie uprawnioną metodą. Tymczasem Marx począł odrazu od zdania: „bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny sposób produkcyi, przedstawia się jako olbrzymie nagromadzenie towarów“, rozumiejąc przez słowo towar produkt pracy ludzkiéj, przeznaczony w czasie swéj produkcyi na wymianę.

Czyżby jednak rzeczywiście bogactwo dzisiejszego społeczeństwa kapitalistycznego było nagromadzeniem samych tylko towarów? Trudno się na to zgodzić. Nie mało bowiem zajmują w niém miejsca produkowane dla własnego użytku przedmiotu, a które dopiéro potém wskutek specyalnych okoliczności znajdują się na rynku. Również nieposlednią część bogactwa narodowego stanowią ziemia, lasy, łąki, które nie są produktami pracy ludzkiéj, a przecież stanowią przedmiot kupna i sprzedaży. Wreszcie wymieniają się wytwory nawet wysiłków ludzkich, które jednak nie posiadają zgoła piętna społecznéj pracy, lecz wręcz przeciwnie są produktem najwięcéj indywidualnych cech człowieka jak geniusz, talent i t. d., nie są więc przejawami dążności gospodarczych, a jednak są szacowane i to bardzo drogo, wszedłszy w proces wymiany wskutek specyalnych okoliczności, w jakich się ich twórcy znajdują. Te wszystkie kategorye przedmiotów mają cenę, stanowią część bogactwa narodów, a jednak nie są towarami, gdyż albo nie są produktami pracy ludzkiéj, albo téż nie były w czasie swéj produkcyi przeznaczone na wymianę. Być jednak może, iż Marx miał na myśli idealne społeczeństwo kapitalistyczne, w którémby zanikły wszystkie pozostałości epoki gospodarstwa naturalnego. Lecz i w niém jeszcze niezaprzeczenie będą przedmiotem wymiany ziemia, lasy, łąki, produkty artyzmu i t. p.

Wypada téż zauważyć, że wartość nie jest dopiéro zjawiskiem społeczeństwa kapitalistycznego. Marx sam poczyna analizę wymiany, która przypuszcza istnienie wartości, od jéj najprostszéj formy: x towaru $A = y$ towaru B, formy poprzedzającéj nietylko towarowe, lecz nawet pieniężne gospodarstwo. Analiza więc wartości nie może w żaden sposób spoczywać na badaniu jednego tylko społeczeństwa kapitalistycznego, a tém bardziéj samego tylko towaru. Wobec tego mówić, że przedmioty, nie będące towarami, nie mają wartości, nie wykazawszy poprzednio, że nie mają one nic wspólnego reszcie wymienialnych rzeczy, jest, by wyrazić się językiem logiki, zwykłém *„petitio principii.“*

Marx wszakże nie mógł inaczéj postąpić. Ponieważ przedmioty wymiany, rozpatrywane niezależnie od nas, od subiektywnego nasze-

go procesu oceniania i porównywania ich, muszą one nam się przedstawić jako dwie całkiem odrębne grupy, wchodzące z sobą w stosunek wymienny na innych podstawach, które muszą być ujęte, jak się na to zgadzają i zwolennicy i przeciwnicy tezy „miarą wartości — praca", w dwie różne formuły; pozostają więc tylko dwa możliwe wyjścia: albo uznać, że wartość jednych i drugich są to dwa odrębne zjawiska, albo też powiedziéć, że mniéj liczna kategorya nie posiada wcale wartości. Marx, który chciał postawić całkiem wyczerpującą teoryę wartości, nie mógł pójść w ślady swych angielskich poprzedników, gdyż podanie przezeń dwóch formuł wartości byłoby zrzeczeniem się wyjaśnienia, czém jest wartość. Jeżeli bowiem istnieją dwie kategorye wartości, to w każdym razie muszą posiadać choćby jedną wspólną cechę, któréj wyjaśnienie dopiéro da nam odpowiedź na zagadnienie wartości, inaczéj bowiem nie byłyby one dwoma kategoryami, ale dwoma całkiem odrębnemi zjawiskami.

Również niezbędném, jak powyższa niedokładność, dla każdéj, wyłącznie obiektywnéj teoryi, jest popełnione i przez Marxa, obejście pytania, czém jest sama wartość. Mistrz socyalizmu posunął, prawda, daléj od swych poprzedników odpowiednią analizę. Wykazał on, że wartość wymienna jest stosunkiem, lecz, by mógł on istniéć, muszą już poprzednio wchodzące w równanie przedmioty posiadać coś trzeciego, wspólnego im, istniejącego niezależnie od wymiennego ich stosunku. To nieznane trzecie, do którego każdy z wymienianych przedmiotów się sprowadza, jest wartością. Tu wszakże urywa się nić tak ścisłego dotychczas rozumowania. Zamiast bowiem zadać sobie pytanie, czém jest wartość, stawia Marx kwestyę: „Jak mierzyć tę wartość? Przez *quantum* zawartéj w towarze, s t w a r z a j ą c é j w a r t o ś ć, substancyi, przez pracę." Cała więc, tak subtelna analiza nie doprowadziła Marxa, również jak jego poprzedników, do określenia wartości. Wprawdzie mówi on, że wszystkie towary sprowadzają się do „skrystalizowań prostéj pracy ludzkiéj." Nie może wszakże téj ostatniéj nazwać wartością. Jest ona bowiem miarą wartości, a jako taka sama nią być nie może, to téż nazywa on pracę „substancyą, stwarzającą wartość."

Marx nie przekroczył daléj po za wyjaśnienie tego, iż wartość jest tém, do czego sprowadzają się towary, by módz wstąpić we wzajemny stosunek wymienny, połączyć się znakiem równania. A nie przekroczył on téj granicy, gdyż dalsza analiza wymagałaby już zmiany stanowiska obserwacyjnego. Jeżeli bowiem wartość jest: 1) stosunkiem ludzi do przedmiotów, nie zaś przedmiotów do samych siebie, jak to widzimy zaznaczone w rozdziale „towar jako fetysz",

jeżeli 2) jest ona tém, do czego każdy towar sprowadza się niezależnie od drugiego, przed samym aktem wymiany, — to w takim razie wyświetlenia jéj charakteru, zrozumienia i określenia jéj trzeba szukać w stosunku pojedyńczego człowieka do towaru. W tym wszakże celu trzeba stanąć na stanowisku subiektywném, analizować psychologiczne procesy, zachodzące przy ocenianiu i porównywaniu przez nas towarów. Marx, jak i wszyscy ekonomiści trzymający się wyłącznie obiektywnéj metody badania, Marx, twórca teoryi materyalizmu dziejowego, dokonać tego nie mógł. Stanąłby on bowiem wtedy w sprzeczności z całym poglądem na świat, podług którego świadomość jest tylko zjawiskiem wtórném, „epifenomenem."

II.

Praca nad tém, czego Marx i jego poprzednicy nie byli w stanie wypełnić, t. j. badanie subiektywnéj strony procesu wymiany, któreby nam wyjaśniło istotę wartości i stworzyło w ten sposób wspólny grunt dla różnych formuł, określających obiektywną miarę wartości poszczególnych kategoryi przedmiotów, przypadło w udziale drugiemu typowi ekonomistów, mianowicie ekonomistom, chcącym wyprowadzić wartość wymienną z użyteczności lub pożądania. Pierwsze ich wszakże kroki były, bodaj, że nieudolniejsze jeszcze od stawianych przez Smitha, Ricard'a i t. d. Nic w tém zresztą dziwnego. Zbadanie subiektywnego procesu psychologicznego przy tamtoczesnym stanie wiedzy musiało być bezwarunkowo znacznie trudniejszém zadaniem, niż postawienie formuły obiektywnéj, ujmującéj wymienny stosunek towarów. Przytém kwestye metodologiczne nie były jeszcze wcale opracowane. Nie wiele się o nie troszczono. Znaczenie, dziś im nadawane, zostało zrozumiane dopiéro przez profesorów niemieckich i dotychczas nawet wśród nich to głównie pytania, dotyczące metody ekonomicznych badań, rozpatrywane są i dyskutowane. Say, najpierwszy z subiektywistów, zajął też odrębne od angielskich klasyków stanowisko na wpół nieświadomie, wskutek czego teorya jego nie jest ściśle przeprowadzona, lecz pełna powikłań obu stanowisk. Dążenie jego wszakże do czegoś więcéj, aniżeli tylko do odnalezienia obiektywnéj formuły wymiennego stosunku przedmiotów, chęć głębszego zbadania saméj istoty zjawiska wartości przejawia się z postawionych przezeń dwóch twierdzeń o charakterze wartości. Ma ona po pierwsze być czémś nieodłączném, należącém do rzeczy saméj. Taką wszakże jest tylko chwilę. „Wartość, mówi Say, jest wielko-

ścią pozytywną, jest nią wszakże tylko w danym momencie. Z natury swéj jest ona wciąż zmienną." Stąd wypływa druga jéj własność, iż nie możemy określić jéj absolutnéj wielkości.

Say więc próbował określić cechy i własności wartości, t. j. jéj istotę, i tém odróżnia się od swego mistrza Smitha, któremu chodziło jedynie o miarę wartości. Co prawda zdanie, iż wartość jest nieodłączną własnością przedmiotów, nakazywałoby nie zaliczać go do rzędu subiektywistów. Nie można jednak twierdzeniu temu przypisywać zbyt wielkiéj wagi. Jest ono bowiem zaraz ograniczone uwagą: „lecz tylko w danym momencie." Zmienność zaś jéj zależy od zmian, zachodzących w ludziach, w ich dążeniach, potrzebach i t. d., gdyż „podstawą wartości jest nadana im przez ludzi użyteczność."

Nie będziemy wchodzić w szczegółowy rozbiór przytoczonych zdań Say'a. Zaznaczyć nam wszakże wypada, że przypisywanie wartości chwilowéj choćby, pozytywnéj wielkości, i uznanie za podstawę wartości — użyteczność nie bardzo z sobą pasują. Użyteczność bowiem jest pojęciem stosunkowém, określającém znaczenie przedmiotu dla człowieka. Uznanie więc użyteczności za podstawę wartości przenosi punkt ciężkości do nas, do naszéj oceny przedmiotów, do naszych stanów afekcyjnych i umysłowych. Tymczasem wygłaszając zdanie, że wartość jest wielkością pozytywną, tém samém przyznajemy, że jest ona niezależną od nas, inaczéj bowiem byłaby względną, i co z tego wynika, wypływałaby ona nie z naszych subiektywnych cech, lecz z własności przedmiotów. Oba stanowiska nie dadzą się połączyć, wykluczają się bowiem całkowicie. To też jedno z nich musiało się stać panującém, niwecząc wpływ drugiego na dalsze wnioski i na całość teoryi. Say przechylił się na stronę drugiego, dodając ograniczenie, iż „z natury swéj wartość jest wciąż zmienną" i pozostawiając nierozstrzygniętém pytanie o mierze wartości. Nie można bowiem za dostateczną odpowiedź uważać zdania, nakazującego w celu ustanowienia wymiennego stosunku między dwiema wartościami, porównać je do trzeciéj. Wszelką wielkość względną możemy określić jedynie przyrównywując ją do innéj wielkości, przyjętéj za jednostkę absolutną (ma się rozumiéć nie w filozoficznėm, lecz wyobrażeniowém znaczeniu), albo téż sprowadzając dwie porównywane wielkości do trzeciéj, współmiernéj im, lecz z charakteru swego różnéj od nich. Ani jednéj, ani drugiéj drogi Say nie wskazał i nawet wskazać nie próbował.

Również bez odpowiedzi pozostawił powyższą kwestyę Bastiat. Co prawda, mówi on jako o mierze wartości o „pracy zamienionéj",

lecz uważa ją tylko za bardzo bliską prawdy. Sam zaś jest zdania, iż „uznajemy wartość za mniejszą lub większą, zależnie, czy przedmiot jest nam mniéj lub więcéj potrzebnym, czy mniéj lub więcéj osób gotowych jest nam go odstąpić, czy dla otrzymania go należy zużyć mniéj lub więcéj trudu, pracy, zręczności, czasu, uprzedniéj nauki, czy wreszcie posiadanie go oszczędza nam mniéj lub więcéj tych wszystkich wysiłków.“ Wartość jest tu uznana za całkowicie zależną od oceny człowieka, co jaśniéj jeszcze zostało wyrażoném w zdaniu: „w wartości mieści się już porównanie, ocena, uznanie, miara.“ Bastiat tak daleko zaszedł w swym subiektywizmie, że podług niego nietylko że wartosć leży w naszéj ocenie, lecz nawet w ocenie — nie rzeczy, ale oddanych usług. Ostatnie twierdzenie jest już rażąco krańcowém. Przyjąwszy go bowiem trzebaby uznać, że nie posiadają wartości te wszystkie przedmioty sprzedaży i kupna, które nie są produktami pracy ludzkiéj, zdanie możliwe u Marxa, licujące z całą jego teoryą, lecz które, gdy wyjdzie z pod pióra subiektywisty, musi być uznane poprostu za zbytnie zagalopowanie się w kierunku badania w ekonomii nie rzeczy, ale ludzi.

W mglistości, jaką widzimy u obu francuskich uczonych, pozostał kierunek subiektywny przez całą przeszło pierwszą połowę bieżącego stulecia. Założyciele szkoły niemieckiéj: Rau, Roscher, Hildebrand, Knies niewiele nowego rzucili nań światła. Zarówno jak Bastiat, Rau nie odróżnia dostatecznie ceny od wartości i jako miarę ostatniéj podaje zwykłe handlarskie doświadczenie, określając wartość przez 1) pracę zarobną, 2) rentę od kapitału, 3) rentę gruntową, 4) zwykłą stopę procentową, 5) koszta materyałów i narzędzi produkcyi. Roscher, w ślady Say'a, mówi, iż wartość użytkowa jest źródłem wymiennéj, pisząc się na zdanie Storcha, że „wartość użytkowa jest wartością bezpośrednią, wymienna zaś—pośrednią.“ By nadać więcéj wiarogodności temu poglądowi, stara się on nawet dowieść, jakoby nie istniał, przyznawany przez jego poprzedników, odwrotny często stosunek między wartością użytkową a zamienną. Przytoczymy ciekawe to pod wielu względami rozumowanie.

„Pewien producent spotrzebowuje rocznie 100 funtów żelaza, tymczasem w ciągu całego swego życia spotrzebuje on niewielką zaledwie odrobinę złota w formie dwóch obrączek ślubnych. Te dwie wszakże obrączki posiadają dlań tyleż znaczenia, co żelazne narzędzie, ważące sto razy więcéj. Przypuśćmy teraz, że naród spotrzebowuje rocznie 20 funtów złota i 500,000 funtów żelaza. Każdy funt złota będzie więc odpowiadał $1/_{20}$, a funt żelaza $1/_{500{,}000}$ ogólnego zapotrzebowania; przyjmijmy prócz tego możność dokładnego ozna-

czenia wartości gatunkowéj [1]) obudwu metali i niech wartość żelaza będzie równą wartości złota, wtedy funt złota będzie miał 25 razy więcéj wartości, niźli jeden funt żelaza.

Nietrudno wykazać błędność powyższego rozumowania. Opiéra się ono na całkiem dowolném przypuszczeniu, jakoby siła pożądania całego posiadanego *quantum* złota i żelaza była identyczną, co bynajmniéj nie jest pewnikiem i powinnoby dopiéro stanowić przedmiot osobnego dowodzenia. Prócz tego nie zostało rozstrzygniętém pytanie, czy nie wpływa czasami na skalę naszego pożądania *quantum* przedmiotu, jakiém możemy rozporządzać, i czy ono znów nie zależy od stopnia trudności, które, by go posiąść, należy przezwyciężyć.

Pomimo wszakże swéj błędności powyższe rozumowanie wskazuje, choć jeszcze niewyraźnie, drogę, na jakiéj należy szukać rozwiązania zagadnienia wartości, a przynajmniéj téj jego części, która przypadła w udziale subiektywistom.

Jeżeli użyteczność może być uważana za pierwszą podstawę wartości, nie powinna być brana w znaczeniu, nadawaném jéj przez moralizatorów i etyków, lecz jedynie w znaczeniu pożądania; nie może téż chodzić przy ustanawianiu skali użyteczności o to, co powinno być uważaném za najpożyteczniejsze, co przyniesie najlepsze skutki dla rozwoju człowieka, lecz co jest najsilniéj pożądaném. Należy wyświetlić proces tego pożądania, objaśnić, jak wpływa on na ocenę posiadanych przez nas przedmiotów i tych, które posiąść chcemy, co warunkuje jego mniejszą lub większą siłę i jak wreszcie ten subiektywny proces przejawia się w obiektywnym stosunku towaru do towaru-pieniądza, czyli w cenie.

Zrozumienie tego wszakże było tak jeszcze niejasném u Roschera, iż sam on wskazanego przez się zadania nie wypełnił. Natomiast wraz z Rauem uznaje on za miarę wartości koszta produkcyi, co nie jest naukowém twierdzeniem, ale prostym wyciągiem z buchalteryjnych ksiąg pierwszego lepszego fabrykanta, a co gorsza, nie stoi w żadnym zgoła przyczynowym związku z zasadniczemi zdaniami Roschera o charakterze wartości [2]).

---

[1]) Wartością gatunkową nazywa Roscher znaczenie całéj sumy pewnego przedmiotu, dla całéj ludzkości, czy téż poszczególnéj ściśle odgraniczonéj jéj grupy.

[2]) „En général le rapport de prix entre deux espèces de marchandises dépend du rapport de l'offre et de la demande. Quand il s'agit d'échanges isolées, le vendeur tient d'abord compte de la valeur en usage."

W ostatnich dopiéro czasach, pokolenie dziś jeszcze żyjących profesorów niemieckich nadało silniejszą podstawę teoryi, wyprowadzającéj wartość wymienną z użyteczności, starając się w konsekwentnie wyprowadzonych z jednego punktu wyjścia systematach usunąć sprzeczność, zachodzącą między wartością użytkową a wymienną, i ustanowić odpowiednio klasyfikacyę użyteczności.

Wagner, profesor uniwersytetu berlińskiego, rozumié użyteczność jako „tę własność przedmiotów, która zadawalnia ludzkie potrzeby.“ „Znaczenie, jakie ludzie, a zatém i każdy subiekt pewnego gospodarstwa przypisuje rzeczom ze względu na ich użyteczność, jest subiektywnie wartością przedmiotu.“ Wartość może być konkretną i gatunkową. Pierwsza t. j. konkretna jest genetycznie wcześniejszą, z któréj dopiéro jako pochodna rozwija się wartość gatunkowa, czyli znaczenie pewnego rodzaju dóbr ekonomicznych dla zadowolenia potrzeb całéj ludzkości.

Z drugiéj strony konkretna wartość użytkowa służy za podstawę wartości wymiennéj. „Różnica, zachodząca między jedném a drugiém wyrażeniem, nie jest bynajmniéj tak ważną. Wartość bowiem wymienna da się przedstawić jako pośrednio-użytkowa. Produkt, jako wartość wymienna, posiada wartość użytkową tych wszystkich rzeczy, na które gotowi jesteśmy go wymienić.“ Zgodnie z tém produkty wymieniają się na zasadzie stosunku, zachodzącego między wielkościami konkretnych wartości użytkowych. Stosunek ten wszakże jest odpowiednio modyfikowany przez stopień trudności ich otrzymania.

Neuman, profesor w Tubindze, neguje jeszcze silniéj znaczenie podziału na wartość użytkową i wymienną. Na całym szeregu przykładów wskazuje on, że podział ten absolutnie nic nam nie wyjaśnia. Przeciwnie, często nawet wprowadza nas na manowce, stwarzając przekonanie, jakoby istniało przeciwieństwo między wartością użytkową a wymienną. Tymczasem, wobec tego, iż zamiana dla dokonywującego ją jest korzystna, gdyż inaczéj nie mogłaby mieć miejsca, wartość wymienna jest zarazem i użytkową. Natomiast rozróżnia on wartość subiektywną i obiektywną. Pierwsza polega na ocenianiu przedmiotów ze względu na pewne dane jednostki, *respective*, ich interesu, życzenia, dążności i t. d.; druga zaś, bez względu na pojedyńcze osobistości, jedynie odnośnie do określonych interesów, pożądań ludzkości całéj. Z téj to drugiéj wyprowadza Neuman, stając w przeciwieństwie do Wagnera, wymienny stosunek przedmiotów, który uważa za uwidocznioną formę (*Festsezung*) oceny przedmiotów, stanowiącéj istotę wartości.

W obudwóch wykładach uderza nas odrazu niemile brak rozwinięcia, a nawet wszelkiéj próby, czy to indukcyjnego, czy téż dedukcyjnego umotywowania najważniejszych twierdzeń. Nie znajdujemy wcale wytłómaczenia, czemu 1) wartość subiektywna (Neuman) lub konkretna (Wagner) może stać się obiektywną, czy też ogólną; 2) w jaki sposób człowiek może przejść od oceniania przedmiotów ze względu na siebie, na swe własne interesy i potrzeby, do oceniania ich znaczenia dla ogólno-ludzkich dążności. Daléj, nie widzimy nawet próby ustanowienia obiektywnéj (w znaczeniu Neumana) klasyfikacyi poszczególnych potrzeb i stopnia użyteczności oddzielnych przedmiotów dla ich zadowolenia.

Bez takiego wszakże dopełnienia powyższe teorye nie mogą posiadać znaczenia naukowego, nie wyjaśniają nam bowiem ani procesu oceniania oddzielnych przedmiotów, ani téż porównywania ich w aktach wymiany i wiązania w pewne stosunki ilościowe. Gołosłowne twierdzenie, że rzecz się ma tak, a nie inaczéj, luźne uogólnienia nie mogą wystarczyć tym, którzyby chcieli zrozumiéć dokładnie tak ważne w dzisiejszém ekonomiczném życiu narodów, zjawisko wartości.

Gdyby też kierunek subiektywny zatrzymał się na tém stanowisku trzebaby się było zapatrywać nań bardzo a bardzo sceptycznie. Na szczęście wszakże tak źle nie jest. Szkoła wiedeńska: Menger, profesor wiedeński i jego uczniowie, jak Boehm-Bawerk, profesor w Inspruсku, Sachs, profesor uniwersytetu w Pradze, nadali mu te cechy, których brak zrobił go tak mglistym i niejasnym.

Według téj szkoły, gdy ilość pewnego pożytecznego nam przedmiotu mniejsza jest od zapotrzebowania, część naszych potrzeb musi pozostać bez zaspokojenia. Podobnież, gdy zmniejszy się *quantum* posiadanych już przez nas dóbr, pewne pożądania nasze, dotychczas zaspakajane, pozostaną częściowo lub nawet całkowicie niezadowolnionemi. Zaspokojenie więc naszych potrzeb zależy od możności rozporządzania dostateczną ilością odpowiednich dóbr ekonomicznych. Gdy ludzie rozumieją to dobrze, gdy pojmują, że utrata pewnéj części ich dóbr sprowadza za sobą z nieubłaganą koniecznością niedostateczne zadowolnienia ich pożądań, wtedy przedmioty użyteczne otrzymują dla nich znaczenie, zowiące się wartością. Wartość zatém jest to znaczenie, jakie przypisujemy dobrom ekonomicznym, ze względu, iż od możności rozporządzania niemi zależy zaspokojenie naszych potrzeb.

Aby więc istniała wartość, niezbędném jest, ażeby środki, służące ku zadowoleniu naszych potrzeb, były ograniczone, następnie,

byśmy posiadali świadomość tego i byli już dostatecznie przewidujący. Bojaźń to bowiem niedostatku skłania nas przedewszystkiém do przypisywania wartości rzeczom pożytecznym. Wartość nie jest jednoznaczną z użytecznością. Ta jest środkiem, służącym ku zaspokojeniu naszych potrzeb, lecz, jeśli istnieje ona w ilości, wykluczającéj wszelką obawę niedostatku, nie będzie ona posiadać dla nas żadnéj zgoła wartości. Wartość bowiem zależy od naszéj oceny, jest ona subiektywną. Pomimo to jednak nie jest ona bynajmniéj dowolną. Gdy mi się chce pić i myślę o napoju chłodzącym -- jest to dla mnie koniecznością. Conajwyżéj pozostaje mi wybór tego lub innego napoju.

Na przykładzie lepiéj jeszcze się nam to wyjaśni. Przypuśćmy, iż w pewnéj wsi znajduje się silnie bijące źródło. Daje ono początek strumykowi, wpadającemu do pobliskiéj rzeczki. Kilka tysięcy garncy wody dziennie upływa, nie wzbudzając cienia nawet obawy w mieszkańcach. Cóż bo ich to może obchodzić? Potrzeba im tylko pięciuset garncy. O nie są spokojni. Wody jest znacznie więcéj, nie posiada więc ona dla nich wartości. Lecz raptem, wskutek tych lub innych przyczyn, źródło słabnie, strumyk poczyna się sączyć cienkiem zaledwie pasemkiem wody. Mieszkańcy mierzą, obliczają i okazuje się, że źródło dostarcza dziennie zaledwie 500 garncy, t. j. w sam raz tyle, ile niezbędne jest dla wioski. Woda nabiéra teraz wartości. Każdy bowiem zmarnowany garniec sprawia ten skutek, że któryś z mieszkańców będzie miał zamało wody potrzebnéj do zgotowania strawy, mycia, prania, napojenia bydła, i że jedna z tych jego potrzeb nie będzie mogła być zaspokojona. A gdyby źródło dostarczało już tylko 400 garncy?

Widzimy stąd, iż można mierzyć wartość rzeczy nietylko przez wzajemne porównywanie przedmiotów, lecz i wielkością oddawanéj przez nie usługi; jest to nawet najpierwotniejsza miara. Pogląd ten opiéra się na tak zwanéj teoryi „najmniejszych zadowoleń“ ((*la moindre jouissance*), teoryi, która w każdym razie posiada znaczenie naukowe, gdyż daje nam objaśnienie zjawisk, dotychczas tylko zaznaczanych.

Rzeczy nie posiadają wartości same przez się, lecz tylko o tyle, o ile zadawalniają nasze potrzeby, utrzymują nas przy życiu, dostarczają przyjemności i t. d. I właśnie dlatego, iż wiemy, jakie one nam oddają usługi, oceniamy je, przypisujemy im wartość proporcyonalną do zaspokojonych przez nie potrzeb. Należy odróżnić tu dwa stosunki: jeden subiektywny (stosunek człowieka), drugi obiektywny (stosu-

nek rzeczy). Przyjrzyjmy się naprzód pierwszemu. Podstawą jego jest, iż potrzeby ludzkie posiadają różną wagę, że od zadowolenia jednych z nich zależy nasze życie, zadośćuczynienie zaś drugim dostarczy nam zaladwie chwilowéj przyjemności. Zaspokojenie tych najrozmaitszych potrzeb może być mniéj lub więcéj zupełném. Bezsprzecznie istnieje pod tym względem stopniowanie; tak np. gdy x porcyi zboża niezbędne jest, by uchronić nas od głodowéj śmierci, 2 x — nadaje nam zdrowie i siły, 3 x — tuszę, 4 x — jest już szkodliwe, sprowadzając przeciążenie żołądka. Toż samo tyczy się wszystkich innych potrzeb, jako to mieszkania, ubrania, przyjemności: istnieją przyjemności dostarczające nam bardzo wielkie zadowolenie, i takie, które są dla nas niemal obojętne. Menger wymyślił sposób graficznego przedstawienia téj podwójnéj skali 1) potrzeb naszych i 2) stopnia ich zaspokojenia, za pomocą następującéj tablicy:

I	II	III	IV	V	VI	VII	VIII	IX	X
10	9	8	7	6	5	4	3	2	1
9	8	7	6	5	4	3	2	1	0
8	7	6	5	4	3	2	1	0	
7	6	5	4	3	2	1	0		
6	5	4	3	2	1	0			
5	4	3	2	1	0				
4	3	2	1	0					
3	2	1	0						
2	1	0							
1	0								
0									

Cyfry rzymskie oznaczają różne potrzeby, arabskie zaś — stopnie zadowolenia każdéj z nich. Przypuśćmy, iż I oznacza potrzebę odżywiania się, V zaś — palenia. Oczywiście potrzeba jedzenia, gdy się nie jest jeszcze nasyconym, musi być znacznie silniejsza od żądzy palenia; skoro jednak głód zostanie zaspokojony, dajmy na to, do stopnia 5, wtedy odwrotnie chęć palenia może się nawet stać dominującą i wyrażać liczbę 6. W życiu rzeczywistém nie obliczamy tak dokładnie i drobiazgowo naszych potrzeb, każdy z nas wszakże posiada w pewnym stopniu instynktowną świadomość stosunku, zachodzącego między poszczególnemi swemi potrzebami.

Zwróćmy się teraz do stosunku obiektywnego. Gdyby każdą z naszych potrzeb mógł zadowolnić jeden tylko rodzaj przedmiotów, określenie jego wartości byłoby niezmiernie łatwe, byłaby ona bowiem równoznaczna ważności zadawalnianéj przezeń potrzeby. Na-

leżałoby się wtedy zadać sobie tylko pytanie; jakiéj potrzebie odpowiada oceniony przez nas przedmiot, czy zabezpiecza on nam życie, czy też służy tylko ku chwilowéj uciesze. W rzeczywistości jednak istnieje wiele bardzo przedmiotów, znajdujących najrozmaitsze zastosowanie, zaspakajających najprzeróżniejsze potrzeby. Użyliśmy już raz przykładu ze zbożem. Posłużmy się nim daléj. Rolnik zebrał 100 hektolitrów zboża. Część onego niezbędna jest dla podtrzymania jego życia, druga — by nadać mu zdrowie i siły, trzecia — do siewu, czwarta — dla produkcyi wódki i piwa, piąta — jako pasza dla inwentarza, szósta — dla dostarczenia mu drobniejszych przyjemności. Oczywista, rozmaite te zastosowania nie będą posiadały dla rolnika jednakowego znaczenia. Jeśliby stracił on część zboża, na którém też z powyższych sześciu zastosowań odbiłoby się to? Przypuśćmy, że nasz rolnik jest rozsądnym człowiekiem, należy sądzić, że pocznie on ograniczać się w najmniéj pilnych potrzebach, posuwając się wciąż od mniéj ku bardziéj niezbędnym. Widocznêm się z tego staje, że każda bez różnicy część pewnego dobra ekonomicznego musi posiadać wartość, odpowiadającą najmniéj pilnéj potrzebie, którą odpowiednia jego ilość jest jeszcze wstanie zaspokoić.

Teorya „najmniejszych zadowoleń" da się streścić w następującém określeniu: każda oddzielna część całego *quantum* pewnego dobra ekonomicznego, posiada wartość, odpowiadającą najmniéj pilnéj potrzebie, jaką można niém zaspokoić, gdyż to właśnie bylibyśmy przedewszystkiém pozbawieni wrazie niedostatku.

III.

Cóż powiemy o Mengerze i jego teoryi? I ona nie jest wolna od zarzutów, i w niéj rażą pewne, dość nawet znaczne niedokładności. Przedewszystkiém niepodobna się zgodzić na to, by wszelki przedmiot w dzisiejszém społeczeństwie ocenianym był na zasadzie przedstawionego przez Mengera procesu psychologicznego. Myśl o najmniéj pilnéj potrzebie, która przez utracenie lub odstąpienie swéj własności pozostanie niezaspokojoną, może się zrodzić jedynie u producenta, wytwarzającego dla własnéj swéj konsumpcyi, w gospodarstwie naturalném; lecz w społeczeństwie, opartém na towarowéj formie produkcyi, w którém wytwarza się dla rynku, jest ona niemożliwą. Do całéj masy wyprodukowanych w celu zbytu, przedmiotów najzupełniéj da się zastosować zdanie Lassala, wypowiedziane z po-

wodu poglądu Bastiat'a, na dochód od kapitału, jako wynagrodzenie za wstrzemięźliwość: „Jakżeż nieszczęśliwi są panowie kapitaliści, iż nie spożywają na obiad swych szyn i maszyn!“ *Mutatis mutandis* możnaby powiedzieć Mengerowi: „Ileż to cierpień znoszą właściciele fabryk, iż nie zjadają swych żelaznych maszyn.“

Wypadałoby też się spytać, co warunkuje mniejszą lub większą ilość przedmiotów, zadawalniających nasze potrzeby, a wtedy wypadnie nam przyznać, że *quantum* większości dóbr ekonomicznych całkowicie zależném jest od naszéj woli. Wszystkie prawie wytwory przemysłu przerabiającego, wiele nawet produktów rolnictwa możemy otrzymywać w ilościach dowolnych. Być bardzo może, że przyjdzie czas gdy cała powierzchnia ziemi zostanie poddaną kulturze, że sama przyroda postawi wtedy granice rozwojowi produkcyjnego geniuszu ludzkości, dziś wszakże nie nadeszły jeszcze tak smutne czasy. Wobec tego nie może być mowy o mniejszém lub większém *quantum* przedmiotów, któremi ludzkość jest wstanie rozporządzać, lecz jedynie o większéj lub mniejszéj trudności ich otrzymania, o mniejszych lub większych wysiłkach, których musimy dokonać, by módz rozporządzać potrzebną dla zaspokojenia naszych potrzeb ilością przedmiotów. *Quantum* służących ku zadowoleniu naszych pożądań rzeczy nie jest więc ograniczone bezwzględnie, lecz tylko względnie wrodzoném nam wszystkim dążeniem do jaknajmniejszego wydatkowania swéj energii.

Z tego wszakże wypływa niezmiernie ważna konsekwencya. Jeżeli bowiem jesteśmy w stanie dowolnie zwiększać ilość pewnéj kategoryi przedmiotów, w takim razie całkiem naturalnie doprowadzamy ją do *quantum*, któreby całkiem zaspakajało nasze potrzeby, czyli do stopnia nasycenia naszych potrzeb, oznaczonego na tablicy Mengera przez 0. A w takim razie stopień natężenia poszczególnych pożądań naszych nie odgrywa żadnéj roli. Natomiast jednym czynnikiem, wpływającym na większe lub mniejsze ocenianie danego przedmiotu, musi się stać stopień względnego ograniczenia jego ilości, t. j. mniejsza lub większa trudność jego otrzymania.

Tak więc proces psychologiczny, wskazany przez Mengera, całkiem prawdziwy na najpierwszym stopniu życia ekonomicznego, gdy tylko pojawia się podział pracy, gdy poczyna się produkcya towarowa, musi z konieczności przedzierzgnąć się w inny. Zamiast oceniania przedmiotów odpowiednio do najmniéj pilnéj potrzeby, któréj zadowolenia przez utratę czy też odstąpienie dóbr naszych bylibyśmy pozbawieni, pojawia się ocenianie ich ze względ-

du na trudność ich otrzymania. Na gruncie zaś takiego subiektywnego procesu nie trudno wyjaśnić powstanie wymiany towarów, któraby dała się ująć w obiektywną formułę „miarą wartości — praca.“

Wielką wszakże zasługą Mengera pozostanie objaśnienie tego procesu psychologicznego, który genetycznie był podstawą zjawiska wartości, rozpatrywanego z subiektywnego punktu widzenia, wyjaśnienie nam ciemnego dotychczas procesu wymiany wytworów artyzmu, geniuszu, produktów wreszcie gospodarczéj pracy, lecz których cechy nie zależą jedynie od jéj użycia, jak np. konie rasowe, bydło, wina wyższych gatunków i t. d., a także sformułowanie tego, że wytwarzamy i oceniamy nie rzeczy, lecz użyteczności. Co się zaś tyczy błędności pewnych twierdzeń szkoły wiedeńskiéj, to wypływają one z tegoż mniéj więcéj źródła, co i wskazane przez nas niedokładności Marxa. Gdy bowiem ten ostatni badał jedynie obiektywne, rzeczowe stosunki, Menger znów stanął na wyłącznie subiektywném stanowisku obserwacyjném. Chcąc zbudować teoryę wartości, musiał dążyć do postawienia wspólnéj dla wszystkich aktów wymiany formułę. Tymczasem, chociaż psychologiczny ich grunt genetycznie jest wspólny, jednakowoż wraz ze zmianą form produkcyi musiała się zmieniać i formuła, któraby ujmowała wymienny stosunek przedmiotów. W dzisiejszém społeczeństwie spotykamy pozostałości wszystkich prawie form gospodarczych, dlatego też nie możemy wszystkich aktów wymiany ująć w jedną jedyną formułę.

Połączywszy wszakże oba stanowiska, subiektywne i obiektywne [1]), moglibyśmy wszystkie obiektywne formuły połączyć wykazaniem dla nich wszystkich jednakowego gruntu psychologicznego i ich wspólnéj genezy.

Najwięcéj światła na powyższą kwestyę rzuciłyby historyczne badania nad tém, jak się tworzyło pojęcie wartości, jak się normowały ceny, jakim więc był subiektywnie i obiektywnie proces wymiany w poszczególnych fazach ekonomicznego rozwoju ludzkości. Na téj

[1]) Gide próbował tego dokonać, stawiając następujące trzy postulaty:

1) Les choses ont plus ou moins de valeur, suivant que nous les desirons plus ou moins vivement;

2) Nous les desirons plus ou moins vivement, suivant qu'elles sont plus ou moins suffisantes pour nos besoins;

3) Elles sont en quantité plus ou moins insuffisante, suivant qu'il est en notre pouvoir les multiplier plus ou moins aisément.

drodze, polegającéj na połączeniu subiektywnéj i obiektywnéj analizy, zastosowując historyczną metodę badania, doszlibyśmy prawdopodobnie do postawienia wreszcie całkiem zadawalniającéj teoryi wartości, do zakończenia nareszcie sporu między obu kierunkami: uznającym za miarę wartości — pracę i wyprowadzającym wartość wymienną z pożądania, które, jak to widzieliśmy, dochodząc do ostatecznych swych konsekwencyi spotykają się i wzajemnie dopełniają.

St. Grabski.

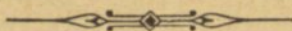




KARTA Z DZIEJÓW WŁOSKICH

OD POCZĄTKÓW FLORENCYI DO POŁOWY XV-go WIEKU.

(według F. T. Perrens'a).



Bardzo trafne zrobiono spostrzeżenie, że całokształt dziejów włoskich jest jednym z najmniéj znanych, i że oprócz kilku stron wybitniejszych działalności italskiego ludu, reszta pozostaje w cieniu. Przyczyną téj nieświadomości to zawiłość saméjże historyi włoskiéj. Kraj podzielony na mniejsze i większe księstwa, na respubliki i miasta żyjące odrębném życiem, przedstawia obraz tak zagmatwany, że się do wiadomości powszechnéj dostać mogły tylko pierwszorzędne imiona i fakta. Wszak historya tych państewek zawiera—jak twierdzi Férrari — od r. 1000 do Lutra 7,000 rewolucyi, wyraźnie siedm tysięcy, zaś Elian naliczył w 1,197 miastach półwyspu tyleż odrębnych państewek.

Historyk F. T. Perrens, znany oddawna z cennych prac (jak: „Sawonarola, jego życie i pisma", „Dwa lata rewolucyi we Włoszech, 1848—1849", „Historya literatury włoskiéj". „Kościół i państwo we Francyi za Henryka IV i Maryi Medycejskiéj", „Sully", „Małżeństwa hiszpańskie za Henryka IV i Maryi Medycejskiéj", „Demokracya francuska w średnich wiekach"; — a jeśli kto ceni wyroki akademickie, to dodać potrzebać, że niektóre z wymienionych prac zostały uwieńczone) powziął zamiar zaradzenia złemu choć w części (mam na myśli dziejopisarstwo francuskie) i poświęcił przeszło parę dziesiątków lat studyom włoskim. Owocem ich sześcioto-

mowa Historya Florencyi, i trzytomowa Florencyi pod Medecyuszami.

Dlaczego wybrał Florencyę, nie Wenecyę lub Rzym?...

Oto jego odpowiedź:

„Możnaż znaleść, gdzie więcéj namiętności i działalności w ludziach, więcéj ruchu i rozmaitości w rzeczach, zadziwiających wydarzeń, tragicznych przejść, krwawych wojen i pokojowych rywalizacyi? Więcéj pracy i bogactwa w handlu i przemyśle, świetności i blasku w literaturze i sztuce, wreszcie więcéj pożytecznéj nauki dla nowoczesnéj demokracyi?... Thiers powiedział kiedyś, że świat dąży do ustroju demokratycznego, przeto dzieje Florencyi należy studyować bardziéj od innych, bo nie ma demokratyczniejszych w dawnych i dzisiejszych czasach.

„Zapatrując się z ogólniejszego punktu widzenia, nie jest-że Florencya—po Atenach, a przed Paryżem — jedném z trzech miast, które największą w cywilizacyi odegrały rolę? Losy Rzymu są odrębne, odznaczające się strasznym egoizmem i bezmiernemi zaborami, ale naśladowcze we wszystkiém, co nie było wojną i panowaniem. W ostateczności można pojąć bez Rzymu rozwój ducha ludzkiego, ale czy można go pojąć bez Aten, Florencyi, Paryża?

„Florencya i Ateny, o geniuszu równie wszechstronnym, jak Paryż, uosabiają najlepiéj — podobnie jak on — charakter narodowy. Jest-że coś więcéj greckiego od Aten, francuskiego od Paryża, włoskiego od Florencyi? Medyolan i Wenecya zaledwo należą do półwyspu; Neapol jest kolejno greckim, normandzkim, andegaweńskim, rzadko samym sobą; Rzym znika wobec papieża, który zeń tworzy miasto kosmopolityczne i pochłania go nawet wtedy, gdy odeń daleki, jedna tylko Florencya umié się przetwarzać, nie przestając być sobą i nie sprzeniewierzając się swym początkom."

Na te właśnie kilka rysów odrębnych, pozwalających Florencyi zawsze „być sobą", a mających znaczenie zawsze i wszędzie, warto zwrócić uwagę. Działalność jéj artystyczna i polityczna zostanie na boku (ta ostatnia chyba potrącona zlekka, jako mająca związek z przedmiotem), niniejszy artykuł jest bowiem tylko jedną kartą z księgi dziejów włoskich.

I.

Rozkoszny klimat, urocza miejscowość, bogactwa naturalne, łatwy dostęp od morza, zwabiały nieustannie przybyszów do Toskanii. Pomimo maremmów, strumieni górskich, zalewających doliny

w czasie deszczów i roztopów śnieżnych, głos powszechny mienił Florencyę ogrodem półwyspu. Urodzajność ziemi, słynną od niepamiętnych czasów, opiewali poeci, opisywali prozaicy: ziarno wydawało plon piętnasty, bujna roślinność ułatwiała hodowlę bydła, łono ziemi kryło pokłady granitu, łupku, serpentynu, marmurów: czarnego — w Pistoi, zielonego—w Prato; białego, piękniejszego niemal od kararyjskiego—w Serravezza; różnokolorowego, najświetniejszych barw— w Stazzema; brokateli w Piombino, alabastru w Wolterrze, kamienia wapiennego we Florencyi, a źródła mineralne, zimne, wrzące, gazowe, głośne były od wieków.

Wprzód nim Rzym pogański stał się panem świata, a chrześciański duszą jego, już Toskania zajmowała pierwsze miejsce na półwyspie; Katon ją tylko wraz z Umbryą nazywa Italią; w niéj spotyka się najprzód naród godny pamięci, Etrusków. Prawdopodobnie nie oni pierwsi zamieszkali Toskanię, bo starożytni pisarze wzmiankują o Japygach, Staliotach, Umbryjczykach, Sykulach, ale nic po nich nie zostało „krom imienia", Etruskowie zaś złożyli dowody swéj bytności w potężnych murach, których szczątki do dziś dnia istnieją. Charakter budowli etruskich odbija się w budowlach florenckich, w pałacach Pitti, Strozzi i innych, ubiór ich (trzewiki ze złotemi taśmami ostro zakończone, ubranie śpiczaste głowy, „tutulus", z długim welonem) przechował się po za wieki średnie, zaś rysy twarzy powtarzają i dziś jeszcze profil na płaskorzeźbach i naczyniach etruskich utrwalony.

Kto byli Etruskowie? Skąd przybyli? Kwestya dotąd sporna. Zdaje się, że pochodzą z Azyi i że się wówczas nazywali Rhazena, nie wiadomo, czy od nazwiska wodza, czy opuszczonéj krainy. Pierwsi przybysze dotarli do Toskanii, prawdopodobnie lądem, inne ludy tegoż pochodzenia przybyły późniéj wodą i w mniejszéj liczbie; pierwsi byli koczującymi, drudzy posiadali już pewien stopień kultury; gdy się oba zleli w jedno, utworzyli naród etruski.

Śród szczepów zamieszkujących Italię, Etruskowie wyróżniali się wyższym stopniem cywilizacyi; granice swoje rozszerzyli raczéj kolonizacyą, niż wojennym zaborem, a wzmocnili zmysłem polityczno-praktycznym i energią. Ponura ich religia, wymagająca ofiar ludzkich, miała tę wyższość nad innemi, że, pomimo wielobóstwa, uznawała istnienie wielkiego ducha, będącego duszą świata, przyczynę wszech przyczyn, początkiem wszystkich jestestw, którego imienia nie wolno było wymawiać.

Florencya zawdzięcza swój początek Etruskom (dokładniéj Fezulanom, ludowi pochodzenia etruskiego). Skromny on bardzo. Za-

częło się od zbudowania dwóch domków w uroczéj dolinie nad brzegami Arno, w prozaicznych celach targowych. Zrazu nie odważono się tu zamieszkać na stałe z obawy sąsiadów. Powszechna to widać plaga ci bliscy sąsiedzi. Gdy z postępem czasu Rzym, rozszerzając swe podboje wzrastał w potęgę, a półwysep stał się bezpieczniejszym, wtedy koło owych dwóch domków wzniosły się inne i dały początek Florencyi. Ścisłą onego datę trudno naznaczyć. Pierwszą wiarogodną wzmiankę o głośnym w przyszłości grodzie, wówczas skromnéj mieścinie, spotyka się w Tacycie, w 15 roku naszéj ery, Florentczycy zaś chętnie swój rodowód odnosili do Marsa i Herkulesa.

Etruskowie, mający, jak się zdawało zrazu, zasoby rozwoju popadli z biegiem czasu w taką zniewieściałość i rozpustę, że nie zdołali, a nawet nie chcieli bronić swéj niepodległości. Dlaczego jednak nie utrzymali się w pierwszorzędnéj roli i poddali się Rzymowi w haniebny, aż przykro patrzéć, sposób?... Autor tłómaczy upadkiem moralnym. Kasta kapłańska w sobkowskich celach utrzymywała ludność w takiéj ciemnocie i przesądach, że ojcowie Kościoła nazywają Etruryę matką zabobonów, a zwycięski Rzym, osadzając w niéj swych weteranów, demoralizował ją jeszcze bardziéj, powiada Cycero.

Florencya wzrastała powoli. Historya z jéj pierwszéj doby istnienia skąpa w źródła dziejopisarskie. Podczas najazdów barbarzyńskich położenie miast jednakie. Co się mówi o jedném, da się powiedziéć o wszystkich; wszędzie ucisk, biéda, niedola. Cechą — jednostajność: „nigdzie charakteru właściwego i wolnéj woli; wszędzie niepewność; nikt nie wié, czy prawa zwyciężonego znajdą miejsce obok praw zwycięzcy, czy władca dzisiejszy będzie władcą jutro.“ Pod Longobardami Florencya zrazu zniszczona zaczyna się podnosić. Karol Wielki, marzący o wskrzeszeniu cesarstwa zachodniego, proteguje miasta, w których się o niém przechowała tradycya. Florencya należała do takich. Wdzięczność ludu przypisała mu z czasem więcéj dobrego, niż było w istocie; kronikarze powiadają, że „nadał mieszkańcom swobodne instytucye, ustanowił konsulów i senatorów na wzór rzymskich, i pasował rycerzy. Bezpodstawne bajki. Tych swobód nie mógł nadać wódz barbarzyńców, który, pomimo swego geniuszu, nie widział, iż bez zniesienia, a przynajmniéj ograniczenia niewolnictwa, nie ma postępu społecznego.“ W IX-ym wieku Toskania zostawała szczęśliwym trafem pod rządami panów możnych, zręcznych i ludzkich, ale już w pierwszéj połowie X-go wieku, po 126 letnim okresie pokoju, pod Hugonem Prowanckim, zmieniła się postać rzeczy. Uciśnięci zwrócili się o pomoc do cesarzy niemieckich. „My-

ślano, że ci są dość silni, by zwyciężyć i dość „dalecy, by się stać groźnymi.“ Otto I-szy nie dał się prosić. Przybył, podniósł Włochy z poniżenia, ale już nazajutrz po przybyciu przeklinano rzekomego dobroczyńcę, który z papieża chciał zrobić swego urzędnika, gdy tymczasem biskupi niemieccy kazili kościół świętokupstwem. Nienawiść powszechna nie szczędziła Niemcom dosadnych epitetów: „jest to plemię pijaków i bezbożników“—pisze Donizo, inni powtarzają chórem: „Niemiec stający się Włochem, to dyabeł wcielony.“ Jednak stosunki z cesarstwem wpłynęły dodatnio na cywilizacyę i „odżywiły geniusz toskański.“ W XI-ym wieku kraina zaczyna żyć własném życiem. Bonifacy III-ci, jéj władca, jest już tak silnym, że się o jego przyjaźń ubiegają cesarz i papież. Pierwszy widzi w Toskanii swą przednią straż w pochodzie na półwysep, drugi zaporę przeciw temu pochodowi

Tworzenie się gminy florenckiéj.

Zawiązkiem przyszłéj rzeczypospolitéj była Florencya.

Niezmiernie ciekawym i pouczającym jest sposób, w jaki do tego celu zmierza. Zdobywa sobie byt polityczny w sposób iście kupiecki; zwiększa swe terytoryum po cząsteczce, jak dorobkiewicz majątek prywatny. Tu zabiera mieścinę, tam zameczek, nawet tylko schedę i posuwa się naprzód z przezornością i wytrwałością handlarza. Do wojny, skoro tylko jest szansa powodzenia, nie braknie jéj nigdy powodu; z Pizą poszło o pieska [1]), z Pistoją o „figę“ [2]). Woli jednak walczyć złotem, niż żelazem. Na przegranéj zbytnio jéj miłość własna nie cierpi, a zmysł praktyczny przypomina, że lepiéj jest przysposabiać się roztropnie do odwetu, niż patetycznie wyrzekać. Jakoż umié czekać, wypatrzéć sposobność i skorzystać z niéj. Niczego nie zapomina, ale ze wszystkiego wyciąga dla siebie naukę, nawet z własnéj klęski. O Florentczykach nie można tego powiedziéć, co

---

[1]) Szczegóły pierwszéj wojny zostaną podane niżéj.

[2]) Pistoja, leżąc na drodze apenińskiéj (tak sławna ze swych niezgód, iż Dante nazywa ją jaskinią dzikich zwierząt) mogła być niedogodném sąsiedztwem dla Florencyi w jéj stosunkach handlowych. Dla zabezpieczenia się kupiła ona zamek Montemurlo groźny dla Pistoi i téż z nią toczący sąsiedzkie swary. Pistojanie zrozumieli o co idzie i odpowiedzieli paskinadą niezbyt wytwornego pomysłu. Umieścili na wysokiéj wieży dwie marmurowe ręce zwrócone ku Florencyi, których wielki palec, włożony między wskazujący i średni, tworzył gest obelżywy, poprostu mówiąc: figę, co, jak wiadomo, jest symbolem nie arcyadmiracyjnych uczuć. Obrażeni Florentczycy postanowili zmyć krwią obrazę i przyszło do wojny.

o Burbonach, że „niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli“. Z zadziwiającym zmysłem politycznym lawirują śród sporów cesarzy z papieżami i „umieją upiec swą pieczeń“; tak naprzykład: „skłaniali głowę przed Inocentym III-im, by go rozbroić (1209 r.). Nie stawiając oporu, wymykali mu się, i papież ten, któremu się powodziło w wielkich sprawach, przegrywał małe. Był panem koron, rozjemcą sporów, sędzią królów, rozdawcą najwyższéj władzy, lecz nie potrafił ująć swą silną dłonią pokornych Toskańczyków, nie mógł rachować na ich ramię, i musiał surowo wzbronić sobie przeszkadzania im w ich rozwoju komunalnym. Żadne z miast podległych Florencyi nie dało się zwrócić ze swéj drogi sprawami chrześciaństwa albo Włoch, nie zapomniało o swych własnych interesach, jakiemi były: rozszerzenie granic, swoboda i bezpieczeństwo handlu.“

Florencya zrazu skromnym zadawalniała się zyskiem, czy to w zdobyciu swobód wewnętrznych, czy to potęgi zewnętrznéj i dała się wyprzedzić w tym względzie miastom nadmorskim, Genui, Wenecyi, Pizie i innym. Poprzestawała, jak mówi autor, na pośrednim postępie swych swobód, wynikającym z bezpośrednich swobód swego biskupa. Gdy „gdzieindziéj ludy okazywały swym pasterzom te uczucia, jakie się zwykle żywi dla pana; gdy Medyolan, Kremona, Pawia, Brescia zrzucały ich jarzmo: Florencya szanowała swego jak ojca, opłakiwała jak dobroczyńcę.“ Wprawdzie kiedy spostrzegła, że jéj przewodnik duchowy „był z kości i ciała, podległy słabościom i ułomnościom, jak inni prałaci“, to zbuntowała się przeciw niemu. Pierwszy taki bunt powstał ze zbytku gorliwości: „owieczki okazały większą dbałość o przepisy kościelne nietylko od swego biskupa, lecz nawet od papieża.“

Oto jak się rzecz miała.

Biskupa florenckiego Mezzabarbę oskarżano o świętokupstwo; co wydawało się tém straszniejszym występkiem, że pasterz ów był poniekąd narzuconym przez Henryka IV-go, „wolność zaś obioru była drogą tak świeckim, jak duchownym *d'âme pure.* Była nadto hasłem każdego, kto tylko brał udział w ówczesnym wielkim sporze kościoła z cesarstwem o inwestytury.“ Cenobici z Wallombrozy i ludność wystąpili przeciw Mezzabarbie, splamionemu symonią, z całą gwałtownością uczuć rozdmuchanych przez fanatyzm. Przeszło tysiąc osób wolało umrzéć bez sakramentów, niż przyjąć je z ręki świętokupcy, lub kapłanów przezeń wyświęconych. Spór nosi jaskrawe cechy namiętności południowych. Jest tam i oskarżenie publiczne na rynku, i rozsiewane przez mnichów zapewnienie o nieważności sakramentów z ręki przedajnego pasterza, i napad na ich klasztor w nocy z rozkazu

Mezzabarby, połączony z rabunkiem, pożogą i mordem, i próba ognia (pomimo sprzeciwiania się stolicy apostolskiéj) i zgwałcenie prawa przytułku, wreszcie mnisi zaprzestali odprawiać mszę i modły. Słowem, cały arsenał średniowiecznych środków, działających na wyobraźnię i podniecających ją do szału. Kobiéty—jedyne do dolewania oliwy do ognia—lamentowały bijąc się w piersi: „Chryste, wypędzają cię! Szymon czarnoksiężnik zabrania ci przebywać z nami!“ Nie zapomniały téż o klasycznym w rozpaczy stroju: rozpuszczonych włosach i długich żałobnych zasłonach. Mężowie, tracąc panowanie nad sobą wobec łez niewieścich, odgrażali się, że wolą spalić miasto, niż zostawić je w mocy heretyków, a tłum padał na klęczki na ulicy, w błocie, z płaczem i wrzaskiem. Rozdrażnienie umysłów doszło do tego stopnia, iż władze publiczne nie mogły sobie dać z niém rady; nie było sposobu uśmierzyć buntującego się plebsu, ani nawet z nim parlamentować. Wreszcie próba ognia [1]) zakończyła pięć lat trwającą burzę na korzyć Cenobitów z Wallombrozy 12 lutego 1068 r. Mezzabarba został złożony ze swéj godności.

Ale czy zdawał sobie kto sprawę, pyta Perrens, czém kościół i feudalizm opłaciły to zwycięstwo? „Urzędnicy świeccy dowiedzieli się, że można w pewnych razach obejść się bez zezwolenia papieskiego, a nawet pójść wbrew niemu [2]). Tłum się przekonał, że może narzucić swą wolę agitacyą i domaganiem się, a takich nauk nie zapomina się. W życiu religijnem bunt ludu zrodził się z przekonania i gorliwości; w życiu cywilném zrodzi się z rachuby i interesu.“

Ów udział Florentczyków w walce kościoła ze świętokupstwem, acz się nie przeciąga, świadczy „o niejakiém zrozumieniu wielkich ówczesnych spraw chrześciańskiéj społeczności.“ W r. 1081, czyli w trzynaście lat późniéj, widzimy ich opierających się skutecznie Henrykowi IV-mu, tak że znużony długiém bezowocném oblężeniem, od czerwca do października, zaniechał go i powrócił do Lukki. Pod rządami Matyldy za przykładem innych miast, które zdobywają sobie

---

[1]) Dnia 12-go lutego, a czwartego dnia postu, po 48-godzinnych modłach udali się Florentczycy do klasztoru San-Salvadore a Settimo, przed którego bramą piętrzyły się dwa stosy wąską przedzielone ścieżką. Z kaplicy, po mszy, wyszli procesyonalnie duchowni i świeccy i Piotr, syn Aldobrandina, mnich, który pono pasał trzodę klasztorną, ofiarował się na próbę ognia, z któréj wyszedł zwycięsko. Opowiadano późniéj, że się pytał obecnych, jak długo ma zabawić śród płomieni i że wydostawszy się z nich raz jeden zdrowo i cało, powrócił raz drugi po upuszczoną chustkę (!). Płomienie znowu tknąć go nie śmiały.

[2]) Kościół był przeciwnym, jak się wspomniało wyżéj, próbie ognia, któréj się domagali Florentczycy.

coraz większe przywileje, rozpoczyna Florencya swe zabory i „ten mały ludek kupiecki, nieznany przez wieki, staje się naraz tak wielkim, że pierwszą gra rolę na widowni świata.“ Pierwsze zdobycze nieszczególne; maleńki zameczek Pogna, nie mogący nawet stawić obrony, ale kupcy wiedzą, że „ziarnko do ziarnka a będzie miarka.“ Biédny Pogna zdaje się bez wystrzału na łaskę silniejszego, Florencya zaś, rada z powodzenia, rozciąga opiekę nad przyległemi włościami wchodzącemi w rachubę jéj planów. Gdy jéj kto dobrowolnie uznać nie chce, Florencya używa siły.

Po Pogni przyszła kolej na zameczek Monte Orlandi, pod pozorem, że służył za siedlisko rabusiom wielkiego rodu uciskającym ubogą ludność, właściwie zawadzał jéj na drodze do Pizy, którą zabezpieczyć sobie chciała. Że zaś właściciele Monte Orlandi kazali się opłacać wszystkim, którzy ową drogę przebywali, co się nie obyło bez nadużyć, Florencya stanęła w obronie pokrzywdzonych. Zawczasu odgadła, jak wielkie można ciągnąć zyski z pięknéj roli „naprawiciela krzywd.“ Zajęła więc zameczek i zrównała go z ziemią, by komu znów nie przyszła ochota dręczyć bliźniego. „To burzenie zdobytych grodów stało się regułą, jeśli obronność miejsca lub charakter pokonanych nie dawały dostatecznéj rękojmi spokoju na przyszłość.“

Ze śmiercią Matyldy nastała pora sprzyjająca rozwojowi gmin. Cesarz i papież (Henryk V i Paschalis II) spiérają się o jéj dziedzictwo, pierwszy na mocy pokrewieństwa i swych praw zwierzchniczych, drugi na mocy donacyi; obaj szukają poparcia u miast, czynią im rozmaite ustępstwa, nadają przywileje, one zaś biorą, częstokroć z obu rąk, skarżąc się w dodatku „że już nie wiedzą kto jest ich suzerenem, ani nawet kto jest ich bezpośrednim „panem.“ — Florencya teraz nie pozostaje za drugimi, owszem, jak gdyby chciała powetować czas stracony, zaczyna się krzątać energicznie o rozszerzenie, nie można jeszcze powiedziéć swych granic — ale, swych posiadłości. Wszelkie pozory i wszelkie środki są dla niéj dobre. Monte Orlandi — jak wspomniano wyżéj — zagarnęła z pobudek ludzkości, na Fiesolę napadła podstępnie. Wcisnąwszy się do miasta w święto uroczyste, niby na nabożeństwo, rozstawiła zbrojnych ludzi przy bramach i zaskoczonych niespodzianie mieszkańców pod moc swoją zajęła. Wolterrę w gorszy sposób los podobny spotkał. Miasto wznosiło się na niedostępnéj prawie górze i jedna tylko prowadziła do niego droga, z przepaściami po obu stronach. By się dostać za mury, użyto niegodziwego podstępu; zaczęto niszczyć ogniem zboża i winnice mieszkańców. Ci, na ten widok, wypadli na florencką wandalizującą piechotę i w zapale walki nie spostrzegli zbliżania się po wzgórzach

kawaleryi florenckiéj, która rzuciwszy się na nieopatrznych zmusiła ich do ucieczki, a ścigając zbiegów wraz z nimi wtargnęła do miasta. Wolterra była za daleko, by ją wcielić do terytoryum florenckiego, przeto zostawiono jéj pewien rodzaj samorządu, ale zbudowano obronną wieżę, któréj straż powierzono Florentczykom, zakupiono liczne budynki i ustanowiono ze swego ramienia podestę. W takich warunkach samorząd był tylko cieniem a podległość faktem.

Naturalnie że zabory — wszystkich wyliczać niepodobna — nie odbywały się bez protestu, walki, odwetów, zemsty i całego szeregu przypadłości téj plagi, którą zowiemy wojną. Florentczycy też nie zawsze bywają górą, ale tu składają dowody takiéj wytrwałości, że ją za przykład wszystkim stawić można. Zdaje się, że przeciwności podsycają ich energię; nie zrażając się niepowodzeniem powracają kilkakrotnie do jednego przedsięwzięcia aż go dopną. Taki przykład, śród innych, daje wojna z Sienną.

Podczas wspomnianego wyżéj oblężenia Florencyi przez Henryka IV, w 1081 r., Sienna dostarcza mu żywności. Po ustąpieniu cesarza, Florentczycy rozpoczęli zemstę od niszczenia zamków szlachty sienneńskiéj, i byliby uderzyli na miasto, gdyby ono nie wysłało przeciw nim sześciotysięcznego oddziału, który ich poraził pod Selvą. Obie strony prowadziły następnie wojnę podjazdową, składającą się z zasadzek, utarczek, napaści nieustannych, które podżegały coraz silniéj zobopólną nienawiść i zawziętość. W pięćdziesiąt lat późniéj, podczas oblężenia Monte Croce, Sienneńczycy znów się przyczynili do porażki Florentczyków. Ci postanowili nie puścić tego płazem. Pierwszym krokiem odwetu miało być zajęcie fortecy Poggibonzi, zostającéj pod protektoratem Sienny. Że „obleganie twierdz było wówczas w kolébce,“ zaczęli się w niém ćwiczyć i wystąpili z zaczepką dopiéro wtedy, gdy się sądzili dostatecznie przygotowanymi. Nie powiodło się im. Zmuszeni do proszenia o rozejm, poświęcili lat sześć nowym przygotowaniom i pokusili się ponownie o zajęcie jakiegoś zameczku sprzymierzonego z Sienną. Po raz trzeci zostali odparci, ale rozżarci niepowodzeniem, zaledwo się cofnęli, wnet się znów uszykowali i rzucili się na bezpośrednie włości swéj szczęśliwéj rywalki. Sienneńczycy nie spodziéwając się tego kroku zostali pobici; ścigano ich pod mury miasta. Tu się oba wojska zatrzymały. Florentczycy nie odważyli się wejś do grodu a Sienneńczycy nie odważyli się ścigać w polu odchodzącego nieprzyjaciela.

„Oczy wszystkich — pisze jeden z ówczesnych historyków — były zwrócone na te dwa miasta, wszystkie serca wzruszone, wszystkie umysły w zawieszeniu.“ Wiedziano bowiem, że zapasy między

niemi nie ustaną, aż jeden z przeciwników legnie pokonany. Dla Florencyi żywotną bowiem kwestyą było rozszerzać się terytoryalnie i pozbawiwszy Siennę przodownictwa oraz ziem, zapewnić sobie bezpieczną komunikacyę lądem i wodą. Perrens gorąco broni „małéj lecz ambitnéj mieściny,“ widzi w niéj „ideę polityczną i system obmyślany.“ „Florencya — pisze — walczyła o swój byt, nietylko instynktownie jak zwierzęta, lecz z przeświadczeniem o swojém prawie, jak przystało istotom rozumnym, mogącym się doskonalić. Villani, zwykle przenikliwy, nie spostrzega tego: Florencya, powiada on, zaczęła wzrastać więcéj siłą niż prawem. Gdzież było wówczas prawo i kto mógł się na nie powoływać? Gdyby nawet, z punktu widzenia feudalnego, panowie byli nietykalni, możnaż było nie występować przeciw nim, gdy rozboje, stawszy się ich jedyném zajęciem i namiętnością, pozbawiały kupców bezpieczeństwa w ich stosunkach handlowych, wszystkich zaś mieszkańców Florencyi zaopatrzenia w żywność? Instynkt zachowawczy może się dopuścić dzikich czynów, ale rozwaga usprawiedliwia gwałtowność u ludzi, których dławią i którzy się bronią, chcąc oddychać. Miasto, które posiada niewielkie przyległości, a i te niepokojone przez zdrajców, które nie może otworzyć bram rolnikom, dostawiającym zboże, wysłać o kilka mil, wyrobów swego przemysłu, zawiązać kupieckich stosunków z najbliższymi sąsiadami, miasto zmuszone składać wszędzie opłaty, które się wcale nie należą, a nie może ich odmówić bez narażenia swych obywateli na śmierć lub rabunek, nie jest-że podobném do człowieka, który w obronie własnego życia zabija napastnika?.. Jeśli wojuje z zamkiem co się wznosi zbyt blisko jéj murów, to dlatego, że on ją głodzi i niszczy. Gniotąc szlachcica, który jéj nie słucha, znaczy, że go karze za ponawiane względem niéj nadużycia. Burzy fortece zdobyte. Bo nie może zatrzymać wszystkich, nierozsądkiem zaś byłoby ułatwiać zwyciężonemu sposobność do nowych niegodziwości. Niszczy majątki sąsiednich miast, bo jéj wrogowie i wygnańcy znaleźli w nich schronienie, bo w epoce, w któréj prawo odwetu panuje i ona go używać musi... W grucie rzeczy jeśli napada to dlatego tylko, by się bronić. Od miast, które ją szanują, żąda jedynie traktatów handlowych, właściwiéj mówiąc, wolnego przewozu towarów. Czyż to jéj wina, że nie ma we Włoszech, jak we Francyi lub Anglii, władzy centralnéj dość silnéj, mogącéj nakazać poszanowanie najlichszego poddanego królewskiego.

„Na wszystkich zatém punktach Florencya prowadzi politykę właściwą, na jednym tylko od niéj zbacza ze swą własną szkodą,“

w tém mianowicie, że zmusza wywłaszczonych posiadaczy do przebywania w swych murach.

II.

Plan działania, jaki sobie Florencya zakreśliła zawiéra się w tym znanym aforyzmie „*salus populi lex suprema esto*,“ przeprowadzanie zaś onego w tym drugim: wszystkie środki dobre, skoro prowadzą do celu, albo jeszcze: „cel uświęca środki.“ Te, jakich używa, odpowiadają jéj siłom i w tém dowód wielkiego rozumu politycznego tych mieszczan. Nie mierzą sił na zamiary, lecz zamiar według sił i dlatego nie robią *fiasco*. Powstając z małego, zrazu na małém poprzestają, ale idąc ze świadomością celu, z wytrwałością energiczną i przezorną, olbrzymie osiągają rezultaty. Głównym bowiem warunkiem wszelkiego pochodu naprzód to właśnie wytrwałość i świadomość celu.

Jak polityka tak i wewnętrzne urządzenia jednakim odznaczają się duchem, choć te ostatnie przedstawiają bardzo skomplikowaną maszyneryę. Wprawdzie Perrens, rozmiłowany w swym przedmiocie, i tu się dopatruje jasności cechującéj umysł Florentczyka, mniéj wtajemniczonemu jednak w materyał rzecz się wydaje tak zagmatwaną jak system ptolemeuszowski, o którym król Alfons mawiał, że gdyby był Panem Bogiem, toby w prostszy sposób urządził bieg ciał niebieskich.

Do XIII w. brakuje dokumentów historycznych o wewnętrznéj organizacyi, ale to nie dowodzi, aby jéj nie było. Prawo ustne, i tu jak wszędzie, poprzedziło prawo pisane. Wczytując się w statuty widać, że one są jeno uświęceniem dawnych zwyczajów. Najazdy ludów obcych sprowadziły zaburzenie w istniejącym porządku rzeczy, ale nie wykorzeniły doszczętnie obyczaju, tradycyi, nawyknień i te, w czasach pogodniejszych, znów się na jaw dobywać zaczęły.

Podstawą instytucyi florenckich są instytucye rzymskie. Część ich przetrwała zawichrzenia ówczesne i gdy życie do normalnego trybu powracać zaczęło, szkoły je przypomniały na nowo, popiérając powagą sławnych imion dawnéj Romy. Te nauki znalazły zastosowanie w praktyce. Instytucye owe „któremi umysły były przepełnione“ posługiwały w sporach książąt z królami, hrabiów z cesarzem, biskupów z hrabiami. Miasta zaczynały pojmować, że są osobą cywilną nie zaś bezduszną własnością swego pana. Wspomnieniom Rzymu zawdzięczają swe istnienie stowarzyszenia (*scholæ*), podczas najazdów militarne a w czasach pokoju rzemieślnicze i kupieckie (*scholæ artium*).

Odrodzenie się ich sięga epoki Longobardów; feudalizm zmniejszył ich znacznie; nie mógł znieść ich do cna. Takie stowarzyszenia rozgałęziały się wszędzie: w północnych i południowych Włoszech, nad brzegami Baltyku i morza Niemieckiego.

Spory władzy duchownéj ze świecką, sprzyjając rozwojowi miast, sprzyjały też rozwojowi korporacyi i indywidualizmu. Nie wiadomo z pewnością kiedy one powstały we Florencyi; prawdopodobnie nieco późniéj niż w innych miastach, bo nie posiadając dróg ani wodnych ani lądowych, zależała w swym rozwoju ekonomicznym od najbliższego portu morskiego, to jest od Pizy, i dopiéro wraz z jéj wzniesieniem się, po pierwszéj wojnie krzyżowéj, podniosła się nieco produkcya i zbyt Florencyi. Rozwinięcie się zaś korporacyi nastąpiło wtedy, gdy zdołała zapewnić sobie swobodę ruchów.

Znamy przeważnie Florencyę z jéj znaczenia w sferze umysłowéj i artystycznéj, ale nie mniéj warta poznania jéj praca na polu ekonomiczném, źródło jeśli nie główne to jedno z głównych jéj potęgi państwowéj, pamiętać bowiem należy, iż „bez finansów nie ma państwa“ a „narody, które nie umieją oszczędzać, giną.“ Florencya posiadała pierwsze a umiała drugie.

Gałęzią przemysłu, cieszącą się wielkiém powodzeniem i rozwijającą się, zdaje się w XI wieku, a już kwitnącą w XII, to fabrykacya sukna, zwana rzemiosłem calimala (*art de calimala*) od ulicy, na którą otwiérały się drzwi sklepów. Brabancya i Flandrya wyprzedziły Florencyę w tym zawodzie, ale sukna ich, grube i szorstkie, nie zaliczały się do wyborowych. Florentczycy wpadli na oryginalny pomysł przerabiania takowych, to jest, brali sztuki sukna na nowo do warsztatów, do foluszów, gręplowali je odpowiedniemi szczotkami (pono z ostu) farbowali, wygładzali, słowem, poddawali wszelkim tajemnicom rzemiosła, aż wyszła z ich rąk tkanina przetworzona zupełnie. Miękka, połyskująca, delikatna, pięknéj barwy, stawała się towarem pierwszorzędnego gatunku wszędzie poszukiwanym.

Wyroby jedwabne, przez długi czas pośledniejsze w stosunku do sukiennych, mają też początek późniejszy, ale najkorzystniejszém Florentczyków zajęciem, w którém celowali, było wekslarstwo. Bystry i praktyczny ich umysł odgadł wcześnie powodzenie téj spekulacyi, umiejętność zaś ich i zręczność były tak wielkie, że stolica apostolska powierzyła im pobiéranie dziesięciny w różnych chrześciańskich krajach [1]), co się nie mało przyczyniło do wzbogacenia miasta

---

[1]) La papauté avait eu recours de bonne heure, dans l'intérêt de l'Eglise, à leur habileté rare et à leurs relations déjà nombreuses. Elle les avait chargés de

i rozwoju wekslarstwa. Rzym w wiekach średnich, jako punkt środkowy interesów moralnych i materyalnych, ściągał znaczne kapitały i bankierzy stolicy świętéj obracali większą częścią sum będących w obiegu. W XII w. Florentczycy noszą tytuł wekslarzy papiezkich (*campsores papæ*); zyski, jakie ztąd ciągnęli, wpływały na ich powolność względem tejże stolicy. Toż gdy Sienneńczycy otrzymali podobny tytuł, dawna między nimi rywalizacya, nowym się podsyciła żywiołem.

Dodać wypada, iż, pomimo nadużyć, oddali rzeczywiste w tym kierunku usługi. Trzeba pamiętać, że komunikacya ówczesna była trudna; drogi złe i niepewne, moneta nadzwyczaj różnorodna, więc sprowadzenie jéj do jednego mianownika niełatwe. Florenccy wekslarze czy bankierzy, przyjmując na siebie trudy, wzbogacali się, ale ułatwiając wypłaty, wprowadzając w użycie przekazy pieniężne, przyczynili się do rozwoju handlu. Dzięki kapitałom zyskanym i wprowadzonym do miasta temi obrotami, mogło ono kupować od panków okoliczne zamki, uzbrajać żołnierzy, pokonywać miasta, rość, wzmagać się i zabudowywać.

Medycyna zaliczała się téż do rzemiosł i lekarze z aptekarzami osobną tworzyli korporacyę. Główném źródłem ich dochodu było nie leczenie i pielęgnowanie chorych, lecz zbyt leków, które sprowadzano nieraz na wagę złota.

W największém poważaniu zostawali sędziowie i prawnicy. Dawano im nawet, jak rycerzom, tytuł *messere* i pozwolono — co było zaszczytem w kupieckiém mieście — zawiązać się w stowarzyszenie. Z czasem zajęli oni pierwsze śród cechów miejsce.

Białoskórnicy i handlarze futer zamykają wyższą kategoryę rzemiosł. Ponieważ od czasów longobardzkich i karolińskich utrzymała się powszechna moda używania futer, więc ta gałąź handlu znajdowała się w stanie kwitnącym.

Rzeźnicy, piekarze, krawcy, szewcy, i t. p. nic nie znaczyli w państwie, bo ich zajęcia uważano za upokarzające. Wieśniacy i rolnicy nie posiadali praw obywatelskich ani nawet praw człowieka wolnego. Przy końcu XV-go wieku lud (*le peuple*) składał się zaledwo z 3,200 osób, aczkolwiek miasto bardzo się było rozszerzyło.

Na czele każdéj korporacyi stał zwierzchnik, który w miarę jéj wzrostu i sam wzrastał w znaczenie. Gdy powaga namiestników ce-

---

percevoir les revenus du St. Siège dans les divers pays de la chrétienté, elle leur payait une commission qui fut pour beaucoup dans le rapide progrès de l'industrie des banquiers.

sarkich podupadła, oni, z natury rzeczy nie z ramienia władzy, stali się urzędnikami miejskimi. Zrazu nazywano ich konsulami, ale była to jakaś nieokreślona denominacya wspólna wszystkim członkom magistratury tak duchownéj jak świeckiéj; konsulami tytułowano biskupów, a nawet cesarzy. W pewnym dokumencie z 998 r. Otto III sam siebie mianuje *Imperator consul* [1]. Z czasem dopiéro, gdy zaprowadzono ściślejsze rozgraniczenie między właściwymi urzędnikami miejskimi a starszyzną cechową, ta ostatnia utraciła ów tytuł.

W urządzeniu się municypalném, podobnie jak we wszystkiém, pozostawała Florencya zrazu za drugimi: „do końca XII wieku — pisze jeden z kronikarzy — rządziła się jak wieś, bez porządku i praw pisanych.“ Utworzenie się korporacyi rzemieślniczych ułatwiło organizacyę municypalną. Ludność składa się z trzech warstw: ze szlachty, która dobrowolnie w jéj murach osiadła lub, po wywłaszczeniu ze swych zamków, zmuszoną do tego została; z kupców i rzemieślników oraz plebsu. Mieszczańskie społeczeństwo chętnie wybiérało śród arystokracyi swych „konsulów“ i dowódzców siły zbrojnéj. Rzecz dziwna, że ci dowódzcy, raz na czele wojska stanąwszy, nie zwrócili się przeciw swym pogromcom, ale owszem walczyli przeciw reszcie niezależnéj szlachty, którą gmina pokonać chciała. Jakiś żartowniś porównywa tych zrujnowanych panków, na munsztuku demokratycznym trzymanych, do lisa, który mając ucięty ogon pragnął, aby go ucięto wszystkim jego spółbraciom. W rzeczywistości podejrzliwe miasto obwarowywało się wszelkiemi środkami przeciw buntowniczym zamiarom pokonanej magnateryi.

Jakie były stosunki tych klas z sobą, które łacząc się nawet nieraz przez związki małżeńskie lub spotykając się na gruncie spraw gminy, dzieliły się przecież jak dwie przeciwne sobie siły? Takie jak zwykle gdy się różnorodne a burzliwe żywioły nie ułożyły do równowagi pod wpływem czynników cywilizacyjnych. Szlachta walczyła z sobą i miała się na baczności przed mieszczaństwem, którém gardziła, ale któremu zazdrościła bogactw zdobytych tą właśnie pogardzaną pracą ręczną. Mieszczaństwo nie ufało szlachcie i wadziło się z sobą, współzawodnicząc w interesach materyalnych. Plebs wreszcie, składający się z ludzi wolnych, z poddanych i niewolników, którego pięść dawała się czuć w chwili rozruchów, był téż zaczynem niezgody i obawy.

---

[1] W tém twierdzeniu powołuje się Perrens na pracę naszego ziomka Ad. Pawińskiego: „Zur Entstehungsgeschichte des Consulats in den Communen Nord und Mittel-Italiens.

Zewnętrzny pozór miasta daje dziś jeszcze obraz jego wewnętrzny z owéj epoki, choć już tyle budowli padło w gruzy. Dość wstąpić na jaką wieżę, by ujrzéć ze zdziwieniem sporą ich liczbę w „ogrodzie kwiatów.“ Cóż to być musiało w średnich wiekach gdy każdy magnat czynił ze swéj siedziby rodzaj fortecy? Każdy dom pański obwarowywał się wieżycą, zwykle prostokątną, nie mającą nad 7 lub 8 metrów boku ale mającą ściany grubości dwóch metrów. Materyał, którego używano był spojony tak doskonałym cementem, że z trudnością dawał się łupać stalą i wywrócić podkopem. Wejście bywało ciasne, schody wąskie, aby w razie wyważenia drzwi napastnicy tylko po jednemu wchodzić mogli. Ułatwiało to obronę oblężonym. „Na piętrze po jednėm oknie, w rogach czasem niewielki otwór przepuszczający promień światła i pozwalający śledzić nieprzyjaciela lub ciskać nań strzały; na szczycie dach płaski, zaopatrzony w strzelnice zkąd rażono przeciwników nie narażając siebie.“ W danym razie przez wszystkie otwory leciał grad pocisków, na dachu ustawiano machiny wojenne, by dosięgnąć daléj. „Czasem wieżyce stały tak blisko siebie, że można było prowadzić z nich bijatykę. Szczególniejszy obraz, który świadczy, że w tém tak małém jeszcze mieście, a uposażoném w tyle potężnych fortec, wojna domowa była normalnym stanem jéj obywateli.“ Stan ten zaostrzał się, gdy jaka sprawa donioślejszego znaczenia krzyżowała zamiary jednéj z dwóch klas przodujących, bo szlachta choć upokorzona i pokonana, była dość silna, aby się kusić o odzyskanie tego co straciła. Podczas jednego z takich zatargów, gdy namiętności się wzburzyły z powodu dorocznych wyborów „konsulów,“ miasto rozpadło się jakby na dwa wrogie sobie narody. Jeśli mamy wierzyć Ammiratowi „wszędzie słyszano tylko szczęk broni, czatowano, zastawiano sidła. Z oszczepem w ręku polowano na człowieka jak na dzika. Bezpieczeństwo znikło nawet z łona rodzin. Teść bez skrupułu zabijał męża własnéj córki, zięć, ojca swojéj żony; ojciec nie wiedział czy w synu powracającym do domu, witać ma przyjaciela czy wroga.“ Villani zaś pisze: „dziwném przeciwieństwem, ci ludzie, co walczyli jednego dnia z sobą z zażartością bliską szału, drugiego biesiadowali z sobą i opowiadając swoje czyny przyklaskiwali jeden drugiemu.“ Perrens zaś tłómaczy, że tak się działo: „bo jeszcze się partye nie były potworzyły.“

Tę burzliwą egzystencyę miasto znosi przez czas dłuższy, jak w tym razie naprzykład, przez dwa lata! Spór został zażegnany pewnemi ustępstwami strony zwycięskiéj, nie przez wspaniałomyślność, lecz dla zapobieżenia dalszym swarom, z których wynikały materyalne straty, i zakwitł przeszło trzydziestoletni pokój, zamącony dopiéro

za Fryderyka II. Pomijam szczegóły zajścia, może niezbyt wiernie zanotowanego i przecenionego przez kronikarzy, które odegrało, prawdopodobnie, rolę iskry rzuconéj na prochy, lecz co zastanawia to właśnie to, że śród rozgorączkowania niepojętego dziś dla nas, gdy „miasto dawało zadziwiające widowisko sześciu fortec, sześciu obozów ufortyfikowanych,“ gdy się żyło niby na wulkanie, nie przeszkadzało to mieszkańcom myśléć o swoich interesach jak za najlepszych czasów: „To wojownicze mrowisko nie zaniedbywało wcale swojéj korzystnéj pracy z zupełną swobodą, władając po kolei mieczem, łukiem i narzędziami swego rzemiosła. Przyzwyczaiwszy się do nieustannego popłochu, umiało być spokojném i energiczném. Wolne od nerwowości ludów nowoczesnych — która je osłabia i gotuje im częstokroć zgubę — panowało nad swemi wrażeniami, nie kłopotało się niepewnościami lecz zwiększało swą produkcyę i wzbogacało się coraz większym onéj wywozem.“ I podczas tego peryodu zawichrzeń, trwającego według kronikarzy przez 33 lata bez przerwy, Florencya czuje się dość silną, by myśléć o zaborach.

Na ową epokę, na rok 1220, przypada wojna z Pizą o... pieska. Potrzebaż dodawać, że to tylko pozór? Rzecz tak się miała:

Na uroczystość koronacyjną Fryderyka w Rzymie, miasta toskańskie, według zwyczaju posłały ambasadorów. Ambasador florencki, będąc na obiedzie u jednego z kardynałów, pochwalił małego pokojowego pieska; ten mu go wnet darował. Nazajutrz pochwalił tegoż pieska poseł pizański i téż go dostał w podarku, nie wiadomo, czy wskutek zapomnienia czy lekceważenia swych gości przez purpurata. Psina dostała się temu, kto pierwszy po nią przysłał, to jest Florentczykowi. Obraził się za to Pizańczyk. Przyszło do gniéwu między reprezentantami obu rywalizujących z sobą miast, do kłótni i bójki między ich domownikami; w nieporozumieniu wzięli udział inni Pizańczycy i Florentczycy, przebywający wówczas w wiecznym grodzie. Drobnostka stała się głośną i zaczęła przybiérać wielkie rozmiary. Pizańczycy przyaresztowali towary florenckie złożone w ich porcie, Florentczycy — wspiérani przez Lukkę — wypowiedzieli wojnę i zostali górą. 1,300 Pizanów „kwiat szlachty“ wzięto do niewoli.

To nadspodziéwane powodzenie wzmocniło ich ducha i wyrobiło „niebezpieczne zamiłowanie w odosobnieniu się.“ W odnowionéj Lidze lombardziéj Florentczycy nie biorą udziału, ale walczą na swoją rękę i podług swéj taktyki, to jest wojują z miastami, które stanęły po stronie cudzoziemca. Tym sposobem już nie dwie ale trzy pieczenie piekli przy jednym ogniu, bronili się od najezdnika, zasługiwali

się stolicy apostolskiéj i własnych pozbywali się spółzawodników. Aż miło widziéć takie polityczne zdolności w młodéj mieścinie. Dziwnież-bo to zdolny naród! Na początku XIII w. ukazuje się już nam „jako młodzian wyjątkowych zdolności (dosłownie: *d'un génie exceptionnel*) przedwczesnéj dojrzałości, prześcigający starszych i doświadczeńszych, dzięki szczęśliwie obdarowanéj swéj naturze. Posiada on (cokolwiek o tém mówią Dante i kronikarze) wady i występki dalekie od złotego wieku, ale występki i wady nieodłączne od żadnéj społeczności, chociażby szła naprzód. Pod tym względem nie różnią się Florentczycy od innych ludów włoskich, ale różnią się od nich tém, że już im przodują w pierwszéj ćwierci XIII wieku, że zaprowadzają ład w nieładzie, łączą wdzięk z energią, czasem nawet zachowują ludzkość w gniewie. Że wszystko ich obchodzi i do wszystkiego są zdolni: do handlu i do literatury, do sztuki i do przemysłu, że są gotowi utrzymać w swych ręku i ożywić gasnący płomień cywilizacyi. Niedaleki czas, w którym będzie można powiedziéć o nich, że nie ma nic trudnego dla ich geniuszu i że są piątym żywiołem świata.“

III.

Przy tych wyjątkowych i wszechstronnych zdolnościach, brakuje Florencyi ducha wojowniczego i zaborczego we właściwém znaczeniu wyrazu. Nie marzy ona, jak Rzym pogański, o podboju świata, nie szuka w wojnie sławy lub misyi społeczno-religijnéj, — jak Fryderyk III Hohenzollern, jest najzupełniéj obojętną „dla wielkich czynów przynoszących sławę.“ Gdy Honoryusz III wzywa w r. 1219 swą „pobożną córę“ (jak się Florencya mianuje) do wyprawy przeciw niewiernym, ona, własne swe interesa stawiąc na pierwszym planie, nie rusza się. Trzeźwo patrząc na rzeczy, wié, że wojować mieczem w imieniu religii, to jednym zamachem kompromitować dwie sprawy: saméjże religii, która na miłości i pokoju opierać się powinna, i swój byt własny, boć naród cały nie może i nie powinien, jak zakon, poświęcać się misyi religijnéj i celom kościoła. Wreszcie Chrystus rzekł: „Królestwo moje nie jest z tego świata.“ Tylko szlachta florencka, uważając władanie orężem za właściwe swoje rzemiosło i ciągnąc z niego zyski, sprzyjała wyprawom; ale mieszczanie wzdragali się na myśl o nich, bo wojna, tamując handel i przemysł, groziła im ruiną. Już za Karolingów, którzy chcieli zaprowadzić służbę wojenną obowiązkową, ten wstręt się objawiał. Mieszczaństwo tysiącznych używało sposobów, by się od niéj uchylić. Sprzedawało swe mienie lub je fikcyjnie oddawało kościołowi, czyniąc się jego podda-

nymi, aż Karol W. zabronił, żeby się poświęcano Bogu bez jego zezwolenia [1]).

Ten wstręt plebsu do broni spowodował zaginięcie piechoty. Jednak gmina pełna sił żywotnych, pragnąca się wzbogacić, zmuszona do obrony swych interesów własném ramieniem, nie mogła żadną miarą pozostawać bez siły zbrojnéj. Więc, radzi nie radzi, musieli panowie kupcy poznajomić się z orężem, a że zajęcia fachowe nie zostawiały im dość czasu na ćwiczenie się w toczeniu koniem, musieli się zrezygnować na służbę pieszą. W téj epoce powszechnych zamieszek i braku porządku społecznego, trzeba było ciągle się mieć na baczności i stać w pogotowiu do walki, więc wyrobiła się w nich wielka przytomność umysłu i hartowna sprężysta wola, pozwalająca zachować zimną krew w atmosferze burzliwéj, gorączkowéj. O jednéj z takich wewnętrznych zamieszek (1178—1180) powiada Perrens: „Przez dwa lata znosili Florentczycy wesoło, rzeźko, życie pełne wstrząśnień, o jakiém nowożytni zaledwo mają wyobrażenie i od którego cienia uciekają kosztem honoru i wolności.“

Ówczesne urządzenia ich militarne cechowała nadzwyczajna prostota; podzielono miasto pod tym względem, podobnie jak w zakresie administracyjnym, na cyrkuły. Każdy cyrkuł posiadał swą chorągiew, koło któréj winna była skupiać się pewna przepisana liczba ludności. Milicya ta, ustanowiona zrazu tylko dla utrzymania ładu w mieście, naturalnym rzeczy porządkiem brała udział w wyprawach zewnętrznych, żądając wprawdzie, aby te ekspedycye trwały jaknajkrócéj i powtarzały się jaknajrzadziéj. „Nie z ich winy działo się inaczéj“—dodaje autor nie wiadomo, dobrodusznie czy złośliwie. Powodzenia i klęski wojenne przyjmowali, tak jak zysk lub stratę handlową. „Obdarzeni raczéj zdrowym rozsądkiem, niż szalonym heroizmem, przypominali nie rycerzy północy stawiących czoło całemu wojsku, ale bohatérów greckich, odmalowanych przez Homera, którzy się ratowali ucieczką, jeśli byli słabszymi lub mniéj licznymi od nieprzyjaciela. Nie oniby rzekli wszystko stracone prócz honoru! Honor był w powodzeniu, przegrana zaś nie hańbiła.“ Z takiém usposobieniem nie dziw, że uważali szlachtę zmuszoną do przebywania w murach ich miasta za „cennych pomocników, za płatne wojsko, któ-

---

[1]) Charlemagne avait dû défendre que personne, sans sa volonté, se consacrât à Dieu et Lothaire déclarer libres les enfants nés d'une femme libre et d'un homme volontairement esclave. Les comtes étaient tenus deforcer les récalcitrants à marcher sous leurs ordres, mais jamais ils n'avaient pu que contrarier cette irrésistible tendance au repos.

remu jednak nie dawali żołdu, gdyż łup wojenny bywał tą zapłatą.“ Tu się jednak nasuwało inne niebezpieczeństwo: szlachta zbrojna mogła stać się groźną dla mieszczaństwa. Interesowani zapobiegli mu właśnie ową milicyą pieszą, którą ze swego grona tworzyli. Nadto, „szlachta dość liczna na wyprawę zewnętrzną nie była dostateczną dla utrzymania długo w swéj mocy zajętego terytoryum.“ Z czasem wreszcie zamożniejsi mieszczanie zaczęli także służyć w kawaleryi i wytworzył się drugi gatunek arystokracyi, „któréj charakterystyczném znamieniem był nie ród, ale służba wojenna konna.“

Na początku XIII w., ważnéj chwili dziejowéj dla Florencyi, organizacya wojenna była następująca: każda dzielnica wybierała dwa oddziały szlachty, która się zbroiła własnym kosztem, i dwa oddziały piechoty z mieszczan, jeden zaopatrzony w kusze ręczne, drugi—w hełm, tarczę i włócznię. To były pułki wyborowe, reszta żołnierzy używała tylko miecza. Na odgłos dzwonu, zwanego *Martinella*, powinni byli zbierać się w właściwych dzielnicach wszyscy mężowie od 18 do 70 lat wieku liczący. Każdy oddział miał swego naczelnika czyli kapitana, chorążego czyli gonfaloniera, a nad wszystkimi stał konsul zwykle przez kolegów wybrany. Zdaje się, że wojsko to nie pobierało żołdu, przynajmniéj nie znaleziono dotąd w téj mierze śladu, i że łup był jego za trudy zapłatą: „prawdopodobnie Florentczycy poprzestawali na wynagrodzeniach wyjątkowych za wyjątkowe usługi lub świetne czyny“. Bitew regularnych nie staczano; walka była utarczką tłumną, bez planu i taktyki; jak za homerowskich czasów powtarzały się zapasy pojedyńcze, w których osobista waleczność i siła stanowiły wszystko.“ Obleganie grodów przeciągało się bez miary, bo nie znano innego sposobu nad głód do pokonania przeciwnika. Jedyną regułą było: bić się i nie oddalać się od sztandaru. Podczas działania kawaleryi piechota trzymała się na stronie; zmuszona do udziału, zwykle się z niego źle wywiązywała i co prędzéj w odwrocie szukała ratunku, dopiéro za osłoną murów nabierając ducha.

Z chwilą wypowiedzenia wojny zaczynano bić w dzwon bezustannie w dzień i w nocy. Dzwon służący ku temu celowi znajdował się w środku miasta, w łukowém sklepieniu nad drzwiami kościołka Panny Maryi. Podczas wyprawy zawieszano go na wozie, na czterech słupach połączonych przecznicami i używano do kierowania pochodu lub do zwoływania żołnierzy w razie popłochu i rozsypki. Jeśli się kto nie stawił na wezwanie Martinelli, bywał uważany za zdrajcę i karany pieniężnie. Wóz z dzwonem był poprzedzony przez inny wóz „*carrocio*“, będący jakoby przenośnym obrazem miasta. Zapożyczono tego

zwyczaju od Longobardczyków, gdzie od niepamiętnych czasów mnisi szli na pole w czasie żniw z wozem i zawieszonym na żerdzi dzwonem wzywając swych wasali do składania daniny. W r. 1039 arcybiskup medyolański, Heribert, użył wozu ze dzwonem jako hasła dla piechoty ucierającéj się z kawaleryą, a Florentczycy przyswoiwszy sobie pomysł, przeistoczyli go trochę, rozdwoili, że tak powiem: na jednym wozie umieścili dzwon, jako hasło dla wojska, na drugim, pomalowanym na czerwono, sztandar jako godło miasta. Para wołów okrytych szkarłatném suknem, utrzymywanych do téj jedynie posługi, ciągnęła *carrocio* powolnym krokiem; kierownicy ich czy woźnice wolni byli od wszelkich ciężarów; w dniu walki powierzano to „nieestetyczne palladyum“ straży młodzieży silnéj i dzielnéj, pod wodzą biegłego wojaka, tytułowanego kapitanem carrocio. Towarzyszyli mu trębacze i ksiądz „udzielający pomocy duszy i ciału“. Tam, gdzie się zatrzymywał *carrocio*, była główna kwatera, stamtąd wychodziły rozkazy, na ten punkt kierował się atak nieprzyjaciół i skupiała obrona. Wzięcie wozu oznaczało wygranę. Zwycięzca oprowadzał go tryumfalnie, wlokąc po ziemi sztandary wroga, następnie oddawał go tłumom na pastwę, które w grubiański sposób plugawiły poniżone znamię potęgi nieprzyjacielskiéj.

Pierwsze liczne dokumenta, pozwalające zajrzéć bliżéj w głąb tak ważnéj sprawy jak ekspedycya wojenna, są z 1260 r. z powodu wyprawy na rywalkę Siennę. Kierunek wyprawy zależał od podesty, którym był wówczas od d. 1 stycznia Jacopino Rangoni z Modeny. Dnia 9 lutego wybrano „kapitanów“, po dwóch z każdéj dzielnicy miasta i prawie wszystkich z wielkich rodów. Jedni z nich mieli prowadzić wojsko, drudzy zostać w mieście, czuwać nad porządkiem publicznym, przygotowywać zapasy wojenne, pobór nowych żołnierzy, wogóle zajmować się częścią administracyjną i policyjną. Każdy powinien był organizować oddziały w swojéj dzielnicy i naznaczyć im dowódcę; każda dzielnica powinna była dostarczyć po jednym oddziale kuszników, po jednym łuczników, kawaleryi i piechoty. Każdy oddział (nie wymieniona liczba ludzi) miał na czele chorążego, oraz jednego lub dwóch radców, jednego lub dwóch „*distringitori*“, to jest urzędników obowiązanych przyprowadzać do szeregów tych, co się oddalali, jednego kwatermistrza, oraz ludzi do specyalnych funkcyi, jak naprzykład do zajmowania się żywnością lub niszczeniem winnic i zasiewów (co téż było jednym ze sposobów wojowania, jak się zdaje nawet często używanym, gdyż była na to nawet osobna nazwa „*guasti*“, co w dawnym języku francuskim znaczyło właśnie: niszczyć łany zbożowe, do pilnowania strzał, tarcz, zaprzęgów, do przewożenia kół,

młotów, kowadeł. Były też specyalne oddziały robotników pracujących siekierą, piłą, heblem, łopatą, rydlem — a wszędzie ściśle przepisana liczba ludzi, zwłaszcza dozorców. Trzech urzędników było naznaczonych do kupowania chleba i odsyłania go do obozu i trzech do odbierania tegoż. Czterech zajmowało się zaopatrywaniem miasta w żywność, sześciu budową machin wojennych w pobliżu Sienny; dwóch werbowało łuczników i kuszników, sześciu czuwało nad wojskiem, właściwiéj może, pilnowało i śledziło wszystko, co się robi. Było nadto dwóch kasyerów i trzech chirurgów, z tych jeden lekarz do pielęgnowania „rannych, chorych na gorączkę lub inne dolegliwości.“ Lekarz pobierał dziennie 3 liwry, chirurgowie po 40 soldów. Każdy z wymienionych zwierzchników miał swoich pomocników podwładnych, swoje muły i wozy. Przepisaną liczbę osób i bydła ograniczano, skoro się okazało, że dwóch ludzi lub dwa muły mogą zrobić tyle, co cztery. Oszczędność kupiecka, groszowa (któréj wcale ganić nie myślę), która wraz z niedowierzaniem i przezornością, jest jedną z charakterystycznych cech tego narodu, przebija się wszędzie. Skoro „kapitanowie“ zostali wybrani, wojsko tworzyło się niejako samo przez się pod ich kierownictwem, gdyż wszystko z góry było obmyślane. Każdy, bez najmniejszéj płacy zbroił się własnym kosztem, a podlegał pieniężnéj karze za każdą brakującą lub w złym stanie będącą część rynsztunku. Jeźdźcy byli obowiązani dostarczyć (stosownie do swego mienia) pewną ilość koni, których nie mieli prawa (dosięgłszy nawet najwyższych godności, posła i podesty) ani pożyczyć, ani wyprowadzić z granic terytoryum, chyba w razie specyalnego pozwolenia. Jeśli wiek lub choroba nie pozwalały im dosiąść konia, to powinni go byli ustąpić, po oszacowaniu, krewnemu lub komukolwiek zdolnemu do służby wojennéj. Wyjąwszy urzędników, których zatrzymywały sprawy publiczne na posadzie, wszyscy od lat 15 do 70 byli powołani do broni — prócz ubogich, jako niegodnych. Owe urzędy zwalniające były poniekąd z wojną w stosunku, bo się tyczyły straży miast, fortec i więźniów, rzeczywista zaś dyspensa udzielała się z wielką trudnością, tylko starcom lub chorym, „a i tych jeszcze używano do mielenia zboża dla wojska. Jeśli w jakiéj miejscowości znajdowało się kilka młynów, to jednego tylko najstarszego wiekiem zostawiano przy nich młynarza.“ Urlopy udzielano w ważnych razach, ale z bardzo krótkim terminem. „Argusowe oczy pilnowały przepisów“, karząc za wszelkie uchybienia. Kto na pierwsze wezwano Martinelli nie przybywał na swoje stanowisko, płacił karę: piechur 25 liwrów, jeździec 50, chorąży 200, nie licząc innych środków przymusowych. Miasto ukrywające zbiega odpowiadało zań,

dom udzielający mu schronienia równano z ziemią, imię tchórza podawano niesławie w naradach publicznych i na mszy uroczystéj w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. Od kar tych mógł zwolnić, przebaczając winę: podesta, anziani czyli starsi, kapitan wojenny i kapitanowie ludu aktem legalnym.

Gdy się ta ważna w dziejach florenckich wojna ze Sienną rozpoczęła (przytaczamy ją wyjątkowo, dla lepszego uplastycznienia téj strony życia przedsiębierczéj gminy), nie zaniedbano żadnego środka, mogącego zapewnić powodzenie. Do posiadłości florenckich rozesłano pełnomocników dla poboru żołnierza; nieobecnych spisano, „aby ich ukarać wyłącznym podatkiem“, od rządców zażądano formalnych zobowiązań się co do ilości zapasów dla armii; podestów, przez których ziemie miano przeciągać zbrojno, uprzedzano pisemnie, aby wszystko co dla wojska potrzebne mieli w pogotowiu. Dano zadatki woźnicom podejmującym się transportów, względem podejrzanych lub niepewnych osób przedsięwzięto również pewne środki ostrożności—słowem, starano się przewidzieć wszystkie trudności, zaspokoić wszystkie potrzeby stosownie do praktycznéj maksymy, że nie należy nigdy spuszczać się na trafy i losy szczęśliwe, na „jakoś to będzie.“

Do milicyi krajowéj przyłączali się żołdacy najemni, których „poczciwi ludzie, notaryusze legalni“ werbowali wszędzie „nawet w Romanii i Lombardyi.“ Grupowano ich w oddziały z 50 ludzi; nad każdym oddziałem stało dwóch kapitanów i *konnetabl*, naznaczeni wszyscy trzéj przez podestę i kapitanów wojskowych. Żołdacy owi służyli „na własną rękę i odpowiedzialność“. Jeńców swoich stawili przed podestą i starszyzną, którzy ich przyjmowali, płacąc za każdego po 10 liwrów na koszt miasta, w razie przeciwnym, mógł go żołdak sprzedać, wymienić lub uwolnić. Za konie zabite lub skaleczone dawano indemnizacyę według oceny biegłych. Zamożne miasto płaciło dobrze i regularnie; to téż nie brakowało ochotników. Cena była rozmaitą. Medyolańczyk Piotr de Bizacasse, przyjmujący dwumiesięczną z 50 ludźmi służbę, pobierał ośm małych liwrów od konia, pod warunkiem, aby żaden z jeźdźców nie był winien: kradzieży, mężobójstwa, podpalenia, buntu i zdrady; inni dostawali po 7 liwrów 10 soldów miesięcznie, a inni tylko po 50 soldów.

Dla utrzymania karności drobiazgowemi przepisami obwarowano obowiązki, przewinienia i kary, „a ten kodeks okolicznościowy stał się niebawem kodeksem ostatecznym.“ Kary bywały pieniężne i cielesne: ćwiczono rózgami publicznie w obecności całego wojska.

Podesta otrzymywał nieograniczoną władzę nad wojskiem z chwi-

lą wyjścia w pole aż do powrotu. Na tę wojnę ze Sienną [1]) wyruszył uroczyście 19 kwietnia przy odgłosie dzwonów i kotłów, na czele 30,000 ludzi, poprzedzony przez *carroccio* i *martinellę*, z rozwiniętemi sztandary. Oddziały opuszczały miasto przez bramy swoich dzielnic, a gdy się roztasowano obozem i tu rozłożyły się osobno, według cyrkułów, tworząc jakby kilka odrębnych obozów, nie zaniedbawszy zostawić dość przestrzeni między sobą, dla swobodnego krążenia ludzi i furmanek, słowem, całéj komunikacyi, która się odbywała w porządku i bez przerwy.

Ta wojna ze Sienną z 1260 r. (do któréj, oprócz rywalizacyi obu miast z sobą przyczyniła się, jak wiadomo, rywalizacya stronnictw, to jest gwelfów i gibelinów; ci ostatni za Manfreda podnieśli głowę, gniazdem zaś ich w téj chwili była przeważnie Sienna), jedna z głośniejszych w owym czasie we Włoszech, nosi cechę odrębną; czasem poetyczno-epiczną, czasem teatralną, tak że się ją chce i do historyi i do zmyślenia zaliczyć. Jest to jednak rzeczywistość, poparta wiarogodnemi świadectwami, ale rzeczywistość, w któréj fantazya gra rolę na równi z rachubą.

Po wstępnych krokach nieprzyjacielskich Florencya zaczęła zwlekać, wiedząc, że załoga sprzymierzeńców, przybyła rywalce na pomoc, nie zabawi dłużéj nad termin obowiązujący wasali, nawzajem Sienna z téjże saméj przyczyny chciała znaglić Florencyą do działania i następującego użyła wybiegu.

Dwóch Franciszkanów udało się do Florencyi, by uwiadomić tajemnie jéj starszyznę, że wszyscy gwelfowie wygnani, a nawet i sami Sieneńczycy, zniechęceni srogiemi rządami swego podesty, wydadzą chętnie miasto Florentczykom, byle im wyliczono 10,000 florenów w złocie. Podstęp powiódł się, może głównie dlatego, że mało, bardzo mało osób przypuszczono do tajemnicy—wprawdzie kilku arystokratycznych gwelfów, znających się lepiéj na wybiegach dyplomatycznych od plebsu, zaprotestowało, ale bezskutecznie, i niebawem, stosownie do umowy z przebiegłymi Franciszkanami, wojsko florenckie zbliżyło się do Sienny, a rozłożywszy się obozem wyprawiło poselstwo, domagając się wypełnienia przyrzeczeń i poddania miasta. Sienna, wyprowadziwszy swą rywalkę w pole, mając 25,000 wojska, odpowiedziała, że nie myśli wcale się poddawać; owszem, chce obwarowywać się i bronić. Wnet wezwała dowódcę swych żołdaków,

[1]) Przypominam, że opisuję ją wyjątkowo, jako najważniejszą, oraz dlatego że ceremoniał i regulamin ten były późniéj przy innych wyprawach zastosowywane.

hr. Giordano, a gdy się ten oświadczył z gotowością walczenia, rada uchwaliła w nagrodę zdwojoną gażę za miesiąc — co wyniosło około stu tysięcy florenów; spora kwota na owe czasy. Że jednak Dwudziestu czterech [1]) nie posiadało jéj, bogaty kupiec, patryota, nazwiskiem Salimbene Salimbeni, ofiarował się z pożyczką i dostawił ją na wozie okrytym szkarłatném suknem, oświadczając przytém, że drugie tyle jest na usługi gminy. Ludność uwiadomiona o tém, co się dzieje, wysypała się na ulicę, domagając się energicznego oporu, a rozdraźniona butą posłów florenckich nie znała miary w okazywaniu swéj nienawiści. Dyktatora obranego na tę wojnę upoważniono do użycia wszelkich środków „do sprzedania lub do oddania w zastaw Sienny i jéj terytoryum“ (szczególniejsze upoważnienie!) byle tylko się uchylić od przemocy florenckiéj.

„Pierwszym czynem dyktatora było oddanie Sienny w opiekę N. Panny. Boso, w koszuli, z powrozem na szyi udał się do kościoła katedralnego, w gronie obywateli podobnież przybranych, których liczba wzrastała z każdą chwilą. Tam na głos prosił Bogarodzicy, by raczyła ochronić miasto od lwów nań czychających, a tłum powtarzał jego słowa. W kościele bito we wszystkie dzwony, biskup w szatach pontyfikalnych modlił się także“, następnie rozpoczęła się procesya, biskup téż boso z klerem, syndyk z powrozem na szyi; przez noc zaś całą ludność cisnęła się do konfesyonałów. Ze świtem (d. 3 września 1260 r.) wszyscy stanęli do broni ochoczo, nawet duchowni, jak twierdzi Ventura, i gdy kobiéty oblegały ołtarze, wojsko pod wodzą dzielnego hr. Giordano wyruszyło z chorągwią białą na czele, wyglądającą jak płaszcz N. Panny, mówi jeden z kronikarzy, i wnet skorzystało ze strategicznego błędu nieprzyjaciół, zajmując prześlepione przezeń dobre pozycye na wzgórzach.

Tu użył Giordano wybiegu iście teatralnego, któryby się śmiesznym, nawet niemądrym wydał, gdybym go nie uwieńczyło powodzenie. Postanowił zaimponować liczbą swych sił, których posiadał jednak mniéj od przeciwnika; różnobarwne stroje pułków pomogły mu do tego. Gdy na wzgórzu jedna część zbrojnych stała nieruchomo, druga, za jéj plecami, ubrawszy się w mundury czerwone, odbyła jakąś ewolucyę i znikła — następnie pozbywszy się czerwonych ukazała się w zielonych, w końcu w czarnych z białém, co zdwajało pozornie w oczach niewtajemniczonych ilość rzeczywiście w takie barwy przybranych chorągwi. Że zaś w obozie florenckim nie spodziewano się wcale oporu, dzielna postawa i rzekoma mnogość wzbudziły oba-

---

[1]) Rządcy ówcześni Sienny.

wy, które zwiększył przesąd: „czerwony kolor wróżył krew, zielony— śmierć, biały z czarnym — niewolę.“ W dodatku naczelnik ich, podesta Rangoni, głośny wróżbita swego czasu, „miał czy wizyę, czy też zasięgnął rady dyabła, którego (powiadano) trzymał w zamknięciu, w butelce. Ten mu odpowiedział, że śmierć mu grozić będzie, gdy stanie między złem a dobrem. Ponieważ zajął pozycyę między Biena i Malena“ (dwie rzeczułki), co się daje tłómaczyć właśnie na Zło i Dobro, przeto upadł na duchu i był, jak trafnie zauważył autor, w nieodpowiedniém usposobieniu, by poprowadzić do zwycięstwa. W nocy zaś pewne zjawisko naturalne spotęgowało zabobonne trwogi. „Mgła szarawa, jako źrenica ludu tak łzawa, Nad całém miastem sina i biała, Jako grobowy całun się stała.“ W téj mgle, która się podniosła z wód i bagniska, nad obozem sieneńczyków i nad miastem, wojska oba upatrzyły płaszcz N. Panny, która ochraniała gród wzywający jéj opieki. „Zostaniemy pobici" — mówili ze smutkiem Florentczycy. I sprawdziło się nie tyle przeczucie, ile upadek ducha, tém bardziéj, że gibelini w wojsku florenckiém zostający wbrew woli, przeszli w czasie boju na stronę wroga. Jeden z nich, Bocca Abati, uciął rękę gonfolierowi i sztandar runął na ziemię. Wojsko, nie widząc chorągwi, poszło w haniebną rozsypkę i klęska stała się niepowetowaną. Dante, acz gibelin, mieści zdrajcę Bocca Abati w piekle, tak przygnębionego swą zbrodnią, że nie śmie wyjawić swego nazwiska, gdy go poeta o nie spytał.

W téj porażce gwelfów plebs okazał się mężniejszym od szlachty; gdy się ta ratowała ucieczką, piechota, która się odtąd stała duszą tego miasta kupieckiego, broniła się zażarcie „jak grzesznik, który choć widzi swą zgubę, nie chce jéj uniknąć“, pisze sieneńczyk Aldobrandini, zwycięzcy zaś „zabijali tych psów florenckich, jak bydło na targu“. Wreszcie przy *carroccio*, rozstrzygnął się ostatecznie los wojny.

Walka była morderczą. Wenturo pisze: „Malena tak wezbrała krwią że jéj bieg wzmógłszy się, mógł obracać cztery młyny.“ Dante odzywa się, że Arbia zarumieniła się krwią. Gdyby nawet w pierwszém zdaniu można dopatrywać przesady, bezspornie jednak „jest to jedna z najkrwawszych bitew w tym wieku (to jest XIII) a według Ptolemeusza z Lukki, najstraszniejsza jaka zaszła w Toskanii od narodzenia Chrystusa. Zwą ją bitwą pod Arbią lub Montaperti; powinnaby się nazywać bitwą pod Poggiarone albo Monselwoli, bo od zajęcia tych punktów zależała wygrana. Dziesięć tysięcy gwelfów było na placu, piętnaście tysięcy dostało się do niewoli. Nie było rodziny we Florencyi, któraby kogoś nie opłakiwała.“ Villani pisze ze smut-

kiem: dawny lud florencki został złamany — zmiażdżony. Omylił się — acz pokonany chwilowo, i nawet na duchu przybity, odzyskał równowagę i dźwignął się wyżéj.

Straszna klęska przechowała się w pamięci ludu do dziś. Pokazują „ziemię czerwoną, na któréj ani jedno źdźbło trawy nie rośnie,“ i opowiadają że widać o północy, przy świetle księżyca, błąkające się i wyjące psy białe.

Na drugi dzień odbył się tryumfalny powrót wojsk zwycięskich. Jeden z posłów, który obraził Siennę swą „arogancyą“ przed rozpoczęciem téj wojny, i wyszedł żywy z bitwy, wjechał do miasta na ośle, związany, głową do ogona, przy którym też wlókł się po ziemi sztandar florencki — a dzieci ciskały na obu kamieniami i błotem. Jeńcy szli powiązani za dumnym z powodzenia hr. Giordano, nawet markietantka Usiglia prowadziła 36, którzy się jéj poddali, a jéj oślica wiozła martinellę.

Sienna radowała się i może nadużywała powodzenia. Że zwyczaj pozwalał mordować jeńców, niektórzy doradzali użyć tego barbarzyńskiego środka, ale ktoś litościwszy czy chciwszy, zaproponował okup. Zdanie to trafiło do przekonania i jeńcy opłacali się stosownie do swego mienia; jeden z nich nazwiskiem Cerchi, postawiony w zbroi na szali, musiał na drugą złożyć swą wagę w monecie sieneńskiéj; nadto każdy musiał dodać młodego kozła, co zrujnowało ich handel, cenę zaś zwierzęcia podniosło do ceny prostego jeńca. Kozły te pozabijano, a ich krew zmieszana z wapnem posłużyła do zbudowania, czy też do odbudowania, fontanny kozłów „*il fonte de becchi*,“ która do dziś istnieje.

Smutna to karta z dziejów florenckich, zwłaszcza dlatego, że charakter ludzi nie utrzymał się na wyżynie wzbudzającéj szacunek; upadli ogólnie na duchu „przestali ufać swéj liczbie, swym wieżom, murom, rowom pełnym wody;“ gdy nieprzyjaciele deliberowali nad przyprowadzeniem miasta do ruiny, do zamienienia go w mieścinę bez znaczenia, wielu „panów florenckich“ zgadzało się na to w nadziei ocalenia swych posiadłości i przywilejów. Projekt nie przyszedł do skutku, dzięki energicznéj protestacyi jednego, wprawdzie ten jeden Farinata Uberti, miał licznych stronników.

Florentczycy mający wytrwałość raczéj trzciny niż dębu, jeśli nie zdołali na razie stawić czoła burzy tak hardo jak dęby, zaczęli innemi drogami walczyć z nieprzyjaciółmi i po pierwszych dniach przygnębienia, ocknęli się — wzięli do pracy i nastał znów „okres organizacyi i walki, podobny do tego, który się zakończył, tylko że role były w nim zmienione.“ Ich własna klęska mogła służyć za wzór nie-

stałości rzeczy ludzkich; w dniu jednym zwalono „rząd silnie ugruntowany, podtrzymywany przez liczną ludność, groźny na zewnątrz sławą swego oręża, wewnątrz surowością dla podejrzanych. Dość było na to kilku rodzin, dobrych żołdaków, silnych sprzymierzeńców.“

IV.

Florencyi, podobnie jak innym państwom i miastom, brakuje dostatecznych i dokładnych źródeł z pierwszéj doby jéj istnienia. Dokumentów urzędowych niezmiernie mało, a i w tych, które się przechowały, taki lakonizm „iż bardzo często służą jedynie do sprawdzenia dat.“ W archiwach florenckich pierwsze większe zbiory [1]) sięgają ostatnich dopiéro lat XII w., inne zaś rozpoczynają wiek XIII, to jest kiedy gród liczy nie jedną setkę lat bytu. To téż dopiéro od téj epoki można bliżéj zajrzéć w to bujne życie.

Pierwsze instytucye, które posłużyły za wzór późniejszym, to wspomniane wyżéj korporacye, rządzone przez zwierzchników, zwanych w 1193 r. rektorami, w 1204 r. przeorami, następnie konsulami, wreszcie *capitudini*; nazwa ogólna dla starszyzny cechowéj. Zostając pod władaniem „swego hrabiego lub biskupa,“ Florencya nie posiada innych urzędników prócz owéj starszyzny i ławników (*scabini*); o „konsulach piastujących inne urzędy, jak zawiadywąnie korporacyą,“ spotyka się dopiéro wzmiankę w dokumencie z 1101 r., tam téż znajduje się ważny ślad „nowych wyborów, nawet zgromadzeń,“ czyli zawiązku przyszłych instytucyi liberalnych, co dowodzi, że był zwyczaj dozwalający obywatelom zbiérać się w pewnych okolicznościach i wybiérać swoich urzędników.

Głównym obowiązkiem konsulów było czuwać nad interesami rzemiosł, opiekować się składami w kraju i zagranicą, pomagać kupcom do odzyskania należności, pilnować, aby członkowie stowarzyszenia oraz interesanci stosowali się do przepisów zawartych w ich statutach, pobiérać kary pieniężne za ich przekroczenie. Przysługiwało im prawo kontroli nad członkami i agentami. W danym razie oni wybiérali na radzie ogólnéj syndyka rzemiosła, który się stawał dyktatorem

We Florencyi obiérano konsulów miejskich zwykle na rok tylko „z obawy, aby nie zasmakowali w panowaniu“ rządząc dłużéj. Ilość ich bywała rozmaita: od jednego do dwudziestu; z czasem zaś postanowiono, aby każda dzielnica miejska posiadała jednego lub dwóch.

---

[1]) Capitoli i Cartapecore, Strozziane-Ugguccioni.

„Od tego czasu (pisze jeden z kronikarzy) Florencya ma rząd godny téj nazwy, rząd miejski i oligarchiczny, w którym zadaniem senatu, ze stu *buoni uomini* [1]), jest wybiérać i kontrolować konsulów.“ Zmiana ta przypada na ostatni dziesiątek XII-go wieku.

Gdy przyznano, a raczéj przywrócono, panującemu prawo mianowania głównego urzędnika miejskiego, co niektórzy odnoszą do zjazdu w Roncaglia, Rudobrody wnet mianował w podległych sobie gminach namiestników, sprawujących władzę w jego imieniu. Zwano ich zrazu *rectores civitatum et locorum*, następnie *potestates*, cośmy spolszczyli na podestę. Ci namiestnicy byli prawie wszyscy cudzoziemcami; a chociaż zastrzegano, że ich nominacya będzie jeno za zgodą ludu, zdarzało się to, co się zwykle dzieje, gdy mianujący jest mocniejszym, że ów z rzekomą zgodą wybrany urzędnik bywał samowolnie narzuconym panem. Przybysze ci — jak się to znów zdarza zawsze i wszędzie — zjawiali się „z uprzedzeniem i nienawiścią plemienną, obarczali nieszczęsną ludność podatkami, samowolą, drwinami i uniemożebniali wszelkie odwołanie się do cesarza.“ Przyjmowano ich téż z niechęcią, nieufnością, szyderstwem, nawet mordowano. Okazało się jednak późniéj, gdy wybór podesty stał się rzeczywiście niezależnym od cesarza, snać na poparcie przysłowia: „nie ma tego złego“ etc. że to ich „obce pochodzenie było gwarancyą większéj sprawiedliwości“ w sporach z władzami krajowemi, rostrzygającemi się zwykle orężem. Trudne zaiste było zadanie konsulów śród najrozmaitszych spraw społeczeństwa, jeszcze nie uorganizowanego dostatecznie a niezmiernie rzutkiego i rozwijającego się wszechstronnie. Trzeba było znać i prawo feudalne i rzymskie, ktore, na gruncie zwalisk i tradycyi dawnego Imperium a roszczeń nowego cesarstwa germańskiego, wikłały się w dziwny chaos: „należało wiedzieć dokąd sięgają prawa kasty wojowniczéj; w jakiéj mierze jest uzasadniona nieufność ludu, oskarżenia o żdzierstwo lub gwałty, powody obustronne do zwad kończących się nieraz śmiercią. Konsulowie obawiając się wywołać niezadowolenie, a następnie zemstę, wahali się niejednokrotnie w zastosowaniu prawa z całą surowością, potrzebowano zatém urzędnika, któryby przybywał w chwili objęcia posady, oddalał się spełniwszy zadanie, a podczas swego urzędowania unikał stosunków z mieszkańcami, których sądził i którymi rządził.“

---

[1]) Wyrażenie „buoni uomini“ znaczy pierwotnie ludzi wolnych następnie ludzi spełniających funkcye administracyjne i sądownicze: „nous verrons les buoni uomini, former diverses sortes de conseils, de commissions, de magistratures, et jusqu a des comités de bienfaisance“ — powiada Perrens.

Nie odrazu zdołano zadość uczynić tym warunkom i nie odrazu rządy podesty następują po sobie bez przerwy; są pauzy, w których widzimy na czele gminy tylko konsulów i zdaje się, że dopiéro z ponownym wyborem Rudolfa de Capraja, w r. 1212, magistratura owa się ustala, choć atrybucye jéj nie są stanowczo określone. Zrazu trwa ona po sześć miesięcy tylko, z niejednakową liczbą konsulów w radzie. Ta rada, senatem zwana, czasem przeważa wpływ podesty, ale on ma tę korzyść, że będąc jedynym ściąga na siebie powszechną uwagę jako najwyższy urzędnik i przedstawiciel gminy. Do niego się zwracają papieże, cesarze, zagraniczni książęta; on stoi na czele siły zbrojnéj i posiada władzę sądowniczą. Nie znano jeszcze wtedy nowoczesnéj zasady: rozdziału atrybucyi władzy; najwięksi ówcześni pisarze włoscy: Machiavel, Guicciardini, Gianotti nie domyślali się jéj. Włosi przekonali się dopiéro z latami, czém grozi miastom: „dyktator sędzia i sędzia dowódca siły zbrojnéj."

Florencya, przezorniejsza od innych, spostrzegła się w porę i ograniczyła władzę podesty do roli najwyższego sędziego (ale w początkach właściwością téj posady było właśnie wglądanie we wszystkie sprawy) i, jak twierdzi autor, dobrze jéj z nim było. „Ponieważ był szlachcicem, szlachta widziała w nim naturalnego swych praw obrońcę. Popolani [1]) zaś mniemali, że jako obcokrajowiec będzie wolnym od stronniczego ducha partyi" i że za rządów jednego znikną nieporozumienia, jakie wynikały na obradach za rządów konsulów i sprowadzały zawikłania w sprawach gminy lub co gorsza, zwłoki szkodliwe dla ich interesów.

Wewnętrzne ustawy florenckie są dość skomplikowane, a ta komplikacya wypływa nietylko z naturalnego biegu rzeczy, z błądzenia po omacku, poprzedzającego każdą gałąź życia — cóż dopiéro tak ważną jak urządzenia państwowe, — ale i z tego ostrożnego, nieufnego ducha kupieckiego, który jeśli nadaje władzę jedną ręką, wnet ją obwarowuje drugą, wiedząc dobrze, iż władza dąży zawsze do despotyzmu i samowoli.

Początek XIII wieku jest ważną epoką w dziejach miast włoskich. Z widowni politycznéj znikają prawie jednocześnie główniejsze osobistości. Inocenty (1216 †); landgraf Turyngski, Alfons Kastylski, Eryk Szwedzki, Waldemar Duński, Otton Niemiecki, Filip August, Jan Angielski, Henryk cesarz Bizantyński a miasta swobodniejsze mając ruchy w zamieszaniu na książęcych dworach, ustalają

---

[1]) Tak nazywano nie-szlachtę, czy była zamożném mieszczaństwem czy nędznym proletaryatem.

swoją niezawisłość. Florencya, zapowiadająca swe przyszłe znaczenie, zaprowadza u siebie reformy prawne; tak naprzykład, w 1231 r. zastąpiono konsulów urzędnikami zwanymi *anziani*, którzy mieli być rzecznikami ludu; ale autor odzywa się złośliwie, że była to nowa nazwa dla staréj rzeczy. Nad swą milicyą wojskową i nad równego stopnia dowódcami, zwanymi *caporali*, postanowiła głównego zwierzchnika „kapitana ludu,“ którego — podobnie jak podestę — wybiérano z pośród obcych i ze szlachty acz miał bronić interesów ludowych. Tłómaczenie tego ciekawego faktu podaje Perrens w ten sposób: „był to może przesąd o wyższości natury szlacheckiéj, albo może to pogardliwe ale uzasadnione mniemanie, że magnat zaszczycony tą godnością i hojnie opłacany, będzie oddany interesom ludu.“ Za warunek tylko kładziono, aby był gwelfem nie gibelinem, gdyż nazwa gwelf nabiéra coraz więcéj demokratycznego znaczenia. Tak więc stworzono dwie najwyższe godności, które się równoważyły. Przy podeście pozostała juryzdykcya w sprawach cywilnych i kryminalnych; przy kapitanie sprawy ludu: opłaty, podatki, skargi o nadużycia i t. p. Pierwszy zatrzymywał nadto pewne atrybucye wojskowe (rozdawał sztandary kompaniom; w wyprawach zewnętrznych stawał na czele jeśli nie całego wojska to przynajmniéj jazdy). Łatwo pojąć, że między tymi dwoma dygnitarzami wynikał antagonizm, że zaś Florentczycy dodali im po dwie rady, (specyalną i ogólną); przeto rywalizacya krzyżowała się i plątała; tak naprzykład *anziani*, przedstawiciele ludu, tworząc przyboczną radę kapitana, byli raczéj jego nadzorcami niż doradcami; wynikało ztąd spółzawodnictwo. Bez nich on mógłby zostać dyktatorem; bez niego oni by posiadali większą władzę, ale właśnie Florentczycy dla zapobieżenia zachciankom despotycznym kapitana ludu użyli *anzianów* za hamulec. Trudno określić dokładnie prawa i obowiązki owych rad w téj epoce dla braku danych; lecz trzeba zaznaczyć rzecz ważną w dziejach włoskich, zwłaszcza florenckich, mianowicie różnicę między nazwami: gmina i lud. Do 1250 r.; mniéj więcéj, gmina znaczyła dosłownie mieszkańców posiadających prawa obywatelskie, polityczne i cywilne, odtąd oznacza raczéj podestę i jego obie rady, którzy, jak się rzekło wyżéj, przedstawiają arystokracyę i jéj prawa czy pretensye. Wyraz gmina jeśli zachowuje w potocznéj mowie dawne swe znaczenie, w dokumentach urzędowych oznacza państwo, rzeczpospolitą, bez względu czy w niéj szlachta czy plebs górą.

„Taki rozdział między głównemi dwoma klasami społecznemi florenckiemi, to utworzenie dwóch państw w państwie“ było brzemiennem w burze, ale, dodaje stylem nie historyka lecz zacnego człowieka,

spółczującego nędzom ludzkości: „przecież taka egzystencya była trwałą. Są rośliny „tak żywotne, iż nie potrzebują atmosfery pogodnéj. Ileż to burz przetrwał dąb, zanim się złamał, dał wydrzéć korzenie z ziemi, która go karmiła? Podobną siłę mieli Włosi w XIII w., przyzwyczaili się żyć w atmosferze burzliwéj, pogodną widząc tylko w marzeniu. Wzdychali do niéj, jak wzdycha duch ludzki do ideału, bez wielkiéj nadziei osiągnięcia go. Niemal do urojeń ją zaliczali, bo nigdzie na horyzoncie swoim nie widzieli pogody.“ A jednak żyli i wybili się na wierzch!

Wypada jednak określić jaśniéj ten mechanizm państwowy.

„Zrazu *anziani*, następcy konsulów, jak wiadomo, byli władzą główną, od któréj wychodziła inicyatywa. Obok nich była rada stu, niższa znaczeniem, któréj zdania zasięgali, i wreszcie parlament składający się ze wszystkich mieszkańców posiadających prawo obywatelstwa. Parlament zwoływano tylko w ważnych razach, gdy *anziani* uznali to za rzecz stosowną. Podesta, obowiązany wykonywać ich rozkazy i wymierzać sprawiedliwość, miał dodane sobie dwie rady, którym według zaprowadzającego się zwyczaju podawano do oceny nowe prawa.

Kapitan ludu miał swoją radę, jednocześnie z nim ustanowioną, Radę trzydziestu sześciu, a niemniéj musiał zasięgać zdania *anzianów*. Mógł on podobnie jak podesta, robić pewne zmiany w owych radach; wprowadzać w nie nowe siły, ale jeśli to prawo nie posłużyło mu za narzędzie do zaspokojenia ambitnych dążności, to dlatego, że tych rad było cztery, rozdzielonych sprzecznemi, koteryjnemi dążnościami.

„Zrazu nieregularne i niestałe, po niejakich próbach stają się regularnemi i stałemi. Kapitan téż dostaje swoją radę specyalną i ogólną. Postęp naturalny, jeśli nie miał być niższym od podesty. Hierarchicznie był on nim, i powinien był nim być, gdyż obie jego rady składały się jedynie z „*popolani*,“ i nie przedstawiały całéj gminy, jak to miało miejsce w radzie podesty, do któréj wchodzili kupcy i arystokracya. To tłómaczy, dlaczego ta ostatnia nazywana była radą państwa, chociaż nie miała prawa wyrokować sama. W dniu jednak, gdy kapitan ludu wskutek utrwalenia się instytucyi tych dwu rad, dobił się równości w gruncie rzeczy, otrzymał zwierzchnictwo, jego doradcy składali się z ludzi jednéj klasy, mającéj jednakie interesa, a za *popolani* stała masa całéj ludności.“

Na drugą połowę XIII wieku przypadają pewne modyfikacye w ustroju Florencyi, po których, uważa ona z zadowoleniem i „nie bez słuszności“ swą konstytucyę za skończoną. Najstraszliwsze zaburze-

nia wewnętrzne i zewnętrzne, nie przeszkodziły jéj w téj pracy, jak również, nie oderwały jéj od handlu i przemysłu, nie zatrzymały w dążeniu „niemal bez przerwy, do rozszerzenia sfery swéj działalności, do przedzierzgnięcia się z gminy w państwo.“ Uroszczenia papieża, cesarza, Karola Andegaweńskiego, umiała zażegnać, posługując się kolejno jednym przeciw drugiemu: „używała cesarza, wiecznie żądnego pieniędzy (któremu je pożyczała, pod gwarancyą ziem danych w zastaw, potrzebnych dla jéj celów polityczno-handlowych) przeciw papieżowi, gdy się temu zanadto zachciéwało być władcą świeckim; papieża przeciw Karolowi, skoro ten się okazywał zbyt wymagającym i przedsiębierczym; Karola i jego rycerzy przeciw magnatom i gibelinom, których koniecznie potrzeba było okiełznać.“

„Stolica apostolska nie może pokonać wzrastającéj pychy bogatego mieszczaństwa,“ które chce być panem u siebie i stawia ponad wszystko interes Florencyi. Andegaweńczyk, pomimo swych tytułów: wikaryusza cesarskiego, króla Sycylii, senatora rzymskiego, rządcy Bolonii, pana Romanii, wreszcie podesty florenckiego, jakim się ogłosił, ma o tyle znaczenia w Toskanii, ile Florencya wesprze go swą milicyą a zwłaszcza swą zawsze dobrze zaopatrzoną kasą. Niezawodny dziewięć razy na dziesięć, środek: pieniądze, potrafiły ze srogiego, królewskiego awanturnika urobić znośnego pana i w jego opiece zyskać niejaką rękojmię spokoju i bezpieczeństwa potrzebnego dla organizacyi wewnętrznéj. Nie ułożono czwartéj konstytucyi w 1267 r., jak mówią niektórzy, ale w istniejącéj z 1250 r. zaprowadzono pewne zmiany, Florentczycy „bowiem nie postępowali sposobem nowoczesnym. Woleli stare tryby dobrze naprawione od nowych, utrzymując, że takowe lepiéj funkcyonują jako dopasowane z dawien dawna do różnych części machiny.“

W konstytucyi owéj „trzy znajdujemy żywioły, które potrzeba odróżnić starannie: p i e r w s z y, pasorzytny i przejściowy; d r u g i, dawny, nieco zmodyfikowany; t r z e c i, nowszego pochodzenia. Pierwszy element, to namiestnik królewski, osobistość wielkiego znaczenia, bo od niego zależy pokój lub wojna, ale niebawem on zniknie. Ż y w i o ł d a w n y, to podesta, kapitan ludu i rada trzydziestu sześciu. Ale podesta, mianowany przez króla, został ograniczonym do swych pierwotnych obowiązków sądowniczych, kapitan zaś, podobnie jak podesta, pod bezpośrednią władzą namiestnika zostający, był znów naczelnikiem tylko milicyi miejskiéj.“ Radę trzydziestu sześciu zredukowano do dwunastu osób. „Jest to liczba téj sławnéj *signoryi*, duszy rządu florenckiego, podczas całego peryodu republikańskiego.“ Zwano ich *buoni uomini*, wyrażenie nieokreślone; albo *anziani*, albo

wreszcie przeorami rzemiosł. To imię zastąpiło wkrótce dwa pierwsze.

Najnowszym czynnikiem konstytucyi była władza doradcza, czyli prawodawcza, niezmiernie zawiła, jak gdyby rozwijający się duch demokratyczny, zawsze nieufny, chciał zaznaczyć ową nieufność i jednocześnie zabezpieczyć wielokrotném roztrząsaniem przedsiębrane uchwały. Gdy namiestnik z radą składającą się z przeorów rzemiosł, powziął jakie postanowienie, podawano pod ocenę rady stu, złożonéj z *popolo grasso* (to jest bogatych kupców i téj szlachty, która oddawszy się rzemiosłu, zniżyła się do rzędu *popolani*"). Bez sankcyi owéj rady, przez głosowanie, żaden wydatek, żadne ważne postanowienie nie mogły nastąpić. Nie dość na tém; ów wydatek, owo postanowienie, trzeba było tegoż samego dnia przedstawić obu radom kapitana ludu, złożonym wyłącznie z *popolani*. Pierwsza, zwana specyalną, tajemna poniekąd, zawierała 80 osób, druga ogólna 300 osób. Do pierwszéj wzywano zwykle na członków, przełożonych rzemiosł wyższych i zaczęto ich zwać *capitudini*.

Nazajutrz podobnaż formalność w obu radach podesty. Wszystkie te rady zbierały się to kolejno, to razem; bywały też wiece powszechne i rady chwilowe, że się tak wyrażę, w pewnéj jakiéjś okoliczności, które rozwiązywano wnet po załatwieniu sprawy. Liczba obywateli, mających prawo głosu, wynosiła w r. 1267 zaledwo dwa tysiące, „przeto wszyscy mogli wziąć udział" w ogólnéj naradzie.

Niemal jednocześnie z reformami politycznemi rozpoczęto pewne ulepszenia w organizacyi rzemiosł. Inicyatywa wyszła od ówczesnego rządcy Toskanii, Gwidona Novello, rzekomo dla pogodzenia gibelinów z gwelfami, w istocie dla utrwalenia własnéj zachwianéj pozycyi: w tym celu „wprowadził do Florencyi szczególną magistraturę", to jest dwóch podestów na raz, z tym warunkiem, że jeden będzie gwelfem, drugi—gibelinem. Przypuszczał, że dwaj antagoniści z zasad, będą się neutralizować z zawiści o wpływy na jednakiém stanowisku, a on „za ich plecami rządzić." Co potwierdza takie przypuszczenie, to sam wybór podestów.

Był wtedy we Włoszech zakon pochodzenia szlacheckiego, na poły religijny, na poły wojenny, Rycerzy (lub braci) Panny Maryi. Że strój w tych razach niepoślednią odgrywa rolę, jako znak zewnętrzny intencyi wewnętrznych, więc nosili białą tunikę, szary płaszcz, rękawice skórzane lub wełniane i na tle białém krzyż z dwiema gwiazdami. Obowiązani byli do postów i do pewnych modłów na cześć N. Panny, ale nie do celibatu, gdyż przyjmowano do zgromadzenia żonatych, z zastrzeżeniem tylko, by od żon swych zezwolenie

na to otrzymali. Te w takim razie wstępowały także do klasztoru i nosiły strój biały lub szary, płaszcz podbity skórką jagnięcą, bramowany białym barankiem. Rycerze N. Panny wolni byli od zwykłych surowych przepisów zakonnych i od pewnych powinności państwowych. Historya powiada, że łagodna reguła spowodowała, iż ci rycerze wcale nie rycerskie wiedli życie, bo w zbytkach, próżniactwie, festynach, „okazując się mnichami jedynie za pośrednictwem sukni i braku zatrudnienia.“ Publiczność zwała ich *frati gaudenti* lub *godenti*, to jest „*bons vivants*“, a drwiący plebs, kapłonami Chrystusowymi. Z takiego to klasztoru powołał Gwido Novello dwóch podestów i dodał im trzydziestu sześciu *buoni uomini*, także z obu partyi wybranych.

Zdawało się, że gwelfowie i gibelini tak zamalgamowani będą się swarzyć, tymczasem obaj podeści porozumieli się wybornie w wyłudzaniu jaknajwiększéj ilości pieniędzy u Florentczyków, zaś *buoni uomini* zapomnieli o sporach gwelfów z gibelinami, a pamiętali o tém, że mają wspólne interesa jako kupcy, i na zebraniach swych, przy ulicy *Mercato nuovo*, zajmowali się niemi.

Błędném jest twierdzenie, że pracowali nad ułożeniem czwartéj konstytucyi dla Florencyi, zajęli się tylko uorganizowaniem rzemiosł na wzór Calimali. Ustanowili między niemi hierarchię, nadali im statuta, tak że każde z wyższych rzemiosł miało swego kapitana, chorążego i konsulów. Na czele rzemiosł stali sędziowie i notaryusze ze znamieniem gwiazdy złotéj na błękicie. Calimala zajęła miejsce drugie; na czerwonéj chorągwi orzeł złoty na białéj kuli. Bankierów i wekslarzy godłem były rozsiane złote floreny na tle czerwoném. Lekarzy i aptekarzy N. Panna z dziecięciem. Fabrykanci jedwabnych materyi zajmowali szóste miejsce z godłem: drzwi czerwone na tle białém. Kuśnierze i białoskórnicy z *Agnus Dei* na chorągwi lazurowéj zamykali siedm kategoryi sztuk wyższych, którym dawano ogólną nazwę: *popolo grasso*, czyli: lud zamożny, zbogacony. Inne rzemiosła, acz liczniejsze, nie znaczyły nic politycznie i tworzyły „szary proch“ — *popolo minuto*. Do późniejszéj doby odnieść należy głośne denominacye „*artes majores et artes minores.*“

Poniżéj siedmiu wymienionych istniały tylko skromne pokorne stowarzyszenia, jednakże, choć nie grały żadnéj roli w państwie, naśladowały ustawy rzemiosł wyższych, i pięć z nich (mianowicie: kupcy drobniejsi, rzeźnicy, szewcy, cieśle i mularze, oraz kowale) zaczęło wybijać się na wierzch. Że jednak były to liczebnie znaczne stowarzyszenia, że łącząc się wspólnie, nabierały siły i wzbogacały się, łatwo było zgadnąć, iż w danym razie mogą zaważyć na szali wypadków;

jakoż w ostatnich latach XIII wieku tak się wzmogło ich znaczenie że zostali zaliczeni do sztuk niższych, *artes minores*, ale i z téj nazwy się wyzuli dla innéj wyższéj, mianowicie sztuk średnich, *artes mediae*, zaś nazwa sztuk niższych dostała się w spadku najgorzéj uważanym zajęciom i pracownikom: piekarzom, oberżystom, handlarzom wina, oliwy i t. d. Jednocześnie modyfikują się nazwy gwelf i gibelin. W mieście, w którém szlachta zaciéra się, gdzie jest okiełznaną, a niebawem zostanie ciemiężoną, gwelfowie podtrzymywać będą rząd ludowy, gibelini oligarchiczny. Tworzy się wprawdzie nowa arystokracya, z *popolo grasso*, lecz ta, z wielkim taktem i umysłem politycznym, właściwym Florentczykom, zajmuje się w téj krytycznéj dobie tylko urządzeniami korporacyjnemi. One bowiem dawały im samym silną podstawę wraz z nadzieją, że władza naturalnym rzeczy porządkiem przejdzie w ręce tych jéj członków, którzy będą najczynniejszymi, najbogatszymi i najrozumniejszymi."

Potrzeby chwili, mianowicie buta i swawola szlachty wywołały głośne *ordinamenta justitiæ* (ogłoszone d. 12 sierpnia 1294 r.), „prawa drakońskie, postrach dla jednych, otucha dla drugich. Co nadawało prawodawstwu rozsądnemu charakter dzikości, to arsenał kar strasznych, w celu powstrzymania gwałtów arystokracyi względem *popolani*." Wypływały one, zdaje się, z zasady: oko za oko. Szlachcic, zabijający lub raniący śmiertelnie plebejusza, bywał karany śmiercią. Za ranę uleczalną, ale niebezpieczną, płacił 2,000 liwrów kary; jeśli ich nie złożył w ciągu 10 dni, ucinano mu rękę lub nogę; lżejsze rany oceniano taniéj. Odpowiedzialność rozciągała się i do wykonawcy rozkazów magnata, do owych *bravi*, siepaczy głośnych po za granicami kraju. Rodzina zbrodniarza, choć niewinna, podzielała odpowiedzialność, zwłaszcza pieniężną, gdyż wiadomo, że własność majątkowa była do pewnego stopnia wspólną. W razie ucieczki winowajcy, burzono jego dom, niszczono majętność [1]). Dowiedzenie zbrodni lub

---

[1]) Rozporządzenia sprawiedliwości, uważane za wyższe nad inne prawa, nie dozwalały apelacyi, a odnosiły się wyłącznie do zatargów arystokracyi z *popolani*. W razie takichże samych zajść śród szlachty, rozstrzygało prawo zwyczajne. Nienawiść do całej kasty doszła do tego stopnia, iż ogłoszono: każdy *popolano* spiskujący z magnatem będzie skazany na śmierć, jego zaś potomstwo włączone do niecierpianéj klasy będzie traktowaném jako takie. „Florencya jeszcze nie otrząsłszy się całkowicie z jarzma gwelfów, już uważała nazwę magnata za synonim hańby, i tak się nie lękała przeklętéj kasty, że zwiększała jéj liczbę za karę." Naturalnie, że prześladowani protestowali i opiérali się, czém zwiększyli swój ucisk, bo fakt to niezawodny, że bunt, który się nie powiedzie, wywołuje tylko większe uciemiężenie. W r. 1307 obostrzono *ordinamenta justitiae* i ustanowio-

przestępstwa nie wymagało wielu formalności; dwóch świadków wystarczało i to nawet takich, którzy nie byli obecni przy owéj zbrodni czy przestępstwie, lecz słyszeli o nich; *vox populi* głosił, więc było prawdą. Wymagano wprawdzie przysięgi. Nadto kapitan i podesta utrzymywali szpiegów i donosicieli tajemnych; u drzwi ich domów przybita skrzynka na listy, w miejscu widoczném dla wszystkich, służyła do przyjmowania publicznych denuncyacyi. Przewidując oburzenie i wychodźtwo szlachty, wyjęto wychodźców z pod prawa; za wyrządzone im krzywdy, nawet za zabójstwo, nie było żadnéj odpowiedzialności. Wreszcie nie poprzestając na srogości dla winnych, rozciągnięto wyjątkowe drażniące rozporządzenia względem całéj kasty; nie dość, że zmuszano do wpisywania się do cechów, ale zabroniono piastować godności cechowe; w razie wyboru cech bywał karany, a wybór unieważniony. Wogóle „nie było godności publicznych, od którychby ich nie wyłączano“ z tym dodatkiem, że do sprawowania ich potrzeba być uczciwym człowiekiem, czego się po żadnym z magnatów nie spodziewano. „Słuszna kara, powiada autor, za wojny i zniszczenie, jakie spowodowywali w gminie.“

Tych kilka rysów daje miarę całości, któréj ludzkość jest obcą, ale powiada Perrens, zawsze broniący Florencyi, „bojaźń była sprężyną rządów włoskich; kto się nie chciał nią posługiwać, popadł w niewolę. Wenecya pozostawała długo kwitnącą tylko dlatego, że w grozie widziała swą siłę i nie zaniedbała się nią posługiwać. Mieszczanin zostawszy po raz pierwszy panem, jakichże innych środków miał użyć, jeśli nie tych, jakich używano względem niego?“

Z większą słusznością broni autor Florentczyków od zmienności, jaką śród wielu zarzuca i Dante, mówiąc, że Florencya niszczyła w listopadzie to, co uprzędła w październiku. Biorąc za przykład konstytucyę, Perrens dowodzi, że nie była ani zagmatwaną, ani tak zmienną, jak chcą niektórzy, że są zawsze „dwie funkcye bardzo odmienne: jedna — to dyskusya, rozprawy, działanie, przywiléj znaczniejszych w bardzo małéj liczbie obywateli; druga — to aprobata lub odrzucenie, prawo przysługujące liczniejszym, mniéj biegłym w sprawach, a więcéj zazdrosnym o swą wolność. Cechy główne konstytu-

---

no z nieograniczoną władzą nowego urzędnika, wykonawcę sprawiedliwości „dla przestrzegania i wykonywania wyroków owych *ordinamenta justitiae*, dla utrzymywania swobód ludu florenckiego i bronienia nędznych i słabych od krzywd możnych.“ Pobierał 2,000 liwrów i 100 soldów na pióra, papiér i atrament, wraz z mieszkaniem najwyżéj o 200 sążni oddaloném od pałacu signoryi. Wzbronione miał wszelkie stosunki w mieście.

cyi dadzą się streścić w ten sposób: władza najwyższa czyli *signorya* (to jest sześciu przeorów), najdawniejsza pomimo wielu przemian, jest nie czém innêm, jak ową władzą konsulów pierwotnych, o zmiennéj liczbie swych członków, zwanych *anziani*, następnie *buoni uomini*, wreszcie przeorami.

Inicyatywa i wykonanie zależały od urzędników, potwierdzenie zaś i kontrola od obywateli. Prawnie, ci ostatni byli panami; faktycznie, niemal zawsze ulegali przeorom...“

Działając przez indukcyę i przez uogólnienie, nie zaś przez dedukcyą i według z góry powziętych teoryi, zastosowywali od najdawniejszych czasów do spraw gminy magistraturę taką, jaką z powodzeniem w rzemiosłach wypróbowali, pod warunkiem zaprowadzania potrzebnych ulepszeń, ale grunt pozostawał niezmiennym, mianowicie: najwyższe kierownictwo w ręku małéj liczby osób, mianowanych na czas krótki i ograniczonych koniecznością odwoływania się do pięciu rad po sankcyę. Zmieniała się tylko liczba urzędników, tytuł ich, czas trwania władzy oraz rozciągłość takowéj, sposób wyborów, jedném słowem, akcesorya nie treść.“

Tłómacząc i broniąc technicznéj, że tak powiem, formy rządu, nie chwali Perrens bezwarunkowo ducha ustaw państwowych. Polityka Florencyi, to polityka kupiecka; nie umiała się ona pozbyć partykularyzmu nawet wtedy, gdy chciała się stać państwem. Pozostała zawsze miastem, które rozkazuje innym na mocy zaboru i traktuje jako wrogów te, które jéj ulegać nie chcą, „to się stało przyczyną nieuleczalną jéj słabości późniéj, gdy musiała wojować z dalszymi swymi przeciwnikami. Nadto, dając się unosić wzmagającemu się prądowi demokratyzmu, pochlebiała sobie, że go opanuje wtedy, gdy wydziedziczeni podniosą głowę; lecz najgłówniejszym jéj błędem była nieumiejętność w pokonaniu ducha niezgody. Że nad nią ubolewała, nie można wątpić, czytając stare kroniki, ale brakowało jéj, podobnie jak innym krajom, ducha abnegacyi i ofiary, który jeden mógł zapanować nad waśnią. Próbowano kilkakrotnie zaprowadzić zgodę za pośrednictwem związków małżeńskich, gdy się to nie udało, myślano, że znosząc opór zaprowadzi się jedność. Stąd tyle proskrypcyi, kar, opłat, rozporządzeń, bez innego skutku, jak przerzucanie niezadowolenia z jednéj strony w drugą, jak pozyskanie dla plebsu w burzliwych jego domaganiach się, poparcia magnatów upokorzonych. Zupełna niezaradność w téj mierze, wróżyła Florencyi oraz innym respublikom do niéj podobnym, koniec mniéj lub więcéj bliski. Człowiek, nie mogąc zażyć spokoju

na łonie wolności, upodli się do szukania go w służebnictwie. Znużona nieustannemi zaburzeniami, Florencya zaczęła zazdrościć losu miastom lombardzkim, które ją poprzedziły na téj fatalnéj pochyłości, i za ich przykładem schroniła się do rzadko bezpiecznego, a zawsze zakażonego portu władzy absolutnéj. Będąc, w całém znaczeniu wyrazu, osobą, stała się następnie rzeczą, rezydencyą książęcą, cudnym grobem, który późniejsze pokolenia zwiedzają kolejno, podziwiając resztki życia i ślady sławnéj przeszłości.“

(*D. n.*) *Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.*





PIEŚNI.

ELEGIA

Znów tarcza słońca
Kryje się blada —
Nad ziemią sunie szara mgła,
I deszczem mżąca
Na ziemię spada
Szara mgła...
Już rankiem rosa się nie mieni,
Nie wzbija się już mgła;
Żółcieje martwy liść jesieni,
Wiatr na pustkowiu gra —
Tęsknie gra...

Martwy liść strąca
Wiatr zamaszyście,
W konarach drzewa czarnych gra;
W blasku miesiąca
Szeleszczą liście,
A wiatr gra...
I pieśń przeciągłą gra jesieni,
I pieśń ta długo trwa, —
Już rankiem rosa się nie mieni,
Nie wzbije się już mgła —
Jasna mgła...

W górę — do słońca
Już się nie wzbije
Przezrocza wiosny jasna mgła;
Deszczem kapiąca
Mgła ziemię kryje —
Szara mgła...

I ziemia się nie zazieleni,
I krew nie zagra ma, —
Żółcieje martwy liść jesieni,
Wiatr na pustkowiu gra —
Tęsknie gra...

Ż A L.

Hejże, szumią boru liście!
Hejże, szemrzą ciche zdroje!
Tak miarowo, potoczyście
Tak tu szemrzą ciche zdroje,
A konwalie i powoje
W to ustronie
Leją wonie...

Wonie piją płuca moje —
Piją moje słabe płuca,
Duszę pieszczą szumy drzew;
Bór melodyi zlewa zdroje,
Tytaniczny śpiew zanuca —
Bór, kołysząc niepokoje,
Nuci wieków śpiew.

I rozbrzmiewa śpiew wiekowy,
I tak płyną szumy, płyną —
Nad polany, nad dąbrowy
Tak przedziwnie szumy płyną,
Grając jedną pieśń jedyną —
Silną, zdrową
Pieśń wiekową...

A tu w duszy mojéj giną,
Giną wszystkie me nadzieje —
Gdziem miał dojść, nie dojdę tam:
Żegnaj życia mi, ścieżyno!
Już prąd wiedzy nie powieje
Od twych bram, o wszechprzyczyno,
Od śpiżowych bram!

Z za tych bram olśniłaś, cudna,
Te zuchwałe myśli moje,
Aż porwała chęć ułudna —
Chęć porwała myśli moje
Przejść śpiżowe twe podwoje,
Niby słońce,
Takie lśniące...
Ku nim śpieszą ludzi roje,
Tak gwałtownie ku nim śpieszą —
Śpieszą ze wszech świata stron;
Piętrzą księgi, pisma zwoje,
Chcą roztrzaskać bramę rzeszą
I zagadkę posiąść twoję, —
A tu czeka skon.

Tu skon porwie w swe ogniwa
Ogień myśli méj skrzydlatéj,
Gdy tam nęci prawda żywa
Ogień myśli méj skrzydlatéj
I porywa po nad światy —
Te zbadane
Światy znane...
Ach, już uczuć wonne kwiaty
Aromatu nie zaniosą
Przed wszechpiękna wielki tron;
Blakną myśli méj szkarłaty,
Bo podcina ostrą kosą
I porywa w jakieś światy
Bezlitośny skon.

A tu szumią boru liście
I tak szemrzą ciche zdroje —

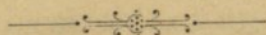
Tak spokojnie, uroczyście
Tak tu szemrzą ciche zdroje,
A konwalie i powoje
W to ustronie
Leją wonie...
O, jak piją płuca moje —
Piją wonie słabe płuca,
Gdy drga życiem każdy krzew;
Gdy, melodyi lejąc zdroje,
Bór wspaniały śpiéw zanuca —
Na rozstanie wieczne moje
Nuci wieków śpiéw.





PIJAŃSTWO I WSTRZEMIĘŹLIWOŚĆ

W WIELKIÉJ BRYTANII.



Pomiędzy projektami prawodawczemi, które przedłożyło parlamentowi obecne ministeryum angielskie, jeden z najcelniejszych jest poświęcony kwestyi gorących trunków, tak zwany *Local Veto Bill*: oddaje on faktycznie istnienie szynków decyzyi władz gminnych. Bill ten został wniesiony i odczytany po raz pierwszy. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że jeżeli obecny parlament nie zostanie w roku przyszłym rozwiązany z powodu trudności, jakie napotyka przeprowadzenie projektu rządowego o samorządzie Irlandyi, sprawa gorących trunków uczyni niebawem krok naprzód ku temu celowi, jaki zakreślony jéj został przez towarzystwa wstrzemięźliwowości. Są one obecnie w organizacyi społecznéj angielskiéj tak ważnym czynnikiem i taką potężną siłą, że każdy rząd musi się z niemi rachować. Stronnictwo liberalne dostało się do władzy dzięki poparciu, jakie od nich otrzymało i zerwać sojuszu nie myśli. Z jakiegokolwiek stanowiska na sprawę gorących trunków zechcemy spoglądać, z czysto politycznego czy z ekonomicznego, z fiskalnego czy etycznego, zawsze posiada ona w sobie bezpośredni interes. Sama agitacya towarzystw wstrzemięźliwości, po bliższém w niéj rozpatrzeniu się jest nietylko ciekawą, ale po prostu zdumiewającą i świadczy o nadzwyczajnéj moralnéj energii rasy anglo-saskiéj. Niezaprzeczoną prawdę posiadają te często powtarzane słowa de Quincy, który upatruje w ich organizacyi i wysiłkach najbardziéj zadziwiające zjawisko reformatorskiego ducha, ożywiającego naszą epokę.

Skoro tedy kampania przeciwko gorącym trunkom nietylko nie ustaje, ale coraz nowe odnosi zwycięstwa, skoro do normalnego swego interesu dodaje jeszcze chwilowy, ujawniający się w prawodawczym projekcie, skoro nakoniec przykład i początkowanie Wielkiéj Brytanii oddziałają prawdopodobnie na działalność innych mocarstw europejskich, zdaje się nam właściwém przedstawić czytelnikom stan téj kwestyi. Literatura jéj jest olbrzymią i posiadamy nawał cyfr statystycznych. Łatwo jest przeto stać na silnym gruncie i ograniczyć się do materyalnych żywiołów. Czytelnik sam wyciągnąć z nich potrafi morał i wskazówkę działalności.

I.

Bezwątpienia Wielka Brytania jednoczy w sobie wiele warunków, ażeby nie powiedziéć wszystkie, które uczynić mogą naród potężnym i szczęśliwym. Zabezpieczona swém położeniem wyspiarskiém od bezpośredniego sąsiedztwa z zaborczymi sąsiadami, posiadając klimat umiarkowany, ziemię urodzajną, wielkie skarby mineralne, rasę silną i energiczną, instytucye polityczne, uzdalniające każdego osobnika społecznego do rozwinięcia swojéj pełnéj działalności, oddawna wzrosła w zamożność, a w ciągu ostatniego stulecia jéj przemysł i handel wzniósł się na niemarzone wyżyny. Kraj tego rodzaju mlekiem powinienby płynąć i miodem, a jego mieszkańcy, których liczba przy końcu obecnego stulecia dojdzie do 40 milionów, posiadać wyjątkową sumę materyalnego dobrobytu, zasadniczego czynnika szczęścia indywidualnego i społecznego. Wiemy jednakże, iż tak nie jest, że w tym kraju obok wyjątkowego bogactwa znajdujemy także wyjątkową nędzę, że krocie biedaków jedynie emigrując ocalić się mogą od głodowéj śmierci, że proletaryat liczy się tam na miliony, że w samym Londynie, mieście nieprzebranych skarbów, na trzynastu mieszkańców jest jeden nędzarz, że występki i zbrodnie, biorące w nędzy swój początek, nie przestają rzucać ponurego cienia na społeczeństwo, chełpiące się swą religijnością, moralnością, oświatą i znajdujące się bądź co bądź w pierwszym szeregu ruchu cywilizacyi.

Samo takie zestawienia pomyślnego środowiska z niepomyślnemi wynikami doprowadza każdego spostrzegacza do wniosku, że muszą się gdzieś siły społeczne marnować i że musi być, mówiąc słowami Marcellusa w „Hamlecie“, coś zbutwiałego w tém państwie. Najsłuszniejszém byłoby przypuszczenie — i takie jest stanowczo zdanie piszącego — że ten brak harmonii i ujemne te rezultaty płyną z wielu źródeł, nie zaś z jednego tylko. Nie można się atoli dziwić, że wszy-

scy reformatorowie około jednego ześrodkowują się punktu, — każdy około swojego własnego, że każdy na swoim skupia działalność, każdy z jednym ujada się wrogiem i od pokonania jego oczekuje przedewszystkiém zbawienia ludzkości. Dzięki właśnie współistnieniu tych rozmaitych reformatorskich prądów i agitatorów, społeczeństwa podnoszą swój poziom bez ustanku i każdy rok ubiegający grzebie ten lub ów z dawniejszych niedostatków. I w Anglii tedy niedomagające społeczeństwo znajduje wielu lekarzy, wysławiających swoje specyfiki. Ci oczekują cudów od ostatecznego wyemancypowania demokracyi i reform konstytucyjnych, ci od agrarnych albo pedagogicznych przewrotów, ci znowu—socyaliści—od postawienia ustroju społecznego na całkiem nowéj podstawie ekonomicznéj. Zwolennicy wstrzemięźliwości, a nieprzyjaciele gorących trunków, są atoli zdania, że rakiem toczącym wnętrze Anglii jest pijaństwo i że wystarczy zniweczyć je, albo przynajmniéj utrudnić wszelkiemi możliwemi środkami, ażeby uzdrowić organizm narodowy, utrwalić w nim dobrobyt materyalny i podnieść moralność publiczną. Zostawmy innych reformatorów na stronie, a przypatrzmy się obrazowi, jaki roztaczają przed nami ci ostatni. Niepodobna być nań obojętnym.

Wadą narodową Wielkiéj Brytanii, a raczéj używając słów zwykłych w ustach i pod piórem agitatorów za wstrzemieźliwością, jéj występkiem, ciążącą na niéj klątwą jest pijaństwo. Jak każdy inny, tak i ten występek jako pierwszą ofiarę obiera sobie tego, co mu hołduje. Klęski, jakie pijaństwo sprowadza na społeczność angielską, łatwo wykazać cyframi. Pauperyzm zagnieździł się wśród niéj tak, że każda jedna osoba na dziesięć jest w stanie biédy, a często nędzy; jedna na 15-cie umiéra w domu przytułku i pracy — *workhous*'ie; w r. 1891 pobierało zasiłek z kas publicznych, albo było całkowicie utrzymywanych przez nie w Anglii 728,042, w Szkocyi 87,362, w Irlandyi 103,839, w Londynie 95,923. Chociaż dochody publiczne wzrastają i bogactwo narodowe z każdym rokiem w bardziéj olbrzymich wyraża się cyfrach, sumy wydawane na utrzymanie biédaków nie zmnieszają się, ale przeciwnie—rosną.

Statystyka kryminalna równie przerażające przedstawia dane. Od r. 1840 liczba ludności powiększyła się o 60%, ilość zaś przestępstw wzrosła o 102%. Nie trzeba jednak tendencyjnie przesadzać stanu rzeczy, ani upatrywać przyczyny wszystkich zbrodni, występków i przewinień w pijaństwie. Ma ono zresztą swoją, dostatecznie czarną stronnicę. I tak protokułów ściągniętych za pijaństwo, zwady, burdy i nieporządki przez nie wywołane, było w 1871 roku 142,343, czyli 26%, w r. 1881 wzrosły one do 174,481, czyli o 26%.

a w ostatniém dziesięcioleciu, w r. 1891 spotykamy aż 187,293 wypadków, co daje także 25% wzrostu. W samym Londynie pociągnięto do odpowiedzialności policyjnéj 31,916 osób w tym ostatnim roku, a wiadomo, że tam, tak samo jak w innych miastach, służba policyjna okazuje większą pobłażliwość i względność dla pijaków, aniżeli dla wszystkich innych przestępców.

Wpływ zgubny pijaństwa na zdrowie i długość życia nie ulega także wątpliwości. W szpitalach angielskich lekarze nie wahają się trzech czwartych chorób, na które zapadają ich pacyenci, kłaść na karb nałogowego pijaństwa, albo nadużywania trunków. Coraz bardziéj wzrastająca ilość cierpiących na pomieszanie zmysłów téj saméj przypisywana jest przyczynie: w r. 1851 było wypadków waryacyi 21,158, w r. 1861 było 39,647, w r. 1871 — 56,755, a w roku 1891 — 87,848. Co do śmiertelności, jest ona naturalném następstwem zdrowostanu. Śmiertelność o 5% większa u mężczyzn, aniżeli u kobiét świadczy także, że ci, co więcéj piją, umierają szybciéj. Fakt, że pijaństwo skraca życie został z tak matematyczną pewnością stwierdzony, iż towarzystwa ubezpieczające życie inaczéj ubezpieczają tych, którzy z zasady żadnego gorącego trunku nie używają: ci ostatni otrzymują polisy o 20 do 35% tańsze; przy zabezpieczeniach od wypadków nawet otrzymują oni ustępstwa od 5—8%.

Najmniejszéj wątpliwości nie ma co do hygienicznego charakteru wstrzemięźliwości od gorących trunków. Już w r. 1725 kolegium lekarzy angielskich uczyniło odezwę do parlamentu, zwracając jego uwagę na klęski, jakie pijaństwo wyrządza zdrowiu publicznemu. Przeczuwana raczéj wówczas prawda aniżeli naukowo sformułowana, została stanowczo potwierdzona przez postępy wiedzy. Wszystkie gorące trunki bez najmniejszego wyjątku posiadają w sobie większą lub mniejszą dozę spirytusu czyli alkoholu: wino czerwone, Bordeaux, zawiera go 2%, piwo angielskie (*Pale ale*) 2½%, jałówcówka (*gin*) 4%, a gorzałka (*brandy* albo *whisky*) aż 10%. Proces chemiczny fermentacyi, t. j. organicznego rozkładu, wytwarza spirytus działający na nasz organizm pobudzająco. Ale teorya Liebiga, że przez ciepło, które sprowadza, żywi organizm, nie ostała się po stanowczych poszukiwaniach Lallemand'a, Perrin'a i Duroy'a. Wiadomo, że jedną część spożytego spirytusu wydzielamy nieprzetrawioną, a że reszta nie zawiera w sobie karmi. Użyty w małéj dozie spirytus, co najwięcéj o nim powiedzieć się da, nie truje; w większéj — działa ujemnie albo zabójczo; w żadnym razie nie jest pokarmem i sił naszych nie odżywia. Ciało lekarskie angielskie, w ogromnéj swéj całości, potępia obecnie używanie spirytusu w téj lub owéj formie, nawet jako

środek pobudzający i można uważać za urzędowe jego wyznanie wiary świadectwo podpisane w 1847 roku przez 2,000 doktorów medycyny, w którém wyrazili opinię, że „całkowite i powszechne powstrzymanie się od używania jakichkolwiek gorących trunków przyczyniłoby się wielce do zdrowia, szczęścia, moralności i pomyślności rasy ludzkiéj.“

Każdy z powyżéj wymienionych punktów może sam jeden przemawiać za wstrzemięźliwością, ale żaden nie ma w sobie tyle doniosłości, jak ten, w którym przedstawione jest ekonomiczne stanowisko kraju w stosunku do sum obracanych na produkcyę i konsumcyę gorących trunków. Jakiekolwiekby się żywiło uprzedzenia do wykazów statystycznych, nie można zamknąć oczów na sumy i cyfry olbrzymie, z którem i się tu ma do czynienia. Z konieczności wypada rozejrzéć je bliżéj.

Robert Giffen, najwyższa statystyczna powaga w Anglii, podaje całkowitą wartość kapitału Wielkiéj Brytanii na 2,300,000,000 funtów szterlingów i corocznie przyrastać on ma o 100 milionów funtów. On i inni statystycy nie wiele się różnią jedni od drugich, szacując dochód roczny narodowy na miliard funtów szterlingów. Kapitał powiększałby się jednak corocznie w daleko większym stosunku, gdyby znaczna część zwykłego dochodu nie była marnowana w sposób nietylko nieprodukcyjny, ale podkopujący normalne źródła dochodowe. Wiliam Hoyle w swém nader interesującém dziele: *Our national ressources, and how they are wasted* oblicza w przybliżeniu tę dobrowolną utratę narodowego zasobu na 500 milionów f. szt. rocznie. Znaczną składową część tego półmiliarda stanowi wydatek roczny na gorące trunki. Bezpośrednio wydała na nie Wielka Brytania w roku 1891-ym nie mniéj jak 141 milionów f. szt.; dodając pośrednie wydatki dochodzi p. Hoyle do cyfry 262,000,000 f. szt. Oto jak się ona wytwarza.

Cyfrę 141,000,000 f. szt. wydawaną wprost na gorące trunki sprawdzić łatwo. Oto tablica synoptyczna, którą pożyczamy od p. Dawson Burns'a, jednego z najświatlejszych działaczy w dziedzinie wstrzemięźliwości:

Gorące trunki spożyte w roku 1891-ym	Ilość spotrzebowana w r. 1891	Cena sprzedaży w r. 1891
	galonów	funtów szterlingów
Krajowe, po 20 szyl. za galon (= 4 kwartom)	30,744,209	30,744,209
Cudzoziemskie i kolonialne po 24 szyl. za galon	8,420,553	10,104,664
Piwo, 1 szyl 6 pen. za galon . . .	1,140,021,648	85,501,624
Wino, 18 szylingów za galon . . .	14,855,753	13,370,178
Wino krajowe, cydr, etc., szacowane na	15,000,000	1,500,000
		141,220,675

Jestto już sama w sobie suma potworna i pokazuje, że przeciędciowo ludność Wielkiéj Brytanii, wynosząca 37,740,383 osób, wydała w r. 1891 na każdą osobę bez względu na płeć i wiek 3 funty i 15 szylingów na gorące trunki, czyli 18 funtów szterlingów i 15 szylingów na rodzinę z pięciu osób złożoną. Dwie następne tablice dopełniają znaczenia powyższéj.

Oto jak się rozdziela spożywanie gorących trunków pomiędzy trzy zjednoczone królestwa:

	w Anglii	w Szkocyi	w Irlandyi	Razem
Krajowe trunki (gal.) .	19,187,634	6,635,137	4,921,416	30,744,209
Cudzoziemskie i kolonialne (gal.)	6,955,594	798,895	666,064	8,420,553
Piwo (beczek)	27,599,138	1,497,911	2,570,919	31,667,268
Wino (gal.)	11,884,621	1,485,566	1,485,566	14,854,753

Streszczając następną tablicę, pokazującą, jaki wydatek pieniężny przypada na każdego osobnika w oddzielnie wziętych królestwach, znajdujemy, że w Anglii wydatek ten wyraża się w 4 f. szt. 1 szyl. 6 pensach na osobę, czyli 20 funt. 7 szyl. 6 p. na rodzinę z pięciu osób złożoną; w Szkocyi — 3 funty i 5 szyl., czyli 16 f. szt. 5 szyl. na takąż rodzinę, a w Irlandyi — nie trzeźwiejszéj ale uboż-

széj — 2 funty, 2 szyl. i 4 pensy czyli 10 funtów, 11 szyl. i 8 pensów na rodzinę z pięciu osób.

Nie trzeba daléj zapominać, że wśród 37 milionów mieszkańców Wielkiéj Brytanii stosunek pomiędzy klasą zamożną, wyższą i średnią a klasami ręcznych pracowników jest 8 milionów z jednéj a 29 milionów z drugiéj strony. Jeżeli pierwsze piją wino, trunek droższy, to piwo i wódki spożywane są przez warstwy robotnicze. Można tedy powiedziéć bez żadnéj obawy przesady, że proletaryat angielski wydał w tym roku 1891 nie mniéj jak 100 milionów funtów na gorące trunki. Wnioski są zbyt naturalne, ażeby potrzeba tracić czas nad szczegółowém ich wyprowadzaniem.

Ale, jak powiedzieliśmy wyżéj, oprócz tego bezpośredniego wydatku 141 milionów f. szt., który jako ujemna pozycya figuruje tylko w budżecie narodu, są jeszcze inne straty ekonomiczne, które obliczyć można w przybliżeniu. Jak powiedzieliśmy wyżéj, Hoyle szacuje je na 120 milionów funtów rocznie. Oto jak dochodzi do téj liczby:

Strata na przepędzeniu zboża, kartofli, chmielu etc. na gorzałkę zamiast zużytkować je jako żywność — 13 mil. funtów szt.

Strata kapitału i zarobku przy fabrykacyi gorzałki — 15 mil. funt. szt.

Praca każdéj z 500,000 osób zajmujących się obecnie fabrykacyą i sprzedażą gorących trunków a oszacowana na 50 f. rocznie — wynosi już sama w sobie 25 mil f. szt.

Te trzy pozycye dają 53 mil f. rocznéj straty. Dodaje do nich naprzód 53 mil. f., na którą to sumę komisya parlamentarna w 1834 r. obliczyła straty, spowodowane przez pijaństwo u robotników i oficyalistów, następnie 10 mil. straty wypływającéj z niszczenia zasobu społecznego we wszystkich jego formach przez pijaków i nakoniec 10 milonów przez utrwalenie pauperyzmu, chorób, waryacyi, przedwczesnéj śmierci etc. oraz kosztów na utrzymanie policyi, postępowania sądowego, więzień etc. Te ostatnie 70 milionów są naturalnie elastyczną cyfrą, przeciwko któréj niechętni protestować mogą. Można ją tedy zostawić na stronie, témbardziéj, że otrzymana już i bez niéj suma 200 mil. f. rocznéj straty, któréj nikt zaprzeczyć nie potrafi, wystarcza aż nadto do udowodnienia, że naród tak nadzwyczajnie bogaty dokłada wszelkich starań, ażeby się zubożéć i zniweczyć albo przynajmniéj zmniejszyć swe dochody. Wydawać piątą część swego dochodu nieprodukcyjnie — jest bezwątpienia najgorszą polityką ekonomiczną, jaka się tylko da wymarzyć. Dość jest zresztą pomyśléć, że 70 milionów korcy zboża jest przepalonych corocznie na gorzałkę i piwo. Gdyby to zboże obrócone było na zasiéw i na żywność, nie było-

by potrzeba opłakiwać corocznie tylu śmierci głodowych i życie najniższych warstw społecznych nie byłoby czarną gehenną. Ale gdy Wielka Brytania spożyła w r. 1891 zboża jedynie za 79 milionów f. szt., w tymże roku, jak powiedzianém było wyżéj, wydała dwa razy tyle na gorące trunki. Cały dług narodowy angielski, wynoszący 675 milionów f. szt., w pięć lat spłaciéby można było po prostu z funduszów, które obecnie zaprzepaszczane bywają w wydatkach zubożających, osłabiających i demoralizujących naród! A na ile też innych użytecznych wydatków tę sumę obróciéby się dało. Tomasz Whitaker przypomina, że całość dochodów z dróg żelaznych krajowych za wszelkiego rodzaju transporty obejmuje rocznie tylko 80 mil. f. szt. i że transport ten mógłby być bezpłatnym za połowę sumy przepijanéj obecnie.

Stając na stanowisku siły wytwórczéj ekonomicznego świata, mianowicie pracy, takie same otrzymujemy wyniki. P. Stefan Bourne w odczycie swym przed Towarzystwem statystyczném londyńskiém oszacowaał stratę sił produkcyjnych krajowych, pochłoniętych obecnie przez wytwarzanie gorących trunków, na 1,097,623 osób; oprócz nich 884,000 są uniezdolnione do pracy przez trunki. Jeżeli liczba wszystkich produkcyjnych sił krajowych wynosi 10 milionów, to wypada z tego tytułu natychmiast odjąć z niéj 2 miliony, t. j. piątą część. Traf sprowadził, że i pod względem straty siły produkcyjnéj znajdujemy się wobec takiéj saméj cyfry, jak gdyśmy brali w rachunek dochód krajowy.

II.

Wzięte same w sobie, dane te statystyczne są straszne. Nawet ci, co ich nie znają dokładnie, czują, widzą na każdym kroku ogrom zła, które pijaństwo sprowadza i muszą pragnąć zmniejszenia używania gorących trunków. Ale nie zanosi się na to. Łatwo spostrzedz, jak się zaraza wzmaga, trudniéj dopatrzéć symptomatów jéj ustępowania. Za Edwarda III-go (1327 — 1377) było wszystkiego w Londynie trzy szynki. Po rewolucyi XVII wieku, przy swobodzie jaką otrzymały browary, gorzelnie i dystylarnie, piwo rozpowszechniło się i stało się niebawem narodowym trunkiem. W pierwszéj ćwierci następnego wieku wchodzi w użycie jałowcówka (*gin*). Lecky w swéj klasycznéj historyi XVIII wieku nakreślił niezapomniany obraz spustoszeń i zgrozy, jakie wówczas jałowcówka sprowadziła. Panowanie jéj despotyczne zostało zachwiane dopiéro przez rywalizacyę gorzałki

(*whisky*), którą produkowały Irlandya i Szkocya, każda podług odrębnego procederu. Ci, co się dotąd upijali jałowcówką, upijali się potem w dodatku przydymioną szkocką albo nieprzydymioną irlandzką gorzałką. Konsumcya wzmagała się z każdym rokiem. W ciągu ośmiu lat, pomiędzy latami 1734 a 1742 podskoczyła z 13 na 19,000,000 galonów. Było już wówczas w Londynie, liczącym 700,000 mieszkańkańców, aż 6,187 szynków, t. j. sprzedawano gorące trunki w jednym domu na siedm. Nałożono wtedy podatek jednego funta szt. od galonu *ginu* a jego konsumcya zmniejszyła się natychmiast z 6 na 4 miliony galonów, ale publiczność rzuciła się do używania *whisky*, które jako nieopodatkowane było tańsze. Ponieważ zaś jest to ostatnie mniéj czyste i mniéj starannie dystylowane z fermentowanego jęczmienia, zatém zdrowie publiczne straciło na téj zmianie jedynie. Państwo, które stosownie do swych potrzeb skarbowych zaostrzało lub folgowało prawom i podatkom regulującym produkcyę i konsumcyę gorących trunków, nie trzymało się żadnéj, stałéj polityki, lecz trzeba przyznać na jego usprawiedliwienie, że sam naród, przez swe gwałtowne, zwierzęce rwanie się do trunków, krępował mu ręce i ubezwładniał. Dość będzie przytoczyć słynny *Beer Act* z 1830 r., który miał na celu skłonić naród do używania raczéj piwa niż wódki: pierwsze jako zawiérające mniéj alkoholu jest słabszą trucizną. Rezultaty nie odpowiedziały jednak oczekiwaniu. Wprawdzie konsumcya słodu powiększyła się natychmiast z 268,139,989 korców na 344,143,550 korcy ale jednocześnie konsumcya spirytusów podskoczyła z 57,970,000 do 76,797,000 galonów. Mógł więc sceptyczny mąż stanu, napominany o poskromienie instynktów zwierzęcego pijaństwa powiedzieć, że wobec tak zakorzenionego nałogu nie ma innego nic do zrobienia jak budowanie większéj liczby szpitali, domów przytułku i domów dla obłąkanych. W roku 1891 było w samym Londynie 30,567 szynków i sklepów upoważnionych do sprzedawania gorących trunków, t. j. jeden dom na 35 istniejących, a w saméj Anglii jest ich 183,998.

Następująca tablica pokazuje jaka jest konsumcya trunków w czterech ostatnich dziesięcioleciach w stosunku do ludności krajowéj:

Rok	Ludność	KONSUMCYA					
		Spirytusów (galonów)	Na 1 głowę	Win (galonów)	Na 1 głowę	Piwa (beczek)	Na 1 głowę
1852	27,448,000	29,310,138	1.095	6,348,661	0.231	16,732,434	0.610
1862	29,243,000	24,017,432	0.821	9,764,155	0.334	19,327,191	0.661
1872	31,874,000	35,919,389	1.126	16,765,444	0.526	28,171,661	0.884
1882	35,207,000	36,868,547	1.047	14,339,070	0.407	27,023,616	0.768
1891	37,803,000	39,133,044	1.034	14,774,698	0.398	31,667,266	0.837

Nie chcąc przeciążać uwagi czytelnika zbyt wielką ilością cyfr, wskażemy już tylko, że produkcya napojów gorących, stwierdzona urzędowo przez pobranie od nich podatku, wynosiła w dniu 31 marca 1892 t. j. przy zamknięciu rachunków finansowego roku 1891

w Anglii	19,652,858	galonów
w Szkocyi	6,781,638	"
w Irlandyi	5,034,896	"

czyli, że razem wyprodukowano w W. Br. 31,469,382 galonów na kr. konsumcyę.

Przeznaczona na wywóz zagraniczny nie wchodzi do tego wykazu. Z téj produkcyi wpłynęło do skarbu państwowego drogą podatku 33,200,000 funtów, a że cały dochód skarbu za tenże rok wynosił 90,994,786 f. szt., zatem więcéj niż jedna trzecia część wydatków publicznych opłacona została z tego jednego źródła. Gdyby państwo miało jedynie fiskalny wzgląd na oku, nie potrzebowałoby się troszczyć o postęp pijaństwa, ale przeciwnie szłoby mu o jego wzrost, gdyż ono samo zapełniłoby jego kasy. Na szczęście jednak, inne są jeszcze i ważniejsze warunki do uwzględnienia, wobec których fiskalny schodzi na podrzędne miejsce. Coraz jaśniéj społeczność zaczyna zdawać sobie sprawę z obowiązków jakie posiada zbiorowe ciało względem wchodzących w jego skład osobników. Już Bentham powiedział, że „jedyném zadaniem rządu powinno być uszczęśliwienie jaknajwiększéj liczby członków społeczności.“ Nie potrzeba bezwątpienia rozciągać téj opiekuńczéj działalności aż do uszczęśliwiania, ale wystarczyłoby zabezpieczyć im człowieczeństwo, gdyż cywilizacya podług sprawiedliwego określenia sprowadza się do coraz większéj przewagi humanitaryzmu nad zwierzęcością. Mąż stanu angielski, znajdujący się obecnie jeszcze na naczelném stanowisku wśród swego narodu, Glad-

stone, jest tego samego zdania i sprowadzając kwestyę obowiązku rządu względem społeczeństwa z abstrakcyjnych wyżyn do praktycznéj maksymy, postawił za zadanie prawodawcy ułatwiać urzeczywistnianie wszystkiego co jest dobrém a utrudniać to co jest złém. Nie można tedy wątpić, że władze publiczne w Anglii będą musiały prędzéj czy późniéj postawić przed sobą zagadnienie to w całéj jego rozciągłości i przedsięwziąć środki zaradcze.

Dłużéj oczów zamykać na kwestyę pijaństwa i gorących trunków niepodobna. Jak John Morley słusznie powiedział, od czasu rozstrzygnięcia kwestyi niewolnictwa nie miała ludzkość ważniejszéj sprawy przed sobą, jak zniesienie pijaństwa. Ale tu, tak samo jak tam, początkowanie wyjść winno z łona samego społeczeństwa: gdy ono jasno swe żądania sformułuje, rząd wprowadzić w czyn ich nie omieszka.

Społeczeństwo angielskie w swéj organicznéj całości, t. j. ci wszyscy, którzy są dość oświeceni, aby zdawać sobie sprawę z zachodzących wypadków, z ich przyczyn i ich skutków, wié dobrze, że nałóg pijaństwa jest publiczną i prywatną dla niego klęską. Wśród klas wyższych pokrywa się szatą przyzwoitości i zamyka się w progach szczelnie zazwyczaj zamkniętych klubów i domów prywatnych. Ale wśród klas niższych, ludowych, niepodobna go ukryć nawet gdyby do tego była ochota. Lecz ochoty téj nie ma. Lud stanowi taką zwartą i potężną masę, że nie ma potrzeby ukrywać swych wybryków: wszyscy ci, którzy go otaczają, dzielą mniéj więcéj jego sposób postępowania i są kolegami w nałogu. Szynk jest dla nich ciągłém miejscem pobytu. Mają jedynie trudność wyboru, bo się na każdym kroku znajdują, nieraz jest ich cztery na czterech rogach dwóch przecinających się ulic. Zwabia on do siebie jaskrawém światłem latarni: jak ćmy przybiegają do ich płomieni pijacy. W ciasnych salach, bez stołków zazwyczaj do siedzenia, stoją około szynkwasu i szybko wypiwszy jeden lub dwa kufle piwa, jedną lub dwie szklaneczki gorzałki, idą, dopóki grosz w kieszeni, do drugiego szynku, ażeby tam libacye powtórzyć. Nie wesołość i dobry humor, ale posępność i kłótliwy nastrój powstaje u pijących te trunki. Milczący odrazu nieraz przechodzą do bójek, które w sąsiedztwie każdego szynku są co wieczór zwykłém zjawiskiem. Żony, wyrywające mężów z tych zakładów, są poniewiérane i bite. Smutném następstwem tego stanu rzeczy jest, że wiele z nich téj saméj ulega pokusie i temu samemu nałogowi się oddają. W żadnym kraju nie ma tylu pijaczek, co w Anglii. Jeżeli pijak mąż jest nieszczęściem dla rodziny, to matka i żona pijaczka pogrąża raz na zawsze rodzinę w otchłań ruiny i nędzy —

rozprzęga ją. Nic okropniejszego, jak widok szynków londyńskich w dzielnicach ludowych: na wybrzeżach Tamizy, w porcie i dokach przejmują one dreszczem zgrozy najobojętniejszego widza. W sobotę robotnik przepija nieraz całotygodniowy zarobek i zrozpaczony po wytrzeźwieniu, nie widzi innego sposobu wyrwania się z piekła, w które się pogrążył, jak zanurzając się w jego czeluście ponownie. Kto nie widział robotników angielskich, bijących się u drzwi szynków albo kobiét z niemowlęciem u obwisłéj piersi, łykających gorzałkę, kto nie widział dzieciaków podkradających się do bocznych drzwi, aby za wyżebranego pensa kupić sobie kieliszek, ten o téj pladze społecznéj wyobrażenia miéć nie może, ten nie może zrozumiéć ferworu reformatorskiego, jaki się zrodził w sercach szlachetniejszych i patryotycznych.

Jednemu tylko dziwić się można, mianowicie temu, że zdrowe żywioły społeczne tak długo zostawały obojętne na szerzącą się plagę i że nie zorganizowały się wcześniéj do protestacyi, do propagandy i do stanowczego zagrodzenia jéj drogi. Były już wprawdzie w przeszłém stuleciu tu i owdzie miejscowe stowarzyszenia pijących wodę i herbatę a nie używających żadnego napoju alkoholicznego, ale ani przez swój rozgłos ani przez swą działalność nie mogą być poczytywane za jednoznaczne z obecnemi towarzystwami wstrzemięźliwości.

Datą narodzenia tych ostatnich był rok 1826. A stało się to nie na ściśle angielskiéj ziemi, ale w Stanach Zjednoczonych, w Bostonie. Założona tam *American Temperance Society* posłużyła za wzór dla wszystkich następnych, które po wytkniętym szlaku po prostu już tylko iść potrzebowały. Wielkie powodzenie, jakie towarzystwo to znalazło natychmiast u społeczności amerykańskiéj, dało bodziec do naśladownictwa najprzód w ściślejszéj a potém w szerszéj ojczyźnie. Dzisiaj nieraz pomiędzy przywódzcami angielskiego ruchu za wstrzemięźliwością daje się słyszéć zdanie, że Ameryka organizując towarzystwa pierwsze w tym celu, spłaciła z procentem i raz na zawsze wszelki dług, jaki kiedykolwiek względem Anglii zaciągnęła. Sąsiednia Kanada poszła niebawem za popędem Stanów Zjednoczonych a już w 1829 r., to jest w trzy lata po utworzeniu towarzystwa bostońskiego, wytwarza się takież w Irlandyi, w Belfaście. Znalazła agitacya tu grunt płodny, gdyż przed końcem tegoż roku było w Irlandyi już 25 towarzystw wstrzemięźliwości, liczących 800 członków. Z wysokości dzisiejszych cyfr te maluczkie początki zdawać się mogą niezasługującemi na wzmiankę nawet: z ich łona jednak wystrzeliła cała organizacya późniejsza. W Szkocyi za inicyatywą p. Dunlop w tymże roku zawiązuje się pierwsze towarzystwo przeciwko trunkom

alkoholicznym, a stamtąd w następnym r. 1830 przedostały się one do właściwéj Anglii, a mianowicie do miasta Bradford. Chociaż inne miasta angielskie a między niemi i Londyn poczynają wtedy organizować towarzystwa wstrzemięźliwości, urządzać meetingi, ogłaszać broszury i pamflety, to wszelako o prawdziwym ruchu i propagandzie nie było mowy aż do r. 1832, gdy powstało słynne towarzystwo w Prestonie. Od téj chwili silny grunt znalazły dla siebie. Duszą towarzystwa wstrzemięźliwości w Prestonie był Józef Livesey, handlarz wiktuałów: jest to osobistość zagrzana istotnie moralnym ferworem i zasługuje nietylko na przydomek angielskiego Franklina, ale na tę cześć, religijną nieledwie, jaką mu wszyscy adepci wstrzemięźliwości oddają. On i sześciu jego towarzyszy i przyjaciół, którzy pierwsi podpisali *pledge,* t. j. zobowiązanie nie używania żadnego gorącego trunku, zarówno wina, spirytusów jak i piwa, wskazali swym przykładem jedyny, praktyczny sposób zwalczenia pijaństwa. Przedtém nie miano odwagi rozciągać wstrzemięźliwości do wszystkich gorących trunków i doradzano umiarkowanie. Ale zbyt elastyczne to było pojęcie, ażeby posłużyć mogło za fundament dla odrodzenia masy: przez zostawioną szparę otwartą wciskało się pijaństwo znowu wstępnym bojem. Jedynie raz na zawsze wyrzekając się wszelkich trunków, mógł ten, co się na śliskiéj pochyłości ku nałogowemu pijaństwu znajdował, zaczerpnąć siłę moralną i fizyczne poparcie. Właśnie dlatego, że zobowiązanie do całkowitéj i bezwzględnéj wstrzemięźliwości miało w sobie coć heroicznego, że wymagało zaparcia się i ustawicznéj z sobą samym, z otoczeniem, z przyjętemi zwyczajami walki, pobudzało ono wszystkie wyższe i czystsze strony charakteru do działalności. Raz wszedłszy na tę drogę, złamawszy zakorzeniałe przyzwyczajenia, łatwiéj już było na niéj pozostać przez samo poczucie swéj godności osobistéj i przez oczywiste dowody korzyści materyalnych, jakie z nowego trybu życia płynęły.

Epidemia choleryczna 1832 r. była także klęską dla świéżo rozbudzającego się ruchu za wstrzemięźliwością, gdyż podług upowszechnionych wówczas opinii gorące trunki miały być antydotami. Mimo tego w tymże roku w saméj Szkocyi było już przeszło 50,000 członków tych stowarzyszeń a w Anglii i Irlandyi agitacya wzrastała. Livesey i jego towarzysze z Prestonu rozpoczynają swój misyonarski zawód, zatykając po okolicznych wsiach i miastach chorągiew wstrzemięźliwości, odbywając meetingi, rozrzucając w tysiącznych egzemplarzach broszury i odezwy. Nazwa *Tectotal, Tectotalizm,* z początku śmieszna, stała się powszechną; nowy wyraz, wszedł do słownika angielskiego i nowy prąd stawał się widoczny, wśród spo-

łeczności. Opinia publiczna tak dalece zaczęła się zajmować tą sprawą, że parlament, ten czujny jéj regulator, uznał za właściwe wyznaczyć ze swego łona wielką komisyę śledczą dla zbadania rozmiarów, przyczyn i następstw pijaństwa oraz zaproponowania zaradczych na nie środków. Niżéj zajmiemy się całością ustaw prawodawczych, odnoszących się do téj sprawy, tu jednak wydaje się stosownem powiedziéć, że już raport téj komisyi parlamentarnéj z 1834 r., wskazał cały szereg środków przechodowych oraz bezpośrednich do powstrzymania plagi pijaństwa. Nie brakowi rozpoznania złego ale zakorzeniałemu, egoistycznemu interesowi pewnych grup społeczeństwa przypisać należy ten potworny fakt, że w 60 lat po tym raporcie sprawa tak małe jeszcze uczyniła postępy. Niestrudzonym agitatorem za wstrzemięźliwością w łonie parlamentu był wówczas p. Buckingham, który zasługuje na wdzięczne wspomnienie u potomności; odgrywał on tę samę rolę, którą za dni naszych spełnia Sir Wilfried Lawson, ale z mniejszém niestety powodzeniem, gdyż opinia nie była jeszcze tak należycie przygotowana, jak nią jest obecnie. Dzieło moralnego odrodzenia społeczeństwa nie może być improwizacyą.

Brakuje nam miejsca do kreślenia obrazu coraz szerszego rozgałęziania się towarzystw wstrzemięźliwości. Każdy rok, każdy miesiąc o niém świadczy. Ruch obejmuje wiele miejscowości przedtem całkiem dlań obojętnych. Wszystkie klasy towarzyskie biorą w nim udział, co tém więcéj mogło zadziwiać, że wyższe drwiły z niego niedawno jeszcze. Duchowieństwo angielskie, które nietylko było obojętne, ale po prostu nieprzyjazne względem reformatorskiéj agitacyi, zaczyna zdawać sobie sprawę z popełnionego błędu i w niektórych kościołach rozpoczynają się kazania za wstrzemięźliwością. Tu zakładane są stowarzyszenia dla niedorostków, ażeby ich zawczasu wdrożyć do uczciwego życia, tam organizują się stowarzyszenia kobiét. Krzątać się zaczynają też filantropowie o rozpowszechnienie ich wśród armii lądowéj i morskiéj. Towarzystwa istniejące organizują filie, jedne rywalizują z drugiemi w sposobach propagandy: broszurki rozdawane są milionami egzemplarzy, powstają pisma peryodyczne, odbywają się meetingi, urzędowi ajenci towarzystw objeżdżają prowincye odległe, niosąc do nich dobre słowo; powstają różne zakłady i instytucye dla stowarzyszonych a między nimi hotele i restauracye, gdzie żadnych gorących trunków nie wolno gościom dostarczać.

Lecz w dziele propagandy jeżeli pomocnicze instytucye są użyteczne, to przedewszystkiém trzeba miéć apostołów, ludzi zagrzanych duchem nawracania i ulepszania. Nie brakło ich nigdy sprawie

wstrzemięźliwości w owych trudnych latach nowicyatu. Jedną z najpiękniejszych osobistości był ojciec Mathew, zakonnik Franciszkanin, Irlandczyk, rodem z Corku. Rodzaj magnetycznego czaru, jaki wywiérał na słuchaczy musiał być wszechpotężny, skoro w dziewięć pierwszych miesięcy swéj działalności w 1838 r. nie mniéj jak 156,000 osób podpisało akt zrzeczenia się używania gorących trunków. W czasie jego pielgrzymek po Irlandyi odbywały się sceny nadzwyczajne: duszono się u drzwi kościołów, w których kazał, siadywano na dachach domów i po piwnicach gdy przemawiał na placach publicznych, sypały się dary i podpisywano tłumnie akta zrzeczenia. Nie trudno było wtedy żywić nadzieję, że Irlandya, ta klasyczna ziemia pijaństwa, zostanie całkiem nawrócona; lecz u tego, pełnego zapału ale małéj wytrwałości plemienia celtyckiego nie podobna nigdy obrachować ściśle, co przygotuje przyszłość. Propaganda w ciągu kilku lat następnych była równie energiczna i równie skuteczna; liczba nawróconych liczyła się na krocie tysięcy a poziom przeciętnéj moralności publicznéj tak się podniósł, że nawet najżarliwsi przeciwnicy katolicyzmu musieli przyznać, iż w osobie Ojca Mathew dokazał on cudów, że przekształcił charakter swych ziomków. W ciągu jednego 1840 r. wypalono o 3,500,000 galonów *whisky* mniéj a dochód z akcyzy zniżył się o pół miliona funtów. Zaproszony do Szkocyi i Anglii i tam krucyaty swoje prowadził, ale chociaż i wśród ludności protestanckiéj wpływ jego był potężny i dziesiątkami tysięcy zbiérał akty zrzeczenia się, to widoczném było, iż uprzedzenie religijne, wstręt, jaki przed pół wiekiem budził „papizm,“ nie pozwoliły mu osiągnąć takich samych rezultatów jak w rodzinnéj Irlandyi.

Kiedy jedne towarzystwa wstrzemięźliwości rozwiązywały się, nie będąc wstanie przezwyciężyć napotykanych trudności miejscowych, zawiązywały się w innych hrabstwach i miastach drugie. Nie ma potrzeby rozszerzać się nad rozmaitemi przechodowemi fazami tego w nieustannym ruchu znajdującego się mrowiska. Faktem najwydatniejszym jest coraz widoczniejsza dążność do centralizowania drobnych stowarzyszeń w wielkie ciała zbiorowe. I tak w r. 1842 powstaje *National Temperance Society*, która jest po dziś dzień jedną z przewodniczących organizacyi, a w następnych latach inne, jak *United Kingdom Alliance* albo *National Temperance Federation*. Zwoływane przez nie coroczne wiece, urządzane z ich okazyi procesyonalne pochody, uczty, bankiety, były użytecznymi środkami w szerzeniu agitacyi. Każde z tych wielkich towarzystw ma swe organa prasy peryodycznéj i nie zaniedbują niczego, ażeby raz zdobytych adeptów utrzymać w swych szeregach.

Kościół urzędowy, który tak długo boczył się od towarzystw wstrzemięźliwości i z ich agitacyą nie łączył, uznał nakoniec w 1862 za właściwe utworzyć także swoje. Powstało ono wtedy pod nazwą *Church of England Temperance Society* i oddało od téj chwili, dzięki swemu stanowisku, wpływom i funduszom, wielkie usługi. Ażeby nie ścieśniać programatu swego, Towarzystwo kościoła anglikańskiego stanęło na dwoistéj podwalinie: całkowitéj wstrzemięźliwości i umiarkowanego używania gorących trunków. Kościół katolicki pod ożywczém tchnieniem kardynała Maninga także wytworzył pod nazwą Ligi Krzyża towarzystwo wstrzemięźliwości, rozwijające płodną działalność.

Tak wytrwała i tak wszechstronna działalność za wstrzemięźliwością skrystalizowała się obecnie w nadzwyczaj wielkiéj liczbie organizacyi. Nie podobna wymienić nam wszystkich i po prostu ograniczyć się wypada do grup przedniejszych.

Do pierwszéj należą towarzystwa działające na dorosłych, a rozpadające się na wszech-narodowe, prowincyonalne i miejscowe. Do najbardziéj czynnych należą: Liga Brytańska wstrzemięźliwości, któréj prezesem jest znany mąż stanu p. Caine, Towarzystwo narodowe wstrzemięźliwości, w którém prezyduje lord biskup Londynu, Ligi Narodowe Szkocka i Irlandzka oraz Ligi północna, południowa, Walijska, Dorsetu i inne. Każda z nich rozporządza budżetem kilku tysięcy funtów rocznie, posiada samodzielną administracyę, biura centralne i prowincyonalne i nie ma wątpienia, że bierze swe zadanie na seryo.

Do drugiéj grupy należą towarzystwa, które zwróciły się do młodego pokolenia i zamłodu wszczepiają w nie zasady czystéj moralności. Najpierwsze miejsce pośród nich zajmuje Unia Nadziei. Dzieli się ona na rozmaite gałęzie i związki. Ażeby dać wyobrażenie o ich liczbie wymienimy tylko dwie cyfry statystyczne za rok ostatni, odnoszące się do organizacyi zależnéj od sekty metodystów wesleyańskich. Związków Nadziei było 3,882, a liczba członków należących do tych związków 400,167. *Ab uno disce omnes.* Bezwątpienia, że do trzech milionów chłopców i dziewcząt należy już obecnie w Wielkiéj Brytanii do Unii Nadziei.

Do następnéj grupy należy Związek dobrych templaryuszy (*Good Templars Order*), Liga błękitnéj wstążki i inne tego rodzaju stowarzyszenia. Pierwsza z wymienionych, pochodzenia amerykańskiego, ma loże, jak wolnomularze i wiele obrządków, form i ceremonii pokrewnych z nimi. Przy ich pomocy spodziéwają się rozbudzić wyobraźnię i skłonić do energicznego działania. Liga błękitnéj

wstążki jest zewnętrznym znakiem członków stowarzyszeń; rozpowszechniona pomiędzy ludowemi warstwami społeczeństwa, jest ta wstążeczka dla nich skutecznem poleceniem, gdy szukają pracy lub miejsca stałego. Nie ma chlebodawcy, któryby nie przełożył tak udekorowanego kandydata nad równie może uzdolnionego ale nie dającego mu rękojmi uczciwości.

Daléj wymienić wypada grupę obejmującą stowarzyszenia dobroczynne, specyalnie założone dla członków i uczestników towarzystw wstrzemięźliwości. Pierwsze miejsce zajmuje tutaj Towarzystwo ubezpieczeń, o kapitale 5,000,000 f. szt. a liczące 80,000 członków i kilka innych, współzawodniczących z niém; szpitale, domy sierot, etc.

Jako dwie ostatnie grupy figurują nakoniec towarzystwa wstrzemięźliwości dla żołnierzy i majtków. Czynią one niezmiernie wiele dobrego dla armii, a że się szerzą, za dowód posłużyć może urzędowy wykaz za rok ostatni, gdzie w saméj sekcyi indyjskiéj było członków 18,000.

Nie podobna jest nawet w przybliżony sposób obliczyć ilości członków, zapisanych do tych różnych stowarzyszeń, choćby dlatego, że nie jeden należy do kilku rozmaitych towarzystw. Ale nikt z zajmujących się sprawą, nie wątpi, że na sześć do siedmiu milionów już członkowie wstrzemięźliwości się liczą w Wielkiéj Brytanii. Jest to rezultat nie do pogardzenia. Każdy, kto od dłuższego czasu zamieszkuje tutaj, może własném doświadczeniem stwierdzić zwiększające się zastępy stowarzyszonych. Już obecnie nie boją się śmieszności i czują za sobą siłę i solidarność milionów. Nie tylko do warstw ludowych ale i do klas wyższych zwraca się propaganda. Księżna Rutland, księżna Bedford, lady H. Somerset i lady N. Cavendish zajmują pierwsze miejsce pomiędzy agitatorkami, a odczyt téj ostatniéj na zjeździe kościelnym w Folkestone, w roku zeszłym, nie przestał jeszcze być rozważanym: rzucił on pewne światło na zwyczaje istniejące i rozpowszechnione u kobiét klas wyższych. Powoli obyczaje się zmieniają. Nietylko, że służący nie otrzymują już obecnie piwa i wódek, jak do tego byli przyzwyczajeni dawniéj a w zamian czego wartość trunków pieniężna jest im zwracana, ale wśród warstw wykształconych reforma jest widoczna. Było zwyczajem w Anglii, po obiedzie, gdy stół opuściły damy, że na okół niego zostawali mężczyźni i pijatyka trwała do chwili wybijającéj godziny odjazdu. Należy to już teraz do przeszłości i rzadkie są domy, gdzieby mężczyźni nie powrócili do salonu, do niecierpliwie ich oczekujących kobiét. Są to drobiazgi zapewne, ale postawione jedne obok drugich, świadczą, że

o przyzwoitości i o moralnośćności inne sobie obecnie czynimy wyobrażenie, aniżeli miało to miejsce w poprzedzającém nas pokoleniu. Obrazy, które kreślił Karol Dickens, stały się, pomimo nie odległéj ich daty, archeologicznym zabytkiem.

III.

Doszedłszy do tego punktu w badaniu kwestyi gorących trunków, każdy uważny czytelnik będzie w stanie objąć jedném spojrzeniem dwie jéj strony i zdać sobie sprawę z niepogadzalnego, jak się zdawać może, pomiędzy niemi przeciwieństwa. Istotnie, nikomu na myśl nie przyjdzie zaprzeczać strat ekonomicznych, jakie świat wielkobrytański ponosi wskutek używania gorących trunków, strat materyalnych zarówno jak moralnych. Równocześnie niepodobna odmówić hołdu czci i szacunku dla ludzi, którzy się poświęcili szlachetnemu zadaniu wyzwolenia swego społeczeństwa z téj plagi; niepodobna zaprzeczyć, że wysiłek towarzystw wstrzemięźliwości i ich organizacyi jest olbrzymi, podziwu godny. Lecz trzebaby posiadać wyjątkową dozę optymizmu, aby powiedziéć słowami poety *ceci va tuer celà.* W przeciągu 70-letniego swego istnienia towarzystwa wstrzemięźliwości zrobiły niezaprzeczenie wiele dobrego, podniosły zapewne moralny dyapazon społeczny, ale pijaństwa nie zniweczyły. Obecnie, tak samo jak przed ich utworzeniem, Wielka Brytania traci przez trunki najlepsze swe siły. Wobec 141 milionów funtów szt. rzuconych w ostatnim jeszcze roku w paszczę tego smoka, trzeba być naiwnym, aby widziéć naród angielski nawróconym. Nieubłagane fakta dmuchają mroźnym wiatrem na różane złudzenia. Wrzucono dobre ziarno w glebę, to prawda, ale zanim wzejdzie, kto wié, co się ze społeczeństwem tém stanie. Pascal jeszcze powiedział, że człowiek jest na pół aniołem, a na pół bydlęciem. Towarzystwa wstrzemięźliwości starają się wzmódz ów dodatni żywioł, ale dotąd rezultat nie jest na wysokości wysiłku: zawsze zwycięża bydlę.

Gdyby się tedy spodziewało radykalnego wyleczenia narodu z nałogu pijaństwa przez środki bezpośrednio stosowane przez filantropijnych agitatorów wstrzemięźliwości, nie podobnaby się było wstrzymać od rozpaczy i uważać walkę z żywiołem ujemnym za niepodobną. Ale na szczęście tak nie jest. Agitacya ta, sama w sobie bezsilna, miała wytworzyć wśród społeczności opinię publiczną i przygotować dla niéj pole działalności. Tego udało się jéj dokonać. Nie ma dziś nikogo, ktoby nie znał istnienia plagi społecznéj i nikomu nie wolno pozostać obojętnym widzem walki, która się bez przerwy od-

bywa: trzeba stanąć albo po stronie fabrykantów spirytusów i szynkarzy, albo po stronie narodu, który oni zatruwają i wyzyskują. Opinia raz ustalona znajdzie sposób ujawnienia się w czynie. Tam, gdzie pojedyńcze jednostki i zbiorowe organizmy nie podołały, tam podoła wszech-organizm, państwo i jego wyraz — prawo. Uciec się pod jego skrzydła, otrzymać od prawodawcy, od parlamentu broń przeciwko złu nurtującemu podwaliny narodowego bytu — oto co każdy umysł praktyczny uznał za niezbędną, za naglącą konieczność. W ten a nie w inny sposób tylko da się łeb zetrzéć hydrze.

Prawa regulujące w Anglii produkcyą, handel i spożywanie gorących trunków—*Licensing laws*—są jak wszystkie inne prawa pozbawione systematyczności, krzyżują się jedne z drugiemi, błąkamy się w nich, jak wśród gęstwiny leśnéj; ale nie można zaprzeczyć, że istnieją, że w ten lub ów sposób zawsze się prawodawca niemi zajmował i że nic nie stoi na zawadzie, ażeby wszechwładny parlament i w przyszłości takie samo wziął na się zadanie. Nieraz już chwytał się on radykalnych środków. Nie potrzeba schodzić aż do XVI-go stulecia, gdy za Edwarda VI-go dystylacya spirytusów została wzbronioną, bo nawet w naszém, w Irlandyi po dwakroć w 1810 i 1813 roku, dla ocalenia ludu od głodowéj śmierci wzbroniono wypalać okowitę ze zboża i produkcya spirytusu spadła tam natychmiast z 7,500,000 na 4,300,000 galonów. Jako istotnie obowiązujący do chwili obecnéj jest *Licensing Act* z r. 1828. Na jego mocy prawo udzielania patentu na utrzymywanie szynku i sprzedawanie gorących trunków jest w ręku władzy sądowniczéj i patenta te są wydawane tylko na rok jeden, a po jego upływie odnawiane być winny. W r. 1830-ym wydany został słynny *Beer Act* w celu faworyzowania piwa kosztem spirytusów i odjął on władzy sądowniczéj posiadane przez nią od trzech wieków prawo udzielania patentów szynkarzom, a oddał je w ręce biura akcyzy; ale po upływie pięciu lat rzeczy wróciły, z małemi wyjątkami, do dawniejszego stanu. Od r. 1848 datuje się pierwsze ścisłe prawo, ograniczające sprzedaż gorących trunków i zamykanie szynków w niedziele i dni świąteczne przez kilka godzin. W Szkocyi, gdzie taki sam przepis stał się obowiązującym od r. 1854-go, ale surowszy, konsumcya gorących trunków zmniejszyła się od razu o 15 milionów galonów.

W r. 1864-ym po raz pierwszy sir Wilfried Lawson wniósł w izbie gmin tak zwany *Permission Bill*. Stanowił on, że w każdéj miejscowości dwie trzecie części mieszkańców, płacących podatki, mogą nie dozwolić otwierania szynków i wydawania patentów szynkarzom. Był to pierwszy krok w dziedzinie prawodawczéj młodego

wówczas baroneta. Aż do chwili obecnéj stoi na wyłomie, niestrudzony, pełen nadziei. Jest on głową całego stronnictwa wstrzemięźliwości, prezesem *United Kingdom Alliance*, rodzajem papieża czczonego i wpływowego więcéj, aniżeli niewtajemniczeni w stosunki angielskie wyobrażać sobie mogą. Negocyuje on z gabinetami jako potęga z potęgą; jeżeli p. Goschen, kanclerz skarbowości w ostatnim gabinecie lorda Salisbury, zmuszony był wycofać swój niefortunny bill o kompensacie pieniężnéj dla szynkarzy, których szynki byłyby zamknięte, było to następstwem *quos ego*, które mu sir Wilfried Lawson cisnął z oburzeniem; jeżeli nakoniec obecny gabinet przedłożył bill o *Local Veto*, prawie taki sam jaki sir Wilfried na każdéj sesyi parlamentu ze swojéj inicyatywy przedstawiał, to skłoniony do tego został przez jego wpływ. Stanowisko jego zostało zresztą wymownie postawione przed całym światem Wielkiéj Brytanii przed kilku miesiącami, gdy urządził w Hyde Parku wielki meeting zwolenników wstrzemięźliwości. 100,000 publiczności, które brały udział w téj nadzwyczajnéj manifestacyi, sprawiło wielkiemu organizatorowi owacyę, która była istotną jego apoteozą. Sir Wilfrid był dobrym strategiem. Wnosił on zawsze swój bill, pozyskiwał dla niego przy pierwszém, a późniéj w drugiém jego czytaniu pewną, a coraz wzrastającą liczbę głosów, i zadawalniał się tém moralném zwycięstwem. Wiedział dobrze, że gdyby do prawdziwéj walki parlamentarnéj przyszło, zostałby na łeb pobity. Rząd nie żywił dlań sympatyi, a pan Gladstone, ów szlachetny idealista, nigdy wielkości téj sprawy nie chciał zrozumiéć: będąc praktycznym finansistą, nie spuszczał z oka interesów skarbu, dochodów zapewnionych mu przez spożywanie gorących trunków i dopiéro w tym roku zgodził się wciągnąć do swego programatu reformę sprawy trunkowéj.

Local option, t. j. decyzya w każdéj gminie albo parafii, co do ilości szynków i udzielanych patentów dla szynkarzy, zasada, która stawiała rozstrzygnięcie kwestyi w ręku tych, którzy przedewszystkiém są w niéj interesowani, kierowała sir Wilfriedem Lawson w rezolucyach, jakie przedstawiał parlamentom z kolei w latach 1879, 1882 i 1883. Różne inne bille, które były raz albo dwa odczytywane na każdéj z następnych sesyi, wszystkie z téj lub owéj strony napastowały produkcyę i konsumcyę gorących trunków. Ale nie można zaprzeczyć, że radykalizm, z jakim towarzystwa wstrzemięźliwości chciały tę sprawę rozwiązać przez wiele lat, o wiele pierwéj aniżeli opinią powszechną sobie pozyskały, stawał także na przeszkodzie wprowadzeniu w czyn ich aspiracyi. Zapominały one, że na każdym kroku groziły interesom materyalnym potężnéj partyi narodowéj, że

koalicya téj gałęzi przemysłu i wytwórczości, która podług smutnego określenia p. Chamberlain'a jest *par excellence* narodową, nie da się zdławić bez protestu, że izba gmin jest napełniona gorzelnikami, a że kwiat dziedzicznych lordów, zasiadających w izbie wyższéj, wyrósł na tymże samym gruncie i że miliony, które mu służą za podścielisko, nie uszlachetniły ich wprawdzie, ale uczyniły ich hardziejszymi i butniejszymi. Zapatrzeni w swój ideał ci, co wraz z sir Wilfriedem Lawson prowadzili kampanię parlamentarną, odrzucili ze zgrozą proponowaną przez ostatni gabinet zachowawczy reformę. Polegała ona, przy utworzeniu rad prowincyonalnych po hrabstwach, na oddanie tym ostatnim policyi i nadzoru nad sprzedażą gorących trunków, i na nadaniu im prawa skupowania patentów szynkarzy.

Taka radykalna, nieprzejednana polityka doczekała się nareszcie dnia nie powiemy zwycięstwa, bo go jeszcze nie ma — ale dnia pomyślnego. Woda przyszła nareszcie na ich koło z objęciem władzy przez obecny gabinet liberalny Gladstona. Wywiązując się z przyjętego podczas agitacyi wyborczéj zobowiązania, a uznając potęgę stronnictwa wstrzemięźliwości, ministeryum wniosło w marcu r. b. bill, który, jak powiedziane było wyżéj, jest zgodny z dawniéj wnoszonemi propozycyami sir Wilfrieda Lawson. Nic dziwnego, że ten ostatni, czyniąc zastrzeżenia, iż jestto, zdaniem jego, dopiéro pierwszy krok w dobrym kierunku, wyraził swe pełne zadowolenie z jego brzmienia i obiecał rządowi stałe poparcie przyjaciół wstrzemięźliwości. Podług propozycyi rządu, która naturalnie ma inną zupełnie doniosłość, aniżeli bill z prywatnéj inicyatywy wyszły, każda parafia, gmina i municypalność, może zamknąć u siebie szynki za uprzednią zgodą dwóch trzecich części płacących podatki mieszkańców. Nietylko zamknąć będą mogli szynki istniejące, ale odmówić udzielania patentów na otwieranie nowych. Ma także być w atrybucyach rady gminnéj zastąpienie częściowego zamykania szynków w niedziele i święta kościelne przez całkowite ich zamknięcie.

Ponieważ stronnictwo wstrzemięźliwości, zmieniając dotychczasową taktykę, oświadcza, iż się na projekt rządowy zgadza, można przypuścić, iż wejdzie on w czyn. Nie trzeba się jednak łudzić nadzieją, ażeby kwestya została ostatecznie rozwiązaną w ten sposób. Bynajmniéj. Sam sir Wiliam Harcourt, kanclerz skarbu w obecnym gabinecie, wnosząc ów bill, oświadczył, iż zdaje sobie z tego sprawę. Ale i ten nie przejdzie bez zażartéj opozycyi popleczników szynkarzy; lepiéj tedy zostawić bardziéj skomplikowane kwestye prawa o gorących trunkach przyszłemu parlamentowi. Trzeba będzie przekonać się naprzód, czy znaczna liczba gmin będzie chciała ze służące-

go sobie prawa zamykania szynków korzystać. Wiemy z doświadczenia, że jestto plan wykonalny, bo w jakich 600 parafiach południowéj Anglii oddawna już ani jednego szynku nie ma; nie ma go także w całych dobrach należących do majoratu lorda Shaftesbury, wielkiego filantropa, nie ma go nawet w jednym z cyrkułów Londynu, Queen's Park. W tych miejscowościach każdy, chcący kupić butelkę albo beczkę wina, piwa lub wódki, może kupić ją w sklepach, albo sprowadzić z hurtownych składów; nikt mu nie zabrania we własnym domu pić, ile mu się podoba. Ale nie ulega wątpieniu, że pijaństwu położona jest w ten sposób największa faktycznie zapora.

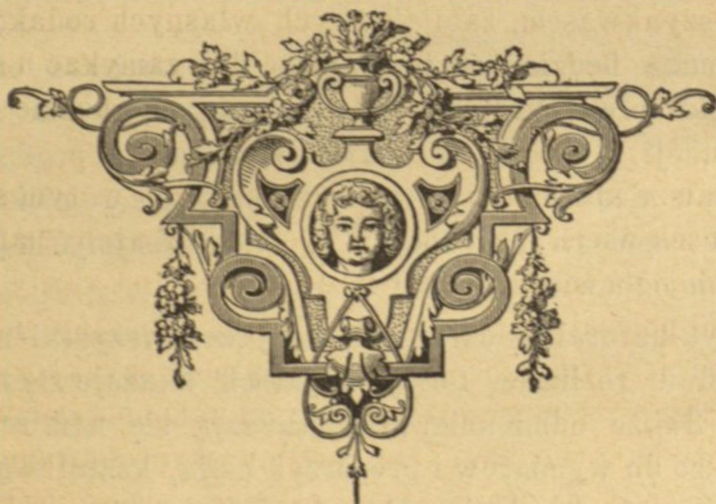
Przyjęcie tego billu rozstrzygnie *ipso facto* bardzo ważną sporną kwestyę kompensaty dla szynkarzy, których szynki będą zamknięte. Stronnictwo zachowawcze było zawsze zdania, że się wywłaszczonym należy indemnizacya; ale stronnictwo liberalne w zgodzie z towarzystwami wstrzemięźliwości utrzymywało, że patent sprzedaży wydawany był zawsze tylko na przeciąg jednego roku, że zatém niepodobna go uważać za własność prywatną, skonfiskowaną przez państwo. Mogli właściciele niewolników oswobodzonych w r. 1833 otrzymać kompensatę 20 milionów funtów szterlingów, ale jak trafnie powiedział sir Wilfried, naród tak samo nie potrzebuje indemnizować szynkarzy, jak nie potrzebuje budować dla nich domu inwalidów: starzy weterani na polu bitwy zabijali wrogów ojczyzny, a szynkarze, poprostu stojąc za szynkwasem, zabijali swych własnych rodaków. Jeżeli tedy każda gmina będzie mogła otwierać lub zamykać u siebie szynki, o żadnéj narodowéj indemnizacyi mowy już nie będzie być mogło w przyszłości.

Jakie dalsze kroki mogą być przedsięwzięte w tym samym kierunku? Jest ich wiele. Niektórzy proponują, ażeby państwo ograniczyło *proprio motu* liczbę szynków do jednego na każdy tysiąc mieszkańców; inni polecają ścisły i surowy dozór policyjny nad dozwolonemi szynkami i kryminalną odpowiedzialność szynkarzy za każde popełnione przez pijaków przestępstwo; inni nakoniec zadowolniliby się przeniesieniem na grunt angielski systemu wypróbowanego w Szwecyi i znanego pod nazwą Gothenburskiego. Dość będzie zresztą przypomnieć, że w wielu koloniach Wielkiéj Brytanii kwestya ta cała rozwiązaną została oddawna ku powszechnemu zadowoleniu miejscowéj ludności. Macierz może się wiele od córek nauczyć.

Nie ulega bądź co bądź wątpliwości, że cała agitacya uczyniła wielki krok naprzód i że zbliża się chwila krystalizacyi. Rzecz uwagi godna także, że nikt w Anglii nie kładzie już wielkiego nacisku na

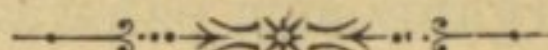
ewentualną utratę dochodu skarbu publicznego. Przypominamy jednakże, że wynosi on przeszło jedną trzecią część całego skarbowego dochodu. Obojętność na to jest nie tyle następstwem wstydu, że państwo żyje z zabijania i okradania swych obywateli, ile z coraz bardziéj gruntującego przeświadczenia, iż stracone w ten sposób dochody będą natychmiast odzyskane, a niebawem i z nadmiarem, z innych źródeł wytwórczości krajowéj, z powiększonego podatku dochodowego i t. d. Cała kwestya stoi na gruncie moralności i argumenta hygieniczne, ekonomiczne, prawne, fiskalne stają tylko jako armia dodatkowa. Widzieliśmy, jakiéj jest ona siły i ci nawet, którzy sceptycznie spoglądają na umoralnienie masy, nie są obojętni na te praktyczne względy. W takim stanie rzeczy nie ma powodu tracić nadziei, że Wielka Brytania energicznie weźmie się do dzieła narodowego i że wskaże innym organizmom państwowym drogę do dopięcia tego samego celu.

Dr. M. E. Trepka.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



Zadania fizycznej antropologii. — Jedność rodu ludzkiego. — Zadania lingwistyki, geologii, paleontologii i archeologii. — Antropologia w usługach nauk społecznych. — Metoda badań antropologicznych. — Pierwotni mieszkańcy Ameryki. — Barwa skóry i jéj przyczyny. — Deformowanie głowy i źródło tego zwyczaju. — Wielość ras pierwotnych ludów Ameryki. — Pochodzenie pierwotnego człowieka amerykańskiego. — Archeologiczne badania w Ameryce. — Wspólność pochodzenia rodu ludzkiego.

Czego chce fizyczna antropologia? Co zamierza ona osiągnąć i czém przyczynić się do ostatecznych zadań antropologii ogólnéj? Pytanie te stawia strasburski profesor anatomii G. Schwalbe w niedawno wygłoszonym odczycie „o niektórych zagadnieniach antropologii fizycznéj..." [1]). Posłuchajmyż w jaki sposób dochodzi on do odpowiedzi na nie.

Historya naturalna człowieka ma przedewszystkiém za zadanie opisać dokładnie rozliczne formy, w jakich ukazuje się nam obecnie ród ludzki. Jakże odmiennie przedstawiają się nam zamieszkujące ziemię ludy co do wymiarów i proporcyi ciała, kształtu głowy i twarzy, barwy skóry i uwłosienia. Czyż nie jest więc usprawiedliwioném, ażeby na podstawie tych rożnorodności cielesnych przeprowadzić podział na rasy, lub, jeśli kto woli, na odmiany rodzaju ludzkiego? Badacz z konieczności dochodzi do przekonania, że niezbędném jest troskliwe regestrowanie wszystkich tych zmiennych cech ciała, tak,

---

[1]) G. Schwalbe. „Ueber einige Probleme der physischen Antropologie." Strassburg, 1893.

że w tej dziedzinie studya anatomiczne uznaje za narzędzie, które pozwoli stworzyć anatomię ras. Lecz im bardziéj się tu zagłębiamy, tém na większe natrafiamy trudności w ujmowaniu tych różnic pomiędzy ludami, które z początku tak wielkiemi się nam wydawały. Stopniowe, a nader liczne przejścia pouczają, że granice, któreśmy z taką łatwością nakreślili, są sztuczne. Najniższe rasy nie przedstawiają tak grubéj, surowéj organizacyi, ażebyśmy ich poczytywać nie mieli za ludzi naszéj krwi i ciała, a z drugiéj strony najwyżéj stojące odmiany człowieka wskazywać mogą cechy cielesne, których nie zawahamy się nazwać zwierzęcemi. I oto dochodzimy do wniosku o jedności rodu ludzkiego. Wszyscy obecnie ziemię naszą zamieszkujący ludzie anatomicznie — pomimo tych i owych różnic — tak ściśle są ze sobą spowinowaceni, że musimy uważać, iż wszyscy jednego, wspólnego są pochodzenia.

Zgodziwszy się zaś na to, dochodzimy do dalszego rezultatu, że w pierwotnych początkach rodu ludzkiego nie mogły jeszcze istniéć różnice, na podstawie których bylibyśmy uprawnieni do rozgraniczania ras. A stąd nowe płyną pytania rozmaitéj natury. Jakie były przyczyny wytworzenia się różnic rasowych? W jakim stopniu jest prawdopodobném, że różnice te może były spowodowane przez stosunki klimatyczne, przez rozmaite warunki walki o istnienie, któréj w wędrówkach z pierwotnéj swéj ojczyzny ludzie podlegali? Czy obecnie jeszcze dostrzegalne cechy rasowo-anatomiczne pozwolą rozstrzygnąć, jakie z żyjących dziś ras najwierniéj zachowały ciałoskład pierwotnego człowieka i wreszcie — gdzie umieścić należy kolébkę rodu ludzkiego?

Wszystko to są zagadnienia, należące do dziedziny badań anatoma. Co prawda, zaprzeczyć nie można, że i porównawczym badaniom językowym duże przypada znaczenie w sprawie wykrycia związku pomiędzy rozmaitemi ludami. Lecz nie zdaje się, ażeby lingwistyka sama — bez uwzględniania cielesnéj genealogii człowieka — była powołana do zbudowania syntezy rodu naszego.

Lecz cóż daléj? Czy w tém miejscu stanąć ma antropologia, czy nie powinna zająć się wybadaniem stanowiska człowieka w przyrodzie? Czy nie ma przeniknąć w sprawę pochodzenia rodu ludzkiego? Nikt oczywiście badaczowi zapór stawiać nie może. Lecz innych już narzędzi potrzeba mu przy usiłowaniach rozstrzygnięcia tych ostatnich pytań. Kiedy anatom w studyach nad rasami opiéra się na własnych swych siłach, po pomoc tylko sięgając do porównawczych badań językowych i do etnografii, tutaj natomiast wstępuje już na pole, gdzie napozór otwarte są wrota dociekaniom spekulacyjnym,

gdzie pewny grunt zdaje z pod nóg się usuwać. Najbliższą dziedzinę stanowią tu geologiczne uwarstwowania skorupy naszéj planety, oraz znajdowane w nich szczątki towarzyszów człowieka — zwierząt, narzędzi i sprzętów. Geologia, paleontologia i archeologia wspólnie działać tu muszą, aby z łona ziemi wyrwać tajemnicę pierwocin istnienia człowieka; anatomii zaś przypada w udziale porównywanie tego, co po pierwotnym pozostało człowieku, ze zwierzęciem i człowiekiem współczesnym. W ten sposób bez podań ustnych i piśmiennych odtwarzają się dzieje najwcześniejszych okresów życia ludzkiego.

Streściliśmy tu w najkrótszych rysach idealne, czysto naukowe zadania antropologii fizycznéj. Lecz na tem nie kończy się sfera jéj działania. Zwłaszcza w ostatnich czasach podejmowane są zadania w innym zupełnie kierunku, zadania, zmierzające ku zaprzężeniu antropologii w usługi nauk społecznych, uczynienia jéj pomocnicą tychże. Przedewszystkiém wspomniéć należy o tak popularnym obecnie ruchu, usiłującym przeciwstawić cielesne własności przestępców cechom anatomicznym ludzi moralnie zdrowych. Wyrosła stąd nie jedna śmiała hypoteza, niezdolna odeprzéć zarzutów surowéj krytyki. Natomiast największego nabiérają praktycznego znaczenia starania Bertillona, który na zasadzie dokładnych pomiarów i opisu poszczególnych części ciała stara się stwierdzić indywidualność przestępców w celu następnego stwierdzenia tożsamości obwinionego.

Lecz wszędzie na polu antropologii fizycznéj, zarówno w dziedzinie czysto teoretycznéj, jak i praktycznéj, niezmiernie utrudnione mamy zadanie wskutek niesłychanéj zmienności wśród jednéj i téj saméj odmiany ludzkiéj oraz ustawicznego mieszania się, krzyżowania ludów. Zbadanie przeto różnic cielesnych w rozmaitych rasach wymaga nieodzownie olbrzymiego szeregu poszukiwań. Nie poszczególny osobnik, lecz suma wielkiéj liczby osobników reprodukuje właściwości owéj rasy. Trzeba więc opiérać się na dużych szeregach liczb, a w tym celu antropologia posługuje się metodami statystyki. Zestawienia graficzne i kartograficzne są tu pożądanemi środkami pomocniczemi i obrazowo ilustrują rozmaitość w wymiarach cielesnych właściwości wśród grupy indywiduów lub w granicach określonego obszaru ziemi.

Po ogólnych tych rozważaniach postaramy się na konkretnym wypadku objaśnić metodę badania antropologicznego [1]). Zajmiemy

---

[1]) Czytelnika, bliżéj interesującego się obecnym stanem antropologii etnicznéj, odsyłam do wydanéj świéżo książki p. L. Krzywickiego p. t. „Ludy" — Warszawa, 1893.

się w tym celu bliżéj pytaniem o pierwotnych mieszkańcach Ameryki. Zagadnienie to wdzięczny stanowi przedmiot dla myślącego antropologa a z drugiéj strony na pierwszy plan występuje ono właśnie obecnie, kiedy nie przebrzmiały jeszcze echa obchodu 400-setnéj rocznicy chwili powrotu śmiałego żeglarza, który zdumionemu, staremu światu przyniósł wieści o istnieniu ziemi i ludzi za morzem. Dla antropologa jest coś niezmiernie nęcącego w badaniu mieszkańców téj ziemi, która przed Kolumbem, odcięta przez naturalną granicę niezmierzonych mórz, prowadziła zupełnie odrębne istnienie. Nie można bowiem uwzględniać wczesnego zetknięcia się północno-wschodnich części Ameryki północnéj z Normanami, którzy żadnych wieści o tem najbliższemu choćby swemu otoczeniu nie zakomunikowali. Hiszpańscy żeglarze napotkali więc zupełnie przedtém nieznane obszary.

Jakżeż — zapytajmy — wyglądali owi ludzie, którzy ukazali się Hiszpanom na wyspach Bahamskich, na Kubie i Haiti, jaką była ich budowa cielesna? Na starych mapach, z czasów niewiele wcześniejszych od odkrycia Ameryki, np. na słynnym globusie Behaima, dziwaczne stworzenia, ludzie-ryby i inne potwory morskie zamieszkują obszerne, bogate w wyspy, morze pomiędzy zachodniemi wybrzeżami Europy a wschodniemi brzegami dalekich Indyi. Zagadkowe wyspy są tu rozmieszczone, Atlantis, Antilia i dodane uwagi, że żyją na nich dziwaczni ludzie. Istotnie towarzysze Kolumba spodziéwali się znaleść takie stworzenia. Lecz jakże inaczéj było w rzeczywistości. Kiedy jutrzenka 12 grudnia 1492 roku rozdarła mgłę, zasłaniającą tajemniczą krainę Guanahami, ukazali się Hiszpanom dobrze ukształtowani, niewinni ludzie, wprawdzie prostéj niezmiernie kultury, lecz tak, jak oni sami, zbudowani. Oto własne słowa Kolumba: „Pięknego bardzo byli wzrostu, piękne mieli ciała i twarze; oczy są ładne i bynajmniéj nie małe; barwa skóry nie jest czarna, lecz taka jak i mieszkańców wysp kanaryjskich.“ A oto, co daléj czytamy o ludziach zamieszkujących wyspę Haiti. „Chrześcianie powiadają, że w porównaniu z innymi krajowcami mężczyźni i kobiéty są stanowczo ładniejsi aniżeli widziani dotychczas; były tam kobiéty prawie tak białe jak hiszpanki.“ A gdy nareszcie w trzeciéj swéj wyprawie Kolumb odkrył ląd u ujścia Orinoko, zdumiony był niemało, że zarówno tutaj, jak i na sąsiedniéj wyspie Trynidad napotkał jeszcze jaśniejszych ludzi. I całkowity ich obraz cielesny sprawiał najlepsze wrażenie, czego dowodem, że Piotr Martyr w swoich: „*Decades de rebus oceanicis*“ nie waha się porównywać dziewcząt z wyspy Haiti z najpiękniejszemi dryadami i nimfami.

Lecz jednocześnie dostrzegli Hiszpanie już wówczas znaczne ró-

żnice pomiędzy mieszkańcami Nowego Świata. Pod względem kultury materyalnéj, co prawda, wszyscy na jednakowym stali stopniu, gdyż wszystkim obcą była znajomość żelaza; znajdowali się oni jeszcze w okresie kamienia, jak zresztą i wyżéj umysłowo stojące ludy Meksyku, środkowéj Ameryki i Peruwii. Lecz inne cechy je różniły. Już podczas pierwszéj podróży Kolumba dowiedziano się, że małe Antylle są zamieszkane przez innych ludzi, o innych właściwościach cielesnych, ludzi dzikszych i wojowniczéj natury. A dzicy ci kanibale, Karaibowie, etnograficznie i cieleśnie dobrze są scharakteryzowani w listach Kolumba. Położony jest tu nacisk na zniekształcenie ich twarzy, co w osobliwszym, według Kolumba, pozostawać ma związku z antropofagią. Chodzi tu mianowicie o sztuczne odkształcanie głowy, z którém Hiszpanie, przenikając daléj na nowym kontynencie, spotykali się na każdym kroku. W następstwie przybysze postrzegali to samo nie tylko śród Karaibów, lecz i na wyspach Bahamskich, a nawet u Peruwiańczyków.

Zatrzymajmy się tu chwilkę i starajmy się odpowiedzieć na pytanie: jaką korzyść osiągnęła antropologia dzięki właśnie naszkicowanym spostrzeżeniom o fizycznéj naturze mieszkańców odciętego dotąd świata?

Że Hiszpanie napotkali ludzi, a nawet ludzi o przyjemnéj powierzchowności, zapewne najmniéj nas to zdziwi. A jednakże zasługuje ten fakt na pilną uwagę ze względu na okoliczność, że cechy cielesne owych ludzi mniéj wydawały się różnemi od cech ludów europejskich, aniżeli właściwości pogardzanych murzynów starego świata. Lecz o tém późniéj jeszcze.

Najbardziéj zajmujące są spostrzeżenia nad barwą skóry, o któréj już sam Kolumb podaje pewne teoretyczne rozważania. Rozpowszechnione było podówczas mniemanie, że ludzie tém są ciemniejsi, im bliżéj mieszkają równika. Otóż Kolumb powiada: „Wszelako na odkrytéj przezemnie stronie ziemi stosunki są inne i zniewalają do innych wniosków. Bo na wybrzeżu Afryki, pod równoleżnikiem Arguin widziałem ludzi ciemnych, a ziemia była jak wyżarzona. Na szerokości Zielonego Przylądka krajowcy jeszcze byli czarniejsi, a im więcéj na południe, tem ciemniejsi, tak, że na równoleżniku Sierra Leone mieszkają najczarniejsi ludzie.“ A oto z drugiéj strony owi jaśni ludzie w tych szerokościach geograficznych, które, jak np. Trynidad, przypadają tam, gdzie na ziemi afrykańskiéj najczarniejsi mieszkają ludzie. Zatem na jednakowéj odległości od równika mamy najrozmaitsze stopniowanie w ubarwieniu skóry. Ten fakt w krzyczącéj pozostaje sprzeczności z ogólnie przyjętym poglą-

dem, że światło i ciepło najgłówniejszemi są czynnikami, warunkującemi barwę skóry. I Kolumb podziela ten pogląd, a z kłopotu stara się wybrnąć, powiadając: „Ludzie owi nie mieszkają w tych miejscach, gdzie promienie słońca najsilniéj działają.“ Antropologiczne jego spostrzeżenia prowadzą nas więc tutaj do jednego z najciekawszych zagadnień, mianowicie do kwestyi zależności barwy skóry człowieka od czynników zewnętrznych.

W starym świecie istotnie możnaby przyjść do wniosku, że ciemniéj zabarwieni ludzie należą do stref równikowych, jaśniejsi zaś do więcéj umiarkowanych i północnych. Lecz przelotny choćby rzut oka na mieszkańców nowego świata poucza, że podobny schemat nie da się tu zastosować. Jakby na przekór, właśnie na dalekiéj północy, u Eskimosów, a z drugiéj strony znów na południu południowéj Ameryki, u Patagończyków, znajdujemy najciemniejsze barwy, gdy tymczasem pierwotna ludność zwrotnikowéj Brazylii odznacza się wogóle jaśniejszemi odcieniami. W téj saméj szerokości geograficznéj, w któréj Hiszpanie odkryli jasnych mieszkańców Indyi Zachodnich, ludność Meksyku wskazywała niezwykle ciemne zabarwienia.

Lecz jeśli chcemy dokładniejszego nabrać pojęcia o przyczynach rozmaitości zabarwienia skóry w rodzie ludzkim, musimy przedewszystkiém poznać stosunki anatomiczne, warunkujące to zjawisko.

Dwa czynniki w najrozmaitszych swych modyfikacyach wpływają rozstrzygająco na barwę skóry. Przedewszystkiém chodzi o drobno-ziarnisty barwnik, który, umieszczony w najgłębszych komórkach przezroczystego naskórka, zależnie od swéj obfitosci wywołuje najrozliczniejsze odcienia od jasnéj żółtości do najciemniejszego, czarno-brunatnego koloru. Przybywa zaś do tego czynnik drugi, mianowicie barwa krwi, ktora, krążąc w delikatnych naczyniach skóry, mniéj lub więcéj prześwieca na powierzchni, skąd pochodzi mocniejsza lub słabsza domieszka czerwonych odcieni.

Pod wpływem silnego działania słońca występuje, jak wiadomo, t. zw. opalenie skóry, widoczne w silniejszém jéj zaczerwienieniu wskutek silniejszego napełniania krwionośnych naczyń a następstwem tego jest zbrunatnienie skóry, sprowadzone przez obfitsze wytwarzanie się drobno-ziarnistego barwnika. Nie ulega więc wątpliwości, że czewienienie i brunatnienie następuje pod wpływem światła słonecznego. Jakkolwiek wszakże oczekiwaćby wypadało, że istotnie silniejsza insolacya pociąga za sobą mocniejsze zabarwienie skóry, to jednak widzieliśmy, że bynajmniéj nie ma to zawsze miejsca. Otóż pamiętać wypada, że nietylko oddalenie od równika rozstrzygający

wpływ tu wywrzéć może; niemniejsze znaczenie przecie mogą miéć i inne warunki życia. Toż zapewne nie bez wpływu pozostanie zamieszkiwanie dolin lub wzgórzy, pędzenie życia w ciemnych lasach lub na widnych stepach. Szczepy mieszkające na znacznych wysokościach zwykle, przy jednakowych innych warunkach, są jaśniejsze aniżeli zamieszkujące niziny. Stanley donosi, że mieszkańcy pierwotnych lasów jaśniejszą mają skórę, niż ludy otwartych, nieocienionych pastwisk.

Lecz i to jeszcze nie wystarcza. Trudno chyba będzie objaśnić uderzająco ciemną barwę Eskimosów klimatycznemi warunkami ich siedzib. A prócz tego przybywa jeszcze i ta okoliczność, że miejsca ciała, wystawione na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, bynajmniéj nie są najciemniejsze. Pokryte części tułowiu bardzo często znacznie są ciemniejsze. Jeżeli pominiemy dłoń i piętę (podeszew), to okazuje się, że prawie u wszystkich ludów twarz, która przecie najbardziéj jest wystawiona na słońce, najjaśniejszą jest częścią ciała, a najwięcéj okryty grzbiet, znacznie ciemniejszy.

Zatem coraz więcéj zagadek i coraz trudniejsze z nich wybrnięcie. Zdaje się, że jeden tylko pogląd wybawi nas z tego morza trudności, pogląd, zostający w najzupełniejszéj zgodzie z doświadczeniami zebranemi w innych dziedzinach. Musimy przyjąć, że barwa skóry jest czémś z dawien dawna odziedziczoném, że może ona wprawdzie przejściowo być zmodyfikowaną przez wpływy otoczenia zewnętrznego, jak tego dowodzi opalenie — czerwienienie i brunatnienie — lecz jednakże wiernie zachawuje swój zasadniczy charakter, wówczas nawet, kiedy osobnik przenosi się w warunki zgoła różne od ojczystych. Murzyn wprawdzie blednieje nieco na północy, lecz i u nas zawsze z saméj barwy skóry poznany być może jako murzyn, podobnie jak i europejczyk po dłuższym nawet pobycie pod zwrotnikami nigdy nie nabiéra barwy ludzi, zamieszkujących owe kraje. Barwa skóry jest dawném dziedzictwem ras ludzkich.

Zmuszeni przeto jesteśmy w inny zupełnie sposób sformułować pytanie co do przyczyn zabarwienia skóry. Musimy przypuścić, że przyczyny te działały już w owe pierwotne czasy istnienia rodu ludzkiego, kiedy nie było jeszcze podziału na rasy. Istotnie téż podejmowano próby w celu znalezienia odpowiedzi na tak postawione pytanie, lecz zadawalniającego objaśnienia dotychczas i tutaj nie otrzymano. Należy tylko zauważyć, iż Darwin w dziele swém o pochodzeniu człowieka rozważa możliwość, że ciemna barwa skóry u murzynów jest wynikiem naturalnego doboru; gdyż wiadomo, że murzyni niezwykle są odpornymi na choroby panujące pod zwrotnikami. Pomijając nawet

zupełnie, że nie jest dowiedzioném, iż właśnie obfite skupienie barwnika w skórze działa ochronnie, stoimy wciąż jeszcze niezawodnie wobec pytania, w jaki sposób np. Eskimosi doszli do swego ubarwienia.

Lecz przejdźmy do dalszych spostrzeżeń antropologicznych Kolumba, z których przedewszystkiém zastanawia nas osobliwy zwyczaj sztucznego zniekształcania głowy. Zauważyć trzeba, że w rozmaitych okolicach starego świata również napotykano ten zwyczaj, uprawiany świadomie lub bezwiednie. Hipokrates dokładnie już opisuje, jak szczep pewien u wybrzeży morza Azowskiego sztucznie deformuje czaszki dzieciom przez owiązywanie przepaskami. W rozmaitych miejscach Azyi i Polinezyi również praktykowano to samo, a śmiało powiedziéć można, że aż do najnowszych czasów i w Europie, np. w różnych okolicach Francyi, nieświadomie obyczaj ten się przechował. W tym ostatnim wypadku przyczyną odkształcania głowy jest moda nakładania dzieciom czepeczków, mocno związywanych za pomocą wstążki na tyle głowy. Wszystkie wszakże wiadomości nasze, w tym kierunku zebrane na stałym lądzie, skąpe są niezmiernie i mało znaczące w porównaniu z tem, co odkryła Ameryka. Mamy tu najrozliczniejsze kształty głowy, wyhodowane, że tak powiem, za pomocą najróżnorodniejszych metod i to w nader wielkiém rozpowszechnieniu. Głównemi ogniskami tego osobliwszego zwyczaju są Peruwia i północno-zachodnia Ameryka. Lecz i kraje antylskie, dolina Mississipi i inne dalekie obszary są widownią tych manipulacyi, jak pouczają doniesienia „conquistadorów.“

Wspomniano już, że moda w nakrywaniu głów dziecięcych może bez powziętego z góry celu sprowadzić zeszpecenie kształtu głowy. Lecz w Ameryce umyślnie produkowano rozmaite formy czaszek, posługując się najróżnorodniejszemi metodami. Stopniowe przejścia pomiędzy szczególnemi formami, jakie właśnie w téj części świata znajdujemy, stanowią do pewnego stopnia materyał, pozwalający zrozumiéć pierwsze powstanie tego zwyczaju.

Formą najprostszą jest spłaszczenie tylnéj części głowy, co oczywiście musi trwale wystąpić, jeżeli dziecko przez dłuższy czas jest unieruchomione w położeniu grzbietowém. A miało to miejsce zawsze, ilekroć matka, zajęta pracą, nie mogła dziecka doglądać. Dziecko umocowywano do deski lub kołyski i brano je ze sobą na roboty w pole lub noszono w ten sposób podczas wędrówek koczujących ludów. W wydaném niedawno na uczczenie czterechsetlecia odkrycia Ameryki dziele, Virchow, rozwodząc się o czaszkach amerykańskich, wypowiedział podobną myśl i słusznie zaznaczył, że tylne

spłaszczenie głowy musi być punktem wyjścia dla wyjaśnienia tego zwyczaju.

Łatwo pojąć, że wobec ogólnego uprawiania tego zwyczaju, te indywidua, które miały czaszki prawidłowe, zwracały na siebie uwagę. I to, co powstało ze względów dogodności, stało się modą, która pięknem nazywa wszystko, czém większość osobników szczepu się odznacza.

Przypuszczano także, że uderzające to odkształcenie głowy, powtarzane przez nieskończony szereg pokoleń, odziedzicza się z czasem. Lecz pogląd ten musiał ustąpić przed surowszą nieco krytyką. Mamy dowody na to, że proces deformowania głowy musiał u każdego dziecka na nowo być podejmowany, jeżeli dorosły miał posiadać typ głowy swojego szczepu.

Czy poszczególne szczepy pierwotnych mieszkańców Ameryki należały do jednéj rasy, czy też były przedstawicielami ras rozmaitych? Oto znów jedno z owych ogólniejszych zapytań, jakie nasuwają odkrycia Kolumba. Tutaj z góry zauważyć trzeba, że przy ocenie tego, co nazywamy rasą lub odmianą, znajdujemy się w pewnym kłopocie. Dobrze jest przeto zważyć ściśle wszystkie ważniesze cechy antropologiczne.

Wielokrotnie kładziono szczególny nacisk na mniemane niezwykłe, fizyognomiczne podobieństwo pomiędzy oddzielnemi ludami Ameryki. Dochodzono nawet do śmiałego wyrzeczenia, że kto jednego widział Amerykanina, ten widział wszystkich. Co innego wszakże powiada nieuprzedzona obserwacya. Na obszarze saméj tylko południowéj Ameryki tyle jest różnic fizyognomicznych, że D'Orbigny dochodzi do wniosku wprost przeciwnego. Powiada on, zapewne również przesadnie: „Peruwiańczyk bardziéj się odróżnia od Patagończyka, a ten od Gwarańczyka, aniżeli Grek od Murzyna lub Mongoła.“

Inne, dość rozpowszechnione mniemanie również okazało się nieuzasadnioném. Kiedy podział ras ludzkich według barwy skóry, podany przez Blumenbacha, cieszył się jeszcze niepodzielném uznaniem, wówczas rasę amerykańską nazywano czerwoną, a t. zw. czerwonoskórzy i obecnie jeszcze nie znikli z popularnych opowieści, jakkolwiek właśnie pomiędzy pierwotnemi ludami Ameryki znacznie jest trudniéj wskazać czerwone odcienia skóry aniżeli śród rozmaitych ludów afrykańskich. Istotnie barwa skóry amerykańskich autochtonów przedstawia żółte i brunatne odcienia najrozmaitszego rodzaju i tutaj więc żadnéj nie ma jednolitości.

Na poparcie wspólnego pochodzenia wszystkich ludów Ameryki

przytaczano także podobieństwo w kształcie i barwie ich uwłosienia. Do niedawna podawano jako charakterystyczną dla nich cechę krótki, sprężysty i czarny włos. Obok nieznacznego rozwinięcia brody, były to już dla Kolumba właściwości bardzo wydatne. „Włosy ich — powiada on — nie są kręcone, lecz spadają równo i są grube jak końskie włosie, a daléj — „ani Karaibowie, ani Indyanie z innych wysp nie mają brody.“ Polegając na tém, nie możnaby powątpiéwać, że pod względem uwłosienia pierwotne ludy amerykańskie najzupełniéj są podobne do Mongołów, a Peschel miałby słuszność, obejmując te ludy wraz z Mongołami pod nazwą „mongoloidów,“ ludów podobnych do Mongołów. Lecz i tutaj badania ostatnich czasów zniweczyły dawniejsze poglądy. Na kongresie amerykańskim w Berlinie dowiódł Fritsch, że włos u wielu amerykańskich szczepów w istotnych cechach różni się od włosa mongolskiego, że bynajmniéj nie zawsze jest sprężysty i czarny, lecz wykazuje téż formę falistą i najrozmaitsze brunatne odcienia. Von den Steinen zauważył, że szczepy karaibskie w Brazylii mają długi, czarno-brunatny włos, niezmiernie przypominający włosy południowych Polinezyjczyków.

Pomijamy tu inne cechy antropologiczne, jak wzrost i proporcye ciała. Jeszcze tylko słów kilka o kształcie głowy. Jak wiadomo, Retzius, antropolog szwedzki, pierwszy podjął próby podziału ludów według formy głowy. Otóż, opiérając się na niedostatecznym materyale, sądził on, że cały zachód północnéj i południowéj Ameryki należy wydzielić krótkogłowym, wschód zaś długogłowym. Ryczałtowy ten podział również był mylnym, jak i pogląd amerykańskiego antropologa Mortona, że kształt głowy wszystkich pierwotnych ludów amerykańskich jest w zasadzie jednakowy. Virchow we wspomnianém już dziele wskazał, jak wielką jest rozmaitość ludów amerykańskich co do kształtu głowy i urobienia twarzy.

I oto dochodzimy do wniosku, że wszelkie cechy antropologiczne, na których opiéraćby można rozstrząsanie naukowe, są wśród ludów amerykańskich tak różnorodne, że o bezpośredniéj wspólności ich pochodzenia mówić nie można. Pozostaje tylko do rozważenia, czy, pomimo tych różnic, jednakże poszczególne szczepy nowego świata nie są bliżéj ze sobą spowinowacone, niż ze szczepami innych wielkich ras, np. z Mongołami lub Polinezyjczykami. Otóż, wszystkie poważne dane skłaniają do przekonania, że Ameryka w najdawniejszych swych czasach była siedliskiem wielu rozmaitych ras. Wniosek zaś ten nasuwa nam ostatnie i najbardziéj zasadnicze, lecz i najtrudniejsze pytanie o pochodzeniu człowieka w Ameryce.

Nie można zupełnie uwzględniać licznych podań, upiększających

przedkolumbowe dzieje Ameryki, ani owych awanturniczych hypotez, które wywodzą ludność amerykańską od narodów historycznych. Wszystkie te legendy i domysły nie wytrzymują krytyki, bez względu na to, czy widzą w Amerykanach potomków zaginionych szczepów Izraela, czy też przypisują im pochodzenie od zbłąkanych żeglarzy z jednéj strony Greków, Fenicyan i Kartagińczyków, a z drugiéj Polinezyjczyków i Chińczyków. Według hypotez tych należałoby koniecznie przypuścić, że Ameryka zaludnioną została w czasach historycznych, że przedtém nowy ten ląd zupełnie był niezamieszkany, a pierwotne ludy amerykańskie byłyby bardzo młode.

Lecz przeczą temu wprost nader interesujące poszukiwania archeologiczne na gruncie amerykańskim. Archeologia amerykańska zapoznała nas już z mnóstwem najciekawszych wiadomości. Pomijając liczne wspaniałe pomniki zaginionéj kultury w Meksyku, Peruwii i środkowéj Ameryce, zwrócimy głównie uwagę na osobliwe wały i usypiska t. zw. *mound*, znajdowane przeważnie na obszarze Ohio; są to albo pozostałości fundamentów siedzib ludzkich i świątyń, albo twierdze i cmentarzyska. Badanie cielesnych szczątków, pozostałych po twórcach tych „*mound*," każe mniemać, że należeli oni pod względem fizycznym do innego narodu niż żyjący tam obecnie Indyanie, wśród których zupełnie zaginęła pamięć o czasach wzniesienia owych nasypów. Co prawda, nowsze poszukiwania badaczy amerykańskich zdają się przemawiać za tem, że „*mound*" pochodzą od historycznego narodu, który w długich swych wędrówkach w dawno minionych czasach pozostawił te pomniki jako ślady swego istnienia. Lecz zupełnie niemożliwe jest rozstrzygnięcie pytania co do istotnego wieku tych pamiątek. Archeologia amerykańska z inną jeszcze, poważną trudnością ma do walczenia, mianowicie: z największą tylko oględnością może spożytkować znajdowane kamienne narzędzia i oręż i jako dowody bardzo dawnéj egzystencyi człowieka w Ameryce. Toż przecie w epoce odkrycia Ameryki przeważna część ludów tamtejszych znajdowała się w okresie kamiennym, a i dziś jeszcze rozmaite szczepy we wnętrzu Brazylii pozostają na tym pierwotnym szczeblu kultury.

Jakkolwiek więc wogóle niezmiernie są cenne przy podobnych badaniach wykopaliska, kryjące w sobie szkielety, to jednakże w tym razie pozostają one na drugim planie wobec bezpośrednich badań anatomicznych. Anatomia dowieść tylko może, że owi ludzie inaczéj fizycznie byli ukształtowani niż żyjący tam obecnie i tém wskazuje już bardzo odległą epokę. Lecz ostatnie rozstrzygające słowo pozostaje tu geologii do wypowiédzenia. Istotnie też nauka ta, opiérając się na

znajdowaniu czaszek w pewnych określonych uwarstwieniach skorupy ziemskiéj, dowiodła, że i na gruncie amerykańskim człowiek żył już w okresie czwartorzędnym, poprzedzającym obecną epokę istnienia ziemi; jakkolwiek nadzieje wykrycia tutaj istnienia człowieka w jeszcze wcześniejszym, trzeciorzędnym okresie nie ziściły się. Geologia zatem prowadzi nas do niezmiernie ważnego rezultatu, mianowicie, że człowiek w Ameryce bardzo jest dawnego pochodzenia, tak dawnego jak i na gruncie starego świata; a badania anatomiczne dodają do tego, że i w owych odległych czasach człowiek był tu już podzielony na pewne odmiany.

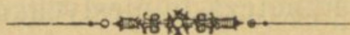
Jeśli zaś istotnie tak dawną jest historya człowieka amerykańskiego, to czyż nie jest możliwém, że powstał on tu zupełnie niezależnie od człowieka w starym świecie, że więc jest prawdziwym autochtonem? Jakkolwiek hypoteza ta niesłychanie jest ponętna, sprzeciwia się jéj jednakże jeden nader prosty fakt, t. j. niezmierne podobieństwo cielesne pomiędzy człowiekiem amerykańskim a człowiekiem starego świata. Trudnoby było pomyśléć o podobieństwie takiém wobec rozmaitego pochodzenia, gdy tymczasem jest ono zupełnie zrozumiałe, jeśli przyjmiemy wspólność pochodzenia wszystkich ludzi zamieszkujących ongi i obecnie ziemię naszą...

Maksymilian Flaum.





Żmichowska i Ziemięcka.



Stosunek znakomitéj poetki Gabryelli do Eleonory Ziemięckiéj, która w swoim czasie reprezentowała głębsze studya filozoficzne wśród kobiét naszych, nie był dotychczas należycie wyjaśniony. Przeciwieństwo przekonań zdawało się je zasadniczo od siebie odpychać; jedna bowiem była racyonalistką, zwolenniczką myśli niezależnéj, druga zaś głosiła zawzięcie potrzebę pokory rozumu i poddania go całkowicie pod wyroki teologii katolickiéj. A jednak Gabryella przez pięcioletni ciąg istnienia „Pielgrzyma“, czasopisma, wydawanego przez Ziemięcką w powyżéj zarysowanym duchu, była jego spółpracowniczką, mieszcząc tu swoje utwory zarówno wierszem, jak prozą [1]).

Opiérając się na tym fakcie widocznym i pewnym, a nie znając okoliczności i pobudek, co skłoniły Gabryellę do zasilania pisma, z którém umysłowo sympatyzować nie mogła, na błędne całkiem możnaby było wpaść wnioski o obojętności poetki, gdzie drukować będzie swe utwory, byleby wypowiedziéć się zdołała, lub też o jéj nie-

---

[1]) „Pielgrzym“ zaczął wychodzić w r. 1842, ustał w r. 1846-ym. W każdym roczniku znajduje się jakaś praca Gabryelli. I tak w r. 1842-im: „Burza“ (I, 48—56), „Zagadnienie“ (I, 186—197), „Niepewność“, *** („Pewność“), „Znudzony“ (II, 304—308), „Zwaliska Luxoru“ (III, 309—317). W r. 1843-im: „Wyjątek z poematu Maina i Kościej“ (II, 193 — 216), „Lilia, fragment z powieści“ (III, 180—193). W r. 1844-ym: „Prządki, powieść z wspomnień dziecinnego wieku ułożona“ (I, 28—70), „Przekleństwo, wstęp do poematu Lilia“ (I, 225 — 239). W r. 1845-ym: „Dańko z Jawuru“ (IV, 268—310). W r. 1846 dokończenie „Dańka z Jawuru“ (I, 17—56).

konsekwencyi; albo trzebaby się było uciec do przypuszczenia, że Gabryella uważała za swój obowiązek popieranie czasopisma przez kobiétę wydawanego, choćby się jéj poglądów nie podzielało.

I wnioski takie i przypuszczenia byłyby błędne. Wiemy, że Gabryella bardzo gorliwie obstawała zawsze za swobodą przekonań indywidualnych i że wielce konsekwentnie łączyła się z tymi, którzy wyznawali też same lub téż zbliżone przynajmniéj zasady. Wiemy również, iż umieściwszy w „Pierwiosnku", noworoczniku wyłącznie przez kobiéty zapełnianym, dwa tylko w początkowych jego latach wiersze, całkowicie się stamtąd wycofała, niewątpliwie dlatego, że kierunek pisma tego, zostający w ręku Pauliny Krakowowéj, niezupełnie odpowiadał jéj zapatrywaniom. Natomiast prace swe najchętniéj i najczęściéj pomieszczała w „Przeglądzie naukowym", gdzie się skupiała garstka ludzi, mężczyzn i kobiét, mniéj więcéj wiernych jednakiemu hasłu.

Dlaczegóż więc dawała swe prace do „Pielgrzyma"? Na to pytanie udzielić mogą choć częściową odpowiedź dochowane listy Gabryelli do Ziemięckiéj, których mi córka redaktorki „Pielgrzyma", pani Tatarowiczowa, łaskawie udzielić raczyła. Jest ich niewiele, bo 5 tylko; ale i w tym szczupłym materyale wyczytać można zajmujące dzieje stosunku dwu autorek.

* *
*

Wiersz Gabryelli „Szczęście poety", umieszczony w „Pierwiosnku" na rok 1841-szy, zwrócił na nią uwagę wszystkich, co się wówczas żywiéj piśmiennictwem zajmowali. Wyróżniono go bardzo zaszczytnie we wszystkich recenzyach i sprawozdaniach, a to drukiem stwierdzone uznanie dla świeżego talentu rozeszło się szeroko po kraju.

Ziemięcka zamierzała wówczas wydawać miesięcznik, któremu chciała nadać „smętną" nazwę Pielgrzyma dlatego, „abyśmy krążąc wśród świetnéj nauk ludzkich dziedziny, nigdy nie zapomnieli o chwilowéj wędrówce człowieka na ziemi." Zabiegając o spółpracowników, pragnęła także pozyskać dla swego pisma młodą siłę kobiécą, która tak nagle za pośrednictwem jednego niedługiego wiersza nabrała rozgłosu.

Gabryelli nie było wtedy w Warszawie. Przeniknięta doniosłością szczepienia zdrowych myśli w serca pokoleń dorastających, obrała sobie zawód nauczycielski i od czerwca co najmniéj 1841 roku bawiła już w Łomży. Ziemięcka napisała do niéj list serdeczny; nie

znając jednak najświeższego adresu, wyprawiła go pod dawniejszym. Długo list ten wędrował „po wszystkich stronach Królestwa Polskiego“, aż nareszcie doszedł do „zakazanego“ zakątka w październiku. Odpisując nań, Gabryella nie mogła jeszcze znać prospektu „Pielgrzyma“, podpisanego 1 października. Zresztą, gdyby go nawet znała, nie wpłynęłoby to prawdopodobnie na treść i ton odpowiedzi, gdyż prospekt ów napisany był poprostu, skromnie, zapowiadając, że „filozofia chrześciańska“ będzie zasadą nowego miesięcznika. Wolnomyślność Gabryelli, tak jak wolnomyślność większości ówczesnych postępowców, nietylko nie wykluczała zasad chrześciańskich pojętych duchowo, lecz owszem na nich się najczęściéj opiérała w rozwijaniu poglądów społecznych i filozoficznych. Zapowiedź zatém „filozofii chrześciańskiéj“ nie mogła zrazić poetki do spółpracownictwa w „Pielgrzymie”, a ton serdeczny, jakim Ziemięcka zapraszała, przyjaźń jéj swoją pierwsza ofiarując, zachęcał do równie przyjaznego uchwycenia dłoni starszéj, a tak sympatycznie się przedstawiającéj autorki. Usprawiedliwiając się tedy z opóźnienia odpowiedzi długiém błąkaniem się listu Ziemięckiéj, odpisała jéj, co następuje, pod datą 27-go października 1841 roku:

„Więcéj mi podobno jéj pobłażania będzie trzeba co do sposobu, w jaki odpowiadam na jéj wezwanie; — ale gdyby mi sam pośpiech wymówką nie był, tobym jeszcze usprawiedliwienie znaleść mogła w pełnieniu obowiązków stanu mojego. Przyjęłam miejsce w obcym domu i wszystkie chwile dnia każdego zaprzedałam osobom, wprawdzie tak godnym i delikatnym, że mi ich wiele jeszcze na własne zajęcia zostawiają, lecz nie mniéj przeto z méj strony uszczerbku im czynić nie powinnam. Chciałabym jeszcze wyspowiadać pani wszystkie moje wahania i niepewności, nim tak błahą rzecz jak załączone tu pismo odważyłam się przesłać jéj; lecz to zostawiam sobie do osobistéj znajomości, któréj nadzieja do moich najpiękniejszych nadziei należy. I wtenczas odwołam się do sądu owéj przyjaźni tak szlachetnie mi ofiarowanéj, więcéj jeszcze niż do zdania kobiéty rozumu i pojęcia, którą nam pisma pani objawiły. A teraz niechże idzie Pielgrzym z datkiem ubogiego; niech po drodze swojéj oświeca i błogosławi ludzi; niech do świętéj ziemi, ziemi prawdy i wiary ubija nową ścieżkę, po któréj śladem kobiéty do celu się trafi.“

Załączone do listu tego pismo był to urywek z podróży kobiéty p. t. „Burza“, wydrukowany zaraz w pierwszym, styczniowym zeszycie „Pielgrzyma“ z r. 1842. Gabryella oryginalnym swym stylem odmalowała tu przytomność i niezachwianą niebezpieczeństwem odwagę kobiéty, która sama jedna podczas burzy morskiéj spokojnie stała na pokładzie i podziw w kapitanie okrętu obudziła; na zapytanie zaś jego, kto ją nauczył „śmierci pogodne stawiać czoło“, odpowiedziała: „Pod skrzydłem rodzicielskiéj opieki wzrosłam cichą, nieśmiałą gołę-

bicą, wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poezyi, a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcie, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobiéta stanęła w równi z najodważniejszym mężem. Tak, kapitanie, wszystko wyrównywa się i harmonizuje w świecie naszym: co wam daje siła i przywyknienie, nam daje myśl i wiara.“

W urywku tym jeden był tylko szczegół, dość szeroko zresztą rozwinięty, który mógł razić ortodoksyą Ziemięckiéj. Gabryella mówiła o śmierci w myśli panteistycznéj jako o „najdoskonalszém połączeniu naszego ducha z Bogiem, naszéj cząstki wiedzy z doskonałą wszechwiedzą“, twierdziła, że „śmierć jest tylko przerodzeniem się w życie prawdziwe.“ Ponieważ jednak wypowiedziane to było w uniesieniu; ponieważ poetka energicznie powstawała przeciwko orzeczeniu fałszywego mędrka, „pleśnią grobu okrytego“, jakoby wszystko w grobie się kończyło; ponieważ zaznaczyła silnie potęgę „wiary“, chociaż jéj dokładniéj nie określiła: Ziemięcka przeto nie uważała za potrzebne protestować przeciwko owym śladom panteizmu i, być może, w liście tylko do Gabryelli zwróciła na nie uwagę.

Bądź co bądź, zaraz w lutowym zeszycie wydrukowała „Zagadnienie“, napisane przez Gabryellę 22 października 1841 roku. Tu poruszyła autorka kwestyę etyczną, tak ulubioną natenczas wśród kół młodych postępowców, a dotyczącą miłości i małżeństwa. Wystawiła pannę, mającą zrobić wybór pomiędzy uczuciem serdecznem ku towarzyszowi lat młodocianych, a pełnym zarozumiałości światowcem, który ma i tytuł ceniony w społeczeństwie i bogactwa. Gabryella nie powiada, jak sobie panna postąpiła; każe tylko czytelnikom zgadywać „według własnego usposobienia, według własnych wyobrażeń o sercu kobiéty.“ Jako punkt wyjścia w tém zgadywaniu dała jedynie wizerunek owéj panny, jako istoty złożonéj z dwu sprzecznych pierwiastków, mówiąc: „To jakaś dziwna surowość przedwczesnéj starości zachmurzała biały marmur jéj czoła, to znów cała twarz promieniła anielskim dziecinnéj radości wyrazem; to blada i obojętna uśmiechała się dumnym, szyderczym uśmiechem, a chociaż nie podnosiła głowy, znać było, że wysoko myślą sięga, że jednym objawem marzenia świat sobie cały rzuciła pod nogi; to znów pierś jéj mimowolne rozdzierało westchnienie, a źrenica łzą kryształiła, jak dyament promieniem słońca.“

Oczywiście, „Zagadnienie“ to mniéj jeszcze aniżeli „Burza“ mogło nasuwać wątpliwości Ziemięckiéj.

Na wiosnę 1842 r. (w każdym razie przed czerwcem) nastąpiło w Warszawie osobiste poznajomienie się obu autorek. Rozczytanie się w „Pielgrzymie“, a zwłaszcza też rozmowa z Ziemięcką ujawniły stanowcze różnice w poglądach; atoli serca, na razie przynajmniéj, przylgnęły do siebie. Z obu stron wierzono w szczerość zasad wyznawanych; stąd wzajemny szacunek; może jedna i druga myślały, że się nawzajem przekonają, że przez duskusyę dojdą do wspólnie uwielbianéj prawdy. W tym nastroju pisany był przez Gabryellę list, w którym przesyłała trzy wiersze („Niepewność“, *** , „Znudzony“), „nędzne“ zdaniem saméj autorki, „z dawnych wyciągnięte papierów“, a wydrukowane w „Pielgrzymie“ w zeszycie czerwcowym r. 1842. Czytamy w tym liście:

„Trudno byłoby wypowiedzieć, jak mi przykro, że na twój list, najlepsza Eleonoro, dłuższéj odrazu nie mogę dać odpowiedzi, twój list, pełny tak szlachetnych myśli, żywy tak szczerém uczuciem. Gdybyśmy się dawniéj były poznały, to od pierwszego słowa wierzyć-bym ci zaczęła — dawniéj moje przekonanie szło za sercem zawsze — a ja cię tak szanuję, tak kocham w świętości twoich zamiarów, w czystości twéj duszy! Dzisiaj nie mogę przejąć twych zasad, Eleonoro — rozwaga rozumu pod straż wzięła uczucia popędy — i dlatego dzisiaj w stosunkach naszych pojmuję tylko, jak w przeciwniku swoim nawet można uczcić prawość chęci, potęgę serca. Nie mam czasu, nie mogę w cichém zebraniu ducha rozmówić się z tobą obszerniéj o ważnych przez ciebie zaczepionych kwestyach; ale tak mi śpieszno powiedzieć, że cię rozumiem; tak się lękam popełnić grzechu przeciw twéj przyjaźni, że zasyłam prośbę: do przyszłego listu wierz mi prawdziwie katolicką, uczuciową wiarą. Jakkolwiek rozdzielona pojęciem rozumowém, bliska sercem, powierzyłabym ci szczęście mego życia, och, więcéj nawet, szczęście jakiéj mnie najdroższéj istoty; zdałabym pieczy twojéj imię moje między ludźmi i sąd mój przed Bogiem, gdyby sędzią był Bóg; — to przecież śmiało jednocześnie wystąpiłabym na drodze myśli przeciw twéj nauce, bo nie mogę, nie mogę jéj uznać. Może też my tylko nie rozumiemy się jeszcze. Litera jest szkieletem słowa, a słowo samo ledwo formą myśli. Widzę, że mnie zaliczasz do wielkiego stronnictwa, które ja z imienia znam zaledwo. Jeśli się złączymy kiedy, lepiéj nam będzie pomówić z sobą głosem i obliczem; na prześlicznéj twojéj twarzy piękniéj mi każdy wyraz twój się odbije, niż na martwym papiérze, który dwudziestomilową przestrzeń obiega, nim z twéj ręki przed me oczy się dostanie. Może niedługo będę w Warszawie; ale że to i mnie rzadko się uiszcza najmilsze życzenie, więc jeśli tak nie będzie, znajdę przecież wolną chwilę na porządniejszą odpowiedź.“

Już wówczas w ręku Ziemięckiéj był nowy urywek z podróży kobiéty p. t. „Zwaliska Luksoru“, urywek, w którym Gabryella z wielkim zapałem i wielką siłą przekonania określała po swojemu znaczenie „wiary“. Wyłączyła z niéj przedewszystkiém „zabobon i obrządki“, następnie nazwała ją „poezyą rozumu, odwagą myśli, nadzieją przyszłości, uznaniem samego siebie“; w końcu odmalowała

w osobie Irlandki Molly ten rodzaj wiary, który bez uzmysłowienia pojęć oderwanych żyć nie może. „Czuję — powiada Molly — żebym żyć nie chciała i w najszczęśliwszéj stronie świata, gdzieby mi drzwi przybytku pańskiego otworem nie stały, gdziebym nie mogła ufną prośbą niebu się pomodlić o żądaną pomyślność, o odwrócenie przeczuwanego nieszczęścia—nie chciałabym wiedzieć o przyszłości, któraby mi nie świeciła koroną świętych, ku któréjbym iść musiała bez anioła-stróża, niepokalanego przewodnika méj duszy, nie chciałabym nieba, na którego wysokościach nie byłoby ani tronu Boga, ani promiennych cherubinów, ani Matki-dziewicy z synem swoim na ręku, uśmiechającéj się litością i pociechą do nas kobiét, co jak ona kochać i siedm mieczów boleści w sercu nosić musimy... Zostawcie mi moję wiarę i modlitwę moję! zostawcie mi religię cudów, pieśni i wonnych kadzideł, co z przed ołtarzy ku Bogu ducha naszego czystym obłokiem unosi—zostawcie mi ją—ja was słuchać nie chcę.“

Ponieważ w „Zwaliskach Luksoru“ wypowiadała Gabryella najwewnętrzniejsze swoje przekonania, chodziło jéj o to, ażeby były pomieszczone w całości, bez żadnych zmian i opuszczeń. Ziemięcka zaś nie mogła drukować tych wynurzeń duszy szlachetnéj, lecz zbłąkanéj, jak sądziła, bez sprostowania dojrzanych tam błędów ze stanowiska religii. Uprzedzała więc Gabryellę, że doda od siebie przypisek. Poetka godziła się na to, ale pod warunkiem, że żadne słowo w jéj opowiadaniu nie zostanie przemienionėm. Pisała tedy do redaktorki:

„W tak krótkiém skreśleniu wielkiego pojęcia jedno słowo mniéj lub więcéj może zmienić rzecz całą. Gdyby mógł ten ustęp przejść bez zmienienia jednego nawet znaku pisarskiego, tobym chętnie na dodanie twéj odpowiedzi przystała. Ze starcia wyobrażeń głów myślących dla próżniaków ducha tak czasem iskra światła wypadnie jak z uderzenia stali i krzemienia — mniejsza o to, czy jedno lub drugie ognia jest przyczyną -- niech uczeni badają — dość na tém, byle skutkiem jasność była.“

Skarżąc się zaś na to, że jéj wszystko na przeszkodzie do pisania staje, wyjawia zarazem, jak wysoko pojmuje zadanie pisarskie, jak zatém nie próżność autorska kazała jéj dbać o każde nakreślone słowo, ale poczucie sumienności i odpowiedzialności wobec czytelników. Mówi tu mianowicie:

„Gwar wesoły, przyjazny nawet dokoła, zatrudnienia małe i nie przykre; lecz gdy chcę pisać, to mi być trzeba długo długo z samą sobą, jak tobie, gdy się chcesz modlić. Każdy według swego rozumienia — ja w pisaniu, w tym głosie do ogółu rzuconym chciałabym modlę życia mego zamknąć; los inaczéj dotychczas mną prowadzi—ja powiadam przypadkowość — a ty, najdroższa, wyznaj mi szcze-

rze, czyś nie pomyśliła sobie: „Nie los to, lecz Opatrzność w niemoc rękę niewiernéj podała.“

Ziemięcka, korzystając z zezwolenia Gabryelli, wydrukowała „Zwaliska Luksoru“ we wrześniowym zeszycie „Pielgrzyma“ (1842) i dołączyła swoje uwagi, starając się zastosować do formy obranéj przez autorkę, i jakby w dalszym ciągu rzecz prowadząc. Uznała ona szczerość i zapał téj kobiéty, co wiarę „poezyą rozumu“ nazwała, lecz starała się wykazać, że w tym poglądzie nie ma ani prawdy, ani szczęścia. „Ty, córko — tak przemawia pustelnik do owéj kobiéty wśród ruin Luksoru — poświęciłabyś siebie dla tryumfu twego przekonania, dla dobra, które twój umysł dobrem być mieni; ty nie pożyczasz od nienawistnych tobie zasad zwodniczéj dla twoich myśli osłony; tobie nie uczone księgi, nie powaga mędrców dała te myśli; nie, tyś cierpiała, tobie brakło świętych w rodzinie pamiątek, nie owionęła cię swoją dzielnością pieśń chrześciańskiéj matki w kolébce, pieśń, co jak woń kwiatów niebieskich nieukojoną niczém tęsknotę za inném życiem obudza, a jak talizman święty w proch zamienia ułudy ziemskiéj mądrości. Twoje serce osamotnione, serce kobiéce podało rozumowi ważne zagadnienia, a on odpowiedział ci na nie zwykłym sobie językiem zimnéj logiczności... obudził wyobraźnią, aby ona ułudy jego sofizmatów pieśnią godową uczciła, a tak spotkałaś się bez wiedzy twéj nawet z najsławniejszemi wieku naszego nauki opowiadaczami. I w świecie, równie jak w tobie, wnioski zimnego rozumowania, wnioski wynikłe z wątłéj podstawy i czczego formalizmu, wcielając się w istoty jeszcze młode, jeszcze prawe, połączyły się z obcym sobie żywiołem, element miłości znalazł się na tle rozumowego systematu, nawet pozór wiary, nie téj wiary, co do nieba dąży i mimo idąc na świat bogactwa swe sypie, ale téj wiary, która tu wszystko zamyka, któréj jedyném bóstwem ludzkość, jedyną modlitwą ciągłe i postępowe życie pokoleń na ziemi. Córko, córko, prawdę Molly wyrzekła, w twojéj wierze nie ma Boga i nie będzie zbawienia dla świata. Wiara nie jest poezyą rozumu, nie jest odwagą myśli, nie jest uznaniem samego siebie, wiara jest ogniwem wiążącém słabe stworzenie z jego Stwórcą; nie jest nadzieją, ale rękojmią przyszłości, przyszłości nieśmiertelnéj dla duszy człowieka.“ I tak w dalszym ciągu Ziemięcka przez usta pustelnika potępiała „zatrute krople racyonalnéj wiedzy“, głosząc potrzebę „pokory myśli“, gdyż udoskonalenie ludzkości nie dokonywa się za pośrednictwem wiedzy, gdyż rozum nie jest najwyższą siłą człowieka. Kończyła zaś zapewnieniem, że „kto się nie wyrzekł siebie dla Boga, nie potrafi służyć ludziom.“

Widocznie „Pielgrzym“ niezbyt szybko wędrował, bo jeszcze 9 listopada 1842 r. nie miała Gabryella tego zeszytu wrześniowego, w którym mieściły się „Zwaliska Luksoru“ i odpowiedź na nie Ziemięckiéj. Gabryella wtedy jeszcze trwała w przekonaniu, że się z Ziemięcką zdoła porozumiéć i gorzała jeszcze całym zapałem świeżéj przyjaźni. Osiągnąwszy możność oddania się pracy umysłowéj w spokoju (mieszkała wtedy wraz z bratem Januszem), spodziewała się, że przez artykuły dziennikarskie stosunki ich częstszemi się staną, a listowna rozmowa żywszą i poufalszą wskutek tego, że bawiła w sąsiedztwie braterstwa Eleonory Ziemięckiéj, z którém wielce sympatyzowała. Twierdziła, że jakikolwiek jest przypisek do „Zwalisk Luksoru“, nie obrazi jéj wcale. List, w którym to wypowiedziała, jest najdłuższym, jaki mam pod ręką, i najwięcéj mieści w sobie znamiennych wyznań Gabryelli, odznaczających się szerokością poglądów i szlachetnością uczuć; przytoczę go więc w całości:

„Ostatni twój list, Eleonoro, odebrałam w Warszawie, gdzie dla poradzenia się doktora na 24 godzin przybyłam. Chciałam ustnie na niego odpowiedziéć, zobaczyć się z tobą. Och! już tak dawno pragnęłam téj chwili, ale mi znowu w dalszą przyszłość uciekła — nie było cię w domu i uboższa jedną radością na wieś wrócić musiałam. Niechże na wspak zwyczajom, ku lepszemu poznaniu się, myśl nam drogę toruje; inni długo się widują, nim serc uczucia, sądy głów swoich odgadną; my długo w sercach czytać, w zdaniach się ważyć będziemy, nim przed ludźmi jak przed Bogiem i przed własném sumieniem przyjazne sobie podamy ręce. Że to nastąpi, pozwól mi ufać, Eleonoro. Mnie nie przeraża zbyt wielka stanowisk naszych różność; każdy, kto niwę nauk, leżącą odłogiem w naszym kraju, chętną ręką, szczerém sercem uprawia; każdy, kto myślą swoją — uśpioną drugich myśl budzi, ma niezaprzeczone prawo do szacunku mojego, ma całe współczucie moje. W przekonaniu własném uznaję wielkie pobratymstwo wszystkich systematów, wszystkich wyznań; na różnych drogach różni różnie pracują, a świat ogółu z ich pracy przyswaja sobie, co mu potrzebne i kiedy mu potrzebne, korzysta na wszystkich robotnikach, jak chemia na alchemii skorzystała, gdy każdy jéj wyznawca, złota szukając, tysiące doświadczeń i wynalazków do prawdziwéj nauki dorzucał. Tą prawdziwą, zbiorową nauką wszystkich alchemików mądrości jest przestrzeń i czas, czyn słowa i słowo czynu, historya, duch rozwijający się, czy też ludzkość palcem bożym przez wypadków wiedziona koleje. Co tam się urzeczywistni, to będzie prawdą i dobrem; ale historya nie napisała jeszcze ostatniéj swojéj kartki, żadna praca się nie skończyła, żaden systemat nie ostał, żadna idea w całéj prawdzie pierwotnéj przyczyny i przewidzianych skutków, idea człowieka, przepis z jego wyrachowań wypadły, żadna, mówię, zdarzeniami dziejów nie pokierowała. Wszystkie tylko rzuciły ziarna swoje i rozwinęły się pod okiem Opatrzności, czy pod tchnieniem Ducha w poezyą, w towarzyskie ustawy, w sztuki piękne lub piękne uczucia, a rozwinęły nie według założenia swego, lecz według skrytéj siły, która niemi rządziła. Empirycznym próbierzem nazywasz tę wiarę moję w konieczność i rzeczywistość wypadków historyi, a przecież ona jest wiarą, która odpowiada potrzebom myśli mojéj, głębokiéj metafizy-

cznéj dążności méj duszy, która oczyszczona, nie egoistyczna, silnie miłością dobra zagrzana, dała we mnie świadectwo szere gowi prawd [1]), prawd i nadziei ducha radujących. W téj wierze, którą ty jednak pod panteizmu hasło zaciągnęłaś, ja błogosławię każdemu, kto rąk nie zakłada, kto naprzód idzie śmiało, czy Bóg jego po za światem, czy w świecie objęty; nim sam dla siebie docieknie tego fenomenu, nim zrzuci grobowy kamień zwątpień i niepokojów, który na jego własnych piersiach cięży, wpierw z pod silnych jego razów tysiące iskier odpryśnie i drugim ludziom zaświeci. W téj wierze ja mogę uszanować myślą, ukochać sercem nawet przeciwników zdania mojego. W téj wierze oddając drugim do spożycia tę kroplę miodu, którą nakoniec z prac życia mego wycisnęłam, zrzekłam się grzechu pychy, poprzysięgłam na szczerość i miłość bez granic. W téj wierze wszyscy, którzy dobra ogółu pragną, dla dobra ogółu pracują; wszyscy, którzy różnemi chodzą drogami, którzy złem silniejszą w dobrem budzą reakcyę, lub dobrem zło usuwają; nieprzyjacioły i towarzysze przeciw mnie lub ze mną będący, wszyscy mi są braćmi w téj wierze — i dlatego idę z nią wśród ludzi. Nie ufam zdolnościom moim, ale ufam téj zasadzie, że co dobrego będzie w myślach moich, to się z wszechdobrem złączy mądrością, miłością lub szczęściem; w miarę jak dla wielu, dla małéj liczby lub dla mnie tylko korzyść stąd wypłynie, w miarę jak złe zetrę, do dobrego dam pochop, lub własne pojęcia wykształcę. Występując w zawodzie piśmiennym, umorzyłam wszelką osobistość; mnie idzie o myśl, nie o siebie samą. — Bij zdaniem przeciw zdaniu; według przekonania uznać lub odeprzéć jestem gotowa, a ze starcia wyobrażeń dla czytelników niechaj korzyść idzie. Z rodzoną moją siostrą nie postępowałabym inaczéj, — inaczéj nie chciałabym, aby mój brat rodzony ze mną postępował. Czy chcesz takiego przymierza w literackim zawodzie? W stosunkach sercowych łatwiejsza jeszcze będzie nam zgoda. Dotychczas, jak gdyby na zrównoważenie smutnych przygód losu, to szczęście miałam w podziele, że mnie kochał każdy, kogom ja tylko prawdziwie kochała, a kochałam zawsze wyłącznem kochaniem, gdy je na drodze żywota spotkałam — wszystkie szlachetne i dobre istoty — sumienne w naukowym zakresie — rzewne, tkliwe, anielskie w uczuciach. Stąd mi ufność idzie, że całą twą przyjaźń pozyskam; harmonii nie zabraknie, gdzie będzie głębokie przeświadczenie o prawości chęci i czystości zamiarów, gdzie będzie wzajemna wiara w dobroć, w rzetelność wzajemną. Pisałaś mi, że cię inni o nieszczerość w wyznaniu zasad twoich pomawiają. Ja tą nieufnością nie zgrzeszyłam przeciw tobie. Kiedym cię pytała, czy narzędziem jest tobie dziś przyjęty tok myśli, to zawsze przekonaną byłam, że narzędzia nawet ku dobréj sprawie użyjesz. Teraz wiedząc, że w całéj rozciągłości ze wszystkiemi konsekwencyami przyjęłaś swoję naukę, teraz jeszcze ja wierzę, że ty w jéj dobroć wierzysz. Piękną, czystą spowiedź ducha twojego przyjęłam prawdziwie braterskiém sercem; wypowiedziałam ci także szczerze i naiwnie całą przeszłość moję, dałam skalę pojęć, wyobrażeń, dążności; a jeśli się nie rozumiemy jeszcze we wszystkich odcieniach zdań naszych; jeśli ty mnie Heglistką nazywasz, a mnie trudno pogodzić w tobie twoje chrześciańskie pojęcie kształcenia ludzi przez towarzyskie ustawy dla ducha z twojém zwątpieniem o udoskonaleniu ludzkości, trudno pogodzić twoję miłość dla bliźnich z tym żalem do nich, który jak echo serca w twoich się listach odbija: —

[1]) Wyrazy rozstawione są w liście Gabryelli ujęte w cudzysłów; prawdopodobnie powtarza tu G. zdania saméj Ziemięckiéj i zastosowuje je do swojéj „wiary."

to zapewne dlatego, bo i trudno myśl żywą w martwą literę przelać, głos ducha niememu dać papierowi. Nie zrażajmy się tém, Eleonoro; chcesz, pytaj mnie o wszystko, ja otwartość przyrzekam; nie bierz za próżną ciekawość, gdy ja nawzajem śledzić w każdém słowie najskrytszéj myśli twojéj będę. Mnie także błoga przyświeca nadzieja, nadzieja zgody, nie katoliczki z Heglistką, ale zgody dwóch myśli szukających prawdy, dwóch serc kochających ludzkość, dwóch duchów wielbiących Boga, dwóch chrześcianek pełniących naukę Chrystusa. Tą nadzieją żegnam cię, siostro.“

Niedługo atoli mogła się Gabryella nadzieją tą łudzić. Z jednéj i z drugiéj strony były ściśle określone, a przeciwne sobie zasady główne, które zbliżenia się umysłów nie dopuszczały, a serca wzajem ochładzały. Może nie będzie zbyt śmiałém przypuszczenie, że po odczytaniu przypisku Ziemięckiéj do „Zwalisk Luksoru“, gdzie tak stanowczo i tak bezwzględnie potępione zostały wszystkie zasadnicze twierdzenia Gabryelli, poetka nasza uczuła i zrozumiała dobitniéj niż kiedyindziéj, że zgoda, o któréj marzyła, była niepodobna bez wyrzeczenia się przekonań własnych, tak jéj drogich, tak silnie z duszą jéj zrosłych. Dla Ziemięckiéj zachowała szczery szacunek, ale już przestała wierzyć w możność porozumienia się, przestała wierzyć w możność serdecznego ukochania się. Stosunków zrywać nie chciała, lecz przesyłając swoje prace do „Pielgrzyma“, wybierała takie, które nie mogły wywołać sporu o przekonania, a więc utwory fantazyi czystéj, bez wyraźnéj społecznéj czy filozoficznéj tendencyi. Ziemięcka też w uznaniu talentu poetyckiego Gabryelli żadnych nie robiła zastrzeżeń i miło jéj zapewne było wypowiadać głośno uwielbienie swe dla „genialnéj“ autorki, jak ją zawsze w druku nazywała. Trzeba czytać jéj wstęp do pomieszczonego w „Pielgrzymie“ r. 1843 wyjątku z poematu „Maina i Kościej“, poematu, który nam dzisiaj wydaje się mętnym w treści, a rozwlekłym i słabym w wykonaniu, ażeby się przenieść w tę gorącą atmosferę uniesienia, z jakiém Ziemięcka go przyjmowała i polecała czytelnikom, przepowiadając, że „jestto utwór, który z czasem stanie obok najpierwszych naszych poematów: zaleca go doskonałość formy i nowość pomysłu.“ A nie poprzestając na tym ogólniku, stara się po swojemu przedstawić treść utworu z jaknajpochlebniejszéj strony, wskazać głębokość zawartych w nim myśli i piękność obrazów, wiersz wreszcie „tak piękny, tak improwizacyjnie śmiały i łatwy...“ Nie potrzebując się już przy takich poematach sprzeczać z autorką o przekonania, całą swą dla niéj sympatyą chciała wyrazić w bezwarunkowém uznaniu piękna jéj natchnień.

Ale Gabryella już się przyciągnąć nie dała. Znalazła krewnych po duchu w „Przeglądzie naukowym“, w gronie entuzyastów i entuzyastek. Dość często bywała wtedy w Warszawie, ale nie bar-

dzo śpieszyła z odwiedzeniem Ziemięckiéj, która zaczęła jéj z tego względu robić serdeczne wymówki. Gabryella odpowiedziała na nie krótkim listem, w którym odbiła się wyraźnie zmiana nastroju duszy poetki, zgoła już nie spodziewającéj się porozumienia z tą, którą „siostrą“ nazywać pragnęła. Pisała tedy:

„Wśród tylu przyjaciół i znajomych mojéj nieobecności dostrzegłaś—to jest o wiele więcéj, niż ja spodziewać się i wymagać mogłam. Nas wszystko dzieli: przekonania, stosunki, położenie w świecie; ja biedna, nieufna usuwam się teraz z drogi każdego, kto do mnie pierwszy z wyciągniętą ręką i sercem otwartém nie idzie, bo wiem, że już mam mniéj niż dawniéj na zniesienie zawodów odwagi. Ciebie byłabym zapewne bardzo kochała, szczerze, naiwnie, jakgdybyśmy nigdy autorkami nie były; ale téż od ciebie musiałam więcéj stronić niż od wszystkich osób zupełnie obojętnych, skoro spostrzegłam, że się już w żadnéj myśli, w żadném zejść nie możemy uczuciu. Nie gniewaj się, dobra moja; przez cały ten czas, cośmy się nie widziały, ja także miałam wiele zmartwień i smutków [1]; może dlatego zanadto w mych słowach goryczy. Pójdę do ciebie — jutro, pojutrze, nie wiem, kiedy czas znajdę — wytłómaczymy się lepiéj, chociaż wątpię, aby do dobrego zrozumienia przyszło; — a jednak, bądź co bądź, Eleonoro, ja wiem, że cię wśród wielu najgodniéj w piękności twéj myśli uznałam i oceniłam.“

W tych słowach czuć jeszcze miękkie tony uczucia trwającego, pomimo niezgody w rzeczach przekonania, ale niebawem tegoż jeszcze roku 1843 odezwie się Gabryella o Ziemięckiéj całkiem chłodno, oceni jéj działalność ze swego stanowiska surowo, dając poznać, że już z nią stosunków dawniejszych zachować nie będzie mogła. W liście do brata Erazma pomieściła następne zwięzłe i dobitne słowa: „Ziemięcka bardzo czule i sercowo na moje wyszła spotkanie, tak piękna jak sztych angielski, a tak łatwa, czarująca w rozmowie, że mogłabym się w niéj kochać, gdybym była mężczyzną, ale jéj kochać nie mogę. Daleko jak Rzym od... kraju drogi nasze idą— pietystka—mistyczka — dewotka z systemu nie z serca, łatwowierna na ponętne wielkich panów grzeczności — w pewną ostrożność mnie wprawia. Między wieloma przyczynami, które jéj głowę zawróciły, są także listy Semeneńki księdza“ [2]).

Po wyrobieniu sobie takiéj opinii o Ziemięckiéj, nie mogła Gabryella, rządząc się zawsze szczerością, podtrzymywać stosunku z redaktorką „Pielgrzyma“. Okoliczności zewnętrzne ułatwiły jéj wyjście z przykrego położenia. W roku 1844 na propozycyą Heleny Turnowej udała się do jéj domu w W. Ks. Poznańskiém, żeby się za-

---

[1]) Choroba i śmierć ukochanego brata Janusza, zmarłego 30 marca 1843 r. w Ossównie. Zob. „Listy N. Żm. do rodziny i przyjaciół“, I, 56.

[2]) Zob. „Listy N. Żm. do rodziny i przyjaciół“, I, 63.

jąć kształceniem jéj dwu córek. Bawiła tam blisko dwa lata wśród bardzo miłego towarzystwa i z Warszawą przez ten czas nie utrzymywała korespondencyi literackiéj.

Wyjeżdżając atoli pozostawiła u znajomych różne rękopisma do zbycia. Z tych dwa wzięła Ziemięcka do „Pielgrzyma“, mianowicie „Prządki“ i „Dańka z Jawuru“. Przynajmniéj co do téj drugiéj powiastki, nie ulega wątpliwości, że rękopism dostał się Ziemięckiéj nie od Gabryelli saméj. Zachował się list (w zbiorach pani Tatarowiczowéj), pisany przez Paulinę Krakowową do Ziemięckiéj w sprawie tego utworu. Z niego się przekonywamy, że i Krakowowa nie miała go wprost od autorki. Brzmi on tak: „Niech mi kochana pani natręctwo moje daruje, ale proszoną jestem usilnie o złożenie dziś lub jutro umówionych 300 złotych za powieść p. t. Dańko z Jawuru, lub o powieść samą, gdyż osoba, która mi ją do przedania powierzyła, ma, jak się zdaje, jeszcze innego nabywcę.“

Ziemięcka spełniła widocznie życzenie Krakowowéj, zapłaciła umówioną kwotę i „Dańka z Jawuru“ zaczęła drukować w grudniowym zeszycie „Pielgrzyma“ z r. 1845.

Gabryella, wróciwszy z Poznańskiego i ujrzawszy swą powiastkę bardzo już dawno nakreśloną w piśmie, które z każdym rokiem jaskrawiéj przeciw najdroższym jéj przekonaniom występowało, była mocno wzburzoną i napisała list do Ziemięckiéj, żądając, żeby przerwała druk powiastki. W liście tym porzuciła ton serdeczny i poufały, nie przemawiała już w drugiéj osobie, lecz niedawną „siostrę“ nazywała znów „panią“, a co więcéj, w sposób trochę szorstki, tonem oschłym protestowała przeciwko myśli jakiegoś pokrewieństwa poglądów ze względu na umieszczenie powiastki w „Pielgrzymie“. Nadzieja porozumienia się zawiodła całkowicie, przemieniając się na zgrzyt niechęci. Kartka ta zwykłego, nie listowego, papiéru bez żadnéj intytulacyi mieści w sobie słowa następne:

„Przez mimowolne nieporozumienie moja powiastka, dla dzieci jedynie napisana i ułożona, przedaną została redakcyi Pielgrzyma. O cofnięcie tego układu śmiało do Pani z prośbą się udaję, bo wiem, że nie zechce dla zapełnienia kilku kartek tak małéj wartości ustępem narzucać mi barwy jakiegoś pobratymstwa z opiniami, które, jak zrazu wielki smutek w sercu pragnącém Jéj przyjaźni wzbudziły, tak teraz z oświecającego się rozumu coraz większe potępienie wywołują. Nasze dalekie, wprost przeciwległe — nawet przypadkowo i pozornie zejść się nie powinny. Nie do systematu żadnego, lecz do uczucia rodzimego ludzkiéj natury, do prawości Pani odwołuję się w tym względzie, — a żal mi serce ściska, gdy sobie wspomnę, że ja i do Niéj na ostatnie słowo pożegnania nic więcéj z dawnych wspomnień wydostać nie mogę. — Jeśli zgłoszenie się moje w szlachetnéj prawdziwości Jéj serca zrozumianém i przyjętém będzie, to

zapewnie i tego Pani w Pielgrzymie umieścić nie zaniedba, iż powieść jest przerwaną i usuniętą na wyraźne życzenie Gabryelli."

Jeżeli wogóle żałować trzeba, że nie posiadamy listów Ziemięckiéj do Gabryelli, to w szczególności żal taki należy wyrazić co do braku odpowiedzi na kartkę powyższą; dałaby nam ona poznać w tym draźliwym wypadku najlepiéj serce redaktorki „Pielgrzyma", okazałaby nam, jakim sposobem zdołała wzburzoną poetkę uspokoić i do cofnięcia żądania swego zniewolić. Faktem bowiem jest, że „Dańko z Jawuru" nie został w „Pielgrzymie" przerwany, że dokończenie jego wyszło w zeszycie styczniowym r. 1846 tego pisma i wyszło bez żadnego przypisku, któryby świadczył, że Gabryella nie ustąpiła. Z drugiéj zaś strony nie znamy żadnéj protestacyi autorki w innych pismach ówczesnych. Zatarg zatém skończył się bez głośnego, publicznego rozdźwięku, ale oczywiście nie mógł się przyczynić do przywrócenia uczuć dawniéj doznawanych, nie mógł doprowadzić do związania tych nici przyjaźni, które się rwały stanowczo. Od tego czasu już się Żmichowska nie zeszła z Ziemięcką na drodze wspólnéj pracy literackiéj.

Piotr Chmielowski.





W sprawie rokoszu Zebrzydowskiego.



Biblioteka ordynacyi Krasińskich. Tom IX, X, XI i XII.– Rokosz Zebrzydowskiego.—Materyały historyczne, poprzedzone przedmową i rozprawą pod tytułem: „Konfederacya i rokosz w dawném prawie państwowém polskiém,“ wydał Aleksander Rembowski. Warszawa, 1893.

Po dłuższéj przerwie (od r. 1886—1892) ukazał się nowy tom Biblioteki ordynacyi Krasińskich, jako tom IX, X, XI i XII. Obejmuje on źródła do rokoszu Zebrzydowskiego, poprzedzone przedmową i rozprawą pod tytułem: „Konfederacya i rokosz w dawném prawie polskiém.“ Wydawca p. Aleksander Rembowski, znany zaszczytnie w literaturze naszéj ze swoich prac naukowych, starał się widocznie publikacyę powyższą zastosować do dzisiejszych wymagań umiejętnych i zrozumienie tekstu źródłowego ułatwić rozprawami, napisanemi gruntownie i pod niejednym względem niemal wyczerpująco.

We wstępie, obejmującym XXIX stronic druku, poddaje p. R. dość szczegółowéj krytyce dotychczasowe prace o rokoszu Zebrzydowskiego; rozprawia się więc ze Szmittem, Szujskim i z mojemi poglądami, wyrażonemi w książce „Przed rokoszem,“ a jakkolwiek krytyka ta nie jest wyczerpującą, to naprowadza jednak autora na drogę właściwą, budząc w nim przekonanie całkiem słuszne i uzasadnione, że „historycy i statyści nasi oceniali dawne urządzenia polityczne polskie w oderwaniu i stawili je pod pręgierzem lub sławili pod niebiosa, kierując się dowolnym porywem serca.“ Przeświadczenie to, do którego doszliśmy także na podstawie długoletnich studyów historycznych,

jest pierworodnym grzechem polskiego dziejopisarstwa. Pierwszy dał przykład tego traktowania historyi ze stanowiska politycznego Naruszewicz, którego, co prawda, usprawiedliwiają współczesne stosunki i który zresztą miał tę zasługę przynajmniéj, że w badaniach swoich stosował metodę prawdziwie umiejętną, a u nas do jego czasów prawie zupełnie nieznaną. Poglądy Naruszewicza przejęli w kilkadziesiąt lat po nim, wśród odmiennych zupełnie warunków, młodsi historycy polscy, przeciwstawiając je tendencyom t. zw. szkoły Lelewelowskiéj, stojącéj na gruncie republikańskim i demokratycznym. Pierwiastek polityczny, podlegający wpływom chwili obecnéj, stał się w ten sposób czynnikiem rozstrzygającym niemal w ocenianiu wypadków odległych, z teraźniejszością bezpośrednio niezwiązanych a zawisłych od całkiem odmiennych warunków społecznego życia. Otóż p. R., spostrzegłszy ten błąd, zastosował inną metodę badania w rozprawach, umieszczonych na początku publikacyi źródeł rokoszowych. Wychodząc z założenia, jedynie słusznego, że historya polska w rozwoju swoim nie jest objawem oderwanym, lecz łączy się ściśle z Zachodem, jako źródłem swojéj cywilizacyi, szuka on i znajduje analogią dla stosunków naszych w politycznêm i wewnętrznêm życiu narodów zachodnich.

Ani Szujski, który w badaniach swoich nad historyą polską XVI w. doszedł do przekonania, że „ostatnim jéj wyrazem było nie państwo, ale powrót do słowiańskiéj kupy,“ a zapomniał przytém, że ten sam proces odbywał się współcześnie także w Niemczech, Francyi i Hiszpanii, ani Lelewel, który porównując trzy polskie konstytucye z sobą, nazwał urządzenia nasze „dziwolągami,“ nie stali na gruncie historyi porównawczéj, lecz, mając na oku jedynie źródła i stosunki polskie, dopatrywali w nich pewną oryginalność i odrębność, która właściwie nigdy nie istniała. „Nic więc dziwnego, że obcy historycy, wsparci wysokiemi autorytetami, przyszli również do przekonania, że organizm dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj był zbiorowiskiem najprzeróżniejszych osobliwości i przechował oryginalny jakiś pierwiastek federacyjny, nieznany gdzieindziéj.

Odnosi się to pomiędzy innemi do konfederacyi, które Szujski wyprowadza z Niemiec, przypisując pojawienie się ich w Polsce naśladownictwu. Tymczasem tłómaczenie to jest „têm bardziéj nieuzasadnionêm, gdy nawet ustrój formalny konfederacyi polskich nie był do niemieckiego podobnym.“ „Powstanie sojuszów konfederackich w Polsce musiało zatém tak, jak na całym zachodzie Europy, być wywołanêm ważnemi przyczynami zarówno politycznéj, jak i socyalnéj natury.“

Doszedłszy do takich wniosków, musiał autor logicznie pracę

swoją podzielić na dwie części: w pierwszéj usiłuje przedstawić nam rozwój konstytucyi stanowéj, powstawanie związków federacyjnych i stanowisko monarchizmu na zachodzie Europy, w drugiéj traktuje o konfederacyach w Polsce.

Pierwsza część nie jest pracą źródłową, lecz kompilacyą bardzo skrzętną, opartą na najznakomitszych publikacyach niemieckich, francuskich i angielskich. Autor wyjaśnia w niéj genezę związków federacyjnych, które były właściwie podstawą konstytucyi stanowéj, podnosi wielkie znaczenie miast, których wpływ był „potężnym i cywilizacyjnym,“ a dla „przekształceń politycznych“ wysoce pożytecznym, omawia położenie ludności wiejskiéj i dochodzi wreszcie do wniosku, że konfederacye, dawszy początek trwałéj reprezentacyi, utrzymały się „jako organ nadzwyczajnego sejmowania dopóty, dopóki konstytucya stanowa nie ustąpiła miejsca oświeconemu lecz absolutnemu monarchizmowi.“

Dla naszych stosunków ma ta rozprawa znaczenie zasadnicze. To, co dotychczas bowiem uchodziło za właściwość specyficznie polską, okazuje się jako zwyczaj ogólny, przyjęty a przynajmniéj praktykowany w całéj zachodniéj i środkowéj Europie. Dzisiejsza, powszechnie uznana zasada parlamentarna, która mniejszość poddaje uchwałom większości, „nie zdołała w organizacyi sejmów stanowych wyrobić sobie uznania;“ wyjątek pod tym względem stanowi jedynie konstytucya angielska. Na stałym lądzie było inaczéj. Pełnomocnicy stanów hołdowali tak dobrze na zachodzie, jak i u nas, znanéj zasadzie: „nic na nas bez nas“ i skrępowani szczegółowemi instrukcyami swoich mocodawców, trwali w opozycyi nawet wtenczas, gdy naglące kwestye państwowe zgodnego wymagały postępowania. „Tym sposobem w zjednoczonych Niderlandach każda sprawa, dotycząca unii, zależała od korporacyi wyborczych 56 miast, szlachty i chłopów fryzyjskich, czyli od 2,000 drobnych zwierzchników, którzy z punktu widzenia swego lokalnego egoizmu decydowali o losach całéj unii.“

Zasada ta średniowiecznéj polityki stanowéj, doprowadziła wprawdzie w Polsce, w chwili ogólnego zamętu i rozprzężenia do ohydnego zrywania sejmów przez „*liberum veto*,“ ale mimo to nie zatraciła swego ogólno-europejskiego charakteru i nie może być żadną miarą uważana jako właściwość konstytucyi polskiéj.

Podobnie ma się rzecz i z wypowiedzeniem posłuszeństwa królowi, czyli z t. zw. w konstytucyach naszych artykułem *de non praestanda obedientia.*

Już stany aragońskie witały wstępującego na tron króla charakterystyczną formułą: „My, którzy znaczymy tyle co ty, a nawet

więcéj możemy niż ty, czynimy cię naszym królem i panem, pod tym warunkiem, abyś nam nasze prawa zachował. Jeżeli nie to nie," a stany duńskie uważały za obowiązek swój kardynalny odmawiać posłuszeństwa królowi, naruszającemu potwierdzone prawa. Ten sam stosunek widzimy także w Bawaryi i zaprawdę dziwić się nie można, że to, co gdzieindziéj, na Zachodzie praktykowano od dawna, i u nas nad Wisłą w w. XVII głośném odezwało się echem. W każdym razie jednak artykuł *de non praestanda obedientia* nie był wynalazkiem głów polskich, ani jakąś szczególną właściwością naszéj konstytucyi.

Przedstawiwszy w ten sposób rozwój konfederacyi na Zachodzie i w środkowéj Europie, zajmuje się autor w drugiéj rozprawie swojéj polskiemi związkami konfederackiemi. Zasadniczo jest on przeciwnym, jak to wspomnieliśmy, poglądom Szujskiego i mniema, że konfederacye polskie, podobnie jak i związki zachodnie, miały źródło swoje w wadliwościach stosunków społecznych i ustroju prawno-politycznego. Może być, i to przypuszczamy nawet, że przykład sąsiednich Niemiec oddziaływał pod pewnym względem na postanowienia szlachty polskiéj i polskiego mieszczaństwa w XIV w., ale to pewna także, że główną przyczyną konfederacyi było co innego, niż chęć naśladowania junkrów brandenburskich. Dowodzi tego przedewszystkiém ta okoliczność, że inicyatywę do tworzenia związków konfederackich dały miasta, a nie szlachta. Pierwszą konfederacyą zawiązały w r. 1302 miasta wielkopolskie za zezwoleniem Fryderyka, komornika Królestwa Polskiego, przeciw rozbójnikom i podpalaczom, drugą podobną w r. 1350; w dwa lata późniéj dopiéro pojawia się związek konfederacki Maćka Borkowicza, wojewody poznańskiego.

Cel, jaki sobie te pierwsze związki miast wytknęły i pozwolenie reprezentanta władzy królewskiéj, dowodzą jasno, że nie buntownicze zamiary, ale dobrze zrozumiana potrzeba obrony własnéj były przyczyną assocyacyi, tak pożytecznéj zresztą dla utrzymania porządku publicznego i tak naturalnéj wobec nieustalonych stosunków i niedostatecznego wymiaru sprawiedliwości. Ten sam charakter mają także konfederacye, zawiązane po śmierci króla Ludwika w r. 1382 i 1383.

Że z biegiem czasu podobnie jak w innych państwach, tak i u nas związki konfederackie zatraciły pierwotny swój charakter i rozwijały niejednokrotnie szkodliwą dla Rzeczypospolitéj działalność, to da się wytłómaczyć także już wadliwością urządzeń państwowych, już brakiem odpowiednio zorganizowanéj reprezentacyi stanowéj, któraby mogła w drodze legalnéj przeciw nadużyciom występować i o rzekome

krzywdy swoje się upominać. Konfederacya Borkowicza była wymierzona nie tyle przeciw królowi, co przeciw władzy starościńskiéj, konfederacye z r. 1406 i 1407 miały na celu obronę przywilejów szlacheckich przeciw uroszczeniom duchowieństwa i zaznaczały w akcie konfederackim najwyraźniéj niezachwianą wierność swoją dla tronu i monarchy, a Spytek z Melsztyna padł pod Grotnikami nie jako buntownik przeciw Władysławowi III, ale jako ofiara familijnéj polityki Oleśnickich, którzy nie wahali się dla schowania swoich własnych interesów powołać do życia nowy rodzaj konfederacyi, konfederacyi możnowładczéj, zawiązanéj dla obrony króla i tronu. W ten sposób stawały się konfederacye niebezpieczném narzędziem koteryjnéj lub osobistéj nawet polityki, która, osłaniając działalność swoją pozorami dobra publicznego, w rzeczywistości podkopywała powagę tronu i wprowadzała zamęt w organizm Rzeczypospolitéj. P. Rembowski nie doszedł wprawdzie do tych konsekwencyi, ale nasuwają się one każdemu, kto historyę polską w. XV porównywa z wypadkami, jakie się wydarzyły w ostatnich dwóch stuleciach, w w. XVII i XVIII.

W zachodnich państwach europejskich układały się stosunki inaczéj. Tam obok feudalnéj arystokracyi i silnego żywiołu szlacheckiego wystąpiły wcześnie już jako współrzędna niemal potęga miasta, które, tworząc stan trzeci, zamożny i silnie zorganizowany, dopomogły władzy królewskiéj do złamania feudalizmu, jak we Francyi, albo téż umiały, jak w Niemczech, zachować wpływ pewien na sprawy publiczne i nie dopuściły w ten sposób do zbytniéj przewagi szlacheckiego stanu.

W Polsce brakowało tego czynnika. Miasta polskie, przynajmniéj znaczniejsze, miały wprawdzie także epokę rozkwitu i ekonomicznego rozwoju, ale wcześnie już, bo w w. XVI popadły w zupełną niemal od stanu szlacheckiego zawisłość. Przyczyny tego upadku miast wyjaśniliśmy na inném miejscu [1]) obszernie, a jeżeli nie używaliśmy przytém, co nam p. R. zarzuca, „Zbioru praw, dowodów i uwag“ etc. (Warszawa, 1790), to dlatego, że nie chodziło nam o prawnopolityczne stanowisko miast, ani o ich przywileje, lecz o dowód, że miasta na początku w. XVII w zupełnym znajdowały się upadku i na sprawy publiczne żadnego nie wywierały wpływu. P. R., posiłkując się „Zbiorem,“ doszedł także do tych samych konkluzyi (str. 162) a nawet prześcignął nas poniekąd twierdzeniem, że „ani posłowie mniejszych miast do izby poselskiéj, ani posłowie większych miast do

---

[1]) Przed rokoszem. Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficz. Akad. Umiejęt., Kraków, 1882. T. XV.

senatu Rzpltéj nie otrzymali po r. 1569 przystępu" (182). Pesymizm ten nie znajduje w źródłach potwierdzenia. Owszem, na sejmie konwokacyjnym w r. 1587 są posłowie miejscy i siedzą w senacie.

Dyaryusz współczesny [1]) tak się o tém wyraża: „Byli téż przy dzisiejszéj radzie niejacy posłańcy. Powiadają, że od miasta Elbląga i innych miast pruskich po niemiecku byli, było ich sześć albo siedm osób. Opowiedział je pan marszałek panom w radzie i pytał, jeśliby mogli mieć jakie miejsce ku siedzeniu? Odpowiedział X. Kujawski, że obyczaj bywał by siedli i dano im miejsce na ławie w tyle stołków senatorskich po jednéj stronie..."

Prawda, że ci posłowie zachowywali się biernie, że „nic nie mówili ani czynili," że „ich zastępowano," na co „pan marszałek miał baczność i rozkazał, aby ich nie zastępowano," acz obecność miast w senacie jest faktem i widocznie Hoffman miał słuszność, kiedy się przy tém upiérał [2]).

Ten udział miast w sejmie i to „siedzenie posłów miejskich w tyle stołków senatorskich" miało znaczenie czysto formalne i wpływu żadnego na sprawy publiczne nie dawało, a dowodem tego jest i ta okoliczność, że w konfederacyi r. 1587 o stanie miejskim żadnéj nie ma wzmianki.

Gorszém było o wiele położenie włościan. P. R. zarzuca nam i pod tym względem pesymizm, twierdząc, że powtarzamy tylko same skargi na ucisk kmieci, a pomijamy pochwały u wcześniejszych i współczesnych pisarzy (str. XV), że znamy tylko ustępy z „Votum szlachcica polskiego," a milczymy o ustawach wioskowych, któremi „szlachta samowolę swą na rzecz dobra kmiecego ograniczała." Wywody p. R. nie zdołały nas ani zachwiać, ani przekonać. Przyznajemy, że były wyjątki, gdzie „roboty kmieciom bądź pieniędzmi, bądź leguminami, według słuszności nagradzano" (Robak sumienia złego), gdzie lepiéj się z nimi obchodzono, ale ogólnie panowały stosunki nieznośne; jak świadczy Skarga we „Wzywaniu do pokuty" [3]) i jak dowodzi klasyczny świadek biskup wileński Woyna, który na sejmie r. 1605, dając sprawę „o znędznieniu poddanych nietylko duchownych ale i królewskich," mówi wyraźnie: „że gdzie przedtém chłopów pięćset było,

---

[1]) Dyaryusze sejmowe r. 1587. „Sejm konwokacyjny i elekcyjny." Wydał dr. August Sokołowski. Kraków, 1887. (Scriptores Res. Pol. T. XI). Str. 9.

[2]) „Obraz rządu i prawodawstwa dawnéj Polski." „Przegląd Poznański" z r. 1847, str. 389.

[3]) Str. 28 i 29.

teraz ich kilkadziesiąt ledwie zostawa" [1]). Snać „leguminy" owe mniéj były smaczne, a pieniądze wyjątkowo tylko dochodziły. Już Hube zresztą, na co i sam autor zwraca uwagę (str. 128), powiada, że w w. XIII położenie całéj ludności nieswobodnéj było wcale niepomyślne i zależało głównie od umiarkowania i względności, z jaką pan postępował; a w w. XV ratował się kmieć przed uciskiem ucieczką i dość często „odwoływał się do pożogi, jako do potajemnego odwetu." Wkrótce położenie włościan miało się jeszcze bardziéj pogorszyć. Konstytucya z r. 1496 [2]) postanowiła, aby w czasie żniw nie wolno było kmieciom wydalać się za zarobkiem na Szląsk lub do Prus, a sejm z r. 1520 [3]) nakazał włościanom odrabiać jeden dzień pańszczyzny w tygodniu. Słusznie zatém powiada Lippomano w swojéj relacyi o Polsce z r. 1557: „Szlachta polska ma nieograniczoną władzę nad wieśniakami, przywiedzionymi prawie do stanu niewoli" [4]).

Ze wszystkich tych przykładów i dowodów wynika jasno, że zapatrywania nasze na położenie włościan polskich w przededniu rokoszu Zebrzydowskiego były zupełnie uzasadnione, a i autor sam zgadza się poniekąd z nami, kiedy omnipotencyą stanu szlacheckiego w Rzpltéj w jaskrawych przedstawia barwach (str. 221) i powtarza surowy sąd o szlachcie prof. Pawińskiego [5]).

Wadliwy ustrój Rzeczypospolitéj, więc i nieudolność sejmów były głównemi przyczynami konfederackich związków; obok tego powstawały one także w czasie bezkrólewia, kiedy brak wszelkiéj władzy otwiérał swawoli i prywacie szerokie pole do działania. Konfederacye bywały wtenczas wprawdzie hamulcem anarchii, ale téż zarazem uzurpowały sobie władzę stanowienia praw, jak w r. 1573 i używały jéj naturalnie na korzyść panującego stanu. W ten sposób z związków pożytecznych początkowo, stały się konfederacye czynnikiem rozkładowym w Rzeczypospolitéj i rozpowszechniły zgubną zasadę, że nawet związki przeciw królowi i przeciw stanom sejmującym mogą mieć cechę prawną i prawny zakres działania.

Odrębnym zupełnie od konfederacyi objawem życia politycznego był „rokosz." P. R. poświęca mu krótką stosunkowo wzmiankę (str. 283—296) i opiéra argumentacyę swoją na pismach ulotnych, podczas rokoszu ogłoszonych. W ten sposób czytelnik nie ma dokładnego wyobrażenia ani o istocie tak doniosłego ruchu, ani o jego właściwych przyczynach. Rzeczywiście, rokosz nie potrzebuje być wymierzony

---

[1]) Rkp. Bibl. ks. Czartor., nr. 341, p. 18.—[2]) Voll. I, 122.—[3]) Tamże 178.—[4]) Relacye nuncyuszów, I, 65.—[5]) „Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego," str. 399.

zawsze przeciw królowi, są bowiem ślady rokoszańskich ruchów także podczas bezkrólewia.

Na elekcyi po śmierci Stefana Batorego, kiedy stronnictwa zgodzić się z sobą nie mogły, woła szlachta o rokosz. „Pierwsze stronnictwo — tak pisze Annibal z Kapuy 28 lipca 1587 r. do kardynała Montalto — żądające potwierdzenia, usiłowało podnieść co tu nazywają „rokosz“; to jest nakazać, aby cała szlachta zebrała się dla rozpoznania krzywd doznanych tak od senatorów, jak od kogobądź i sama je sądziła, zgromadzona w polu i cała uzbrojona. Co gdy postanowili sami i naznaczyli na to dzień wczorajszy, 27 b. m., dali o tém wiedziéć przez posłów senatowi, szlachcie przeciwnéj, Litwie i Prusakom. Czynność takowa, która zwykle tylko w ostatecznościach Rzpltéj ma miejsce (czego więcéj nad dwa lub trzy przykłady nie pamiętają), sprawiła wielkie wrażenie na wszystkich umysłach“ [1]).

Podobnie pod Lwowem w r. 1537-ym skarży się szlachta, że w Rzpltéj panuje bezprawie i że wszystko jest poddane samowoli możnych [2]). Może być, że w tych skargach, które potwierdza następnie i przykładami ilustruje Piotr Zborowski, kasztelan małogoski [3]), jest wiele przesady, w każdym razie jednak widoczna, że rokoszanie mierzą nie tyle w króla, co w możnowładztwo. Analogiczne téż są początki rokoszu Zebrzydowskiego. Nie król, ale źli doradcy jego wywołują ogólną niechęć i niezadowolenie. „Że Rzplta — mówi Zebrzydowski na sejmiku w Proszowicach — praw swoich nie ma, i że się w państwie źle dzieje, tego przyczyną źli doradcy króla JMci“ [4]). Oni posunęli śmiałość swoją tak dalece, że bez wiedzy obecnych na dworze senatorów skleili małżeństwo króla z rodzoną siostrą zmarłéj królowéj. „Byłem natenczas—tak ciągnie wojewoda daléj — u boku króla JMci, gdy rozmaite narady się odbywały, ale jakie tam zapadły postanowienia nie wiedziałem.“ Tym, który go tak statecznie od rady usuwał i na króla przemożny wpływ wywierał, był nie kto inny, jak tylko osobisty nieprzyjaciel Zebrzydowskiego, a u szlachty nielubiany i niepopularny marszałek w. kor. Zygmunt Myszkowski. Tendencye i charakter tego człowieka przedstawiliśmy na inném miejscu [5]), tu nadmienić musimy, że podług korespondencyi współczesnych jest on osią, około któréj obraca się cała sieć intryg na dworze królewskim.

---

[1]) Listy Annibala z Kapuy, p. 66. Porów. także relacyą Lippomana w „Rel. Nun.“, I, 255, gdzie o innym rokoszu jest wzmianka. — [2]) Orzechowski, „Annales“. Wyd. Dobromilskie, p. 159. — [3]) Tamże, p. 163. — [4]) Teki Naruszewicza pod r. 1606. — [5]) Przed rokoszem.

Charakterystyczne niezmiernie i ważne pod tym względem są listy Piotra Żerońskiego do biskupa warmińskiego, Rudnickiego, pisane w początkach r. 1606 [1]). Roztaczają one przed nami smutny obraz zabiegów o starostwa i dygnitarstwa, protekcyjności, posuniętéj do ostatecznych granic i cichéj a zawziętéj walki pomiędzy marszałkiem a podkanclerzym. „Owo zgoła—pisze Żeroński — u nas są konfederaci, brat brata się strzeże, wszystko się powikłało, szczerość bandytem.“ A nie jest to głos odosobniony, narzekanie jakiegoś pominiętego kandydata, lub objaw złego humoru śledziennika — bynajmniéj. Takich listów i takich utyskiwań mamy podostatkiem pod ręką, a wszystkie one dowodzą, że na dworze Zygmunta III-go rządziła koterya, mało troszcząca się o głos opinii publicznéj i o dobro Rzpltéj. I jeżeli zacny Żółkiewski na sejmie r. 1607 mniemał, podobnie jak i Jan Zamojski przy innéj sposobności, że „co złego jest w ojczyźnie, co z prawa i porządku domowego wypadło, na sejmie naprawić należy“, to z listów Żerońskiego dowiadujemy się znowu, że przeciwnikiem zwołania sejmu na początku r. 1606 nie był nikt inny, jak marszałek w. kor. Ta sama kamarylla usiłowała w chwili stanowczéj, już podczas rokoszu, podać królowi w wątpliwość wierność Żółkiewskiego [2]), a pod Janowcem z prywatnéj zemsty zgotowała całkiem niepotrzebnie Zebrzydowskiemu upokorzenie [3]), które dumnego a drażliwego wojewodę żywo dotknęło i do nowych knowań rokoszańskich popchnęło.

Stan ten Rzpltéj musiał wywołać najpierw u góry, a następnie u dołu, w szerokich masach, słuszne i powszechne niezadowolenie, a p. R. łudzi się, gdy sądzi, że „groźny rokosz Zebrzydowskiego obejmował tylko część stanu rycerskiego i to część znakomicie mniejszą“, bo od Łubieńskiego dowiadujemy się [4]) znowu, że pod Warką duch rokoszański panował w wojsku królewskiém tak dalece, że żołnierze bić się nie chcieli, a następnie i pod Orańskiem (Guzowem) do boju szli bez zapału i przekonania. Tém tłómaczy się téż przebieg bitwy guzowskiéj, niebezpieczeństwo, w jakiém się król znajdował z początku i owa ucieczka senatorów, którzy zaledwie o kilka mil od pobojowiska się oparli [5]).

Tak więc w ocenianiu rokoszu nie był wydawca szczęśliwym,

---

[1]) Teki Narusz. do r. 1606. To, co wspomnieliśmy o wpływach marszałka w. kor., potwierdza w zupełności Łubieński (Vita Pstrokoń.), „Opera posth.“, fols 420. — [2]) Łubieński, *l. c.*, p. 423. — [3]) Łubieński: „De motu civili“. — [4]) Łubieński (Vita Pstr.), „Opera“, p. 426. — [5]) Wiadomo, że ustęp o ucieczce senatorów. znajduje się tylko w pierwotném, późniéj zniszczoném wydaniu Łubieńskiego.

oparł się bowiem tylko na współczesnych pismach ulotnych, a jednak usiłował widocznie na podstawie tak niedostatecznego i jednostronnego materyału, wyrobić sobie sąd, podług naszego rozumienia rzeczy, niezgodny z rzeczywistością. Dalecy od apoteozowania rokoszu i jego przywódców, widzimy w nich brak przewodniéj myśli politycznéj i świadomości celu, ale zarazem musimy stanowczo i surowo potępić tych, co swojém postępowaniem, równie niepolityczném, wywołali ruch ten, dla Rzeczypospolitéj szkodliwy i dla zamiarów zreformowania państwa zabójczy.

Materyał rękopiśmienny, ogłoszony przez p. R., pochodzi właściwie z jednego tylko manuskryptu Biblioteki ordynackiéj Krasińskich, należącego do zbioru K. Świdzińskiego. Rękopis ten, opatrzony numerem katalogu 455, zdaje się być sporządzonym około r. 1633. Akta, zawarte w nim, nie są rzadkie. Wydawca sam miał sposobność porównać je z odpisami w manuskrypcie, będącym własnością hr. Anny Branickiéj, a Biblioteka ks. Czartoryskich w Krakowie posiada cały szereg woluminów, zapełnionych aktami rokoszowemi. Materyały te mają wartość rozmaitą i dadzą się z tego względu podzielić na dwie części: 1) akta publiczne, jak: uniwersały, dyaryusze zjazdów i listy otwarte, podane do powszechnéj wiadomości; 2) korespondencye prywatne. Nie potrzeba chyba nadmieniać, że część druga jest właściwie najważniejsza, bo pozwala nam wglądnąć w zakulisową grę stronnictw i odsłania stosunki, o których zwyczajnie w aktach publicznych wcale nie ma wzmianki. Do tego rodzaju materyałów zaliczam pomiędzy innemi korespondencyą biskupa warmińskiego, Rudnickiego, zachowaną w oryginałach w rkp. Bibl. Czartoryskich, nr. 1639, listy ks. Kuczborskiego i Żerońskiego w Tekach Naruszewicza.

Publikacya p. R. zawiera wprawdzie tylko akta pierwszéj kategoryi, niemniéj przeto uważamy ją za pożyteczną już z tego względu, że stanowi krok pierwszy, na polu u nas dotychczas prawie zupełnie zaniechaném. Wolelibyśmy naturalnie postępowanie więcéj metodyczne, wolelibyśmy, aby obok uniwersałów i dyaryuszów ogłoszono także, o ile można w całości, nieskończoną ilość pism ulotnych z epoki rokoszowéj, gdy jednak publikacya tego rodzaju wymaga nietylko obszernych studyów przygotowawczych, ale także licznych podróży po archiwach i bibliotekach, przyjmujemy z wdzięcznością i to, co nam p. R. obecnie podaje.

Nastręcza się teraz pytanie jedno, bardzo ważne, a mianowicie: czy wydanie odpowiada wszelkim warunkom metodycznym i umiejętnym? Pod tym względem mamy niestety pewne, bardzo poważne za-

rzuty i wątpliwości. Najpierw nie wiemy dobrze, dlaczego p. R przedrukował listy i uniwersały Żółkiewskiego (VII, VIII, XLII i XLIII), ogłoszone już dawniéj w publikacyi Bielowskiego? Prawdopodobnie kierował się wydawca w tym wypadku względem na uzupełnienie materyałów rokoszowych i pragnął podać czytelnikom całość zaokrągloną, mimo to jednak sądzimy, że wobec olbrzymiéj ilości aktów z téj epoki wypadało raczéj, o ile możności, miejsca oszczędzać i zamiast znanych już dokumentów umieścić inne nieznane, co dla historyka byłoby więcéj pożądaném.

O wydaniu obszerniejszych aktów, jak: *Liber generationis Stężyce*, Proces zjazdu lubelskiego i Akta rokoszowe, który (?) był złożony z zjazdu lubelskiego r. p. 1606, na dzień 6 sierpnia pod Sandomierzem, nie wiele możemy powiedziéć, nie znając rękopismu, z którego były ogłoszone. To jednak pewna, że dyaryusze te w licznych i to nie równobrzmiących znajdują się odpisach także w innych archiwach i że wskutek tego wydanie w Bibl. Krasińskich nie jest wystarczającém. Tak np. dyaryusz zjazdu lubelskiego, ogłoszony w Bibliotece, różni się znacznie od rękopisu Bibl. ks. Czartoryskich, l. 337, który jest dokładniejszy i obszerniejszy, zawiera więcéj nazwisk i aktów, nie znajdujących się w Msr. Bibl. Krasińskich. Na dowód przytaczamy kilka takich ustępów: na str. 12 (wyd. B. Kras.) „Pan pisarz lubelski“, w rkp. Czart. „Pan Sierakowski, pisarz lubelski“; daléj: „p. podkomorzego krakowskiego“ (B. Kr.), w rkp. Cz. dodano: „Cikowskiego“; „p. Latoszyńskiego“ (B. Kr.), u Czart.: „Podczaszego krakowskiego“ i t. d.

Na str. 17-éj, gdzie mowa o słuchaniu posłów województwa wileńskiego, nie ma ani nazwisk, ani memoryału, co wszystko znajduje się w rkp. Czart.

W samym toku dyaryusza różnice są jeszcze znaczniejsze i dlatego sądzimy, że wydawca powinien był oba te dyaryusze ze sobą porównać i, wziąwszy jeden tekst za podstawę, ustępy w nim brakujące jako uzupełnienie w dodatku umieścić, albo nawet, gdyby to było niemożliwe, oba dyaryusze ogłosić.

W ten sposób mielibyśmy przynajmniéj materyał historyczny zjazdu lubelskiego niemal w całości, obecnie zaś musimy koniecznie robić jeszcze poszukiwania w Bibl. Czartor.

Pomiędzy innemi materyałami, jakie w tym tomie Bibl. Kras. znajdujemy, zasługują na największą uwagę listy Zebrzydowskiego, na wszystkich zjazdach ówczesnych czytane i w licznych odpisach krążące po kraju. Stanowią one akt oskarżenia przeciw królowi, traktują o drugiém małżeństwie Zygmunta III-go, o stosunkach dwor-

skich, rzucają światło na stanowisko Zebrzydowskiego w kwestyach najważniejszych, a jakkolwiek są pisane w obronie wojewody, to jednak zaliczyć je trzeba do pierwszorzędnych źródeł historycznych téj epoki, już z tego powodu, że musiały one na opinię publiczną podczas rokoszu wywierać wpływ potężny. Wszystkie rękopisy współczesne, lub wypadkom tym bliskie, umieszczają albo w całości owe „Listy pana wojewody,“ albo najważniejsze z nich ustępy a mowy rokoszowych trybunów i oskarżenia na zjazdach przeciw królowi miotane są w znacznéj bardzo części tylko echem rewelacyi Zebrzydowskiego. Z téj wielkiéj popularności „Listów“ wyniknęła jednak ta niedogodność, że kopie ich, dokonywane przez rozmaitych ludzi i w rozmaitych czasach nie są dokładne i że tekst w przybliżeniu autentyczny, trzeba z pewnym mozołem i trudem układać na podstawie kilku odpisów. Uznając ważność tych aktów, staraliśmy się o rekonstrukcyę tekstu i zestawiliśmy głównie na podstawie kopii z tek Naruszewiczowskich (do r. 1606), jakotéż odpisu w rkp. Bibl. Czart. nr. 337 (str. 46 i nast.), tekst tych „Listów“ taki, jaki nam się wydał najbardziéj do oryginału zbliżonym. Otóż, porównywując teraz kopię naszą z wydaniem p. R., przekonywamy się, że rękopis Bibl. Kras. był w znacznéj części błędnym i niezrozumiałym i że skutkiem tego także tekst, w wydaniu umieszczony, jest zupełnie prawie zepsuty. Na dowód przytaczamy niektóre różnice pomiędzy jednym a drugim odpisem zachodzące:

Bibl. Kras.	*Test. nar. rkp. Czart.*
. . . . bo one głosy o tym, że W. K. M. w tymże domu małżeństwo powtórzyć miał, raczéj złości, ludzkiéj sławie i pobożności W. K. M. nieżyczliwych przypisowałem, ani żebym był miał temu wiarę dać za deklaracyją W. K. M. po trzykroć uczynionéj W. K. M., o rodzonéj siostrze myśléć nie chciał (str. 101).	. . . . bo one głosy o tem, że WKM. w tymże domu małżeństwo powtórzyć miał raczéj złości ludzi, sławie i pobożności WKM. nieżyczliwych przypisowałem, ani żebym był miał temu wiarę dać, a dopieroż za deklaracyją WKM. po trzykroć uczynioną, żeś WKM. o rodzonéj siostrze myśléć nie chciał.
. . . Acz wierzę, że drudzy więcéj, ale i namniéj rzeczy wiedzą rzeczpltą zachodzących... (102).	Acz wierzę że drudzy więcéj, ale i ja nie mało rzeczy widzę Rzpltą zachodzących.
Zjednawszy sobie, prosiłem J. K. M.... (103).	Zjednawszy sobie audyencyą, prosiłem JKM.
Więc już W. K. M. kanclerza zelżył, że się do praktyk z Rakuszanami choć niesłusznie przyznał, teraz jeśli i to przy-	Więc już WKM. kanclerz zelżył, żeś się do praktyk z Rakuszanami choć niesłusznie przyznał, teraz jeśli i to przy-

znanie królewicza J. M. na W. K. M. wymoże... (104).

. . . . dawno doświadczonych i sobie zasłużonych, przez które Pan Bóg na téj stolicy posadził i sprawy dyrygował. Ukazując... (106)

Przykładają do tego powolność wielką K. J. M. arcyksiężnie jej mości, za którą (minąwszy insze rzeczy, a to ochmistrzynią od niéj posłaną przy królewiczu J. M. chowają się. na to téż któréj nie może być) w ohydę królewicza J. M., u ludzi nie oglądając się, na nic oddawają (106).

Druga, odbieżał strony przedsięwzięcia swego w zamyśle pierwszego małżeństwa, to jest z strony arcyksiężny JM. Ferdynandówny, a do tego się skłania, które przedtym z obrazą sumienia swego być rozumiał, a zatym się nimi brzydził. (106).

. . . . które wiele nas zgodnie przez pisanie dało (gdy to nam W. K. M. proponować raczył) z wielkich i ważnych przyczyn upominać się tego małżeństwa nawet i przeciw dostojeństwu W. K. M. (str. 107—108).

Nuż jako Pan Bóg przed oczyma W. K. M. *capita consiliorum* znosi i nawidza, a z różnych miar strach czyni, to postronnemi niebezpieczeństwy, to domowemi niezgodami i mieszaninami, czego i pierwsze rozerwanie, a szkodliwe swym jest dokumentem... (108—109).

. . . . do Pana Boga wołają i ztamtąd, aby tego zachował oczekiwania, a drudzy rozumiejąc. (109).

Przyjdzie mi tedy głębiéj a ztąd zacząć pobożność św. pamięci królowéj jej mości matki W. K. M., także W. K. M. ze krwie zawzięta i za świątobliwem od niéj danem wychowaniem nabyta, przedniejsza (jako ją rozumiem) przyczyna była,

znanie z strony koronacyéj królewicza JM. na WKM. wymoże...

dawno doświadczonych i sobie zasłużonych, przez które go Pan Bóg na téj stolicy posadził i sprawy jego dyrygował, ukazując...

Przykładają do tego powolność wielką KJM. arcyksiężnie JMci, za którą, minąwszy insze rzeczy, a to ochmistrzynią, od niéj posłaną, przy królewiczu JM. chowa, na tę, bez któréj być nie może ohydę królewicza JM. u ludzi nie oglądając się.

Druga, jéj gwoli odbieżał pierwszego z strony małżeństwa przedsięwzięcia, a do tego się skłonił, które przedtém z obrazą sumienia swego być rozumiał, a zatem niem się brzydził.

. . . . które wiele nas zgodnie przez pisanie dało (gdy to nam WKM. proponować raczył) z wielkich i ważnych przyczyn opponując się temu małżeństwu, przeciwna nawet dostojeństwu WKM.

Nuż jako P. Bóg przed oczyma WKM. *capita consiliorum* znosi i nawidza, a z różnych miar strach czyni, to postronnemi niebezpieczeństwy, to domowemi niezgodami i mieszaninami, czego i przeszły rozerwany (a szkodliwie) sejm, jest dokumentem.

. . . . do Pana Boga wołają i stamtąd ratunku aby tego zachował oczekiwają...

Przyjdzie mi tedy głębiéj wziąć i stąd zacząć: pobożność św. pamięci królowéj JMci, matki WKM., także WKM. ze krwie jéj wzięta i za świętobliwém od niéj danem wychowaniem nabyta, przedniejsza (jako ja rozumiem) przyczyna

że zaraz na elekcyjéj serca swe skłonili ku W. K. M. i nieznajomego i dla niektórych respektów strasznego. (110—111).	była, że P. Bóg WKM. przed innymi téj saméj korony głową przejrzeć raczył. Gdyż to samo wszystkim dobrym ludziom pobudką było, że zaraz na elekcyéj serca swe...
.... który mając wszystkie swoje sposoby od Uradela, wszystko mógł wiedzieć, do mnie z tym przyszedł i nadto z arcyksiążęciem Henrykiem, na których było stanęło, opowiedział mi... (111).	.... który, mając swe sposoby że od Wradera [1]) wszystko mógł wiedzieć, do mnie z tem przyszedł i nadto kondycye wszystkie, z arcyksiążęciem Hernestem, na których było stanęło, opowiedział mi...

Nie chcąc nużyć czytelnika dalszém porównywaniem obu tekstów, sądzimy, że przykłady, przytoczone przez nas, wystarczają już, aby dowieść, jak nieudolnym jest odpis „Listów" w rękopisie Bibl. Kras. i jak bardzo żałować trzeba, że wydawca nie postarał się o poprawniejszą kopię tego ważnego dokumentu.

Podobnie ma się rzecz i z innym aktem, wydrukowanym na str. 402 pod tytułem: „Przestroga Rzpltéj potrzebna" etc., który z takimże samym niemal co i poprzednio skutkiem porównywaliśmy z kopią, znajdującą się w rkp. Bibl. Czartor., nr. 339 od str. 96 począwszy.

Czy i o ile inne akta, opublikowane w tych tomach Bibl. Kras. są wydane poprawnie, tego wobec ogromu materyału nie mogliśmy stwierdzić, badaliśmy najważniejsze, a rezultat, przyznajemy to z przykrością, był ujemny. Pojmujemy bardzo dobrze trudności, z jakiemi każdy wydawca u nas walczyć musi, sądzimy jednak, że, przystępując do publikacyi tak ważnéj i pierwszéj w tym rodzaju, należało zachować więcéj ostrożności i ścisłości.

Nie będziemy wytykać panu R. drobnych usterek, utrudniających w wysokim stopniu zrozumienie tekstu, ale podnieść musimy pewien brak znajomości współczesnych stosunków. Oprócz *Wradera*, znanego z pracy Tomka. „*Snahy rokuskeho domu*" etc., którego przekształcono na Uradela, spotykamy się np. na str. 28 z następującym zwrotem niezrozumiałym: „Téż Thunga (Funga Br.), który mu powinną królewską..."

Ten „Thunga" kod. Kras. a „Funga" kod. Branickich nie jest tymczasem kim innym jak Abrahamem *Yungiem*, o którym pisał już Grabowski w „Starożytniczych Wiad. o Krakowie" (str. 234). Był ten Jung Szkotem i dowódzcą jakiegoś oddziału gwardyi królewskiéj, tytułuje się bowiem: *Scoticorum S. Reg. Maj. Praefectus.*

[1]) Wrader, znany agent arcyks. Ernesta.

Taki jest rezultat studyów naszych nad najnowszą publikacyą Bibl. Krasińskich. Staraliśmy się poważną tę pracę ocenić z całą bezstronnością, podnieśliśmy zalety gruntownego traktowania przedmiotu w rozprawach wstępnych, ale zarazem wykazaliśmy usterki i uchybienia w wydaniu tekstu.

Spodziéwamy się, że szan. wydawca zechce z nich skorzystać na przyszłość i prowadząc rozpoczętą pracę nad wydaniem źródeł rokoszowych daléj, uwzględni uwagi, które, już z powodu ważności przedmiotu, wypowiedziéć należało koniecznie.

August Sokołowski.





IZRAEL
MIĘDZY NARODAMI.

(„Israël chez les Nations par Anatole Leroy-Beaulieu". Paris, 1893, str. 433).

Autor, bawiąc w Warszawie, pytał raz pewnego Żyda, co sądzi o odbudowaniu królestwa Palestyńskiego. Ten bez wahania odrzekł, iż chciałby zostać w takim razie konsulem palestyńskim w Warszawie. Autor dodaje od siebie, że tysiące spółwyznawców tego mageta warszawskiego nie pogardziłoby konsulatami, ten w Paryżu, inny w Berlinie, trzeci w Rzymie, tamten w Waszyngtonie (str. 406).

I miał racyą, a nawet dwie, ten Żydek. Co robić w wyjałowionéj od pary tysięcy lat Palestynie? Ani handlować, ani komu pożyczać, a w tych dwóch operacyach Izrael trzyma prym od wieków nad goimami. Rzadko mu Pigulewscy dorównywają. W Palestynie nie wyżyliby nawet warszawscy Żydzi. Nie myślą téż oni wracać nad Jordan; tylko utopiści europejscy mogli ich tam wysyłać, pisząc rachunek bez gospodarza.

Niewielu zapewne chrześciańskich autorów jest tak dobrze przygotowanych do pisania o Żydach, jak A. L. Beaulieu. Będąc małym chłopcem uczył się w Dreznie, i stał na pensyi w rodzinie żydowskiéj, potém dużo podróżował po Azyi i Europie, rozprawiał z Żydami w Berdyczowie, odczytywał żydowskie szyldy w Warszawie i dowiedział się o tém, o czém nasi hebraiści dawno wiedzą, mianowicie, że napisy na szyldach bywają w miejscowym języku tylko hebrajskiemi literami, jak np. „Tu sprzedają puch und pirże." Prócz

tego zna bieżącą literaturę zarówno francuską, jak i obcą, dotyczącą Żydów, przytacza nawet rozprawę Czackiego o Żydach, zaglądał i do Talmudu i do Haggady: otóż, z takim autorem miło pogawędzić o antysemityzmie. Beaulieu wolnym jest od wszelkiéj stronniczości, a już ten jeden rys charakteru pisarza i jego książki, dobrze o nim świadczy.

Chcąc naszych czytelników zapoznać z pracą, o któréj mowa, zdamy sprawę z XIII jéj rozdziałów, przeplatając opowiadanie własnemi uwagami, o ile sądy autora nie będą się nam zdawały dość uzasadnionemi.

I.

Statystyka Żydów. Wiadomo wszystkim, że główny korpus ludu żydowskiego siedzi w Rosyi; jestto spadek po dawnéj Polsce; na ogół będzie ich ze 4 miliony. Mniéj daleko jest Żydów w Austryi i Prusiech. Austro-Węgry liczą ich około 1,700,000, z tego na samą Galicyę przypada blisko 700,000; na Węgry 650,000, na Czechy 100,000. Cesarstwo Niemieckie liczy ich 600,000, z tego na same Prusy przypada $^2/_3$. Daleko mniéj potomków Jakubowych ma zachodnia Europa; przeszło 100,000 w Anglii, około 80,000 we Francyi, z tego $^3/_4$ w Paryżu; około 100,000 w Holandyi, z tego połowa w Amsterdamie; 50,000 we Włoszech, głównie północnych i środkowych; 10,000 w Szwajcaryi, 6 do 7,000 w Belgii, 5,000 w Danii, 3,000 w Szwecyi, kilka setek w Norwegii; na półwyspie Pirenejskim, gdzie ich przed XV-ym w. było pół miliona, teraz ledwie 1,500 w Gibraltarze pod tarczą angielską. Na wschodzie Europy, w Turcyi liczą Żydów około 120,000, w Grecyi—głównie na Korfu 5 do 6,000, w Bulgaryi 20,000, w Serbii 5,000, w Rumunii nie całe 300,000, niektórzy mówią, że 400,000. W innych częściach świata, np. w Azyi, skąd niegdyś wyszli, liczą Żydzi zaledwie 300,000, z tego większa część w państwie Ottomańskiém. W Afryce, Ameryce i Australii jest ich potroszę, głównie jako emigranci z Europy.

Słusznie mówi autor, że cyfry powyższe, nawet co się tyczy Europy, są zaledwie przybliżone do prawdy; jedno jest pewne, że jeszcze nigdy Żydzi nie byli na całéj kuli ziemskiéj tak rozproszeni i wszędobylscy, ani ogólna ich liczba dochodziła kiedykolwiek takiéj sumy. Biorąc lekko, suma Żydów ma wynosić 7—8 milionów.

Statystyka dziś jeszcze bardzo chroma nietylko w Afryce lub Azyi, ale nawet w Europie; nic więc dziwnego, że o Żydach tak mało wiemy. Zresztą oni sami nie lubią statystyki i to od czasów Da-

wida. Kiedy bowiem monarcha ten kazał policzyć swój lud oczywiście przez pychę i próżność, hetman Joab czynił jakieś uwagi królowi o niewłaściwości takiego kroku, aż w końcu uległ. Po obrachunku, przyszedł do Dawida prorok Gad i oznajmił, że Pan Bóg uznał ten obrachunek za grzéch, który musi być ukarany. Z trzech kar: głodu, ucieczki przed nieprzyjacielem i moru Dawid wybrał ostatnią. W ciągu 3 dni zmarło 70,000 ludu. Trudno się zatém dziwić, że statystyki Żydzi nie lubią i zaraz przewidują albo brankę do wojska, albo podatek. Stąd téż złorzeczą chrześciańskim urwisom, gdy ich na bryce jadących liczą.

Zastanawiając się nad spółczesną repartycyą Żydów, autor mówi, że ziemię Mazowiecką możnaby uważać za pierwotną ich kolébkę; skoro zaś wiadomo, że ta kolébka była w Azyi, to jeżeli nie historycznie, z pewnością geograficznie Królestwo stanowi centralny zbiornik Izraela. W miarę zaś liczby Żydów i ich znaczenia powstają przeciw nim zazdrości i niechęci, noszące wspólne miano antysemityzmu. Antysemityzm, zdaniem p. Beaulieu, powinien być rozważany z trzech stron, jako kwestya religijna, narodowa i ekonomiczna. Skutkiem takiéj złożoności sprawa jest zapalna. Między Żydem a chrześcianinem stają razem lub kolejno nietolerancya wyznaniowa, wyłączność (ekskluzywizm) narodowa i spółzawodnictwo handlowe, każdy zaś z tych czynników może wystarczać do rozbudzenia namiętności.

II.

N a j d a w n i e j s z y z a r z u t p r z e c i w Ż y d o m r e l i g i j n y. Najdawniejszym zarzutem przeciw Żydom ze strony chrześcian jest morderstwo rytualne. Zauważono, pisze autor, że zaburzenia wymierzone przeciw Żydom wybuchają najczęściéj około świąt paschy. Tak się działo za wojen krzyżowych, tak i późniéj. Sama zaś bajka o wytaczaniu krwi z chrześciańskiego dziecka dla pomieszania jéj z m a c ą, sięga dopiéro XI-go wieku; przed rokiem 1100 śladów jéj nie widać. Bajka trzyma się uparcie, bo jeszcze w r. 1883-im dała powód do procesu kryminalnego w mieścinie Tisza-Eszlar na Węgrzech; w roku zaś 1891 ponowiło się oskarżenie o takąż zbrodnię na Korfu i w Xanten w Niemczech.

Zarzut morderstwa rytualnego nie ma oczywiście żadnego sensu. Żydzi nawet mięsa z krwią nie jedzą, może dlatego, że według dawnych wyobrażeń dusza siedzi we krwi, albo dlatego, że ze krwią najłatwiéj się przenoszą niektóre choroby od zwierząt na ludzi. Stąd

u nich osobny, religijny rzezak, *szohet*, *schächter*, który musi dobrze obejrzéć każdą sztukę na rzeź przeznaczoną, ażeby odróżnić co koszerne, a co trefne. Jakoż, światlejsi chrześcianie wcale nie wierzą w kanibalizm żydowski i morderstwo rytualne. Inaczéj pospólstwo do dziśdnia, tak samo jak przed wiekami. Dlatego Żydzi aż u papieży szukali obrony od tego zarzutu. Już w wiekach średnich papieże Grzegorz IX-ty i Inocenty IV-ty (1235 i 1247) osobną bullą datowaną z Lyonu potępili tę kalumnią. Mimo tego, protestanccy teologowie, którzy kompilowali „Centurye Magdeburskie", jeszcze wierzyli w rytualne morderstwo Żydów i utrzymywali, że ci przekupili papieża Inocentego IV-go. Również przychylne dla Żydów zdanie dał papież Klemens XIV, gdy był konsultorem świętego *Officium* rzymskiego. Oto Żydzi z Jampola byli oskarżeni w r. 1756, jakoby zamordowali dziecko chrześciańskie i krwi jego używali do sporządzenia swoich chlebów przaśnych. Żydzi w strachu o gardło udali się do Rzymu. Papież Benedykt XIV-ty poruczył Ganganellemu (późniejszy Klemens XIV-ty) rozejrzenie sprawy, który uznał bezzasadność oskarżenia. Polecono więc ówczesnemu nuncyuszowi, ażeby Żydów bronił.

Drugim zarzutem religijnéj natury, jaki chrześcianie czynią Żydom, jest podwójna ich moralność. Ponieważ zaś moralność tę czerpią z Talmudu i jego komentarzy, więc autor opisuje powstanie Talmudu i jego objaśnień pisanych w ciągu długich wieków przez rabinów. Sam Talmud, czyli tradycya, miał być według rabinów, dany Mojżeszowi na górze Synai wraz z dekalogiem. Bo i cóżby Mojżesz robił przez 40 dni i nocy na owéj górze, gdyby Pan Bóg ograniczył się na samych 10 przykazaniach; oczywiście konferował z nim, udzielił mu ustnych wskazówek, jak rozumiéć przykazania. Te ustne objaśnienia, przekazywane następnie rabinom i synagodze, ciągle przez nich objaśniane, od zbytku światła stały się ciemnemi. Im daléj w las, tym ciemniéj. Z rabinicznych objaśnień powstały komentarze „Miszna" i „Gemara", a późniéj jeszcze „Halacha" i „Haggada". Jest w tych księgach wiele pięknych rzeczy i tyleż albo więcéj bredni. Żeby jednak moralność żydowska miała być podwójna, autor nie wierzy, a zresztą, zdaniem jego, Talmud coraz bardziéj u samych Żydów traci na znaczeniu (str. 35). Może u francuskich.

Co się tyczy Talmudu i oceny jego pod względem etycznym, nie zgodzi się z autorem ten, kto przeczytał rozprawę księdza Pranaitisa, profesora języka hebrajskiego w akademii duchownéj katolickiéj

w Petersburgu [1]). Jeżeli w Talmudzie są takie zasady obyczajowe i takie maksymy co się tyczy postępowania z chrześcianami, o jakich pisze ks. Pranaitis; to w istocie jestto księga, któréj żadna apologia nie zrehabilituje. Że zaś autor przytacza całe ustępy w oryginale hebrajskim i złéj woli ku Żydom nie chowa, możemy mu wierzyć. Beaulieu zdaje się, że więcéj wierzył obronom Talmudu przez żydowskich autorów pisanym, niż samemu tekstowi. „Otwórzmy — powiada Singer — narodom nasze pisma. Niech się rozejrzą w naszym kodeksie moralnym. Nie potrzebujemy się obawiać téj krytyki, albowiem jesteśmy czystego serca i czystego ducha. Niechże narody przeszukają mieszkania Izraela i niech się osobiście przekonają, jaki ich charakter. Zawołają wtedy z Balaamem, który wyruszył na przeklinanie Izraela: o jakże piękne są twoje namioty Izraelu, jak cenne twoje mieszkania“ (*Sollen die Juden Christen werden*, 1884 r.). Że rabini bronią Talmudu, to dla nas zrozumiałe; gdyby go nie bronili, straciliby sami racyą bytu. Na jedno tylko można się pisać z autorem, mianowicie, że Talmud, jak niejeden starożytny kodeks religijny, ma w sobie treść wieloraką, czasami mądrą, czasami mniéj mądrą, że zatém kuć z tego argumentów przeciw téj lub innéj wierze, albo jéj wyznawcom, nie przystało. Gdybyśmy szli za zdaniem p. Beaulieu, musielibyśmy zaprzeczyć, a znowu czytając to, co pisze ks. Pranaitis, musielibyśmy twierdzić, że w istocie Talmud zawiera podwójną moralność. Stąd przecież nie wynika, ażeby wszyscy Żydzi mieli podwójną buchalteryą etyczną względem narodów, czyli goimów.

Słusznie utrzymuje autor francuski, że zarzut czyniony Żydom, jakoby stanowili pierwiastek rozkładowy w chrześciańskich społeczeństwach, jest bezzasadny, bo przecież Voltaire i encyklopedyści nie z pośród Izraela wyszli. Owszem, rabini żydowscy, bojąc się o podkopanie religii Mojżeszowéj przez idee krytycyzmu, wsiąkające do głów młodzieży hebrajskiéj, są niemniéj konserwatystami, jak i chrześciańscy konserwatyści.

III.

W y n a r o d o w i e n i e p r z e z Ż y d ó w. Oto inny zarzut przeciw Żydom. Mówią nam, że Żydzi dążą nietylko do odchrześciańszczenia ludów chrześciańskich, lecz także do ich wynarodowienia. Na czém się ten zarzut opiéra? Oto na różnicy ras: semickiéj i aryj-

---

[1]) „Christianus in Talmude Judaeorum“ (t. j. Chrześcianin w Talmudzie żydowskim). Petropoli, 1892.

skiéj. Według antysemitów, różnica ta leżąca we krwi, nie da się niczém wygładzić. Nadto mówią, że Żydzi, nie mając własnéj ojczyzny, są z konieczności kosmopolitami. Co do różnicy krwi, zarzut nie może się utrzymać, albowiem we krwi semickiéj nie znaleziono innych pierwiastków, aniżeli w aryjskiéj. Co do kosmopolityzmu, autor także nie przypuszcza, ażeby to była cecha wyłącznie żydowska. Zdaniem jego, tylko wiekowe odpychanie Żydów przez chrześcian sprawiło ich odrębność: gdzie tego nie doznawali, tam się połączyli z ludnością miejscową. Tak ma być np. we Francyi, Anglii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj. „Jest temu parę dziesiątków lat—mówi autor—gdym miał za drogmana w okolicach Jerozolimy Żyda z językiem niemieckim. Pytałem go, jakiejby był narodowości? — Jestem Amerykanin — odrzekł mi z dumą. Ponieważ go ochrzcili misyonarze amerykańscy, wyobraził sobie, że został ich spółpatryotą" (str. 96). Pojęcie rasy, jak i wszelkie klasyfikacye etnologiczne są zbyt chwiejne, ażeby na nich można było opiérać jakieś poważniejsze wnioski. Nos garbaty niczego jeszcze nie przesądza, bo gdzież znaleść czystą jakąś rasę? Ani swoją budową fizyczną, ani umysłową semita nie różni się od nas. A synowie aryów, łącząc się z córkami semitów, nie wydają przecież ani mulatów, ani metysów. Nie różnią się też semici od nas ani barwą skóry, ani kształtem czaszki. Przecież nie stanowią oni takiéj grupy ludzkiéj, jak Chińczycy lub Negrzy. Czy zatém chcą, czy nie chcą, aryjczyk i semita są braćmi. Obadwaj należą do téj wielkiéj rasy białéj, kaukaskiéj, śródziemno-morskiéj, czy jak ją tam nazwiemy, która rości sobie prawo do panowania nad światem. Zawsze semita bliższy jest aryjczyka, niż turańczyk. A jeżeli pominiemy ciemne problemata o filiacyi narodów i zechcemy rozważać jedynie zdolności umysłowe, jakżeż nie przyznać, że semita, Żyd jest bliższym naszym sąsiadem, aniżeli bramin indyjski, szczycący się czystością swojéj krwi aryjskiéj?

Jest inny rozdział między samymi Żydami, na który warto zwrócić uwagę: oto jedni nazywają się Sephardim, drudzy Askenazim. Różnią się oni nietylko tradycyami i obrządkami, ale jedni i drudzy zachowują często w swoich rysach cechę migracyi, na jakie ich skazała wiekowa nietolerancya. Zdaje się, że Sephardim przedstawiają najczystszy typ, wolny od obcéj przymieszki. Uważali się oni zawsze za czoło narodu, niby za arystokracyą i nie chcieli, by ich mieszano z innymi Żydami. Rysy ich mają zwykle więcéj delikatności, co się rzadko spotyka między Żydami północy i wschodu Europy, czyli Askenazim. Obie grupy są niemniéj Żydami i napróżno niektó-

rzy etnografowie chcieli w nich upatrywać dwie rasy. Askenazim także nie są jednakowego typu. Pewnego dnia, pisze Beaulieu, zwiedzałem w Warszawie szkoły profesyonalne izraelskie w towarzystwie jednego z uczonych miejscowych. Zwrócił on moją uwagę że między dziećmi żydowskiemi można odróżnić trzy lub cztery typy; najprzód pierwszy najpowszechniéj znany, który mój przewodnik nazywał właściwym typem żydowskim czyli semickim; w drugim upatrywał potomków Chazarów czyli turańczyków, a głównym jego rysem nos krótki, często zadarty, policzki wystające; trzeci o czole niskiém, grubych wargach, barwie czarnéj, przypominający ludy afrykańskie, czwarty nareszcie o włosach blond, oczach niebieskich, przypominających aryów lub Germanów. Gdzie zatém szukać Sephardim? Są to Żydzi południowi, włoscy, portugalscy, hiszpańscy. Gdzie Askenazim? Są to Żydzi niemieccy i polscy. Nazwy te mają mieć takie źródło: Sephardim pochodzi od Sepharad (*Abdyasz*, 20), nazwa biblijna kraju nieznanego, który Żydzi uważali za to samo, co Hiszpania; Askenazim — pochodzą od Askenaza, syna Gomerowego, syna Japhetowego (*Genesis*, X, 3), który był przypuszczalnym protoplastą Niemców (str. 138 i 139). Wszystko to ma dowodzić, że Żydzi nie stanowią jakiéjś czystéj rasy, a spotykane między nimi różnice, są zdaniem autora, produktem sztucznym, wytworzonym przez dwa przeciwne czynniki, przez izolowanie, jakiemuśmy Żydów poddali i przez rytuał, w którym sami ugrzęźli. Takimi, jakimi są, stali się w części przez nasze prawa, w części przez swoje; możnaby powiedziéć, że ich takimi uczynili do spółki częścią nasi kanoniści, częścią rabini (str. 141). Żyd współczesny jest produktem odgrodzenia (*du parcage*), tego wszystkiego, co w sobie mieści nazwa *ghetto*. Oryginalność jego stanowi nie tyle krew wschodnia, odziedziczona po odległych przodkach, Beni-Izrael, ile raczéj rodzaj bytu, jakiemu ojców jego poddali nasi ojcowie.

Ale chociaż prześladowania, jakim Żydzi ulegali, dużo wpłynęły na ich odrębność, niemniéj, jeżeli nie więcéj przyczyniło się do tego ich prawo religijne, a zwłaszcza Talmud izolujący ich od narodów. Rabini, komentatorowie Talmudu, widząc wszędzie ścieśnienie praw swoich spółwyznawców, mnożyli coraz więcéj drobiazgowych przepisów rytualnych w celu odcięcia Żydów tak od chrystyanizmu, jak i od obyczajów tych ludów, śród których mieszkali. Żyd zatém dzisiejszy musiałby się wprzód „zderabinizować“, zanimby się mógł „zasymilować“, co oczywiście nie tak łatwo przeprowadzić nawet przy dobréj woli jednostek.

Rozumiał to dobrze Salomon Maimon, gdy mówił, że Żyd nie

może jeść, pić, położyć się spać, umyć się, żeby nie zachował mnóstwa przepisów. Żyd pobożny żyje w ciągłéj trwodze, by się nie splamić. W jego mniemaniu potrawy, napoje, bielizna, sprzęty mogą się stać nieczystemi, byle się ich dotknęła osoba lub rzecz nieczysta. Cały rozdział „Miszny", obejmujący dziewięć traktatów, mówi o tych nieczystościach [1]). Mimo tych wszystkich odgrodzeń, jakiemi rabini opasali synów Jakóbowych, ażeby ich ustrzedz od rozpuszczenia się i stopnienia śród innych ludów, autor jest pełen niezachwianéj wiary, iż asymilacya Żydów jest możliwa i chociaż powoli, dokonywa się szczególniéj w zachodniéj Europie. Może przed końcem świata nastąpi i we wschodniéj. Beaulieu utrzymuje, że nawet na Wschodzie w wielkich środowiskach (po miastach) starożytny Żyd długochałatowy i pejsaty przemienia się w człowieka nowożytnego, w „izraelitę", a to dzięki otoczeniu, śród którego się urodził i żyje.

IV.

Fizyologia i psychologia Żyda. Żyd na ciele swojém i na duszy nosi ślady zniewag, jakich doświadczał przez piętnaście wieków. Pozbył się wprawdzie z pleców swoich żółtego kółka [2]), ale nie zawsze zdołał umyć czoła z blizn, jakie na niém wypiętnowało *ghetto*. Gdy Pius IX-ty kazał obalić mury *ghetta* i dozwolił Żydom wyjść z tego zaczarowanego miejsca, wielu płakało, nie chcąc porzucać swoich brudów. W innych miastach, jak np. we Frankfurcie, była *Judengasse*, ulica żydowska, a wszystko to jeszcze w porównaniu z gniazdami żydowskiemi na Wschodzie, lub nawet w Berdyczowie i Wilnie niczém jest. Otóż, żyjąc w takich warunkach musiał Żyd marniéć nawet fizycznie. Mówiono tedy, że rasa jest brzydka. „Jakto, pytała mnie młoda dziewczyna w Małorosyi, pan się interesujesz temi wstrętnymi Żydziskami? Są oni tacy brzydale, iż zasługują na wszelkie nieszczęścia" (str. 175). Pomimo tych wszystkich niekorzystnych dla fizycznego rozwoju warunków, Żydzi średnio dłużéj żyją, niż chrześcianie, a towarzystwa ubezpieczeń życiowych w Ame-

---

[1]) Streszczenie rozmaitych praw i przepisów żydowskich znajdzie nasz czytelnik w rozprawie Czackiego „O Żydach".

[2]) Prawodawstwa rozmaitych krajów nakazywały Żydom dla odróżnienia od reszty mieszkańców nosić na odzieży kółko z żółtego sukna. U nas musieli nosić żółte czapki lub kapelusze (*Volum. Legum*, t. I, str. 258 — 9, wyd. petersb.). W podróży wolno im było nie zachowywać tego przepisu. Synody kościelne nakazywały u nas, ażeby Żydzi nosili żółte kółko sukienne na piersiach z lewego boku (*Constitut. Synodorum ecclesiae Gnesnensis*, 266, wydanie krakowskie z r. 1761).

ryce bardzo dbają o klientów żydowskich. Według *cenzusu* Stanów Zjednoczonych za r. 1890, dziecko żydowskie w chwili urodzenia ma szanse życia (*expectation of life*) do lat 57, a chrześciańskie do 41. Mnożą się prócz tego Żydzi daleko obficiéj, niż chrześcianie. „Gdym był w Kownie — pisze Beaulieu — mówił do mnie pewien Żyd: mam lat 25, a ojciec mój uważa to za skandal, że jeszcze nie jestem ojcem rodziny.“ Spełniają oni ściśle nakaz biblijny: Rośnijcie i rozmnażajcie się. Salomon Maimon nie mając jeszcze lat jedenastu już był żonaty, a gdy w 12 roku nie miał dzieci, teściowa podejrzewała, że musi być oczarowany. Zdarzają się u nich małżeństwa, w których mąż i żona razem nie liczą lat trzydziestu. Autor widzi w tych wczesnych związkach środek zabezpieczający młodzież od rozpusty. Na Zachodzie podobno już zupełnie ustały między Żydami takie małżeństwa: w tamtych krajach, równie jak i w Ameryce, Żydzi nawet późniéj żenią się od chrześcian. A oto inny fakt, któremu autor z początku nie chciał wierzyć: obecnie, powiada, prawie wszędzie mają oni stosunkowo mniéj dzieci, niż inni mieszkańcy; za to mniéj u nich dzieci umiéra i tém się tłómaczy szybszy liczebny przyrost Żydów, aniżeli chrześcian; mnożą się prędzéj i mniejszym kosztem.

Nie jestto skutek większéj zamożności, lecz porządniejszych obyczajów, ducha rodzinnego, poświęcenia rodziców, troskliwości matek i czystości łoża małżeńskiego. U Żydów mniéj się rodzi dzieci nieżywych, niż u chrześcian, mniéj również dzieci nieprawych. Pewne choroby zaraźliwe nie dotykają Żydów, co autor przypisuje rytualnym regułom odnośnie czystości ciała i czystości pożywienia. Jakkolwiek zakon ich (*Thora*) nie miał na celu środków profilaktycznych, jednakże przepisy jego i późniejszych rabinów do tego celu zmierzają; zdawały się one długi czas śmiesznemi, osobliwie pod względem używania mięsa niektórych zwierząt. Tymczasem po 3 tysiącach lat nauka stanęła w ich obronie. Zdawałoby się, że redaktor Pentateuchu przeczuł Pasteura. „Mojżesz, jak utrzymywał pewien Żyd polski, wykrył trychinę: dlatego zakazał jeść wieprzowiny“ (185). Niektórzy hygieniści amerykańscy i angielscy domagali się od administracyi cywilnéj nakazania wszystkim rzeźniom, by chociaż w części zaprowadziły zwyczaje żydowskie. Rzecz to nie do wykonania, tyle jest drobiazgowych przepisów, choćby ze względu na zbyteczne podrożenie mięsa. Godzi się téż w szeregu uwag przytoczyć tradycyjną trzeźwość i wstrzemięźliwość Żydów.

Stare legendy przypisywały Żydom szczególne choroby. Tak np. potomkowie Symeona mieli podlegać cztery razy do roku krwawieniu rąk (dłoni) i nóg (stóp) za to, że ich przodkowie przybijali

Chrystusa do krzyża. Stąd zabobon o zabijaniu dzieci chrześciańskich, bo tylko ich krew mogła te choroby leczyć. Do innych przesądów należał szczególny smród właściwy tylko Żydom (*faetor judaicus*). Nasz Długosz, pisząc o Kazimierzu W., powiada: Na prośby wspomnianéj Żydówki Estery, swojéj kochanicy, udzielił Żydom niesłychanych prerogatyw i swobód przez nadania piśmienne, których obrzydliwy smród (*faetor olidus*) trwa do dziś dnia. Autor dodaje od siebie, że znał takich śmierdzących Żydów, równie jak i chrześcian, dlatego, że byli brudasy.

Co jednak już nie jest bajką, to że Żyd spółczesny podlega więcéj, niż ludzie innéj rasy, chorobie wieku, newrozie. Ma on mało mięśni, ale dużo nerwów, stąd wielką wrażliwość i szybką reakcyą nerwową. Jest on, może najbardziéj nerwową istotą ludzką, ponieważ od wieków najwięcéj żył mózgiem; zdawałoby się, że u niego cała żywotna siła z tułowia koncentruje się w głowie. Ulega tedy częściéj obłąkaniu, niż chrześcianie: procent obłąkanych ma być między Żydami w niektórych miejscach dwa, w innych trzy razy większy, niż między chrześcianami. Że jeszcze większy procent Żydów nie podlega obłąkaniu wśród tego szalonego tańca około Mamona, zawdzięczają to niezawodnie swojéj wstrzemięźliwości w używaniu napojów alkoholicznych.

Skończmy z tą fizyologią, a przejdźmy do psychologii Żyda. W Żydzie inteligencya trzyma górę nad ciałem; żyje on głównie umysłem, siła jego leży nietyle w ręku, co w głowie. Dzięki swojéj konstytucyi fizycznéj i bardzo staréj kulturze, jego instynkta zwierzęce, żądze brutalne są mniéj gwałtowne; ciało i krew nietyle się buntują przeciw umysłowi, a zmysły łatwiéj ulegają rozumowi. Długie i ciężkie próby wypolerowały i wyostrzyły jego rozum. Piętnaście wieków prześladowania uczyniły zeń metal niezmiernie ciągliwy, mogący się dopasowywać, a swoją drogą oporny, nie dający się, że tak powiem, rozkruszyć. Jest w każdym Żydzie ukryta zdolność do metamorfozy; aklimatyzuje się wszędzie nadzwyczaj łatwo; zmienia skórę według woli, nie przestając być w gruncie Żydem. Jest więc człowiekiem, który się najprędzéj modyfikuje, a równocześnie najmniéj zmienia; ma w sobie coś z natury proteuszowéj; można go przyrównać do roztopionego metalu i ulać we wszelkie formy, ale substancya zostanie jednaka. Niech tylko jedna lub dwie generacye przemieszkają na Zachodzie, a już z brudasa Żyda, który przybył ze Wschodu, staje się czysty paryżanin. Żyd przystosowywa się do wszystkiego i asymiluje sobie wszystko. Gdyby go przenieść nawet na inną planetę, nie czułby się obcym.

Zdolność dopasowywania się do wszystkiego jest w nim naczelną. Prócz tego, umysł żydowski posiada szczególną jasność, jest narzędziem o wielkiéj precyzyi. Zrobiły go takim zajęcia przodków: handlarstwo, wekslarstwo, faktorstwo, lichwiarstwo. Odlegli przodkowie Żyda, trudniąc się ciągle rachunkiem w tych operacyach, przekazali mu i zdolności odpowiednie: dzisiejsi żebracy i milionerzy są tamtych potomkami. Dzięki takiemu wyrobieniu, Żyd szybko ocenia wartość idei i wartość rzeczy; ma on, jak nikt, szczególny zmysł wszystkiego, co jest realne, dukaty ceni nad wszystko. Dobrze też ocenia i ludzi, widział ich przez wieki tylu i wszelkiego pochodzenia, wielkich i małych, bogatych i zrujnowanych, zna on wszystkich: szulera, pyszałka, marnotrawcę, zakochanego; obserwował ich dowoli w chwilach nędzy lub rozpaczy, gdy człowiek pozwala się widzieć do naga.

Ktoby jednakże sądził, że taniec około złotego cielca stanowi wyłączną cechę Żyda, bardzoby się mylił, strona umysłowa i religijna jego życia niemniéj godna uwagi. Miał on przez wieki dwóch nauczycieli: wekslarza i rabina, a chociaż dzisiaj bankier trzyma prym, jednak według pojęć starych, dawnych Żydów, wekslarz ustępował placu doktorowi zakonnemu.

Największą dumą rodziny żydowskiéj było, a poniekąd jest i teraz wydać z pośrodka siebie rabina, uczonego, *hakham*. Rodzice puszczali go niejako na licytacyą; kto go chciał mieć za zięcia, nie żałował pieniędzy.

Salomon Majmon, wnuk szynkarza litewskiego, przyszły filozof-rabi, mając lat 11 był już celem zabiegów ze strony ojców mających córki. Ale rodzice się nie spieszyli, ofiarowali go więcéj dającemu. Gdy był w Berlinie, zakochała się nie w nim, ale w jego mądrości, córka bogatego bankiera. Żyd ma podziw dla umiejętności. Świadkiem zamiłowania Żydów do nauki jest choćby ten fakt, że między nimi analfabeci bardzo rzadko się spotykają. Instrukcya była u nich zawsze obowiązkową, wymagał jéj nakaz czytania *Thory*. W wielu miastach, od Wilna do Berdyczowa, a od Warszawy do Brodów i Jass, robotnicy żydowscy zbiérają się po domach na rozmyślanie zakonu; w szynkach ich nie spotkać, orfeonów też nie znają. Wszędzie znajdują się nauczyciele rozmaitego stopnia, *maggid*, *talmid*, *hakham*, którzy jak niegdyś rabini żyją z pracy ręcznéj. Wprawdzie ta uczoność talmudyczna niewiele warta, zawsze jednak ćwiczy umysł.

W literaturze niemniéj Żydzi celowali po wszystkie czasy. Oto rabbi Salomon Ibn Gabriol, autor dzieła *Fons vitae*; daléj rabbi Jehuda Halevy, lekarz z Toledo, filozof i poeta; nareszcie korona mędrców

żydowskich Mozes Maïmonides inaczéj Maïmouni, rodem z Korduby, późniéj lekarz sułtański w Kairze i *nagid*, czyli książę Żydów egipskich. On-to w przedmowie do dzieła *Porta Mosis* wyraził się do swoich współwyznawców: „wy jesteście ludźmi, ale narody świata nie nazywają się ludźmi“ (*Vos vocamini homo, at gentes mundi non vocantur homo*). Nie mając tego dzieła pod ręką, nie możemy sprawdzić cytaty; powtarzamy ją za Czachim. Jeżeli prawdziwa, byłaby ciekawą i nauczającą [1]).

Nie cofając się do wieków XI i XII, wieków złotych literatury żydowsko-arabskiéj, można z czasów nowszych przytoczyć długi szereg Żydów i pół-żydów (chrzczonych), którzy po rozmaitych krajach zasłynęli w sztuce lub nauce: Spinoza, Lessing, Sal. Maïmon, Mendelsohn, Meyerbeer, lord Disraeli, Heine, Emil i Henryk Levy, Liebermann, Mosler, Antokolski. Celowali téż Żydzi w naukach ekonomicznych i politycznych, jak np. Ricardo, Marx, Lassalle. Bywali politykami jak Fould we Francyi, Goschen w Anglii, Luzzatti we Włoszech. Herschell, dzisiejszy kanclerz skarbu w gabinecie Gladstone'a, jest synem Żyda polskiego, Ridleya Herschla, który przyjąwszy chrzest został duchownym anglikańskim.

Niektórzy chcą nadto upatrywać w Żydach specyalny geniusz żydowski, którego cechą jest gorzka ironia; autor nie przeczy ironii w pisarzach żydowskich, ale sądzi, że płynie ona nietyle z żył Judy i Efraima, ile raczéj z tych długich upokorzeń, jakie Żydzi przechodzili, z tego piekła, jakiém było *ghetto* i *Judengasse*. Ironia, sarkazm były zawsze bronią słabych. Zresztą, ta ironia nie oszczędzała samych Żydów; nie gorzéj z Żydów szydzili chrześcianie, niż oni z samych siebie. Pod tym względem, mówi Beaulieu, podobni są oni do nas Francuzów, a jest to może nie jedyne podobieństwo z nami (str. 299).

Specyalnego geniuszu żydowskiego autor nie uznaje, tłómaczy zaś rozmaite strony charakteru żydowskiego szczególną zdolnością tego ludu do adaptacyi, ztąd owa szybkość w dopasowywaniu się Żydów, zwłaszcza cywilizowanych, do form narodowych każdego kraju, gdzie mieszkają. Tradycyjne pieluchy, w jakie się okręcają wszystkie narody, Żyd dawno z siebie zrzucił. Łatwo mu więc być we Francyi Francuzem, w Anglii Anglikiem, w Niemczech Niemcem. Nie znaczy to, ażeby był kosmopolitą, bo mała liczba między nimi jest naprawdę kosmopolitami, lecz w porównaniu z nami mniéj on jest wy-

---

[1]) Mojżesz Maïmonides (1135—1204) pisał po arabsku. Autor dzieła „Moreh Nebuchim“ (*dux perplexorum*, przewodnik wątpiących).

łącznie narodowcem, większy ma przed sobą horyzont. Dzięki temu, Izraelita może służyć za pośrednika między rozmaitemi narodami, może służyć do ich zbliżenia. Heine i Börne rzucili most na Renie między umysłem francuskim a niemieckim, dzisiaj zburzony. Dzięki téj właściwości swojéj, małe gniazdo żydowskie w Danii wydało krytyka takiego jak Brandes, który w Europie może najlepiéj odczuł geniusz rozmaitych literatur (str. 302). Przeszukawszy tedy wszystkie kąty, niepodobna wynaleźć jakiegoś specyalnego geniuszu żydowskiego. Nie znaczy to przecież jakoby synowie Jakóba odbijali wyłącznie nasze idee, wogóle tylko to, czego im dostarcza nasze otoczenie. Autor nie wié, czy dusza semicka bardzo się różni od aryjskiéj; ale dusza żydowska niezawsze dźwięczy tak samo jak chrześciańska. Przyczyną tego najprzód, że nie była kołysana jak nasza w żłobie betleemskim, a religia wyciska na duszach piętno trwalsze, niż sobie ludzie wyobrażają; powtóre, przyczyną tego wiekowe upokorzenia Izraela. Przypuszczam więc, że między Żydem a nami mogą zachodzić różnice w charakterze, odcienie w uczuciach; ale nie uważam tego za niekorzyść dla naszéj cywilizacyi. Wyznaję, że jednotonność jakobińska nie podoba mi się; w moich oczach ideałem narodu nie jest monolit z jednéj bryły, ani bronz stopiony za jednym odlewem. Korzystniéj jest dla narodu, gdy się złoży z rozmaitych pierwiastków i ras wielorakich. Jeżeli Żyd różni się od nas, tém lepiéj; okoliczność ta bowiem może, do naszéj monotonnéj kultury, grożącéj zamienieniem globu w gładką dynię, wnieść nieco rozmaitości. Gotów byłbym zarzucić tym synom Sema, jak ludom wschodnim, ubiérającym się według naszéj mody, że zanadto są do nas podobni, że zawiele nas naśladują. Gdyby Żydzi nie mieli w sobie żadnéj oryginalności specyficznéj, gdyby byli jak Słowianie, według opinii Niemców, tylko surowym materyałem etnicznym, czyżby to nic nie znaczyło, gdyby nam dostarczali materyału na takich filozofów jak Spinoza, na kompozytorów jak Mendelssohn, na poetów jak Heine, na mówców jak Gambetta? Co do mnie, za metafizyka takiego jak Boruch Spinoza, za poetę jak Heine zgodziłbym się na podwojenie liczby Żydów we Francyi (str. 303).

V.

Duch żydowski. Być może, iż nie ma specyalnego geniuszu żydowskiego; ale, mówią, jest duch żydowski psujący ducha innych narodów. Każdy naród jest przekonany, że zepsucie nie z niego, lecz od zewnątrz idzie. Otóż, zachodzi pytanie, czy Żydzi mają jakieś dążności moralne i społeczne, zupełnie różne od na-

szych? Nie zdaje mi się, pisze Beaulieu. Jeżeli jest jakiś duch żydowski, to tylko w znaczeniu wyznaniowém i pośród zbitych gniazd żydowskich; jest-to duch wytworzony przez Talmud i ghetto. Tymczasem na Zachodzie przez ducha żydowskiego rozumieją ducha radykalizmu, ducha przeczenia, jaki tu i owdzie ożywia Żyda „odżydzonego.“ Ten duch jednakże przeniknął od nas, z naszéj atmosfery: zaszczepili go Żydom chrześcianie, tacy jak Voltaire i Diderot. I rzeczywiście, trudno upatrywać ducha żydowskiego w merkantylizmie, w gonieniu za dobrobytem, komfortem, w materyalizmie praktycznym, jakim wszyscy odddychamy, w przedajności wysokich dygnitarzy publicznych. Dziwna jednak rzecz, iż ten *bacillus* korrupcyjny znalazł we Francyi tak doskonały bulion hodowczy, w sferach parlamentarnych. Wina to chciwości nowych warstw, które obsiadły władzę i chcą przecież coś położyć na zgłodniałe zęby; wina to żarłoczności polityków i czelnych wyzyskiwaczy głosowania powszechnego; słowem, społecznego i moralnego upadku ciał wyborczych. To nie duch żydowski przygotował żarłocznych polityków, on ich znalazł gotowych. A co ich przygotowało? Przewaga interesów materyalnych nad moralnemi i zdemokratyzowanie społeczeństw. Gdyby więc chodziło o nazwę dla tego kierunku, możnaby go nazwać amerykanizmem. Z drugiéj strony oceanu Atlantyckiego widzimy takie same objawy, chociaż tam duch żydowski nie panował.

A może duch żydowski przebija się w sztuce i literaturze? Prawda, że literatura francuska teraźniejsza jest bardzo upośledzona, brudna, że trąci gnojowiskiem. Czyż temu Żydzi winni? Alboż-to oni od lat 50 nadawali ton literaturze francuskiéj? I dlaczegoż-to we Francyi, gdzie Żydów stosunkowo jest najmniéj, literatura tak podupadła? Alboż naturalizm, pesymizm i ogłupiający dyletantyzm, zaléwające teatr i utwory powieściowe, są żydowskim płodem? Są wprawdzie między autorami dramatycznymi i powieściopisarzami synowie Jakóbowi, ale czyż-to oni kierują orkiestrą literacką? Czyż-to Izrael obdarzył nas dekadentyzmem, symbolizmem i mistyfikacyjnym okultyzmem? Synowie Jakóba tylko naśladują nasze wzory (str. 308). „Ma Francya trzeciéj rzeczypospolitéj pierwszeństwo, którego jéj nikt nie zaprzecza, mianowicie, w pornografii.“ Anglia liczy więcéj Żydów niż Francya. Niemcy siedm lub ośm razy więcéj niż Francuzi, a żadna literatura, ani angielska, ani niemiecka nie są tak skażone jak francuska (str. 311). Galicyjski bajarz Sacher-Masoch opowiada (jeżeli prawda), że pewien żydowski introligator w mieścinie węgierskiéj otrzymał od Żydówki romans Zoli do oprawy; gdy się właścicielka zgłosiła po odbiór książki: wrzuciłem ją w piec,

odrzekł tenże, to nie jest książka dla niewiasty żydowskiéj. Alboż-to tylko Żydzi we francuzkich felietonach produkują te eleganckie wszeteczeństwa? Rzemiosło jest zyskowne. Nie jeden z dyrektorów kierujących świstkami ludowemi, które obiecują lud oświécać, domagają się swobody, by mogli młodzież psuć i handlować bezwstydem. Otóż właściciele tych zamtuzów literackich nie pochodzą od Jakóba. Są między nimi ludzie porządnie przez kościół zaślubieni i przez państwo udekorowani. A poezya francuska masz-że w sobie coś izraelskiego? Lira o strunach lidyjskich i cymbały frygijskie nie mają nic wspólnego z psałterzem. Żydzi, którzy nam śpiéwają rozkosz na sposób joński, są wychowańcami goimów. Fakt równie godzien uwagi, że w literaturze ściśle hebrajskiéj, rzeczy erotyczne stanowią bardzo małą cząstkę: nawet stara P i e ś ń n a d p i e ś n i a m i (Szir-Haszirim) u Żydów tak jak i u chrześcian rozumiana jest alegorycznie. Synagoga pozwalała ją czytać tylko starszym, nie młodszym od lat trzydziestu. Zresztą i w innych krajach, mianowicie w Niemczech, nie brak autorów zpośród Żydów, a jednak na nich nie skarżą się tak, jak we Francyi; widocznie źródło złego, gust do pornografii musi zkądinąd wytryskać.

Jeden z moich przyjaciół, mówi Beaulieu, który wziął sobie za zadanie dźwigać Francyę moralnie, rzekł do mnie: mój przyjacielu, jest jedno przeciw Żydom, oto obniżają oni nasz ideał narodowy. Otóż, na obniżenie ideału wszędzie narzekają; nawet w Niemczech. Antysemici berlińscy tak mówili w r. 1887: Żyd grozi nam skażeniem charakteru niemieckiego, zduszeniem moralności niemieckiéj, wierności niemieckiéj, czystości niemieckiéj, uczciwości niemieckiéj. Dziwna rzecz, jak te cnoty niemieckie słabo siedzą w sercach niemieckich; tak samo mówią Francuzi o sobie, że ich Semici deprawują. Ażeby się porozumiéć, trzebaby powiedziéć, że ideał nie upadł, tylko stał się innym, brutalniejszym, ustrojonym w pikelhaubę, słowem Bismarckowskim.

Chcąc dowieść, że Semita nie jest zdolny do idealizmu, przytaczają nam Chaldejczyka, Fenicyanina, Kartagińczyka, Araba. Cała ta etnografia nie wiele pomoże, skoro jest faktem, że od dwóch tysięcy lat, dusze nasze żyją ideałem, przyniesionym od synów Judy. Przecież prorocy z Efraim i apostołowie galilejscy, byli heroldami idealizmu. Otwórzmy Biblią, a przekonamy się, że księga ta była wiecznie świeżém źródłem dla całych narodów, w którém czerpały siłę i uszlachetnienie. Przez Biblią narody aryjskie nasiąkły duchem semickim, a dusze i serca ich zmężniały, podniosły się. Jeżeli Żyd spółczesny zdaje nam się być pozbawionym ideału, wina tego nie leży

ani w rasie, ani w tradycyi, lecz w jego cierpieniach; wykoślawiły go wieki sztucznie. Z ludu, który głosił światu królestwo Boże, nietolerancya uczyniła rasę najbardziéj pozytywną, pełzającą po ziemi, albowiem cierpienie nie zawsze oczyszcza i uszlachetnia. Żyd właśnie tego dowodem.

Ale gdzie téż-to jest nasz ideał? Napisano: gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje. A gdzie nasz skarb? Czyliż nie w kufrach Żyda, bankiera? Tam jest serce nasze równie jak i Semity. Na nieszczęście, nie mamy ani wiary, ani zapału, ani wiemy co mamy brać za ideał. Świat nasz podobien starcowi, tylko w bogactwo wierzy. A téj wiary w boga-dolara nie potrzebowali opowiadać ani Europie, ani Ameryce apostołowie żydowscy. Zresztą, gdyby poszukać we współczesnéj literaturze i sztuce, przekonalibyśmy się, że i między spółczesnymi Żydami nie wszyscy pojmują życie jako operacyę giełdową.

VI.

Partykularyzm żydowski. Autor pyta się, zkąd ten wytrwały partykularyzm żydowski, połączony z pewnego rodzaju kosmopolityzmem egoistycznym, pozwalający Żydowi przenosić się z kraju do kraju, a trzymający go w odosobnieniu od reszty mieszkańców? Czém się to dzieje, że tylu prawnuków Abrahamowych pływa w brudnych szumowinach wszystkich narodów po naszych stolicach i na powierzchni naszych społeczeństw gnijących? Odpowiedź autora już nam znana. Przypisuje on to zjawisko, jak wiele innych, nietolerancyi ze strony chrześcian. Wszędzie uważano Żyda jako podróżnego na popasie, a i ten popas kazano mu słono opłacać pieniędzmi i upokorzeniami. W Rzymie np. gdzie Żydzi od wieków i wieki mieszkali, musieli jednakże rokrocznie prosić, aby im pozwolono jeszcze rok mieszkać. Była to oczywiście czcza formalność, niemniéj jednak upokarzała. Jeszcze się to powtarzało po r. 1830, i zaniechano jéj dopiéro za Piusa IX. Zakazywano Żydom w rozmaitych krajach brać procentu, kupować u nich rzeczy, zdziérano bez miłosierdzia. W Anglii, za króla Jana, nałożono na pewnego Żyda 10 tysięcy grzywien, z zastrzeżeniem, by codzién po grzywnie płacił. Innemu rwano zdrowe zęby, chcąc, by oddał pieniądze; ten przecież tak się zaciął, że dopiéro po wyrwaniu ósmego zęba dał 1,000 grzywien (Czacki, o Żydach, 81).

Zaparci i odcięci od swoich sąsiadów chrześcian, Żydzi radzi

nieradzi musieli żyć tylko ze sobą; a ile razy chcieli się zbliżyć ubiorem do reszty mieszkańców, cechowano ich żółtém kółkiem. Zresztą, nietyle może prawa, ile obyczaje ludów aryjskich odpychały ich od siebie. I my dziwimy się, że mody Jakóbowe jeszcze się nie zlały z naszemi (str. 350).

Partykularyzm żydowski ma się objawiać w odzieży, języku i nazwiskach. Co do odzieży, w istocie Żydzi, osobliwie na wschodzie, noszą długi, wschodni ubiór, jak go nosili niegdyś europejczycy; kiedy następnie moda przeodziała ludy europejskie, Żydzi pozostali przy swoim stroju, a jak np. w krajach muzułmańskich przyjęli turbany, wprawdzie odmiennego koloru niż Mahometanie, ale i to nie z własnéj woli; i tam ich wyosobniono. Pejsy i jarmułki, oraz lisie czapki już w wielu miejscach zarzucili, częścią dobrowolnie, częścią z musu. Tylko tam, gdzie siedzą zbitą gromadą, jeszcze spodki na głowie noszą. Wogóle można powiedzieć, że Żyd, obdarowany wielką zdolnością adaptacyjną, zmienia strój stosownie do kraju, gdzie mieszka, i nie uważa go za zrosły ze sobą nieodwolalnie.

Zarzucają Żydom, że mówią językiem odrębnym. Wiadomo, że język ich narodowy, hebrajski, dawno zamarł i spotyka się go zaledwie w księgach religijnych. Mówią zaś w potoczném życiu zepsutym językiem niemieckim i to tylko *Askenazim*, Żydzi północni; albowiem Żydzi południowi *Sephardim* używają zepsutego, hiszpańskiego. Gdy Żyd mówi: *Icele gaj sion gaj!* słychać niemczyznę, oczywiście nie dzisiejszą, ale prawdopodobnie taką, jaką mówiono w wyższéj Saksonii, w czasie, gdy Żydów z Niemiec wypędzono. Mówią tedy Żydzi, a nawet w Ameryce redagują swoje pisma, gwarą żydowsko-niemiecką, *judendeutsch*, albo *jüdisch: Leibele entłojf* (entlauf)!

Oprócz skażonego języka francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, włoskiego, rabini zawsze uprawiali język Thory. Dawne, palestyńskie narzecze było dla nich tém, czém język łaciński dla chrześcian. Z dwóch tych języków umarłych, hebrajski więcéj zachował życia, niż łaciński, chociaż hebrajski po powrocie Żydów z niewoli babilońskiéj został w Palestynie zastąpiony przez aramejski lub chaldejski, i zachował się jedynie w pismach doktorów zakonnych. W oczach Izraelitów tak starożytnych jak i nowożytnych, hebrajski jest nietylko narzeczem religijném, uczoném, ale zarazem węzłem jedności. Poeci i filozofowie żydowscy w średnich wiekach tchnęli w hebrajszczyznę nowe życie; uprawiano ją tém gorliwiéj, im bardziéj Żydzi czuli się wyosobnieni. Hebrajski został szczególniéj u *Askenazim* językiem literackim; język Izajasza odżył w prozie i poezyi. Na wschodzie, Żydzi używają liter hebrajskich do wyrażenia języka miejscowego. Zda-

je się, że stosowali tę metodę oddawna do wszystkich języków, jakiemi mówili. Tak np. w katakumbach Venosy w Apulii znaleziono epitafia greckie, ale pisane literami hebrajskiemi.

Niemniéj hebrajszczyzna traci coraz więcéj gruntu, szczególniéj na Zachodzie. W bardzo wielu synagogach tamtejszych, języki miejscowe, francuski, angielski, niemiecki, włoski, zdobyły sobie równouprawnienie z hebrajskim i to w uroczystych nabożeństwach. Dawno te czasy minęły, gdy rabini gorszyli się przekładem „Pentateuchu“ na niemieckie przez Mojżesza Mendelssohna. Żydzi coraz mniéj rozumieją starą hebrajszczyznę. Znałem, powiada autor, młodego Izraelitę z Berdyczowa, kandydata na rabina, który przybył do Paryża z zamiarem głoszenia słowa bożego we francuskich synagogach, po hebrajsku. Musiał wszakże zaniechać projektu, bo nie miał słuchaczów, którzyby go rozumieli (str. 371). Inaczéj z Żydami na Wschodzie, tam zdają się oni być innéj rasy ludźmi, jakby gatunkiem kopalnym, sztucznie konserwowanym. Dzieje się to skutkiem praw wyjątkowych, tamujących assymilacyę. Partykularyzm więc Żydów tamtejszych jest wynikiem ekskluzywizmu narodów. Można zatém przypuszczać, że synowie ich tém mocniéj będą się trzymali hebrajskiego jako języka świętego i w pewnéj mierze narodowego.

Grają tu pewną rolę imiona i nagwiska Żydów; świadczą odrazu z kim mamy do czynienia. Kto słyszy nazwisko Kohen albo Kohan, zgaduje że to Żyd. Z imionami i nazwiskami żydowskiemi rzecz ma się tak: większa część Sephardim, Żydów południowo-zachodnich, zachowała nazwiska hiszpańskie; a znów z pośród Askenazim, niemieckie, polskie, ruskie i t. d. Ztąd to poszło, że Żydzi, wygnani z półwyspu Pirenejskiego, anonsują się w salonach zachodniéj Europy jako Mendoza, de Castro, Nunez, Alvarez, d'Almeida, de Silva, wszystko nazwiska otrzymane od ojców chrzestnych. Gdy z półwyspu ci nowi chrześcianie wyemigrowali do Holandyi lub Hamburga, wnet wyrzekli się chrztu, ale zatrzymali nazwiska staréj szlachty hiszpańskiéj i portugalskiéj. Na starych oberżach w Amsterdamie, które pobudowali ich wnuki, jeszcze można widziéć herby kastylskie.

Mniéj szczęśliwi byli *Askenazim*; po większéj części przyczepiono im nazwiska niemieckie. U nas dawne imiona hebrajskie utrzymały się albo w czystości (Abraham, Jakób), albo téż skoślawiono je przez złe wymawianie. I tak, z Moszeh, Mojżesz, zrobiono Moszka, z Beera Berka, z Eliezera Lejzora, z Neftali Naftula, z Barucha Borucha, z Gedalii Gdalę, z Szelomoha—Salomona, Szlamę, z Szemuela — Samuela, Szmula, z Szimszona Simsię, z Israela Srula, z Chawy

Ewę, z Sary Surę i t. p. Potém, już pod koniec zeszłego wieku Prusacy i Austryacy kazali Żydom przyjmować nazwiska niemieckie. Urzędnicy ich dawali Żydom do wyboru trzy lub cztery kategorye nazwisk, razem z taryfą na każdą kategoryą. Nazwiska tworzone od zwierząt były bezpłatne; od drzew, kwiatów i metali oceniane stosownie do swojéj elegancyi. Stąd mamy Hirschów i Herszków, Loewych, Rosenfischów, Rosenblatów, Rosenbergów, Rosenblumów, Goldenringów, Goldsteinów, Silberbergów, Silbersteinów, Dyamentów, albo nowszéj formacyi: Przepiórki, Gołąbki i t. p. Chociaż nazwiska brzmią z niemiecka, ale i tu nikt się nie omyli co do pochodzenia noszących je ludzi. Nawet chrzest nie zmywa tego piętna. Otóż, Żydzi miarkując, że te imiona i nazwiska wystawiają ich na śmieszność, zaczęli je zwłaszcza w Niemczech zmieniać na mniéj charakterystyczne. Gdyby nie to, niejeden sławny Żyd nie byłby się dobił uznania w świecie. I tak, Ludwik Boerne nazywałby się Loeb Baruch, Karol Marx nie byłby Karolem, lecz Mordechajem, czyli po naszemu Mordka; nazwisko Marx już ojciec Karola przyjął. Niegdyś Żydzi nie zmieniali swoich nazwisk, chyba że przyjmowali chrzest. Otóż, autor w téj dążności Żydów spółczesnych do zmiany nazwisk, widzi ich dobre chęci do asymilacyi. I tu jednak spotykają przeszkody. Parę lat temu w Prusach pewna liczba Żydów podała prośbę do Berlina, by im pozwolono na zmianę nazwisk. Odmówiono. Gdzieindziéj przeciwnie. I tak, w Węgrzech madziaryzują swoje nazwiska, nie porzucając przecież gwary żydowsko-niemieckiéj. Przychodzi im to bardzo łatwo. Dodawszy do swojego nazwiska końcówkę *yi*, odrazu stają się Węgrami. *Herr* Simon staje się panem Simonyi. Stąd drwiny Węgrów: mówią oni, że Żyd węgierski, spoglądając na posąg madziarskiego patryoty Szecheny'ego, pyta sam siebie, jak on się wprzód nazywał? Toż w Rumunii. Tutaj *Herr* Simon zmienia się na *Domnu* Simionescu. Niektórzy, by się pozbyć żydowsko-niemieckiego nazwiska, latynizują je. *Herr* Wolf staje się panem Lupascu. Zdarza się to i we Francyi, gdzie *Herr* Loewe staje się *monsieur* Lion lub Lyon, a *Herr* Hirsch *monsieur* Cerf.

Również ciekawe zmiany zachodzą w ich imionach. Hebrajski Jakób zamienia się na Jacques lub James; albo gdy staro-hebrajskie imiona nie mają pochodnych, tłómaczą je, o ile można, na chrześciańskie. Już Baruch Spinoza podpisywał się jako Benedykt. Niemiecki Żyd imię Salomon mógłby zastąpić przez Friedricha. Jeszcze ciekawszy sposób polega na tém, że imiona hebrajskie zastępują imionami pochodzenia łacińskiego, greckiego lub niemieckiego zaczynającemi się od takiéj saméj głoski. Izajasz zostaje Izydorem, Rachela

Różą, Abigaïl Adelą lub Adelajdą. Częste u Żydów imię Moryc przypomina im Mojżesza (po francusku jestto widoczniejsze: Maurice, Moïse).

Zważywszy to wszystko — powiada Beaulieu — widzimy, że Żydzi teraźniejsi chcą się do nas zbliżyć przez ubiór, język, nazwiska, słowem przez to, co ludzi zewnętrznie wyróżnia. Starają się oni o to zbliżenie równie usilnie, jak ich przodkowie, o wyosobnienie i wyodrębnienie. Pod tym względem obalili ze swéj strony wszelkie rogatki. Mamyż im zarzucać, że w obrzędach religijnych używają innego od nas kalendarza? Nowy rok, Rosz-Haszanah, zaczynają około porównania jesiennego, ależ i chrześcianie swój rok kościelny liczą nie od 1 stycznia, a mimo tego stosunki ekonomiczne i towarzyskie nic na tém nie cierpią. Początkiem ich ery jest stworzenie świata, ale weksle i faktury datują tak samo, jak i my, od ery chrześciańskiéj. Niejeden z nich zapytany, w którym roku od stworzenia świata obecnie żyjemy, albo czy miesiąc *Sivan* poprzedza lub następuje po miesiącu *Tammuz*, pewnieby nie odpowiedział. A tak, z jakiéjkolwiek strony będziemy rozważali partykularyzm żydowski, okaże się, że go wytwarzają prawa. Żydzi we Francyi chcą być Francuzami, w Anglii Anglikami, w Niemczech Niemcami, a nawet w Czechach Czechami, co im Niemcy czescy zarzucają, jakoby się solidaryzowali ze Słowianami korony św. Wacława.

VII.

N a c y o n a l i z a c y a czyli u n a r o d o w i e n i e Ż y d ó w. Nietylko ubiorem, językiem i zwyczajami chcą się Żydzi upodobnić do chrześcian, lecz i wewnętrznie, stając się duszą krajowcami... Naturalnie, trzeba tu odróżnić Żydów zachodnich od północno-wschodnich, *Sephardim* od *Askenazim*. Krajem, gdzie ich unarodowienie najwięcéj postąpiło, są Włochy. Ale nie inaczéj się dzieje we Francyi i Anglii. Autor na poparcie swojego twierdzenia przytacza trzech wybitnych mężów: we Włoszech Luzzatti, były minister skarbu, we Francyi Gambetta, w Anglii Disraeli. Dowodów tych, prawdę mówiąc, za mało. Wszakże, według zapewnienia autora, nietylko takie matadory, lecz i pośledniejsze jednostki żydowskie mają się w owych krajach czuć zupełnie Włochami, Francuzami i Anglikami. Dopiéro świéży napływ *Askenazim* ze Wschodu pogorszył sprawę. Żeby tych przybyszów unarodowić, na to nie piętnastu lat potrzeba. W Stanach Zjednoczonych północno-amerykańskich ma być tak samo. Dawniéj osiedleni Żydzi zamerykanizowali się; świéża emigracya mówi jeszcze

językiem żydowsko-niemieckim. Co ważniejsza, nawet w Niemczech, gdzie duch kastowy przemaga, spotyka się Żydów przejętych do gruntu wielkością niemiecką, uważających się za czystych Niemców i deklamujących z emfazą, że ludy, którym nie wsączono ducha niemieckiego, dobre są co najwięcéj na podściółkę dla Germanów. Pruski uniform wojskowy i kampania odbyta przeciw Francyi miały bardzo skutecznie wpłynąć na zaszczepienie Żydom tamtejszym ducha niemieckiego. Służyło ich bowiem w owéj kampanii nie mało, skoro jeszcze w r. 1885 w samym Berlinie liczono 2 tysiące wysłużonych żołnierzy z pomiędzy Żydów.

Przypominam sobie — mówi Beaulieu — że gdym się znajdował w Dreznie, do rodziny żydowskiéj, u któréj stałem w r. 1867-ym, przybył raz na obiad pewien Żyd z Berlina. Służył on w wojsku podczas wojny z Austryą i był w bitwie pod Sadową. Wyglądał jak rzetelny Prusak: blondyn, czerstwy, rozprawiał głośno, akcentem berlińskim. „Po Königsgrätzu — dodał w końcu — można być dumnym z tego, że się jest Prusakiem“ (str. 389). Mogą się tedy Żydzi unarodowić, a chociaż w dzień swojego nowego roku życzą sobie: na przyszły rok w Jerozolimie! jednak w rzeczywistości nie chce się im tam wracać, a tém mniéj fundować nowego królestwa Palestyńskiego. Już dziś w New-Yorku, Paryżu lub Berlinie zapewneby nie znalazł takich Żydów, coby powtarzali z Jehudą Halevy: na Zachodzie jest moje ciało, ale moje serce na Wschodzie. Chcąc Żydów pociągnąć do Jerozolimy, trzebaby im na Syonie zbudować giełdę, pozakładać banki, utworzyć izby sejmowe, słowem — to, co jest niezbędne do operacyi spekulacyjnych, o których monopol tak się dobijają (str. 411). Jakoż w istocie, Żydzi nie myślą wcale o restauracyi królestwa Dawidowego. Wykupują, jak u nas, ziemię, stają się szlachcicami; domy, i stają się mieszczanami; prowadzą interesa na długi termin, co wszystko świadczy, że chcą zostać.

Dla nich ziemią obiecaną nie jest skrawek ziemi pomiędzy morzem a Jordanem, lecz daleki Zachód, na brzegach oceanu. Niedawno jeszcze rabini z nad Hudsonu i Missisipi podczas obchodu czwartéj setnicy odkrycia Ameryki porównywali z Mojżeszem Kolumba, którego Pan Bóg wskrzesił, by dla Izraela przygotował schronisko w innym, lepszym świecie.

Na tém, co w streszczeniu powiedziano, właściwie kończy się opowiadanie autora o losach Izraela w pośród narodów. Żeby jednakże lepiéj przekonać i usposobić czytelnika do bronionéj tezy, Beaulieu wraca jeszcze do niektórych stron sprawy żydowskiéj i za-

stanawia się nad kosmopolityzmem i sojuszem Żydów. Staje więc najprzód na stanowisku przeciwników żydowskich i tak mówi: Jeżeli dla mnóstwa Żydów Palestyna nie może się stać ojczyzną w granicach terytoryalnych, zapewniających im niezależny byt narodowy, czy judaizm nie mógłby jéj zastąpić? Chociażby bowiem judaizm był tylko religią, mógłby zachować partykularyzm swój jako pewnego rodzaj kościół, którego członkowie uważają się za pochodzących od wspólnego przodka i z téj saméj krwi. Stąd owa solidarność między Żydami, jakiéj nam żadna inna religia nie okazuje; stąd nawet sceptycy między nimi dają przewagę węzłowi religijnemu nad narodowym i uważają go za tożsamy z węzłem rasy, tak, że zawsze czują się wprzód Żydami nim Francuzami, Anglikami lub Niemcami. Stąd daléj ta łatwość, z jaką porzucają jeden kraj bez żalu i aklimatyzują się wszędzie, gdzie można otworzyć kantor wekslu. Z partykularyzmem narodowym doskonale umieją łączyć kosmopolityzm międzynarodowy i cały świat, jak obecnie, uważają za swoją ojczyznę; interesa materyalne stawiają na czele, a co w nich jeszcze pozostało szlachetniejszego kierują na rzecz judaizmu. Czują się oni, mimo wszelkich przemian braćmi, członkami zrzeszonego stowarzyszenia. Izrael ciągle jest podobny do żywego srebra, do tego dziwnego metalu płynnego, którego cząstki ciągle są w ruchu, rozbiegają się we wszystkich kierunkach, nie łącząc się jednak z niczém, co je otacza, by się znów połączyć jak tylko się zetkną.

Co na to wszystko odpowiedzieć? Oto, że Żyda uczyniła takim przeszłość, jakąśmy mu sami zgotowali. Wytrwała jego solidarność i pozorny (?) jego kosmopolityzm są w znacznéj części naszém dziełem. Gdyby nie wszelkiego rodzaju upokorzenia, zerwałby się lub rozluźnił węzeł rasy semickiéj. Ażeby tę opinię uzasadnić, autor powołuje się na mniejszości religijne, jak np. we Francyi na protestantów, które, widząc się zagrożonemi, tém silniéj skupiają się około siebie. Protestanci, powiada, tworzyli u nas długi czas społeczność odosobnioną, i wiele spólnie cierpieli; równie jak Żydzi, są oni we Francyi w mniejszości; otóż, solidarność jest jedną z najwybitniejszych cech psychologii religijnych mniejszości, tak, że to co się stosuje do protestantów we Francyi, możnaby zastosować do katolików w Anglii lub Prusiech.

Przedstawiają nam nieraz Żydów, jako siejących nienawiść między narodami, by je popchnąć do śmiertelnych zapasów ze sobą, a potém bogacić się łupami i tym sposobem zdobyć na gojmach panowanie. Kto tak sądzi, nie zna ducha żydowskiego. Trzéj biesiadnicy, którym na wieść, że wojna r. 1870 może nie przyjść do skutku, wy-

padły z rąk widelce, w Berlinie, nie byli synami Izraela. Żyd jest istotą pokojową, lubiącą pokój, a judaizm równie jak chrystyanizm głosi pokój na ziemi; Żyd nie cierpi karabina, a Talmud powiada, że Pan Bóg stworzył dlatego z początku tylko jednego Adama, ażeby ludzie mieli tego samego ojca, i nie mówili jeden do drugiego: „Nasi przodkowie byli bogatsi lub znakomitsi od twoich.“ Między Żydami począł się mesyanizm, ich prorocy zapowiadali zbratanie ludów. Chociażby to nie nastąpiło, zawsze piękne-to marzenia i utopie, może najpiękniejsze z tych, jakiemi się kołysali synowie ludzcy. Narody obecnie podobne są do wojsk ustawionych do boju, które biwakują w nocy, oczekując pobudki jutrzejszéj do starcia. Wobec takiego nastroju piękne marzenie o zbrataniu, które zapowiada stary i nowy testament, godne jest ukochania.

Książka francuskiego autora sprawia na bezstronnym czytelniku dobre wrażenie, głównie poczuciem sprawiedliwości i dążnością do wygładzenia ostrych kantów sprawy żydowskiéj. Zdaje mu się, że to głównie chrześcianie winni wyosobnianiu się Żydów, mieszkających śród rozmaitych ludów innéj rasy, które przez swoje prawa i obyczaje odpychają ich od istotnego zbratania. Pogląd taki uważamy za optymistyczny. Tłómaczymy go sobie przedewszystkiém obserwacyą Żydów francuskich, bo chociaż autor podróżował i po mrowiskach żydowskich w Europie, i widział Żydów w Azyi, niemniéj podstawą jego rozumowań, wniosków i nadziei byli Żydzi francuscy. Jestto prawie nieuniknioném, że wnioski nasze opiéramy na tém, co koło siebie widzimy. Bardzo wierzymy autorowi, że Żydzi francuscy lub angielscy mogą inaczéj wyglądać, niż berdyczowscy lub brodzcy, i że nadzieje, co do ich asymilicyi z Francuzami lub Anglikami, nie są złudne.

Spojrzyjmy naprzód na cyfry. We Francyi podług obliczenia z r. 1886 miało być ludności trochę więcéj, niż 38 milionów; z tego na Żydów przypada około 80,000; w Anglii na takąż cyfrę mieszkańców (38,2 milionów w r. 1890) ma ich być około 100,000. Takie odrobiny Izraela mogłyby się rozpuścić w 38 milionach, mogłyby się zasymilować z ludnością miejscową, co przy wyższéj cywilizacyi tamtejszych Żydów nie powinno stanowić wielkiéj trudności. Jednakże dotychczas jeszcze to nie nastąpiło. Autor objaśnia ten fakt okolicznością, że stosunkowo niedawno zaczęli używać wolności i równouprawnienia. Być może, następcy nasi za 50 czy 100 lat tego doczekają.

Inaczéj rzecz się przedstawia w krajach, gdzie zdawien dawna siedzi główny korpus żydowski. Weźmy Warszawę: na ludność pół-

milionową Żydzi stanowią obecnie ze dwakroć. Jak tu myśléć o asymilacyi? Nie myślą oni sami o stosowaniu w swojéj prolifikacyi rad wielebnego Tomasza Roberta Malthusa, o tak zwanéj moralnéj wstrzemięźliwości; lecz jak słuszna, stosując przykaz biblii: Rośnijcie i mnóżcie się. Nadto, jak sam autor przyznaje, i na co trzeba się zgodzić, Żydzi przewyższają chrześcian wszędzie większą bystrością, sprytem, darem kombinacyi, solidarnością, wstrzemięźliwością i wogóle domowemi, rodzinnemi cnotami. Pomimo tego więc, że biorąc wogóle, stanowią mały ułamek ludności globu ziemskiego, jednak dzięki swojéj inteligencyi, poczciwym i niepoczciwym praktykom zdołali się na świecie utrzymać i zadają kłamstwo teoretykom rozprawiającym o wymieraniu narodów.

Nam się zdaje, że dzisiejszy antysemityzm, czy antyjudaizm, bierze głównie początek z konkurencyi ekonomicznéj, cechującéj spółczesne gospodarstwo materyalne. Wielka mnożność Żydów powołuje coraz więcéj jednostek do życia, chcących się przy życiu utrzymać. Pole zarobku i pracy produkcyjnéj nie rozszerza się tak szybko; stąd chrześcianin coraz częściéj spotyka Żyda na swojéj drodze w pogoni za chlebem, i wyścigi te stają się coraz usilniejsze, zaciętsze. Niechęci i nienawiści wzrastają, zwłaszcza że Żyd często przewyższa swojego spółzawodnika. Czy Żyd trzyma się Talmudu, czy nie; czy jest obrzezany, czy nie; czy nosi pejsy i krymkę, czy nie; czy jada trefne, czy koszerne, mało to kogo obchodzi. Ale gdy ludzie staną do licytacyi na dostarczenie mąki lub siana, gdy się nadarza sposobność znacznego zysku, tam dopiéro chrześcianie widzą Żyda, jako swojego wroga. Przy braku z ich strony solidarności i kapitału, Żyd ich przelicytuje i zaraz słychać narzekania. Póki profit, procent, lichwa do gry nie wchodzą, Semici żyją w zgodzie z Aryami.

Oczywiście, jedną przyczyną, np. konkurencyą ekonomiczną, nie można tłómaczyć całego zjawiska, antysemityzmu; leży coś jeszcze w rasie, w religii, w rytuale, w obyczajach, co odpycha chrześcian od Żydów: ale zdaje nam się, że wyścigi o chléb, o pieniądze, o zysk stanowią główne źródło wzajemnych antypatyi. Rozwijać tych drugorzędnych przyczyn nie będziemy; trzebaby na to całego dzieła. Nie mamy téż pod ręką żadnego projektu na rozwiązanie sprawy żydowskiéj. Możemy tylko zalecić ludziom rozmyślającym i piszącym o Żydach odczytanie książki Beaulieu'go. Chęć usuwania przeszkód ku wzajemnemu porozumieniu godna jest szczeréj pochwały. Książka francuskiego autora musiała znaleść licznych czytelników, skoro w ciągu roku doczekała się już pięciu wydań.

K.



ONUFRY KORYTYŃSKI.

Jedną z gałęzi pnia rodowego Korytyńskich, herbu Korczak, przerzucił los z Wołynia na Litwę. Z trojga rodzeństwa: Feliks został jezuitą i zabawiał się pisaniem tragedyi (*Innocentia pietate servata, sive columbus.* Wilno, 1750); siostra Anna i brat Onufry musieli się dla ubóstwa czepiać domów magnackich.

Panna Korytyńska była damą dworską Sapieżanki, podskarbianki nadw. lit., siostrzenicy hetmana Branickiego. „Dość piękna była, ale bez żadnego posagu; chyba z łaski swéj pani mogłaby mieć jaką sumkę.“ Nie bez rachuby na hojność magnacką miecznik brzeski, Niemcewicz, zamierzył ożenić z Korytyńską syna swego, cześnika. Uproszony przezeń podczas roczków septembrowych brzeskich w r. 1750 pisarz grodzki, Marcin Matuszewicz, udał się do Białegostoku, gdzie wówczas damy rezydowały i sprawę przeprowadził pomyślnie. Młody Niemcewicz został przyjęty, dla ułożenia zapisów przedślubnych oznaczono termin zjazdu w zwykłéj rezydencyi podskarbianki, w Boćkach. Na owym zjeździe stara podskarbina deklarowała Korytyńskiéj w posagu 5,000 tynfów, podskarbianka, w tajemnicy przed matką 1,000 czerw. złotych. Ledwo się jednak wszystko nie rozchwiało, gdy podskarbianka dostała obłędu, matka zaś deklaracyi córki zrealizować nie chciała. Stary Niemcewicz był niekontent, narzeczony „zaczął się mięszać.“ Ostatecznie przecież Matuszewicz fortelami skłonił podskarbinę do wypłacenia Niemcewiczowi 1,000 czerw. złotych. „Panna Korytyńska zaczęła ubiérać się, prze-

stawszy płakać, i tak o godzinie jedenastéj w nocy (w zapusty r. 1751) był ślub, potém kolacya bez tańców.“ [1]).

Onufry, — „człek stratny, a czasem waryacyę cierpiący,“ — rezydował w Białéj, w charakterze sekretarza księcia Hieronima Radziwiłła, chorążego w. litewskiego. Podobnie jak brat, jezuita, miał zapał do pióra, zwłaszcza do składania rymów polskich. Po śmierci księcia chorążego († 1760) znalazł się w wielkim niedostatku. Kołatał do różnych domów, aż przygarnął go w Rasny Marcin Matuszewicz, niegdy swat siostry. Otwartém przyjął go sercem: należycie opatrzył, zaprosił na ojca chrzestnego córki. Przepisywał za to Korytyński raptularze Matuszewicza, który właśnie w r. 1760 ukończył przekład satyr Horacyusza; komponował z nim do współki poemat o klęsce Sapiehów pod Olkienikami; na własną rękę tłómaczył klasyków łacińskich. Przekład dwóch ód Horacyusza, przesłany przez Matuszewicza, staroście nowskiemu, Zboińskiemu, wielką panu Onufremu zrobił sławę. Biskup krakowski, Sołtyk, zapragnął go mieć na swoim dworze; pisał do Matuszewicza, iżby przywiózł poetę do Warszawy. Jakoż, jadąc w r. 1761 na sejm, zabrał Matuszewicz Korytyńskiego do stolicy i ulokował go na dworze biskupa „na dobréj pensyi i wygodzie“ [2]). Na dworze biskupim bawił Korytyński niedługo: około roku 1764 objął funkcyę sekretarza wojewody bełskiego, Cetnera; na schyłku życia doświadczał względów Jędrzeja Zamojskiego, głównie zaś Augusta Czartoryskiego, wojewody ruskiego [3]). „W tych dniach, — donosiły „Wiadomości Warszawskie“ z 27 stycznia r. 1770, — pożegnał się z tym światem J. P. Onufry Korytyński, sławny polski poeta, a najbardziéj w tłómaczeniu Horacyusza i innych poetów szczęśliwy. Słabość zdrowia jego, w któréj przez długi życia swojego przeciąg zostawał, obawiać się kazała, aby się nie ziściło to francuskie i innych narodów przysłowie, iż poetowie w szpitalach umiérają; ale litościwa hojność pewnego pana, kochającego nauki i wielu ludzi uszczęśliwieniem sławnego, nie dopuściła do kraju naszego tego przykładu, kiedy wszystkiego mu, cokolwiek do najuczciwszego życia należy, dostarczać mu dobroczynnie kazała aż do ostatniego życia jego kresu.“

* * *

---

[1]) Pamiętniki Marcina Matuszewicza, I, 222, 229.

[2]) Tamże. III, 107, 123, 130.

[3]) Janocki. Sarmaticae litteraturae nostri temporis fragmenta. Vars. et Lipsiae, 1773, p. 109.

Za życia autora następujące utwory publikowane były w broszurach:

1) Oda o mądrym królu, z łacińskiey tłomaczona przez JMci P. Onufrego Korytyńskiego, sekretarza J. W. JMci Pana Cetnera, wojewody bełskiego (bez m. i r. 8-a, k. nlb. 7).

Jest to przekład wiersza Stanisława Konarskiego: *Stanislao Augusto serenissimo et potentissimo Poloniae Regi... carmen lyricum* etc. (1764, 8-a, k. nlb. 10), tłómaczonego jednocześnie przez pijara, Marcina Eysymonta i pułkownika Jakubowskiego.

2) Jaśnie Wielmożnemu JMci Panu Andrzejowi Zamoyskiemu, orderu Orła białego kawalerowi na rok pański 1769 dnia 1 stycznia kolenda (bez m i r., kart nlb. 2).

W utworze tym, zawiérającym zwrotek czterowierszowych dziewięć, podpisanym na końcu: „Podnóżek O. Korytyński," wysławia poeta ex-kanclerza za złożenie pieczęci w r. 1767.

„Obszerny świata krąg został zdumiały,
Widząc i słysząc czyn twój tak wspaniały..."

3) Jaśnie Oświeconemu Xiążęciu JMci Alexandrowi Augustowi Czartoryskiemu, wojewodzie y generałowi ziem ruskich, Panu y Dobrodziejowi na nowy rok 1769 dnia 1 stycznia w Warszawie (bez m. i r. 4-o, karta).

W 42 wierszach podpisany znowu „Podnóżek Korytyński" wielbi cnoty księcia,

„Które zbłąkanym muzom przytulenie
Dały i dobre udzieliły mienie."

Następne dwie karty, zawiérające wierszy 22, mają tytuł: Do J. O. Xiężny Pani Dobrodziki, a na końcu znowu podpis: „Podnóżek Korytyński."

4) Jaśnie Oświeconéy Xiężnie Izabelli z Hrabiów Flemmingów Czartoryskiey, ziem podolskich Generałowey, w Warszawie, dnia 30 marca R. P. 1769 (bez m. i r., 4-o, karta).

W rymach (4 zwrotki sześciowierszowe, piąta ośmiowierszowa), ułożonych na uroczystość urodzin, uprasza księżnę „obowiązany y nayniższy sługa O. Korytyński," iżby, nieograniczając się na dwóch córkach, uszczęśliwiła męża synami.

„Jużże się popisz dzisiaj narodzona
Elżbieto, xiężno! żeś jest płodna żona...
Niech to tak święte i tak dawne plemię
Całą z krwi spólnéj uszczęśliwia ziemię;
Zaś podchlebiwszy sobie wprzód cór parą,
Xiążęciu męską wywiąż się ofiarą."

Oprócz powyższych utworów okolicznościowych, *Monitor* z r. 1767 wydrukował przekłady dziesięciu ód z Horacyusza. „Mile przyjęte Horacyusza niektórych wierszy tłómaczenia" było mu „pobudką do dalszego onychże *publico* użyczenia." Dał więc najprzód (Nr. 64) bez wymienienia tłómacza odę 16-ą księgi III „Do Grosfa" (*Otium Divos rogat*) i 34-ą księgi I „Do siebie samego" (*Parcus Deorum cultor et infrequens*); następnie (N. 70) odę 3-ą księgi II „Do Deliusa" (*Aequam memento rebus in arduis*), 22-ą księgi I „Do Arystyusza" (*Integer vitae scelerisque purus*) i 10-ą księgi IV „Do Liguryna" (*Ocrudelis adhuc*). W N-rze 80 wydrukował odę 2-ą z księgi epodów (*Beatus ille, qui procul*), w 99 odę 2-ą z księgi I „Do Augusta Cezara" (*Jam satis terris nivis atquae dirae* etc) i 2-ą z księgi III „Do przyjaciół" (*Angustam, amici, pauperiem pati*); w 104 odę 6-ą z księgi III „Na zepsowanie swojego wieku" (*Delicta majorum immeritus*) i 10 ą z księgi II „Do Licyniusza (*Rectius vives, Licini*).

Po śmierci autora publikowano utwory nieznane i robiono przedruki.

Monitor z r. 1770 (N. 80) ogłosił pierwszy raz z inicyałami „O. K." odę 8 ą księgi II „Na Julią Barynę (*Ulla si juris tibi pejerati*), oraz przedrukował przekłady, publikowane w r. 1767, z wyjątkiem ody 2-éj z księgi I „Do Augusta Cezara" (NN. 80, 90, 100).

W tym samym roku wydano:

Q. Horatii Flacci de arte poetica liber ad Pisones. Q. Horacyusza Flakka o sztuce rymotworskiéy. Przekładania Onufrego Korytyńskiego. *Opus posthumum.* W Warszawie, w drukarni Mitzlerowskiey, 1770 (8-a, stron 24).

W zbiorze: Pieśni wszystkie Horacyusza przekładania różnych (Warszawa, 1773, u Grölla) oprócz jedenastu ód z Horacyusza, drukowanych w *Monitorze*, pomieszczono dwie jeszcze: odę 11-ą z księgi I „Do Leukonoi" (*Tu ne quaesieris, scire nefas*) i 13-ą z księgi epodów „Do Neery" (*Nox erat* etc.). W tekście tłómaczeń niewielkie zmiany dokonane zostały prawdopodobnie przez redaktora wydawnictwa, Naruszewicza. Przyrzekał Naruszewicz podać przedruk księgi o sztuce rymotworskiéj, wydanéj przez Mitzlera, obietnicy jednak nie ziścił.

Jednocześnie Zabawy przyjemne i pożyteczne (1773) dały „Opisanie starości z Korneliusza Galla (t. VIII, część 2, str. 382—400); w kilka lat późniéj (1777) z Horacyusza odę 5-ą z księgi I „Do Pirry“ (t. XV, część 2, str. 401—402), oraz przedruk „Kolendy“ dla Andrzeja Zamojskiego (t. XVI, część I, str. 70—73).

Na schyłku wieku wyszła: Q. Horacyusza Flakka o sztuce rymotworskiéy księga do Pizonów. Przekładania Onufrego Korytyńskiego. Edycya druga, w Warszawie, 1795 (8-a, stron 23).

W r. 1807 w „Wyborze pieśni, satyr i listów Horacyusza, tłómaczonych przez celniejszych pisarzów polskich“ (Wilno, str. 154) powtórzono przekłady Korytyńskiego: „Do siebie samego,“ „Do Grosfa,“ „Do przyjaciół,“ „*Justum et tenacem*,“ „*Beatus ille qui procul negotiis.*“

Niektóre utwory zaległy w rękopisie na długo. W r. 1843 ogłoszono Olkinicką potyczkę [1]); dopiéro w r. 1882 przekład satyry VII z księgi II Horacyusza, pisany ręką Trembeckiego, wydał Tomkowicz [2]).

Próbkę talentu Korytyńskiego da przekład głośnéj pieśni Horacyusza: *Integer vitae scelerisque purus.*

„Cnotliwy w życiu i od zbrodni czysty
Nie żąda Maura miéć pocisk stalisty,
Ni z łukiem sajdak pełen rozmaitych
Strzał jadowitych.
Czyli po skałach w najgorętszym razie,
Po niemieszkalnym czy dąży Kaukazie,
Czy w miejscach, które, jak bajka opiwa,
Hydasp podmywa.
Boć i odemnie, gdy w Sabińskim gaju
Miłosne piosnki śpiewam ze zwyczaju,
Wolne od trosek, bezbronnego człeka
Sam wilk ucieka.
Jakiéj potwory ani wojowniczy
Dauńczyk w rozległych puszcz znajduje dziczy,
Ani jéj ziemia afrykańska płodzi,
Która lwy rodzi.

---

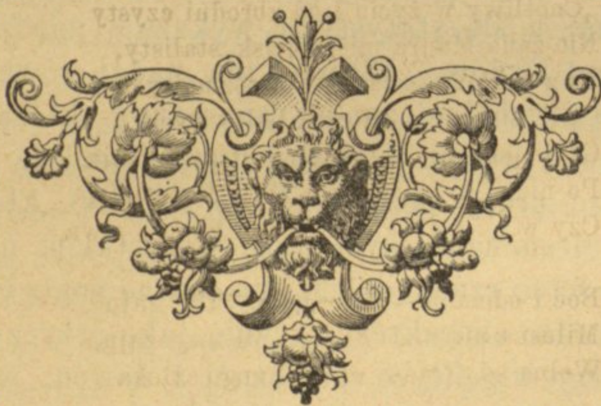
[1]) „Zrzódła do dziejów polskich,“ wyd. przez M. Grabowskiego i Al. Przezdzieckiego, Wilno, t. I, str. 175—207. Poemat zawiérający wierszy 1,020, wydano z rękopisu biblioteki hr. Gustawa Olizara w Korosteszowie. W bibliotece uniwersytetu wileńskiego znajdował się egzemplarz z wymienieniem nazwiska autora.

[2]) „Z wieku Stanisława Augusta.“ Kraków, 1882, str. 53.

Staw mię tam, kędy nierodzajne role
I gdzie wiatr letni nie wionie w topole:
W tym kęsie świata, gdzie sieje mgły, chmury
Jowisz ponury.
Staw mię pod metą najbliższą Tytana,
Kędy od ludzi ziemia niemieszkana,
Z Lalagą będę pieścić się śmiejącą,
Słodko mówiącą."

Na podstawie takiego dorobku literackiego zyskał Korytyński u współczesnych niemały rozgłos. Krasicki w rozprawie O rymotwórcach polskich poczytuje go za najszczęśliwszego z tłómaczów Horacyusza; w przypiskach do herbarza Niesieckiego nazywa go „sławnym poetą polskim." Liczne przedruki tłómaczeń z Horacyusza dają miarę o popularności poety. Pierwszy Bentkowski (Hist. lit. pol. I, 328) zauważył o przekładzie sztuki rymotwórczéj, że „nie zaspakaja wcale niesurowego nawet krytyka." Następne pokolenia zapomniały o Korytyńskim zupełnie.

Władysław Smoleński.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Leopold Caro, „Der Wucher. Eine social-politische Studie.“ Lipsk, 1893 r. str. VII i 311. — „Die Judenfrage eine ethische Frage.“ Lipsk, 1892, str. 66.

Pojęcie lichwy i rasy semickiéj, w któréj ręku głównie się znajduje, tak bardzo spokrewniły się w poglądach codziennego życia, że same tytuły obu dzieł d-ra Caro zdają się na wzajemną ich zależność wskazywać. Tymczasem „Lichwa“ jest zupełnie odrębném studyum, w którém kwestya semicka o tyle tylko jest uwzględniona, o ile statystyka wykazuje między lichwiarzami przeważny procent Żydów. Element ten nadał również całemu zagadnieniu pewną psychologiczno-etyczną barwę, która się z kwestyą semicką zléwa i obu pracom ideowo-jednolity nadaje charakter. To też przy rozbiorze pracy późniejszéj (o lichwie), która rozmiarami swemi i charakterem naukowym przedewszystkiém na uwagę zasługuje, pozwolimy sobie rzucić okiem i na ogólne poglądy społeczne autora. Są one bardzo charakterystyczne, jako przyczynek do nowego kierunku etycznego w polityce społecznéj i dowód, jeden z licznych, bankructwa liberalizmu, które coraz jaskrawiéj uwydatnia się w różnych sferach umysłowego i społecznego życia.

Praca o lichwie składa się z dwóch części: pierwsza poświęcona jest teoryi zagadnienia, oraz przejawom jéj w nowożytném prawodawstwie. Prawodawstwa poprzednich stuleci autor pomija, słuszną czyniąc uwagę, że lichwa dzisiejsza nie jest stałém w ciągu dziejów powtarzającém się zjawiskiem, ale nowotworem, który warunki dla powstania i rozwoju znalazł w gospodarce kapitalistycznéj. Część druga jest monografią, dającą obraz lichwy w Galicyi, który obok niedawnych prac stowarzyszenia polityki socyalnéj w Niemczech (*Der*

Wucher auf dem Lande, 1887 r.), oraz pracy J. Platera, poświęconéj lichwie na Bukowinie (*Der Wucher in Bukovina*, 1878 r.), jest cennym materyałem dla zbadania morfologii lichwy, na któréj oprzéć się musi prawodawstwo, dążące do postawienia tamy nadużyciom. Autor może nawet przesadną pokłada wiarę w działalności prawodawstwa i uzdrawiającym wpływie tegoż na stosunki społeczne, których naruszać nie chce, zastrzegając się kilkakrotnie, że stoi na gruncie istniejących stosunków społecznych.

Materyał do zbadania kwestyi lichwy w Galicyi czerpał autor z rękopiśmiennych danych, jakie zbierały władze galicyjskie z powodu wprowadzenia prawa o lichwie dla Galicyi i Bukowiny w r. 1877, oraz z pracy d-ra J. Kleczyńskiego („Stosunki włościańskie w Galicyi“—„Wiad. stat.“, z. VII), opartéj również na źródłowym materyale badań nad przyczynami upadku i parcelacyi gospodarstw włościańskich. Stenograficzne protokóły sejmowe, rachunki oraz akty likwidacyjne banku włościańskiego, który operował w Galicyi od 1868 — 1884 r. dostarczyły danych do skreślenia działalności instytucyi, która postawiwszy sobie pozornie zadanie ratowania drobnéj własności, okazała się przecież niemniéj lichwiarską od żydowskich i chłopskich przedsiębiorców.

Wieśniak okazuje się dla lichwiarza najlepszym materyałem do wyzysku, ludność jest na wsi mniéj zaradną, niż w mieście, podejrzliwie spogląda na własność większą, a na przednówku zawsze niemal jest w potrzebie i odwołuje się do lichwiarzy. Żądania pomocy pojawiały się również w okresie płacenia podatków, albo i w celach produkcyjnych, a więc na kupno gruntów, bydła i narzędzi gospodarczych, na budowę i naprawę budynków, a nawet na handel bydłem i zbożem, jakim zajmują się koloniści niemieccy nad granicą szląską i węgierską. W większéj części powiatów (42) żydowscy sklepikarze lub szynkarze byli obok lichwiarskich banków jedynemi bankierami wiejskiemi, jednakże i zamożniejsi chłopi pożyczali w wielu wypadkach (32) pieniądze, a kredyt znajdował również włościanin niekiedy we dworze lub u księdza. Najwyższe procenta od 50—150, a nawet niekiedy i 500 (powiat skałacki) pobierają Żydzi, chłopi zadawalniają się zwykle 24 — 30, choć i oni niekiedy równie niebezpiecznemi lichwiarzami się stają, jak Żydzi. Obliczenie dokonywa się zwykle od tygodnia i guldena, bo to mniéj razi chłopa, bierze on czasem namówiony, bez właściwéj potrzeby na czas krótki, na niski procent, który ciągle wzrasta, gdy dłużnik nie mógł stawić się na termin. Pożyczki na 1½ roku, na 3 i 5 lat zdarzały się tylko wyjątkowo. Pożyczki pieniężne nie są wyłączną, ani nawet przeważającą formą: naj-

częściéj chłop otrzymywał produkta, składał zastawy w postaci najkosztowniejszych przedmiotów ze swego gospodarstwa, które nawet w razie spłaty wracały doń zamienione lub zniszczone. Spłata dokonywała się również w produktach, wierzyciel zabierał część plonu, albo téż kazał obrabiać na swoją korzyść pole. Częstą formą jest sprzedawanie na lat kilka osady, lub oddawanie jéj w dzierżawę za procent. Zdarzało się téż zaprzedawanie się w niewolę za długi, dłużnik zamiast procentu odrabiał pewną ilość dni w polu (np. za pożyczenie ½ korca pszenicy, dwa dni pracy jako procent), kapitał oddawał w produktach swego gospodarstwa. Łatwo sobie wyobrazić, że te pożyczki doprowadzają do sprzedaży narzędzi, parcelacyi osady i wreszcie przejścia jéj w posiadanie wierzyciela. Ilość licytacyi w posiadłościach włościańskich zwiększała się w sposób przerażający aż do wydania pierwszego prawa o lichwie w r. 1877. Ze 164 w roku 1867 wzrasta na 1,026 w r. 1874 i na 2,139 w r. 1877. Zresztą Galicya nie była pod tym względem krajem wyłącznie uprzywilejowanym, bo w Bawaryi np. w latach od 1880—88 zlicytowano 17,200 posiadłości, a z tych ⁴⁄₅ należały do drobnych gospodarstw.

Wywłaszczony chłop emigruje do Ameryki, to téż jednocześnie ze wzrostem lichwy spostrzegamy olbrzymi przyrost emigracyi. Lichwiarz jest często agentem biura emigracyjnego, lub utrzymuje z niém stosunki. Autor ocenia ludność wiejską, która wyemigrowała z Galicyi od 1873—1891 r. na 270 tysięcy ludzi, a zarobek na nich lichwiarzy na 13½ milionów guldenów.

Ciekawym był wpływ prawa o lichwie z r. 1877. Z początku lichwiarzy ogarnęła taka panika, że nie śmieli się upominać o wyższe odsetki, jak 12. Skoro jednak przekonali się, że prawo nie działa wstecz i że sądy nie używają względem nich całéj surowości, stosunki prawie że się pogorszyły. Odmowa pożyczek pociągała za sobą ze strony chłopów przyrzeczenie dochowania tajemnicy, obchodzenie prawa, pożyczki tym z pomiędzy chłopów, którzy mieli już kiedykolwiek zatargi z władzą i obawiali się zwracać na siebie uwagę, podwyższanie bezmierne cen na rzeczy codziennego użytku dawane na kredyt, ukryte lombardy i t. p. W r. 1880 w jednym powiecie Komarno na 1,665 procesów „bagatelnych“ (nie przenoszących 50 złr.), 1,300 wynikło ze sprzedaży towarów po oburzająco wysokiéj cenie. To téż prawo z 1877 r. poddano wielu krytykom, ubolewając nadewszystko, że przychodzi zapóźno, gdy lichwa wywłaszczyła już tak znaczną część ludności i takie w kraju zapuściła korzenie, że niczém wygryść jéj nie było można. Niemal szkodliwszą, niż lichwiarzy prywatnych, była działalność banku włościańskiego.

Pożyczek krótkoterminowych bank nie udzielał wcale, stowarzyszeniom udzielano kredytu rzadko i w małych sumach, na zużytkowanie sum pożyczonych nikt nie baczył, jakkolwiek wszystko to zapowiadały statuty, ale za to bank dbał o swe interesa i wysokość procentów, jakie chłopi płacić mieli, wynosiła 40 ½, jakkolwiek nominalnie przez pierwsze 10 lat istnienia procent był 27. Czysty zysk banku wynosił od 13—26½%, co zwłaszcza w porównaniu z odsetkami, pobieranemi przez kasy Reiffeisena w Niemczech, a nawet z innemi instytucyami kredytowemi w Galicyi, gdzie zyski stanowią 2—5%, jest olbrzymim, prawdziwie lichwiarskim haraczem; że zaś prawie $\frac{1}{12}$ wszystkich gospodarstw włościańskich w Galicyi zadłużona była w banku, więc przy małéj wydajności gospodarki rolnéj szkoda musiała być znaczną.

To téż autor oblicza ilość gospodarstw sprzedanych z licytacyi w ciągu dziesięciolecia od r. 1873 do 1883 i wykazuje, że wystawionych na sprzedaż przez bank było 29,9%, a więc niemal trzecia część. Nie można tu obwiniać ludności, że nie wypełniała swych zobowiązań, bo zobowiązania przenosiły jéj możność. Tam zaś, gdzie, jak w zachodniéj Galicyi, oświata wśród ludu zrobiła postępy, śmiertelność i liczba nieprawych urodzeń były umiarkowane, pojawiało się również ściślejsze pojmowanie podjętych obowiązków.

Prawodawstwo austryackie nie przestaje zajmować się lichwą, która w całém państwie korzysta z ubóstwa i niezaradności mieszkańców, szczególniéj na wsi. Prawo z r. 1881 objęło wszystkie kraje austryackie, ale okazało się jeszcze niedostateczném i nie dość surowém; obecnie więc przygotowuje się nowe prawo o lichwie, które od r. 1891 czeka ostatecznego zatwierdzenia i surowością kar usiłuje powstrzymać rozkład stosunków społecznych.

Prawodawstwo ma tu przecież bardzo trudne zadanie, pożyczka jest nieraz w każdéj formie dobrodziejstwem, choćby dlatego, że przedłuża istnienie skazanéj na zagładę jednostki gospodarczéj, która po za formą dzisiejszego bytu nie widzi innéj. Zresztą i samo pojęcie lichwy jest względném, a oznaczenie wysokości odsetek nie wystarcza tu bynajmniéj.

Aby określić czém jest lichwa, sięgnąć musimy do roli kapitału wogóle i usprawiedliwienia odsetek, jakie on daje. Autor rozebrawszy kilka definicyi zysków z kapitału powiada: „zysk jest ceną korzyści, którą biorącemu pożyczkę przyniósł powierzony mu kapitał", a daléj: „tylko ten kapitał, który jest produkcyjnym i daje nadwartość, przynosić może również odsetki." (Przypomina to nam trochę określenia państwa, jako idealnéj jednostki zbiorowéj, która ma zadanie myśléć

o potrzebach wszystkich klas narodu; definicya autora równie mało odpowiada rzeczywistości. Ale przypuszczamy, że mając cele teoretyczne, uwzględnić on nie mógł rozdźwięku gospodarczego życia z zasadą). Autor uznaje, jak widać, produkcyjność kapitału, zaprzeczaną przez wielu teoretyków dzisiejszych i zgodzić się z nim możemy, jeżeli przez produkcyjność rozumiéć stworzenie przez kapitał takich warunków produkcyi, przy których praca zwiększy swą wydajność. Kapitał przecież istniéćby mógł i musiał, niezależnie od tego, czy ma prywatnego właściciela; nie wydajność kapitału jest przeto warunkiem powstania i uprawnienia odsetek, ale przywiléj jego posiadania.

Ponieważ przywiléj własności panuje dziś powszechnie, to jest względem wszystkich środków produkcyi, więc procent od kapitału ma takie takie samo usprawiedliwienie, jak czynsz dzierżawy lub komorne, opłata za wypożyczenie maszyny, warsztatu i t. p.; nie zmieniając panujących dziś stosunków własności, zaprzeczyć mu nie można. Trudno również twierdzić, aby tylko pożyczki na cele produkcyjne usprawiedliwiały pobieranie procentu, bo i konsumcya, umożliwiając późniejsze produkowanie, podpada pod tę samą kategoryą wynagradzania przywileju. Jeżeli przeto przyjmiemy usprawiedliwienie procentu od kapitału, odnaleść nam trzeba granicę, od któréj zaczyna się lichwa, gdyż procent od kapitału w różnych krajach niejednakową wykazuje wysokość, a nawet innym będzie na wsi a w mieście i zmienia się zależnie od rodzaju przedsiębiorstwa. Co więcéj, zależy także od wysokości pożyczki, a mianowicie, jak wykazuje Platter dla stosunków na Bukowinie, średnie odsetki dla pożyczek poniżéj 50 złr. były na rok 1876—29,8, na rok 1877 — 36,7, dla pożyczek od 50—1,000 złr. wahały się w r. 1876 między 29,5 a 34,9, w r. 1887 między 31,3 a 37,5, dopiéro od 1,000 złr. zaczynał się nagły spadek, tak, że pożyczki wyżéj 1,000 złr. przynosiły w 1876 r. 12,6, w 1877 tylko 10,3.

Zdawałoby się, że takie fakty wyraźnie wskazują na oddziaływanie przywileju i możności skorzystania zeń ze strony wierzyciela, ze strony dłużnika zaś na bardzo różną i często nie dobrowolną ocenę korzyści, jakie mu pożyczka przyniesie. To téż daleko prędzéj zgodzilibyśmy się na subiektywną teoryę wartości i zależnych od niéj zjawisk, którą autor zwalcza, niż na uzasadnienie wysokości odsetek, jakie stawia na jéj miejscu. Zamiast oznaczania ceny, a więc odsetków kapitału względnie do podaży i popytu, jak działo się to w czasach przewagi teoryi indywidualistycznéj, autor szuka uzasadnienia odsetek w stosunku do wartości użytkowéj. Inaczéj życie gospodarcze w ciągłéj z etyką jest sprzeczności. Panowanie bezwzględnéj

wolności oddaje jednostki słabsze na pastwę silniejszych, czyni egoizm panem położenia. Według autora przecież, epoka bezwzględnéj walki konkurencyjnéj jest już na schyłku i w coraz nowych dziedzinach gospodarki przejawia się zasada ustosunkowania wydatków i żądań społecznych do możności jednostki, do jéj zdolności zarobkowéj. Zasada ta w prawodawstwie uwzględnioną być musi dla powstrzymania nadużyć lichwy, zdolność zarobkowa jednostki jest granicą maksymalną odsetek od kapitału. W rzeczywistości dzieje się inaczéj, bo jakkolwiek gospodarka wiejska nie przynosi w Anglii więcéj jak 2½ — 3⅓%, w Niemczech zaś i w Austryi dochodzi również nie wyżéj jak 3—3½%, nikt nie nazwie lichwą pożyczki udzielonéj hypotecznie po 5 od sta. Wierzyciel nie chce obniżyć skali swych wymagań, skoro one przy każdym innym rodzaju pożyczki zaspokojonemi-by być mogły. Autor całym szeregiem argumentów, wyjętych z prawodawstw niemieckiego i francuskiego zwalcza ten pogląd, zwłaszcza odnośnie instytucyi kredytowych, bo od osób prywatnych trudno żądać zapomnienia o własnym interesie. Uwzględnienie każdorazowéj skali możności osiągnąćby się dało przy powstaniu instytucyi kredytowéj na wielką skalę, która, zdaniem autora, stworzoną być musi i gdzie wielkość obrotów wyrównywałaby na tyle ryzyko, że zysk *brutto* zastąpionym-by mógł być czystemi odsetkami i przystosowanym do wartości użytkowéj, jaką ma kapitał dla wierzyciela. Dopóki instytucya taka nie istnieje, odsetki przyznać trzeba i od nieprodukcyjnych pożyczek, jak również uwzględnić, że odsetki muszą niekiedy dawać i wynagrodzenie za ryzyko. Średnia stopa procentu ma zresztą w krajach zachodniéj Europy stałą dążność zniżkową. Procent hypoteczny badany w Niemczech w latach 1815—1883 dla 37 miast, 2 okręgów wiejskich i grupy dóbr większéj własności, z 5½—6% obniżył się do 4½, wierzycielami byli ludzie prywatni; w bankach powtarza się to samo zjawisko. Jakkolwiek nie można oznaczyć jakiéjś idealnéj normy powszechnéj, po za którą operacyę kredytową uznaćby należało za lichwiarską, to przecież prawne *maximum* ustanowione być może, o czém świadczy prawodawstwo Stanów Zjednoczonych. Tylko w Waszyngtonie, Kalifornii i Mainie nie ma taksy odsetkowéj, w innych waha się ona od 6, 8, 10 — 12%.

Dla określenia pojęcia lichwy nie dość w naszych warunkach gospodarczych, aby odsetki od kapitału przekraczały istotny zysk z wypożyczonego kapitału, ale, według nowszych prawodawstw austryackiego i niemieckiego, musi być dowiedzionem korzystanie z trudnego położenia, lekkomyślności i braku doświadczenia dłużnika, wogóle wyzyskiwanie jego umysłowéj niższości, czy gospodarczéj potrze-

by. Dr. Caro słusznie twierdzi, że przy każdéj lichwiarskiéj operacyi odnajdzie się którykolwiek z tych warunków, jeżeli nie wszystkie, bo „niedoświadczenie, potrzeba i lekkomyślność stanowią przyrodzone warunki życia dla masy ludności.“ Co zaś do karygodnego zamiaru, który wierzyciel powziął, to nie można go przyjąć za warunek, bo nie chodzi tu o wymierzenie idealnéj sprawiedliwości, lecz o ochronę jednostki, a przez to i społeczeństwa. Lichwiarz, pozbawiając swą ofiarę majątku i środków do życia, zabija ją cywilnie i gospodarczo.

Lichwa nie ogranicza się do pożyczek pieniężnych. Jak to zauważyć można było z przedstawienia jéj dla Galicyi, przejawia się ona również w sprzedaży towarów, w wyzysku robotnika, w czynszach gruntowych i wogóle przy wszelkiéj wymianie. Wszystkie te momenta w prawodawstwie uwzględnione być muszą.

Rozpatrzmy o ile wymaganiom teoryi odpowiada austryacki projekt prawa o lichwie z r. 1891, który niebawem oddziaływać będzie na stosunki w Galicyi: za podstawę projekt ten bierze stosunek wysokości procentu do możności gospodarczéj dłużnika. Stopy procentowéj nawet maksymalnéj nie stanowi, co utrudnia niezmiernie zadanie sędziego (prawo niemieckie np. odwołuje się w tym razie do zwykłéj stopy procentowéj w kraju), ale wobec różnorodności stosunków gospodarczych i zmian, jakie wśród nich zachodzą, oznaczenie zwykłéj stopy trudném jest do spełnienia zadaniem, zważywszy, że prawo na dłuższy czas istnienia obliczoném być musi. Kiedy prawo z roku 1881 domagało się dowodu, że byt gospodarczy dłużnika został podkopany, a przynajmniéj zagrożony, nowy projekt zadawalnia się stwierdzeniem, że dłużnik nie jest w stanie płacić żądanych odsetek. Obok pożyczek pieniężnych prawo uwzględnia wszelki przymus, wyzysk małoletnich, wyzysk ubóstwa. Bierze w obronę robotnika przed wyzyskiem pracodawcy, ale nie zapomina dodać, że i pracodawcę również bronić będzie przed wyzyskiem robotnika. Prawo obejmuje również lichwę towarową, odnoszącą się do handlu na raty, który tak bardzo przyczynia się do wyzysku ludności.

Z dotychczasowego streszczenia widać, że autor, choć poddaje krytyce niektóre postanowienia nowoczesnego prawodawstwa, stoi na tém samém stanowisku etyczném. W teoretyczném swém uzasadnieniu rzucił on dużo światła na kwestyą, jakkolwiek nie moglibyśmy się zgodzić na wiele jego twierdzeń co do dążności humanitarnéj dzisiejszéj gospodarki. Skoro pogląd ten odnosi się do prawodawstwa, może miéć racyą i jak widzieliśmy, prawo dziesiejsze stara się coraz usilniéj godzić względy etyczne z wymaganiami gospodarczéj korzyści indywidualnéj. Rozwój faktyczny przecież jest dotąd brutalnym,

etyka moralnością silniejszego, a takie fakta, jak dostarczanie tańszych mieszkań robotnikom, bezpłatnéj porady lekarskiéj, kąpieli, przejazdów i inne, które autor przytacza, istniały zawsze jako wyraz dobroczynności publicznéj. Zarzucić również musimy niedostateczne uwydatnienie warunków, wśród których powstała lichwa. Wieśniak nietylko jest ciemny, niedoświadczony i otoczony lichwiarskiemi pająkami, ale jego położenie gospodarcze, o ile nie ma kapitału nakładowego i umiejętności przystosowania się do kapitalistycznych warunków gospodarki, musi upadać majątkowo. Jednocześnie znaleść się muszą jednostki, które, obchodząc wszelkie prawo, skorzystają z jego niekorzystnego położenia, aby się zbogacić. Jak wykazał przykład Galicyi, w znacznéj liczbie wypadków byli to chłopscy kapitaliści; w Stanach Zjednoczonych, gdzie kwestya rolna zupełnie inne stanowisko zajmować się zdaje, na zachodzie oprócz lichwy na grunta istnieje pieniężna i towarowa. W stanach bawełnianych całe żniwo idzie pod zastaw, towary sprzedają się na kredyt z przewyżką ceny 50%, wskutek czego 45% wszystkich farmerów popadło w obdłużenie bez ratunku. Wszak tu istnieje prawodawstwo przeciw lichwie, a jednak nie przynosi ono należytéj pomocy.

Głównym elementem między lichwiarzami w Austryi, tak jak prawdopodobnie i w całéj środkowéj Europie, są Żydzi, w Galicyi przeważają oni jeszcze więcéj, niż w którymkolwiek z krajów austryackich. Z całéj ilości skazanych za lichwę w latach 1880—1887 było w Austryi 277 izraelitów, na 164 innych wyznań. W Galicyi cyfry odpowiednie były 168 i 24. Charakterystyczném jest, że z pomiędzy galicyjskich lichwiarzy 129 nie umiało ani czytać, ani pisać, wyższego wykształcenia nie posiadał żaden. Więc nie wyższość umysłowa pozwala lichwiarzom korzystać z galicyjskiéj nędzy, ale majątkowa wyższość i wrodzony spryt. Jak jedno, tak drugie jest najczęściéj udziałem semickiéj rasy i wyradza nienawiść do Żydów, prądy antysemickie, prześladowania i t. p.

Dr. Caro nie uważa przecież kwestyi żydowskiéj ani za kwestyą rasową, ani religijną, ani ekonomiczną, jest ona dla niego kwestyą etyczną i to stanowi uprawnienie antysemityzmu, zakreślając mu jednocześnie granice. Żyd współczesny jest luźną jednostką, nie zwiazaną ze społeczeństwem, wśród którego żyje, węzłem społecznéj, ani religijnéj sympatyi, jest kosmopolitą i ateuszem, o ile należy do klasy inteligentnéj, albo ciemnym fanatykiem, zapatrzonym w talmud i w judaizm. Stąd pochodzi bezwzględność rasy i jéj niemoralność w życiu zarobkowém. Autor powstaje przeciw szowinizmowi judaizmu, który nie pozwala najmniejszego zarzutu podnieść przeciwko Żydom,

nawet jeżeli przekraczają oni paragrafy kodeksu karnego, sympatyzuje zaś z ideą utworzenia niezależnego państwa judejskiego, świtającą dotąd w bardzo nielicznych głowach, któreby z elementu żydowskiego zdjęło przekleństwo wiecznego tułactwa. Brak podstawy religijnéj i narodowościowéj zastąpiłoby wówczas uczucie przynależności do pewnego społeczeństwa; a te zalety moralne, które semici utracili w ciągu długich wieków prześladowań, wędrówek z kraju do kraju, mogłyby być odzyskane. Nie można bowiem nic zarzucić Żydom, którzy są jednocześnie dobremi Niemcami lub Francuzami, choć przeciętnie Żyd téj saméj profesyi, co chrześcianin (np. kupiec), mniéj jest od niego uczciwym.

Autor, którego umysł od kwestyi teoretycznych wogóle chętnie się zwraca do praktycznych rad spółczesnéj polityki, daje na końcu pracy swéj o lichwie bardzo dokładny kwestyonaryusz, przy pomocy którego dane zbieraćby można; w broszurze o kwestyi semickiéj spotykamy cały szereg praktycznych rad, które zapobiegać mają niemoralności wśród Żydów. Obok praw przeciwko lichwie zaleca on obostrzenie prawodawstwa giełdowego, które do obrotów dopuszczałoby tylko kupców, wielkie majątki, któreby się mogły bezkarnie rujnować, a także radby położyć koniec swobodzie i nadużyciom prasy. Chodzi mu nietylko o przekupstwo prasowe, ale zarazem o odpowiedzialność sądową, ile razy rozpuszczane przez prasę wiadomości o grynderstwach i obrotach giełdowych okażą się szkodliwemi, oraz inne reformy.

Autor ostrożny zresztą w sądach swych o kierunkach i ludziach, stanowczo występuje przeciw liberalizmowi, twierdząc, że właśnie konserwatyzm, pragnący powstrzymania rozkładu stosunków społecznych, jest dla niego postępem.

Zaznaczyliśmy w głównych zarysach treść obu prac d-ra Caro, oraz poglądy autora, tak że czytelnicy sami ostateczne zdanie wyrobić sobie o nich mogą, co do nas dodamy jeszcze, że podkład uczucia i nacisk na moralną stronę nietylko nie pozbawiają dzieł charakteru naukowego, ale przeciwnie nadają im powagę i bardzo sympatycznie usposabiają dla autora.

Zaczynamy się więc pozbywać mniemania, że obiektywizm, czyli jak go pojmują suche i zimne przedstawienie teoryi lub faktów koniecznym jest warunkiem naukowego badania, a przeciwnie daleko, idący subiektywizm, poparty wiedzą i chęcią oddziaływania na życie, występuje coraz częściéj nawet w społecznéj literaturze niemieckiéj.

Dr. Z. Daszyńska.

Guillaume de Greff. „Les Lois sociologiques". Bibl. de philosophie de contemporaine. Paris, Alcan, 1893, str. 181

Od czasu, jak Comte umieścił socyologią na szczycie swojéj hierarchii umiejętności, a za zadanie wiedzy wystawił wykrycie p r a w, t. j. stałych stosunków, rządzących daną dziedziną zjawisk, wyszła nie jedna książka, nosząca tytuł socyologii, a najczęściéj zapchana rozmaitemi, niekrytycznie zebranemi wiadomościami z życia dzikich ludów; były i próby poszukiwania jakichkolwiek „praw" socyologicznych, chociażby na tyle, żeby przekonać o ich istnieniu.

Autor „praw socyologicznych", de Greff, ma tę przewagę nad większością swoich poprzedników, że posiada znajomość takich gałęzi społecznéj, jak prawo i ekonomia społeczna, o których istnieniu zdawało się nie podejrzéwali socyologowie naturaliści; powtóre, stara się on badania swoje oprzéć nie na wątpliwéj wartości anegdotkach o ludach dzikich, ale na statystyce tych społeczeństw, dla których wykryć chce prawa. Po za tém jednak nie wyszedł on z ciasnych powijaków pozytywizmu.

Streściwszy w pierwszym rozdziale naukę Comte'a o hierarchii i klasyfikacyi umiejętności, żąda autor, ażeby socyologia, jako korona wiedzy ludzkiéj, wykładana była w ostatnim roku na wszystkich wydziałach uniwersytetu (str. 33). Ale gdzież jest ta socyologia, którą mają wykładać? Wszak dotąd wiele pisano o niéj, ale po nad to jeszcze nic nie zrobiono? Tak zapewne zapyta niejeden czytelnik, a i autor niniejszego dzieła nie miał większych uroszczeń, nad dowiedzenie możności istnienia takowéj w znaczeniu pozytywném, t. j. jako umiejętności praw społecznych. W drugim rozdziale spotykamy znane komunały pozytywizmu, które doprowadzają do określenia f i l o z o f i i p o z y t y w n é j, j a k o o g ó l n é j f i l o z o f i i u m i e j ę t n o ś c i, a s o c y o l o g i i, j a k o f i l o z o f i i o g ó l n é j s z c z e g ó ł o w y c h u m i e j ę t n o ś c i s p o ł e c z n y c h (str. 49). W tém określeniu autor już posunął się nieco daléj od mistrza, uznając istnienie tych umiejętności. Zgodnie z tym postępem znajdujemy w czwartym rozdziale zmodyfikowaną przez autora klasyfikacyą umiejętności Comte'a: zamiast jednéj socyologii stoi tu cała gromadka nauk [1]). Ogół wiedzy

---

[1]) Uzasadnienie téj gromady autor dał w poprzedniém dziele: „Introduction à la sociologie" (cz. I, 1886; cz. II, 1889). Charakterystyczném i tu jest wzięty za punkt wyjścia podział na ludność i ziemię, zapożyczony od nauki prawa państwowego. Świadczy to, że socyologowie-pozytywiści coraz więcéj nawracają się do tak niedawno pogardzanych umiejętności prawnych. Że wygrają na tém, nie ulega wątpliwości; ale co się wtedy stanie z socyologią? Obawiam się, że przestanie

przedstawia się tak: 1) matematyka, 2) astronomia, 3) fizyka, 4) chemia, 5) fizyologia, 6) psychologia i logika, 7) ekonomia, 8) genetyka, 9) estetyka, 10) nauka wierzeń: *a*) religijnych, *b*) metafizycznych, *c*) pozytywnych, 11) etyka, 12) prawo, 13) polityka (str. 82).

Trzeci rozdział o metodach jest przeważnie streszczeniem odpowiednich ustępów z logiki Mille'a i Baine'a, które autor tak reasumuje:

„Umiejętności społeczne zapożyczają metodę swoją w różnéj proporcyi od rozmaitych nauk: od matematyki, mechaniki i astronomii spostrzeżenie [1]) bezpośrednie lub pośrednie, z jego zastosowaniami dedukcyjnemi; od fizyki i chemii metodę doświadczalną, od biologii metodę porównawczą, od psychologii wszystkie jéj prawowite czynności logiczne; wreszcie socyologia uzupełnia siebie sama i doskonali inne umiejętności metodą historyczną" (str. 70).

„Spostrzeżenie i doświadczenie" użyte są przez autora w znaczeniu zbliżoném do tego, jakie spotykamy w rozprawie p. Daszyńskiéj; stosują się więc tu wypowiedziane z powodu téj pracy uwagi (por. „Ateneum", lipiec, 1893 r.).

Po tym długim wstępie przechodzimy nareszcie do samych „praw" socyologicznych. Autor dąje nam kilka przykładów. Oto jest jeden z nich: przytoczywszy z mechaniki współczynniki tarcia na rozmaitych drogach, zaczynając od nie brukowanéj, a kończąc na kolei, autor na podstawie tych liczb formułuje takie prawo: „Postęp w cyrkulacyi odbywa się drogą zmniejszenia stosunku całéj wagi do wagi martwéj, t. j. wysiłku ciągnięcia" (str. 102). Innemi słowy, postępem nazywa się zmniejszenie tarcia. Cały nibyto naukowy aparat rozumowania był tu zupełnie zbyteczny: w rzeczywistości nie ma tu żadnego prawa; druga połowa zdania rozwija tylko to, co zawarte było w pierwszéj, — bo cóż nazwiemy postępem (technicznym) komunikacyi, jeśli nie zmniejszenie tarcia? Ale prócz tego, że formuła nie zawiera żadnego prawa, jak nie zawiera go twierdzenie, że słońce co dnia wschodzi i zachodzi, jest ona zbyt jednostronna, obejmując tylko techniczne warunki; pominięte zaś są inne społeczne: np. stałość ruchu transportowego—pewne godziny odejścia i przyjścia (poczty, koleje); uregulowanie cen przewozowych przez naznaczenie taryf i t. d.

---

istnieć, jak nie istnieje już nazwa jéj w klasyfikacyi de Greffa, i że do niéj to da się zastosować, co autor mówi o prawie i polityce: zniknie „jak fantasmagorye zamków, strzeżonych przez potwory" (str. 2).

[1]) Autor, jak i większość pozywistów, upiera się przy doświadczalném pochodzeniu matematyki.

To samo stosuje się i do drugiego prawa ekonomicznego, dotyczącego postępu w wytworzeniu monety.

Daléj roztrząsa autor na podstawie badań statystycznych Queteleta zależność pomiędzy urodzeniami nieprawemi a płacą robotniczą. Tu otrzymany wynik — zwiększenie tych urodzeń w miarę zmniejszenia zarobku — poucza nas o czémś, a przynajmniéj stwierdza fakt, który wprawdzie można było wysnuć apryorycznie, ale bez takiéj pewności, jaką mu nadaje statystyka. Daléj idzie związek ilości pomiędzy urodzeniami dzieci nieżywych a nieprawemi, samobójstwo i dzieciobójstwo, a przy téj sposobności poznajemy trzeci rys, wyróżniający dodatnio naszego autora od większości socyologów-pozytywistów — ludzkość w ocenie zjawisk i sympatyczny, pełen wiary w przyszłość pogląd na te zagadnienia, w których inni zasłaniają się „twardą koniecznością prawa“ od wrażliwości na cierpienia ludzkie. Nie koniecznie może konsekwentnie ze swoim poglądem na niezmienność praw socyologicznych (str. 153) i małe znaczenie woli (str. 125) w rzeczach społecznych stara się autor te prawa wyzyskać dla postępowych i humanitarnych dążności. Przytaczamy tu wniosek jego o dzieciobójstwie. Stwierdziwszy, że we Francyi i Belgii sądy w 99 wypadkach dzieciobójstwa na 100 uznają okoliczności łagodzące, dodaje on:

„W rzeczywistości karę należałoby stosować tylko wtedy, gdyby się okazało, że pobudką do dzieciobójstwa była przyczyna, któréj oskarżona mogła się oprzéć, lub gdy zostało popełnione bez przyczyny. We wszystkich innych wypadkach nieodpowiedzialność jednostki wobec społeczeństwa jest oczywista, gdyż przeciwnie ośrodek społeczny zmusza matkę do postępowania wbrew prawom przyrodzonym: ona nie jest winowajczynią, lecz ofiarą. Ponieważ prawo socyologiczne wykazuje, że przy stałych warunkach taż sama ilość osób téj saméj płci dostarcza dzieciobójców, więc nie osobę powinna dotykać kara dodatkowa, ale ogół powinien zadać sobie pracę zmienienia bądź cobądź warunków społecznych, z których dzieciobójstwo wypływa z taką samą koniecznością, jak śmierć z użycia pewnych trucizn“ (str. 125).

Nikt zapewne nie zaprzeczy wartości podobnych faktów ogólnych, jak wytknięte przez autora, dla prawodawstwa i polityki praktycznéj. Ale pomijając to bezpośrednie znaczenie, czy możemy je uważać za jakieś prawa naukowe? Gdy mówimy np. słońce wschodzi co dnia; rośliny są zielone, przedmioty nie podparte padają — wygłaszany szereg prawd, posiadających niewątpliwie ogólniejsze znacze-

nie, niż te prawa, które przytacza de Greef; ale czyżby ktokolwiek zechciał nazwać te uogólnienia prawami przyrodniczemi?

Są to tylko spostrzeżenia, bardzo powszechne wprawdzie, z których jednak wiedza nie mogłaby zrobić żadnego użytku, nie mówiąc o tém, że nowe spostrzeżenia mogłyby znieść ich powszechność. Obok ciał spadających np. mogą się znaleść takie, które wznoszą się do góry (balony); wśród roślin zielonych — pozbawione zieleni (grzyby). Dopiéro podając zamiast tych nieokreślonych formuł takie, jak zasada ciążenia powszechnego lub twierdzenie: tylko zielone rośliny mogą samodzielnie wytwarzać materyą organiczną — przychodzimy do praw ścisłych, mających wielką wartość naukową, gdyż służą za przesłankę większą dla szeregu niezliczonych dedukcyi.

Wszyscy też „pozytywni“ twórcy praw psychologicznych i socyologicznych, czując niepewność wyników swoich, odwołują się do sakramentalnéj formułki: „przy wszystkich warunkach równych“ [1]). Ale właśnie użycie téj formułki pozbawia wrzekomo prawa wszelkiéj wartości, bo praktycznie wszystkie warunki nigdy nie bywają równe: nie ma dwóch identycznych stanów wszechświata.

Żadna z umiejętności przyrodniczych nie potrzebuje się odwoływać do takiéj klauzuli. Siarka, łącząc się z żelazem, wydziela zawsze jednakową ilość ciepła, czy połączenie odbywa się prędko, czy powoli, podczas syzygii lub kwadratur księżyca, w zimie lub w lecie; w socyologii nie można wykluczać żadnego z tych czynników, pozornie nawet tak odległego, jak zjawiska, zachodzące w innych światach. Prawo słuszne w lecie może okazać się błędném w zimie. Wiadomo, że nów przeszkodził lacedemończykom wziąć udział w bitwie pod Maratonem, co nie mogło pozostać bez wpływu na przyszłą hegemonią Aten i cały kierunek cywilizacyi greckiéj; zaćmienie słońca, przepowiedziane przez Thalesa, stało się przyczyną pokoju między Lidyjczykami a Medami. Wreszcie ukazanie się komety, rozpalenie się nowéj gwiazdy, odległéj o biliony bilionów mil od naszego układu planetarnego, może rozstrzygać o wypadkach społecznych i dziejowych.

Ale prócz tego ów dodatek świadczy i o tém, że „prawo“ socyologiczne nie jest wysnute tą drogą, którą socyologia pozytywna uznaje za jedynie prawowitą: t. j. doświadczenia i indukcyi. Jeśli poczuwamy się do potrzeby dodania do twierdzenia owego „*caeteris paribus*,“ zdradza to czysto apryoryczne jego pochodzenie. W istocie jest

---

[1]) Alb. Lange w swojéj „Historyi materyalizmu“ wykazuje nadużycie téj formuły przez Spencera i jéj niewłaściwość w psychologii (T. II, str. 376), nie zagłębia się jednak bardziéj w znaczenie logiczne i psychologiczne tego dodatku.

ono wtedy tylko korolarium z prawem tożsamości i jako takie jest niezawodnie słuszne, ale pozbawione wszelkiéj wartości praktycznéj i naukowéj: jeśli $A = A$, to dodając do pierwszego z nich jakieś małe a, musimy dla zachowania równości dodać i do drugiego. Ażeby wywnioskować, że okręt prędszy przy równych warunkach dojdzie prędzéj do celu, nie potrzeba ani doświadczenia, ani indukcyi, ale nie możemy miéć żadnéj pewności, że z dwóch statków, odchodzących dziś z Liverpoolea, prędszy pierwéj przyjdzie do Ameryki.

Nie wezmą więc nam za złe socyologowie pozytywiści, że jeszcze pozostawiamy w zawieszeniu zagadnienie: czy istnieją prawa socyologiczne?

Wł. M. Kozłowski.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Jadwiga z Wittów Korzeniowska.* **Nad siły.** Powieść. Kraków, Spółka wydawnicza, 1893, str. 195. — Autorka „Darów śmierci“, o których „Ateneum“ pisało w swoim czasie (1890, IV, 779), występując z nową powieścią po czterech latach, bardzo mały okazała postęp w rozwoju swoich uzdolnień, a braki jéj talentu, jakie wtedy zauważyć było można, i obecnie spostrzegać się dają. Tak samo, jak poprzednio, psychologiczny rozbiór charakterów, plastyczne ich odtworzenie, znajomość ludzi i świata, kompozycya wreszcie wiele pozostawiają do życzenia. P. K. opowiada wprawdzie swobodnie i gładko, rozporządza językiem nie bogatym poetycznie, lecz poprawnym i czystym, ma nawet pomysły, które gdyby lepiéj były zużytkowane, mogłyby się stać wielce nawet zajmującemi; ale zalet tych nie umié należycie uwydatnić, nie umié skupić, zogniskować wrażeń, jakie chce wywołać w czytelniku, nie umié pogłębić spostrzeżeń swoich nad myślami i uczuciami osób, a przez zestawienie drobiazgów niejednolitych, niezharmonizowanych nader często psuje dobrze w zasadzie pomyślane sceny, zaciera rysy znamienne, plącze i gmatwa rozwój charakterów. Poszczególne chwile przez nią odmalowane mają nieraz dużo prawdy, a niekiedy i wdzięku, ale nie łączą się one w porządną, konsekwentną całość. Autorka albo nie zna dokładnie różnicy pomiędzy powieścią obyczajową albo psychologiczną, albo też nie zdecydowała się jeszcze, w któréj z nich ma sił swoich próbować; i dlatego tworzy rzeczy połowiczne, nie mogące zadowolnić ani tych, co w po-

wieści szukają odtworzenia obyczajów spółczesnych, ani tych, których zajmuje przedewszystkiém dusza ludzka. Główną postacią w utworze najnowszym p. K. jest dziewczę energiczne, ambitne, wychowane w szkole nieszczęścia i wcześnie zmuszone myśléć nietylko o sobie, ale i o rodzeństwie, a nawet rodzicach. Ojciec — to lekkomyślny, marnotrawny, zbankrutowany szlachcic na bruku warszawskim, utrzymujący niby rodziny pisywaniem „końskich“ artykułów, a właściwie wyzyskujący znajomości swe ze świetniejszych czasów. Matka — to kobiéta niepraktyczna, przyzwyczajona do zbytków, lubiąca się stroić i próżnować. Ludka — bohatérka powieści — dostaje się pod opiekę bezdzietnego małżeństwa, w którém mąż rozumny, energiczny i oszczędny, żona chorowita, bez woli i zdania. Z początku uważa Ludka swego opiekuna Butowta za ideał doskonałości, późniéj odkrywa i w nim słabe strony, bo Butowt, mając w domu ciągle chorą żonę, a stąd kwękanie i niepokój, szuka rozrywki po za domem i znajduje ją u pani Róży Moderskiéj. Rozgorycza to Ludkę, ale tém bardziéj wzmacnia w niéj chęć do życia samodzielnego. Znajomość z córką farbiarza, Izą Dorner, która się entuzyastycznie nauce poświęca, utwierdza ją w tém postanowieniu. Nie podziela ona wprawdzie emancypacyjnych dążności Dornerówny, pojmuje rolę kobiéty w społeczeństwie, jako „drugiéj” w porządku hierarchicznym, ale lubi Izę, w jéj śmiałości, odwadze, wesołości czerpie dla siebie otuchę. Zostaje nauczycielką, potém przełożoną pensyi, roztacza opiekę i nad swoją rodziną, w któréj tymczasem zaszły przykre wypadki, i nad owdowiałą Butowtową; szanowaną jest i wielbioną powszechnie. Zdaje się jéj, że bez swoich dziewczątek wyżyćby nie mogła; w gruncie rzeczy jednak tak nie jest; ona potrzebuje kogoś, coby jéj rozkazywał, coby jéj imponował i znajduje takiego mężczyznę w osobie Jerzego Moderskiego (pasierba pani Róży), młodego historyka. Zrazu nawyknienia do samoistnéj działalności psują cokolwiek harmonię małżeństwa, lecz wkrótce Ludka uznaje całkowitą wyższość Jerzego i poddaje się jéj z ochotą. Z pewną złośliwością zaznacza autorka, że i Iza Dorner, pomimo swego dyplomu, szukała męskiéj opieki w osobie byłego cyrkowca, połamanego trochę, ale przystojnego Adasia, brata Ludki. Wszystkie te osoby, wypadki, uczucia, myśli tłoczą się w powieści chaotycznie i w końcu nie sprawiają miłego wrażenia.

= *Adolf Dygasiński.* **Wint.** Wyjątek z pamiętników winciarza (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 45). — Tego najnowszego utworu p. Dygasińskiego nie można zaliczyć do jego najcelniejszych. Może

dla znawców i amatorów winta zawarte tu spostrzeżenia, kombinacye i różne w grze powikłania będą zajmujące, ale tego rodzaju przymioty przemawiają tylko do pewnéj tylko grupy czytelników i nie mają czysto artystycznego znaczenia, które z charakterystyki osób i układu wynika. Otóż pod tym względem częściowe tylko można wyrazić uznanie. Z piątki zbiérającéj się na winta trzy tylko właściwie osoby są przez opowiadania dobitnie naszkicowane, t. j. Marcin-fuszer, idyota, farmaceuta, codzień przez lat 8 popełniający te same omyłki; strofowany i buzowany przez partnerów, w końcu rozstający się z towarzystwem, by w nowém odgrywać rolę dobrego gracza, wymyślającego innym, jak jemu wymyślano. Drugą postacią słabiéj już nakreśloną jest małomówny Teofil, będący niekiedy w tarapatach pieniężnych, nie znajdujący szczęścia w domu, w końcu odbiérający sobie życie. Zamało poznaliśmy go w ciągu opowiadania, zamało wiemy o jego nieszczęściach, ażeby śmierć jego mogła wywrzéć na nas silniejsze wrażenie. Trzecia figura: Jędrzéj, chciwy na zysk, zapuszczający żórawia w karty spółtowarzyszów, szachrujący trochę w obliczaniu wygranéj, niedopuszczający innym żadnych poprawek, kończy oszustwem i ucieczką. Sam opowiadacz dosyć dobrze się zarysowuje: jest-to przedewszystkiém spostrzegacz, bardzo wyrozumiały na słabości ludzkie, patrzący na rzeczy i osoby z łagodnym, ironicznym uśmiechem, zaniedbujący trochę rodzinę dla swych towarzyszów wintowych, ale gotów się wyrzec téj przyjemności, gdy tego żąda żona czy córka, ceniący niby grę, ale łatwo zgadzający się z tymi, co ją za marnotrawienie czasu poczytują. Piąta postać, mądry Rafał zbyt mało czynnie się okazuje, tak że jego mądrość czytelnik musi przyjąć na wiarę opowiadacza, który dla uogólnienia pewnego przy końcu potrzebował mu przyznać ten epitet. Zdaniem bowiem jego, całe życie nasze to „wielka mieszana partya winta,“ w któréj się spotyka ciągle z tą czwórką: głupi, nieszczęśliwy, oszust i mądry. Przejrzawszy pokolei wszystkie te cztery typy dochodzi do przeświadczenia, że na świecie bardzo ciężko jest złożyć partye porządnego winta: „Jedni ci dają niewłaściwe odzywki, drudzy zapuszczają w twe karty żórawia, inni cię nie rozumieją, popełniają omyłki, albo ty ich nie rozumiész; tamten nie umié licytować, ten gra podstępnie i t. d. Zbrzydnie ci nieraz wint taki, a grać musisz, dopóki żyjesz (str. 44). Szkoda, że w tym wincie życiowym nie uwydatnił opowiadacz roli „mądrego“ — zbyt ogólnikowo wszystko przedstawiając.

= *Bronisław Szaniawski.* **Dzisiejsze małżeństwa**. Szkice obyczajowo-społeczne (Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 117). Autor,

pierwszy raz, zdaje się, występujący na niwie powieściopisarskiéj, spożytkować widocznie pragnął szereg luźnych oberwacyi, jakie porobił w dziedzinie stosunków małżeńskich. Zrobił to w sposób schematyczny, oprawiając obrazki różnych kategoryi w ramki bardzo starego pomysłu i kształtu. Babcia stara się namówić Tadzia, by się ożenił. Ma on już ukochaną Anielcię, ale się nie może odważyć na krok stanowczy. Postanawia przypatrzyć się bliżéj różnym stadłom; kiedy dobre wrażenia usposabiają go do zawarcia związków małżeńskich, zjawia się szyderca Prosper i stara się rozwiać jego złudzenia, Tadzio poznaje pokolei: małżeństwa dobrane, małżeństwa niedobrane, małżeństwa dyplomowane (doktór z doktorką), małżeństwa cór Syonu, niby-małżeństwa (awantury w oddzielnych gabinetach), dzisiejsze stare panny. W końcu widocznie dodatnie wrażenia osiągają w nim przewagę nad ujemnemi, żeni się z Anielcią, jest szczęśliwy, a co więcéj swojém szczęściem budzi żal w szyderczym Prosperze, iż i on w swoim czasie nie pochwycił chwili pomyślnéj. W spostrzeżeniach autora tu i owdzie znajdzie się jakiś rys trafny, jakiś obrazek udatny; ponieważ jednak nigdzie nie znajdujemy szerszego rozwinięcia pomysłów, na niczém też trwaléj uwaga czytelnika zatrzymać się nie może. Ton, którym się posługuje, jest swobodny, lekki, przeważnie żartobliwy, rzadko kiedy naprawdę uczuciowy; jedna scena dramatyczna, utopienie się wykształconéj żydówki, którą ojciec chce wydać za chałaciarza, bardzo słabo, najsłabiéj może ze wszystkich wypadła. Oczywiście, na podstawie tych drobnych próbek, jakie dał w „Dzisiejszych małżeństwach“ p. Szaniawski, trudno orzec coś pewnego o jego talencie powieściopisarskim. Są to rzeczy dość poprawnie wykonane, czasami nawet udatne, ale w których ani głębszego pomysłu, ani szczególnego uzdolnienia frazeologicznego jeszcze nie dostrzegamy. Forma téż obrana przezeń trąci myszką, co w literaturze za zaletę poczytaném być nie może. Przed laty możeby takie szkice miały pewną wartość, dzisiaj muszą być uważane za rzecz artystycznie jako całość słabą.

= Dr. med. *Th. G. Kornig*. **Hygiena skromności.** Podług drugiego wydania niemieckiego opracował dr. Aleksander Fabian. Warszawa, T. Paprocki, 1894, str. 94. Przedmiot, który w broszurze téj rozwinął dr. Kornig, był niejednokrotnie tematem pogadanek męskich, a zapewne i kobiécych, ale w druku, o ile wiadomo, rozprawiać o nim zaczęto dopiéro w czasach najnowszych. Pobudką ku temu, stał się dramat głośnego, norweskiego autora Björnsona p. t. „Rękawiczka“ zwłaszcza od czasu, gdy go wystawiono w Berlinie, na wi-

downi teatru Lessinga w r. 1889. W sprawozdaniach teatralnych i wywołanych przez nie polemikach starły się wówczas przeciwne sobie opinie; jedni wyśmiéwali tendencyę dramatu, drudzy stawali po jego stronie. Dramat jako dzieło sztuki nie ma wielkiéj wartości, ale myśl jego przewodnia była w publiczném jéj traktowaniu całkiem świéża. Bohatérka wymagała tu od narzeczonego takiego samego dziewictwa, jakie stanowiło jéj chlubę. To jéj wymaganie stało się osią wszystkich rozpraw w prasie i broszurach. Dr. Kornig zebrał sporą liczbę głosów, co ze stanowiska hygieny społecznéj pod względem fizycznym i moralnym podzieliły całkowicie i bezwzględnie żądanie panny Svavy i domagały się reformy obyczajów męskich w tym kierunku. Dr. Kornig należy do najgorliwszych propagatorów téj myśli. Wykazawszy dobitnie złe następstwa rozpusty, dowodzi wymownie, że wstrzemięźliwość nie jest bynajmniéj dla zdrowia szkodliwą i zbija dość rozpowszechnione mniemanie, które mężczyzn w téj mierze stanowczo od kobiét wyróżnia; w końcu przedstawia środki zmierzające do wdrożenia w życiu praktyczném zasad hygieny wstrzemięźliwości dla dobra jednostek dzisiaj i dobra pokoleń przyszłych. Książeczka pisana jest tak żywo, z takiém przejęciem głębokiém prawdą głoszonych tu nauk, że oddziałać może zbawiennie na młodzież dorastającą, która tak piękne nieraz, tak szlachetne, tak pełne zaparcia się okazuje dążenia, a która i w téj dziedzinie podniesienia zdrowia i siły może najskuteczniéj działać sama i apostołować wśród innych. Cel taki jest godzien wysiłku i przezwyciężenia pierwszych trudności, do których najprzód zaliczyć należy wypływające z lekkomyślnego poglądu ośmieszanie haseł tego rodzaju. Niejeden młodzieniec, praktykujący wstrzemięźliwość nie śmie się z tém głośno odezwać wobec kolegów — trzeba nabrać odwagi.

= W porę właściwą ogłosił p. *K. Bujwid* broszurkę (Warszawa, nakł. E. Kolińskiego, str. 16), obejmującą **Najpotrzebniejsze wiadomości o cholerze.** Najprostsze sposoby ustrzeżenia się jéj, oraz wskazówki ratowania i pielęgnowania chorych.

Komitet zarządzający Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia D-ra J. Mianowskiego podaje do wiadomości: że w dniu 14 września r. b., w dziewiątą rocznicę śmierci Jakóba Natansona, który testamentem przez rząd zatwierdzonym, przekazał komitetowi Kasy, fundusz wieczysty, w tym celu, aby z procentów od takowego, udzielane były co lat cztery, dwie nagrody, za dwie, największéj wartości prace naukowe, w ciągu ostatnich lat czterech, przez miesz-

kańców Królestwa Polskiego, w królestwie urodzonych, dokonane i w języku polskim drukiem ogłoszone: jedną za najlepszą pracę w zakresie nauk ścisłych a drugą za takąż pracę w zakresie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych i historycznych —

przyznał pierwszą z tych nagród Panu Władysławowi Natansonowi, za dzieło p. n. „Wstęp do fizyki teoretycznéj,“ Warszawa, 1890, i pracę: „O potencyałach termodynamicznych,“ Kraków, 1892.

drugą zaś Panu Ludwikowi Krzywickiemu za pracę p. n. „Kurpie“ („Biblioteka Warszawska,“ r. 1892).

Zarazem Komitet zawiadamia, że następne nagrody przyznane zostaną w r. 1897 za prace ogłoszone drukiem w latach: 1893, 1894, 1895 i 1896.

Prezes Komitetu: *A. Okolski.*

Członek Komitetu, sekretarz: *Konrad Dobrski.*

NEKROLOGIA.

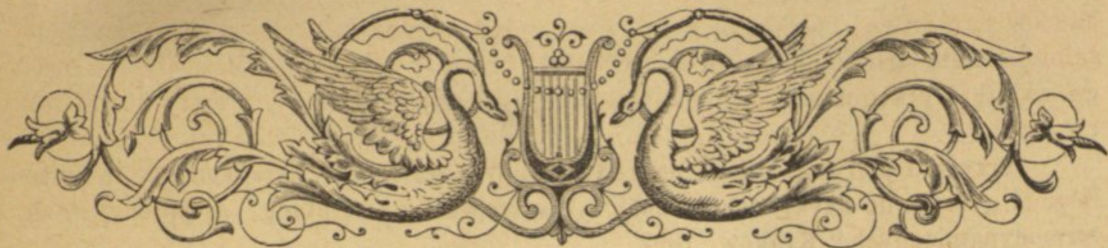
† **Antonina z Boguckich Piasecka,** pisująca nowelle pod pseudonymem *Poczwarki*, studya zaś literackie i artykuły w sprawie emancypacyi kobiét pod pseudonymem *Kaliny*, zmarła 14 września r. b., w wieku lat 36. Wystąpiła w literaturze przed laty dziesięciu w „Kuryerze Warszawskim.“ Następnie, prócz tego pisma, zasilała „Kuryer Codzienny,“ „Tygodnik ilustrowany,“ „Tygodnik mód,“ „Bibliotekę romansów i powieści,“ „Ziarno.“ Przez ostatnie lat kilka pełniła obowiązki sekretarza w redakcyi „Echa muzycznego i teatralnego.“

SPROSTOWANIE.

W zeszycie wrześniowym „Ateneum,“ na str. 473, wierszu 8 od dołu, zamiast „pozwolił sobie nieostrożnie wystąpić *w obecności* króla Filipa II-o z mową“ — powinno być: „pozwolił sobie nieostrożnie przemówić do króla Filipa II-o w liście, w którym...“

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Сентября 1893 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowsk.*



JULIUSZ SŁOWACKI

W RZYMIE, NEAPOLU I SORRENTO

(od 22 lutego do 24 sierpnia 1836 r) [1].

I.

W Rzymie, dokąd przybył dnia 22-go lutego, powiadomieni listownie o jego wyjeździe z Genewy, oczekiwali nań Teofilowie Januszewscy, przebywający tu od paru już miesięcy. U nich też, jako u swoich krewnych najbliższych, zamieszkał Słowacki na czas pobytu swojego w „wieczném mieście“; z czego wynikało, że z nimi, w ich towarzystwie, dopóki zabawią razem nad Tybrem, spędzać będzie całe dni i wieczory, zwiedzając — zawsze wspólnie — osobliwości i pamiątki starożytnéj, feodalnéj i renesansowéj Romy, robiąc wycieczki w okolice, używając przechadzek po Corso, podziwiając arcydzieła malarstwa, architektury i rzeźby z epoki odrodzenia, począwszy od nieśmiertelnego Bramantego, Rafaela i Michała Anioła, a skończywszy na pięknych obrazach Guido Reni'ego i Sassoferata, słuchając oper Rossini'ego w teatrze *del Popolo* i wreszcie... nudząc się czasami po parę godzin na dobę.

---

[1]) Są to pojedyńcze rozdziały z obszernéj — na dwa tomy obliczonéj — pracy o życiu i działalności literackiéj Juliusza Słowackiego, pracy, któréj część jedną (księgę czwartą) p. t. „Okres rycersko-romantyczny w życiu Juliusza Słowackiego“ (1840 — 1842) ogłosiłem niedawno w „Ateneum“, w zeszytach lutowym, kwietniowym i majowym z roku bieżącego.

Z początku szło wszystko jaknajlepiéj. Uszczęśliwieni, że się spotkali ostatecznie, po tylu staraniach i zabiegach, mieli sobie, rzecz prosta, ogromnie dużo do powiedzenia. Nic dziwnego: oni mu opowiadali o matce, o życiu, jakie od chwili jego wyjazdu zagranicę, prowadziła początkowo w Wilnie, a następnie w rodzinnym Krzemieńcu; o jéj interesach, znajomościach, rozrywkach i kłopotach, co naturalnie interesowało go nadzwyczajnie; o tém, jak musieli jechać do Kijowa, o zamiarach, jakie mieli na przyszłość, po powrocie do kraju; o ostatnich chwilach babki; o awanturniczych przygodach na Wschodzie Ludki Śniadeckiéj, co oczywiście rozproszyło doszczętnie (na razie przynajmniéj) wszelkie o niéj poetyczno-romantyczne iluzye Słowackiego; o jego dawnych kolegach uniwersyteckich, rzuconych wyrokami losu, jak dr. Antoni Beaupré np. na dalekie krańce Azyi; on zaś, otwarcie i szczerze—nie miał bowiem najmniejszego powodu być względem nich nieszczerym — opowiadał im o różnych swoich sprawach, przez jakie przechodził od chwili, kiedy się z nimi widział po raz ostatni w Wilnie, a więc: o swoim pobycie w Warszawie, Dreznie, Londynie, Paryżu, a wreszcie Genewie i Veytoux; o swoich zatargach z Mickiewiczem i jego satelitami; o swoich przyjaciołach paryskich; o swoich gospodyniach genewskich, o pannie Wodzińskiéj, o Elizie Morin, o Corze Pinard, o całym legionie znajomości pozawieranych w ciągu tych lat kilku, w Polsce, Francyi, Anglii, Saksonii i Szwajcaryi; o Michale Skibickim, na którym zawiódł się tak bardzo, że odtąd ostrożniejszym był w zawieraniu przyjaźni; o swoich stosunkach z księgarzami; o dochodach, jakie mu przynosiły jego poezye; o tém, że najchętniejby się... ożenił, że mu się już uprzykrzyła ta nieustanna samotność, etc.

Gawędy te i zwierzenia tém większy dla obu stron posiadały urok, że za tło służyły im: lazurowe niebo włoskie, słońce południowe, Rzym i Kampania, ze wszystkiemi swojemi Tivoli, Monte Cavo, Fiumicino, Monte Casino, Albano i Frascatti, ze swojemi uroczemi willami, jak Villa Borghese, Villa Mills, czyli t. zw. willa róż, villa Doria-Pamfili (nieopodal grobu Tassa), ze swojemi dawnemi wodociągami,

> Co idą, jako tłum Samarytanek,
> Niosąc na głowie dzbany, korowody
> Dzbanów! lecz wszystkie na głowach... bez wody,

ze swojemi ruinami dawnych pałaców, świątyń i grobowców rzymskich, ze swojemi łukami tryumfalnemi, i z tym Rzymem wreszcie, uwieńczonym złoconą kopułą kościoła Świętego Piotra, a majaczeją-

cym we mgle oddalenia. Pogoda była śliczna, ciepło, jak w maju, w powietrzu woni co niemiara, tak, iż nie wychodzić z domu i nie oglądać, co jest do widzenia w Rzymie (a nigdzie na świecie nie ma tyle, co tu, do widzenia), byłoby grzechem nie do darowania. Jakoż nie tracono czasu, od rana do wieczora chodząc po galeryach, muzeach, kościołach, co parę dni robiąc wycieczki za miasto, w okolice.

Tymczasem nadszedł koniec karnawału, który lud rzymski zwykł, jak wiadomo, żegnać rozgłośnemi na cały świat uroczystościami i zabawami, uroczystościami, których pożądane hasło obwieszcza w sobotę, przed mięsopustną niedzielą, o godzinie drugiéj z południa, huk dzwonów i wystrzał z działa na zamku Anioła. Słowacki, zarówno jak i Teofilowie mieli w festynie tym brać udział po raz pierwszy w życiu... i ostatni! Nie dziw więc, jeżeli zainteresowanie się ich tém wzrastało w miarę, jak na Corso, najszerszéj ulicy w Rzymie, przerzynającéj wzdłuż całe miasto, poczęto wznosić trybuny; jak na parę godzin przed rozpoczęciem zabawy, ujrzeli we wszystkich oknach i na balkonach, przybranych kobiercami, girlandami kwiatów i adamaszkowemi, galonami drapowanemi oponami, tysiące osób płci obojéj, w maskach i bez masek, w kostyumach fantastycznych lub w zwykłych strojach; i jak ściągające tu ze wszystkich dzielnic tłumy arlekinów, pajaców i poliszynelów, z poprzyprawianemi nosami i garbami, wszyscy, bez wyjątku prawie, z przyłbicami drucianemi na twarzy i procami płóciennemi, pełnemi pocisków tynkowych w ręku, poczęły bawić się, popychać, obrzucać kwiatami, śmiać do rozpuku, krzyczéć i nawoływać, wytwarzając tym sposobem prawdziwie „dyablo dziecinną bufonadę“, ogłuszającą swym wrzaskiem, a upajającą swojém weselem, swoim humorem, iście pogańskim, i swoją werwą, nie mającą sobie równéj. Słowacki, wmięszany w ten pstry, rozbawiony tłum, oszołomiony tym rozgardyaszem, patrząc na ten „dészcz fiołków, grad cukierków“, spadający z okien na ulicę, na te białe *confetti*, migające w powietrzu, myślał sobie—niezawodnie — o owych weneckich zapustach, tak krótko, a z taką plastyką opisanych przez Malczewskiego w Maryi.

Maska twarz kryje, a kto się pyta
O sprawy czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty!...

Nie mógł mu się także nie przypomniéć jego Kulig, tudzież ów „Bal maskowy“ z Jana Bieleckiego. Cokolwiekbądź, nic równie romantycznego nie widział jeszcze w życiu.

Po karnawale, zakończonym wspaniałém *Moccoletti* [1]) nadszedł post, a z jego nastaniem uciszyło się na ulicach Rzymu i spokój ten, względny naturalnie, zważywszy temperament mieszkańców wiecznego miasta, trwał aż do dnia 27 marca, t. j. aż do niedzieli palmowéj, po któréj zaczęły się znowu uroczystości Wielkiego tygodnia, niemniejszą cieszące się sławą, aniżeli karnawał rzymski. Jakie wrażenie uroczystości te zrobiły na Słowackim? Czy podobało mu się słynne *Miserere* Allegri'ego, odśpiewane w Wielką środę wieczorem przez śpiewaków papieskich w kaplicy Sykstyńskiéj, pod tym stropem, pokrytym nieśmiertelnemi freskami Buonarotti'ego? Czy, stojąc w pierwsze święto na owym dziedzińcu, „gdzie dwie srebrnych fontann bucha, przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem“ [2]), czuł się skruszony w chwili, kiedy ujrzał Ojca Świętego na balkonie, przy dźwiękach bębnów, trąb i huku dział armatnich, błogosławiącego *urbi et orbi* i temu tłumowi, zalegającemu cały dziedziniec? Na te pytania nie może być zdaje się dwóch odpowiedzi...

W każdym razie, jakiegokolwiek doznał uczucia podczas téj *Missa solennis* w kaplicy Sykstyńskiéj, sam Watykan, ze swojemi ścianami i sufitami, pokrytemi nieśmiertelnemi freskami Michała Anioła i Rafaela, wprawił go w zachwyt, o jakim najlepsze wyobrażenie dają nam następujące oktawy Beniowskiego, opiewające rafaelowskie *loggi*'e:

I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzéć nie może,
Lecz, o Jehowie będąc, **jest** Jehową,
Iskierką Jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą i widzialną!

I kiedym w górę spojrzał, to przestrachem
Zdjęty myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem
I że kolumny są... bez żadnych szczytów!
I chciałem myśli tytańskiéj zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,

---

[1]) „Są to długie, cienkie, woskowe świeczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krużgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija: gwieździe, krzyżu lub kole. Cała ulica zda się gore jednym płomieniem.“ Zob. opis karnawału rzymskiego W listach z podróży A. E. Odyńca, t. III, str. 217—231 (Warszawa, 1876).

[2]) Zob. Beniowski, część druga, Pisma pośmiertne, t. II, str. 51 (wyd. drugie z r. 1885).

Gdzie, powtórzone, wisi boskie dzieło
I trwa... A nasze co chwila zginęło!

Ten to „cudownie malowany gips“ (freski Rafaela i Michała Anioła) miał w przekonaniu Słowackiego na myśli Św. Jan, kiedy, mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie, mówił, że będą zwinięte,

Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powié: w gruzy syp się!
A grobom powié: Stójcie odemknięte!
A tym sufitom: skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!“ [1]).

Zwiedzając kościoły i „te pałace włoskie, kędy przy obrazach Rafaela i gzymsach złoconych powój gruzów się rozplata“, powziął Słowacki dla mistrza z Urbino kult szczególny. Zachwycał się boską pogodą i harmonią jego kompozycyi, takiéj Szkoły ateńskiéj np. albo Dysputy; długo stał nieraz, zamyślony, przed jego Madonnami, podziwiając ową niebiańską łagodność i słodycz w wyrazie ich rzeczywiście boskich twarzy; czuł bowiem, że i w nim tkwi także coś z Rafaela, że istnieje pewne pomiędzy nimi dwoma pokrewieństwo, powinowactwo duchowe (do czego jednak nie wypadało przyznawać się głośno, nie chcąc być posądzonym o wielką zarozumiałość) i że potomność może, mniéj uprzedzona, aniżeli współcześni, nazwie go z czasem Rafaelem polskiéj poezyi... Tymczasem wielbił geniusz nieśmiertelnego kochanka Fornariny (do któréj portretu, przez samego Rafaela malowanego, podobną była trochę panna Wodzińska), godzinami całemi rozmawiał o nim z Teofilem, również zapalonym Rafaela wielbicielem, które to *causeries romaines* o tym Arielu włoskiego renesansu przypominały mu dawne młodzieńcze czasy, kiedy mu Fil (jak nazywał Januszewskiego) w swojéj ciemnéj malarni wileńskiéj „tyle snów o Rafaelu nastręczał“, kiedy ze strachem prawie, jak powiada, wchodził do tych jego pokoików, w których podówczas już czuł, jako dziecko, „jakiś zapach niewymówiony dawnego artystycznego żywota“, żywota, o jakim marzył dla siebie... [2]). Nie mogli się tylko zgodzić co do Transfiguracyi, tego największego może, choć rozmiarami najmniejszego, arcydzieła Rafaelowskiego pędzla, a które artysta, umierając, kazał sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego będzie wystawione na widok publiczny — dowód, jak wysoko

---

[1]) Beniowski, część druga, str. 49.

[2]) List nieznany J. Słowackiego. „Bibl. Warsz.“, 1877, t. II, str. 170.

je cenił [1]). Teofilowi się „obrazek“ ten nie podobał, może dlatego, że mu nie imponował... rozmiarami; Słowacki przeciwnie, choć nie rościł sobie, jak Teofil, pretensyi do tytułu malarza-amatora [2]), uważał dzieło to za sam kwiat Rafaelowskiego geniuszu, za jedno z najbardziéj skończonych i doskonałych nieśmiertelnego mistrza z Urbinu arcydzieł, za jedną z najgenialniejszych rzeczy, jaką namalowano kiedykolwiek (nawiasem mówiąc, tego samego zdania, co Słowacki, są wszyscy znawcy renesansowego malarstwa włoskiego, od Goethego poczynając, a kończąc na Grimm'ie); a że każdy obstawał przy swojém: Słowacki przy swéj opinii artysty-poety, który sam genialny, chociaż na polu innéj sztuki, intuicyjnie odczuwał całą olbrzymią potęgę téj miniaturowéj kreacyi; Teofil przy swym bezwzględnym, apodyktycznym poglądzie dyletanta-filistra; więc spór pozostał nierozstrzygnięty.

Godzili się za to na jedno, kiedy Teofil przeniósł na papiér rysy Słowackiego; portrecik ten bowiem, rozmiarami nie większy od... Transfiguracyi Rafaela, należał bezwarunkowo do udatniejszych prac męża Hersylki. Słowacki, otrzymawszy go od Teofila na własność, zrobił z niego prezent Eglantynie, od któréj otrzymywał tu częste listy, miłe dosyć, bo „sercem pisane.“ Portret ten, malowany akwarellą, przechowywała Eglantyna u siebie aż do końca życia. Oprawny w ramki wisiał zawsze w jéj pokoju, pomiędzy portretami osób najdroższych jéj sercu. Pani Seweryna Duchińska, która go widziała u niéj jeszcze w roku 1874 [3]), taki nam daje jego opis: „Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne; wyraz oblicza smętny, zadumany; nie dopatrzéć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłéj czapeczki greckiéj świeci wysokie czoło; po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych, wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko rozwarte; wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz Słowacki w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie.

---

[1]) „Fil (Teofil Januszewski) nie lubił w Rzymie Transfiguracyi, a Rafael kazał ją sobie nad trumną powiesić, gdy ciało jego było wystawione na widok publiczny.“ Zob. Listy, t. II, str. 123 (w liście z d. 14 maja 1844 r. z Paryża).

[2]) Teofil Januszewski z amatorstwa zajmował się malarstwem. Obrazy jego, jako prace dyletanta, malującego jedynie w wolnych od prozaicznych zatrudnień chwilach, cieszyły się w swoim czasie wielkiém uznaniem... znajomych i sąsiadów, którym p. Teofil potrafił nawet swoim talencikiem imponować. Żona jego, Hersylia, również malowała pejzaże. Taka już była moda podówczas, że wszyscy, jak hrabia w Panu Tadeuszu, malowali pejzaże.

[3]) Zob. „Bibl. Warsz.“, 1874, I, 329.

Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy też same, jak w znanym medalionie dłuta Władysława Oleszczyńskiego; całość jednak więcéj jeszcze przypomina portret Byrona w jego młodzieńczych latach.“

Już to wogóle malarstwo uprawiano teraz w Rzymie z zapałem. Dziwna rzecz! Wszak i Goethe, kiedy bawił nad Tybrem, (chociaż powiada w swoich Elegiach Rzymskich, że nieraz, tonąc w objęciach swojéj kochanki.

> Oftmals hab' ich auch schon in ihren Armen gedichtet
> Und des Hexameters Mass leise mit fingernder Hand
> Ihr auf den Rücken gezählt),

wszak i Goethe z zapałem oddawał się tu malarstwu [1]). Toż samo powiedziéć można o Słowackim i o Teofilach: gdziekolwiek poszli, wszędzie — hołdując modzie swego czasu — brali z sobą pędzle i farby i, choć czytali już Pana Tadeusza, gdzie owo malowanie pejzażów tak komicznie charakteryzuje „ostatniego z Horeszków“, nie zdawali sobie sprawy, że i oni także z tą swoją pasyą pejzażową niemało przedstawiali tematu dla... humorysty, kiedy malowali różne grobowce, ruiny, wodociągi, kaskady, cyprysy, laury etc. [2]). A czynili to po części z zamiłowania, po części zaś i... z nudów potrosze, *pour passer le temps;* przebywając bowiem od dwóch miesięcy przeszło ciągle razem, wyczerpali w końcu temat do rozmowy, tak, iż zdarzały się chwile, w których nie było o czém mówić.

Z drugiéj strony jednak zaprzeczyć się nie da, że niemałą pobudką do téj pejzażomanii było dla nich towarzystwo artystyczne, w jakiém przebywali często, towarzystwo dwóch malarzy, Brzozowskiego i Suchodolskiego, z którymi przestawali najwięcéj, z którymi oglądali wszystkie muzea i galerye obrazów i którzy oczywiście musieli tém samém jakiś na nich wywierać wpływ. Przyczyniał się do tego w niemałym stopniu także i dobry ich znajomy z Podola, Aleksander Potocki, syn Szczęsnego i słynnéj Greczynki Zofii, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, sympatyczny oryginał, z niemniej-

---

[1]) Zob. G. H. Lewes, Goethes Leben und Werke.

[2]) Jedna z takich akwarelli Słowackiego, przedstawiająca (jak to sam na niéj napisał poeta) „Grobowiec Nerona“, dochowała się do naszych czasów i jest własnością panny Barbary Beaupré w Krakowie. Reprodukcyę akwarelli téj podałem przed paru laty w „Świecie“ krakowskim, w N-rze 15 z roku 1889-go, na str. 348.

szém upodobaniem, aniżeli grę na wiolonczeli, uprawiający malarstwo portretowe [1]).

Oprócz Brzozowskiego, przezywanego żartobliwie „wielkim pittore'm koni“ (bo istotnie same tylko malował konie), Aleksandra Potockiego i Suchodolskiego, męża bardzo pięknéj i... zalotnéj żony, należeli do kółka Słowackiego i Januszewskich: Wański, skrzypek, znajomy ich jeszcze z Wilna, Zenon Brzozowski z Ukrainy, dobry znajomy Teofilów i pani Becu (matka jego była wielką jéj przyjaciółką) i Aleksander Hołyński, młody obywatel z Białéj Rusi z pod Witebska. W tém towarzystwie najwięcéj spędzali wieczorów, bądź w teatrze, bądź na spacerach, bądź u Aleksandra Potockiego na kwartetach, do których, oprócz gospodarza domu, grającego na wiolonczeli, zasiadali: Wański, Januszewski, grający drugie skrzypce, i Suchodolski, grający na altówce. Inni, słuchając, zabawiali się tymczasem, każde na swój sposób: malarze rysowali karykatury (Brzozowski konie); Zenon Brzozowski i Hołyński rozmawiali z Hersylką, a Słowacki (że użyjemy wyrażenia, którego on nie znał) flirtował z panią Suchodolską, którą nazywał „swojém rzymskiém bóstwem“ [2]), a któréj rola ta — sądząc z listów Słowackiego — bardzo zdaje się pochlebiała [3]). Na jednym z takich wieczorów wyrysował Suchodolski portret Słowackiego, „osobliwie trafiony, bardzo ładny i bardzo podobny“, portret, który sobie poeta zachować obiecywał do litografii, jeżeliby mu kiedy przyszło jakie wydanie poezyi swoich ozdobić portretem autora... [4]).

Ale, jak wszystko na świecie, tak i to towarzystwo, a zwłaszcza ciągłe, po całych dniach, przebywanie z Teofilami, sprzykrzyło się w końcu Słowackiemu: straciło urok nowości. Zaczął się nudzić...

---

[1]) Zob. o nim w listach Słowackiego, t. II, str. 37. „Przyjechał tu (do Florencyi) wiolonczelista (Aleksander Potocki), który często w Rzymie do kwartetów Wańskiego używał. Jak zawsze oryginał. Dwa wieczory przepędziłem z nim w jego loży w teatrze, ma bowiem teraz lożę i wcale już nie tak skąpo żyje, jak pierwéj, zawsze rysując portrety; zabawi to Filów; był w Rzymie i tam go zaraz jego olbrzymie nimfy otoczyły. Wański nasz w Anglii.“

O Brzozowskim zob. w listach, t. II, str. 21. „Przejeżdżał tędy (przez Florencyę) malarz Brzozowski z Rzymu, jadąc do kraju, i prosił mię, abym się Filom kłaniał. Wielki *pittore* koni już dawno w swoich stronach; nic więc nowego. Skrzypek (Wański) do Anglii pojechał i nic o nim nie słychać.

O Suchodolskim zob. Listy, t. II, str. 10.

[2]) Zob. Listy, t. II, str. 41.

[3]) Zob. Listy, t. II, str. 10.

[4]) Zob. Listy, t. I, str. 238.

Niestety (jak o tém wiemy z Naszych najserdeczniejszych p. Sardou) najbliżsi, choćby to byli nawet bliscy krewni, nie zawsze bywają nam najmilsi (wié o tém każdy, kto ma wielką „familię“); tak samo, jak nie wystarcza być czyimś krewnym, np. wujem, jak był Januszewski dla Słowackiego, ażeby nie tracić na bliższém poznaniu. O prawdzie tych słów przekonał się teraz Słowacki aż nadto dobitnie. Zapisując Teofilom „bez żadnéj myśli“, jak powiada, wszystkie godziny swego życia, jadając z nimi razem śniadania, obiady i kolacye, w ich towarzystwie spędzając całe dnie i wieczory na gawędce, w ostatnich czasach pustéj najczęściéj i prowadzonéj tylko *pro forma*, żeby mówić, żeby niedopuszczać do kłopotliwego milczenia, nic dziwnego, że się zaczynał nudzić i że, co gorsza, najbardziéj go nudzić zaczynali oni, Teofilowie. Okazało się bowiem, że istniała między nimi — niedostrzeżona przedtém — głęboka przepaść moralna, przepaść, na domiar złego, pogłębiająca się z dniem każdym. Przepaścią tą była różnica usposobień. Słowacki, natura artystyczna *par excellence*, a więc nerwowa i kapryśna, z sercem „pełném łez i boleści, przywykłém do jakiéjś dzikiéj samotności, albo do wzruszeń nagłych i ognistych, nie zaś do ciągłego zapiecowego życia“ (a takie zapiecowe życie właśnie uchodziło za ideał w oczach Teofilów) czuł się przedewszystkiém skrępowany. Przebywając od kilku lat ciągle za granicą, oddany samemu sobie, bez żadnéj kontroli nad osobą swoją, zarówno jak i nad swemi czynnościami, odwykł już od tego, ażeby się przed kimś z czynności swoich tłómaczyć i opowiadać. Wuj jego tymczasem inaczéj się na te sprawy zapatrywał. Widząc Słowackiego, że bierze kapelusz i wychodzi, mimowoli (może nie w tak złéj nawet myśli, jak go o to posądzał Słowacki) zapytywał go: dokąd idzie? kiedy powróci? etc. Poetę, niezmiernie drażliwego pod tym względem, irytowała ta... opieka i ten „mentorski ton“, jaki w rozmowach z nim przybierał niekiedy mąż Hersylki. Zamieszkawszy u nich i wiedząc, że ma z nimi rok cały przepędzić, nie sądził, ani przypuszczał, że będą wymagali od niego, by ciągle z nimi i tak, jak oni, w domu siedział, on, który przywykł prędko latać, czasem nic nie mówić, „a czasem z jakim drugim szaleńcem gadać po szalonemu językiem imaginacyi.“ To pierwszy powód dysonansów, jakie się coraz częściéj pomiędzy niego a Teofilów wkradać zaczęły. Drugim był marzycielski charakter Słowackiego, który, wymagając od rzeczywistości, ażeby dorównała jego marzeniom, musiał w końcu zawsze doznać uczucia rozczarowania. Podobnie miała się rzecz i tym

[1]) Zob. Listy, t. I, str. 236.

razem z Teofilami. Dopóki ich nie widział, tęsknił za nimi i... marzył o spotkaniu; kiedy marzenie to stało się rzeczywistością, tęczowa bańka mydlana prysła i pozostały... mydliny. Dopóki Teofilowie byli we Włoszech, a on w Szwajcaryi, wydawało mu się szczytem szczęścia spędzić z nimi czas jakiś razem pod włoskiém niebem; kiedy celu dopiął, zaczęły mu w zetknięciu z tą upragnioną rzeczywistością opadać skrzydła, czuł się, jak ryba wyrzucona na piasek; bo już takim go stworzyła natura, że w świecie ułudy czuł się, jak ryba w wodzie, kiedy rzeczywistość, życie realne, z konieczności prozaiczne, dusiło go i łamało mu skrzydła. To były prawdziwe przyczyny, dla których nie zawsze harmonizował teraz z Teofilami, i dla których, w kilkanaście lat późniéj, spotkanie z matką we Wrocławiu, spotkanie, o któróm marzył tak długo i z takiém utęsknieniem, podobnież skończy się zobopólném... rozczarowaniem.

Ale był jeszcze trzeci powód, dla którego Słowacki pomimo najszczerszych chęci nie mógł być z Teofilami takim, jakim z nimi istotnie pozostawać pragnął. Oto przeczytał im któregoś dnia „wszelkie swoje prace“, a więc Balladynę, Horsztyńskiego, Mazepę i kilka scen z zaczętego, a niedokończonego Wallasa (zniszczone następnie) i prace te „nie bardzo się im podobały.“ Mówili, że dobre, ale... szlachta nie zrozumié. Ten ich szlachecki gust, dowodzący, że i oni nie bardzo rozumieli, o co chodziło, wystarczał, ażeby ich Słowacki posądzać zaczął o... instynkta, właściwe wszystkim pospolitym „zjadaczom chleba“, z którymi on, nie dziw, że nie miał nic wspólnego. Zauważył przytém, że zachwyty ich nad arcydziełami wielkich mistrzów dłuta i pędzla tchnęły afektacyą sztuczną, nie były szczere; i że szczersi byli w swoich listach do niego, kiedy mu tęskniącemu jeszcze za nimi w Genewie pisali, że „nudzą ich Włochy, szczególniéj Hersylkę...“ I takim ludziom, myślał sobie Słowacki nieraz, miała się podobać Balladyna albo Horsztyński!... Nie obeszło się i bez tego również, żeby mu nie wymawiali czasem jego nieczynnego życia, żeby go nie namawiali do jakiegoś pozytywniejszego zajęcia, żeby mu nie starali się wytłómaczyć, że na poezye zawsze miałby jeszcze dość czasu w wolnych chwilach... Wszak i Teofil maluje, a przecież prowadzi obok tego gospodarstwo, co mu daje utrzymanie i to zadowolenie moralne, że nie jest nikomu ciężarem, ani potrzebuje czyjéjś łaski... A były jeszcze i inne rzeczy, które ich dziwiły w Julku! Tak np. zrozumiéć nie mogli jego szczególnego sposobu życia. Jak to można, ażeby młodzieniec w tym wieku, co on, prowadził się tak skromnie, tak... ascetycznie, i wiodąc

czystsze życie, niż inni, jeszcze w tém znajdował, jak mówił, jakąś dumną pociechę dla duszy. Dziwactwo! To téż mieli go za oryginała nie do naśladowania... [1]).

Wszystko to, razem wzięte, ten sprowadziło skutek, że Słowacki począł tęsknić za cichém życiem, jakie prowadził w Genewie, i że najszczęśliwszy był, kiedy zostawiwszy Teofilów w domu, mógł samotnie przechadzać się po mieście, albo po okolicy, słowa do nikogo nie mówiąc i... marząc o pannie Wodzińskiéj. Pozbawiony wszelkich o niéj wiadomości, „z dziwném rozemdleniem serca“ myślał o tych sielankowych dniach szczęścia w Paquis, kiedy to biegali razem po murawach, albo też „rozkochanych słów różaniec cedząc“ obrywali stokrotki; i tęskno mu było za tym „romansem“, za muzyką Maryi, za jéj oczyma czarnemi; i marząc tak „pół senny“ o téj przeszłości świetlannéj, tak różnéj od téj teraźniejszości tak... nudnéj, chociaż za tło służył jéj Rzym, czuł zapach warkoczów swojéj genewskiéj Beatrice, pierś mu raz po raz wzbierała natchnieniem i nie wiedział,

gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie łzy ukryć, i gdzie być samotnym.

Oczywiście, że i ten Rzym papieski wtedy, przez taki oglądany pryzmat, wydawał mu się innym jakimś, nie takim, jakim go sobie przed przyjazdem tu wyobrażał. I zaczął się coraz więcéj plam dopatrywać na jego słońcu, i nieraz chciało mu się, kiedy smutny i osamotniony błądził po ruinach Term Karakalli lub Forum, tak do nich przemówić:

O biédny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na toż to przysłał Bóg Atyli Syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry?.. A tam jednak glina
Z Grachów, i z duchów stoi obłok czarny
Na Colosseum. Księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

---

[1]) „boję się nareszcie tego dziwnego zakochania się w prostéj dziewczynie, któreby mię w końcu mocy charakteru pozbawić mogło i do jakich szaleństw przywieść, mię, który dotąd na uwięzi trzymam serce moje i czystsze życie wiodłem, jak inni, znajdując w tém jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie i że mię miał za oryginała nie do naśladowania.“ Zob. Listy, t. II, str. 42 (Florencya, 10 lipca 1858 r.).

Od Brutusowéj. Z taką to koroną
Stoją ruiny, czarne i zębate.
O prawda! że tam ptaszków pełne łono
Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż duma i gromnice płoną;
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam, biédny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec,

Rzuca się, pieni, klnie: *i Carbonari*
Krzyczy, *la gente d'inferno!* i zgrzyta...
Sam, jak hyena, jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta:
Do domu nakształ dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,
Pieczenię zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią... uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
Przed kopytami tłumów Alaryka,
I nakrył dawne miasto, nim przybyli.
I jako ten grób, co się sam zamyka
Zniknęło, cudzéj uchodzące właści,
I utonęło przed mieczem... w przepaści!

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się biédna, cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad niém stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiem, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj smutna.

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawią znowu czołem na gwiazd wianek...

A kiedy zaszedł „od Tybrowéj strony" do tego Rzymu dzisiejszego, ze starożytną Romą nic nie mającego wspólnego, do tego Rzymu prozaicznego,

co się myciem swéj bielizny,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała;

wtedy znajdował go odartym ze wszelkiéj poetyczności, ze wszelkiego majestatu Wiecznego miasta.

Zielony on jest, a w płaszczu z purpury
A w ręku uschły kwiat, z świéżego żłobu.
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić... czartem albo gadem [1]).

W tém uczuciu, będącém czémś więcéj jeszcze, niż rozczarowaniem, napisał raz Słowacki, powróciwszy z przechadzki po Kampanii, następujące terzyny?

Nagle mię trącił płacz na pustém błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem!“
Tak śpiéwał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził daléj
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mię spytało w pustyni
Słońce, szydzący Bóg: czy Rzym widziałem?..

Pisząc te ponure, iście Dantejską grozą nacechowane strofy, nie przeczuwał Słowacki, że niebawem innemi na ten sam Rzym poglądać będzie oczyma, że znajdzie się człowiek, który mu gród ten blaskiem swojego geniuszu oświeci, a oświeci tak, że to samo, co teraz — w przystępie spleenu — prozaiczném i małem, wyda mu się wspaniałém i poetycznem. Czarodziejem tym miał być Zygmunt Krasiński.

---

[1]) Zob. Beniowski, Część druga Pism, pośm. str. 49—51.

W jaki sposób, kiedy i gdzie zapoznał się z nim Słowacki? Odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa: ponieważ mieli wspólnych znajomych, jak np. Aleksander Potocki, więc znajomi ci zbliżyli ich do siebie i poznali, wiedzieli bowiem, że zależało im na tém obydwóm, że zarówno Słowacki, jak Krasiński radziby byli zabrać z sobą znajomość, chęć taka bowiem cechuje wszystkich młodych autorów. Cechowała też i naszych poetów; choć nie ulega wątpliwości, że w danym razie ciekawość i ochota zabrania bliższéj znajomości leżała przeważnie po stronie Krasińskiego [1]). Słowacki, nie lubiący w ogóle czynić pierwszego kroku (wszak nawet do Mickiewicza w Paryżu pierwszy pójść nie chciał) trzymał się zdaleka, na osobności, i choć dawano mu raz po raz do zrozumienia, że młody Krasiński, autor Władysława Hermana, Agay Hana i Nieboskiéj Komedyi, i całe kółko, z którém żył, chętnieby go widzieli w swojém gronie, umyślnie „stronił“ od nich, tak dalece, iż skończyło się na tém, że „wszyscy prawie musieli go pierwsi szukać w jego mieszkaniu...“ [2]).

Do kółka tego, oprócz Zygmunta, należeli: Konstanty Danielewicz, doktór, filozof i artysta-muzyk, a Krasińskiego już od szeregu lat przyjaciel i towarzysz podróży nieodstępny; Dr. Sauvan, z łacińska przezywany „Salvanusem,“ a nie opuszczający Zygmunta, który rozdrażniony nerwowo i od dłuższego już czasu chory na oczy, potrzebował wciąż jego opieki; Adam hrabia Sołtan, przez wszystkich „pułkownikiem“ nazywany; Stanisław Sołtyk, narzeczony znanéj z życia Mickiewicza Henryki Ankwiczówny; Otton Rajecki, młody, sympatyczny Litwin, zagrożony suchotami, na które też umarł wkrótce; Roman Załuski, który niebawiem przewiezie do Paryża rękopis Irydiona do druku; Chiavari, Włoch, zaprzyjaźniony z Sołtanem i Krasińskim i biorący zawsze czynny udział w zabawach i rozrywkach ich kółka; Aignez, budownicy warszawski, który służył pod Kościuszką, a niecierpiał francuzczyzny, choć sam francuskiego pochodzenia; ksiądz Stanisław Chołoniewski, Wołyniak (a więc z tych samych stron, co Słowacki); książę-bankier Aleksander Torlonia, przezywany „generałem Aleksandrem,“ osobistość w Rzymie podówczas bardzo popularna,

---

[1]) Krasiński przybył w tym roku do Rzymu około 25 marca. W liście do Gaszyńskiego, datowanym z Florencyi, 4 marca, 1836, pisze: „Dwudziestego marca wyruszę do Rzymu...“ (Listy, t. I, str. 78).

[2]) „Tymczasem przybyło tu wiele ziomków moich. Sami F (ilowie) powiedzą ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mię pierwsi szukać w mojém mieszkaniu i pierwsi robić znajomość.“ Zob. list z Rzymu z d. 21 maja, 1836.

dzięki balom, jakie w pałacu swoim co czas jakiś urządzał; a wreszcie figura komiczna towarzystwa, szambelan Franciszek Skibicki [1]), właściciel majątku na Wołyniu (sąsiad Teofilów), a nadto kurator honorowy szkoły żytomierskiéj, ożeniony z Heleną Drzewiecką, zagrożoną suchotami, tak samo, jak Otton Rajecki, i dlatego od kilku zim stale z mężem w Rzymie przemieszkującą, z mężem, którego miał z czasem Słowacki unieśmiertelnić w swoich Niepoprawnych, taką nakreśliwszy jego karykaturę:

Przy ruinach drzemie
Jeden katolik Polak i Szambelan
Jego Cesarskiéj Mości, wielki filharmonik:
Rogaty złotą lirą Apollina,
Śpiéwa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa; młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą.
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczniów gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojéj szkolnéj zasady nie łamie.

W niemniéj karykaturalny sposób — choć niesłusznie zupełnie — opisał Słowacki w kilka lat późniéj i księżnę Stolnikową Dorotę Czartoryską, która osiadłszy tu w Rzymie na starość w klasztorze Urszulanek, nie jako zakonnica, ale jako lokatorka tylko, na dewocyi, niczém nie zasłużyła sobie na taki wizerunek:

Jedna hrabina pobożna
Któréj spadają włosy aż na ramię

---

[1]) Człowiek komiczny przez to, że z natury prozaiczny, jak cyfra, gwałtem usiłował być poetycznym, co mu się naturalnie nie udawało. Krasiński opisuje go (w liście do Sołtana, z Neapolu, 14 kwietnia, 1835) w ten sposób: „Jeśli człowiek, który się positif urodził z łaski Pana Boga, chce się poetycznym wydać, to dziwolągi nadzwyczajne z siebie robi... Tacy ludzie tak robią poezyę, jak szewc kiepskie buty; tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, że buty ciasne bolą nas, a ich śmieszność, rozśmieszając nas, zdrowia nam przysparza..." Słowacki zaś, w roku 1838 (t. j. we dwa lata po zawartéj z nim w Rzymie znajomości) pisze do matki, co następuje: „Nietylko wizyty, ale znajomi moi dręczą mię mnogiemi listami, na które nie wiem, co odpisywać... I tak wystawcie sobie, że nawet szambelan Skibicki z Pizy, gdzie teraz dla klimatu cieplejszego z żoną siedzi, ni z tego ni z owego, wypalił do mnie list esencyonalnie poetyczny o nachylonéj wieży, o Campo-Santo, o profesorze prawa, o Dancie, i o wszystkich rzeczach, które jego są, a ja zaś biję się w czoło, myśląc nad odpowiedzią, a naprzód nad tytułem, który na wierzchu listu prześwietnemu korespondentowi należy się, (Listy, t. II, str. 23, 24).

A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo Kanonik albo Monsignore.
Dewotka! [1])

W wyjątkowych tylko razach opuszczając mury klasztorne, w pokoikach swych, przed klauzurą, przyjmowała księżna Civita Vechia *da vero* (bo tak nazywano w poufnych rozmowach księżnę Stolnikową) całe ówczesne doborowe towarzystwo polskie „a wszyscy, co znali tę relikwię XVIII wieku, świadczą zgodnie, że księżna Stolnikowa zachowała do śmierci najpiękniejsze oczy w Koronie i Litwie, i najrzadszy, najmilszy wdzięk w rozmowie i obejściu" [2]). Słowacki, odkąd się poznał z Krasińskim, został jéj również przedstawiony...

Nakoniec wprowadzono go i do gościnnego domu państwa Ankwiczów na Via Mercede, gdzie towarzysze młodego Sołtyka nader częstymi bywali gośćmi (Krasiński czuł się tu jak u siebie) a gdzie poeci szczególnemi zawsze cieszyli się przywilejami, za co się późniéj, na odjezdném, wywdzięczać musieli... wierszami, wpisywanemi do sztambuchu panny Henryety. Słowacki wpisał jéj całą Dumę o Wacławie Rzewuskim [3]).

Te nowe znajomości wywarły nań wpływ zbawienny. Odtąd zdawało mu się, że innem oddycha powietrzem. Porwany wirem towarzyskiego życia, jakby odżył. Stał się poprostu innym człowiekiem. On, który niedawno jeszcze narzekał na zniechęcenie i nudę,

---

[1]) Niepoprawni. Akt I, sc. IX. Ant. Edw. Odyniec w t. III, na str. 93 swoich „Listów z podróży" tak opisuje księżnę Stolnikową: „...przez długie lata prowadziła tu świetny i otwarty dom, a teraz usunęła się całkiem od świata i mieszka na dewocyi w klasztorze Urszulanek, budując wszystkich (tylko nie Słowackiego) swoją pobożnością, jak dawniéj zachwycała uprzejmością i wdziękiem." „Ośmdziesięcioletnia już może księżna stolnikowa Czartoryska, siwiuteńka jak gołąbek, staruszka (w r. 1829) była jakby idealnym obrazem tych starodawnych matron naszych (na raucie u Potockich) z których chyba opisów życia można sobie wymarzyć taką postać, jakąśmy tu na jawie widzieli: tak pełną razem wdzięku i powagi wieku, słodyczy i charakteru, skromności i prawie pokory, a zarazem takiéj godności, jak się to wszystko w wyrazie jéj twarzy i w całém obejściu maluje. Ona to właśnie była środkowym punktem, około którego zebrało się tak ochoczo i licznie grono najpierwszéj arystokracyi tutejszéj... Pamięć dawnéj jéj uprzejmości i wspaniałości światowéj, połączona ze czcią dla jéj wieku i cnót chrześciańskich, czyni ją dotąd celem ogólnego szacunku i uszanowania." O księżnie stolnikowéj Czartoryskiéj (matce pań Arturowéj i Alfredowéj Potockich). Zob. w Listach Zygm. Krasińskiego do A. Sołtana, str. 194, 219, 220.

[2]) St. Tarnowski, Zygmunt Krasiński (Kraków, 1893), str. 158.

[3]) Zob. ks. Jan Siemieński, Ewania, Lwów, 1888.

teraz, dzięki temu, że mógł przestawać z młodymi, jak on, zapaleńcami, że prowadził z nimi „kawalerskie, biegające i cygara palące życie,“ miał tysiące zachceń, tysiące „wielkich podlotów do nieba,“ żałował, że nie tu upłynęła mu jego przeszłość.

Miał zaś metamorfozę tę do zawdzięczenia głównie Zygmuntowi Krasińskiemu, którego towarzystwo, jak sam przyznawał [1]), miało dla niego pod względem umysłowym „lekarskie, uzdrawiające skutki.“ Albowiem był to pierwszy człowiek, który go rozumiał całkowicie i który uznawał w nim „ogrom poezyi,“ jakim go obdarzyły niebiosa [2]). To też, kiedy byli razem, zdawało mu się, jak przepięknie powiada w owym liście do autora Irydiona, służącym za wstęp Lilli Wenedzie, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; i sądził, że „wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami [3]), które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem, jedną taką postać, jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma...“ I przyznawał, że człowiek ten, młodzieniec o całe trzy lata młodszy od niego, miał dziwną władzę nad nim, i że ledwo się zjawił, niby jakiś „Archanioł wiary,“ ledwo się poznać zdołali, odrazu zaczął z sercem jego dziwne robić „czary“ [4]), tak, iż serce to, takie dumne i tak dla wszystkich zamknięte, przed nim jednym, jak na zaklęcie magnetyzera, otwiérać się zaczęło, podobnie, jak się otwiérało niegdyś przed Ludwikiem Spitznaglem, z którym Zygmunt miał wiele pod niejednym względem podobieństwa [5]). Pełen młodzieńczego zapału dla rzeczy piękna, umysłowo nad wiek rozwinięty, z iskrą geniuszu nad czołem, wykształcony, oczytany, biegły zarówno w rzeczach poezyi i sztuk pięknych, jak filozofii historyi, z niewysłowionym wdziękiem opowiada-

---

[1]) Listy t. II, str. 30, (Florencya, 22 lutego, 1838) „Żal mi, że nie mam tu Zygmunta Krasińskiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla mnie, umysłowie mówiąc, lekarskie, uzdrawiające skutki.“

[2]) Listy Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego, Rzym, 22 maja, 1836 (t. I, str. 80).

[3]) Goplana w Balladynie.

[4]) Zob. Wiersz Słowackiego do Krasińskiego: Żegnaj mi, żegnaj Archaniele Wiary i t. d.

[5]) Zob. Słowackiego Listy t. I, str. 233. Oraz Odyńca Listy z podróży, t. IV „Zygmunt (słowa są Odyńca) pod względem entuzyazmu serca ze wszystkich moich przyjaciół i znajomych przypomina może najwięcéj Ludwika Spitznagla.“

jący o starożytnym Rzymie, o prądach, nurtujących społeczeństwa nowoczesne, o walkach arystokracyi z demokracyą, walkach, które z taką genialną intuicyą odmalował w swojéj Nieboskiéj Komedyi, wylany, szczery i pełen prostoty w obejściu, bez cienia zarozumiałości, a przytém (co najważniejsza, jak w danym wypadku) z ogromném, niekłamaném uznaniem, w rozmowie przybierającém pozory uwielbienia, wyrażający się o wielkim talencie Słowackiego, jako autora Maryi Stuart i Kordyana, uznający w nim talent ten bez żadnych zastrzeżeń, dowodząc śmiało, że „Mickiewicz nawet sam nie miał tak różnobarwnéj i giętkiéj wyobraźni,“ nie dziw, jeżeli tém sobie potrafił pozyskać całe zaufanie i przyjaźń Juliusza i jeżeli ten ostatni przywiązał się doń wkrótce całém sercem, jak Telemak do Mentora, jak Shelley do Byrona, jak Schiller do Goethego, jak Puszkin do Mickiewicza.

Znali się z sobą niedługo, lecz wiele,
I od dni kilku już są przyjaciele.

Jakoż pokochali się istotnie, jak bracia, z tą różnicą, że kiedy Słowacki nie zawahał się przyznać Krasińskiemu pewną wyższość nad sobą (co zresztą dowodziło tylko trafności i zupełnego braku zaślepienia w sądzie), Krasiński patrzał nań krytyczniéj: widząc w nim mnóstwo przymiotów, nie zamykał przecież oczu na niektóre jego wady, tak człowieka, jak poety.

Jako poeta, wydawał mu się Słowacki nie zupełnie jeszcze... dojrzałym. Kordiana uważał za „poemat zapału, szaleństwa,“ obfitującym w „pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia.“ Swoją drogą, jako autor Nieboskiéj Komedyi, widział w nim pewne dziecińsstwa, którychby on np. nie popełnił nigdy. Maryą Stuart uważał również za rzecz „znakomitą.“ Mniéj za to trafiały mu do przekonania takie Słowackiego utwory, jak Mindowe, Bielecki, Lambro, Żmija, których w liście swym do Gaszyńskiego, mówiąc o Juliuszu, nie wymienia wcale. Wogóle nie widział w nim dość „harmonijnéj równowagi,“ bez któréj nie podobna być wielkim poecie. Mimo to przepowiadał Słowackiemu, że „będzie wielkim,“ skoro tylko ta poezya, którą go tak hojnie obdarzyło niebo, dojdzie do „harmonii muzycznéj,“ kiedy się nauczy „sztuczniéj jeszcze godzić dysonanse z prawdziwemi dźwiękami.“ Dzisiaj — pisał o nim do przyjaciela swojego w Montpellier — brak mu czasem powagi, bez któréj poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Téj on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż dobędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich

nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciéj części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza [1]).

Jako człowiek, wydał mu się Słowacki bardzo „miłym,“ ale... Otóż tych ale widział w nim, jako w człowieku, więcéj nierównie, aniżeli jako w poecie. Przedewszystkiém uważał go za istotę kapryśną, złożoną z „dziwnych kontrastów,“ bardziéj nacechowaną przymiotami i wadami, właściwemi kobiétom, aniżeli prawdziwie męzkiemi; i dlatego, jak się wyraził, nie chciałby go odgadywać, tak samo, jakby w żadnym przypadku także i liczyć na niego nie chciał. Czemu? Bo z „temi istotami obchodzić się trzeba, jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne; żadnéj zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tém ich podobieństwo do kobiét i do sił ślepych natury.“ Jak kobiéta, był Juliusz — w przekonaniu Zygmunta — awanturniczy wyobraźnią, a nerwami i całém ciałem... tchórz. Dlatego zaliczał go do kategoryi tych poetów, „którzy nigdy w danéj chwili poezyi w działaniu miéć nie będą,“ ponieważ nie czuć w nich silnego indywidualizmu, tak potężnego np. w Byronie, a którego pozbawieni w zupełności byli np. Goethe i Szekspir. To téż Goethe, jak wiadomo powszechnie, był tchórzem, Szekspir nim być musiał [2]). Otóż takim „tchórzem“ t. j. człowiekiem, silniejszego indywidualizmu pozbawionym, zdawał się być i autor Maryi Stuart, któremu jednak natura brak ten, jak Szekspirowi i Goethemu, w inny wynagrodziła sposób. Bo zaprzeczyć się nie da, że tego rodzaju poeci, mniéj będąc ludźmi, a bardziéj światem, „więcéj obejmują“ za to, większą odznaczają się intuicyą, łatwiéj wcielają się w innych, zdobywając się na obiektywizm, który w zdumienie wprawia każdego, kogo cechuje właśnie silniejszy indywidualizm. „Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt: rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniéj dbają o godność osobistą;“ słowem, są to ogromne siły duchowe, ale nie ludzie, nie charaktery, nie Zawisze.

Ta przewaga refleksyi w Krasińskim, refleksyi, nie prześlepiają-

---

[1]) W miesiąc późniéj, w odpowiedzi Gaszyńskiemu, który widocznie niezupełnie pisał się na sąd Zygmunta o Słowackim, nie chcąc w nim tak wielkiego ducha poetyckiego uznać, i powątpiewał o jego genialności (wszyscy byli tego zdania na emigracyi) pisze mu Krasiński, co następuje: „Mów, co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą (widocznie, że mu Gaszyński, jak to zresztą i Mickiewicz uczynił w kilka lat późniéj, odmawiał prawa i do tytułu poety!) i kiedyś imię jego świetném będzie.“ (Kissingen 12 czerwca 1836).

[2]) Zob. Listy do Gaszyńskiego, str. 22 (Wiedeń 20 listopada 1836).

céj nawet w przyjacielu ani jednéj wady, ani jednéj ułomności charakteru, stanowiła téż zasadniczą i kardynalną różnicę ich usposobień. (Nawiasem mówiąc, czy Krasiński pod względem siły charakteru o wiele przewyższał Słowackiego, i czy więcéj miał „poezyi w działaniu,“ to inne pytanie, które nie tu miejsce rozstrzygać). Bo nie ulega wątpliwości, że refleksya, rozsądek, logika, rozum, inteligencya, czyli wszystko to, na czém się opiéra głównie poezya Irydiona, Nieboskiéj, Przedświtu i Psalmów, w życiu Słowackiego, zarówno jak i w jego twórczości nie odgrywały roli prawie żadnéj. Przeciwnie, on je nawet lekceważył do pewnego stopnia, jak w Balladynie np. o któréj powiedział wyraźnie, że wychodzi na świat „obdarzona siłą wnętrzną urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione.“ On nie wahał się powiedziéć sam otwarcie o téj tragedyi, pisanéj „z aryostycznym na twarzy uśmiechem,“ że zawarte w niéj „tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy;“ a nie wahał się dlatego, że przekonany był, iż „jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub ową rzecz potępił, to Balladyna, wbrew rozwadze i historyi, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jéj chwilowe panowanie, błyśnie i rozproszy mgłę dziejów przeszłości.“ Pod tego rodzaju dowodzeniem nie podpisałby się nigdy Krasiński, który w swoich utworach, jak Nieboska i Irydion (już ukończony, choć jeszcze nie wydrukowany) przedewszystkiém i największą wagę przywiązywał właśnie do tego „porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie,“ a które tak sobie lekceważył Słowacki. On, Krasiński, niczego się tak nie obawiał, jak tego właśnie, żeby napisane przezeń dzieło poetyczne, nie przeraziło przypadkiem „śpiących w grobie historyków i kronikarzy,“ z którymi przedewszystkiem chciał być w zgodzie, a z którymi się tak mało liczył autor Balladyny. On, Krasiński, nie wierzył, ażeby „instynkt poetyczny“ mógł być, jak się zdawało Słowackiemu, „lepszym od rozsądku“ i żeby poemat w takich zasadach poczęty mógł „wbrew rozwadze i historyi“ rozproszyć mgłę dziejów przeszłości. I kiedy on, Krasiński, dążył do tego, ażeby to, co napisze, miało za podstawę rzeczywistość; Słowacki nie wstydził się przyznać, że ile razy tylko zetknął się „z rzeczywistemi rzeczami,“ opadały mu skrzydła i był smutny, jak gdyby miał umrzéć [1]). Taką już była jego natura! Obdarzony od Boga wyobraźnią „tak różno-

[1]) List II do autora Irydiona, umieszczony na czele Lilli Wenedy.

barwną i giętką," jakiéj nawet — co mu przyznawał Krasiński — Mickiewicz sam nie miał [1]) polegał głównie i jedynie na niéj. O resztę się nie troszczył. Wyobraźnia ta, jedna z najpowiewniejszych, z najeterycznieiszych, jakie wydała ludzkość, wyobraźnia, która potrafiła być fantastyczniejszą jeszcze od Szekspirowskiéj, a która poetycznością swą dorównywała Shelley'owskiéj, (jeżeli jéj nie przewyższała) pozwalała mu z tęcz, girland, opali, dyamentów, nici babiego lata, promieni słonecznych i księżycowych blasków, wznosić czarowne zamki ułudy, które, lubo kruche, jak bańki mydlane, dlatego, że piękne, jak bańki mydlane, że grające wszystkiemi kolorami tęczy, zadawalniały go tém samém i czyniły pobłażliwym na różne usterki logiki, mogące przerazić „śpiących w grobie historyków i kronikarzy." Zdawało mu się poprostu, że jeżeli coś „ma wnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem téj dziwnéj władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty:" to już rzecz taka nie może być złą. Inaczéj się na kwestyę tę zapatrywał Krasiński. Dla niego nawet fantazya, choćby najbujniejsza, ujętą być winna w karby logiki, „rozwagi i historyi." Wszystko, co poeta napisze, powinno być należycie umotywowane, tak, iżby na czytelniku robiło wrażenie czegoś rzeczywistego, tak, iżby czytelnik wierzył w możliwość, w prawdopodobieństwo opisywanych wypadków. Budować gmachy, choćby najfantastyczniejsze, wolno poecie; obowiązkiem jednak jego jest pamiętać o fundamentach, które powinny być mocne i rzetelne, bo inaczéj cały zaczarowany pałac może się zawalić, a poeta, jak budowniczy, obawiać się tego powinien najbardziéj; pamiętać téż należy i o tém także, ażeby mury nie były zbyt cienkie i kruche, zbyt filigranowe i z niedość mocnego stawiane materyału, bo nic łatwiejszego, jak, żeby się zaczęły rysować... O wszystkiém tem pamiętał zawsze Krasiński i dlatege poezya jego jest... trochę ciężka, dlatego Irydion, choć logiczniejszy nierównie, aniżeli Balladyna, nie jest taki, jak Balladyna, poetyczny, nie posiada tego, co Balladyna, wdzięku.

O téj różnicy swoich talentów, różnicy, tak wielkiéj, iż większéj pomiędzy poetami wyobrazić sobie prawie niepodobna, przekonali się Krasiński i Słowacki najlepiéj, kiedy sobie przeczytali wzajemnie:

---

[1]) Listy do Gaszyńskiego, str. 80, (cytowany już list z Rzymu z dnia 22 maja 1836 r.).

jeden Balladynę, drugi Irydiona [1]); a trudno określić ją piękniéj i poetyczniéj, aniżeli, jak to uczynił Słowacki, kiedy dedykując Krasińskiemu Balladynę (niezawodnie „na pamiątkę“ owych dni wspólnie spędzonych i przemarzonych w Rzymie) napisał, co następuje: „Tak więc, kiedy ty dawne, posągowe Rzymian postaci napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego; ja z Polski dawnéj tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wieków wydobywam chóry prorockie, i na spotkanie twojéj czarnéj, piorunowéj, dantejskiéj chmury, prowadzę lekkie, tęczowe i aryostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższéj krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni, z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.“

To Juliuszowe przewidywanie owego smutnego dla niego, a jak mniemał, nieuniknionego epilogu rzuca bardzo sympatyczne światło na poetę i na jego miłość dla Krasińskiego, miłość, w któréj było coś kobiécego, coś, co mu serce napełniało bezwzględném, bezgraniczném i bezkrytyczném uwielbieniem dla autora Irydiona,

---

[1]) Z listu I do autora Irydiona (umieszczonego na czele Balladyny) wynika najwyraźniéj, że Krasiński Słowackiemu Irydiona swojego przeczytał. Bo skoro Słowacki powiada w tymże liście, że „choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam piękne te gruzy, to jednak jaśniéj mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotymi skrzydłami anioła;“ to należy rozumiéć przez to, że owo jasne oświetlenie gruzów pałacu Nerona nastąpiło dla Słowackiego podczas jego bytności w Rzymie w r. 1836, nie późniéj, kiedy się Irydion ukazał na pułkach księgarskich, a kiedy Słowackiego już nie było w Rzymie. Z przedmowy St. Tarnowskiego do pism Z. Krasińskiego (str. XXXVI) wiemy, że „rękopis Irydiona przywieziony z R z y m u do Paryża, przez ś. p. Romana Załuskiego, wyszedł z druku w r. 1836“, to znaczy, że teraz w r. 1836 miał Krasiński w Rzymie rękopis Irydiona... Cóż więc naturalniejszego, że go przeczytał Słowackiemu, chociażby tylko rewanżując się za to, że mu Słowacki przeczytał Balladynę. A że Słowacki w Rzymie Krasińskiemu Balladynę i inne swoje utwory przeczytał, o tém świadczy następujący ustęp z jego listu do matki (Z Rzymu, d. 21 maja, 1836): „Przeczytałem był w s z e l k i e m o j e p r a c e Filom, które się im niebardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumié. Młodzi moi znajomi z chciwością pożérali, cokolwiek im udzieliłem“ etc. Że im przeczytał Balladynę, którą uważał za swoje najlepsze z dotąd napisanych dzieł, o tém niepodobna wątpić. Wynika to także z owego wyrażenia Krasińskiego w liście do Gaszyńskiego, że „Mickiewicz nawet nie miał tak r ó ż n o b a r w n é j i g i ę t k i é j wyobraźni.“ Téj „różnobarwnéj i giętkiéj wyobraźni“ dał właśnie Słowacki dowody p o r a z p i e r w s z y w Balladynie, w scenach z Gopianą, Chochlikiem i Skierką. W poprzednich, już drukowanych utworach, jak Marya Stuart, Mindowe, etc. nie była jeszcze ta wyobraźnia Słowackiego tak „różnobarwną i giętką.“

coś, co mu zamykało oczy na różne jego wady, coś, co mu nakazywało widzieć w nim jakiegoś „Archanioła wiary", jakiegoś „serc wskrzesiciela", — słowem, jakiegoś człowieka wyższego, świętego, z którym mierzyć się nie uchodziło poprostu, albowiem nie był to tylko genialny poeta, jak Mickiewicz, lecz jeden z tych duchów wielkich, proroczych, chrystusowych, z którymi obcowanie przynosi ukojenie. Dlatego chętnie i bez fałszywéj skromności przyznawał niższość swą wobec Zygmunta, niższość, do któréj się nie poczuwał zupełnie w stosunku do twórcy Pana Tadeusza i Dziadów. Co innego z Krasińskim! W nim widział przedewszystkiém ideał człowieka — teraz przynajmniéj w Rzymie — który mu był o tyle droższy, że pierwszy postawił go obok Mickiewicza, a nawet pod pewnemi względami przyznawał mu wprost wyższość nad nim. Tém podbił go sobie najbardziéj, dzięki temu urósł tak w jego oczach. W Krasińskim [1]) znalazł Słowacki swojego pierwszego wielbiciela, dodajmy, szczerego zupełnie, wielbiciela, który go podziwiał za to, co stworzył dotychczas, a który nadto świetniejszą jeszcze przepowiadał mu przyszłość... Takiego człowieka nie spotkał dotąd Słowacki nigdzie.

Nie dziw więc, że mu był za to wdzięczny i że najszczęśliwszym się czuł, kiedy byli razem, kiedy mógł z nimi rozmawiać... o sobie, kiedy z ust jego słuchał „pełnych zapału pochwał", kiedy Krasiński w „żywych i pasyonowanych rozmowach" nowe i nieznane mu dotychczas roztaczał przed nim światy, światy uczuć i myśli najwznioślejszych, i kiedy mógł powiedzieć o sobie, jak Kornelia Metella w Iry-

---

[1]) Dodać też należy, że oprócz Krasińskiego, pierwszy, który się na talencie Słowackiego poznał, był Konstanty Danielewicz. Oto, co pisze o nim Krasiński w liście swym do Słowackiego, który nie wiedział, z jakiego powodu, w jednym ze swoich listów do autora Irydiona wyraził się o Danielewiczu z przekąsem (o kim się on wogóle z przekąsem nie wyrażał?!), nazywając go „mentorem i ochłodzicielem" Krasińskiego: „Zgromię cię tylko, Julu, za jeden frazes. Skąd tobie, znawco natury, instynkcie chodzący i wnikający do wnętrza rzeczy i serc, skąd tobie, poeto, przyszło tak grubo się omylić w stosunku do jednéj z najpiękniejszych, najnamiętniejszych dusz na ziemi! Mentorem i ochłodzicielem zowiesz przyjaciela mego! Gorzka zaprawdę wesołość!... Pamiętaj jednak, że on pierwszy poznał się na Balladynie (w Rzymie). Poeto! kiedy ujrzysz blade lice, zasępione czoło, kiedy ci się wyda, że chłód powiewa z twarzy takowéj: pytaj się strun lutni sto razy o rozwiązanie zagadki, bo może pod tym alabastrem wre serce serc (NB. Na alabastrowéj płycie, pokrywającéj mogiłę Shelleya, jest napis *cor cordium*, serce serc). Nie pokazywałem mu tego zdania w liście twoim. On ci się szczerze kłania. On jest tu ze mną. W tym duchu jest ogromny rytm, ogromna miara muzyczna i t. d. (Listy Z. Krasińskiego, t. III, str. 7. Rzym, dnia 23 lutego 1840 r.).

dionie: „I jako prorok, i jako święty, on staje przedemną i mówi, a ja go słucham.“ Jakoż doszło do tego w końcu, że Słowacki, odkąd się zaprzyjaźnił z Krasińskim, dni prawie całe spędzał z nim i z jego towarzyszami, biegając „po odległych spacerach“ i zwiedzając wszystko, co było do widzenia w Rzymie, a z czém autor Irydiona, już czwartą spędzający tu zimę, był doskonale obeznany. Razem więc, czasami we dwóch tylko, a czasami w kilku, bo Danielewicz, Sauvan, Rajecki i Załuski najczęściéj dotrzymywali im towarzystwa, byli w Colosseum, razem na Kapitolu, razem na *forum romanum*, razem w katakumbach, razem w willi Mills; razem w pałacu Barberinich, gdzie oglądali słynny portret Beatrice'y Cenci, malowany przez Guido Reni'ego; razem w owym „tak zniszczonym i posępnym" pałacu Cenci'ch, gdzie im opowiadano o dawnych właścicielach, tudzież o krwawym dramacie, jaki się tu przed dwustu laty rozegrał; razem na owym „małym cmentarzu koło Świętego Piotra“, gdzie się znajduje grobowiec rodzinny Cenci'ch; razem na moście St. Angelo, na którym ścięto hrabiankę Cenci, macochę jéj, Lukrecyę, i brata Giacoma; razem w lochach podziemnych zamku Św. Anioła, gdzie więziono zabójców starego hrabiego Cenci, skąd ich prowadzono na tortury i skąd ich wreszcie wyprowadzono na rusztowanie; razem podziwiali nieśmiertelne malowidła mistrzów odrodzenia; razem oglądali groźny majestat Mojżesza Michała Anioła [1]) i majestat cierpienia rodziciel-

---

[1]) Sądzę, że czytelnik rad będzie znaleść tu, chociaż w przypisku, nieznany (a przynajmniéj prawie nieznany) wyjątek z listu Z. Krasińskiego o Mojżeszu Michała Anioła: „Wracam z kościoła Ś. Piotra *in vinculis*. Piękny był nadzwyczajnie dzień dzisiaj, a mnie było niezmiernie tęskno. Wyszedłem więc na miasto i napadła mię chęć zobaczyć arcydzieło Michała Anioła, owego Mojżesza, któregom niedawno razem z tobą oglądał. Pamiętasz ten biały, marmurowy kościół? Gdym zbliżał się do posągu, wielka pogarda, wielki gniéw tych ust, odepchnął mnie. Prawdziwy to prorok, co niedawno z Jehową rozmawiał, a teraz na lud swój bezrozumny patrzy z całą wyższością rozumu i z całym żalem olbrzyma. „Boga wam przynoszę, Boga wy nie rozumieli, hańba i biada wam.“ Tytan tak mówi... Co powié Chrystus późniéj? To samo, ale inaczéj zakończy: „Daruj im, Panie!“ Miłość pogodzi niższe duchy ludzi z najwyższym Boga rozumem. W piersiach Mojżesza Jehowa się jeszcze sroży, jeszcze szydzi i piorunuje... Nic wznioślejszego nie znam od tego posągu. Apollo Belwederski blady przy nim... W tém przybyli jacyś Francuzi. Zaczęli arcydzieło krytykować. Myśli ich wlazły na ten posąg jak pchły i skakały po posągu. Coś o brodzie gadali, brodę ganili i powtarzali co chwila: *bizarre*, tam, gdzie co chwila należało krzyknąć: *Sublime!* Wtenczas zrozumiałem jeszcze lepiéj ten uśmiéch pogardy wydłutowany na ustach posągu. Michał Anioł dla każdego krytyka gotową już w twarzy Mojżesza zamknął nagrodę: kazał téj twarzy pogardzać aż do końca świata“ (Wyjątki z listów Z. Krasińskiego, Paryż, 1860, str. 73, 74).

skiego przy utracie dzieci w posągu Laokoona [1]); razem wreszcie, jak Hamlet i Horatio nad grobem Yoricka, przesiadywali — nieraz godzinami całemi — na cmentarzu protestanckim, nad mogiłami dwóch poetów angielskich, Shelley'a i Keats'a.

Miło leżéć na takim cmentarzu, pisał o nim Słowacki do matki; mały, kwadratowy, pod piramidą Cestyusza, dawnego Rzymianina, położony, dokoła „cichemi" grobami z białego marmuru zasiany. W jednym kącie cmentarza widać przezroczysty kląb cyprysów i innych lekszych drzew; zupełnie, jak gaik Elizejski w Eneidzie Wergiliusza, po którym błądzą cienie kochanków-samobójców. „Cóż, moja droga, gdzie mi wybrać miejsce? Czy na krzemienieckim cmentarzu, pod śliwą babuni, nie będzie mi spokojniéj", aniżeli tutaj, na obcéj ziemi, obok tych poetów, zabitych przez edynburską krytykę?... Tymczasem, zdrów i wesół, nie potrzebował się obawiać losu Keatsa, t. j. przedwczesnéj śmierci z suchot, i dobrze mu było rozmawiać nad jego grobem z Krasińskim: o poezyi angielskiéj, o Byronie, a wreszcie i o tym ateuszu, Shelley'u, który utonął w zatoce morskiéj około Spezzia, i którego zwłoki późniéj, po wydobyciu ich z wody, Byron, przyjaciel jego, starożytnym obrządkiem greckim, podobnie, jak Achilles ciało Patrokla, spalił na stosie [2]).

---

[1]) Oglądanie tego posągu wpłynęło niemało na utworzenie się z czasem w umyśle poety Ojca Zadżumionych.

[2]) Krasiński, bardziéj od Słowackiego oczytany, znał utwory Shelley'a. Jeszcze w Genewie będąc w r. 1830, jak o tém wiemy z „Listów z podróży" A. E. Odyńca, rozczytywał się w poezyach Shelley'a: „Dzisiejsza nasza lekcya wierszowania (pisze Odyniec o sobie i o Z. Krasińskim na str. 288, t. IV swoich „listów") bardzo go nam przypomniała (Don Kichota). Zygmunt ma z sobą angielskie poezye Shelley'a, odznaczające się zwłaszcza rozmaitością i harmonią miary wierszowéj. Radzę mu więc próbować tłómaczenia, z zachowaniem tych miar i rytmu, nie troszcząc się bynajmniéj o... zachowanie sensu. Wynikły z tego takie dziwolągi, że aż kładliśmy się od śmiechu..." Na stronie zaś 311 i 312 pisze Odyniec z Meyringen, dokąd przybył z Mickiewiczem i Krasińskim wieczorem d. 24 sierpnia 1830 r., że jeżeli „tak strasznie poziewa", biorąc się do pisania listu, to nie należy tego przypisać ani fizycznemu znużeniu (gdyż dzisiejsze wycieczki nasze były tylko właściwie spacerem), „jak chyba czytania z Zygmuntem „Queen Maab" Shelley'a, a potém nader poważnéj przez cały wieczór rozmowie o krytyce i moralności." Owo ziewanie dowodzi (sądzę, że bardzo przekonywająco nawet), iż lektura poezyi Shelleyowskich nie bardzo przypadała do smaku Odyńcowi, zarówno jak i Krasińskiemu. W przeciwnym razie nie przypisywałby Odyniec jéj głównie owéj senności, jaka go ogarnęła już o godzinie 9 wieczór. Jakiekolwiek zresztą robił Shelley na Krasińskim wrażenie i cokolwiek opowiadał on Słowackiemu w Rzymie o autorze „Queen Maab", jedno zdaje się najmniejszéj nie ulegać wątpliwości, że rozmowy te z Zygmuntem o Shelley'u nad grobem ostatniego nie zachęciły Słowackiego do bliższego zaznajomienia się z dziełami autora „The

Ulubionym także celem przechadzek dla nich, zwłaszcza wieczorem, była o niecałych parę wiorst drogi od Rzymu położona willa Mills, czyli, jak ją powszechnie nazywano, Willa róż [1]). Jestto ogród pełny róż i cyprysów, zasadzony na ruinach dawnego pałacu cesarzów rzymskich. „Przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w siwéj mgle tonął", rozmarzeni ciszą nocną, panującą dokoła, i śpiewem słowików, mimowoli nakazującym myśléć o ogrodzie Kapuletów i o nieśmiertelném pożegnaniu Romea i Julii, nie słyszeli nieraz, że zégary miejskie już wydzwaniały północ: do tego stopnia dawali się porywać swoim rozmowom, które, „podobne do platońskich", często kazały im poprostu zapominać o godzinie i że już pora wracać. Ale bo téż na brak tematu do rozmowy nie mogli się uskarżać... Na pytanie zaś, co ich zaprzątało najbardziéj? o czém dysputowali najwięcéj? można odpowiedziéć bez wahania: poezya. Ta poezya, która zdaniem Krasińskiego, była „wieczném przewidywaniem najwyższych form, jakie czy na ziemi, czy w niebie, przybierze kiedyś realne życie" [2]), a którą, zdaniem Słowackiego, wiek nasz uważał za najlepsze „lekarstwo na chorobę smutku", poezya ta, a w szczególności to, co im nadawało prawo do tytułu poetów, t. j. ich dzieła, te, które napisali już, i te, które dopiéro w przyszłości napisać zamierzali: oto główna oś, około któréj w ożywionych gawędach swych, prowadzonych „po szalonemu językiem imaginacyi", obracali się najczęściéj, bo z największém upodobaniem. Słowacki, któremu żądza sławy nie dawała spokoju, czém się różnił od Krasińskiego, opowiadał mu z zapałem o swoich projektach na przyszłość — a przyszłość tę widział w bardzo różowych kolorach — o swoich kronikach dramatycznych, których pięć jeszcze miało nastąpić po Balladynie, będącéj pierwszą z cyklu; o tragedyach, jakie zamierzał napisać: o Krakusie, o Wandzie, o Ziemowicie, o Lechu, o Wallenrodzie, o Janie Kazimierzu, etc. „Cienie już różne ludzi niebyłych — mówił — wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jedną po drugiéj garstkę

Cenci"... Przynajmniéj (jak tego starałem się dowieść w swoim czasie w artykule mym o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego) niepodobna się w żadném dziele Słowackiego dopatrzéć jakiegośkolwiek, chociażby najsłabszego nawet, wpływu poezyi Shelleyowskiéj.

[1]) „Chodziliśmy razem (z Zygmuntem) na spacery i najczęściéj przepędzaliśmy wieczory w willi Mills" (Listy, I, 233).

[2]) Zob. List Z. Krasińskiego do J. Słowackiego z Rzymu, z d. 23 lutego 1840 roku.

na świat wypychać będę; i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś, w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy (jak w Makbecie), a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie: „Niestety!...“ A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku.“ A kiedy w odpowiedzi na to Krasiński wyraził wątpliwość, czy przypadkiem z dzwonków polnych nie większa ozdoba ruinom, „niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta“, on wątpliwości téj nie podzielał i obstawał przy swojém, na twierdzenie Zygmunta takim odpowiadając argumentem: „O, nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta, bo (i to był argument Słowackiego), choć róże, rosnące na ruinach pałacu Nerona (które właściwie widzimy przed sobą), rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniéj mi je oświecił ów duch Irydiona, któregoś ty pod krzyżem w Colosseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła...“

Za tło do podobnych rozmów służyło im czasem i mieszkanie Konstantego Danielewicza, do którego przychodzili na muzykę. Danielewicz bowiem grał przepięknie na fortepianie, czém ich rozmarzał obydwóch i o „dziwne rozemdlenie serca“, jak powiada Słowacki, przyprawiał. Wpływ ten miała na nich gra Konstantego z dwojakiéj przyczyny: przedewszystkiém, istotnie mistrzowska pod względem wykonania, nie mogła nie rozmarzać sobą takich dwóch natur poetycznych, jak Słowacki i Krasiński; powtóre, przypominała im najpiękniejsze, najczarowniejsze chwile, jakie mieli w życiu: Słowackiemu pannę Wodzińską, która miała podobny sposób gry, jak Danielewicz; Krasińskiemu panią Bobrową, z którą nieraz, jak obecnie ze Słowackim, słuchał muzyki Konstantego, a z którą trwający już od trzech lat przeszło romans *à la* Balzak (pani Bobrowa bowiem była *une femme de trente ans*, nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, z którym miała dwoje dzieci, dwie córki) był dla niego w tych czasach jedynie źródłem udręczeń i zgryzot [1]).

---

[1]) Zob. moje studyum p. t. „Pierwsza miłość Zygmunta Krasińskiego“, drukowane pierwotnie w Ateneum, w zeszytach wrześniowym i październikowym z r. 1892-go, a następnie (znacznie uzupełnione) w krakowskim „Świecie“ z r. b. (Nr. 7 — 17).

Bo nie należy zapominać, że oprócz tylu łączników duchowych, wiążących Krasińskiego ze Słowackim, był jeszcze i ten, niemniéj silny od tamtych, że obydwaj byli zakochani (choć każdy po swojemu), obydwaj stęsknieni za swemi kochankami, obydwaj pozbawieni wiadomości o nich, obydwaj trapieni niespokojnością z tego powodu i — jak to zakochani — obydwaj smutni najczęściéj, a przynajmniéj nastrojeni rzewnie, melancholijnie. U Słowackiego, u którego imaginacya większą grała rolę, aniżeli temperament, nie przejawiało się uczucie to zbyt gwałtownie: zresztą, skryty z natury, usiłował je tłumić w sobie i nie okazywać go o ile możności; ale u Krasińskiego, z którym rzecz miała się przeciwnie, bo namiętny temperament w nim brał zawsze górę nietylko nad wyobraźnią, trapiącą go różnemi upiorami przeszłości, ale i nad zdolnością powściągania rozigranych nerwów; u Krasińskiego, choć również, jak Słowacki, starał się nie okazywać po sobie, jakie nim targają uczucia, nie zawsze walka ta z wewnętrznym demonem miłości uchodziła baczności obecnych. Cierpiąc „w głębi ducha", zdarzało się niekiedy, że z dziwnym, niewymownym wstrętem, jeśli przypadkiem w czytaniu szukał zapomnienia, odrzucał książkę, któréj i tak nie rozumiał, i znowu tonął w téj „próżni bez imienia, bez granic", która go otaczała. Czasami znów, kiedy, leżąc na sofie, słuchał muzyki Konstantego, powstawał nagle „w jakiéjś rozpaczy, obudzonéj pięknością dźwięków" i prosił przyjaciela, ażeby przestał grać... Tak „drżał na pewne wspomnienia!" A jednak, choć cierpiał z ich powodu, puszczał im czasem serce, jak powiada, ażeby po niejakim czasie znów odsuwać je od nich, tysiącom myśli powtarzając, jak Kartuzi: *Memento mori.* Zdarzało się téż, że grając w wista z towarzyszami (do których należał niekiedy i Słowacki), lub sam układając *passjans*, bo i tego używał sposobu, „pasując się z szyderskim, niewidomym losem", rzucał ni stąd, ni zowąd karty na stół i, płonąc gorączką od nagłego, spazmatycznego śmiechu, zaczynał, ku niewysłowionemu zdziwieniu przyjaciół, zdziwieniu, graniczącemu z osłupieniem, sypać żarciki jakieś gorzkie, zgryźliwe, poczém zapadał ponownie „w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne" [1]).

Towarzystwo Słowackiego „ożywiało" go w takich razach najbardziéj; Słowacki zaś, nie wiedzący o właściwych powodach tego w przyjacielu swym rozdrażnienia (dyskrecya bowiem nie pozwalała ich Krasińskiemu wyjawiać), ażeby go rozerwać i sobie przytém myśl rozweselić, proponował mu... odszukanie państwa Richthoffen, ażeby

[1]) Zob. List do K. Gaszyńskiego, datowany z Rzymu 22 maja 1836 r.

popatrzéć na piękną baronowę, o któréj wiedział, że się podobała nietylko jemu, ale i Krasińskiemu. Jakoż „latali za nią, jak waryaty po willach włoskich, ażeby ją zobaczyć“ i nie marząc o niczém, tylko o tém, żeby jéj być przedstawionym. Wiedzieli, że jest Polką, choć mąż był Niemiec, słyszeli o niéj, że ma być „bardzo miłą osóbką, wiele gadającą, z rodzaju naszych przymilających się, zwinnych kobiétek warszawskich“, nie dziw więc, że mieli ochotę poznać ją, raz dlatego, że ładna, bardzo ładna, a powtóre, że Polka, co jéj w oczach ich podwójnego dodawało uroku, jednemu bowiem i drugiemu zdawały się Polki „z innego świata, lekszego, zgrabniejszego stworzeniami.“ Nareszcie stało się pragnieniom ich zadość: Aleksander Potocki, jako dobry znajomy państwa Richthoffen, zarekomendował ich raz w ogrodze Borghesych i nastąpiło... rozczarowanie: „ideał utworzony w imaginacyi rozprysnął się za pierwszém spotkaniem.“ Swoją drogą zaczęli z czasem bywać u nich w domu; nazwisko Słowackiego, „już trochę znane“ pomogło mu, jak powiada, do otrzymania dobrego nader przyjęcia; za Krasińskim, o którym nie wiedziano, że pisze również, przemawiał tytuł hrabiego, przyszłego ordynata; i wywiązała się tym sposobem „milutka znajomość“, z któréj korzystali raz po raz, choć przyznawali, że lepiéj się bawili, kiedy sami, we dwóch tylko, błądzili po ulicach, albo okolicach Rzymu.

Słowackiemu wszystko się wtedy wydawało piękniejszém, poetyczniejszém, i niejedno, na co, kiedy chodził z Filami, nie zwrócił był prawie uwagi, teraz, dzięki towarzystwu Krasińskiego, wprawiało go w ekstazę. Przy oglądaniu kościoła Świętego Piotra np., kiedy stali na dziedzińcu przed świątynią, pod owym obeliskiem między wodotryskami, zdało mu się któregoś dnia, — a było to w samo południe, kiedy (że użyję tu wyrażenia mojego przyjaciela, Kazimierza Tetmajera) „słoneczne zamyślenie świat ogarnęło cały“, że

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
　　Skrzydła fontannom i włos im ubiela,
Wyszły Anioły przewodnie, bliźnięta,
　　Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta,
　　Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem...

I Słowacki, patrząc na nią, mimowoli myślał sobie:

— Jéj-bym nie zwalił gromem, echem, płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica;
Wysokość — z niebios równałem otchłanią,
Bo ta kopuła, to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny, na drodze.

Potém Bóg Perun, wróciwszy w łotysze,
Puszczom i sosnom bladym rozpowiada:
„Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada,
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny się w nim zagnieżdżą łabędzie,
I orły będą w czerepie mieć dzieci...“
Tak mówił Perun... Ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co... próchnem świeci;
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontann Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach, i ty, świata siło,
Krzyżu pokorny, i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem!
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem.

Strudzony byłem i smętny. Lecz znowu,
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni, ludzi malować i ziemię [1]).

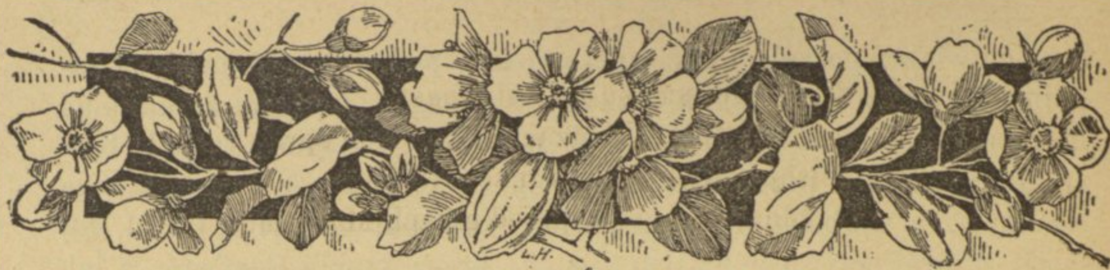
Jakoż powrócił istotnie „do swego narowu, do pieśni“, wyobraźnia jego bowiem, od chwili przyjazdu do Rzymu, jakby senna

[1]) Beniowski (Część druga, Pieśń VIII-ma w wydaniu lwowskiém drugiém, str. 52, 53).

i rozleniwiała, poczęła teraz, niezawodnie pod wpływem pełnych zapału rozmów z Krasińskim, ożywiać się nagle, nowemi zapładniać marami, a ponieważ przebudzenie to nastąpiło w Rzymie, więc i obrazy, jakie zaczęła przesuwać poecie przed oczyma duszy, miały za tło Rzym, a za bohatérów... rodzinę hrabianki Beatrice Cenci, téj saméj, któréj portret w białym zawoju, przez Guido Reni'ego, a jak głosiła legenda w więzieniu, na parę dni przed śmiercią pięknéj Beatrix malowany, oglądał niedawno w pałacu Barberinich.

(*D. n.*) *Ferdynand Hösick.*





Z „BEZSENNYCH NOCY.“

WIDMO POD FONTANNĄ.

Noc była piękna... Stolica Mazowsza
Szumiała gwarem, jakby w karnawale —
W chłodzie wieczoru piękniejsza i zdrowsza
Westchnęła głębiéj w powietrza krysztale.
Zwykła jéj szata zdawała się nowsza,
Ubrała łono w długie lamp korale
I pod gwiaździstych szafirów namiotem
Większym zagrzmiała ruchem i turkotem.

Wartko po bruku sunęły pojazdy,
Goniąc strwożonych przechodniów z przed siebie,
Którzy, jakkolwiek przywykli do jazdy
Łamiącéj karki — lecz byli w potrzebie
Pierzchać co chwila. Złote latarń gwiazdy
W zawody z temi szły, co w cichém niebie
Świecąc, rzucały blaski posępniejsze —
Od miejskich były mniejsze, lecz piękniejsze.

Z za mórz gdzieś siedmiu i z za gór czternastu,
Przybyłem właśnie do gwarnéj Warszawy,
Wyszedłem nieco przypatrzéć się miastu,
Jako podróżny, lub wprost — człek ciekawy;

Który po świecie od lat kilkunastu
Włóczy się, śledząc życia różne sprawy
I zapisując większéj wagi sceny —
Idąc, zaszedłem przed gmach Melpomeny.

Jak w wązki otwór ula pszczelne roje
Śpieszą z brzęczeniem—szumiąca gromada,
W otwarte zewsząd teatru podwoje
Tłoczy się—ciśnie—znika gdzieś—przepada...
Widząc, że tutaj kroku nie dostoję,
Gdy na pytania nikt nie odpowiada,
Odszedłem na bok między drzewek cienie
Na środek placu. — Zaległo milczenie.

Powozy stały przed teatrem — próżne,
Za to się więcéj pieszych przesuwało,
Od świateł latarń, krótkie to podłużne,
Rzucając cienie. W dali miasto grzmiało
Stłumionym gwarem, a mnie myśli różne
Zaczęły snuć się, — bo wciąż się zdawało,
Że tłum z zdwojoną podążał ochotą —
Omałom na głos nie krzyknął: „A co to?“

Ale—że kiedyś, w lubych dniach młodości,
Gdym—dziecko—huknął po środku ulicy,
Madame mi rzekła, że krzyk wesołości
Tu nie ma miejsca; że tak ulicznicy
Robią — że w krzyku brak przyzwoitości,
Któréj nie znają tylko ludzie dzicy...
Więc—przypomniawszy tę chwilę dzieciństwa —
Usiadłem cicho, nie chcąc robić ś . . . .!

Wśród karłowatych drzew żółtéj akacyi
Była ławeczka, gdzie siadłem znużony.
Miasto wesołe — pewnie nie bez racyi!
Może na scenie wirtuoz natchniony
Dźwiękami mówi do czułych serc braci,
Oklaski zbiera, no—i coś z mamony.—
Może w poważnych konturach dramatu
Wieszcz — o zadaniu świata — mówi światu.

A może, może — bywa i to czasem —
Sztukmistrz łamane pokazuje figle,
Nieznanych dziwów obdarzon zapasem,
Menuet cały przetańczy na igle
I tłum go hucznym powita hałasem —
Latają stołki, dzwonią same tygle,
Sto niespodzianek naraz masz dla oka,
Że musisz gębę rozdziawić, jak sroka.

Gdy tak myślałem, nagle — jakby tchnienie
Wiatru, coś senne trąciło gałązki —
Jęk posłyszałem, i jęk — i westchnienie.
A!... to fontanny słup przez otwór wązki
Rwąc się, bolesne wydobył jęczenie
I rzucił w górę świateł srebrne wiązki —
Źle tłómaczyłem, bo fontanna cicha
Wciąż jednakowo szumi—lecz nie wzdycha.

Więc może Sylfy ukryte w szczelinie
Płaczą, że jakiś bóg nielitościwy
Ujął psotników w swawoli godzinie
I z miejsc przepędził, kędy wiek szczęśliwy
Na drżącéj kwieciem spędzały dolinie —
To rzewnie jęczą Sylfy!... Głos płaczliwy
Znów się odezwał smutny—długi—głuchy...
Nie!... takim głosem nie wzdychają duchy.

Zapewne piersi karyatyd rozdęte,
Trzymając duży basen wodotrysku,
Pod tym niezmiernym ciężarem ugięte,
Nie mogły dłużéj wytrzymać nacisku,
I takie tchnienie wydały przeklęte,
Jak gdyby były już w śmierci uścisku
I czuły, że im ramiona się suną,
Gną się i łamią, aż pękną i runą?...

Nie!... Te olbrzymie niewolników ciała
Stoją i milczą. Do koła obchodzę
Wodotrysk... Co tam?—Jakaś postać biała,
Z zapadłą piersią usiadła przy drodze

I obłąkanym wzrokiem w dal patrzała —
A czoło miała poorane srodze,
A taki blask się z jéj oczu wydziera
Mętny, jak wtedy, kiedy myśl umiera.

Podszedłem.—Ona podniosła się z darni —
Z ust się wyrywał jakiś śpiew okrutny.
Przy słabym blasku płonącéj latarni
Ujrzałem ducha, widmo, czy cień smutny,
Na którym ślady zostały męczarni,
Jakiéj nie szczędził widać los rozrzutny.—
Dziwaczny miała strój, na czole wieńce,
Na licach sine, okropne rumieńce.

— „Kto jesteś?... Ona na pytanie głucha,
Jakąś pieśń nuci bez związku, bez treści —
Dotknięć nie czuje, wołania nie słucha
Zakamieniała w bezbrzeżnéj boleści,
Do widzeń swoich przykuta łańcucha,
Ogarnia strzępy sukni i szeleści
Jak wiatr, gdy nagle przez las trzcin się przetrze —
I urywaną rzuca pieśń w powietrze:

— „Śmiać mi się każą, bawić się każą,
W strojne ubierać się szaty
Patrzéć w twarz świata, wesołą twarzą,
Całować słońce i kwiaty;
Gonić motyle wśród traw kobierca,
Taneczne zataczać koło —
A ja już w piersi nie czuję serca,
Zimne mam usta i czoło!

Miałam dom cichy, w nim tyle czaru!
U ścian plątało się kwiecie...
Dom mój spaliła iskra pożaru,
Pyły wiatr rozwiał po świecie!
Bóg mi dał dzieci, z niemi trud, znoje —
Lecz ręce miałam z żelaza...
Gdzie moje dzieci, gdzie dzieci moje?
Zabiła wszystkie zaraza! —

Wyłam z rozpaczy, boleści, szału,
Szarpałam nędzne to ciało —
Lecz krzyk męczeński skonał pomału,
A w piersi serce skonało!

I... coś tu pękło!.. Mrok wpadł do duszy,
Nie wiem gdzie jestem, kim jestem?..
Przebytéj tylko pamięć katuszy
Dawnych ech woła szelestem.

Nie dla mnie promień słońca dziś świeci,
Nie dla mnie księżyc blask sieje —
Wróćcie mi dzieci, dzieci, och dzieci.
Rozwiane wróćcie nadzieje!...
Ja dla was zgarnę wszystkie motyle,
W godowych wystąpię szatach...
Dzieci w mogiłach, sen mój w mogile,
A oni mówią o kwiatach!...

Bierz kwiaty teraz!.. Cha, cha, cha!... Matka
I wdowa w kwiatach na grobie!..
Tan!... kwiaty dla mnie, wołam, waryatka
W wielkiéj po synach żałobie!
Śmiéj się!... Cha, cha, cha!... Oko się łzawi
Sto ciosów krwawo pierś znuży!
Ha! śmiać się będę — jeśli was bawi
Śmiech oszalałéj z rozpaczy!“

Och! jak okropnie w cichém oddaleniu
Téj obłąkanéj zamarł śmiech szaleńczy,
I gdy odeszła, gdy znikła w drzew cieniu,
Czułem, że duch mój targa się i męczy
W jakiémś straszliwém sił wszystkich omdleniu —
A miasto szumi, i dzwoni, i brzęczy,
I może nie wié, że co noc, o ściany
Domów — uderza ten krzyk obłąkany!

Kazimierz Gliński.





SPOŁECZEŃSTWO I HISTORYA

W ŚWIETLE TEORYI NAŚLADOWNICTWA

G. Tarde'a.

I.

Od czasów Hegla i jego formuły historyozoficznéj ukazywały się liczne syntezy dziejowo-społeczne, a każda z nich, opierając się na jednym jakimś pierwiastku, wyprowadzała zeń cały system i do niego wszystko redukowała. Za naszych czasów widzieliśmy też nie mało takich formuł syntetycznych. Spencer postawił swoją ewolucyą, Bastian — *Völkergedanke*, Gumplowicz — walkę ras, Fouillé — przeciwieństwo umowy społecznéj i organizmu społecznego, przeciwieństwo wiary i nauki, albo pracy i kapitału i t. d. Wszystkie te systematy odznaczają się logiczném zaokrągleniem, pewną muzykalnością i w każdym niewątpliwie znajduje się jądro prawdziwe, ale błądzą samopas i właściwie biorąc, zawsze tylko jedną prowincyę socyologii badają: bardzo być może, że gdyby je połączyć w jedną ogólniejszą jeszcze formułę, powstałaby z nich całość bardzo szeroka, całe królestwo socyologii ogarniająca.

Najbliżéj tego ideału stoi niewątpliwie Spencer; ale jego zbyt szerokie ramy pomijają tysiączne szczegóły, które przy bliższém rozpatrzeniu przeczą zasadzie głównéj. Te słabe strony znalazł i pragnie usunąć z nauki Spencera G. Tarde, znany ze swoich badań w dziedzinie kryminologii i prawa, umysł uzdolniony do syntezy, a zarazem obdarzony wielkim talentem krytycznym. W dziele p. t.

Les lois de l'imitation chce on stworzyć „klucz do otwierania wszystkich zamków", jak się o nim wyraża jeden z pisarzy francuskich.

Ale Tarde, znalazłszy *le mot*, jakby zahypnotyzowany niém, niejednokrotnie o rzeczywistości zapomina i wpada na bezdroża dyalektyki. Chwilami zdaje się on poprostu uczniem Spencera, uczniem, który innemi słowy powtarza naukę mistrza, od czasu do czasu krytykując go surowo; chwilami znów wygląda na człowieka, który opowiada bardzo stare rzeczy w nowéj terminologii; nie brak téż u niego zwyczajnéj gry słów (np. niektóre uwagi o logicznych walkach i związkach), a gdy do kresu dochodzi i chce objaśnić istotę swéj teoryi (naśladownictwo = hypnotyzm), schodzi na takie manowce, że jego teorya zdaje się nam niczém.

Pominąwszy jednak ten fakt, że autor nie objaśnia saméj zasady swego systemu, dalsze wnioski płyną logicznie z najprawdziwszego pewnika logiki i matematyki, formuły $a = a$. Redukcya danego systemu do tak prostéj i niezawodnéj zasady—świadczy o jego wielkiém prawdopodobieństwie, choćby nawet tu i owdzie znalazły się luki i niedostatki. Olbrzymia erudycya z dziedziny lingwistyki, religii, historyi, filozofii, ekonomii, prawa, biologii, fizyki i wielu innych gałęzi wiedzy ludzkiéj — nie stoi autorowi na przeszkodzie w koordynacyi i wiązaniu zjawisk: przeciwnie podnieca w nim tylko skłonności syntetyczne, a kierowana pewnym idealnym poglądem na świat, poglądem, który wieńczy koniec dzieła, nadaje całości książki cechę zamkniętego w sobie i skończonego systemu. Jeżeli nie wszystkie, to przynajmniéj wiele zamków będzie można tym kluczem otwierać i dlatego godzi się zapoznać z tém dziełem.

Le mot całéj teoryi stanowi n a ś l a d o w n i c t w o; z punktu widzenia naśladownictwa bada Tarde zjawiska społeczne. Ponieważ zaś zasada naśladownictwa leży w saméj głębi świata biologicznego i świata mechanicznego, zatém zjawiska społeczne mają charakter biologiczno-mechaniczny.

Cechę istotną społeczeństwa stanowią bezustanne w niém zmiany. Zmiany te niektórzy objaśniają wpływem wielkich ludzi, inni fatalnością rozwoju. Ani jedno, ani drugie nie ma—podług Tarde'a—tak wielkiego znaczenia. Nie jeden wielki człowiek przeszedł bez żadnego wpływu, i nie jedno zjawisko, zamiast się rozwinąć, zamarło na wieki, nie zaprzeczając mocy ani wielkim ludziom, ani konieczności bezosobistéj. Tarde nadaje obu tym potęgom inne nazwisko. Zasadę postępu stanowią nowe pomysły, nowe kombinacye z dawnych, utrwalonych dziedzicznością, wynikające, najczęściéj przypadkowe i bezimienne, którym Tarde nadaje nazwę o d k r y ć i w y n a l a z-

ków. Odkrycia rozpowszechniają się drogą naśladownictwa i, biorąc społecznie, wszystko jest albo odkryciem, albo naśladownictwem, a naśladowania o wielekroć liczniejsze są od odkryć.

Gdzie się mieścić winny fakta społeczne, w nauce czy w filozofii? Na to odpowiada Tarde, że inną rzeczą jest nauka społeczna, a inną filozofia społeczna i objaśnia to analogią z innemi gałęziami wiedzy.

W nauce odbywa się przedewszystkiém proste gromadzenie faktów (spis gwiazd, roślin, pierwiastków, zjawisk fizycznych); przyczyny i cele, objaśnienie, jedném słowem, filozoficzna strona przedmiotu występuje dopiéro późniéj, gdy zbierze się dostateczna ilość faktów. Cechą tych faktów jest przedewszystkiém ich podobieństwo, jednorodność; bez podobieństwa nie możnaby było wcale ich gromadzić. Wyobraźmy sobie na chwilę świat, w którym żadne zjawisko nie jest podobne do drugiego: w świecie tym stosowanie miary i liczby nie byłoby możliwe. Podobieństwo zatém jest główną podstawą nauki [1]). Formuła 1 = 1 musi być zastowaną, inaczéj niemasz liczby, ani matematyki.

Cząsteczki wodoru są zawsze te same; komórki danego drzewa są jednorodne; żołnierze jednego pułku są sobie podobni. Są to wielkości, które się nawzajem powtarzają. To podobieństwo, to powtarzanie się jest warunkiem rozmaitości: gdyby ich nie było, niemożliwość ustalania, zestawiania, mierzenia dawałaby w wyniku chaos, nie zaś rozmaitość. Pierwiastki każdego zjawiska (fizycznego, biologicznego, socyalnego) występują w coraz to innych kombinacyach; zmiany kombinacyi—to postęp, życie, rozwój; gdy się wszystkie kombinacye wyczerpią, następuje śmierć.

Bez powtarzania nie byłaby możliwą ani liczba, ani rozmaitość, ani rozwój, ani życie, ani śmierć, ani byt sam nakoniec. Powtarzanie jest prawem powszechném bytu; formuła $a = a$ wszystko może wytłómaczyć, bo wszędzie się napotyka.

W świecie fizycznym powtarzanie występuje w kształcie drgań falistych (wibracyi); w świecie organicznym, jako dziedziczność; w świecie socyalnym, jako naśladownictwo.

Nawiązując rzecz do rozumowań poprzednich, zaznaczyć należy, że o ile przyrodnik przedstawia nam swoją naukę, jako uporządkowany system zjawisk podobnych i jednorodnych, o tyle historyk wybiera tylko fakta nadzwyczajne, niepodobne do siebie, nie powtarzające się nigdy; stąd wynika, że historya dotąd jest nauką bezładną, a wła-

---

[1]) Przypominamy analogiczne rozumowanie Spencera o różnicy.

ściwie nie jest nauką, nie używa bowiem miary ani liczby do swoich celów, choć już próby w tym kierunku poczyniono (statystyka). Tak np. wpływ Rzymian na Gallów należy do tych faktów, w których zjawisko naśladownictwa (upodobniania) występuje najjaskrawiéj, a tymczasem historyk woli opisywać niezwyczajne przygody Cezara lub Klodoweusza.

Trzy formy powtarzania znajdują się w ścisłym pomiędzy sobą związku. Wibracye świata mechanicznego powtarzają się w komórkach organicznych, i dzięki temu potomstwo zawsze powtarza swoich przodków; tak więc powtarzanie biologiczne opiera się na fizycznėm. Dziedziczność znów jest jedną z głównych zasad naśladownictwa: to znaczy, że powtarzanie socyalne opiéra się na biologicznėm. I podobnie, jak w świecie biologicznym, w pewnych warunkach może powstać odmiana (*varietas*), tak w społeczeństwie zjawia się odkrycie.

Wynikają stąd trzy formuły powtarzania powszechnego [1]):

1) Powtarzanie w świecie mechanicznym wypływa z peryodycznego ruchu wibracyjnego.

2) Powtarzanie w świecie organicznym wynika z dziedzicznego przenoszenia cech gatunkowych.

3) Powtarzanie socyalne jest rezultatem naśladownictwa w rozmaitych postaciach: mody i obyczaju, posłuszeństwa i sympatyi, nauczania i wychowania, ciemnoty i świadomości i t. d. Środkiem, który naśladownictwo przenosi i utrwala, jest mowa.

Przechodzimy teraz do niektórych szczegółów, a mianowicie do analogii i różnic tych trzech formuł.

Powtarzanie jest jednocześnie wzrastaniem liczebném, rozmnażaniem: kamień rzucony w wodę rozmnaża do nieskończoności kręgi falowe; Malthus i Darwin określili dążność gatunków do rozpowszechnienia; narzecza, religie, idee — wszystko to dąży do opanowania całéj ziemi. Ale, im rodzaj powtarzania jest wyższy, tém rozpowszechnienie trudniejsze, gdyż środowisko bardziéj złożone.

Fala mechaniczna ma w eterze czy powietrzu doskonałe środowisko rozmnażania się; gatunek zwierzęcy czy roślinny, postawiony w danych warunkach geograficznych i chemicznych, trudniéj się rozpowszechnia; środowisko społeczne wreszcie jest jeszcze oporniejszym przewodnikiem liczby, gdyż tutaj bywają starcia bardziéj zawikłane od starć biologicznych.

---

[1]) Jako pozorny wyjątek z téj powszechności wskazuje Tarde przestrzeń. Powstaje ona z przyległych i nieruchomych, a ruch warunkujących części, których jednak nie możemy sobie wystawić—jako powtarzanie.

Jak fala mechaniczna ze zmianą środowiska zmienia kształt swych wibracyi, podobnież zjawisko społeczne zmienia się wraz ze zmianą języka, rasy, religii i t. d. Gdy raz jednakże pewna siła odniosła zwycięstwo, dąży ona do uniwersalności i zdobywa ją, o ile przeszkód nie napotyka, jak np. cywilizacya rasy białéj, a właściwie mówiąc, podboje Rzymu. Pomijając epokę Romy żyjącéj, widzimy kolejno, jak Karol W. podbija pod panowanie kultury rzymskiéj Germanów, Wilhelm zdobywa Anglię, Kolumb — Amerykę, Rosya i Anglia — Azyą i Oceanią; Japonia samoistnie już się romanizuje; Afryka świéżo weszła do tego koła i jedne tylko Chiny stoją oporem; ale i one kiedyś ulegną i wówczas na całéj ziemi zapanuje jeden typ kultury greko-rzymskiéj (licząc w to i Judeę). Ta epoka powszechnéj jednostajności całéj kuli ziemskiéj należy do najdroższych ideałów Tarde'a, który bardzo często do niéj powraca. Analogia rozmaitych kształtów powtarzania idzie daléj jeszcze: znajdujemy w świecie socyalnym polaryzacyą, refrakcyą i interferencyą. Np. Napoleon jest polaryzatorem ducha swojéj armii; Platon załamuje się w Cyceronie, Eurypides w Rasynie.

Interferencya jest zjawiskiem najczęstszém. Dwa czynniki fizyczne — spotykają się (płynąc w jednym kierunku lub w przeciwnych) — i albo się wzajemnie potęgują, albo unicestwiają. Dwie odmiany (np. psów, gołębi), łącząc się, albo się niezmiernie mnożą, albo zanikają). Podobnie dwa wierzenia lub dwa chcenia, albo jedno wierzenie i jedno chcenie, schodząc się, muszą albo znieść się nawzajem, albo się łączą w jedną siłę. Przykład interferencyi wiążącéj mogą stanowić np. krucyaty, gdzie żądza wojny i fanatyzm religijny podsycają się nawzajem; albo też wymiana przedmiotu zbytecznego na przedmiot potrzebny (wynalazek handlu). Interferencye starcia widzimy w wojnach religijnych, dysputach parlamentarnych (dwa wierzenia); wojnach politycznych, konkurencyi przemysłowéj (dwa chcenia). Interferencye wiążące odbywają się bezustannie, ale starcia są widoczniejsze: one-to tworzą tak zwane kwestye, jak np. wschodnia, żydowska, socyalna, t. j. zaostrzone stany interferencyi społecznéj.

Takie są analogie różnego rodzaju powtarzań. Istnieją wszakże i różnice: różnice w stopniu niezależności.

Fale izochroniczne zléwają się ze sobą, żywe istoty rozchodzą się swobodnie. Zjawiska socyalne oddziaływają na siebie bez względu na czas i przestrzeń. Rękopis Cycerona o republice, znaleziony w tysiące lat po jego napisaniu działa jak rzecz świéża i żywa. Artysta współczesny może naśladować Fidyasza lub Rafaela. Naśladownictwo — jest-to odtwarzanie na odległość. Przekonamy się o tém

najlepiéj, porównywając ze sobą stany gwałtowne tych trzech kategoryi: huragan, epidemię i rewolucyę. Huragan pędzi z miejsca na miejsce, bez przerw, i nigdy nie wydziela z siebie fal, przenoszących zarazę burzy: tu działają tylko cząstki sąsiednie. Epidemia rozchodzi się swobodniéj: uderza w jedno miasto, pomija drugie. Rewolucya jeszcze swobodniéj się rozpowszechnia: dzięki jednéj depeszy może naraz w różnych miejscach wybuchnąć.

Drugą, wielką różnicę między wibracyą biologiczną a społeczną stanowi to, że wytwory społeczne odrazu na świat przychodzą w formie ostatecznéj, kiedy organizmy powtarzają w zarodku fazy genetyczne, a następnie przebywają wiek dziecinny i młodzieńczy. Lokomotywa długie czasy była obmyślaną, rodzoną, mając jednak model lokomotywy, fabryki natychmiast powtarzają ją w formie skończonéj.

Ruch drgań ogrzewa środowisko i bieg ich przyśpiesza, ale zysk czasu jest tu niewielki; na odwrót rozpowszechnienie np. szpilek, zapałek, zegarków płynie z zadziwiającym pośpiechem. W naturze zmiany są znacznie powolniejsze, niż w świecie społecznym. Dlatego téż póki społeczność była w stanie natury, w pierwotnéj dobie, rozwój jéj był daleko powolniejszy.

Ten ostatni punkt prowadzi nas do nowéj kwestyi, a mianowicie do rozróżnienia w życiu gromad ludzkich, zjawisk biologicznych od zjawisk socyalnych. Rozróżnienie to jest bardzo ważne, gdyż jak obaczymy niżéj, całą sferę ekonomiczną Tarde zalicza do świata zjawisk czysto życiowych, nie zaś socyalnych. Na tém również opiérają się różnice między zjawiskami funkcyonalnemi i anatomicznemi; nakoniec różnica ta służy autorowi za podstawę do odparcia niektórych zarzutów, jakie teoryi jego mogłyby być postawione.

Jakim sposobem drogą naśladownictwa wytłómaczyć fakt, że w Szwajcaryi i w Nowéj Gwinei znajdujemy budowle nawodne? Podobieństwo życia szkockich górali i mieszkańców wysp Sandwich w epoce Cooka? Podobieństwo urządzeń społecznych, wiadomości naukowych, wierzeń religijnych Meksyku i Chin lub Egiptu. Nie są to, odpowiada autor, podobieństwa lecz homologie. Ryba i wieloryb, żyjąc w analogicznych warunkach, przybierają kształt podobny; ptak i pszczoła, tworzą skrzydła, potrzebne im do lotu: ale tu w świecie organicznym, działają nie przyczyny biologiczne, tylko fizyczne i zjawiska te nie należą do formuły drugiéj lecz do pierwszéj. Pierwotne wynalazki były czysto życiowe i skoro tylko znalazły się warunki podobne, wyniki były homologiczne. Nadto należy zawsze pamiętać o jedności natury ludzkiéj, która właśnie tę homologię wytwarza. Dla-

tego też wynalazki życiowe należą do formuły drugiéj, nie zaś do trzeciéj.

Późniéj dopiéro, kiedy jakiś antropoid genialny wynalazł zaczątkowy język i kult, przypadkiem powstałe: wówczas dopiéro rozpoczęło się życie socyalne. Przypadkowość ta ma swoje wielkie znaczenie: każdy wynalazek jest rozwiązaniem nieokreślonego zadania, o wielkiéj liczbie odpowiedzi. Podobnież w pierwotnéj protoplazmie tworzyły się różne ogniska tworzenia, aż nakoniec jedno z nich zwyciężyło. Trudno dziś nam zrozumiéć, ile geniuszu było potrzeba do rozwiązania najprostszych zadań, jak np. oswojenie zwierząt domowych, niewątpliwie długiego wymagało czasu. W Ameryce przedkolumbowéj koń istniał, ale w epoce jéj odkrycia był już wytępiony, zabijano go bowiem na pokarm.

W każdym razie błędném jest mniemanie, że w epoce przedhistorycznéj, narody nie miały ze sobą stosunków. W Meksyku znaleziono wyroby z nefrytu, kamienia, którego nie masz w całéj Ameryce. Wpływ Egiptu na Mezopotamią datował się od niezmiernie dawna, gdyż poprzedził wojny między temi narodami, a jak nowsze badania dowodzą (Sayce, Boscawen, Burden) mieszkańcy Ur chaldejskiego, Akkadowie, oddziaływali na Chiny. Najazdy w rodzaju tatarskich i wędrówki ludów, istniały w najgłębszéj starożytności. Możliwém jest, że kulturę Meksyku stworzyli jacyś wychodźcy z Azyi, a nawet, że budowle palowe w Szwajcaryi i Nowéj Gwinei powstały drogą naśladownictwa.

Stąd wynikają dwa wnioski: naprzód, że dopóki nie możemy sobie objaśnić zjawiska sposobem naśladownictwa, zmuszeni jesteśmy rozważać je biologicznie, nie zaś socyalnie; powtóre, że cywilizacya powstawała w różnych ogniskach, aż w końcu jeden z tych typów pierwotnych zwyciężył i zeń wypłynęły wszystkie formy, które widzieliśmy w historyi.

Jest tu pewna sprzeczność i nowy zarzut, który Tarde przewiduje. Jeżeli wszystkie cywilizacye wypływają z jednego ogniska, coraz bardziéj powinny być do siebie niepodobne. Tymczasem znajdujemy przeciwnie, że ta rozmaitość coraz bardziéj znika i że cała ziemia przybiera kształt jednéj jednostajnéj kultury, kształt jakby z góry określony i przewidziany.

Tarde, na odparcie tego zarzutu, powraca do swego twierdzenia, że każde odkrycie jest zadaniem nieokreśloném.

Natura, rodząc jakiś gatunek (np. człowieka), miała właśnie zawsze tego rodzaju zadanie przed sobą: dany gatunek mógł się urodzić lub nieurodzić; urodzić się w téj albo innéj postaci.

Podobnież w matematyce nie było określonym z góry i nieuniknionym kresem dojścia do nauki o ilościach nieskończenie małych; w fizyce, mogła powstać lub niepowstać nauka o jedności sił; w biologii, toż samo działo się z nauką transformizmu; w sztuce, z operą Wagnera albo romansem naturalistycznym.

Podobnież i w historyi dany typ cywilizacyi mógł zwyciężyć lub nie zwyciężyć; cywilizacya bowiem jest pewną olbrzymią siłą, olbrzymim gatunkiem, olbrzymiem odkryciem, które w sobie zawiéra sumę miliona odkryć; cywilizacya najodporniejsza, najlogiczniejsza, najżywotniejsza, ostatecznie zwyciężyć musi inne formy mniéj do uniwersalności uzdolnione. Z wielkiéj ilości rozwiązań tego zadania, historya wybrała typ kultury rasy białéj, tak się bowiem złożyły dzieje, że w téj rasie mieści się największa suma energii i pierwiastków żywych. Mogła jednakże w danym razie zwyciężyć cywilizacya chińska, perska, arabska, tak jak zamiast człowieka mógł na ziemi, jako inteligencya, zwyciężyć inny gatunek np. pies, koń lub na ich podobieństwo stworzony kształt uduchowniony. W zwykłym stanie rzeczy kultury są sprzeczne i wcale nie mają tendencyi do jednostajności. Jako przykład wziąć możemy Bizancyum w średnich wiekach i Chiny w tym samym okresie nie masz tu ani cienia analogii. Jeżeli jednak zbadamy ich rozwój, to znajdziemy w ich początku ten sam kształt składania czci umarłym, cześć domowego ogniska, adoptacyę cudzych dzieci i wiele innych, identycznych zupełnie wierzeń, potrzeb, pragnień, instytucyi i fikcyi. Ognisko pierwotne to samo; rozwój dalszy wysoce różny, aż do chwili, póki typ energiczniejszy nie zwalczy opornych.

II.

Oznaczywszy w ten sposób naśladownictwo, jako główny pierwiastek społeczny, stara się autor określić, co to jest społeczeństwo. Dotychczasowe określenia były albo ekenomiczne albo prawne. Ekonomicznie społeczeństwo określa się jako zbiorowisko ludzi, którzy sobie nawzajem oddają usługi. Prawnie zaś jest-to zbiorowisko ludzi, którzy znajdują się względem siebie w pewnych stosunkach prawnych. Łatwo zauważyć, że o ile drugie z tych określeń zbyt zacieśnia pojęcie społeczeństwa, o tyle pierwsze nadmiernie je rozszerza, co niżéj szczegółowo będzie wykazane. Możnaby również podać określenie społeczeństwa, czysto religijne lub czysto polityczne: wspólność wierzeń lub celów jest niewątpliwie cechą najbardziéj socyalną. Ale tu zauważyć należy, że ta wspólność czy podobieństwo

nie istnieje od samego początku, że ona się dopiéro wytwarza zwolna, drogą naśladownictwa.

Gdyby wzajemna użyteczność była cechą społeczną, to najwyższy typ jego przedstawiałyby społeczeństwa zwierzęce, i to nie mrówki, bobry, termity, ale np. Sifonofory, w których wymiana usług sięga tak daleko, że jeden osobnik trawi pokarm za drugi. Nakoniec i na to zwrócić należy uwagę, że usługi mogą sobie oddawać istoty zupełnie różne, np. kwiaty i owady, myśliwy i jego pies, krokodyl i mały ptaszek, który na nim robactwo niszczy. Z zasady wymiany usług wynikałoby dalej, że ściślejszy związek socyalny istnieje między panem a niewolnikiem, wolnym Spartaninem a helotą, aniżeli wewnątrz grup wolnych Spartan i helotów: podobieństwo byłoby tu źródłem rozbicia. Błąd określenia ekonomicznego polega na tém, że istotnie wzajemna użyteczność jest ogniwem łączącém, ale jest-to związek życiowy, biologiczny nie zaś socyalny. Owszem, ideałem społeczeństwa byłoby zbiorowisko ludzi wolnych, niezależnych od siebie i zupełnie sobie bezużytecznych: jak to widzieliśmy w klasycznych republikach Grecyi i jak zobaczymy w społeczeńswie jutra, gdzie rolę niewolników spełniać będą maszyny, a gromada ludzi niezależnych od siebie jaknajmniéj zwracać się będzie do siebie o wzajemną pomoc. Taki typ idealny istnieje u nas pod nazwą towarzystwa. Grupa ludzi pracujących w jednym magazynie, w jednéj fabryce jest towarzystwem handlowém, przemysłowém, ale nie poprostu towarzystwem.

Niektórzy utrzymują, że z biegiem czasu społeczeństwo opuszcza stanowisko prawne (np. określenie stosunku szlachty i chłopów) i przenosi swój punkt ciężkości do sfery ekonomicznéj (robotnicy najemni). Zapomina się tu jednakże o tém, że zawsze pomiędzy ludźmi ma miejsce umowa, to znaczy, pewna forma prawna, określająca ich wzajemny stosunek i że ta forma jest właśnie pierwiastkiem socyalizmu. Częstokroć nawet stanowisko prawne jest wręcz przeciwne stanowisku ekonomicznemu: pochodzi to stąd, że w sferze ekonomicznéj działa powtarzanie biologiczne; w sferze prawnéj, socyalne t. j. naśladownictwo. Produkcya ekonomiczna wymaga specyalizacyi uzdolnień i ona to, drogą powolnego przystosowania wytworzyła cały szereg niepodobnych do siebie odmian ludzkich (kowal, rolnik, żeglarz, adwokat i t. d.). Ale przewaga względów jurydycznych (równouprawnienie) powstrzymuje tę zbyt daleko idącą specyalizacyą, a nawet ją codziennie osłabia. Prawo bowiem opiéra się na obyczaju, jako na jednym z wyrazów naśladownictwa, i, jeżeli w sferze ekonomicznéj znajdujemy naśladownictwo, to zjawiska tego rodzaju należą

do szeregu prawnego. Jak dążeniem każdego zjawiska jest rozpowszechnienie, tak dążeniem zjawisk społecznych jest asymilacya, upodobnienie wszystkich elementów w skład społeczności wchodzących: formy prawne są jednym z tych środków, które najdzielniéj do tego ujednostajnienia się przyczyniają. Dlatego też wspólny zapas tradycyi, obyczajów, zasad prawnych, języka, jest główną podstawą związków społecznych. Nieoświecony głuchoniemy, nie może być mi towarzyszem, ponieważ nie mam środków do porozumienia się z nim i upodobnienia go sobie.

Chińczycy i Indusi pracujący na wyspach Antylskich, mają tylko życiowe (ekonomiczne) stosunki z białymi i nie tworzą z nimi społeczności. Podział indyjski na kasty opiéra się na wymianie usług i dlatego utrzymuje różnice. Przeciwnie, ustrój feudalny był *par excellence* prawno-społeczny, ponieważ kultura rzymsko-chrześciańska upodobniła w nim wszystkich od króla aż do ostatniego chłopa. Ludwik XIV i jego naród, tworzyli jedno ciało społeczne, gdyż, pomimo niewzajemności praw, od króla szło ku narodowi wielkie promieniowanie naśladownictwa, pewne ubóstwienie, które łączyło ich w jedność. Należy więc rozróżniać solidarność ekonomiczną, która jest czysto życiowa, utylitarna, i solidarność prawną, która jest socyalna i przypuszcza zwolna powstającą wspólność wierzeń i myśli, pokrewieństwo dusz, upodobnienie, jedném słowem wszystkie wyniki naśladownictwa.

Ruchomość i niespokojność dzisiejszych społeczeństw, w których wymiana usług dochodzi do najwyższego stopnia, powinnaby zwrócić uwagę ekonomistów: zmiany prawne stosunków ekonomicznych zacierają różnice klas i ułatwiają zarazę naśladownictwa; osobniki różnych klas dążą do coraz szerszéj asymilacyi i napotykają różne przeszkody, prawem zniesione, w obyczajach pozostałe: jest-to źródło stare i owych zmian w społeczeństwie, o których mówiliśmy na samym początku.

Tak więc określenie prawne lepiéj niż ekonomiczne odpowiada istocie społeczeństwa, ale zanadto je zacieśnia, redukując zjawiska do pewnego rodzaju umówionych stosunków. Określenia prawne nie przewidują zmian i starć, jakie się kiedyś mogą wytworzyć; przykład tego mamy w Deklaracyi praw człowieka, która teoretycznie ułożywszy pewne stosunki, znajduje się dziś wobec wielu zjawisk, których nie objęła swoim programem.

„W falowych drganiach historyi — mówi Tarde — odbywają się wciąż dodawania i odejmowania wierzeń i chceń. Między *velle* i *nolle*, między t a k i n i e, istnieje walka nieustanna. Z odkryć je-

dne gromadzą się na dawnych, drugie muszą dawne usuwać. Z tego przeciwieństwa idei płynie ciągłe przystosowanie typów. Typ, jestto postać kultury, składająca się z pewnéj liczby potrzeb i pojęć (chceń i wierzeń), które powstały z nagromadzonych wiekami odkryć i naśladowań i które doszły do pewnéj harmonii t. j. logicznie się dopełniają, a przynajmniéj sobie nie przeczą. Suma typów stanowi grupę społeczną. Suma grup, stanowi społeczeństwo.

Społeczeństwo, jest-to asocyacya; asocyacya zaś jest dla społeczeństwa tém, czém organizacya dla istot żywych, lub ustrój cząsteczkowy dla pierwiastków. Fizycy twierdzą, że gdyby prężność eteru była doskonałą, fale świetlne i inne rozchodziłyby się momentalnie; podobnież ideałem asocyacyi byłaby taka, w któréj szczęśliwe odkrycie, nowa myśl udzielałaby się momentalnie w całém mieście lub na całéj ziemi. Prowadząc daléj tę analogię znajdujemy, że życie jest-to organizacya pobudliwości (*irritabilité*) protoplazmy, materya — organizacya prężności eteru, społeczeństwo — organizacya naśladodownictwa.

Podobnież widzimy w tych trzech kategoryach zjawisk jednorodność, która się różnicuje: jednorodna masa komórek protoplazmy — oto pierwotny materyał życia; jednorodna masa eteru — oto pierwotny materyał świata nieorganicznego; jednokrotna masa dzieci, rosnących razem, w jednaki sposób, w jednakowém otoczeniu wychowanych, nie podzielonych jeszcze na klasy, zawody: oto pierwotny materyał społeczny. Każda z tych organizacyi jest tylko doskonałą harmonią bardzo urozmaiconych i uwspółrzędnionych wibracyi, skupień komórkowych, albo wreszcie podań, obyczajów, pragnień i wierzeń. Występuje tu dążność do różnorodności. Ale ta pierwotna jednorodność jest tylko pozorną; podobieństwo nie istnieje od początku, ale zwolna powstaje. Przy bliższém badaniu każdy atom, każda komórka, każdy liść, każde dziecko ma swoją indywidualność, swoją *alteritas*. Bez téj różnorodności pierwotnéj, byłaby niemożliwą asymilacya: buntownicza oryginalność pierwiastków (atomów, protoplazmy, masy ludowéj), którą niwelują rozmaite (fizyczne, biologiczne, jurydyczne) równouprawnienia — była konieczna do wytworzenia tego zwycięstwa indywidualności, jakie dziś widzimy; zwycięstwa, które określa najuniwersalniejszą ze znanych dotąd asymilacyi. Aby zaś to zwycięstwo nastąpiło, konieczne były miliony walk, które zagasły, ale przygotowały grunt do tego tryumfu.

Asymilacya nie jest ostatecznym kresem, ale punktem wyjścia dla zjawisk społecznych. Równość jest niedostępnym ideałem: jak znikła w pierwotnym kościele chrześciańskim i w pierwotnym isla-

mie, tak też zniknie i z życia państw konstytucyjnych. Kiedy prozelityzm zasymiluje naród w sferze religijnéj, zjawia się despotyzm, jednoosobowe wcielenie asymilacyi. Starcie despotyzmu z prozelityzmem wywołuje nowe różniczkowania. Gdzie jednak leży źródło tych starć? Leży ono w tém, że socyalność, podobnie jak wibracya, jak życiowość dąży do rozpowszechnienia. Rozpowszechnienie napotyka przeszkody. Dopóki jednak przeszkód nie napotyka, dopóty zjawiska się powtarzają — wibracyjnie, dziedzicznie lub naśladowniczo.

Co to jest społeczeństwo? Społeczeństwo jest-to naśladownictwo. Co to jest naśladownictwo? Tu socyolog daje głos psychologowi.

Mózg, jak się doskonale wyraża H. Taine, powtarza nerwy czujące: znaczy to, że w ośrodkach nerwowych powtarza się bez końca ta sama czynność i jakby telegraficznie od jednéj do drugiéj komórki się przenosi. Przekonano się, że wycięcie pewnych części półkól mózgowych zmniejsza tylko intensywność jego działania, ale go nie zmienia. Widoczném więc jest, że związek komórek mózgowych jest nie ekonomiczny, utylitarny, ale socyalny. Jeżeli teraz przeniesiemy działanie mózgu na życie ludzkie, to znajdziemy, że tutaj zasadą jest znów powtarzanie czynności, pewne przyzwyczajenie nerwowe t. j. pamięć. Przyzwyczajenie zaś samo jest-to pamięć mięśniowa. Otóż pamięć jest niczém innem jak formą naśladownictwa. Jest-to naśladowanie samego siebie, również ogólne i ważne, jak naśladowanie innych. W społeczeństwie pamięć występuje w formie podań, obyczaju, rutyny, konserwatyzmu.

Czém-że więc jest powtarzanie? Czém jest oddziaływanie wzajemne komórek mózgowych? Jestto hypnotyzm. Istota hypnotyzmu dotąd jest tajemnicą, ale wiele zjawisk psychicznych objaśnia. Może on również objaśnić wiele zjawisk socyalnych, z tego mianowicie powodu, że lunatyk-medium jestto człowiek znajdujący się na zewnątrz wszelkich stosunków niesocyalnych (np. życiowych, ekonomicznych), i w pewném znaczeniu przedstawia on najwyższy typ społeczny. Znajduje się on w momentalnym i nieustającym związku z drugą duszą; ulegając obcéj woli, ma on tysiące idei, ale są to idee poddane; mimo to lunatyk uważa je za własne i samodzielne, i wierzy w ich rzeczywistość. Stan socyalny jestto również stan hypnotyczny: stan socyalny jestto rodzaj snu lunatyka. Na sobie nie możemy tego odczuwać, gdyż my to jesteśmy owe medya, i wszystkie poddane sobie wierzenia i chcenia uważamy za własne. Jeżeli jednak weźmiemy jaki naród zmarły: Egipcyan, Babilończyków, Żydów — to przekonamy się

z łatwością, że były to automaty z góry na nich padającym blaskiem oczarowane, poruszane siłą idei poddanych.

Ale między stanem socyalnym a hypnotycznym jest pewna różnica, a mianowicie stan hypnotyczny jest jednostronny: magnetyzer działa na medyum, lecz nie odwrotnie; kiedy stan socyalny jestto hypnotyzacya wzajemna, rozszerzona do granic możliwych i znacznie osłabiona. Mimo to ona działa; działa mianowicie wpływem dziedziczności i mody. W starożytności hypnotyzm socyalny był bardziéj jednostronny i on to utrzymywał kastowość i boskość dynastyi i wiarę w bogów i bohaterów. My choć wyzwoleni od wielu więzów, naśladujemy nie jeden z ich snów hypnotycznych. Aby zrozumiéć to pierwotne ubóstwienie władców i satrapów, należy pamiętać, że w człowieku zawsze się znajduje utajona, potencyalna suma energii wierzeń i pragnień: podobnie jak lunatyk pod pozorem anestezyi ukrywa nadmierną hyperestezyę. Nie strach bynajmniéj, ale podziw, miłość, urok, oczarowanie było źródłem tego ubóstwienia. Tłum był jak zaklęty, jak uśpiony tą boskością i tak jak lunatyk, widział tylko to, co wchodziło w treść jego snu hypnotycznego. Zwolna dopiéro z tego zaklęcia, oczarowania, dzięki naśladownictwu, wyłoniło się wzajemne oczarowanie, wzajemny urok, wzajemne naśladownictwo, sympatya (w znaczeniu Adama Smitha). Owi władcy pół-bogowie byli to wielcy inicyatorzy naśladownictwa.

Wszystko w świecie socyalnym szło tą drogą, że jednostronność zmieniała się na wzajemność. Grzeczność np. obowiązywała niegdyś tylko wielkiego lennika względem króla, wasala względem owego lennika, mieszczanina względem wasala, lecz nie na odwrót. Zwolna dopiéro stała się wzajemną i powszechną, a nawet bez téj jednostronności nie mogłaby się zrodzić wzajemność, jak bez arystokracyi nie byłoby demokracyi, a bez powagi i opieki braterstwa.

Uczeń, który poraz pierwszy do szkoły przychodzi, prowincyonalista w wielkiém mieście znajdują się w stanie hypnotycznym. Nie znaczy to, aby ich pamięć zamarła, przeciwnie, jest ona w stanie potencyalnym, ale jakby sparaliżowana. Życie miejskie jest nadewszystko hypnotyzujące: gwar uliczny, wystawy sklepowe, zabawy publiczne, gazety, wszystko uwalnia mieszkańca miast od wysiłku intelektualnego. W jednorodną formę ulane mózgi stanowią niby kaskadę, łańcuch magnetyczny naśladowań. Widzimy nieraz w towarzystwie ludzi t. zw. dzikich lub bojaźliwych: są to ludzie, którzy się trudno hypnotyzują. Podobnież człowiek nowy, w obcém towarzystwie, chwilowo jest jakby onieśmielony, zmieszany: ulega on czarowi otoczenia, ale jeszcze nie

wszedł w ton; jednakże wnet i on zacznie naśladować maniery, ruchy, słowa otoczenia i staje się medyum doskonałém.

Odkrycia są właśnie dziełem ludzi, których ogół nie magnetyzuje i którzy zamiast ślepo ulegać danemu prądowi i naśladować go bez oporu, na chwilę wybiegają poza granice hypnotycznego snu socyalnego i stają się istotami jakby nadsocyalnemi.

Wniosek ten Tarde'a bardzo logicznie z jego przesłanek wynika, a jednak sprzeczny jest z jego teoryą. Gdyż jeżeli, społecznie biorąc, wszystko jest albo odkryciem albo naśladownictwem, to dlaczegóż odkrycie jest pozaspołeczném albo nadspołeczném zjawiskiem i jakim sposobem rzecz społeczna rodzi się z nadspołecznéj? Wogóle biorąc, rozumowanie o naśladownictwie jako hypnotyzmie wydaje mi się najsłabszą stroną teoryi Tarde'a.

Hypnotyzm jest dotąd tak wielką tajemnicą, że za jego pomocą coś objaśniać, jest-to nie objaśniać wcale. Powiedziałbym nawet, że rozdział ten bez żadnéj szkody dla całego dzieła mógłby zupełnie być opuszczony, a nawet autor nie doszedłby do tak paradoksalnego wniosku jak ten, że społeczeństwo, to naśladownictwo a naśladownictwo to hypnotyzm. Wynikałoby stąd, że społeczeństwo to hypnotyzm. Pierwsza połowa tego syllogizmu (społecz. = naślad.) może się ostać, ale druga schodzi na manowce. Dodać tu zresztą należy, że Tarde nie pierwszy użył wyrazu hypnotyzm za objaśnienie zjawisk i że pewne jądro prawdy znajdować się w tém może, pod warunkiem, aby piszący nie zapomniał, że jest-to objaśnienie względne i że wielokrotnie stanowi tylko metaforę krasomówczą, analogię obrazową. Z pisarzy, którzy w ten sposób objaśniali zjawiska przypominamy M. Guyau, który widzi w wychowaniu wpływ hypnotyzmu; Scipio Sighele, który tym wpływem objaśnia ruchy rewolucyjne i zbrodnie tłumów; wreszcie Paul Sauzian, który w świeżo wydaném dziele *La suggestion dans l'Art*, stara się całą estetykę zredukować do hypnotyzmu.

III.

Aby najprostszą drogą dojść do ustalenia praw naśladownictwa, rozważymy dwie różne zupełnie metody badania faktów społecznych, archeologię i statystykę, które mimowoli zmuszone są patrzéć na te fakta z punktu widzenia naśladownictwa.

Archeologia zajmuje się badaniem wytworów starożytnego przemysłu i sztuki; szuka tajemnic życia gospodarczego, towarzyskiego, umysłowego plemion umarłych i przedhistorycznych. Nie widzi ona nigdy osobnika i zawsze ma przed oczyma rzeczy bezimienne,

w których znika wszelki ślad indywidualności; przed XII w. nie ma nawet żadnego rękopisu, a nieliczne pisma urzędowe z owych czasów mają dla niéj wartość właśnie z powodu swéj cechy nieosobistéj. Archeologia była niegdyś, jak numizmatyka, sługą historyi pragmatycznéj: obecnie jednak stała się ona samoistną potęgą, która, gromadząc rozmaite czerepki, objawia nam, czém były w istocie te kształty, które my zowiemy Grekiem, Persem, Etruskiem. Dzieje się to w sposób nader prosty: archeologia zbiera rzeczy podobne, rzeczy powtarzające się (naczynia kuchenne, toporki, igły kościane), to znaczy, poniekąd mierzy i liczy; w ten sposób tworzy ona prawdziwą historyę: pod osłoną wojen, rewolucyi, najazdów dostrzega życie codzienne, życie prawdziwe, które płynie, powtarzając własne podobieństwa, i z odkryć wyłaniając zmiany (rozwój). Historycy, jak Liwiusz lub Tucydydes, mogą być dla niéj bardzo rzadko przewodnikami: wspominają oni bowiem wszystkie szczegóły bez wyboru, nie rozróżniając odkryć, które były przeznaczone do naśladowania od tych, które nie były do naśladowania przeznaczone. Bitwy takie, jak pod Maratonem, pod Arbellami, pod Austerlitzem roznosiły idee kultury greckiéj lub rewolucyi francuskiéj i były to centra istotne promieniowania naśladownictwa,—a pod tym względem mogą one nosić nazwę prawdziwych i żywotnych odkryć. Odkrycia przeznaczone do naśladownictwa—oto właściwy przedmiot historyi.

Archeologia bada te najpierwsze, najkonieczniejsze odkrycia, z których kombinacyi wynikły wszystkie późniejsze; bada je u pierwotnego źródła—człowieka trzeciorzędowego.

Jednėm z najważniejszych rezultatów badań archeologicznych jest odkrycie, że pierwotny człowiek miał niesłychanie ubogą wyobraźnię; niezliczonych wieków wymagały najprostsze kombinacye; powolny rozwój kształtu bóstw rozmaitych u Greków dowodzi nam, z jakim trudem wyłaniała się z kamiennéj, nieforemnéj bryły marmurowa Venus lub Fortuna; znaczy to, że pierwotnie wynalazczość była bardzo nierozwinięta; pominąwszy pierwsze odkrycia — raczéj biologiczne niż socyalne — długo niezmiernie obracali się pierwotni ludzie w sferze czystego naśladownictwa bardzo ograniczonych odkryć. Drugiém ważném odkryciem jest, że od najpierwszych dni nietylko obyczaj, ale i moda kierowały żądzą naśladowczą człowieka. Owszem, moda od początku świata była źródłem podniecającém twórczość, wyrywając zamknięte ludy ze skostnienia w naśladownictwie dziedzicznėm.

Można określić obyczaj, jako naśladowanie w czasie (z ojca na syna, w granicach jednego rodu, kraju zamknięte); modę zaś, jako na-

śladowanie w przestrzeni (z rodu, kraju, do rodu, kraju przechodzące). Jakeśmy już wyżéj zaznaczyli, ludy pierwotne miały pomiędzy sobą daleko ściślejsze stosunki, niźli to zazwyczaj się przypuszcza.

Fenicyanie nabywali bursztyn nad brzegami morza Baltyckiego, a w Meksyku znaleziono wyroby z nefrytu, którego nie masz w całéj Ameryce. W sztuce etruskiéj widzimy oczywiste naśladowanie Greków; zaś u Gallów cyzalpińskich znajdujemy naśladowanie Etrusków. Wogóle, chociaż zbliska patrząc zawsze nas uderza pozorna rozmaitość zjawisk społecznych, to jednak w istocie ludzie byli zawsze bardzo mało oryginalni. W naszych miastach dostrzegamy bardzo niepodobne twarze; jednakże w gromadach Murzynów albo Chińczyków twarze zdają się nam zupełnie jednakowe. Podobnież przebiegając muzea, znajdujemy wielką jednostajność talentów szkół florenckich, hiszpańskich, flamandzkich. Dzisiejsi powieściopisarze—za lat sto— będą się wydali odbiciami jednego i tego samego stempla.

Archeologia, niby chemia historyi, umié rozłożyć na pierwiastki badane przez siebie kultury; wié ona, że tak osobliwa sztuka arabska jest jednak kombinacyą sztuki greckiéj i perskiéj; sztuka zaś grecka wypływa z egipskiéj; egipska jest naśladowaniem i połączeniem różnych elementów artystycznych Azyi i Afryki.

Znaleziono dotąd zaledwie kilka cywilizacyi, które z trudnością lub wcale rozłożyć się nie dają na pierwiastki: są to z jednéj strony Meksyk i Peru; z drugiéj Egipt, Chiny, Indye, Mezopotamia. Godne uwagi, że w Ameryce miejscem rozwoju kultury były płaskowzgórza, w starym świecie nadrzecza: Nil, Ganges, Eufrat, Hoangho. Ten kaprys pierwotnych twórców cywilizacyi wydał odpowiednie owoce, których konsekwencye po dziś dzień ponosimy.

Archeologia (choć nie zawsze zna źródło odkryć) uczy jednakże, gdzie i jak powstały odkrycia, jak się rozpowszechniły, dokąd sięgały, jak długi okres czasu trwały, w jakich panowały granicach.

Archeologia jest również paleontologią dziejów: suma pewnych odkryć tworzy dany typ cywilizacyi; tak jak w paleontologii każdą epokę stworzenia zamyka pewien typ organiczny (paprocie, mięczaki, ryby, jaszczury, ssaki), tak w dziejach każdą epokę zamyka pewien typ kultury (kultura wieku kamiennego, bronzowego, kultura egipsko-asyryjska, grecko-rzymska).

Jak w operze Wagnera, słuchacz nie widzi orkiestry, tylko scenę; tak też archeolog w dziejach nie widzi królów i wodzów, tylko codzienne życie bezimiennych ludzi, widzi prawdziwe życie społeczne. W podziemnych jaskiniach, w mogiłach, w *kjökken-möddingach*, w pieśniach ludowych, w mytach, w słownikach zachowały się dlań tylko

cechy istotnie socyalne człowieka, a znikły wszystkie przypadkowe i anegdotyczne.

Archeologia przemysłu, sztuki, folkloru, archeologia filologiczna, mitologiczna przygotowują prawdziwą naukę historyi.

Statystyka z wielu względów podobna jest do archeologii: niczém są dla niéj osoby; wszystkiém ich działania, wynik potrzeb i pojęć. Oblicza ona wytwory fabryk, ceny towarów, ilość małżeństw, narodzin, rozwodów, śmierci, samobójstw, zbrodni. Archeologia bada wynalazki martwe, statystyka — żywe. Pierwsza uczy, dokąd dopływały okręty Fenicyan; druga nas powiadamia, dokąd płyną okręty Anglików. Pierwsza jest socyalną palentologią, druga fizyologią. Do dziedziny archeologii należą raczéj odkrycia; do dziedziny statystyki—raczéj naśladownictwa. Archeologia jest bardziéj filozoficzna, statystyka bardziéj naukowa.

Metody ich jednak są różne. Archeologia zwolna idzie od zjawisk do ich źródeł (np. badając języki aryjskie dochodzi do prasanskrytu); statystyka zna źródła i mierzy tylko ich rozwój (np. wzrost zapotrzebowań węgla, cukru, mydła, telegramów). Statystyka ma wyższość nad archeologią; chronologia bowiem statystyczna pokazuje nam, jakie zmiany odbywają się w żądaniu towarów, w przemyśle, w głosowaniach (w przekonaniach politycznych), w ilości wyznawców różnych kościołów i t. d. Nie jeden archeolog za dokładną statystykę rzymskiego imperyum oddałby chętnie całego Liwiusza.

Ale z drugiéj strony sztuka statystyki znajduje się jeszcze na bardzo niskim stopniu rozwoju. Istnieje już archeologia lingwistyki, religii, prawa, polityki, sztuki, przemysłu. Statystyka nie wszystkie swoje gałęzie jeszcze rozwinęła. Powstała już nie zupełnie zadawalniająca statystyka handlowa, przemysłowa, sądowa, demograficzna. Są już zaczątki statystyki politycznéj (listy wyborcze), religijnéj; statystyka lingwistyczna w grubych kształtach się przejawia. Nakoniec istnieje téż statystyka antropologiczna (wymiary przy poborach, antropometrya w sprawach kryminalnych).

Najsłabszą stroną statystyki jest wymiar wierzeń i pragnień: statystyka powinna badać ukazanie się nowych potrzeb i upadek dawnych; określać ich siłę naśladowczą i wykazywać szkodliwe lub użyteczne skutki naśladownictwa. Tak np. statystyka samobójstw, przestępstw, obłędów, powinna oddziałać na zmniejszenie przypływu ludności wiejskiéj do miast, które wywołują te klęski.

Statystyka małżeństw, wykazując mniejszą śmiertelność u żonatych, powinna wpłynąć na zwiększenie małżeństw. Statystyka wpływu kar sądowych może być źródłem nowego kodeksu. Staty-

styka powinna nam malować, jaką drogą płyną najstarsze potrzeby, np. potrzeby ojcostwa; jakie są główne żądania masy (handel i przemysł), jaka zamożność, jaka kultura. Tarde bardzo daleko zachodzi w swoich żądaniach względem statystyki: chce on, aby urząd statystyczny, chodząc od domu do domu, dawał najszczegółowszy opis każdego mieszkania, ilości przedmiotów (mebli, naczyń, książek i t. d.), tak jak to czyni archeologia z ludźmi Cro-Magnon lub Neandertalu. Z niektórych żądań poszczególnych zaznaczymy, że w statystyce zbrodni pragnie on widziéć specyalne wyliczanie różnych gatunków zarzynania, duszenia, trucia, — tu bowiem prócz skłonności, działać może moda, np. rozcinanie brzucha *à la* Jack Rozpruwacz, albo oblewanie witryolem, znajduje wielu naśladowców i ma już swoją rubrykę; są to wynalazki czasów najnowszych i prawdopodobnie szybko się rozpowszechnią, aby znowu zniknąć.

Ideałem statystyki jest na źródłach bogatych oparta linia krzywa. Krzywa statystyczna jest to rzut (projekcya) tablicy: linie są albo wschodzące, albo poziome, albo spadające; dokładna linia za dostateczny okres czasu zwykle zawiera w sobie wszystkie trzy kształty; to znaczy, że pewne odkrycie się zjawia, powolnie się przyjmując (wschodzi), tryumfuje i rozpowszechnia (poziom), wreszcie ustępuje nowemu odkryciu (spada). Quetelet wielce się mylił, układając swoją fizykę socyalną i wygłaszając prawo wielkich liczb, jako prawo natury. Jednostajność ta jest czystém złudzeniem, które wypłynęło z trzech przyczyn: 1) statystyka była w kolébce, 2) zbyt mały okres czasu malowała, 3) wziął on do badań takie zjawiska, których odkrycie datuje się od niezmiernie dawna, np. małżeństwo, obyczaj bardzo starożytny, w którym przeto ilość stała nie stanowi samego dowodu (właściwie mówiąc, podał on tylko linie poziome). Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na jakieś odkrycie nowe, widzimy wówczas jak faluje linia ich rozpowszechnienia. Początkowo walcząc z przesądem, rozwija się w geometrycznym postępie. Naodwrót, jeżeli zjawia się nowa potrzeba, niechybnie linia pozioma zmieni się na spadającą: używanie herbaty, dajmy na to, zmniéjsza używanie kawy, zarówno ilość kawy jak i jéj cena ulega zmianie. Linie poziome dowodzą niestałéj równowagi danego zjawiska; linie spadające przypuszczają nowe zjawisko, które usuwa to, co było przedtém. Nakoniec pewna stała przyczyna zjawiska może wywoływać stały skutek np. w krajach gorących, śmiertelność dzieci do lat 5-ciu jest większa, niż w krajach zimnych, gdzie znów większa jest śmierelność starców; stałą przyczyną jest tu klimat, gorący — zabójczy dla dzieci, zimny — dla starców.

Tablica wzrostu podatków dostatecznie może nam dowieść, jak nowe odkrycia czynią ruchomemi liczby statystyczne. Dopóki trwają odkrycia, dopóty kultura jest ruchomą. Fizyka Queteleta mogłaby prawdą być w Chinach, lub cywilizacyi znieruchomionéj, ale nie w żywym świecie. Jednakże nawet tak starożytne potrzeby, jak małżeństwo i ojcostwo ulegają wahaniom:

Należy tu bowiem rozróżniać chcenie instynktowe i naturalne, i chcenie naśladowcze i rozsądkowe (socyalne). Anglik i Hiszpan jest płodny, gdyż ma ogromne kolonie ku zaludnieniu. W Irlandyi odkrycie kartofla podniosło ludność od 3 milionów (1766 r.) do 8-miu (1848 r.). Inaczéj na dzieci patrzy pobożny chrześcianin, inaczéj Rzymianin, inaczéj robotnik: widzi on w nich błogosławieństwo boże, nowych legionistów, nowe siły robocze.

Z chwilą, kiedy dany kraj staje się za ciasny lub za ubogi, ludność się zmniejsza; gdy jednakże zjawi się jakie nowe odkrycie, czy to nowéj ziemi (np. Ameryki), czy nowy wynalazek (np. maszyny), wnet budzi się emigracya lub podniecona działalność przemysłowa, któréj rezultatem jest nowy wzrost ludności. W ten sposób Kolumb, Cook, Watt, Fulton, Stefenson — byli to prawdziwi rozmnożyciele rasy ludzkiéj, a ludzie tacy istnieli w najdawniejszych epokach; bez tych geniuszów ludzkość by wyginęła. I na to zwrocić należy uwagę, że stosownie do epoki zmienia się nasz punkt widzenia na dzieci, które m a j ą s i ę narodzić, i że w tym względzie panuje rodzaj stałego prawa; dla starożytnych—dzieci byli to posłuszni niewolnicy, dla nas są to bezlitośni wierzyciele. Z chwilą, kiedy dziecko ma się stać panem, który nam odbiera prawo do przyjemności życia, zmienia się też nasze pragnienie dzieci; wyludnienie (jak w Rzymie cesarskim, dzisiejszéj Francyi) jest wynikiem zamiłowania rozkoszy, ale nastąpić musi chwila nowego wzrostu ludności, gdyż inaczéj upadłaby sama potrzeba rozkoszy i w ten sposób ciągły odpływ i przypływ ludności wywołuje równowagę. Ten sam objaw depopulacyi, jaki ma miejsce we Francyi, na mniejszą skalę odbywa się w całéj Europie, a nawet Ameryce.

Takie tajemnice odkrywa nam statystyka; mniéj wyraźnie przedstawia ona potrzeby równości, potrzeby, swobody i prawdy—tych wynalazków bardzo świeżego okresu. Równość jest dzieckiem filozofii francuskiéj XVIII w., swoboda dzieckiem angielskiego parlamentaryzmu. Potrzeba prawdy jest również nowém zjawiskiem: nieznana była ona starożytnym, czém się tłómaczy ich niemoc naukowa; dopiéro chrystyanizm, wymagając od ludzi wiary i pewności, obudził ducha badania i w ten sposób sam swoją współzawodniczkę-naukę wytwo-

rzył: nauka urodziła się w połowie XII w. — odtąd coraz bardziéj wiarę usuwa. I nauka jednak ma swoje granice, a *Ignorabimus* musi na zawsze hasłem jéj pozostać; prawdopodobna więc, że ludzkość zmęczona długiém poszukiwaniem prawdy, a spragniona rozkoszy i spokoju, zgodzi się jeszcze na jaką nieszkodliwą iluzyę, i nowy okres wiary rozpocznie. I tutaj widzimy jakby rysunek krzywéj graficznéj: wogóle powiedziéć można, że każde zjawisko wyłania z siebie swoje własne zaprzeczenie; własność prywatna powstała z własności wspólnéj, któréj ślady są jeszcze w *pueblosach*, mirach, zadrugach, almendach, gminach arabskich w Algierze, ale własność prywatna sama tak upowszechniła potrzebę dobrobytu, że coraz większe masy żądają własności i w ten sposób dążą do unarodowienia własności prywatnéj. Każde wierzenie lub pragnienie z początku powoli się przyjmuje, późniéj szybko się rozpowszechnia, wreszcie słabnie i zanika. Dlatego téż próżne są strachy, że kiedyś Anglicy, Niemcy czy Yankesi świat cały zaleją, gdyż każde tego rodzaju zjawisko musi miéć kres i zaniknąć, podobnie jak bez śladu znikły potrzeby ludożerstwa, tatuowania, koczowania.

Najważniejszą wszakże w krzywéj graficznéj, jest linia pozioma t. j. faza równowagi niestałéj danego zjawiska: ona bowiem daje najszersze wskazówki życiu praktycznemu. Dlatego téż statystyka powinna stać się przedmiotem najpierwszéj wagi i żaden deputowany, ani sędzia, ani generał, ani kupiec nie powinien w życie wchodzić bez téj umiejętności. Natura sama nadała naszym zmysłom jakby zdolności statystyczne: wrażenia nasze są to liczby. Oko prowadzi statystykę drgań świetlnych, ucho — dźwiękowych. Dotyk jest statystyką skurczeń mięśniowych, ale jest to statystyk lichy, słabiéj rozróżnia zjawiska, nieposiada gamy swoich wrażeń. Jeszcze słabszą jest statystyka węchu i smaku, zmysłów zupełnie nieinteligentnych.

Statystyka jest okiem naszego poznania rzeczywistości. Jéj krzywe graficzne są dla socyologii tém, czém w naturze np. linia lotu jaskółki. Z postępem cywilizacyi coraz bardziéj rozpowszechniać się będzie znajomość statystyki, usuwając jałowe debaty polityczne i literaturę. Dziś już gazety na str. 4-éj podają statystykę ruchu towarów, zmiany temperatury, wiadomości demograficznych, ale w niedługim czasie wiadomości te przejdą na 1-szą stronę. Ideałem gazety jest pismo bez żadnych artykułów wstępnych i politycznych, podające tylko tablice statystyczne, krzywe graficzne informacye i ogłoszenia. Jeden zarzut uczyniony być może statystyce, że mianowicie nie ma ona daru przepowiadania; istotnie, do pewnego czasu jestto prawdą;

obracając się w sferze naśladownictwa, ma ona zamkniętą sobie sferę odkryć.

Ale i odkrycia również ilościowo się zmniejszają, t. j. wchodzą na linię spadającą. Nie jedno z tak zwanych odkryć jest tylko popozorne, postęp bowiem zradza naśladowanie, podrabianie wynalazczości. Każda rasa się wyczerpuje, i kiedy zakończy się cały cykl kombinacyi jéj dostępnych, cywilizacya wchodzi w stan nieruchomy, stały, jak to widzimy w Egipcie lub Chinach. Wówczas i statystyka przewidywać będzie mogła przyszłość, tak jak archeologia coraz bardziéj wstecz będzie przenikała w zamgloną przeszłość. Archeologia i statystyka badające naśladownictwo—oto główne gałęzie wiedzy do nauki historyi [1]). Jak społeczeństwo jest zbiorowiskiem ludzi w przestrzeni, którzy się wzajemnie naśladują,—tak historya zbiorem działań w czasie, czynów, działań sławnych, które najwięcéj naśladowano. Aby zasłużyć na nazwę historyczności, każdy fakt powinien odpowiadać trzem warunkom: 1) powinien wyrażać postęp albo upadek pewnego rodzaju naśladownictwa, 2) ukazanie się nowego odkrycia, 3) działanie sił ludzkich (socyalnych), biologicznych lub fizycznych (np. wpływ zimy i głodu na wyprawę Napoleona w r. 1812).

Historya zatém opowiada losy naśladownictwa.

(D. n.) *A. Lange.*



---

[1]) Patrz Bourdeau, „Historya i historycy. Odrodzenie historyi przez statystykę."



Posterunek przed Mrkalje.

Opowieść bośniacka z r. 1882.

Była czwarta nad ranem, jednak czarna noc zimowa okrywała jeszcze swym płaszczem skaliste, śniegiem pokryte załomy Puha-gory [1]. Na niebie obleczoném chmurami nie widać było ani jednéj gwiazdki i posępną i pustą wydawała się cała dzika okolica. Ale pustą nie była ona wcale podówczas...

Za olbrzymim wiszarem płonęło niewielkie ognisko, a naokoło niego leżeli i siedzieli pokuleni na śniegu żołnierze. Przy samym ogniu trzech austryackich oficerów, okutanych w płaszcze i kapuzy, wiodło przyciszoną rozmowę:

— Jak myślisz, panie kapitanie? — pytał jeden z nich starszego, brogatego mężczyznę, dowódcę oddziału. — Doczekamy się insurgentów czy nie?

Zapytany otrząsł popiół z cygara i pokiwał głową.

— Któż to może wiedziéć!... prawdopodobnie; doniesienie było wyraźne: Ivon Sputič zbiéra powstańców na Pletari [2] i pociągnie z nimi przez Ulobić-planinę [3] na Kikalo i Mrkalje...“ Zatém tędy przechodzić powinni...

---

[1] Skaliste wzgórze o 5 kilometrów na południe od miejscowości Kikalo i Mrkalje, w widłach rzecznych Suljeski i Driny.

[2] Dziko poszarpane szczyty na granicy Hercegowiny.

[3] Siodło górskie łączące Pletari z Puha-gorą.

— Tak — wtrącił drugi porucznik — ale my czekamy na nich już od dwudziestu czterech godzin, a ich jak nie ma tak nie ma!

— Możnaby sądzić, że tęsknisz za nimi Praunwitz? — zapytał kapitan uśmiechając się lekko.

— To naturalne! Od dwu miesięcy jesteśmy na terytoryum objętém powstaniem; codzień dochodzą do nas ze wszech stron wieści o krwawych utarczkach i spotkaniach, prawie wszyscy koledzy z pułku byli już w ogniu, a ja, dotąd jeszcze bośniackiego prochu ani wąchałem!

— Ja nawąchałem się go dosyć jako kadet jeszcze, w czasie okupacyi — odezwał się pierwszy porucznik. — Byłem pod Banialuką i przy wzięciu Sarajewa, lecz przyznam się, że wolałem tamtą kampanię. Była więcéj regularną i bardziéj do prawdziwéj wojny podobną... ta jest więcéj rozdrobioną i partyzancką a okrutniejszą i straszniejszą... Zdawałoby się, że tym ludziom z czasem zawziętości i dzikości przybyło!...

Na chwilę ustała rozmowa. Mokre gałęzie, dorzucane do ogniska, syczały i tliły się leniwie; od wschodu Vučevo-brda [1]) i Driny wstał lekki wietrzyk, zwiastujący bliską jutrzenkę.

Kapitan przerwał milczenie.

— Odwagi tym szaleńcom zaprzeczyć nie można — mruknął, otulając się szczelniéj płaszczem — można nawet powiedziéć że łotry te mają w sobie coś ze średniowiecznego bohatérstwa i zdolni są do wzniosłych poświęceń; jednak nie brak między nimi i prostych wisielców!...

— Przykładem ów Topon Sputič, który nam rodzonego brata zadenuncyował! — zawołał porucznik Praunwitz.

— Opowiadano mi w Fočy całą historyą na ten temat — rzekł drugi oficer — nie wiem tylko, ile jest w niéj prawdy?...

— O stosunku braci Sputičów do córki Kobać-bega?

— Tak; młodszy Topon, miał ją poślubić... dzień wesela był już ułożony, gdy w tém, zjawił się starszy Ivon, pozyskał sobie rodziców i zabrał bratu z przed nosa dziéwkę... Działy się podobno rozmaite romansowe awantury; dziéwka chciała uciekać, Topon chciał się życia pozbawić, lecz skończyło się na tém, że poprzysiągł zemstę straszną bratu... Ma go téż od téj pory na każdym kroku prześladować i ścigać. Obecnie, znalazł łatwy sposób wykonania swéj przysięgi, oddając go w nasze ręce...

— Jest-to z naszą korzyścią — przerwał kapitan — gdyż Ivon

---

[1]) Wyniosła wyżyna na lewym brzegu Driny.

Sputič wiele nam już dotychczas krwi napsuł... lecz w każdym razie ten Topon to wisielec!..

W téj chwili od strony wysuniętéj naprzód placówki rozległo się wołanie:

— *Halt! Wer da?*

Oficerowie zerwali się na równe nogi; żołnierze chwycili za broń i stanęli w ordynku. Zapanowało pełne niepewności oczekiwanie, podczas którego podoficer pogotowia, wziąwszy ze sobą jednego żołnierza, posunął się w kierunku, zkąd ozwało się wołanie.

Słychać było skrzyp zmarzłego śniegu pod stopami oddalających się; zrazu wyraźny, potém słabszy, wreszcie wszystko ucichło. Oficerowie i żołnierze z naprężoną uwagą wsłuchiwali się w ciszę, nie wiedząc, czy już w następnéj minucie nie przerwą jéj groźnie wykrzyki i huk wystrzałów?

Ale dobiegł ich tylko przytłumiony odgłos krótkiéj rozmowy, poczem śnieg znowu skrzypiéć począł i za chwilę wyłonili się z ciemności wysłani do placówki żołnierze.

Przed nimi szedł młody bośniak ze skrępowanemi na plecach rękami. Kroczył śmiało a gdy stanął przed kapitanem, w kręgu światła jaki rzucało ognisko, obecni mogli podziwiać jego wysmukłą, dorodną postać i strój niezwykle dostatni jak na prostego wieśniaka.

Krótki jego kaftan podbity był wilczém futrem, czerwony pas, przetykany złotem, a rękojeść handżaru i pistoletów, zatkniętych za pasem, obsypane drogiemi kamieniami. Wyglądał na syna bogatego bega i wogóle byłby uczynił dodatnie wrażenie na patrzących, gdyby nie posępność śniadéj jego twarzy i ponury wyraz głęboko osadzonych oczu, patrzących uparcie ku ziemi.

— Kto jesteś? — zapytał kapitan, mierząc przybyłego surowém spojrzeniem.

Zapytany podniósł oczy i utkwił je w twarzy oficera.

— Jestem Topon Sputič — odrzekł.

Na dźwięk wymienionego nazwiska zrobiło się żywe poruszenie naokół a w minach oficerów odbiło się zaciekawienie, połączone z lekką pogardą:

— Czy masz przy sobie coś, czém mógłbyś dowieść, że rzeczywiście tym jesteś za kogo się wydajesz? — badał daléj kapitan, nie okazując jednak żadnego wzruszenia.

Usta bośniaka wykrzywiły się do słabego uśmiechu.

— Tak, gospoda! mam... nowe wieści o powstańcach!...

— Mów!

— Za godzinę, równo ze wschodem słońca z trzech stron na was uderzą...

— Jakto? tak wielu ludzi ma pod sobą brat twój?...

Bośniak wstrząsnął się cały i wyprostował groźnie.

— Mój brat? Jok, gospoda! [1]) To nie brat mój, ale wróg ciężki! oby go sejtan udusił!...

Ściągła twarz skurczyła się przy tych słowach, oczy zabłysły złowrogo a z pod warg wyskoczyły dwa rzędy kłów białych, ostrych jak u wilka. Lecz trwało to krótko; wnet uspokoił się i dał odpowiedź na postawione pytanie:

— Ivon Sputič połączył się wczoraj na Ulobić-planinie z oddziałem Stanka Srdjevića, 200 głów liczącym i obaj wiedząc o tém, że tylko jedną kompanią przeciw nim wysłano, postanowili otoczyć was i zaatakować równo ze wschodem słońca z trzech stron: od Vučevo-brda, od Perušicy [2]) i od Ulobić-planiny. Pierwszy zaatakuje was Srdjević od Vučevo-brda, będzie to jednak tylko atak pozorny, wykonany z siłą zupełnie nieznaczną; z chwilą gdy się zwrócicie przeciw niemu, Ivon z całym oddziałem uderzy na was od Ulobić-planiny i Perušicy...

Kapitan wpatrywał się podejrzliwie i badawczo w mówiącego.

— Jeśli łżesz — zauważył sucho — pod drzewo i, kulka w łeb!

Bośniak wzruszył pogardliwie ramionami.

— Jeśli mi nie wierzycie, jutro was nie będzie!

Zapanowało głuche milczenie. Kapitan stał czas jakiś niezdecydowany, potem, skinieniem ręki przyzwał oficerów ku sobie i wydał odpowiednie rozkazy, wyłuszczając zarazem w krótkich słowach plan zamierzonego działania. Był to plan zupełnie prosty i jedyny, mający szanse powodzenia. Pięćdziesięciu żołnierzy pod dowództwem Praunwitza pozostać miało w pozycyi dotychczas zajmowanéj, dla wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela, reszta zaś kompanii cofnąwszy się na razie na Sniesnica-planinę [3]) uderzyć miała w danéj chwili niespodziéwanie, z boku, na atakującego Ivona Sputiča.

Zanim spełnienie wydanych rozkazów nastąpiło, kapitan przywołał jeszcze raz przed siebie Topona.

— Słuchaj — przemówił doń — powiédz mi otwarcie co cię skłoniło do tego, że przyszedłeś nas ostrzedz?

— Gdyby Ivon Sputič dziś zwyciężył, ja musiałbym długo czekać na sposobność zemszczenia się na nim — odparł Topon otwarcie.

---

[1]) Nie, panie! [2]) Prawy dopływ Suljeski. [3]) Północny stok Puha-gory.

Kapitan pokręcił głową, ale nic więcéj nie powiedział, wydał tylko dodatkowy rozkaz Praunwitzowi, aby Bośniaka jako jeńca zatrzymał przy swym oddziale aż do dalszego zarządzenia; następnie pociągnął ze swoimi ludźmi na umówione stanowisko.

Wiatr wiejący od wschodu stawał się coraz silniejszy i mroźniejszy; powietrze zdawała się przepełniać jakaś mgła gęsta, sinawa, — szarzało.

Porucznik Praunwitz z pośpiechem szykował swój oddział.

Od Vučevo-brda oddzielała go głęboka przepaść i wązki grzbiet skalisty, a nadto ściana wiszaru, tak, że z téj strony mógł być dość zasłonięty przed ogniem nieprzyjacielskim i małéj tylko liczby żołnierzy potrzebował dla zabezpieczenia sobie téj flanki; główną uwagę poświęcił prawéj flance i frontowi. Rozpuszczeni w tyralierkę żołnierze wyszukiwali tam sobie zawczasu miejsc, z którychby sami możliwie okryci, nieprzyjaciela skutecznym ogniem razić mogli.

Poprzytulani do rozrzuconych naokół głazów, powciskani w napotkane załomy i szczeliny, odbijali od śniegiem i mgłą pokrytéj przestrzeni jak wydłużona, wygięta, z szarawych płatków złożona linia.

Praunwitz ściągnąwszy placówkę, już niepotrzebną, stanął pod ścianą wiszaru i rozglądał się bacznie dokoła, usiłując przebić wzrokiem otaczającą go mgłę i ciemności; ale daléj jak na 20 kroków rozróżnić nic nie mógł przed sobą. W naturze panowała zupełna cisza, nic jéj nie zakłócało, tylko czasami, daleko, daleko, od lasów na Rujevac-planinie [1]) dawało się słyszéć przeciągłe wycie wilczéj rui...

Upłynęła w ten sposób godzina, długa jak wiek dla oczekujących.

Mgła stała się rzadsza i przejrzystsza; na wschodzie tylko zabarwiła się odcieniem różowym, a następnie szczyty Vučevo-brda wynurzyły się z pomroki, obramowane u góry rąbkiem złocistym...

Słońce wschodziło powoli.

Żołnierze z zapartym w piersiach oddechem zwracali oczy ku niemu; wiedzieli, że nie dla jednego z nich wschodzi ono po raz ostatni! Ale żaden odgłos podejrzany nie mącił spokoju, żadnego ruchu na wzgórzach pobliskich dojrzéć nie było można!

Nagle... Topon Sputič, którego Praunwitz tuż przy sobie pod strażą trzymać kazał, podniósł się z głazu, na którym siedział i wyciągnął szyję słuchając.

— Idą... — szepnął po chwili, oczyma na wschód wskazując.

---

[1]) Lesiste wzgórza na południe od Vučevo-brda.

Oficer wytężył wzrok w podanym kierunku, lecz niczego nie dojrzał.

Vučevo brdo przedstawiało się jak olbrzymia, wypukła, biała płaszczyzna, któréj wynioślejsze punkty oblane wschodzącém słońcem, świeciły niby liczne drobne ogniki rozrzucone po śniegu... nigdzie nie było tam widać ani śladu człowieka! Grzbiet skalisty tuż za przepaścią oddzielającą Vučevo-brdo od Puha-gory, wyglądał równie pusty i martwy; koślawe krzewy jałowcu i karłowate dęby, rosnące na jego szczycie, zdawały się drzémać jeszcze nieprzebudzone.

— Gdzie widzisz tam kogo? — zapytał Praunwitz po cichu — tam nikogo nie ma!

— Idą... — powtórzył Bośniak, wsłuchując się uparcie w jakieś dla niego tylko pochwytne odgłosy.

Jakoż w téj chwili między krzakami jałowcu za przepaścią coś się ruszać poczęło, coś niby cienie niewyraźne przesuwać się poczęły od jednego dębu do drugiego; lecz cisza zupełna leżała jeszcze w powietrzu i sądzićby było można, że to tylko gra mgły i światła, złudne dla wzroku sprowadza widziadła...

Naraz, po szczycie grzbietu przeleciał niby wężyk ognisty i kilkadziesiąt strzałów huknęło stamtąd.

Praunwitz nie wątpił dłużéj. Doniesienie Topona było prawdziwe. Stanko Srdjević rozpoczął atak.

— Ognia! — zakomenderował żołnierzom, którzy stanowili lewe jego skrzydło.

Z obu stron zabrzmiały teraz strzały; zrazu rzadkie, potém szybsze, z każdą chwilą gęściejsze i mniéj regularne. Sinawy dym przepełnił wkrótce powietrze, a zmieszany z mgłą, co nie zdołała jeszcze pierzchnąć całkowicie, przykrył niby pomostem przepaść dzielącą oba wzgórza, tak że zdawało się, iż Bośniakom nic nie przeszkadza rzucić się naprzód i zmiażdżyć jednym zamachem słabego liczbą wroga. Ale nie myśleli nawet o tém, strzelali tylko ustawicznie, podnosząc od czasu do czasu przeciągłe okrzyki:

— *Vej! vej! udri go Szwaba!* [1]).

Ich strzały, choć celne, dla dość znacznéj odległości nie sprawiały wielkiéj szkody. Na samym początku walki padł trupem jeden żołnierz, w dalszym ciągu dwu innych odniosło lekkie rany; kule jednak leciały gęsto i co chwila płatki zmarzłego śniegu, strącane kulami z wiszarów, spadały na głowy i twarze żołnierzy. Praunwitz chyłkiem przesuwał się z jednego miejsca na drugie, śledząc, aby ża-

[1]) Biada! bij Niemca!

den ruch nieprzyjaciół nie uszedł jego uwadze. Zauważył téż niespodzianie żywe poruszenie między nimi i była chwila, iż sądził, że chcą na przepaść niebaczni do szturmu uderzyć.

— Szaleńcy! — mruknął; lecz w tym samym momencie gwałtowny huk strzałów na prawém skrzydle wytłómaczył mu przyczynę owego poruszenia.

— Ivon Sputič z główną siłą następuje!...

Nie zwracając uwagi na gradem lecące pociski, pędem rzucił się ku zagrożonéj pozycyi.

Tam przedstawiała się sytuacya o wiele inaczéj.

Naprzeciw garstki żołnierzy wysunęły się z za stoków wzgórza zwarte szeregi bośniackie i korzystając z nierówności gruntu, posuwały się szybko naprzód.

Zacieśniali coraz bardziéj półkole, mające zgnieść w swych ramionach nienawistnych „Szwabów.“

Było widoczném, że dłuższy opór będzie niemożliwy i Praunwitz, z rozpaczą spoglądał w stronę Sniesnicy, czy umówiona odsiecz nie nadchodzi? Lecz Bośniacy doszedłszy do odkrytéj płaszczyzny, gdzie ich już nic przed strzałem żołnierzy nie zasłaniało, zatrzymali się i również rozpoczęli ogień.

Palba była gwałtowna, a mała przestrzeń, dzieląca przeciwników przyczyniała się do tego, iż trup padał gęsto. Za kilka minut trzecia część żołnierzy była zabita lub ranna; jednak zawziętość ogarnęła pozostałych. Rozumieli, że ocalenie ich polega na tém, aby wytrwali na stanowisku. Gdyby się o krok cofnęli, Bośniacy runą za nimi i w puch na handżarach rozniosą. Jakoż podnosili się Bośniacy już kilkakrotnie z ziemi z dzikim okrzykiem:

— Ku handżaru!... ku handżaaaruuu!... [1]).

Jednakowoż za każdym razem celny ogień żołnierzy zmuszał ich do zatrzymania się w miejscu. Padali na ziemię i znowu zaczynała się palba, tylko gorętsza i straszniejsza, niż pierwéj.

Śród szeregów bośniackich uwijał się jak salamandra w ogniu młody junak z czarną na wiatr rozwianą brodą, bez czapki na głowie, a z kindżałem nagim w zębach. Krzykiem krótkim, urywanym, dodawał swoim odwagi i do boju ich zachęcał.

Znać w nim było na pierwszy rzut oka dowódcę.

Żołnierze brali go na cel, lecz kule się go nie imały.

— To Sputič! — rzekł do siebie Praunwitz — ten musi zginąć, inaczéj my zginiemy...

---

[1]) Na handżary! — bojowy okrzyk Bośniaków.

I podniósłszy się na łokciu z ziemi, zaczął wołać jak mógł najgłośniéj, aby przez huk wystrzałów być usłyszanym:

— Kapral Marko! do mnie! do mnie!

Kapral, najlepszy strzelec w pułku, na czworakach przyczołgał się do niego.

— Widzisz tego tam, z brodą! — zawołał Praunwitz — jeśli go trafisz, dukat i awans! ale śpiesz się!

Kapral przykląkł za głazem, przyłożył kolbę do ramienia w téj chwili, trafiony kulą w czoło padł na wznak, krwią swoją obryzgując oficera.

Praunwitz sam chwycił za karabin; był również niezłym strzelcem; w chwili jednak gdy się miał złożyć, ktoś go zębami pociągnął za rękaw.

Był to Topon Sputič.

— Gospoda! — rzekł, a twarz miał skurczoną i oczy świeciły mu złowrogo—rozetnijcie mi postronki; ja... ja go trafię...

Oficer zawahał się przez jedno mgnienie oka; mimo strasznego położenia, w jakiém się z ludźmi swymi znajdował, uczuł instynktowy wstręt do tego, aby bratu na brata broń do ręki podawać; lecz przezwyciężył się natychmiast i szablą przeciął więzy Bośniaka.

— Strzelaj, gdy chcesz... ale trafiaj!

Topon pochwycił gorączkowo porzucony na ziemi karabin i położywszy się na brzuchu, zaczął mierzyć pomału, uważnie. Kilka razy broń spuszczał i znowu ją do oka podnosił, widać było, że postanowił nie zmarnować strzału. Mierzył długo, wreszcie drgać począł całém ciałem i niespodzianie broń precz cisnął od siebie. Twarz miał bladą i wargi trzęsły mu się jakby ze strachu.

— Gospoda! — zawołał głucho — nie mogę strzelać... mógłbym trafić kogo innego, a ja tylko j e g o chcę zabić!...

Praunwitz już tych słów nie słyszał, gdyż właśnie Bośniacy podnieśli się do nowego szturmu, a ich gromki okrzyk „Ku handżaru!“ nawet grzechot strzałów zagłuszył.

Biegli téż naprzód zwartą ławą, i choć padali gęsto, nie zatrzymywali się już dłużéj. Zaledwie dwieście kroków dzieliło ich jeszcze od żołnierzy, tak, że ci, przez poszarpane obłoki dymu rozróżniać już byli w stanie pojedyńcze twarze—rozgrzane walką, zawzięte, straszne...

Praunwitz uznał, że stanowcza chwila nadeszła i jak błyskawice przemykały mu po głowie myśli: co się daléj stanie?... co będzie, gdy kapitan natychmiast z pomocą nie przyjdzie?....

Lecz pomoc w sam czas nadeszła. W decydującym momencie

zagrzmiały na prawém skrzydle liczne strzały i ozwało się: „Hurrah!“ świéżo do walki przybyłych żołnierzy.

Idąca naprzód ława Bośniaków zatrzymała się naraz. Skłębiła się, zachwiała, jak chwieją się dęby podcięte u dołu, zanim z trzaskiem zwalą się na ziemię.

Niespodziewany atak ze strony, z któréj się żadnéj napaści nie obawiali, zmieszał ich i zrodził myśl, że otoczeni są przeważnemi siłami, którym oporu stawić nie zdołają, a tém mniéj myśléć mogą o ich zwyciężeniu... Rażeni z dwu stron gwałtownym ogniem, cofnęli się i, zanim jedna minuta minęła, poszli w rozsypkę...

Napróżno Ivon Sputič grzmiącym głosem przywoływał ich do siebie! nic ich już zatrzymać nie mogło... Wyjąc nieludzko o zdradzie, uciekali w dzikim popłochu, a trupy ich uścielały raz koło razu stok wzgórza.

Żołnierze posuwali się za nimi, strzelając bezustannie, nie dając im chwili wytchnienia. Już mowy być nie mogło o dalszéj utarczce...

Oddział Ivona Sputiča przestał istniéć!...

W pół godziny potém, na Puha-gorze umilkły ostatnie strzały a żołnierze, przejęci jeszcze bojowym szałem, odurzeni zwycięstwem, zbierać się poczęli w szeregi.

Wiwatowali przytém, śmiali się, ściskali i śpiewali.

Kapitan z oficerami stał nad brzegiem przepaści, lornetą wodził dokoła. Pusto było wszędzie, tylko na saméj Puha-gorze śnieżna płaszczyzna stratowana nogami, pokryta była krwawemi plamami, a śród plam tych czerniały trupy poległych. Ranni podnosili się mozolnie na rękach z ziemi i jękiem wzywali litości. Niektórzy dręczeni bólem pełzali i wili się po śniegu...

Ale jęki ginęły śród chóru radosnych okrzyków... na razie nikt ich nie słuchał, chyba tylko sępy, których kilka krążyło wysoko w górze, wietrząc żer...

Oficerowie omawiali szczegóły potyczki, a tak byli tém zajęci, że nie spostrzegli, jak zbliżył się do nich Topon Sputic.

Był zmieniony do niepoznania. Zgarbił się i pochylił, ledwo wlókł nogi za sobą; na twarzy jego cierpienie i żal nieutulony, wyryły ponure piętno.

Zbliżył się i stanął opodal.

— Gospoda — przemówił po krótkiém milczeniu, zwracając się do kapitana — doniesienie moje było prawdziwe i przydało się wam... pozwólcie mi odejść!...

— Jesteś wolny i możesz iść — odpowiedział mu kapitan — są-

dzę jednak, że dla twego bezpieczeństwa lepiéjby było, gdybyś z nami pozostał. Mógłbyś dostać się do Foču, a stamtąd daléj...

Topon głową pokiwał.

— Ja tutaj zostać muszę, aby jego daléj śledzić... Cała moja zdrada na nic się nie zdała—on uszedł!

Lecz gdy słów tych domawiał, wzrok jego padł na kilku jeńców bośniackich, bitych przez żołnierzy kolbami i wleczonych w pętach przed kapitana. Na ich czele szedł junak z czarną brodą, wódz powstańców. Ręce miał na plecach skrępowane, z przebitego bagnetem policzka ściekała mu krew szeroką, zapiekłą strugą, jednak głowę niósł hardo do góry wzniesioną, a z oczu strzelały mu błyskawice nienawiści i dumy.

— A!—ryknął Topon—pojmali go przecie!... nie uszedł!... a!

I niby zwierz dziki poskoczył naprzód; ale jedno spojrzenie brata przygwoździło go do ziemi.

— *Dobro utro bratči!* [1])—przemówił doń Ivon głosem spokojnym i zimnym napozór.

Topon nie odpowiedział, odwrócił się do kapitana.

— Gospoda!—wołać począł namiętnie—to Ivon Sputič! to przewódca buntowników! nie dajcie mu ujść!... według waszego prawa powinien zginąć na szubienicy!

Kapitan wzdrygnął się na taką zawziętość, a Praunwitz mruknął półgłosem, choć dość wyraźnie:

— Kanalia!

Jednak kapitan opanował się natychmiał i przyzwał przed siebie pojmanego wodza Bośniaków.

— Ty jesteś Ivon Sputič?—zapytał.

— Ja jestem.

— Wiész, co cię czeka?

— Wiem.

— Zostaniesz odstawiony do Foču, a tam sąd wojenny i...

Nie dokończył, zakręcił się na pięcie i wydawać począł oficerom rozkazy dotyczące grzebania poległych i opatrunku rannych. Lekko ranni iść mieli piechotą za oddziałem, dla ciężko rannych zarekwirowano podwody z Mrkalje.

Dzień się już zrobił zupełny. Mgły znikły, a złote słońce stanąwszy nad Rujevac-planiną, lało potoki światła na śniegiem pokryte wzgórza i tysiącem promieni przebiegało pobojowisko, zaglądając w oczy każdemu z poległych, jakby chcąc się przekonać: który z nich

[1]) Dzień dobry, bracie!

żyje jeszcze a który usnął na zawsze... Żołnierze również krzątali się śród trupów. Rannych opatrywano naprędce, zabitych na bok odciągano i składano na dwie kupy; osobno żołnierzy, osobno bośniaków; chłopi z Mrkalje po których posłano, mieli dla nich doły kopać.

Kapitan z kolei przesłuchiwał jeńców. Gdy już badania ukończył i chciał oddalić się od nich, Ivon Sputič krokiem naprzód postąpił.

— Gospoda! — rzekł — zanim mnie ztąd zabierzcie, pozwólcie, niech jeszcze z bratem moim kilka słów, tak w cztery oczy pomówię...

— Boga-mi! [1]) nie mam mu nic podejrzanego do powiedzenia...— dodał prędko, widząc wahanie na twarzy oficera. — Słów tylko kilka od ojca... pozwólcie... molim was! [2]).

Kapitan skinął na Topona, aby się zbliżył, a sam z żołnierzami usunął się nieco na bok.

Bracia stali teraz o kilka kroków naprzeciw siebie; Topon nad brzegiem urwiska, Ivon pod ścianą wiszaru.

Długą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu, wreszcie Ivon przemówił:

— Dwukrotnie zdradziłeś nas Toponie!

— Zdradziłem ciebie, bo chciałem, abyś zginął podłą śmiercią, z rąk szwabów!...

I znowu zapadło milczenie. Przerwał je po raz drugi Iwon.

— Pamiętasz Toponie, Banim-han [3]) w dębowym gaju na Crnim-vrchu?... [4]). Urodziliśmy się w nim obaj. Przedwczoraj, byłem tam; na głowę moją cenę wyznaczono, więc idąc narażałem życie... stary ojciec umierał, musiałem pójść... Skonał na moich rękach i kazał mi tobie powiedzieć Toponie, że: upiorem na świat ten powróci i ścigać cię będzie, gdzie krok tylko zwrócisz i, będzie krew twoją żywą po nocach wysysał...

— Dobrze! — odparł Topon blademi usty, usiłując uśmiechnąć się.

— Mówił przed śmiercią — ciągnął daléj Iwon — że Topon nie jest jego synem! „Żaden prawy Bośniak nie uczyniłby tego co on...“ mówił... „Gdy żal miał do brata, że go ubiegł przy dziewce, niechby był zebrał junaków i przemocą porwał mu żonę!... niechby był wreszcie szukał z nim spotkania i na bój go wyzwał!... Ale on tego nie zrobił... on wolał być zdrajcą, wolał pohańbić świętą sprawę, wolał Szwabom dla pomsty swojéj służyć!... i dlatego, niech będzie przeklęty po wieczne czasy! niech dzieci i wnuki jego będą przeklęte! niech jak

[1]) Świadczę się Bogiem! [2]) Błagam. [3]) han, gospoda samotnie stojąca. [4]) wzgórze na południe od Fočy.

pies marnie zginie, gdyż dla dziewki nie sprzedaje się wiary!“ Słyszysz Toponie? to ojciec ci kazał powiedzieć!

Topon milczał, zwiesiwszy głowę na piersi.

Po twarzy Ivona przemykały tymczasem jedna za drugą czarne chmury, niby zamysły jakieś ciężkie.

— Módl się — rzekł wreszcie do brata — módl się i żałuj za twoje grzechy!

Topon podniósł głowę i zuchwale potoczył wzrokiem.

— Ty sam módl się! ty prędzéj zejdziesz z tego świata! Pojutrze wisieć będziesz na szubienicy w Fočy... a ja będę patrzał na ciebie i na twoje męki i wołać będę wtedy głośno, że się raduje serce moje!...

— Nikt swego dnia i swojéj godziny nie pewny! — odparł Ivon ponuro. — Sprawiedliwość różnemi chodzi drogami a nikt się przed nią nie wywinie!... Toponie! ojciec kazał mi jeszcze powiedzieć tobie, że w godzinę śmierci twojéj zjawi ci się od strony Banim-hanu i stanie przed tobą, aby ci złorzeczyć!... Patrz! patrz! ja widzę go!... obejrzyj się tylko za siebie!... zstępuje z chmur i idzie tutaj...

Topon machinalnie głowę odwrócił.

Wówczas Ivon, jednym skokiem rzucił się naprzód, a mając ręce związane, ciężarem własnego ciała pchnął brata.

— Dla dziéwki zdradzać nie wolno! — krzyknął dziko i obaj runęli w przepaść.

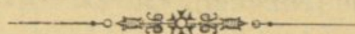
Poskoczyli żołnierze na ratunek, lecz zapóźno już było! W czarnéj czeluści nic się nie poruszyło, żaden głos, żaden jęk nie doszedł ztamtąd — tylko ostatnie słowa Ivona odbite od skalnych szczytów, zaszumiały niewyraźnym echem nad śniegiem i trupami pokrytą Puha-gorą...

Izydor Kuncewicz.





WRÓŻBY I MARZENIA SHELLEY'A.



Piękne, jak poemat, było życie wieszcza, którego Anglicy uważają dziś za największego swego liryka. Gdy je świat szerszy poznał, zaczął z rozrzewnieniem wspominać chwile jego wielkich smutków i wielkich radości, jego walki, porażki i zwycięstwa, jego skon tragiczny i jego serce nie tknięte przez ogień, który pochłaniał młode ciało. Nieocenione prace rodaków, jak prof. Dowdena i Rosetti'ego, dostarczyły obfitego materyału życiorysowego, który wespół z samemi utworami natchnął wielu literatów do napisania mniéj lub więcéj obszernych studyów i charakterystyk. W krótkim stosunkowo czasie urocze widmo Shelley'a obiegło wszystkie piśmiennictwa, wyciskając na niejednóm swą pieczęć. Ale doba nie była i może dotąd nie jest po temu, żeby go ocenić należycie i pojąć wszechstronnie. Doktrynki w krytyce, doktryny w filozofii, doktryny w polityce sprawiły, że go rozbierano zawsze z pewnego tylko, zbyt jednostronnego stanowiska. Nie tracił wprawdzie przez to na sławie, ale wychodził z pod pióra niezupełny, bądź z fizyognomią działacza rewolucyjnego, bądź z twarzą marzyciela społecznego, a zawsze ogołocony z wieńca harmonii i syntezy, do których dążył i które stopniowo się w nim ziszczały.

Pociągało to za sobą drugi ważny błąd. Gdy się raz przyzwyczajono stawiać Shelley'a wyłącznie na gruncie dążeń chwili dziejowéj i nawet w utworach najbardziéj oderwanych i wszechludzkich dopatrywać się tendencyi działacza, przeoczono z konieczności żywioł egotyczny lub sprowadzono go do nieznacznych rozmiarów. A tymczasem jest on jednym z czynników górujących, zwłaszcza w ostat-

nim, najdojrzalszym okresie twórczości swojéj. Jeno natura tego żywiołu jest taką, że uzupełnia niejako program wszechświatowych marzeń poety, stanowi ich żywe wcielenie, ich zobrazowanie w postaci jednostki, całkiem różnéj od swego pokolenia i również wybiegającéj w przyszłość.

Uwzględnić i połączyć oba te ważne momenty, a mianowicie: myślicielską pełnię i całokształtność idei Shelley'a, oraz rolę jego własnéj osoby wśród bohatérów opiewanego przezeń świata zewnętrznego, możemy jedynie przy pomocy rozbioru jego dzieł późniejszych, powstałych po dniach naiwnego wichrzycielstwa. Czynimy zaś to w przekonaniu, kto wié, może mylném, że w ten sposób otrzymamy portret prawdziwszy, ciekawszy i zgodniejszy z wymaganiami filozoficznéj wielostronności w stosunku do poetów ideału powszechnego, śród których jedno z miejsc naczelnych zajmuje Shelley.

I.

Jeżeli poezya ma „przebijać skorupę zużytych prawd, od których zawisłe są istniejące urządzenia“, jak jéj zadanie określa Shelley, to musi ona szybować wysoko ponad ziemią i tchnąć również wysoką egzaltacyą. To téż trzyma ją on w nastroju rozmyślnie podnieconym i gorącym. Z biegiem czasu żywioł dydaktyki, którego się tak żarliwie wypierał, przestał być ubraną w wiersze doktryną, a stał się rozważną filozofią, która nie zasługuje bynajmniéj na czyniony jéj nieraz zarzut zupełnéj niewiedzy o historycznéj ciągłości stanów społecznych, chociaż nosi na sobie cechę wyjątkowego idealizmu. Pod wpływem téj zmiany nieprzytomne chwalby dla różnych krwawych w dziejach porachunków, ustępują miejsca sądowi wprawdzie pobłażliwemu ale dojrzałemu.

Wichrzycielstwo poety wkrótce przestało być niebezpieczném, bo téż—właściwie mówiąc—bardzo krótko niém było. Szanował żywot robaczka, więc tém więcéj szanować musiał byt człowieka i z arsenału bojowegowy rzucił miecz i ogień, ażeby nie posługiwać się niemi nawet w wojnie domowéj. Jak Byron tęsknił za wojną, pozornie ją wyklinając, tak Shelley, naodwrót, opisywał ją nieraz, lecz się przed nią wzdrygał. Stał się z czasem do nienawiści niezdolnym i dla wszystkich winowajców miał jeno litość, a w zanadrzu wyrok ułaskawienia. „Co, krew za krew! krzywda za krzywdę, o, nie czyńcie tego, gdy będziecie silni“ — woła Nadzieja do głodnych w „Masce“. Wszelka idea zemsty jest dlań wstrętną, a zwłaszcza w zwycięscy, bo

wtedy hańbi jego tryumf. Demon Miltona jest według niego o tyle wyższym od swego Jehowy, o ile człowiek, nieugięty w swym ślubie pozostania wzniosłym wbrew przeciwnościom i torturze, jest wyższym od tego, co w zimnéj pysze niewątpliwéj przewagi, znęca się nad pokonanym, ażeby przywieść go do czynów rozpaczy, które mógłby ukarać nowemi okrucieństwami („Obrona poezyi").

Brzmi to prawie jak werset z Pisma świętego, bo i cała udawana niechęć dla Chrystusa była w Shelleyu raczéj goryczą dla jego niepowołanych rzeczników i ukrywała w sobie głęboką, choć bezwiedną cześć. Jakkolwiek tedy w mnóstwie utworów, a głównie we wszystkich nasyconych filozofią dziejów, wyraża się o założycielu chrystyanizmu, jako o sprawcy nieobliczonych klęsk ludzkości, a raz nawet w dopiskach do „Hellady" stawia go na równi z Kainem — biblijnym, nie byronicznym, — to przecież daleko częściéj rzuca kamień potępienia na fałszywych tłómaczów Ewangelii („Przedmowa do Laona i Cytny"). Najohydniejszym doradcą Othmana jest wprawdzie ksiądz, lecz za to w późniejszéj epopei wschodu, „Helladzie", wiarę Chrystusową otacza już aureola świętości, przynajmniéj względnéj. A jeszcze późniéj, w „Obronie poezyi", szeroko rozwodzi się nad znaczeniem wybawczém nowego zakonu, bez którego po dojściu ewolucyi dawnych systemów pogańskich do kresu, ludzkość wpadłaby w ostatnią anarchię i ostateczną ciemnotę.

Powinowactwo duchowe i w tym stopniu jedyne na całej niwie literatury świata — z typem pierwszych apostołow, widnieje i w niesłychanéj sile przejęcia się misyą w żarliwości, przypominający upór męczeńskich pionierów wiary, bezgranicznémi niemal poświęceniem dla idei. Śmiałym krokiem przebywał dla niesienia pociechy owe wrota, za którémi żegnać trzeba wszelką nadzieję, jakby mu się zdawało, że sam za mało cierpi, że nie ma prawa do owéj cząstki zadowolenia wobec ogromu ziemskiego piekła. Jest jeden utwór, w którym oglądamy go jako człowieka, bez odświętnéj szaty pieśniarza, i tam jego potęga czucia wprawia nas jeszcze więcéj w podziw. Mówimy o J u l i a n i e i M a d d a l u, żywém i niekunsztowném wspomnieniu o domu obłąkanych, który zwiedził razem z Byronem, gdy bawili ongi w Wenecyi. Był tam waryat, którego nieszczęśliwa miłość wyzuła z bytu zamożnego i światłego i strąciła w otchłań bezdennéj melancholii; skargi jego, choć bezładne, były zrozumiałe i rozdzierające. To téż i głęboki ból wyziéra z opowieści Shelleya i każe nam uchylić czoła otwartość, z jaką przyznaje, że obadwaj na widok téj nędzy nie próbowali nawet tamować potoku łez swoich, a po wyjściu z zakładu stracili na długo sen i apetyt. Ale przedtém jeszcze wiedli z sobą

rozmowę, w któréj, na tle rysów wspólnych, przeciwieństwo duchowe obu poetów dosadnie się maluje. Maddalo-Byron, więcéj trzeźwy i sceptyczny, boleje tylko nad faktem; Shelley chce głową przebić mur i leczyć chorych na umyśle litością i poświęceniem — i z tego powodu rozwija plany, wedle tamtego, o tyle egzaltowane, że mogą same przyprawić marzyciela o szaleństwo. Ta niewiara, zabarwiona pewną wyniosłością „bardziéj doświadczonego,“ podnieca tylko zapał Juliana, który twierdzi, że to nasza własna wola podtrzymuje zło, że wielę rzeczy możnaby zmienić a sobie zapewnić szczęście i wielkość, gdyby nie nasza słabość. „Posiadamy pewną nad sobą władzę czynienia lub znoszenia... ale czego? Nie wiemy, póki nie spróbujemy. Ale to pewna, że czegoś bardzo wzniosłego, niż życie i śmierć. Tak nauczali książęta starożytnéj filozofii, którzy panowali, nim przesąd oślepił człowieka, a ci, co cierpią razem ze swymi cierpiącymi braćmi, czują, że ich wiara jest religią właściwą.

Gdyby mógł, z pewnością karmiłby i zbawiał ludzkość kęsami własnego ciała. Jego życie ofiar i utrapień pełne zbyt wymownie o tém świadczy, a jego dzieła tysiącem porywających i krwią serdeczną pisanych zwrotów dowodzą istnéj żądzy zostania ukrzyżowanym. „Nieśmiertelny głos Prawdy zawisa pomiędzy ludźmi!... Gdyby na krzyk nie było żadnéj odpowiedzi, gdyby nawet ludzie mieli powstać i z wściekłą furyą podeptać nogami samo imię tego, kto ich kocha, to i wtedy jeszcze świecilibyśmy w burzliwą noc świata, jak dwie ciche, promienne gwiazdy“ — mówi poeta do Maryi Godwin w przypisaniu „Laona i Cytny.“ Gdzieindziéj „przyrządza on sobie karm dla chmary niezliczonéj swych myśli z szyderstw ludzi osiwiałych w hańbie i wzgardzie, z jęków ludu mrącego głód, z łkań matki nad dzieckiem zbrukaném niewinną krwią, z czół stroskanych i bladych serdeczną trwogą (*Canto II*). Przysięga, że niby siarczysty cypel góry, otrząśnięty ze śniegowéj skorupy, wybuchnie i zapełni świat czyszczącym ogniem i śród przeraźliwych wstrząśnień stać będzie niewzruszony, jak wieża z marmuru urąga sprzymierzonym wichrom. „Z rozpaczy się śmieje i rozumié jedynie męstwo i waleczność na śmierć i życie. „O płyń z twą niepowstrzymaną wymową, krwi życiodajna, i niechaj serce moje wprzód wyschnie doszczętnie, nim upadnie sprawa, któréj byłaś godną.“ W ten mniéj więcéj sposób wykrzykuje raz po raz, jak gdyby przebiérał w palcach nieskończony różaniec religii odkupienia. Często zaś zdobywa się w tych litaniach na prostotę i szczerość, niemal wzruszające do łez i cudownie piękne. Taką modlitwą jest właśnie „Oda do wiatru zachodniego,“ którą czyta się z bolesnym prawie dreszczem. Jest-to nadludzki patos sonat Beethovena, niekiedy mi-

sternie rzeźbiony jak Chopinowskie koncerta; poeta roztapia się w przestrzeń, wyziéwa całą istność, jak pragnąłby rozwiać się udręczony pokusami święty Antoni w arcydziele Flauberta. Jeno nie rozprasza się w materyę, lecz w samego ducha, który na skrzydłach wiatru kołacze się po świecie i łaknie być listkiem, obłokiem: O Duchu wzniosły, duchu mój własny! Bądź mną, istności rozwichrzona! Rozsiéj martwe me myśli po świecie, niby zwiędłe liście, ażeby przyspieszyły nowe narodziny, i zaklęciem tych wierszy rozmieć słowa moje śród ludzkości, niby popioły i skry niegasnącego ogniska. Przez usta moje bądź surmą proroctwa dla omdlałéj ziemi!

Takiéj więc destylacyi uległ ferment przewrotowy i taki z niego wydzielił się kryształ. A dokonała oczyszczenia własna natura poety, wroga wszelkiemu złu i cierpieniu sama przez się, a nadto wyszlachetniona w obcowaniu z takimi mocarzami ducha, jak twórcy wielkich religijno-moralnych systemów i wielcy poeci-prorocy. Dojrzéwając, cofał się jednocześnie myślą w przeszłość i miejsce jaskrawych lecz krótkotrwałych meteorów zeszłego wieku zajęły w jego sercu tak niespożyte światła, jak Mojżesz, Jeremiasz, Jezajasz, Hiob, Dante i Milton. Trzeba to miéć na uwadze, jeśli chcemy ogarnąć Shelleya w całéj należytéj pełni; a w tym względzie może i powinna nam służyć za przewodnika „Obrona poezyi,“ która — jak słusznie zauważył Rabbe — starczy za wszelkie komentarze do dzieł poety i rozjaśnia w sposób nieoczekiwany i nieoceniony wpływy, pod któremi się urobił. Widzimy go w niéj tak, mimo młodzieńczość swą, obytym z filozofią i literaturą, jak gdyby conajmniéj przyszedł był już na świat z darem pisma, polotu i rozumowania. Wskazuje trafnie miejsca, jakie zajmują wielcy myśliciele i wieszczowie, i doskonale określa rolę każdego w dziejach ducha ludzkiego, lecz wyróżnia z upodobaniem wyjątkowém poezyę proroków hebrajskich, w któréj widzi matkę piękna chrześciańskiego, — a najwięcéj korzy się przed twórcami „Boskiéj komedyi“ i „Raju utraconego.“ Są to dlań budowniczowie całego gmachu nowych wierzeń i pragnień. Zwłaszcza po purytańsku surowy szatan Miltona, wywiéra nań trwały, magnetyczny urok i — naszém zdaniem — jest nie tyle ojcem, ile może przyrodnim bratem „Prometeusza rozkutego,“ któremu użyczył swéj stoickiéj wytrwałości. Zresztą i „Kain“ Byrona jest niewątpliwie potomkiem tego samego rodu, ale nie tak blizkim. Imię wielkiego ślepca, który najwszechstronniéj wyobrażał religijne i moralne zalety Anglików i może całego protestantyzmu, spotykamy u Shelleya kilkadziesiąt razy, zawsze opromienione blaskiem chwały. A niekiedy podkłada pod nie własną swą istotę, przez któréj pryzmat skłonnym był patrzyć na

wszystkie typy pokrewne. „Śniłem—opowiada w urywku z r. 1820,—że duch Miltona wstał, zdjął z zielonego drzewa życia swą lutnię Uranijską. I oto pod jego dotknięciem łagodny grom się potoczył i wstrząsnął wszystkiemi rzeczami ludzkiemi, które człowiek ma w pogardzie, i zatrzęsły się trony krwawe, ołtarze bezbożne, więzienia i turmy.“ To przecie marzenie samego Shelleya — królować dobrém natchnieniem, opiekuńczym geniuszem, nad całym światem, ogarnąć cały w przestrzeni i czasie, ale bez przemocy a tylko czarem lutni, zdjętéj z zielonego drzewa życia.

Teraz już cała powszechność i ogólno-ludzka skala jego uczuć stają się widocznemi. Krocie węzłów łączą go zarówno z odległemi wiekami, jak i starożytną Jerozolimą i Atenami. Uczuciem zwraca się do czasów, które dopiéro nadejdą, bo je miłuje i chce błogością obdarzyć, rozumem zaś i popędami naukowemi oraz artystycznemi do Grecyi. Jest niby olbrzymim drogoskazem o dwóch w jednéj linii leżących ramionach, z których jedno wskazuje na dzieje przyszłe, drugie na świat klasyczny z jego odrodzeniem, i zachwyca się mostem, który rzucił — według niego — Dante między czasy dawne a dzisiejsze. Stąd się bierze hellenizm, który na formie jego dzieł tak głęboką zostawił pieczęć, i dlatego to pragnął być uważanym za Greka i dlatego tak się karmił duchem Hellady.

Nie potrafiłby stanąć w szeregach powstańców wzorem Byrona, bo nie był o tyle dzielnym fizycznie, wielbił raczéj chwałę umysłową Grecyi, niż chwałę czynów wielkich, ale za to stworzył górnolotny, pełen szczytnego zapału dramat „Hellas“, który poświęcił głównemu bojownikowi sprawy, księciu Maurocordato, osobistemu przyjacielowi i stałemu partnerowi w szachach. W przedmowie mówi poeta między innemi, że „gdyby nie Grecya — Rzym, mistrz, zdobywca, czy też metropolia naszych przodków, nie byłby orężem swoim rozkrzewił oświaty i dotąd bylibyśmy barbarzyńcami i poganami, a co gorsza, doszlibyśmy do tego zastoju i nędzy, jakie cechują ustrój społeczny Chin i Japonii.“ „Hellas“ jest i w tyn sensie spłatą hołdu duchowi greckiemu, że ma swój wzór w „Persach“ Eschylosa.

Homer, Hezyod, Eschylos, Sofokles, którego „Antygonę“ miał za najlepszy wyraz moralnéj podniosłości, Eurypides, którego „Cyklopów“ tłómaczył nawet, i filozoficzna synteza odgłosów greckich, Platon ze swym idealizmem, byli prawdziwymi Shelley'a patronami. „Biesiadę (Sympozyon)“ tłómaczył i patrzył na jéj twórcę nie przez szkła średniowiecznéj scholastyki, która go zagarnęła dla celów wielce podejrzanych, lecz widział w nim wielkiego „odkrywcę“ równości,

swobody i braterstwa w Republice, oraz idei, pomysłu najbardziéj niespożytego i najrdzenniéj greckiego.

Shelley'a poezya to prawdziwy Olimp i Ereb, a w „Prometeuszu“ trudno się nam przez jego wyolbrzymiałą i rozrosłą mitologię przecisnąć. W nim téż wyrzekł on, że poeta tworzy „formy najczystsze, te córy nieśmiertelności, nad rzeczywisty świat rzeczywistsze“ (Akt I, Czwarty geniusz). Mają one jednak u Shelleya namacalność i plastykę form (immanentnych) Arystotelesa i wyłaniają się z mózgu tak żywe, jak gdyby płynęły z silnéj wielo-bożéj wiary. Jest-to, jak słusznie zauważył Bleibtreu, mityczno-mistyczna poezya natury w duchu indyjskich Vedów i starogreckich pieśni, a zarazem rzeźba Pygmaliona, pod którego dłutem posągi nabiérają prawdziwego życia.

Wszelkie oderwania stały się u niego raz na zawsze żywemi osobami. Cnoty i występki, prawdy i kłamstwa, pojęcia i żądze chodzą tedy zawsze niby odziane w greckie wieńce, chitony i tuniki, i ta maniera nigdy go nie opuszczała. Często, jak w swéj antologii, umié nawet i treść dostroić do stylu klasycznego, co uderza w „Śpiewie Prozerpiny,“ „Arethusie,“ „Odzie do Neapolu,“ które tchną rzetelnym Pindarem, i mnóstwie innych. Mitów na własną rękę płodzi bezdeń, albowiem bez alegoryi ogólno-ludzkich i wiekuistych nie mółby sobie dać rady ze swym wzrokiem, który umiał oglądać przedmioty jedynie *sub specie aeternitatis*.

II.

Tak trawiony tęsknotą za ideałem harmonii, Shelley próbował naszkicować ją po kilkakroć w poemacie, któryby mógł służyć za księgę przymierza dla wszystkich ludzi, czasów, narodów. Utwory większe aż do roku 1820 tą myślą i chęcią są przeniknione, ale snadź autora nie zadawalniały, — bo i trudno było, co prawda, miéć jakiekolwiek co do nich złudzenia — skoro wedle dawnego swego planu i gwoli dawnym, stale nurtującym go dążeniom, napisał „Prometeusza rozkutego.“ Boć pod względem treści *Queen Mab* różni się od niego jeno usposobieniem junackiém i dziecięcą pewnością siebie; główna zaś różnica, któréj ogrom nie da się obliczyć, przypada na stronę artystyczną. Tam były pierwociny talentu, jednostajna, nużąca liryka, obrazy niedoli i obrazy lepszego jutra, wprawdzie miesjcami polotne, silne, bogate w koloryt i śmiałe, ale jaskrawe jak malowanki ludowe. To na pół prozaiczny, ale wciśnięty gwałtem w rymy zarys dzieła, które będzie wykonane na szeroką skalę późniéj, gdy w umyśle zapanuje równowaga, zdolność dojrzałego namysłu i bezinteresowniejsza

miłość dla sztuki. Warunki te stanęły — widać — do apelu w kilkanaście lat później i im to zawdzięcza swój byt „Prometeusz,“ arcydzieło w każdym wyrazie i w całości, choć z osnową tyle razy już przez poetę użytą i nadużytą.

Nie przesadzajmy jednak miary podobieństwa między płodem dojrzałego geniuszu a gorączkowém zaciskaniem pięści w okresie przejścia. Samo zaciągnięcie pożyczki u Eschylosa świadczy o nawiązaniu nici z historyą, z którą tak mało rachował się Shelley dotąd, i stanowi wynik niezawodnéj, wiecznie zbawiennéj szkoły hellenizmu. Bunty zamieniły się w marzenia poety-filozofa, których nie można zachwiać skałą prawdziwości i chłodnego rozsądku, bo mają kształt przedmiotowy, epiczny. Fryz Partenonu może przedstawia Palladę piękniejszą od najcudniejszych kobiét, archontów wspanialszych od wszelkich na świecie dostojników i konie dzielniejsze od samego platońskiego wzoru rumaków, ale skoro stały się ciałem, są nieśmiertelne. Więc gdy retoryka podmiotowa młodziutkiego autora „Rokoszu“ zostanie zapomniana, — „Prometeusz“ i jego otoczenie żywe i martwe przejdą jako fakt do świątnicy potomnych. Jest-to wypukłe, całokształtne, pełne odbicie pełnego ducha i w niém widzimy całą, pulsującą, okrągłą syntezę doskonalszych żywiołów epoki. Własne słowa Shelley'a, wyrzeczone o Miltonie, możemy do tego dzieła zastosować: „Pomieszał on pierwiastki natury ludzkiéj, niby farby na palecie i rozłożył je w swém wielkiém malowidle wedle praw prawdy epicznéj, to znaczy, według praw zasady, mocą któréj pewien szereg wydarzeń świata zewnętrznego oraz istot inteligentnych i moralnych obliczony jest na to, ażeby wzbudzić sympatyę przyszłych pokoleń rodu ludzkiego“ (Obrona poezyi).

Oczywiście „Prometeusz“ Shelley'a przewyższa greckiego nietylko o różnicę między morałem spółczesnym a pogańskim, lecz nawet o różnicę między chrystyanizmem naszych dni a pierwotnym, nieskażonym, wzniosłym. Przerasta on nawet Miltonowskiego „Szatana,“ którego stanowi wydanie poprawne, w pierwszym bowiem poeta widzi jeszcze za dużo ambicyi, zazdrości, pragnienia zemsty (Przedmowa).

Umysł filozoficzny nie może jednak ubiérać rzeczywistości w kolory tęczy, nie byłby przecież wyklętym. Gdyby wszystko chwalił i wielbił, nie byłby dzieckiem rozbudzonéj przez rewolucyę analizy. Nadzieje jego dotyczą odległego jutra — podczas gdy wczoraj i dziś są padołami płaczu.

„Prometeusz“ zostanie kiedyś rozkuty, ale dziś jeszcze jęczy przykuty żelazami do skały Kaukazu. „Lodowce bodą go grotom kryształów, marznących nocą; łyskliwe kajdany piekącym chłodem

wyżérają mu kości, a pies skrzydlaty, plugawiąc dziób jadem, szarpie mu serce: „Bezkształtne widma koło mnie koczują — woła Tytan. — Straszydeł roje z królestwa senności szydząc, przechodzą nademną; Demonom trzęsienia ziemi kazano, by nity drgających ran mych zdziérały o skałę, co się rozwiéra i zwiéra podemną. A z téj otchłani tłoczą się i wiją geniusze burzy, podniecając wściekłość orkanów, aby chłostały mię gradem“ [1]).

Czy ma jednak prawo tak pastwić się nad „Prometeuszem“ wielki inkwizytor nieba? Toć „Prometeusz,“ a nie kto inny, dał Zeusowi jego potęgę: mądrość. Skąd ta czarna niewdzięczność? Oto, widząc jak Zeus używa steru świata, powierzonego sobie, z warunkiem, ażeby ludzie byli swobodni, — za narzędzie okrucieństwa, tytan zesłał ludzkości pociechę, ujarzmił ogień, zdobył żelazo i złoto i wszelkie pożyteczne kruszce, dał jéj mowę i natchnął wiedzą, wyzwolił myśl z więzów troski codziennéj, pozwolił w sferze sztuki i poezyi szukać osłody i zapomnienia, poczynił mnogie odkrycia, objawił skrytą moc ziół i zdrojowisk, uczynił lżejszemi cierpienia i samą śmierć, — połączył szlakami wodnemi rozdzielone plemiona i odległe ziemie.

Widzimy więc przed sobą dwa piekła: w jedném wije się ludzkość cała, a drugie, równie pełne niewysłowionych tortur, wre w duszy wybawcy. W gruncie rzeczy oba odzwierciedlają nieszczęście całego naszego rodzaju, jeno że pierwsze postaciuje zło powszednie, będące udziałem wszystkich: ból fizyczny i zwykłe niedole moralne, gdy znów drugie ów szczytny wykwit ducha zbiorowego, ową ustawiczną pogoń za ideałem, łaknienie doskonałości, ową truciznę wiedzy i filozofii, co trawi człowieka świadomego siebie, wobec zagadek bytu i przyszłości spać mu nie daje, zaludnia umysł tysiącem wygórowanych lub mglistych pragnień. To jest owa iskra Prometeja, którą Jowisz obiecuje zdeptać, ale która tli się bez przerwy i raz wraz płomieniem bucha.

Ten dwuświat męczarni różni się jednak zasadniczo od obrazów nędzy, wyszłych z pod pióra innych prometeistów. A to dlatego, że Shelley biada nad czém inném i czego innego téż pragnie. Jego poemat liryczny uzmysławia jego ideę szczęśliwości, w któréj odgłosy humanizmu Greków, ich równowagi moralnéj, rozbrzmiewają obok ech angielskiego eudemonizmu Hobbesa, Benthama i Milla. Jeżeli w „Królowéj wieszczek“ zżymał się na powagi państwa i kościoła, na grzechy i krzywdy społeczne, na kłamstwo, podstęp, samolubstwo, służalczość, jako chwasty niedotrzebione przez rewolucyę, tedy tutaj ma on serce

---

[1]) „Prometeusza“ cytujemy wedle przekładu p. Feliksa Jezierskiego.

czułe dla cierpienia w najszerszém i zarazem najpierwotniejszém znaczeniu wyrazu i przedewszystkiém neguje to zło, jakie na nas i — jak przypuszcza — na cały wszechświat sypie hojną dłonią natura. Ogarnia on tu wszystkie postaci bólu, niezależnie od rodzaju istoty, która cierpi, i od przyczyn, które go wywołały. Albowiem jednėm powszechném źródłem złego jest mściwy i zawistny Jowisz.

Jak najmniéj więc chodzi Prometeuszowi o zdobycie klucza do tajemnic bytu i piękna, o zrozumienie spraw zmysłom naszym niedostępnych, wzorem Fausta. Nie dba też o rangę w państwie duchów i bogów, na podobieństwo Manfreda. Nie goni za nadludzką i nadprzyrodzoną mądrością, ani też za nadziemską potęgą woli, owszem, śród jego zgryzot jedno z miejsc naczelnych zajmuje skarga, iż władca świata zesłał na człowieka

dzikie niepokoje,
Czcze cienie szczęścia niedoścignionego,
Które wzajemny toczą bój i burzą
Mu legowisko, na którém szalały.

Jest-to klęska nie mniejsza wcale od tych, które wylicza oblubienica tytana, Arya, od „głodu, mozołu i nędzy, walk, ran, czarnéj zarazy i najczarniejszéj, przedtém niewidzianéj śmierci, od powikłanych pór roku, które samowolną koleją, mrozu i ognia strzałami, bezbronne, blade człowieka pokolenie wparły do górskich jam.“ Dość zresztą popatrzyć na owe pełne zgrozy widma przyszłości, któremi psy piekła, furye ze stalowemi skrzydły, pod wodzą Hermesa i na rozkaz Zeusa dręczą duchowy wzrok jeńca. Przybywają one od miast przestronych, głodną śmiercią spustoszonych, od niedosłuchanych jęków, od trzew z krwią nieliźniętą.“ One kuszą młodzieńców, uwikłanych w przędzę chuci, zmysłem samowzgardy i przyszłéj niedoli, one przerażają sny marzyciela niewyjawioną tajemnicą piekła i pysznią się:

Pędzim, jak wyziew od piekielnéj bramy,
Ciążę pomoru w powietrzu wdychamy.

I dopiéro, gdy wyczerpały cały arsenał gróźb i postrachów, nie zdoławszy Prometeusza zgnębić, jęły nękać go widziadłami okropnych zbrodni społecznych, popełnianych w imię różnych świętości i gwałtem zagarniętych przywilejów.

Nie dziw przeto, że Shelley nie widzi zgoła rajskich rozkoszy i tytułu do samochwalby w iskrze Prometeusza, która pali łono. Z chwilą, gdy analiza wybiega zbyt daleko a burza wewnętrzna szaleje zbyt gwałtownie, ma ją również za dar przeklęty. Czuje on aż

nadto głęboko, że ci, „co cierpią za człowieka krzywdy, szyderstwo i pęta, skupiają tysiąckroć męki na niego i siebie,“ że wybraniec nieszczęścia, odkupiciel, pokutnik w imię ludzkości, jest właściwie samą tą ludzkością, jeno wyosobioną w jednostkę, albo wyobrażoną w téjże, że zatém kto pragnie zbawienia dla całego rodzaju, tém samém musi pragnąć go i dla zakładnika w walce ze złém.

Nie tak rozumują inni poeci tego kierunku, dajmy na to, Byron i Ludwika Ackermanowa. Choć bowiem współczują Prometeuszowi, radzi są, gdy mogą na wzór jego pokazać światu rozszarpane wnętrzności i kajdany, i w jego sile, męstwie, odwadze, wytrwałości i dumie widzą bądź cobądź chlubę, któréj wyznaczają w tematach swych miejsce poczesne. W swoim „Prometeuszu“ Byron nazywa tytana wprost symbolem ludzkiéj doli, godłem półboskiéj natury człowieka i téj potęgi wewnętrznéj, téj jaźni, która potrafi nawet ból zagłuszyć. Takie wyzyskiwanie nieśmiertelnego mitu zawiéra w sobie jawną sprzeczność, bo ono lamentuje nad męczarnią, którą dla dobra poezyi pragnęłoby jednak zakonserwować jak najdłużéj.

Shelley zaś poruszył ową ofiarę z miejsca. Snadź ma dlań ona coś również niepokojącego, jak np. wiecznie wzniesiona w kamiennym posągu noga, którą chciałoby się przywieść do położenia bardziéj naturalnego. Zrozumiał on, że utrwalać tragiczny los Prometeusza na wieczne czasy, jest-to utrwalać w naszéj wyobraźni na zawsze i niedolę ludzką. Stąd jego poemat tchnie świeżością i powabem nowego, nieogranego, czarownego jak wiosna tematu, a zarazem mimo cały swój idealizm trzeźwą, bo przecie logiczną filozofią. Roi on przyszłość, w któréj Prometeusza, jako więźnia i delikwenta, już nie będzie, lecz zostanie tylko błogosławione imię, które ozdobi głowę szczęśliwca, sławnego zwycięstwem bohatéra i wybawcę uciśnionych. Poświęcił się on, ale nie dla idei królestwa niebieskiego, lecz dla prawdziwéj ziemskiéj Arkadyi. Jego królestwo jest zupełnie z tego świata.

Tym sposobem w zupełnéj zgodzie z podanemi już formami cierpienia zostają i Shelley'owskie miraże szczęścia, ukazały się bowiem na tym samym widnokręgu myślowym, nawskroś hedonistycznym, który zrzeka się wszelkich poetycznych buntów i protestów, byleby to, co żyje, zakosztować mogło lepszych dni. Wydarte szponom Zeusa jestestwa ślubują sobie nazwać błogą epokę „światem Prometeusza,“ ale w niéj z prometeizmu właściwego poeta kwituje. Podówczas zjawia się nowy raj na ziemi, rozkoszna sielanka jak na Zeusowego pogromcę może nazbyt miękka i czułostkowa. Ma on zamieszkać cudowną grotę, obrosłą powojem i pachnącemi ziołami, pełną cza-

rów i niespodzianek, tęczowych stalaktytów, strumieni, brzęku pszczół i świegotu ptasząt. Tam pospołu z Aryą będą śpiéwać pieśni, gwarzyć o świecie, napawać się miłością, darzyć innych miłosierdziem, chłonąć piękno tworów pędzla i dłuta.

Trudno przypuścić, ażeby obraz takiego przytulnego zacisza, tchnącego niemal mieszczańskiem ciepłem domowego ogniska, mógł przypaść do smaku poecie z pnia Byronowskiego. Leopardi niechybnieby się nim zanudził na śmierć, a frasobliwa pani Ackerman widziałaby w nim lenistwo i gnuśność. I kto wié, czy gdyby legenda była prawdą, a widzenie Shelley'a miało się ziścić, całe państwo poezyi nie roniłoby łez, że nie stało Prometeusza, bo oto żelazną koronę z narzędzi jego tortury dźwiga na swéj głowie spokojny, harmonizowany duchem... patryarcha, jakiś *bonus pater familias.*

Niech wszakże nie sądzi nikt, żeby Shelley pozwalał bohaterowi z krzywdą dla jego godności zawiérać jakikolwiek sojusz z Zeusem. Tak uczynił pono Eschylos, w którego zaginionym dramacie Prometeusz miał być rozkutym w nagrodę za to, że ostrzegł Zeusa przed małżeństwem z Tetydą. Ale Shelley'owi myśl o przymierzu bojownika ludzkości z Bogiem była, jak sam przyzmaje, nienawistną. Równałaby się ona cofnięciu protestu i pokornéj prośbie o łaskę. Było to logiczne dla wyobraźni Greków, która w Zeusie widziała tylko wszechwładcę bogów, demonów i duchów, ale niedorzeczne i niemoralne dla poety naszych czasów, chcącego uosobić w Zeusie wszystko złe i okrutne. Pojednanie Prometeusza z bogiem złego byłoby więc zwycięstwem złego, upodleniem człowieka. Choć więc Hermes zaklina, by się ukorzył — Prometeusz odpowiada: „Niech inni kadzą zbrodni, co zasiadła na krótką wszechmoc... ja na korność ważyć się nie mogę."

Co prawda, buńczuczność jego jest minimalną, taką tylko, jakiéj potrzebuje dla ocalenia honoru, a i w tym nawet stopniu bywa tylko do czasu. Najsilniejszą sprężyną jego natury staje się miłość; pragnąłby cały świat przytulić do łona i ogrzać własną piersią. Ma więc gorycz dla Zeusa, ale nie nienawiść. Miłość własna taje niemal doszczętnie w gorącéj miłości bliźniego. Niegdyś przeklął swego ciemiężcę słowy potężnemi i pełnemi proroczéj, piorunującéj grozy. Dziś żałuje już swych słów i czynu. Serce jego wezbrało takiém bezmiernem pragnieniem szczęścia powszechnego, że obiecuje, iż nigdy to, co złém grozi, nie przejdzie drugi raz przez jego usta; wstydzi się własnego gniéwu, nazywa go zaślepieniem. Oto zwięzła jego etyka: „Bodaj nie znała cierpień żadna istność żywa!" albo:

„Z boleści mówię, nie z naigrawania,
Bo nienawiści już nie mam...“

Miłość tedy Shelley'a przebyła trzy szczeble. Unicestwiła zło, płynące z naszego ustroju fizycznego i moralnego — daléj prometeizm właściwy, wreszcie nawet cierpienie samego kata Jowisza, co jest zupełną w poezyi nowością. O dwa więc wysokie stopnie wzniósł się poeta nad najszerszy, jaki znamy, humanizm. I oto dobroczyńca pogański zamienia się mocą psychologicznéj w autorze konieczności, w znanego nam już skądinąd ultrachrześciańskiego apostoła, męczennika, ze wszystkiemi jego cechemi.

Mimo wyrywające się chwilami skargi, Prometeusz mężnie i wytrwale znosi swój los. Kto tak ukochał ideał swój, jak on — dla tego bólem najsroższym jest ból cudzy. Nad sobą królewską ma władzę — mówi, — bo wirom walk i boleściom ducha rozkazuje. Ugina się pod jednym tylko ciosem, gdy furye roztaczają przed nim przyszłe widnokręgi, purpurowe od pożogi krwi, płynącéj strumieniami w imię nauki Chrystusa. Wtedy prawie upada pod brzemieniem i dwa jego anioły-stróże, dwie Oceanidy, Jona i Pantea, nie śmią nań spojrzéć i truchleją z bezsilnéj grozy. Aż ziemia odczuwa jego katusze i wzywa chór geniuszów, uosabiających dobre popędy człowieka ażeby rozweseliły tytana obrazami lepszego jutra. Ba, nawet Eumenidy, których miliony zaciemniają powietrze, mają dlań mimowolny podziw i cześć. Jedna, najzjadliwsza, widząc jak lituje się nawet nad nią i jéj siostrzycami i nad tym kto w swym mózgu wylągł „tak bezecne ćmy i potworne widziadła,“ traci moc pastwienia się i znika. Hermes, poseł Zeusa, z niechęcią i wstrętem spełnia rozkazy swego władcy; Herakles wielbi jego mądrość, miłość i męstwo i radośnie siłę mu swą poświęca. Słowem, wszyscy dzielą jego udręczenia, tak samo jak on dzieli udręczenia wszystkich, i nazywają go dobrym Tytanem, świętym, przenajświętszym...

III.

Jeżeli poeta zgadza się, ażeby wewnętrzna rozterka ukradzionego ognia wiedzy znikła z czasem i jeżeli wspaniałą zorzę szczęsnéj doby rzeźbiarska fantazya jego nietylko że przeczuwa ale i maluje nieskończoną skalą barw promiennych, — znaczy to, iż jest optymistą. A w takim razie i Shelley'owi miano to się należy, jako tytuł, którego w owych czasach duchowego rozbicia, słodzonych pozą i litością ogółu, nie jeden z pisarzów zarzekłby się, jak dyabeł święconéj wody. Takie zresztą oblicze, nadzieją rozjaśnione, wyzierało z pism jego da-

wniejszych, ale tu po raz pierwszy zarysowało się dobitnie, niby portret męża zdecydowany, ustalony, z jednolitym we wszystkich rysach wyrazem. Zwątpienia nie znikły zupełnie, gorycze nie wyschły, lecz wsiąkły w optymizm, ażeby go utrzymać w granicach rozumnych i uchronić od złudzeń i zaślepień. Więc też poeta nie obiecuje bynajmniéj nieśmiertelności, nie próbuje zażegnać zgonu, nie ściąga gwiazd z nieba na ziemię, jeno zapowiada względny zanik zbrodni i cierpień. Nie prorokuje władztwa nad trafem i zmiennością losu, bo je ma za wagi, przyczepione do naszego bytu, lecz głosi męską wytrwałość na miejsce nieokiełznanéj żądzy tego, co niedoścignione i niedostępne. Jego etyka i filozofiia życia, tyle razy już przedtém a głównie w zakończeniu „Królowéj Wróżek" wyłaniająca się, dała teraz swój ekstrakt potrójny, cenny i ważki każdą swą kropelką:

Znosić cierpienia, choć się los potwornie sroży
Przebaczać zło czarniejsze od śmierci i nocy,
Wyzywać moc, choć równą byłaby wszechmocy,
Kochać, dźwigać z nadzieją, aż nadzieja stworzy
Z gruzów swych wymarzony, wielki czyn żywota,
Stać bez drżenia i żalu, gdy czyn już powstanie,
Oto podobne twojéj, święty nasz tytanie,
Piękność, dobro, majestat, swoboda, cześć, cnota
I zwycięskie nad biegiem świata panowanie.

Temi słowy rozbrzmiewa najwyższa apoteoza odrodzin. Już chyba dla nas nic w niéj nowego, prócz zestrojenia dawniejszych podźwięków, nie ma. Jednak te dawne jak gdyby nie istniały wcale. Między niemi a „Prometeuszem" wznosi się góra, wielka jak cały Parnas, brzemienna marmurem, czystszym od pentelickich, z którego wykuwa swoje urocze postaci. U stóp jéj był dawniéj, teraz stoi na samym cyplu i ogarnia wszechświat wzrokiem kochającego bóstwa. Tylko ogromną, nadludzką miłością można objaśnić tę straszną moc uniesienia, z jaką maluje panoramę nowéj ery, tylko bezprzykładnym wzlotem geniuszu i odstrychnięciem się gwałtowném od własnych nałogów pisarskich, można wytłómaczyć tę kryształową przejrzystość obrazów. Cudotwórczą mocą, która budzi w nas prawie zabobonny strach, chwyta z nad pustyni życia złudne fata morgana i daje mu żywe ciało. Przez całe cztery akty obcujesz z nim, a przez trzy ostatnie patrzysz osłupiały i oczarowany na budzący się raj, i gdyby Jehowa miał swego nadwornego poetę, tenby z pewnością piękniejszych narodzin świata nie wyśpiewał. Pod stropem nieba rozgrywa się dramat, na opokach Kaukazu, na Olimpie, w tajemniczéj grocie Demogorgona, ale zawsze i wszędzie toniemy w oceanie czarodziejskiego światła, które olśniéwa, ale więcéj jeszcze ogrzéwa, wzrusza do głębi

i działa na całą istotę, jak wiosenny promień słońca na młode latorośle zagajnika. Wytryskuje ono potężnym snopem z piersi poety i ozłaca wszystkie figury i wszystkie miejsca, załamuje się w krocie fantastycznych barw i tworzy taki superlatyw rozświtu, że wobec niego zwykły wschód słońca wydaje się niemal zmierzchem. A i samo ono żyje, faluje, gra i staje się istną duszą świata. Być może, iż zadużo długich tyrad rozlega się przy wtórze téj eolskiéj muzyki, za wiele przeciągłych psalmów nadziei i czułych rozmów, ale jeszcze więcéj wśród nich porusza się tworów. Urocze i powiewne, albo potężne i w sobie skupione, przebiegają one niezmierzony firmament, na Febusowych rydwanach lub anielskich skrzydłach, pieszczą się i gonią, napełniają go ruchem, wrzawą i zgiełkiem i radością. I zdaje się nam, że widzimy, jak stare, poważne globy, porozwieszane przez poetę na rozłożystém drzewie kosmosu, niby pomarańcze, uśmiechają się dobrotliwie i wstydzą własnéj łzy rozrzewnienia na widok rozochoconéj, rozszalałéj błogością nowéj wiosny świata. A wszystko bierze w niéj udział z chwilą, gdy tonął w otchłań nicości, za sprawą Demogorgona, Zeus.

Apollo raduje się, że nie ujrzy już czynów, co zasępiają ducha, i Ocean, że jego morze przestanie być grobem okrętów i ludzi, i odtąd kołysać się będzie pod prądem wiatrów, jak łany zbóż pod wiewem zefiru, a rzeki spokojnie toczyć się będą śród szczęśliwych krain. Eter i słońce zmieniły swe postaci, jakby „duch miłości w nich roztopion, otulił kulę świata ramionami.“ Raduje się nawet księżyc z ziemią i oświadcza się jéj w cudnéj serenadzie:

Cicha pielgrzymko! serce ty moje,
Dziana z powietrza i lądu, szczęśliwa
Planeto! z ciebie tajny duch spływa
I tchnie na blade, zmarzłe me słoje,
I wskroś do rdzeni ciepłem promieni,
Miłości wdziękiem, wonnością i dźwiękiem
Zasila, umila.

Są to coprawda, przewroty nie tak bardzo możebne, ale poeta jest sprawiedliwym i obdziela wniebowzięciem wszystkich jednakowo; nawet węże, jaszczury i ropuchy stają się pięknemi. Ptaki, zwierzęta i ludzkie postaci — mówi Ziemia, zgalwanizowana „ciepłym płynem nieśmiertelnéj młodości,“ — płazy, owady o skrzydłach tęczowych, które z wychudłéj méj piersi ciągnęły ból i chorobę, truciznę rozpaczy, teraz się żywić i obdzielać będą słodkim pokarmem w pokoju.

Wielkim aktem twórczéj wyobraźni przemieniwszy z gruntu całą budowę wszechświata, zaprzągł wszystkie jego siły do jednego

dzieła—szczęśliwości, na której sam błysk przelotny doznaje się zawrotu głowy, jak gdyby pod wpływem hymnu. „Sztuczny raj" Beaudelaire'a, wymarzony pod wpływem narkotyku, blednie na pospolitą prozę, na szary padół, wobec téj wszech-idylli. Jéj strofy, to kruszec, rozpalony do białości, do wrzenia, a jéj żywioły i potęgi to organiczne twory, zdjęte szałem entuzyazmu, który tryska naokół parzącemi kroplami, mimo, że je powściąga i łagodzi rytm, melodya i symfoniczność języka. Najlepiéj wysławia ten stan upojenia Ziemia:

Tu radość i tryumf, tu obłęd zachwytu
Wre, wzbiera, wybucha od zrębów do szczytu,
Nad wszelki a wszelki kres oczarowania —
Ha! ha! upojonam przedziwną rozkoszą,
Co tak mię światłości sferami ochłania,
Unosi, jak wiatry chmur falę unoszą.

Rzecz jasna, iż na ukwieconéj murawie nowéj przyrody zjawi się nowy gatunek ludzi. Człowiek będzie wprawdzie tylko sobą, ale „wszechbliźnim za kresem plemion, narodów, szczebli społecznych i próżnym trwogi, hołdu, sobą władnym, a sprawiedliwym, mądrym i szlachetnym". Występki i zbrodnie, męka, trwoga, nienawiść uciekną od niego, a zostawią na swe miejsce ster miłości, która w pełni fal i ruchu najdziksza żądzę własném powściąga wędzidłem. Nie potrafi ani pełzać ani tratować, pogardzać innymi i sobą, nie będzie kłamał „zimną, fałszywą, a bezmyślną mową, któréj to serce swego „tak" odmawia, choć usta silą się na „nie" wbrew woli"; ani wikłać się w sieci nieufności, którą sprowadza ostatnia najcięższa niemoc, utrata wiary w samego siebie.

A gdy w ten sposób runie splamiony ołtarz Zeusa, pogromcy świata, któremu bledniące z trwogi ludy służyły krwią i sercem, i opadnie szpetna larwa dawnéj parodyi życia, — innym torem popłynie historya. Proch jeno zostanie z sądów i więzień i wielkich ksiąg rozumowanego bezprawia. Wieszcze natchnienie pospołu z muzami rzeźby, malarstwa i harmonii zluzuje szpetne widma barbarzyństwa, a zmorę ciemnoty — jasnowidzący duch filozofii. W krajach przedtém mrocznych, ślepych i wszetecznych wznosić się będą niebieskie wieże zapału, na których czatować będzie myśl. Ona swym niewolnikom uczyni grom, przed jéj oblicza stawią się gwiazdy, ażeby, jak stado, zostać porachowanemi,

Gdy wstąpi w eter, bezdno nieba się uśmierza;
Pyta o tajemnice, a niebo odrzeka:
„Nie mam ich... odsłoniła mię dusza człowieka"

To znaczy, że poeta ma zawsze na widoku ideał pełny, w którym zarówno upragnioną jest pomyślność ciała i dobrobyt gromady, siłę woli i wysoki rozwój sztuk i wiedzy. Ona pozwoli ludziom panować żywiołom, jak rządzi słońce, w aureoli berła, labiryntową planet rzecząpospolitą. Cześć dla nauki tak stale podściela wszystkie inne nabożeństwa i tak przemożnie się z nich wyrywa, że aż na tém tle egzaltacyi uczuciowéj poczyna dziwić. Ale wnet, stuknąwszy palcem w czoło, opamiętujemy się, że przecież sama forma dzieła jest tak wysoce kunsztowną, iż ją wytłómaczyć można jedynie rodowodem naukowym, wielką erudycyą. Te myśli i przepowiednie i obrazy, któreśmy podali w zwykłéj potocznéj mowie, trzeba było dopiéro, jak nici, wypruwać z misternéj tkaniny, z „mistycznych półkręgów, pląsów, dźwięku i pieśni, słodkich dum i potęgi“, wyławiać jak czarne łodyżki z pod nieprzebitéj warstwy kwiecia i liści. Poeta usiłuje odebrać mowie bogów wszelki nalot ziemski i wyraża się samemi figurami, przenośniami i obrazami. Nie ma tematu, ani pojedyńczego źdźbła myśli, którychby nie zamienił w kosztowny haft. Sylogizm, złożony z przesłanek i wniosku, staje się u niego trójcą barwnych i tchnących życiem istot. Dzień nie jest miarą czasu i nie składa się z godzin, które idą po sobie, ażeby go dokonać, lecz — zbroczoną krwią gazelą, którą one, głodne jak psy, jak łowcy nielitościwi gonią przez puszcze i stepy roku. Teraźniejszość nie jest czémś, co nastaje po przeszłości, lecz pogrzebem zmarłych godzin, które duchy minionych lat niosą do grobu wieczności i każą skrapiać go łzami i rzucać nań sploty włosów, zamiast cisowych gałązek, jako na trupy byłych smutnych chwil. I wszystkie te postaci występują jako osoby dramatu, usypiając w nas wszelką świadomość alegoryi lub chęć podkładania pod nie pewnych procesów przyrody lub pojęć. Oczywiście, rozwój akcyi staje się dla czytelnika powierzchownego nader trudnym do rozgmatwania i nawet sama logika odrodzenia niezupełnie jasną. Jestto tryb, w którym nie zostało ani krzty z owéj poezyi elementarnéj, orficznéj, lub pytagorejskiéj dawnych liryk Shelley'a. Kunszt trudny i wyrafinowany, możliwy jedynie wtedy, gdy się rozporządza ostatnią najświeższą pianką nauki i sztuki, przenika „Prometeusza“ nawskroś i czyni go przedziwnie podobnym do owych poplątanych deseni arabskich na stropie i arkadach Alhambry, które wabią cudną i wielce mądrą kombinacyą barw, a powtóre kryją w sobie pewien nieuchwytny dla laika plan. Napozór niemożliwe do rozwiązania, stają się jednak przy pomocy klucza zrozumiałemi i świadczą o głębokiéj pomysłowości i symbolice. Tak samo dzieje się z arcytworem Shelley'a: znajdźmy jeno klucz, a tuman nad pojęcie kolorystyczny,

świetny i skłębiony, odsłoni nam skarby poezyi i treści, które potém z rozkoszą śledzić będziemy, aż do znużenia oczów i umysłu.

IV.

Teraz już ideał Shelley'a zarysował się dobitnie: filozofia przedtém nieuchwytna wypełniła się ciałem. Nie znaczy to, ażeby była zgodną w sobie, jednolitą i dawała się podciągnąć pod którykolwiek ze znanych typów poglądu na świat. Jest ona rączéj niezupełnie dokończoną mieszaniną dwóch różnych rodzajów idealizmu. Jeden z nich umiarkowany morałem szczęścia i pożytku, silnie zabarwiony trzeźwością starego Hobbesa, stanowi snadź wytwór tradycyjnego u Anglików zdrowego rozsądku i wodzi rej w chwilach najważniejszych, np. w odpowiedzialném wyznaniu wiary. Pod jego wpływem poeta lubił rozkosz i pożądał jéj dla siebie i innych. Drugi zaś ma swoje źródło w jego usposobieniu wrodzoném, które zostaje do samego końca niezdobytą, choć mocno napadaną przez tamten placówką. Jestto zdrój podziemny, ukryty, ale niewyczerpany, i ostatecznie wezbrawszy, skąpał on w swéj toni idealistycznéj wszystkie myśli, wierzenia i niewiary Shelley'a.

Pierwszy tuła się u niego w przedmowach i dopiskach, jawnie brata się z determinizmem (*Queen Mab*), lub też w etyce bierze na się postać hedonizmu, jak w „Pieśni do ducha rozkoszy" (1821 r.), gdzie opiewa swą miłość dla darów i uroków przyrody, dla cichéj i głębokiéj pogawędki w kole rozumnych ludzi i dla wszystkiego, co może rozpogodzić zasępione czoło, lub, jak w „Czarodziejce Atlasu", która kołysze mieszkańców do błogiego spoczynku i słodkich marzeń. Drugi na razie skłonny do ustępstw i zgody z tamtym, rozgościł się w końcu we wszystkich dziełach, pisanych na krótki czas przed śmiercią. Taka jednak wskroś syntetyczna natura nie mogłaby znieść wewnętrznego, choćby tylko w sprawach oderwanych, rozłamu, więc też zjawił się rozjemca w formie przedziwnego poetyckiego panteizmu, w którym nie zostało najlżejszego śladu dawniejszych, pierwiastek boski lekceważących zapatrywań. Świat wypełnił się dlań duchem, ale już nie tym, co to pojmowany bywa, jako ogół nieugiętych praw przyrody, lecz bezmiernym, jak sama nieskończoność, zbiornikiem życia twórczego i miłości. Ona to była na początku wszechświata, teraz zaś

Ze swojego tronu
Mądrości serc, po chwilach ostatnich rozpaczy,
Srogich mąk, wpółszaleństwa, powolnego zgonu,

Powstaje nad odmętem, w świt się rozpromienia
I roztacza nad światem skrzydło uzdrowienia,

kiedy wszystkiém rządzi Czas, Przeznaczenie, Traf, ona jedna nie podlega im, bo jest wyższą i wiekuistą („Prometeusz“, akt II). W poematach ogólno-ludzkich Shelley'a zajmuje ona stanowisko całkiem odrębne, niby bóstwo nietykalne, którego badanie myśliciela nie może wcale dotyczyć. Ów jéj tron tak wysoko się wznosi, że wszelkie dociekanie gra wobec niego rolę pustéj teologii i poeta nie obawia się, że popełni niezgodność, gdy tuż obok prawić będzie o Baconie z Verulamu, „który zmusił Prometeusza Naturę ocknąć się ze snu“ („Tryumf życia“). Miłość jest dla niego ową prawdziwą substancyą metafizyków, owém *ens per se*, nie potrzebującém dla swego istnienia żadnych innych bytów, jak je określa Spinoza. Jest ona nadto szczodrobliwym siewcą życia i nadaje panteizmowi Shelley'a cechę więcéj niż boskiéj płodności. To nie posępny, oschły, wymagający rezygnacyi *deus sive natura* wielkiego autora „Etyki“, ani dosyć martwy i ociężały Zenona z Citium wraz z całą armią stoików, ale pełen samorodczych zdolności i ziarnek ewolucyi duch ciepły, błogosławiony i dobroczynny, który nietylko że wspaniałomyślnie pospolituje się w każdém źdźble trawy, ale, co ważniejsza, w każdym tworze objawia się miłością. Możnaby powiedziéć, że poeta zamienił Newton'owską siłę powszechnego ciążenia na powszechną własność wzajemnéj miłosnéj tęsknoty.

W poemacie p. t. „Filozofia miłości“ mówi wyraźnie:

Nic samotnego nie ma śród świata,
Z boskiego prawa wszystko ku sobie
Dąży . . .
Wiatry błękitne razem się łączą
W słodkiém wzruszeniu na wieki . . .
Patrz, strop całują góry szczytami,
Fala się zlewa z falą swawolną,
Ni jednéj siostrze między kwiatami
Gardzić swym bratem nie wolno.

Dlatego to w swym prometeizmie obejmuje pieszczotliwym uściskiem całą nieskończoność wszechbytu, dlatego zaludnia ją, jak w „Czarodziejce Atlasu“, „milionami milionów“ duchów. W tym ostatnim utworze, fantastycznéj mrzonce, którą sam uważa i podaje za baśń, mamy właśnie rodzaj wcielenia owéj miłości w postać uroczéj wróżki. Wzbija się ona na cudownéj nawie aż ponad obłoki, w regiony, kędy wiatr nie dochodzi, przygląda się wirom i pląsom

gwiazdozbiorów i czuwa nad śpiącym rodem ludzkim, niby dobry anioł-stróż.

Miłość ta różni się wielce od najwyższego Dobra Greków, jest gorętsza, uczuciowa i nawet namiętna, niezależnie od tego, czy gości w sercu jednostki ludzkiéj, czy téż w łonie tworu, który my nazywamy roślinnym albo zgoła martwym. Ma ona w sobie bodaj więcéj z Amora niż Psychy i stanowczo od wszelkiéj modły platonicznéj miłości odbiega. Laon i Cytna, oceanidy Pantea i Jona, Prometeusz i Arya, Ziemia i Księżyc są to zupełnie do siebie podobne pary zakochanych, którzy albo już toną w spazmatycznym uścisku, albo go przeczuwają. To zresztą nie takie dziwne, bo Shelley pławi się nie w l o g i c e idei, ale w ż y w i o l e ducha. Jałowa dyalektyka nie ima się go mimo Platona i Kanta. Za to rozsadza mu mózgownicę uczucie, aby sprawić, wbrew rozmaitym przezwiskom platonika, że jest on w malowaniu swoich lub cudzych stanów erotycznych gwałtownym i ognistym, jak młodzieniaszek wobec zakazanego owocu. Zresztą i jego kobiéty trawią się nieraz wewnętrznym ogniem miłości, jak np. Rozalinda, którą po nocach, spędzonych w tęsknocie za kochankiem, dręczyły widziadła, płodzone przez wrzącą krew. Przyjaciółka jéj, Helena, również umiała omdlewać z afektu dla Lionela, ilekroć została z nim sam na sam. W „Serenadzie indyjskiéj" kochanek topnieje w żądzy pieszczoty. „Ja konam, ja omdlewam, ja padam! Niechaj miłość twoja lunie deszczem pocałunków na moje usta i blade powieki." Prawie temi samemi słowy wzdycha smętny towarzysz Ziemi i wyłania z siebie istny żar miłosnego łaknienia:

Jak szalejąca sercem dziewczyna,
Któréj duch wątły aż się ugina
Pod namiętnością, — wiecznie i wszędzie,
W około ciebie krążę w obłędzie.

A co wyrabia bohatérska para z „Rokoszu Islamu", i cały ów legion zakochanych i marzących, którzy z mnóstwa drobnych poezyi Shelley'a czynią prawdziwy piec z rozżarzonymi węglami! Jestto zazwyczaj lubieżne rozigranie wyobraźni, która nie doznała bynajmniéj przesytu, ani nawet należytego zaspokojenia. Nie posiada ona pewności siebie, dyskrecyi i spokoju zawodowych podbijaczów serc, albo choćby tylko sumiennych kapłanów Wenery, jest więc poetyczną, świeżą, niezepsutą i zawsze pożąda „uścisków, grożących uduszeniem, zlania się dwojga serc w jedno, rozpłynięcia się w tém strasznem uniesieniu w parę" („Niedola", 1818 r.). Żywi on niepokonany wstręt do tych, co tak gorąco czuć nie są w stanie, i co zbliżają się do na-

tury wstydliwie i niedołężnie. Wielka a zuchwała satyra *Peter Bill*, III, przewyższająca zjadliwością, choć nie dowcipem, swój wzór, mianowicie „Widzenie sądu“ Byrona, wydrwiwa Wordswortha za jego sztywność i pruderyę. „Co było siłą Piotra, to to, że stanowił rodzaj moralnego eunucha; gdy dotknął rąbka koszuli natury, robiło mu się niedobrze i nie miał odwagi uchylić tuniki, tajemniczo ukrywającéj wszystko. Ona zaś śmiała się złośliwie i, całując go całusami siostry, mówiła: Ah, doskonały mój Dyogenesie, kocham cię zaiste, ale, jeśli łaska, nie puszczaj się na zabawę, z najskrytszemi memi ponętami. Tyś zimny, a ja, nie taki świętoszek, darzę miłością za miłość, ale szczerą, gorącą i prawdziwą, a Burns [1]), młody wieśniak szkocki, znał moje rozkosze lepiéj niż ty, uczony mój druhu! Wargi pocałowane nie tracą swego czaru, lecz się odnawiają jak księżyc—tak myślał Boccacio.“

Shelley nie jest zmysłowcem, ale to widoczne, że dla niego związek dwóch ciał oznacza najwyższą spójnię dwóch dusz, bo ilekroć opisuje jedną, daje jéj za stałego towarzysza drugą, jak to się dzieje w wielu strofach „Laona i Cytny“, których dusze zlewają się potém na stosie ściśle w jednę. „Podobne do kwiatów, które zamykają jeden po drugim swe omdlewające kielichy, nasze formy śmiertelne stawały się jedną duszą z płomienia, życiem w życiu“ — tak znowu opowiada o sobie i Lionelu Helena.

W ten sposób uciecha zmysłów odzyskuje swoje szlachectwo, swój stempel duchowy. Wypływa to zresztą naturalnie ze stanowiska panteistycznego, które bądź co bądź widzi w jednostkach odrębność tylko pozorną, przesłaniającą wspólność rdzennego jestestwa. Tak brali rzeczy stoicy i konsekwentnie doszli do lekceważenia różnic między osobnikami i rasami. Shelley zaś idzie jeszcze daléj i odczuwa dusze bratnie nawet w zwierzętach. Słyszy on przyjazne dźwięki, wychodzące z piersi niejednego stworzenia z po za ludzi. Samotny słowik odpowiada mu nieraz pieśnią łagodzącą smutek, a z niejednéj doliny odzywały się doń antylopy akcentem i ruchem, w których brzmiała właściwa mowa ludzka, „bo czyż myśl nie wznosi sobie tronu powszechnego, u stóp którego wszystkie twory składają jednakową daninę?“ („Rokosz Islamu“, Pieśń X). A wobec takiego rozumienia natury, byłoby wprost paradoksalném nie zlewać dobrodziejstw nowéj, prometejskiéj ery na wszystkie jéj wyosobnione w jaźń okruchy.

---

[1]) Robert Burns, słynny poeta ludowy szkocki, 1759—1796.

V.

Podobnie głębokie przejęcie się ideą wszechducha musi w końcu rozłożyć na pierwiastki psychiczne i samą materyę, zwłaszcza tę, która stanowi powłokę człowieka, i obdarzyć ją władzą nadprzyrodzoną. To już mistycyzm, wiara w cudowność. „Gdybyśmy mieszkali śród gwiazd, gdzie wszystko, co silne, świetne i czyste, trwa wiecznie, gdybyśmy tam mieli swą mogiłę: to kto wié, czy nieśmiertelność otoczenia nie udzieliłaby się i naszym umysłom" („Rosalinda i Helena"). Uzasadnionym byłby domysł, że poeta i na obecném naszém miejscu zamieszkania, na globie ziemskim, nie widzi poważnéj przeszkody do wiary w byt zagrobowy. Z rozmów, które prowadził z Trelawney'em, wypływa, że ostrożne w tym względzie mniemania Bacona, wolał tłómaczyć sobie nie w sensie negacyi. Bywały okresy, kiedy go pomawiano stanowczo o wiarę w osobistą nieśmiertelność. Rosetti zebrał skrzętnie wszystkie zwierzenia i świadectwa i dochodzi do wniosku, że jeśli Shelley uznał za rzecz trudną zrozumienie trwałości wiekuistéj ducha, to za również niepojętą uważał hypotezę przeciwną (Rosetti, 143—145). Sądzimy atoli, że oględność rozumu ulatniała się przed rozkazującym podszeptem uczucia, które aż nadto wyraźnie i często wtórowało poetycznéj wierze Platona.

To też ulubieńcy Shelley'a konają zazwyczaj śmiercią mistyczną, która ma w sobie coś z rozpraszania się dobrowolnego na atomy ducha, coś z zamierzonego dogasania lampy. Takim zgonem zamierał już Alastor, bohatér jednéj z liryk wcześniejszych, która zawiera *in nuce* całego poetę późniejszego; wydawał on ostatnie tchnienie z uśmiechem na licach, „cichy, bezwładny, pustemu powietrzu raczéj podobien lub ziemi milczącéj, harfa, na któréj cichy powiew niebios melodyjnemi wygrywał akordy."

Z tych samych powodów Shelley stać się musiał w i e s z c z e m, wizyonerem i to nietylko w sensie daru rojenia świetlanych nad prawdopodobieństwo obrazów, ale i w tém znaczeniu, że miewał istotne halucynacye. Pierwsze sprawiło, że większość swych poematów sam podaje za jasnowidzenie lub wywodzi ze snów, drugie, że sięga wzrokiem ducha, a właściwie nadwrażliwéj mózgownicy, daléj niż ludzie zwykli. Widział w powietrzu poczty geniuszów skrzydlatych, których krótkowidz człowiek nie domyśla się; widział światła i barwy, których nasza siatkówka nie zna; słyszał melodye, na które ucho nasze jest za tępe. Hegel lub Fichte starszy powiedzieliby może, że to urocza forma, całkowicie rozsadzona przez goszczącego w niéj du-

cha. Gdyby żył dzisiaj, byłby ciekawym dla psychologa subiektem i kto wié, czyby nie zmusił do wiary w telepatyę. We dwa tygodnie po śmierci naturalnéj córeczki Byrona, Allegry, ujrzał ją nagle w powietrzu, przy świetle księżyca, tak wyraźnie i niespodzianie, że krzyknął boleśnie i chwycił za ramię obecnego Williamsa. O zjawisku natury odwrotnéj opowiadał Byron, na którego też wiarę podajemy, że paru przyjaciół dostrzegło Shelley'a płynącego w łódce, gdy w rzeczy saméj bawił on, jak się okazało późniéj, w całkiem innéj stronie morza (Rossetti, 121). W owym też okresie, najszczęśliwszym w jego życiu, miewał takich widzeń dużo i zawsze na tle zupełnego zdrowia i nieznanéj przedtém pogody umysłu. A na zasadzie zapewnień kółka, z którém obcował Lerici, nie ulega wątpliwości, że rychłą swą śmierć przeczuwał. Zresztą, ileż wyraźnych na to dowodów znajdujemy w jego poezyach! Wyczulony to był ustrój, o zmysłach zaostrzonych i nerwach napiętych jak srebrna struna, a przecież bez widocznego śladu jakichkolwiek zboczeń, któreby pozwalały składać tę potęgę i nadmiar ducha na karb czego innego, niż samo najwyższe przeduchowienie. Do czego fakirowie indyjscy lub spółcześni żarliwcy budaizmu dochodzą postami i mozolném trenowaniem, czyli po prostu gwałtem nad naturą, gwoli wrzekoméj zdolności jasnowidzenia, to było udziałem poety, który iście po angielsku uprawiał pożyteczne rozrywki, sport i żył prawie ciągle pod gołém niebem. Oczywiście, trudno ten układ nerwowy nazwać normalnym zupełnie, gdy się zwłaszcza weźmie na uwagę, że poeta miewał w zaraniu swéj karyery sny bardzo zbliżone do lunatycznych i zapewne pod ich wpływem pracował nad dziełem o odnoszących się do somnambulizmu zjawiskach (*Catalogue of the Phenomena of Dreams*, 1815). I nawet całą swą osobą sprawiał raczéj wrażenie widma, niż człowieka z krwi i kości. Nieraz brałaby ochota zastanowić się, czy należał do rzeczywistego świata, czy też wymarzony został przez legendę, gdyby karta, którą zapisał w historyi, nie była tak świeżą i czytelną.

VI.

Choćby uczucie składało się z saméj nadziei i życzliwości dla całego świata, z saméj miłości dla ideału, jeżeli wzbierze nad miarę, przechodzi w mękę. Liryzm zbyt głęboki i natężony staje się tragedyą, bo do niéj wiodą dwie jednako niezawodne, lubo wręcz sobie przeciwne drogi: ciemna otchłań piekła Dantejskiego zgrozą swoją i promienne niebo duchowego raju ekstazą, w którą wprawia pieśniarzów

swoich. Jeżeli chodzi o formę dzieł, to Shelley jest wielkim lirykiem, do którego możnaby zastosować własne jego słowa, wyrzeczone o skowronku, że nigdy żadna pieśń nie opiewa tak wzniośle wina i miłości; jak wzniośle porywa naszą duszę jego hejnał; lecz jeśli mamy określenia gruntować na życiu wewnętrznem, które wypełnia, nurtuje artystę, okaże się, iż Shelley prędko przeszedł w nastrój tragiczny, złożony z bezwiednéj może, lecz strasznéj tęsknoty za bytem innym, przypuszczalnie wyższym od ziemskiego. Kiedy ucieka od ludzi i chroni się pod sklepienia lasu lub błąka się myślą po dzikich jarach Kaukazu wraz z Alastorem, kiedy długą włóczęgą nabawia niepokoju cały dom i zmusza żonę do trwożnych poszukiwań z pomocą przewodników, czujemy, że radby przejść nieznacznie z życia doczesnego do nadziemskiego. I tak się rwał do krainy duchów, za któréj prawego obywatela miał siebie, że, choć na razie wolny od myśli samobójczych, pragnął jednakże być od niéj oddzielonym tylko progiem i w tym celu nosił zwykle w pierścieniu gwałtowną truciznę. Znajdował ukojenie w saméj świadomości, że wrota raju stoją dlań otworem.

Nadmiar pragnień dla téj wielkiéj zbiorowéj duszy, którą zwiemy ludzkością, tak samo przechodził u niego w *delirium*, jak egzaltacya polotu w katuszę strąconego niesprawiedliwie anioła. Więc też pogodny śmiéch i nadobłoczną jazdę w purpurowym rydwanie rozświtu, przerywa od czasu do czasu westchnieniami, jak w „Zmienności“, lub téż dławionem łkaniem, jak w „Stancach, pisanych w smutnéj godzinie pod Neapolem“. Brzmią one prawie rozdźwiękiem Leopardi'ego, zadumanego u stoków Wezuwiusza nad pustoszycielką naturą i „omal nie wybuchają potokiem nieprzerwanym łez zmęczonego dziecka“. Ale najczęściéj źródłem tych łez jest coś zupełnie różnego od pesymizmu, bo samo zachwycenie wpatrzone w oblicze ideału, który tak dobrze przerazić może i na długo odebrać spokój, jak widok głowy Meduzy, a jego „dźwięk tajemniczy tak się stłacza w mózgu słuchacza, że z męką prawie — rozkosz graniczy“. Ta właśnie mieszanina ekstazy z boleścią stawała się coraz przemożniéj żywiołem poety.

Tam, gdzie panuje wyłącznie poświęcenie jednostki, gdzie ona tylko wypromienia swoje ja w nieskończoność, poezya musi być czysto panteistyczną, pozbawioną motywów osobistych, ale gdy więzienie bytu ziemskiego niecierpliwą i spragnioną mistycznéj światłości duszę udręcza, zjawia się podmiotowość. Więc też i ów marzyciel, w którym przyzwyczajono się sławić żywy kontrast egotycznego nawskroś Byrona, prędzéj czy późniéj musiał zostać uderzony wyjątkowością swoją i brzemieniem tęsknot, które dźwigał, i może samotnością nie-

zrozumianego przez ludzi serafa. Musiał wzbudzić podziw w sobie samym i stać się piewcą własnéj szczytnéj niedoli. Ostatnie jego liryki urągają wszystkim wizerunkom, bo w tych występuje on, jako pozbawiony wszelkiego daru, czy téż wolny od wszelkiego grzechu autopoezyi. Wyrzekł się tytułów i sławy Prometeusza ludzkości w swojém i innych imieniu, ale wpadł w wyższy prometeizm ideału i w téj roli puścił wodze ambicyi. Wprawdzie czyni to delikatnie, nienatrętnie, z możliwą skromnością. Najczęściéj kryje się sposobem nieumyślnéj metamorfozy w powabną ptaszynę, jak skowronek, albo cudowne swą zmienną barwistością zwierzątko jak kameleon, albo w czułkę wstydliwą, która śpiewa mową rzewną i lżejszą od letniego zefiru, rozcieńczoną, rzec można, w nieważki eter. To znów przedzierzga się w śpiewającego Ariela (Ariel do Mirandy, z gitarą), wkłada na się maskę obojętnego niby bohatéra, jak mężny florentczyk Pietro Marenghi, ale uważny czytelnik wyczuje pod nią samego Shelley'a.

Im późniejszéj daty są owe wyznania i spowiedzi, tém trudniéj w nich o miękkość, o tę prawie niewieścią słodycz i pieszczotliwość, z jakiemi wychuchał np. „Czarodziejkę Atlasu" i „Mimozę". Potężny akord słyszéć się daje coraz częściéj, a rzewne melodye coraz rzadziéj. Zamiast *piana* — huczy *fortissimo*, niekiedy nawet do basowych przenosząc się rejestrów. Język, zdramatyzowany do gromowładnéj siły Szekspira, potulnie służy myśli, w któréj nie masz przecież nic z Szekspira, Byrona lub Swinburna, a dyszy cała ekstazą bezkrwistą.

Kto wié, czy pisząc swego *Adonais*'a, nie pragnął, ażeby obok „Pieśni nad pieśniami" istniała elegia nad elegiami, a w takim razie cel swój prawie osiągnął. Do odegrania podobnéj roli w poezyi, owe pięćdziesiąt strof tém bardziéj się nadają, że w nich nie ma nic przygodnego, nic, coby je z wyżyn arcywzoru mogło ściągnąć na poziom dzieła okolicznościowego. Alboż tam o Keatsa chodzi? Zapewne, ale jeszcze więcéj o samego Shelley'a, który uczuwa coś w rodzaju świątobliwéj czci dla własnéj, natchnionéj istoty, podobnie, jak rozrzewniamy się widokiem własnéj łzy, lub własnéj, steranéj cierpieniem twarzy. Gdy mówi o powrocie przedwcześnie zmarłego ducha „do owéj potęgi, co rządzi światem pospołu z miłością", to raczéj rozpamiętywa własne swe koleje i własny, dziwny stosunek do świata, i swoje bliskie już wniebowzięcie, kiedy ukazuje nam swą postać, stojącą nad grobem Keatsa, śród innych jego przyjaciół, jak Byron, Tomasz Moore, Leigh Hunt, to wyznaje jawnie, że „opłakując los cudzy, opłakiwał własny".

Jestto już raczéj piękne widmo, któremu tajemna moc pozwalała zabawić jeszcze jakiś czas śród ludzi, niż człowiek dotykalny—tak dalece duch jego wzbija się nad padoł. „Jestto lampa dogorywająca, kropla majowego deszczu, która pada, fala, która się łamie — kto wié, może gdy tak mówimy, ona już się złamała.“ Tak określa tam siebie samego (XXXII). Nie dziw, że w tym napół bezcielesnym stanie z żałobnego obchodu zrobił mistyczny akt zlania się geniuszu z bóstwem powszechném, nad zwłokami zmarłego kazał boléć żywiołom nieba i ziemi, wszystkim żywiołom żyjącéj i martwéj natury kazał przeklinać złą siłę, co poetę strąciła w grób. Jeżeliby jaki malarz, ot, w rodzaju Gabryela Rosetti'ego, zamiast zawieszania świętego lub świętéj śród obłoków, na podobieństwo Rafaela, Tycyana lub Murilla, prągnął przedstawić ducha, ulatującego z martwych prochów nieboszczyka ku tronowi Boga, powinienby szukać odpowiedniego nastroju w *Adonais*'ie. Z pewnością znajdzie tam pożądaną głębię i filozoficzny polot jak nigdzie indziéj. Ale żadna kombinacya barw, świateł i cieni nie oddałaby tego rozszalałego patosu, skojarzonego z powiewnością.

Shelley buja, jak biała orlica dokoła gniazda, które znalazła nagle pustém. Są to wściekłe uderzenia skrzydeł i rozpaczne wzloty, po chwili znów spokojna boleść męża, aż w końcu nieprzytomne *delirium* radości, że kochanek Uranii nie zginął, jeno przeszedł do lepszego, godniejszego świata. Kto śmié płakać Adonaisa — ten jest nieszczęśliwy... Kłamstwem jest, że on umarł. Nie, to śmierć umarła, a on żyje i zbudził się... Pokój! Pokój! on nie umarł, nie śpi, on się zbudził ze snu życia — to jeno my, błądząc śród burzliwych mar, walczymy napróżno z widmami i w szale uderzamy sztyletem rozumu w jakieś nietykalne *nic*... Jest tu taka sama mieszanina tonów twardych, tragicznych, z nadziemsko-melodyjnemi, jak w marszu żałobnym Chopina. To zdaje się nam, że widzimy własnemi oczami, jak dusza wieszcza wedle słów zakończenia zawisa złotą gwiazdą na stropie, strzegącym rzesze nieśmiertelnych, to znów, że słuchamy rozdzierającego *requiem*, które od czasu do czasu gdzieś w kącie kościoła przerywa spazmatyczne, ciche, dławione łkanie wdowy.

W *Adonaisie* dochodzą szczytu wszystkie znane nam już rysy przeduchowienia Shelley'a, a równoległa z nimi wzbiła się do zenitu zdolność osobliwa, którą możnaby nazwać superlatywizmem poetyckich zwrotów. To, czém jest wypełniony od początku do końca „Farys“ Mickiewicza i co téj pieśni zwycięstwa nadaje odrębny całkiem charakter, w pewnym stopniu cechuje téż elegię, o któréj mowa. Mimowoli przychodzi na myśl Arab nazwany przez huragan młodszym

bratem, albo trąba powietrzna, co pada u nóg Beduina długim jak wał miejski trupem, lub wreszcie dusza utopiona za myślą w niebie, na kształt pszczoły, która swe żądło z sercem oddaje. Podobnie czytamy u Shelley'a, że śmierć wstydziła się swéj obecności w śmiertelnéj komnacie Keatsa, że jego myśli teraz sieroty bezdomne, płaczą dokoła zimnego serca i że on sam, Shelley, nazbyt podpatrywał wdzięki natury i został przez nią rozszarpany, jak ongi Akteon przez psy Dyany [1]).

Adonais jest krzykiem trwogi konającego, któremu sen przedzgonny zamąciło bolesne widzenie. Shelley był już wtedy uspokojony, wiedział, co trzymać o swym stosunku do ludzi i świata, i zdawał sobie sprawę z całéj widmowości swego istnienia. Czuł nad sobą przymus idealistycznéj natury i nie próbował z nim walczyć—poddawał się z cichém westchnieniem. Tę rezygnacyę, kryjącą w sobie otchłań sieroctwa, zdradza *Epipsychidion*, napisany nieco wcześniéj, ale również w formie elegii.

Czyż ta przewaga elegii w tym okresie jego życia nie jest zbawienną? Shelley'owi grała już wówczas muzyka żalu i tęsknoty, ona stała się jego nastrojem ciągłym. Smutek bezdenny, odbijając się w źwierciedle samowiedzy, zamienił się w najwyższą melodyę i poezyę. Ucichły szamotania i zgrzyty Dedala, pragnienia i skargi, jak gdyby przestały wyrywać się na zewnątrz kipiącą lawą i tylką jęczą w sobie zamknięte. Chwilę tę przyśpieszyła Emilia Viviani, olśniewając wzrok poety czarem niezwykłéj urody i zalet umysłowych. Widoczne to, że ona wydała mu się doskonałém wcieleniem ideału, o którym śnił w młodości, zanim śluby rzeczywiste i kobiéty prawdziwe obudziły skalę jego wymagań i od zbyt górnych lotów odzwyczaiły. Była mu zjawiskiem niespodzianém i ziszczoném w chwili, kiedy jego proces ostatecznego przeduchowienia dobiegał kresu, ażeby mu dodać skrzydeł i wielkim przypływem świeżego zapału na nowo podbić w niebiosa.

O zmyjże ślady ziemskich wad i kału
Z tego żałoby pełnego hejnału.
Zmyj łzą błękitną, co ci świętą rosą
Płynie ze źrenic, podobnych niebiosom.
Płacz, aż ta boleść w zachwyt się przemieni,
Potém uśmiechem zbaw go z śmierci cieni.

---

[1]) Przepiękne to porównanie zwróciło już dawniéj uwagę Heinego, który jednak mylnie stosował je do Byrona. Prostując pomyłkę, dr. Gustaw Karpeles, znowuż błędnie podstawia pod Akteona — Johna Keatsa (Heine, wydanie zupełne, 1887 r., tom IV, str. 270).

Ba! czém ona była i czém miała być dla poety — w paru słowach powiedziéć się nie da, trzebaby porobić stuwierszowe wypisy, w których nie mające granic uwielbienie migoce blaskiem pysznych porównań. W téj elegii Shelley jest poganinem śmielszym niż dawniéj, bo składa hołd pobożny kobiécie, sypie jéj do stóp perły uczuć, które się zwraca zwykle tylko do niewiast, otoczonych sławą zasług dla wiary. W téj swojéj korności umié ją wznieść na poziomy zawrotne, a siebie atomem ducha uczynić, motylem, którego skrzydła opaliła swym płomieniem. Ale w tym opisie nie ma żaru zmysłów, który tak często władał dawną jego poezyą. Chce on miéć w Emilii siostrę-westalkę, i żałuje, że nie jednemu łonu zawdzięczają swe życie. Tęsknota jego daleką jest od wstydliwego samotrawienia się Jocelyna, którego tak nieraz w pamięci naszéj wskrzesza tłem bogatych krajobrazów, gór, kaskad i portów. Różną jest nawet od miłosnych omdleń Słowackiego, którego „W Szwajcaryi" przypomina znów tłem „gajów, dolin, łąk i strumieni", bo poeta polski na krosna liliowego stosunku rzucił tu i owdzie czerwony ognik zalet lub żądzy. Naturalnie, że *Epipsychidion* zupełnie jak *Adonais* jest więcéj elegią nad sobą, jest spowiedzią i rozbiorem własnego zachwycenia. Wezbrana jak wiosenne wody, zrywa tamy i szarpie brzegi i nałogowo zbacza z drogi, ażeby nurzać się w panteizmie ludnych krajobrazów i uniesień nad przyrodą. Kochanek zlewa duchową istność swą z duchem kochanki, zastępującym mu już teraz Boga i wszystko i gdy każe własnym wierszom, ażeby klękły w swéj nicości przed panią, jednocześnie sam słania się w żalu i tęsknocie. Dusza zeń wychodzi jakby połaskotana tym samym księżycem, co przynosi śmiertelną ulgę bohatérowi Juliusza.

VII.

Oczywiście styl, będący cielesną powłoką takiego ducha, nie jest jeszcze najwyższą wyżyną piękna. Natura tak elementarna i pierwotna z konieczności musi kołować, przetwarzać się, słowem grzeszyć przeciw artystycznéj zasadzie bezwzględnéj różnobarwności. To téż Shelley potrafi znudzić i zmęczyć natarczywością i istném wścibstwem swych oderwań idealistycznych, i potrafi gorący, lecz tak zawsze podniebny pacierz klepać, choć wiemy, że zanadto jest niepobożny i trawiący się, ażeby mógł wpadać w bezmyślność i odruchowość, lub rodzaj zapomnienia o tém, co już nieraz był napisał.

Swoje głęboko liryczne ja, kotłujące się wezbraném uczuciem,

podstawia on pod temata z zuchwalstwem żywiołu, który jak ciepło wciska się wszędy. Jego ekstatyczna twarz panteisty i teologa, namiętnego erotyka, chorobliwego amanta przyrody, wizyonera, apostoła, proroka, męczennika i poety, przeduchowionego do ostatnich granic możliwości, wynurza stale i nieodzownie ze wszystkich utworów, tak całkiem niezależnie od ich rodzaju i formy, iż zanurzywszy się w odmęty bezdenne téj toni, wnet przekonywamy się, iż to nie styl, wyszły z warsztatu pewnego wieku lub pewnéj piędzi ziemi, że to nie fabrykat, biernie chłonący z zewnątrz różne wpływy i odpowiednio do nich zmienny i coraz to inny, doskonalszy lub pośledniejszy, lecz substancya pierwotna. Wielcy poeci greccy i rzymscy, wielcy i wróżbici i mędrcy hebrejscy, wielcy myśliciele racyonaliści i sensualiści, oraz wieszczowie rodacy nie oddziaływali na nią, ile sami służyli jéj za codzienną strawę.

Jestto przytém fantazya romantyczna, czarodziejska, ale jéj twory pochodzą u Shelley'a nie od marzycieli niemieckich, lecz są prostym wypływem samego sposobu myślenia i rozumowania świata. Wielbi naturę, przeto ją bezustannie maluje i upiększa, nienawidzi mroku, więc przesyca słońcem wszystkie poezye, zawiera w swéj duszy krocie istności, więc je miłośnie pokazuje ludziom życia drgające, ruchliwe. Jest idealistą i wizyonerem, więc igra sylfami, faunami i duchami. Kocha muzykę, któréj poświęcił nawet osobny sonet, i marzy, że ona jest wtórem rozlanéj po wszechbycie miłości, więc ją snuje bezustanku i zmusza do towarzyszenia wszystkim procesom życia. Dla niego gra powietrze, melodyą jest zapach, tchnienie kochanki, szmer majowego deszczu, sama pieszczota dwojga oddanych sobie istot. Ma on harmonię za taki niby zasadniczy fenomen przyrody, jak ruch cząsteczek w ciałach, lub ruch masowy; doskonale, jak nikt inny na świecie usprawiedliwia piękny okrzyk Byrona:

Gra pięknie szyba spadającéj fali,
Gra pięknie w wodzie wzdychająca trzcina,
Wszystko gra, niechaj tylko ludzie słyszą,
Ziemia jest echem sfer, co nad nią wiszą.

Tylko, że dla Shelley'a i procesy ciekawe odbywają się na tle muzyki. Samego siebie nazywa lirą („Oda do wiatru zachodniego“), a powinienby się nazywać harfą eolską. Ba, toć i mowa człowieka wogóle jest „wiecznym jękiem orficznéj piosenki, który dostraja posłuszną myśl i formę do harmonii niebieskiéj („Prometeusz“), a wszechświat — oceanem wiecznéj gędźby.“ I prawdopodobnie dba o to świadomie, ażeby nic w jego poematach nie odbywało się bez te-

go niemilknącego wtóru. Inaczéj trudno byłoby sobie tę konsekwencyę wytłómaczyć, z jaką darzy talentem muzycznym wszystko, co żyje, co jest ciałem, głosem, planetą, eterem, uczuciem smutku lub wesela, pragnieniem, czasem, lotem, pełzaniem, śmiercią, świtaniem — wszystkiém i niczém.

Odbiło się to niekorzystnie na stronie pejzażowéj jego liryków. Zanadto wnikał w przedmioty, a zwłaszcza w naturę, aby módz ją odmalować nietylko dla siebie, lecz i dla czytelnika. Mimo wielki sentyment dla malarstwa i rzeźby, które, bawiąc we Włoszech, studyował zawzięcie i rozumiał niepowszednio, wyższy w tym względzie o całe niebo od Byrona, mimo zmysł plastyki i koloru — nie posiadał zmysłu perspektywy, nie umiał gubić szczegółów dla całości. Jego krajobrazy ciągną się na setki wierszy, zawierają całą botanikę i zmuszają nas do zatracenia ogólnego rzutu oka. Nie wystarcza mu gromkie i dreszczem przejmujące „Aa!“ Pielgrzyma z „Sonetów krymskich“, który gdzieindziéj znów na widok otchłani obiecuje opisać ją „po śmierci, bo w języku śmiertelnych nie ma na to głosu.“

Rozdrabniając ową miłość dla kroci kwiatów, i liści i zwierzątek, Shelley zostaje zarazem olbrzymem, rozmiłowanym w tém, co olbrzymie. Te dwie zdolności łączy w sobie w stopniu nieprawdopodobnym. W „Rokoszu Islamu“ jego fantazya ma w sobie coś z potwornie wielkiéj architektury Indusów, ogromnéj w planie, a jednocześnie uginającéj się pod misterną ornamentyką. Lubi téż wspominać o słodkim, albo „dobrym tytanie“, o „łagodnym gromie“ i potrafi zestrajać wszechogrom z maluczkością w sposób czarowny.

VIII.

Jeden z przyjaciół Shelley'a mniema, że gdyby żył on dzisiaj i wyjrzał oknem swego mieszkania na świat boży, uczułby się boleśnie zawiedzionym na widok marnego plonu swéj wieszczéj siejby. Peacock — jego to bowiem słowa — mierzy widać, jak wielu Anglików, wartość poezyi jéj owocami namacalnemi. Inny pisarz, Principal Sharp, nazywa Shelleya pięknym aniołem, który jednak daremnie uderza w powietrze swemi świetlanemi skrzydły [1].

W tym podobnych sądach tkwi duch pospolitości i miernoty, który nie pozwolił już nietylko oznaczyć wagi, ale nawet zrozumiéć shelleizmu. Nawet prof. Dowden, który w obronie jego kruszy kopie

---

[1]) „Last words on Shelley“ by prof. Dowden.

i usiłuje pojąć szerzéj, zawsze jeszcze stoi na przestarzałym punkcie widzenia. „Łagodny tytan“ wiedział doskonale, że swoją piersią nie rozgrzeje zdrętwiałego świata i prędko wyrzekł się téj manii reformowania, którą żartobliwie pysznił się ongi. Zamknąwszy się w świątyni sztuki pragnął już tylko błyszczéć na jéj stropie promienną gwiazdą i zachwycać umysły bratnie „*L'anima amante si stancia fuori del creato e si crea nell' infinito un mondo tutto per essa*“ — są to niby słowa Emilii Viviani, a stosują się oczywiście do niego samego. Był kochankiem ideału, więc musiał, rzuciwszy zwykły padół, stworzyć sobie w nieskończoności świat odrębny, a wtedy niewiele już go obchodził poklask tłumu.

Niewielu pewno, o moja ty pieśni,
Przyjmie dziś ciebie i myśl tę zrozumié —

bo ona za trudna — gdy oni za płytcy — mówi wyraźnie, niemal tonem mizantropii Byrona we wstępie do *Epipsychidion*'u, składając dowód wymowny, że nawet dawna pasya obdzielania bliźnich swą duszą i ciałem, osłabła pod wpływem nad-człowieczych pragnień.

Wogóle zanadto przyzwyczajono się upatrywać kontrast między Shelley'em a Byronem. Jeśli on istnieje, to jeno co do formy, w którą się przyoblekła siła życiowa każdego z nich, ale daleko innéj w stosunku do reszty świata. To prawda, że jeden więcéj działał ogniem poezyi na zewnątrz, a drugi trawił się nim wewnętrznie, że jeden bódł gnuśną cywilizacyę ostrogą, a drugi pragnął działać na jéj serce, ale i to pewna, że obadwaj pod koniec życia stracili młodzieńczą w przetwórczą potęgę wiersza, zachowując wyniosłą ambicyę pół-bogów. Cała różnica, że starszy, zstąpiwszy między śmiertelnych, igraszkę z nich nieraz robił i bawił się okazywaniem im téj swéj siły, gdy drugi nawet w rozczarowaniu brał świat poważnie i nigdy całkiem ubolewać nie przestał, że swéj lepszości podzielić między nich nie może. Tamten na piszczałkach Pana wygrywał swoje straszące pastuchów pieśni, ten płakał jak harfa Eola, wiodąca ciche, tłumione rozhowory z zefirem, i dla tępego ucha pasterzów wcale niesłyszalna. Kiedyś w przyszłości, gdy ludzie rzucą kij leniwych bydłopasów i zaczną wieść życie istot rozumnych i nieskończenie pragnących, pojmą oni i ten bezmiar pragnienia i tęsknoty, który targał duszę Shelley'a, a który jest głodem zbyt szlachetnym, ażeby mógł być zwykłym chlebem życia zaspokojony. Albo ten czas nie nadejdzie nigdy, albo jest bardzo daleki — tak czy owak, dusza ta na długą jeszcze skazana jest samotność.

Duchy gwiazd tańczą w téj cichéj źrenicy,
Odbicia fal tych, co z pod błyskawicy
Jéj duszy płoną i taką głąb tworzą,
Że myśl i zmysły próżno siły łożą,
Ażeby dotrzéć do głębin źródliska.
(Epipsychidion).

Bratniemi duszami nie będą mu ani siewcy nauki, bo Shelley jest czémś więcéj niż nowożytnym Lukrecyuszem, mającym swego bliźniaka w Sully Prudhomie, ani gruntownie zdemokratyzowani nauczyciele, gdyż jego ideał obejmuje wiele różnorodnych wyżyn naraz. Dlatego téż mimo cały dzisiejszy kult jego imienia, uczniów posiada niewielu. Jest zanadto treścią, ażeby można było naśladować, możnaby conajmniéj przedrzeźniać jego zewnętrzne efekta. Chociaż poezya francuska w swéj pogoni za mistycyzmem, wydelikaciła się niezmiernie i poznała na Shelley'u, którego zalicza już prawie do swoich, to przecież wspólność między nimi jest prawie żadna. Parnas lubi marmur i spiż, a Shelley'a poezya jest z roztopionéj lawy; dekadenci mają zaostrzone zmysły na użytek swoich drobnych sybaryckich naturek, on ma wyolbrzymiałą pragnieniem wyobraźnię, któréj zmysły służą jak niewolnicy, ale nie jak pieszczochy, jak środki, nie jak cele. Nie jestto owa „czysta poezya", na którą mógłby się pisać Gautier i Banville, Leconte de Lisle i Mallarmé, albowiem pod samą przezroczą jéj powierzchnią, nawet nie w głębi, huczą wszystkie wiry i kipią wszystkie wary Atlantydy [1]).

Napoleon Hirszband.



---

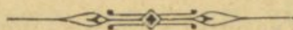
[1]) W naszéj literaturze dopiéro ostatniemi czasy objawił się ruch Shelley'owski i dziś jeszcze objąć okiem całego jego przebiegu niepodobna. Godzi się przecież zauważyć, że wywarł on wpływ wybitny na p. Jana Kasprowicza, który nawet drukował o nim studyum, co prawda dorywcze i błędne w faktach i jakby na kolanie dla użytku „Myśli" pisane. Tłómaczył on z większych utworów „Alastora" i „Odę do wiatru zachodniego". Niewątpliwie coś téż zawdzięcza Shelley'owi p. Feliks Jezierski, który go tłómaczy znakomicie („Prometeusz" i „Epipsychidion"), bo głęboko, poetycznie i dokładnie. Drobniejszych śladów zajęcia się wielkim poetą spotkać można dziś u nas bardzo wiele (An. Lange, Ign. Matuszewski, Ferd. Hösick, Maryan Zdziechowski i inni).



KARTA Z DZIEJÓW WŁOSKICH

OD POCZĄTKÓW FLORENCYI DO POŁOWY XV-go WIEKU.

(według F. T. Perrens'a [1]).



IV.

Do waśni politycznych rozdzierających Florencyę za Fryderyka II przyczyniły się też spory religijne, które historya dotąd pokrywała milczeniem, którym nawet uczeni, jak Borghini zaprzeczają, ale których dokumenta dowodzą. Zkąd ta szczególniejsza dyskrecya historyczna?... dociec trudno. Może ze źle zrozumianéj pobożności, może z niedbalstwa w poszukiwaniach po zapylonych archiwach — niepodobna jednak pominąć takiego objawu w rozwoju wewnętrznym miasta, w czasie gdy kwestye wiary donioślejsze stokroć niż dziś miały znaczenie.

Co było powodem, że się herezya przyjęła w mieście powolném zwykle papieżowi, a jak się autor wyraża „tak żarliwie prawowiernćm, że w kwestyi dogmatu okazywała się surowszą od saméj stolicy apostolskiéj?..." Polityka, która ze wszystkiego umie bicz ukręcić użyła i religii w swych celach. Fryderyk II, pragnący pozbawić władzy świeckiéj namiestnika Piotrowego, popiérał odszczepieństwo. Wolnomyślność towarzysząca zwykle rozwijającéj się cywilizacyi, usterki kościoła, (które autor przedstawia w krótkich lecz dobitnych wyrazach, z widocznćm jednak staraniem o bestronność), budzące się

---

*) Zob. „Ateneum" Zesz. październikowy, r. b., str. 247.

zamiłowanie w czytaniu, „które otwiérało umysłom nowe horyzonty lecz nie dawało jeszcze dostatecznéj równowagi sądowi,“ wznawiające się zamiłowanie do nauki, sztuki i pism starożytnych, które bałamuciły głowy nie dość wytrawne, wreszcie, „ekstrawagancye uczonych wywołując podobneż objawy wśród nieoświeconych złożyły się na zaczyn herezyi.“ Zapowiadano bliski koniec świata, narodziny Antychrysta, a zjawiska przyrodzone: burze, trzęsienia ziemi, gwiazdy spadające, komety, choroby, przerażając tłumy przyczyniły się do ich bałamucenia. Jedni przywdziawszy włosienicę szukali samotności w górach (gdzie powstały dwa zakony: kamedułów: założony w 1012 r. przez ś. Romualda i ś. Gwalberta w Wallombrozie), inni znów opuszczali ręce bezczynnie, jak fataliści przyjmując zasadę, że złe jest kardynalném prawem świata. Wyznawcy téj zasady „potwornéj mieszaniny błędów gnostyków i manichejczyków,“ z dodatkiem innych, katarowie, ukazali się najpierwéj w Medyolanie. Arcybiskup medyolański Heribert skazał na stos przewódcę sekty wraz z jego stronnikami, ale ta kaźń, jako „wyosobniona, nie mogła we krwi utopić całéj sekty, a zbyt straszną będąc, wzmogła żarliwość pozostałych.“ W XII w. odszczepieństwo to już się objawia w Toskanii i przychodzi do starcia orężnego w Orwietto: „duchowni z wiernymi wydają bitwę na ulicach; jednych mordują, drugich wypędzają z miasta;“ ale namiętny, wytrwały ten naród nie daje się łatwo pokonać. Sekciarze się mnożą, nowi apostołowie zastępują dawnych, nawet dwie niewiasty, Milita i Julita, ukazują się na scenie, „wilczyce wewnątrz, owce nazewnątrz,“ jak je ktoś nazywa, zapożyczając się w wyrażenie z pisma św. Sekta nawet rozrasta się i potężnieje do tego stopnia, iż grozi swym przeciwnikom, że w razie wojny, skaże ich na wygnanie.

Katarowie, zwani we Włoszech Patarenami, dlatego, że w Medyolanie główna ich siedziba znajdowała się przy ulicy Pates, czyli gałganiarzy, dzielili się na rozmaite odcienie, ale wyznawali wszyscy pewne zasadnicze idee, jak: istnienie dwóch pierwiastków, dobrego i złego; grzéch w przywiązaniu do rzeczy ziemskich, (tu zaś tak wygórowane głosili teorye, że małżeństwo potępiali na równi z przestąpieniem szóstego przykazania), żadnego sakramentu, prócz chrztu; spowiedź publiczna jak w pierwszych wiekach chrześciaństwa, bez żadnéj pokuty za grzechy, byle przystąpić do ich kościoła; dość było, według nich, wierzyć i wyznawać, by osiągnąć zbawienie. Krzyż, jako symbol kaźni, był przedmiotem wstrętu. Surowi dla ciała, mnożyli posty, wstrzymując się nietylko od mięsa, lecz i od nabiału. Przysięgę uważali za rzecz naganną, wzbronioną; urzędnikom odmawiali

władzy i prawa karania przestępców, wyśmiewając kościół katolicki z jego obrządkami, zaprzeczali mu prawa posiadania własności, chyba wspólnie. Sami mało zachowywali ceremonii religijnych; za ołtarz służył im stół, zasłany białym obrusem, na którym leżał Nowy Testament. Zrana i w wieczór zbiérali się na czytanie księgi świętéj, na odmówienie jednéj dozwolonéj moglitwy: Ojcze nasz, oraz na otrzymanie błogosławieństwa swego kapłana i „doskonałych.“ Zdaje się, że druga gałąź téj sekty jadała mięso i tolerowała małżeństwo.

Jeden z fałszywych braci, jacy się wciskają wszędzie, wcisnął się i tu dla poznania zasad Patarenów; następnie zaś pisał do arcybiskupa bordelezyjskiego Iwona: „u stołu ich jadłem najdelikatniejsze potrawy, piłem najprzedniejsze wina;“ drugi znów twierdzi: „nie widziałem nigdy, aby który z nich na osobności się modlił, żałował za grzechy, bił się w piersi na znak skruchy;“ ale św. Bernard świadczy inaczéj: „nic mniéj nagannego jak ich rozmowy, a uczynki ich są zgodne z ich mową.“ Podobnież się odzywa dominikan Sandrini: „pomimo wszelkich moich poszukiwań, w procesach wytoczonych przez braci, nie odkryłem, aby heretycy popełniali okropności, o jakie ich oskarżano w Toskanii,“ wreszcie niechętny im uczony Lami przemawia także na ich korzyść: „źli nie mogli u nich sprawować obrzędów duchownych. Wymagano uczciwości od kapłanów i dyakonów w domu bożym.“ Zanotować nadto potrzeba, że w czynnéj i pracowitéj Florencyi nikt nie był czynniejszym i pracowitszym od Patarenów; gdy zaś arystokracya „nieprzyjazna stolicy apostolskiéj a przychylna cesarstwu“ stanęła na ich czele, gdy ich teologowie wyćwiczeni we wszechnicy paryskiéj, publicznie dysputowali z klerem katolickim, i na placach, na polach, głosili swą naukę, nie śmiano ich przez czas jakiś zaczepiać. Odważył się na to Inocenty III, z całą srogością fanatyzmu: „mieszkańcom rozkazał denuncyować heretyków a denuncyatorom oddawał część dóbr skonfiskowanych odszczepieńcom. Burzono domy użyczające im schronienia z zakazem ich odbudowywania, dający zaś schronienie bywał karany dożywotniém wygnaniem. Oskarżony powinien był odpowiadać na wszystkie pytania, a świadkowie uniewinniający musieli milczéć. Wzbroniono sędziom, adwokatom, notaryuszom, oddawać im prawne usługi pod karą utraty posady. Skazany nie miał prawa odwoływać się od wyroku. Żadnego wsparcia dla jego rodziny, ani pogrzebu dla prochów, gdy zginął na stosie.“

Te nieludzkie edykty jeśli zapobiegały szerzeniu się herezyi, to znów niejednokrotnie wzmacniały adeptów, i walka uparta toczyła się

długo. Niżsi urzędnicy faworyzowali sektę i częstokroć paraliżowali rozporządzenia swych zwierzchników, spólnicy byli tak liczni, że niepodobna było karać wszystkich. Klątwy zaś nie straszyły Florentczyków; jeden z kronikarzy pisze, iż przyjmowali ją tak obojętnie, jakby pili szklankę wody [1]). Egzystował bowiem na dnie jakiś pierwiastek pogańskiego ducha Romy, który przyjmował u siebie wszystkie bogi świata, żadnemu nie dając w duszy pierwszeństwa. Nadto, gmina zazdrośna o swe prawa nie pozwala inkwizycyi wzywać bezpośrednio przed swój trybunał podejrzanych o herezyę, jak również skazywać ich na stos. Inkwizytor zatém „podbudzał jakiego prawnika do denuncyowania i dowiedzenia faktów, odwołując się w ten sposób do najnikczemniejszych namiętności i budząc w łonie rodzin pokusę do ohydnych doniesień.“

Śmierć Fryderyka II, obrońcy wszystkich przeciwników Kościoła katolickiego, dodała otuchy prześladowcom heretyków. Inocenty IV pisze do Piotra z Werony te znaczące słowa: „Nakoniec można pomyśléć o wytępieniu herezyi,“ jakoż wzięto się do dzieła ze zdwojoną gorliwością: powołano zdolnych i energicznych kaznodziejów do katechizowania ludu, utworzono milicyę N. Panny, odzianą w białe szaty z czerwonym krzyżem, do któréj nawet przyłączyły się kobiéty i robili wszystko co święty nakazywał. Tym świętym był kaznodzieja Piotr z Werony „jeszcze młody, słusznego wzrostu o energicznéj twarzy i grzmiącym głosie,“ i święty ów nakazywał aby „aresztowano heretyków i oddawano ich w ręce inkwizytora.“ Przeciw milicyi kościelnéj wystąpił podesta florencki, Pace de Pesannola, zbrojąc pewną ilość ludności dla odparcia siły siłą. Doszło do starć krwawych, lecz prawdy w przebiegu téj sprawy trudno się doszukać, bo „Dominikanie jedni mają głos;“ wprawdzie w aktach oficyalnych znajduje się relacya, że d. 24 sierpnia, na cześć św. Bartłomieja, kapłani zwołali wiernych do dwóch kościołów, by piorunować z kazalnic przeciw podeście broniącemu heretyków. „Wezwanie wiernych w takim celu było czynem buntowniczym, którego nie mógł tolerować pierwszy dygnitarz miejski.“ Z jego zatém rozkazu dzwon miejski zwołał lud na zgromadzenie, i wnet Patareni, z protegującą ich możną rodziną Baroni, zebrali się na placu. W kościele odprawiało się nabożeństwo „i ludność ściśniona otaczała kazalnicę, słuchając podburzającego kazania.“ Patareni ze swymi stronnikami rzucili się na bezbronne tłu-

---

[1]) On y avait bien d'autres audaces. N'est-ce pas à Sienne qu'un potestat couper la tête à des clercs, et à Parme qu'on enterrait dans le fumier ceux qui, en mourant, se repentaient de leur opposition au clergé?

my, raniąc i mordując. Tym postępkiem oburzyli na siebie opinię: „przewódcy katoliccy skorzystali z pomyślnego wiatru,“ i wystąpili z całą surowością przeciw Patarenom, postanawiając oddać wet za wet.“ Na czele napastujących stanął ów święty „słusznego wzrostu o energicznéj twarzy. Trzymając w silnych ręku białą chorągiew z czerwonym krzyżem [1]), przyciągał wszystkich oczy, wzniecał we wszystkich ufność i zapał.“ Rozpoczęła się znów bójka i tym razem zwycięstwo zostało przy katolikach. Patareni zmuszeni byli albo się wyrzec swych zasad albo iść na stos. „Radość powszechna zapanowała w duszach pobożnych, bo poznały że herezya poniosła cios śmiertelny.“ Tylko przewódca téj wyprawy, Pietro z Werony, zginął w niejaki czas potem, zamordowany w lesie, pod ciosem sekciarzy, których prześladował. Tradycya twierdzi, że jego zabójcy byli z liczby tych, których on zwyciężywszy wygnał z ojczyzny. Kościół zaliczył go do grona męczenników. Bracia mniejsi dokończyli dzieła tak pomyślnie poprowadzonego przez Piotra z Werony. Inkwizycya „ścigała odszczepieńców do trzeciego i do czwartego pokolenia,“ ale rozumni Florentczycy nie czynili synów odpowiedzialnymi za winy ojców i powierzali im urzędy. Taka tolerancya oburzała inkwizycyę, która ze swéj strony nie zaniedbywała prześladowania. Konfiskaty i kary ciągnęły się bez ustanku aż wreszcie zmogły najwytrwalszych. Jedni zaczęli się chwiać, drudzy kryć „a doktryna, która się upadla i kryje zginęła na wieki,“ twierdzi słusznie Perrens. Z pataryzmu nic nie pozostało prócz nazwy, która służyła w XIV wieku za pogardliwe imionisko dla odstępców od kościoła.

„Odzyskana przez katolicyzm, Florencya miała mu pozostać wierną: ale żaden naród nie był, przy swéj prawowierności, równie swobodnym i niezawisłym w pojmowaniu wiary. Florentczycy nie poprzestawali, jak Francuzi, na wyśmiewaniu nadużyć i występków duchowieństwa, ale zwracali na dogmata wzrok badawczy lub niedowierzający i obojętny. Religijność ich skłonna do zabobonów, szczera w godzinach niebezpieczeństwa, była na ogół rzeczą konwenansu, polityki, tradycyi. Stosując się do zwyczajów przyjętych, nie przecząc temu w co wierzą tłumy, zostawiali sobie prawo myśléć, co się im podoba. Bywa czasem więcéj ducha religijnego w tych, którzy się buntują, niż w tych, którzy ulegają i mawiano nieraz, że z dwóch, Lutra i Leona X, może papież był mniéj gorliwym chrześcianinem. Florentczycy byli już wówczas tém, czém są dziś ludy włoskie; przy-

---

[1]) Dziś jeszcze można ją oglądać w zakrystyi kościoła Santa Maria Novella.

wiązane do form swéj religii lecz obojętne dla dogmatu. Herezya nie zginęła całkiem. Pozostał z niéj ów nieposkromiony duch niepodległości religijnéj, który ją tworzy i którego się nie ciemięży bezkarnie, i dla tego właśnie, że go zachowała, przebyła Florencya bez wstrząśnień burzliwe czasy reformacyi, czego nie uniknęło tyle innych miast włoskich."

V.

Czego może dokazać silna wola, jasny umysł, rozumny pogląd, śród najkrytyczniejszych okoliczności, widzimy dosadnie we Florencyi. Przy zwykłych wszystkim i wszędzie warunkach i usposobieniach, tamujących spokojny, braterski pochód ku prawdzie i szczęściu, jakim się łudzą utopiści czy niedojrzali politycznie mężowie stanu a raczéj przewódcy pewnych kierunków, Florencya posiadała nadto miejscowe nasiona swarów, kiełkujące bezustannie jak zarazki epidemiczne w sprzyjającéj atmosferze. Zanadto różnorodnych żywiołów ścierało się z sobą: sprzeczne interesa papiestwa i cesarstwa, szlachty i plebsu, sprzeczne interesa miast spółzawodniczących o pierwszeństwo, stronnictwa przeróżne, oprócz dwóch najgłośniejszych: Gwelfów i Gibelinów; „za dużo tam było zwycięzców i zwyciężonych, Niemców i Włochów, małych i wielkich, szlachty i mieszczan, próżniaków i pracowitych — tak że warunkiem publicznego spokoju i porządku była przewaga jednego z tych żywiołów nad innemi." Co zaś przyczyniało się do ciągłego niemal stanu wojny, to właśnie ta okoliczność, że wygnane stronnictwo mogło zawsze znaleźć przytułek i poparcie w okolicznych zamkach i grodach. Wygnanie — powiada Emil Gebhardt, było normalnym stanem ówczesnym we Włoszech, ale wygnaniec nie upadał na duchu, lecz wściekły z gniewu, przygotowywał odwet, czatował na sposobność i oddawał: oko za oko, ząb za ząb. „Kolejno to wygnani to wyganiający uważali pokój jako zawieszenie broni, podczas którego kuli i ostrzyli miecze, gotując się do nowych zapasów." Jeśli zaś chwilowo ustawały zwady, to pokój jak żyzne lato, wydawał obfite plony. Gdy pokonawszy Gibelinów w 1251 r. Florencya cieszyła się pod pierwszemi rządami Gwelfów dziesięcioletnią zgodą, to, według świadectwa Machiawela, stała się pierwszém miastem w całych Włoszech. „U tych kupców wstrzemięźliwych, dumnych, przy prostocie i uczciwości, jakiéj się nie spotykało nigdzie, handel się rozwijał tak potężnie, że aż się dawał odczuć w życiu publiczném." Lecz co szczególne, to że owe obyczaje surowe, zaściankowe niemal, łączyły się z szerokim poglądem na sprawy ogólne; kup-

cyowi wysyłali swych synów do uniwersytetu bolońskiego i paryskiego; zakładali sklepy zagranicą, agenci ich przebiegali Flandryę, Brabancyę „nawet Anglię,“ wreszcie, zawsze rozumni i praktyczni, ułatwiali obroty, bijąc monetę złotą, lżejszą i bardziéj poszukiwaną od srebrnéj, któréj wagę i cenę określano [1]). Tak zwany złoty florencki (czyli floren) miał z jednéj strony wizerunek św. Jana Chrzciciela, patrona miasta, z drugiéj — lilię. Jak wiele nowości tak i złoty florencki, trafił zrazu na niechętnych, „ale tak uczciwie wyglądał,“ tak był lepszym rzeczywiście od innéj złotéj braci, że zyskał sobie pierwszeństwo, niezaprzeczoną wyższość nad nią.

Podobną rzetelność jak w biciu monety zachowywano i w innych

---

[1]) Rachowano we Francyi na liwry i floreny, których ocena przedstawia wielkie trudności. Początkowo liwr był pewną ilością monet ważących funt, że jednak złoto i srebro nie jednakiéj są wartości, przeto liwr czyli funt, stał się „czémś dowolném.“ Dla uproszczenia rachunków, rozłożono funt na 20 soldów, sold na 12 denarów; ale i to jeszcze nie załatwiło kwestyi. Od czasów longobardzkich 20 soldów stanowiło zaledwo dwie trzecie funta pod względem wagi. Że nadto biskupi, baronowie, miasta wolne, bili wszyscy monetę, trudność jéj zrównoważenia stawała się ogromną; bo niedość, że pieniądz bywał rozmaity, lecz bywał fałszowany, z ceną nominalną, wyższą od rzeczywistéj. Z czasem kruszec stał się tak rzadkim, że funt, liwr, zamiast zawiérać 240 sztuk srebrnych, to jest denarów, zawiérał ich tylko dwadzieścia. Trzeba téż pamiętać, że zaprzestano używać miedzianéj monety, a srebrne denary, małe i cienkie, gubiły się i ścierały z łatwością. Wszystkie te trudności nie sprawiały kłopotu bystrym Florentczykom „obytym przez codzienną praktykę z najzawilszym rachunkiem,“ ale zaczęli wybijać monetę złotą, wyższego gatunku od wszelkiéj innéj, monetę, która się stała miarą porównawczą. Składał się on tak samo jak liwr i jak floren srebrny z 20 soldów i 240 denarów i nazywano go kolejno: *fiorino d'oro*, *fiorino di suggello*, *fiorino di galea*, *fiorino largo*. Ammirato przytacza z tego powodu ciekawe, do anegdoty podobne zdarzenie:

W początku XIV w. bej Tunisu przypatrując się florenowi w złocie, spytał się Pizańczyka.

— Jaki to naród bije taką piękną monetę?

— Nasi Arabi lądowi — odpowiedział Pizańczyk z pogardą.

— Nie jest-to moneta arabska — odparł sucho władca tunetański, i zażądał widziéć pieniądz z Pizy. Był srebrnym. Wtedy wezwał do siebie znanego w mieście kupca florenckiego, imieniem Pela Galducci, i spytał go: Żali rzeczywiście Florentczycy byli Arabami Pizańczyków.

Sprytny Florentczyk zaczął najpiérw opisywać bogactwa swego miasta, i zakończył w te słowa: „jeśli napadać znaczy być Arabami,“ to Florentczycy zasługują na to miano, gdyż „ubodzy górale“ nie byliby mogli miéć złotéj monety jak zwyciężając na morzu.

Ta odpowiedź podobała się niezmiernie władcy Tunisu i udzielił Florentczykom równie korzystne przywileje handlowe jak Pizanom, pozwolił im mieszkać w Tunisie i miéć swój kościół.

gałęziach przemysłu. Kilka przykładów ze statutów Calimali są ciekawym tego dowodem. Ponieważ od ufarbowania sukna zależało bardzo wiele w handlu, zwrócono pilną uwagę na barwniki, trzeba było mieć wyłączny przywiléj, niezbyt łatwo uzyskiwany, na ich sprzedawanie. Używano farb roślinnych, i każda miała swoją oficyalnie naznaczoną cenę; wzbronionėm było zastępować jedną przez drugą a wrazie przestępstwa, winnego wydalano z cechu a sukna jego palono. Mieszania barw dozwalano, pod warunkiem, że proceder będzie na etykiecie lub na rąbku sukna ogłoszony dla wiadomości publicznéj, a ono samo otrzyma osobą nazwę. Farbiarze zobowiązywali się nietylko przysięgą do sumiennéj pracy, lecz składali każdy kaucyę 300 fl., którą tracili, jeśli ich robota nie zadowolniła „biegłych;" sukno palono, a farbiarz ogłoszony za fałszerza tracił prawo oddawania się swemu zawodowi. Były nadto drobiazgowe reguły tyczące się miary, gatunku, i t. d. Sukna krajowe i zagraniczne oznaczano etykietami z nazwiskiem i adresem fabrykanta, oraz cenę, a dla zapobieżenia nadużyciom, nieustannie krążyli urzędnicy, po ulicach rzemieślniczych, sprawdzając księgi, regestra, miary. Konsulowie karali przestępców surowo; wykluczenie z rzemiosła było prawdziwym postrachem, bo sprowadzało ruinę.

Wielka rzetelność wraz z dobrym smakiem „który wówczas był wyłącznym Włoch przywilejem," zapewniły ogromne powodzenie wyrobom florenckim. Villani powiada, że w 1338 r. przeszło 200 sklepów sukiennych wyrabiało rocznie 80,000 sztuk sukna, wartości 1,200,000 fl. i zajmowało 30,000 robotników, że przed 30 laty było o sto sklepów więcéj, i że wyrabiano 20,000 sztuk więcéj. Trzeba przytém pamiętać, że rzemiosło Calimali a wełny nie jest jedno i to samo. W pierwszém przerabiano proste sukna zagraniczne na wyborowe, w drugiém nie miano prawa do takiego przerabiania, a tylko można było kupować wełnę i z takowéj samym fabrykować sukno. Oba te rzemiosła doszły do takich bogactw i znaczenia, że nawet signorya nie sprzeciwiała się ich decyzyom. Obrachowują, że trzecia część zysku pochodziła z tego źródła. Sprowadzano z Anglii, w ostatnich latach XIII wieku po 2,380 worów wełny, po 20 grzywien pierwszorzędny, po 10 grz. pośledniejszy gatunek, co ogółem wynosiło od 25 do trzydziestu tysięcy funtów szterlingów. Dwadzieścia sklepów Calimali sprowadzały w tejże epoce, przeszło 10,000 sztuk sukna, wartości z górą 300,000 florenów w złocie i które sprzedawano tylko w mieście.

Jedwabnictwo, późniejsze od wełny rzemiosło, jak się wspomniało wyżéj, kwitło od końca XIII wieku. Niejaki Gherardi, Florentczyk,

sam jeden kupował więcéj surowego jedwabiu w Anglii niż całe miasto Lukka, któremu przypisywano rozwój téj gałęzi przemysłu. Korzystny zbyt zapewniony był aksamitom i adamaszkom florenckim w Montpellier, Awinionie i Lyonie; wyrobami naśladującemi wschodnie tkaniny przewyższała Florencya inne miasta na półwyspie. W końcu tak ogromne bogactwa zgromadziły te trzy gałęzie przemysłu, że posiadacze ich, szukając umieszczenia dla swych kapitałów, zaczęli je traktować jako towar. Tym sposobem połączywszy przemysł z wekslarstwem i bankierstwem, otworzyli sobie nowe źródła dochodów. Już wtedy odbywały się, zwłaszcza na Mercato nuovo, wszystkie dzisiejsze operacye giełdowe.

Villani powiada, że w epoce (1280 — 1320) bito we Florencyi rocznie 400,000 fl. złotych, i że na początku XV w. kapitał obrotowy w mieście dochodził 2,000,000 fl. nie rachując wartości towarów, co wynosi ogromną sumę, jeśli zważymy, że cena kruszcu była wówczas niższą od dzisiejszéj. Kompetentni twierdzą, że ówczesny złoty floren, równał się, mniéj więcéj 10 fr.; że należy go pomnożyć przez pięć, czyli, że floren średniowieczny wart dziś 50 fr.

Wekslarze florenccy uchodzili za tak biegłych finansistów, iż państwa zagraniczne wzywały ich na dyrektorów mennic i banków; znajdujemy ich w XIII w. w téj roli w Londynie, Neapolu; „nie było ważniejszego punktu we Francyi, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Anglii, gdzieby nie mieli swoich kantorów i korespondentów.“

W 1422 r. 72 bankierów „zajmuje się nietylko wekslarstwem“ w 1472 zniżyła się ich liczba do 33, lecz nie cyfra obrotów; kapitały skoncentrowały się w mniejszéj ilości rąk. Wysyłali do Wenecyi rocznie 392,000 dukatów, to jest przeszło 7,000 tygodniowo; 7,000 sztuk przedniego sukna, oprócz wełny francuskiéj i katalońskiéj; nadto: przędzę złotą i srebrną, kosztowności, tkaniny jedwabne, złotogłów, aksamit, sukna przerabiane złotem i srebrem. W 1474 r. znajdowało się 84 warstatów fabrykujących ten wyrób. Dla zatrzymania i zachęcenia rzemieślników kosztownego i popytnego produktu, zabezpieczono ich na trzy lata od odpowiedzialności sądowéj za długi.

Nie posiadając jeszcze ani jednego okrętu lecz wynajmując ciężkie, ogromne statki pizańskie, genueńskie, weneckie, w których się mieściło po 4,000 krzyżowców z końmi, oraz paszą i żywnością na 9 miesięcy, pozakładali Florentczycy faktorye w Konstantynopolu, Egipcie, Syryi, Indyach, Chinach. Podobnie jak przerabiali sukno europejskie, przerabiali jedwabne tkaniny wschodnie i odsyłali

je napowrót zmienione do niepoznania; kupowano je tam jako wyroby obce.

Rośliny do barwienia tkanin, wyjąwszy marzannę, zrazu sprowadzano, następnie zaczęto uprawiać u siebie, a gdy ałun, używany do utrwalania barw, zaczęto wydobywać w Toskanii, nastąpił wywóz farb. W 1347 r. sprzedano kupcom hiszpańskim z Walencyi pastelu (który zastępował nieznane jeszcze indygo) za 800,000 florenów złotem.

Ale handel i przemysł cały spoczywały w ręku małéj liczby osób, systemem protekcyjnym bronione od rozdrobienia się i rozproszenia na większą ilość jednostek. Kapitan, stojący na czele kolonii włoskiéj, osiadłéj we Francyi, „traktował z królem jak z równym,“ *popolo minuto* w twardych wegetował warunkach.

Jeśli wierzyć Villaniemu, liczono we Florencyi w 1336 r. 90,000 mieszkańców obojéj płci i różnego wieku, oprócz ludności niestałéj „1,500 cudzoziemców, oraz żołnierzy i duchowieństwa.“ Od 250 do 300 kapelanów; 50 opactw z 2 przeorami i 80 mnichami; 110 kościołów, 57 parafii, 24 klasztory żeńskie i około 500 zakonnic. Mężczyzn zdolnych do broni, to jest od 15 do 70 lat — 25,000, w téj liczbie 1,500 szlachty. Dodawszy ludność z posiadłości, rozporządzała gmina 80,000 żołnierzy. Od 8,000 do 10,000 dzieci uczyło się czytać; od 1,000 do 1,200 uczyło się rachować w sześciu szkołach, 550 do 600, pobiérało naukę wyższą to jest gramatykę i logikę w czterech szkołach.

Cyfr tych jednak bezwarunkowo przyjąć nie można i nie podobna z dokładnością dzisiejszą obrachować ludności i bogactwa krajowego. Villaniemu służy za punkt wyjścia ilość chleba przysposabianego w miejskich piekarninch i spis nowonarodzonych. Pierwszy dowód jest niedostatecznym z tego względu, że wiele domów wypiekało chleb u siebie i spędzało pewną część roku na wsi, za miastem; drugi zaś „wykazywałby ludność 150 tysięczną.“ Kto wié, czy Pagnini, podający w XIV w. mieszkańców Florencyi na 70,000 nie jest bliższym prawdy od Villaniego? Trudno téż na podstawie cen zbożowych obrachować inne bogactwa krajowe, „boć wiadomo z doświadczenia ostatnich lat 30, jak gwałtownie wznoszą się i opadają ceny na produkta najpotrzebniejsze do życia, i gdy cena chleba niemal jednakowa, inne artykuły zdrożały dwa lub trzy razy [1]). Poprzestać zatém wypada na przybliżoném oszacowaniu bogactwa krajowego nietylko we Florencyi, lecz w całych Włoszech.

---

[1]) Eug. Münz.

Regestra miejskie fiorenckie wykazują rocznie dostawę 55,000 miar wina, zwiększoną o 10,000 miar w latach urodzajnych; 4,000 wołów i cieląt, 60,000 baranów i owiec, 20,000 kóz i kozłów, 30,000 wieprzy. W lipcu, przez bramę San-Friano, liczono 4,000 dostaw owocowych.

Żebraków nie brakowało, a miłosierdzie publiczne i prywatne nie zapominało o nich. Dostarczano im zboża po zniżonych cenach; w głodowych latach 1329 i 1330 rząd wydał na nich 60,000 fl. Rzemieślnicy stowarzyszali się dla wzajemnéj pomocy i zakładali szpitale dla siebie; tragarze założyli jeden w r. 1317, farbiarze zaś dwa w roku 1339. W XIV w. dwadzieścia szpitali wznosi się we Florencyi.

Dochód państwowy, zawsze według Villaniego, wynosił 300,000 fl., rozchód 121,270 fl. Jedne wydatki były stałe, inne niestałe. Pierwsze, zawierające pensye urzędników, sięgały 40,000 fl. mniéj więcéj. Podesta pobiera 15,240 fl. [1]). Kapitan ludu 5,880 fl. Wykonawca sprawiedliwości 4,900 fl. Kapitan straży przeorów 5,700 fl. Wydatki na kuchnię przeorów i ich ludzi 3,600 fl. Urzędnicy, nadzorcy wyższego stopnia po 1,000 do 1,400 fl., 600 stróżów nocnych 10,800 fl. Naczelnicy i strażnicy fortec 4,000 fl. Ambasadorowie, mn. w. 5,000 fl. Szpiegowie i posłańcy za granicę 1,200 fl. Druga kategorya posłańców w rozmaitych administracyach 1,500 fl. Dziesięciu trębaczy, muzycy, heroldzi 1,000 fl. Jałmużny dla zakonników i szpitali 2,000 fl. Notaryusze od 100 do 450 fl. Administrator więzienia i stróże 800 fl. Lwy, świece, pochodnie, etc. 2,400 fl. Służba gminy, pachołcy podesty i przeora 550 fl. Kanclerz gminy i jego pomocnik 450 fl. Sukna na festyny 100 fl. Zaopatrzenie izby broni 1,500 fl. Do nadzwyczajnych wydatków, jak utrzymanie żołdaków, naprawianie dróg, mostów, gmachów publicznych, mało pewnych statystycznych danych. „Deficyt nie rzadko się przytrafiał“, czemu oszustwo nie było obcém, jednak „rzecz szczególna“ nie brakło nigdy pieniędzy na potrzeby polityczne, nawet na wydatki niepotrzebne. „Czyż nie przyznano 20 liwrów zakonnicom na wykopanie studni?“ Chociaż prawo wzbraniało podarków z grosza publicznego“ pożyczano go, wiedząc, że zwrotu nie będzie; — Karol Andegaweński i inni „doznawali dobrodziejstw od rzeczypospolitéj.“

Głównéni źródłem dochodu był zrazu podatek od rzeczy niezbędnych, następnie od zbytkownych; pierwotnie 4 denary, późniéj 5 denarów od 1 liwra. Cło pobierane u bram miasta, wydzierżawiono w r. 1337 za 29,500 fl. złotem, że jednak gmina potrzebowała 6,000 fl.,

---

[1]) Villani szacuje ten floren na 3 liwry 2 soldy.

więc zniżyła je na rok do 28,000 fl., pod warunkiem dostarczenia bez zwłoki żądanéj kwoty. Uciekano się w krytycznych razach do wybiegów, nawet do pożyczek przymusowych. Płacono „pogłówne“ nie zaś procent od majątku. Uiszczającym się rzetelnie robiono pewne ustępstwa; niesłownych pociągano do odpowiedzialności. Niesprawiedliwość jednak podatku „pogłównego“ była zbyt rażącą, by się jéj nie starano zaradzić; jakoż wzięto za podstawę szacunek ruchomości i nieruchomości, „nawet zysków wszelkiego rodzaju“ 5% lub 6%, Villani wspomina, że téj inowacyi próbowano już w r. 1266-ym, pozostała ona „pomimo swych błędów“ normą podatkową do początków XV wieku.

„Szacunek odbywał się w następujący sposób. Oceniano jak najniżéj ruchomości i nieruchomości, odtrącano kwotę potrzebną na utrzymanie rodziny i owychże ruchomości i nieruchomości, obliczano dochód według taksy bieżącéj i w stosunku 5 lub 6 od sta oznaczano kapitał. W księgach zapisywano nie cyfrę podatkową, lecz tę, która służyła za podstawę do szacunku.“

Wszyscy mężczyźni zdolni do broni, to jest od 15 do 70 lat wieku, ponosili ciężary państwowe; nie posiadający majątku płacili od 1 do 5 soldów „pogłównego“, kupcy 6 denarów od liwra zysku, czyli 2 ½%, wekslarz tyleż od liwra obrotów swoich. Najniższa cyfra ich kontrybucyi wynosiła 2 floreny złotem rocznie. Inne rzemiosła, stosownie do swéj doniosłości, składały rocznie od 2 do 6 fl.

W r. 1364 spróbowano ułożyć wykaz dóbr z oszacowaniem ich wartości, lecz natrafiono na tak zagmatwany materyał, to wspólnością posiadania, to długami, to procesami, że zaniechać musiano przedsięwzięcia; powrócono do niego jednak w r. 1375 i 1378, i od téj epoki datuje wprowadzenie kadastru.

Villani podaje następujące cyfry podatkowe, które acz przybliżone tylko — bo nie mieszczą nadzwyczajnych dochodów — nie są przecież bez znaczenia i wartości:

Opłata za wprowadzenie towaru do miasta . .	90,200
„ za sprzedaż wina drobiazgową	58,000
„ od wierzycieli i lichwiarzy	3,000
„ od kontraktów	20,000
„ od mieszkań	4,150
„ od mąki i mlewa	4,250
„ od oskarżeń i przeprosin	1,400
„ od bydła żywego na targ	2,000
„ od miar i wag	600
„ od mieszkań i kupców za miastem . .	2,550
„ od murów i drzwi wystających . . .	5,500

Opłata od przekupek jarzyn i owoców	4,500
„ od więzień	1,000
„ od posłańców	100
„ za spław drzewa na Arno	50
„ od rewizorów, czyli kaucya	200
„ od soli	14,450
Podatki szlachty wiejskiéj	2,000
„ od obywateli wychodzących za granicę dla urzędów i posad	3,500
Zysk na monecie złotéj	2,300
„ „ drobnéj	1,500
„ od dóbr skonfiskowanych	7,000
Dobra własne gminy	1,600
Ferma w Or-san-Michele	750
Za noszenie broni	1,300
Udział gminy w cłach pobieranych przez konsulów	300
Opłata od młynów	30,000
„ od posiadłości wiejskich	2,050

Inny autor podaje cyfrę dochodów florenckich na 343,300 florenów złotem, takiéj sumy nie sięgał budżet królów sycylijskiego i aragońskiego.

„W takiéj kwestyi pewne niedokładności są nie do uniknięcia, już to z powodu różnicy zdań u autorów, już to zmian w manuskryptach i edycyach, lecz głównie dla nieustannych zmian w prawodawstwie.

„Ta zmienność, któréj zgubne skutki przyszłość miała okazać, była wtedy (wiek XIV) ganioną zaledwo przez niektórych, większość widziała w niéj warunek egzystencyi. W rezultacie jednak, życie ekonomiczne Florentczyków choć wadliwe, było znacznie wyższém, niż w innych krajach ówczesnych, a wiele instytucyi, któremi się szczycimy, wzięło swój początek we Florencyi.“

Jeśli od tych ogólnych rysów i świetnych rezultatów przejdziemy do zakulisowych szczegółów kwestyi, spostrzeżemy liczne zadatki przyszłych zatargów społecznych. W paragrafach państwowego i cechowego prawodawstwa „znajdują się zarodki tyranii, które nie pozostaną w zarodku“ i ucisk, jakby prawem ciążenia, zwiększa się, idąc ku coraz niższym warstwom. Państwo rozciągało kontrolę nad cechami, cechy nad członkami, członkowie nad osobnikami, — tak, że od szczytu do dołu téj demokratycznéj respubliki, „która wcale nie była czułą dla maluczkich“, ciągnie się łańcuch wzajemnego krępowania się, i trzeba powtórzyć wyraz: ucisku. Państwo, domagające się nadzoru nad korporacyami, zmuszało je do składania mu swych

statutów pod karą 500 liwrów dla rzemiosła, 200 dla konsulów, 50 dla notaryusza sporządzającego akt. Cechy ulegały, wetując sobie przymus na niższych: wzbraniały rzemiosłom podrzędnym ubiegania się o godność sztuk, krępowały warunki zarobkowania, tamowały swobodę indywidualną; wytwarzały tysiączne trudności dla utrzymania się na zajętém stanowisku i niedopuszczenia do niego ludzi nowych, a jak autor powiada, nie bez ironii, „należy przecież popierać starych przeciw nowym, majstra przeciw rzemieślnikowi, co się sam stał majstrem, ogół przeciw tym wszystkim, co tworzą część ogółu.“

Oto kilka próbek tego uciążliwego prawodawstwa:

„Zabraniano kupcom Calimali sprzedawać inne sukno oprócz zagranicznego, trzepać wełnę od sygnału wieczornego do rannego, zamieszkiwać i handlować po za miastem, wywozić wełnę pierwszorzędną i materyał potrzebny do fabrykacyi, sprzedawać po za swoim sklepem, wyjąwszy głównym urzędnikom gminy. Kupujący ma prawo żądać, by mu przyniesiono towar do okna, lecz kupcowi wolno dla pokazania, wyjść do pół ulicy. Nie wolno zabawiać się w sklepie grą hazardową, tylko w szachy i warcaby.“

„Czeladnikom i rzemieślnikom zakazuje się wałęsać koło sklepów dla puszukiwania zajęcia, żenić się bez pozwolenia z osobą nie mieszkającą w mieście. Nieposłusznych ogłaszano za zbiegów, a majętność ich sprzedawano. Wyzwolonemu nie wolno się osiedlać w bliskości dawnego majstra.

„Każdy obywatel obowiązany był zapisać się do jakiegoś rzemiosła i opłacić wpisowe; warunek ostro przestrzegany tak przez despotyzm, jak z potrzeby pieniędzy. I nikt nie mógł uchylić się od niego, ponieważ trzeba było posiadać pozwolenie na reperacyę własnego domu, zrobienie stołu lub pługa na własny użytek, przyrządzenie séra lub wieprza na festyn, chociażby na spół z sąsiadem.“

Na domiar złego, w te niezliczone regulaminy wkradły się sprzeczności. Wymagano wpisu od wszystkich, a jednak statuta „pozwalały oddawać się rzemiosłu bez matrykulacyi“. Daléj znów „ta demokracya nie czuła się obowiązaną do równości i wolności i opłaty wpisowéj nie wymagano od wszystkich.“ Mamy zatém przywiléj, i naturalnie nie na korzyść upośledzonych, lecz dla synów, bliskich krewnych lub zięciów majstra. W zasadzie rzemieślnik opłaciwszy matrykułę, miał prawo oddawać się wszystkim gałęziom swego fachu, w praktyce zabraniano mu zajmować się niemi w jednym i tym samym sklepie czy warsztacie, bo w każdym sklepie tylko jeden rodzaj towaru wolno było sprzedawać; mając kilka, choćby podobnych do siebie, ale nie jednakich należało posiadać tyle sklepów, ile odmian.

„Niejednokrotnie potrzeba zastanawiać się nad odgadnięciem jakiéjś restrykcyi legalnéj, ale i przy rozwadze nie zawsze się to udaje.“ Fakt tylko, że w obwarowaniach widziano zbawienie sztuk i że, pomimo tysiącznych zawodów, wierzono w skuteczność środka.

Florencya nie zrozumiała nigdy, że kroczy fałszywą drogą. Wyjąwszy kilka przelotnych błysków zdrowego rozsądku, widziała najpewniejsze źródło powodzenia w systemie protekcyjnym, nie w wolności indywidualnéj.“

„Wolność handlu w Toskanii była tylko wyjątkowém zdarzeniem. Maluczkim odmawiano zawsze tego, co ich podnieść mogło. Prawo stowarzyszania, prawo porozumienia się co do cen, nie przysługiwało im wcale. To téż niejednokrotnie rzemieślnicy florenccy imali się niebezpiecznéj broni bezrobocia. W r. 1345 gremplarze wełny zaprzestali pracować, domagając się wyższéj płacy. W r. 1378 bunt *ciompich* jest niczém innén, jak ostrzejszą formą „strejku“, użyciem już broni zaczepnéj, nie odpornéj, odwetem ślepym, wściekłym ducha wolności.“

Między przemysłem a gospodarstwem rolném panował wieczny antagonizm; wsie nie mogły rachować na pomoc miast w urządzaniu lasów i pól, w regulowaniu rzek i rzeczułek, które „jeśli nie wysychały, to się zamieniały w potoki.“ Rolnik opuszczał swą siedzibę, szukając pewniejszego i wyższego zarobku w innych miejscowościach; aby zaradzić złemu, zwalniano przybyszów od wszelkich ciężarów na lat 20 (1415 r.). Pozycya właściciela wiejskiego, jeśli poprzestawał tylko na ziemiaństwie, daleka od świetności kupieckiéj; widywano go tak ubogim, że się zapożyczał u swych robotników; robotnik okradał swego pana (jak dziś) i stosunki wzajemne dalekie są od harmonii. Produkta zbożowe toskańskie nie wystarczały wcale na potrzeby ludności, „nawet dobry urodzaj zaspakajał metropolię zaledwo przez pięć miesięcy, a jeśli dowóz przez morze nie był wolnym, niedostatek, a nawet głód dawał się czuć. Na lat sto przecięciowo, trzydzieści bywało nawiedzanych tą plagą.“

Ponieważ według prawa rzymskiego na rząd spadała odpowiedzialność za nieopatrzenie ludności w żywność, było ono nieustannym kłopotem Florencyi. Handel zbożowy podlegał temu głównie względowi: żywność dla obywateli. Nieskończone więc znów przepisy w téj mierze: jedne występują przeciw pośrednikom i kupcom hurtowym, inne wzbraniają rodzinom większego zapasu wina, oliwy, mąki nad spożytkowanie jednoroczne. Oznaczywszy raz ilość potrzebną dla jednostki i na téj zasadzie obrachowawszy potrzeby domu, prawo rozkazywało, aby resztę wysłano na targ i sprzedawano według taksy

urzędowéj. Podobne obostrzenie rozciągnęło się z czasem na jarzyny, owoce i nabiał, „a gdy się głód zjawiał, władze traciły głowę; jedne rozporządzenia cofały, na ich miejsce wydawały srogie i dozwalały je gwałcić. Faworyzowały chwilowo dowóz, który następnie miano znów obostrzyć, bo w danéj chwili sławny aksyomat: *salus populi suprema lex esto*, stawał się jedyném prawem.“

Jednak te ciężkie warunki ekonomiczne i społeczne były stosunkowo lżejsze we Florencyi, niż w innych krajach. Zakaz stowarzyszenia dla robotników, zachowany jako przywiléj dla właścicieli, istniał we Francyi jeszcze na początku drugiéj połowy bieżącego stulecia, „możnaż się dziwić, że istniał w Toskanii w wiekach średnich?“ Również dostęp do rzemiosł był łatwiejszy we Florencyi, niż w ówczesnéj Francyi i Hanzie niemieckiéj. Podobnie się rzecz ma i z rolnictwem. „Po za Włochami arystokracya feodalna ciemiężyła i gardziła klasą ziemiańską. Baronowie, biskupi, prałaci odejmowali jéj wszelką swobodę, lub utyskiwali, że jéj odjąć nie mogą w takiéj mierze, jak pragną. W Toskanii, gdzie górowały miasta, mniejszy był rozdział między wieśniakami i mieszczanami, zwłaszcza we Florencyi, nienawiść dla magnatów ułatwiała zbliżenie się. Pankowie wiejscy, zmuszeni byli do tolerancyi, jeśli chcieli, aby ich tolerowano, i ziemianie otrzymywali tym sposobem korzystniejsze warunki. Podział dóbr nawet feodalnych między członków rodziny, dozwolony prawem rzymskiém, bywał stosowanym, a cóż korzystniejszego być może dla maluczkich od parcelacyi własności? Nie dość na tém. Od r. 1289 zabroniono pańszczyzny i wszelkich robót nie zgadzających się z wolnością osób. Państwo zachowało dla siebie wyłącznie prawo sprzedawania i kupowania poddanych. Statuty z r. 1321 upoważniały do nabycia dóbr feodalnych li pod warunkiem zwolnienia wieśniaków od wszelkich powinności lenniczych... Ale kupcy florenccy, wyzwalając wieśniaka z pod jarzma pana, nie wyzwalali z pod swojego, stawszy się właścicielami ziemskimi. W wielu miejscowościach los jego podobny do losu rzemieślnika: naznaczona jest najwyższa taksa pracy; musi ustępować panu połowę zbioru i najmować się na lata, lub przynajmniéj na rok, ale nie na dnie.“ Nie wolno mu téż było opuszczać gleby, skoro ją uprawiał od roku.

Najoryginalniejszą częścią prawodawstwa fiorenckiego były regulamina, zapobiegające zbytecznemu rozdrobnieniu własności. W razie sprzedaży jéj, sąsiad miał prawo przed innymi, a jeśli właściciel urządził się inaczéj, przysługiwał mu przywiléj odkupu w ciągu lat trzech od nowego nabywcy. Wynikło z tego, że bez pozwolenia sąsiada nie można było sprzedać wsi, domu, ogrodu — „oto tryumf muru

lub rowu granicznego.“ Nieznośna rzecz w praktyce, wyborny temat do komedyi: „Zemsta za mur graniczny.“

VI.

Dokumenta choć niezbyt liczne, a nazbyt oschłe, z pierwszéj doby, — nie zawsze dokładne z późniejszéj, — pozwalają przecież historykowi zebrać dość wiarogodnego i szacownego materyału; inaczéj rzecz się ma ze zwyczajem i obyczajem, z całém życiem domowém, mało do niedawna zajmującém miejsca w badaniach dziejowych. W wielu zatém razach autor powołuje się na nowelistów, na satyryków, czasem na kaznodziejów. Prawda, iż twierdzą dziś niektórzy jakoby nowela była dokumentem. Trudno bez zastrzeżenia zgodzić się na to (przypomnijmy sobie nowele Sacher Masocha *et Comp.*). Nowelista, kaznodzieja, satyryk, to przedewszystkiém artysta, a przynajmniéj kusi się o środki artystyczne; idzie mu o zajęcie i wzruszenie słuchacza, o przekonanie nie za pomocą dyalektyki, lecz wrażeń, stąd musi przesadzać przedmiot. Nowelista, kaznodzieja, satyryk unosi się częstokroć własnym temperamentem i imaginacyą, w dobréj wierze, po za granicę rzeczywistości i podaje fakta wyjątkowe za powszednie, tak, że w wielu razach maluje raczéj siebie i swoje własne usposobienie, niż swoich spółczesnych. Są zapewne rysy z natury, ale jak trudno odgadnąć graniczną linię prawdy od zmyślenia! „Trudną rzeczą jest poznanie dziejów obcych, bo się nie żyło życiem narodu tego“, powiada sumienny historyk; kto wié, azali cytaty zebrane przez Perrensa nie dają obrazu zaczernionego, jak owe stare portrety, z których czas starł urok świeżości, pozostawiwszy tylko podobieństwo konturu? Z takiém więc zastrzeżeniem, pamiętając nadto, że historya nie jest nauką ścisłą o bezwzględnych pewnikach, można się powołać na świadectwa nowelisty, kaznodziei i historyka.

Czém była rodzina we Florencyi. Pod względem legalnym spostrzegamy dwa elementa: prawo rzymskie i lombardzkie; pierwsze bardziéj poważane przez naukę, drugie bardziéj wsiąkłe w zwyczaj, zwłaszcza na północy. Kodeks rzymski przeważa we Florencyi w téj materyi, lecz prawo lombardzkie łagodziło despotyczną władzę ojcowską, tak, że głowa rodziny przedstawia się jako patryarchalny poważny zwierzchnik, nie zaś jak pan samowładny.

Florentczycy uważali rodzinę za rodzaj stowarzyszenia, które należy utrzymywać i podtrzymywać „i dopięli celu na swą chlubę. Nie ma kraju, w którymby stare rody tak przedłużały swą egzysten-

cyę, tradycyę i bogactwa. Dziś jeszcze znajduje się wcale spora liczba potomków, posiadających fortuny pracowicie zdobyte przez przodków w XIII i XIV wieku.“ Prawo bowiem zabezpieczało poniekąd nienaruszalność majątku. Znaczna jego część tworzyła kapitał żelazny, którego tknąć nie wolno było nawet po śmierci ojca. Tylko zysk osiągnięty z przemysłu i handlu stanowił mienie osobiste, dowolnie rozporządzalne, tak, że do spadku wolno było prócz dzieci powołać i bliskich krewnych. Zapisy na klasztory i kościoły dozwalano tylko w braku następców prawowitych, bo nieprawi nie posiadali praw żadnych. Wolno było pamiętać o nich w testamencie, lecz legata dla krewnych otrzymywały pierwszeństwo przed ich legatami. Liczne akta dowodzą wielkiéj rozwiązłości obyczajów i takiéj niedyskrecyi, że „nie lękano się zniesławić matkę, wyjawiając jéj imię.“ Co do sukcesyi „nie traktowano kobiét lepiéj od potomstwa pobocznego. Podobnie jak w starożytności u Rzymian, choćby ich życie i pochodzenie były bez zarzutu, podlegały one lekceważeniu, na jakie ich płeć była skazana. Tak mało znaczyły, iż trzeba było wydać prawo, aby nie zabierano na skarb dóbr pozostałych po zmarłym mężu. Nie mogły dziedziczyć po własnych dzieciach, w razie przodków wstępnych i potomków w prostéj linii do trzeciego pokolenia, ani po matce i siostrze, jeśli byli bracia.“ W braku spadkobierców otrzymywały jedną czwartą majętności po własnych synach i to z obostrzeniami, które dziś zrozumiéć trudno. Na jedno tylko rachować mogły, na utrzymanie, ale ponieważ dobra wola wpływała na wysokość kwoty, była zatém furta do nadużyć. Za to nie odpowiadały za długi ojcowskie. Na te rozporządzenia wpływała, prócz lekceważenia, zasada utrzymania fortuny w rodzie, która spadając po kądzieli mogła przejść do innego domu, a nawet gminy. Posag dawano rozmaity; w XIII w. „nie przenosił on nigdy 300 liwrów“, w XIV w. uważano 1,800 liwrów za wielki, „nawet nadzwyczajny“, dopiéro przy końcu XV-go wieku spotyka się cyfry od 2,500 do 3,000 liwrów. Zdarzało się wprawdzie, ale bardzo rzadko, iż dobrzy rodzice „dawali połowę swego majątku“, inni za to oszukiwali na obiecanym posagu, „wykręcając się sianem.“ Niedelikatni zięciowie podnosili skargi po ślubie, by wytargować więcéj. W razie separacyi, zwrócenie wiana stanowiło drażliwą kwestyę. Za roztrwonienie sumy posagowéj, w razie akcyi prawnéj ze strony żony, mógł sędzia przyznać jéj kwotę trzy razy wyższą od wniesionéj, gdyż kodeks florencki bronił energicznie własności prywatnéj.

Tyle co do strony prawnéj. Co do obyczajowéj, jeśli wierzyć przytoczonym przez autora źródłom, pozostaje wiele do życzenia.

Przedstawiają one małżeństwo nie jako sakrament, ani nawet jako instytucyę poważną—lecz jako umowę, czy coś podobnego, którą obie strony przy pierwszéj sposobności gwałcą. Obyczaje wogóle, według Dantego i innych, haniebne. „Tyle jest występków, pisze Sachetti, iż nie rozumiem jak się to dzieje, że przepaść się nie otwiera dla pochłonięcia całego świata, a Włoch przedewszystkiém.“ Perrens dodaje od siebie: „jeśli mamy szukać jakiego uniewinnienia dla kobiéty, będzie niém niemoralność męża.“ W słowach i czynach lekceważone, strofowane brutalnie i bite, mogłyż nabrać poczucia godności? Przysłowie, ta mądrość narodów, głosiło, że trzeba bić i dobrą i złą niewiastę. Żona opuszczała niekiedy tyranizującego męża, ale źle przyjmowana w rodzicielskim domu, nie umiejąc wystarczyć sobie, powracała prosić pokornie o przebaczenie. To téż wolały „rezygnować się na złe obchodzenie się i mścić się przy sposobności“, ale mąż „uzbrajał się w filozofię. Nie widać nigdzie, aby oszukany zabił lub groził zabiciem wiarołomnéj, chociaż prawo rzymskie, dbałe o honor, upoważniało go do tego. Wyjątkowo odsyłał ją rodzicom. Jako kara wystarczał ciągle kij.“

Ogólna opinia o płci pięknéj taka, jaką we wszystkich krajach i wiekach, rzekomi dowcipnisie bawili niewybredną publiczność. Dla wielu, do dziś jeszcze, aksyomatem równającym się prawdzie ewangelicznéj jest, że kobiéta ani myśléć, ani postępować konsekwentnie nie umié, „że nie wié, sześć razy na siedm, czego chce“, że zawsze wszystko robi na wspak. „Jeśli jada pory lub słoneczniki, to nie główkę i ziarna, lecz liście, które cuchną.“ W XIV w. we Włoszech uchodziła za wyższą osobę ta, która się umywała w soboty wraz z dziećmi, porządkowała dom raz na tydzień, zajmowała się robótkami kobiécemi, umiała usłużyć do stołu, jeździć konno, nosić sokoła na ręku, wreszcie czytać, pisać i rachować jak kupiec. Pono jednak rzadkie były i takie egzemplarze, a rzadsze jeszcze rzeczywiście mądre i rządne niewiasty, zawiadujące fortuną lepiéj od swych mężów, tak, że śmierć gospodarza była ocaleniem domu od ruiny.

Próżność kobiéca stanowi od wieków niewyczerpany temat do bardzo łatwych i, niestety, bardzo słusznych zarzutów. Florentynki nie różniły się pod tym względem ani od swych najdawniejszych poprzedniczek, ani od dzisiejszych swych następczyń. Bieliły się, różowały, farbowały, sztukowały wzrost korkami, figurę innemi dodatkami, przerzucały się z jednéj modnéj ostateczności w drugą, raz gorsowały się niemal do pasa, drugi zapięte pod szyję z tak wysokiemi i szerokiemi kryzami, że nie widziały, co się u stóp ich dzieje, i zbierały w rury falban okruchy chleba i ziarna grochu, rękawy zaś długie

i „szerokie jak wory“ wywracały szklanki i flakony, wycierały sosy, pławiły się w zupach,—ale co gorsza, że się ubiérały przy otwartych oknach i że sąsiedzi z przeciwka, dzięki wąskości ulic, mogli śledzić każdy szczegół toalety; że nosiły spódniczki tak krótkie, a buciki tak wysokie, iż gdyby się rozzuły, nie byłyby wcale odziane!... (Tak twierdzą noweliści).

Płeć waleczna nie unika podobnychże wymówek. Stroje paniczów nie ustępowały snać kobiécym w fantastyczności, kiedy mawiano powszechnie, że Florentczycy nosili szyję w rurze, a ręce w leszczotach, co znaczy, iż kołnierze były nadzwyczaj wysokie, a naramienniki tak twarde, że Dante w chwili gniewu mógł się niemi skutecznie posługiwać do bicia. Tenże Sachetti, który się wyśmiewa z szat niewieścich, tak się odzywa o męskich: „dawniéj odmienny kawał na sukni od reszty dowodził ubóstwa, dziś dowodzi wykwintu i elegancyi. Odzież cała składa się z kawałków. Nie dość, że jedna noga inaczéj ubrana jak druga, ale na każdéj po trzy lub cztery odmiennego koloru tkaniny.“

Kameliowych dam nie brakowało. Zrazu zamieszkiwały tylko jedną miejscowość, ale stopniowo osiadały wszędzie, „mianowicie w pobliżu klasztorów męskich, gdzie winiarnie służyły do schadzek. Stąd tysiączne skandale. Wskutek powtarzających się skarg przedsięwzięto energiczne środki w r. 1318 i 1319-ym“ dla ukrócenia złego, lecz następnie trzeba było sfolgować. Władze protegowały powracającą do owczarni zbłąkaną owieczkę, publiczność okazywała się pobłażliwą dla grzesznic; dowodem, że jednozgodność, tak rzadką na obradach florenckich, spotyka się właśnie wtedy, gdy idzie o uwolnienie kobiét uwięzionych, byle nie dłużniczek. W tym razie łakomy duch kupiecki brał górę nad tolerancyjnym. Zaledwo w r. 1579 zbudowano dla tych nieszczęsnych dom przytułku.

Jakiéj opinii używały inne klasy społeczne!... Takiéj saméj jak kobiéty, to jest że więcéj i o nich mówiono złego, niż dobrego. Najbardziéj ceniony zawód w téj mieszczańsko-demokratycznéj gminie, adwokatów, sędziów, notaryuszów, ściągał liczne docinki za opieszałość, stronność, przedajność, tchórzostwo. „Przyjmowano chętnie wołu, lecz nie gardzono zającem. Kto dał więcéj, ten wygrywał.“ Inny się żali: „Na co uczyć się prawa w Bolonii, jeśli niesprawiedliwość przemaga? Przeciw ubogim i bezbronnym wnet się wydaje wyrok skazujący na karę pieniężną i cielesną, przeciw bogatym i możnym, jak najrzadziéj on zapada. Niepoczciwym jest ten, który nie posiada władzy.“ Bokacyusz odzywa się energicznie: „Za pomocą okrucieństwa dowodzą, że fałsz jest prawdą. Uważają siebie jako

wykonawców sprawiedliwości boskiéj, a są wykonawcami niesprawiedliwości dyabelskiéj." Sachetti przedstawia najwyższych urzędników, kapitana i podestę, za takich tchórzów, że się ulatniali za najmniejszém niebezpieczeństwem, a hałas na ulicy, spowodowany przez rozbieganego konia, wydawał się buntem motłochu, w którym zastosowywali maksymę Katona: *Rumores fuge*. Ale nad koncept powieściopisarza ważniejszy zarzut stawia historya: Zbiegostwo haniebne władz podczas epidemii. Kozma Medyceusz na widok dwóch swych sług chorych na dżumę „schronił się w góry i ten, który ma pieczę nad ludem, swój nikczemny postępek cynicznie zamienia w teoryę: potrzeba zaniechać wszelkich spraw dla ocalenia własnéj skóry." Przykład ten znajduje licznych naśladowców śród urzędników. Prawo nakazywało szybki wymiar sprawiedliwości, ale nadzwyczaj liczne święta i formalności sądowe, „które uważano za korzystne, nie pozwalały na to." Kodeks okazywał się srogim dla winowajców, „jak gdyby sprawiedliwość nie dawała się pogodzić z ludzkością." Oprócz kary śmierci ucinano w razie mniejszych przestępstw rękę, nogę, wyrywano paznogcie, palono podeszwy, nie licząc innych barbarzyńskich środków. W praktyce jednak łagodzono nieraz statuta „i zamieniano chętnie kary cielesne na pieniężne."

„Więzienia były za ciase do pomieszczenia dłużników, oraz i innych przestępców" i zabierano domy prywatne na ten cel. System więzienny nadzwyczaj surowy, okazywał się srogim zwłaszcza dla jeńców wojennych.

Przodująca klasa społeczna, duchowieństwo „dyskredytowało religię sprzedażą odpustów [1]); mnisi szczególnie zasługiwali na naganę", dla zniewieściałych i wolnych obyczajów. W téj materyi, pisze autor, powieściopisarze „i noweliści zasługują na wiarę, bo nie są ani epikurejczykami, ani bezbożnikami. Sachetti narzeka, że spółcześni nie myślą o duszy tylko o ciele, Bokacyusz wierzy w skuteczność modłów i jałmużn", a jednak obadwa jednogłośnie się zgadzają co do obniżonego poziomu intelektualnego i moralnego wśród kleru swoich czasów. W duchowieństwie florenckiém wszelkiego stopnia (twierdzi Perrens) panowało nieuctwo, opieszałość, brak godności." Znajdowano przecież zacnych kapłanów i otaczano ich wielkim szacunkiem, „ale się nie zdaje, aby ich liczba była znaczna, gdyż noweliści napa-

---

[1]) Guglielmo, biskup z Arezzo, dla robót budlowanych przy jednym z klasztorów, nadawał 40-dniowy odpust przynoszącym pieniądze na ten cel (24 marca 1286 r. Perg. delle Rif.).

dają na duchowieństwo co chwila. Złe jego obyczaje lub zwyczaje raziły więcéj, niż w innych warstwach."

Jeśli od wyższych szczebli zejdziemy do niższych, nową się słyszy litanię rekryminacyi. Rzemieślnicy niższéj kategoryi nie słyną wogóle z uczciwości, oszukują jak mogą skarb państwa i klientów. Rzeźnicy, piekarze, winiarze, oberżyści uchodzą za wierutnych łotrów, młynarze za największych złodziei w świecie, a pomimo to panuje między nimi taka próżność arystokratyczna, jak u szczytu drabiny społecznéj. Handlarze sukna gardzili rzeźnikami; rzeźnicy zaś pysznili się, iż rocznie biją 4,000 wołów, 60,000 baranów, 20,000 kozłów, i gardzili tymi, którzy nie bili bydła, lecz sprzedawali mięso na funty; wszyscy zaś gardzili biednym wieśniakiem, którego strój nawet, szara spódnica bez płaszcza, szeroki pas i czapka, odróżniał od mieszczuchów.

Naturalném następstwem téj próżności była chęć wyniesienia się nad stan: „sędzia pragnął zostać rycerzem, by otrzymać rektorstwo, skromny notaryusz marzył o zastąpieniu szpadą kałamarza, który nosił u pasa"; syn zbogaconego mieszczanina naśladował szlachcica w stroju i próżniactwie, marzył o robieniu bronią i stosunkach arystokratycznych. Ale ożeniwszy się z kobiétą wysokiego rodu, „nie znalazł domowego szczęścia; szlachetna dama nie szanowała małżonka, który umiał tylko mierzyć sukno, wyrabiać płótno, rozmawiać z prządką o tkactwie." Pragnął więc dla podniesienia się w jéj oczach zostać rycerzem. „W tém bardzo demokratyczném mieście były rozmaite rodzaje szewaleryi: *Bagnati*, tak zwani dla wielkiéj wystawności, z jaką się udawali do kościoła, gdzie już się znajdowała przygotowana kąpiel, mająca ich obmyć ze wszystkich grzechów. Poczém chrzestni ojcowie odziewali ich w szkarłatną szatę, biały pas, czarne obuwie ze złoconemi ostrogami, kładli na głowę biały kapelusz, a do boku przypasywali szpadę. Drugi stopień szewaleryi, *corredo* zwany, różnił się od pierwszego nie ceremoniałem, lecz szatą ciemno-zieloną i złotą koroną. Rycerze z krewnymi, przyjaciółmi, paziami, udawali się na plac przeorów, gdzie nowo przyjęci składali uroczystą przysięgę. Następnie *gonfalonier* dawał im pocałunek i wręczał w imieniu gminy sztandar, włócznię i tarczę z herbem miejskim. Godność ta nakładała wiele zaszczytnych obowiązków, ale umiano się uchylić od nich" i stopniowo tak poniżyć, że ją nadawano „podagrycznym niedołęgom wzbogaconym lichwą, gręplarzom wełny, piekarzom" i zręcznym oszustom. „Włócząc ją po stajniach i chlewach, pisze Sachetti, zadano ostatni cios szewaleryi" [1]).

---

[1]) Byli nadto rycerze *di scudo*, mianowani przez naród lub panów, którzy

Pracowici i zapobiegliwi Florentczycy nie byli jednak ponurym narodem, jakby to z ich ustaw surowych, do okrucieństwa nieraz posuniętych, wnosić było można; przeciwnie, weseli i towarzyscy, lubili zabawę i widowiska. Nawet rząd, choć karcił zbytek, występował z przepychem, skoro szło o reprezentacyę i honor gminy. Na jubileusz 1300 r. wyprawił do Rzymu przepyszne poselstwo alegoryczne, mające wyobrażać tron i władzę pontyfikalną wyższe nad inne. Wysłańcy owi przedstawiali główne państwa i władców ówczesnych, więc: cesarza wschodniego i zachodniego, chana tatarskiego, królów: angielskiego, francuskiego, czeskiego, neapolitańskiego, sycylijskiego i innych; fikcyjni ci królowie ze swemi dwory zwrócili powszechną uwagę nawet w tak przepełnioném mieście, jakiém wówczas była stolica apostolska. Książąt, posłów cudzoziemskich przyjmowano wystawnie, nie żałując grosza, albo raczéj uważając go w tym razie „za dobrze ulokowany kapitał.“

Święta kościelne i wypadki publiczne dawały pochop do uczt i zabaw. Dzień ś. Jana, patrona miasta, obchodzono z największą okazałością, a mieszkańcy zawczasu przygotowywali stroje, konie, sukna i woskowe świece na ofiarę do kościoła, odkładając też na tę uroczystość gody weselne i śluby, aby rozrywki prywatne i publiczne złączywszy się razem dodawały sobie wzajem blasku i uciechy.

W przeddzień ś. Jana kupcy rozkładali przed sklepami wszystkie towary i bogactwa; o południu duchowieństwo wychodziło z relikwiami z katedry w pontyfikalnych szatach, przy odgłosie dzwonów i muzyce, w towarzystwie osób poprzebieranych za aniołów i za świętych—i procesyonalnie kroczyło przez ulice. W kilka godzin późniéj obywatele pod wodzą gonfalonierów udawali się po dwóch szeregiem bogato strojnym, do kościoła dla złożenia funtowych świéc woskowych w ofierze.

W dniu patrona ukazywało się na placu ciekawe widowisko: sto wież na wozach wyobrażających daninę składaną Florencyi przez miasta najdawniéj jéj podległe. Wieże te, żywemi kolorami malowane i pozłacane, zdobiły płaskorzeźby przedstawiające „to wszystko, co może zająć oko i serce.“ Koło nich wisiały płaty sukna, aksamitu, jedwabnych tkanin, futer, ofiarowane metropolii przez miasta i panów. Poranek spędzano na składaniu i przyjmowaniu upominków: wieże się zawieszały wewnątrz kościoła do następnéj uroczystości, *palio* to jest sukno, aksamit, materye, szły w części na ozdobę świątyni, w części

---

się udawali w zbroi i hełmie do świątyni i rycerze broni (*cavalieri d'arme*), którzy swój tytuł zdobywali na polu bitwy.

rozprzedawały się przez licytacyę. Mieszczanie i wieśniacy z kolei znów przynosili świéce woskowe, ważące po 50, a nawet po sto funtów. Świécę ofiarowaną przez urzędników mennicy ciągnęła para wołów w bogatéj uprzęży i otaczało 400 członków kalimali z funtowemi świécami. W końcu ofiarowuje się świętemu dwunastu ubogich więźniów, jakiekolwiekby były ich przestępstwa. Ten zwyczaj oswabadzania jeńców i winowajców istniał oddawna; składały się nań: mniemanie, że taki hołd jest jednym z najmilszych Bogu i N. Pannie; brak miejsca w więzieniach, a wreszcie sposobność zasilenia kasy: „dla odzyskania swobody więźniowie płacili nietylko długi i grzywny, ale sumy, których wcale nie byli winni.“

Po obchodzie religijnym i ceremoniale miejscowym, następowały uczty, tańce, widowiska i wyścigi.

Villani, opisując obchód ś. Jana z r. 1283, powiada, że trwał przez dwa miesiące, przy licznym napływie cudzoziemców podejmowanych wystawnie i uprzejmie, bo Florentczycy byli nader uprzejmi, ale raczéj z rachuby niż z serdeczności.

Dnia 1 maja obchodzono święto wiosny. Ucztowano wesoło przy stołach hojnie zastawionych jadłem i winem; u drzwi bohdanki składał zakochany zieloną gałąź zdobną wstążkami; młodzież tańcowała ochoczo przy odgłosie niezliczonych kapeli; okna maiły się zielenią, rozbawione grupy urządzały pochody, w których na czele młodzieńców uwieńczonych kwiatami szedł najpiękniejszy, na bożka miłości wybrany. Ludność wiejska grubsze urządzała sobie widowisko. Kładziono cymbały na grzbiet osła, a do uprzęży, do podogonia, przywiązywano pęki ostu; zwierzę niecierpliwiąc się potrząsało nieustannie cymbałami, a prowadzący je tańczył przy dźwięku téj szczególnéj muzyki.

W wigilią Trzech Króli spotykało się dziwaczne widowisko, nie mające nic wspólnego z religią, lub chyba jakieś dalekie, bardzo naciągane stosunki. Autor nie tłómaczy faktu, nie wiadomo zatém dlaczego dnia 5 stycznia obnoszono wieczorem, po ulicach, przy świetle pochodni, odgłosie bębnów i trąb lalki papierowe, manekiny różnego rodzaju, które następie ustawione w oknach domów służyły za cel do pocisków z łuku, z ulicy. Opowiadają, że niejaki Francesco Berni, mający fatalnie brzydką sługę, chciał ją téż umieścić w oknie, aby kto trafiwszy strzałą, pozbawił ziemię szpetnego obrazu. Oprowadzano téż Trzech króló w na rosłych koniach, z koronami na głowach, z pachołkami wiodącymi juczne bydlęta. Złota gwiazda biegła przed nimi w powietrzu i doprowadzała... do Heroda ze skrybami i faryzeuszami.

Wielkanoc, Boże Narodzenie, Zielone Świątki dawały okazyę do igrzysk na ulicy, do bankietów w domach prywatnych. „Odstępowano od zwykłego skąpstwa i podawano najlepsze mięsiwa, których zwykle odmawiano sobie; stąd to każdego pięknego wołu zwano: wołem wielkanocnym.“ Nawet śmierć i pogrzéb służyły za widowisko dla wrażliwéj i chciwéj wrażeń ludności, że zaś próżność i tu się wcisnęła, „więc prawodawstwo, zawsze baczne i drobiazgowe“, zabroniło kosztownéj odzieży i złotych ozdób; najwyżéj obrączkę dozwalając zostawić na palcu zmarłéj osoby. Jedynie rycerze, sędziowie i lekarze mogli miéć droższe szaty i trumnę okrytą całunem jedwabnym lub aksamitnym. Zwyczajni śmiertelnicy musieli przestawać na białym z *etaminy* (tania rzadka tkanina) odzieniu i na grubym, z prostego sukna, czarnym całunie. Prawo ograniczyło nawet liczbę i ciężar świéc i liczbę osób, jaką zaproszonym wolno było przyprowadzić z sobą. Im więcéj było płaczu, jęku i bicia we dzwony, tém za znakomitszego uchodził nieboszczyk, ale snać owe lamenta były za wrzaskliwe, bo znów występuje na scenę regulamin. Piza zabrania dzwonić w innych kościołach, prócz w parafialnym i w tym, do którego zwłoki niesiono, a statut (w San-Gemignano) z r. 1313 pozwala płakać i jęczéć tylko w kościele (!). Zaproszonym na stypę podawano posiłek składający się z dwóch potraw mięsnych. Ale umiano obejść krępujące przepisy. W r. 1336 choroba i śmierć Arnolda Peruzzi kosztują 517 liwrów, znaczna kwota na owe czasy [1]). W r. 1381 pogrzéb Mikołaja Alberti 3,000 fl., nigdy nie widziano tak wspaniałego.“ Śmiertelne łoże okrawały adamaszki i aksamity, zwłoki odziewał złotogłów, katafalk jarzył się 72 pochodniami, kościół wielką ilością świéc funtowych i półfuntowych. Oprócz rodziny i przyjaciół, postępowało za trumną wiele służby czarno odzianéj, pachołkowie prowadzili ośm koni niosących hełm, szpadę, ostrogi zmarłego... Słabości i słabostki ludzkie zawsze będą silniejsze od prawa, ale téż nie prawo kształci człowieka,

Ciekawsze, charakterystyczniejsze i bardziéj urozmaicone są obrządki weselne. Z suchéj relacyi nawet odgaduje się ruchliwe życie południa, malowniczość jego zewnętrzną, odrębność narodową.

---

[1]) Oto szczegółowy spis wydatków. Zapisy 268 liw. Za sukno szare do nakrycia trumny, za materac i poduszkę dla zmarłego, dla braciszków i księży czuwających przy ciele i grzebiących je 87 liw. Za suknię okładaną futrem dla wdowy i za żałobną zasłonę dla niéj 64 liw. Za sukno ciemne dla dwóch córek i dla synowéj 70 liw. Chléb, wino i inne przedmioty potrzebne do odprawienia mszy 12 liw. (Peruzzi).

Związki małżeńskie zawiérały się pośrednio lub bezpośrednio. W pierwszym razie „agent, swat, pośrednik“ powinien uprzedzić urzędnika na to przeznaczonego, o mającym nastąpić akcie, podać mu nazwiska i imiona narzeczonych, miejsce pobytu, stan cywilny i t. p. W drugim razie sami narzeczeni byli obowiązani do téj deklaracyi a za zapomnienie płacili 25 liw. kary. Należało téż uprzedzić ile osób zostało zaproszonych.

„W dniu zaręczyn podawano śniadanie albo podwieczorek z białych konfitur (?), potém obiad, wreszcie bal, jeśli się posiadało obszerną salę. Narzeczony mógł przybyć tylko z czterma krewnymi, i wtedy następowała wymiana podarków, które narzeczeni sobie ofiarowywali, a które nie powinny były przenosić 100 liw. i składać się mogły tylko z przedmiotów dozwolonych do kobiécego użytku; jak: len, wełna, płótno, sukno i t. p. Na ślub zapraszano krewnych do trzeciego stopnia. Z powodu ciasnoty domów (wogóle nie obszernych) zbiérano się przed drzwiami, gdzie ustawiano ławki pokryte dywanami, nie w takiéj jednak ilości aby wielu zaproszonych, strojnych w szaty podbite futrem i błyszczących od złota, nie musiało stać na nogach. Za nimi cisnęli się ciekawi, z wyciągniętą szyją, badającym wzrokiem, i żartem lub obmową na ustach.“

Orszak wychodząc z domu do kościoła trafiał na zaporę z kwiatów lub wstęg, którą grono młodzieży chciało zatrzymać młodę parę. „Najpiękniejszy, najmłodszy lub najdostojniejszy z nich składał narzeczonéj życzenia wraz z bukietem za co otrzymał, jako opłatę, pierścień lub bransoletę, poczém narzeczony usuwał zaporę“ i wszyscy razem dociérali do świątyni bez przeszkody.

Prawo, surowe dla wszelkiego zbytku i przepychu, tolerowało go w drużynie weselnéj, przepisywało jednak ile osób miało się znajdować na godach. Najwyżéj 25 kobiét ze strony oblubienicy a 14 ze strony oblubieńca, (nie licząc domowych), 10 mężczyzn, 8 służby, 2 trębaczy, 1 cymbalista i 2 kuglarzy lub śpiéwaków. W jadalnéj sali mistrz ceremonii, albo kto z rodziny, rozmieszczał gości według stopnia pokrewieństwa; kobiéty po jednéj, mężczyźni po drugiéj stronie stołu. Podczas uczty odnoszono pierścień lub bransoletę daną jako opłatę młodzieży zajmującéj ulicę, któréj nie zaproszono na gody — pan młody zaś wręczał im przez posłańca dowolną kwotę na zabawę.

Przyjęcie winno było składać się z trzech tylko dań mięsnych; z tych jedno pieczyste z tortem. Rycerzom jedynie pozwalano na cztery dania mięsne, na weselu, i gości a trefnisiów tyle ile się spodoba. „Obowiązkiem kucharza było uprzedzić specyalnego urzędnika

co zamierzał podać do stołu. Nikomu nie wolno było ułożyć swego obiadu; prawo się i tém zajmowało z drobiazgową dokładnością. Jeśli podawano cielęcinę (uchodzącą za najprzedniejsze mięsiwo) należało poprzestać na niéj. Jako pieczyste: kapłon z tortem, para kurcząt, jeden lub dwa gołębie z kurczęciem albo kaczęciem — nie więcéj. Na wieczerzę tylko dwa dania mięsne, a za takie uważano kompot, galaretę, ciasto (!).

Po weselu, które czasem trwało kilka dni, odprowadzano oblubienicę do domu mężowskiego, też z przepisaną liczbą osób, stosowną do jéj pozycyi towarzyskiéj, poczém godownicy powracali do siebie, ze śpiéwami, żartami i śmiechem.

Życie domowe, z tego co się rzekło wyżéj o płochości, próżniactwie i nieuctwie kobiéty, o rozwiązłości i brutalstwie męża, używającego kija za argument, wydawałoby się piekielném, gdyby się nie pamiętało, że noweliści, jeśli nie przesadzili to ukazali tylko odwrotną stronę medalu.

Jak wyglądało zewnątrz i wewnątrz mieszkanie, którego panią okładano razami „a któréj tyranii płeć waleczna nie zdołała uniknąć?“ Wprawdzie i ponure pałace, jakie się dziś jeszcze wznoszą przy wązkich ulicach, nie sięgają poza wiek XV. Zbudowane na wzór dawniejszych w prostokąt bez ozdób, z obszernym dziedzińcem, wązkiemi drzwiami i strzelnicami zamiast okien na parterze, a rzadko rozmieszczonemi oknami na piętrach, których najwięcéj dwa bywało, mogły służyć za cytadelę. Gładkie, nawet bez gzymsów mury, z pięknego, mocnego kamienia, zaopatrzano żelaznemi lub bronzowemi obręczami do przytrzymywania chorągwii i grubych świéc woskowych.

Domy, nawet zamożniejszych ludzi, kryte słomą lub gontami, nizkie i małe, zawiérały zwykle trzy pokoje, na poziemiu i tyleż na piętrze, jeśli było piętro. W jednéj tylko izbie ogromny komin, służył do gotowania jadła i gromadził wokoło siebie rodzinę w długie zimowe wieczory. „Za całe umeblowanie prosty stół, kilka zydlów i duża szafa, którą żona przynosiła wianem.“ Oliwą napuszczone płótno w oknach zamiast szyb (mowa o końcu XIII i początku XIV wieku); okienice i drzwi prostéj roboty otwiérały się na ulicę wązką, brudną, w zimie błotnistą, w lecie pełną kurzu; nie tykano ani jednego ani drugiego, zostawiając słońcu staranie o osuszenie błota lub deszczowi o spłukanie go. „Przez drzwi zwykle otwarte lub tak źle zamknięte, iż nożem dawały się otworzyć, wiatr wpędzał kurz warstwami, a w czasie ulewy brudną wodę strumieniami lecącą po ulicy. Świnie

sąsiada, używając swobodnie wczasu, wchodziły jak do siebie i nieraz trzeba było stoczyć walkę, by je wygnać.“

Wszelkiego rodzaju śmieci, obierzyny owoców, kości z drobiu, resztki jarzyn, zdarte skóry z bydląt, pakowano pod łóżko, i jeśli kto, zmuszony okolicznościami, szukał tam chwilowego schronienia, wyłażąc, „wyglądał jak nieboskie stworzenie.“ Sprzątanie odbywało się raz na tydzień, w sobotę; „nikomu nie przychodziło na myśl“ zająć się niém częściéj. Rzecz nie była przecież trudna, bo zwykle studnia znajdowała się na dziedzińcu.

W dzielnicach mniéj zaludnionych, „gdzie nie wymierzano tak skąpo powietrza“ jak w środkowych, znajdowano nie rzadko ogródki z jaśminem i drzewami owocowemi, zwłaszcza figami, z kamiennym stołem, przy którym jadano w dni pogodne, czasem nawet z jakimś przybudówkiem w kącie. Tak się urządzali mniéj dostatni; bogacze posiadali pałace w mieście a piękne wille na wsi, jeśli mamy wierzyć Bokacyuszowi, ale Perrens powątpiéwa o tém, a przynajmniéj uważa to za rzecz wyjątkową, wszakże wspomina o niejakich domach bogatych kupców, prawdopodobnie lepiéj utrzymywanych i umeblowanych niż te, o których była mowa. Na ogół jednak „nigdzie nie znajdowano wygodnego urządzenia. U wód nawet, do których wysyłali lekarze, nie było gotowych mieszkań. Peruzzi, udając się z rodziną do cieplic Rosellańskich, wydał 45 fl. na umeblowanie pokojów, na krótki tylko czas im potrzebnych. W miejscach mniéj zaludnionych, można było rachować na spotkanie wilków i złodziei, ale się ich nie obawiano.“

Florentczycy, jak wiadomo, byli skąpi, ale w potrzebie umieli być i rozrzutnymi. „Charakter ich składał się z kontrastów: Ateńczycy umysłem a w mowie nieobyczajni; służącéj wymierzali ilość jarzyn a rujnowali się na gastronomiczne specyały dla honoru gminy lub domu. Dla siebie poprzestawali na skromnym, dwukrotnym posiłku na dobę: pierwszy między godziną 9 a 10 zrana,“ drugi wieczorem, przy świetle smolnéj pochodni, bo świéce woskowe służyły tylko do parady. W nakryciu stołu patryarchalna prostota; mąż z żoną jedli z jednego talerza i pili z jednéj szklanki. Wołowinę jadano raz na tydzień, w niedzielę (bo dopiéro w sobotę jatki zaopatrywały się obficie), w inne dni poprzestając na baraninie i innych pośledniejszych gatunkach [1]). Gmin miejski i wiejski „jak Rzymianie za czasów Plauta,“ smakował w wieprzowinie i kiszkach. Gdy bito wieprze, należało do uprzejmości sąsiedzkiéj częstowanie się tym specyałem.

---

[1]) Manger du ventre de veau, une grue rôtie, c'était un régal.

Spożywano wiele chleba, konfitur, jarzyn i owoców, które Toskania wydawała w obfitości. W lipcu 400 jucznych bydląt dostarczało codziennie do Florencyi owoców i jarzyn. Na post służyła kapusta i tuńczyk solony — dla łakotnisiów jesiotr i minogi.

„Ta wstrzemięźliwość zasługuje na pochwałę, gdyż bywały przykłady zbytków kulinarnych.“ Piotr Damian wyrzucał spółczesnym prałatom rozkosze stołu, a jeden z dawnych autorów twierdzi, że to upodobanie trwało od X wieku. „Pozostał z XIII w. jadłospis medyolański, to jest z miasta, które słynęło swą kuchnią w całych Włoszech; są tam: kurczęta na zimno, faszerowane, pieczone; wieprzowina i prosięcina z farszem; szynka w winie, turkawki, wołowina z pieprzem.“

Ponieważ prawo przepisywało ilość dań, więc, jeśli je chciano zwiększyć dając „obiad proszony,“ należało postarać się o pozwolenie, zapłacić 10 florenów złotem, i zapewnić pod przysięgą, że to się robi dla honoru miasta. Goście, dla wzbudzenia apetytu, zaczynali od rzecznéj kąpieli i — od ogórków. Przybywający nie wchodzili pojedyńczo ale czekali na ulicy, przed drzwiami, aż się wszyscy zbiorą. Wtedy dopiéro zapraszano ich do wnętrza. Przy jedzeniu serwet nie używano, ale szeroki bardzo obrus, o spadających ku ziemi brzegach, służył do obcierania rąk. Podawano na półmiskach mosiężnych i cynowych, bardzo rzadko na srebrnych, chyba u bardzo bogatych, a i u bogaczów nie wiele się ich znajdowało. Widelców nie znano do XIV w., mięsiwa nie krajane układano w stosy; im stos był większy, tém godność gospodarza i gości dostojniejszą. Obiad rozpoczynał się od wątroby z sosem majeranowym — potém koźlę gotowane, paw gotowany i strojny w swe pióra, galareta misternie ułożona, niezbędna na każdéj uczcie. Gęś pieczona z czosnkiem i pigwami uchodziła w XIV w. za delicye (co na to powié pani Lucyna Ćwierciakiewiczowa?!...). Mięsiwa różnorodne pieczono lub warzono razem i zaprawiano ingredyencyami, któreby dziś nie jeden żołądek przyprawiły o chorobę: piżmem, ambrą, benzoesem, szafranem, szafran zwłaszcza wchodził do wszystkiego, nawet do galarety. Ciasta bywały ciężkie, bez jaj, masła, mléka, cukru. Jako szczyt wykwintnéj gościnności, kazano muzykantom grać podczas obiadu. Po obiedzie i umyciu rąk zabawiano się w gry hazardowne lub towarzyskie, hałaśliwe; grywano, śpiéwano, tańcowano; czasem kuglarze urozmaicali wieczór swemi sztukami. Dzisiejsza wstrzemięźliwość ludów południowych w napojach, nie istniała w XIII i XIV w., chyba u wieśniaków. „Liczba piwoszów, zamiłowanych w téj wadzie, była bardzo wielka.“

Miłość i religia zajmowały ogromne miejsce w życiu Florentczy-

ków, ta ostatnia zasadzała się jednak raczéj na zewnętrznych praktykach niż „na duchu i prawdzie.“ Obojętność i sceptycyzm, będące tłem ich charakteru w téj materyi, nie wyłączały przecież zabobonów. Pobożni czy pobożnisie, tworzyli legiony, zachowywali posty, często się spowiadali, przesiadując godzinami całemi po kościołach w sukni zakonnéj i odbywali często pielgrzymki do miejsc cudownych „i zawsze był w modzie, lecz nigdy długo, jeden jakiś obraz Madonny... Co jednak byłoby dziwniejszém, gdyby się nie powtarzało we wszystkich czasach — że nieraz święci podejrzanéj autentyczności zaćmiéwali królowę niebieską. Nie czekając na kanonizacyę stolicy apostolskiéj, Florentczycy sami pasowali błogosławionych na świętych, i wnet na wybranym wizerunku zmieniano godło symboliczne, promienie na dyadem. Zwykle Bracia mniejsi, znajdowali korzyść w sławieniu grzeszników nawróconych.“

A jednak „mimo tylu sprzeczności i błędów, mimo dziwnéj mieszaniny drobiazgowego despotyzmu w ustawach a zuchwałéj wolności w praktyce, oraz warunków, które się wydają negacyą wszelkiéj społeczności, tkwiła ona we Florencyi tak świetna i żywotna jak nigdzie.“ Może dlatego, że „śród nieustannéj pracy i ruchliwości wszelkiego rodzaju, Florentczycy posiadali wyłącznie prawie w starym świecie tę swobodę umysłu, która pozwala znaleźć czas na zajęcia wyzwolone.“

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.





Parlamentaryzm a gmina.

Powierzchowne badanie współczesnych objawów życia parlamentarnego, mnogość rozmaitych projektów, dążących to do przeinaczenia dzisiejszego systemu reprezentacyjnego, to do zapewnienia mniejszości praw dotąd nieuwzględnianych, to wreszcie do wprowadzenia obowiązkowych głosowań, — wszystko to prowadzi na pierwszy rzut oka do wniosku, że parlamentaryzm w dzisiejszém tego słowa pojęciu chyli się ku upadkowi.

Lecz czyżby istotnie tak było? Czyż temu ukochanemu dziecku XIX-go stulecia, przy narodzinach którego wszystkie wieszczki wielką przepowiadały przyszłość, czyż, pytamy się, należy obecnie zaśpiewać pieśń pogrzebową?

I w saméj rzeczy, takby sądzić i mniemać należało, gdyby się na wiarę dzienników politycznych różnych krajów i stronnictw, o zupełném zwyrodnieniu parlamentaryzmu, jako o fakcie niewątpliwym, twierdzić zamierzało.

Aby jednak pytanie powyższe rozstrzygnąć dokładnie, aby rzecz całą przedstawić sobie we właściwém świetle, pozwolimy sobie przypomnąć, jak się ten parlamentaryzm prawnie w główniejszych państwach europejskich przedstawia. A w téj mierze zastanówmy się nad prawem wyborczém, stanowiącém podstawę całego systemu reprezentacyjnego.

Zacznijmy od Anglii, téj, jak ją zowią, kolébki parlamentaryzmu. Jak wiadomo, prawo wyborcze czynne regulują w tym kraju dwie ustawy, jedna z r. 1867 tycząca się głównie miast, druga z roku 1884 — hrabstw, a właściwiéj mówiąc gmin wiejskich. Podług

bilu z r. 1867, prawo wyborcze czynne nadano w miastach wszystkim, którzy zajmują cały dom i opłacają podatek na ubogich lub też tym, co wynajmują lokal, opłacający czynszu rocznego 10 funt. szter. Prawo z r. 1884 zastosowało prawie też same warunki do hrabstw, a mianowicie przyznało prawo wyborcze czynne wszystkim zajmującym cały dom, albo oddzielny lokal, a nadto tym, którzy zajmują lokal, przywiązany do pewnego urzędu lub obowiązku, jeśli nie mieszkają w nim z osobą, od któréj zależą.

Wreszcie wyborca musi mieć 21 lat skończonych i nie może podlegać wyłączeniom, przez rozmaite prawa postanowionym.

We Francyi prawo wyborcze czynne posiada każdy, mający 21 lat wieku i zamieszkały pewien czas w gminie, kto nadto jest pociągnięty do opłaty jednego z czterech podatków bezpośrednich lub do prestacyi w naturze. Do rzeczonych opłat bezpośrednich należą: 1) podatek od nieruchomości, 2) podatek osobisty od ruchomości, 3) podatek od drzwi i okien, i 4) opłata patentowa.

Prestacye dotyczą przeważnie powinności drogowéj wiejskiéj i polnéj.

W Niemczech rozróżnić należy prawo wyborcze cesarstwa od praw wyborczych, obowiązujących w oddzielnych państwach związkowych.

W cesarstwie niemieckiém obowiązuje idealne niemal głosowanie powszechne. Wyborcą jest każdy należący do cesarstwa (*Reichsangehörige*), mający 25 lat wieku i nie żyjący z jałmużny.

Z pojedyńczych państw związkowych Prusy, a z niemi Wielkie Księstwo Poznańskie, posiadają w téj mierze organizacyę, obowiązującą jeszcze od 30 maja 1849 r. Jak wiadomo, system prawyborów tutaj praktykowany, uznający w zasadzie głosowanie powszechne, w rzeczywistości ustala zależność głosowania od sumy podatków bezpośrednich, t. j. podatku klasycznego, gruntowego, przemysłowego i dochodowego. Suma ta dzieli się na trzy części, a względnie do niéj prawyborcy. Do pierwszéj klasy należą najbogatsi, opłacający jedną trzecią część wszystkich podatków, do drugiéj—uiszczający również $1/3$ część, wreszcie do trzeciéj—najubożsi, ponoszący pozostałą część podatków, oraz ci, co żadnych nie są w stanie ponosić ciężarów.

W Austryi prawo z d. 2 kwietnia 1873 r. dzieli wyborców na cztery grupy: 1) wielkich właścicieli ziemskich, 2) miast, 3) izb handlowych i przemysłowych, 4) gmin wiejskich. W każdym kraju koronnym każda z tych grup wyborczych odmienną wybiera liczbę deputowanych.

Co się tyczy warunków, jakim wyborcy każdéj z tych grup odpowiadać winni, to prawo z r. 1882, względem wielkiéj własności stanowi pewne *minimum* podatku od 50 do 250 reńskich.

Do kategoryi wyborców w miastach, oraz prawyborców w gminach, posiadających dwustopniowy porządek wyborczy, należą ci, którym nadają tę kwalifikacyę prawa krajowe, oraz wszyscy, opłacający 5 reńskich podatków krajowych bądź z tytułu własności ziemskiéj, bądź swego przemysłu lub dochodu. W gminach wiejskich wyborcy dzielą się na dwie grupy.

Do pierwszéj należą mieszkańcy gmin, oraz folwarków wchodzących w skład obszarów dworskich. Do drugiego podziału zaliczeni zostają właściciele ziemscy, którzy, ze względu na wysokość uiszczanego podatku, nie mogą należéć do kategoryi wielkich właścicieli, własność których nie została włączoną do gmin. Pierwsza grupa wybiera właściwych wyborców, drugiéj służy prawo bezpośredniego głosowania, które wykonywa ona łącznie z delegatami wybranymi przez prawyborców pierwszego poddziału.

Ten sam podział na cztery zasadnicze grupy wyborcze utrzymany został w pojedyńczych krajach koronnych. Tak naprzykład w Galicyi, w grupie większéj własności wyborcami są wszyscy pełnoletni obywatele austryaccy, posiadający własność tabularną, z któréj opłaca się podatków realnych, przynajmniéj 100 reńskich.

Wyborcami w miastach są ci, którym służy prawo wyborcze czynne miejskie, jeśli opłacają pewną kwotę podatków bezpośrednich.

Prócz tego, niezależnie i bez względu na wysokość opłacanych podatków do grona wyborców należą osoby wymienione w prawie z d. 12 sierpnia 1866 r., a mianowicie: urzędnicy, duchowni, nauczyciele, adwokaci, notaryusze i t. p.

Wybory z kuryi gmin wiejskich dzielą się na dwa rodzaje. Jedna grupa wyborców głosuje bezpośrednio, druga korzysta tylko z prawa prawyborczego. Do pierwszéj, jak i przy wyborach powszechnych do rady państwa, należą właściciele majątków tabularnych, opłacający mniéj niż 100 reńskich podatków.

Prawyborcami są: 1) osoby należące do pierwszych dwóch trzecich części osób, uprawnionych do wyborów do rady gminnéj, a opłacających w pewnéj wysokości podatki bezpośrednie; 2) mieszkańcy obszarów dworskich; 3) mieszkańcy miast i miasteczek, nie posiadających prawa wyboru osobnego posła do sejmu krajowego.

Na Węgrzech prawo wyborcze obecnie obowiązujące, uchwaloném zostało 26 listop. 1874 r. Nadaje ono prawo wyborcze każdemu obywa-

telowi płci męskiéj, który ukończył 20 lat wieku i posiada określony cenzus majątkowy, w różnych częściach kraju odmienny. Jest on przeważnie zastosowany do skali podatku czy gruntowego, czy dochodowego. Są nadto wyborcami, bez względu na dochód, członkowie akademii, profesorowie i artyści, doktorzy, adwokaci, notaryusze, inżynierowie, chirurgowie, aptekarze, agronomi, leśnicy i górnicy, posiadający dyplomy, proboszczowie i wikaryusze, sekretarze gminni, nauczyciele w ochronach, zaopatrzeni w odpowiednie dyplomy.

We Włoszech wyborcą jest każdy, mający 21 lat wieku, umiejący czytać i pisać i opłacający, w myśl prawa z d. 24 września 1882 r., 19 franków 80 centymów podatku, albo téż posiadający osadę, sklep, według kategoryi przez prawo określonéj, albo téż zamieszkujący lokal z czynszem rocznym 150 fr., ewentualnie 400 franków i wyżéj. Nadto, do grona wyborców należą pewni mieszkańcy, gdyby nawet wcale nie opłacali podatków: są to członkowie akademii, izb rolniczych, handlowych lub przemysłowych, profesorowie, nawet dymisyonowani, zakładów naukowych wyższych, średnich i technicznych, urzędnicy, osoby ozdobione orderami królewskiemi, ci, co uzyskali stopnie lub nagrody uniwersyteckie, adwokaci, notaryusze, geometrzy, agenci giełdowi, aptekarze i weterynarze dyplomowani, etc.

Warunek posiadania umiejętności czytania i pisania postanowiony jeszcze przez prawo z r. 1860-go, został powtórzony w art. 65 i nast. prawa z r. 1882.

Państwa skandynawskie nie jednakowo normują prawo wyborcze czynne:

Dania nie określa żadnych ograniczeń; prócz wieku 30 lat wymaga co do cenzus majątkowego tego tylko, aby wyborca nie żył kosztem dobroczynności publicznéj.

Szwecya, utożsamiając wyborcę politycznego z wyborcą gminnym, wymaga uiszczenia pewnych podatków gminnych.

Norwegia wreszcie, podług prawa z d. 4 lipca 1884 r., co do warunków majątkowych, wymaga od wyborcy, aby był urzędnikiem, lub też posiadał prawo użytkowania z nieruchomości wiejskiéj albo właścicielem nieruchomości miejskiéj, reprezentującéj 600 koron (840 franków) wartości, lub wreszcie aby w roku poprzedzającym głosowanie wniósł podatek bezpośredni do kasy państwa, czy gminy, od dochodu 500 koron na wsi, a 800 koron w mieście.

Przytoczona przez nas organizacya prawa wyborczego czynnego w powołanych państwach europejskich poucza, że nigdzie prawie, z wyjątkiem może Włoch, nie jest wymaganym od wyborcy żaden

stopień wykształcenia. W przeważnéj części państw do dziś dnia warunki majątkowe są w liczbie tych, bez których prawo wyborcze czynne urzeczywistnione być nie może. Inne państwa, idące w ślad za rozwijającą się ciągle zasadą głosowania powszechnego, usuwają i te również zapory, wypisując na sztandarze hasło jaknajwiększego rozszerzenia prawa wyborczego bez żadnych ograniczeń. Niewątpliwie, zasada to piękna i wzniosła, trudno się nie zgodzić, że teoretycznie powinienby mieć prawo radzić o ustawach ten, kogo one dotykać będą. W wolnym kraju, wolny jego obywatel musi posiadać prawo do udziału w załatwianiu tych wszystkich spraw i interesów, które związane są z istnieniem państwa.

Takby się teoretycznie zdawało, tak z idealnego stanowiska rzecz ta przedstawiać się musi. Lecz cóż widzimy w praktyce?

Zbytecznem byłoby kreślić obrazy znane każdemu, co śledzi rozwój życia politycznego i nie będziemy powtarzali opisywanych już wielokrotnie i różnemi czasy krytykowanych agitacyi, połączonych to z presyą administracyjną, to nawet z przekupstwem. Pominę milczeniem z drugiéj strony fakt rozwijającéj się abstynencyi wśród wyborców, która przy świéżo odbytych wyborach we Francyi doszła do 31½%.

Zapewne nie jeden, słysząc to wszystko poraz setny, wzruszy ramionami i odpowié: więc ograniczyć głosowanie, więc rozstać się z pracą dziesiątków lat, która na wzór potoku górskiego, usiłuje wszelkie zniweczyć zapory i tamy, znieść odwieczne przywileje pewnych klas i stanów. Więc chyba w odpowiedzi na te krytyki powrócić znowu do przywilejów, z któremi cywilizacya nowożytna coraz bardziéj się rozstaje. Tak, ograniczyć głosowanie, powtarzamy; lecz nie w duchu tych pojęć, które sankcyonują jakieś wyjątkowe stanowiska pewnych warstw społecznych. Pragnęlibyśmy wnieść do głosowania powszechnego pierwiastek arystokracyi, lecz nie rodowéj lub plutokratycznéj [1]; arystokracyi intelektualnéj, zdaniem naszém, należałoby tu zapewnić panowanie. Ze wszystkich państw europejskich, jedne tylko Włochy odbiérają prawo głosowania analfabetom, inne żadnych w téj wierze warunków nie stawiają. A nietylko umiejętność czytania i pisania powinnaby tu być warunkiem wystarczającym. Prawodawca winien postawić tu żądanie znacznie większe. Nie będziemy w téj chwili rozbiérali jaki stopień wykształcenia uważaćby należało za wystarczający, czy tylko ukończenie szkoły elementarnéj, czy téż jakiegoś wyższego nieco zakładu. To jest

---

[1]) Por. dokonywujące się obecnie zmiany ustawodawcze w Belgii.

rzecz ustawodawstwa. Zwróćmy tylko w tém miejscu uwagę na wyniki badań statystyki moralności, która wykazała, że nie każda szkoła początkowa wpływa na zmniejszenie się liczby przestępstw.

Nie samo czytanie i pisanie, które, jak dotąd, jest głównym przedmiotem wykładowym w szkołach elementarnych i działa na ludzi umoralniająco. Szkoła musi rozwijać w swych wychowańcach jeszcze inne czynniki, nietylko intelektualnéj natury, musi rozwijać charakter obywatelski. Tylko wychowaniec takiego zakładu naukowego, odpowiadającego warunkom tak natury moralnéj jak i intelektualnéj, powinienby dostać do rąk swoich kartkę wyborczą. Nie będziemy przemawiali za tém, aby cenzus majątkowy usunąć zupełnie; lecz sądzimy, iż środek ciężkości nie tutaj spoczywać winien.

Przeciwnicy takiego ograniczenia głosowania, odpowiedzą nam natychmiast, że w ten sposób łamiemy kardynalną zasadę, jaka w państwie nowożytném istniećby powinna. Ten co opłaca podatki już żadną miarą nie może być pozbawiony najpierwszego prawa, jakie obywatelowi służyć powinno.

Lecz, czy tak jest w istocie? Czyż nie jest rzeczą sprawiedliwą, aby ten, co ma prawo brać udział w rządzeniu państwem (boć kartka wyborcza jest pierwszém tegoż stadyum), posiadał odpowiednie do tego przygotowanie?

Czyż ludzie rodzą się z tego rodzaju pojęciami? czyż mogą je nabyć samorodnie? Oto prawdy, dla których głosowanie wyborcze dzisiaj nie może dać wyrazu woli narodu. Jeśli proponowane przez nas ograniczone głosowanie również do tego idealnego rezultatu nie doprowadzi, to w każdym razie da ono możność wypowiedzenia swéj opinii względnie „najlepszym“ z pośród ludności.

A chyba przy rządzeniu państwem, arytmetyczna zasada ilościowa nie zawsze ostać się może i zresztą, choćby nawet należało przyznać pierwszeństwo „ilości,“ a nie „jakości,“ to jeszcze dzisiejszy system téj pierwszéj nie odtwarza. Szalone koszty agitacyjne, jak w Anglii do niebywałych dochodzące rozmiarów, przekonywują, że tu o wolnym wyborze z trudnością może być mowa.

Przytoczone przez nas uwagi znajdują jeszcze lepszy dla siebie grunt, jeśli zwrócimy uwagę na tę okoliczność, że prawodawstwa wszystkich przytoczonych przez nas państw z małemi wyjątkami utożsamiają prawo wyborcze czynne z bierném, nieznaczne wprowadzając różnice co do wieku, oraz wyłączając tych, co pewne spełniają urzędy.

Wprawdzie, zdarza się rzadko, aby ludzie bez żadnego wykształcenia lub np. analfabeci dostawali się do parlamentu, lecz w ka-

żdym razie takie ogólne załatwienie kwestyi, bez postawienia warunków co do cenzusu intelektualnego, nie zdaje nam się właściwém.

Już słyszę poważny zarzut, iż tego rodzaju propozycya stworzy monopol w parlamentaryzmie, że ten ostatni nie będzie mógł iść w swym rozwoju równolegle z potrzebami ludności. Ta ostatnia bowiem, powiedzą nam, żadnego wpływu na parlament mieć nie będzie.

Lecz, aby i ten zarzut odeprzéć, pozwolimy sobie zwrócić uwagę na to, że scentralizowanie władzy w parlamentach, w dzisiejszém tego słowa pojęciu, niewątpliwie, powyższym uwagom nadaje znaczenie pierwszorzędne. Dzisiejszy parlament, uosabiając w sobie pojęcie centralizacyi, jest instytucyą, któréj zadaniem jest przeniknąć do wszystkich sfer życia, wszystkie objąć i wszystkiemi kierować. Dawniejsze państwo absolutne, przeistoczywszy się w dzisiejsze prawnorządne z ustrojem parlamentarnym, usiłuje za pomocą tego ostatniego tę samą zaprowadzić hegemonię, co dawny absolutyzm.

Bankructwo zasady „*laissez faire*, *laissez passer*,“ która się przedewszystkiém na polu ekonomiczném ujawniła, pomogło państwu w tych jego centralistycznych dążeniach. Potrzeby państwa jako takiego z jednéj strony, a przedewszystkiém militaryzm, potrzeby ludności — z drugiéj strony w kierunku intelektualnym, moralnym i ekonomicznym — wszystko to państwo nowożytne reguluje za pomocą parlamentaryzmu, ogarniającego, jeszcze raz powtarzamy, wszystkie dziedziny życia społecznego.

I w saméj rzeczy, wobec takich zadań i celów współczesnego państwa, wobec takich dążeń szeroko propagowanych w teoryi, znajdujących poparcie w badaniach naukowych najświatlejszych umysłów naszego czasu, wobec tego wszystkiego, powtarzam, wydać się może anachronizmem propagowanie obecnie rzekomo konserwatywnéj zasady, aby znakomitą większość ludności od wszelkiego udziału w życiu państwowém usunąć dlatego, że nie była ona w możności zaczerpnąć jakich takich wiadomości w świątyni wiedzy.

Musi się zasada ta najszkodliwszą dla mas wydawać i musi tu powstać słuszna niezmiernie uwaga, że będzie to nowe zapoznawanie interesów ludności gwoli jakimś teoretycznym, na niczém nie opartym przesłankom.

I my wślad za temi zarzutami przyznać musielibyśmy racyę naszym krytykom, gdyby jednocześnie nie należało spojrzéć w inną stronę kwestyi i w innych faktach poszukać usprawiedliwienia dla naszych poglądów.

Obok i niezależnie od parlamentaryzmu, rozwija się we współ-

czesnych państwach europejskich samorząd w właściwém tego słowa znaczeniu. Uważano, i może słusznie, parlament za koronę tego samorządu. Lecz, choćbyśmy nawet przyznali najzupełniejszą racyę temu pojmowaniu rzeczy, to jeszcze wypadnie przyjść do przekonania, że samorząd istotny, samorząd, który, jak sama jego nazwa wskazuje, wymaga bezpośredniego udziału w rządach tych, co rządzeni być mają, chyba u saméj góry w prawdziwém tego słowa pojęciu ujawniać się nie może. Bezpośredni udział w radzeniu o własnych sprawach zapewniony być może małym, najmniejszym jednostkom, które do takich rządów jedynie się nadają.

Taką najmniejszą jednostką jest gmina. Z świeższą przeszłością dziejową, pod wpływem wszechwładztwa państwa, traci ona stopniowo swą potęgę. Lecz właśnie prawodawstwo ostatnich czasów wykazuje, że pomimo wielkiego rozwoju i wszechmocy władzy centralnéj, samorząd gminny toruje sobie drogę ku coraz silniejszemu rozwojowi. Aby to nasze twierdzenie nie wydało się bezpodstawném, sięgnijmy do przepisów prawa obowiązującego w poszczególnych krajach.

Najbardziéj pouczający jest przykład Anglii nie dlatego, żeby instytucye tam powstałe miano przeszczepiać na grunt europejski, lecz dlatego, że, jak wiadomo, cała organizacya państwowa w Wielkiéj Brytanii rozwija się przedewszystkiém drogą zwyczaju. Rozwój tedy tego ostatniego przekona, iż w toku dziejowym zmieniał się on pod wpływem przeinaczających się w téj dziedzinie pojęć.

Do dziś dnia małe gminy angielskie nie posiadają systematycznie zorganizowanego ustroju. Nie masz tam władz gminnych, ogarniających całokształt potrzeb: interesów gminnych, lecz istnieje tam cały szereg władz od siebie niezależnych, mających odrębne przed sobą zadania i cele. Lecz, przyglądając się temu ustrojowi, widzimy właśnie, jak pod wpływem nowych zadań, które gmina ma spełniać, nowe powstają władze.

Z początku parafia z „*churchwardens*,“ jednym lub dwoma i to mianowanymi przez biskupa, była ogniskiem ześrodkowującym w sobie całą organizacyę gminną.

Z kolei otrzymują ci „*churchwardens*“ rozmaite funkcye cywilne; rozkładaja podatki, formują listę przysięgłych.

Potrzeba zajęcia się drogami publicznemi powołała do życia nową, równolegle działającą organizacyę. Bil z r. 1835 przewiduje nawet zjednoczenie kilku gmin dla utrzymania dróg (*highway districkt*). Każda gmina w myśl praw z r. 1882 i 1888 deleguje do władzy okręgowéj jednego lub kilka „*waywardens*.“ Wydatki na utrzymanie dróg

ponoszą gminy podług repartycyi, dopełnionéj w komisyi okręgowéj.

Środkiem ciężkości ustroju gminnego jest organizacya dobroczynności publicznéj. Prawo z r. 1834 wprowadziło miejscowe biuro wybiéralne, a nadto zorganizowało władzę centralną w Londynie, która dziś nosi nazwę „*Local government board.*“ Reprezentanci wybiérani przez pojedyńcze gminy, składają biuro.

Wobec braku ogólnych władz gminnych, biura te powoli zaczynają sprawować różne inne funkcye, dawniéj powierzane parafiom, a raczéj ich przedstawicielom „*churchwardens.*“ Stąd też niektórzy badacze, a w téj liczbie Gneist, upatrują w organizacyi dobroczynności zaczątek ogólnego samorządu i żywią to przekonanie, że instytucye te zamienią się w centralne władze samorządne.

Rozwój pojęć w dziedzinie szkolnictwa a w ślad za niemi wyłaniająca się potrzeba obowiązkowego nauczania elementarnego, wywołały prawo z r. 1870, które zorganizowało biura szkolne (*school board*), mające na celu zakładanie szkół, pieczę o ich utrzymanie, zobowiązywanie rodziców do posyłania dzieci do szkół i t. p.

Jeśli prawodawca angielski usiłuje coraz bardziéj powiększać atrybucye samorządu gminnego przez tworzenie tych lub innych organów, to z drugiéj strony nie wszystkich mieszkańców dopuszcza do udziału w wyborach municypalnych. Zasadą jest pod tym względem opłacanie pewnego podatku, a co dziwniejsza, to że ilość głosów, jakie jeden wyborca miéć może, zostaje w zależności od sumy opłacanych podatków. Aż do sześciu dojść może liczba takich głosów.

Ustrój miast w Anglii, z wyjątkiem Londynu, zbliżony jest więcéj do organizacyi istniejącéj na kontynencie. Prawo z r. 1835, które służy w nowszych czasach za podstawę nadanego miastom samorządu, uzupełnioném zostało przez bil z r. 1881, stanowiący właściwie kodyfikacyę wszystkich rozporządzeń prawodawczych, które tego przedmiotu dotykają. Nie będziemy szczegółowo rozpoznawali pojedyńczych części tego aktu; nadmienimy tylko, że obowiązki istniejących w miastach korporacyi municypalnych (*the mayor „alderman and burgesses or citizens*“), ściągają się do wszystkich prawie dziedzin życia publicznego, nie wyłączając policyi. Dobroczynność tylko i szkolnictwo posiadają administracyę odrębną. Co jest wszakże charakterystyczném, to swoboda, jaką prawodawca pozostawia instytucyom municypalnym przy sprawowaniu przez nie powierzonych im obowiązków. W kwestyach budżetowych, policyjnych i t. p. nigdzie nie spotykamy tych bezwzględnych ograniczeń, do których przyzwyczaiło nas prawodawstwo stałego lądu, a co większa, spotykamy w od-

nośnych postanowieniach stale powtarzające się wyrażenie „*from time to time*,“ od czasu do czasu. Od czasu do czasu mocną jest korporacya municypalna określić potrzebną liczbę konstablów, od czasu do czasu oznaczać będzie sumę potrzebną na wydatki, której dochody stałe nie pokrywają i t. p.

Jak wiadomo, na porządku dziennym obecnie stoi nowa organizacya Londynu. Zasadą nowych projektów, w téj mierze wygotowanych, jest nadanie Londynowi jaknajwiększego samorządu i połączenia pod względem administracyjnym „*city*“ z pozostałemi częściami Londynu.

We Francyi, pomijając poprzednie epoki bieżącego wieku, nadmienić musimy, że za czasów drugiego cesarstwa gmina była niczém inném, tylko podziałem administracyjnym. Stanowiła ona jednostkę, za pomocą któréj władza centralna swe rządy sprawowała.

Dopiéro trzecia rzeczpospolita przystąpiła do reform na tém polu, choć, naturalnie, o zupełnym i całkowitym samorządzie gminnym jeszcze mowy być nie może. Bądź jak bądź, postęp na tém polu jest niewątpliwy. Za wskazówkę w téj mierze służą prawa z d. 28 marca 1882 r. i 5 kwietnia 1884 r.

Z wyjątkiem Paryża, Lyonu i kilku gmin departamentu Sekwany, organizacya municypalna miast i wsi jest jednakową. Mer i rada municypalna stanowią władze stojące na czele gminy.

Z chwilą ogłoszenia prawa z r. 1882 mer we wszystkich gminach francuskich, wyjąwszy Paryża, jest wybieralny przez radę municypalną z grona jéj członków.

Powołane prawo nadało też radom municypalnym większą niż dotąd samodzielność.

Nie będziemy szczegółowo wymieniali czynności mera i rad municypalnych i nadmienimy tylko, że w kwestyach budżetowych, w przedmiotach dotyczących zarządu majątkiem gminnym i t. d. niezależność gminy jest bardzo znaczna. Wprawdzie np. prawo z r. 1889 uczyniło z nauczania początkowego instytucyę czysto państwową, wprowadziło pewien wyłom w rozwoju samorządu, lecz bądź jak bądź, nie może ulegać wątpliwości, iż prąd w kierunku zwiększenia praw gminy jest silny.

W Prusach a przedewszystkiém w tych prowincyach, do których Wielkie Księstwo Poznańskie należy, jak wiadomo, obowiązuje nowe prawo z d. 3 lipca 1891 r. w gminach wiejskich.

Nowa ta ustawa zastąpić miała cały szereg pojedyńczych ustaw i rozporządzeń, które regulowały stosunki gminne, lecz nadto zamierzała wprowadzić nowe zasady, obce dotąd samorządowi gminnemu.

Sprowadzają się one, podług Halley'a, komentatora téj nowéj ustawy, do następujących:

I. Połączenie gmin wiejskich i samodzielnych obszarów dworskich z innemi i obszarami, jak również zamiana obszarów na gminy, oraz gmin na obszary, może miéć miejsce nawet wbrew życzenia członków rzeczonych jednostek.

II. W przedmiocie podatków gminnych rozkład podatku dochodowego gminnego ma się wprawdzie stosować do państwowego podatku dochodowego, lecz z prawem poboru bezpośrednich opłat gminnych.

Co do podatków tak zwanych realnych, gminom wolno jest albo ustanawiać dodatki do państwowych podatków: gruntowego, podymnego lub patentowego, lub téż pobierać opłaty specyalne od własności nieruchoméj i od przemysłu.

III. Prawo wyborcze czynne i bierne rozszerzoném zostało w ten sposób, że prócz właścicieli domów, służy ono każdemu, który, czyniąc zadosyć ogólnym warunkom wybieralności, opłaca nadto podatek dochodowy państwowy lub inny w wysokości przynajmniéj 4-ch marek.

IV. We wszystkich gminach, posiadających więcéj niż 40 wyborców, utworzoną zostaje reprezentacya gminna.

V. W celu spełnienia pewnych czynności wspólnych, przewidzianém zostało obowiązkowe łączenie gmin w okręgi.

Te kardynalne zasady, na których nowa ustawa się wspiera, dowodzą niezaprzeczenie postępu na polu samorządu. Spotykamy tu wprawdzie powtórzoną sankcyę co do organizacyi dotychczasowych obszarów dworskich i ich niezależności od gmin wiejskich, lecz trzeba miéć nadzieję, że prawodawca i w tym kierunku pójdzie daléj. Ten sam punkt słaby spotykamy w Galicyi, gdzie jednak niewątpliwym jest fakt, że usiłowania w celu połączenia gminy z obszarem dworskim i zorganizowania gminy zbiorowéj są ciągle na porządku dziennym. Prace sejmu galicyjskiego są tego dowodem, a nawet ostatnia sesya może zanotować nowy krok w tym kierunku. Wogóle zaś i tam tak wśród miast i miasteczek, jak i wśród gmin wiejskich prawodawcy galicyjscy dążą do roszerzenia zasady samorządu.

Nie oparła się temu ogólnemu dążeniu Rosya, która w r. 1870 zaprowadziła u siebie bardzo liberalny samorząd miejski, obecnie zmieniony przez zeszłoroczne prawo, a nadto jeszcze w r. 1861 w Cesarstwie, a w r. 1864 w Królestwie Polskiém zamierzyła zorganizować samorząd wiejski.

To krótkie zestawienie prawodawstw obowiązujących w rozmai-

tych krajach europejskich prowadzi do wniosku, że fakt coraz większego rozwoju samorządu gminnego jest niewątpliwy, że nowoczesne państwo, pomimo panującéj wszechwładzy, siłą rzeczy i koniecznością dziejową zniewolone zostaje do czynienia coraz większych ustępstw na rzecz gminy. Jedna atrybucya za drugą, z początku nieśmiało w ciasnych granicach, potém coraz szerzéj przechodzi na gminę. Łożysko, które sobie samorząd gminny toruje, staje się coraz szérszém i dłuższém; powoli lecz stopniowo, usuwa on tamy i zapory, które na swojéj drodze spotyka. Żywimy głębokie przekonanie, że najrozmaitsze dziedziny życia publicznego, dziś traktowane w parlamentach, jako związane bezpośrednio z interesem mieszkańców gminy, przejdą do téj ostatniéj i z mniejszą zaciekłością, z mniejszym entuzyazmem, lecz bardziéj natężoną uwagą i rozwagą, będą tam w spokoju roztrząsane.

A przyszłość, jaka się gminie w tym kierunku uśmiecha, ogarnie, jak mniemamy, jedną z najbardziéj palących kwestyi, będących na porządku dziennym, mamy tu na myśli sprawę socyalną.

Jeśli możliwém będzie wogóle spokojne, bez wstrząśnień, przeprowadzenie koniecznych na tém polu reform, to mniemamy, bez współudziału gminy nie będzie to wykonalném. Aby przybliżone tylko wyrobić sobie o tém pojęcie, należy zapamiętać, że na polu sprawy socyalnéj, jednym z kolei najważniejszych momentów jest propagowane przez rozmaitych agitatorów, a uznawane po części nawet przez prawodawstwa, prawo do pracy. Może się mylimy, lecz przypuszczamy, że ze wszystkich życzeń i pragnień nowoczesnego socyalizmu, wśród najrozmaitszych dążności, jakie tu zaznaczyć się dają, chyba największe szanse urzeczywistnienia posiada prawo do pracy.

Jako zgodne najzupełniéj z pojęciami własności i swobody indywidualnéj, zapewne, z kolei czasu zostanie ono przez państwa uznaném. A że tak jest w istocie, niech za przykład posłuży Szwajcarya, gdzie w październiku r. b. wypowiedziéć ma się ludność co do wprowadzenia téj zasady do konstytucyi. Lecz czyż możliwém jest urzeczywistnienie tego prawa bez gminy? Czyż nie jéj przypadnie w udziale prawo to stosować i wykonywać w całéj rozciągłości?

A po za tém pozostają jeszcze kwestye mieszkań robotniczych, współki wytwórcze i t. p. We wszystkich tych sprawach stanowisko, jakie gmina może zająć, będzie niewątpliwie pierwszorzędném.

Aby jednak gmina odpowiedziéć mogła tym nowym zadaniom, musi ona być wszechstanową, musi zapewnić udział w rozpoznawaniu swych spraw wszystkim mieszkańcom. Tu już o żadnych ograniczeniach mowy być nie może, a organizacya gminy winna umożliwić bez-

pośredni współudział w zarządzie gminnym jak największéj liczbie mieszkańców. Możliwie wszyscy winni miéć prawo radzenia o wspólnych sprawach.

Jeśli teraz tak pojętą gminę zestawimy z nakreśloném przez nas ograniczeniem prawa wyborczego parlamentarnego, to nie wyda się nam ono tak dzikiém.

U dołu gmina z możliwie największym samorządem, u góry parlament radzący o takich tylko sprawach, które istotnie całokształt państwa mają na względzie. Parlament wybrany przez „najlepszych" i z pośród „najlepszych" — oto chyba obraz, który na miano konserwatywnego zasługiwać nie będzie.

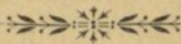
Taka organizacya państwowa przysparzać powoli będzie prawu wyborczemu czynnemu coraz większą liczbę tych, co z niego korzystać będą w stanie. Wykształceni w gminie, jako rzeczywistéj szkole życia publicznego, powoli nabierając umiejętności rządzenia, staną się ci wyborcy cennym nabytkiem dla państwa. Dzisiejsza gmina jeszcze takiéj prawdziwéj szkoły życia nie przedstawia. Po pierwsze ustrój gminy prawie wszędzie wzorowany jest na parlamencie. Mała ledwie garstka członków gminy bierze istotny udział w rządzeniu. Inni poprzestają jedynie na prawie wyborczém czynném, z którego tak niezbyt pochopnie korzystają, widząc, że samorząd gminny nie jest im tak bliski, jak być powinien, że sprawy, bezpośrednio każdego mieszkańca obchodzące, jeszcze nie całkiem samorząd gminny pod swą pieczą posiada. Z rozwojem gminy z chwilą, gdy ona zdołaześrodkować w sobie wszystkie potrzeby życia—interes wyborców-członków gminy—siłą rzeczy wzrastać będzie musiał, a wraz z nim przyszłość gminy rysować się będzie w coraz jaśniejszym kolorycie.

Henryk Konic.





Słowiańszczyzna pierwotna.



Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniéj do połowy XIII wieku, przez W.(ilhelma) Bogusławskiego. Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. T. I, Poznań, 1887, 8-o, str. 288, — tom II, Poznań, 1889, 8-o, str. 997, — tom III, Poznań, 1892, 8-o, str. 689, (do każdego tomu mapa).

Od 5 już lat wychodzi nieskończone dotychczas dzieło, które stanowić będzie zawsze pomnik bezprzykładnéj pracy, cierpliwości i zaparcia się siebie, bo tylko posiadając w wysokim stopniu ten ostatni przymiot można dokonać dzieła wymagającego takich zmudnych a niekończących się nigdy studyów, dzieła, około którego pracę porównać przytém można śmiało z robotą Syzyfa. Od iluż to już lat starają się polscy, czescy i niemieccy uczeni rozwiązać zagadnienie Germanii Tacyta i Ptolemeusza, tudzież pierwotnych dziejów słowiańskich, ileż razy z mozołem wywindowano ten kamień na górę, a on zaledwie tak długo mógł tam spoczywać, ile czasu potrzebowała krytyka, żeby mu się jako tako przyjrzéć... w sam raz, nie dłużéj. A jednak mamy znów nowego na téj niwie pracownika i to jakiego! Do pierwszego tomu dołączył autor wykaz obejmujący „źródła i opracowania użyte za podstawę do napisania dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniéj;“ a wykaz ten obejmuje burgeoisem str. 40 (249—288), co nie wyklucza jeszcze dopisku, że „dopełnienie źródeł zostanie dodane w tomie IV;“ a że autor skrzętnie i sumiennie te źródła wertował, o tém świadczy wymownie tysiączek przypisków, z których niejeden jest istnym filigranem najzmudniejszego mozołu. Co do mnie, mam jakąś słabość do grubych ksiąg, jeżeli nie są pisane „z głowy,“

ale na długich, przygotowawczych studyach się opiérają, bo są one świadectwem najszczytniejszego ideału kultury, ideału pracy, a u nas łatwiéj podobno o talent, niż o zamiłowanie w pracy, wymagającéj lat długich, spędzanych pod hasłem *nulla dies sine linea*. Dlatego każdą taką grubą księgę zwykłém witać, jako dowód, że jest lepiéj i będzie jeszcze lepiéj, a w szczególności jako wskazówkę, że nauka zaczyna u nas być integralną częścią społecznych potrzeb, że ona wywiera już widocznie pewien urok, skoro znajdują się ludzie trawiący dobrowolnie a chętnie życie nad zapyloném biurkiem, jakkolwiek nie dostaną za to ani godności, ani tytułu, ani orderu, ale przeciwnie, ryzykują, że będą wyśmiani — co się zowié — przez krytyków. Tego zaś może być pewien każdy, kto granice Słowiańszczyzny w przedhistorycznych czasach zbyt energicznie rozszerza, bo wyszło to już z mody. Wilhelm Bogusławski płynie śmiało przeciw prądowi i to tak dalece, że na mapach jego nie ma niemal miejsca dla Niemców, którzy na mapie pierwszego tomu schowani potulnie w kąciku, ledwie śmieją przekroczyć średni i dolny bieg Wezery, od górnego cofając się już na zachód. Na południu zaś, co na wschód jest od Wogezów i rzeki Araru, to wszystko słowiańskie. To téż Niemców na téj mapie prawie całkiem nie widać, a dla Keltów została zaledwie Lombardya i uszczuplona germańskim i słowiańskim zaborem Galia. Zakładam się, że na dziesięciu historyków, oglądających taką mapę, pomyśli sobie 9-ciu, że w autorze cywilnéj odwagi jest znacznie więcéj, niż nauki, a pomyśli sobie to, nie czytając całkiem książki. Co gorsza, zaręczam, że z tych 10-ciu przynajmniéj 7-miu sam widok téj mapy zraził do czytania dzieła i że go nie czytali.

W tomie II niewielkie na mapie różnice na północy, ale znaczniejsze na południu. Przytém oznaczone są zabory niemieckie z lat: 530, 778, 800 a gdy je uwzględnimy, zostanie już dolna Łaba z Salą, kraje czeskie i niecałe dzisiejsze Węgry. Przypatrując się tym „zaborom,“ oswaja się nasze oko z mapą, tak, że gdy nakoniec wyciągniemy mapę tomu III-go, przedstawiającą Słowiańszczyznę niepodległą w XI wieku, nic już nie widzimy rażącego. Wiemy wszyscy jak wyglądałyby dalsze mapy Słowiańszczyzny zachodniéj: gdyby je kontynuować aż do połowy XIX-go wieku, byłoby Słowian coraz mniéj, a Niemców coraz więcéj. To téż jestem silnie przekonany, że gdyby taki atlas ułożyć i dać go do przejrzenia pod tym warunkiem, żeby zaczynać od końca, t. j. od mapy najnowszéj i stopniowo odwracać mapy te wstecz, natenczas pierwsza mapa, ta właśnie, którą autor dołączył do pierwszego tomu swojego dzieła, przestałaby zupełnie robić dziwne wrażenie, a z 10-ciu oglądających ją historyków

nie rozśmiałby się żaden i nie dałby się mu zrazić do czytania książki.

Zastanówmy się, czy też pogląd jakoby odnajdywanie Słowian daléj na zachód było grzechem przeciwko nauce,—nie jest apryorystyczny, a więc nie naukowy? Cóż nam daje prawo do ośmieszania z góry wszelkich wywodów w tym względzie? Że Germania Tacyta nie jest pojęciem etnograficzném, ale geograficzném, to chyba nie ulega kwestyi, a że jedne narody tracą, a drugie zyskują coraz więcéj ziemi, to również wiemy wszyscy; a przecież na tych właśnie dwóch fundamentalnych, a nie na innych premisach, opiéra się rysowanie map w rodzaju Bogusławskiego. Znają dzieje przykłady bez porównania większych pod tym względem podbojów, niż podboje niemieckie. *Latium* np. było bez porównania mniejsze, niż kraje niemieckie na pierwszéj mapie autora, o sprawę podboju tedy nie ma najmniejszéj trudności; tu chodzi jednakże o coś nierównie więcéj, bo o wynarodowienie. Pozwolę sobie tedy zwrócić uwagę, że zupełnemu wynarodowieniu nie uległy w sam raz te ludy słowiańskie, które przyjęły przed podbojem chrześciaństwo, że tedy mogłaby w chrześciaństwie tkwić zagadka, dlaczego wynarodowieniu temu położył nareszcie bieg dziejów kres, a wobec tego otwarta jest kwestya, czy sięgnęłoby ono daléj, gdyby Czesi i Polacy dłużéj się jeszcze upierali przy pogaństwie i *vice versa* czy nie mielibyśmy do dziś dnia etnograficznéj linii Łaby, gdyby tamte ludy zawczasu przyjęły były chrześciaństwo? Zresztą o linię Łaby sporu prawie że nie ma, chodzi o rozszerzanie etnograficznego słowiańskiego pola po za Łabę. Gdzie i jakie są dowody niewątpliwe, że ziemie te już w II-im wieku zamieszkane były przez Niemców? Zdaje mi się, że główny dowód, jak dotychczas, stanowi trudność przypuszczenia, żeby one były słowiańskie, ale dowodu pozytywnego nie ma, bo ani Cezar, ani Tacyt, ani Ptolemeusz nie mogą rozstrzygnąć kwestyi, czy ludzie, o których mówią, należą etnograficznie do tego lub tamtego szczepu. Bardzo tedy być może, że w Tacycie rzeczywiście mowa jest i o jednych i o drugich i żadną miarą nie można tu *a priori* nic a nic stanowczego powiedziéć. Niemieckie zaludnienie tych krajów wymaga tak samo dopiéro dowodu, jak słowiańskie. Czy w Cezarze czytamy o Swewach, czém byli etnograficznie? Nie, tego się od Cezara nie dowiemy, a więc trzeba to dopiéro osobno badać. Wolno uważać tę kwestyę za otwartą dopóty, dopóki nauka niezbitym argumentem sporu nie rozstrzygnie, a dowód winna dostarczyć zupełnie tak samo strona niemiecka, jak polska, bo bynajmniéj nie jest rzeczą rozumiejącą się samą przez się, że te kraje odwiecznie były niemieckie. Gdyby się ostatecznie kiedyś okazać miało, że takie

np. mapy Bogusławskiego mają racyę, nie byłoby w tém doprawdy nic a nic przyjemnego i trudnoby sobie wyobrazić bardziéj gorzką pigułkę do połknięcia, jak świadomość takiego olbrzymiego plemiennego niedołęstwa; uczucie się broni przed takim wynikiem badań, bo byłby to rezultat doprawdy pełen grozy, ale uczucie wśród badań naukowych nie ma nic do rzeczy.

Rozpisałem się o tém, ponieważ wiem, że w kołach historyograficznych jest uprzedzenie z góry do wszystkich prac, których rezultat wykazuje ludność słowiańską na zachodzie Łaby. Z uprzedzeniem tém należy walczyć, bo ono—jak każde uprzedzenie—przynosi nauce szkodę i hamuje jéj postęp, przez to, że zniechęca ludzi do bliższego zajęcia się kwestyą i krytycznego jéj rozpatrzenia. Kończy się nareszcie na tém, że najtrudniejsze kwestye pozostawia się dyletantom.

Tego uprzedzenia dawniéj u nas nie było. Wystarczy powiedziéć, że historycy tacy, jak Kętrzyński i Wojciechowski, są właśnie poprzednikami Bogusławskiego. Pierwszy z nich w książce „*Die Lygier. Ein Beitrag zur Urgeschichte der Westslaven und Germanen*“, wydanéj jeszcze w roku 1868, oznacza niemiecką granicę Germanii Renem, Menem, Lasem Hercyńskim i morzem Niemieckiém w ten sposób, że wschodnie ich kresy nie dochodzą całkiem Łaby. Cały szereg ludów za niemieckie uważanych windykuje on dla Słowian: Lygii—Lechici; Meugilones—Mogilanie; Zumi—Szumawianie; Harii — Górale, Halii—Halanie; Semnones — Ziemianie, etc. Co więcéj, konfiskuje Niemcom na rzecz Słowiańszczyzny bóstwa Nerthus, a nawet Freyr i Freya, a nareszcie śmiałą ręką rysuje również mapę, która była istném zuchwalstwem wobec map niemieckich. Książka ta Kętrzyńskiego, należąc już dziś sama do historyi, nie dowodzi wcale, że kraina niemiecka pierwotnie była bardzo małą, ale dowodzi niezbicie, że można być tego zdania i być przytém wielkim uczonym i bardzo pożądanym pracownikiem na niwie historycznéj, dowodzi, że zapatrywania takie nie wykluczają uczoności w najściślejszém znaczeniu tego wyrazu. W 5 lat po Kętrzyńskim w 1873 roku wydał Wojciechowski dzieło pod tytułem „Chrobacya“, dzieło znakomite pod względem metody, a co do niejednego rezultatu naukowego i dziś jeszcze aktualne. Któż Wojciechowskiemu zaprzeczy głębokiéj wiedzy i kompetencyi do opracowania najzawilszych tematów dziejowych? A oto w jego dziele czytamy, że Turyngowie są pierwotnie Słowianami (Durzyńcy), którzy ulegli Frankom i Sasom około 530 roku, że dzisiejsza Austrya, to ojczyzna słowiańskiego ludu Rakuszanów, do któréj dopiéro w roku 488 weszli Alamanni, a po nich Frankowie i Bawarzy (str. 331 —

333). Autor Chrobacyi idzie jeszcze daléj w swoich twierdzeniach, mówiąc: „wykrywa się nieustająca ciągłość osad słowiańskich aż do II i III wieku ery chrześciańskiéj i na téj podstawie mamy słuszne prawo szukać Słowianów w Germanii Ptolemeuszowéj“ (str. 333). A więc już w II-im wieku Austrya i Turyngia były według niego słowiańskie.

Wobec tego cóż nowego przynosi nam Bogusławski? Miałoby się ochotę zarzucić, że powtarza rzeczy stare, nad któremi nauka dawno już przeszła do porządku dziennego, gdyby nie to, że to przejście do porządku dziennego odbyło się nie tyle przez krytykę, ile przez zamilczenie, przez ustanie krytyki, przez to, że przestano się o te rzeczy troszczyć i to do tego stopnia, że dla szerszéj publiczności te rzeczy stanowczo dziś będą nowe i za nowe odkrycia przez nią uważane. Niestety, Kętrzyński i Wojciechowski wyrzekli się następnie tego tematu, przestali daléj pisać o tych sprawach, tak, że nie wiemy, czy nowe źródła odkryte w ciągu ostatnich lat 20-tu, źródła historyograficzne, filologiczne i wykopaliskowe, utrwaliłyby ich w dawniejszém mniemaniu, czy może tylko skłoniłyby do pewnych modyfikacyi, czy téż nawet do stanowczego odwołania treści poprzednich dzieł? Nie ma u nas w téj sprawie ciągłości naukowéj, każde pokolenie zaczyna *da capo*, a wobec tego tém dłużéj kwestya ta będzie otwartą. Za ponowne jéj poruszenie należy się Bogusławskiemu stanowczo wdzięczność i oby tą razą nie spadła ona już z porządku naszych badań, dopóty, aż stanowczo tak czy owak będzie rozstrzygnięta. Oby w ślady Bogusławskiego wstępowali inni i nie wahali się zająć pierwotnemi dziejami Słowiańszczyzny zachodniéj, bo jeżeli która kwestya naukowa, to ta, ze wszystkich z pewnością najzawilsza, wymaga do swojego załatwienia obszernéj a wszechstronnéj polemiki naukowéj.

Dziś któż tę polemikę ma prowadzić? Szósty rok już biegnie od wydania I tomu, a dotychczas ani jeden polski historyk nie napisał recenzyi z tego dzieła. Było ich kilkanaście o książce Edwarda Bogusławskiego, z którą rozprawić się było dosyć łatwo, ale o dziele Wilhelma głuche milczenie. W „Kwartalniku Historycznym“ napisał jedną i jedyną recenzyę... filolog (profesor Brückner) i oczywiście dotknął tylko filologicznéj strony przedmiotu, t. j. dotknął jéj o tyle, o ile autor na filologicznych dowodach opiéra swoje wywody. Rezultatem krytyki téj jest, że twierdzenia autora filologicznie udowodnić się nie dają. Wierzymy tedy profesorowi Brücknerowi i przechodzimy do porządku dziennego nad filologią Bogusławskiego, ale... ale to jeszcze historykowi nie wystarcza i żadną miarą

wystarczać nie może. Zachodzi bowiem kwestya, czy da się filologicznie udowodnić niemieckie pierwotne osiedlenie tych krain? Być może, że ostatecznie rezultatem byłoby, że filologicznie nie da się tu nic udowodnić ani na tę, ani na ową stronę.

Podpisany referent zna się na filologii w sam raz na tyle, ile potrzeba, ażeby wiedzieć, że profesor Brückner jest na tém polu wielką powagą i nic więcéj nie może zrobić, jak odesłać czytelnika do téj recenzyi. Nie uznaje jednak bynajmniéj ostatecznego jéj wniosku, a mianowicie życzenia, żeby sprawę tę uważać już za pogrzebaną a zajęcie się nią przez historyka za prostą stratę czasu. Przedewszystkiém i filologia się zmienia i co kilkanaście lat co innego mówi, a odparcie wywodów Bogusławskiego niekoniecznie jeszcze jest dowodem, że nie miał racyi. Może to być tylko skutkiem tego, że racyi swojéj nie właściwemi bronił argumentami.

Spór ten filologiczny dziwne robi wrażenie, bo dyskusya toczy się około pytania, które i tak żadnego nie może miéć znaczenia i do rezultatu doprowadzić nie może. Uczeni łamią sobie głowę nad tém, czy „Longobardi, Svevi, Semnones i Lygii“ są wyrazami języka jakiegoś słowiańskiego czy germańskiego? Widocznie są silnie przekonani, że wyrazy te w jednym z tych dwóch języków koniecznie znajdować się musiały. Ale na czém tę pewność swą opierają? Na jakiéj podstawie? A nuż wyrazy te nie są ani słowiańskie, ani germańskie, ani celtyckie, tylko poprostu łacińskie? Dociekania, odnoszące się do nazw ludów, natenczas tylko mogą miéć wartość, jeżeli się wié, jak ludy te naprawdę same siebie nazywały, a przynajmniéj, jeżeli się już z wszelką a wszelką pewnością wié, że nazwy, które do nas doszły, są przekręcone niewątpliwie na podstawie nazw rodzimych. Otóż téj pewności w tym wypadku nie mamy i nikt nie może zaręczyć, że np. Semnones ma z rodzimą nazwą tego ludu bliższy związek, niż słowo *Graecus* z nazwą rodzimą *Hellenos*. Jeżeliby po latach tysiącu, gdyby z naszéj epoki tyle tylko przeszło do potomności źródeł, ile my ich znamy z dziejów pierwotnéj Słowiańszczyzny, — filolog jaki chciał rozstrzygnąć o narodowości zaludnienia okolic Sprei w XIX-ym wieku i gdyby się oparł na nazwie „Niemcy“, musiałby się oświadczyć za przypuszczeniem, że to był lud słowiański. Również Słowianami byliby w oczach takiego filologa Włosi i Wołosi; i naodwrót, gdyby operował na podstawie znawstwa języka niemieckiego, gotów byłby uważać Czechów za Niemców, jako mających czysto niemiecką nazwę *Böhmen*, a Włochów jako *Welschen*. Tak tedy

filologiczne dociekania w zakresie téj sprawy nic nie sprawiają i nie mogą stanowić dowodu ani *pro*, ani *contra*. Filologia o tyle tylko głos w tém zabrać może, o ile się opiéra na śladach języka krajowców.

Bez porównania snadniéj uważać za takie ślady nazwy miejscowości, niż nazwy ludów, trudno bowiem przypuścić, żeby Rzymianie na prędce wymyślili odrębne nazwy na wszystkie miejscowości, które wymieniają w Germanii, lub żeby Niemcy odrazu nadali wszystkim miejscowościom swoje rodzime nazwy. Na takiéjto podstawie opierał się w swoim czasie autor „Chrobacyi“, którego autor „Dziejów Słowiańszczyzny“ cytuje stanowczo za mało, choć nieraz najważniejsze mu zawdzięcza wyniki, a w niektórych kwestyach, jak np. w patronimikach, oraz nazwach zakończonych na *ów*, *owo*, idzie tylko w ślady swojego poprzednika, zastosowując na dalszych obszarach zachodu jego teoryę. Nie można jednak odmówić tu autorowi jednéj zasługi, która w każdym razie jest nie małą, a mianowicie tego, że zgromadził na jedném miejscu cały obszerny materyał nazw, a oparł go na sumiennych studyach źródłowych, podając za każdym razem bez wyjątku, skąd odnośne nazwy czerpie. Była to praca bez przesady olbrzymia, a jeżeli rezultat jéj wątpliwy, nie można tego nawet autorowi brać za złe. Tutaj się prawdy dobadać może tylko zawodowy filolog, którym autor nie jest, a nie jest nim również referent, ażeby mógł czy to przyznać mu racyę, czy téż stanowczo zaprzeczyć. Przyznaję, że niejeden wywód nawet laikowi wydaje się nie bardzo prawdopodobnym, ale zasadniczo odmawiam sobie w téj sprawie głosu i tylko mogę znów wskazać na recenzyę profesora Brücknera. Zarazem jednak muszę zwrócić uwagę na jeden brak wielki w téj recenzyi, a mianowicie, że głos ten kompetentny nie rozprawił się tam z temi miejscami dzieła Bogusławskiego, gdzie autor z sumiennością godną największego uznania, zestawia chronologicznie nazwy jednéj i téj saméj miejscowości, próbując w ten sposób okazać, kiedy i jak się te nazwy stopniowo zmieniały. Obojętne nam bowiem jest, że autor np. nazwy niemieckie na *leben* życzy sobie uważać za przekręcone słowiańskie zakończeniem *łowo*, lub że Longobardów przetłómaczył na Łągobrdanów; to są rzeczy, nad któremi nawet nie filolog potrafi przejść do porządku dziennego, to są wywody i próby konstrukcyi, które nauce wprawdzie nic nie pomogą, ale jéj téż w dzisiejszym stanie nic już zaszkodzić nie potrafią. Uśmiechamy się i na tém koniec. Natomiast tam, gdzie znajdujemy kilka nazw zestawionych chronologicznie, a opatrzonych źródłowemi cytatami w ten sposób, że pomiędzy nazwą najstarszą, a będącą dziś w użyciu widzimy cały szereg

ogniw pośrednich, tam historycy właśnie potrzebują koniecznie porady filologicznéj i wyczekują jéj niecierpliwie. Rzecz naturalna, że ta sprawa nie da się załatwić jedną recenzyą, z téj prostéj przyczyny, że tu nad każdą nazwą osobnych potrzeba dochodzeń; bo choćby się wykazało, że w 10-ciu wypadkach autor nie ma racyi, nie wynika z tego jeszcze, żeby jéj nie mógł mieć w drugich 10-ciu wypadkach. Faktem bowiem jest, że granic pierwotnego osiedlenia Słowian nie znamy i że do ich poznania filologiczne badania nazw miejscowych dużo mogą pomóc, a w niejednym wypadku są nawet jedynym do tego środkiem. Trzeba więc osobno udowodnić, że nazwy miejscowe Szwabii nie były nigdy słowiańskie, a swoją drogą osobno tego samego dokonać w Turyngii, w Austryi i t. d. Co więcéj, nie wystarcza bynajmniéj udowodnić, że one nie były słowiańskie, ale trzeba udowodnić, jakie one były, czy germańskie, czy keltyckie. Przyjęcie na podstawie częściowych badań jakiejkolwiek prostéj linii granicznéj pomiędzy osiedleniem germańskiém a słowiańskiém, jest apryoryzmem, któż bowiem zaręczy nam, że ludność jednego i drugiego szczepu nie była w pewnych okolicach pomieszana z sobą już w V wieku, że klinami nie wchodziło jedno osiedlenie w drugie? Któż nam zaręczy, że już wtenczas w téj saméj krainie nie stał gród słowiański obok niemieckiego i naprzeciw niemu. Czyż byłoby to *a priori* wykluczoném, że ostatecznie może się okazać, iż w danéj okolicy spornéj, jeden lub drugi gród jest słowiański, pomimo to, że inne są niemieckie? Nareszcie zważmy, że pojęcie krainy, ziemi, wytworzyło się historycznie, a więc dopiéro z pewnym czasem, a granice przyjęte w historycznych czasach na oznaczenie pewnego pojęcia geograficznego nie koniecznie stosować można do topografii Tacyta lub Ptolemeusza, nie mówiąc już o Cezarze. A więc określenie, że pewna miejscowość leży np. w Turyngii, dla pewnego okresu często może być bez najmniejszego znaczenia. Na tém polu trzeba studyów jeszcze innych, niż filologiczne badanie nazw miejscowych, studyów jeszcze bardziéj pogłębiających sprawy, choć témbardziéj opóźniających jéj rozstrzygnięcie, a mianowicie trzeba dokładnych map osiedlenia wogóle, w danym wieku, bez względu na to, czy to osiedlenie było niemieckie, czy słowiańskie. Nadto trzeba specyalnych studyów, celem poznania fizyograficznych warunków kraju, gdzie były bagna, gdzie bory, którędy wiodły drogi, bo te warunki, jak historykom dobrze wiadomo, rozstrzygają nieraz o miejscu, w którém naznacza się przypuszczalną granicę pewnego szczepu, pewnéj krainy. Trudno np. przypuścić, żeby jedno i to samo plemię mieszkało po obu stronach boru, mającego kilkadziesiąt mil; trudno przypuścić, żeby osadnictwo odbywało się

w kraju bagien, jeżeli niedaleko znajduje się droga sucha i t. p. A więc najpierw mapa osadnictw i wogóle mapa naukowa Tacytowskiéj Germanii w wieku V, VI i VII i t. d., aż do XI z oznaczeniem miejscowości i krain, mapa, mająca na sobie tylko takie nazwy, jakie w współczesnych źródłach rzeczywiście się znajdują i to w tém samém brzmieniu, jak je tam znajdujemy, a potém dopiéro filologiczne spory o każdą nazwę z osobna, przyczém jednakże nazwy ludów powinny być *hors concours*. To jest jedyny mojém zdaniem sposób naukowego załatwienia téj sprawy, a póki na tę drogę nie wejdziemy, będziemy wiedzieli choćby po 100 latach w sam raz tyle, co dziś wiemy, to jest nic. Zupełnie mylném bowiem byłoby takie pojmowanie sprawy, jakoby odrzucenie wywodów Bogusławskiego załatwiało ją. Bynajmniéj, jest-to tylko stwierdzenie niezałatwienia jéj; załatwienie nastąpi dopiéro wtenczas, kiedy będziemy mieli takie wywody, których już nie odrzucimy. Pozwolę sobie jeszcze raz powtórzyć jedną rzecz, którą uważam za zasadniczą w téj dyskusyi naukowéj a mianowicie to, że jeżeli ktoś jakiéjś sprawy broni niewłaściwemi argumentami, z tego nie wynika jeszcze, iż sprawa sama jest złą i wtenczas dopiéro za złą uważać ją można, kiedy i to pozytywnemi wykaże mu się argumentami. Jak na dziś, do tego jeszcze daleko.

Tom III, zawiéra chronologiczny przegląd dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniéj od VII, do połowy XIV wieku. Oczywiście, pozostaje on w znacznéj części, zwłaszcza co do dziejów początkowych, w ściśléj zależności od poprzednich filologiczno-historycznych wywodów autora, to téż gdziekolwiek się na nich opiéra, musi być zakwestyonowanym, bo może ci, których autor uważa za Słowian, względnie Niemców, nie byli niemi? Najmniejsza pomyłka w tym względzie musi się oczywiście odbić na konstrukcyi, tam, gdzie ona ogólniejsze wysnuwa wnioski.

Bo téż na taką konstrukcyę absolutnie jeszcze przedwcześnie, a najlepszym tego dowodem fakt, że u autora, tak skłonnego do syntezy, historyograficzne przedstawienie przedmiotu wypadło po kronikarsku — i nie mogło być inaczéj. Lepiéj byłby nawet autor zrobił, gdyby był z góry zrezygnował ze wszystkiego, co wykracza poza krytycznie zestawioną kronikę, co przekracza ścisły zakres suchego zrębu faktów. Cóż bowiem mówić o syntetyczném przedstawieniu toku wypadków dziejowych tam, gdzie o każdy fakt spiéraćby się można a często i trzeba? Wobec tego, tom III ma w sobie wszystkie wady pracy pośpiesznéj. Tak jest, pośpiesznéj, ale wyrażenie to wymaga tutaj komentarza, bez którego, samém tylko gołosłownem rzuceniem

tego wyrazu, ciężką wyrządziłoby się autorowi krzywdę. Wszystko jest względném i pośpieszność jest względną; jeżeli ktoś pracował lat np. 10 nad tematem, wymagającym lat 50 pracy, i przystępuje w 11 roku do ogłoszenia swych rezultatów, będą one miały na sobie piętno pośpieszności, mimo tak bezwzględnie znacznego nakładu osobistego mozołu. W temacie, obranym przez autora, od pierwszéj do ostatniéj stronicy trzeciego tomu, wszystko, każdy paragraf z osobna, wymaga t. zw. monograficznego opracowania, a na to aniby nawet nie starczyło lat 50. Ileż tu bowiem trzebaby samych tylko prac przygotowawczych; na samą krytykę źródeł trzebaby lat kilkunastu, chcąc, ażeby spełniła wszystkie wymagania tak misternéj już obecnie metody, która pod tym względem najwyżéj właśnie dziś stoi i dlatego téż największe ma wymagania. Tego zasadniczego zaś wymagania autor ani nawet nie tknął; wyjątkowo tylko, a nader rzadko, spotkamy w tym lub owym przypisku próby krytyki pewnego miejsca tekstu źródła, ale to krytyka dorywcza, *pro domo sua* naprędce zaimprowizowana, nie licząca się z całym tekstem, a zawsze podjęta w pewnym z góry wiadomym celu, a więc usposabiająca czytelnika podejrzliwie. Zresztą, przez całą książkę, nie wié się wcale, co to za źródła, które autor tak gorliwie cytuje; co za ludzie są ich autorami, jakie tło ich powstania, czy i o ile one od siebie zależne etc., a wobec tego... cytaty te nie mogą stanowić dla nauki żadnych a żadnych argumentów, a więc i z tekstem nauka liczyć się nie będzie obowiązana. Dopiéro mając krytykę źródeł, możnaby przystąpić do zestawiania prostych roczników tych czasów; oddzielić fakty prawdziwe od legendarnych, ustalić chronologię i miéć raz na zawsze pewien nieulegający już wątpliwości zrąb zdarzeń dziejowych — a ileż do tego znów trzebaby czasu i jakiego aparatu naukowego! — Oto dwie prace wstępne, z których każda z osobna stanowi wielkie zadanie naukowe, dopiéro dokonawszy ich, możnaby się zabrać do próby skreślenia dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniéj. Autor tych wstępnych prac nietylko nie dokonał, ale wogóle całkiem się do nich nie zabrał; przystąpił odrazu do trzeciego punktu tego naukowego programu i dlatego dzieło jego grzeszy pośpiesznością, pomimo to, że autor czasu ani trudu nigdy nie żałował.

Ale choćbyśmy nawet uznali przypiski autora za dowody, i tak nie możnaby jeszcze cofnąć zarzutu pośpieszności, która często wyziéra z samego sposobu pisania tekstu. Tak np. Samonowi przypisuje autor „genialną przezorność“ wtenczas właśnie, kiedy stwierdza, że państwo zaraz po jego śmierci się rozpadło (str. 24). Broniąc

niezawisłości Weletów i Obodrytów opowiada, jak na wieść o zbliżaniu się Karola, syna Karola Wielkiego „pośpieszyli do niego, jako do sędziego, dla rozstrzygnienia ich sporów“ (str. 31). A więc widocznie pozostawali w zawisłości od Karola W.! Przy opisie zatargu Ludwika Pobożnego z Normanami (str. 45), mówi o „flocie duńskiéj z 200 okrętów,“ dlatego tylko, że Eginhard tak każe, choć to przecież widocznie niemożebne, bo takiéj floty dziś nawet sama Anglia nie mogłaby na jedném miejscu wystawić! Albo było tam 200 nie okrętów lecz łodzi, albo Eginhard grubo przesadził — w każdym razie autor cytuje bez krytyki, pośpiesznie. Na str. 51 zapomniał autor widocznie dopisać, dlaczego Gosselina przechrzcił na Kocilina, i bez usprawiedliwienia używa daléj tylko téj drugiéj nazwy. Pośpiechem chyba tylko wytłómaczyć można, dlaczego autor do zamordowania Jana VIII, w grudniu 882, cytuje Dudik'a *Mährische Geschichte!* (str. 121). Na str. 134 fatalna pomyłka, jakoby uczniowie Metodego, Gorazd i Klemens, przedkładali Świętopełkowi „wyznanie swe o pochodzeniu Ducha Św. niezgodne z pojmowaniem dogmatu tego przez Niemców.“ Pośpiech sprawił, że autor bez wyboru czerpie często swe informacye skądkolwiek, byle tylko zebrać jaknajwięcéj rzekomych danych. Bielowskiego taki przestarzały „Wstęp krytyczny do dziejów Polski“ wyzyskany tu sowicie, bez względu na to, że Bielowski temi samemi szczegółami wcale czego innego dowodził. Do dowodów, że Chorwaci posiadali własne pismo, należy gadanie Konstantego Porfirogenity, że własném pismem stwierdzili św. Piotrowi przysięgę złożoną przy chrzcie (!), tudzież powaga jakiegoś badacza Thunmanna z r. 1772 ! (str. 169). Bo też metoda układania tego dzieła polegała na tém, że autor wypisywał wszystko, co tylko mogło stanowić wodę na jego młyn, ale to wypisywał skądkolwiek i dał nam z tych wypisków mozolnie złożoną mozajkę. Erudycya autora polega wyłącznie na ilości przewertowanych dzieł, źródeł i opracowań, na których jakości po większéj części się nie zna, bo nawet sobie nie zadawał pytania, o ile one coś warte? I trudno było zaiste nie pobłądzić w tym lesie wypisków, które bez ładu i składu, z różnych wieków i przeróżnych krajów, chaos tylko tworzą najbałamutniejszych wiadomości. Czasy od wieku XII, już tak historyczne, nie lepiéj stosunkowo wypadły pod piórem W. Bogusławskiego. I to jest także kronika, wyliczająca zdarzenie jedno po drugiém, bez oparcia się o jakąś głębszą, historyczną myśl przewodnią. To téż nowego nie znajdujemy tu nic, żadnéj konkluzyi, któraby stanowić mogła nowy dorobek nauki.

A jednak dzieło to ma wielką zasługę, a mianowicie tę, że stanowi kompletny magazyn materyału do historyi zachodniéj Słowiańszczyzny. Takiego magazynu bardzo nam było potrzeba i kto wié, czy dostarczenie go przez autora nie będzie stanowiło punktu zwrotnego w historyi téj kwestyi. Teraz dopiero widzimy jasno, czém właściwie jest ten temat, poznajemy téj puszczy przepastne krainy. Widzimy, co zrobić trzeba, ażeby kwestyę rozwiązać!

Co do mnie przynajmniéj, po dziele tém nabrałem silnego przekonania, że kwestya jest rozwiązalną. Składa się ona bowiem, jak mię o tém lektura tych 3-ch tomów przekonywa, z pewnéj ilości kwestyi drobniejszych, z których każda z osobna da się ściśle oznaczyć, jest zupełnie konkretną i ma swoje odrębne koło źródeł bezpośrednich i pośrednich — a zatém każda z nich z osobna nadaje się do monograficznego badania. Trudność największa polega na tém, że tych kwestyi jest takie mnóstwo! ale wiadomo, że jedno kółko w machinie wspiéra drugie, a rozwiązany dziesiątek zagadnień szczegółowych, ułatwia rozwiązanie dalszych trzech dziesiątków.

A więc monograficzne badanie Gosselinów czy Kocilinów, Błusów, Budywojów i Nikłotów! Takiego zaś badania nieodzownym warunkiem będzie, ażeby do niego przystępować nie w imię specyalnéj jakiéj wilko-obodryckiéj historyi, ale koniecznie w imię historyi powszechnéj. Kto nie pozna dokładnie spraw Karolów, Ludwików, Henryków, Konradów, ten niechaj nie marzy, że z pod gruzów dziejowych odkopie zręcznie szeregi X...bojów i Y...sławów! Nie ze słowiańskich, ale z cudzoziemskich czerpiąc źródeł, które notowały te wiadomości o tyle, o ile dotyczyły one interesu obcego społeczeństwa, nie zdoła biegle w nich czytać i krytycznie z nich korzystać, póki samego tego społeczeństwa nie pozna historycznie. Głęboko, bardzo głęboko trzeba nam zajechać w historyę niemiecką, duńską i węgierską, ażeby ułowić strzępy historyi słowiańskiéj, ażeby je ułowić, potrzeba nie mniéj, jak opracować samodzielnie historyę środkowéj Europy od V do XIII wieku!

Kiedy to będzie? A iluż do tego trzeba pracowników? Trudno — ale dopóki nie rzucimy się do badania historyi średniowiecznéj, wogóle, nic nie sprawimy, do żadnego, stanowczego rezultatu nie dojdziemy. Oby świadomość tego naukowego związku przedmiotów rozeszła się szeroko po Słowiańszczyźnie; gdziekolwiek znajdzie się szczęśliwiec, mogący poświęcić czas i wolność jakiemu Konradowi czy

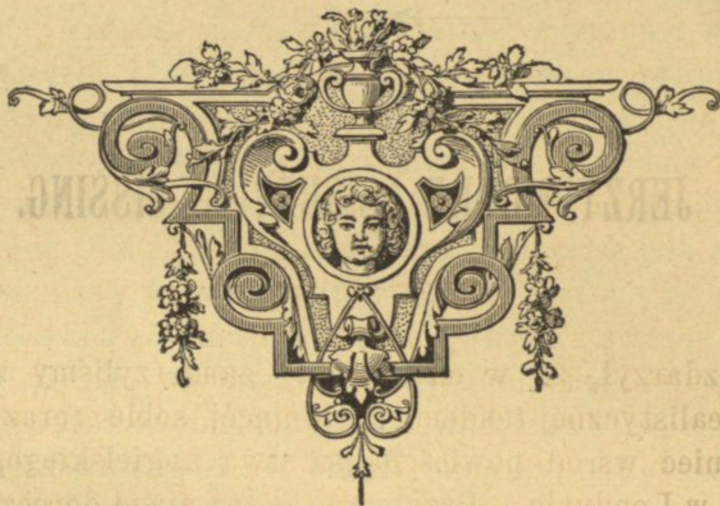
Hermanowi lub Knutowi, niechaj się nie waha, bo pośrednio pracować będzie nad dziejami dawnéj, zmarniałéj Słowiańszczyzny. Ta pośrednia, długa droga — to droga dla prawdziwéj nauki jedyna; reszta, to dyletantyzm.

Takie są wnioski, wynikające z dzieła W. Bogusławskiego. Nie odpowiedział nam autor na pytanie, jakie były dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniéj, bo na to pytanie żadna moc ludzka dziś jeszcze odpowiedziéć nie potrafi. Że sobie z tego nie zdawał sprawy, to świadczy źle o jego znawstwie; a jednak dobrze się stało, że się znalazł taki pracownik! Bez niego bowiem nie wiedzielibyśmy może nigdy, jak się zabrać do tego dzieła, a na to pytanie książka jego odpowiada w zupełności (chociaż bez wiedzy autora). W rozwoju saméj-że kwestyi naukowéj jest-to stanowczo krokiem naprzód i to znacznym, bo zasadniczym.

Jakaż w rezultacie ostatecznym wartość książki? Oto po latach wielu, gdy sprawa ta nareszcie się wyjaśni, jaki historyk nauki zaczerpnie tu dowodu, że nauka z własnych błędów się odradza, *errando volvitur*, i tak może napisze: „Nie było w całéj historyi powszechnéj kwestyi zawilszéj od dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniéj. Stępiło się na niéj setki piór, przepadła na téj topieli niejedna sława naukowa; do tego doszło, że historycy cechowi wyparli się wszelkiego związku z tą sprawą i z obawy przed śmiesznością udawali nawzajem przed sobą, że dla nich ona całkiem nie istnieje. Kiedy jednak wmówiono już w siebie powszechnie, że zagadnienie to całe nie istnieje już dla nauki, zjawiło się, jak upiór, dzieło W. Bogusławskiego. Pierwsze wrażenie, które ono wywarło na uczonych, nazwać można przerażeniem, témbardziéj, że książka była gardzo gruba; to téż nie czytano jéj. Po dłuższym jednakowoż czasie wzbudzać poczęła zajęcie u całego szeregu dyletantów, którzy zwartą falangą przypuściwszy szturm do właściwych uczonych, zmuszali ich do odpowiedzi i w ten sposób pośrednio wciągnęli na nowo w sprawę. Natenczas pokazało się, że dzieło W. Bogusławskiego, jakkolwiek pełne usterek, miało to do siebie, że informowało znakomicie, gdzie czego szukać i pozwalało rozejrzéć się jako tako w chaotycznym materyale; skorzystawszy z tego uczeni, świadomi już odtąd celu i środków, poczęli częściowo na nowo opracowywać tę kwestyę i doprowadzili ją nareszcie do stopnia, który zaszczytnie stwierdza maksymę Lincolna, że na t. zw. niemożebność pomaga często postanowienie działania. Takie to postanowienie powziął Bogusławski i dlatego to, choć niewiele z jego dzieła wobec późniejszéj krytyki się ostało, od niego jednak datujemy pomyślny zwrot w téj partyi historyi.“

Dzieło to ma wszelkie warunki, ażeby stać się takim kamieniem węgielnym nowego okresu badań — oby się nim stało! Jakkolwiek będzie, cześć autorowi za odwagę, z jaką rzucił światu naukowemu starte już, a poważne hasło; cześć za to, że życie swe poświęcił robocie ze żmudnych najżmudniejszéj i najmniéj wdzięcznéj, a osobą swoją wypełnił dotkliwą lukę w świecie uczonych. Skoro się tylko robi, jest nadzieja, że się téż wreszcie kiedyś i zrobi — a bez niego nawet téj nadziei miéćby nie można.

Dr. Feliks Koneczny.





POWIEŚĆ REALISTYCZNA W ANGLII.

I.

JERZY MOORE I JERZY R. GISSING.

Traf zdarzył, że w chwili, gdy zamierzyliśmy zdać sprawę z realistycznéj tendencyi, torującéj sobie coraz szerszy gościniec wśród powieściopisarstwa angielskiego, Emil Zola znajduje się w Londynie. Przybył on tu na zjazd doroczny instytutu dziennikarzy angielskich, na który zaprosili oni zagranicznych kolegów i przyjmowali ich ze szczerą gościnnością i wspaniałością. Przywódca krańcowego kierunku realistycznego w piśmiennictwie francuskiém był bohatérem całego tego zjazdu. Spalono na jego cześć moc kadzideł i jeżeli na co, to chyba na ich nadmiar uskarżaćby się można: brakowało czasami wdzięku w czynionéj dlań apoteozie. Nie od dzisiaj wiemy, że Anglicy są czcicielami siły i moglibyśmy ich posądzić, że ją to wysławiają u potężnego autora epopei „Rougon-Macquart'ów“. Byłby to atoli sąd błędny, albo przynajmniéj niedokładny. Bezwątpienia, wobec dokończonego *magnum opus* Zoli, maczuga tego cyklopa zwraca na siebie uwagę i niepodobna nie dostrzedz szczerby, którój dokonała wśród omszałych murów literackiéj budowli. Ale sprawiedliwość nakazuje przyznać, że dzieło, którego dokonał i hasło, które wygłosił, położyły swe piętno na umysłowym ruchu nietylko Francyi, ale i całego piśmiennictwa współczesnego. Złe ono

czy dobre, nie o to teraz idzie, ale jedynie o zaznaczenie istnienia téj szkoły. Anglicy nie mogli na fakt tak niezaprzeczony zamknąć oczów. Przecięciowo mogą dla realizmu wogóle, a dla Zoli w szczególe nie uczuwać zbyt żywéj sympatyi; nie można téż zapominać, że przed dwoma laty jeszcze wydawca, który jedną z jego ostatnich powieści ogłosił w tłómaczeniu angielskiém, skazany był na wieżę, a na samo imię jego przyzwoitość konwencyonalnego świata rumienić się nakazywała. Ale, jak powiedział jeden z urzędowych mówców na zjeździe dziennikarzy, zaszła w usposobieniu opinii angielskiéj względem Zoli zmiana frontu tak szybka i tak radykalna, że możnaby ją nazwać przewrotem rewolucyjnym.

Tak się stało istotnie, a stało się dlatego po prostu, że realistyczne tendencye, których jądro oddawna złożone było w piśmienniczéj glebie angielskiéj, rozwinęło się, wystrzeliło w górę, wybujało. Powieść dzisiejsza pod innym już staje sztandarem, niż dawniejsza: nietylko krytyka literacka, ale i sama publiczność czytająca innym ją mierzy probierzem i inne stawia jéj wymagania. Nic dziwnego, że przyklaskują Zoli, bo go naśladują, komentują, traktują jako mistrza. Zostawmy na stronie naturalizm, ową krańcową kończynę realizmu, ale zatrzymajmy się nad nim samym. Na dobre rozgościł się on w Anglii. Nie wywołuje oburzenia; przeciwnie. Najznakomitsi krytycy zmienili, sami nie spostrzegając zapewne, do jakiego stopnia, swoje względem niego stanowisko. Dwa najnowsze przykłady niechaj za wiele innych starczą. Edmund Gosse, jeżeli nie pierwsza po Walterze Pater powaga krytyki współczesnéj, to bezwątpienia dzieląca berło krytyki z niewielu innymi, w jedném ze swych ostatnich studyów zawsze tak gorliwie czytanych, nietylko że z lekceważeniem traktuje dawniejszą powieść, pogardliwie teraz przezywaną romantyczną, ale żąda stanowczo, ażeby powieściopisarze „szerzéj i głębiéj studyowali życie." Wiemy, co to znaczy: „zbierać dokumenta życiowe", azaliż to nie hasło, pod którém wojował Zola i jego sprzymierzeńcy? Inny krytyk, D. F. Hannigan, mniéj rozgłośny, ale o już wyrobioném stanowisku literackiém, ogłosił świeżo w jednym z najpoważniejszych przeglądów miesięcznych studyum o przyszłości powieści angielskiéj i nie przypuszcza nawet, ażeby mogła ona być inną, jak realistyczną.

Zwrot, taki w powieściopisarstwie angielskiém nie jest przypadkowy, nie jest też chwilowy; świadomość kierunku i metody nowéj u jéj przedstawicieli jest uderzającą. Wszystkie dawniejsze klasyfikacye, do których przyzwyczaiły nas nietylko historye literatury, ale świeże dnia wczorajszego wspomnienia, są zarzucone, a sąd lekcewa-

żący wydawany o hegemonach piśmiennictwa może wprawić w osłupienie tych, co nie rozumieją, że jestto reakcya jedynie, i że jéj przesada sama pozwala przeczuwać nową reakcyę. Gdy Fielding, nieśmiertelny autor „Tom Jones'a“ rzucił rękawicę sentymentalizmowi chorobliwemu Richardson'a i śmiesznością raz na zawsze pokrył jego „Pamelę“, to istotnie była zasadnicza różnica pomiędzy afektacyą, manierą i płaczliwością jednego, a jędrną, skrzącą się życiem energią drugiego. Ale za dni naszych nie było już tak rażących przeciwieństw. Rozumiemy poniekąd, że nowa szkoła powieściopisarska angielska szydzi sobie z lorda Bulvera, ale dlaczego wypiéra się Dickensa, dlaczego satyrę Tackeray'a uważa za płytką, dlaczego czuje niesmak do psychologicznéj George Eliota powieści? Gdy słyszymy, że ją nazywają pedantyczną, tendencyjną, możemy podejrzewać o co dzisiejszym krytykom chodzi, ale czytelnik przekona się sam, gdy mu nakreślimy umysłowe sylwetki kilku pisarzy dzisiejszéj szkoły, że ta nieubłagana surowość nie zawsze jest na miejscu. Gdyby się miało brać dosłownie, jako prawdziwe, genealogiczne drzewo powieści angielskiéj takie, jakie nam obecne rysowane bywa, to nie znaleźlibyśmy na niém, po Fieldingu, niezaprzeczonym jéj genialnym rodzicu, nikogo godnego zająć miejsce antenatów prócz dwóch powieściopisarek: Jane Austen i Charlotty Bronte. Są tacy, co oddają także Antoniemu Troloppowi hołd wielki, ale niepodobna brać go w zbyt literalnym sensie. Imiona te dziwią.

Bądź co bądź, powieściopisarze angielscy dzisiejsi nie wydają się pognębieni wielkością swéj tradycyi i sprowadzają liczbę tych poprzedników, z którymi łączy ich duchowe powinowactwo, do szczupłéj gromadki. „*Moi seul, et c'est assez!*“ oto czego się można domyślać na dnie przekonań każdego z tych epigonów, biorących szturmem krzesła kurulne. Nie myślimy bynajmniéj przeczyć, że są pomiędzy tymi powieściopisarzami nowéj szkoły realistycznéj wysoce utalentowane osobistości, ale sądzimy, że w Anglii, tak samo jak we Francyi, nie mają oni prawa rościć pretensyi, jakoby od nich dopiéro datowała się prawda życiowa, że jéj dotychczas nikt nie był dojrzał i nie wypowiedział. Przyznać jednak trzeba, że powieściopisarze chwili obecnéj w Anglii, mają jedno przynajmniéj usprawiedliwienie za sobą: stosunki życiowe, cała atmosfera społeczna i towarzyska, uległa tam tak potężnéj, tak radykalnéj zmianie w ciągu ostatniego pół wieku, że i obraz kreślony obecnie jest i musi być całkiem odmienny od dawniejszego. Chwila zastanowienia ocenienie tego stanu rzeczy umożebni.

Wszystko, wszystko zmieniło się w Anglii w naszych czasach. Trwa wprawdzie jeszcze instytucya monarchiczna, ale coraz bardziéj rola jéj schodzi do czysto formalnéj, a nawet utrzymuje ją jako ozdobę raczéj, aniżeli potrzebę. Przywileje arystokracyi są ścieśniane w jednéj sferze, a stanowczo wyrugowywane w drugiéj. Przy pierwszéj próbie narzucenia swéj woli narodowi, izba lordów zostanie radykalnie zreformowaną. Demokracya płynąć zaczęła szerokiém korytem od bilu reformy i z każdym lat dziesiątkiem nowe czyniła zdobycze. Po stanie średnim, wyemancypowanym wówczas, wystąpiły z kolei na pierwszy plan masy ludowe, warstwa robotnicza. Klasy, dawniéj nieledwie kasty, zbliżyły się, wyrównały. Potworne bogactwa nagromadzone w ręku nielicznych osobistości, topnieją i przechodzą coraz częściéj w ręce nowych ludzi. Oświata przedostaje się do najgłębszych podstaw towarzyskich. Idee i prądy, dawniéj nie przypadające do natury i temperamentu angielskiego, stały się normalnemi. Wystarczy wskazać zasadniczą zmianę pod względem religijnym. Kościół państwowy dzierży jeszcze wprawdzie przywiléj i monopol materyalny, ale moralna jego powaga podkopana została naprzód przez tolerancyę względem innych kościołów, a następnie przez propagandę wolnomyślicieli. Tak jak ostatnie pokolenie inteligencyi krajowéj było przesiąkłe pozytywizmem Aug. Comte'a, tak dzisiejsze urobiło się na filozofii ewolucyjnéj Herberta Spencer'a. Zdumiewająca jest liczba agnotystów. Postępy dobrobytu materyalnego wśród coraz szerszych kręgów towarzyskich oddziałały także rozprzęgająco na dawniejszy hart obyczajowy, a sztuki piękne, znajdujące coraz większą liczbę adeptów i ognisk, przyczyniły się ze swéj strony niemało do zmiany poglądów, usposobień i indywidualnéj moralności. Wskutek tych różnorodnych czynników inaczéj ukształtowanych, społeczność w swéj przeciętnéj całości do innego ułożyła się poziomu: sprzęgła się ona, ześrodkowała i zamiast wielu przedtém odrębnych prowincyi, bardziéj jednolity duch ją teraz ożywia. Zadanie życiowe nietylko się rozszerzyło, ale się narzuciło nieodwołalnie wszystkim wyższym umysłom. Są kwestye, na które zapatrywać się można odmiennie i będzie tak raz na zawsze, ale nikt ich nie usuwa na stronę z lekceważeniem, każdy czuje potrzebę wypowiedzenia o nich zdania.

Zrozumiéć łatwo, że i powieść spoważniała, że i na niéj odbiły się te ogólne prądy. Dawniéj służyła ona mniéj więcéj za rozrywkę, była błyskiem imaginacyi, obecnie ma przed sobą zadanie życiowe, nieledwie misyę społeczną. Problematy abstrakcyjne zaprzątające myślicieli, reformy przedsiębrane przez prawodawców weszły w jéj za-

kres i nabrały natychmiast formy dotykalnéj, praktycznéj. Awantury nieprawdopodobne, charaktery bohatérskie straciły powab: społeczność czuje, że życie takie, jakie jest, ma prawo być badaném i opisywaném, i że jego filozofii poznać nie zawadzi. Rozumié się, że zawsze będą powieści pospolite, które jedynie opisywać będą miłość Anieli z Robertem, przeszkody, jakie skojarzenie tego interesującego stadła napotkało; ale nie o nie tu chodzi. W miarę podnoszącego się poziomu oświaty narodowéj znaczenie ich się zmniejsza, i można je zostawić w spokoju, jak lalki dla dzieci, albo cukierki na deser. Te, które w twórczości umysłowéj narodu ważne zajęły stanowisko, za innemi gonią ideałami. Zerwawszy z ciasnym konwencyonalizmem i utartym formularzem, przedsięwzięły one odmalować ducha dzisiejszego człowieka w jego zetknięciu ze środowiskiem, z pośród którego się on rozwija, wśród którego walczy o byt swój indywidualny: strona psychologiczna jest tu zarówno do uwzględnienia u jednostki, jak i u całego społeczeństwa w swoim zbiorowym kształcie. Pisać tego rodzaju powieści potrafi nie każdy; nie dają się one improwizować i wymagają studyów uprzednich, ściśle obmyślanego planu. Niedawny jeszcze student albo panienka, co zaledwie z ławek pensyi wybiegli, czuli się powołani do pisania powieści, do których osnowę podsuwała im wyobraźnia i które wzorowały się nieochybnie na rozpowszechnionych utworach ich poprzedników. Obecnie powieściopisarze biorą swe zadanie daleko poważniéj. Tylko wtedy, gdy dokonali uprzednio wielu wycieczek w rozmaite sfery umysłowe i techniczne, tylko wtedy widzą się do pisania upoważnieni. Jest rzeczą zadziwiającą, istotnie, jak wysoce wykształceni są powieściopisarze angielscy. Kwestye naukowe i to nietylko z dziedziny nauk historycznych i literackich, ale i ścisłych, problemata ekonomiczne, tezy religijne i t. d. są podnoszone co moment z kompetencyą ludzi, którzy są gruntownie z niemi obeznani. Talent romansopisarza polega na pogodzeniu tego tła ze szczegółowym rysunkiem, który kreśli, na uniknięciu pedantyzmu przy zachowaniu powagi. Są tacy, co trudnemu temu zadaniu podołali, są inni, o których się tego nie da powiedzieć. Forma jest u wielu za ciężka, nie dość przezroczysta, nie dość artystyczna. Ale treść, osnowa, są po większéj części wysoce interesujące i zalecają się uwadze myślących czytelników. Powiemy wszystko co powiedzieć chcemy, w jedném zdaniu, mówiąc, że powieść angielska daje o społeczeństwie współczesném wyobrażenie równie wierne, jak wielostronne.

Owa zmiana, jaka się dokonała w ustroju społecznym Anglii, jest już sama przez się wystarczającym powodem do zrozumienia, że

dzisiejsze powieści muszą być odmienne od onegdajszych, od tych, które należą, że się tak wyrazimy, do jéj klasycznego peryodu. Powieściopisarze, jak Thackeray, na wskroś sarkastyczni, musieli rachować się ze snobizmem społeczeństwa, wśród którego żyli. Nie wolno było za jego czasów traktować arystokracyi, kościoła, etc. w ten sam sposób, mierzyć ich tym samym łokciem co najmniéj dystyngwowane klasy towarzyskie; dzisiaj panuje pełna swoboda pod tym względem i można, jak powiada Boileau, nazwać:

Un chat — un chat, et Rollet — un fripou!

Zerwano z konwencyonalizmem odważnie, nieledwie za odważnie. Przezorne matki, które dotąd wierząc w czystość obyczajową romansów angielskich dawały je córkom bez obawy i bez uprzedniego zbadania, nie mogą już w przyszłości postępować tak samo. Są powieści nie powiemy erotyczne, ale skandaliczne. Dawniéj, gdy się spotykało w romansach uwiedzione dziewczyny, zawsze ślub potajemny poprzedzał uwiedzenie; obecnie historya o bocianie nie figuruje. Zerwawszy uzdę, nie dziwota, że źrebiec bryka. Ustatkuje się ta zapewne gorączka niezadługo, tak jak Francuzom naprzykrzyło rynsztokowe błoto naturalizmu.

W chwili obecnéj nie można sformułować jeszcze żadnego sądu o nowéj szkole romansopisarzy angielskich. Nie ma pomiędzy nimi jednolitości; jeden do Sasa, drugi do lasa. Świat, co się wokoło nich przetwarza, jest nęcącym do studyów przedmiotem i każdy, indywidualnym swym pociągom gwoli, do téj lub owéj jego prowincyi zagląda. Zdaje się, że brakuje im wszelkiéj z góry wyrozumowanéj metody pisarskiéj: jedno tylko wspólne zwołuje ich hasło—piękno artystyczne i etyczne dobro za pośrednictwem prawdy. Wypowiedzieć prawdę o ludziach, o instytucyach, o społeczeństwie, o ideach i zasadach, jakiemi jest ono w ruch wprowadzane—oto cel, do którego zdążają. Obiektywność jest przy takiéj modle naturalną, wielu jednak powieściopisarzy posuwa ją tak daleko, że trudno zrozumieć nietylko po jakiéj stronie są ich sympatye osobiste, ale po prostu, czy posiadają kryteryum moralne. Przy takiéj rozmaitości nastroju, metody i specyalności, gdy się przedsiębierze zapoznać czytelników z realistyczną powieścią angielską dzisiejszą, nie ma nic innego do zrobienia, jak przedstawić każdego z przedniejszych powieściopisarzy téj grupy odrębnie.

Wogóle, jako najwybitniejszą osobistość tutaj wymienia ogół Jerzego Moore. Są, zdaniem naszém, pisarze większego, potężniejszego talentu i ciekawsi dla obcych czytelników, a mamy tu przede-

wszystkiém na myśli Jerzego Gissing'a, że już nie powiemy o Tomaszu Hardy, którego bezwzględnie do realistów zaliczać niepodobna,— ale Jerzy Moore lepiéj, niż którykolwiek z jego kolegów, uosabia krańcowy kierunek téj szkoły, odpowiadający naturalizmowi Zoli. Był on od pierwszego swego wystąpienia w literackie szranki gorącym jego zwolennikiem; przetłómaczył kilka jego powieści, poprzedził je krytycznemi przedmowami, pełnym zapału, właściwego świeżym zwolennikom, i zajmuje względem niego w powieściopisarstwie taką samą rolę, jaką wielki poeta Swinburne zajął względem Wiktora Hugo: entuzyastycznego komentatora i naśladowcy. Naśladownictwo to widocznie pomyślniejszém się okazało dla poety, aniżeli dla powieściopisarza. Jerzy Moore bowiem doświadczył wielu prześladowań. Aż do chwili obecnéj, chociaż w ostatnich powieściach rozwodnił swoje wino, jest on systematycznie wykluczany z katalogu czytelni p. Mudie, oraz z katalogu p. Smith, posiadającego monopol sprzedaży książek i dzienników na wszystkich dworcach kolejowych. Taki anatemat jest w stanie zrujnować materyalnie pisarza, tém bardziéj, że jednocześnie piętnuje go jako pozbawionego „*respectability.*“ Ale nie powstrzymało ono p. Moore'a w jego wojowniczym zapale. Udowodnił on go także w kwestyach estetycznych. Syn irlandzkiego obywatela ziemskiego, wychowany był w Paryżu i studyując malarstwo obracał się w kołach tak zwanych impresyonistów, zasadniczo powaśnionych z tradycyami akademii sztuk pięknych. Poślubił ich ideały i ich antypatye. Podług niego, nie ma znakomitszych malarzy współczesnych we Francyi, jak Degas, Monet, Raffaëlli, a w Anglii jak Whistler i John Sargeant. Jest on od lat kilku rewolucyjnym krytykiem artystycznym w Anglii i każda z jego kampanii wywołuje okrzyk zgrozy i wrażenie nie małe. Dla tych, którzy za przechodowemi fazami życia artystycznego iść by pragnęli, nie ma lepszego przewodnika — naturalnie jednostronnego — jak dwa tomy studyów tego pisarza, noszące tytuły *Impressions and opinions* oraz *Modern painting.*

Taki sam nastrój duchowy zbliżył go we Francyi do nowych, reformatorskich szkół w literaturze francuskiéj. Otwarcie wypowiedział on swoje tendencye w rodzaju autobiografii noszącéj *Confessions of a young man:* w osobie jéj bohatéra, Edwina Dayne, łatwo rozpoznać wiele zewnętrznych, a przedewszystkiém wewnętrznych rysów jego samego znamionujących. Plastyczna, nieposzlakowana piękność formy Teofila Gautier przemówiła do jego artystycznéj natury i doprowadziła go w poezyi do Baudelaire'a naprzód, a potém do dekadentów i symbolistów, jak Mallarmé albo Verlaine. Pragnienie nie-

przyzwyciężone czegoś niezdrowego, nienormalnego było zawsze w nim widoczne, a chociaż składa hołd geniuszowi twórczemu Balzaca, podoba sobie przedewszystkiém w takim jego uczniu wyrodnym, jak autor *Nany* i *Pot-bouille.*

Geneza ta duchowa Jerzego Moore'ą jest, jak czytelnik spostrzeże, całkowicie i wyłącznie francuska. Wykształcił się do tego stopnia wśród atmosfery paryskiéj, że mu z równą łatwością przychodziło pisać po francusku, jak po angielsku. Dowodem jest jego słynna powieść, która takiéj wrzawy narobiła, pojawiając się przed ośmiu laty, nosi ona tytuł: *Mummers wife*, a jednocześnie we francuskiéj edycyi: *La femme du Cabotin.* Nie zdaje nam się, aby we Francyi powieść ta była wywołała skandal: życie koczującéj trupy aktorów było tam już nieraz opisywane, a rozwolnienie obyczajów, jakie wśród téj grupy towarzyskiéj przemaga, nie mogło we Francyi razić nikogo. Inaczéj w Anglii. Teatr miał tu do zwalczenia wiele uprzedzeń i przesądów a jego stronnicy, chcąc pozyskać dla teatru przychylność publiczną, dokładali wszelkich starań, ażeby przedstawić życie prywatne artystów dramatycznych, jako nieposzlakowane, a ich nastrój moralny, jako zupełnie odpowiedni moralności innych warstw społeczeństwa. Potrzeba było sporéj dozy naiwności, ażeby temu uwierzyć, ale wśród ogólnego konwencyonalizmu i *cant*'u panującego w Anglii, dawano wiarę i przyjmowano za możliwe obrazy powieściowe o aktorach arkadyjskiéj, sielankowéj czystości obyczajów. Łatwo wyobrazić sobie wrażenie, jakie wywołało malowidło dokonane przez młodego i pełnego talentu pisarza nietylko wręcz przeciwne, ale nie obwijające prawdy w bawełnę, przedstawiające świat zakulisowy angielski w świetle wcale niesympatyczném.

A p. Moore niczego nie zaniedbał, ażeby nakreślony przez się obraz zrobić efektownym. Na tytule „Żony wędrownego aktora" położył napis: powieść realistyczna. Oburzony jeden krytyk doradzał, ażeby zamiast tego nazwał ją cyniczną. Oba epitety są dobrze dobrane, bo autor z cynizmem przedstawił rzeczywistość, nie oświecając jéj żadnym promieniem ideału. Wierny zasadniczym dogmatom swego pierwowzoru, nie obrał sobie za bohatérów bynajmniéj wyjątkowych osobistości, ale najpospolitsze, z codziennego życia postaci. Do skromnego mało-mieszczańskiego kółka rodzinnego, złożonego ze ściśle religijnéj matki, schorowanego, marudzącego męża-kramarza i pięknéj sentymentalnéj i potulnéj synowéj, wprowadza jako lokatora, Dicka Lenox, uosobienie dobrego humoru, fizycznéj siły, zdrowia, energii i zupełnie instynktowéj tylko moralności. Typ ten, skreślony wybornie, musiał uderzyć drzémiącą wyobraźnię młodéj kobiéty, za-

grzebanéj w życiu prozaicznéj jednostajności. Przeciwieństwo pomiędzy sferą, do jakiéj pani Ede należała i téj, do jakiéj Dick należy, pochwycone zostało mistrzowsko i jest naturalném, że jak motyl do światła, tak i ona przyciągniętą doń została. Są sceny grubego i całkiem niepotrzebnego naturalizmu, pokazujące walkę kobiéty nad brzegiem moralnego upadku i jéj poddanie się barczystemu uwodzicielowi. Ucieka z nim, by żyć wśród trupy aktorów, zostawszy, po otrzymaniu rozwodu żoną swego kochanka i aktorką nie bez powodzenia. Delikatna analiza psychologiczna pokazuje nam, jakie zmiany odbywają się w duchowéj naturze kobiéty naraz rzuconéj w odmęt obcych sobie żywiołów i otoczenia, o którém ciasny dawniejszy horyzont nie dawał jéj nawet najmniejszego wyobrażenia: po zadziwieniu następuje oburzenie, powoli przeradzające się we wstręt, a następnie w odrętwienie i przyzwyczajenie. Organizm histerycznie podrażniony ulega równym zmianom a w gorączkowéj podniecie zawodu teatralnego, w małżeństwie i macierzyństwie, nie znajdując zaspokojenia, szuka go — w trunku. Pani Lenox jest nieszczęśliwa i robi co może, ażeby uczynić nieszczęśliwym swego męża. Niezdolna przeobrazić się nawskroś i zastosować do nowych stosunków, jest najprzód istotą połowiczną, a następnie istotną jędzą, potworną pijaczką. Rozmaite postaci na drugim planie, anegdoty, epizody i przygody trupy aktorskiéj, przenoszącéj się co tydzień z jednego miasta do drugiego, oddane zostały przez autora z werwą, żywością i znajomością przedmiotu. Nie można sumiennie zrobić téj powieści, takiéj, jak ją autor stworzył i wykonał, żadnego innego zarzutu, prócz że nie potrzebnie podoba sobie w prozaicznych szczegółach, w brudach fizycznych, w medycznych i fizyologicznych wycieczkach. Osoby jego żyją krwią i nerwami, a nie są sztucznemi maryonetkami i cała atmosfera duchowa, etyczna danéj grupy społecznéj odtworzona jest przedziwnie. Nie zapomina się téj powieści, gdy się ją przeczytało.

Można było przypuszczać, że gdy Jerzy Moore otrząśnie się raz na zawsze z niewolniczego naśladownictwa swego pierwowzoru i pozbędzie niepotrzebnego, anti-estetycznego grubiaństwa, to dzięki niezaprzeczonemu talentowi, jakiego dał w téj powieści dowód, zajmie jedno z pierwszych miejsc w beletrystyce angielskiéj. Ustatkował się wprawdzie i zaprzestał, podług charakterystycznego wyrażenia Stendhala, strzelać z pistoletu podczas symfonicznego koncertu, ale nie można powiedziéć, ażeby usprawiedliwił położone w sobie nadzieje. Żadna z czterech czy pięciu powieści, które napisał w następstwie, nie ma w sobie téj wyrazistości i téj pełni, jaką nawet przeciwnicy przyznać mu musieli w owéj pierwszéj. Możnaby mniemać, że rzu-

ciwszy się z zapałem w sferę krytyki artystycznéj, mniéj znaczenia przywiązuje do działalności powieściopisarskiéj. Byłoby to jednak omyłką, bo się on zawsze sam uważa za powieściopisarza z powołania i nawet na wzór Balzaca, Zoli jedne i te same osobistości, postaci występują w szeregu jego powieści, nadając im syntetyczną spójnię. Jest także widoczném, że p. Moore obrał sobie za specyalność odwzorowanie życia kół artystycznych, literackich, dziennikarskich, — jedném słowem, tego intelektualnego świata, wśród którego się obraca i gdzie zawsze działa, jako iskra zapalna. Cel zakreślony sobie przez utalentowanego pisarza jest uznania godzien, a sposób, w jaki go w czyn wprowadził tu i owdzie, jest zupełnie zadawalniający, ale całość nie jest bynajmniéj tak wyrazistą, tak potężną, jak się tego spodziewać było można i nawet pozostawia w pewném zamgleniu te właśnie warstwy społeczne, których postanowił być historyografem. To samo przytrafiło się braciom Goncourt, gdy zamierzyli dać w romansie *Charles Demailly* wizerunek świata literackiego paryskiego. Jestto wzór do odtworzenia trudny, zgoda, i koleżeńskie uczucia dla towarzyszów zawodowych kładą nieraz hamulec na szczerość opisu. Ale autor nie posiada takich delikatnych skrupułów i umié, gdy mu tego potrzeba, w swéj artystycznéj polemice uderzać obuchem na wstrętnych mu przeciwników. W powieściach jednak, gdy ma wszelką swobodę kopiowania z natury i tworzenia typów na tle istniejących stosunków, nie możemy go uważać za szczęśliwego. O ile udało się nam osobiście poznać świat literacki i dziennikarski angielski przez długoletnie z nim stosunki, nie został on pochwycony przez tego pisarza na uczynku. Daleko znakomiciéj z zadania tego wywiązał się Gissing, którego niżéj nieco przedstawimy czytelnikom.

Należy nam jednak wprzódy usprawiedliwić opinię sformułowaną o p. Moore. Powieść *Vain Fortune* ma jako centralną figurę dramatycznego pisarza, Huberta Price, o nowatorskich tendencyach i wzniosłych aspiracyach, ale charakteru słabego i pozbawionego jędrności i jasno zakreślonego przed sobą celu życia. Przechodzi on przez rozmaite udręczenia, walczy z biédą — i powtarza się tu malowidło, które już po wiele razy nakreślone zostało, ale które widocznie zawsze interesuje samych piszących, powtarzających słowa Rzymianina:

Mutato nomine de te fabula narratur.

Bohatér jednak odziedzicza wielki spadek i zdawaćby się mogło, że okoliczność ta dawała autorowi sposobność do pokazania, jak się talent pisarski i dominujące motywa przekształciły pod wpływem zmie-

nionych stosunków materyalnych. Ale zamiast takiéj analizy, która powinna była chyba podobać się p. Moore, autor daje nam dość pospolity epizod człowieka wahającego się pomiędzy dwoma miłościami. Jedna z dwóch kobiét kończy samobójstwem swe skwaszone życie w dniu, w którym Hubert poślubia jéj szczęśliwą rywalkę. Autor zlekka tylko dotyka egoizmu miłości, łatwo tryumfującéj nad nieszczęściem drugich, skoro sama nie jest niém dotkniętą. Nie ma w téj powieści tak podobającego się w sobie samym materyalizmu zmysłowego, jak to miało miejsce w wyżéj streszczonéj, ale ta zaleta jest okupiona mglistością narysowanych sylwetek.

Wyżéj postawić można następną powieść *A drama in muslin*, w któréj autor postanowił odmalować świat panien, tak, jak w stanowiącéj jéj odpowiednik *Spring days* — młodzież męską. Pomysł jest dość dziwaczny, bo trudno odosobnić płci, które się wzajemnie dopełniają. Za tło do „Dramatu w muślinie“ służą irlandzkie stosunki w pośród wyższych sfer owego społeczeństwa, które téż odmalował z sarkastyczną werwą. Ta panosząca się, materyalnie zrujnowana a uganiająca się za zabawami szlachta, te matki wywożące na targ małżeński do Dublina swe córki, skrzą życiową prawdą. Naturalnie że córek jest mnóstwo i że przesuwa się przed nami cały korowód „złotowłosych.“ Typy są rozliczne, zacząwszy od zatopionéj w religijnym mistycyzmie panny wielkiego rodu, przeszedłszy całą gamę mniéj więcéj lalkowatych, mniéj więcéj zmysłowych, obdarzonych obficie „*animal spirit*“ dziewic a skończywszy na awanturnicach. Są to kobiéty, prawda, ale gdzie jest kobiéta? o to możnaby się z żalem upomniéć u autora po przeczytaniu jego sarkastycznego studyum. Atmosfera, w któréj się te wielkoświatowe panny obracają, jest istotnie zatruta i nie dziwota, że pod jéj wpływem szybko się ściéra pył błyskotliwy na ich motylich skrzydłach. Podług klasycznego już teraz słowa Oktawiusza Feiullet, przysłuchując się rozmowom tych panien wykwintnych, mogłyby się zarumienić małpy. Bohatérkami powieści są dwie siostry z których jedna, piękna, jest towarem prowadzonym na sprzedaż przez przewrotną intrygantkę, a druga, brzydka jest jedynym dodatnim typem. Pierwsza spotyka się z zawodami sercowemi i nie udaje się jéj złapać na męża margrabiego, na którego poluje; jedyne jéj prawdziwsze uczucie jest zniweczone przez matkę a szczęście, spokój i godność niewieścia stérana. Druga, zawiódłszy się także na pierwszéj miłości do stołecznego literata, oddaje się piśmienniczemu zawodowi i wychodzi za mąż z rozumu więcéj aniżeli dla urzeczywistnienia swych ideałów.

Jeżeli córy Albionu albo raczéj Erinu nie pociągały nas do sie-

bie zbytecznie, to mniéj jeszcze korzystne wrażenie czynią ich bracia, których specyalne malowidło ma nam dać powieść „Dni wiośniane.“ Autorześrodkowuje promienie swéj latarni na dwóch postaciach, Wiliamie Brooks, uosabiającym praktycznego, rzuconego w wir interesów kupieckich, syna mieszczańskiéj, bogatéj rodziny i na jego przyjacielu Franku Harding, artyście, literacie i malarzu. Ale prozaiczny młodzieniec popełnia taki sam szereg niedorzeczności i nielogicznych kroków, co ów niby to ideelny młodzian, urodzeniem do arystokratycznéj warstwy należący. Pierwszy przerzuca się z jednego interesu do drugiego i na każdym traci pieniądze z rzadką u brytańskiego przedsiębiorcy niepraktycznością a drugi przerzuca się z malarstwa do dziannikarstwa, z dziennikarstwa do powieści a w miłostkach od jednéj z sióstr Brooks do drugiéj, aby skończyć na małżeństwie z usługującą za szynkwasem panną. Małżeństwa tego rodzaju zasilają wprawdzie często skandaliczną kronikę londyńskiego świata, ale przychodzi ono tutaj w sowizdrzałowy sposób. O młodzieży angielskiéj współczesnego pokolenia nie można brać z tego powieściopisarskiego szkicu, w którym się akcya wlecze, żadnego dokładnego pojęcia.

Nakoniec, p. Moore jest jeszcze autorem dwóch powieści, które chociaż noszą odrębne tytuły „Prosty wypadek“ i „*Mike Fletcher*“ stanowią jedną całość, a co więcéj, mają być prologomenami do oddawna zapowiadanéj przez tego autora powieści „Nowożytny Don-Juan.“ Żadna z tych dwóch powieści nie jest utworem pospolitym, bezwątpienia, ale estetycznego ani etycznego zadowolenia wywołać nie potrafią: zanadto jest w nich szczerb i zbyt niczém nie usprawiédliwionych wybryków. „Prosty wypadek“ ma jako bohatéra bogatego młodzieńca, Johna Norton, popadającego w religijny mistycyzm. Uczony, zamierza on pisać historyę języka łacińskiego w wiekach średnich, co pozwala autowi popisać się wcale niespodziewaną erudycyą scholastyczną równie jak znajomością ojców kościoła i dogmatyki katolickiéj; naprzód jego bohatér chce zostać jezuitą, następnie karmelitą i zamienić swoją rezydencyę w klasztor a następnie porzuca swoje kościelne zachcianki, gdy się zaręcza z młodą i niewinną kuzynką. Ku wielkiemu zdziwieniu czytelników i zapewne dla usprawiedliwienia godła realistycznéj powieści, autor niweczy to małżeństwo p r o s t y m w y p a d k i e m: jest nim zgwałcenie ślicznéj panienki przez pijaka włóczęgę w polu! Nie mogąc przeżyć swéj hańby, dziewczę odbiéra sobie życie. Napróżno zapytywalibyśmy autora, czego taki wypadek ma dowodzić i jaka myśl w nim leży; odpowiedziałby, że się takie rzeczy przytrafiają w życiu. Interesująca geneza duchowego ro-

zwoju Johna Norton doprowadzona jest w ten sposób do przełomu. Spotykamy go w następnéj powieści, ale tylko jako dodatkową figurę i taka katastrofa pokazała się tedy całkiem niepotrzebną. Centralną figurą za to jest tutaj interesująca postać Mika Fletchera, literackiego awanturnika. W powieściowym obrazie, ochrzczonym nazwiskiem swego bohatéra, autor wraca do malowania literackich kół londyńskich. Powieść ta posiada kilka przedziwnych epizodów, ale nie ma w niéj ani systematycznie zbudowanéj całości, ani charakterów konsekwentnie przeprowadzonych. Jest-to jakby improwizacya człowieka, wyzutego z wszelkich złudzeń i sądzącego, że świat pisarski złożony jest z samych tylko łotrów, bohemy o wytartym łokciu u surduta i jeszcze bardziéj wytartém sumieniu. Nie tylko, że cała atmosfera społeczna przypomina w téj powieści literackie koło paryskie takie jakie je odmalował Maupassant, ale co więcéj, bohatér tegoż, trudny do zapomnienia *Bel-Ami*, wskrzeszony został przez p. Moora a raczéj upostaciowany w angielskim typie Mika Fletchera. Jest on tak samo prostaczego pochodzenia, tak samo pięknym, inteligentnym, wyzyskującym przyjaciół uprzejmie a przeciwników bez skrupułu, to na wozie to pod wozem, nie tracący nigdy animuszu ani ufności w swą gwiazdę. Charakterystycznym jego rysem jest, że żyje z kobiét i przez kobiéty. Moore pozwala mu się wznieść na wyżyny społeczne dzięki fortunie jednéj z jego kochanek, ale nie posiadał odwagi Maupasant'a, który swego bohatéra zostawia cynicznie tryumfującym wśród śmieciska moralnego, gdyż on swego Fletchera pokazuje znudzonym, zniechęconym i każe mu zakończyć awanturnicze życie samobójstwem. Ten szkic nowożytnego Don-Juana zostawia po sobie gorzki niesmak, nieunikniony, gdy się wśród samych moralnych brudów, bez żadnego jasniejszego promyka światła błąka długo w podziemiach.

Takie są utwory pisarza, który najśmieléj zerwał z dotychczasowym konwencyonalizmem angielskim. Daleko żywszy hołd możnaby oddać jego cywilnéj odwadze, gdyby się nie dostrzegało szamotania często bezsilnego a widocznéj nieraz pozy na cynika. Ale ostatniego słowa o młodym jeszcze pisarzu powiedziéć nie można. Na wrażliwym jego temperamencie odbiło się już kilka z kolei wpływów; skoro we francuskiém piśmiennictwie, z którém jest blisko pokumany, prąd naturalistyczny przebrzmiewa, to i p. Moore zapewne na bardziéj sielskiéj zacznie wygrywać fujarce. Nie można zresztą zapomniéć, że ten powieściopisarz posiada wielostronne i gruntowne wykształcenie i że już ta jedna okoliczność nie pozwoli mu nigdy popaść w zdawkową pospolitość.

Jerzy R. Gissing, który zwykle wymieniany był obok Jerzego Moore jako przedstawiciel powieści realistycznéj, nie ma z nim nic wspólnego oprócz tego chyba, że w kilku swych utworach obrał za przedmiot studyów świat literacki i dziennikarski. Wysoce utalentowany ten pisarz, umysł krytyczny, filozoficzny, wybija się dopiéro w ostatnich paru latach na jaśnię; nie jest to rzeczą łatwą w Anglii, gdzie powieściopisarzy liczy się na tysiące. Nie trzeba przedewszystkiém mieszać go z jego krewnym czy imiennikiem, Algernonem Gissing'em, który przyjemniejszy w czytaniu, jest dość popularnym, ale żadną wyższą oryginalnością nie błyszczy. Jerzy R. Gissing przeciwnie należy, zdaniem naszém, do pisarzy, których działalność nie będzie mogła przejść bez wpływu i korzystnego wpływu. Napisał on dotąd jakich sześć czy siedm powieści. Wielkie zagadnienia kusiły go do siebie wtedy właśnie, gdy nie był jeszcze mistrzem formy, gdy nie umiał opanować nawału cisnących mu się do głowy myśli i narzucających mu typów. W ten sposób dotknął kwestyi życia proletaryatu w dwóch powieściach „*Demos*“ i „*Nether World*,“ a kwestyi emancypacyi kobiét, ich walki o wyrobienie sobie stanowiska samodzielnego, w dwóch innych, „*the Emancipated*“ i „*the odd women.*“ Życie polityczne i szkic prowincyonalnego ruchu wyborczego stanowi tło innéj powieści „*Denziel Quarrier.*“ O wszystkich krytyka wyraziła się z wysokiém uznaniem. Nie mamy zamiaru ani nawet miejsca charakteryzować je tutaj po szczególe. Wybraliśmy do tego dwie jego powieści „*New Grub Street*“ oraz „*Born in Exile*,“ jako pozwalające najlepiéj ocenić naturę jego talentu.

A jest ona dość skomplikowaną. Nie znając żadnego szczegółu dotyczącego jego prywatnego życia, nie potrafimy znaleść w niéj klucza do jego umysłowego rozwoju. Gruntowność i rozległość wiedzy oraz dokładna znajomość życia uniwersyteckiego świadczy, że lat młodzieńczych nie stracił. Ciekawém byłoby zbadać, dlaczego umysł tak ścisły skierował się ku twórczości beletrystycznéj i co rozbudziło w nim strony imaginacyjne. Są one w pełnym rozwoju i każda z jego powieści jest żywą, nie tylko interesującą wypadkami i charakterami w niéj działającymi, ale nieraz nawet gorączkowe zajęcie obudza. Posiada on rzadką zdolność wcielania swéj doktryny filozoficznéj w taki dobór indywidualnych figur, że nie mamy przed oczami abstrakcyjnéj tezy, ale istotnie szmat życia. Przeciwko tak pojętemu realizmowi nie możemy podnosić żadnych apryorycznych zarzutów. Realizm Jerzego Gissinga ukazuje się przedewszystkiém w formie, która posiadała dawniéj w wysokim stopniu a posiada nawet jeszcze częściowo i teraz — pewną automatyczną oschłość. Jest on raczéj

sumiennym reporterem aniżeli artystą. Afektacya prostoty i obiektywności bezwzględnéj, umyślne trzymanie na wodzy wszelkiéj uczuciowości pozbawia go powodzenia u kobiét, które jak wiadomo, są trybunałem rozdającym wyroki co do sławy powieściopisarzy nawet w Anglii. Powoli tylko znakomitości literackie są w stanie wywalczyć sobie stanowisko na przedzie, jeśli kobiét nie mają za sobą. Najsłynniejszym tego dowodem jest Meredith. Mamy nadzieje, że Jerzy Gissing nie zestarzeje się, zanim, jak do tamtego, uśmiechnie się sława.

Jest on w całém słowa tego znaczenia pisarzem dnia dzisiejszego. Owa nuta „*modernity*“ o którą się ubiega tak żarliwie cały zastęp autorów, brzmi w każdym jego utworze. Dlatego choćby, polecić go się nie wahamy polskim tłómaczom współczesnych angielskich powieści, którzy nieraz tak niespodziewanie romanse do tłómaczenia wybiérają, iż posądzaćby można, że nie gruntowna znajomość piśmiennictwa, ale traf czysty nimi kieruje. Z powieści Gissinga można w zupełności zrozumiéć, jaki jest nastrój intelektualny i moralny dzisiejszego świata angielskiego i ta harmonia subtelna pomiędzy środowiskiem opisywaném a jego kronikarzem przyczynia się niezmiernie do wywołania zadowolenia w dobrze poinformowanym czytelniku. Mówiąc, że jest on nawskroś dzisiejszym, przygotowaliśmy publiczność do istniejącego w nim nastroju pesymistycznego. Jak na wszystkich bystrych a głębszych spostrzegaczach społecznego organizmu tak i na nim stwierdzenie powszechnéj i indywidualnéj niedoli, widok sił złamanych, nieprzeprowadzonych zamiarów wywołały oznakę współczucia, a współczucie, które dawniéj wyrażać się było zwykło w sentymentalnych wykrzyknikach, obecnie przywdziało postać sarkazmu, ironii, a przynajmniéj zaprawiło całość poglądu zgryźliwością i goryczą łzy połkniętéj. Bezwątpienia i Gissing, jak i inne normalne natury podniosłego ducha, otrząśnie się w dalszych fazach swego rozwoju z chorobliwych naleciałości pesymizmu i zrozumié historyczną konieczność społecznego bytu z jego jasnemi i ciemnemi stronanami. Ale nawet w obecném, duchowém jego stadyum musimy poczuć sympatyę względem pisarza, który posiada jak on zmysł krytyczny i delikatny altruizm, aniżeli względem płytkich optymistów, zaskorupionych w wygodnym egoizmie.

Powieść Gissinga, nosząca nazwę *New Grub Street*, już samym swym tytułem wskazuje, co autor ma na myśli. Wiedzą zapewne czytelnicy, że w klasycznéj epoce Sam. Johnsona cały ruch dziennikarskiześrodkowywał się był na ulicy Grub i przylegającéj do niéj dzielnicy. Nowa ulica Grub zapowiada tedy wizerunek świata publicystów

i dziennikarzy, takiego, jakim go wytworzyły nam stosunki, *up to date*. Istotnie, daleko lepsze wyobrażenie daje nam o nim ten autor aniżeli Moore, chociaż ani do grubiańskich rysów ani do orgii jaskrawych się nie ucieka. Z samego obrazu ściérających się z sobą charakterów możemy dojść do syntetycznie sformułowanych wniosków. Za najwyższą zaletę poczytujemy autorowi to, iż umiał uniknąć przesady, jednostronności i że nie popadł w karykaturę. Dwa wybornie uchwycone typy ześrodkowują na sobie uwagę. Powieściopisarz Reardon, o idealistycznych tendencyach, natura wrażliwa, potrzebująca ciepła sympatyi, wyczerpuje się w walce z trudnościami życia i nieporozumieniach domowego życia i schodzi z pobojowiska nieoceniony, jako moralny i umysłowy bankrut. Dziennikarz Jasper Milvain, piszący nie dla przeprowadzenia idei ale dla zarobku, dla wyrobienia sobie stanowiska i wpływu, jest *par excellence* figurą współczesną. Egoizm jego nie budzi w nas wstrętu, bo go autor zaopatruje w wiele przedziwnych zalet, robi go rozumnym synem i bratem, a jego pracowitość, bystrość, niestrudzona energia, umiejętne kierowanie swą łódką wśród podwodnych skał budzą nawet sympatyę. Ale gdy spostrzegamy, jak bezlitośnie ten sam Jasper Milvain kruszy serce i szczęście wyborowéj istoty, skoro mu staje jako zawada do wdrapania się o kilka szczebli wyżéj na drabinie społecznéj; gdy widzimy jakie *saltum mortale* pajacowskie wykonywa w krytycznéj chwili, wtedy rozumiemy jak głęboko to obmyślany charakter i jak psychologicznie jest prawdziwy. A ile drugorzędnych figur doskonale postawionych i oświetlonych! Do najżywszych zaliczamy Maryannę i jéj ojca, literata zgryźliwego i prześladowanego nie tylko przez los ale i przez samego siebie. Im bliżéj się w téj powieści rozpatrujemy, tém większą przypisujemy jéj wartość. Świat piśmienniczy angielski i istniejące w nim stosunki są tu tłem, które zdaje się nam interesującém nietylko dla literatów z zawodu, ale dla tych wszystkich, którzy o umysłowym wizerunku angielskiego świata pragnęliby posiąść informacyę z pierwszéj ręki.

Większą jeszcze wartość ma druga jego powieść *Born in Exile*. Wygnania nie należy tu brać dosłownie. Jéj bohatér, Godwin Peak, urodzony jest po za światem, do którego pnie się i wkroczyć usiłuje i po za upragnionemi progami którego umrzéć mu przychodzi. Jest to ambicya nowego typu dorobkowicza, dorobkowicza inteligencyi i wyrafinowanéj kultury umysłowéj, demokraty z urodzenia, a czującego wstręt do demokracyi jako takiéj. Należąc do ubogiéj i upośledzonéj rodziny, któréj się wstydzi, wychowany jako stypendysta

w arystokratycznéj szkole, wśród kolegów których swą nauką przewyższa, jest on uosobieniem szlachetnéj ambicyi, a zarazem pospolitéj, materyalnéj zazdrości. Oddaje się naukom ścisłym i piśmiennictwu i pozyskuje sobie zarówno szacunek w gronie intelektualnych znakomitości jak materyalne podstawy bytu. Lecz gryzie go ciągle robak zawiści, a ideałem szczęścia społecznego i indywidualnego wydaje mu się żyć i być traktowanym, jako równy z równymi w kołach arystokracyi urodzenia i bogactwa. Nie może inaczéj dopiąć tego ideału, jak zostając pastorem, bo księża kościoła rządowego są w całém słowa tego znaczeniu *gentlemanami*. Wprawdzie nie posiada wiary ani za złamany szeląg, a przeciwnie naukowe prace jego i panujący w umysłowych kołach Londynu agnostycyzm zrobiły oddawna zeń stanowczego ateusza. Lecz nie waha się kłamać, i przybiera na siebie maskę liberalnego, ale nawskroś umysłu chrześciańskiego. Dzięki téj komedyi mistrzowsko odegranéj, udaje mu się pozyskać przyjaźń rodziny arystokratycznéj i serce wyborowéj dziewicy. Gdy się to moralne oszustwo wykrywa, odtrącony zostaje i przez tych, których opuścił i przez tych, do których chciał się wdrapać. Po kilka razy uśmiecha mu się los następnie, ale zawsze klątwa tego fałszerstwa mści się na nim i umiéra wychyliwszy do dna czarę goryczy i zawodów.

Takie suche streszczenie osnowy téj powieści nie zdoła dać wyobrażenia czytelnikowi o niepospolitéj jéj wartości. Pod względem filozoficznym jest ona o wiele wyższa od słynnych utworów pani Humphrey Ward i całéj szkoły wolnomyślicieli. Najwyższe zagadnienia etyczne i religijne są postawione i rozbierane przez myśliciela stojącego na wyżynach nauk doświadczalnych i moralnych jednocześnie. Żadna powieść nie pokazuje lepiéj przełomu, jaki się dokonał w wykształceniu umysłowém publiczności angielskiéj, i o sposobie poważnym, w jaki się powieściopisarze dzisiejsi na swe zadanie zapatrują. Swoboda, z jaką rozbierany jest stosunek chrześciaństwa do współczesnego społeczeństwa, swoboda, z jaką autor postawił pod pręgierzem kler rządowy w osobie *rev.* Bruna Chilvers, najeżyłyby zgrozą włosy wczorajszego pokolenia. Hypokryzya, na któréj stoi cały organizm towarzystwa wyższego angielskiego, została jakby gorącém żelazem napiętnowana przez autora, a to bez żadnego wykrzykniku, bez żadnego efektownego frazesu, jakby rzecz nie ulagająca najmniejszéj wątpliwości.

Odkłada się tę książkę po jéj przeczytaniu po to tylko, aby do

niéj powrócić przy pierwszéj sposobności, gdyż wszelkie życiowe zagadnienia, które spotykamy na każdym kroku w dyskusyi publicznéj, są w niéj traktowane poważnie, wielostronnie, a bez źdźbła pedantyzmu. Nie o wielu utworach beletrystycznych dałoby się coś podobnego powiedzieć. Nie wątpimy, że pisarz, który był zdolny taki utwór stworzyć, ma w sobie wszystkie dane do zajęcia w piśmiennictwie współczesném przewodniego stanowiska. Gdyby więcéj jemu podobnych liczyła szkoła realistyczna, nie potrzebaby czynić zastrzeżeń, wpisując się do jéj szeregów.

N. T.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dawid J. Wł. „Nauka o Rzeczach.“ Rys jéj historycznego rozwoju, podstawy psychologiczne, metoda oraz wzory lekcyi. Wydawnictwo „Przeglądu Pedagogicznego.“ Warszawa, 1892, w. 8-ka, str. 691.

Już po pierwszém przeczytaniu wydać się musi każdemu niniejsze obszerne pismo warszawskiego pedagoga nader cennym nabytkiem dla naszéj literatury pedagogicznéj. Nie brak może będzie i takich recenzentów, którzy zaraz powiedzą, że od czasów „Chowanny“ Bronisława Trentowskiego — a więc od pół wieku — nie mieliśmy dzieła, któreby z równą znajomością rzeczy, starannością, zamiłowaniem i sumiennością traktowało choćby o jednéj tylko gałęzi pedagogiki umiejętnéj. Rozpatrzywszy się wszakże bliżéj i lepiéj w dziele p. Dawida, przekonywamy się zarazem, że tak korzystny sąd łatwiéj wydać pod pierwszém wrażeniem „białego kruka“ w naszéj pedagogice, aniżeli uzasadnić go szczegółowo.

Kto tylko przywykł odróżniać dzieła czysto oryginalne od pism, samodzielniéj tylko jakiś przedmiot opracowujących, będzie może i w niemałym kłopocie, gdy mu wypadnie orzec, do jakiéj z tych dwu ketegoryi zaliczyć książkę p. Dawida. Jeżeli np. już z saméj dedykacyi: „uczennicom swoim“ możnaby wnioskować, że autorowi chodziło tylko o podręcznik dla mniéj wprawnych do „początkowego nauczania,“ to przemawia przeciwko takiemu przypuszczeniu mniejsza część dzieła poświęcona historyczno-krytycznym roztrząsaniom kwestyi nauki początkowéj. Już ta część pracy nie licuje wcale z przypuszczalnym charakterem podręcznika. Zaraz bowiem stąd widoczna, że autor nie podjął się tych rozległych studyów tylko dla siebie samego,

lecz, że chciał także wprowadzić i czytelnika w sferę takich kontrowersyi, które wymagają już pewnych wyżyn naukowych. Z drugiéj jednak strony, następna — systematyczna część dzieła wyłożona jest w takim tonie, że niepodobna odróżnić nigdzie prawie własnych poglądów autora od przyswojonych sobie przez niego teorematów z innych pisarzy. Tylko w kilku mniéj ważnych miejscach powołano tutaj innych pracowników pedagogicznych. Dlatego w oczach jednych krytyków może uchodzić ta część dzieła za całkiem oryginalną. Skoro zaś sam autor nigdzie nie mówi, jakoby ten lub ów pogląd był własnym jego pomysłem, więc inni krytycy mogą wziąć wszystko tylko za proste opracowanie obcych teoryi a całéj pracy przypisać charakter większego kompendyum.

Bądź jak bądź, przyznać należy sprawiedliwie, że p. Dawid wyzyskał głównie gotowe już wyniki obcych na tém polu pracowników, a wyzyskał skrzętnie i zręcznie. Jeżeli i taka, w każdym razie niemałych studyów i zupełnego panowania nad przedmiotem wymagająca praca, jest w zakresie zaniedbanéj naszéj literatury pedagogicznéj, już pewną oryginalnością, to przyznać także wypada dziełu pana Dawida i pod względem naukowym daleko większą zasługę, aniżeliby np. gdziekolwiek zagranicą mieć mogło. Dodajmy do tego widniejącą na każdym kroku mrówczą pracowitość autora, szczere przejęcie się badanym lub omawianym przedmiotem, i niczém niezamąconą ogólną podstawę umiejętną a przystąpimy z całym szacunkiem dla autora do ocenienia pożytecznéj jego pracy.

Dzieło zaczynać się było powinno od rozdziału drugiego, części pierwszéj, gdzie miała być wyłożona „geneza współczesnych kierunków w nauce o rzeczach.“ Zamiast mniemanéj „genezy“ znachodzimy tu wprawdzie tylko proste stwierdzenie lub opowiedzenie faktu, że idea nauki przedszkolnéj i szkoły ludowéj, wyłoniła się dopiéro z przeszłowiecznych usiłowań pedagogicznych. W każdym jednak razie, podane tu wiadomości znaleść mogły stosowniejsze, bo bardziéj „historyczne“ miejsce przed wykładem, wcale trafnie zresztą rozgatunkowanych „współczesnych kierunków w nauce o rzeczach,“ któremi zajmuje się rozdział pierwszy. Ale i ten rozdział zyskałby był także więcéj jasności i przejrzystości, gdyby autor był go podzielił na wyraźne paragrafy, wedle upatrzonych w tych kierunkach „celów i zadań“ nauki o rzeczach. Te charakterystyczne cele i zadania oddaje autor na str. 10 w dziewięciu kategoryach, szkicuje potém i krytykuje każdą z osobna, by ostatecznie od str. 149 rozprawić się z zasadniczymi przeciwnikami téj nauki początkowéj w ogólnym planie nauczania.

Niepodobna zaprzeczyć, że omawianych tu pisarzy zna zawsze autor z pierwszéj głównie ręki. Podając ważniejsze ich tezy i streszczając niekiedy całą ich naukę, wyraża się p. Dawid zwięźle a przytém jasno i dobitnie. Z jego np. notatki o Grassmanna „Ćwiczeniach myśli i mowy“ (str. 22 i nast.) nabyć może uważny czytelnik o wiele dokładniejszego wyobrażenia o teoryi niemieckiego pedagoga, aniżeli z artykułu: „*Anschauungsunterricht*“ w Schmida, „Encyklopedyi wychowawczéj“ (2 ed. str. 153 i nast.). Że takie bezpośrednie studya wybitniejszych i bardziéj wpływowych pedagogów tylko dodatnio wpłynąć mogły na krytyczny sąd autora naszego — to nie wymaga bliższego z naszéj strony wyjaśnienia. Tém więcéj wszakże razić nas musi stwierdzona tutaj nieznajomość dzieł Froebla, którego system dopiéro na końcu książki (str. 660 i nast.) surowéj poddany jest krytyce. Gdyby téż p. Dawid zapoznał się był z samemi pismami Froebla i nie polegał w tym jedynie względzie na niezbyt szczęśliwie utartych wiadomościach z rąk drugich, albo nawet na wcale już nieszczęśliwych zastosowaniach w praktyce — byłby niezawodnie wśród swoich poniekąd i słusznych zarzutów przeciwko ogródkom froeblowskim, nie przeoczył esencyonalnéj myśli dodatniéj, tkwiącéj w zabawach dziecięcych, wprowadzonych przez Froebla. Stwierdzoną mianowicie jest rzeczą przez doświadczalną psychologię dziecka, że nic tak daleko odbiega od jego pojętności, jak dokładne wyobrażenie figur i kształtów, że wogóle element matematyczny jest pierwotnie najbardziéj obcy umysłowi dziecięcemu. Otóż właśnie ten niedostatek natury dziecka miał Froebel głównie na oku, wymyśliwszy takie środki, któreby w dziecku pobudzały wyobrażenia kształtu, położenia, liczby porządku i t. d. Zabawki téż froeblowskie w rozmaitych swych kombinacyach mają dostarczyć dziecku tych wyobrażeń, do których puszczone samopas w swoich zabawach, z trudnością tylko dotrzéćby mogło. Ten zaś matematyczno-mechaniczny pierwiastek, uświadomiony stopniowo w umyśle dziecka, zniewala je do ścisłego pojmowania form i sztucznego używania rąk w rozmaitych układach i składach. Wobec najnowszéj naszéj kultury, polegającéj głównie na ścisłych naukach przyrodniczych i idącym z niemi w parze przemyśle, nie godzi się i w początkowém nauczaniu zaniedbywać matematyczno-przyrodniczych elementów. Skoro więc sam p. Dawid za gorąco nawet przemawia za racyonalném przyrodoznawstwém już w wieku dziecięcym (zob. np. str. 528 — 529), nie powinien był żałować czasu na równie gruntowne studya umiejętnéj podstawy i systemu Froebla, któremu pod wspomnianym właśnie względem nie można odmówić racyi i praktycznego znaczenia.

Prawdziwą ozdobą części krytycznéj dzieła p. Dawida mógłby był być dział, poświęcony historycznemu rozwojowi pedagogiki polskiéj, odnoszącéj się głównie do początkowéj instrukcyi. Nawet język autora, gdzieindziéj szorstki i rażącemi częstokroć popstrzony germanizmami, jest tutaj czysty, jakby na dowód, że obcych wzorów nie było tu do dyspozycyi. Chociaż jednak autor sam oświadcza wyraźnie, że nie miał zamiaru dawać nam wykończonego obrazu ruchu historycznego téj gałęzi naszéj pedagogiki (por. str. 277), wytknąć mu przecież musimy zbyt pobieżne i lekkie traktowanie téj literatury pedagogicznéj, któréj zarzuca „frazeologiczną napuszystość“ (str. 258), pomawiając ją wogóle o „mały poziom teoretyczno-naukowy“ (str. 277). Zarzut taki stosuje autor do najnowszéj „literatury galicyjskiéj, najuboższéj w prace dla danego przedmiotu specyalne“ (ibid.); przyznaje jéj wprawdzie „trzymanie się historycznego podkładu i ciągłości tradycyi, jak również i sumienne przystosowanie się do realnego gruntu istniejącéj szkoły“ (*l. c.*), ale polegając co do wydawnictw galicyjskich głównie „na informacyi p. Wł. Nowickiego“ (zob. str. 244, uwaga) zbywa rzecz całą na kilku zaledwie kartkach (str. 444 — 454). Tymczasem łatwo było dokładniejsze miéć informacye z „Bibliografii pedagogicznéj,“ zawartéj w drugim tomie warszawskiéj „Encyklopedyi wychowawczéj“ (1882); o późniejszych zaś pracach mógł się niemniéj łatwo dowiedziéć p. Dawid z lwowskiego czasopisma „Szkoła,“ która wychodzi jeszcze od r. 1868. Krzywda także nie mała dla naszych pracowników na niwie szkolnictwa ludowego, że i o téj „Szkole“ nie czyni autor najmniejszéj wzmianki, lubo o podobném czasopiśmie poznańskiém szerzéj się nawet rozwodzi.

Znając to wpływowe u nas pismo, którego niejeden rocznik niepospolitą posiada wartość, byłby może p. Dawid zmodyfikował cokolwiek swój bezwzględny wyrok o najnowszych naszych usiłowaniach na tém samém polu, na którém niegdyś doświadczali swoich sił nasamprzód i pedagogowie europejscy. W każdym zaś razie byłby się ustrzegł wielu faktycznych błędów, jak np. niewiadomości, że ułożony jeszcze około roku 1870 przez J. Starkla (nie Hip. Seredyńskiego — jak autor twierdzi na str. 252) elementarz przestał już w r. 1890 obowiązywać w naszych szkołach ludowych. Z tego powodu nad napisanym do niego „Przewodnikiem“ H. Stroki (1881—1884) nie było już potrzeby wcale się zatrzymywać (zob. str. 252—254). Wprawdzie o wydanéj równocześnie z dziełem p. Dawida instrukcyi do nowego elementarza polskiego, ułożonéj przez pp. M. Baranowskiego i J. Fąfarę (Lwów 1892) mógł autor nie wiedziéć, ale to nie ulega wątpliwości, że wszystkie wzmianki o naszéj szkole ludowéj są bez wartości,

jeżeli wychodzą z ust autora, nieznającego także „Planów nauki dla szkół ludowych pospolitych i wydziałowych, wydanych przez ces. król. radę szkolną krajową“ (Lwów 1879). Ciekawém bardzo byłoby stąd dla pana Dawida np. pytanie, czy plany te mogły czynić zadość przyjętéj w nich zasadzie „nauki poglądowéj,“ która jest jednym z głównych tematów jego pracy. Jak rozległą i wszechwładną była w nich ta zasada, świadczą najlepiéj przepisane już na „pierwszy rok nauki“ „ćwiczenia wstępne, w rozmowach na poglądzie opartych, o rzeczach wziętych z najbliższego otoczenia dziecka i najlepiéj mu znanych,“ które miały wyraźnie „przysposobić dzieci do myślenia i zrozumiałego wyrażania się!...“ (Plany z r. 1879 str. 7). Czy wchodzące w życie z obecnym rokiem szkolnym nowe „Plany Naukowe dla szkół ludowych pospolitych wraz z instrukcyą“ (we Lwowie 1893) obiecują sobie także tak błogie skutki z „poglądu,“ i czy nowy elementarz, w tym roku wprowadzony, nie odstępuje znowu od zasad poprzedniego — na te pytania nie umielibyśmy jeszcze odpowiedzieć nawet wtedy, gdyby wchodziły w zakres niniejszéj recenzyi. Nie odbiegniemy zaś od rzeczy, stwierdzając ostatecznie, że wytknięte właśnie braki historycznéj części dzieła pana Dawida mogą już z góry niejednego z naszych praktycznych pedagogów źle usposobić do całéj jego pracy, która dopiéro w części systematycznéj — niewłaściwie „teoretyczną“ nazwanéj — daje naoczne dowody ściśle umiejętnych dążności autora.

Tutaj dopiéro musiał autor stanąć na gruncie filozoficznym i policzyć się z temi zasadami ogólnéj pedagogiki, bez których żadnéj gałęzi nauczania i wychowania nie można ani uzasadnić ani usprawiedliwić. Jest rzeczą niezawodną, że na polu pedagogiki filozoficznéj największe zasługi położyła dotąd szkoła Herbarta w Niemczech i w Austryi. Chociaż w ostatnich dziesięcioleciach wiele teorematów Herbarta albo zupełnie runąć, albo zachwiać lub zmodyfikować się musiało (Zob. Koezle, Joh. Fr. G. *Die pädag. Schule Herbarts und ihre Lehre dargestellt und beurtheilt. Gekrönte Preisschrift. Gütersloh* 1889), przecież nie zmieniło to rzeczy w oczach tych, którzy z jednéj strony od opracowanéj po szkolnemu etyki Herbarta i nielicznych już jego zwolenników odstąpić nie mogli, a z drugiéj znów z powodu niemałego rozstroju na polu dzisiejszych badań psychologicznych nie umieli także dla pedagogiki wytworzyć takiéj podstawy psychologicznéj, któraby nie naruszyła umiejętnéj jéj cechy. Psychologia zaś i etyka są — jak wiadomo — pierwszemi podstawami pedagogiki naukowéj. Otóż i p. Dawid należy do téj kategoryi uczonych, którzy ze szkołą Her-

barta nie mieli jeszcze powodu zrywać co do ważniejszych kwestyi lub momentów zasadniczych.

Zależność taką od teoryi Herbarta okazuje p. Dawid nasamprzód stanowczém twierdzeniem swojém, że wszelka nauka moralnoszi w porze t. zw. przedszkolnege nauczania jest nietylko nieskuteczna, ale najczęściéj nawet szkodliwa. Autor nasz stwierdza (str. 285 i nast.), że na tym stopniu rozwoju umysłowości dziecka, przeważna jego działalność umysłowa zwraca się na zewnątrz, że wtedy cała uwaga i główny interes dziecka przywiązuje się naturalnym popędem do przedmiotów świata zewnętrznego, gdy tymczasem wewnętrzna refleksya i uczucie całkiem jeszcze w uśpionym znachodzą się stanie. Dlatego — sądzi p. Dawid — „punkt ciężkości w nauczaniu okresu tego leżéć nie może w części jego obejmującéj moralną naukę o człowieku oraz naukę języka... Jak w okresie niemowlęctwa dziecię poznaje już mnóstwo rzeczy wprzód nim nauczy się nazwy ich rozumiéć i wymawiać, tak téż i w dalszym jego rozwoju, poznanie rzeczy wyprzedzać powinno i górować nad znajomością form. Zwracając przedwcześnie działalność dziecka w sferę wewnętrzną refleksyi i fantazyi i świata symbolów, pozbawiamy je korzyści, do osiągnięcia których usposabia je szczególniéj w tym czasie kierunek jego interesu i panująca zdolność poznania dokładnego rzeczy zewnętrznych...“ (str. 287—288).

W bezwzględną słuszność tego zapatrywania i wszystkich, płynących stąd następstw, nie wchodzimy tu wcale. Przytoczyliśmy wszakże własne słowa autora także dlatego, że już z nich widoczna, iż niesłusznie zarzucono p. Dawidowi, jakoby hołdując jednostronnemu intelektualizmowi ignorował zupełnie moralną stronę w wychowaniu początkowem lub konieczności jéj nie uznawał wcale (zob. Gąsiorowski, Fl. K. „Nauczanie początkowe.“ Z powodu dzieła P. Wł. Dawida. „Bibloteka Warszawska,“ rok 1893, t. I, str. 514—544; szególniéj ustęp IV). Cenny zresztą bardzo sam dla siebie artykuł p. Gąsiorowskiego nie byłby utracił nic ze swéj wartości, gdyby autor, przemawiający słusznie za potrzebą moralnego wychowania, był się sam jeszcze z krytycznéj części książki pana Dawida przekonał, że winien tu tylko Herbart. Już na str. 134 powołuje p. D. trzykrotnie Herbarta na świadectwo bezużyteczności i szkodliwości zawczesnego wpajania maksym moralnych w dziecięce jeszcze umysły (zob. tamże uwagę). Co najwięcéj zatém, można i w systematycznéj części obwiniać p. Dawida o zgodność w téj mierze z Herbartem, nigdy zaś o bezwzględne kwestyonowanie moralnego wychowania. Pod tym téż względem słuszną jest późniejsza obrona pana Dawida (w „Bibliotece Warsz.“ 1893, t. II,

str. 233); nie zawadziłaby była tylko jeszcze wzmianka, że autor miał za sobą plecy Herbarta, ale to już rzecz inna!

Natomiast bliższym już słuszności był zarzut, uczyniony z téj saméj strony p. Dawidowi z powodu naśladownictwa psychologii Herbarta. Ruszono tu całym arsenałem obecnych badań psychologicznych przeciwko t. zw. asocyacyjnéj psychologii, powstałéj niegdyś w Anglii a przez Herbarta w zasadzie przyjętéj i gorliwie bronionéj. Nie mamy bynajmniéj zamiaru przemawiać za głównem usiłowaniem Herbarta, zmierzającém do wytłómaczenia wszystkich zjawisk psychicznych z t. zw. mechanizmu wyobrażeń, polegającego na ich kojarzeniu się; pomimo tego nie możemy potępiać z góry zasadniczego posługiwania się „asymilacyą" w pedagogice p. Dawida. Już bowiem pierwéj daliśmy do zrozumienia, że w pedagogicznéj, a więc zastosowanéj psychologii trudno zapuszczać się w niedostępny jeszcze wir wszystkich współczesnych teoryi i na własną rękę i własne ryzyko wybiérać sobie stąd to, co do własnych zapatrywań pedagogicznych najlepiéj przystało. Trudność ta jest tém większa, że obecnym teoryom psychologicznym brak jednomyślności w najważniejszych niekiedy kwestyach. Kto zatém własnym doświadczeniom psychologicznym boi się jeszcze zaufać, zrobi istotnie najlepiéj, trzymając się w pedagogice tych teoryi, które dotąd najwięcéj były stosowane praktycznie. Ani psychologii Lotzego, ani Wundta, niewprowadził dotąd nikt jeszcze na te rozmiary do pedagogiki, jak psychologią Herbarta. Kto więc nie dociéra w swoich badaniach aż do tego punktu, gdzie okazuje się jasno zależność psychologii Herbarta od zawiłéj i bałamutnéj jego metafizyki, ten nie zważając na jéj zasadnicze niedostatki, łatwo daje się uwieść na dalszém polu pedagogiki skrzętnéj i pracowitéj szkole Herbarta. Taki los spotkał i pana Dawida, a z wymienionych właśnie przyczyn musimy go usprawiedliwić.

Herbart dedukuje i naszą świadomość ze wspólnego zetknięcia się przyjętych z góry pierwiastkowych jestestw realnych (*Zusammensein der Realen*), które są podstawą jego metafizyki, dążącéj do wytłómaczenia wszechbytu. Te „reały" — jeżeli je tak nazwaćby można — ściérają się i wypiérają nawzajem; stąd mają powstawać reakcye, które dążą do „samozachowania" (*Selbsterhaltung*). To znów „samozachowanie," upatrywane wszędzie przez Herbarta, poznajemy bezpośrednio wtedy, kiedy niedostępna dla nas realna podstawa naszéj duszy stara się utrzymać (zachować) i przeciwko działaniu innych „realów;" w takim razie mówimy, że mamy „wyobrażenia." Psychologia jest nauką tylko o tych zjawiskach wewnętrznych, których doświadczamy w refleksyi na samozachowawcze czynności duszy;

duszy zaś saméj nigdy poznać nie możemy, bo ta jest substancyą pojedyńczą. Owe czynności samozachowawcze czyli wyobrażenia duszy, będącej tylko obojętnym podkładem ich wspólnego istnienia, zostają znów do siebie w takim samym stosunku, jak wszystkie „reały“ na świecie: ścierają się więc i wypierają wzajemnie. Na podstawie takiego wzajemnego napięcia wyobrażeń tłómaczy Herbart cały przebieg umysłowego życia naszego.

Chociaż zapomniano już dzisiaj o tym metafizycznym punkcie wyjścia psychologii Herbarta, czego tu bliżéj rozwijać nie mamy potrzeby, to przecież wielu hołduje jeszcze dalszym stąd konsekwencyom w ten sposób, jakgdyby żadnych nie mały założeń. I tak, wskutek rzeczonego napięcia tracić ma każde wyobrażenie nasze cośkolwiek ze swéj siły i intensywności a od stopnia téj intensywności zależéć ma cała nasza o nich świadomość. „Progiem świadomości“ nazywa Herbart najmniejszą siłę potrzebną wyobrażeniom do tego, ażeby były wyobrażeniami rzeczywiście. Jeżeli jedno wyobrażenie wyprze drugie po za ten próg czyli poziom świadomości, wówczas przemienia się to wyparte wyobrażenie w nieświadomy „popęd;“ wszystkie zaś nasze uczuciu i chcenia wypływać mają także ze wzajemnego ściérania się i wypiérania wyobrażeń. Tym sposobem wszystkie stany psychiczne wyjaśniał Herbart ze „statyki i mechaniki“ wyobrażeń i zbudował stąd na wspomnianéj już podstawie metafizycznéj caly misterny i kunsztowny gmach „psychologii asocyacyjnéj,“ którą potém przyjmowano za dobrą monetę bez względu na chwiejne jéj założenia, o które i p. Dawid nie widział potrzeby się troszczyć. Skoro téż Herbart w dalszym wykładzie swoich teoryi położył główny nacisk na dochodzenie tego procesu, którym nowo powstające wyobrażenia „asymilują się“ do istniejących już w duszy naszéj wyobrażeń, nie dziw więc, że i dla p. Dawida jest ta „asymilacya“ *alfą* i *omegą* tych jego psychologicznych wywodów, które dotyczą stopniowego rozwoju umysłowego. Przyznać należy, że związawszy z tém wszystkiém najważniejsze zagadnienia pedagogiczne, jak kwestyę rozbudzenia „interesu,“ koncentracyi i t. d., wywiązał się autor z całą znajomością rzeczy z podjętego zadania. Trzy rozdziały jego dzieła poświęcone początkom psychologicznym („Przyswajanie umysłowe:“ 5, 8—45; „rozwój umysłowy:“ 5, 46—64; „dziecko:“ 5, 65—69) lubo nie przekraczają w zasadzie granic systemu Herbarta, przedstawiają prawidła psychologiczne tak jasno i dobitnie, że we wszelkiém nauczaniu oddać mogą daleko lepsze usługi, aniżeli kursujący w Galicyi podręcznik, ułożony na podstawie psychologicznego kompendyum Crügera, które także nie może jeszcze zakończyć swego żywota w tamecznych gimnazyach.

Rażą tylko za częste powtarzania i powoływania się na to, co już raz lub kilka razy było powiedziane. Ale ta wada, cechująca zresztą całą książkę, zmalałaby znacznie, gdybyśmy pracę pana Dawida przedstawić sobie mogli jako szereg ustnych wykładów, mianych w jakiémś kółku a potém w jedną całość zebranych. Wówczas te ciągłe rekapitulacye, które teraz zdradzają pewne niedowierzanie czytelnikom ze strony autora, byłyby tylko dowodem niepospolitego jego daru wykładania i nauczania.

Główna wszakże zaleta pracy pana Dawida polega w tych rozdziałach na tém, iż rozeznał trafnie właściwą podstawę umiejętnéj pedagogiki Herbarta. Odłożywszy bowiem już na bok wszelkie przypuszczenia metafizyczne, uznać musimy, że tą naukową podstawą jest z jednéj strony owa mechaniczna konieczność przebiegu naszych wyobrażeń, a z drugiéj bronione również przez Herbarta zdanie, że z téj konieczności wypływają także i wszelkie działania dowolne, jako nie mniéj konieczne stosunki. Stąd tłómaczy się dopiéro podniesiona już wyżéj zależność pedagogiki od etyki i psychologii. Etyka wytycza cel wychowania, t. j. to moralne kształcenie charakteru, którego nie pomija i p. Dawid, mówiąc na początku części t. zw. „teoretycznéj“ o ogólnym celu i programie nauczania; psychologia zaś wykłada nam cały mechanizm urzeczywistnienia tego charakteru. Z właściwości też tego mechanizmu wyprowadził Herbart niemożliwość moralnego kształcenia charakteru w początkowém nauczaniu. A podobnie, jak w téj mierze oparł się p. Dawid na Herbarcie, tak i na jego sposób przy pomocy t. zw. apercepcyi tłómaczy nam najgłówniejszą kwestyę psychologiczną: nasze „Ja.“

Wprawdzie pojęcie apercepcyi wprowadził już Leibniz (*Nouv. Ess.* II, 9, 4) do badań psychologicznych. Ale Leibniz odróżnił tylko te stany psychiczne, w których dusza wyobrażenia tylko dzierży, od takich, w których ma o nich świadomość, i nazwał pierwsze „percepcyą,“ drugą „apercepcyą.“ Przez apercepcyą więc rozumiał Leibniz ten proces psychiczny, mocą którego nieświadome, niejasne lub zawiłe wyobrażenia przemieniają się nasamprzód w jasne i dokładne, by potém w duszy się uświadomić. To „przeświadczenie się wewnętrzne“— jakby z Janem Śniadeckim można nazwać „apercepcyą“ —jest tedy w duchu nauki Leibniza głównym warunkiem przyswajania wyobrażeń naszemu umysłowi. Kant również poczytywał apercepcyę za bardzo ważny wynik w przebiegu naszego pojmowania, gdyż już w samém spostrzeganiu przyznał jéj syntetyczną rolę. Chociaż późniejsi psychologowie rozmaite o istocie téj funkcyi umysłu podawali teorye, nie zaprzeczono już nigdy zdania, że nie zdając sobie sprawy z dokła-

dnego pojęcia apercepcyi, pozbawiamy się ważnego środka do wytłómaczenia zasadniczych zjawisk życia psychicznego. Najbardziéj wszakże różnią się między sobą zapatrywania na jéj istotę Herbarta i Wundta. Kiedy Herbart widzi ją w tém, że nowopowstające wyobrażenie zostaje przyjęte (przyswojone, asymilowane) w związek zawartych już w duszy wyobrażeń, to Wundt formułuje jéj pojęcie ogólnie jako *„Eintritt einer Vorstellung in den Blickpunkt des Bewustseins.“* Kiedy zatém Herbart uważa nasze „Ja“ za wędrujący niejako punkt, w którym zbiegają się każdocześnie „apercepujące“ wyobrażenia z „apercepowanemi,“ a wskutek tego całą apercepcyę za proces odbywający się w duszy tylko mechanicznie — to Wundt poczytuje ją za objaw wymagań duszy, za nieodzowny skutek uwagi, połączonéj przeważnie już z naszą wolą. Skoro racyonalniejsza bądź co bądź teorya Wundta do pedagogiki zastosowaną wszechstronnie jeszcze nie została, więc nie ma co i tego brać za złe panu Dawidowi, że przyjął apercepcyę w znaczeniu „ustaloném przez szkołę Herbarta i po części filozofów angielskich, w przeciwstawieniu do szkoły Wundta, w któréj apercepcya jest jednoznaczna prawie z pojęciem woli“ (str. 409, uwaga). Swoją zaś drogą jest to „przeciwstawienie“ całkiem niezrozumiałe dla tych czytelników, którzy nie wiedzą, jak odrębne od Herbarta a jak pokrewne z Schopenhauerem znaczenie nadał woli Wundt w całym swoim systemie!

Dalsza część książki pana Dawida o metodzie nauczania początkowego wydaje się nam najbardziéj samodzielnie opracowaną. Jest-to tém większą jéj zaletą, że i z porządku rzeczy wypływało, aby tutaj zogniskowały się wszystkie dydaktyczne usiłowania autora. Z poprzedniego rozdziału dowiedzieliśmy się jeszcze, że całe rzeczowe poznanie (będące zadaniem pierwszéj „nauki o rzeczach“), wyczerpuje się stopniowo z nabyciem pojęć 1-o „części“ spostrzeganych rzeczy, 2-o ich „własności“ czyli „cech,“ a 3-o odnośnych „typów.“ Trzy te kategorye stanowią filozoficzną podstawę pedagogiki naszego autora. Do nich stosuje p. Dawid nietylko w rozdziale V całe metodyczne postępowanie pod względem teoretycznym, ale wedle nich podaje także w rozdziale VI, praktyczne wzory szczegółowéj „nauki o rzeczach.“ Wszakże studyum obszernéj jego pracy nie przyniesie najmniejszéj korzyści temu, kto nie oswoi się z temi teoretyczno-poznawczemi założeniami jego dzieła. Rozumie się samo przez się, że i każdy czytelnik łatwiéj pójdzie za tokiem myśli i argumentacyi autora wtedy, jeżeli zgodzi się bez zastrzeżeń na to, że rzeczone trzy kategorye są rzeczywiście nieodpartemi podstawami bezpośrednich

poznawań naszych. Ktoby się wszakże pokusił o filozoficzną krytykę tych zasadniczych punktów wyjścia pana Dawida, który miejscami wdaje się w wykład i teoryi logicznych (np. str. 379 i nast. gdzie szkicuje cały przebieg przedmiotowego poznania), ten oczywiście podnieśćby musiał głos raz: przeciwko szablonowemu sposobowi, jakim autor stosuje swoje teorye do początkowego nauczania, a powtóre i przeciwko kardynalnym wynikom całéj jego pracy.

Jednym z takich wyników byłaby okoliczność, że bez bronionego przez autora „przedszkolnego“ nauczania, które „w przygodny sposób“ odbywać się winno, nie możliwąby była wszelka instrukcya już „szkolna.“ Wiemy zaś wszyscy, że codzienna praktyka zakłada przeciwko temu swoje wielomówne „*veto!*“ Teorye więc pana Dawida mogą mieć tylko akademicką wartość, bo wprowadzić w życie dałyby się tylko w wyższych warstwach naszego społeczeństwa, a dawny rozdział edukacyi na „szlachecką“ i „chudopacholską“ stałby się nieodzownym. Ale to tylko mimochodem, bo ważniejszą rzeczą są obecnie dla nas ewentualne zarzuty przeciwko wspomnianym teoretycznym założeniom, które są źródłem wszystkich jego wywodów.

Jeżelibyśmy bowiem zarzucić tylko chcieli, że „typowość“ mieści się już w kategoryi „własności,“ że więc jest także rodzajem „cechy,“ lubo cechy zasadniczéj, to zachwiałoby się już całe troiste rusztowanie autora i oparte na niém wszystkie schemata w systematycznéj części książki. Gdybyśmy daléj zarzucili także, że owe trzy kategorye nie wyczerpują jeszcze i początkowych stopni poznawania, gdyż brak tu względu na stosunki rzeczy, to pokazałoby się także, iż nie uwzględniwszy z jednéj strony stosunków przestrzennych i czasowych, a z drugiéj przyczynowych, pozostawił p. Dawid w swoim systemie bardzo wielką lukę. Wobec znanego nam jego żądania, zmierzającego do racyonalnego poglądu na przyrodę już w latach dziecięcych, nie dadzą się te niedostatki témbardziéj usprawiedliwić, że taka nauka nie mogłaby się obyć bez zwracania uwagi na doniosłość przyczynowego związku w spostrzeganych zjawiskach natury. Czy z tém wszystkiém nie wypadałoby także połączyć zarzutu, że nasz autor jest i stronnikiem formalistycznéj logiki Herbartowskiéj, nie rozstrzygamy tego pytania.

Dołączone praktyczne „wzory lekcyi“ dają nam nakoniec poznać w autorze niepospolitéj miary pedagoga, który dla najdrobniejszego szczegółu w praktyce starał się o umiejętną podstawę. I na tém właśnie polega ogólna wartość całéj pracy pana Dawida, że bądź cobądź pokusił się sumiennie i starannie o utorowanie drogi do tych umie-

jętnych zasad pedagogicznych, na które u nas tak mało baczono dotyczas.

Lwów, w sierpniu 1893.

Dr. Aleksander Skorski.

Kazimierz Rojan. „Maska“, powieść współczesna. Lwów, 1893, Warszawa.

Cechę charakterystyczną bohatérów naszéj współczesnéj beletrystyki stanowi przeważnie brak woli, słabość charakteru, niezdolność do spełniania wielkich czynów, a nawet do pragnienia tychże. Oczywiście, takie fotograficzne zdjęcia ludzkiéj pospolitości i znikczemnienia, zarówno jak obracanie się w ciasném kółeczku codziennych trosk i interesów, nie wpływa dodatnio na obudzenie w czytelnikach tych wzniosłych zapałów, z których rodzą się szczytne uczucia i szlachetne czyny.

Refleksye niniejsze nasunęły się nam po przeczytaniu najnowszego utworu młodego autora galicyjskiego, który w osobie swego — może cokolwiek zbyt powieściowego — bohatéra nie poszedł za prądem, lecz dał piękny typ człowieka ukutego ze śpiżu.

Cierpienie hartuje go, przeciwności dodają mu skrzydeł, a choć zbyt może łatwo i szybko pozwala Rojan ulubieńcowi swemu osiągnąć cel wielki a śmiały, niepodobna jednak zaprzeczyć, że taki przykład wytrwałości i pracy w artystyczną ujęty formę, pobudzi niejedną szlachetną ambicyę i doda zapału do walki.

Taką to walkę podjął właśnie bohatér powieści Rojana zatytułowanéj „Maska“.

Roman Urmin — to rozbitek magnackiéj niegdyś fortuny, strwonionéj lekkomyślnością jego przodków i zagrabionéj dzięki chciwości ludzkiéj. Ojciec jego, szuler i pijak, pozostawił w dodatku synowi nadszarganą opinię, a więc jeszcze jedno brzemię, z którém młodzieniec borykać się musi. Roman kształci się na lekarza, lecz namiętna, choć młodzieńcza miłość do dalekiéj kuzynki, pięknéj, zalotnéj Stefy Czarnomińskiéj, która odtrąca posępnego Urmina dla bezdusznego a bogatego Wyrwicza—wykoleja go z raz obranéj drogi.

Hasło wojny, rozgrywającéj się właśnie nad brzegami Mozelli i Renu, pociągnęło niemal magnetycznie młodego desperata, którego ognista dusza potrzebowała się skąpać w strumieniach krwi i wirze bojowym, zahartować się w trudzie i niebezpieczeństwach. Nadmienić tu trzeba, że opis nieszczęśliwéj w skutkach wojny francusko-pruskiéj i bitwy pod Chateaudun, należy do najbarwniejszych ustępów powie-

ści, znać, że w autorze samym dźwięk pobudki bojowéj wywołuje żywsze bicie serca i zapał rycerski.

Po smutném zakończeniu tak szczęśliwie rozpoczętéj kampanii, Urmin zgnębiony i ranami okryty znalazł pożądaną ciszę i odpoczynek w rodzinie Mazurów, Polaków, osiadłych na ziemi belgijskiéj, którą nauczyli się uprawiać kunsztownie, niby najpiękniejsze ogrody, czerpiąc stąd nadzwyczajne zyski. Tu nabiera Roman wiadomości i zamiłowania do wzorowéj uprawy roli i wkrótce otwiera w Wiedniu zakład ogrodniczy do spółki z młodym Mazurem, swoim towarzyszem broni, któremu pod Chateaudun uratował życie.

Zakład rozwija się świetnie, dając wspólnikom znaczne dochody, wtedy to Roman powraca do swéj rodzinnéj wioski Zagórzanki, któréj jedynie drobna część mu pozostała. Zdobywszy fachową umiejętność prowadzenia interesów i pewien kapitał, zakreśla sobie teraz cel olbrzymi i trudny do urzeczywistnienia, a mianowicie złączenie w swoich ręku całéj wydartéj mu Urmińszczyzny.

Jednak nietylko zadowolenie osobistéj ambicyi jest mu bodźcem do pracy, gdyż po za tém uświadomienie i podniesienie dobrobytu ludu przez dobry przykład i zakładanie pożytecznych instytucyi, przyświeca jasnym promieniem humanitarnych dążności jego trudom i wysiłkom.

Autor przeprowadza *con amore* obraz walk, jakie ten żelazny człowiek stacza z zawistném mu otoczeniem, odnosząc wreszcie zwycięstwo dzięki pracy konsekwentnéj, świadoméj celów i środków.

Moglibyśmy wprawdzie pospierać się cokolwiek z autorem o zbyt krótki termin czasu, w jakim pozwala dzielnemu młodzieńcowi osiągnąć takie zdumiewające zaiste rezultaty, w przeciągu czterech czy pięciu lat, z jednego folwarku dojść do odzyskania kilkunastu, pobudować bank rolniczy, ochronki, tanie sklepy, młyny, tartaki, fabryki—to zaiste zakrawa na coś bajecznego. Prawda jednak, że urzeczywistnieniu téj złotéj bajki, dopomogło niemało bogate ożenienie się Romana z Janką, dziedziczką znacznéj części Urmińszczyzny.

Owa Janka, taka cicha, prosta, serdeczna — to postać ślicznie przez pisarza pojęta i nakreślona; chwyta też mimowolnie za serce nieprzepartym urokiem i bezwiednym heroizmem. Zdaje nam się tylko, że niezależnie od swéj pierwszéj nieszczęśliwéj miłości, która niepodzielana, trwała zbyt krótko, by wszystkie zasoby młodzieńczéj namiętności wypalić, mógł Roman goręcéj pokochać tę miluchną Jankę, któréj szlachetna natura stanowiła właśnie tak wybitny kontrast z jego pierwszym ideałem. Zdarza się niejednokrotnie, że małżeństwa, w których rozsądek poprzedził przywiązanie, bywają bardzo

szczęśliwe, w tym jednak wypadku chłód, wiejący od takiego cokolwiek filisterskiego związku, nie licuje z bohatérskim zakrojem téj śmiało nakreślonéj i widocznie w sympatyach autora wypieszczonéj postaci młodego tytana, którego staćby było chyba na namiętność, jak wulkan gwałtowną, bezbrzeżną jak morze. Byłaby to jeszcze jedna potężna sprężyna, poruszająca tę wszechstronną i bogatą naturę.

Już to wogóle Rojan traktuje miłość, jako czynnik drugoplanowy w życiu i charakterze swoich bohatérów, jak to zauważyć mogliśmy i w jego poprzedniéj powieści p. t. „Tymko Medjar". Typy głównie działających postaci pokrewne są sobie zresztą tu i tam: z przyjemnością jednak zaznaczyć nam przychodzi, znaczny postęp ujawniający się w ostatniéj pracy, zarówno pod względem udoskonalonéj techniki powieściowéj, jak i o wiele subtelniejszym rysunku charakterów. W kilku scenach np. pomiędzy Romanem a Janką, gdy hydra zazdrości o piękną Stefę zaczyna szarpać niewinne serduszko młodéj kobiéty, a nieśmiałość i duma więzi jéj słowa na ustach, Rojan okazał, że umié trafnie podpatrywać tajniki duszy ludzkiéj, zamykającéj się niby mimoza za każdém śmielszém spojrzeniem.

Zetknięcie się tych dwóch tak różnych charakterów mógł autor wyzyskać, jako silniejsze zadzierzgnięcie węzła dramatycznego; pewna bladość i nieśmiałość stanowi może właśnie najważniejszy zarzut, jaki postawićbyśmy mogli téj powieści, ożywionéj piękną i podniosłą myślą przewodnią, która na każdym myślącym czytelniku dodatnie wrażenie wywrzéć musi. Nie wyzyskał również powieściopisarz postaci Leszka, brata Romana, z którym właśnie tak zasadniczą stanowi sprzeczność. A szkoda wielka, że Rojan nie zadał sobie trudu uwypuklenia téj ciekawéj i rzadko jeszcze u nas zjawiającéj się figury zblazowanego młodzieńca, zniechęconego życiem zanim go zakosztował, tém bardziéj, że tych parę drobnych ustępów, jakie Leszkowi poświęcił, malują go nam już bardzo zajmująco i oryginalnie.

Śledząc uważnie dotychczasową działalność Rojana, zauważyć mogliśmy, że twórczości jego brak cokolwiek dwóch czynników niezbędnych dla zdobycia laurów wybitnego powieściopisarza, a mianowicie fantazyi i namiętności. Autora staćby było tak na jedną, jak i na drugą, gdyby nie krępowało go zbytnie przejęcie się myślą przewodnią, zawsze podniosłą i piękną, któréj rzecznikiem stać się mają jego bohatérowie, będący raczéj uosobieniem jakiéjś tezy, niż istotami z krwi i kości.

Gdy minie ta pierwsza szlachetna gorączka reformatora, a przytém trudności formy pokonane zostaną, wtedy niewątpliwie obiecują-

cy talent Rojana skrystalizuje się ostatecznie, a rozwinąwszy skrzydła do szerszego lotu, pozwoli autorowi poszybować swobodnie w krainy piękna i prawdy. *Nit.*

„Ilustrowany przewodnik po Warszawie“, Warszawa, 1893.

Jednym z wybitniejszych objawów małego interesowania się naszego społeczeństwa ziemią, którą zamieszkuje, jest ubóstwo literatury krajoznawczéj i brak zupełny niemal, przewodników dla podróżujących.

Czyż można się dziwić, że dziesiątki tysięcy osób przybywających corocznie z różnych stron do Warszawy, bądź w przejeździe, bądź dla załatwienia interesów, poprzestają na zwiedzeniu teatrów, ogrodu Saskiego i Łazienek, jeżeli w saméj Warszawie, śród inteligencyi, znajdziemy wielu ludzi, którzy nie znają Starego miasta, nie mają pojęcia o historyi Warszawy i pomnikach jéj życia?

Przybywający do Warszawy nie zastawał dotąd ani książki, którаby go poinformowała o tém, co widziéć można i należy, ani fachowego przewodnika, któryby umiał oprowadzić po mieście. Jedyny dotychczasowy „Przewodnik“, wydany w r. 1873-im przez Fryzego i Chodorowicza nie dostarczał należytych informacyi. Bardzo więc trafną była myśl, podjęta i wykonana przez redakcyę „Wędrowca“, opracowania dokładnego i obszernego przewodnika po Warszawie. Pracę tę dokonali zbiorowo panowie: Eryk Jachowicz, Aleks. Messyng, Wal. Przyborowski, Ant. Skrzynecki, tudzież Ludwik i Władysław Zielińscy. Ilustracyi w liczbie 132 dostarczyli przeważnie Andriolli i Ilinicz.

Książka sama zewnętrzną swą szatą korzystne wywiera wrażenie. Papiér piękny, druk wyraźny i kształtny, oprawa porządna, wielka obfitość rysunków, wskazują, że wydawcy poczuwali się do obowiązku przybrania w przyzwoity strój „Przewodnika“ po półmilionowym centrze rozległego kraju. Szkoda tylko, że względy przyzwoitości nie powstrzymały ich od zeszpecenia książki ogłoszeniami rozpościerającemi się na okładkach i w osobnym dodatku. Wzgląd na ten dział nie dozwolił pomieścić pożądanych tak w „Przewodniku“ wskazówek co do sklepów i zakładów, zasługujących na polecenie osobom przybywającym do miasta. Z tego zapewne powodu pominięto w opisie miasta fabryki, stanowiące tak ważny czynnik w pomyślnym rozwoju Warszawy w ciągu lat ostatnich.

Po bliższém rozpatrzeniu się w „Przewodniku“ słabnie pierwotne korzystne wrażenie, wywołane jego wytwornym wyglądem. Ze

132 rycin mających objaśniać i ozdobić książkę, większa część skutkiem złego wykonania i odbicia nie daje pojęcia o przedstawionych gmachach i widokach. Gdyby usunąć podpisy, to nawet rodowity warszawiak długoby się musiał zastanawiać, nimby odgadł znaczenie wielu prawdziwie zagadkowych rysunków. „Krakowskie przedmieście“ wygląda jakby odtworzone po gwałtownym kataklizmie, zalewie czy trzęsieniu ziemi, dawny pałac Krasińskich, jeden z najpiękniejszych gmachów miasta, zeszpecony do niepoznania, tak samo się przedstawia Ogród saski. Na placu Zamkowym latarnia zajęła miejsce kolumny Zygmunta, cofniętéj ku rogowi ulicy Piwnéj.

Co się tyczy tekstu, to część informacyjna jest nadzwyczaj ubogą w wiadomości potrzebne dla przybyszów. Nie poskąpiono wprawdzie miejsca na cenniki miejsc we wszystkich teatrach, a pominięto zakłady naukowe, nie podano wiadomości o nabożeństwach i kazaniach w świątyniach różnych wyznań, nie pomieszczono żadnych szczegółów o istniejących w mieście stowarzyszeniach, klubach, szpitalach, instytucyach dobroczynnych, o załatwianiu spraw w biurach władz rządowych. Wyliczono kilkanaście hoteli, restauracyi i cukierni bez rozklasyfikowania ze względu na ich wartość, podania wskazówek o cenach i zwyczajach przyjętych w tych zakładach, jakości dostarczanych jedzeń i napojów.

O ile poskąpiono informacyi niezbędnych osobom przybywającym do Warszawy dla załatwienia różnorodnych interesów, skupiających się w tak ważnym centrze, o tyle nie pożałowano objaśnień historyczno-archeologicznéj natury. Wszystkie świątynie, kaplice, cmentarze, ogrody, pałace i budowle, które mieściły lub mieszczą dziś jakąkolwiek instytucyę publiczne, zostały opisane pod względem artystycznym, historycznym i anegdotycznym z niepotrzebną w wielu razach drobiazgowością. Co może obchodzić zwiedzającego miasto taka informacya, że „gdzie dziś się mieści intendentura, od Nalewek, przy ogrodzie Krasińskich, stał dom Czaczkowskiego, późniéj Karolego, następnie Ogińskich“, lub że dom „na rurach“ był własnością mecenasa Cyprysińskiego, a „Na Lasockiém“ zostawał jakiś czas w ręku d-ra Jasińskiego. Opisy kościołów rozszerzono wprowadzeniem niepotrzebnych szczegółów, jak np. wiadomości o początku i działalności bractwa literackiego lub zaznaczeniem zasług p. Wacława Prohazki, dyrektora chóru amatorskiego w kościele po-Pijarskim.

Charakterystyki różnych części miasta grzeszą również drobiazgowością szczegółów, dobrych może w specyalnych obrazkach życia miejskiego, ale niewłaściwych w „Przewodniku“. W opisie

targu za Żelazną Bramą czytamy: „Tam stara żydówka, zabrudzona, z rękawami zakasanemi po łokieć, wydobywa ryby z kadzi, rąbie je na desce, waży, krzyczy, dziesięciu osobom na raz odpowiada i do skórzanego worka, zamieszczonego pod fartuchem, zgarnia drobną monetę. Owdzie przed kramikiem szewckim dziewczyna z ludu z obojętnością (?) przymierza nowe buciki, tam znowu przegląda się w lusterku za 5 kopiejek (kto?), lub bukiet z jaskrawych kwiatów przypina do gorsu.“ Zaraz po tym ustępie czytamy: „Słowem, targ za Żelazną Bramą jest jedną z najciekawszych osobliwości Warszawy.“ Zdaje się, że tego rodzaju „osobliwości“ posiada każde nasze miasteczko w dzień targowy.

Obok niepotrzebnéj drobiazgowości, spotykamy rażące niedokładności w opisach już nie szczegółów, ale całych obszarów. O placu Trzech Krzyży powiedziano: „Sam plac jest dokoła zabudowany pięknemi kamienicami z początków naszego wieku, w większéj części noszących (*sic*) charakter poważnych budowli.“ Cała ta charakterystyka jest najfałszywszą. Plac ten bowiem na początku stulecia, jak przekonywa współczesny rysunek pomieszczony w „Kłosach“, był niezabudowany (stały dwa czy trzy domki drewniane), budowle obecne powstały już po roku 1830-ym i żadna z nich, z wyjątkiem domu na rogu Brackiéj i placu, niedawno wzniesionego, nie odznacza się jakiemikolwiek zaletami architektonicznemi. Daremnie ciekawy turysta będzie upatrywać tu „pięknych i poważnych“ gmachów. O ulicy Św.-Jańskiéj powiedziano, że „jest najstarszą i do dziś najcharakterystyczniejszą w mieście.“ Przytém zwraca się uwagę turysty na „typowość architektury“ w kamienicach téj ulicy, obfitującéj w zabytki „odwiecznego budownictwa.“ Czytelnik, nie znający Warszawy, może sobie wyobrażać, że zobaczy tu kawałek Norymbergi lub Gdańska przynajmniéj, lecz znalazłszy się na miejscu, daremnie będzie upatrywać tych „odwiecznych budowli“ o „typowéj architekturze“. Najstarsze domy pochodzą zaledwie z końca XVII-go wieku i prócz wązkości, ciasnych sieni i ciemnych schodów, nie przedstawiają nic godnego uwagi. Najdokładniejsze, choć zbyt drobiazgowe często, są opisy kościółów i gmachów, oparte w części historycznéj na pracach Bartoszewicza, Sobieszczańskiego i Wejnerta.

Pomieszczone na początku opisu miasta: „Słówko o przeszłości Warszawy“ jest w większéj części zbiorem bałamuctw i błędów, smutne dających świadectwo o wiedzy historycznéj autora zarysu tego. Dla objaśnienia nazwy powołuje się na świeżego pochodzenia etymologiczną legendę o rybaku Warszu i jego żonie Ewie, założenie zaś miasta przypisuje Warszowi, kasztelanowi krakowskiemu, który, będąc

jakoby jednym z czeskich Wrszowców, nietylko że dał początek Warszawie, ale jednocześnie ochrzcił jéj przedmieście mianem stolicy czeskiéj. Ów Warsz, z kolei kasztelan lubelski, sandomierski i krakowski, piastując urzędy w Małopolsce, nie mógł jednocześnie gospodarować na Mazowszu, stanowiącém odrębną politycznie dzielnicę. Wspólności tego Warsza z rodem Wrszowców nie stwierdzają żadne świadectwa. Utworzona przez Sobieszczańskiego hypoteza o założeniu Warszawy przez czeskich Wrszowców dawno została pogrzebaną, sam twórca nawet przestał podobno pod koniec życia w nią wierzyć. W przedstawieniu dziejów miasta pominięto fakty doniosłe, jak sąd w sprawie krzyżackiéj odbyty r. 1339, rządy Janusza, głównego organizatora miasta, utworzenie kolegiaty, założenie Nowego Miasta, sejmy odbywające się od 1557 r. i następne elekcye, a za to rozpisano się o wykopalisku fundamentów staréj baszty. Twierdzenie jakoby „Warszawa była ulubioną siedzibą Zygmunta Augusta" dowodzi, że autorowi „Słówko" nieznane są ani dzieje miasta, ani kraju.

W gronie współpracowników „Przewodnika" spotykamy nazwisko człowieka, oddającego się z dawna pracom historycznym, który nie powinien był przepuścić takich błędów i braków.

Mimo to, widoczne na każdéj stronicy przywiązanie gorące do zabytków i życia miasta, wyrażające się w zbyt pochlebnych nieraz ocenach i zwracaniu uwagi na drobiazgi nawet w pamiątkach przeszłości, czyni tę książkę sympatyczną i pobudza do zalecenia jéj szerszym kołom czytelników. *Bronisław Chlebowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Lamparcie życie.** Opowiadanie ze wspomnień studenckich przez *Gamastona* (Petersburg, K. Grendyszyński, 1894, str. 494). — Autor tego opowiadania wydał przed kilku laty „Fata-morgana", osnute na tle wspomnień z życia studentów warszawskich za czasów Szkoły głównéj; potém ogłosił krótki szkic p. t. „Kora", jako relacyę z opowieści przyjaciela, obecnie sięgnął do skarbnicy pamiątek o życiu studentów Polaków w Petersburgu, w wyższych szkołach technicznych. Ze sposobu, w jaki z zadania swego się wywiązuje, wnieść można, iż nie jest powieściopisarzem w artystyczném znaczeniu tego wyrazu, lecz opowiadaczem (narratorem) tego, na co sam patrzał,

w czém sam brał udział, lub co mu bezpośredni uczestnicy w jakim wypadku komunikowali. Zalety opowiadacza ma w stopniu wysokim, jest bardzo żywym, bardzo zajmującym, umié zaciekawić, powtarzając nie wszystkie rysy rzeczywistości pewnéj, ale te tylko, które mają jakąś przynajmniéj stronę mniéj zwykłą, mniéj pospolitą, choćby to był tylko wybryk, lub słówko użyte w sposób oryginalny. W postaci, o których opowiada, nie zagłębia się wcale, nie analizuje ich ani tłómaczy; przedstawia fakta za faktami, pozostawiając sąd o nich w zupełności czytelnikowi. Skłonność do przedstawiania scen erotycznych jest w nim widoczna; zaznaczyła się ona już wyraźnie w „Fata-morgana“, panowała w „Korze“, będącéj jednén z ogniw w tym długim łańcuchu obrazów niszczącéj potęgi miłości, jaki się ciągnie od Manon Lescaut, przelewa się za brzegi w „Lamparciém życiu“. Poprzednio nie raziła ona bardzo, gdyż albo była dyskretnie przysłonięta, albo odtwarzala stosunek nadzwyczajny, lecz w ostatniém opowiadaniu Gamastona razi już, bo wystąpiła zgoła bez obsłonek, z taką swobodą, jakiéj dotychczas w naszéj literaturze XIX wieku nie praktykowano. Jeżeli bowiem przedstawiano sceny uwiedzenia lub rozpusty, to przynajmniéj usprawiedliwiano je jakąś tendencyą społeczną; w „Lamparciém życiu“ tymczasem wszystko, co się nazywa płochością, niegodziwością, a nawet zbrodnią, odmalowane zostało jako zabawka, nie nabawiająca bohatéra wyrzutów sumienia, żadnych zgoła niepokojów. Czy uwodzi Czuchonkę, czy baraszkuje z Polinką, czy żyje w wielce zagadkowym stosunku z aktorką panną Blanche, czy pod okiem niby-przyjaciela bałamuci mu żonę, to ani na chwilę nie mąci Robertowi sumienia, co najwyżéj nasuwa mu myśl posłania Czuchonce 150 rubli na wychowanie dziecka, a co ważniejsza w otoczeniu jego kolegów nie jest mu poczytywane za złe, ani na włos nie psuje mu opinii, pobudza zaledwie do robienia bardzo nieśmiałych uwag, które milkną za pierwszém gniewném słowem Roberta. Wprawdzie znalazł się jeden kolega, który Czuchonkę pomimo wszystko poślubił; on jeden czuł i rozumiał szkaradę postępowania Roberta, ale był to brzydal, lekceważony przez resztę kolegów, którzy postąpienie jego za dziwactwo poczytawszy, daléj się już oń nie troszczyli. Pomimo wielkiéj lekkomyślności, jaką całe społeczeństwo t. zw. inteligentne, a więc i młodzież okazuje w ocenie stosunków płciowych, zdaje mi się, że właśnie w sercu młodzieży jest dużo popędów szlachetnych, które każą jéj się oburzać na wszystko, co nie tchnie uczciwością. Może ona sobie drwiąco mówić o uczuciu wogóle, może lekceważyć grzechy popełniane z Polinkami, Blanchami i Maremi; ale dozna niemiłego wrażenia, gdy się historyą Duni opo-

wié i nie da się tak łatwo przekonać argumentem, że gdyby nie ja, to byłby drugi zrobił z nią to samo. Zatrata poczucia moralnego jest w kolegach Roberta bardzo wielka i smutnieby świadczyła o tém pokoleniu studentów, które zobrazować chciał Gamaston, gdyby mu całkowicie i bezwarunkowo zawierzyć było można. Ale przecież nic, żyło się w tych czasach i ma się także pewien zasób wspomnień; z nich nie wynika wszelako, żeby, prócz cyników zdecydowanych, ogół młodzieży miał tak zobojętniéć na sprawy moralności w stosunkach miłosnych; wszakżeż to wśród niego znalazła sympatyczny oddźwięk myśl ratowania i podnoszenia kobiét upadłych; wszakże to wśród niego wymierzono pierwsze ciosy Don-juanom wogóle, a ulicznym w szczególności. Robert przecież nie jest cynikiem bezwzględnym; w duszy jego tkwi nienaruszona cześć dla matki, dla siostry, jest spółczucie dla biednéj, nie liczącéj się z siłami swemi chybionéj studentki Kożuchowskiéj; on śpieszy jéj z czynną pomocą, tak samo jak nieznanemu koledze, Susłowi, z którym go zresztą żadne inne prócz abstrakcyjnych koleżeńskich związki nie łączą. Zdaje się zatém, że nie obmyślił autor należycie w całości słów i postępków swego Roberta, że na jedną postać, dla jéj uwydatnienia, przeniósł rysy dwu lub trzech pokrewnych postaci. Dalszy dowód na to twierdzenie znajdujemy w zachowaniu się Roberta na wsi u przyjaciela, w stosunku do Kazi. Nie odnajdujemy tu ani zręczności, ani jego chłodnego rozsądku, tylko jakąś karykaturę bohatéra romantycznego, zmieszaną z usposobieniem drwiarza w bardzo pospolitym smaku. Przygoda Roberta w Petersburgu (przejechanie), jako czysto przypadkowa, ma znaczenie czysto anegdotyczne, a wyratowanie go od śmierci cudem, wskutek modlitwy Kazi, kwalifikuje się do niesmacznego melodramatu, który szereg win bohatéra kończy jego odkupieniem. Figurę zatém Roberta uważamy za chybioną, lubo jego przygody, jego stosunki i rozmowy z kolegami i znajomymi w większości wypadków tchną prawdą i nadają interes książce. Bardzo natomiast udatnemi postaciami są: pułkownik Dziubandosio, miły łgarz i kobieciarz, profesor Tacowicz ze swoim Bunsenikiem, kilku kolegów epizodycznie występujących, sylwetka starego proboszcza. Język wogóle jest poprawny; wytknąć tylko należy zwrot niewłaściwy, a coraz bardziéj rozpowszechniający: przyjąć udział, zamiast brać udział, oczywiście ze wszystkiemi tego zwrotu odmianami.

= **W ich ślady.** Szkic powieściowy *Maurycego Mycielskiego.* Petersburg, 1893, str. 232. — P. Maurycy Mycielski występuje podobno po raz pierwszy na polu powieściopisarstwa, przynajmniéj w formie

książkowéj i pod swojém nazwiskiem. Niepewności jednak i wahania się pierwszych prób w szkicu jego nie znać; owszem, styl okazuje dużą wprawę i pewność siebie, opowiadanie rozsnuwa się gładko i żywo; intryga jest nie nowa, ale zajmująca; tak, że gdyby szło o oznaczenie wartości książki z pierwszego wrażenia, jakie sprawia na czytającym, toby ją wypadało zaliczyć do szczęśliwie pomyślanych i wykonanych. Inna rzecz, gdy się ją zechce rozpatrywać pod względem estetycznym. Okaże się bowiem wówczas, że ani jedna w niéj postać nie odznacza się świeżością, ani jedna scena nie może się nazwać prawdziwie oryginalną, t. j. taką, dla któréj nie możnaby było odszukać analogii w literaturze powieściowéj. Stosunkowo najwięcéj jeszcze nowości w szczegółach przedstawiają sceny początkowe, w których zapoznajemy się z bohatérem opowiadania Konradem, literatem, i jego przyjacielem felietonistą Klorasza. Obaj znajdują się w biedzie, bo literatura bardzo licho karmi swoich przedstawicieli; Konrad narzeka i rozpacza, Klorasza nadrabia miną i dowcipem. Konrad udaje się po pożyczkę do swego niegdyś kolegi szkolnego, o którym jest przekonany, że zamożnością się odznacza. Zastaje tu towarzystwo młodzieży wykwintnéj, zabawiającéj się w grę. Wciągnięty do niéj doznaje niespodziewanego szczęścia i cały wieczór spędzić musi wraz z nowemi towarzyszami. Wraca późno w nocy po wytwornéj kolacyi i zastaje Kloraszę śpiącego w swojéj biednéj izdebce. Daje mu pieniędzy na wieczerzę, a sam w napadzie jakiéjś wściekłości drze i pali swoje papiéry, ba, rąbie nawet szafę dla napalenia w piecu i spopielenia swoich utworów. Odtąd drogi dwu przyjaciół rozchodzą się. Autor opuszcza Kloraszę, który daléj prowadzi swój cygańsko-literacki żywot, a zajmuje się Konradem, wchodzącym do towarzystwa dystyngowanego. Romocki, ów kolega szkolny Konrada, nie jest bynajmniéj zamożnym, a pozory wygodnego życia zawdzięcza umiejętnéj grze w karty. Do podobnego trybu życia nakłania téż Konrada, którzy odrazu zyskuje sobie w „towarzystwie“ jaknajlepsze względy, bywa w najbogatszych domach i stara się o rękę panny Stanisławy. Figury, jakie teraz spotykamy, nie wyłączając panny Stanisławy, są to postaci szablonowe, albo ogólnikowe i zajęcia psychologicznego lub estetycznego obudzić nie mogą. W samym téż Konradzie bardzo mało odnajdujemy cech jakiéjś niepospolitéj organizacyi, a przejścia jego wewnętrzne są przejściami każdego młodzieńca, który świeżo się puścił na łatwe życie bez pracy. Jeden tylko szczegół, dość zresztą mało prawdopodobny, ale potrzebny autorowi do rozwoju opowiadania, odznacza Konrada; przez czas długi szczęście w karty towarzyszy mu stale i pozwala bez kłopotu brać udział w życiu kosztownném,

jakie z powodu stosunków swoich prowadzić musi. Zdecydował się nareszcie prosić o rękę panny Stanisławy. Jéj ojciec, dawny znajomy rodziców Konrada, sprzyjający mu szczerze, robi mu uwagi co do trybu jego życia i nie odmawiając mu stanowczo, radzi poprawę. Na razie rada nie skutkuje, Konrad stawia w klubie wszystko, co ma, jako stawkę i przegrywa, — a wtedy wprowadza się znowu do swego dawnego mieszkania, lecz pracować nie może. Dopiéro szczęśliwy zbieg okoliczności, nagrodzenie jego dramatu na konkursie budzi w nim zapał na nowo, a rosnąca sława zwraca nań uwagę. Panna Stanisława staje się dla niego pobudką nowych wysiłków, a zarazem najmilszą za nie nagrodą. Ażeby nie zostawiać czytelnika pod przykrém wrażeniem z jakiegobądź względu, nawet i Romockiego autor na dobrą drogę sprowadza i oddaje mu rękę Heleny Sławickiéj, Kloraszę zaś czyni redaktorem nowo założonego dziennika, którego Romoccy głównymi byli założycielami. Otóż ta druga, daleko obszerniejsza część powieści ma charakter czysto anegdotyczny i nie przedstawia wartości ani psychologicznéj, ani artystycznéj. Zalety jednak stylu i tutaj się zachowały, a one sprawiają, że chociaż czyta się tę część jak bajkę, ale się ją przecież czyta z zajęciem. Autorowi należałoby doradzać większe pogłębienie charakterów, większą staranność w uprawdopodobnianiu scen i sytuacyi.

= **Usterki hygieniczne w wychowaniu dziewcząt** przez d-ra *Augusta Kwaśnickiego*. Kraków. Nakładem Towarzystwa opieki zdrowia, 1893, str. 31. — Autor zwięźle i dobitnie wykazuje niewłaściwość posyłania do szkoły dziewcząt przed końcem 10-go roku życia, szkodliwość przeciążania umysłowego wskutek zbyt rozległego programu szkolnego, niestosowność uczenia kilku języków obcych w stopniu doprowadzającym do doskonałości konwersacyjnéj i t. p., a radę co do polepszenia złego stanu zdrowia wśród dziewcząt widzi „w powrocie do obyczajności i prostoty, w uwzględnieniu pedagogiczném rozwoju fizycznego na równi z rozwojem umysłowym, w wzmocnieniu sił przez gimnastykę, kąpiele, świeże powietrze, rozumną dyetetykę pożywienia i snu, w niezachwianém stosowaniu dziesięciorga przykazań bożych“ (str. 30). Spostrzeżeń nowych w książeczce téj nie spotykamy; ale przypomnienie znanych a słusznych wskazówek zawsze pożytecznêm stać się może.

= *George Berry:* **Les petits martyrs** (Mali męczennicy). Paryż, 1892. — W książeczce téj czterdziestostronicowéj przebywamy jeden krąg dantejskiego piekła. Ci, którzy wydają „Przewodniki“ po Pa-

ryżu, opowiadają o placu Concorde, o wieży Eiffla i zbiorach Luwru, zwracają uwagę na café-chantanty i polecają Alcazar i Ambassadeurs. Ale żaden nie mówi o dzielnicach proletaryuszowskich, o norach szmaciarzy, szóstych i siódmych piętrach domów na bulwarach zewnętrznych, gdzie w jednéj izbie tłoczą się i z głodu giną ojciec i matka z sześciorgiem drobiazgu. Bo piszą je ciasne głowy. — Jerzy Berry, radca municypalny stolicy, wychodzi w swojéj książeczce ze stanowiska burżuazyjnego, wierzy w skuteczność przytułków i ochronek i spycha winę na przewrotnych rodziców. W bagno moralne (czy i materyalne?) oni je spychają. Jednak jest tu wiązka faktów strasznych. Oto jak zaczyna się życie nędzarzy: Nieprawe dzieci przy piersi jeszcze, wynajmują u dziewczyn uwiedzionych żebraczki, trzymają je na zimnie i mrozie nocami od pół do dwunastéj do pół do pierwszéj przy teatrach, od pierwszéj do czwartéj rano przy restauracyach, w wilią Bożego Narodzenia przy kościołach, w karnawał przy wejściach balowych, wzruszając widokiem nieszczęsnych biedactw serca posiadających. Jednak daje to matkom zarobek 2-ch franków za noc. Cóż mają robić? Szmaciarze wynajmują swoje dzieci, gdy poczynają biegać. Używają ich najmujący w tychże celach co tamtych. W piątym roku życia chłopców i dziewczęta zbierają muzykanci. Oprowadzają je po jarmarkach, składają z nich chóry lub oddziały muzyczne, zazwyczaj podając za swoje. Znęcają się nad nimi, płacą licho — ale płacą — i wprowadzają dzieci po szyję w brud moralny. Późniéj z dziewcząt (od ósmego roku) rekrutują się kwiaciarki. Nocami i dniami wloką biedactwa swe nożęta z jednego końca Paryża na drugi, by sprzedać kilka wiązek konwalii, róży, lub fiołków. Ich rodzicom przedsiębiorcy płacą 5 franków od północy. One i muzykanci dostarczają największego kontygensu dzieci suchotniczych: 35%. Z dzieci przy piersi umiera 40%. Do dziewczyn znajdują się wkrótce amatorzy i połowa kwiaciarek od dziewiątego, dziesiątego lub dwunastego roku poczyna się trudnić prostytucyą! „Raz siedziałem przy stole gospody, gdy kobieta, która nam posługiwała widząc naszą obojętność pochyliła się mnie do ucha i szepnęła: „Jeśli chcecie dziewczyn, mam tam na górze, jest nawet moja Julka, ładna dziewczyna dwunastoletnia i nie taka głupia...“ Inną razą — pisze autor — szedłem około trzeciej po północy ulicą Bonaparte, kiedy posłyszałem krzyki dziecka. Pobiegłem w ich stronę i zobaczyłem kobiétę, która kryjąc coś pod chustką, surowo zabroniła mi mieszać się do jéj sprawy. Nie uląkłem się jednak i odebrałem jej dziecko 4 do 5-o letnie. Krwawiły mu się obadwa kolana, bo niemogło już iść, a żebraczka śpiesząc się, wlokła je. Oto opis sali przedsiębiorcy muzykalnego:

Wszedłem do wielkiéj izby, służącej zarazem za kuchnię, sypialnię i salon repetycyi. Piętnaścioro małych dzieci siedziało na ziemi. Najstarsze: dziewczynka, liczyła 10—11 lat, najmłodsze: chłopiec pięć. Umówiwszy się z przedsiębiorcą odwołałem niepostrzeżenie dziewczynkę na bok i wypytałem ją o jéj losy. Ojca nie znała, matka złożona chorobą, oddała ją przed pięciu laty muzykowi Oktawiuszowi. W ósmym roku życia została zgwałcona przez jednego z przyjaciół mistrza, nie chciała już iść do niego, wziął ją Antonio i płacił za wieczór półtora franka. Włosy stają na głowie, gdy czyta się podobne rzeczy. W dzielnicy St. Gervais większość kwiaciarek — córki żydów polskich i rosyjskich. Autor zaleca surowsze wykonywanie praw przeciw rodzicom, zapewnienie większego kredytu Pomocy Dziecinnéj, kolonie rolne. Wszystko lekarstwa dość wątpliwe, chociaż może przynajmniéj trochę, jak zapewnia autor, zmniejszyłyby wydatki na więzienia. *W. Bugiel.*

= *Georges Lyon.* **La philosophie de Hobbes.** Paris, 1893, str. 220. — Długo jeszcze zapewne czekać wypadnie, nim literatura nasza, która zaledwie zdobyć się może na jakieś ogólne dzieje filozofii, znajdzie się w posiadaniu monografii o poszczególnych pisarzach filozoficznych. Czytelnicy więc pragnący bliżéj się poznać z wybitniejszemi postaciami dziejów filozofii nowożytnéj, zmuszeni są udawać się do dzieł w obcych językach, z których francuski jest najbardziéj u nas rozpowszechniony. Firma Alcan w seryi pod nazwą *Bibliothéque de philosophie contemporaine* daje po bardzo przystępnéj cenie 2 i pół franków za tom, szereg monografii, dotyczących zwłaszcza filozofów angielskich. H. Marion opracował żywot i dzieła Locke'a Mailsand studyum o Ruskinie i estetyce angielskiéj, a autor „Idealizmu angielskiego w XVII stul.“ Jerzy Lyon wydał obecnie dzieło o Hobbesie— postaci zarówno interesującéj metafizyków jak i prawników—jednym z protoplastów materyalizmu nowożytnego i doktrynerze absolutyzmu państwowego, opartego na demokratycznej podstawie umowy społecznéj. Autor podaje życiorys filozofa, który mając już przeszło 40 lat i przeszedłszy wiele nauk, poraz pierwszy zetknął się z Elementami Euklidesa, i został przez nie olśniony; rozpatruje jego metodę, jego spór z Kartezyuszem, jego „pierwszą filozofią,“ teoryą poznania, psychologią, etykę i politykę. *Wł. M. K.*

= *Mlle Sophie Ioteyko.* **Décomposition par la potasse des amines et des diamines et des diamines tertiaires nitrosées de la série aromatique.** Bruxelles, 1893. — Autorka złożyła pod powyższym ty-

tułem dysertacyę w uniwersytecie brukselskim i na mocy jéj uzyskała stopień doktora *(docteur en sciences)*. Bardzo specyalna treść badań panny J. nie nadaje się do omawiania ich na tém miejscu. Jest-to piękny fragment z dziedziny syntezy w chemii organicznéj i świadczy pochlebnie zarówno o pracowitości autorki jak i o jéj sumienności w studyach i doskonalém do tychże przygotowaniu. Miejmy nadzieję, że praca ta otworzy pannie J. wrota do uczonego świata i pozwoli jéj z czasem zająć zaszczytne w tym świecie miejsce. *Dr. F.*

= *Feliks Wiśniewski*. **Duch i materya**. Pogląd filozoficzny (Warszawa, 1893, str. 95). W bardzo, a może nawet zbyt krótkim zarysie dotyka autor kwestyi nader ważnych, dotyczących świata, jego stosunku do naszych zmysłów, duszy i jéj przejawów, materyi, siły, ruchu. Prawie zawsze wykłada autor poglądy swoje dogmatycznie, posługując się w ich umotywowaniu rozumowaniem abstrakcyjném. W polemikę nie wdaje się nigdzie, zapewne dlatego, że jest przekonany, iż kto pójdzie za ciągiem jego rozumowania, już nie będzie potrzebował dowodów ubocznych, ażeby mu uwierzyć. Z początku wykład jest jasny i zrozumiały dla każdego, kto się nad oderwanemi zagadnieniami zastanawiać lubi; gdy jednakże autor przychodzi do swoich pomysłów, które nowemi wprawdzie nie są, ale którym nadaje nazwy niezwykłe, jasność znacznie się zmniejsza i potrzeba już bacznego zastanowienia, ażeby śledzić dalszy ciąg wywodów. Jeżeli zaś kto otworzy przypadkiem książkę i natrafi na taki ustęp: „P u n k t i d e a l n y działa: nie pozwala błędnie, bez celu, bez otrzymania rezultatu, w k r a c z a ć w j a k i e ś n i e s k o ń c z o n o ś c i j e d n e g o t ł a; wyręcza nas przeto, a prawie zawsze wbrew w o l i z a w a r t é j w ż y c i u czyli doświadczeniu“ (str. 66, 67); — to mu odchodzi ochota do dalszego czytania, bo sobie powiada, że to rzeczy nie jego językiem pisane. Autor uważa materyę i myśl za rzecz jedną „badaną z dwóch stron przeciwnych“ (str. 51); ale w grucie rzeczy uznaje tylko stronę duchową za rzeczywiście istniejącą, wszystkie zaś zjawiska świata poczytuje wprost za „wyobrażenia istoty czysto duchowéj,“ gdzie wyraz: „wyobrażenia“ trzeba brać w jego psychologiczném znaczeniu. Autorowi zdaje się, że tak zawiłe kwestye, nad któremi od wieków ludzie się biedzili, dają się bardzo łatwo objaśnić i rozstrzygnąć na mocy jednego lub drugiego twierdzenia z matematyki — i w tym względzie niewątpliwie się myli; co jest niejasném i niewytłómaczoném, tego i po jego wywodach jaśniéj nie widzimy. Dodać winniśmy, że p. W. nigdzie się do „uczucia“ nie odwołuje, ale za to bardzo wysoko stawia działalność twórczéj „fantazyi.“

= **Listy do narzeczonego.** (Pamiętniki panny na wydaniu). Z rękopisu panny Klary do druku przepisał *Henryk Gliński*. Petersburg. Druk S. Kornatowskiego, 1893, str. 272. — Autor chce koniecznie przekonać czytelnika, że to, co mu podaje, jest rzeczywiście wzięte z pamiętnika panny Klary, lubo wié, że tego rodzaju mistyfikacyom publiczność oddawna już wierzyć przestała. Chodziło mu zdaje się o to, ażeby owego dziennika i listów w nim zawartych nie poczytano za prosty wymysł fantazyi męskiéj, lecz żeby je uznano za istotny, autentyczny głos kobiéty, protestującéj przeciwko przyjętym i praktykowanym w świecie poglądom na zamążpójście ze względów jakiegobądź wyrachowania, a nie rzeczywistéj miłości. Czy p. Gliński osiągnął cel zamierzony? Pod względem psychologicznym i społecznym—prawdopodobnie, pod względem estetycznym—bynajmniéj, gdyż w stylu jego panny Klary nie ma różnicy od stylu jéj korespondenta, a następnie narzeczonego, p. Zygmunta, od stylu wreszcie p. Glińskiego, niby wydawcy. Autor jest według mnie publicystą, a nie artystą, dlatego też rzecz swoję traktował jako sposób wywarcia wpływu na umysły, a nie jako dzieło sztuki. Figury, jakie nakreślił (a jest ich wogóle bardzo mało na dość obszerną książkę), są albo niewyraźne, jak dwoje bohatérów i ich rodzice, albo też wyraźne wprawdzie, ale wyraźność tę zawdzięczające grubości rysów jedynie, jak postać starego doktora, co swojemi „panie tego“ i „panie kochany“, powtarzanemi zbyt często, musi wywrzéć wrażenie, zwłaszcza, że dobra, szlachetna, rozumna jego dusza sympatycznie zapisuje się w pamięci. Sylwetki małżeństw, jakie kreślą bohatér i bohatérka, należą do rzeczy najsłabszych artystycznie w całéj książce, jako nader ogólnikowe, żadnym wybitniejszym, charakterystycznym rysem nie zaznaczone. Co do myśli zawartych w tym utworze, nie odznaczają się one świeżością i oryginalnością, ale jako zupełnie słuszne i odpowiadające dzisiejszym pojęciom o stosunku dwu płci do siebie, zasługują na polecenie dla tych wszystkich, którzy jeszcze na ten poziom poglądów społecznych i psychologicznych się nie wznieśli. Że w wyborze małżonka czy małżonki powinno przewodniczyć zobopólne upodobanie i myśl o przyszłém harmonijném pożyciu zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym, nie zaś rachuba na zyskanie majątku, na osiągnięciu wyższych stosunków towarzyskich; to dziś dla każdego głębiéj zastanawiającego się nad tą sprawą jest rzeczą jasną i konieczną zarówno z powodów etycznych, jak i z uwagi na spokój pożycia i wychowanie zdrowszych choć trochę, niż dzisiejsze pokoleń. Ale przeciwne temu poglądy mają niestety zwolenników jeszcze wielu, którzy z utartego w świecie, konwencyonalnego punktu widzenia wy-

chodząc, lekceważą sobie wszystkie względy prócz jedynie t. zw. pozycyi towarzyskiéj. Tego punktu widzenia najuporczywiéj bronią te, któreby, zdawało się, najwięcéj mu przeciwnemi być winny, to jest kobiéty-matki. Taką właśnie jest matka Klary, żona doktora, bardzo powierzchowna, a nawet płytka w swoich myślach i sądach o stosunkach towarzyskich i o konieczności stosowania się do nich, przytém uparta w raz powziętym zamiarze, lubo nie aż do takiego stopnia, żeby chciała nawet zdrowie swéj córki poświęcać. Potrzeba było długiego czasu i przeróżnych środków przekonywania, ażeby ją skłonić do zezwolenia na małżeństwo Klary z człowiekiem, nie przedstawiającym się świetnie i okazale pod względem towarzyskim, lubo rozumnym i dzielnym, mającym przyszłość przed sobą. Otóż dla takich osób, jak matka Klary, rozumowania i fakta zawarte w „Listach do narzeczonego" mogą być bardzo użyteczne, jeżeli naturalnie osoby takie zdecydują się na ich odczytanie i w tym zamiarze wytrwają.

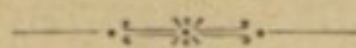
— *Józef Jankowski.* **Strachy**, kaprys sceniczny w jednéj odsłonie wierszem. Warszawa. Nakład T. H. Nasierowskiego, 1893, str. 24. — Autor, władający pięknym i dźwięcznym wierszem, poświęca swą drobną pracę „płochym z pośród płci pięknéj—ku obudzeniu pięknych pragnień serca." Taką płochą jest młoda wdowa Helena, dręcząca swemi fantazyami poetę Maryana, który ją straszy niezbyt szczęśliwie pomyślaną balladą, a wyrażeniem swéj niewiary w poważniejszy nastrój kobiéty i udaną obojętnością doprowadzą ją do uklęknięcia przed sobą i wypowiedzenia przysięgi, że odtąd kaprys rządzić nią przestanie. Obudziło się w niéj tedy pragnienie pięknych uczuć. Utwór należy do dziedziny wierszowanych dyalogów bez silnéj cechy dramatycznéj. Wymiana myśli, po części wymiana frazesów, mniéj lub więcéj udatnych, doprowadza tu do porozumienia się dwojga osób —z woli autora, nie zaś z takiéj konieczności psychicznéj, którąby uznać musiał czytelnik. Rozmówcy wygłaszają ładne wiersze, które nie wywołują wprawdzie zżymania się czytelnika, ale też nie mogą przejąć go żywszém zajęciem. Pod względem formalnym żadnego uzasadnionego zarzutu zrobić chyba nie można; w balladzie tylko deklamowanéj przez Maryana, sądzę, że wyraz „kwiecina" użyty został nie tyle z jakiegoś zamiłowania, ile z potrzeby rymu. Cała wogóle zwrotka, w któréj się wyraz ten znajduje, należy do najmniéj udatnych, ze wszystkiego, co w „Strachach" czytamy. Z jednego utworu trudno oczywiście wyrobić sobie pojęcie o rodzaju zdolności autora; to tylko zaznaczyć wolno, że formę wierszową opanował, jak się zdaje, ale nie zawsze znajduje dostateczne bogactwo pomysłów do wyrażenia za jéj pośrednictwem.

— **Dyabeł w poezyi**. Studyum krytyczno-porównawcze przez *Ignacego Matuszewskiego*. Warszawa. G. Centnerszwer, 1894, str. 137. — O zawartości tego studyum czytelnicy „Ateneum" już wiedzą, gdyż było ono pierwotnie w niém drukowane. Zawiadamiając obecnie o wyjściu jego w oddzielnéj książce, korzystamy ze sposobności, by podnieść z uznaniem zalety pisarza, który rozległe i gruntowne oczytanie łączy z piękną, przejrzystą formą wykładu, trafném poczuczuciem estetyczném i bystrością spostrzeżeń i sądów, wyrażając je językiem poprawnym, czystym, nieraz ładnym i obrazowym.





POLEMIKA.



I.

Szanowna Redakcyo!

Pomieszczona w zeszycie październikowym „Ateneum“ recenzya książki mojéj o lichwie i rozprawki o kwestyi żydowskiéj, pióra d-ra Zofii Daszyńskiéj, zniewala mnie do prośby o zamieszczenie następujących uwag w najbliższym zeszycie „Ateneum“.

Szan. recenzentka, znana ze ścisłych i cenionych prac naukowych niemieckich, wyraża przy końcu recenzyi zadowolenie z tego że „subiektywizm poparty wiedzą i chęcią oddziaływania na życie, występuje coraz częściéj—nawet w spółczesnéj literaturze niemieckiéj“. Uwaga ta, na pozór pochlebna, zawiéra jednak zarzut ukryty, który potęguje jeszcze okoliczność, że o jakichkolwiek moich pracach polskich—poprzednich lub późniéjszych, ba, nawet o mojéj narodowości pani D. żadnéj nie czyni wzmianki, wprowadzając tém samém czytelnika w błąd powyższą uwagą. Zapewne książka napisana po niemiecku należy wskutek tego do literatury niemieckiéj, ale jeśli autorem jéj nie Niemiec, nie należy tego zatajać, choćby dla tego, aby nie wyrządzić mu podobném przemilczaniem niezasłużonéj przykrości. Profesorowie uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego cały szereg prac ważnych ogłosili w języku niemieckim, a p. dr. Zofia Daszyńska sama ogłosiła, o ile wiem, znacznie więcéj prac w niemieckich czasopismach naukowych niż w polskich, przyczém dodam, że wiele z tych prac uczonych polskich nie wyszło wcale, ani nawet potém w języku polskim; np. cały szereg prac Bilińskiego, Darguna, „Prawo małżeńskie“ Rittnera i t. d. Dzieje się tak po części dlatego, że uczony, który doszedł do samoistnych wyników w swych badaniach, pragnie podzielić się niemi z wielkim światem naukowym, tém samém zaś oddziałać w swym zakresie na postęp nauki w ogóle; po części zaś, dlatego, że zwyczajnie dzieło naukowe większych rozmiarów nie znajduje u nas nakładcy. Jakkolwiek pierwszy już motyw tłómaczyłby mnie dostatecznie z ogłoszenia książki mojéj o lichwie po niemiecku, to jednak w tym wypadku zaszła okoliczność, że przed wyjazdem moim zagranicę ofiarowałem nakład téj książki, rozumie się po polsku napisanéj, jednéj z pierwszych firm wydawniczych w kraju—otrzymałem wszakże odpowiedź odmowną „dla bra-

ku funduszów". Nie chcąc owoców przeszło trzyletniéj pracy rzucić do kosza, ani téż odbywać wędrówki od nakładcy do nakładcy, co podobno do przyjemności nie należy, przetłómaczyłem po tak przykréj odmowie manuskrypt na język niemiecki i zaniosłem go pierwszéj firmie wydawniczéj niemieckiéj dla dzieł ekonomicznych: Duncker i Humblot, która po dwóch dniach zawiadomiła mnie, że nakład przyjmuje. A kiedy ja, występując z pierwszém działem niemieckiém („*Judenfrage*" była wówczas jeszcze pod prasą) zrzekłem się sam wszelkiego honoraryum, z własnéj inicyatywy ofiarowała mi nader korzystne warunki.

Wszystko to opowiadam głównie z tego względu, że jak mi jeden z uczestników zjazdu poznańskiego opowiadał, wzięto mi w Warszawie bardzo za złe ogłoszenie téj książki w języku niemieckim — ja zaś chciałbym wszelkim zarzutom tego rodzaju raz na zawsze koniec położyć. Pozostaje jednak kwestya, dla czego „*Judenfrage*" wyszła naprzód po niemiecku, potem zaś dopiero po polsku (w przekładzie Bol. Lewickiego, Lwów, 2-gie wydanie 1893). I tę kwestyę pragnąłbym wyjaśnić nie dlatego, jakobym pracy mojéj przypisywał większą doniosłość lub nie ogłoszenie jéj w języku polskim poczytywał za jakąkolwiek stratę dla rodziméj literatury, ale po prostu dlatego, że i pod tym względem nie mam sobie nic do zarzucenia. Rozprawka o kwestyi żydowskiéj, była pracą okolicznościową, niemal improwizacyą napisaną w kilku dniach a przeto posiadającą dodatnie, ale jak dziś uznaję—i ujemne cechy wszelkiéj improwizacyi. Gdy bawiłem w Lipsku, w całych Niemczech wrzało gwałtownie przeciw żydom. Objawy antysemityzmu niemieckiego są tak wstrętne dla każdego cywilizowanego człowieka, przytém zaś ogarniają tam tak szerokie koła ogółu, że zastanowienie się nad kwestyą żydowską w Niemczech i nad przyczynami jéj zaostrzenia się na tym gruncie, było dla mnie rzeczą nieodzowną. Otóż w pewném towarzystwie w Lipsku, w którém o téj sprawie mówiono, wypowiedziałem moje na nią zapatrywanie. Ogólnie zgodzono się na to, że pokój dopiéro wówczas nastanie, jeśli ktoś zdobędzie się na odwagę wypowiedzenia prawdy obu stronom walczącym, tak żydom jak i antysemitom i nakłaniano mie, bym zapatrywania swoje opisał i ogłosił drukiem. Tak powstała rozprawka, która tyle narobiła hałasu i która, jak dziś uznaję, tu i owdzie grzeszy pewną bezwzględnością w formie. Można było istotnie pisać z większą miłością i wyrozumiałością. Kto jednak przeczytał w książce mojéj o lichwie, rozdział dotyczący Galicyi, ten zrozumié, dlaczego mi nieraz téj miłości zabraknąć mogło. Atoli bezwzględność moja w każdym razie płynęła nie z innéj pobudki, jeno z gorącego pragnienia poprawy stanu moralnego żydów. To téż broszurka moja nie minęła bez echa u tych właśnie, dla których pisaną była przedewszystkiém. A choć żydowskie gazety w Niemczech nie szczędziły mi w pierwszéj chwili napaści, to jednak obecnie i obecnie dopiéro zaczynają podawać bezstronniejsze sprawozdania z procesów, w których żydzi są oskarżonymi, występują przeciw wyzyskowi, nawet przeciw spekulacyom giełdowym, wiedeńska *Deutsche Zeitung* a obecnie *Neue Freie Presse*

ogłaszają opinie znakomitych ludzi o kwestyi żydowskiéj, rzadko tylko zupełnie strawne dla bezwzględnych obrońców żydowstwa i t. d. Więc ogłoszenie rozprawki téj po niemiecku miało słuszną przyczynę i pożyteczny skutek. Wszakże i w téj pracy okolicznościowéj i odnoszącej się do stosunków niemieckich, nie zapomiałem zaznaczyć swéj narodowości, a przedmowa moja do polskiego wydania téj rozprawki objaśnia chyba dostatecznie, czy istotnie, jak sz. recenzentka twierdzi, widzę w utworzeniu państwa żydowskiego w Palestynie, rozwiązaie kwestyi żydowskiéj [1]). Mówiąc o stowarzyszeniu lwowskiém „Syon", powiadam tu między innemi: „Syon"—to gromada uczciwych marzycieli, którzy wierzą w zmartwychwstanie narodu izraelskiego i odbudowanie wielkiéj niezawisłéj ojczyzny nad brzegami Jordanu. „Syon" to dzielny sprzymierzeniec w walce z bezwyznaniowym kulturtregerskim kosmopolityzmem Szomer Izraela" (str. 13). Wreście nadmieniam, że ogłosiłem po różnych czasopismach tyle rozpraw prawnych i ekonomicznych (z których może jedna lub druga nie była nieznaną sz. recenzentce), iż zebrane razem dałyby conajmniéj tom spory. Sądzę, że to wszystko, co tu w przydłuższym może wywodzie w obronie własnéj przytoczyłem, wystarczy do obalenia wszelkich krzywdzących mnie kombinacyi i przypuszczeń, opartych na fakcie ogłoszenia książek owych po niemiecku.

Mimo to prosić muszę Redakcyę jeszcze o odrobinę miejsca. Sz. recenzentka czyni mi bowiem kilka zarzutów, których nie mogę pozostawić bez odpowiedzi. Na wstępie twierdzi sz. recenzentka, że materyał do opisu stosunków galicyjskich czerpałem 1) z rękopiśmiennych danych, jakie zbierały władze galicyjskie z powodu wprowadzenia ustawy o lichwie, oraz 2) z pracy prof. Kleczyńskiego o stosunkach włościańskich w Galicyi. Skąd to drugie twierdzenie znaleść się mogło w recenzyi, wytłómaczyć sobie nie umiem. Zaznaczyłem wyraźnie (str. 182), że sejm galicyjski uchwalił w roku 1876 na wniosek komisyi głodowéj i polecił wydziałowi krajowemu zwołanie ankiety dla zbadania przyczyn powszechnego zubożenia kraju. Ustanowiona przez wydział krajowy komisya ułożyła kwestyonarz, który po całym kraju rozesłano a nadeszłe odpowiedzi w liczbie 944 oddano do opracowania prof. Kleczyńskiemu. Gdy jednak w ciągu tego czasu weszła w życie ustawa o lichwie z r. 1877, wyłączył prof. Kleczyński z opracowania swego odpowiedzi dotyczące kredytu i lichwy, i odpowiedzi te nadal pozostały w manuskrypcie (str. 183 w. 11 od dołu). Stało się to z téj racyi, iż już wówczas powstał projekt opracowania tych odpowiedzi—dopiéro wraz z opracowaniem zasięgnąć się mających opinii władz o skutkach nowéj ustawy i połączenia ich w osobnéj pracy, nie pozbawionéj mimo ustawy téj cechy aktualności. Tak więc za źródła służyły mi nietylko relacye 74 wydziałów powiatowych i tyluż starostw, rękopiśmienne relacye sądów, listy prywatne i t. d. o skutkach ustawy o lichwie, ale i ręko-

[1]) Ateneum drukowało, rozprawkę moją „Sprawa indemnizacyjna w Galicyi w zeszycie sierpniowym, za rok 1890.

piśmienne odpowiedzi z całego kraju, nadsyłane przed r. 1877 Wydziałowi krajowemu a dotyczące kredytu i lichwy. Praca prof. Kleczyńskiego wyraźnie zaznacza w przedmowie, że kwestye te zupełnie pomija, pozostawiając je osobnemu opracowaniu.

Daléj twierdzi p. Daszyńska, jakobym podał definicyą: „zysk jest ceną korzyści, którą biorącemu pożyczkę przyniósł powierzony mu kapitał“. Tymczasem wedle utartéj terminologii *Unternehmergewinn* tłómaczy się przez zysk przedsiębiorcy, *Zins* zaś przez procent. „*Das überlassene Kapital*“ nie jesto to kapitał powierzony, ale po poprostu zostawiony, oddany. Powierzenie kapitału oparte by być musiało na umowie składowéj (depozytowéj), kiedy tu oczywiście chodzi o pożyczkę. Definicya więc moja procentu, podana na str. 87, opiewa cokolwiek inaczéj niż ją p. D. podaje, a mianowicie, że procent nazywam ceną korzyści, którą biorącemu pożyczkę przyniósł zostawiony kapitał. I téj oto definicyi czyni p. D. zarzut, że nie odpowiada ona rzeczywistości, że i za pożyczki konsumcyjne płaci się procent, choć tu kapitał produkcyjnie nie działa i korzyści produkcyi nie przysparza.

Dopatrując się we wszystkich zjawiskach gospodarczych mniejszego lub większego oddziaływania na nie etyki, bądź bezpośrednio bądź za pośrednictwem prawa -- co więcéj wierząc, że dalszy rozwój nauki ekonomicznéj uczyni ją coraz bardziej od etyki zależną, nakreśliłem definicyę, która jedyna z dotychczasowych, postulatom etyki odpowiedziéć jest wstanie. Jestem tego zupełnie świadom, że rzeczywistość jest inna. Wiem dobrze, że procent w różnych krajach jest różny, że innym bywa w mieście a innym na wsi, że zmienia się zależnie od rodzaju przedsiębiorstwa a nawet zależnie od wysokości pożyczki i t. d., co więcéj, nietylko wiem, ale sam to i wiele innych rzeczy przytoczyłem (str. 93 i nast.) przeciw teoryi Böhm-Bawerka a cyfry Plattera, które p. D. przeciw mnie cytuje, znajdują się również u mnie na str. 97. Różnorodność procentu, dodatki policzone z tytułu ryzyka, pośpiechu w dostarczeniu gotówki, zachowania tajemnicy o pożyczce i t. d., są dla mnie niewątpliwym dowodem błędności teoryi liberalnéj szkoły austryackéj o t. z. *Grenznutzen*, ale nie są dowodem błędności teoryi mojéj. Böhm-Bawerk twierdzi, jakoby procent przy większéj ilości ofiarowanych kapitałów spadać musiał zawsze do najniższéj „granicznéj“ wysokości i twierdzi, że chyba wyjątkowo teorya jego nie ma w praktyce zastosowania. Jak sądzę dowiodłem mu w mojéj książce, że teorya jego może być świéżą bronią pewnych sfer przeciw niewygodnym ustawom, ograniczającym „swobodny obrót“, jak np. przeciw zaostrzeniu ustawy o lichwie, ustawie o handlu na raty, o spekulacyach giełdowych i t. d. — ale że rzeczywistość na każdym kroku kłam téj teoryi zadaje. Teorya jego ostać by się nie mogła, nawet gdyby odpowiadała chwilowo rzeczywistości; moja, dla któréj dźwignią z zewnątrz są zasadnicze prawidła etyki, wskazując jedynie cel, ku któremu kroczyć ma ustawodawstwo gospodarcze, obyć się może na razie bez rzeczywistości, którą p. D. przeciw mnie jako argument przytacza.

Wysokość stopy procentowéj jest w odwrotnym stosunku do

stopnia cywilizacyi danego społeczeństwa. Nic więc dziwnego, że w społeczeństwach niżéj stojących, 5% uważa się już za dobrodziejstwo acz względne, podobnie jak bank włościański pobierający 27—40½% był niewątpliwie dobrodziejem w porównaniu z lichwiarzami pobierającymi 200 i 300 od sta. Ale nie idzie za tém, aby stopa 5% była możliwą i znośną, o ile dochód dłużnika wynosi statecznie mniéj. W takim razie, rzecz prosta, procent, choćby względnie umiarkowany, zamiast polepszyć, pogorszyć musi jego położenie materyalne a przeto dążyć należy i dąży się istotnie do jego zniżenia. Niesłuszném jest twierdzenie p. D., że jeśli wierzyciel nie zechce obniżyć skali swych wymagań, musi wszystko pozostać w dawnym stanie rzeczy, bo jak słusznie Jaubert zauważył w relacyi swéj do Napoleona w 1807 r. „o ile są ludzie potrzebujący pożyczki, o tyle inni znowu zmuszeni są do szukania lokacyi swego kapitału, a gdyby nawet tak nie było, prawodawca ma obowiązek doprowadzić do harmonii między stopą procentową a wytworami gospodarstwa gruntowego lub przemysłu“. Stąd żądanie moje ustanowienia w drodze prawa legalnéj stopy procentowéj z możnością obniżenia lub ewentualnie podwyższenia legalnéj stopy przez sąd, w miarę wykazania mniejszych lub większych dochodów dłużnika, żądanie oparte na analogii z umową dzierżawną (str. 115—125).

Tak to, co przytacza p. D. przeciw mnie o dochodzie z ziemi w Anglii, Niemczech i Austryi, jak i to, co mówi o lichwie towarowéj i gruntowéj w Stanach Zjednoczonych, znajduje się dosłownie w książce mojéj. Wnioski jednak moje z tych samych faktów są zgoła inne niż recenzentki. P. D. przytacza od siebie moje premisy, przeciwstawiając je moim wnioskom; ale nie uwzględniając dostatecznie ani założenia ani całego toku myśli, który mnie do takich doprowadził wyników. Wiem ja dobrze, skoro sam to przytoczyłem (str. 116), że gospodarka wiejska nie przynosi w Anglii więcéj niż 2½—3½%, w Niemczech i w Austryi również najwyżéj 3—3½%, ale z tego nie wynika, by nie można postawić etyczno-gospodarczego postulatu, „że zdolność zarobkowa jednostki winna być granicą maksymalną odsetek od kapitału“. Jeśli zaś sam przyznałem, że mimo tak niskiego dochodu z ziemi, nikt procentu po 5% nie nazwie lichwiarskim, to dla tego, że chodziło mi o wykazanie, iż tok myśli wierzycieli w tym stopniu skoślawił i wypaczył naszą logikę, iż ci sami, którzy gotowi uznać za słuszne pobiéranie wyższych procentów, jeśli dłużnik jako fabrykant, właściciel sadu, winnicy i t. p. większy ciągnie użytek z pożyczonych pieniędzy, oburzą się niewątpliwie na żądanie, aby na odwrót i ci którzy mniej produkcyjnie lokować mogą swój kapitał, płacili mniejszą cenę użytku wierzycielowi. O ile w pierwszym wypadku deklamować będą o stosunkowości między świadczeniami, o tyle w drugim powiedzą, że postanowienie takie przyczyniłoby się tylko do „zamieszania pojęć prawnych i do naruszenia wzajemnego zaufania“. Czy pobiéranie odsetek nad możność dłużnika będzie się nazywało lichwą czy téż nie, to rzecz obojętna — pojęcia zbiegiem czasu modyfikują się a z niémi i znaczenie wyrazów — sumienie jednak ogółu uważać musi pobiéranie takich od-

setek za niesłuszne i krzywdzące i to do moich wniosków najzupełniéj wystarcza.

Wiem również że „w stanach bawełnianych całe żniwo idzie pod zastaw, towary sprzedaje się na kredyt z przewyżką 50% (w Georgii i Alabamie) wskutek czego 45% wszystkich farmerów (w Alabamie)“ popadło w obdłużenie bez ratunku, gdyż podałem to szczegółowo na str. 8 uw. 10,—ale z tego właśnie wynika, czemu recenzentka przeczy, że uwydatniłem położenie gospodarcze dłużnika, spychające go do upadku; a uczyniłem to, jak sądzę, również w dostatecznéj mierze omawiając stosunki galicyjskie (str. 177 i następne). Wiem niemniéj, że we wszystkich prawie stanach Ameryki północnéj, prócz Washingtonu, Kalifornii i Maine, istnieje legalna stopa procentowa po 6—8—10—12%, gdyż i to przytoczyłem na str. 134 uw. 39. Że jednak ustawy te nie przynoszą dostatecznéj pomocy, nie może być ani argumentem przeciw żądaniu ustaw antilichwiarskich w ogóle, ani przeciw memu wnioskowi zaprowadzenia ruchoméj taksy procentowéj w szczególności Wniosek ten różni się bowiem zasadniczo od dotychczasowych taks procentowych francuskich i amerykańskich, jak wyżéj już miałem sposobność wykazać, a nadto wartość ustawy nie mierzy się jéj bezwzględną skutecznością — w przeciwnym razie, wszystkie ustawy karne, jako tylko w ograniczonym zakresie skuteczne, należałoby skasować. Zresztą nie wierzę ja wcale w pomoc saméj choćby najlepszéj ustawy, jak przypuszcza sz. recenzentka—dowodem tego wywód mój na str. 127, gdzie pierwotnych przyczyn wysokiéj stopy odsetkowéj dopatruję się w niedostatku ludności, w rozmaitych stopniach ryzyka, w niedbałéj i niedostatecznéj organizacyi kredytowéj, i gdzie domagam się utworzenia instytucyi kredytowych na wielką skalę, których rozmiary byłyby dostateczném ubezpieczeniem przed ryzykiem, tak iż pobierana przez nie stopa procentowa, mogłaby być zniżona do ceny użytku, jaki kapitał dłużnikowi przynosi a specyalne fundusze służyćby mogły nawet do zaspokojenia bezprocentowego kredytu konsumcyjnego. Oczywiście, póki czynności kredytowe nie zostaną w całości upaństwowione lub przynajmniéj ukrajowione, póty motyw zysku choćby godziwego paraliżować musi wykonanie takiego planu, — w chwili atoli, gdy państwo lub kraj, które już tyle gałęzi życia publicznego wzięły na swoje barki, przejmą choćby pewne gałęzi kredytu np. kredyt włościański, musi nastąpić ogólna i stateczna poprawa stosunków. Plan reformy kredytu włościańskiego w Galicyi za pomocą funduszów złożonych w pocztowéj kasie oszczędności, rozwinąłem w referacie moim p. t. „Stan i organizacya kredytu włościańskiego w Galicyi“, który miał być próbą terapii opłakanych stosunków, opisanych w „Lichwie“. Niestety, referat ten dla braku czasu razem z czterma innemi spadł z porządku dziennego sekcyi ekonomicznéj zjazdu poznańskiego. Chyba w tém wszystkiém dostateczny dowód, że nie po saméj ustawie spodziewam się naprawy stosunków.

Jednak ustawy są odbiciem zapatrywań etycznych społeczeństwa lub przynajmniéj tych jednostek, które w niém stanowczy i roz-

strzygający posiadają głos — jeśli zaś recenzentka przyznaje, że dzisiejsze ustawy stoją na wyższym poziomie etycznym niż dawniejsze, że skwapliwie bronią słabszego przed uciskiem, że zewsząd domagają się jeszcze uzupełnienia istniejących przepisów w duchu miłości bliźniego i zgody społecznéj, toć nie może zaprzeczyć, że ogół ludzi oświeconych jest dziś bardziéj uspołeczniony i posiada silniéj rozwinięte poczucie etyczne niż dawniéj, a przeto że po tych ludziach, na ogół uczciwych i bardziéj świadomych tak swoich obowiązków jak i własnego rozumnego interesu, mamy prawo się spodziewać wprowadzenia większéj dozy uczciwości i w stosunki gospodarcze. Gdyby atoli nawet tak nie było, pozostaje upaństwowienie pewnych gałęzi produkcyi, podobnie jak dokonane już objęcie emisyi biletów bankowych, wyrobu broni, fabrykacyi tytoniu w Austryi etc. przez państwo, jak projektowane oddawna upaństwowienie zakładów asekuracyjnych i t. d. Różnica między tém stanowiskiem a zapatrywaniem socyalistów jest jednak zasadnicza. Oni mówią: mniejsza o wolność, byle zaspokojono potrzeby materyalne ludzkości; my powiadamy: mniejsza o wolność, byle zwyciężyła etyka.

Potrzebom tym, w miarę wzrostu cywilizacyi może nie być końca — i świat zamieni się na wielkie bezduszne koszary i nie będzie mógł sprostać coraz większym wymaganiom. Etyka natomiast nie narusza wolności, poskramia tylko swawolę i domaga się urzeczywistnienia w życiu gospodarczém dwóch zasad niezmiernie prostych, walczących o zwycięstwo już od Arystotelesa; zasadami temi według moich wywodów (str. 102 i nast.): każde świadczenie powinno odpowiadać rozmiarami swemi świadczeniu wzajemnemu, i drugie modyfikujące tamto: granicą świadczenia winna być jednak zawsze zdolność świadczącego ku górze a możność jego ku dołowi. Oto wszystko; i wiary w ostateczne zwycięstwo owych dwóch zasad nie może we mnie zachwiać fakt, że dziś jeszcze w stosunkach gospodarczych decyduje często głos brutalnej przewagi fizycznéj, a nie głos słuszności i prawa. Zjawisko to może zachęcić nas o tyle do dalszych energicznych wysiłków w służbie owych zapatrywań i haseł, w których ostateczne zwycięstwo wierzymy stale i niezachwianie.

Kraków, 12 Października 1893 r.

Dr. Leopold Caro.

II.

Jeszcze w sprawie „Rokoszu Zebrzydowskiego”.

W zeszycie październikowym „Ateneum“ został zamieszczony artykuł p. t.: „W sprawie rokoszu Zebrzydowskiego“, w którym prof. August Sokołowski poświęcił uwagę wydawnictwu „Biblioteki Ordynacyi hr. Krasińskich“ zatytułowanemu „Rokosz Zebrzydow-

skiego“. Ponieważ redakcya powyższych tomów wydawnictwa została mnie powierzoną, przeto artykuł krytyczny prof. Sokołowskiego zobowiązuje mnie do podwójnéj wdzięczności, którą też wyrażam podwójném podziękowaniem: 1) Redakcyi „Ateneum“ za to, że o krytykę „Rokoszu Zebrzydowskiego“ uprosiła zasłużonego i sumiennego badacza dziejów polskich, posiadającego prócz gruntownéj nauki i poczucia sprawiedliwości, dokładną znajomość epoki rokoszowéj i 2) samemu prof. Augustowi Sokołowskiemu za to, że z niezaprzeczoną pracowitością i gorliwością poświęcił redagowanemu przezemnie wydawnictwu uwagę i poczynił spostrzeżenia, które zarówno redaktorowi jak i autorowi będą niewątpliwie pożytecznemi.

Zarzuty, jakie w sprawie „Rokoszu Zebrzydowskiego“ prof. Sokołowski zamieścił, dadzą się podzielić na trzy kategorye: 1) błędy i opuszczenia dotyczące przeważnie wydawnictwa dokumentów, 2) odmienne poglądy krytyka na instytucye prawno-państwowe, a to na podstawie tychże samych lub pełniejszych dokumentów dziejowych i 3) dopowiedzenie za autora niektórych konsekwencyi prawno-państwowych, które, zdaniem krytyka, z uszczerbkiem dla pracy pominiętemi zostały. Wszystkie trzy kategorye zarzutów posiadają dla mnie niezaprzeczoną wartość, choć nie wszystkie posiadają ją w równym stopniu.

Co się tyczy pierwszéj kategoryi zarzutów, to pożyteczność i cenność ich jest istotnie wysoką. Żałować też jedynie przychodzi, że dla wydawnictwa pojawiły się zapóźno, choć mogły przyjść wcześniéj i być w części przynajmniéj spożytkowanemi. Dwie następne kategorye zarzutów, dotyczące przeważnie rozpraw, zamieszczonych w „Rokoszu Zebrzydowskiego“, jakkolwiek nie zdołały autora odwieść od raz wyrobionych przekonań, posiadają jednak dlań wartość o tyle, że nakazują mu w przyszłości starać się o argumentacyę silniejszą i dokładniejszą, niedopuszczającą odmiennych poglądów, oraz o bardziéj wyczerpujące i ściślejsze wyrażanie przewodnich myśli, aby dopowiadanie konsekwencyi przez krytyka nie było potrzebném.

Szczegółowy rozbiór zarzutów 2-giéj i 3-ciéj kategoryi muszę odłożyć do czasu, gdy tym samym kwestyom prawa państwowego polskiego poświęcę w przyszłości uwagę. Polemiczna forma odpowiedzi, mało pouczająca dla ogółu czytelników, bywa zwykle napiętnowaną znamieniem zbytniéj drażliwości autorskiéj, do czego sumienna i gruntowna krytyka prof. Sokołowskiego bynajmniéj nie upoważnia. Pozwolę sobie też wyłącznie zwrócić uwagę na te zarzuty, które, jak mniemam, nie znajdują uzasadnienia w mych rozprawach, a powstać jedynie mogły skutkiem przypadkowego przeoczenia wyraźnego brzmienia ich tekstu.

Na str. 149 „Ateneum“ zamieszcza np. prof. Sokołowski ustęp następujący:

„W ten sposób stawały się konfederacye (w Polsce w XIV-tym i XV-tym wieku), niebezpieczném narzędziem koteryjnéj lub osobistéj nawet polityki, która osłaniając działalność swoją pozorami do-

bra publicznego, w rzeczywistości podkopywała powagę tronu i wprowadzała zamęt do organizmu Rzeczypospolitéj. P. Rembowski nie doszedł wprawdzie do tych konsekwencyi, ale nasuwają się one każdemu i t. d.“ Wyliczając na podstawie studyów przygotowawczych ś. p. Szujskiego, Ulanowskiego, Prochaski i innych, wszystkie konfederacye polskie XIV-go i XV-go wieku, zwrócone przeciw tronowi i zaznaczywszy, że konfederacye polskie miały organizacyę jeszcze gorszą od niemieckiéj, doszedłem do tego przekonania, że związki powyższe skutkiem wadliwego ustroju, zarówno na zachodzie Europy jak i w Polsce musiały się stać zjawiskiem przemijającém i zbliżając się coraz bardziéj do zjazdów urzędniczych, wpłynęły na wytworzenie się reprezentacyi stanowéj. Na stronicy zaś 150 méj pracy znajdzie sz. krytyk słowa następujące, dotyczące specyalnie związków polskich w XIV-tym i XV-tym wieku. „Związki federacyjne jednak z powodu niedostatecznéj i przemijającéj spójni między uczestnikami, oraz z przyczyny nierozwiniętéj należycie władzy wykonawczéj, zamiast utrwalać bezpieczeństwo, szerzyły niepokój i wzniecały drobne walki, groźne przedewszystkiém dla dobrobytu krajowego i t. d.“

Mniemam więc, iż „konsekwencye, nasuwające się każdemu“ nasunęły się i mnie w pewnym stopniu zwłaszcza, że na str. 149 nadmieniałem, że i egoizm stanowy uciekał się do związków federacyjnych, zwłaszcza, gdy czuł się zagrożonym przez silniejszego współzawodnika. Przedewszystkiém jednak uwalnia mnie od zarzutu pogląd przewodni, upatrujący w konfederacyach XIV-go i XV-go wieku, przemijający objaw, nie zdolny zagwarantować społeczeństwu najważniejszych skarbów t. j. bezpieczeństwa i ładu. Prof. Sokołowski formułuje jeszcze silniejszy zarzut méj pracy (str. 149—150 „Ateneum“) w słowach: „P. R. posiłkując się „Zbiorem“ [1]), doszedł wszakże do tych samych konkluzyi (str. 162), a nawet prześcignął nas poniekąd twierdzeniem, że ani posłowie mniejszych miast do izby poselskiéj, ani posłowie większych miast do senatu Rzeczypospolitéj po roku 1569 przystępu nie mieli. Pesymizm ten nie znajduje w źródłach potwierdzenia. Owszem, na sejmie konwokacyjnym w r. 1587 są posłowie miejscy i siedzą w senacie. Dyaryusz współczesny tak się o tém wyraża: „Byli téż przy dzisiejszéj radzie niejacy posłańcy. Powiadają, że od miasta Elbląga i innych miast pruskich po niemiecku byli, było ich sześć albo siedm osób, opowiedział je p. marszałek panom w radzie i pytał, jeśliby mogli mieć jakie miejsce ku siedzeniu? Odpowiedział ks. Kujawski, że obyczaj bywał, by siedli i dano im miejsce na ławie w tyle stołków senatorskich po jednéj stronie i t. d.“

Z powołanego dyaryusza [2]) przekonać się można, że mowa tu

---

[1]) Mowa tu o Zbiorze praw, dowodów i uwag z treści tychże wynikających. dla objaśnienia zaszczytów stanowi mieyskiem ex juribus municipalibus służących 1790 r.

[2]) Dyaryusz powyższy seymów konwokacyjnego i elekcyjnego w r. 1587 wydany został przez prof. A. Sokołowskiego.

o sejmie konwokacyjnym; tymczasem na str. 161 pracy méj czytać można, co następuje: „W roku 1573 konfederacya w Warszawie odzywała się po śmierci Zygmunta Augusta w następujące słowa: My rady koronne, duchowne i świeckie, y rycerstwo wszystkie, i stany insze jedney a nierozdzielney Rzeczypospolitey. Należały zaś niewątpliwie do téj konfederacyi miasta, jako stan jednéj i nierozdzielnéj Rzpltej i t. d. We wszystkich następnych konfederacyach, czy to sejmach konwokacyjnych czy elekcyjnych, miasta nietylko brały udział, lecz wzywane były pod imieniem wszystkich stanów i do nich stosowało się specyalne wyrażenie: „y insze stany jednej a nierozdzielnej Rzpltej.“

Na str. 168 méj pracy znajduje się znowu ustęp następujący: „na konfederacyach generalnych, na sejmach konwokacyjnych i elekcyjnych, wezwane inne stany, przy federacyjnym zwyczaju rozstrzygania spraw większością głosów, widziały się wydanemi na łup szlachcie. Miasta pruskie nie chciały też należéć do konfederacyi: a koronne przystępując do niéj, zastrzegały najwyraźniéj, aby się to nie stało z krzywdą ich rzpltej miejskiéj [2]. Na str. 169 w odsyłaczu pierwszym znajduje się wzmianka, że po śmierci Jana III, na konfederacyi panów rad, rycerstwa, widzimy podpisy miast i t. d.“ Ponieważ zaś konfederacye generalne po śmierci króla, jak o tém najlepiéj przekonywają *Volumina legum*, zawiązywały się na sejmie konwokacyjnym, przeto udział miast w konfederacyi generalnéj znaczył to samo co udział w sejmach konwokacyjnych.

Na str. 174 méj pracy znajduje się ustęp: „Pozostały jednak niektóre miasta jako stan Rzpltej na konfederacyach generalnych: brały czynny udział w elekcyi królów. Powyższy przywilej niezastąpił niewątpliwie miejsca na ordynaryjnych sejmach, lecz w każdym razie zbytnio go lekceważyć nie wypada.“ Że zaś mówiąc o konfedaracyi generalnéj, miałem na myśli wyłącznie konfederacyą zawiązywaną podczas bezkrólewia na sejmie konwokacyjnym, najlepszy dowód stanowią słowa na str. 280—281: „W każdym razie, konfederacye przy królu nosiły cechę deleko wyłączniejszą, szlachecką, niż związki generalne za czasów bezkrólewia. Zwano ją też niekiedy konfederacyą szlachecką a o powoływaniu i przyjmowaniu do niéj innych stanów, czyli niektórych miast królewskich, nie było wzmianki.“

Przytoczone ustępy przekonywują, o ile mnie się zdaje, dostatecznie: że mówiąc o ostatniém ukazaniu się posłów miejskich na sejmie w r. 1569, miałem na myśli wyłącznie sejmy ordynaryjne, to jest te, w których skład wchodził król, rady duchowne i świeckie oraz posłowie rycerstwa. Powtarzałem bowiem kilkakrotnie, że miasta uprzywilejowane pruskie zarówno jak i innych dzielnic Rzpltej,

---

[2]) Unikanie konfederacyi przèz miasta pruskie było chwilowem i wykazałem na innej stronicy, że następnie miasta pruskie starały się wyzyskać prawo udziału w konfederacyi i elekcyi.

zachowały do końca istnienia państwa polskiego, prawo brania udziału w konfederacyach generalnych, czyli w sejmach konwokacyjnych i elekcyjnych. Prawo powyższe pozostanie nawet wówczas niezachwianém, gdyby się okazać miało, że skutkiem szczególnego zbiegu okoliczności, miasta uprzywilejowane w jedym z sejmów konwokacyjnych udziału nie wzięły. Tak samo się rzecz ma i z prawem elekcyi króla. Lengnich [1]) utrzymuje, że od roku 1733 zaprzestano wzywać miasta uprzywilejowane na elekcyą królów. Zupełnie to błędne przekonanie wzięło, jak się zdaje, początek w niezgodnéj elekcyi 1733 r. *Volumina legum* (VI f. 581) przekonywają, że na konwokacyą w roku 1733, miasta nietylko były wezwane, ale i konfederacyę generalną podpisały, co się rzadziéj przytrafiało. Nadto *Pacta conventa* ze Stanisławem Leszczyńskim w tymże roku miasta podpisały [2]), co najwyraźniéj wskazuje, że brały udział w elekcyi, wiadomo jednak, że za wpływem postronnym elekcya Augusta III zyskała przewagę. Rozbiór krytyczny téj elekcyi przez Zecha podany [3]) nie zawiera wzmianki o udziale miast i zdaje się, że *ex post*, ulegając sile konieczności, oddały swe *suffragia* na Augusta III. Z tém wszystkiém jednak, choć się miasta uprzywilejowane nie znajdywały we wsi Kamień, na tak zwanym sejmie elekcyjnym, prawo wyboru króla było im przyznaném i z niego niezaprzeczenie do końca Rzplitéj użytkowały.

Mogłem więc przypuszczać, że prof. Sokołowski poda w wątpliwość dowodzenie moje, utrzymujące: że miasta uprzywilejowane brały udział we wszystkich sejmach konwokacyjnych i elekcyjnych aż do końca Rzplitéj, albo że przedstawione przezemnie argumenta i wywody wydadzą się mu niedostatecznemi lub ryzykownemi, ale tego spodziewać się nie byłem w stanie, ażeby mnie pouczał o bytności posłów miejskich na sejmie konwokacyjnym w r. 1587, gdy tylokrotnie wyrażałem przekonanie, że posłowie miast uprzywilejowanych zachowali prawo udziału w sejmach konwokacyjnych aż do końca Rzplitéj.

Przy téj sposobności niech mi wolno będzie zwrócić uwagę i na dalsze konsekwencye uczynionego mi przez sz. krytyka zarzutu. Prof. Sokołowski, opiérając się na cytacie z Dyaryusza sejmów: konwokacyjnego i elekcyjnego w r. 1587, przychodzi do przekonania, „iż obecność miast w senacie jest faktem i widocznie Hoffman miał słuszność, kiedy się przytém upierał“. Niewątpliwie dopuszczenie większych miast pruskich, bo o nich tylko może być mowa, do senatu Rzeczypospolitéj na sejmie konwokacyjnym w r. 1587 i oświadczenie ks. biskupa kujawskiego: „że obyczaj bywał, by siedli“, pozwalają domniemywać się, że tenże dzielnicowy pruski zwyczaj przyjął się na poprzednich konwokacyach. Obniżenie powagi senatu

---

[1]) Prawo pospolite Król. Polsk. T. I. str. 130.

[2]) Articuli pactorum conventorum stanów Rzplitej i t. d. Str. 63 i 64.

[3]) De legitima electione et coronatione potentissimi Poloniarum regis Augusti III, Lipsk 1734.

spowodowane wolnemi elekcyami mogło się do tego znacznie przyczynić, ale pozostanie zawsze kwestyą bardzo wątpliwą: czy się udało większym miastom pruskim zasiąść w senacie Rzplitéj przed rokiem 1569, a pozostanie również kwestyą prawie pewną, że po roku 1569 nie pojawiły się na ordynaryjnych sejmach i gołosłowne tym razem twierdzenie Hoffmana nie może starczyć za historyczny dowód.

Źródłopisma Działyńskiego, cytowane przezemnie na str. 158, przekonywają, że na ordynaryjnym sejmie w r. 1562, pomimo zabiegów i starań nie udało się większym miastom pruskim zasiąść w senacie Rzplitéj i że przywilejów dzielnicowych pruskich nie dozwolono im przeistoczyć w koronie. Jakże téż mogły sejmy na taki zaszczytny przywilej miastom większym pruskim zezwolić, kiedy posłowie dwóch miast stołecznych: Krakowa i Wilna — miast najbardźiéj zasłużonych Rzplitéj i najbardziéj uprzywilejowanych, zasiadali z posłami rycerstwa i nie upominali się nigdy o zaszczyt zasiadania w senacie. Prócz tego Lengnich, wyborny znawca dzielnicowego prawa państwowego pruskiego i którego „*Jus publicum Prusiae Polonae*" ma po dziś dzień wysoką wartość, nie utrzymywał, aby po r. 1569 posłowie miast pruskich zjawiali się na sejmach ordynaryjnych Rzplitéj w charakterze urzędowym i to pomimo tego, że miasta pruskie należały do „*Constatus*" swéj dzielnicy i brały udział w generałach swéj ziemi. Działo się jednak obejście prawne, które dopuszczało *privatas consultaciones* pełnomocników, a nie posłów miast pruskich z sejmującymi po za obrębem sejmu i na ten objaw znamienny, opisany przez Lengnicha zwróciłem w odpowiedniém miejscu uwagę. Sądzę, że fakta powyższe, nie mogą wobec nie popartych niczém twierdzeń Hoffmana stracić swéj siły dowodowéj.

Następnie prof. Sokołowski utrzymuje: „że w konfederacyi z r. 1587 o stanie miejskim żadnéj nie ma wzmianki" (str. 151 „Ateneum"). Na pogląd powyższy zgodzić się nie mogę. Że udział miast uprzywilejowanych w konfederacyach generalnych zawiązywanych na sejmach konwokacyjnych nie był wielkim, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Taki jednak udział, jaki miasta uprzywilejowane miały w innych konfederacyach podczas bezkrólewia, a nawet może i większy, utrzymały w konfederacyi generalnéj 1587 r. Oto co „Zbiór praw, dowodów i uwag" (część II, str. 10) nam powiada: „Akt zaś konfederacyi pod rokiem 1587 *in sequelam* kapturu ułożony, zaczyna się od słów: „my rady koronne i t. d. posłowie ziemscy i inne stany jednéj i nierozdzielnéj Rzplitej. Między warunkami téj konfederacyi przyrzekają sobie stany wszelkie krzywdy miast, tak na sejmie jako i *privatim* komukolwiek zrządzone na przyszłym seymie weyść y one uspokoić. *Volumina legum* (VII, f. 1055) zawierają w tekscie konfederacyi generalnéj warszawskiéj z r. 1587 to samo wyrażenie „y insze stany", dowodzące, że miasta uprzywilejowane zostały do konfederacyi przyjętemi. Prócz tego w *Voluminach legum* (II, f. 1052) znajduje się jeszcze drugi dowód na to, że konfederacya senatorów i szlachty województwa krakowskiego, sandomierskiego

i lubelskiego w r. 1586 po śmierci króla Stefana oświadcza: „to główne miasto Kraków i t d. opowiada się przez p. burmistrza i rayce imieniem swym i wszystkich Rzplitey swey miejskiey z wiarą swą i chęciami przeciw Rzplitey naszey, tedy to od nich wdzięcznie przyjąwszy, one także w ten związek y konfederacyę naszą chętnie przyjmujemy i t. d.“

Wyraziwszy w pracy méj przekonanie, że po sejmie w roku 1569 posłowie miejscy z sejmów ordynaryjnych Rzplitéj zniknęli, opiérałem się głównie na „Zbiorze praw, dowodów i uwag“, oraz na zbiorach przywilejów pojedyńczych miast królewskich, które bytności posłów miejskich na sejmach po roku 1569 nie zaznaczały. W części posługiwałem się także Dyaryuszem sejmowym z r. 1570, wydanym przez świętéj i niewygasłéj pamięci Szujskiego. Nie łudziłem się jednak ani na chwilę tém, ażeby dowód z tych źródeł płynący miał być stanowczym. Wprawdzie d-r Prochaska w ciekawéj pracy p. t. „Protest kupców wileńskich w r. 1621“ [1]) zdaje się potwierdzać fakt, że miasta uprzywilejowane, do rzędu których i Wilno się zaliczało, przestały wysyłać posłów i co najwyżéj na drodze protestu zakomunikowanego senatorom, starały się bronić swych interesów;ale z tém wszystkiém nie zdziwiłbym się bynajmniéj, gdyby prof. Sokołowski przejrzawszy Dyaryusze sejmowe w manuskryptach się znajdujące, dowodzenia moje zachwiał lub obrócił w niwecz. Przekonałem się bowiem, że ani „Zbiór praw, dowodów i uwag“ ani Zbiory przywilejów pojedyńczych miast nie są kompletnemi i że miasta królewskie cieszyły się ważnemi przywilejami, o których powyższe zbiory przemilczają zupełnie. Wsparty powyższemi źródłami, wyraziłem naprzykład przekonanie: że miasta uprzywilejowane, biorące udział w konwokacyi i elekcyi nie uczestniczyły w konfederacyi przy lub przeciw królowi, jednėm słowem za życia króla i dlatego też poniekąd konfederacye powyższe nazwane zostały szlacheckiemi. Tymczasem konfederacya generalna W. X. Litewskiego z r. 1716 przystępując do konfederacyi Tarnogrodzkiéj uczyniła „świątobliwą konfederacyę“ na obronę świętéj wiary katolickiéj, na utrzymanie majestatu J. K. M. Augusta wtórego, na podźwignienie praw i na uspokojenie Rzplitey, a mimo to wezwała miasto Wilno do przysięgi: „jako konfederacyą teraźniejszą Rzplitey i W. X. L. na utrzymanie praw, wolności y wiary św. katolickiey rzymskiey przyjąwszy, póki ta konfederacya trwać będzie, przy tey konfederacyi stawają *fidelissime* Rzplitey i W. X. L. służyć y oney nie odstępować przyrzeka i t. d.“ Ważniejszym jeszcze jest fakt, że konfederacyę powyższą po komisarzach powiatów i województw, podpisało miasto Wilno w osobach trzech deputowanych jako komisarzy, t. j. Wargałowskiego Stefanowicza Woyta, Szenciły, burmistrza i Kuczarskiego, sekretarza J. K. Mości burmistrza.

Cała zatem teorya moja oparta na zbiorach przywilejów, została zachwianą i nie pozostaje nic innego jak przejrzeć starannie wszy-

[1]) Kwartalnik hist. Rocz. VII. Zeszyt III. str. 445, r. 1893.

stkie konfederacje za życia króla zawiązane, aby się przekonać, czy udział Wilna w konfederacyi 1716 r. był wyjątkiem, czy też regułą znajdującą zwykle zastosowanie. Trudność ogarnięcia całego materyału drukowanego i manuskryptowego a nadewszystko brak studyów przygotowawczych w zakresie historyi prawa państwowego polskiego, stawiać jeszcze będą przez długi czas badaczom tegoż prawa poważne trudności, udaremniając nawet gorące pragnienie wyczerpania przedmiotu. Jestem też przekonany, że prace moje konfederacyom dawnym poświęcone, zawierają daleko większą liczbę błędów i usterek, od téj którą sz. krytyk wymienił. Jakąkolwiek jednak będzie ta liczba, mniemam, że przysługuje mi prawo uważania zarzutów powyżéj przytoczonych za nieuzasadnione wyraźnym tekstem méj pracy i przypisując je też przypadkowemu przeoczeniu, pozwalam sobie jeszcze raz wyrazić sz. prof. Sokołowskiemu podziękowanie za pożyteczne i gruntowne uwagi jakiemi redagowane przezemnie wydawnictwo zaszczycić raczył.

A. Rembowski.

NEKROLOGIA.

† **Aleksander Messyng**, urodzony w r. 1852 w Warszawie i tu odebrawszy wykształcenie, poświęcił się literaturze i dziennikarstwu. Obdarzony wielką łatwością pisania wierszem i prozą, tworzył mnóstwo konceptów, anegdot, wycieczek satyrycznych, któremi zasilał t. zw. pisma humorystyczne („Kolce“, „Muchę“ i „Kuryer Świąteczny“), podpisując się przeróżnemi pseudonymami (O. Lek, Lolo Bzik i t. p.). W dziennikarstwie czynnym był jako reporter i pracował w różnych dziennikach, a głównie w „Kuryerze Codziennym“. Znając dobrze biedniejsze warstwy mieszczaństwa, na tle życia jego skreślił kilka obrazków („Gracz“, „Potwór“, „Obok mojéj żony“ i inne). Dla scen ogródkowych utworzył kilka jednoaktówek, dla sceny teatru Małego napisał libretto do operetki: „Warszawiacy za granicą“. Zmarł w Warszawie po trzydniowéj zaledwie chorobie 25-go października r. b.

† **Ludwik Kozłowski**, tłómacz piosnek Bérangera, zmarł w Krakowie w październiku.

† **Benedykt Przedrzymirski**, urodzony w r. 1841, ukończywszy gimnazyum realne w Warszawie, studya przyrodnicze ukończył w Szkole głównéj ze stopniem magistra; oddał się następnie nauczycielstwu, a artykułami z dziedziny swojéj specyalności zasilał „Przyrodę i przemysł“, a następnie „Wszechświat.“ Zmarł w Warszawie 8 października r. b.

† **Tymoteusz Rodziszewski**, urodzony 1 listopada 1812 roku we wsi Zakanale, w gub. siedleckiéj, z ojca Joachima i Zofii z Gębarzewskich, obywateli ziemskich, nauki początkowe pobierał w domu, następnie w Białéj, równocześnie z J. I. Kraszewskim, potém w Siedlcach. Od r. 1833-go poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu, jako

guwerner, od r. 1835 uczył w szkole rządowéj, wreszcie od r. 1847 do 1873 w Instytucie moralnéj poprawy dzieci, najprzód w Warszawie, potém w Królikarni, wreszcie w Mokotowie. Poszedłszy w ślady Jachowicza, pióro swe wyłącznie pożytkowi i zabawie dziatwy poświęcił. Wszystkie jego prace cieszyły się w swoim czasie uznaniem i po kilka miewały wydań. Najprzód wyszły „Bajki i powiastki dla dzieci“ (Warszawa, 1840; drugie wyd., 1843; trzecie 1847); następnie „Nowe bajki i powiastki dla dzieci“ (Warsz., 1857, miały również dwa późniejsze wydania 1860 i 1863 r.), „Modlitewki, dla dzieci ułożone, z dodatkiem niektórych litanii i pieśni pobożnych zwykle używanych“ (Warsz., 1859, 2-gie wyd. 1865), „Przyjaciel dzieci; szczegóły z życia Stanisława Jachowicza, dla pożytku młodocianego wieku“ (Warsz., 1858), „Zagadki i nowe powiastki na upominek noworoczny dla dzieci“ (Warsz., 1861, 2-gie wyd. 1864), „Zabawka moralna, wierszyki w obrazkach napisane dla dzieci“ (Warsz., 1871), „Zwierzęta w obrazkach z wierszykami“ (Warsz., 1876), „Arytmetyczka dzieci“ (Warsz., 1877), „Pani Dulska, powiastka humorystyczna dla dzieci w obrazkach“; „Trzy kotki, powiastki z rycinami.“ Prócz tego pisywał bajki i powiastki do „Przyjaciela Dzieci“, między innemi „Celinka i młode drzewko“, 1869; „Piesek pieszczony“, 1876, powiastka wierszem, oraz do „Przyjaciela Zwierząt“. Zmarł w Warszawie 14 października r. b.



Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Октября 1893 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowsk.*



ŽÓRAWIE.

...Chłód nocy powiał. Przechadzką zmęczony,
Siadłem na ławce w ustronnéj alei...
W ciemnéj otchłani gwiązd błysły miliony,
Wszystkie, prócz jednéj, prócz gwiazdy nadziei...

Smutno mi było... I dusza tęskniąca,
Jak lilia, kiedy woniami w noc wzdycha,
Oblana światłem omdlałém miesiąca,
Rozwarła wnętrze białego kielicha.

Ach, wszystkie smutne, cierpiące ból duchy
W słońcu stulają wstydliwie swe wnętrze...
Lecz pod świeżemi wieczoru podmuchy
Ich łzy — bujniejsze, westchnienia — gorętsze.

Chłód nocy rzeźwi i błogość nawiewa...
Szerzéj się myśli i szerzéj się czuje,
Kiedy zaszumią zarośla i drzewa,
Kiedy się po nich mgła srebrna rozsnuje.

Gdy chłodna rosa osrebrzy ruń łąki,
Powiew wieczoru pokosy rozchwieje,
Kiedy się kwiatów rozchylą już pąki,
Wolniéj oddycha, kto stracił nadzieję...

. . . .

Smutno mi było... W alei szumiącéj
Pod wieczór dziwnie zrobiło się pusto...
Grupy drzew oprządł księżyca blask drżący
Białą, rozwiewną pajęczéj mgły chustą.

Starych drzew parku, szumiących drzew kłęby
Spowiły białéj, rowiewnéj mgły tiule,
Skronie wiatr lekki całował mi czule,
W dali szumiały swą tęskną pieśń dęby.

Niebo — usiane w mieniące się gwiazdy...
Ach, deszcz tam upadł rzęsisty i złoty?
W szumie drzew słychać odległe turkoty,
W dali dudniały spóźnione pojazdy.

Gwar miasta huczał z oddali i zcicha,
Jak ul wpółsenny, leniwie brzęczący,
Do gwiazd się zrywał duch smutny, tęskniący,
Lejąc wkrąg wonie z białego kielicha...

. . . .

W wązkiéj alei srebrzystych brzóz cienie,
Jakby współczując tęsknocie bezdennéj,
Chwiały się... I gdym tak siedział wpółsenny,
Zkądś się ozwało żałosne kwilenie...

Gdzieś *kurul*, *kurul!* zakwili żałośnie
Głos jeden, drugi, z nim inne się łączą,
W gwiezdnéj otchłani kwilący płacz rośnie.
Pod chłodnéj nocy powiewną opończą.

Chór kwileń płynął rosnącą nawałą
Hen! od północy, gdzie gęstszy mrok nieba,
Jakby się morze tam płaczu zarwało,
Jakby żal było czyjś tulić potrzeba...

Jakgdyby jakieś niosące żal duchy
W pustych obszarach kwiliły, jak dzieci...
I niemasz dla nich nadziei, otuchy!
W mroku dal tęskną hen! duchów tłum leci.

W gwiaździstéj ciszy i w nocy tym chłodzie
Żałosnych kwileń płynęła gdzieś chmura,
W ich strugach krzepła, rzeźwiała natura...
Jam siedział smutny, samotny w ogrodzie.

Drżał mój duch tęskny... Jak listek mimozy
Nieśmiało w ciszę i w noc się roztulał...
I białopienne szumiały w dal brzozy,
W szumie drzew księżyc skroń do snu mi lulał.

W dół się nad czołem płonącém zwieszały
Srebrzystéj brzozy szumiące gałązki,
A w górze brzmiały kwilące chorały,
Roniąc dźwięk w głębię alei brzóz wązkiéj...

Gwar miasta cichł już w dudniącéj oddali,
Białéj mgły smugi śród drzew się rozsnuły,
Nad parkiem sennym, w powietrza hen! fali
Płynął ów klangor, żałosny i czuły...

. . . .

Spojrzałem w górę... W bezdenném przestworzu,
Gdzie w chłodzie mroku gwiazd milion się pławi,
Płynęła wstęga kwilących żórawi,
Tęsknych żeglarzy w powietrzném tém morzu...

Płynęła w przestrzeń drużyna śpiéwacza
Przez pustych niebios gwiaździste obszary,
W stronę południa ciągnęły, jak mary,
A klucz ich z drogi wytkniętéj nie zbacza...

. . . .

Zniknęły w mroku, we mgły oceanie...
Kwilenie cichnie stopniowo w oddali,
W ciemni bezdennéj gwiazd milion się pali
I znowu cisza zaległa otchłanie.

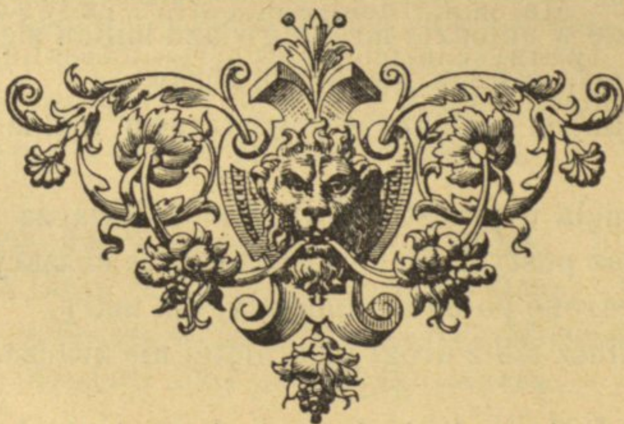
Wtém od północy, od cichych pól strony
Znów *kurul*, *kurul!* słabiutkie kwilenie
Nagle ożywia gwiaździste przestrzenie,
W locie w dół roniąc żałosnych skarg tony.

To trzy zbłąkane w otchłani żórawie
Kwiląc, niepewne i trwożne w ślad śpieszą
Za oskrzydloną i gwarną tą rzeszą,
Któréj kwilenie umilkło już prawie...

O, zaczekajcie! I jam jest zbłąkany,
I jam jest trwożny, jam zmylił téż drogę,
I ja téż swoich odnaleść nie mogę
I siedzę tęskny, księżycem oblany...

O, zaczekajcie! Łez gorzką żałobą,
Jak lilia rosą, nalana ma dusza...
Wasze kwilenie do głębi mnie wzrusza...
O duchy bratnie! zabierzcie mnie z sobą...

Wacław Wolski.





DON JOSÉ ZORRILLA.

Dnia dwudziestego drugiego czerwca 1889 r. naród hiszpański wielką obchodził uroczystość. Za podnietą koła poetyckiego w Granadzie wieńczono, jako największego poetę narodowego, wsławionego oddawna swojemi pieśniami i dramatami sędziwego Józefa Zorrillę. Małemu, ruchliwemu staruszkowi o oczach żywych i sympatycznéj twarzy włożono w starym, arabskim zamku, Alhambrze, złoty wieniec na głowę, a królowa i najwybitniejsi mężowie Hiszpanii przysłali mu od siebie podarki i stawili się na jego koronacyą.

W niespełna cztery lata potém, w styczniu roku bieżącego, ta sama Hiszpania ze smutkiem odprowadziła zwłoki Zorrilli do grobu. Pogrzéb urządzono na koszt państwa, tłumy ludu postępowały za trumną. Poeta zmarł w miejscu swego urodzenia w Valladolidzie, ojczyźnie także Cervantesa, mistrza powieści hiszpańskiéj. Mocno nadwerężony dom Cervantesa odległy był o kilkadziesiąt kroków od mieszkania Zorrilli.

Na literaturę hiszpańską zmarły wywarł wielki wpływ. W czwartym i piątym lat dziesiątku czytano go z zapałem w całéj Hiszpanii i we wszystkich romańskich republikach Ameryki. Od Meksyku i Kuby do brzegów La Platy rozbrzmiewało jego imię. Późniéj zawiesił na długie lata swą harfę, lecz utwory jego rozchodziły się jak przedtém, aż wreszcie stały się klasycznemi. Poematy epiczne, zwłaszcza w starohiszpańskim tonie pisane „romance“ wywołały wiele naśladowań, a „zorrillizm“ dziś jeszcze jest w Hiszpanii mocno rozpowszechniony.

1.

Józef Zorrilla urodził się w r. 1817, ojciec jego „*alcalde de casa y corte*,“ wysoki urzędnik sądowy, sprawował swój urząd po kolei w Valladolid, Burgos, Sewilli i Madrycie. Niesympatyczny pod względem charakteru, pozbawiony wszelkich uczuć artystycznych, chciał on z syna wykuć tylko urzędnika, nowe kółko do wielkiéj maszyny biurokratycznéj. Gdy więc ten skończył kolegium zarządzane, jak większość szkół hiszpańskich przez Jezuitów, wysłał go na prawo do Toledo.

Miasto uniwersyteckie, w którém *alcalde* umieścił swego syna, wisi jak gniazdo orle na stroméj skale. Z trzech stron opasuje je srebrzysta wstęga Tagu, a góry w samém śródmieściu piętrzą się jak wzburzone fale. Ulice są po większéj części wązkie i ponure, lecz zwiedzający co krok natrafia na zabytki czasów wielkich, świetnych, wspaniałych. Na rzece rozpina się staro-arabski most Alcantara, po lewéj stronie Tagu rozsiadł się zamek San-Servando, zachowany również z czasów maurytańskich. W śródmieściu na Plaza de Zodocover wznosi się zbudowany w okresie rozkwitu Hiszpanii renesansowy ratusz, niedaleko od niego strzela w niebo wieżyca kościoła katedralnego, rozpoczętego jeszcze w r. 1227, a wzniesionego w najczystszym stylu gotyckim. W jednéj stronie miasta leżą ruiny rzymskiego cyrku i łazienek Galena, w innéj czernieją mury wzniesione przez Arabów, naprawiane późniéj przez Hiszpanów, rujnowane przez Francuzów.

Z dwóch stron, z trzech nawet, horyzont miasta zamykają góry, z jednéj tylko otwiéra się zielona, w piaszczystą przechodząca późniéj równina. Położenie jest prześliczne. Wieczorem zaś, kiedy księżyc wypłynie na niebo i pocznie sypać pełnemi garściami promienie na wieże i baszty, wydaje ci się zdala, że widzisz na ciemno-błękitném tle aksamitu jakąś subtelną koronkę ze srebrnéj pajęczyny, przetykanéj złotem.

Położenie więc samo Toleda wystarczało, aby zachwiać nadzieje ojca. Młodego Józefa nadzorował surowo wuj jego, kanonik, ale nadzór ani wykłady szkolne nie zdołały przytłumić iskry zapalającéj się w piersiach młodzieńca. Niebotyczne góry, malownicze ruiny, szumiące lasy i rzeka, przemawiały do niego szczerzéj i serdeczniéj, niż perory krewnego, a hasła dolatujące z Francyi, pieśni Lamartine'a i Wiktora Hugo, utwory Chateaubrianda, zwracały jego umysł w stronę wprost przeciwną. Kiedy więc po przeciągu roku Zorrilla

powrócił do ojca, prawo znał bardzo licho, a za to w teczce swojéj studenckiéj krył kilkanaście pięknych wierszy, między nimi drukowaną w *El artista* „Elwirę.“

Niezadowolony z rezultatów osiągniętych w Toledo, ojciec poety, wysłał syna do Valladolid. Lecz muza i tu tuliła go do siebie, prawo zaś jak przedtém nie przenikało do głębi duszy. Wtém ojciec dowiedział się o „Elwirze.“ W surowym, pełnym gróźb liście zgromił jéj autora i kazał mu wracać natychmiast do domu. Józef poddał się woli ojcowskiéj, ale kiedy bryczka, wioząca go, zatrzymała się w pobliżu winnic rodzica, na polu jednego z swoich krewnych spostrzegł pasącego się konia. Myśl o ucieczce zabłysła w głowie, podszedł śpiesznie do konia, wsiadł nań oklep i — uciekł do Madrytu.

Ciężkie wtedy czasy przebywał młody entuzyasta. Chcąc zatrzéć ślady za sobą, zapuścił długie włosy, nałożył niebieskie okulary i usunął się zupełnie od ludzi. Były dni, kiedy i przenocować gdzie nie miał. Przekonał się wtedy, jak ciężkie trzeba przebyć koleje, aby zachować trochę, tylko trochę niezależności.

Dnia piętnastego lutego 1837 r. w mroźne i ponure popołudnie zimowe ciągnął przez ulice Madrytu pochód żałobny. Za czarnym karawanem postępowało grono młodych ludzi, na twarzy każdego wyryty był smutek. Po niejedném obliczu spływała łza, bo na wieczny spoczynek prowadzono jednego z najsympatyczniejszych myślicieli Hiszpanii, młodego, ale głęboko sięgającego i szerokie obejmującego horyzonty poetę, Maryana Larrę. Była to dusza gorąca, co się rwała jak ptak do lotu, ale stosunki wewnętrzne Hiszpanii, układ polityczny całéj Europy, wreszcie dolegliwości i troski życia codziennego raniły ją srodze i dzień po dniu krwawiły. W pismach hiszpańskich znany był Larra jako cięty satyryk, w poezyach wylewał ducha swego, pokrewnego z Byronem. Ale w dwudziestym ósmym roku życia wyczerpały się siły moralne i czarny smutek uderzył nad nim skrzydłami. Powiadają, że nieszczęśliwa miłość do pewnéj damy w Madrycie popchnęła go do ostatniego kroku: ile w tém prawdy, niewiadomo, lecz dnia trzynastego lutego 1837 r. kula z pistoletu przecięła więzy łączące go z życiem.

Bo téż i Hiszpania dni smutku przebywała podówczas. Jak lew skrępowany, targała się od r. 1808, najpiérw z najeźdzcą Francuzem, potém z własnymi swymi królami. Trzydzieści lat długich walczyło wszystko, co żyło wolnomyślne, o swobody. Ferdynand VII bez litości ścigał przeciwników, wróciwszy na tron w r. 1814 zaprowadził na nowo inkwizycyę i cenzurę, przywrócił do władzy kler, zamknął połowę uniwersytetów. Poeci i myśliciele, którzy byli duszą ruchu antifran-

cuskiego, którzy pieśnią i czynem zagrzéwali poprzednio dusze rodaków, błąkali się teraz na obczyźnie, lub marli w więzieniach. Quintana i Mendez, dwaj najruchliwsi i najbardziéj utalentowani, kryli się zagranicą. Rozruchy marcowe w r. 1820 przechyliły szalę zwycięstwa na stronę opozycyi, lecz już po dwóch czy trzech latach powrócił system dawny. I znowu do r. 1830 całun rozścielał się na Hiszpanii. Gdy wreszcie w 1833 młode siły i jego rąbek odrzuciły, ujrzały przed sobą tyle trudności i tyle przeciwieństw, że ramiona im nieraz z wysiłków opadały.

Bolesną więc była dla nich strata jednostki tak utalentowanéj i tak dzielnéj, jak zmarły Larra. Gdy na cmentarzu bramy Fuencarral, rozległy się dzwony pogrzebowe, młodym jego przyjaciołom ścisnęło się serce. Rozpoczęto mowy. Roca de Togores wygłosił wzruszające pożegnanie, na trumnę jęto sypać ziemię.

Wtém z tłumu wyszedł młodzieniec blady i głosem harmonijnym począł recytować wiersz. „*A la Memoria desgraciada del joven literato D. Mariano José de Larra.*“ (Pamięci nieszczęsnéj młodego pisarza Maryana Józefa Larry). Intonacya była pełna natchnienia, w wiersz swój wlał recytujący wszystek zapał, całą duszę. Oko błyskało jak płomień. Naraz głos jego urwał się, twarz zbladła jeszcze bardziéj, i natchniony młodzieniec upadł zemdlony. Jeden z stojących przy nim wziął z rąk jego kartkę i dokończył recytowania.

Zemdlałym młodzieńcem był Zorrilla. Wiersz jego zelektryzował wszystkich, imię dotychczas nieznane, w jednym dniu stało się sławném. Po kilku tygodniach Zorrilla ogłosił pierwszy zbiór swoich poezyi, rozchwytano go.

Przez dziewięć lat na ustach ogółu było imię młodego poety. Z pod pióra jego tryskały wiersze liryczne, poematy, utwory dramatyczne. Od 1837 do 1846 r. ogłosił kilkanaście tomów. Odbił się ten pośpiech junacki tu i owdzie na kompozycyi, ale mimo pewnych usterek i wad, czuć we wszystkich utworach talent potężny i bardzo oryginalny. Zresztą w okresie tego pośpiechu zrodziły się najpiękniejsze jego liryki, zbiory epiczne „Pieśni Trubadura“ i „Wieczory letnie“ i dramat w dwóch częściach wybitny: „Don-Juan Tenorio.“

Ale w pełni twórczości Zorrilla zaznał bolasnych zmian losu. Kiedy fantazya jego bogata snuła sny swe tęczowe, los zawistny jął sny te targać jak pajęczynę i rzucać na wichry. Poczęły nań spadać ciosy i zdrój poezyi coraz bardziéj wysychał.

Śmierć ojca, niepowodzenia majątkowe, wygnały go z ojczyzny. W przedmowie do niedokończonéj swéj epopei „Granada“ uskarża się

na stratę rodziców i mienia. Przebywa po kolei w Paryżu, Brukseli, Meksyku. Tu poznaje cesarza Maksymiliana, a w nadziei tronu meksykańskiego, Habsburg mianuje go swym poetą nadwornym i poleca zredagowanie pamiętników z honoraryum 250,000 franków. Zorrilla w sprawach majątkowych wyjeżdża do Hiszpanii, ledwo wylądował dowiaduje się: Maksymiliana rozstrzelano.

Nawet nędza zajrzała do okna pięćdziesięcioletniego już blisko poety. Poruszono sprawę jego położenia w Hiszpanii i minister Martos wysłał go z pensyą 12,000 franków do Włoch celem zbadania archiwów. Przez półtora roku pensyę wypłacano, potém zawieszono.

Podczas pobytu we Włoszech wykończył swój poemat o Cydzie. Biéda powtórnie zapukała do jego drzwi. Wtedy z impresaryem począł objeżdżać Hiszpanią i Amerykę i urządzać odczyty publiczne. Poratowało go to nieco, równocześnie w kraju dziennik *Imparcial* podniósł jego sprawę bardzo energicznie i wyznaczono mu pensyę ze skarbu państwa. Osiedlił się w Valladolid.

Ująwszy znowu w dłoń pióro, żył spokojnie w zaciszu. Znał prawie każdego mieszkańca Valladolidu po imieniu, przyjmował u siebie najwybitniejszych mężów Hiszpanii. I obcy go odwiedzali. Był tak skromny, że w bibliotece swojéj nie posiadał żadnego swego dzieła, a kuchnią podczas nieobecności żony sam zarządzał.

2.

Pierwsze lata poetyckiéj twórczości Zorrilli wypełnia liryka. Żywy, ognisty temperament młodzieńca potrzebował powiernika, kogoś, przed kim mógłby wyspowiadać się ze swoich marzeń i dumań. A nie miał nikogo prócz siostry muzy. Więc jéj odkrywał skarbiec swych myśli, jéj słał pod stopy kobierzec snów.

Późniéj, kiedy sława jego rozbrzmiéwała potrójném echem po całéj Hiszpanii, kiedy wiersze jego poczęto czytać przy ogniskach biwakowych i na pampasach bezbrzeżnych, kiedy umysł uspokoił się i wreszcie pieśni epickie: „Napad na Zaharę,“ „Dla prawdy czas,“ „Dla dobrego sędzi najlepszy świadek“ i t. d. przypadły szerokiemu ogółowi najlepiéj do smaku, zwrócił się on do spokojnego poematu opowiadającego. Lecz i tu jeszcze liryka nie wygasła, w opowiadanie epiczne poeta wplata nieraz prawdziwe perełki liryzmu. Po wędrówce przez bory przeszłości, wprowadza nas od czasu do czasu na polankę.

Już wiersz na śmierć Larry zapowiada talent niepospolity. Są tam miejsca, które powtarza do dziś jeszcze cała Hiszpania:

Bo poeta w swém posłannictwie
Na ziemi, na któréj żyje,
Jest jakby roślina wyklęta
Z owocem błogosławieństwa,

Prześliczna jest strofa, odnosząca się do samego Larry:

Odbył swe posłannictwo na ziemi
I swój byt jéj zostawił stargany;
Tak dziewica, gdy się szczęścia wyrzeka,
Wiesza welon swój na ołtarzu.

W późniejszych utworach, zwłaszcza w zbiorku z r. 1839 i następnych, forma jego dochodzi do doskonałości. Wiersz głaszcze ucho, jak powiew wiosenny, rytm płynie lekko, łagodnie. Dziwnie miła śpiewność języka hiszpańskiego uwidocznia się tu najzupełniéj. Przytoczę np. początkową strofę wiersza: *La Orgia:*

Cień nas zaściela
Swoim całunem,
Spadło już z nieba
Słońce i tonie.
Świat drzemie gnuśnie,
Migocą gwiazdy,
Wkoło butelek
Siądźcie, ucztujcie.

„*La Orgia*“ rytmicznością swą przypomina mi „Dziady“ i „Ucznia czarownika“ (*Der Zauberlehrling*) Goethego. Nawet motyw jest nieco spokrewniony: tu i tam zaprosiny. W „Orgii“ poeta sprasza dusze cierpiące, „dziewice łaknące swobody i miłości“ na ucztę.

Lecz pieśni Zorrilli nie tylko formą lśnią i muzyką: myśli głębokie spoczywają na dnie ich. Mimo swéj płodności poeta hiszpański nigdy nie wpadł w banalność, nigdy w wymuszoność. W pierwszym zbiorku jego tu i owdzie widoczny wpływ Byrona, Lamartine'a i Wiktora Hugo, ale już w tym samym zbiorze wynurza się silna jego osobowość. „*El Relo*“ (Zegar), „*Indecision*“ (Niepewność), „*A una mujer*“ (Do pewnéj kobiéty) odkrywają jego duszę. Krewna to Leopardiego, nurtowana przez pesymizm, szarpana myślami o Nirwanie. Tylko wyraz nadany tym myślom jest nieco łagodniejszy: wiersz Zorrilli nie zgrzyta jak strofa Leopardiego, nie rozbrzmiewa łkaniem puszczyka, okrzykami wściekłości i rozpaczy rzucanemi w przestworza nieobjęte, nieogarnione. Wieje z niego pewna rezygnacya, zgoda z nieubłagalnym systemem natury.

Dwoma wierszami oddzielony od „*A la memoria*“ jest „*El Relo*“ (Zégar). Nocą na wieży gotyckiéj uderza dzwon, wybija godzinę. I w duszy poety budzi się naraz rój czarnych myśli. Jak ława ptastwa wzlatują.

Bije zégar i oko zwraca się do niego. I zdaje się widziéć ów czas, co ucieka, owo życie, ów byt. Ulatuje on jak chmura. Wkoło

szumią wichry, w dali lśnią światła, czas leci i pędzi, śpiesznie, bez tchu. Tak pędzi, że nawet bicia skrzydeł nie słychać.

A z wieży twarz spokojna, twarz bez życia spogląda: Zégar. On czeka i liczy. Liczy dni, liczy tygodnie, miesiące. Patrzy przed siebie i wyczekuje dnia, kiedy czas zerwie łańcuchy łączące ziemię z bytem. I jak wóz, od którego konie odprzągłeś, ziemia potoczy się w nicość, w przepaść.

Zagasną światła, zginie życie. Za sto lat te twarze, które śmieją się, te ręce, które żegnają się będą pod ziemią. Oczy lśniące teraz radością, przymglą się i zgasną. A zégar na czarnéj wieży będzie daléj liczyć chwile, chwile zbliżające koniec...

Ach jaka ciężka dola
Naszego istnienia: widziéć
W kole tajemniczém
Wplecioném w mur,
Liczbami widziéć wpisaną
Naszego dumnego bytu
Nędze... proch... nicość...
Znikomą przyszłą przeszłość.

Pesymizm ten, jak strumień jadu sączy się przez poezyą Zorrilli, powstałą w latach 1837—1846, w okresie rozkwitu poety. Późniejsza liryka: *Album de un loco* (Album szaleńca), *Composiciones diversas* (Rozmaite utwory), częściowo *Gnomós y mujéres* (Gnomy i kobiéty) odznacza się spokojem, pochyla się już do dydaktyzmu. Mniéj karmiona rzeczywistością, niż abstrakcyą, przypomina do pewnego stopnia poezyą Goethego, pochodzącą z ostatnich lat życia.

Ale w młodzieńczych latach kwestye bytu wciąż palą duszę poety. Myśl młoda nieustannie krąży około nich, nieustannie analizuje je, bada. W „Niekonsekwencyi“ (*Inconsequencia*) piewca pyta turkawkę:

Powiedz mi, co nam
Ptaku nieszczęsny
Tobie z twych jęków
Mnie z moich pieśni.

W innym wierszu wyrywa się z ust jego bluźnierstwo:

Jedni giną w opilstwie
Drudzy mrą z głodu,
Lecz wszyscy sobie samym złorzeczą
Bo wszyscy są nieszczęśliwi.

„*A la memoria*“ mówi:

Warte tego zaprawdę
Życie gorzkie,
By rzucić jego pustelnię
I cisnąć mu na pożegnanie
Gnijące ciało.

Jednym z najpiękniejszych utworów pesymizmu nietylko hiszpańskiego, ale europejskiego, jest monolog Ahaswera, wiecznego żyda

w jednym ze „Śpiewów Trubadura.“ Tryska on w oryginale zarówno pięknem formy, jak myśli:

Nie zatrzymam się nigdy, zawsze przed [mym wzrokiem
Przed stopami mojemi rozściela się droga;
Przez ciernia, przez bagniska, przez skały
Bez wytchnienia pisano mi błąkać.

Przebiegłem świat cały i nic nie wi- [działem
Prócz nędzy, niewdzięczności i podstępu,
Ach! tyle razy czułem ból głęboki
Bolałem, że w wędrówce nie mam towa- [rzysza
Nie mam brata... lecz lepiéj zaprawdę [samemu...

Bo w téj farsie szalonéj,
W téj orgii zwanéj światem,
Zwą ołów srebrem,
Zwą matką ugór,
Zwą pięknem błoto.

I jeśli błyszczy na niebie
Potężne światło słońca,
To na to, by zamiast koić
Odbiwszy się od ziemi,
Paliło nasze oczy.

Dowód głębokiego zrozumienia bytu wreszcie złożył Zorrilla w wierszu zatytułowanym „Łańcuch“ (*La Cadena*). Życie wszechświata pojął on tu jako szereg przekształceń i przemian, jako łańcuch, którego ogniwa: ruch i zmiana nieustannie przechodzą jedno w drugie.

Na brzegu strumyka kwitnie róża, całuje ją wiatr, muska motyl. Perłami obrzuca ją deszczyk.

Jesienią róża przekwita, listki wiatr rozwiewa. Korzenie zaś podmywa strumyk i unosi ze sobą.

Strumyk mknie wesół, jak dziecko, po łące. Chwieją się nad nim kosaćce i trzciny, pląsają panny wodne. Łoże wyściela aksamitem mech, a słonko srebrzy fale.

I strumyk ginie. Życie jego przechodzi w nurty rzeki. Huczy i szumi, niby ogromna ryba grzbietem wali o brzegi, zalewa je białą pianą. Wicher miota w nią chmury piasku: po obu stronach ścieli się pustynia. Potém wynurzają się lasy, gęste, nieprzebyte, w nich wyją wilki i szakale, błąkają się koczujące szczepy. Czasami przez barki jéj skacze most, wtedy z gwarem fal łamią się głosy ludzkie, rżenia koni.

Lecz i ona kończy żywot: tonie w morzu. *El mar, el mar!* Morze! morze! Obraz wieczności, zapomnienia, nicości. Zieje olbrzymie i czeka chwili, kiedy brzegi zatopi i świat zaleje. Nigdy nie syte, zawsze wściekłe. Czycha na zgubę ziemi.

Morze! Jak ono, głęboka i ponura
Rozciąga się tajemnicza przyszłość
I za jéj czarnym nieprzebitym murem,
Nic nie uchwyci nasz umysł biédny.

Wieko trumny jest jego portalem,
Na nie opuszcza się warstwa ziemi.
Upadła ziemia, już brama nicości
Otwiéra się, pochłania ofiarę i zamyka.

Tak za nią bez przerwy giną, w miarę
[jak się rodzą
Jedne po drugich wytwory życia,
I gdy jedne rozkładają się, drugie
[z nich strzelają,
By kipiéć, by falować i znowu utonąć.

Charakterystyczną cechą liryki Zorrilli jest piękno obrazów. Jak kwiaty wytryskają one z każdego niemal utworu poety. Jedne delikatne i lekkie przypominają swym kolorytem Murilla z bladym błękitem, leciuchnym różem i subtelną zielenią, inne lśnią farbami silnemi i pełnemi, niby dywany perskie. Czasami obraz przyrody zbliża się do Ruysdaelowskiego: słoneczny, hoży. I zawsze świeży, nowy.

Piękną jest np. strofa z „Łańcucha“:

Nad jéj falą rozpina sklepienie
Smukła sosna i kolczasta ożyna
A między skałami poszarpanemi,
Schwytana biegnie droga.

Kilka wierszy daje prześliczny krajobraz leśny. A jak dobrze dobrane słowo łowieckie „schwytana“. Niby sarna rozbujana musi teraz owa droga podążać spokojnie, nie hasać ze skały na skałę, nie wić się i wymykać, i nie uciekać w zarośla. Bo schwytana. *Es preso.*

Oto opis przyjęcia dusz dziecięcych do raju, zaczerpnięty z jednego z najsławniejszych utworów poety: „Dzień bez słońca“ (*El dias sin sol*).

I pójdą czyste dusze
Wesołych dzieciątek,
Jak palmy cmentarza,
Jak sobole trumien
Przed tron lśniący
Boga Izraela.

Aniołowie ich bracia
Ocienią im drogę
Przeczystemi dłoniami
I pościelą im miękko
Na swych skrzydłach szerokich
Do spoczynku i królowania.

Przytoczę w końcu wyjątek z wiersza „Niestanowczość“. Wiersz ów pochodzi z okresu poprzedzającego śmierć Larry i odzwierciedla walki wewnętrzne, jakie wrzały wówczas w piersi Zorrilli. Młodzieniec waha się między samobójstwem a życiem.

Wyjątek wzięty jest z części poczynającéj się od słów: „Pięknie jest żyć“.

A w lasach ścielą się olbrzymie cienie
I puszcze zieją bezgraniczne
Na ich bezbrzeżnych, spiekłych prze-
[stworzach
Rosną palmy, jak gęsta trawa.

I krążą tam fantastyczne potwory,
Niby cienie bez światła, lub widma
Siwe, olbrzymie słonie,
Żółte pantery i lwy.

Tam na mchu skały zapomnianéj
Śpi tygrys dziki, syty i spokojny,
A z jaskini z paszczą napół otwartą
Wygląda samotny krokodyl,

Porównać mógłbym z tym krajobrazem chyba krajobraz Leconte de Lisle'a w poemacie indyjskim „Bhagavat“.

Tu i owdzie w poezyach Zorrilli znajdują się utwory osnute na tle historyi biblijnéj lub Ewangelii. Dało to pochop niektórym krytykom do uważania Zorrilli za poetę katolickiego. Jednak sam on powiedział w *Album de un loco*“:

Moja religia nie przypadnie do smaku teologom.

Jego „Marya u krzyża“ jest wylewem uczuć bolesnych matki nad synem, a „Dzień bez słońca“ szeregiem wspaniałych obrazów raju biblijnego i legendowego ostatecznego sądu. Nie ma tam domieszek dogmatycznych, ani pobożnisiowskich.

3.

Już w zbiorze z r. 1837 znajduje się grupa wierszy, zapowiadających nowy kierunek w twórczości młodego poety. Są to pieśni patryotyczne. Nacechowane gorącą miłością do swego, a najcharakterystyczniejszą „Oda do Calderona“, gdzie młodzieniec pełen zapału, woła do twórcy „Niezłomnego księcia“:

Twój grób jest ołtarzem,
Ty nie w głąb kroczysz, lecz w górę,
O, możesz spać spokojnie,
Twa sława wzbiła się do niebios;
Stamtąd już nie opadnie.
Jeśliś nie słońcem na niebie,
To księżycem piękniejszym od niego.
Gwiazdą ty być nie możesz,
Bo w trzecim rzędzie, jak ona,
Nigdy nie postanie Hiszpan.

W okresie, kiedy wszędzie idea narodowości rozkwitała, kiedy romantyzm, począwszy od Polski a skończywszy na Portugalii, wskrzeszał pamięć wieków ubiegłych i teraźniejszość wiązał z przeszłością, myśli patryotyczne same z siebie budziły się. Wschodziły nocami, niepostrzeżenie, jak wschodzą stokrotki wiosną, bo jest wiosna. Wnikały przez wszystkie pory do umysłów młodzieńczych, bo unosiły się w powietrzu. I gdy na żyzny grunt trafiły, rozrastały się, gdy na jałowy nawet padły, chwytały korzonkami odłogu.

Walka o niepodległość Hiszpanii dała była kilkanaście lat temu życie natchnionym pieśniom Quintany, w Ameryce Południowéj wojna kolonii z krajem macierzystym zrodziła ogniste hymny Olmeda. Ale około r. 1840 nieprzyjaciół zewnętrznych Hiszpania nie miała. Wewnętrzni za to byli. Reakcya napływała nieustannie fala po fali,

jednak do zwalczenia jéj mniéj było potrzeba tonu Tyrteuszowskiego. W każdym razie pewne ustępstwa zdobyto, najcharakterystyczniejszą zaś cechę przeciwnika stanowił obskurantyzm. Przeciw niemu należało zbroić się w satyrę i ironią, pleść bicze i szyć czapki błazeńskie. Pierwszymi smagać zauszników wstecznictwa, drugie rzucać chmurami im na głowy.

Zapewne i tu stosunki mogły stworzyć poetów politycznych, jak Herwegh i Freiligrath, piewcy Niemiec z przed r. 1848. Lecz należy uwzględnić, że w Hiszpanii walka trwała od lat trzydziestu, że siły nerwowe narodu już były wyczerpane i że pieśni prawdziwie wolnomyślne Quintany nie straciły wcale swéj świeżości. Hiszpania bowiem w r. 1808-ym odbrzmiewała hasłami Europy, o kilkanaście lat późniejszéj.

W twórczości autora ma bezwątpienia pierwszorzędne znaczenie temperament. Zorrilla z natury spokojny, skłonny do filozofii, nie posiadał ani ironii, ani entuzyazmu. Wydawał wprawdzie w dziewiętnastym roku życia pisemko rewolucyjne, musiał wskutek tego uciekać przed policyą królewską, powrócił do Madrytu dopiéro po zwycięstwie partyi ludowéj, lecz gdy trochę stosunki zmieniły się, ochłonął. Powodzenie może także owiało go nieco. Ale napewne i moment historyczny wpłynął na niego, bieżąca epoka, jéj stosunki wewnętrzne i układ.

Patryotyzm więc jego przywdział inną szatę. Uśmiechnęła mu się przeszłość i pobiegł za nią, jak za motylem. Wbiegł w jéj podwórza, sale, baszty. Przebył wszystkie jéj krużganki, obejrzał most zwodzony i sklepioną bramę. Dotknął ręką mieczów gotyckich i zadzwonił w pancerze wysrebrzane.

W r. 1839 rzucił między liryki kilka ziarn epicznych. Potém jął sypać je coraz liczniéj, epika wypełniała pół tomu, trzy czwarte. Wreszcie w r. 1842 wydał najpiękniejszy swój zbiór: „Pieśni Trubadura“ (*Cantos del Trovador*), po nim „Wieczory letnie“. Słowo „trubadur“, chociaż nie hiszpańskie, było wówczas w używaniu, liryków nazywano trubadurami, i jak ongi w Prowancyi, północnych Włoszech i Katalonii urządzano w znaczniejszych miastach „zabawy kwiatowe“—*jeux floraux*—na których nagradzano śpiewaków.

Zorrilla niemal w całéj epice zagłębił się w przeszłość Hiszpanii. „Pieśni Trubadura“ opiewają czasy wisygockie, wieki arabskie, rządy Karola V-go i stulecie Woltera. We „Wspomnieniach i fantazyach“, „Wieczorach letnich“, utworach mniejszych i próbach epopei, jak „Opowiadanie miłosne“, „Granada“, „Legenda o Cydzie“, poeta maluje walki z Maurami, wywołuje na scenę królów, kreśli życie we-

wnętrzne. Daje obraz o ramach szerokich, z wykonaniem często mistrzowskiém, czasami tylko z liniami niedociągniętemi lub barwą zbyt śpiesznie rzuconą.

Rozpoczął od nastrajania się do tonu ludowego. Niemal pierwszy jego utwór epiczny: „Napad na Zaharę“ jest prawie romancą gminną. Jak w romancy bohatérem — masy, jak w romancy jednostki — król i derwisz — są niby płaskorzeźbami. Przód i głowa uwypuklone, plecy przylgnęły do tła. Wreszcie forma, zadziwiająco udatnie pochwycona, przypomina bardzo żywo pieśń ludową.

Na pograniczne miasto, Zaharę, kilkakrotnie już przez chrześcian i Maurów zdobywane, napada nocą król Granady, Mulej, i po krótkiéj walce opanowuje je. Zwyczajem ówczesnych bohatérów pali osadę, a mieszkańców uprowadza w jasyr.

Kiedy jeńcy wchodzą do Granady, wojownicy Muleja tak znęcają się nad nimi, że aż lud arabski występuje w ich obronie. Lecz Mulej Hasan mieszczan rozpędza, a żołdaków swoich surowo gani za to, że pozwolili im wypowiedziéć się. I

Naprzód! — zawołał wściekle
Blady i ochrypły ze złości,
Wszyscy są niewolnikami moimi.
Dziewczyny brać do serajów,
Junaków rzucić w ciemnice,
A starców mi pozabijać,
Bo na nic się nie przydadzą.

Dotąd zdaje się, że czytamy jakąś pieśń bośniacką lub ukraińską.

Znajduje się jednak człowiek, który i kalifowi wytknie podobne postępowanie. Pustelnik-derwisz wchodzi na jego salę i karci go surowo. Mulej każe go za to zabić na murach.

W epice późniejszéj Zorrilla uniezależnia się stopniowo, lecz związku z romancą nigdy nie zrywa. Dowodzi tego jego prostota motywów, nie wprowadza w swe poematy zawikłań, prawie każdy posiada osnowę prostą. Nadto legendy i podania ludowe dostarczają mu bogatego wątku, przysłowia dają tytuły, niekiedy nawet porównań dobiéra z pieśni. Znaczna część utworów wreszcie zapożyczyła od poezyi gminnéj strofę: „Donna Łucya“ z „Pieśni Trubadura“ przypomina swym wierszem poemat o Cydzie.

Oto jedna z najpiękniejszych poezyi, osnutych na tle motywów gminnych: *La Passionaria.* Tak nazywają kwiat rosnący obficie we Francyi południowéj i Hiszpanii, podania ludowe prowansalskie i iberyjskie przypisują mu rozmaite początki. Jedne związują jego powstanie z męką Chrystusową, inne z zajściami miłosnemi. Są to prześliczne legendy, które pod piórem prawdziwego poety wielkiego nabierają wdzięku.

Zorrilla częścią przystosował się do nich, częścią dorzucił swego. Lecz zlanie się obu elementów wypadło bardzo pomyślnie.

Młody szlachcic kastylski don Feliks kochał włościankę Aurorę; ojciec chcąc oboje rozłączyć, kazał jemu wyjechać do Francyi. Czule żegnali się kochankowie i Feliks przysięgał sobie, że dochowa wierności lubéj. Ale na obczyźnie poznał młodą Francuzkę i jéj złożył w dani swe serce.

Zaślubiwszy ją osiadł w jéj ziemi. Aurora posłyszawszy o tém, zemdlała, skoro przyszła do siebie, opuściła dom.

W kilka nocy potém wśród groźnéj burzy padł na balkon Feliksa piękny kwiat. To Aurora, chcąc żyć blisko miłego, widziéć go i słyszéć, przemieniła się w rozkwitłą pasyonaryę.

Tajemniczy stosunek zawiązał się między nią a młodą parą. Don Feliks i żona spoglądali na nią całemi dniami, ona chyliła się ku nim, rozwijała listki w ich obecności. Nareszcie kasztelanka zachorowała śmiertelnie i po kilku dniach umarła. Przed śmiercią prosiła Feliksa, by pasyonaryę zasadził na jéj grobie.

Pochylił się Feliks, by uszczknąć kwiat, dotknął łodygi. Ale pasyonarya snać nie mogła żyć bez niego, bo ledwie wyrwał ją z ziemi, zwiędła, opuściła koronę. A w koronie ukazała się twarz żywa włościanki z przed lat kilku, uśmiechnęła się do kochanka i zbladła na wieki.

Wreszcie i w drugim rodzaju epiki Zorrilli, w epice rycerskiéj łatwo dopatrzéć się wpływu romancy gminnéj. Motywy jednéj i drugiéj są zbliżone, różnica polega na wykonaniu. U ludu większa zwięzłość, mniéj szczegółów, najczęściéj przedmiotowość, tu ilość wierszy kilkaset, tysiąc i więcéj, opisy i psychologia częste, osoba poety nie zawsze ukryta. Często wygląda przez wykrojone okienko, pokazuje głowę. W pieśni ludowéj pod względem artystycznym większa prostota, tu złożoność i znaczna obfitość form.

Epikę rycerską charakteryzują najpierw motywy: przygody miłosne, czyny bohaterskie, objawy szlachetności u królów. Silne konflikty występują tu często, uwiedzenie dziewczyny, porwanie z klasztoru zakonnicy, zabicie w pojedynku lub nawet skrytobójczo rywala, stanowi wielokrotnie osnowę poematu. Miecze głośno o siebie dzwonią, a krew nietylko w walce z nieprzyjacielem płynie.

Młodzież tłumnie przeciąga przez karty, junacy gonią za rozrywkami życia, kobiéty śpieszą na schadzki, albo ocierają łzy po niewiernych. Obok nich występują starsi i poważniejsi: hrabiowie wisygoccy, grandowie hiszpańscy, sędziowie. Nie brak i odrażających postaci: w poemacie „Rzeźbiarz i książę“ odtworzony typ iście ma-

chiawelowskiego potentata, księcia de Arcos. Kobiéty mniéj udatnie nakreślone niż mężczyźni, rola ich najczęściéj bierna. Za to tamci przedstawieni nieraz tak wyraziście i dobitnie, że zdaje się portrety ich mamy przed sobą.

Zdolność ta rysowania typów stanowi drugą własność Zorrilli, jako epika. W opowieściach jego odnajdzie się niby zbiór Velasquezów: Hiszpanie różnych stanów i wieków mają w nim portrecistę.

Dołączyć trzeba jeszcze zalety liryka objawiające się i tu: malowniczość opisów, dźwięczność wiersza, raźność stylu. Elementu nadprzyrodzonego prawie niemasz, traktowanie szczegółów, jakby spółczesne, realistyczne. Łatwość formy tylko czasami psuje wrażenie, pociągając za sobą rozwlekłość, razi również niekiedy zbytnia przedmiotowość i używanie wzorem dawniejszych poezyi, t. zw. zakończeń, gdzie dowiadujemy się o ostatecznych losach osób rapsodu. Podobnie powieść Kraszewskiego objaśnia nam po zgonie głównych bohatérów, co stało się z księdzem Szymonem, z p. Grabskim, a co wreszcie z panną Celiną.

Liczba opowieści rycerskich Zorrilli jest dość znaczna. Jedne ściśle opowiadające, w inne zakrada się element uczuciowy, sielankowość i naiwność spływają na nie niby promienie księżyca. O pierwszych wyrobi nam pojęcie kilka streszczeń.

„Księżniczka donna Łucya“ daje wspaniały obraz bytu wisygockiego. W „*Por la veridad el tiempo*“ (przysłowie odpowiadające polskiemu: wyjdzie oliwa na wierzch) jeden przyjaciel zabija drugiego z zazdrości. „Rzeźbiarz i książę“ wywołuje obok Arcosa dwie piękne postaci idealisty Torrigiana i jego żony Tisby. Bohatérem „Kapitana Montoyi“ jest charakterystyczny dla Hiszpanii rycerz-rzezimieszek, który na starość doznaje skruchy i idzie pokutować za grzechy w klasztorze.

Drugie stanowią perły epiki. Są to przeważnie legendy, ale nie legendy w zwykłém znaczeniu słowa. Nie chrzęszczą w nich kości łamanych kołem męczenników, nie nawracają się na wiarę chrześciańską niedowiarki. Nie wznosi się kłębami kadzidło kościelne: morał, jak jestto w zbiorze legend Herdera. Co mają wspólnego z legendami legendy Zorrilli, to to, że przy końcu ukazuje się w nich postać nadprzyrodzona, wzięta z cyklu wierzeń chrześciańskich. W początkach zaś wre życie i rozbrzmiewają gwary, jak w rapsodach światowych.

Najwyżéj cenił z pomiędzy nich autor „Odźwierną Małgorzatę“ Jestto utwór godzien istotnie stanąć obok „Boga i bajadery“ Goe-

thego. Cechuje go ta sama szlachetność myśli, ten sam wzniosły polot ducha. Stanowi drugi tomik „Pieśni Trubadura“ i liczy zwyż 5,000 wierszy.

W klasztorze miasta Palencyi przebywała jako siostra odźwierna młoda Małgorzata. Spostrzegł ją awanturnik kastylski don Juan i pozyskał w krótkim czasie. Wyznaczył wreszcie schadzkę i uprowadził.

Uciec mieli do Madrytu, lecz po drodze don Juan zatrzymał się w Valladolid, bo spotkał tam swego przyjaciela Gonzalva. I raźnie ujęli się za ręce weseli młodzieńcy i przytknęli do ust czarę rozkoszy. Oddali się winu i kartom, a o Małgosi don Juan wnet zapomniał. Usidliła go zresztą tancerka Syrena. Kiedy biédna młoda dziewczyna wypłakiwała oczy, z Janem umawiał się już Gonzalvo o odstąpienie kochanki.

— Odstąpię ją — odpowiadał Jan na propozycyą przyjaciela — ale pamiętaj, gdy ci się znudzi, odwieź ją do klasztoru w Palencyi.

— Więc ona mniszka?—spytał drugi.

— Tak.

— Jak się nazywa?

— Małgorzata.

— Ile ma lat?

— Szesnaście.

— Toż moja siostra...

Dobywa miecza i naciera na Jana. Ten broni się i zabija przeciwnika.

Potém opuszcza Małgorzatę i z obcego miasta dziewczyna wraca pieszo do Palencyi. Lecz kocha nędznika, jak przedtém, nocą przybywszy podchodzi pod jego okna, chce twarz jego zobaczyć. Niestety, nie świeci się. Wtedy burza się zrywa, deszcz poczyna lać potokami i dziewczę musi schronić się do kościoła.

I przypomina się jéj dawne życie, spokojne, wolne od hańby i pośmiewiska. Klęka przy ołtarzu, poczyna się modlić.

Wtedy otwierają się drzwi zakrystyi i postać wysmukła, osłoniona długą szatą, z światłem w ręku wychodzi. To zakonnica idzie zmieniać świéce.

Małgorzata nie chce być poznaną, usuwa się w głąb celi. Zakonnica przechodzi mimo, Małgorzata jéj nie poznaje, jakaś nowa zapewne.

Tymczasem tamta podeszła do ołtarza i Małgorzata spostrzegła dziwną światłość. Wydaje się jéj wszystko przezroczystém, przedmioty, których dotyka zakonnica, promienieją blaskiem. Z ubranych

przez nią ołtarzy bije woń. W duszy Małgorzaty smutno, lecz zapomina o smutkach, w miarę jak zbliża się do niéj mniszka. Obrazy szczęścia poczynają fruwać wkoło niéj, przyszłość uśmiecha się.

Zakonnica wreszcie kończy robotę, wraca. Przechodzi znowu mimo, dotyka jéj prawie rąbkiem. Wtedy Małgorzata chwyta ją za rękaw. Chce mówić, ale głos urywa się. „Czego chcecie? pyta ta łagodnie.—Nie zostawiajcie mnie saméj. — A czy nie macie schroniska? Więc chodźcie ze mną.—Nie mogę. — Może chcecie z kim mówić? W takim razie przyjdźcie jutro.—Tak, chcę mówić z wami.—Co mi powiecie?—Tchu mi nie staje. — Jak się nazywacie?—Małgorzata. — Obie mamy to samo imię. Wy także Małgorzata?“ I pokazuje się, że ta druga od lat dziesięciu jest w klasztorze, a od roku pełni urząd odźwiernéj. Małgarzata wpatruje się wtedy w nią uważnie i poznaje siebie. Dziw ją zdejmuje.

Upada na kolana, bije o ziemię czołem. Gdy podniosła oczy, zakonnica rzuciła na nią swój płaszcz, okryła ją i rzekła: Udałaś się przed rokiem pod mą opiekę, nie opuściłam cię. Odeszłaś, lecz ja cię nie karałam i przez rok cały sama zajmowałam twe miejsce. Teraz popraw się i myśl o mnie. Twoja świéca płonie na ołtarzu, weź ją i idź do celi.

Uderzył grom, i świetlana postać wzbiła się w błękity. Marya była zastępczynią Małgorzaty.

Więc nie rzucał Zorrilla kamieniem na te, które poszły za głosem serca.

Również czytaną i deklamowaną w całéj Hiszpanii jest legenda pod tytułem: „Dla dobrego sędzi najlepszy świadek.“ Miejsce Maryi zajmuje tu Chrystus.

Inezę de Vargas kochał don Diego, wyjeżdżając do Flandryi przyrzekł wrócić po to tylko, by ją poślubić. Niestety, przyrzeczenia nie dotrzymał, a gdy po kilku latach zawitał znowu do ojczyzny, nie myślał wiązać się z dawną narzeczoną.

Biédna dziewczyna czuła głęboko tę zniewagę, cierpiała przez czas jakiś, wreszcie postanowiła szukać sprawiedliwości. Był wtedy w Toledo namiestnikiem Piotr Alarcon, mąż wielkiéj uczciwości.

Pewnego poranku zasiadł na sądy, obok niego towarzysze. Poeta, niby malarz holenderski, pięknie kreśli scenę, gdzie wszyscy w oczekiwaniu sprawy ważniejszéj nudzą się. Przy głównéj bramie wsparci o filary łucznicy dzielą się nowinami, z bliskiego placu dolatują gwary, przez okna padają smugi światła słonecznego. Jeden z urzędników odczytuje monotonnie akta, ale nikt prawie go nie słucha. Pisarze suszą od czasu do czasu pergaminy na słońcu, lecz co

chwila jednego lub drugiego sen ogarnia. Sędziowie zaś, choć niby na sufit patrzą, zasypiają w swych krzesłach i ręce krzyżują na żołądkach.

W tém wpada do sali Ineza, rzuca się do stóp Alarcona i woła: „Sprawiedliwości!"

— Przeciw komu, moje dziecko?

— Przeciw złoczyńcy.

— Co ci zrobił?

— Odebrał mi honor.

Przyrzekł ożenić się z nią, teraz drwił z przyrzeczeń.

Wzywają don Diega, on przeczy wszystkiemu. Przy kim-że to on ślubował? Ma Ineza świadków?

Uwalniają go. Ineza ze łkaniem wychodzi, lecz wraca wkrótce i mówi:

— Mam świadka. Gdy Diego składał obietnice, z góry spoglądał na nas Chrystus zawieszony na krzyżu Vega.

— Więc skoro tak, wyjedziemy go zapytać.

Nazajutrz wyjechali. A gdy Alarcon odziany w purpurę stanął u krzyża i zapytał Chrystusa, czy przysięgał tu wierność don Diego, Chrystus wyciągnął rękę, wzniósł ją niby do przysięgi i rzekł:

— Tak.

Nie ma tu ortodoksyjności, a jest wiele piękna w wystąpieniu Chrystusa w obronie prawdy.

Humor, którego potrzebę dla Hiszpanii zaznaczyłem, przebija się dość często w Zorrilli poezyach. Zazwyczaj przybiera formę wesołéj uwagi, nie wpływając na losy akcyi. Jeden jednak utwór wypełnił szczelnie, a co więcéj zabarwił go satyrycznie. Są to „Pigułki Salomona".

Treścią ich przedstawienie typu urzędnika prowincyonalnego. W miasteczku Estremadurze żyje sędzia, człowiek dobréj tuszy, o dużym, czerwonym nosie, surowy zwłaszcza wtedy, gdy bez pieniędzy przychodzi się do niego. Kto nie ma co jeść na obiad, niech u mnie nie szuka sprawiedliwości—zwykł mawiać.

Odznacza się niezwykłém skąpstwem, z nikim nie żyje, nikogo nie podejmuje. Widuje się tylko z miejskim lekarzem, bo od jakiegoś czasu opanowała go straszna trwoga przed śmiercią.

Raz nocą podczas wycieczki okrężnéj po mieście, strażnicy przytrzymują nieznanego człowieka. To Ahaswer. Przyprowadzają go do sędziego; ów węsząc spiskowca, więzi go. Poznajemy naszego bohatéra ze strony oficyalnéj.

Nędznik w całém znaczeniu słowa. Z uwięzionym obchodzi się brutalnie, drwi z niego, docina mu, nie wierzy w jego oświadczenia. Sprawia mu to rozkosz, że może kogoś uwięzić i udręczyć. Wreszcie zabiera się do wymuszań. Każe Ahaswerowi wyznać winę — „bo inaczéj ostatni dzień twój."

Jakąż winę ma wyznać żyd-tułacz? Więc milczy.

Sędzia wypuszcza go wreszcie, a odchodząc Ahaswer daje mu dwie pigułki, sporządzone przez jego przyjaciela Salomona i zapewniające każdemu, kto je zażyje, sto lat życia.

Psycholog szafarza sprawiedliwości nową odsłonił stronę. Sędzia stanął teraz przed problematem pigułek. Zapewne to trucizna, Ahaswer chciał go otruć. I waha się, walczy z myślami, przez kilka dni nie wié, co zrobić.

Ten sam, co tak hardo wysyłał Ahaswera na szubienicę, okazuje do swego życia tchórzowskie przywiązanie.

Wreszcie po trzech dniach decyduje się:—na próbę wrzuca obie pigułki w napój lekarza. Nie wpadł na to, że gdy dwie ma i dwie wrzuci, czy próba uda się, czy nie uda, wszystko będzie stracone. Lekarz odmładza się, zbiéra go wtedy taka zawiść, że rzuca się ze szpadą na niego, a chybiwszy go, sam sobie odbiéra życie.

Typ to iście Gogolowski, przeprowadzenie analizy psychicznéj artystyczne. Ostatnia z „Pieśni Trubadura" godna poprzednich.

Epika ostatnich lat Zorrilli celuje zwłaszcza wykończeniem. Autor pracował nad późniejszymi utworami więcéj. Lecz nie natchnął ich dawną siłą, nie rozpalił w nich dawnego ognia. Przy „Pieśniach Trubadura" pozostanie zawsze pierwszeństwo.

Pod względem treści należą one najczęściéj do opowiadań rycerskich. Niekiedy rozszerzają się w epopee: tak w Granadzie, Cydzie, w cyklu Tenoryów. Niestety, Granada niedokończona, a motywy drugich autor zużytkował raczéj jako motywy rapsodów rycerskich, niż jako osnowę szerokiego poematu rycerskiego.

4.

Był już poetą ze znaném imieniem, gdy rówieśnik jego i przyjaciel, Garcia Gutierrez, zaproponował mu napisanie wspólne dramatu, osnutego na tle dziejów włoskich. Dramat ów zatytułowany „Juan Dandolo" otworzył karyerę dramatyczną Józefa.

W przeciągu siedmiu lat wyszło z pod jego pióra dwadzieścia utworów dramatycznych. Dwudziestokilkoletni młodzieniec objawił

niezwykłą twórczość. Nie dorównała ona bajecznéj płodności Calderona, autora stu dwudziestu dramatów, setki „*autos sacramentales*“ i setki „*saynetes*“, ani łatwości Lope de Vegi, który nie pamiętał, co napisał; jednak w każdym razie była zadziwiająca. Nie zapominajmy nadto, że poeta równocześnie ogłaszał wiersze liryczne i epikę.

Jak w epice, tak tu wyszedł ze stanowiska patryotycznego. „Oburza mię zalanie naszéj sceny przez potworne wyroby stolicy francuskiéj—mówi w przedmowie do „Każdemu swoje“ (*Cada cual con su razon*). Miał na myśli częściowo Wiktora Hugo, ale zarazem godził w tandetę wodewilowo-komedyjną.

Na niwie hiszpańskiéj wyrósł w XVI-ym i XVII-ym wieku bujny zasiew. Ciężkie, pszeniczne kłosy chwiały się na niéj, wybitni pisarze, jak Calderon, Lope de Vega, Moreto, uwijali się przy siejbie. Motywy hiszpańskie w opracowaniach lepszych i lichszych szły do Włoch, Francyi, a nawet Anglii, komedye i dramaty Hiszpanii chwytano chciwie.

Były to utwory odpowiadające swojéj epoce, powite w łonie jéj idei. Calderon pisząc „Życie snem“, a potém szereg innych mistyczno-soficznych dramatów, zadawalniał gusta katolickie ziomków. Każąc zabijać mężowi żonę, junakom uwodzić dziewczęta, dziewczynom żyć tylko schadzkami miłosnemi, opiérał się na rzeczywistości. Czasy były romantyczne z uciskiem w domu i państwie, z dzikiemi instynktami, z większą siłą namiętności. W stuleciach następnych wiele dawnego pozostało, tło jednak zmieniło się. W ślady więc pisarzy wieku XVI-go nie można było wstąpić, nie uwzględniwszy téj okoliczności.

Wpadł w ten błąd Zorrilla, pisząc początkowo niezmiennie w duchu Calderona. Postaci jego idealne, rycerze waleczni, dziewice łagodne i słodkie, konflikty obliczone na efekt. Nic z tego nie wywołuje silnych wrażeń. Stąd większość wspomnianéj dwudziestki nie dużą posiada wartość.

Motywy zazwyczaj melodramatyczne. W „Echu strumienia“ niewolnica maurytańska odkrywa ubóstwianemu przez się hrabiemu niewierność żony, wobec tego rozpala się w jego sercu miłość do niéj i oto usuwa żonę, a poślubia ją. W „Każdemu swoje“ córka uwięzionego markiza Veleza, chcąc uzyskać łaskę króla Filipa IV-go, stara się przywabić go ku sobie, wyznacza mu nocną schadzkę, o schadzce dowiaduje się jéj kochanek, podczas rozmowy obojga naciera na króla, wszczyna się bój, w którym prócz ukoronowanego biorą udział jeszcze dwaj zamaskowani mężczyźni; rzecz kończy się tém, że król daje się poznać, Velez zostaje ułaskawiony, a donna Elwira poślubia

don Pedra. „Przygody jednéj nocy“: hrabina Peralta ukrywa u siebie syna króla Jana III-go aragońskiego, księcia Viany, za co mąż chce ją zabić. „Szewc i król“—dramat swego czasu bardzo lubiany—król kastylski don Pedro udaremnia, dzięki śmiałości osobistéj, sprzysiężenie przeciw niemu. Niektóre tytuły już są bardzo charakterystyczne: „Koń króla Sancza“, „Najlepszą racyą szpada“, „Sztylet Gota“.

W „Apoteozie Calderona“ poeta XIX-go wieku wywołuje Calderonowskie postaci oderwane: Sławę, Krytycyzm, wreszcie geniuszów różnych epok: Homera, Wergilego, Szekspira.

Nawet najbardziéj lubiany przez Zorrillę dramat: „Zdrajca, niespowiadany i męczennik“ (*Traidor, Inconfeso y Martir*) ma w sobie wiele elementu obcego. Platonicznie zakochany młodzieniec Cezar, niebiańska dziewica Aurora, to typy dawne, tajemniczy, dziwny bohatér, ostatnie sceny jego przypominają „Maryą Stuart“ Szyllera. Osnowa dramatu następująca: Król Portugalii Sebastyan, o którym mówią, że poległ w bitwie z Maurami pod Cintrą, uratował się prawie cudem, ale wróciwszy do kraju znalazł wszystko w ręku Hiszpanów. Chcąc żyć spokojnie ze swą córką, trzymał się w ukryciu i nie podnosił żadnych pretensyi. Mimo to, Filip II go wytropił i wysłał na rusztowanie.

Ale w marcu 1844 r. przedstawiono w Madrycie duży utwór Zorrilli, złożony z siedmiu aktów, a przecięty na dwie części, zatytułowany: *Don Juan Tenorio*. Autor rozwinął tu olbrzymi talent. Zostawił daleko w tyle dramaty poprzednie i stworzył jedno z największych arcydzieł teatru hiszpańskiego.

Motyw don Juana był wielokrotnie wyzyskiwany. W wieku XVI-ym mnich Gabryel Tellez, znany w literaturze pod imieniem Tirso de Molina, napisał trzyaktowy utwór p. t. „Awanturnik sewilski“ (*El burlador de Sevilla*). Szlachcic sewilski Jan Tenorio wiele już nabroiwszy, zabijał w nim przyszłego swego teścia Ulloę, w kilka dni potém drwiąc z niego przy jego grobowcu zapraszał, do siebie na wieczerzę. Spotała go za to kara, bo Ulloa przyszedł z grobu i porwał go do piekieł.

Było to podanie ludowe, znane w całéj Europie (ostatniemi czasami i w Polsce kilkakrotnie zapisane) o zuchwalcu znieważającym umarłego i zapraszającym go do siebie na ucztę. Lecz w Hiszpanii przeszczepiono na nie fakt historyczny o Janie Tenorio, ulubieńcu króla Kastyli Piotra Okrutnego, który zabił Ulloę, ojca uprowadzonéj przez się dziewczyny, a potém został sprzątnięty cichaczem przez Franciszkanów. Ci, pierwsi mieli rozpuścić pogłoskę, jakoby Ja-

na, mszcząc obelgę, wyrządzoną jego pomnikowi, Ulloa porwał do piekieł.

Po Tellezie, opracowywali legendę o don Juanie Molière i Dorimon we Francyi, Giliberti, Cicognino, Perucci, Goldoni we Włoszech, Zamora w Hiszpanii, Shadwell w Anglii, Grabbe, Braunthal, Hörnigk, Lenau i Heyse w Niemczech, Puszkin w Rosyi [1]). Osnuli na niéj szereg dramatów, poematów dramatycznych i utworów epicznych. Mozart stworzył operę. Wszyscy zmieniali osnowę mniéj lub więcéj, dodawali swego lub ujmowali, ale nikt nie wetchnął w nią tyle życia i siły, nikt typu don Juana tak nie zrozumiał, jak Zorrilla. Można powiedziéć, że tylko on jeden z całego zastępu pojął go głęboko.

Bo don Juan Zorrilli, to nie prosty awanturnik, pieniacz i rębajło, uwodziciel dziewczyn, znajdujący, jak przesycony bohatér Lenaua przyjemność w samém uwodzeniu. „Gdy myślę o kobietach, których, nie posiadałem, bo umarły przed mojém przyjściem na świat, złorzeczę losowi, że nie dał mi żyć od początku wszechrzeczy.“ On w sofizmaty nie zapuszcza się. Używa życia, to prawda. Rąbie, kocha się, sieje postrach i grozę. Przebija ludzi mieczem, jak chłopak owady szpilką. Toczy łzy i puszcza krew. Ale wszystko to dlatego, że takim wyrósł, że nikt go nie ujął za rękę i na lepszą nie poprowadził drogę, że żadna z jego kochanek nie stanęła przy jego boku, jak anioł-stróż i nie wionęła w jego duszę spokoju, miłości do ludzi, litości. Nie trafił na odpowiednich sobie. A gdy wreszcie spotkał kobiétę, która mogła go zbawić, gdy uczuł, że w duszy jego krew, jak rozbestwione morze warcząca poczyna uspokajać się, gdy wyznał, że chce zmienić się, poprawić, zapomniéć o dawnéj swéj duszy, odepchnięto go, nie wierzono mu. Więc wbił sztylet w serce tego, który go skrzywdził i daléj poszedł gnębić ludzi, toczyć łzy i siać smutek.

Takim jest don Juan w pierwszéj części. A w drugiéj chwila przebłysku, która mogła go ocalić, zbawić, świeci wciąż nad nim. On myśli o niéj, czuć, że to myślenie przepaliło go. W junactwach pomysłowy, jak przedtém, lecz pomysłowość wywołana raczéj ambicyą, niż instyktami duszy. Twardy, na powierzchni niby ze stali, w duszy mięknie jak wosk, wreszcie taje zupełnie. Budzi się w nim chwila prawdziwéj skruchy i ostatnia scena dramatu jest nie sceną jego zguby, lecz przebaczenia.

Utwór przypada na r. 1545, zaczyna się w oberży włocha Butta-

---

[1]) Streszczenia utworów wszystkich tych pisarzy znajdzie czytelnik w rozprawie K. Engla: „Die Don Juan Sage auf der Bühne.“ Oldenburg und Leipzig, 1887 roku.

rellego. Don Juan siedzi przy stole i pisze list. Z sąsiednich izb dolatuje go gwar i hałas, kilkakrotnie ściska rękojeść szabli gniewnie. „Niech mnie pioruny zabiją, gdy dokończywszy list, nie ukarzę tych krzykaczy.“

Buttarelli tymczasem pochyla się do jego giermka i wypytuje o szczegóły o nim. Bogaty jak pasza, odpowiada ów, złota ma sztabami, hojny jak student, szlachetny jak infant, a bije się niby pirata.

— Hiszpan?

— Nie wiem.

Buttarelli w innéj chwili mniéj może byłby ciekaw, ale dziś dzień bardzo ważny. Rok temu dwóch największych awanturników Hiszpanii, Luis Mejia i Juan Tenorio, zawarli z sobą w jego gospodzie zakład. Jeden miał iść w jedną stronę świata, drugi w drugą, każdy podejmował się w przeciągu trzystu sześćdziesięciu pięciu dni dokonać jak najwięcéj zbrodni, uwiedzeń i psot. Wszystko obiecywali zapisywać. A po roku, jeśli obaj pozostaną przy życiu, zejdą się—mówili—u Buttarellego i odczytają rejestry.

Dziś ta rocznica i dziś mają stawić się. Stąd gwary i hałasy około domu, stąd uwaga Włocha napięta, niby nić, na któréj uwisła ołowiana kula.

Giermek nie umié jego ciekawości zaspokoić. Tymczasem goście zbierają się w sali, którą wybrali ongi zakładający się, już dwa stoły w niéj obsadzone. Już więcéj. Słychać rozmowę przyjaciół Mejii i Tenoria, jedni z drugimi zakładają się, kto zwycięży. Nawet ojciec Inezy, narzeczonéj jednego z awanturników, don Juana, zasiadł na krześle. Sam nie chce wierzyć, by przyszły jego zięć mógł pójść o podobny zakład. Ach, jeśli to prawda—wzdycha—wolę, by Ineza umarła, niż stała się jego żoną.

W tém uderza ósma, gwar milknie, kilka osób wchodzi do izby. Przy pierwszym stole siada rycerz ze spuszczoną przyłbicą. Obecni łamią sobie głowy, kto to? Don Juan, czy don Luis? Lecz wnet wchodzi i drugi, siada naprzeciw. Podnoszą przyłbice: Mejia i Tenorio.

Zaczyna się recytowanie.

— Szukając przygód — głosi Jan — udałem się do Włoch. To klasyczna ziemia walk. W Rzymie wywiesiłem napis ze słowami: „Don Juan Tenorio jest do dyspozycyi wszystkich.“ Mimo tak lakonicznego wyzwania miałem przygód bez miary. Uwiodłem tłum Rzymianek, zabiłem wielu. Wreszcie chciano mnie powiesić. Więc przekradłem się do armii andaluzyjskiéj, przebyłem tu kilka dni, miałem ośm czy dziewięć pojedynków i wyjechałem potém do Neapolu.

Tu napisałem tak: „Don Juan Tenorio, w mieście Neapolu przebywający, nie boi się nikogo. Nie gardzi żadną kobiétą, począwszy od księżnéj, a skończywszy na rybaczce; podejmuje się wszystkiego, do czego potrzeba złota. Wyzywajcie go kłótnicy, otaczajcie rojem gracze, starajcie się zwyciężyć w walce, grze lub miłości.“

I przez pół roku znieważałem rozum, prawo, sprawiedliwość. Zdradzałem kobiéty, spałem w żeńskich klasztorach. Przed niczém nie cofałem się.

A spis wszystkich czynów potém.

Don Luis był we Flandryi, przegrał co miał, przyłączył się do rozbójników i z nimi spustoszył pałac biskupi. Gdy watażka zrobił zły podział, roztrzaskał mu głowę, za to został na jego miejsce obranym. Był potém w Niemczech, zdradzony zabił zdrajcę i przekradł się przez granicę. W Paryżu wyzwał tylu, ilu mógł, na drzwiach zaś przybił ogłoszenie: „Ubóstwiam Francuzki, walczę z Francuzami.

Lektura.

Don Luis blednie: Jan go prześcignie. I istotnie.

Zabójstw:

Don Juan: 32, don Luis: 23.

Uwiedzeń:

Tenorio: 62, Mejia: 56.

— Ale u ciebie nie ma nowicyuszki — zarzuca przeciwnikowi Ludwik.

— Nie ma, więc będzie. I to taka, z którą ma żenić się mój przyjaciel.

W klasztorze sewilskim jest donna Anna, narzeczona Luisa. Ją ma na myśli don Juan.

— Nie, nigdy nie będziesz jéj miał w swéj władzy — zaklina się kochanek.

— Jeszcze dzisiaj.

W sali oburzenie.

Don Gonzalo, ojciec Inezy ciska: Nieszczęsny! Don Diego, ojciec Jana przeklina go: „Precz! nie znam cię od dziś.“

Jan prosi ojca o wzgląd.

— Nigdy twoim ojcem nie byłem.

— To idźże do dyabła.

I nocą don Juan mimo przeszkód uprowadza Annę.

Lecz téjże saméj nocy postanawia jeszcze jednego czynu dokonać. Odepchnął go nietylko ojciec, ale i Ulloa. Zaklął się, że nie da córki za niego. A on ją kocha. O, kocha i świat cały dałby za nią.

Więc daléj, póki czas i ją zdobyć i ją zabrać, skądby nigdy jéj nie dostał.

Giermek Ciutti przekupił nadzorczynię Inezy, Brygidę, dał jéj do wręczenia dziewczęciu książkę z listem don Juana. Ineza list znalazła, i jeszcze spijała, jak motyl rosę, słowa miłosne po raz pierwszy do niéj pisane, kiedy posłyszała kroki.

Drzwi otworzyły się, don Juan stanął w pełném świetle. Brygida dała mu klucz do tylnego krużganka, otrzymawszy za to kiesę złota.

Don Juan rzuca się do stóp Inezy, wyznaje jéj swą miłość. Prosi, by uszła z nim. Lecz ta przepełniona wrażeniami, nie może nawet kilku słów powiedzieć i mdleje.

Wtedy Jan bierze ją na ręce i skacze z okna. Za nim uchodzi Brygida. Gdy w chwilę potém do opuszczonych komnat wpada Ulloa, by zabrać córkę z klasztoru, nie znajduje nikogo.

U stóp Sewilli płynie Gwadalkwiwir; wyłamawszy się z gór Morena odpoczywa na równinie andaluzyjskiéj i głębiéj wcina się w ziemię. Spławny.

Na jego falach rozpiął żagle statek Juana. Brygida zatrzymała się z Inezą w jednym z domów nadbrzeżnych, Ciutti i Juan czuwają. Lada chwila odbiją od brzegu.

Ineza budzi się. Gdzie jest, co z nią? Pożar wybuchnął w klasztorze, tłómaczy Brygida, pan Tenorio z narażeniem życia uratował cię.

— Ach, dzięki — szepce.

Ale jéj serce napełnia się znowu obawami, wzdryga się przed Tenoriem. On ją uspokaja. Bóg natchnął mię miłością do ciebie, ona mnie uszlachetnia, wznosi na wyżyny. Byłem inny, może niegodzien ciebie, lecz zmienię się. Pójdź ze mną, u twych stóp dostąpię łaski.

Zgadza się Ineza i rzuca mu wejrzenie miłosne.

Lecz donoszą, że blisko don Luis, że za nim widać podobno Ulloę. Juan wypada, przygotowuje się do pojedynku z Luisem, dostrzegłszy jednak ojca Inezy prosi, by zaczekał chwilkę. I ledwie Ulloa stanął w progach domu, pochyla mu się do kolan.

— Gdzie ten zdrajca?

— Tu, u twych stóp.

— Jesteś podłym...

— Nie mów tak, starcze.

— Jesteś tchórzem, zbrodniarzem, boisz się sprawiedliwości.

— Błagam cię, nie mów tak, nie chyliłem nigdy czoła przed

sprawiedliwością, i nikomu nie kłaniałem się. Przed tobą jednym kląkłem, wysłuchaj mię.

I otworzył mu swe serce, wszystkie skrytki. Lecz Ulloa pozostał niewzruszony.

— Komandorze — prosił go Jan. — Wysłuchaj mię, bo stanę się czém byłem. A nie jestem już tém. Miłość do twojéj córki, wpadła niby promień do méj duszy, pierzchnęły z niéj cienie i jasna teraz jak słońce. Nie piękność sama i wdzięki przykuwają mię do Inezy, czczę jéj dobroć i cnotę. Nie zdołały mię nawrócić ani biskupów kazania, ani więzienie, pod tchnieniem miłości odrodziłem się. Chcesz zrobić z szatana anioła, chcesz mię odmienić, daj mi córkę. Potém ulegnę wszystkiemu. Możesz zarządzać mojemi dobrami, karać mię, przemienić w niewolnika. Wszystko przyjmę, by stać się człowiekiem.

— Dość téj bezczelności — odpowiada Ulloa. — Nie dam Inezy. Zwróć ją nędzniku, bo zabiję cię.

— Ale pomyśl, że zabiérając ją, zabierzesz mi wszystko. Wszystko: miłość, chęć poprawy, popędy moralne. Całe życie i zbawienie.

— Nic mi do tego.

Na to otwiéra drzwi Mejia. A ujrzawszy Jana u stóp Ulloy, poczyna śmiać się głośno.

— Oto śmiałek — woła. — Przebaczenia prosisz tchórzu. Bóg nas łączy tu dwóch mścicieli.

— Więc tyś Luis — pyta Ulloa.

— Tak. Przyszedłem pomścić ciebie.

I jeszcze błaga Jan, jeszcze ściele się u stóp komandora. Lecz gdy ten milczy, a Luis drwi, zrywa się z ziemi, chwyta za pistolet, zabija starca, potém dobywa miecza, przebija w pojedynku Luisa, a widząc nadbiegających siepaczy, skacze w wodę.

Po chwili statek podniósł kotwicę i spokojnie, niby łabędź, popłynął w dół.

Minęło od tego czasu kilka lat, don Juan we Włoszech dokazywał cudów. Wreszcie Karol V ułaskawił go i pozwolił wrócić do ojczyzny.

Oto wrócił i skierował swe kroki ku domowi rodzicielskiemu. Ojciec umarł w czasie jego niebytności.

Ale nie widzi domu. I ogród bardzo zmieniony. W świetle księżycowém połyskuje przed nim las posągów, tam przy drodze wznoszą się niby mauzolea.

Don Diego umiérając zapisał ogród i mienie na zbudowanie gro-

bowców i wzniesienie posągów wszystkim ofiarom syna. Zastrzegł jednak, że zarazem wszystkie będą pogrzebane w jego ogrodzie.

Właśnie kiedy Juan nadchodzi, rzeźbiarz ostatnią wzniósł statuę. Syn Diega zastępuje mu drogę, żądając objaśnień.

— Służę panu — odpowiada ów. — Godny obywatel Sewilli, pan Tenorio, miał syna, ostatniego łotra. Zamordowawszy przyszłego teścia, uciekł ów nędznik w świat i nie wiedziéć gdzie się kryje. Ojciec umiérając, chciał częściowo przynajmniéj zmyć jego winę i taki uczynił zapis...

Oprowadza Jana po cmentarzu. Prawie u wstępu posąg Inezy. To narzeczona dawna młodego Tenoria — objaśnia. — Umarła biédna z żalu za nim, a tak była piękna, że w trumnie jeszcze wyglądała jak pączek białéj róży.

Pod Juanem kolana zadrżały. Więc ona umarła! Umarła! A wszak dla niéj on wracał, nią żył. Ona przyświecała mu na wygnaniu, jak jutrzenka. Teraz kilka tych warstew ziemi kryje ją, i tylko w posągu żyje jeszcze anielskie oblicze...

Wynagradza rzeźbiarza za mistrzowskie oddanie postaci, bierze odeń klucze, odkrywszy, że jest Juanem i rzuca się na mogiłę lubéj. Ukrył w dłoniach oblicze i łka.

Wtém z grobu posąg znika.

Jan podnosi oczy.

— Ach wszystko tracę, wszystko już. Siły, wzrok. Posągu nie widzę. Czyż był widmem?

Po prawéj ręce ukazuje się Ineza.

— Czekam na ciebie w mym grobie.

— Więc żyjesz!

— Dla ciebie tylko. Mam cię zbawić.

Jan budzi się, wychodzi z cmentarza i spotyka u bramy dawnych dwóch przyjaciół. Na twarzy jego maluje się wzruszenie. Przyjaciele poznają go.

— Widzisz, to groby twoich ofiar. Ale co ty, boisz się? Jesteś zmieszany.

— Mylicie się.

— Mylimy się. Być może.

— W dowód, że mylicie się, oto co zrobię:

Zbliża się do posągu komandora i mówi:

— Przyjdź do mnie na wieczerzę, szanowny panie. Ale ty nie przyjdziesz. Już tu musisz stać. Jaka szkoda.

Tu dopiéro wplata poeta legendę Telleza. Komandor przychodzi istotnie, kiedy don Juan i obaj towarzysze ucztują. Lecz nie uprowadza go z sobą. Zsyła tylko sen na towarzyszy, a jemu oświadcza, że dziś umrze.

Wychodzi, ci budzą się. Nie chcą wierzyć, że był duch, zarzucają Juanowi kłamstwo.

— Spoiłeś nas, chcesz nas oszukać.

Juan wyzywa jednego z nich i otrzymuje śmiertelną ranę.

Nie wiedząc o tém, wchodzi między grobowce. Rozlega się dzwon pogrzebowy. Zdziwiony. Ineza zjawia mu się poraz drugi, oświadcza, że umarł, że po kilku sekundach zejdzie do grobu.

— Popraw się, żałuj za swe czyny, — prosi. — A wtedy spoczniemy w jednéj mogile.

Juan waha się, budzi się w nim upór, wreszcie wyrzeka się głośno win. Ostatnia chwila życia bije, ostatnie ziarnko piasku w klepsydrze naprzeciw niego stoczylo się. Ineza bierze go za rękę.

Kwiaty wkoło otwiérają się, z ich kielichów wylatują aniołki i otaczają oboje. Jedne rzucają kwiaty, inne palą kadzidła. Jan pada u stóp kochanki, z ich ust ulatują dwa płomyki i gubią się w przestworzu.

Ostatnia scena tchnie trochę kościołem; zmodyfikowanie jéj byłoby na lepsze wypadło utworowi. Wystarczy jednéj jasnéj chwili w życiu winowajcy, by mu przebaczyć, nie potrzeba do tego formalnych wyrzekań się. Lecz prawdopodobnie zawdzięcza ona formę swą stanowisku opozycyjnemu, jakie poeta zajął wobec poprzedników. Tam w piątym akcie biły płomienie piekieł, więc tu dał autor niebo, tam Jan Tenorio pozostawał zuchwałym do końca, tu pochylił czoło.

Bardzo piękną jest myśl przewodnia. Miłość najgorszych uszlachetnia, tonących wydobywa z wiru, zbłąkanych wyprowadza z kniei moralnéj. Raz błysnęła w życiu Juana i oto z duszy jego uciekają mroki i na dnie jéj skarb zalśnił. Pozyskani już jesteśmy zupełnie dla Jana, gdzie on błaga na klęczkach o możność poprawy, podbici nocną jego modlitwą do Inezy.

Więc już czwarty akt części pierwszéj i pierwszy części drugiéj, zawiérają w sobie sceny decydujące, zakończenie w jego formie i o n e odsuwają od siebie. Bo po co tu coś dodawać, po co Inezie przywieszać szkaplerz prawowierności, skoro czystém swojém sercem, niewinnością i uczuciem przewyższyła siłę wiary.

Nieznaczna wada kompozycyi niknie wobec wysokich zalet dramatu. Przedewszystkiém jakiéj bogatéj fantazyi potrzeba było, a zarazem jak głębokiéj znajomości duszy człowieka i sympatyi do jéj przebłysków, aby stworzyć postać don Juana. W pierwszéj części to zuchwalec, rębacz, mocarz miecza, w drugiéj ugina się już, pochyla, trawi go ogiéń zwątpień, nękają smutek i cierpienie. Cztery akty części pierwszéj są szalone, prędkie, gwałtowne, niby wdziéranie się po drabinach do twierdzy, pierwszy części drugiéj jest jedną z najwspanialszych scen lirycznych, jakie posiada nowoczesny dramat. Przejście zaś przeprowadzone z jakim talentem, jaką prawdą!

Forma wybitnie różna od Calderonowskiéj. Niemasz niebiańskości, zaokrąglenia, elegancyi. Juan posiada wiele rycerskości, ale temperament bierze w nim górę nad wszystkiém. Ulloa uparcie odtrąca od siebie kochanka córki, nie daje się niczém przebłagać i żaden *deus ex machina* nie pokonywa go. Mejia wygląda na rozbójnika. Rycerze inni tak są dalecy od konwencyonalności, że jedna, dwie sceny, w których ich widzimy, daje nam o nich jasne pojęcie. Kobiéty, chociaż i tu lekko zarysowane, mają krew w żyłach. Słowem, prawdziwość życia cechuje dramat Zorrilli, zbliżając go już do Lope de Vegi.

Akty są różnéj długości, akcya zaś przypomina pośpiechem chyba utwory burzy i zapędów w Niemczech. Toż wszystko dzieje się w przeciągu dwóch nocy. Umysł nie ma chwili wytchnienia, w biegu za pojedynczemi czynnościami pędzi jak koń spieniony, a gdy obejrzał się, całe staje, setki włók leżą za nim. Olbrzymi dramat odegrał się w jego obecności.

Z niezwykłym talentem rozwinięta zewnętrzność dramatu. Obie części pisane wierszem, rytm i rym płyną lekko, niby woda u źródła. Nie spostrzegasz się prawie, że forma tak pieści ucho. Czytasz uważnie, tajemnica odkryta.

Co wreszcie ogromną nadaje wartość utworowi, to typy. Chociaż osób działających nie wiele, jednak wszystkie one pochwycone tak, że występują jak żywe. I każda ma w sobie coś charakterystycznego, coś ogólnego. Za każdą, zdaje się, stoi tłum podobnych. Jan uosobienie szlachetniejszego rycerza wieku XVI, Luis prawie bandyta. Ulloa stary patrycyusz hiszpański, Ineza dzieweczka miła, łagodna, podobna do madon, które malował nieco później Murillo, bezwątpienia z życia. Brygida, szczwana stara faktorka, niezrównana. A po nich inne osoby: rycerstwo, zakonnice, oberżysta, żołdacy.

Słowem, dramat jest tak wybitnym, że uznano go jednogłośnie za arcydzieło. Wkrótce „Tenorio“ obiegł Hiszpanię i od jakich czterdziestu lat wszystkie teatry, duże i małe, dają obie jego części w dzień zaduszny.

W naszych czasach, krytycy hiszpańscy usiłowali podnieść don Juana do znaczenia Fausta hiszpańskiego. Jednak chociaż artystycznie utwór ów stoi wysoko, nie można go zestawiać z arcydziełem Goethego. Nie obejmuje on tak szerokich horyzontów, Jan Tenorio różni się od Fausta, a Małgosia o wiele silniéj przedstawiona, niż Ineza. W każdym razie, szlachetność poglądów, częściowo myśl przewodnia, wreszcie piękność formy i postacie zbliżają dwa utwory do siebie. „Don Juan Tenorio“ Zorrilli jest jednym z największych dramatów naszego wieku.

Lecz skoro nie jest bohatér jego uosobieniem, jak Faust, całéj ludzkości, to przedstawia w każdym razie szerokie masy. Hiszpanie słusznie widzą w nim coś narodowego. Bo zdaje mi się, że w tym rycerzu tkwi temperament i charakter całego narodu hiszpańskiego. Wiele win zapisała księga dziejów na karb Hiszpanii, wiele krwi utoczyła Hiszpania sobie i Europie. Zniszczenie cywilizacyi maurytańskiéj, ucisk Żydów, barbarzyńskie zatarcie śladów bytu peruwiańskiego i meksykańskiego, inkwizycya i jezuici, wszystko to idzie na jéj rachunek. Sobie tém przyniosła upadek. Ale wiele pięknego posiada naród hiszpański, wiele szlachetnego. Wiek XIX-ty ciągłemi swemi wrzeniami najlepiéj tego dowodzi.

Może jak Don Juana niebyło komu ująć go za rękę i przeprowadzić nad przepaścią. Może sam czuł swoje szczęście i do niego wyciągał ręce; ci, od których ono zależało, nie dali go. Wszak nie hiszpańskiego byli pochodzenia ci co najwięcéj złego zrobili: wypędzili Maurów i Żydów, uzbroili armadę, poparli Ignacego Loyolę, wysłali na podboje Ferdynanda Korteza i Pizarra, a w pierwszéj połowie naszego wieku zdeptali konstytucyę z r. 1811.

5.

Po „Janie Tenoryu,“ Zorrilla nie pisał żadnego dramatu. Do epiki i liryki powrócił, teatr już go nie wabił. Lecz imię jego „Juan Tenorio“ więcéj niż inne utwory rozpowszechnił. Dochodów nie przyniósł prawie, sprzedał go autor za kilka tysięcy franków po napisaniu.

Tymczasem obliczono, że gdyby zachował był sobie własność literacką, zyskałby był z jego przedstawień do r. 1890 krocie.

W rękopisach pozostało zapewne wiele utworów niedokończonych lub ostatecznie przygotowanych. Znajdą się tam prawdopodobnie i materyały do dokładnéj biografii, chociaż wspomnienia swe poeta ogłosił był już dawniéj p. t. „Wspomnienia z dawnych czasów.“ Chlubił się do ostatnich dni, że życie pozostawiło umysł jego młodym i zmarł istotnie w pełni czynności.

Paryż.

Włodzimierz Bugiel.





POZNAWANIE NAUKOWE,

jako metoda logiczna.

„Poznać jakiś fakt, jestto odróżniać go od wszystkich innych, a upodabniać czyli utożsamiać ze wszystkiemi doń podobnemi. Oprócz dwóch tych zdolności umysłu, jedynym jeszcze elementem czynnym w akcie poznania jest pamięć, która zresztą tkwi w obu powyższych zdolnościach.“ Tak określa poznawanie psychologia. Rzecz godna uwagi, że logika ogólna dotychczas bardzo mało zajmowała się tą stroną naszego myślenia. Ogólne zasady poznawania pozostawiano w dziale psychologii, szczegóły zaś logicznego poznawania nie zostały dotąd nawet w pobieżnych zarysach opracowane. Wszyscy autorowie, którzy od czasów Bacona pisali o logice indukcyjnéj, zwracali główną uwagę na doświadczenie, jako na jedyne źródło naszéj wiedzy, jako na główną podstawę logiki indukcyjnéj. Zasadnicze prawa Bacona, opracowane następnie przez J. S. Milla, dotyczą jedynie doświadczenia. Rzecz cała przedstawiona była tak, że doświadczenie jest pierwszą czynnością logiczną myślenia indukcyjnego. Wszystko to, co poprzedza doświadczenie, a zatém spostrzeganie i poznawanie, nie podlega już prawom formalnym logiki i należy do działu psychologii. Taki przynajmniéj wniosek wyprowadzić można, czytając dzieła o logice indukcyjnéj Milla, Baina, Liarda. Poznawanie samo nie ma tam nadanego określonego znaczenia. To co pojmujemy przez wyraz poznawanie, w szerokiém tego słowa znaczeniu, pomieszaném zostało albo z obserwacyą, spostrzeganiem, albo z doświadczeniem. Tymczasem tak nie jest. Poznawa-

nie, jako czynność myślenia, ma swój wybitny zakres, wyróżniający je całkowicie i od doświadczenia, i od obserwacyi. Przedewszystkiém nakreślić musimy ścisłą granicę pomiędzy poznawaniem a doświadczeniem. Otóż w poznawaniu poznajemy jakiś przedmiot lub zjawisko samo przez się, tak jak ono jest, nie uwzględniając wcale przyczyny, genezy zjawiska. Przez doświadczenie zaś poznajemy przedmioty lub zjawiska w związku z innemi, poznajemy ich przyczynową zależność od innych współistniejących. Weźmy znany przykład Milla: tworzenie się rosy. Przez rosę pojmujemy krople wody, występujące na przedmiotach suchych poprzednio. Dane te otrzymaliśmy przez spostrzeganie i porównanie spostrzeganego zjawiska z tém, co wiemy o kroplach wody. Jestto więc czynność poznawania spostrzegawczego. Określenie, skąd dane zjawisko pochodzi, w jakich warunkach powstaje, należy już do dziedziny doświadczenia. Obie więc dziedziny, poznawania i doświadczenia, są tu ściśle odgraniczone. W naukach przyrodniczych istnieją dwa główne działy, z których jeden: dział tak zwanych nauk przyrodniczych opisowych, zajmuje się tylko poznawaniem okazu i zjawisk przyrody, drugi zaś, t. zw. dział nauk przyrodniczych doświadczalnych, obiéra sobie za cel, jak sama nazwa wskazuje, wytłómaczenie zjawisk za pomocą doświadczenia. Mamy więc w jednym dziale zoologię, botanikę, mineralogię, patologię opisową (właściwie systematykę zwierząt, roślin, minerałów), w drugim—fizykę, chemię, fizyologię, patologię doświadczalną. Różnica w zakresie tych nauk jak najlepiéj tłómaczy nam różnicę pomiędzy tém, co pojmować winniśmy przez wyraz poznawanie, a co przez doświadczenie.

Nakreśliwszy granicę pomiędzy poznawaniem a doświadczeniem, musimy uczynić to samo ze względu na poprzedzającą czynność poznawania, na t. zw. spostrzeganie, obserwacyę. Spostrzeganie zawsze poprzedza poznawanie; przez spostrzeganie odbieramy wrażenia zmysłowe od przedmiotów i zjawisk, które następnie uogólniamy w umyśle w postaci pewnych pojęć. Kojarzenie tych wrażeń i pojęć na zasadzie podobieństwa i różnicy jest poznawaniem. Ściśle rzecz biorąc, spostrzeganie daje nam tylko luźny zbiór wrażeń zmysłowych, czynność zaś uogólniająca i wytwarzanie pojęć należy już do zakresu poznawania. Tak wypada rzecz rozumiéć psychologicznie; pod względem jednak logicznym spostrzeganiu nadajemy obszerniejszy zakres: wytwarzanie pierwiastkowych pojęć z wrażeń zmysłowych wkluczamy jeszcze do zakresu spostrzegania, a poznawaniem nazywamy kojarzenie tych pierwiastkowych pojęć. Spostrzega-

my więc cechy przedmiotów lub zjawisk, poznajemy zaś przedmioty i zjawiska na zasadzie spostrzeżonych cech.

Główna, psychologiczna podstawa poznawania, jak już poprzednio nadmieniliśmy, polega na dwóch kardynalnych czynnościach umysłu ludzkiego, mianowicie na wynajdywaniu i kojarzeniu podobieństw, i wynajdywaniu i kojarzeniu różnic. Jeżeli spostrzegamy jaki nowy przedmiot, to porównywamy go z zapasem poprzednio nabytych pojęć i wrażeń zmysłowych, zachowanych w pamięci, czyli innemi słowy, wyszukujemy podobieństwo lub różnicę pomiędzy spostrzeganym w danéj chwili przedmiotem a obrazami, lub uogólnionemi z tych obrazów pojęciami, zachowanemi w naszéj pamięci. Z porównania tego wynika, że albo spostrzegany przedmiot jest w zupełności podobny do poprzednio przez nas spostrzeganych i wtedy umysł nasz uznaje go za taki, albo istnieją pewne różnice wybitne, które zmuszają nas do uznania odrębności w spostrzeganym przedmiocie i zachowania go w pamięci, jako nowego nabytku naszego poznawania.

Czynność wynajdywania podobieństw i różnic odbywa się według pewnych stałych praw logicznych. Odbywa się jednak w zwyczajnych warunkach codziennego spostrzegania tak szybko, tak prawie bezwiednie, że prawa logiczne téj czynności nie są i nie mogą być wyraźne. Tymczasem wiedziéć musimy, że i naukowe poznawanie odbywa się drogą téj saméj czynności, tutaj jednak czynność ta jest powolniejsza, wymagająca więcéj rozmysłu, przeto i prawa téj czynności łatwiéj mogą być uchwycone i poddane analizie. To téż dokładna analiza czynności naukowego poznawania może nam rozświetlić tę, dotychczas względnie mało opracowaną, stronę logicznego myślenia. Wśród nauk praktycznych istnieje jedna gałąź wiedzy, dość dobrze opracowana, a polegająca całkowicie pod względem psychologicznym na czynności wynajdywania i kojarzenia podobieństw i różnic w spostrzeganych zjawiskach. Jest nią dyagnostyka lekarska, t. j. nauka o rozpoznawaniu zjawisk patologicznych (chorób). Wielka wartość praktyczna téj nauki była powodem, że pod względem faktycznym została ona szczegółowo i obszernie opracowaną. Mało jednak dotychczas zwracano uwagę na formalną stronę téj nauki. Nie rozebrano dokładnie ani praw logicznyoh, na zasadzie których wyprowadzają się wnioski rozpoznawcze, ani warunków i źródeł możliwych omyłek rozpoznawczych, czyli błędnego wnioskowania. Jestto rzecz wcale nie małéj wagi, wobec jednak dążności do zbierania możliwie największego materyału faktycznego, pozostała ona zupełnie na uboczu. Autorowie dzieł i podręczników dyagnostycznych całą uwagę

zwracają jedynie na stronę faktyczną przedmiotu, nigdzie jednak, nawet na wstępie dzieł, nie spotykamy się z uwagami, dotyczącemi analizy rozpoznawania, jako czynności umysłowéj. Tymczasem analiza taka byłaby bardzo ciekawą, a dokładne jéj poznanie nie pozostałoby bez wpływu na ścisłość i pewność wniosków naukowych. Tylko taka analiza strony formalnéj każdéj nauki szczegółowéj dałaby nam w następstwie możność stworzenia całkowitego i pełnego systematu logiki indukcyjnéj.

Chorobę (zjawisko patologiczne) w dyagnostyce traktujemy jako przedmiot z właściwemi sobie cechami (objawami). Zadanie więc rozpoznającego lekarza upodabnia się w pewnym stopniu do czynności umysłowéj botanika, zoologa lub mineraloga, rozpatrującego roślinę, okaz zwierzęcy lub minerał. Mówię tylko w pewnym stopniu, gdyż istnieje także i różnica. Botanik, mineralog ma do czynienia z pewnym ściśle określonym okazem przyrody, którego własności są mniéj więcéj stałe, tymczasem lekarz ma do czynienia ze zjawiskiem zmienném, przedstawiającém liczne wahania. Cechy indywidualne rośliny lub minerału są stosunkowo nieliczne, tymczasem cechy indywidualne choroby panują nieraz nad całym obrazem i zmieniają do niepoznania sam przedmiot. Przez to czynność rozpoznającego lekarza jest trudniejsza, wymaga dłuższego i głębszego namysłu i częściéj doprowadzić może do fałszywych wniosków. Pomijając jednak te różnice, musimy się zgodzić na to, że czynność poznawania w obu przypadkach jest w zasadzie jednakową.

Przedmioty poznajemy na zasadzie cech (objawów). Cechy te mogą być albo znamienne, albo ogólne. Pod nazwą cechy znamiennéj pojmujemy cechę, spotykaną tylko w pewnym osobniku lub gatunku przedmiotów. Jestto więc znamię, piętno osobnicze lub gatunkowe. Na zasadzie téj jednéj cechy poznajemy odrazu przedmiot, jeżeli tylko pewném jest, że dana cecha jest znamienną dla danego przedmiotu, t. j. że w żadnych innych przedmiotach nie znajduje się. Biorąc rzecz czysto logicznie, cecha znamienna dotyczy nietylko osobnika jako takiego (indywiduum), lecz może być pojmowana jako cecha gatunkowa, rodzajowa, jeżeli jest właściwą tylko dla jednego pewnego gatunku lub rodzaju przedmiotów. I w rzeczy saméj: w zoologii, w botanice spotykamy się z opisem cech znamiennych dla pewnych klas i rodzajów, podobnie jak i dla gatunków. Liście iglaste np. są właściwe dla jednéj tylko rodziny *Coniferae*. Zachowanie się kopyt jest cechą znamienną dla

pewnych rodzin u ssaków (jedno-, dwukopytowe). Narośl rogowa na szczęce górnéj jest cechą znamienną dla gatunku nosorożca. W medycynie możemy właściwie mówić tylko o cechach znamiennych gatunkowych, pojmując chorobę jako gatunek. Stąd też w dyagnostyce lekarskiéj objawowi znamiennemu nadają ściślejsze, ograniczone znaczenie. Przez objaw znamienny (patognomoniczny) pojmujemy objaw właściwy jednéj, pewnéj chorobie, nie spotykany zaś w żadnych innych chorobach. W poznawaniu cecha znamienna ma wielką wartość zasadniczą, gdyż na zasadzie téj jednéj cechy jesteśmy w stanie rozpoznać przedmiot spostrzegany. Koniecznym jednak warunkiem prawdziwego, na zasadzie téj cechy, poznawania, musi być bezwzględna pewność, że cecha ta jest właściwą tylko dla danego przedmiotu. Wszelka wątpliwość w tym względzie usuwa pewność naszego wnioskowania. Jeżeli na monecie zrobimy ostrzem krzyżyk i następnie rzucimy monetę tę w stos innych téj saméj wielkości monet, to znalezienie jéj następne na zasadzie zrobionego znaczka będzie w zupełności pewném, jeżeli poprzednio oglądaliśmy wszystkie monety i na żadnéj podobnego krzyżyka nie widzieliśmy. W przeciwnym bowiem razie zawsze zachodzić może wątpliwość, czy na pewnéj monecie nie był zrobiony przez kogo innego znak podobny. Jeszcze raz więc powtarzamy, że najważniejszym warunkiem cechy znamiennéj będzie pewność bezwzględna, że cecha ta w żadnym innym przedmiocie nie ujawnia się. A ponieważ taką bezwzględną pewność rzadko mieć możemy, przeto i wartość rozpoznawcza cech (objawów) znamiennych nie ma tego znaczenia, jakby się pozornie zdawać mogło.

I tu znajdujemy wybitną różnicę pomiędzy naukami przyrodniczemi opisowemi a medycyną. Mówiliśmy już poprzednio, że liczba cech znamiennych w przedmiotach i okazach przyrody jest znaczna, że cechy te charakteryzują tam nietylko pojedyńcze gatunki, lecz całe rodziny i klasy. Tam też wartość tych cech w poznawaniu jest wielką, można śmiało nawet rzec, że całe rozpoznanie odbywa się przeważnie na zasadzie cech znamiennych, poczynając od określenia klasy, a kończąc na określeniu gatunku. Tymczasem w poznawaniu znamiennych zjawisk chorobowych, wobec braku objawów znamiennych, czynność ta musi być utrudniona, gdyż w największéj liczbie przypadków poprzestajemy tylko na kombinacyi objawów ogólnych.

Przez cechę ogólną pojmujemy cechę właściwą wielu przedmiotom różnego rodzaju i gatunku. Cecha taka, sama przez się, w rozpoznawaniu nie wiele znaczy, dopiéro wzajemne ugrupowanie licznych ogólnych cech decyduje o rzeczy. Porażenie np. jednéj kończyny, znieczulenie skóry na téjże kończynie i za-

nik mięśni są to trzy objawy ogólne; każdy z nich po szczególe odpowiada kilku gatunkom chorobowym, tymczasem połączenie wzajemne tych objawów daje już objaw złożony szczegółowy, właściwy bardzo ograniczonéj liczbie chorób. Gorączka jest objawem bardzo ogólnym, wysypka różycowata na tułowiu jest także ogólnym objawem, jeżeli zaś równocześnie występują dwa te objawy, to połączenie takie dotyczy tylko względnie nielicznych postaci chorobowych. Łącząc, dopełniając tym sposobem pojedyńcze objawy ogólne, dochodzimy do coraz to więcéj szczegółowych przypadków i w rezultacie do rozpoznania danego gatunku chorobowego. Cechy, tutaj wzmiankowane, nie wszystkie mają jednakowe znaczenie w rozpoznawaniu. Są cechy bardziéj szczegółowe, które spotykamy w nielicznych tylko przedmiotach; przeciwnie zaś, spotykamy nieraz cechy bardzo ogólne, właściwe wielu przedmiotom. Wartość więc rozpoznawcza tych cech bywa różna i zależy całkowicie od stopnia ich rozpowszechnienia. Im dana cecha jest bardziéj szczegółowa, tém większe ma znaczenie w rozpoznawaniu i na odwrót.

Tak cechy znamienne, jak i ogólne, mogą być jeszcze stałe i niestałe. Stałą nazywamy pewną cechę, jeżeli stale w rozmaitych odmianach danego przedmiotu występuje; niestałą zaś, jeżeli ją spotykamy tylko w pewnych odmianach osobniczych, w innych zaś nie. To samo tyczy się i zjawisk (chorób). Stałym objawem pewnego zjawiska jest objaw, który zwykle spotykamy stale w tém zjawisku, i przeciwnie. To też jeżeli choć raz jeden nie spostrzegaliśmy pewnego objawu w daném zjawisku, to tém samém musimy uważać objaw ten za niestały. Wśród niestałych objawów odróżniamy objawy często i rzadko występujące. Objaw może być nie stałym, ale zdarzać się w pewném zjawisku tak często, że przypadki zjawiska, w których go nie spotykamy, należą do wyjątków. Inny zaś objaw niestały tylko wyjątkowo w pewném zjawisku występuje, w większości zaś przypadków objawu tego nie znajdujemy. Stąd znaczenie rozpoznawcze objawów niestałych jest różne.

Wartość rozpoznawczą objawów niestałych możemy wyrazić za pomocą wzoru prawdopodobieństwa, mianowicie w ułamku, którego mianownikiem będzie ilość wszystkich przypadków spostrzeganych pewnego zjawiska, a licznikiem ilość przypadków, w których dany objaw niestały występuje. Jeżeli spostrzegaliśmy ogółem 120 przypadków tyfusu i z tych przypadków tylko w 75 spostrzegaliśmy wysypkę tyfusową, to prawdopodobieństwo wysypki tyfusowéj i co za tém idzie, jéj wartość rozpoznawcza wyrazi się ułamkiem $^{75}/_{120}$. Im

większy jest ułamek, tém większe prawdopodobieństwo i większą wartość rozpoznawczą objaw będzie przedstawiał. Stały objaw wyraża sobą pewność matematyczną i dlatego równa się jedności, gdyż liczba przypadków zjawiska z pewnym objawem równa się ściśle liczbie spostrzeganych przypadków, t. j. licznik równa się mianownikowi.

Zresztą dodać winniśmy, że stałość cech nie ma tego znaczenia w rozpoznawaniu, co poprzednio wspomniane zachowanie się cech pod względem ich rozpowszechnienia. Cecha może być bardzo niestałą, wyjątkowo tylko w danèm zjawisku lub przedmiocie występującą, pomimo to jeżeli jest znamienną — stanowczo decyduje w rozpoznawaniu. Przeciwnie, stała cecha — jeżeli jest ogólną — nie ma wielkiéj wartości rozpoznawczéj.

W mało zmiennych okazach przyrody większa część cech należy do rzędu stałych, tymczasem w zmiennych zjawiskach patologicznych cechy najczęściéj są niestałe. I w tém téż widzimy wybitną różnicę pomiędzy poznawaniem w naukach przyrodniczych opisowych a dyagnostyką lekarską. Ciężar gatunkowy pewnego minerału, jego twardość, jego skład chemiczny — są to objawy stałe. Niewielkie osobnicze wahania, jakie się tu zdarzyć mogą, są tak nieznaczne, że zaledwie w rachubę brać je należy. Tymczasem olbrzymia większość objawów chorobowych podlega tak często i tak wyraźnie osobniczym warunkom, że nie może być wcale mowy o ich stałości. Najstalsze nawet względnie objawy, jak gorączka w tyfusie, białkomocz w zapaleniu nerek, cukromocz w cukrzycy, mogą w pewnych przypadkach chwilowo nie występować. To téż ta okoliczność jeszcze więcéj potęguje trudność czynności poznawania w medycynie.

Rozebrawszy objawy *r.* cechy co do ich wartości w poznawaniu, przechodzimy obecnie do saméj czynności rozpoznawania, czynności, która (jak to już w początku wypowiedzieliśmy) polega na wynajdywaniu cech, na pochwyceniu związku oraz kojarzeniu ich ze znanemi, a zachowanemi w pamięci, ze względu na ich wzajemne podobieństwo i różnice. Przedewszystkiém poznajemy przedmioty i zjawiska na zasadzie podobieństwa. Tutaj istnieją dwą prawa zasadnicze.

Spostrzegany przedmiot równa się pewnemu a poznanemu już dawniéj przez nas przedmiotowi: 1) jeżeli w obu występuje jedna i ta sama cecha znamienna, i 2) jeżeli wszystkie cechy w obu przedmiotach są jednakowe. Pierwsze prawo nie wymaga szczegółowego omówienia. Prawo to samo przez się wynika z tego, co poprzednio powiedzieliśmy

o cechach znamiennych. Do drugiego prawa dodać musimy następującą uwagę, mianowicie, że brak cech niestałych nie może wykluczać podobieństwa przedmiotów. Właściwie więc drugie prawo w całéj rozciągłości stosować należy tylko do objawów stałych. W poznawaniu prawa te nie odgrywają jednakowéj roli. Tam, gdzie przeważają cechy znamienne, prawo pierwsze częściéj i szerzéj może być stosowane, np. w zoologii i w botanice. Tam zaś, gdzie mało znamy cech znamiennych, lecz za to większość cech odznacza się stałością, np. w mineralogii, prawo drugie najczęściéj bywa stosowane. Tymczasem w medycynie prawa te ograniczają wartość poznawania na zasadzie wynajdywania podobieństw. Mówiliśmy już, że cechy znamienne są tu wogóle rzadkie, że istnieje wiele cech niestałych, których brak nie wyklucza podobieństwa, a zatém powyższe prawa nie zawsze w poznawaniu uwzględniane być mogą. Pewne téż wnioskowanie rozpoznawcze na zasadzie odnajdywania samego podobieństwa tylko wyjątkowo jest możliwém i dlatego w poznawaniu naukowém przyjęto za zasadę nie powodować się tylko odnalezioném podobieństwem, lecz sprawdzać je przez wyszukiwanie różnic. Podobieństwo może być nieraz zwodnicze, mogliśmy opuścić pewne właściwe cechy i tym sposobem fałszywie poznawać. Nie dość jest poznać jakiś przedmiot ze względu na jego podobieństwo, należy jeszcze dowieść, że przedmiot ten nie może być innym, jak tylko tym, do którego jest podobnym.

Otóż ta druga sprawdzająca czynność poznawania, polegająca na wyszukiwaniu różnic, nosi nazwę różniczkowania i odgrywa poważną rolę w poznawaniu naukowém. Przez wyszukiwanie różnic w podobnych, t. j. mających jakąś wspólną cechę przedmiotach i zjawiskach, przekonywamy się, że przedmiot jest takim, za jaki go uznaliśmy na zasadzie podobieństwa. *A* równa się *A* nie dlatego tylko, że jest do niego podobném, ale dlatego także, że nie jest ani *B*, ani *C*, ani *D* i t. d. Tym sposobem zyskujemy na pewności w poznawaniu.

Dla różniczkowania wybieramy przedewszystkiém zjawiska podobne, gdyż niepodobieństwem byłoby różniczkować wszystkie po szczególe przedmioty i zjawiska, wchodzące w zakres danéj wiedzy. Zresztą nie trzeba zapominać, że wyszukiwanie różnic, jako czynność sprawdzająca, zawsze poprzedzone być musi przez czynność wyszukiwania podobieństw. Dopiéro zebrawszy grupę zjawisk podobnych, możemy przystąpić do różniczkowania. Przez nazwę grupy przedmiotów i zjawisk podobnych rozumiemy zbiór wszystkich zjawisk, mających pewną wspólną ce-

chę. Przedwstępne zatém ugrupowanie zjawisk dla różniczkowania odbywa się następującym sposobem. Przedewszystkiém upatrujemy w spostrzeganém zjawisku jakąś mniéj lub więcéj wybitną cechę. Następnie wyszukujemy w pamięci wszystkie zjawiska, w jakich cecha ta występuje, i w końcu dopiéro rozpoczynamy samą czynność różniczkowania. *Wspólną cechę, służącą za punkt wytyczny w grupowaniu zjawisk i przedmiotów, nazywamy współczynnikiem różniczkowania.*

Nazwałem cechę tę współczynnikiem różniczkowania dlatego, że ona wskazuje nam, jakie zjawiska i przedmioty wybrać należy w celu przeprowadzenia różniczkowania pomiędzy niemi a spostrzeganém zjawiskiem lub przedmiotem. Współczynnik, inaczéj cecha wytyczna jest cechą konieczną w różniczkowaniu, gdyż unika się tym sposobem dowolności, a określa się ściśle pojęcie przedmiotów i zjawisk podobnych. Gdybyśmy ściśle nie określili, co uznawać należy za przedmiot podobny, bylibyśmy narażeni na możliwość licznych opuszczeń i pozbawilibyśmy pewności nasze wnioski rozpoznawcze. Przypuśćmy, że znaleźliśmy bryłę minerału barwy ołowianéj, z mocnym metalicznym blaskiem; przypuśćmy, że cechy tegoż dokładnie zbadaliśmy i chcemy obecnie za pomocą różniczkowania poznać bliżéj gatunek tego minerału. Musimy więc porównać go ze wszystkiemi znanemi nam, a podobnemi minerałami. Należy przedewszystkiém podobieństwo to ściśléj określić: wybieramy tedy barwę i właściwy blask minerału, jako oznakę podobieństwa i wyszukujemy te wszystkie znane nam minerały, które mają barwę ołowianą i blask metaliczny. Byłby to logiczny błąd nie do darowania, gdybyśmy, wyszukując podobnych minerałów, kierowali się raz blaskiem metalicznym, drugi raz twardością, trzeci ciężarem gatunkowym i t. d. Powstałby wtedy zamęt i niemożliwość ścisłego przeprowadzenia różniczkowania. Za współczynnik różniczkowania mogliśmy wybrać inną cechę: twardość lub ciężar gatunkowy minerału, lecz uczyniwszy raz wybór współczynnika, musimy się go ściśle trzymać w grupowaniu przedmiotów podobnych, owéj przedwstępnéj czynności różniczkowania.

Rodzaj i jakość cechy, wybieranéj jako współczynnik różniczkowania, odgrywa tu rolę podrzędną; każda cecha w spostrzeganém zjawisku może być użyta w tym celu. Jeżeli spostrzegamy np. zjawisko chorobowe, tyfus, to w różniczkowaniu téj sprawy możemy jednakowo brać za wytyczną cechę: gorączkę, obrzmienie śledziony, wysypkę, biegunkę i t. p. objawy. Istnieje jednak pewne prawo, które ogranicza dowolność w wyborze współczynnika różniczkowania. Prawo to głosi: *wnioskowanie*

różniczkowe jest tém pewniejsze, im współczynnik różniczkowania jest szczegółowszy. Zbyt ogólny współczynnik różniczkowania, inaczéj cecha wytyczna, zmusza nas do grupowania licznych bardzo zjawisk podobnych, i różniczkowanie wskutek tego staje się trudniejsze a omyłka możliwsza. Mając do czynienia z licznemi zjawiskami, łatwo przeoczyć możemy jedno z nich i tym sposobem wprowadzić możemy na błędne tory całe nasze wnioskowanie. Jeżeli zaś wybiéramy jako współczynnik różniczkowania cechę szczegółowszą, spotykaną tylko w nielicznych zjawiskach, to tém samém unikamy powyżéj wspomnianéj możliwości omyłek. Tam, gdzie cechy zjawiska są przeważnie ogólne, za współczynnik różniczkowania wziąć możemy kombinacyę cech, które same przez się ograniczają ogólność samych cech do przypadków szczegółowych. Spostrzegając np. zjawisko, tyfus, trudno nam przyjąc za cechę wytyczną w różniczkowaniu samą gorączkę, gdyż to jest objaw zbyt ogólny i należałoby porównywać całe dziesiątki, nawet setki chorób, w których objaw ten występuje. Radzimy sobie wtedy w taki sposób: łączymy objaw gorączki z objawem wysypki i negatywnym objawem braku miejscowego zapalenia; otrzymujemy więc kombinacyę, redukującą ogólność pierwiastkowego objawu do niewielu szczegółowych chorób. Gorączkę z plamistą wysypką bez miejscowych zmian zapalnych spotykamy w niewielu tylko chorobach, pomiędzy któremi przeprowadzenie różniczkowania nie przedstawia trudności. Widzimy z powyższego, że współczynnikiem różniczkowania może być nietylko jedna pojedyńcza cecha szczegółowa, lecz i zbiór cech ogólnych, jeżeli tylko zbiór ten odgrywa rolę cechy szczegółowéj.

Upatrzywszy cechę wytyczną, t. zw. współczynnik różniczkowania, ugrupowawszy za pamięci wszystkie zjawiska w jakich cecha ta występuje, przystępujemy do saméj czynności różniczkowania. Różniczkowanie polega na porównywaniu w myśli przedmiotu lub zjawiska spostrzeganego ze zjawiskami, które uznaliśmy za podobne. Porównywanie odbywa się kolejno, przechodząc od jednego zjawiska do drugiego i stawiając zawsze z jednéj strony zjawisko obecnie spostrzegane, a z drugiéj strony szereg zjawisk przypuszczalnie możliwych, pod pewnym względem do spostrzeganego podobnych, t. j. mających ten sam współczynnik różniczkowy.

W różniczkowaniu kierujemy się następującemi zasadniczemi prawami: 1) Zjawisko spostrzegane nie jest zjawiskiem, z jakiém go porównywamy, jeżeli brak w nim objawu, który uważamy za stały dla tamtego zjawiska. Inne-

mi słowy brak stałéj cechy w jakiémkolwiek zjawisku, stanowczo wyklucza jego możliwość. Jeżeli spostrzegaliśmy zawsze pewien objaw w pewném zjawisku, a wiemy przytém, że i inni również go spostrzegali, to ztąd wniosek, że gdy objawu tego nie ma, to i zjawiska samego być nie może. Nie może być białaczki, jeżeli nie ma leukocytozy, gdyż leukocytoza stanowi stały, istotny objaw białaczki. Wiemy daléj, że u ludzi młodych, nie wyniszczonych poprzednio chorobami, tyfus zawsze przebiega z gorączką; jeżeli więc u spostrzeganego chorego gorączki wcale nie znajdujemy, to możemy z całą pewnością twierdzić, że chory ten tyfusu nie ma. U starców lub u ludzi mocno wyniszczonych, tyfus może przebiegać bez gorączki, i dlatego też brak gorączki u takich osobników nie ma powyższego, różniczkowego znaczenia, gdyż w tych przypadkach objaw ten jest niestałym. Z powyższego wynika, że brak objawu niestałego w spostrzeganém zjawisku w niczém nie przeświadcza o istocie samego zjawiska. Nie możemy więc wykluczać ogniska mózgowego na zasadzie braku porażenia, wiemy bowiem, że porażenie jest objawem niestałym ognisk mózgowych.

Istnieje jeszcze pewna modyfikacya powyższego prawa. Modyfikacya ta może być wyrażona następującym sposobem: spostrzegane zjawisko nie jest tém, z jakiém go porównywamy, jeśli w zjawisku spostrzeganém występuje objaw, jakiego nigdy nie spotyka się w zjawisku porównywaném. Innemi słowy, dwa zjawiska nie są też same, jeżeli w jednóm z nich istnieje objaw choćby niestały, jaki nigdy nie występuje w drugiém. Nie może być np. hysteryą spostrzegany przypadek choroby nerwowéj, jeżeli znajdujemy w nim zanik nerwu wzrokowego, gdyż objawu tego przy czystéj hysteryi nigdy nie spotykamy. Nie może być zanikiem mięśni postępowym dany przypadek chorobowy, jeżeli oprócz zaniku mięśni istnieją zaburzenia czucia, te zaburzenia bowiem nigdy nie występują przy zaniku mięśni postępowym. Tutaj chodzi nam nie o słabość objawu, lecz o stałość braku. Pozornie więc mamy do czynienia z dwoma różnemi zasadami, choć rzeczywiście tak nie jest. Brak pewnego objawu odgrywa w rozpoznawaniu także rolę objawu; jeżeli mówimy, że w pewnéj chorobie nie ma gorączki, to określamy ją jako chorobę bezgorączkową; brak więc gorączki odgrywa tu rolę objawu negatywnego, który w rozpoznawaniu ma swoje niepoślednie znaczenie. Pojmując brak objawu jako objaw negatywny, rozumiemy obecnie całą powyższą modyfikacyę głównéj zasady, która da się parafrazować jak na-

stępuje: brak stałéj, choćby negatywnéj cechy jakiegokolwiek zjawiska stanowczo wyklucza jego możliwość. Hysterya jest chorobą czynnościową układu nerwowego i stałą jéj cechą jest brak wszelkich organicznych zmian w układzie nerwowym. Jeżeli tutaj téj stałéj cechy, tego stałego, negatywnego objawu nie spotykamy, to wykluczając hysteryę, postępujemy podług główněj zasady.

To powyżéj rozebrane prawo nazwać możemy zwięźle prawem różnicy istotnéj. Stały objaw wyraża sobą zawsze istotę zjawiska, a brak tego objawu stanowi brak cechy istotnéj, czyli stanowi różnicę istotną. Prawo różnicy istotnéj ma również szerokie zastosowanie przy poznawaniu okazów przyrody. Całe różniczkowanie w chemii analitycznéj, oparte jest przeważnie na tém prawie. W mineralogii, botanice, zoologii prawo to znajduje zastosowanie bardziéj ograniczone: tutaj brak pewnéj cechy, jako prosta negacya rzadko występuje, najczęściéj zaś wyraża sobą obecność innéj, zupełnie przeciwnéj cechy. Jeżeli o pewnym minerale mówimy, że brak mu cechy przezroczystości, to już tém samém twierdzimy, że jest nieprzezroczysty, t. j. posiada pewną pozytywną cechę. Jeżeli mówimy o modrzewiu, że brak mu cechy innych roślin iglastych, mianowicie wiecznéj zieleni, to brak tego wyrazić możemy w postaci cechy pozytywnéj, że liście modrzewia opadają na zimę. Tym sposobem zamiast jednego objawu, znajdujemy inny przeciwny i cała różnica sprowadza się do innéj zasady, do t. zw. różnicy przez kontrast, przez przeciwieństwo.

Drugie prawo różniczkowania jest następujące: zjawisko spostrzegane nie jest zjawiskiem z jakiém go porównywamy, jeżeli w jednén z nich występuje stale objaw, zupełnie przeciwny spostrzeganemu. Nie możemy np. spostrzeganego porażenia obustronnego odnieść do zapalenia nerwów, jeżeli znajdujemy wzmożone odruchy ścięgniste, gdyż przy zapaleniu nerwów odruchy ścięgniste są zawsze zniesione. To prawo zwięźle nazwać możemy prawem różnicy przez przeciwieństwo, przeciwieństwo bowiem objawowe stanowi podstawę téj zasady. Różnica przez przeciwieństwo znajduje szerokie zastosowanie prawie we wszystkich naukach przyrodniczych opisowych. Nie może być marmurem minerał przezroczysty, gdyż marmur jest zawsze nieprzezroczysty. Nie może należéć do rodziny krzyżowych (*cruciferae*) roślina, któréj kwiat zawiéra równe pręciki, gdyż wszystkie rośliny z téj rodziny mają kwiat z 6 nierównymi pręcikami.

Nietylko jednak zupełny brak lub przeciwieństwo cech stanowią o różnicy w poznawaniu przedmiotów i zjawisk. Różnica polegać jeszcze może na niezgodności cech, jeżeli tylko wiadomém jest napewno, że podobna niezgodność występuje stale w pewnym przedmiocie lub zjawisku. Jeżeli o pewnéj chorobie wiemy, że przebiega zawsze z niewielką gorączką, to możemy napewno wykluczyć tę chorobę, przy spostrzeganiu zjawiska patologicznego, w którém spotykamy wysokie stopnie ciepłoty. Nie może być np. tyfusem przypadek charobowy, gdzie gorączka ma typ przestankowy, gdyż wiemy, że gorączka w tyfusie, w pierwszych przynajmniéj tygodniach choroby jest zawsze ciągłą. Nie może być dyamentem minerał ze stopniem twardości 5, gdyż wiemy, że dyament ma najwyższy stopień twardości, równający się 10 podług skali Mohsa. Jest-to trzecie zasadnicze prawo różniczkowania, zwane prawem różnicy przez niezgodność cech.

Trzy te prawa wyczerpują w całości czynność różniczkowania. Dla ścisłego i pewnego różniczkowania należy koniecznie wymagać uwzględnienia przynajmniéj jednego z powyższych praw. W medycynie jednak, gdzie objawy występują najczęściéj niestale, różniczkowanie nie zawsze może być pewném; głównym bowiem warunkiem pewności tych praw jest wnioskowanie na zasadzie stałości znajdowanych różnic. Jeżeli nie zawsze odruchy ścięgniste są zniesione przy zapaleniu nerwów, a czasem mogą być nawet wzmożone, to nie możemy wykluczyć na téj zasadzie możliwości zapalenia nerwów w pewnym przypadku chorobowym, gdzie odruchy ścięgniste są wzmożone. Jeżeli nie wszystkie rośliny z rodziny *cruciferae* mają kwiat o 6-iu pręcikach, to nie możemy być pewni, czy spostrzegana roślina z kwiatem 2-u pręcikowym nie należy do téj rodziny. Przy niestałości więc objawów pewne wnioskowanie na zasadzie powyższych praw różniczkowych jest niemożliwe, lecz nie należy sądzić, aby w tych warunkach różniczkowanie wogóle było niemożliwém. Jest ono możliwe, wnioski jeno różniczkowe nie będą w tym razie pewne, tylko prawdopodobne. Mówiliśmy już poprzednio przy omawianiu cech, że nie wszystkie cechy niestałe są jednakowego znaczenia, że są cechy bardzo często spotykane w jedném zjawisku, rzadko zaś w drugiém. Otóż wobec takiego zachowania się cech, obecność niestałego, lecz spotykanego bardzo często w pewném zjawisku objawu, przechyla szalę prawdopodobieństwa na stronę tego zjawiska, brak zaś decyduje przeciwnie. Jeżeli teraz spostrzegamy kilka lub kilkanaście takich cech niestałych i przy różniczkowém ich ocenianiu, kierujemy się zasadą ich względnego zachowania się do zjawisk, to przyznać musimy,

że tą drogą da się osiągnąć najwyższy stopień prawdopodobieństwa. Bezwzględnéj pewności mieć nie będziemy, lecz osiągamy możliwe prawdopodobieństwo w poznawaniu. Wobec takiéj niestałości objawów i tylko prawdopodobieństwa wnioskowania, uciekać się musimy przy rozpoznawaniu różniczkowém do układania całych tablic różniczkowych, gdyż im więcéj objawów różniczkowych wynajdziemy, tém prawdopodobieństwo naszego różniczkowania jest większe. Jeżeli mamy do czynienia z objawem stałym, lub stałym brakiem tegoż, to jeden taki objaw decyduje w zupełności o różnicy i układanie tablic jest zbyteczne; przeciwnie, jeżeli wszystkie spostrzegane objawy są niestałe, to tablica taka jest konieczna i im jest pełniejszą, tém różniczkowanie jest pewniejsze. Objawy różniczkowe w takich tablicach układają się podług powyżéj wyliczonych praw, prawa te bowiem nic nie tracą na swéj zasadniczéj wartości, nawet tylko wobec prawdopodobieństwa wnioskowania. Jedyny wyjątek stanowi prawo różnicy istotnéj w pierwszéj modyfikacyi, które dotyczy wyłącznie objawów stałych, istotnych, a zatém nie może mieć zastosowania przy objawach niestałych.

Jako przykład podobnéj tablicy różniczkowéj możemy podać tablicę, ułożoną przez znakomitego klinicystę francuskiego, Charcota, dla odróżnienia dwóch bardzo podobnych chorób nerwowych, mianowicie wieloogniskowego stwardnienia i drżączki porażennéj.

Sclerosis disseminata (Wieloogniskowe stwardnienie).	*Paralysis agitans* (Drżączka porażenna).
1) Choroba najczęściéj występuje u kobiet w wieku dojrzałym (od 20—40 l.).	1) Choroba najczęściéj występuje u mężczyzn w wieku podeszłym (od 40—60 l.). (różnica przez przeciwieństwo).
2) Przedewszystkiém występuje niezupełne porażenie, do którego późniéj przyłącza się drżenie.	2) Przedewszystkiém występuje drżenie, objawy zaś porażenne przyłączają się późniéj, (różnica przez niezgodność cech).
3) Drżenie podczas zupełnego spokoju ustaje, wzmaga się zaś przy ruchach czynnych i napięciu mięśni (*Intentionszittern*).	3) Drżenie istnieje podczas zupełnego spokoju, przy ruchach czynnych i mocném napięciu mięśni chwilowo może być zwalczone, (różnica przez niezgodność cech).
4) Drżenie jest nierównném, pojedyńcze odchylenia nierównéj siły, wzmagające się w miarę napięcia mięśni.	4) Drżenie jest szybkie, o równych wahaniach, (różnica przez niezgodność cech).
5) Drżeniu podlegają najpierw kończyny dolne, potém górne, nakoniec mięśnie	5) Drżeniu podlegają górne kończyny, potém dolne, tułów już rzadziéj, a gło-

tułowia; głowa bierze także udział w drżeniu.	wa nigdy nie drży (wyjątek rzadki stanowi zajęcie mięśni karku; wtedy pewne drżenie głowy zauważyć można), (różnica przez niezgodność cech).
6) W téj chorobie występują często zaburzenia wzroku, *nystagmus*, zawrót głowy, zaburzenia czynności psychicznéj, ataki apoplektyczne i t. p.	6) W drżączce porażennéj objawów tych nie spotykamy (różnica istotna II-a modyfikacya).

Żaden z tych objawów nie jest bezwzględnie stałym, pomimo to, powyżéj wyliczona wzajemna kombinacya objawów daje możność przeprowadzenia rozpoznania prawie pewnego.

Tablice różniczkowe ułatwiają wielce szybkie oryentowanie się wśród masy różnorodnych cech, dlatego też używane bywają przy opisie systematyki zwierząt, roślin i minerałów. Noszą one tam nazwę tablic synoptycznych. Takie synoptyczne tablice służą dla różniczkowania nietylko pojedyńczych gatunków, ale nawet rodzajów i rodzin. Jako przykład podobnéj tablicy, podamy tutaj schematyczne różniczkowanie dwóch gatunków dębu korkowego, które do niedawna brane były za jeden gatunek i dopiéro botanik Gay określił ściśle ich cechy różniczkowe następującym sposobem:

Quercus occidentalis (Dąb zachodni).	*Quercus suber* (Dąb korkowy).
1) Rozgałęzienie więcéj skupione, postać drzewa więcéj wyniosła.	1) Rozgałęzienie mniéj skupione, postać drzewa bardziéj rozłożysta.
2) Ulistwienie gęste we wszystkich fazach rozwoju.	2) Ulistwienie mniéj gęste.
3) Liście pozostają na drzewie do chwili wytwarzania się świéżych.	3) Liście opadają dopiéro po dwóch — trzech latach.
4) Miseczka żłędzi popielata, łuski dolne ma krótkie, spłaszczone.	4) Miseczka żołędzi brunatnawa, o łuskach na końcu wolnych i podniesionych.
5) Żołądź mniejsza i więcéj spiczasta, potrzebuje do zupełnéj dojrzałości dwóch lat, wskutek tego dojrzałe żołędzie siedzą tylko na gałązkach dwuletnich.	5) Żołędzie dojrzewają corocznie i wszystkie siedzą na gałązkach rocznych.
6) Rośnie w zachodniéj Francyi, nad brzegami oceanu.	6) Rośnie w południowéj Europie.

Wszystkie powyższe cechy różniczkowe dobrane zostały na zasadzie różnicy przez niezgodność cech.

Teraz objaśnijmy czynność różniczkowania i jéj prawa na przykładach:

I. Zjawisko spostrzegane: Osobnik młody, poprzednio zdrowy, zachorował nagle przed 3-ma dniami, przy objawach dreszczu, gorączki, kłucia w prawym boku i kaszlu z krwawą plwociną.

Przy badaniu znajdujemy stłumienie odgłosu opukowego na prawym wierzchołku płuc, szmer oddechowy z nielicznemi rzężeniami trzeszczącemi. Zresztą w innych narzędziach żadnych zmian nie znajdujemy.

Objawy: 1) Osobnik młody.
2) Poprzednio zupełnie zdrowy.
3) Zachorował nagle.
4) Przed 3-ma dniami (choroba ostra).
5) Objawy gorączki wysokiéj.
6) Kłucie w boku.
7) Kaszel z plwociną krwawą.
8) Stłumienie odgłosu opukowego na wierzchołku tylko.
9) Szmer oddechowy na miejscu stłumienia oskrzelowy z trzeszczeniem.
10) Brak zmian w innych narządach.

Rozpoznawanie na zasadzie podobieństwa: zapalenie płuc włóknikowe na zasadzie prawa, że suma objawów spostrzeganych równa się sumie objawów pewnéj choroby.

Różniczkowanie: Współczynnikiem różniczkowania mogą być objawy szczegółowsze, wymienione pod NN. 6, 7, 8, 9. Dla skrócenia weźmiemy objaw Nr. 7 (kaszel z plwociną krwawą). Taki objaw spotykamy: 1) w zapaleniu płuc włóknikowém, 2) w obrzęku płuc, 3) w zawale krwotocznym płuc, 4) w gruźlicy płuc, 5) przy nowotworach płuc, 6) w hysteryi. Spostrzegane zjawisko nie może być obrzękiem płuc, gdyż spostrzegamy w danym przypadku objawy wyraźnego zgęszczenia miąższu płuc, czego nigdy nie widzimy w obrzęku płuc (prawo różnicy istotnéj). Nie może być daléj zawałem krwotocznym, gdyż brak w danym przypadku wady serca lub zakrzepów w żyłach obwodowych, warunków koniecznych dla wywołania zawału krwotocznego (prawo różnicy istotnéj). Nie może być gruźlicą lub nowotworem płuc, gdyż są to sprawy przewlekłe, które nigdy w ciągu 3 dni nie rozwijają się (prawo różnicy przez przeciwieństwo); nie może być nakoniec hysteryą, gdyż gorączka i objawy ogniskowe płuc nie należą do objawów téj choroby czynnościowéj (prawo różnicy istotnéj). Zjawisko patalogiczne spostrzegane jest więc zapaleniem płuc, gdyż wszystkie występujące tu objawy odpowiadają w zupełności objawom zapalenia płuc.

Jeżeli przyjmiemy jako współczynnik różniczkowania objawy, podane pod NN. 8, 9, t. j. ograniczone stłumienie odgłosu opukowego płucnego ze szmerem oddechowym oskrzelowym, to musimy brać na uwagę wszystkie choroby, w których objawy te występują, mianowicie: zawał krwotoczny, gruźlicę płuc, nowotwór płuc, ograniczone za-

palenie opłucnéj, oraz zapalenie płuc włóknikowe. Zawał krwotoczny, gruźlicę i nowotwór wykluczamy na zasadzie podanych poprzednio objawów; co się zaś tyczy zapalenia opłucnéj, to przeciw téj sprawie przemawia: umiejscowienie na wierzchołku i rozległe trzeszczenie; objawów tych bowiem nie spotykamy zwykle przy zapaleniu opłucnéj (prawo różnicy istotnéj), nakoniec drżenie klatki piersiowéj stale bywa osłabioném przy zapaleniu opłucnéj, kiedy w danym wypadku jest ono wzmożoném (prawo różnicy przez przeciwieństwo). Pozostaje więc zapalenie płuc włóknikowe, którego objawy w zupełności zgadnają się ze spostrzeganemi objawami. Brakuje wprawdzie w naszym przypadku wyprysku wargowego, poczerwienienia jednostronnego twarzy, zaburzeń ze strony kanału pokarmowego, ale są to objawy niestałe zapalenia płuc włóknikowego, których brak nic w różniczkowaniu nie stanowi.

II. Mamy przed sobą bryłę minerału mocno błyszczącego, barwy szaro-ołowianéj, który przy bliższém badaniu okazuje jeszcze stopień twardości (podług tablicy Mohsa) 2,5; ciężar gatunkowy 7,5; nie kruchy, przy rysowaniu ostrzem stali otrzymujemy na nim kresę szarawą. W ogniu dmóchawki topi się w kulkę szarą z wydzieleniem duszącego gazu bezwodnika kwasu siarczanego, rozpuszczalną w zupełności w kwasie azotnym, rozczyn od dodatku wody nie strąca się.

Objawy: 1) barwa szaro-ołowiana,
2) blask metaliczny,
3) twardość 2,5,
4) nie kruchy,
5) C. g. 7,5,
6) kresa szarawa,
7) topi się w kulkę szarą,
8) rozpuszczalność w kwasie azotnym,
9) wydzielanie przy topieniu bezwodnika kwasu siarczanego.

Prawdopodobne rozpoznanie na zasadzie podobieństwa: błyszcz ołowiu na zasadzie, że suma cech błyszczu równa się sumie cech spostrzeganego minerału.

Różniczkownie: Bierzemy jako współczynnik różniczkowania blask metaliczny i barwę szaro-ołowianą, t. j. ogólny wygląd minerału. Musimy przedewszystkiém pomyśléć, że może to być rodzimy metal podobnéj barwy, jako to: arsen, antymon, bismut, żelazo, srebro i platyna. Możliwość ta jednak może być wykluczona na zasadzie obecności siarki w minerale, jaką przy topieniu kawałka spostrzegliśmy. Wykluczając możliwość rodzimych metalów, pozostają

tylko siarkowe połączenia metalów, znane w mineralogii pod nazwą błyszczów, które mają zupełnie podobny zewnętrzny wygląd. Za błyszczami przemawia również obecność siarki w spostrzeganym minerale. Znamy następujące rodzaje błyszczów: galenit (błyszcz ołowiany), molibdenit, antimonit, bismonit, kobaltyn i argentyn. Spostrzegany minerał nie może być molibdenitem, gdyż ten ma mniejszy ciężar gatunkowy (5) i mniejszy stopień twardości (1,5). Kresa na molibdenicie jest barwy zielonkowatéj (prawo różnicy przez niezgodność cech); nakoniec molibdenit nie topi się w ogniu dmuchawki (prawo różnicy przez przeciwieństwo). Spostrzegany minerał nie może być antimonitem, gdyż antimonit ma mniejszy C. g. (4,5) i ulatnia się przy topieniu, nie tworząc kulki metalicznéj (prawo różnicy przez niezgodność objawową). Nie może być daléj bismunitem nasz minerał, ten bowiem, jakkolwiek ma bardzo podobny do spostrzeganego stopień twardości (2,5) i ciężar gatunkowy (6,5), daje przy topieniu kulkę metaliczną, pokrytą żółtym nalotem i rozpuszczającą się w kwasie azotnym, od dodania zaś wody do rozczynu, daje obfity, biały osad (prawo różnicy przez niezgodność cech). Spostrzegany minerał nie może być kobaltynem, gdyż kobaltyn jest kruchy (prawo różnicy przez przeciwieństwo), ma barwę więcéj czerwonkowatą i kresa jest więcéj czarną; oprócz tego twardość jest znacznie większa (5,5) (prawo różnicy przez niezgodność objawową). Nie może nakoniec być badany okaz argentynem, gdyż ten, rzadki zresztą minerał, ma barwę ciemniejszą, kresę więcéj czarną; zresztą dokładne badanie chemiczne w razie zachodzącéj wątpliwości rzecz całą rozstrzyga.

Na zasadzie powyższego różniczkowania przychodzimy do wniosku, że spostrzegany minerał jest rzeczywiście błyszczem ołowiu.

Mówiliśmy poprzednio, że czynność różniczkowania jest zawsze czynnością sprawdzającą pierwiastkowe rozpoznanie, przeprowadzone na zasadzie spostrzeganego podobieństwa. W powyższych przykładach na zasadzie podobieństwa odrazu rozpoznaliśmy zapalenie płuc włóknikowe, błyszcz ołowiany, całe zaś następne różniczkowanie upewniło nas tylko, że pierwotne nasze rozpoznanie było dobrém. Zdarzają się jednak zjawiska, tak mało charakterystyczne w swych objawach, że ścisłego rozpoznania przez odnajdywanie podobieństwa postawić nie można. Zjawisko spostrzegane jest wtedy dziwnie podobne nie do jednego, lecz do kilku zjawisk, dobrze nam znanych. Musimy tedy przystąpić w tych wypadkach do różniczkowania bez poprzedniego ścisłego rozpoznania na zasadzie podobieństwa. Wtedy różniczkowanie

nie odgrywa już roli czynności sprawdzającéj, lecz jest czynnością poznającą, pierwotną. Ten sposób poznawania nosi już osobne miano „rozpoznawania przez wykluczenie“ *v.* eliminacyę (*diagnosis per exclusionem*). W zasadzie jest-to ta sama czynność różniczkowania, tylko formowanie wniosku jest inne. Dla różniczkowania wniosek formuje się, jak to wyżéj nadmieniliśmy, na zasadzie następującego wzoru: $A = A$ nie dlatego tylko, że jest do niego podobném, ale dlatego także, że nie jest ani B, ani C, ani D, i t. d. Tymczasem wzór wniosku przez wykluczenie jest następujący: A dlatego jest równe A, że nie jest i nie może być ani B, ani C, ani D i t. d. Pozornie wzory te mało się różnią, a jednak pod względem logicznym jest duża różnica pomiędzy wnioskami opartemi na powyższych zasadach. Dla pewności wniosku przez wykluczenie potrzebna jest koniecznie pewność, żeśmy porównali i wykluczyli wszystkie możliwości. Opuszczenie jednéj, jakiejkolwiek możliwości łatwo może udaremnić całe nasze rozpoznanie. Chcąc napewno dowieść, że A dlatego się równa A, ponieważ nie jest ani B, ani C, ani D, należy być pewnym poprzednio, że A może być tylko albo A, albo B, albo C, albo D, że nie może być niczém inném. W przeciwnym razie A może rzeczywiście nie być ani B, ani C, ani D, ale jest np. Z, opuszczoną przez nas możliwością. Porównanie zatém wszystkich bez wyjątku możliwych, podobnych zjawisk jest warunkiem niezbędnym pewnego poznawania przez wykluczenie. W różniczkowaniu warunek ten nie jest tak niezbędnym. W różniczkowaniu możemy opuścić jedno lub drugie podobne zjawisko, nie znosząc przez to pewności wniosku. Pierwiastkowy wniosek rozpoznawczy, wysnuty przez odnalezienie podobieństwa, jest tu podstawowym, różniczkowanie sprawdza tylko ten wniosek i bez różniczkowania nasz wniosek ma już swoją logiczną, dość pewną podstawę. Tymczasem wykluczenie samo musi doprowadzić do wniosku, od ścisłości więc téj czynności logicznéj zależy jedynie pewność rozpoznania.

Weźmy następujący przykład. U osobnika w średnim wieku, wycieńczonego, z hektyczną gorączką, z bólem w prawém podżebrzu, wyczuwamy guz na dolnym brzegu wątroby. Pomimo dokładnego zebrania anamnestycznych i innych objawów, nie możemy dojść do żadnego wniosku przez odnajdowanie podobieństwa, uciekamy się więc do sposobu przez wykluczanie. Powinniśmy najprzód zebrać dokładnie wszystkie możliwe (t. j. podobne) w swych objawach sprawy. Jako współczynnik wykluczania *v.* różniczkowania wybieramy objaw: guz na dolnym brzega wątroby i rozpatrujemy po kolei: ropień, rak,

kilak, bąblowiec wątroby, daléj sprawy pęcherzyka żółciowego, ograniczone a umiejscowione w tém miejscu zapalenie otrzewnéj. Jeżeli teraz na zasadzie spostrzeganych objawów możemy wykluczyć napewno raka, kilaka, bąblowca wątroby, sprawy pęcherzyka żółciowego i ograniczone zapalenie otrzewnéj, to możemy z pewnością twierdzić, że zjawisko spostrzegane jest ropniem wątroby, jeśli będziemy bezwzględnie pewni, żeśmy wszystkie możliwe sprawy rozpatrywali. Jeżeli jednak opuściliśmy jedną jaką możliwą sprawę, to nasze rozpoznanie może być fałszywém, gdyż właśnie spostrzegane zjawisko chorobliwe może być ową, opuszczoną przez nas w logicznéj czynności wykluczania, sprawą.

Powyższe, dość ograniczone znaczenie metody wykluczania tyczy się tylko patologii opisowéj i rozpoznawania zmiennych zjawisk patologicznych. W innych naukach opisowych, gdzie spostrzegane objawy i cechy są przeważnie stałe, gdzie poznawanie dochodzi zawsze do pewności, metoda wykluczania odgrywa przeważną rolę. Wskazać możemy chemię analityczną, jako na przykład działania przez wykluczenie. Cała analiza chemiczna pod względem logicznym jest niczém inném tylko systematyczną metodą wykluczenia. Uprzytomnijmy sobie analizę elementarną zasad chemicznych. Mamy przed sobą rozczyn pewnéj soli, któréj zasadę odkryć zamierzamy. Próbujemy przedewszystkiém odczynu z kwasem siarkowodowym i albo otrzymujemy osad, albo nie. Jeżeli otrzymujemy osad, to dowodzi, że w rozczynie istnieje jeden lub więcéj pierwiastków chemicznych 5-éj i 6-éj grupy (strącających się kwasem siarkowodowym) i już daléj na zasadzie właściwéj barwy osadu (żółty, czarny, pomarańczowy, szarawy) różniczkujemy pierwiastki na poddziały. Wiedząc, z jakim poddziałem ma się do czynienia, kolejno za pomocą właściwych dla każdego pierwiastku odczynników wykluczamy ich obecność, aż natrafimy na poszukiwany pierwiastek. Jeżeli nie otrzymujemy osadu z kwasem siarkowodowym, to wykluczamy obecność pierwiastków 5-éj i 6-éj grupy i szukamy pierwiastków gromady 3-éj i 4-éj za pomocą dodania siarczku ammonu. I teraz, jeśli otrzymujemy odczyn, różniczkujemy daléj tym samym sposobem, używając wszędzie odczynów właściwych. Jeżeli i siarczek ammonu nie dał osadu, to wykluczamy obecność piewiastków 3-éj i 4-éj gromady i przechodzimy do gromady 2-éj. Pierwiastki téj grupy strącają się węglanem ammonu. Jeżeli i ten osadu nie daje, pozostają już tylko pierwiastki pierwszéj gromady, które właściwemi odczynnikami należy kolejno wykluczyć. Odczyny zasadnicze z kwasem siarkowo-

dowym, siarczkiem ammonu, węglanem ammonu służą nam tu za współczynniki wykluczenia, przedstawiając cechę wspólną dla pewnéj gromady pierwiastków chemicznych; samo wykluczenie odbywa się na zasadzie prawa różnicy istotnéj i po części różnicy przez przeciwieństwo. Jeżeli pewien właściwy odczyn nie występuje, to mamy do czynienia z różnicą istotną; jeżeli utworzony osad ma barwę żółtą, a nie czarną, jeżeli osad rozpuszcza się w alkaliach, inny zaś w kwasach, to mamy do czynienia z różnicą przez przeciwieństwo.

Przy poznawaniu roślin ta sama metoda wykluczenia może być w całéj rozciągłości stosowana. Sztuczna klasyfikacya roślin, podana przez Linneusza, zawiera w sobie podstawy dla takiego analitycznego poznawania spostrzeganego gatunku roślin, i w tém téż znaczeniu do dnia dzisiejszego bywa stosowana pomimo niezaprzeczalnych swych braków. Spostrzegając pewną roślinę zwracamy uwagę na jéj kwiat, na ilość i jakość pręcików i słupków, dochodząc tym sposobem przez wykluczanie do rozpoznania klasy. Poznawszy klasy, poznajemy również drogą wykluczenia poddziały (*ordines*), a następnie przechodzimy do rodzin i t. p.

Tego rodzaju analityczne poznawanie nie da się całkowicie stosować w medycynie. Cechy, spostrzegane w zjawiskach chorobowych, nie odznaczają się ani tą znamiennością, ani stałością, jakie znajdujemy w odczynach chemicznych, a nawet choćby w morfologii roślin. Nie możemy więc stosować w całéj rozciągłości podobnego tabelarnego, analitycznego sposobu poznawania. Bain widocznie nie pojmował różnicy, zachodzącéj pomiędzy naukami przyrodniczemi opisowemi, jeżeli w dziale logiki medycyny podawał tabelarne poznawanie, jako możliwy do osiągnięcia ideał.

Z powyższych uwag nad czynnością rozpoznawania widzimy, że wnioski rozpoznawcze osiągnąć możemy albo drogą samego poznawania podobieństwa, albo drogą poznawania podobieństwa i różnicy, albo nakoniec drogą samego poznawania różnicy. Najpewniejszym sposobem, jak to już dowiedliśmy, jest sposób, oparty na wyszukiwaniu i podobieństwa i różnicy. Samo odnajdywanie podobieństwa, lub samo wykluczanie za pomocą odnajdywania różnic — są to sposoby zawodne, które bardzo często prowadzić mogą do fałszywych wniosków (mamy na myśli patologią opisową). Właściwie więc w naukowém poznawaniu należałoby obrać jedynie drogę najpewniejszą, porzuciwszy dane zawodne. Nie zawsze jednak tak uczynić możemy. Pomijając już względy czysto pra-

ktyczne, gdzie z konieczności pośpiechu, z potrzeby szybkiego wnioskowania, wybieramy drogę najkrótszą, najprędzéj prowadzącą do celu, mianowicie drogę samego poznawania podobieństw; istnieją jeszcze pewne względy faktyczne, które nie pozwalają nam użyć najpewniejszego sposobu rozpoznawania. Mówiliśmy już, że zjawiska chorobowe są niekiedy mało charakterystyczne. Objawy, na których opieramy nieraz nasze wnioskowanie, są tak nieliczne, tak ogólne, tak mało wybitne, że bądź co bądź uciekać się musimy do sposobu wykluczenia, jako do jedynego, mogącego doprowadzić nas w tych przypadkach do względnie pewnych rezultatów. Wszystkie tedy te trzy sposoby rozpoznawcze mają swoją racyę bytu, od nas tylko zależy przez uwzględnienie logicznych praw uczynić je możliwie pewnemi, aby przez fałszywe wnioskowanie nie utrudniać sobie i tak już ciężkiego niekiedy zadania, jakiém jest poznawanie naukowe.

A teraz powiedzmy słów kilka o względnéj wartości samych wniosków rozpoznawczych. Wnioski te w naszém przeświadczeniu mogą być albo pewne, albo prawdopodobne. Pewném jest nasze wnioskowanie rozpoznawcze wtedy, jeżeli wszelkie inne możliwe zjawisko chorobowe wykluczyć się daje; prawdopodobném zaś, jeżeli nie możemy z całą pewnością wykluczyć zjawiska, lub zjawisk innych, do spostrzeganego podobnych. Do rozpoznania pewnego dochodzimy najczęściéj drogą pośrednią, przez odszukiwanie podobieństwa i różnicy. Same względy podobieństwa lub różnicy rzadko są w stanie rozpoznanie nasze pewném uczynić, najczęściéj rozpoznanie nie przechodzi wtedy granic prawdopodobieństwa; zresztą, nie sam logiczny sposób poznawania odgrywa tu rolę. Wielkie znaczenie ma także jakość i ilość objawów, zdobytych drogą ścisłego badania. Im większą ilość objawów otrzymujemy przez badanie, t. j. im badamy dokładniéj pewne zjawisko lub przedmiot, — tém pewniejszym być może nasz wniosek rozpoznawczy. Jakość objawów ma także niepospolite znaczenie: jeden znamienny lub kilka wybitnych szczegółowych objawów mogą nam lepiéj charakteryzować całość zjawiska, niż całe dziesiątki cech ogólnych, mało znaczących. Jest więc zadaniem dyagnostyki, jako nauki faktycznéj, przez odnajdywanie szczegółowych klinicznych metod badania, wykrywać najwybitniejsze i najszczegółowsze objawy zjawisk chorobowych. My zaś, rozpatrując rzecz z formalnéj strony, musimy dojść do przekonania,

że przy obecnym stanie naszéj nauki w wielu przypadkach osiągamy wnioski zaledwie prawdopodne.

Samo prawdopodobieństwo rozpoznania może być różnego stopnia: raz większe, raz mniejsze. Stopień prawdopodobieństwa zależny będzie od ilości zjawisk podobnych, których różniczkować daléj nie jesteśmy już w stanie. Jeżeli np. w rozpoznawaniu pewnego zjawiska zatrzymujemy się na dwóch możliwych zjawiskach jednakowo podobnych, t. j. mających jedne wspólne objawy, to rozpoznanie nasze będzie więcéj prawdopodobne, aniżeli wtedy, kiedy to samo rozpoznanie waha się pomiędzy trzema lub czterema jednakowo podobnemi sprawami. Z dwóch lub kilku podobnych zjawisk prawdopodobniejszém będzie to, w którém objawy podobne staléj występują. Jeżeli rzecz rozstrzyga się między dwoma zjawiskami, mającemi jeden wspólny objaw, to to zjawisko, w którém objaw wspólny częściéj występuje, — jest więcéj prawdopodobne, drugie zaś — mniéj. Jeżeli np. rozpoznanie nasze waha się pomiędzy ropniem lub rakiem, to istniejąca gorączka przestankowa czyni prawdopodobniejszém rozpoznanie ropnia, gdyż przy nowotworach złośliwych gorączka przestankowa zdarza się stosunkowo rzadziéj (tylko w czasie ich generalizacyi, lub przy istnieniu rozpadu). Tym sposobem prawdopodobieństwo naszego ropoznania możemy warunkować stopniami, nie zapominając zresztą nigdy o tém, że nawet najwyższy stopień prawdopodobieństwa nie wyklucza możliwości omyłek.

W końcu wspomniéć jeszcze musimy o omyłkach w rozpoznawaniu, o fałszywych wnioskach rozpoznawczych i ich źródłach. Najczęstszém źródłem fałszywego wnioskowania w rozpoznaniu jest zbytni pośpiech w wyprowadzaniu wniosków. Nie badając dokładnie spostrzeganego zjawiska i opuszczając wskutek tego wiele ważnych cech, wyprowadzamy zbyt pośpiesznie wniosek na zasadzie kilku rzucających się w oczy objawów. Że taki wniosek w większości przypadków musi być fałszywym, na to, sądzę, nie potrzeba dowodów. Logicy oddawna wyliczają całe szeregi sofizmatów, powstających wskutek zbyt pośpiesznego wnioskowania. Zdaje się, że ten powszechny błąd logiczny jest następstwem pewnéj stałéj własności naszego umysłu, upadabniania spostrzeganych zjawisk. Potrzeba dopiéro pewnego wyrobienia, pewnéj dyscypliny umysłowéj, żeby nie poddawać się we wnioskowaniu wpływowi zwodniczego podobieństwa. Chcąc uniknąć tego błędu, należy zawsze sprawdzać nasz rozpoznawczy wnio-

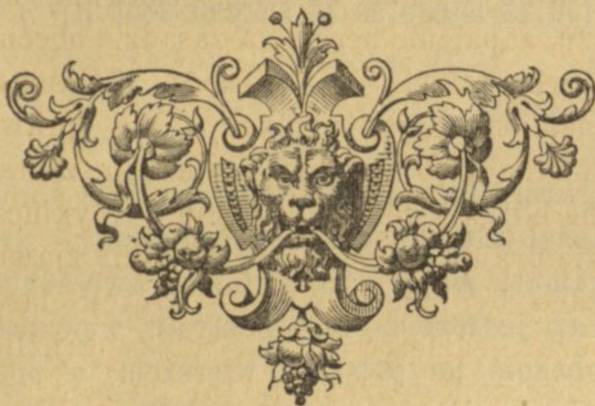
sek przez różniczkowanie: wtedy zmuszeni będziemy wyszukiwać cechy różniczkowe i tym sposobem wszechstronniéj całe zjawisko zbadamy.

Drugiém źródłem fałszywego wnioskowania rozpoznawczego jest niedokładna znajomość wartości rozpoznawczéj objawów. Uważając pewien objaw za znamienny, gdy on w rzeczy saméj takim nie jest, lub przyjmując objaw niestały za stale spotykany w daném zjawisku, musimy dochodzić wskutek takich zasadniczych błędów do fałszywych wniosków. Właściwie rzecz biorąc, omyłki te nie należą do omyłek logicznych. Wypływają one z nieznajomości przedmiotu i mogą doprowadzić do fałszywych wniosków, chociażby cała czynność poznawania była ściśle logiczna. Ponieważ stanowią one jednak poważną część wszystkich omyłek rozpoznawczych, musimy je tutaj bliżéj omówić. Fałszywe wnioski rozpoznawcze powstawać mogą w czynności poznawania przez wyszukiwanie podobieństwa, jeżeli pewien objaw ogólny przyjmowany jest za objaw znamienny dla jednéj tylko sprawy. Tym sposobem często moczówka cukrowa bywa fałszywie rozpoznawaną na zasadzie obecności cukromoczu, zapalenie nerek na zasadzie obecności białkomoczu i t. d. Objawy więc takie, jak cukromocz, białkomocz uznawane są fałszywie za znamienne dla pewnych tylko spraw patologicznych. W innych przypadkach objawy niestałe uznane zostają za stałe i stąd wynikają fatalne błędy w różniczkowaniu. Wykluczają się wskutek tego na zasadzie prawa różnicy istotnéj takie zjawiska, jakie żadną miarą wykluczane być nie powinny. Jeżeli laseczniki gruźlicze w plwocinie uważać będziemy za stały objaw gruźlicy płucnéj, to na zasadzie braku laseczników zupełnie niesłusznie wykluczyć możemy gruźlicę w rozpoznawaniu pewnego zjawiska chorobowego. Jeżeli wysypkę plamistą uznajemy za stały objaw tyfusu, to również najniesłuszniéj na zasadzie braku tego objawu wykluczać będziemy sprawę tyfusową.

Wnioski fałszywe, wypływające z trzeciego źródła dotyczą głównie poznawania przez wykluczenie, a w części różniczkowania. Mówiliśmy już, że niezbędnym warunkiem pewności wniosków, otrzymywanych drogą wykluczenia, jest porównanie wszystkich podobnych zjawisk. Jeżeli teraz przy rozpoznawaniu przez wykluczenie opuścimy jedno, lub więcéj podobnych zjawisk, to narażamy się na możliwość fałszywego wniosku. Wniosek wtedy nie zawsze będzie fałszywy, gdyż możebną jest rzeczą, że w danym przypadku opuszczone przy porównywaniu zjawisko, nie jest do spostrzeganego podobném, ale zasada wniosku będzie zale-

żała całkowicie od ślepego trafu i nie będzie miała warunków, ani logicznéj pewności, ani nawet prawdopodobieństwa. Mówimy nawet prawdopodobieństwa, gdyż stawiając wniosek prawdopodobny, logicznie wysnuty, wiemy już tém samém, że omylić się możemy, wiemy nawet, jakie zjawiska mogą być zamiast prawdopodobnie rozpoznanego. Przeciwnie, wniosek fałszywie wyprowadzony ma wszystkie cechy wniosku pewnego lub prawdopodobnego; w tym ostatnim jednak razie możliwa omyłka nie wchodzi w zakres spodziewanych.

Władysław Biegański.





JULIUSZ SŁOWACKI

W RZYMIE, NEAPOLU I SORRENTO

(od 22 lutego do 24 sierpnia 1836 r.) [1].

Słowacki, który już, jak wiadomo, podczas pobytu swego w Paryżu zaczął (ale nie skończył nigdy, pisać prozą, po francusku, dramat, mający za treść sprawę hrabianki Cenci, powrócił dzisiaj raz jeszcze do tego pomysłu, z postanowieniem, aby go opracować obecnie po polsku i wierszem, a pobudką pod tym względem, która i pomysł sam przekształciła gruntownie, były mu: legenda o hrabiance Beatrix Cenci, téj dziewicy czystéj i nieskalanéj, która w obronie swéj czci, nie zawahała się popełnić ojcobójstwa, legenda, którą w Rzymie słyszał opowiadaną kilkakrotnie i którą mu przypominały raz poraz różne, uświęcone nią miejsca, jak: Zamek Anioła i Pałac Cencich; Pałac Colonnów, których stary hrabia Francesco Cenci był stronnikiem; Pałac Orsinich, których „złość z Colonnami“ była w swoim czasie równie głośną nad Tybrem, jak w Weronie, unieśmiertelniony przez Szekspira, spór między domami Montekich i Kapuletów; oprócz legendy zaś... ów portret Guido Reniego. Przypatrując mu się, „téj głowie cudownéj piękności, spokojnéj, jako cyprys, nadto smutny, aby nim ruszył wiatr,“ zachwycony tém aniel-

---

[1]) Dokończenie. — Patrz „Ateneum,“ zeszyt listopadowy, r. 1893, str. 209.

skiém obliczem [1]), nieraz miał chęć powiedziéć, jak jego Giani w akcie drugim tragedyi. „Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci... W ziemię utopiłaś oczy rozwarte i chciwe. O, takie oczy nie widzą, lecz tworzą same obrazy i na utworzone patrzą z litością lub zamiłowaniem. A moje oczy w téj cudnéj głowy oczach utonęły, jako w głębokiém morzu zachwycenia...“ I stojąc tak przed tym obrazem, przywodził sobie na pamięć koleje życia téj męczennicy, która mogła powiedziéć o sobie: „jestem, jako najbielsza z gołębic,“ a która zginęła tak marnie; i litując się nad jéj dolą nieszczęsną, tragiczną, jak trudno znaleźć w historyi podobną, mimowoli zaczął myśléć i o swojéj dawno zarzuconéj sztuce francuskiéj, przedstawiającéj właśnie krwawe dzieje téj najbielszéj z gołębic... Po niejakim czasie, myśląc o téj sztuce, przyszedł do przekonania, że gdyby mu ją dzisiaj, po pobycie w Rzymie i po widzeniu tego portretu, na nowo opracowywać przyszło, wziąłby się do rzeczy inaczéj zupełnie, aniżeli wtedy, w Paryżu. I tu zaświtało mu w głowie, że malarz, malujący portret kobiéty tak czarującéj, mógł się z łatwością zakochać w niéj, a ona w nim. Bo czemuby nie przypuścić, że Guido Reni, kiedy malował portret córki hrabiego Cenci, był młody, piękny, namiętny. Jako taki, a przytém jako artysta, sławny w całym Rzymie, mógł wzbudzić afekt w czarującéj hrabiance... Co za tragedya! Te dwie istoty kochające się na podobieństwo Romea i Julii, pragnące żyć razem i długo, marzące o raju na ziemi, o uściskach wzajemnych, o pieszczotach i pocałunkach upajających, te dwie istoty czułe i tkliwe, wyobrazić je sobie w sytuacyi, w jakiéj znalazła się Beatrice, ojcobójczyni, skazana na śmierć przez ścięcie! Toż to motyw tragiczniejszy tysiąckroć, aniżeli historya Romea i Julii! Co za rozdziérająco smutny duet możnaby wysnuć z tego motywu!... I Słowacki, zapaliwszy się do tego nowego pomysłu, dawniejszy, pierwszy, a mniéj szczęśliwy (jak mu się zdawało) zarzucił zupełnie i postanowił do téj okropnéj tragedyi ojcobójstwa, wtrącić epizod oryginalny, mniejsza o to, że dowolny i z legendą niezgodny, epizod, który na podobieństwo złotego pęku promieni słonecznych, wpadających przez zakratowane okno do ciemnéj celi więziennéj i niosących z sobą świéże powiewy wiosny, przesycone zapachem róż i fiołków, miał nieco rozjaśnić ponure karty utworu i dodać mu poetycznego uroku [2]).

Pomysł jednakże, o ile przyszedł łatwo, o tyle dojrzewał zwol-

---

[1]) Por. Beatrix Cenci Słowackiego, akt I, sc. IX, akt II, sc. I i IV.

[2]) Por. z tém mój artykuł p. t. „Beatrix Cenci, czyli o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego,“ drukowany w Ateneum, z r. 1891, t. I, str. 231—270.

na, jakby oporem: nie przyoblekał się w konkretne kształty. Poeta nie mógł jakoś „zobaczyć“ swojéj tragedyi: nie „widział“ jéj. Może dlatego, że nie mógł się skupić dostatecznie, że zamało miał spokoju w Rzymie, że zabardzo absorbowały go stosunki towarzyskie... Dość, że do pisania, pomimo najszczerszych chęci, nie przyszło i sprawa Beatrix Cenci odłożoną została na późniéj, do lepszych czasów.

Nie miało to znaczyć, ażeby obecne czasy nie zasługiwały na miano dobrych, choć z drugiéj strony przyznać trzeba, że obok pięknych, harmonijnych akordów, jakie poeta miał do zawdzięczenia Krasińskiemu, który niestety, wraz z Danielewiczem i Sauvanem jednego z ostatnich dni maja opuścił Rzym, udając się do Kissingen, zkąd przyrzekł mu pisywać; że obok akordów tych, a po części, i głównie nawet, z powodu tych akordów właśnie, szły w parze jednocześnie i... dysonanse.

Przyczyną dysonansów tych, które poecie obrzydziły pod koniec nawet Rzym, byli... Teofilowie. Ci ostatni czuli się poprostu pokrzywdzeni i trochę obrażeni w swojéj miłości własnéj. Czemu?.. Widząc, że Julek, od chwili, kiedy się zapoznał z Krasińskim i jego towarzyszami, coraz chętniéj zaczął nie bywać w domu, przekładając widocznie nad towarzystwo swoich krewnych najbliższych „kawalerskie, biegające i cygara palące życie“ przyjaciół młodego Krasińskiego, że go ci „powoli wszystkiemi sposobami starali się przyciągnąć do swoich mieszkań (mieszkanie państwa Januszewskich tak było połączone salonem z pokoikiem Słowackiego, że nie mógł kolegów swych „bez żenowania“ ugaszczać u siebie, chociaż się wszyscy zapoznali z Teofilami) i że powracał od nich często po północy dopiéro, a niekiedy nad ranem; widząc to, nie dziw, że mieli do niego żal z tego powodu i że mu nawet po niejakim czasie zaczęli to wyraźnie okazywać. Pan Teofil, jeżeli się zdarzyło przypadkiem, że Julek powrócił do domu nie w nocy, jak zwykle, ale przed wieczorem, okazywał się „z zimną twarzą;“ często, przyszedłszy ze spaceru, a widząc Julka u siebie, nie witał się z nim wcale, tylko szedł prosto do okna i nie zaczynając pierwszy rozmowy (co znowu niecierpliwiło Juliusza) pogwizdując sobie, z rękoma w kieszeniach, z nosem spłaszczonym o szybę, wyglądał na ulicę; a że poeta również nie myślał czynić w takich razach pierwszego kroku, więc upłynęło nieraz sporo czasu, zanim się ostatecznie jeden z nich — najczęściéj Teofil — zdecydował przerwać to denerwujące milczenie. Nawiasem mówiąc, podobnego rodzaju nieme sceny zniechęciły Słowackiego do reszty od siedzenia w domu... Oczywiście, że to nie polepszało sprawy i że i tak już duszna atmosfera pomiędzy poetą a wujowstwem zgęszczała się coraz

bardziéj. Słowacki, widząc, że „stracił ich serce,“ jakkolwiek przyznawał, że było w tém niemało i jego winy, to przecież z drugiéj strony doskonale zdawał sobie sprawę, że najwięcéj do kwasów tych przyczyniła się „skłonność do złego humoru“ wuja, który, nudząc się sam z żoną, chciał (także dziwna pretensya!) żeby się wszyscy nudzili z nim razem! Gniéwało go poprostu, że się Słowacki bawił gdzieindziéj, i że znajdując nudy w domu, szukał zabawy po za domem... Hersylka, oczywiście, stała po stronie męża, więc i ona robiła Julkowi różne miny, które go doprowadzały do pasyi.

Taki stan rzeczy trwał kilka tygodni. Skończyło się na tém, że Januszewscy postanowili dnia 23 maja wyjechać z Rzymu do Neapolu, a ponieważ nie bardzo namawiali Słowackiego, ażeby jechał z nimi — skoro się nudzi w ich towarzystwie — nie pozostawało mu więc nic innego, tylko unieść się ambicyą i zostać. A nie uśmiéchało mu się to wcale. Zostawał bowiem sam jeden. Krasiński wyjeżdżał lada dzień [1]). Z nim razem jechali Sołtan, Danielelewicz, Salvanus, Rajecki. Inni także się rozjeżdżali w różne strony. Hołyński i Brzozowski wybierali się wkrótce do Neapolu. W Rzymie zostawali się tylko państwo Richthoffen, jedyny dom, w którym mógł przepędzać wieczory. Wieczory! Ale co począć z dniem całym, w tropikalne upały, jakie się teraz zaczynały nad Tybrem? W Neapolu chłodniéj od morza... Ale nie! nie pojedzie do Neapolu! zostanie w Rzymie! Jakoś to będzie! Musi być dobrze! Rano, o godzinie 7-méj będzie wychodził na spacer, aby się cokolwiek chłodem orzeźwić; potém zajdzie do kawiarni; potém, około 10-éj wróci do domu i w płóciennéj bellezie, pozapuszczawszy żaluzye, będzie marzył i... gryzł się zapewne aż do godziny 4-éj, o któréj wyjdzie na obiad, po obiedzie na spacer, a po spacerze... Po spacerze, jeżeli nie wróci do domu, ażeby spędzić wieczór samotnie, to pójdzie z wizytą do pani Richthoffen, u któréj pierwszy raz w życiu będzie się starał „być jak domowym i wyrobić sobie prawo przychodzenia nawet co dnia.“ W ten sposób, myślał sobie, upłynie mu szereg „dni samotnych,“ po których nie wiedział jeszcze, co zrobi. Swoją drogą spoglądał w tę niedaleką przyszłość bez otuchy i „z przerażeniem“ pewném. „Bo wystaw sobie droga (pisał w tem uczuciu do matki) życie takie: wymaluj myślą naokoło młodego chłopca Rzym, spiekły upałem przez dzień cały, bez drzew, bez zieloności, i pomyśl, co on będzie robił...“ Dlatego przejmował go strach mimowolny, kiedy patrzał na mieszka-

[1]) 11 czerwca był już w Kissingen. Zob. list do Gaszyńskiego z d. 12 czerwca 1836 r. „Wczoraj przybyłem do Kissingen...“

nie, w którém mu samemu zostać wypadnie; dlatego modlił się, ażeby mógł pisać przynajmniéj, ażeby imaginacya przyszła mu w pomoc i zapełniła jakiemi marzeniami te puste dni, które go czekają; ażeby się ulitowała nad nim, albowiem ona jedna, ta „szalona władza tworzenia“ jest jego aniołem-stróżem, albowiem bez niéj, doprawdy nie wié, coby począł na świecie...

Obok tego trapiło go i inne jeszcze uczucie. Oto, było mu przykro poprostu, że w ten sposób rozstaje się z Teofilami, że wyjadą rozżaleni nań, rozczarowani, i jakby zawiedzeni, że nie był takim, jakim być należało, że nie zawsze był z nimi „dobrym i szczęśliwym w zarabianiu na miłość ich i przywiązanie,“ że często, w rozdrażnieniu, dotknął które z nich boleśnie jakiém słowem niebacznėm, choć może na to nie zasłużyli... Bo z drugiéj strony trudno się im dziwić, że wymagali, aby więcéj z nimi, aniżeli z kimkolwiek innym, przestawał. Wszak, jako jego krewni najbliżsi, mieli do tego prawo; zwłaszcza, że nie widzieli go tak długo i kto wié, czy, rozjechawszy się teraz, jeszcze kiedy zobaczą. Musiało ich to martwić, że „tak blizcy siebie,“ nie mogli z nim być zawsze razem, że był jakiś przedział pomiędzy nimi a nim, przedział, do którego on postępowaniem swojém przyczynił się najbardziéj.

I robił sobie Słowacki wyrzuty z tego powodu, i, jak powiada, cierpiał na tém.

Na domiar złego, przyjechał do Rzymu dawny znajomy jego, jeszcze z Wilna, niejaki Gaj, sławny niegdyś „sowizdrzał,“ który teraz, ożeniwszy się, nietylko spoważniał odrazu, ale i... znudniał. Co gorsza, to, że sam się do tego przyznawał otwarcie, tak dalece, że przybywszy do Rzymu — z żoną — i spotkawszy tu Słowackiego, oświadczył mu na samym wstępie radość z tego spotkania, ponieważ, jak się wyrażał, będzie przynajmniéj miał włóczyć się z kimś po Rzymie „bo on lubi gadać dużo i, jak sam powiada, potrzebuje koniecznie kogoś nudzić...“ Ten Gaj doprowadzał go teraz swojem gadulstwem do rozpaczy. A nie było sposobu uwolnić się od jego towarzystwa... Żeby choć miał ładną żonę! Oprowadzanie go wtedy po wiecznėm mieście i służenie za *cicerone*, o co się sam ciągle przymawiał, miałoby wówczas jakiś romansowy urok. Niestety, pani Gajowa traciła bardzo na porównaniu z Wenus Kapitolińską i w obcowaniu z poetą nie wiele zdawała się dbać o to, ażeby być... mniéj nudną od męża. Sytuacya, w jakiéj się znalazł Słowacki, była istotnie nie do pozazdroszczenia. Oglądać w takich warunkach, a w dodatku i w upał jeszcze, osobliwości Rzymskie, (któregoś dnia zaprowadził ich na szczyt kopuły Św. Piotra) osobliwości, które się już widziało przed-

tém po kilka razy i to w przyjemniejszém towarzystwie, było równie przykrém, jak *ricordarsi del tempo felice nella miseria.*

Ale, jak mówi przysłowie, nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło. Okazało się bowiem, że i ten przyjazd Gajów miał wyjść w końcu Słowackiemu na dobre. Jakim sposobem? Bardzo prostym. Gajowie nie mieli zamiaru bawić w Rzymie dłużéj nad dwa tygodnie; potém wybiérali się do Neapolu. Woleliby, naturalnie, pojechać tam w towarzystwie, zwłaszcza dawnych znajomych... A takimi znajomymi ich — od dziecka prawie — byli właśnie Teofilowie Januszewscy. Teofil przytém bardzo się lubił z Gajem. Żony ich także nie miały nic przeciwko sobie. Czyżby więc — proponował Gaj — nie było najprzyjemniéj wybrać się do Neapolu razem? Myśl ta trafiła do przekonania Filom, tak dalece, że postanowili wyjazd swój odłożyć do 4-go czerwca, t. j. do święta Bożego Ciała, ażeby zobaczyć słynne procesye, poczém, razem z Gajostwem dopiéro puścić się na południe [1]).

W ciągu tych dwóch tygodni udało się Słowackiemu odzyskać znowu serce Teofila i Hersylki. Nie potrzebując już dzielić się pomiędzy nich a Zygmunta i jego towarzyszy, zaczął im znowu okazywać więcéj przywiązania, nie rozłączając się już z nimi, jak dawniéj, przez cały dzień, razem chodząc na spacer, razem na obiad, razem wracając do domu wieczorem, razem dotrzymując towarzystwa Gajom, do których powoli zaczął się także przekonywać... Tym sposobem, na miejsce niedawnych dysonansów, znowu nastała zgoda, harmonia, przyjaźń, tak, iż kiedy 5 czerwca miano jechać do Neapolu, nawet mowy już nie było o tém, ażeby Słowacki został w Rzymie... Pojechali wszyscy razem, a w kilka dni późniéj podążyli za nimi jeszcze Wański, Brzozowski i Hołyński, oraz Suchodolski, malarz, ze swoją piękną żoną.

II.

W Neapolu [2]) zamieszkali w hotelu Vittoria przy Via Santa Lucia da mare Nr. 28, nad samém morzem: Teofilowie w jednym, Sło-

[1]) „Otóż dla przechwalnéj uroczystości Bożego Ciała, dla zabrania się z Julkiem i G(ajami) wyjechaliśmy z Rzymu 4 t. m." (czerwca) i t. d. List Teofila Januszewskiego do pani Becu.

[2]) O podróży z Rzymu do Neapolu pisze Słowacki tyle w swojéj Podróży do Ziemi Świętéj:

wacki, obok nich, w sąsiednim pokoju. Mieszkanie to bardzo się podobało poecie, raz dla przepysznego widoku, jaki miał z okna, a powtóre, że okno to zarówno w jego, jak i Filów pokoju, wychodziło na niewielki balkonik żelazny w stylu *rococo*, balkonik „którym architekt tkanki podrzeźniał pajęcze“, a na którym siedząc, doznawałeś złudzenia, że balkon ten „drży nad falami morskiemi“. O kilkanaście bowiem kroków od hotelu za „rybackich sklepów złotym wiankiem“ po drugiéj stronie ulicy, błękitniała zatoka, ta ze wszystkich zatok na świecie najpiękniejsza, nabijana światłem słonecznêm, upstrzona białemi i bronzowemi żagielkami łodzi łacińskich, zjeżona w porcie obok latarni morskiéj smukłemi masztami okrętów, okolona amfiteatralnym półkręgiem jasnych domów nadbrzeżnych, stojących wzdłuż t. zw. *Chiai* czyli głównéj ulicy w Neapolu, uwieńczona w górze wielkim zamkiem królewskim Castello dell'Ovo i zakończona „ogromną mogiłą czarnych popiołów“, Wezuwiuszem, który, stojąc na straży z boku zatoki, plamił przeczyste szafirowe sklepienie nieba— nieba włoskiego — brunatnym pióropuszem dymu. Wszystko to, skąpane w oślepiających blaskach promieni słonecznych i wyglądające wtedy, dzięki żywości swego kolorytu, „jak bańka z mydła, wypuszczona przez jakiego trytona“, a jako pejzaż nie mające nic równego sobie, służyło za malownicze tło całemu szeregowi scen rodzajowych, ulicznych, które, wysunięte na pierwszy plan, jeżeli się je obserwowało z balkonu Słowackiego — wszystkie bowiem rozgrywały się pod oknami hotelu Vittoria — o ile z jednéj strony oszałamiały i denerwowały swoją hałaśliwością (już to wogóle hałaśliwość cechuje Neapol), o tyle z drugiéj bawiły i interesowały widza, swoją werwą, swoją rozmaitością, swoim kolorytem i tą, prawdziwie neapolitańską wesołością. Rano, ponieważ ulica Św. Łucyi jest stanowiskiem marynarzy i lazaronów (co za typy przepyszne!) widzieli ich jak śniadają, jak oblegając stragany z ostrygami, makaronem i *frutti di mare*, targują się z przekupniami, hałasując przytém, gestykulując i wrzesz-

---

Wierzcie mi jednak, że leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mię gnała z Marsylii do Rzymu; (z Genewy)
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim: zowie się Paretti. (Pieśń I, stanza 10).

O przygodach podczas podróży z Rzymu do Neapolu, o zatrzymaniu Januszewskich w karczmie Terracinie przez żandarmeryę papieską, tak, iż Gajowie ze Słowackim pojechali naprzód, oni zaś dopiéro w trzy dni po nich przybyli do Neapolu, zob. List Teofila Januszewskiego do pani Becu (t. I, str. 244).

cząc, jak gdyby się paliło; o południu wygrzewał się ten „Dyogenesów lud“ w słońcu, hołdując swéj ulubionéj zasadzie *dolce fer niente*; wieczorem zaś, nieraz do późnéj nocy, krążył koło butelki, baraszkował, grał w kości, śpiewał pieśń o świętéj Łucyi, tańczył przy harmonijce, zalecał się do pokojówek, jedném słowem, nie zapominał o horacyuszowskiém *Carpe diem*. Za nimi tymczasem, w głębi, z za ciemnéj sylwety Wezuwiusza wschodził biały księżyc, rzucając na zatokę srebrzyste pęki światła. Krater wulkanu ział krwawym słupem ognistym, który, wraz z promieniami miesiąca, także odbijał się w morzu. Na wodzie, nabijanéj pąsowemi i seledynowemi refleksami, płonęły ognie rybackie, jaskrawo oświecając trójkątne żagle łodzi. Od strony Neapolu, wzdłuż brzegu, na Chiai i Margelinie, skąd, przytłumiony oddaleniem, dochodził monotonny turkot powozów, widziałeś długi, gęsty różaniec latarni gazowych, podobnych do różowych paciorków. Nad nimi, jak słońce pośrodku gwiazd, królował rzęsisty płomień latarni morskiéj, co chwila zmieniający kolory: raz czerwony, jak rubin raz zielony, jak szmaragd, raz niebieski, jak szafir, a raz znowu, jak opal, żółty. W powietrzu, podobne do błyskawic czarnych, fruwały nietoperze, a na ziemi, „jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię“, świeciły *lucciole* [1]).

„Czarowny widok, czarowne wieczory“, mawiał o takich chwilach Słowacki do siedzącego z nim na balkonie Teofila; i nie mieli dość słów na wyrażenie zachwytu swojego dla Neapolu.

Podobne *siesty*, podobne „ciche przy białym księżycu rozmowy“ balkonowe, z cygarem w ustach i spokojem w duszy, miały zarówno w poecie jak i w jego wuju ogromnych zwolenników. Januszewskiego zachwycał „zgiełk ludzi i tęcza, w jaką się ludzkie wiązały kolory nad błękitnawém morzem“; Słowacki znów, zamyślony, patrzał na Wezuwiusz,

aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I stamtąd białe czoło obróci do świata;

i tak, na cichéj pogawędce, raz po raz głuszonéj gwarem ulicznym, dochodzącym z dołu, gwarem jednostajnym, ani na chwilę nie

---

[1]) Z opisem tym krajobrazu neapolitańskiego por. Wiersz do Teofila Januszewskiego: „Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?“ i t. d. (Pisma pośm., t. I, str. 36); Podróż do Ziemi świętéj, Pieśń I, Wyjazd z Neapolu i Pieśń VIII, *Napoli di Romania*; listy Słowackiego do matki z Neapolu (t. I, str. 238 — 252), oraz list Teofila Januszewskiego do pani Becu (w listach Słowackiego, t. I, str. 243 — 246).

ustającym, a którego jedyném urozmaiceniem były „siarczaną wodą z hukiem wystrzelone korki“, schodziły im niekiedy całe długie wieczory. Za nimi, dla braku miejsca na balkonie, siedzieli we drzwiach Gajowie, pani Hersylia, Zenon Brzozowski, Hołyński, a czasem także i państwo Suchodolscy (choć wtedy Słowackiego bardziéj aniżeli błękit zatoki Neapolitańskiéj, przyciągały do siebie magnetycznie „błękitne oczy“ pani Suchodolskiéj). Często także, jeśli pogoda sprzyjała wybierano się na spacer, na ludną promenadę, gdzie „rój mrówek lézie i rząd karet płynie“ i gdzie wmieszani w „falę ludu, co z sobą po ulicach niosła osoby, *granem* [1]) widok płacące i krzesła“, widokiem tym napawali oczy tak długo, dopóki im się to nie uprzykrzyło w końcu. Skoro się uprzykrzyło—a najwcześniéj doznawał zawsze przesytu tego Słowacki—wracano do domu, na balkon, albo decydowano się pójść do teatru, na którym bywano dosyć często, (poprostu dla zabicia czasu, bo ani opery miejscowe, ani komedye, nie stały na wysokości rzymskich chociażby, nie mówiąc już o paryskich albo drezdeńskich). Słowackiego zaś, dziwna rzecz, nawet teatr nie bawił. „Bywam tu na różnych teatrach — pisał o tém do matki — na które mię najczęściéj... ciągną moi znajomi.“ A więc trzeba go aż było wyciągać! „Opery tutejsze złe i nie bawią mię; komedya jeszcze gorsza, nudzi mnie.“ Raz tylko, powiada, zabawił się dobrze w teatrzyku St. Carlino, gdzie przedstawiają małe sztuczki ludu neapolitańskiego w dyalekcie neapolitańskim. „Z teatru tego można poznać obyczaje ludności miejscowéj“, i dlatego interesowały go przedstawienia tu dawane więcéj, aniżeli jakiekolwiek inne. Zwłaszcza, że uczęszczało na nie oprócz pospólstwa, zajmującego parter i wyższe piętra, także i dobre towarzystwo: dużo cudzoziemców zwłaszcza. „Wszystko się śmieje, skoro się kurtyna podniesie. Nie zawsze jednak można trafić na dobrą sztuczkę. Prześmiawszy się czasem nad miarę, smutniejszy jestem potém, kiedy myślę o téj biednéj mojéj... przyszłości.“

Tymczasem teraźniejszość nie przedstawiała się najgorzéj. Czas upływał dość jednostajnie wprawdzie, ale przyjemnie. Ponieważ w Neapolu — zdaniem Słowackiego — mało jest rzeczy do widzenia i wystarcza „poznać ogólnie fizyognomię téj stolicy,“ a upały coraz bardziéj dawać się zaczynały we znaki, większą część dnia przepędzano w mieszkaniu, przy zapuszczonych żaluzyach, w chłodnéj — względnie—atmosferze pokojowéj. Każdy wtedy zajmował się czém mógł...

Słowacki studyował Dantego. Właśnie udało mu się dostać niedawno nowe wydanie arcydzieła Alighierowego z komentarzami. Ko-

[1]) Ówczesna drobna moneta neapolitańska.

mentarze te, jak się o nich dowcipnie wyraził w swojéj Podróży do Ziemi Świętéj, dopatrywały się w Boskiéj Komedyi mnóstwa rzeczy, o których można być pewnym, że się nie śniło autorowi.

Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu;
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu
I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł *majuskule*, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni,
Niż Beatrice [1]).

W dni chłodniejsze robiono wycieczki w okolice: do Pompei i Herculanum, które, rzecz dziwna, najmniejszego na Słowackim nie zrobiły wrażenia [2]); na Wezuwiusz, skąd oglądano wschód słońca; do klasztoru Trenta Tre, do Sorrento, na wyspę Capri, do Portici, do grobu Wergiliusza, do słynnéj *grota di lazura*, „gdzie światłość wpada, jak z dziurki od klucza“ i do któréj przez tę właśnie dziurkę od klucza wpływa się łódką wraz z przypływem morskim...

Grób Wergiliusza był ulubionym celem samotnych spacerów Słowackiego. Chociaż nie lubił Eneidy, to jednak ten grobowiec wielkiego poety starożytnego, ocieniony konarami klasycznego lauru, miał dla niego jakiś urok poetyczny. Zachodził też tutaj—z Dantem pod pachą — bardzo często i, siadając „w cieniu wirgilowego lauru“ czytał, podziwiał piękność krajobrazu, bo znikąd Neapol i zatoka nie wyglądają tak pięknie, jak stąd, a najczęściéj ani czytał, ani patrzył przed siebie, tylko marzył...

Już to wogóle marzenia grały w jego życiu neapolitańskiém bodaj czy nie najważniejszą rolę. Często, kiedy Teofilowie prowadzili się, „jak para gołąbków“ na miasto, na muzykę, a Gajostwo szli, jak druga para gruchających gołąbków, skupować lawy, szyldkrety i obrazki, on pozostawał w domu, sam jeden, na balkonie, i „przemarzał“ cały wieczór, siedząc w krześle, „jak śpiący“, przypatrując się różom w wazonie (bo był na ganku róży wazon), paląc fajkę i, jak powiada, pławiąc różne obrazy na błękitnym dymie tytoniu. Różne obrazy! Jakie? On sam nie widział ich jasno, albowiem były to tylko senne przypomnienia, przypomnienia chwil błogich, świetlanych, a które go tu na każdym prześladowały kroku, wszędzie przywodząc

[1]) Pieśń I, strofa 22, 23.
[2]) Zob. Listy, t. I, str. 241, 242.

mu na myśl owe ciche, promienne i szczęśliwe dni genewskie, jedyne szczęśliwe, jakie miał w życiu... Gdziekolwiek poszedł, na cokolwiek patrzał, wszędzie i zawsze stawała przed nim ta przeszłość niedaleka, a niepowrotna, przeszłość, która teraz o tyle wydawała mu się piękniejszą, że ją widział przez tęczowy pryzmat wspomnienia, które jest, jak wiadomo, największym artystą i poetą, bo odrzuca wszystko, co brzydkie i przykre, a zachowuje to tylko, co piękne, wzniosłe, dobre, słowem, dodatnie. Patrząc na zatokę i Neapol, mimowoli, przymrużywszy oczy, widział owym wewnętrznym wzrokiem duszy... jezioro Genewskie, tak samo, jak ta zatoka, błękitne i modre. Wezuwiusz kazał mu myśléć o śnieżnéj kopule Mont-Blanc, którą z okien swojego mieszkania w Paquis widział tak samo po prawéj stronie, jak tutaj ten „ponury kurhan popiołów“. Księżyc, wschodzący za Wezuwiuszem, uprzytomniał mu owe ciche wieczory szwajcarskie, kiedy to, otworzywszy okno i stanąwszy w niém, wsparty o framugę, oczekiwał wschodu księżyca, mającego się wychylić niebawem z po za góry Mont-Blanc. Tylko, że tu wszystko wrzało dookoła, jak w ulu, kiedy tam niezamącona niczém panowała cisza. Ach, ta cisza! Jakże mu było tu za nią tęskno! A nie znajdował jéj nigdzie... Chyba na szczycie Wezuwiusza. Chociaż i tam nie miał spokoju, bo nawet i ta wycieczka w nocy, z pochodniami, po drodze pełnéj lawy, tyle dla niego tylko posiadała dzisiaj uroku, o ile mu przypominała ów „wojaż“ po Alpach z Wodzińskimi... Na połowie drogi, kiedy się zatrzymali wreszcie przed małym domkiem pustelnika, gdzie mieli przenocować (a było ich czterech, oprócz przewodników: Teofil, Gaj, Wański i on), nie dawały mu spać wspomnienia owego noclegu z całą rodziną Wodzińskich, i z Maryą! w klasztorze na górze Św. Bernarda... Pustelnik, częstujący ich chlebem, sérem i winem *Lacrima Christi*, zdawał mu się miéć pewne podobieństwo z owymi zakonnikami szwajcarskimi, tak uprzejmymi dla dam i tak swobodnymi w obejściu z niemi... Kiedy im podano książkę podróżnych, nad którą, przeglądając różne podpisy, większą część nocy spędził bezsennie, przypomniało mu się, że i tam na górze Św. Bernarda, przeglądał taką samą książkę z podpisami podróżnych, tylko że tamtą przeglądał razem z Maryą... Późniéj, kiedy o świcie, zdrzémnąwszy się trochę, puścił się z towarzyszami w dalszą drogę, na szczyt krateru, ażeby stamtąd zobaczyć wschód słońca, myślał przez cały czas o tém, jak się rok temu w podobny sposób — tylko że nie po osypującym się popiele — wdzierał na górę Righi nad jeziorem Czterech kantonów. Skoro stanęli na szczycie, nad ogromną przepaścią krateru, gdzie ciepłe powietrze wydobywa się z ziemi, jak z pieca, a stąpa się po gorących jeszcze żużlach, czerwonych jak węgle albo złotym kolorem siarki umalowa-

nych, i kiedy nad tym prawdziwie piekielnym obrazem wzeszło wspaniałe słońce, on, lubo oczarowany pięknością tego widoku, przypatrywał mu się... roztargniony, więcéj bowiem, aniżeli o tym, myślał o innym wschodzie słońca, na Rhigi Kulm i na górze Faulhorn, i mimowoli zadawał sobie pytanie: czy go téż ta gwiazda, tak często zastająca go na szczytach gór i tylokrotnie witająca pierwszego na ziemi, czy go ta gwiazda już zna trochę z twarzy? A obok takich pytań, przyzna każdy, iż dziwacznych, przychodziły mu do głowy i różne inne jeszcze, niemniéj dziwaczne myśli. Oto naprzykład; „czy nie byłoby cudem wielkim przyrodzenia, gdyby... trumny złych ludzi zakopane w ziemi, przerzynały się przez nią, jak strumienie, i padały podziemnemi drogami do żaru wulkanicznego [1]). Gdyby się tak działo od

---

[1]) Zob. Listy, t. I, str. 242 (list z Neapolu, z 20 czerwca 1836 r.). Ten obraz trumien, oglądanych ze szczytu wysokiéj góry, znalazł odbicie swoje w strofie XII poematu W Szwajcaryi, w owém przeczuciu nieszczęścia w chwili największego szczęścia.

I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą,
Szalet się oku wydawał jak trumna,
Maleńki, cichy i t. d.

Nie od rzeczy téż, sądzę, będzie i na to zwrócić uwagę, iż przeczucie to zaczyna bohatéra W Szwajcaryi dręczyć w chwili, kiedy z ukochaną szedł na górę do staruszka celi (jak Romeo z Julią do celi Ojca Laurentego), ażeby ich rozgrzeszył i kochać ośmielił, ręce im stułą związawszy. Otóż bardzo być może, że obraz ten przyszedł poecie na myśl tutaj, podczas owéj wycieczki na Wezuwiusz, podczas owego noclegu w domku pustelnika. Pustelnik ten przypomniał Słowackiemu Ojca Laurentego, i Romea i Julię, i tak powstała scena ślubu w poemacie W Szwajcaryi, scena napisana późniéj (we Florencyi), a nie ulega żadnéj wątpliwości, że napisana pod wpływem tragedyi Szekspira o nieszczęśliwych kochankach z Werony.

Szedłem posępny i drżący na góry...
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury,
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany
I dwa ogromne na straży brytany,
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustelnik stary, księgi w pyle:
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.

Jestem prawie pewny, że pisząc to, wyobrażał sobie Słowacki ów mały domek pustelnika na Wezuwiuszu. Ażeby być mojego zdania, dość przeczytać opis wycieczki na Wezuwiusz w liście Słowackiego do matki na str. 242 tomu pierwszego Listów.

stworzenia świata, jużby się ludzie z tém tak oswoili, jak z płynieniem rzek, z kwitnieniem drzew i z lataniem ptaków.“ Następnie, kiedy świeżym porankiem poczęli schodzić na dół, i kiedy się powtórnie zatrzymali przed celą śpiącego jeszcze pustelnika, cela ta, ocieniona lipami wydała mu się tak piękną i cichą, że sam zamieszkałby w niéj chętnie. Bo właściwie, myślał sobie, siedząc niemy i zamyślony na ławce kamiennéj przed domkiem i patrząc na morze i Neapol (co mu znowu przypominało widok z góry Rhigi na jezioro Czterech kantonów i Lucernę, na które patrzał razem z całą rodziną Wodzińskich), bo właściwie, to „zamiast domku małego, gdzie mieszka pustelnik, obdzierający podróżnych, ludzie powinniby zbudować klasztor dla ludzi smutnych, jak ja... Niechby stąd drugi wulkan modlitw leciał pod błękitne niebo...“ Możeby też wówczas ziściło się to, o czém raz rozmawiał w Genewie z panną Wodzińską, mianowicie: że przyszłaby tu kiedyś odbyć spowiedź przed pewnym mnichem-kartuzem, którymby był nie kto inny, tylko on... Jakże im dobrze było wtedy, kiedy takie prowadzili rozmowy, kiedy on, tak zawsze lękający się o tę przyszłość, dowodził jéj, że nie jemu sądzone takiém „kartuzowém wspomnieniem zdobyć liliowéj duszy dla aniołów“, ponieważ gotów je bardzo łatwo wybić pannie z romansowéj główki... jaki pan podkomorzyc w krainie Lachów, dobrze opatrzony w szlachetną układność, talenta, wąsy, podkówki i ostrogi... [1]). Kto wié, czy przewidywania jego nie sprawdzą się prędzéj, aniżeli przypuszczali wtedy oboje? Kto wié? Jakieś fatalne pod tym względem przeczucia nie dawały mu już spokoju oddawna. Nikt zaś, tyle co on, nie miał prawa wierzyć w przeczucia, zwłaszcza własne. Tyle razy miał się sposobność przekonać o ich prawdomówności, szczególniéj, kiedy zapowiadały jakieś nieszczęście.

A nieszczęściem byłaby dla niego dziś jakakolwiek niepomyślna wiadomość o Maryi, któréj czar trwał nad nim ciągle i któréj widmo senne, jak cień, szło za nim, morzem i lądem, na szczyty wulkanów i szczyty wież kościelnych, nocą i rankiem, o każdéj dnia godzinie. Ta myśl szalona, która mu niegdyś, w chwili uniesienia, postała w głowie, myśl, że mógłby się z Maryą połączyć dozgonnemi węzły, prześladowała go sobą aż dotąd, owładnęła nim zaś tak silnie, że nie umiał się z nią ukryć nawet przed matką, do któréj pisząc teraz z Neapolu, przyznał się otwarcie, że byłoby mu tutaj zupełnie dobrze, gdyby nie uczuwał wciąż braku jakiéj... podpórki. „Podpórką nazywa się u mnie... trudno mi to wytłómaczyć: jestto coś, co mię ko-

---

[1]) Zob. Listy, t. I, str. 216 (Genewa, 30 czerwca 1835).

cha, coś, co mię broni od myśli, że jestem samotny na świecie, jakaś postać, co mi patrzy ze łzami w myślące czoło i oczy. Kiedy patrzę na Wezuwiusz i na białe domki u stóp jego nad morzem, myślę, czy nie możnaby w jednym z tych domków szczęśliwe pędzić życie? Trzebaby tylko... z trzykroć majątku. Wtenczas ty, moja droga, miałabyś mieszkanie z ogródkiem pełnym róż, tulipanów i anemonów, ja miałbym także cichą i żaluzyami zielonemi zasłonioną pracownię, łódkę z białym żagielkiem na morzu, konia, a potém może miłą i dobrą żonę, różowe dzieci, a potém... niechby choć popiół przysypał nasze grobowce!“ Ten obraz i to pożądanie szczęścia rodzinnego tak dalece zaprzątały mu umysł, że nawet podczas swych rozmów wieczornych na balkonie z Teofilami, mówił z nimi o tém otwarcie... [1]). A gdy był sam, kiedy np. wynająwszy łódkę, pływał nią po zatoce — co mu znowu przypominało owe samotne przejażdżki czółnem w dni jesienne po jeziorze Genewskiém — i kiedy, oddaliwszy się znacznie od brzegu, tak, iż wszystkie domy Neapolu robiły z daleka wrażenie piany morskiéj, leżącéj na brzegu, zawsze roiło mu się jedno, mianowicie: żeby z téj białéj piany „wyszła jaka idealna Wenus i przejrzała się w tém wielkiém źwierciedle błękitu.“ Ale, niestety, wszystko to były tylko marzenia, o których urzeczywistnieniu nawet marzyć nie było mu wolno. Nie dziw więc, że wobec tego widziano go smutnym najczęściéj i apatycznym, i na mnóstwo rzeczy obojętnym, które zdawało się, że powinny go sobą interesować. Oto, niedaleko szukając, kiedy byli w Pompei i Herculanum, nad których pięknością unosili się wszyscy (a między innymi i szambelan Skibicki, który także po niejakim czasie przyjechał z Rzymu do Neapolu, i który wraz z żoną również przyłączył się do towarzystwa Filów), on chodził po tych, przed wiekami brukowanych uliczkach, pomiędzy temi grobowcami z dwóch stron i temi domkami bez dachów i sufitów, jak po spalonéj wiosce, z cygarem w ustach, niezdolny do zachwytów, a skory do złośliwych uwag i obserwacyi. Ściany domów ze szczątkami malowideł czerwonych wydawały mu się podobne do... starych, uróżowanych kobiét; o świątyni Izydy, słynnéj ze swych wyroczni, wyraził się, że ledwieby na małych dzieciach uczyniła wrażenie stra-

---

[1]) Zob. List z Florencyi z d. 2 stycznia 1838 r. (t. II, str. 24). „Dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię ciągle: chciałbym się kochać, ale nie wiem w kim. Filowie już ci musieli powiedziéć, droga moja, że jest to jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia... Gadaliśmy o tém z nimi nieraz, siedząc na balkonie domu św. Łucyi w Neapolu, czekając, aby się księżyc pokazał nad Wezuwiuszem i rzucił nam kolumnę światła przez zatokę morską...“

chu; małym cyrkiem teatralnym, w całości odkopanym, rozczarował się także, nie znalazł w nim bowiem, czego się spodziéwał: przy jego kolumnach nie stoją zaschłe trupy aktorów, jak mu opowiadano, ani po schodach siedzą spaleni na węgiel słuchacze. Słynny dom poety, położony tuż obok... domu rozpusty, gdzie mu usłużny *cicerone*, zaprowadziwszy go do najtajniejszych zakamarków, pokazywał różne bezwstydne i rozwiązłe obrazki, rozbudził w nim tylko uczucie obrzydzenia: słowem, innemi na wszystko patrzał oczyma, aniżeli myślał, że patrzéć będzie, kiedy opuszczał Genewę. Dziwna rzecz! Skoro wyjeżdżał ze Szwajcaryi, wyjeżdżał z takiém lekkiém sercem, z taką niekłamaną radością w duszy, że wyjeżdża, że pali za sobą wszystkie mosty, łączące go z Paquis i... z Eglantyną, któréj miłość już go męczyła tylko; a teraz, kiedy otrzymał list od niéj (a pisywała często) uważał sobie dzień taki za szczęśliwy. Wspomnienie Genewy i cichego domku w Paquis szczególnego zaczęło dla niego nabierać obecnie uroku: poprostu tęsknił za niém i dałby wiele, żeby znów mógł powrócić do tego anhelicznego życia, które tak kojąco (jak mu się zdawało dzisiaj) oddziaływało na jego smutną duszę. „Myśl moja, pisał o tém swojém uczuciu do matki, która przez trzyletnią spokojność przywykła do wewnętrznego i ciągłego życia, tutaj gniewa się na mnie, że ją widokiem różnokolorowym ciągle zatrudniam i męczę.“ Dlatego, pomimo iż zachwycony był Neapolem i pomimo, że mu dobrze tu było z Teofilami, postanowił rozstać się z nimi na jaki miesiąc i wyjechać na cichsze mieszkanie do Sorrento. Potrzebował przeżyć choć kilka tygodni między drzewami, daleki od tego zgiełku brukowego, od tego hałasu, od tego nieustającego turkotu powozów, od tego ciągłego ruchu i rozgardyaszu, który o ile z początku bawi, o tyle w końcu nietylko nudzić, ale i denerwować zaczyna [1]).

Jakoż dnia 22 czerwca, w towarzystwie Teofilów, którzy nazajutrz powrócili do Neapolu, ażeby tam zabawić przez lipiec i sierpień aż do pierwszych dni września, oraz w towarzystwie Suchodolskich, którzy zamierzali dłuższy czas przemieszkać wśród ceglastych skał Sorrento, ponieważ mąż pięknéj pani Suchodolskiéj chciał wykończyć kilka pejzaży; wybrał się Słowacki do Sorrento, pożegnawszy ulicę Św. Łucyi i swój balkonik na cały miesiąc przynajmniéj. O wcześniejszym powrocie nawet myśléć nie chciał, tembardziéj, iż mu Teofilowie przyrzekli odwiedzać go tam od czasu do czasu.

---

[1]) „...Ten krzyk ciągły, ruch i turkot powozów męczy i nudzi, a Julek jedynie dlatego uciekł z Neapolu, aby hałasu neapolitańskiego nie słyszéć.“ (List Teofila Januszewskiego do pani Becu).

I dobrze mu było w tém ustroniu. Życie wiejskie, jakie tu pędził, przypominało mu owe dni samotne, przepędzone w Veytoux nad Lemanem i to podobieństwo „dwóch chwil błędnego życia“ miało dla niego dziwny powab. Wynalazł sobie niewielki pokoik, z którego nie widziałeś nic prócz gaju cytrynowego i morza. Za morzem we mgle oddalenia błękitniał Wezuwiusz. Gospodyni, od któréj mieszkanko to wynajmował, młoda i piękna Włoszka, powzięła do niego wkrótce wielką sympatyę, która się z początku przejawiać zaczęła.. romantycznemi serenadami na gitarze. Podobało się to Słowackiemu, który, jak wiadomo, lubił kruszyć serca niewieście i patrzéć jak się miłosnym zapalają ogniem, chętnie więc, „oparty na murze, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich“, słuchał téj cichéj, melancholijnéj muzyki, wiedział bowiem, co przez nią należy rozumiéć i czego są te serenady dowodem... I tak się zaczął prędko romans klecić, romans, który, kto wié, czy nie natchnął przyszłemu autorowi W Szwajcaryi owéj czarownéj sceny w grocie lodowéj podczas burzy... W każdym razie, czy była „grota posępna i ciemna“, czy była „trwoga w ciemności tajemna,“ a przytém „razem niepamięć jakaś boskiéj kary“ i czy ich tam istotnie, jak Don Juana i Haidę, dzień szary „zastał z twarzą ognistą przy twarzy,“ co wszystko pod lazurowém niebem Italii nie należy do nieprawdopodobieństw (przykładem Goethe i jego romans z bohatérką Elegii Rzymskich), jedna rzecz nie ulega wątpliwości, że były w romansie tym „księżyco-wzdychania“; że „młoda gospodyni“ Słowackiego nietylko mu dawała serenady, ale go uczyła także czytać po włosku, co jest zawsze z niemałém dla kobiéty połączone niebezpieczeństwem, jak nas o tém naucza smutna historya Franczeski di Rimini; że oprócz tego starała się wmówić weń, iż lepszą od Ojcze-nasz modlitwą są wieczorne spacery pod rękę, przy świetle księżyca, etc. [1]). Jak się skończyła ta idylla? Prawdopodobnie, jak wszystkie tego rodzaju sielanki: rozłączeniem i... zapomnieniem.

Nieinaczéj téż, zdaje się, zakończyła się znajomość poety z piękną panią Suchodolską, z którą także lubił (to znaczy, że i ona lubiła z nim) podczas, kiedy mąż jéj malował pejzaże, spacerować nad brzegiem morza, a któréj oczy błękitne w rok już po wyjeździe z Sorrento „bardzo słabo“ pamiętał... [2]).

---

[1]) Pieśń I Podróży do Ziemi świętéj (Wyjazd z Neapolu).

[2]) Zob. List z Florencyi z d. 21 sierpnia 1837 r. (t. I, str. 10). „Malarz (Suchodolski) z żoną wyjechali już przed moim tu (t. z. do Florencyi) przyjazdem do kraju i już są podobno na miejscu. Żona p. malarza zapewne już zapomniała

Nie tak się rzecz miała z czarnemi oczyma panny Wodzińskiéj, o których nie mógł zapomniéć i których spojrzenie ścigać go nie przestało i tu pomiędzy skałami w Sorrento. Jakże często myślał o nich, chodząc o zachodzie słońca nad morzem i słuchając powiewu wiatru, który wiejąc przez cały dzień od morza na ziemię, w godzinie zachodu obracał się nagle i, unosząc z sobą zapach drzew cytrynowych, gonił za słońcem, na bezmiary wód!...

Pozatém upływał mu czas na czytaniu Szekspira, na przechadzkach po górach, na których spotykał zawsze mnóstwo „oryginalnych figór Niemców i Anglików, którzy, przyrośli na grzbietach osłów, jak Centaury mitologiczne, zachwycali się widokami Sorrento;“ rano chodził kąpać się w morzu, w ciągu dnia zaś, kiedy słońce na dworze dogrzewało zbyt silnie, zamykał się w swoim pokoiku i próbował pisać trochę... Jakoż postąpił nieco w swoim Wacławie[1]), choć nie wiele, upał bowiem działał mu paraliżująco na imaginacyę. To téż nie przymuszał się bardzo do pracy, wiedząc, że to, co w takich warunkach powstanie, późniéj go nie zadowolni, i wolał marzyć godzinami całemi i myśléć, a niekiedy, jeżeli grające w pobliskim kościołku organy dochodziły do jego cichéj celi, modlić się...

W ten sposób upłynął mu w Sorrento cały miesiąc. Zabawiłby tu może dłużéj jeszcze — do czego pewno zachęcano go bardzo podczas owych lepszych aniżeli *Ojcze nasz* księżyco-wzdychań—ale zbliżał się dzień wyjazdu Teofilów, wypadało więc ostatnie parę tygodni spędzić razem z nimi. Kto wié, kiedy zobaczą się znowu?... W tym celu powrócił w końcu lipca do Neapolu („trochę smutniejszy niż przedtém,“ jak powiada w liście do matki) zamieszkał w tym samym pokoiku, co dawniéj, z tym samym balkonem, i odtąd nie rozłączał się z wujowstwem ani na chwilę prawie. Odprowadziłby ich chętnie aż do Florencyi, gdzie i tak miał zamiar udać się na zimę, ale stawał temu w téj chwili na przeszkodzie brak funduszów, argument, wobec którego umilknąć musiały wszelkie zachcenia...

Ta myśl o mającém wkrótce nastąpić rozstaniu z Januszewskimi, którzy, szczęśliwi! wracali do kraju, w strony rodzinne, ażeby

---

o naszych spacerach nad brzegiem morza w Sorrento. Ja także już bardzo słabo jéj błękitne oczy pamiętam...“

[1]) Zob. książki Ant. Małeckiego o J. Słowackim t. II, str. 68, 69, 70. Nie zupełnie podzielam wyrażone tam zdanie prof. M., uważam jednak, że za częściową jego słusznością przemawia niejedno. O ile zaś pogląd mój na czas powstania Wacława różni się od opinii prof. M. w téj mierze, o tém przekonać się najłatwiéj, porównywując nasze prace ze sobą... Obaj zresztą, na poparcie naszych hypotez, pozytywnych dowodów nie możemy przedstawić żadnych.

tam pędzić znów życie spokojne pomiędzy swoimi, kiedy on sam jeden zawsze, nad morzem albo gdzieindziéj w jakiéj obcéj miejscowości przebyć musi tak długie jeszcze lata, w wiecznéj niespokojności o matkę, w wiecznéj niepewności o przyszłość, myśl ta szczerym przejmowała go smutkiem i sam już nie wiedział, jak powiada, czego żądać na świecie, na tym tu biédnym świecie, jak mówi Kochanowski, gdzie wszystko się kończy i wszystko się krzyżuje, jak te łódki, które widział na morzu, płynące różnemi drogami... Pod wpływem tego uczucia lgnął teraz do Teofilów więcéj nik kiedykolwiek. Rozmowy ich mimowolnie stawały się dłuższemi, ponieważ rozmawiano o domu, o najbliższych. I zdarzało się, że nieraz i północ zastawała ich tak gwarzących na balkonie. Teofilowie widząc, że Julek się do nich nawrócił ostatecznie, że żal jego na myśl o rozstaniu się z nimi istotnie płynie z serca, że mu rzeczywiście bliskość pożegnania boleśnie uczuwać się daje, powzięli dla niego także więcéj nierównie sympatyi, aniżeli z początku; Teofil zaniechał owego „mentorskiego tonu,“ który lubił przybierać dawniéj; Hersylka nabrała przekonania, że jednak z tego Julka poczciwy chłopiec, o czém już wątpiła czasami, zwłaszcza w Rzymie, kiedy go tak z równowagi wytrącało „słuchanie wujowskich nauk;“ jedném słowem, o ile w początkach nie brak było w stosunkach pomiędzy nimi przykrych niekiedy dysonansów, o tyle teraz, kiedy się przychodziło rozjeżdżać, dziwnie harmonizowali ze sobą. Oni mu opowiadali o matce, o dziadku, o życiu jéj, jakie prowadzi w Krzemieńcu, o jéj stosunkach towarzystkich, o różnych osobach, które bywają u niéj; on zaś, milczący i posępny, słuchał tego wszystkiego ze spuszczoną głową, „jak człowiek, który stara się każde słowo głęboko wryć w pamięć, bo wié, że ma znów zostać na długo sam ze wspomnieniami.“ Często, kiedy wujostwo, znużeni w końcu, udali się na spoczynek do siebie, on, podniecony rozmową z nimi, nie czując najmniejszéj potrzeby snu, zamiast pójść za ich przykładem, przesiadywał jeszcze parę godzin na balkonie, patrząc, zamyślony, przed siebie i marząc... O czém? Najwięcéj o owych latach spędzonych w Genewie, które mu regularnie co dwa tygodnie przypominały listy Eglantyny, i o owych dniach szczęścia, które miał do zawdzięczenia pannie Wodzińskiéj... Któréjś nocy, kiedy tak siedział pogrążony w medytacyach na ganku, doszły go najprzód od strony morza wesołe dźwięki muzyki, poczém ujrzał na wodzie wielki, obwieszony mnóstwem różnokolorowych lampionów „bat“ pełny ludzi, głośny od rozmów, śmiechów, śpiewów, a co chwila oblany światłością ogni bengalskich, czerwonych lub zielonych. Było to tawarzystwo, zaproszone na wieczór do jednego z bogatych cudzoziemców, który

taką przejażdżkę gościom swoim urządził po kolacyi. Za statkiem tym, rzęsiście oświetlonym, płynęło kilka ciemnych łodzi, na których ulokowała się reszta towarzystwa... najszczęśliwsi! „Bo ileż to ściśnień dłoni (pomyślał sobie poeta, kiedy cały ten korowód weselny przepływał pod jego oknem) ile rumieńców noc pokrywa, a ten księżyc niepełny, wschodzący nad Wezuwiuszem, nie zdradza światłem bladem ukradzionego szczęścia...“ I przypomniała mu się owa wycieczka z Wodzińskimi na drugi brzeg Lemanu, na obiad wiejski, i ów powrót ztamtąd wieczorem, czółnami, przy boku panny Maryi... [1]). Jakże się czuł wtedy szczęśliwy!... I jakże różną wydała mu się teraz ta przeszłość w porównaniu z chwilą obecną. Dzisiaj wolno mu co najwyżéj patrzéć z daleka, z balkonu — jak z loży teatralnéj — jak drudzy się bawią, jak korzystając z ciemności zamieniają wymowne uściśnienia dłoni, których nikt nie widzi i których się on jeden tylko domyśla, kiedy wówczas on sam był aktorem i sam pił z téj upajającéj krynicy „ukradzionego szczęścia!“ *Tempora mutantur...*

A jednak, gdyby mniéj pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcéj rozsądku,

to by mu może dobrze było w Neapolu i nie omdlewałby tak „z romantycznych cierpień,“ jak omdlewał, aniby był tak „smutny życia nicością,“ która mu wszędzie pokazywała pustynie; mówiąc: „tam ci lepiéj będzie.“ Wówczas téż, kto wié, czyby mu tak trafiały do przekonania pokusy Zenona Brzozowskiego i Aleksandra Hołyńskiego, którzy, wybierając się w tych czasach w podróż do Ziemi Świętéj przez Grecyę i Egipt, namawiali go gwałtem, ażeby jechał razem z nimi. To go rozerwie — mówili — to mu da możność uciec nietylko przed mrozami grudnia, ale i przed tą „ścigającą myślą,“ od któréj się, jak powiada, uwolnić nie może [2]); oni zaś ze swéj strony zrobią wszystko, co będzie w ich mocy, ażeby mu możność zdecydowania się ułatwić. Nie ma odpowiednich na przedsięwzięcie takie funduszów? To jeszcze szkopuł najmniejszy: jeżeli się tylko zgodzi na przyjęcie pożyczki, to Zenon Brzozowski służyć mu nią będzie natychmiast. Tysiąc rubli może mu zakredytować choćby zaraz... Tak, — odpowiadał im na to Słowacki — pożyczyć łatwo, ale oddać? Nie, nie, stanowczo

---

[1]) Zob. List z Genewy z d. 30 czerwca 1835, (t. I, str. 214).

[2]) Zob. Wiersz do T. Januszewskiego:

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
P r z e d ś c i g a j ą c ą m y ś l ą i mrozami grudnia.

nie pojedzie. Niech jadą sami, a jego nie kuszą tylko niepotrzebnie! On nie może sobie pozwalać na takie zbytkowne wojaże! Przyznaje, że podróż taką, zwłaszcza w tak miłém jak ich towarzystwie, odbyłby bardzo chętnie. Nieraz nawet w snach dziecinnych marzył o niéj razem z Ludwikiem Spitznaglem [1]) i Olesiem Chodźką, ale to jeszcze nie powód, ażeby marzenie to miało się zaraz przeobrazić w rzeczywistość. Z tylu marzeń już zrezygnował w życiu, że zrezygnowanie z tego, będzie tylko jedném więcéj... Projekt mimo to uśmiéchał mu się bardzo i dałby wiele, ażeby módz z propozycyi Brzozowskiego i Hołyńskiego skorzystać. Filowie, kiedy im o tych planach powiedział, odradzali mu je stanowczo. Uznawał w zupełności całą słuszność ich rozumowania, a jednak... chętnie podawał ucho namowom Brzozowskiego [2]).

Na takiém wahaniu się zeszło mu trzy tygodnie. Nadchodził koniec sierpnia. Termin wyjazdu zbliżał się z dniem każdym. Stało się nawet tak, że Hołyński pojechał naprzód do Aleksandryi, gdzie się miał spotkać z bratem swoim, Stefanem, i dokąd po upływie jakich dziesięciu dni miał wypłynąć z Neapolu Brzozowski. Czy wypłynie sam, czy też w towarzystwie Słowackiego, o tém jeszcze żaden z nich nic dziś pewnego nie wiedział. Nareszcie przyszedł czas i na Brzowskiego. Ten, będąc już gotowym do drogi, nie omieszkał raz jeszcze powtórzyć swéj propozycyi Słowackiemu. Słowacki nie wiedział: jechać czy nie jechać? Wobec odradzań Teofilów, namów i przyrzekań Brzozowskiego i własnéj niemożności zdecydowania się, postanowił — w ostatniéj prawie chwili — zdać wszystko na los szczęścia, podobnie, jak na decyzyę Szczęsnego Kossakowskiego, czy trzymać z ojcem czy nie, miało wpłynąć *tak* albo *nie* oberwanéj przez Amelię margerytki. W tym celu, ponieważ wpadła mu właśnie pod rękę leżąca na stole Biblia, otworzył ją na chybi trafi, z mocném postanowieniem, że zrobi, jak mu ta książka poradzi, i o dziwo! pierwsze zdanie, na którém oczy jego spoczęły, było „Kościoły azyjskie pozdrawiają was.“ Wobec tego nie namyślał się już ani chwili dłużéj, tylko zaczął pakować rzeczy.

---

[1]) Zob. Roczniki Tow. hist. lit. w Paryżu w artykule Aleksandra Chodźki z powodu książki prof. Małeckiego o Słowackim.

[2]) Jakie wyjazd ten Julka i jego rozstanie z wujowstwem zrobiło na nich wrażenie, o tém informują nas bardzo dokładnie dwa wyjątki z listów Teofila i Hersylki do pani Becu, nie zamieszczone w zbiorowém wydaniu korespondencyi poety, a ogłoszone poraz pierwszy (z autografu) przez p. Biegeleisena w Bibl. Warsz. (1891, IV, 340) w jego pracy p. t. „Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód.“

Dla wyobraźni jego poetyckiéj był wyjazd ten pod każdym względem nadzwyczaj pożądany: najlepszy dowód, że od pierwszéj chwili, kiedy był pewny, że jedzie, poczęło mu się palić w głowie od różnego rodzaju rymów, obrazów; z góry już widział siebie na ruinach starożytnéj Hellady, na piramidach, u grobu Chrystusowego, na równinach Maratonu, Salaminy i Troi, gdzie walczyli Milcyades i Temistokles, gdzie Hektor żegnał się z Andromaką, a Achilles zgon opłakiwał Patrokla; a że nie mógł o tém myśléć bez wzruszenia, bez uczucia radości w piersiach, więc nie upłynęło dwadzieścia cztery godziny, kiedy mu — nad grobem Wergiliusza — przyszedł pomysł... pisania wierszem dziennika z téj podróży (Lamartine opisał swoje przygody z podróży na Wschód także w formie dziennika) dziennika, [1]) w którymby się znalazły opowiedziane wszystkie, jakich dozna, przygody, opisy natury, miejsc, przepraw morzem i lądem, na okręcie i na wielbłądzie, sylwetki spotykanych ludzi etc., a wszystko kreślone bezpośrednio po odebraniu wrażenia, pisane zaś lekko, zgrabnie, stylem brylantowym, fajerwerkowym, aryostycznie, o ile możności stylem byronowskiego Don Juana, z tą różnicą, żeby obok tego stylu *à la* Don Juan znalazło się dosyć miejsca i na melancholijny styl Childe Harolda. Pomysł ten wydał się poecie tak dalece szczęśliwym, że nie tracąc czasu i korzystając z samotności, która była w téj chwili jedyną jego towarzyszką przy mogile śpiewaka Eneidy, wyjął z kieszeni notes i ołówek, i zaczął kreślić początek poematu, początek, który tak samo, jak Childe Harold Byrona, miał się zaczynać od klasycznéj inwokacyi do Muzy. Byron zaczął swoje wędrówki od:

O Muzo, którą Grecy wywodzili z nieba i t. d.

Czemużby więc jemu nie wolno było, myślał sobie, zacząć swojéj peregrynacyi od takiego np. żartobliwego wezwania:

Muzo, mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam Ciebie krótko,
Sentymentalna; bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia [2]) i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powié drugie canto.

---

[1]) Dwa opisy podróży do Ziemi Świętéj, sławne podówczas: Lamartine'a *Voyage en Orient* i Chateaubrianda *Itinéraire de Paris à Jerusalem* były znane Słowackiemu.

[2]) Cała pieśń pierwsza podróży do Ziemi Świętéj musiała być pisaną jeszcze przed wyjazdem z Neapolu. Dowodzą tego w sposób najzupełniéj przekonywający wszystkie *futura*, ile razy poeta mówi o nastąpić dopiéro mającym wyjeździe

Strof w rodzaju téj napisało mu się odrazu kilkanaście. Tymczasem słońce poczęło się zwolna chylić ku zachodowi, zatoka z błękitnéj stała się fioletową; Neapol cały zarumienił się „skrawymi słońca zachodniego łuny;“ w szybach okien zamku królewskiego nad miastem zdawały się płonąć dziesiątki krwawych słońc; w powietrzu zawisła mgła złota, która owiewając cały krajobraz, czyniła z niego jakgdyby fantastyczne widzenie jakiejś rajskiéj, nieziemskiéj krainy... Zachwycony pięknością tego widoku, postanowił go zaraz Słowacki odmalować z natury i przenieść do swego dziennika. Jakoż napisał, co następuje:

O Neapolu! ty, niepożegnany,
Czekasz, aż Ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza, zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O Neapolu! gdzie jest twoja dusza?
Bo duszą twoją nie jest ruch i życie!...
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza.
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą,
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą,
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

Tylko po Chiai i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rzuca i t. d.

Tymczasem złocisty krąg słońca skrył się za morzem; od zachodu powiał chłodny wietrzyk; w powietrzu zamigotały nietoperze; zatoka poczerniała; krajobraz poszarzał; płomieniste słońca w oknach zamku królewskiego pogasły; na Corso poczęto zapalać latarnie; na

---

z Neapolu („kończy się sierpień, bo z końcem sierpnia... puszczam się w drogę.“ „jutro kurjerem wyjeżdżam do Lecce, Jutro więc zacznę śpiéwać Odysseę“) i wszystkie ustępy o Neapolu, pisane najwyraźniéj pod świeżém wrażeniem, na miejscu („z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową.“ „Wolę piekło Danta, właśnie je czytam podług nowych kluczy etc.).“

niebie błysnęła jedna, druga gwiazda; aż w końcu, z poza ogromnéj mogiły czarnych popiołów Wezuwiusza, ukazała się srebrna tarcza miesiąca. Pod wrażeniem téj chwili napisał Słowacki następujące zwrotki:

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do sterczącéj skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole.

Zczerniał przy fali migającéj złocie;
A gdy na niebie szafirowém ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okien zamku błysła gwiazda jedna,
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd... u Karmelitów.

O gladyatory, wydarci ludowi
W godzinę zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie
Z oliwy bladéj gałązki rwać będę,
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy:
Kości bez czasek i trupy bez głowy.

Tymczasem, pisał, żegnam was.... „Niech śmierć będzie z wami!

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą etc.

Ale mrok wieczorny gęstniał coraz bardziéj i trzeba było, chcąc nie chcąc, wracać do domu.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską...

Te i tym podobne wiersze snuły się Słowackiému po głowie, kiedy zaczął schodzić z góry. Myśl bowiem, raz nabrawszy rozpędu,

biegła wciąż niewstrzymana naléj, coraz nowemi niepokojąc poetę rymami, podsuwając tak ekscentryczne np. a efektowne i przez nikogo dotychczas nie użyte, jak: Szekspir i expir, *frutti di mare* i symarę, laur i Giaur, scenarz i Ojcze-nasz i t. p. [1]).

W kilka dni późniéj była już pierwsza pieśń poematu prawie skończona, pisaniem jéj zaś, a wreszcie i różnemi innemi sprawami tak był poeta zajęty, że dopiéro na kilka godzin przed wyjazdem,

---

[1]) Do tego (zbyt powieściowego może) opisu owego wieczoru w którym powstała pierwsza pieśń Podróży do Ziemi Świętéj, upoważniają notatki Słowackiego i szkice, pisane ołówkiem w osobnym kajeciku, a pisane wyraźnie pod wrażeniem, na miejscu. Tak naprzykład napisany jest ów wiersz nad grobem Chrystusa, zaczynający się od słów: „I porzuciwszy drogę światowych omamień...“ Jest rzeczą pewną również, że Słowacki swoją Podróż do Ziemi Swiętéj pisał w czasie podróży saméj, co nawet nieraz w podziw wprawiało jego towarzysza, Brzozowskiego, który nie mógł zrozumiéć, jak można w podróży pisać... Zarzucał mu nawet, że więcéj nierównie zdaje się interesować swojemi wierszami, pod świeżém wrażeniem doznawanych przygód i uczuć pisanemi, aniżeli samą podróżą, która go nie bardzo zdawała się bawić, przeciwnie, przeklinał ją nieraz... wierszem w swoim opisie, np. kiedy mówi: „Spocząłem wreszcie... przeklinam podróże! Cztery dni konno po chwastach i skałach“ etc. Że Słowacki swoją „Podróż z Neapolu do Ziemi Świętéj,“ (obejmującą, jak wiadomo, tylko podróż po Grecyi, aż do chwili wyjazdu z Koryntu) pisał w trakcie saméj podróży tego dowodzi przedewszystkiém ta okoliczność, że (jak o tém pierwszy nas na podstawie raptularza poety poinformował p. Józef Tretiak w swéj cennéj, choć surowéj dla Słowackiego i dla jego biografa — rozprawie o książce prof. Małeckiego. Przewodnik naukowy i literacki, 1881, str. 278) „Podróż na Wschód pisaną była, a nawet przepisaną na czysto, jeszcze przed przybyciem poety do Aleksandryi“ (prawdopodobnie w Hermupolis, stolicy Syry, jednéj z wysp Archipelagu, gdzie Słowacki kilkanaście dni czekał na odpływający do Egiptu okręt); a powtóre — na co nikt nie zwrócił dotychczas uwagi — uniemożliwia wszelką wątpliwość pod tym względem... sam Słowacki, kiedy w pieśni IX Podróży na Wschód powiada wyraźnie, iż od czasu, jak „znudzony uciekł z Europy, jak człowiek, co się na przyszłość sposobi, i chce przekonać ludzi, że coś robi...“

Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... Ztąd mię częściéj wita
Poetą — ten, co widzi, niż, co czyta.
Biorę na świadki te strofy ostatnie i t. d.

Nie chcę utrzymywać przez to, ażeby cytowane tu przezemnie dłuższe, do Neapolu odnoszące się wyjątki z pierwszéj pieśni Podróży do Ziemi Świętéj, miały być już w téj t. j. swéj ostatecznéj formie napisane przy grobie Wirgiliusza; chciałbym tylko przekonać czytelnika (co, przyznaję, nie jest jak w danym wypadku łatwém bynajmniéj), że pierwsze rzuty, pierwsze szkice do téj pieśni I, powstały nie (jak utrzymuje prof. Małecki t. II, 89), po powrocie ze Wschodu, ale przed wyjazdem jeszcze do Aleksandryi, w Neapolu. Bo, powtarzam, nie należy

który nastąpił ostatecznie d. 24 sierpnia nad wieczorem, potrafił znaleźć chwilę wolnego czasu (przed ostatnim obiadem, jaki miał spożyć w Neapolu w towarzystwie swojego towarzysza podróży, Teofilów, Gajów, Suchodolskich i Skibickich) ażeby napisać do matki i donieść jéj o tym wojażu.

List ten, pisany nie bez pewnéj obawy, aby mu matka za złe nie wzięła téj podróży, miał głównie na celu uspokojenie jéj, że przedsięwzięcie to, które się im tam w Krzemieńcu czémś nadzwyczajném wydawać będzie, widziane z brzegu Śródziemnego morza wcale nie wygląda tak strasznie; a powtóre chodziło w nim jeszcze poecie, ażeby przekonać matkę, że podróż ta, dla niego, jako dla poety właśnie, z ogromną może być korzyścią; bo chociażby tylko ustaliła moc charakteru — pisał — którego potrzeba do przedsięwzięcia i wykonania rzeczy, połączonéj z trudami znacznemi, to już i z tego samego niemały może dla niego wyniknąć pożytek. A cóż dopiéro, jeżeli się weźmie pod uwagę, że zobaczy nowe kraje, nowych ludzi, że będzie żył z nimi, że go wielbłąd karawany zaniesie do grobu Chrystusa... „Będę się tam modlił za tych, których kocham, a potém, z sercem pełném pamiątek i obrazów, wrócę do jakiéj cichéj, europejskiéj samotności.“ Tymczasem przesyła jéj za pośrednictwem Teofilów małą pieczątkę z lawy, ozdobioną popiersiem Homera na końcu. Sam zaś... idzie zwiedzić miejsce śmierci Hektora i wołać głośno Milcyadesa na pustych Maratonu równinach. „Wyznaj mi, droga, że mię jakiś niewidomy duch z miejsca na miejsce spędza, jak zmordowanego gołębia, nie pozwalając mi zasnąć, kiedy na jakiéj gałęzi usiędę...“

Ferdynand Hösick.

Warszawa 10 Września, 1893.



---

zapominać, że Słowacki pisał poemat ten w formie dziennika i że nie napisał go odrazu lecz kawałkami, pojedyńczemi ustępami, w drodze...

Rękopis tego poematu, wraz z owemi notatkami, pisanemi ołówkiem, przeplatanemi rysunkami i akwarelami (widoki Grecyi, Kairu i ruin Egipskich, ostatnich najwięcéj) wszystko razem w jednym sztambuchu, posiada p. Leopold Méyet w Warszawie.



KARTKI Z DZIENNIKA.

14-go czerwca.—Jeżeli kto, to ja na los powinienbym narzekać. Nie pamiętam, żeby mi się w życiu cokolwiek powiodło; nie zdarzyło mi się nigdy mieć to, czegom pragnął usilnie. Czasem, co prawda, sam nie wiem czego chcę, to jest właściwie nic nie chcę, bo mam wszystko, czego każdy głupi człowiek, myślący tylko o dobrobycie i dostatku, chcieć może. Nudzi mnie to wszystko co mam, i dlatego właśnie, że mnie to nudzi, zajmować się i myśléć muszę o moich majątkach, interesach i posiadłościach; to mnie bynajmniéj nie zajmuje. Takie to już moje szczęście, czepia się mnie tylko to, cobym z przyjemnością dyabłu na pociechę odesłał. A jabym chciał czegoś... czegoś... czegom jeszcze nigdy nie miał i nie widział, a nie wiem gdzie tego szukać, gdzie po to pojechać. Byłem już we wszystkich pięciu częściach świata, alem po drodze nie odkrył żadnéj szóstéj, gdzieby moje „coś“ się chowało. Muszę być sprawiedliwym. Czasem mi się zdarzyło, żem natrafił na ślad mojego „coś“ i zdawało mi się, że moje szczęście już mam, oto tu, w dłoni, że je już trzymam, a nie takim naiwny, żebym je komuś innemu miał oddać lub wypuścić z ręki. Alem widocznie dłoń zamało zacisnął, szparka jakaś zostać musiała i moje szczęście tamtędy się wymknęło. Nigdym jakoś w porę przyjść po nie nie zdążył. Kiedy rękę wyciągam, ono fiut!... — już nie ma szczęścia, nie ma mojego „coś“... z przed samego nosa uleciało, jakby na drwiny. Tyś bratku miał czas tylko usta szeroko roztworzyć i pakuj znowu swój tłomok, jedź w świat i szukaj innego „coś“, któreby cię zajęło. Objeżdżaj *da capo* pięć części świata, a nudź się je-

szcze więcéj niż za pierwszym razem. W drodze, dla urozmaicenia przyjemności, dostaniesz za to w darze morskiéj choroby *à discrétion* i niestrawnych obiadów więcéj, niż mam włosów na brodzie. Nie mogę powiedzieć „na głowie“, gdyż mojéj bujnéj czupryny zły los mi widać także pozazdrościł i wydarł prawie do szczętu. Zupełnie łysym także nazwać się nie mogę; ale to jest pewne, żem w moich podróżach więcéj zjadł niestrawnych obiadów, niż mam włosów na głowie. A to jest przykrość nie do lekceważenia, szczególniéj jak się choruje, tak jak ja, na katar żołądka. I są ludzie, którzy śmią mi powtarzać, że wielu pozycyi mojéj mi zazdrości. Tylko wziąć i za drzwi wyrzucić. Szkoda słów na przekonywanie, bo takie kretyny nie zrozumieją, że właśnie te dodatki do mojéj osoby ciążą mi, nudzą, chciałbym czegoś nowego, niezwykłego, porywającego, coby mi umysł zajęło i odświeżyło. Zdaje mi się czasem, że już tysiąc lat żyję. Tego czegoś ja chcę, a nie znajduję. Dlatego złoszczę się i niecierpliwię bezustanku, na moją służbę patrzéć już nie mogę, denerwuje mnie mój pałac, tak rozpaczliwie stylowy i elegancki, takie to wszystko mdłe i monotonne! Wszystko się u mnie odwrotnie do moich życzeń dzieje. Ja chcę pogody, dészcz leje jak z cebra. Ja chcę się przespać, najnudniejszy sąsiad przyjeżdża mnie odwiedzić. Ja chcę się żenić, panna za kogo innego wychodzi. Oto np. teraz. Byłbym się ożenił z najpiękniejszą kobiétą, jaką kiedykolwiek widziałem, byłaby za mnie wyszła, o! z pewnością, nie jestem partyą do pogardzenia. Znam moje awantaże, wiem, że panna byłaby najszczęśliwszą, zostając żoną moją. To téż zważywszy kim jestem, odpowiednio cenić się téż umiem. Nie szastam moją osobą na prawo i lewo; a głównie strzegę się pannom nadskakiwać. One zaraz gotowe wszystko sobie na swoją korzyść tłómaczyć. Ja zawsze jestem tego zdania, że im się kto więcéj ceni, tém więcéj jest przez drugich cenionym. To téż spotkawszy tę, z którą byłbym się był z pewnością ożenił, nie ekspensowałem na zbytnie nadskakiwania i grzeczności, pomimo że mnie zajmowała jak żadna dotąd jeszcze. Myślałem, żem w niéj znalazł to coś, które nareszcie szczęście dać mi miało. Jednak, moją godność osobistą mając na względzie, z oświadczynami nie śpieszyłem się wcale. I byłoby się wszystko jakoś samo z siebie gładko ułożyło, ale cóż, ja mam takie szczęście, że mi się nic nie wiedzie. Bo kiedy ja, nic złego nie przypuszczając, najspokojniéj na przyszłość złote plany snuję i już nawet byłem zdecydowany zacząć, tak zdaleka, niby nic, po troszeczku do panny się zbliżać, przyjeżdża mój brat. Nie. On sam nie przyjechał, jego tam dyabli przynieśli. O dziesięć lat młodszy odemnie, dzieciuch, pusta głowa, to jest nie pusta, ale prędzéj jak omnibus,

gdzie się wszyscy i wszystko pomieścić może. Bez żadnych wyrafinowanych pojęć i dążeń, kontentujący się tém banalném swojém otoczeniem; śmiałoby się to i śmiało bez końca, zębami jak wilk błyska co chwila, wszystkie je pokazuje, ażeby choć jeden był spróchniały, ale i to nie. Zawsze kontent ze wszystkiego, jé za sześciu, pije za dwunastu. To zawsze było zagadką dla mnie, jak on te ilości strawić może. W każdém towarzystwie dobrze się bawi; nieobrobiony umysł, który wrażeń analizować nie umié. Przez trzy dni na pięcie się wykręcał, a czwartego oznajmia mi, że jest zaręczony. To nic, że zaręczony, niechby się on zaręczał i odręczał sześć razy na dzień, to jego rzecz nie moja. Ale jemu dzika myśl przyszła, zaręczyć się właśnie z tą, która była uosobieniem mojego „czegoś“, czegom w pięciu częściach świata nie znalazł, mojego szczęścia, tego czegoś, które mnie miało już nareszcie na zawsze sobą zająć. Ale cóż robić, takie to już moje szczęście. Myślałem, że mi tym razem z ręki już nie ucieknie; widać, nie dość silnie dłoń zacisnąłem i szparka się gdzieś znalazła! Teraz mi przyszła jedna myśl: Czemu ja przed rokiem nie oświadczyłem się? Byłbym już teraz żonaty i szczęśliwy! Ale nie, los i tym razem nie przepuścił mi. Nie mogę sobie teraz darować mojéj powolności. I jeszcze, jak na złość, moja bratowa, od czasu gdy za mojego brata wyszła, wydaje mi się tysiąc razy powabniejszą i piękniejszą, niż przedtém. Tylko nie pojmuję, jak ona za niego wyjść mogła? Ale to chyba los tak pokierował, żeby mi figla wypłatać. Nieszczęście zawsze gromadą chodzi. Bo nie dosyć, że on zabrał mi ją, tak bez ceremonii, jakby swoją własną, nie wchodząc w to, że i ja, brat starszy, mogę jakieś sobie do niéj rościć prawa, ale jeszcze naraził mnie na tortury patrzenia, jak on do niéj oczy przewracał. Żeby to choć on ładne oczy miał! Ale takie jak u bandyty. On sobie z narzeczoną w drugim pokoju romansuje, a ty starszy bracie matkuj jemu, dziękuj rodzicom, że on żonę dostaje, emabluj papę i mamę, o posagu rozmawiaj, a gdy przypadkiem zobaczysz co on tam w drugim pokoju broi, gryź się choć w język ze złości i snuj plany na nową podróż po pięciu częściach świata, z koniecznym dodatkiem morskiéj choroby i niestrawnych obiadów. Może tym razem nareszcie tę szóstą odkryjesz, a na niéj twoje „coś“, twoje szczęście znajdziesz, któreby ci się już przez maleńką szparkę między palcami nie przesunęło. Po takiéj przykrości w świat koniecznie jechać chciałem. Ale dlatego, żem tego chciał, uskutecznić nie mogłem. Przecież nie można pozwolić, żeby on swoją pustą głową urządzał mieszkanie dla kobiéty tak wyjątkowéj, z takiemi wyrafinowanemi poczuciami estetycznemi i intelektualnemi. Sam się tém zająłem. Dla takiéj kobiéty trudów

i kosztów szczędzić nie można było. Nawet w tém musiałem miéć przykrości, a wszystkich wymagań i kaprysów mojego brata, pamiętać już nie chcę. Moja bratowa jest ideałem. Jeszczem nigdy drugiéj takiéj kobiéty w życiu nie spotkał. Brat mój nigdy jéj zrozumiéć nie potrafi, dlatego ja, prawie, że od nich nie wyjeżdżam. Bo któżby jéj życzenie w lot zgadywał? rozkazy spełniał? Pewno, że nie on. Czy on się kiedy czego domyślił? Żeby był domyślny, toby był wiedział, że ja z jego żoną także żenić się chciałem i nie powinien był w drogę mi wchodzić. Wczoraj dał dowód swojéj głupoty. Wyszliśmy wszyscy troje na spacer. Idąc spotykamy stangreta, który wierzchowe konie ujeżdżał. Moja bratowa przybliża się do swojéj klaczy, głaszcze ją, pieści, z tym wdziękiem, jaki ona tylko posiada, a późniéj idziemy daléj. Moja bratowa z początku nic nie mówiła, dopiéro po paru minutach odezwała się: „Jaka szkoda, że moja klacz jest siwa, a nie bułana, ja bułane konie najlepiéj lubię.“ Ja prawie, że nie oddycham, czekam co mój brat na to powié. A on na to nic, jakby to nie jego żona mówiła. Palec za kamizelkę wsadził i kontent z siebie. Zaraz pomyślałem sobie: Pierwszym pociągiem jadę do miasta i nie wracam inaczéj tylko z bułanym koniem dla mojéj bratowéj. Ponieważ nic mi się nigdy nie wiedzie, więc i tym razem musiałem napotkać nieprzewidziane trudności. Nie mogłem wyjechać, dopiéro na drugi dzień rano, bo tego wieczoru żaden już pociąg nie wychodził. Kazałem się o godzinę wcześniéj obudzić, aby być na czas, a nie chciałem dla pośpiechu opuścić mojéj codziennéj przechadzki boso, po rosie, leczę się bowiem metodą Kneipa i za żadne skarby, nawet dla mojéj bratowéj, nie wyrzekłbym się ani na jeden dzień tego znakomitego środka. Nie wiem, jak się to stało, czym zadługo spacerował, czym się zadługo z moim służącym zagawędził zanim z łóżka wyszedłem, a muszę przyznać, że byłbym z przyjemnością pospał jeszcze trochę, tak rano wstać tylko dla mojéj bratowéj byłem zdolny, dość, że już było bardzo późno, kiedym do stacyi dojeżdżał. Już banhof miałem przed oczami, a tu naraz, trzeba miéć moje szczęście, pociąg zrobił tak jak każda rzecz przezemnie pożądana, fiut, przed samym nosem. Powiodło mi się, jak zwykle. I ja tu teraz na stacyi sześć godzin siedziéć i czekać muszę przybycia następnego. Miła pozycya, tylko mnie coś podobnego przytrafić się może. Mój brat gdyby godzinę po mnie wyjechał, ręczę, że na sam czasby trafił, ale ja... Co ja miałem robić przez te sześć godzin? W dzienniku moje myśli spisuję. Ten dziennik to mój najlepszy przyjaciel. Wożę go zawsze w moim worku podróżnym razem z homeopatyczną apteczką; szczególniéj, jak jestem w podróży, wrażenia moje wszystkie w nim

zapisuję. Już nareszcie słyszę, że pociąg świszcze; muszę się śpieszyć, bilet kupić, bo inaczéj on gotów znowu, jak tamten, takie samo fiut w oczach moich zrobić, a jabym tu, jak dusza na pokucie, do jutra rana czekać musiał.

16-go czerwca. — Mam czas, zapisuję więc przygody mojéj niefortunnéj podróży po bułanego konia. Naturalnie, jak się tego spodziewałem, nigdzie go dostać nie mogę. Potrzeba mieć rzeczywiście tyle mocy charakteru i hartu duszy, ile ja posiadam, żeby wobec tylu niepowodzeń nie uczuć nienawiści dla tego ciemnego tłumu ludzkiéj gawiedzi, która bezmyślnie tylko za swojemi interesami się uwija, a zrozumiéć i odczuć nie potrafi pragnień i potrzeb ludzi wyższych subtelnemi pojęciami. Każdy, kogo tylko o jakiego bułanego konia zapytywałem, prawie że tak samo mi odpowiadał: Mam siwe, kare, gniade, ale bułane teraz nie w modzie, nie warto ich dla interesu hodować. A nikomu przez myśl nawet nie przeszło powiedziéć mi, że choć nie ma, ale o takiego konia postarać się dla mnie może. Każdy swój interes ma tylko na myśli, nikt nie przypuszcza, że i ja téż moje interesa z łatwością chciałbym załatwiać. Im dłużéj nad ludźmi się zastanawiam, tém większym wstrętem i pogardą przejmują mnie oni ku sobie. Ta jedna myśl w równowadze mnie utrzymuje, że człowiek z wyższym rozumem, w swéj umysłowéj wyższości zadowolenia szukać powinien, a ciemny tłum oceniać według jego rzeczywistéj wartości. Jednak pomimo, żem w zupełności odczuwał moją wyższość nad tymi ludźmi, którzy mi nawet bułanego konia dostarczyć nie byli zdolni, jednak to zadowolenie było czysto abstrakcyjne, a rzeczywistość bezwstydnie w oczy mi urągała, i ja konia jak nie miałem, tak nie miałem. Mój brat byłby go pewno zaraz wynalazł, bo on się w czépku rodził, a ja w szlafmycy. Nie zazdroszczę mu bynajmniéj jego zwykłego powodzenia; mam zbyt szlachetny charakter, takie uczucie poniżaćby mnie tylko mogło. Chciałbym miéć jednak jego szczęście ze względu na moją bratową, żeby ona na bułanego konia tak długo czekać nie potrzebowała, dopóki mojemu złemu geniuszowi spodoba się figle mi płatać i wszystkie bułane konie niewidzialnemi dla mnie czynić. Byłbym wiek cały w hotelu na zmiłowanie Boskie i ludzkie czekał, gdyby nie jakiś poczciwy i usłużny faktor, który mnie z kłopotu wybawił. Przyszedł jednego dnia rano, może już było koło dwunastéj. Ja w łóżku kawę piłem. Nie śpieszyło mi się ze wstawaniem, gdyż bose przechadzki metodą Kneipa, po bruku niemożliwemi byłyby, a w publicznych ogrodach moje nogi zawiele mogłyby znaleść spektatorów; ani téż kobiétą nie jestem, żebym miał wszystkim pierwszym lepszym, co mam najładniejsze pokazywać. Dlatego

zrobiłem przerwę w mojéj kuracyi i jak już wspominałem, jednego dnia, rano, pijąc kawę w łóżku, zaanonsował się do mnie jakiś faktor, uprzedzając, że przychodzi do mnie w interesie bułanego konia. Kazałem go wpuścić, a tak czułem się szczęśliwym, iż mi się zdawało, że moje „coś“, moje wieczne pragnienie szczęścia, tego czegoś, coby mi życie zapełniło, przyjęło teraz postać bułanego konia, o którego istnieniu od owego faktora dowiedziéć się miałem. I rzeczywiście tak było. Przez chwilę, gdym się dowiedział, że bułany koń nie jest już dla mnie legendą, ale rzeczywistém czworonożném zwierzęciem ze łbem i ogonem, nie chciałem wierzyć memu powodzeniu. Powodzenie, to rzecz nie bywała u mnie. Zdawało mi się, że od téj chwili nastąpi ważny przełom w mojém życiu na lepsze, że zły los wypuścił mnie może ze swojéj gorliwéj opieki. Może ujrzał jakieś szersze i świetniejsze dla siebie horyzonty, może popłynął do Panamy, aby tam karyerowiczom język pokazać i tak się zajął pomyślnością pana Eifla i Lessepsa, że nareszcie o mnie zapomniéć raczył. Nie skończyłem nawet kawy, z radości jeść mi się odechciało. Bo téż i nie bardzo apetyczną była, śmietanka była przypalona, postanowiłem późniéj do cukierni wstąpić i spokojnie co zjeść, tymczasem w towarzystwie mojego brodatego geniusza poszedłem oglądać owego bułanego konia. Tak byłem mojém szczęściem rozradowany i wzruszony, żem wziął znaczną dozę uspokajających kropel, żeby mi ta emocya na zdrowiu nie zaszkodziła. Do kieszeni wziąłem pudełeczko z miętowemi pastylkami, mogło mi się słabo zrobić, gdyż byłem tak jakby na czczo. Przyszedłszy na miejsce znalazłem ślicznego wierzchowca, pół krwi angielskiéj, idealny pod damskie siodło, wady ani dopatrzéć. Muszę przyznać, że cena była trochę słona, ale wobec radości mojéj bratowéj któżby o pieniądzach myślał. Koń był maści przecudnéj. Pod słońce błyszczał jak złoto. Moja wyobraźnia rysowała już na nim kontur mojéj bratowéj, myślałem tylko o tém, jak ona przecudnie na nim wyglądać będzie. Ten koń jakby dla niéj stworzony, ma nawet białą gwiazdkę na czole. Ona pasyami takie gwiazdki lubi i zwykle je całuje. Zawsze w gwiazdkę i szyję z prawéj strony. Zauważyłem to jéj upodobanie, myśląc potém gorzko, czemu ja Indusem nie jestem; mógłbym całe życie cieszyć się nadzieją, że może po śmierci zamienię się w konia z gwiazdką na czole. Każdy musi przyznać, że nie jestem wymagający w marzeniach, ale z mojém zwykłém szczęściem nawet nadzieją metamorfozy cieszyć się nie mogę. Patrzyłem na gwiazdkę bułanego konia i myślałem, ile to ona całusów od mojéj bratowéj odbierze, potém patrzyłem na szyję z prawéj strony. Przysunąłem się do konia, zacząłem go głaskać i ciągle

o mojéj bratowéj myśląc, pocałowałem go o ile mogłem najserdeczniéj — w szyję z prawéj strony. Zaledwie to zrobiłem, uczułem w ustach jakiś smak niemiły, gorzki, z odorem pokostu i jakiéjś odrażającéj tłustości. Sięgnąłem zaraz po miętowe pastylki. Widocznie, myślałem, chłopcy stajenni czémś konia przez nieuwagę pobrudzili. Wyjąłem chustkę do nosa i zacząłem mocno wycierać to miejsce, gdziem go pocałował. Ale po paru chwilach w oczach mi się zaciemniło. Chustka się zafarbowała, a końska sierść w jakiś dziwny, nienaturalny sposób rozjaśniać się zaczęła. Koń był farbowany, w rzeczywistości był siwy, prawie taki sam, jakiego moja bratowa miała. Nie znalazłem odpowiednich słów oburzenia na taki postępek, nie rzekłem ani słowa. Arogancya i zuchwalstwo ludzi téj nizkiéj klasy granic już teraz nie zna. Śmiéć coś podobnego wymyślić! Komu? Mnie!... Nie mogę spokojnie myśléć o tém, ile ja napróżno wyekspensowałem wrażeń: radości, oczekiwania, ździwienia, przestrachu, żałości, wstrętu, zgorszenia, z powodu tych ludzi, których ludźmi nawet nazywać trudno! I to wszystko napróżno! Każde takie wstrząśnienie parę lat życia mi odbiéra. Żeby nie pastylki miętowe, to byłbym napewno zemdlał. Myśl zabrania ich przyszła mi widać wtedy, kiedy mój zły los sprawą panamską był zajęty. Widocznie jestem jego Beniaminkiem, jeżeli tak prędko za mną zatęsknił i śpiesznie powrócił. Na mojego faktora już patrzéc nie chciałem, do hotelu jaknajśpieszniéj powróciłem, by usta wypłukać i konia i faktora przed oczami już nie miéć. Nieszczęście swoją drogą, a prawa natury téż swoją, — zbrodnią jest gwałcić je. Przypomniawszy sobie, że śniadania prawie-że nie jadłem, wyszedłem na miasto, żeby zjeść cokolwiek. W restauracyi przeglądałem gazety, czy jakiego anonsu o sprzedaży koni nie będzie. Z mojém zwykłém szczęściem dopiéro w ostatniéj znalazłem to, czegom szukał. Ogłaszano, że w stadninie państwa X. są konie do sprzedania rozmaitéj maści, rozmaitego wieku i ceny. Podawano zarazem adres. Po skombinowaniu pociągów i odległości, przekonałem się, że będę tam musiał ośm godzin koleją jechać, a późniéj końmi jest jeszcze niewielka przestrzeń do przebycia. Wyjechałem z miasta przed południem, a przed wieczorem byłem na oznaczonéj stacyi. Jeść mi się chciało na potęgę, ale zważywszy na mój katar żołądka, nic niestrawnego po drodze kupować nie chciałem. Od stacyi do państwa X. niedaleko, niepodobna, żeby mnie tam czémkolwiek nie poczęstowano. Lecz dostanie się do nich tak łatwém nie było. Stacya była bardzo mała, prawie nikt na niéj nie wysiadał, a z odejściem pociągu znalazłem się sam na sam z moim workiem podróżnym. Wyszedłem na plac dla ekwipaży, ale tam śla-

du koni i ludzi dopatrzéć nie mogłem. Cicho i głucho, miejsce stworzone do odbywania rekolekcyi. Ale ja, nie będąc w takim pobożnym nastroju, niezbyt rad byłem temu. Po długich korowodach, prośbach i groźbach sprowadzono mi jakiegoś chłopa, który się zdecydował do państwa X. mnie zawieść. Ale jego ekwipaż!... słów nie mam dosyć malowniczych, żeby to straszydło należycie opisać. Długa jakaś historya, do któréj z żadnéj strony wejścia nie było, miała w środku trochę potarganéj słomy, a ciągnęła to jakaś szkapa, kulawa, dychawiczna, ze sterczącemi na wszystkie strony kościami; mógłbym się założyć, że na obydwa oczy ślepa była, bo się tak jakoś dziwnie kręciła i straszyła, jak nerwowa kobiéta, która czegoś nie wié, a dowiedziéć-by się chciała. Nie wiem, co prawda, tego na pewno, gdyż jéj w oczy nie zaglądałem, po pierwsze dlatego, że tylko koniem była, a po drugie, że mi to obojętném było, czy ona ślepa lub nie. A jednak z powodu téj szkapy byłem mocno wzruszony i zemocyonowany. Bo czyż można sobie do tego stopnia złośliwość losu wystawić! To straszne widmo konia było maści bułanéj, a w dodatku z białą gwiazdą na czole! Czy nie ironia? Jeżeli tylko takie bułane konie spotykać będę, to winszuję sobie i mojéj bratowéj. Rad nie rad siadłem i pojechałem. Nie wiem, czy się droga pod moim ciężarem rozwałkowywała, czy koń się ledwie wlókł, dość, że rezydencyi państwa X. ani śladu. Wieczór zapadł, byłem tak strasznie głodny, że aż mi się słabo z głodu robiło. Zjadłem już wszystkie pastylki miętowe, koń co chwila ustaje, a na drodze żadnego ludzkiego mieszkania, nic, tylko pustka, coraz ciemniéj, chłodno i głodno, i jak na drwiny ta bułana szkapa ciągle przed oczami stoi. Myślałem, że ta podróż nigdy się nie skończy. Nareszcie o godzinie trzeciéj nad ranem zobaczyłem zdaleka cel mojéj podróży. Dzień świtał, kazałem stanąć przed bramą i do odźwiernego zastukałem. Znowu trudności. Zbyt wcześnie, więc mnie do pałacu wpuścić nie chcą. Tymczasem z głodu omdlewam prawie, zębami z zimna dzwonię; mój worek podróżny nie wiem już ile razy przeglądałem, ale nawet okruszyn z pastylków miętowych nie ma, a gdy mi się wino skończyło, dla rozgrzania po parę kropel wody kolońskiéj do ust brałem. Napróżno tłómaczyłem odźwiernemu, że dla wszystkich innych przybyszów, taka pora rzeczywiście wielce byłaby niestosowną, ale ja, co innego, zaanonsować mnie w pałacu powinien. Napróżno mu tłómaczyłem, kto ja jestem, wszystko napróżno. Ten człowiek zrozumiéć mnie nie chciał, ale z zaciętością, godną lepszéj sprawy, nie odstępował od bramy i dopiéro o dziewiątéj otworzyć mi ją obiecywał. Musiałem dać za wygraną, siąść na kamieniu i modlić się do zégarka, żeby mi jaknajprę

dzéj dziewiątą pokazał. Byłem mocno zdenerwowany. Nielogiczne zachowanie się odźwiernego nasuwało mi na myśl spostrzeżenia, chociaż głębokie i dostępne tylko dla umysłów wznoszących się nad pospolitość, ale bardzo zniechęcające do rodzaju ludzkiego. Zwykle wszelkie zetknięcie się z ludźmi o niższéj organizacyi umysłowéj gniéwa mnie i moje nerwy z równowagi wyprowadza. To też o ile możności staram się tego unikać. Ludzie ci, ze swoim nieobrobionym, trywialnym umysłem, nie są zdolni pojąć nas i zrozumiéć. Zniechęcenie mnie ogarnia, gdy pomyślę, ile to mamy przed sobą wieków tytanicznéj pracy i zaparcia się siebie, my, ludzie cywilizowani i dobrze wychowani, którzy społeczeństwu rozumem przodujemy, zanim horyzonty myślenia ciemnych mas cokolwiek ku naszym zbliżymy. Ten biédny, nieszczęśliwy człowiek, mówię o odźwiernym, jest pewno ofiarą złośliwego losu, bawidełkiem natury. Musiał miéć takich przodków, którzy z bohatérstwem ginęli na polu bitwy, ale z niego ustępować nie chcieli. Wytrwałość ta, w następnych pokoleniach pozbawiona widocznie cywilizowanego kierunku, zwyrodniała, przybrała skrzywiony kierunek nielogicznéj, idyotycznéj prawie zaciętości. Zastanawiając się, żałowałem go coraz więcéj. On nie winien, że jego ciasny umysł, mojego jasnego i oświéconego tlómaczenia pojąć nie mógł. Poprostu, rozrzewniał mnie. Chociaż, rozrzewnienie to, może pochodziło z podrażnienia moich nerwów, bo wszystko się sprzysięgło, żeby się nad niemi pastwić niemiłosiernie. Gdym do ogrodu przez parkan zajrzał, zobaczyłem kilkanaście grządek z prześlicznemi, dojrzałemi truskawkami, a nawiasem mówiąc, to mój ulubiony owoc. Umiéram prawie z głodu, o krok mam truskawki, a korzystać z nich nie mogę; odwracam oczy od tego widoku, który jest pewno przez mój zły los na urąganie mi wymyślony, muszę patrzéć na pałac, który przez sześć godzin musi być dla mnie tém, czém miraż oazy na Saharze dla spragnionego Beduina. Z rozpaczy zamknąłem oczy i usnąłem. Śniło mi się, żem nabył prześlicznego, bułanego konia, i że moja bratowa zobaczywszy go była w siódmém niebie. Nie wiedziała jak dziękować, rzuciła mi się na szyję... już... jeszcze tylko jedna tysiączna sekundy a byłaby mnie pocałowała, gdy w tém, obudziłem się i spostrzegłem na moim karku ogromną, suchą gałąź, która się widocznie od drzewa, pod którém siedziałem, oberwała, spadła na mnie i ten uroczy sen o mojéj bratowéj przerwała. Ale chwała Bogu, była już dziewiąta, bramę mi otworzono i do państwa X. się zaanonsowałem. Wpuszczono mnie do biblioteki, ale równocześnie służący mi oznajmił, że pan X. wyjechał do jakiegoś folwarku i dopiéro za godzinę spodziéwanym być może. Teraz zastanawiając się, dziwi mnie

to, że ta niepomyślna wiadomość zbyt wielkiego efektu na mnie nie zrobiła. Widocznie wrażliwość moja niepowodzeniami znieczulona była. Poprosiłem, żeby mnie do stajni zaprowadzono, chciałem się koniom przyjrzéć. Po drodze znowu tortura. Prowadzono mnie koło kuchni. Machinalnie w okno spojrzałem, kucharz wyjmował z pieca świéżo upieczone, prześliczne bułeczki. Na stole pod oknem kilkanaście ich już leżało. Pokusa była zbyt silna. W jednéj sekundzie szlachetne moje serce uniewinniło wszystkich amatorów na cudzą własność, ich postępki wydały mi się zupełnie naturalnemi. Służący szedł naprzód, kucharz był plecami do okna odwrócony, schwytanie jedynéj bułeczki przez okno nie będzie czynem rozmyślnym ale usłuchaniem głosu natury, posłuszeństwem jéj prawom i zachowawczemu instynktowi. Zresztą, zważywszy na moje obowiązki jako obywatela społeczeństwa, musiałem tak postąpić. Zbyt długie wygłodzenie mogło mi zaszkodzić, mógłbym się rozchorować, potém umrzéć, a społeczeństwo poniosłoby znaczną szkodę, tracąc jednego z wybitniejszych swoich członków. Myśli te w jednéj sekundzie przez głowę mi przeleciały. To jest jedną z moich zalet, że jestem bardzo bystry i prędko się oryentuję. Przechyliłem się na drugą stronę okna i rękę po bułkę już wyciągnąć miałem, gdy wtém... kucharz się odwrócił i ze ździwieniem patrzył na mnie. Skamieniałem. Musiałem miéć chyba bardzo głupią minę pierwszy raz w życiu. Dla swojéj bratowéj nawet i to przeniosę. Ledwom mógł parę słów na moje tłómaczenie wyjąknąć z zapytaniem czy pan X. jeszcze nie powrócił. Otrzymawszy przeczącą odpowiedź, jaknajprędzéj za okno się cofnąłem i pośpieszyłem za służącym, który mnie o kilkanaście kroków wyprzedził. Teraz po rozwadze kontent jestem, żem stamtąd téj bułki zabrać nie zdążył. Gdyby się był kucharz o sekundę późniéj odwrócił a ja ją już miał w ręku, co za niemiła sytuacya! musiałbym sprawę wyjaśnić. Jakież to upokorzenie dla mnie, tłómaczyć się człowiekowi o tyle niższemu odemnie socyalnie i umysłowo. Sługa, prowadzący mnie, mógł się też niespodzianie odwrócić, a nie byłbym sobie tego życzył wcale, żeby mnie był zobaczył zajadającego kradzioną bułkę. W stajni powiedziano mi, że stadnina z końmi na sprzedanie na osobnym znajduje się folwarku i że tam dostać się będę mógł, dopiéro jak pan X. nadjedzie. Powróciłem do biblioteki. Głód mnie do rozpaczy doprowadzał. Zrozumiałem zuchwałe i szalone czyny ludzi zgłodniałych, dla zdobycia sobie kęsa chleba, pojąłem całą prawdę i tragiczność opisu mąk Ugolina w Dantejskiém piekle. Wziąłem książkę do ręki. Złośliwy demon podsunął mi opis głodu, jaki miał miejsce, z powodu nieurodzaju, w Bengalu. Nie chciałem tego czytać. Opisy te, byłyby

na mnie zbyt wielkie wywierały wrażenie, znajdowałyby zbyt głośny oddźwięk jeżeli nie w umyśle, to napewno w moim biédnym skurczonym żołądku. Czytanie to zająćby mnie mogło po dobrym obiedzie, ze spokojną myślą, bez żadnego interesu i oczekiwania na głowie; tylko w takim razie mógłbym się bezstronnie na tę kwestyę zapatrywać. W zapisywaniu do dziennika moich przygód ucieczkę znalazłem. Słyszę w przedpokoju czyjeś kroki, pewno pan X. przyjechał.

19-go czerwca. — Przez trzy dni nie otwierałem mojego dziennika, pomimo że cały ocean rozmaitych spostrzeżeń i uwag na myśl mi się nasuwa. Zdaje mi się, że miałbym czém tomy całe wypełnić, a nie wiem jak i od czego zaczynać. Czyżby mój zwykle bystry umysł przez trzy dni tak nagle ociężał? Ale nie. On tylko jest przyciśnięty nawałem rozumowań i kombinacyi. Domem państwa X. jestem zachwycony. Oboje nadzwyczaj uprzejmi i wykształceni ludzie. Pan X. zapoznawszy się ze mną prosił, żebym się u nich na obiedzie zatrzymał, a dopiéro późniéj do stadniny mieliśmy pojechać. Miałem ochotę go uściskać. Przy obiedzie poznałem jego żonę i córkę. Żona sympatyczna, córka na pierwszy rzut oka żadnego wrażenia na mnie nie zrobiła. Nie uderza ani urodą, ani zręcznością figury i ruchów, tylko ma bystre i nadzwyczaj żywe oczy, które niepospolity spryt zdradzają. Dopiéro porozmawiawszy z nią chociażby kwadrans, jest się całkowicie pod jéj urokiem. W uśmiechu, w mowie, ma to „coś“ nieuchwytne, a tak zajmujące, co interesuje i uwagę przykuwa, czego się czasem napróżno w pięciu częściach świata szuka. Miewa czasem bardzo trafne spostrzeżenia. Gdym jéj opowiedział o wszystkich moich niefortunnych poszukiwaniach bułanego konia, rzekła mi na to: „Dziwię się, że bratowa pana dla fantazyi naraziła go na tyle kłopotów.“ Rzeczywiście, ja się teraz temu bardzo także dziwię. Nic na to nie odpowiedziałem, nie chciałem przed panną X. przyznawać się, że moja bratowa tego konia nie żądała wcale, tylko ja, jako miłą niespodziankę dostarczyć jéj go chciałem. Rozważywszy, doszedłem do przekonania, że tym wszystkim kłopotom tylko moja bratowa jest winna. Jest do tego przyzwyczajona, że o czémkolwiek zamarzy, ja w lot jéj tego dostarczam. Mogła więc łatwo skombinować, że jeżeli powié, iż tylko na bułanych koniach jeździć lubi, ja zrobię co mogę, żeby miała takiego. Odezwanie się jéj było niedelikatnością w wysokim stopniu. Ponieważ mi się nigdy nic nie wiedzie, więc też i w stadninie państwa X. ani jednego bułanego konia nie było. To bardzo uprzejmi ludzie, prosili, żebym parę dni u nich zabawił; z chęcią na to przystałem. Ostatecznie, nie widzę konieczności przywożenia tego konia dla mojéj bratowéj. Czyż on jéj jest bezwarunkowo

do szczęścia potrzebnym? Czyż się ona bez niego obejść nie może? Wszak dotąd tylko na siwym jeździła i dobrze jéj z tém było. Kobiét zanadto psuć nie można. Potém im się zdaje, że to jest naszym świętym obowiązkiem wszystkim ich najdziwaczniejszym fantazyom zadośćuczynić. Zresztą, czemu ja miałbym za tym koniem daléj w świat lecić, jeżeli tutaj jakiś czas w bardzo przyjemny sposób przepędzić mogę. Już mnie ten koń bawić przestał. Chwała Bogu, żem go mojéj bratowéj naprzód nie obiecywał. Wyjechałem, bo mi się wyjechać podobało. Dlaczegóż jabym wyjechać nie miał? Nie jestem nikomu obowiązany wyjaśniać powodów mojéj podróży. Z panną X. konwersacya nigdy mnie nie znudzi, a uważam, że ja jéj się także bardzo podobam. Kobiéty zwykle bardzo we mnie gustują. Dzisiaj przed lustrem uważnie się sobie przyjrzałem. Każdy przyznać musi, że jestem jeszcze mężczyzną bardzo przystojnym, fizyognomię mam rasową, tylko brak włosów uroku mi trochę odejmuje, lecz któż nie ma swego „ale“. Jestem imponującéj postawy i noszę zwykle tylko takie ubrania, w jakich mi jest do twarzy. Ja, do pięknego zewnętrznego wyglądu wielką przywiązuję wagę. Piękna, podniosła strona moralna w pięknéj formie odpowiedni wyraz znajdować powinna. Główna moja potęga, to uśmiéch. Nie chcę go też zanadto pospolitować, a szczególniéj względem kobiét nie szafuję nim zbytecznie, chociaż rozmawiając z panną X. pomimo woli uśmiechać się ciągle muszę.

22-go czerwca. — Od dwóch dni nic nie pisałem, a myśl moja bezprzestanku pracuje. Umysł ludzki ma czasem dziwne komplikacye, których wytłómaczyć logicznie niepodobna. Taka komplikacya ze mną miejsce miała. Przejrzałem, otrząsnąłem się z dziwnego stanu duszy. Dzisiaj siebie się zapytuję, jak mogłem przez tak długi czas gustować w mojéj bratowéj, jak to było przypuszczać, że ona mogłaby być dla mnie tém czémś, co zajęcie w życiu wzbudzićby we mnie zdołało, tém czémś, czego ja przez całe życie w pięciu częściach świata szukam. Dzisiaj się zastanawiam, jak mogłem tak długo być w niéj zaślepionym. Jednak muszę być bezstronnym i sprawiedliwym. Przyznaję, że jest posągowo piękną, sprytną i wesołą, ale jéj daleko do téj duchowéj doskonałości, która mnie, mojéj wysokiéj umysłowéj organizacyi zadowolenie daćby mogła. To jedno, że zdecydowała się wyjść za mojego brata jest już najjaskrawszym dowodem ciasnoty jéj pojęć estetycznych i intelektualnych. Bliższe poznanie panny X. oczy mi otworzyło, jest ona od mojéj bratowéj o całe niebo wyższą. Rysy może u niéj mniéj posągowe i regularne, ale ma to coś, co zachwyca i interesuje, czego słowami określić niepodobna, to coś,

którego istnienie przez lat tyle dusza moja przeczuwała, któregom szukał bez przestanku, łudząc się czasem, biorąc światło pospolitéj, salonowéj świécy za piękne słoneczne promienie. Żywe zajęcie się moją bratową było fenomenalnym, niczém niewytłómaczonym stanem mojéj duszy. Było jéj nieodpowiednie, dlatego téż długo trwać nie mogło. Bliższe poznanie panny X. oczy mi otworzyło, ona jedna będzie zdolna życie mi wypełnić. Zastanawiam się, czém my jesteśmy, z całemi gmachami skomplikowanych rozumowań i logiki? Ślepy traf, błahostka niespodziewanie nami rzuca. Większą część życia strawiłem na poszukiwaniu mojego nieuchwytnego „czegoś“, któreby mnie nareszcie zająć mogło, a spotkałem je tam, gdziem go się spotkać nie spodziewał. Wyjechałem po konia, a z mojém „czémś“, z mojém szczęściem powrócę. Rozmyślam tylko, czy się mam zaraz państwu X. o ich córkę oświadczyć. Ale nie. Taki pośpiech ubliżałby mojéj osobistéj godności, wolę jakiś czas poczekać. Wyjadę, za parę tygodni dopiéro powrócę i wtedy moje zamiary państwu X. wyjaśnię. Poważnie myślący człowiek nigdy się śpieszyć nie powinien. Tym razem pewny już jestem, że moje „coś“, moje szczęście z rąk mi się nie wyśliźnie. Panna X. będzie najszczęśliwszą, gdy moją żoną zostanie, odmownéj odpowiedzi nawet nie przypuszczam. Gdyby jednak zaszły jakieś przeszkody od nas wszystkich niezależne, gotów byłbym ją wykraść, jeżeliby pora zbyt późną nie była i noce chłodem zdrowiu nie groziły. Postaram się, żeby jaknajśpieszniéj po moje szczęście przyjechać, już tym razem się nie spóźnię, nie pozwolę, żeby mi się z rąk wyśliznąć miało.

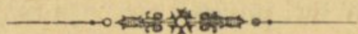
Znicz.





SZTUKA NIEMIECKA.

WRAŻENIA Z WYSTAWY BERLIŃSKIÉJ.



I postawili na swojém. I na każdym kroku znajdujemy dowody, że straszny rok porażki Francuzów wprawdzie nie zbogacił Niemców materyalnie, ale tchnął w nich potęgę większą — miłość własną, punkt honoru. Poznali co to Paryż i jego twórczość, wcale a wcale klęską nie osłabione, owszem, jakgdyby podsycone. Dzisiaj więc odbywa się coś w rodzaju wyścigu, z którego Berlin zwycięzcą nigdy nie wyjdzie, ale wyniesie niejedną dobrą naukę. Jest nawet coś naiwnie zabawnego w téj pogoni za laurami, na które po lewéj stronie Renu już przed lat tysiącem zaczął pracować Karol Wielki, chrzestny ojciec sławnych gmachów i świątyń, wielki wyraziciel artystycznego ducha Gallów, od którego najprostsza w świecie linia wiedzie do takich, jak Viollet-le-Duc i inni.

Ale proszę nie lekceważyć sobie malarzów i rzeźbiarzów niemieckich. Wszedłszy po raz pierwszy do ogromnego labiryntu komnat, mieszczących 2,500 dzieł, gotóweś wruszyć pogardliwie ramionami. Ale proszę jeno przyjrzéć się dokładniéj, podejść bliżéj, a wyjdą na jaw rzeczy prawdziwie ciekawe.

Jest-to przedewszystkiém wystawa urządzona starannie, samego związku artystów, już nie wiedzionych na pasku przez różne akademie, lecz jedynie przez rycerskość stawiących na czoło zasługę swego monarchy. Od téj pory więc zaczyna się prawdziwy samorząd

i z pewnością wyjdzie im na dobre. Przynajmniéj to jest widoczne, że zebrali dzieł liczbę pokaźną i że gościnnie ustępując najlepszych kątów innym niemieckim ogniskom sztuki, jak Monachium i Düsseldorf, stworzyli zupełny obraz twórczości germańskiéj z ostatniéj doby. Żywioły bowiem obce nie wiele zajmują miejsca.

Sposobność więc do snucia ogólnych uwag i wywodów doskonała. Ale doprawdy skorzystać z niéj dla zbudowania całokształtnego poglądu, więcej niż trudno i, zamiast na końcu, powiedziéć wypada odrazu, na samym wstępie, że sztuka dzisiejszych Niemców nie ma wyraźnéj, zgodnéj w sobie i jednolitéj charakterystyki. Nie silmy się na wyłowienie jakichś odrębnych cech, nie masz ich, jak nie masz w piśmiennictwie, które żywi się przeważnie u cudzych stołów.

Ale malarstwo albo ma tę właściwość albo też w okres taki obecnie weszło, że lubi zapominać, kto dał pomysł, kto stworzył pewien rodzaj, kto wykrył w naturze nowe nastroje i współ-uczucia a zakarbowywa sobie jeno, jak obraz został namalowany. Jeśli dobrze i sumiennie — „wszystko w porządku.“ Owóż podobnego rodzaju zasługi oglądać tu można niezmiernie dużo; przekonać się też łatwo o niezwykłéj pojętności Niemców i darze naśladownictwa, tym samym co stworzył w piśmiennictwie ibsenistów całą armię a w kółku wydawniczém Reclama *et consortes*.

Pod jednym względem widzę przedewszystkiém postęp. Dano za wygranę obrazom, dla pomieszczenia których trzeba było budować nowe sale. Patos, dający się mierzyć na mile kwadratowe płótna, pomału znika. Przeważają średnie i całkiem małe, ale zato głębsze w temacie i bardziéj odczute. Między rozległemi zaledwie parę znalazło się udatnych. Pomimo wszystko nie postawiłbym na pierwszym miejscu „Mnicha Dodde,“ który siedząc na koniu, zagrzéwa chłopów düsseldorfskich do walki pod Worringen (1288). Janssen zdobył się tutaj na wydatne twarze, silne maski, dużą namiętność i zaciekłość, ale takich obrazów było już dużo. Więcéj świéżo i oryginalnie przedstawia się Speyer'a „Pieśń jeźdźców.“ Konni kirasyerzy wjeżdżają w potop słonecznego światła, witają złoty zachód obnażeniem głów i spokojną, powolną, uroczystą pieśnią — jest-to zarówno prawdziwe jak poetyczne. Są nawet całe cykle wielkich płócien, jak Roebera epopea zmierzchu Odina i bogów północnych, albo Kampfera główne momenty z życia Lutra. Tu i tam praca olbrzymia, sama przez się uznania godna. Ale w pierwszéj, obok wielkiego rozwichrzenia, rozmachania, potworów i walk, kolor jest w swéj powszechnéj brunatności wstrętny, a w drugich reformator ma minę młodego Hamleciątka, którego głowa jest ładna i ciekawa, ale kiepsko wprawiona w różne mo-

tywy zbiorowe. Nie brak też mnóstwa wielkich malowanych rapsodyi z wojny 1870 r., z twarzami portretowanemi, z całą rodziną królewską, nie brak izb sejmowych ze wszystkimi dygnitarzami i mężami stanu, ale tutaj mniéj daleko natchnienia i polotu niż owego *sitzfleischu*, który tak sławił w Platenie Heine.

Miał myśl ale nie potrafił jéj wyzyskać Franz Amling w wielkim obrazie, gdzie śmierć odbywa przegląd poległych w wojnie francuskiéj. Popierwsze, śmierć zanadto przypomina Moltkego płaszczem i ramionami, a powtóre, korowód trupów jest jednostajny, bez fantazyi, wszystkie mają te same gapiowate miny — nie wywołują ani grozy, ani litości, ani żadnego nawet podlejszego dreszczu.

Niemcy mają wielkich pejzażystów. Meckel'a krajobrazy wschodnie są tego rodzaju, że można przed nimi siedzieć od rana do nocy. Ma on naprzód dziwnie piękny blado ametystowy ton ogólny a powtóre umié wybierać temata. *Allegretto pastorale*, przedstawiające pasterkę ze stadem owiec w blaskach wschodu słońca, porywa, rozmarza, roztęsknia, olśniewa. Jego ławy piaszczyste na pustyni, kędy snują się arabscy pielgrzymi, są sieroce i okropne, jak śmierć, a tak cudnie oświetlone, że doznaje się złudzenia, iż promienie się po nich ślizgają. Jego burzliwy wieczór na morzu przeraża otchłaniami, dziko skręconemi grzebieniami wód i czaruje blaskami, które tu i owdzie na dno wilgotnéj kotliny sypie księżyc. Perspektywy wyraźnéj nigdy nie daje, zawsze ją roztapia w świetlanéj mgle, w prawdziwéj migotliwości powietrza i chwyta brzaski silne i oślepiające. Trochę podobnie maluje Normann. Jego krajobrazy norweskie dalekie są od owéj mdłéj słodyczy, którą miałem sposobność widzieć u nas w Warszawie a i gdzieindziéj nawet. Okazuje się, że fiordy są po szwajcarsku piękne, ale i świéże, niezbyt niewieście, pełne nieznacznych efektów światła i powietrza. Bracia Achenbachowie nic szczególnego nie wystawili. Wyborne są rzeczy braci Eschke, Douzette'a (berlińczyka), kwiaty w słońcem zalanéj pomarańczarni Freudemanna, partye norweskie Grebego i Gudego. Wogóle Skandynawią zajmuje się, wielu. Juliusz Jacob dał fermę w dole pod lasem — prostą, malowniczą i prawdziwą niebywale. Nastrojowe pejzaże Ryszarda Kaisera są również wartości niepośledniéj. Krohga Chrystyana, dobrowolnego wygnańca, poety i współszermierza Garborga widzę tu „Locmana“ — dzika to energia i piorunująca prawda. Do czego zresztą prowadzi tu wyliczanie nazwisk? Jedne z nich pójdą w zapomnienie inne ażeby rozbrzmiéć sławą, nieraz jeszcze będą musiały stawać do turnieju. Lepiéj powiedzieć ogólnie, że osobliwego nowatorstwa w środkach technicznych i sposobie malowania tu nie widać, ale za to

czuje się, że pejzaż doszedł do punktu rozwoju szczytowego, że powołanie swe już choćby dlatego winien uważać za skończone. Wszystko naturze zostało wykradzione i napozór nieujęta gra świateł i tonów na fali morskiéj i przejrzystość wody i wilgotność powietrza. Macie i różne rodzaje światła płonącego: świéce, gaz, elektryczność, księżyc, słońce, gwiazdy — to już nie godne politowania wysiłki, ale prawdziwe źródła jasności. Jeśli może przybyć co nowego, to chyba nowy akcent dla zluzowania dzisiejszego. A ten znów jakże odmienny jest od dawniejszego. Rzecby można, iż pieszczotliwość i miękkość wyrugowano zeń doszczętnie. Motywów czułostkowych nie masz w téj ojczyźnie czułostkowości. Siła uczucia, siła prawdy, siła pracy, siła smutku lub wesela zastąpiły dawną oleistość i klejowatość pejzażów. Burza na morzu bywa wściekłą nie na żarty, trawę możnaby kosić, tak jest bujna i twarda, skibę możnaby krajać pługiem, a w mgłę chciałoby się dmuchać, taka lekka i powiewna.

I kto wié, czy ten pierwiastek męzkości nie stanowi rysu znamiennego malarzów berlińskich, czy ta jędrność nie wyróżnia ich z pomiędzy wszystkich wogóle pejzażystów, a z nią téż pewien chłód, ale i pewna szerokość. Ich góry, — a tych widzę moc ogromną — są prawdziwie alpejskiéj formacyi i na nich, co tak długo były przedmiotem nadużyć, najlepiéj bodaj uczuwa się zmianę. To już nie łańcuchy blado-zielonych stożków z błękitném jeziorkiem, ale chropowate wirchy, przepaścisty śniég, symfonia silnych barw. Niemal wszystkie słynne szczyty można tu odnaleść, jest i Jungfrau i Wetterhorn i Mnich — a zawsze twarde, samotne, dzikie, groźne, jak je stworzyła natura, a nie cukrowe lub pistacyowe ozdóbki globu, jak je pojmowano dawniéj. Niemcy, słowem, stali się w malarstwie przedmiotowymi i — mężczyznami.

Mają téż i znakomite portrety. Warthmüllera dama w szykownym stroju jest ostatnim wyrazem dobrego smaku w pozie i subtelności w wyrazie. Dama Fennera-Behmera jest tak naturalna w cerze, spojrzeniu, ruchu, że we wszystko uwierzyć można, tylko nie w to, że powstała sztucznie — jéj młodość pachnie. Pastelowy portret Maxa Konera przedstawia niemłodego malarza w chwili, gdy rysuje kogoś i świdruje go oczyma. Zdaje mi się, że pod siłą tego wzroku możnaby się uczuć zbrodniarzem, a na widok tych nabrzmiałych żył i natężonéj spracowanéj myśli, na widok cierpiącego czoła i chorobliwych oczów—można uwierzyć, że sztuka jest piekłem. Wspomnę jeszcze o Räuberze, Menshausen'ie, Ritterze, Sambergerze, Schwarzu, Sassnicku, Meyn'ie i t. d. Portretów sztywnych i urzędowych już nie ma. To całe obrazy ludzi, pochwyconych bądź w ruchu i wyra-

zie najżywszych, bądź z wystawioną na zewnątrz duszą. Tak być powinno.

I rodzajowych obrazów nie brak, ale i tutaj coraz mniéj „*witzów*“—aczkolwiek są jeszcze i ciuciubabki i zabawy z psami i kotami, i wróble w butach znalezionych i to wszystko, co się tak wybornie nadaje do ogłoszeń o szuwaksie, szelkach, grzebieniach i wszelakiéj norymberszczyznie. Rozkosze życia rodzinnego również są obficie wystawione. Pyszne też znaleść można okazy zwierząt, lwy, konie, ptastwo, motyle, słonie, wielbłądy, ryby w wielkiéj ilości i wszystkie wyborne.

Düsseldorf i Monachium mają osobne salony. Co uderza odrazu w pierwszym z nich, to parę krajobrazów tak wyśmienitych, że bodaj czy nie trzymają one prymu na całéj wystawie. Prawdziwém arcydziełem jest okręt stojący u brzegu, a zmiażdżony przez krę lodową — Ludwika Herzoga. Jest tu mistrzowsko i chyba po raz pierwszy wystudyowana gra świateł w lodowym zatorze, pełna pięknéj tęczowości, śliczny zimowy krajobraz i niesłychana prawda w ugrupowaniu i poruszeniu tłumów na brzegu. Chyba że siły pędzla daléj posunąć nie można. Cudownie powietrzne są i głębokie dzieła Henryka Heimesa. Sophus Jacobsen potrafił z ogranych motywów Wenecyi wydobyć istne skarby prawdy i poezyi. Krowy leżące Adolfa Linsa wyłażą wprost z obrazu, Munthego partye leśne zdumiewają siłą. Wogóle szkoła ta — którą jednoczą chyba tylko mury jednego miasta — ma tu paruset przedstawicieli. Pejzaż góruje, ale są i historyczne, jak ów wspomniany a uznany za najlepszy Janssena, są i wszelkie inne. Właściwości charakterystycznych dopatrzyć się trudno. Pojęcie szkoły należy do przeszłości — rozsadził je indywidualizm osobisty, o który się stara każdy za wszelką cenę, w połączeniu z równającém wszystkich i wszystko wymaganiem prawdy.

Prędzéj już znaleść można coś odrębnego w monachijczykach. Ale doprawdy radzę być w wyprowadzaniu bardzo ostrożnym. Nad Izarą maluje sto narodowości, krzyżują się wpływy Francuzów, Niemców z epoki Holbeina i Dürera, Włochów, Aglików, Holendrów, a przedewszystkiém *kunsthaendlerów*. To nie rasa — ale ogromny rynek, a rynek stwarza wprawdzie niekiedy dzieła wiekopomne, bo jest zarazem polem bitwy i chwały, lecz rozstrzela gusta i różniczkuje charakter.

Wytykano długi czas monachijczykom, że zaprawiają wszystko szarym sosem. Co prawda i dziś znaleść go można sporo po pracowniach, nie silących się na dotrzymanie kroku prądom świeżym. Ale tu na wystawie nie zostało go ani śladu — owszem, możnaby raczéj

oprzéć charakterystykę płócien z nad Izary na tém, że są w kolorze silne i czyste. Ale, jak się rzekło, nie tworzą one już szkoły, lecz pstrą gmatwaninę indywidualności osobistych i plemiennych. W niéj zaś rozróżnić można niektóre wpływy wydatniejsze. Nie ulega wątpliwości, że większa bliskość Francyi dodała swobody kompozycyom; temata są rozmaitsze, bardziéj dowolne, a często nawet dziwaczne i naciągane. Niektórzy artyści o jaźni potężnéj, na pozór trudnéj do naśladowania, wycisnęli jednak na ogóle piętno głębokie — do takich należy genialny kolorysta i fantastyk Arnold Böcklin, którego najwięcéj dzieł posiadają zbiory monachijskie. Możnaby tu naliczyć do piętnastu naśladowców jego i niemal — dłużników (Zieger, Hendrich są wprost bezceremonialni). Tak chwalony teraz Stuck jest najwidoczniéj jego odroślą, choć się do tego nie przyznaje. „Adam i Ewa“ rozdzieleni drzewem, z którego ześlizguje się wąż kusiciel, nie mają jednak dobrego smaku Böcklina, lecz manierę symbolistów z ich zagadkowemi, rozmyślnie brzydkiemi liniami; podobnież „Satyr goniący nimfę“, tak, że oboje niemal twarzami dotykają ziemi — ma w sobie tylko potworność bez prawdopodobieństwa i wdzięku. „Kuszenie Chrystusa“ również zdradza chęć wytworzenia sobie indywidualności przez umyślną sztywność i jakiś niepochwytny, ale niełądny akcent a „Muszle“ są znakomite, ale wzięte z... Böcklina. Z tego samego pnia wyrósł Wilhelm Peters z geniuszami w modréj wodzie.

Nowa siła zapowiada się w Maksie Klingerze. Czuć tu i Böcklina i bodaj Loefftza. Nadzy chłopcy oświetleni tajemniczo ogniem z pod skały morskiéj to studyum nagości i refleksów znakomite. „*Piètà*“ głową leżącego Chrysusa i bezbrzeżnie bolesnym wyrazem pobudza do płaczu. Głowy i studya Alberta Kellera cudnie delikatne, smakowite i szlachetne są w karnacyi, a pełne duszy w oczach. „Rybaczka“ Paperitza ma wdzięk i powab szwabski, a jéj ryby dokładność Snydersa i Weenixa. Franciszek Uhde, który tak lubi pojmować Zbawiciela demokratycznie i wprowadzać go w otoczenie współczesnych chłopów, dziś już nie robi wrażenia. Za to jego roześmiana dziewczyna drga życiem i ogniem. Głowy dziecięce Wagnera, jak zawsze szczere i naiwne. Rau po dawnemu małpuje tyrolskie sceny Defreggera. Gabryel Max daje upust żółci w wylegujących się małpach, które nazwał „Filozofami“, a które zawsze maluje świetnie. Dziesiąty już może Lenbachowskiego pędzla Bismarck jest wyborny. Blume'go „Ojcze nasz“ ze smutnie zamyśloną staruszką i rozmodloną dziewczyną, przejmuje dreszczem melancholii i uderza prawdą. Tysiąc innych dzieł pomijam z łatwo zrozumiałéj koniecz-

ności, ażeby wspomnieć o dziwolągu czysto symbolicznym. Przez kładkę nad oceanem (!) niewiasta zabawnych kształtów prowadzi na łańcuchu z róż młodzieńca. Przed nimi koza, a dokoła cała woda pokryta czarnymi łabędziami, których ciżba zlewa się w dali w jakąś brzydko kropkowaną masę i napędza tęsknotę za proszkiem perskim. Nie ręczę, czy to nie jest humor umyślny.

Malarstwo monachijskie więcéj goni za poezyą, nastrojem, ekscentrycznością, słowem, za jakimś podmiotowym dodatkiem uczucia lub myśli, jednostka jest tam mniéj normalna i szablonowa, ale czuć wyraźnie, że jedni drugich podpatrują w pracowniach i na wystawach, że pokusa zyskownéj sprzedaży i łatwéj sławy demoralizuje i osłabia poszanowanie bezwzględnéj własności pomysłu.

Gdyby rozkład płócien był umiejętniejszy i oparty na zasadzie narodowości, a nie na sąsiedztwie w daném mieście, możnaby stworzyć sobie niezłe pojęcie i o Norwegczykach, których jest trochę, i o Węgrach, Czechach i t. d. Francuzi odrzynają się dosadnie — Dagnan Bouvereta „Madonna“, pełna prostoty i słodyczy macierzyńskiéj. Dubufe'a młodszego naga kobiéta z wachlarzem jest tak powiewnie malowana, jakgdyby powstała z rozpuszczonych listków róży. Można wobec niéj uwierzyć, że Wenus powstała z piany morskiéj. A jednak ciało to żywe, woniejące,—nie mydło, ani porcelana.

Polaków rozproszono po różnych salach. Jest ich liczba pokaźna i dobór nie zgorszy. Portrety Pochwalskiego odrazu chwytają błądzący po ścianie wzrok. „Tkacz“ Wacława Szymanowskiego, zaplątany jak pająk w swe krosna, deski i sznury, w ciemnéj izbie o okienku w głębi, zastanawia nowością motywu, ale jest całkiem zimny i nie posiada zamierzonéj, zdaje się, poezyi światłocienia. „Ogrodniczkę“ Boznańskiéj znamy z Towarzystwa zachęty — robi ona tu wrażenie bardzo korzystne. Obrazy Chełmińskiego zalecają się piękną robotą i poczuciem artystyczném. „Basior na czatach“ Wierusza Kowalskiego jest za dobry i za prawdziwy i za obcy, ażeby Berlińczycy mogli się na nim poznać. Jest téż i Fałat i Wywiórski i Kochanowski.

Na sztychy i rysunki nie mam miejsca — są między nimi doskonałe, a powiem słów parę o rzeźbie. Niemcy ją uprawiają z zamiłowaniem. Już samo zapotrzebowanie pomników i posągów, już sam wartki bieg historyi, wysuwającéj na czoło nowe wypadki i nowych ludzi zatrudnią rzeźbiarzów. Łatwo się domyśléć, że odwieczny nałóg sztywnéj alegoryi nie prędko wypuści z swych kleszczów naród tak ciężki i zasiedziały w fałszywym klasycyzmie. Biorę dla przykładu Gustawa Eberleina, z pod którego dłuta niejedna piękna

grupa już wyszła. Posiada on niezaprzeczony polot i nieposzlakowany rysunek. Jego kobiéty celują wdziękiem a lwy imponują siłą i prawdą. A przecież symbole jego, choć na wielką pomyślane skalę, kuleją na punkcie logiki i wyrazistości — poprostu nie tłómaczą się. Wspaniała królewskim spokojem grupa zwycięstwa może figurować śmiało na wszelkich placach i gmachach o najrozmaitszém przeznaczeniu. „Pokój umacniający siłę kraju“ dyszy wprawdzie majestatem, ale wymaga koniecznie objaśnienia. „Śpiéwające dzieci“ Jerzego Lunda, także berlińczyka, mają buziaki otwarte tak naiwnie, tak mile i prawdziwie, że chciałoby się je całować. „Zapaśnicy starożytni“ Johanna Götza naprawdę pasują się, jeden drugiego chwycił już wpół i uniósł w górę. Obadwaj zda się pękną z wysiłku i natężenia. Portrety i popiersia Artura Boué'go, Jerzego Rasmussena — również Niemców — tchną energią i dosadnością. Ale kto wié, czy nie najlepsze rzeczy przypadają na gości. Bawarczyk Schönau wystawił chłopca, który wyrzucony przez morze na skałę, dostrzega zdala okręt. Oczywiście okrętu nie widać, ale wyraz rozpaczy i obawy, że deska ratunku zniknie, tak się w jego źrenicach i skurczach mięśni połączył z nagłem świtaniem nadziei, że nas paraliżuje poprostu i mimowolny okrzyk z piersi wydobywa. Jest-to mojem zdaniem cenne dzieło. „Kochankowie“ Duńczyka Stefana Sindinga tak się namiętnie spletli uściskiem, tak gorącą tworzą grupę, że ją urzędownie nazwano (pod wpływem komisyi cnoty) „Dwojgiem ludzi.“ A przecież mimo swój żar miłosny są przyzwoici i klasyczni. Podobnież unosić się trzeba nad „Zubożałą“ Włoszką, która gra na mandolinie, podczas gdy przytulone do niéj dziewczątko nieśmiało wyciąga rączkę. Płaskorzeźba Toberentza „Na grobie“ przedstawia rzecz starą: anioła z załamanemi dłońmi, ale jakże on wzrusza! Schaussa biust pewnéj pani jest zręczny, iście po francusku. Dziewczyna, czerpiąca wodę jedną z dwóch zawieszonych na ramionach konwi, jest i oryginalna i ciekawa w ogólnym zarysie i wyborna w ostrożném swém pochyleniu nad wodą.

Jest tu co widziéć; szkoda tylko, że ziarno niemal ginie śród plewy. Setki Wilhelmów, Bismarków, Moltków, Luitpoldów, pieszo, konno, na miękko, na twardo, na biało, na żółto, robią takie wrażenie, jakgdyby na świecie nie było Andrzeja Verocchio, który swoim Colleonim i rumakiem żywszym i ruchliwszym od koni żywych raz na zawsze powinien był podnieść skalę wymagań ponad wszelkie okazy cięźkiéj i lekkiéj kawaleryi. Prócz staranności roboty, która jest zaletą Niemców znaną oddawna, nie ujawniają one nic godnego uwagi,

chybabyśmy wzięli pod uwagę pewną porcyę niesmaku w postaci jakichś wieńców na głowach i różnorodnych, teatralnych dodatków. Trzeba podziwiać, że uwielbienie dla sędziwego monarchy tak mało działa na zmysł sztuki a tak bardzo podsyca żądzę odznaczeń i tytułów. To też ponad wieloma z tych rzeźb jak i zresztą pod wieloma malowidłami odpowiedniego rodzaju złoci się napis: *Vom Staate angekauft.* Jeśli to wszystko ma pójść do Muzeum narodowego, w takim razie zamieni się ono w przybytek rodowodowych ilustracyi *ohne ende...*

Z tych olbrzymich, apokaliptycznych wierzchowców i barczystych wodzów, z tych pretensyonalnych i ciężkich ćwiczeń wymusztrowanego dłuta wzrok przenosi się z lubością na drobne, niepokaźne utwory Antokolskiego. Jego Chrystus mówiący do narodu, drga cichą, skupioną świętością, w któréj niemasz wyolbrzymienia, ale tylko potulność i powaga syna Bożego. Płaskorzeźbiony malarz, będący portretem, jakże jest delikatny, wytworny i liryczny. Za to Piotr Wielki prócz okazałéj postawy, mocnéj i pewnéj pozycyi, nic głębszego nie wyraża.

Przegląd mój, jest rzecz prosta, tylko szkicowy, że użyję wyklętego dziś wyrażenia, impresyonistyczny. I składa się na to nie sam wzgląd na cierpliwość czytelnika, który z opisu dzieł sztuki przyjemności wielkiéj mieć nie może, ale obezwładniające w istocie bogactwo materyału. Zwłaszcza malarstwo dzisiejsze, a na jego tle znów malarstwo niemieckie, weszło w stan takiéj bajecznéj płodności, że trzeba je z musu traktować katalogowo. Ujmować więc w grupy? Nie byłoby racyi, gdyż każdy rok przynosi z sobą nowe kierunki i podkierunki a wobec tak przyśpieszonéj przemiany materyi czyż byłoby słuszném dłużéj się nad jedną w niéj chwilkę zastanawiać?

Jest-to rysem wielce dla sztuki dzisiejszéj znamiennym, że błądząc po takich jak berlińska wystawach, widz musi rozstać się z myślą poznania wszystkiego. Erudycya staje się mrzonką, jak staje się niemal mrzonką dla artysty wyrosnąć głową ponad te nieprzeliczone tłumy współzawodników. Czy sobie oni wzajem osiągnięcie celu ostatecznego ułatwiają? Czy sobie w pogoni za ideałem, za sławą twórców arcydzieła i za korném uwielbieniem tłumów nie przeszkadzają czasem? Jesteśmy skłonni wierzyć, że tak. Jeżeli nie jest zbytnią odwagą powiedzieć, iż może istnieć zarówno ideał obrazu jak i ideał rzeźby, a nań złożyćby się musiały wszystkie te czynniki ducha, które człowiek w obecnéj chwili dziejowéj ukochał i pielęgnuje, to nie będzie ulegać wątpliwości, że sztuka niemiecka do téj mety nie o wiele

się zbliżyła, tak samo zresztą, jak i sztuka innych ludów, a to z przyczyny bardzo ogólnéj, a mianowicie niebywałego zróżnicowania się upodobań indywidualnych. Żyjemy w dobie przejściowéj. Dawne hasła artystyczne nie zdołały zabrzmiéć z należytą siłą a już rozlegają się nowe. W takim zamęcie, w takiéj niebywałéj złożoności gustu powszechnego, można oczekiwać tylko szczęśliwych przypadków powodzenia, ale nie dzieł porywających duszę całą i wiekopomnych.

Cezary Jellenta.





Ulica Nowomiejska albo Gołębia

W WARSZAWIE.

W aktach magistrackich, w taryfach starych, w *Voluminach legum* — Nowomiejska; w stosunkach codziennych, w mowie potocznéj, w pobieżnych zapiskach dziennikarskich — Gołębia. Skąd ta dwuimienność? Stąd, że lud każdy, a zwłaszcza lud warszawski, ma upodobanie w nadawaniu ludziom i rzeczom przezwisk. Nazwa urzędowa istnieje dla urzędu i lud spotyka się z nią tylko na papiérach z pieczęcią; pomiędzy sobą posługuje się on nazwą odrębną, przez siebie stworzoną i częstokroć dla siebie tylko zrozumiałą.

Nazwisko bywa często bezduszne i nic nie mówiące; przezwisko jest prawie zawsze pełne życia i malowniczości. Dla formalisty, studnia na Tłomackiém będzie tylko studnią na Tłomackiém; dla ludu jest ona „grubą Kaśką“, a więc rzeczą prawie żywą, posiadającą charakter własny i samoistność.

W staréj Warszawie, jak wogóle w starych miastach, nie kto inny jeno lud chrzcił domy, ulice i place. Jedne z tych przezwisk, adoptowane późniéj przez prawo, stawały się nazwiskami; inne los zamykał nazawsze w nieuświęconych granicach gwary ulicznéj. Przykładem pierwszych: Zapiecek, Dunaj, Krzywe koło i t. p.; przykładem drugich: Piekiełko, Prochownia, Żydowskie Bielany i t. p. Za naszéj już niemal pamięci, bo przed kilkoma dziesiątkami lat zaledwie, lud przechrzcił ulicę Gnojową na Celną (wedle jednych od pobliskiéj komory celnéj, wedle innych od właściciela posesyi i ogródka Celnera) i przezwisko to przeszło do akt urzędowych.

Ale *vox populi* najwyraźniéj ujawnił swą potęgę przy nazwisku

małéj uliczki, stanowiącéj przedłużenie Mostowej do Wisły. Uliczkę tę, z przyczyny znajdującego się przy niéj ongi więzienia gubernialnego, przezwał lud „Boleścią“, ponieważ jednak boleściwe to miano nie przypadło do smaku, t. zw. „Komisyi brukowéj“, więc dekretem, w roku 1784 wydanym, przemianowała Boleść na Poprawę. Nic to, niestety, nie pomogło: nazwa urzędowa pogrzebana została w aktach, a uliczka jak zwała się tak dotąd się zwie Boleścią.

Z tegoż samego źródła powstawały podwójne nazwiska mieszczan, bardzo pospolite w wiekach: XVI-ym i XVII-ym. Występują wówczas np.: Zalewski *alias* Rysownik, Sękocki *sive* Wawro, Rutka zwany Wilk i t. p. W mieście i dla miasta byli oni z pewnością tylko: Rysownikiem, Wawrem, Wilkiem i t. p.

Otóż tą drogą i ulica Nowomiejska stała się Gołębią.

Przypuszczam, że gołębie, od których nazwę swą wzięła, były stałymi i licznie rozmnożonymi mieszkańcami zamykającéj ją Bramy nowomiejskiéj. Ptaki te chętnie gnieżdżą się w starych murach, zwłaszcza obfitujących w załomy, otwory, wklęśnięcia, i jaknajbardziéj oddalających się od dzisiejszego, gładkiego i prostolinijnego typu. Jestem niemal pewny, że całe ich stada ulatywały nad odwieczną, nietynkowaną budowlą bramy i nad kilkoma pobliskiemi basztami i że spadały często na bruk ulicy, szukając żeru i gładząc dzioby o twarde kamienie.

Akta staréj Warszawy dowodzą, że ulica ta wcześniéj zwała się Gołębią niż Nowomiejską. Pod rokiem 1770-ym zapisano w nich: „*platea* Nowomiejska, *ante* Gołębia.“ Nietrudno odgadnąć, że miano Nowomiejskiéj otrzymała stąd, iż wiodła w stronę Nowego miasta czyli Nowéj Warszawy. Trudniejszém jest natomiast do zrozumienia: jakim sposobem w wieku XVII-ym istniéć mogły w naszém mieście równocześnie dwie ulice Gołębie...

A jednakże tak było.

Druga ulica Gołębia leżała w niewielkiéj odległości od pierwszéj, ale już za murami. Znajdowała się ona mianowicie w tyłach dzisiejszéj Zakroczymskiéj. Kronika kościoła po-Franciszkańskiego upamiętniła fakt, że pierwotny budynek kościelny (który był drewniany, miał dwie kapliczki i łączył się z drewnianym również klasztorem) stanął w r. 1646 pomiędzy placem Pociejowskim a uliczką Gołębią. Nie było to jednak toż samo miejsce, w którém kościół dzisiejszy stoi. Tamta budowla padła ofiarą najazdu szwedzkiego, a potém ognia, i śladu z niéj nie zostało.

Dziś na ulicy Gołębiéj nie ma gołębi, bo nie ma i bramy, w któréj się one gnieździły. Rozbiérano ją częściami w latach: 1704,

1791, 1794 i 1818. Pozostał po niéj plac pusty, którego część zajmowały dawniéj stragany i budy, dziś zaś zajmuje tak zwany Bazar, stojący frontem do Podwala. Jedynym szczątkiem bramy téj dotąd zachowanym, jest kamieniczka pod nr. 164, przerobiona z baszty, która w skład ogólnéj budowli wchodziła. Z ponad dachu téj kamieniczki wyziera zębaty, od starości poczerniały szczyt baszty, a okienka jéj, na wysokości drugiego piętra, są wprost: oszklonemi strzelnicami.

Brama Nowomiejska zamykała ulicę, a zarazem stanowiła północny kres Staréj Warszawy. Kościoły: Paulinów i Dominikanów leżały już za murami, a do jednego i do drugiego przylegały cmentarze grzebalne. Daléj rozkładała się Nowa Warszawa, *Nova civitas varsoviensis*, zamknięta z kolei naturalną granicą rzeczki Drny, dziś już nieistniejącéj. Daléj zaś jeszcze, biegł równolegle do Wisły gościniec publiczny, zwany ongi „traktem gdańskim.“

Brama nowomiejska była największą i najobronniejszą z bram Staréj Warszawy. Składała się ona z dwóch budynków oddzielnych oraz z wydłużenia, które dochodziło do kościoła Paulinów i kończyło się furtą zamczystą. W połączeniu z przyległemi murami budynki te tworzyły jakby małą twierdzę.

Różnolitość bramy téj była powodem, że w wieku zeszłym i zaprzeszłym mawiano o niéj w liczbie mnogiéj: „Bramy nowomiejskie.“ Tak naprzykład w spisie dochodów miasta pod rokiem 1766 znajdujemy między innemi:

„Z wynajmu mieszkań i bud przy Bramach
Nowomiejskich . . . . złp. 2,697.“

Pierwsza z bram (licząc od ulicy Nowomiejskiéj) była budynkiem piętrowym czworograniastym, z takąż, dość wysoką, wieżą. Z prawéj strony przylegała ona do kamienicy pod nr. 161, z lewéj łączyła się z murem obronnym. Otwór jéj zamykany był kratą, na noc opuszczaną. Na piętrze mieścił się początkowo skład broni i amunicyi, następnie skład narzędzi ogniowych, wreszcie mieszkanie prywatne. Dół zajmowały drobne kramy kupieckie.

Druga brama za pośrednictwem baszty półokrągłéj (dziś dom nr. 164) dotykała posesyi, zwanéj Dworem gdańskim. Posesya ta stanowiła prawy bok przejścia pomiędzy dwiema bramami, lewym zaś bokiem przejścia tego był mur, jeżący się trójcą baszt od strony Podwala. Brama druga była mniejsza od pierwszéj, zamykała ją zaś, podobnie jak tamtą, żelazna, ruchoma krata.

Jak zwykle przed każdą z bram obronnych, znajdował się

i przed Bramą Nowomiejską rów głęboki z mostem zwodzonym. Niezależnie od tego, plany najdawniejsze pouczają nas, że ze zwartego pierścienia murów obronnych wychodziła w tém miejscu odnoga, zasłaniająca szpital Ś. Ducha, tuż przy kościele pod témże wezwaniem, a wprost ulicy Mostowéj, zwanéj przez długi czas Łazarzową. Ulica Nowomiejska zamknięta była w tém miejscu po raz trzeci bramą, najmniejszą pod względem wymiarów, która też nosiła pospolicie miano „furty“.

Jeszcze w końcu wieku XVII-go mieszczanin warszawski, gdy minął dwie bramy nowomiejskie, spotykał przed sobą widok posępny. Wśród stłoczonych w tém miejscu budynków, w cieniu olbrzymim, przez wyniosłe mury i baszty rzucanym, wznosiło się po prawéj ręce więzienie, „Wieżą marszałkowską“ zwane, po lewéj wspomniany już szpital, a przy szpitalu, tuż w zetknięciu się zaułka tego z Podwalem, krzyżami posiany cmentarz, z ponurą, ciężką i ku obronie wojennéj przygotowaną bramą. Z po za muru wychylały się wieżyce dwóch kościołów: Ś. Ducha i Dominikanów, a zaraz za furtą leżał nowy cmentarz, czerniały nowe mogiły i śmierć mówiła raz jeszcze każdéj rzeczy i każdemu człowiekowi: *memento mori*...

Dziś miejsce cmentarza zajmuje duża kamienica pod nr. 502, wspomnieniem szpitala jest dom pod nr. 167, a po więzieniu marszałkowskiém pozostała posesya narożna od Mostowéj, numerem 166-ym oznaczona.

Bramy nowomiejskie rozebrane zostały jeszcze w zeszłém stuleciu, jedna z nich wszakże (środkowa) dotrwała do początków naszego wieku. Ostatnie jéj pozostałości rozrzucono w roku 1818-ym. Były niemi trzy posesye, oznaczone numerami: 168, 169 i 503. Jedna z nich znajdowała się w dawném międzymurzu, dwie dotykały murów starych bokami.

W taryfach z przed roku 1818 o posesyach tych czytamy:

Nr. 168. Dworek Piotrowskiego. Stajnie miejskie. Kamienica Kolczyńskiéj.

Nr. 169. Kamienica miasta Warszawy.

Nr. 503. Kamienica miasta Warszawy. Stajnie miejskie. Kamienica Piekarskiego.

Po nabyciu przez rząd i rozebraniu trzech tych posesyi utworzył się przy zbiegu Podwala z Nowomiejską obszerny plac pusty, na którym wyrosły zaraz jakby z pod ziemi budy, kramy i stragany. Przez długie lata istniał tu targ, na którym, wedle źródeł współczesnych, sprzedawano: „drzewo, węgle, obręcze, klepki i tym podobne artykuły, przez włościan na furach przywożone.“ Cegły z rozebranych bu-

dynków, pomiędzy któremi były i stwardniałe na granit szczątki starego muru miejskiego, przeszły: częścią do gmachu Teatrów rządowych, częścią do b. Pałacu namiestnikowskiego na Krakowskiém-Przedmieściu. Niebawem, prócz drewnianych klitek i stołów przenośnych, stanął tu budynek miejski murowany, w którym znalazło pomieszczenie 20 sklepów dla przekupniów i handlarzy. Wreszcie około r. 1870-ym budy i stragany znikły doszczętnie, a miejsce ich zajął długi, jednopiętrowy bazar, przez sklepy i warsztaty całkowicie zajęty.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach historya Bramy nowomiejskiéj, o któréj to jeszcze powiedziéć trzeba, że w epoce pierwszego najazdu Szwedów ważną przy oblężeniu Warszawy odegrała rolę.

Dom pod nr. 166, o którym już wspomniałem, z dwóch względów ma prawo do pamięci potomnych. Tu mieściło się przez czas długi więzienie zwane „Wieżą“ lub „Kozą marszałkowską“; w tém też miejscu stała najpierwsza w Warszawie łaźnia.

Łaźnią tą obdarzył miasto jeszcze w wieku XIV-ym Jan, książę mazowiecki — z faktem zaś tym łączy się ważna dla Warszawy pamiątka: wydanie najdawniejszego ze znanych i przechowanych przywilejów miejskich.

Szacowny ten dokument, ciekawy zarówno pod względem historycznym, jak gospodarskim i obyczajowym, godzien jest, aby go tu przepisać w całości. Oto jego osnowa, w przekładzie z oryginału łacińskiego:

„W Imię Pańskie. Amen.

My, Jan, z Bożéj łaski Książę Wizki, Warszawski, Zakroczymski, Pan i Dziedzic Ciechanowski, na wieczną rzeczy pamiątkę, wszem wobec i każdemu w ogólności pragniemy, aby było wiadomo. Starając się miasto nasze do większego porządku doprowadzić i ciągle ulepszać, mieszczanom naszym, rajcom i całéj zresztą gminie w rzeczoném mieście Warszawie osiadłym, dajemy pozwolenie zupełne na wystawienie za miastem wspomnioném blisko mostu (zwodzonego, na fosie przed bramą [1]); urządzenie i wybudowanie łaźni. Gdy zaś ta będzie przez nich wystawiona i całkowicie ukończona, natenczas wymienieni mieszczanie i opłaty i całkowity dochód z téj łaźni corocznie i na wieczne czasy będą

---

[1]) Dwuznaczne to wyrażenie wprowadziło w błąd nawet tak znakomitego znawcę przeszłości Warszawy, jak Sobieszczański. Fałszywie pojmując słowa „blisko mostu“ (*prope pontem*) nie wahał się on twierdzić (w artykule p. t. „Pochodzenie nazwisk ulic m. Warszawy“), że „most na Wiśle istniał zatém daleko wcześniéj, niż Anna Jagiellonka o nowym w r. 1568 pomyślała, a w r. 1573 wystawiła.“ Jestto niezgodne z prawdą, jakoż i sam Sobieszczański nigdy już potém omyłki téj nie powtórzył. (*Przyp. autora*).

pobierać bez żadnéj przeszkody na urządzenie i naprawę rzeczonego mostu. To jednak chcemy, aby w każdym tygodniu, jednego dnia, który nam dogodny będzie albo który my sami z małżonką ukochaną wybierzemy, z całym dworem naszym, wolno nam było kąpać się w téj łaźni, bez żadnéj pieniężnéj opłaty.

Na dowód i upewnienie czego kazaliśmy niniejszy przywiléj napisać i pieczęć naszą przywiesić.

Działo się i datowano w Zakroczymiu, w dniu Św. Anny, w roku pańskim 1376."

Tu nie zawadzi objaśnić czytelnika, że łaźnia w życiu Słowian wogóle, a dawnych Polaków w szczególności, odgrywała ważną rolę, nietylko prywatną ale nawet publiczną. Pierwszy wspomina o niéj Nestor, kronikarz ruski, który w usta św. Andrzeja kładzie słowa następujce: „Gdym przybył do krajów słowiańskich, widziałem w nich rzeczy dziwne: łaźnie drewniane, a w nich piece kamienne, które mocno rozpalają, zwlekają się do naga, polewają się ciepłą wodą i winnikami się chłoszczą tak mocno, iż ledwie żywi wychodzą. Lecz wyszedłszy, polewają się wodą zimną, która ich ożywia." Był zwyczaj w dawnych wiekach, że młodzieńców, o niezbyt ciężkie przewinienie obwinionych, wprowadzano do łaźni królewskiéj, gdzie sam panujący „ręką ojcowską" karę im wymierzał. Stąd wyrażenie: „sprawić komu łaźnię". Rycerze Świętopełkowi w łaźni napadli i poranili Henryka Brodatego. Wielkim miłośnikiem łaźni był Władysław Jagiełło, o którym Stryjkowski pisze:

Wina, miodu nie pijał, tak rzeźwo żył zawzdy,
Przezedni się w łaźni mył abo na dzień każdy,
A winnikiem się chwostał, mówiąc: *a je, je, je*
Po litewsku, — a w cieple na wierzchnicy zieje.

Używali wreszcie łaźni Zygmuntowie I-szy i II-gi, — ale już na nich obyczaj ten się kończy. Gdy zarzucili go panujący, wygasać też począł i wśród magnatów. Jeszcze wszakże za Władysława IV szlachta i mieszczanie warszawscy „chwostali się winnikiem", nietylko w łaźni miejskiéj, ale i w prywatnych, które istniały w domach i dworach miejskich, oraz przy licznych w owe czasy gospodach. Dowodem wiersz współczesny, którego autor, wyszczególniając zalety gospód owych, mówi:

U Gąsiorka w Długoszewskim,
U Kaliny téż w Gizowskim
Znajdziesz łaźnię z fontannami,
Ogródeczek za oknami...

Odtąd stopniowo łaźnie upadały, coraz mniéj znajdując zwolenników.

Jak urządzoną była łaźnia pierwotna? Tak zupełnie jak dzisiejsze, zachowawcze „banie“. Na rozpalone silnie kamienie lano wodę, z któréj kłębami dobywała się para. W téj parze gorącéj rozebrani do naga ludzie parzyli ciało, aby wywołać obfite poty. Górnicki w „Dworzaninie“ kreśli (nawiasem zresztą tylko) dosadny łaźni takiéj obrazek:

...„Jeden się tu maże gorzałką z mydłem, drugi maścią od urazu; więc ten puszcza bańki, a ów siecze się winnikiem; zasię woła jeden: zaléj! a drugi-by rad, żeby drzwi uchylono...“

Gdy w roku 1577 łaźnię przy bramie Nowomiejskiéj wypuszczano w wieczystą dzierżawę niejakiemu Baltazarowi Pierzchale, łaziebnikowi miejskiemu (*balneator civilis*), zastrzeżono, aby bezpłatnie golił przybywających tam zakonników, oraz, również bezpłatnie, leczył (?) sługi miejskie.

Łaźnia ta spłonęła sama, czy też rozmyślnie spaloną została podczas pierwszéj wojny szwedzkiéj, a zgliszcza jéj sterczały aż do roku 1694-go, w którym na nowo ją odbudowano. Ale gdy i ta padła pastwą ognia, miasto łaźnię skasowało i na jéj miejscu zwykłą kamieniczkę wzniosło.

W czasie powszechnego używania łaźni, a więc i znacznéj zamożności łaziebników, istniał w Warszawie oddzielny cech łaziebniczy. Późniéj zubożał on i rozwiązał się, a z epoki upadku jego pozostało przysłowie „obdarty jak łaziebnik“.

Istniejąca dotąd pod Nr. 164 baszta wraz z przylegającą do niéj, a rozebraną częścią Bramy Nowomiejskiéj, zwana była od pierwszych lat XVIII w. „Wieżą“, „Kozą“, albo „Kordygardą marszałkowską“, która to nazwa przeżyła o wiele rzecz samą. Od r. 1701 w budynkach tych mieściły się: kordygarda, odwach oraz areszt straży marszałkowskiéj, to jest znajdującéj się przy boku marszałka wielkiego koronnego.

Nie trzeba jednak téj „Wieży marszałkowskiéj“ brać za jedno z inną, stanowiącą szczątek murów obronnych, a któréj ślad dotąd oglądać można na załamaniu Krzywego-koła, w tylném podwórzu domu nr. 188. Ta ostatnia była wieżą nietylko z nazwy, ale i z kształtu.

Do kordegardy marszałkowskiéj tych sadzano, którzy jurysdykcyi marszałka podlegali. Marszałek przenosił się za królem i sprawował władzę policyjną oraz sądową w mieście, w którém przebywał panujący. Władza ta obejmowała zakres rozległy, granice

zaś jéj wskazywały tak zwane „artykuły marszałkowskie“, których istniało dwadzieścia. Najpierwszym obowiązkiem marszałka było: utrzymywać porządek i nie dopuszczać gwałtu w pobliżu osoby i dworu monarchy.

Marszałkom przysługiwało w pewnych wypadkach (naprzykład: za dobycie szabli na pokojach królewskich) prawo miecza; nader rzadko wszakże z niego korzystali. Kiedy za Jana Kazimierza, smutnéj pamięci Hieronim Radziejowski ze Służką, podskarbim nadwornym litew. zrobili rozruch nocą na Krakowskiém-Przedmieściu, sąd marszałkowski skazał Służkę na „wieżę i grzywny“, a Radziejowskiego na „bezeceństwo i głowę“ (po dzisiejszemu: pozbawienie wszelkich praw i karę śmierci). Wiadomo, jakie następstwa wyrok ten za sobą pociągnął.

Jurysdykcya marszałkowska otwierała się na dwa tygodnie przed każdym sejmem, a na kilka dni przed przybyciem panującego w innych okolicznościach. Zwiastował ludowi otwarcie owo dźwięk trąby i głos woźnego, rozlegające się na głównych ulicach i placach miasta. Woźnemu towarzyszył oddział tak zwanych „węgrów marszałkowskich“, mając na czele instygatora marszałkowskiego. Zaraz po obwołaniu tém zaczynały chodzić nocami po Warszawie patrole czyli „ronty“, złożone ze wspomnianych Węgrów, gwardyi pieszéj i konnéj, a także ułanów królewskich. „A kogo — mówi Kitowicz— zdybali na ulicy chodzącego po capstrzyku, albo w szynkowni, lub przez podłość odzienia, albo źle daną na pytania odpowiedź, porozumienie o sobie sprawującego, zabierali na swoje *hauptwachy*, a nazajutrz odprowadzali do kordygardy marszałkowskiéj przy Bramie nowomiejskiéj będącéj, z któréj po justyfikacyi przed sądem marszałkowskim uczynionéj, odebrawszy karę zasłużoną, byli uwalniani.“

Prócz Węgrów marszałkowskich, do których należało: trzymać wartę przy kordygardzie i izbie poselskiéj, odbywać nocne ronty i wyprowadzać na miejsce stracenia skazanych na śmierć z wyroku marszałkowskiego, posługiwały się jeszcze sądy marszałkowskie pachołkami, czyli milicyą miasta Warszawy.

Słówko o téj milicyi.

Początkowo siłą zbrojną Warszawy, potrzebną tak do utrzymania porządku wewnątrz miasta, jak do zabezpieczenia się przed nieprzyjacielem zewnętrznym, tworzyli wszyscy mieszczanie, do noszenia broni sposobni. Każdy, kto przyjmował prawo miejskie obowiązany był składać magistratowi muszkiet, oraz pewną ilość amunicyi. W basztach urządzone były arsenały miejskie, miasto posiadało własną fabrykę broni, własną prochownię i ludwisarnię. *Fra-*

ternitas Sagittariorum, czyli bractwo łuczników uczyło swych członków (a byli nimi prawie wszyscy mieszczanie) celnego strzelania, obchodzenia się z bronią i manewrów wojennych.

Z tego pospolitego ruszenia wyłoniła się późniéj milicya miejska.

W początkach wieku zeszłego milicya ta dzieliła się na dwie kompanie: polską i cudzoziemską. Pierwsza liczyła 50 ludzi. Ubiór jéj był: suknia granatowa z amarantowym kołnierzem, buty safianowe żółte, czapka biała, przy boku szabla z ozdobną głowicą, broń krótka bez bagneta. Oficerowie mieli w ręku piki. Druga składała się z 60 ludzi i strój nosiła cudzoziemski: pończochy czarne, takież trzewiki ze srebrnemi sprzążkami, spodnie do kolana aksamitne koloru amarantowego, kamizelka długa biała ze złotemi galonami, na wierzchu rodzaj fraka z niskim aksamitnym kołnierzem barwy szafirowéj, ładownica przez ramię na białym pasie ze złotemi brzegami, w ręku sztuciec krótki, z szeroką kolbą, srebrem lub złotem nabijany, na głowie kapelusz czarny trójgraniasty, niski, z białém piórem.

Jak widzimy, był to strój stosowniejszy do operetki, niż do służby praktycznéj — tembardziéj, że służba to była uciążliwa, pospolita i nie polegała wyłącznie na indyczeniu się i pawieniu. Za Augusta jednak Mocnego wszystko, co nosiło mundur, wyglądać musiało pstro, barwiście i teatralnie...

W końcu XVIII w. już ta milicya zeskromniała i liczbą i wyglądem. Za czasów Kitowicza składała się tylko z dwudziestu czterech pachołków i jednego wachmistrza. Ubiór jéj był: żółte żupany, błękitne, do kolan długie katanki z wyłogami żółtemi, guziki białe cynowe; na głowie czapka wysoka z czarnym barankiem, z żółtym wierzchem, buty na nogach czarne z podkówkami, spodnie błękitne, pas takiż; ładownica czarna, skórzana, przy boku szabla w czarnéj pochwie, karabin bez bagneta.

Sześciu pachołków wychodziło codziennie na służbę. Jeden trzymał wartę na ratuszu, jeden przed izbą sądową, jeden przed kordygardą. Reszta znajdowała się na pogotowiu w kordygardzie, „czekając—mówi Kitowicz—na obluz albo na jaki przypadek, porwać do kozy jakiego łajdaka, albo zwadliwą przekupkę.“

Z ostatniéj doby sądów marszałkowskich pamiętném zostało marszałkostwo Franciszka Bielińskiego, który odznaczał się w równym stopniu zamiłowaniem porządku i wyborną gospodarką miejską, jak nadzwyczajną pohopnością do ścinania głów i wieszania.

Inny znów tytuł do pamięci potomnych pozyskał marszałek Lubomirski, który w dniu 29 kwietnia 1780 roku rozsądził niesłychaną

i jedyną w swoim rodzaju sprawę pomiędzy „Wielebnym Jmcią Xiędzem Janem Kocem, Szkół po-Jezuickich Filozofii profesorem“, a „Urodzonym Eugeniuszem Innocentym Kortonich, Obersztelejtnantem wojska koronnego“, prawującymi się ze sobą o... kwadraturę koła!

Nie tak wielka co długa posesya przy zbiegu Nowomiejskiéj z Podwalem, posesya tak szczelnie do kościoła po-Paulińskiego przyrosła, że się zda jedną tworzyć z nim całość, ma również swą historyę. A historya to najpiękniejsza ze wszystkich, bo z ducha miłosierdzia ludzkiego i bojaźni Bożéj płynąca.

W tém miejscu aż do roku 1821 mieścił się najstarszy ze szpitali warszawskich: szpital Ś. Ducha. Założony w połowie XIV w. zajmował początkowo to tylko miejsce, jakie ma dziś posesya nr. 167 i dopiéro późniéj obszar swój powiększył.

Praojciec szpitali i wogóle instytucyi dobroczynnych warszawskich, nie był właściwie szpitalem dla chorych, ale raczéj przytułkiem czy „przytuliskiem“ dla starców, kalek i nędzarzy.

Przywiléj z roku 1425 nazywa go *Domus pauperum hospitalis;* w przywileju o pół wieku późniejszym, występuje, jako *Oraculum Sancti Spiritus;* w dowodach urzędowych z końca XVI-go wieku zowie się z grecka: *Xenodochium sive Hospitale*; „Komisya porządkowa“ daje mu miano „Szpitala miejskiego pod tytułem Ś. Ducha“; z chwilą opuszczenia ulicy Nowomiejskiéj i zlania się w jedno ze szpitalem ubogich przy kościele P. Maryi, przybiera nazwę dwoistą: „Szpitala miejskiego Ś. Ducha i P. Maryi“, wreszcie, przestawszy być miejskim, otrzymuje tytuł „Szpitala Ś. Ducha i Panny Maryi dla starców.“

W podziw wprawia okoliczność, że tak niefortunnie wybrano miejsce na ów zakład dobroczynny. Dom, mający być schroniskiem cichém dla ludzi skołatanych życiem i zgnębionych chorobą stał na krańcach miasta, tuż przy murze obronnym i już nawet po za bramą miejską. A jakby ci, którzy na progu wieczności stoją, sami przez się nie dość o śmierci pamiętali, jeszcze im ją przypominały dwa cmentarze: jeden tuż za szpitalem, drugi zaraz przed nim...

W razie zbrojnego napadu na miasto, pierwsze kule nieprzyjacielskie rozbijać się musiały o owo przytulisko, w modlitwie i rozpamiętywaniu śmierci zatopione. I w saméj rzeczy pierwsza wojna szwedzka omal nie sprowadziła zupełnéj ruiny tak szpitala, jak połączonego z nim kościoła. Wówczas téż kronika miejscowości téj zapisała dwa ważne fakta: oddanie kościoła księżom Paulinom częstochowskim i opasanie murem szpitala, świątyni, cmentarza i wszyst-

kich zabudowań klasztornych. Mur, na półtora łokcia gruby i w strzelnice zaopatrzony, wystawili zakonnicy własnym kosztem, dla wygody zaś miasta urządzono przejście z Podwalą na ulicę Długą przez podwórze klasztorne. Klucz od furty mieli ojcowie u siebie i zamykali zaraz po zachodzie słońca.

Aż do połowy XVI-go w. owo *Xenodochium sive Hospitale* mieściło się w domu drewnianym i ciasnym, wiernie przytułek dziadowski wyobrażającym. Dopiéro w r. 1544 magistrat, główny opiekun szpitala, nabył od mieszczanina Figury posesyę oboczną (dziś nr. 502) i połączywszy ją ze szpitalem, przystąpił do wybudowania dużego gmachu, w tych rozmiarach, jakie dziś gmach ten posiada. Prawda wyznać nakazuje, że zyskali na tém najwięcéj opiekunowie zakładu, najmniéj zaś jego pupile...

Nowa posesya była przedewszystkiém tém, co dziś nosi miano „domu dochodowego." Wynajmowano w niéj mieszkania osobom prywatnym, trzymano na użytek publiczny magle i t. p. Jednocześnie ubodzy korzystali z jednéj wielkiéj izby, po bokach któréj znajdowało się 17 maleńkich, na kłódkę zamykanych „komórek". W komórkach staruszkowie „z osobna sypiali y swoie schowania mieli", do izby zaś przychodzili, aby pomodlić się i ugrzać, stał w niéj bowiem ołtarz i—piec wspólny.

„Biorą ci ubodzy leguminę, piwo y każdy po dwa szostaki na tydzień"—objaśnia akt urzędowy z r. 1766.

W początkach stulecia bieżącego to pomieszczenie dla ubogich okazało się zaciasném, rozszerzać zaś go nie można było „bez uszczuplenia dochodów dzierżawnych". Wówczas téż, jak już wspomniałem, połączono razem szpitale: Ś. Ducha i Panny Maryi i umieszczono ubogich na Przyrynku pod nr. 1884.

Dziś posesya po-szpitalna jest własnością prywatną. Wyzyskano ją tak skrupulatnie w kierunku dochodowym, że nawet dwa wejścia istniejące dawniéj od strony ulicy Nowomiejskiéj obrócone zostały na sklepy. Bawarya, herbaciarnia, szynk, sklep korzenny, kramy z norymberszczyzną, a nawet lombard prywatny — wszystko tam w téj chwili znajdziecie.

Jestto zresztą jedyny dom na Nowomiejskiéj, odznaczający się takiém urozmaiceniem handlowém. Wszystkie inne zajęte są przedewszystkiém przez jatki, następnie przez jatki, a w końcu — także przez jatki. Możnaby sądzić, że wszystkie bydlęta, których skórami kupczą na Świętojańskiéj, tu najpierw mięso swe na ofiarę ludziom złożyły...

Domy na Nowomiejskiéj są bez wyjątku stare i noszą wyraźne a szacowne znamię archaiczności. Dwa jednak czy trzy zdążono już „zmodernizować.“ Świéżo otynkowane, wygładzone, ufarbowane, wyglądają dla statecznego mieszczucha przyzwoicie, dla estetyka zaś i archeologa — ohydnie.

Aby niczém nie raziły pospolitych, mieszczańskich gustów, pozbawiono te domy kamiennego u drzwi obramienia, wydarto z okienek nad drzwiami fantastyczne a tak piękne wzory z kutego żelaza, zatarto na murach każdy gzems nad miarę wystający, każdą ozdobę niedzisiejszą, każde znamię starożytne, będące wyrazem myśli, fantazyi lub swobodnego, artystycznego kaprysu, zastąpiono wreszcie ciężkie, zamczyste, blachą wzorzystą okute furty pospolitemi drzwiami, pomalowanemi żółto lub czekoladowo, i ostatecznie porobiono z pięknych i poważnych budynków — dziwolągi.

Wandalizm ten rozszerza się coraz bardziéj w dzielnicy staromiejskiéj, grożąc zupełném pozbawieniem jéj charakteru właściwego. Wobec małego najczęściéj poczucia estetycznego samych posesyonatów, przeciwstawiać-by mu można jedynie wyższe niż dotąd wykształcenie estetyczne — budowniczych.

W samym niemal środku lewéj (idąc od rynku) połaci ulicy Nowomiejskiéj, pod num. hypotecznym 174, stoi dom „pod Panem Jezusem.“ Figurę Chrystusa, rzeźbioną z drzewa i pomalowaną umieszczono tu w oszklonéj kapliczce, na wysokości pierwszego piętra i przystrojono wewnątrz sutemi równiankami z kwiatów papierowych. Przed kapliczką wisi latarnia o szybach kolorowych, w pewne dni kosztem prywatnym oświetlana. Dawniéj koszt ten ponosili właściciele domu; dziś dzielą się nim dobrowolnie dwaj rzeźnicy, mający jatki swe w pobliżu.

Polichromiczna figura Chrystusa jest znacznie młodsza od kamienicy, którą zdobi. Liczy ona niewiele więcéj nad lat sto. Jest-to dzieło rzeczywistego artysty i odznacza się téż prawdziwie artystycznemi zaletami. Wyrzezał je z drzewa Jakób Monaldi, włoch, rodem z Medyolanu, sprowadzony do Warszawy przez Stanisława Augusta i postawiony na czele szkoły snycerskiéj, przez tego króla założonéj.

Podobna rzeźba zdobiła i sąsiednią kamienicę, ale w kolei czasów znikła kędyś bez śladu. Dziś tylko pusta wnęka w murze jest niewyraźném jéj przypomnieniem.

Co się tyczy samego domu „pod Panem Jezusem“ albo „pod Figurą,“ należy on do najstarszych w mieście.

Libertacya z r. 1667 nazywa go „Szeleżyńskim *alias* Drewnow-

skim.“ Widać ztąd, że należał niegdyś do rodziny Drewnów, dobrze zapisanych w kronice Warszawy. Jeden Drewno (Stanisław), komisarz warszawski i ławnik magistratu, w roku 1600 zmarły, ma piękną płytę nagrobną w Katedrze. Inny Drewno (Łukasz), zapewne syn poprzedniego, na pamięć potomnych zasłużył, jako energiczny i poświęcenia pełen „burmistrz powietrzny“ Staréj Warszawy w wieku XVII. Urząd ten spełniał on w czasie okropnéj zarazy, jaka miasto nasze nawiedziła za Zygmunta III, w latach 1623 i 1624.

Libertacya wspomniana, wydana została „urodzonemu Stefanowi Hankiewiczowi, Pisarzowi nadwornemu, dekretowemu wołyńskiemu, Metrykantowi kancelaryi W. Koronnéj.“ Uwalniała ona kamienicę jego „od gości *ex officio*, posłów cudzoziemskich, także żołnierzy podczas sejmu i bez sejmu i podczas wszelkich zjazdów publicznych.“

Dom „pod Panem Jezusem“ w końcu wieku zeszłego był własnością Dobrowolskich, potém dostał się panu Müllerowi, a dzisiejszą jego posiadaczką jest pani Zdrojewska.

Drugą kamienicą libertowaną była ta, która dziś nosi Nr. 172, w wieku zaś XVII znajdowała się w posiadaniu najpierw Fukierów, a następnie Czornów.

Kronika Staréj Warszawy wspomina o dwóch Czornach, obu Janach, którzy urzędy magistrackie sprawiali. Pierwszy był w roku 1613 „szafarzem miejskim;“ drugi, zapewne syn poprzedniego, doszedł najwyższéj godności w magistracie, bo w r. 1688 obrany został burmistrzem Staréj Warszawy.

W wieku XVIII kamienica ta przechodzi na własność Szubalskich, i w rękach téj rodziny pozostaje aż do pierwszéj połowy wieku bieżącego. Szubalscy nie pojawiają się na urzędach. Po pilném poszukiwaniu, jednego z nich zaledwie znalazłem pomiędzy ławnikami— w roku 1702, w gorącéj epoce drugiego najazdu szwedzkiego.

Późniejsza kronika tego domu jest wesoła, a przynajmniéj hulaszcza. Za Augusta III-go odbywają się w nim bale publiczne, maskarady, wesela i inne zabawy, w urządzaniu których czasy owe celowały niewyczerpaną pomysłowością. Wodzirejami owéj szopki byli: Salvator i Hempel, dwaj sasi, mistrzowsko w rzemiośle swém wyćwiczeni.

Co do trzeciéj kamienicy libertowanéj, nazwanéj w konstytucyach (r. 1677) „Walbachowską *ad praesens* Gizińską,“ była nią prawdopodobnie kamienica, oznaczona dziś Nr. 177, którą w lustracyi z r. 1655 zapisano jako własność Gizów, staréj rodziny mieszczańskiéj, nader często w dziejach miasta naszego wspominanéj. Kamie-

nica ta, aż do połowy bieżącego stulecia, należała do szpitala Św. Łazarza, obecnie zaś jest własnością prywatną.

Kamienica pod Nr. 179 (narożna od Dunaja) była od najdawniejszych czasów „miejską.“ Aż do pierwszych lat bieżącego stulecia, zapisywana jest też ona w taryfach, jako „kamienica miasta Warszawy.“ Ta jednak, którą dziś widzimy w tém miejscu, wystawiona została dopiéro w r. 1780 na gruzach poprzedniéj. Na czole téj kamienicy znajduje się dotąd tarcza w płaskorzeźbie, ongi z wyobrażeniem syreny, dziś zupełnie zatarta. Tu przemieszkiwali najczęściéj burmistrze Staréj Warszawy, tu również urodził się i umarł powszechnie szanowany prezydent miasta Dekiert.

Jedno też potoczne wspomnienie jest do domu tego przywiązane. W nim to znajdował się (i znajduje dotąd, ale z gruntu przerobiony) typowy szynk staromiejski, którego wnętrze, pełne charakteru i Teniers'owéj malowniczości, odtworzył Henryk Pillati na jednóm ze swych najlepszych płócien.

Posesya oboczna (nr. 178), która ma drugi front od Dunaju Wązkiego nazywała się w wieku XVII „Balcerowską.“ Pochodzenie nazwy téj zaciekawia.

Balcer to nie nazwisko rodowe lecz imię. Znaczy ono toż samo co Baltazar. Trudno przypuszczać, aby poważna rodzina mieszczańska miana takiego używać mogła. Komuż jednak w takim razie służyło?

Może odpowiedzią na to pytanie będzie kilka pozycyi z rachunków miejskich, w których pod rokiem 1656 (data najazdu szwedzkiego) zapisano w różnych miejscach co następuje:

„Balcerowi od konia zdechłego gr. 6.“ — „Balcerowi od pochowania umarłych i koni zdechłych fl. 2 gr. 12.“ — „Balcerowi od trupów chowania Nr. 22 fl. 1 gr. 6.“ — „Balcerowi na chłopy dla chowania zmarłych fl. 2.“

Był zatém widocznie ów Balcer mistrzem czyli katem, do którego należały i podrzędniejsze obowiązki profosa.

Czy jednak lustracya z wieku XVII tego właśnie Balcera na liście posesyonatów umieszcza, nieośmieliłbym się twierdzić napewno.

Właścicielem kamienicy czwartéj od rogu (nr. 176) był niegdyś Orseti. Kamienica ta ma nad drzwiami wykutego z kamienia baranka. Uwadze znawców polecają się piękne jéj drzwi, z artystycznóm okuciem żelaznóm.

Kamienica pod nr. 175 zapisana jest w najdawniejszéj lustracyi, jako należąca do Jurkowskiego. W roku 1784 jest własnością „sła-

wetnéj“ Francowéj. W taryfie z r. 1786 jako właściciel jéj występuje Dmuszewski.

Pod numerem 173 lustracya z r. 1655 wskazuje nam kamienicę „Latosowską,“ a pod 171 „Funkowską.“ Zapisana w niéj zaraz obok „kamieniczka Ptaszkiewicza przy murze“ („*ante* Ludwika“) dziś już nie istnieje, a część jej terytoryum zajął Bazar na rogu Nowomiejskiéj i Podwala.

Po stronie przeciwnéj, druga od rogu kamienica (Nr. 156) była niegdyś własnością Dzianotów, spolszczonych włochów, którzy zwali się pierwotnie Gianotti. W r. 1645 przeszła na rzecz Kolegiaty (właściwie na utrzymanie kaplicy, zwanéj „Dzianotowską“). W późniejszych taryfach występuje jako kamienica kaplicy Św. Trójcy. Aż do czasu, gdy stała się własnością prywatną, zarządzał nią senior księży Wikaryuszów.

Niewielką, czwartą od rogu posesyę (Nr. 157) nazywa stara lustracya „kamieniczką Sawskich, pustą.“ W epoce wojen, najazdów, morowego powietrza i pożarów gwałtownych, domy puste nawet w śródmieściu nie należały do osobliwości.

Kamienicę sąsiednią (nr. 158) posiadał pierwotnie Ginter, rajca magistratu Staréj Warszawy. Potém była własnością księży Paulinów. Księża ci posiadali równocześnie siedm innych posesyi pod następującemi numerami hypotecznemi: 501, 1837, 1840, 1951, 1054, 1958 i 1962. Od początku tego wieku pozostaje w rękach prywatnych.

Jako posiadacze kamienicy pod nr. 159 (róg Krzywego Koła) występują: w w. XVII Tomasz Hawłoz, który około roku 1597 był rajcą Staréj Warszawy; w XVIII Duval, słynny za Augusta II-go właściciel winiarni (mieściła się w nieistniejącym już domu „pod Gwiazdą“), ojciec pięknéj Henryety a dziadek w prostéj linii pani Orzelskiéj, późniejszéj księżnéj Holstein-Beck; w XIX wreszcie Fastynowicz, Wiatrowski i inni.

W kamienicy téj, którą nazywano „pod Złotym orłem,“ w roku 1763 otworzono drugą z kolei w mieście naszém kawiarnię. Utrzymywało ją w szczupłém mieszkanku na trzeciém piętrze siedm sióstr rodzonych. Dodajmy, że pierwsza kawiarnia, kilkoma laty wcześniejsza, istniała za Żelazną bramą, na rogu Granicznéj i Targowéj, odwiedzana zaś była wyłącznie przez Sasów. Na Gołębią poczęli chadzać i nasi, wdrapując się jednak na trzecie pięterko pokryjomu i z pewném zawstydzeniem. Kawa uważana była jeszcze wówczas w pewnych sferach za owoc prawie zakazany, za narkotyk upajający a niebezpieczny, jak haszysz późniéj albo morfina...

W tejże kamienicy mieszkał ksiądz Józef Załuski, założyciel

słynnéj Biblioteki. Dostojnik kościoła, a zarazem namiętny zbieracz książek, wiódł tu żywot anachorety, każdy grosz na zakup dzieł rzadkich przeznaczając.

Kamienica pod nr. 161 łączyła się bezpośrednio, jak już wyżéj wspomniałem, z pierwszą Bramą nowomiejską. Nosiła ona niegdyś miano „Wójtowskiéj", stała zaś właściwie w międzymurzu, to jest pomiędzy pierwszym a drugim murem, opasującym ongi Warszawę. Ściana, która ją dotąd od posesyi obocznéj (Nr. 162/3) oddziela, jest jednym z tych dwóch murów (zewnętrznym). Mur drugi, wewnętrzny, zniknął całkowicie w tyłach ośmiu posesyi na Krzywém-kole (Nr. 190 do 196 i 160).

O posesyi zwanéj „Gdańską piwnicą" kilkakrotnie już wspominałem, powracać więc tu do niéj nie będę. Granicząca z nią kamieniczka pod Nr. 164 należy do najoryginalniejszych, jakie posiada Warszawa, jest bowiem poprostu: basztą starą na dom mieszkalny obróconą. Zapisywano ją aż do pierwszych lat bieżącego stulecia, jako „kamienicę miasta Warszawy"; późniéj przeszła na własność Stanisława Piekarskiego.

Ulica Gołębia miała niegdyś postać odmienną od dzisiejszéj.

Przedewszystkiém poziom jéj był o trzy stopy od obecnego niższy. Kiedy w roku 1854-ym prowadzono w téj części miasta roboty wodociągowe, znaleziono w trzystopowéj głębokości pod warstwą bruku, na wysypce ułożonego, ogromne głazy, dawny bruk stanowiące. Była tam jakby ulica pod ulicą.

Taż sama niespodzianka spotkała kopiących w rynku Starego miasta i na Świętojańskiéj. Ostatnia ulica miała bruk podwójny tylko na połowie swéj długości, od strony rynku. Bruk pierwotny leżał głębiéj jeszcze, bo o 5 stóp poniżéj obecnego poziomu.

Prawie we wszystkich domach na Gołębiéj znajdowały się w dawnych wiekach sklepione loszki czyli, jak mawiano dawniéj, „sklepy" podziemne, rzemieślnikom na warsztaty, kupcom na składy towarów służące. Wszystkie te sklepy miały wejście wprost z ulicy.

W podziemiach owych mieściły się przeważnie pracownie ślusarskie, kuźnie i piwiarnie. Wejścia do nich, nie ogrodzone dostatecznie, przedstawiały wielkie dla przechodniów niebezpieczeństwo. Skłoniło to w drugiéj połowie zeszłego stulecia komisyę brukową do polecenia właścicielom czy dzierżawcom loszków, aby je codziennie, zaraz o zmierzchu, równo z drogą zamykali.

Dziś prawie wcale już ich tam nie ma.

Na zakończenie kilka wspomnień potocznych.

Przed półwiekiem jeszcze, a więc w epoce, bezpośrednio czasy

nasze poprzedzającéj, ulica Nowomiejska nie była, tak jak dziś, wyłączną siedzibą jatek rzeźniczych. Mieściło się na niéj wiele innych sklepów, fabryk i warsztatów.

Tak zwanych „handli win i korzeni“ znajdowało się tu naówczas aż cztery: pod Nr. 159 Puczyńskiego, pod Nr. 161 Sokołowskiego, pod Nr. 167 Wasilewskiego i pod Nr. 172 Kacperkiewicza.

Pod Nr. 176 istniała fabryka guzików Jana Kugla, pod 160 fabryka narzędzi muzycznych Józefa Horalika, pod 175 fabryka mydła i świéc Tobiasza Kryszewskiego.

W epoce dawniejszéj, jeszcze za czasów istnienia Bramy nowomiejskiéj, w saméj bramie miał księgarnię, jedną z najstarszych u nas, Szczepański. Tamże mieściła się równocześnie apteka.

Nareszcie owa słynna Gdańska piwnica, z którą złączyła się nazawsze pamięć świetnéj przeszłości handlowéj naszego miasta, oraz bohatérskiego wtargnięcia Czarnieckiego do zajętéj przez Szwedów Warszawy, wplotła w owéj epoce do wawrzynów swoich dwa listki— bobkowe...

Tu Niemiec pewien, którego nazwiska historya nie przechowała, wypiekał najpierwsze w Warszawie — rogale; tu także mieszkał Włoch nazwiskiem Mangiani, najpierwszy również, a przez długi czas i jedyny u nas, wytwórca—salcesonów włoskich.

Wiktor Gomulicki.





REFORMATOROWIE ANGIELSCY.

I.

Hrabia Shaftesbury.

Nie ma już obecnie poważniejszego umysłu, któryby chciał podawać w wątpliwość ciągłe a stopniowe ulepszanie warunków społecznego bytu. Jest oczywistém, że więcéj sprawiedliwości i harmonii, więcéj oświaty i więcéj dobrobytu przypada dzisiaj na dolę ludzkości, aniżeli kiedykolwiek w minionych czasach. Ale jeżeli utartéj takiéj prawdy dowodzić już nie ma potrzeby, to natomiast nie zdaje się nam, ażeby zdawano sobie dokładnio sprawę ze sposobu, w jaki się to podniesienie społecznego poziomu dokonywa a przedewszystkiém, ażeby rozdawano podług zasługi obywatelskie wieńce przywódzcom tego dzieła. Na przedniéj straży idąca drużyna socyalistyczna taką czyni wrzawę około swego programatu, że doprawdy sądzićby można, iż oni i oni tylko wzięli w swe ręce sprawę wydziedziczonych i cierpiących i że ich wyłącznéj działalności przypisać wypada pocieszające, ostatnich dziesięcioleciów zdobycze. Nic błędniejszego atoli aniżeli tego rodzaju przypuszczenie. Byli zawsze i są także za dni naszych, wpośród warstw towarzyskich, uprzywilejowanych i z natury rzeczy zachowawczych, ludzie z gorącém sercem, z orlą źrenicą i organizacyjnym umysłem, którzy dziełu temu swe życie poświęcili i którzy istotnie popchnęli ludzkość o jeden szczebel bliżéj ku świetlanemu ideałowi. Mężowie stanu i filantropi, zrobili pod tym względem daleko więcéj aniżeli się to pewnym reto-

rom przyznać podoba. Gdy się na jednéj szali stawi takich ludzi jak Wilberforce, wyswobadzający niewolników, jak Cobden wywalczający dla masy narodowéj chléb tani i t. p. a na drugiéj cały hufiec agitatorów socyalistycznych, to nie da się zaprzeczyć, że pierwsi daleko więcéj uczynili dla urzeczywistnienia nowego zakonu. Rasa Wincentych a Paulo liczyła zawsze w Anglii swych przedstawicieli, i nie ma sposobu przyznać socyalistom monopolu reformatorskiego. Wojownicze stanowisko wyrobiło w nich do wysokiego stopnia duch krytyczny a stłumiło gorący zapał, który jedynie ziemską rudę na czysty metal przepalić potrafi. Kruszą przedewszystkiém i obalają, kiedy szczerą miłością zagrzani filantropowie albo mężowie stanu, uznający potrzebę reform wykonalnych, budują i przeistaczają rudery starodawne na odpowiedniejsze potrzebom chwili domostwa.

Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że filantropowie sami przez się, nawet przy największych wysiłkach nie są wstanie zmienić społecznego ustroju i zniweczyć zawartych w nim ułomności. Lecz skąd prawo pomiatania ich działalnością? jak się to nieraz w ostatnich czasash socyalistom czynić podobało. Nawet, gdyby filantropia ograniczyła się do wyplenienia najbardziéj o pomstę wołających krzywd społecznych, jużby na publiczną wdzięczność zasługiwała. A są pomiędzy nimi osobistości, które same są wstanie zrehabilitować ludzkość, o bezsercowy egoizm pomawianą. Jednostka, szczególniéj wśród społeczeństw, gdzie żadne szranki inicyatywy obywatelskiéj nie krępują, udowodnić może, że indywidualizm, owa rzekomo wsteczna zasada, nosi w swém łonie wszystkie czynniki szerokiego, nieograniczonego postępu.

Więcéj niż kiedykolwiek, zdaje się nam teraz, na dobie zwracać uwagę na przedniejszych w téj podniosłéj sferze zapaśników. Za przykład służyć mogą i za zachętę. Czytelnik, który zechce objąć wraz z nami jedném spojrzeniem działalność zmarłego przed paru laty hr. Shaftesbury, przyzna zapewne, że nie można było znaleźć doskonalszego typu filantropii.

Antoni Ashley-Cooper, siódmy hrabia Shaftesbury, był potomkiem dwóch szlacheckich rodzin, znanych już za czasów królowéj Elżbiety. Ale wielkość i rozgłos tego szczepu datuje dopiéro od XVII stulecia, gdy Antoni Ashley, podniesiony został za Karola II naprzód do godności barona, następnie, w 1672 r. hrabiego, a niebawem mianowany kanclerzem państwa. Najpowierzchowniéj nawet z dziejami angielskiemi obznajmieni, przypominać sobie muszą tego genialnego, awanturniczego męża stanu, przerzucającego się z jednéj partyi do drugiéj, raz podpory króla, to znowuż jego zaciętego przeciwnika,

autora aktu *Habeas Corpus*, podwaliny swobody indywidualnéj, zawziętego wroga katolicyzmu, polityka, umiérającego na wygnaniu. W pośród wielu figur rewolucyjnéj epoki angielskiéj, postać kanclerza Shaftesbury, zajmuje miejsce wybitne [1]). Wnukiem jego był ów słynny autor „*Characteristics*," którego Voltaire wysławiał, jako najznakomitszego z filozofów i wolnomyślicieli angielskich. Dalsi potomkowie rodu nie odegrali żadnéj wybitnéj roli, ale przez małżeństwa z dziedziczkami wielkich fortun i książęcych rodzin, podnieśli towarzyski splendor imienia, a wspaniała rezydencya hr. Shaftesburych w St. Giles, hrabstwie Dorset zasłynęła jako zbiór arcydzieł sztuki i magnacka siedziba. Ale widocznie przedstawiciele téj rodziny żyli nad stan i źle majątkami swymi zawiadywali, skoro fortuna się zaszargała. Ojciec wielkiego filantropa, szósty hrabia, starał się odreparować ją nadzwyczajném skąpstwem, co musiało być niełatwém zadaniem przy żonie, z domu księżniczce Marlborough, kobiécie całkiem oddanéj światowym uciechom. W ten sposób tłómaczą się rozmaite materyalne trudności, z którymi musiał walczyć ich syn, gdy spadek dziedziczny posiadł. Urodził się w r. 1801 i był dość zaniedbany przez swych rodziców. Ów ferwor religijny, który go odznaczał i który stanowi najwybitniéjszą stronę całego jego życia, wszczepiony został w dziecinny jego umysł przez piastunkę, któréj nigdy nie przestawał uważać za swą duchową matkę. Wychowany w szkole Harrow i w uniwersytecie oksfordzkim, gdzie się naukowemi zdolnościami odznaczył, wchodzi młody, dwudziestopięcioletni lord Ashley do parlamentu, jako deputowany Woodstock'u, lenności książąt Marlborough. Droga gładką się przed nim stała. Obdarzony wyjątkową pięknością, wykształcony, wysoce skoligowany, zaczynał

---

[1]) Otwiéramy tu nawias, który być może nie będzie bez interesu dla naszych historyków. Pomiędzy niezliczonemi pamfletami, odnoszącemi się do osobistości kanclerza Shaftesbury, trafiliśmy w Bibliotece British Muzeum na jeden, który w pierwszéj chwili w błąd wprowadzić może, gdyż odnosi się do jego wyboru na tron polski. Bezimienny autor tego pamfletu, zażarty widocznie wróg kanclerza, zwalcza go bronią ironii i szyderstwa. Przypuszcza on, że ambitny mąż stanu został wybrany przez sejm na króla polskiego z misyą nawrócenia Turków na chrystyanizm! Gorliwość protestancka Shaftesburego stawiać go naturalnie musiała w jaskrawém przeciwieństwie i do narodu polskiego i do owéj rzekoméj misyi. Pamfleciarz znalazł tam obfite źódło do żartów; góruje pomiędzy niemi długi szereg nominacyi i listów nadawczych na dygnitarstwa polskie. Noszą one ogólny tytuł: *Arcana Imperii Poloniensis sub regem augustissimum Principis Anthonielski Ashleyski Primi, Dei Gratia illius populi Regis*, etc. W wielu innych współczesnych broszurach i pamfletach, oskarżany był on także o ambitne pretendowanie do tronu polskiego i często nazywano go przez szyderstwo hrabią Tapskim.

zawód polityczny jako członek stronnictwa torysów, znajdującego się u władzy, a pozyskawszy sobie szczególne względy wszechwładnego ks. Wellingtona, zdawał się przeznaczony do samych salonowych, publicznych i politycznych sukcesów. I nastąpiłoby to niewątpliwie, gdyby się był zaciągnął do szeregów swéj partyi i służył jéj z zamkniętemi oczami, nie pytając o żadne wyższe lecz jedynie o stronnicze interesa. Ale lord Ashley nie mógł zgodzić się na taką rolę. Wziął do serca godło wypisane na herbowéj tarczy swojego rodu: „*Love and serve*“ — kocham i służę — i postawił sobie za cel życia je spełnić, jakiekolwiek mogło to pociągnąć dlań osobiste następstwa. Nietylko nie został bezmyślném narzędziem w ręku swego stronnictwa, ale od pierwszéj nieledwie chwili zawodu publicznego, ponad karność przełożył swą niezależność. Stanowistwo takie jest zawsze trudném, a było niém więcéj jeszcze w epoce jego politycznego debiutu, wśród oligarchicznego świata angielskiego. Potrzeba było kilku dziesiątków lat niezmordowanéj mozolnéj pracy i zdumiewających, praktycznych rezultatów, potrzeba było tryumfującéj w dalekich krajach zamorskich popularności lorda Ashley'a, aby jego rodacy, jego najbliżsi, sprawiedliwość mu oddali. W apoteozie lat jego ostatnich, wobec czci nadzwyczajnéj, jaką imię jego jest obecnie otoczone, nie należy zapominać, że życie jego szło po grudzie, że było najeżone trudnościami na każdym kroku. Jak sam słusznie napisał w poufném zwierzeniu, cierpiał męki z tego nieprzyjaznego usposobienia jakie napotykał: „Liga zbożowa nienawidzi mię jako arystokratę, wielcy właściciele ziemscy jako radykała, bogaci jako niwelatora fortun, postępowa partya religijna jako wstecznika, sekciarze jako Anglikanina; kościół wysoki i popularny są oba ze mnie niezadowolone; whigowie widzą we mnie zachowawcę, a zachowawcy wyrzucają mi szkody, jakie wyrządziłem rządowi sir Roberta Peel'a, etc.“ Ale już sama jednomyślność różnolitéj opozycyi wskazywała, że nikt nie traktował go jako podrzędną osobistość. Ten wielki pan, który się stał rzecznikiem i obrońcą maluczkich i cierpiących, który walczył bez przerwy za urzeczywistnienie miłosierdzia chrześciańskiego, był w oczach sfer towarzyskich, do których należał, rodzajem ekscentrycznego Don-Quichota; jego teorye i jego działalność policzkowały ich bezustanku, dręczyły jak wyrzut sumienia, stawały się zmorą. Lecz gdy go nie było można ani złamać śmiesznością, ani przekonać krytyką, ani ubezwładnić opozycyą, to naturalną rzeczy koleją przyjść musiała chwila, że popularność otrzymana z dołu, uwielbienie i miłość ludu, który witał w nim swego bohatéra, oddziałała i na jego towarzyszy: uznali wtedy za właściwe, za korzystne zsolidaryzować się z jego wielkością mo-

ralną i wczorajsi przeciwnicy zaprzęgli się ochotnie do jego rydwanu. Treściwemu skreśleniu jego publicznego zawodu brakowałoby atoli jednego, niezbędnego ogniwa gdybyśmy pominęli jego żonę, Emilię hrabiankę Cooper — matka jéj poślubiła powtórnie lorda Palmerstona i lord Ashley był zięciem tego ostatniego. Lady Ashley, była kobiétą wzniosłego serca, najprzykładniejszą żoną i matką dziesięciorga dzieci. Nietylko nie powstrzymywała ona swego męża na drodze obowiązku, ale przeciwnie, umacniała na niéj; z jakimkolwiek to mogło być dla nich osobistym uszczerbkiem. A położenie ich było nieraz trudne. Aż do śmierci swego ojca, która nastąpiła w 1851 r. i gdy lord Ashley został hrabią Shaftesbury, był on ubogim. Położenie jego materyalne bywało krytyczne; jest pełno wzruszających szczegółów o wsparciach i jałmużnach, których nie miał możności udzielać — raz oddał biédnemu polskiemu wychodźcy ostatni bilet pięciofuntowy, który posiadał w domu! Łatwoby mu było nieraz wyjść z tych trudności natychmiast, przyjmując urzędy i ministeryalne stanowiska jakie mu ofiarowane były. Ale, zgodnie z zapatrywaniem żony, odrzucał je zawsze, gdy mu je trzeba było okupywać ustępstwami na rzecz opinii i projektów rządowych, krępujących jego filantropijne przedsięwzięcia. Powierzchowny spostrzegacz będzie w takich czynach widział jedynie oznakę zwykłéj uczciwości, ale inaczéj sądzić je musi ktokolwiek z praktyką życia jest obeznany i wié do jakich kompromisów doprowadzani bywają mężowie stanu pod wpływem materyalnych trudności i domowych stosunków. Nigdy nie zaważyły one na szali lorda Ashley i dlatego w ciągu życia, obejmującego 85 lat, nie podobna jest spostrzedz ani jednego zboczenia z nakreślonéj sobie drogi. Być sługą Boga i narodu postanowił i aż do ostatniego tchnienia zadanie to spełniał. Nie dawał sobie wypoczynku i zaledwie jedną reformę, jedno ulepszenie urzeczywistnił, natychmiast brał się do drugiego, a gdy stanął u kresu żywota sweho, nie chlubił się tém, czego dokonał, ale żałował, że w tylu innych pracach społecznych udziału czynnego brać już nie będzie.

Epoka, w któréj młody lord Ashley publiczne swe działanie rozpoczynał, była chwilą wszechstronnéj agitacyi wśród społeczeństwa angielskiego. Wrzało i kipiało na każdym punkcie i nowe prądy energicznie torowały sobie drogę wpośród napiętrzonych przeciwko nim zapór. Kraj był ekonomicznie zrujnowany przez wojny z Napoleonem, a rozsiadający się systemat rękodzielniczo-fabryczny zaznaczył się w pierwszym dziesiątku lat swego istnienia dotkliwemi ciosami, jakie zadał dawniejszéj organizacyi robotniczéj. Zboże dochodziło do cen bajecznych, lud umiérał z głodu, buntował się, napadał na fabryki,

palił je i kruszył maszyny, widząc w nich swych wrogów. Trzeba było przywracać porządek publiczny, trzymać na uwięzi zrozpaczony proletaryat, dźwigać kraj z materyalnéj ruiny a jednocześnie zaspakajać wymagania całéj warstwy średniéj narodu, która nie chciała dłużéj pozwolić, ażeby oligarchia arystokratyczna wyzyskiwała społeczność gwoli egoistycznym interesom swojéj kasty. Bill reformy 1832 r. kanalizuje ruch polityczny i emancypuje naród. Na szerokiéj podstawie swobód publicznych wykwita różnokierunkowa agitacya reformatorska. Zniesienie niewolnictwa, emancypacya katolików, liga przeciwko cłom zbożowym są najpowszechniéj znanemi, przeważnemi jéj momentami. W każdéj z tych spraw życiowych trzeba było zająć stanowisko jawne, stanowcze, i zerwać ze swą partyą, jeżeli nie dzieliło się jéj uprzedzeń. Lord Ashley nietylko nie chciał należéć do rządu, który się tym postępowym zasadom sprzeciwiał, ale złożył nawet dobrowolnie mandat poselski, gdy jego wyborcy w hrabstwie Dorset sprzeciwiali się zniesieniu ceł zbożowych. Bez deklamacyi, z prostotą i powagą nieodstępnie go cechującą, stawał on zawsze po stronie cierpiącéj masy i o ile to było w jego mocy, starał się sprzeciwiać utrwaleniu niesprawiedliwości i prześladowań prawnych, ekonomicznych, religijnych, społecznych.

Pomiędzy rozmaitemi zagadnieniami, jakie się wówczas narzucały uwadze każdego człowieka, posiadającego głowę i serce na właściwém miejscu, było ulepszenie położenia ludności robotniczéj po fabrykach i rękodzielniach. Nie mogło ulegać wątpieniu, że skoro gospodarstwo fabryczne rozsiadło się wśród społeczności, skoro machiny i para potęgowały bogactwo warstwy przemysłowéj w nadzwyczajnych rozmiarach, to i warstwy robotnicze powinny były znaleźć sposób polepszenia swego bytu. Nietylko jednak nie miało to miejsca, ale zaprzeczać nikt się już nie poważa opłakanego stanu, w jaki one pogrążone zostały. Właściciele fabryk i rękodzielnicy traktowali robotników jak bydło, jak białych niewolników i nietylko dorosłych mężczyzn ale kobiéty, dziewczęta, drobne dzieci zaprzęgali do służby machin z istotném okrucieństwém, tém straszniejszém, że było samego siebie nieświadomem i że ogłoszone zostało przez teoretyków jako nieodzowny warunek nowéj formy pracy wytwórczéj. Potrzeba było nieledwie trzech ćwierci stulecia, aby stosunki te zmienić radykalnie, i gdy rzucamy dziś okiem wstecz, na przebieżone stadya rozwojowe, zrozumiéć nam trudno, że ta czarna strona dziejów jest świéżą, jest wczorajszą dopiéro.

Lord Ashley był jednym z najgorliwszych pracowników na tém polu i angielski *Factory System* był smokiem, którego wyzwał do wal-

ki. Trzeba było długiego szeregu lat, ażeby reformy częściowe i stopniowe osiągnąć się dały, ale gdy się obejmie całość jego działalności, nie można zaprzeczyć, że olbrzymi wysiłek podjęty celem usunięcia niesprawiedliwości, krzywd i nadużyć, przyniósł błogosławione owoce. Obecnie zasada interwencyi państwa, jako uosabiającego prawo, sprawiedliwość i ogólnie społeczny interes, weszła już w naszą krew i życie, ale przed pół wiekiem, wśród atomicznego indywidualizmu, wśród rozszaléj konkurencyi, wśród doktryny *laissez-faire* uznanéj przez manchesterską szkołę za alfę i omegę ekonomicznéj mądrości — wydawało się wszystkim, interesowanym w utrzymaniu *status quo*, gorzéj, niż herezyą, zbrodnią po prostu, gdy się chciało ograniczać chlebodawcę w warunkach wytwórczości i wmieszać się do umów zawieranych z robotnikami. Rzeczą przedsiębiorcy było zarobić jak najwięcéj, a skoro on się zbogacał i podnosił pośrednio poziom powszechnego zasobu, to nikt nie miał prawa wglądać w sposoby, jakiemi się w jego zakładach odbywała praca, nikt nie powinien był nadstawiać ucha na jęk robotników, ani patrzéć na krew i pot ich śmiertelny. Przemówić do serca społecznego, wzruszyć je stawiając wierny obraz proletaryatu robotniczego, pozyskać dla siebie opinię narodu i dać jéj wyraz dotykalny w reformach prawodawczych, oto co trzeba było uczynić, — a biorąc na uwagę tytaniczny ogrom tego zadania, nie można się dziwić, że jego urzeczywistnienie trwało lat dziesiątki, że dzisiaj jeszcze niektóre części wieloczłonkowego programatu czekają ostatecznego rozwiązania. Będzie nieśmiertelnym tytułem do narodowéj wdzięczności dla lorda Ashley, że stał w pierwszym szeregu orędowników sprawiedliwości społecznéj, i że przez dwadzieścia lat bez przerwy sprawie téj się poświęcał.

Postanowiwszy stać się w łonie parlamentu obrońcą klasy robotniczéj, lord Ashley nie pierwéj wystąpił z projektem prawodawczym, aż się osobiście ze stanem rzeczy obeznał. Przyjmował deputacye robotnicze, zwiedzał fabryki, zbierał statystyczne dane, zaglądał do mieszkań biednych, a raczéj do jam, w których żyli, a im więcéj wnikał w naturę i rozmiary zła, tém bardziéj utrwalał się w przeświadczeniu, że chrześcianin i mąż stanu nie ma pilniejszéj sprawy do rozstrzygnięcia, jak tę właśnie. Rozumném było, iż nie mogąc odrazu wszystkich stron poruszyć, podjął najsromotniejszą — wyzyskiwanie dzieci. Było wtedy rzeczą zwykłą, że sześcioletnie dzieci pracowały już w fabrykach i kopalniach; w tych ostatnich ciągnęły maleńkie chłopcy i dziewczęta, żelaznemi łańcuchami co ich biodra opasywały, taczki naładowane węglem; do fabryk chodziły nieraz z miejscowości o 20 mil odległych, pozbawione snu i żywności;

godziny ich pracy, a raczéj godziny ich katuszy, trwały po trzynaście czasami po czternaście godzin. Gdy uciekały, po schwytaniu były bite i na nowo do surowszéj jeszcze roboty zaprzągnięte. Ani o religii, ani o nauce, ani o zdrowiu fizyczném dla téj dziatwy mowy nie było. Stanąć w obronie tych ofiar, na dziesiątki tysięcy się liczących, było praktycznym celem bilu, jaki lord Ashley przedłożył izbie gmin w r. 1833-im. Proponował on ograniczenie godzin pracy do dziesięciu dla kobiét, zabraniał pracy dzieci przed skończeniem lat dziewięciu i dziesięciogodzinną ich pracę przeplatał obowiązkową szkołą i odpoczynkiem. Był to pierwszy zarys jego projektu. Nie mamy miejsca wchodzić w jego szczegóły: rozmaite zmiany jakim uległ, mowy potężne jakiemi go poparł, strategiczne manewra, które wezwał na pomoc, aby bil ten przeprowadzić, zawiodłyby nas za daleko. Już w pierwszéj téj kampanii zauważyć można, że nie chodzi mu o osobisty tryumf, ale że ochotnie ustępuje na drugi plan, byle tylko sprawę, o którą chodziło, o jeden krok naprzód posunąć. A co za intrygi, co za koalicye się zawiązywały, ażeby bezkarnie wyzyskiwać owe słabe, bezbronne istoty dla marnego powiększenia swych dochodów! Sympatye nietylko zachowawczego ministeryum, ale także i liberalnego, w którém lord Jon Russell zasiadał, były po stronie nie ofiar, ale oprawców i w odpowiedzi na poważne, najeżone cyframi mowy lorda Ashley odpowiadali pogardliwie, widząc w nim demagoga poduszczającego tłumy robotnicze do buntów. Nawet przywódcy radykalnego ruchu ekonomicznego, jak R. Cobden, nawet ewangeliczną doktryną chełpiący się kwakrowie, jak John Bright albo Ashworth, napadali nań zażarcie, gdy ich dochody zdawały się im zagrożone. Wszystkie narzędzia były godziwe, ażeby powstrzymać agitacyę lorda Ashley'a: jednem z najskuteczniejszych było nietylko przedłożenie, ale nawet uchwalenie daleko radykalniejszego bilu, aniżeli ten, którego on był autorem, ale z tém milczącém zastrzeżeniem, że nie miał on nigdy wejść w życie.

Ale wszystkie przeszkody, jakie mu stawiano, potęgowały tylko jego energię a czerpać mógł zachętę w coraz silniejszém poparciu masy narodowéj, którą czuł za sobą, w sympatycznem wspódziałaniu najszlachetniejszych umysłów: dość będzie wymienić poetę Roberta Southey, wielkiego romansopisarza Karola Dickens'a, d-ra Arnolda, Daniela Webster'a, oraz wiele innych znakomitości, do rzędu których dodać wypada samą, młodą wówczas, królowę Wiktoryę, a wkrótce i jéj małżonka, ks. Alberta. Mowy wygłaszane na meetingach i w izbie gmin, artykuły po dziennikach i przeglądach, takie mu nadały stanowisko, że po upływie kilku lat każdy gabinet te tylko pro-

jekta w przedmiocie reform humanitarnych wprowadzał, które jego poparcie znajdowały. W mowach jego nie ma ani śladu szumnéj frazeologii, ale uderza w nich za to uczucie religijne, jawne i z takim naciskiem wypowiedziane, jakiego gdzieindziéj po za obrębem Anglii spotkać nie można w ustach polityka i męża stanu. W każdém wypowiedzianém przezeń słowie było widoczném, że religia nie jest dlań zewnętrzną formułką, ale rdzenną istotą jego natury.

W roku 1842-im kilkoletnia działalność lorda Ashleya została uwieńczona pomyślnym skutkiem i obie izby parlamentu uchwaliły bil o pracy po kopalniach: dzieci i kobiéty, cierpiące nadludzkie męczarnie w podziemnéj Gehennie, zostały nareszcie oswobodzone. Był to pierwszy tryumf humanitaryzmu i dodał mu nowego bodźca do agitacyi za bilem o ograniczeniu pracy do dziesięciu godzin dla dzieci, niedorostków i kobiét po fabrykach, warsztatach i rękodzielniach. Po upływie dwóch lat, w r. 1844 zdawał się już być bliskim osiągnięcia celu, do którego zmierzał od lat jedenastu, ale raz jeszcze przegrał parlamentarną bitwę: ministeryum sir Roberta Peel zrobiło z przyjęcia tego bilu kwestyę gabinetową i jak zrozumiéć łatwo, wobec interesu partyi, kwestya męczarni istot oddalonych i nieledwie problematycznych nie mogła się ostać. Ale mimo tego było widoczném, że kwestya dojrzewała i lord Ashley mógł się poszczycić pozyskaniem dla niéj osobistości wybitnych, jak lorda Palmerstona, lorda Johna Russell i Macaulay'a, historyka i jednego z najpierwszych mówców parlamentarnych. Bil, który wniósł w r. 1845 o opiece nad dziećmi po fabrykach płócienek drukowanych, nie spotkał już tak silnéj opozycyi, jak dawniejsze i został uchwalony. Z okazyi tego bilu lord Ashley wypowiedział te pamiętne słowa: „Nieraz mnie zapytują, gdzie się zatrzymam w moich propozycyach, dotyczących polepszenia bytu dzieci i kobiét, pracujących po kopalniach i fabrykach. Odpowiadam, że nigdy się nie zatrzymam, dopóki pozostanie jakikolwiek ułomek tego zła, na które cierpią.“ Istotnie pozostał wiernym temu wyznaniu wiary w całym ciągu swego publicznego zawodu. Jak wiadomo, bil o dziesięciogodzinnéj pracy przeszedł w parlamencie dopiéro w r. 1847-ym i przez ironię losu, lord Ashley właśnie przez cały ten rok nie był członkiem parlamentu: ażeby nie stać w sprzeczności z opinią przemagającą u jego wyborców, żądających utrzymania ceł zbożowych, złożył był on wówczas mandat poselski. Nim to uczynił, wniósł ponownie swój bil i zdał jego prowadzenie na swych kolegów, a przedewszystkiém p. Fielden. Ale gdy nareszcie czternastoletnia kampania parlamentarna uwieńczona została pożądanym skutkiem, cały kraj zwrócił się do lorda Ashley z wyrazami dziękczynienia

i błogosławieństwami. Bito medale na jego cześć, w kościołach obchodzono dzień ten przez uroczyste nabożeństwa, jako dzień tryumfu. Nie można się temu wybuchowi entuzyazmu narodowego dziwić, gdyż z pomiędzy 544,876 robotników pracujących wtedy w zakładach tkackich, nie mniéj jak 363,796 kobiét, niedorostków i dzieci miało naraz godziny pracy z 12 do 10 sprowadzone. A cały ten *Factory Act* nie ogranicza się do zmniejszenia godzin, ale kodyfikuje organizacyę pracy: dozór hygieniczny nad budowlami, zapobieganie niebezpieczeństwom przy używaniu i obsługiwaniu machin, ustanowienie wypoczynku, czasu na posiłek, na szkołę, i wiele innych rozporządzeń było doń wprowadzonych. Można śmiało powiedziéć, że wszystkie dalsze ulepszenia i reformy dla warstwy robotniczéj były logiczném następstwem tego aktu. Mąż stanu, który z nim imię swe zespolił, zasłużył sobie na miano dobroczyńcy swego narodu. Zbyteczném byłoby zapewne dodawać, że cała klasa przemysłowców, która upierała się przy dwunastu godzinach pracy i zapowiadała swą niechybną ruinę w razie, gdyby im odebrana była możność prześladowania bezbronnych istot, pogodziła się wkrótce z tym nowym porządkiem rzeczy i ani ich dochody, ani zasób społeczny nic na nim nie straciły. Jak się samo przez się rozumié, lord Ashley, czyli jak go od 1850 roku nazywać wypada — lord Shaftesbury, nie spuścił w następnych latach swego duchowego dziecięcia z oczu, i obstawał u wszystkich rządów o mianowanie komisyi parlamentarnych i inspekcyi śledczych, których zadaniem było przekonać się o skrupulatném wypełnianiu zawartych w tym akcie rozporządzeń i miał prawo z zadowoleniem oświadczyć w r. 1874-ym, że nie mniéj jak 2,500,000 robotników znajdowało się pod dobroczynną jego opieką. Dziwnym zbiegiem okoliczności zdarzyło się, że dwóch członków téj saméj rodziny w odstępie dwóch stuleci wywalczyło dla społeczeństwa niezapomniane zdobycze: jeden *Habeas Corpus Act*, drugi *Factory Act*, który słusznie nazwany został *Magna Charta* stanu robotniczego.

Jak powiedziano wyżéj, kampania przedsięwzięta przez lorda Shaftesbury za polepszeniem warunków życiowych niższych warstw społeczeństwa, nie została wysnutą teoretycznie z jego umysłu, ale przeciwnie, była wypływem osobistych badań i spostrzeżeń. Nie ograniczał się do zwiedzania kopalni, fabryk i rękodzielni, ale naturalną rzeczy koleją wchodził do mieszkań ludu, i miał tysiące sposobności pochwycenia jego codziennego życia na uczynku. Sympatya jego dla cierpiącéj masy nie miała czasu stygnąć i musiał trzymać ją na wodzy, w tak rozlicznych była rozrywana kierunkach. Nie wiedział nieraz od czego zacząć, jakiemu złu naprzód zaradzić. Bardzo

słusznie jednak osądził, że aby położyć tamę wzrostowi proletaryatu, najskuteczniejszém będzie zacząć od dzieci i w pierwszych zaraz latach oswobodzić je od moralnego i fizycznego upadku. Chmary obdartych, prawie nagich dzieci, wałęsających się po ulicach Londynu pokazywały, że wśród nich wzrasta pokolenie paryasów i złoczyńców, i jeżeli nie wątpił nigdy o konieczności wyrwania ich z kału, w którym grzęźli, to jedynie mógł się zawahać przed olbrzymiemi rozmiarami, jakie przybraćby musiało jego zbawcze dzieło. Moralny ferwor, jakim był zagrzany, nie powstrzymał go wszakże i silnie wierzył, że należy tylko wskazać drogę, zachęcić przykładem, a na ludziach dobréj woli nie zbraknie.

Taką kierowany myślą, utworzył cały szereg instytucyi, z których pierwsza nosiła nazwę *Ragged school*, czyli Szkółki dla obdartusów, dla łachmaniarzy. Ażeby znaczenie tych szkółek zrozumiéć, trzeba nie tracić z uwagi, że nietylko około 1840 roku, gdy się on niemi zajął, ale o wiele późniéj, bo aż do r. 1871, nie było w Anglii wcale szkółek elementarnych z ramienia państwa, że wychowanie początkowe zostawało wyłącznie w ręku kościoła i że w zależących od niego szkółkach było miejsce jedynie dla tych, którzy opłatę szkolną wnosić mogli. Oczywista, że dla najniższych warstw towarzyskich, dla dzieci tarzających się w rynsztokach, brudnych, obtarganych, zagłodzonych nie było tam wstępu, i że te śmieci społeczne raz na zawsze skazane się zdawały na młodość spędzoną *sine luce*, *sine cruce*, *sine Deo* i na resztę życia w występku i nędzy. Dowiedziawszy się wypadkiem, że jakiś ksiądz dobréj woli szkółkę tego rodzaju utworzył, lord Shaftesbury poszedł ją zwiedzić i bezzwłocznie wziął się do zakładania podobnych. Z jakiemi dziećmi miało się tam do czynienia, pokazuje sprawozdanie ze składu 15 pierwszych tych szkółek. Było w nich 2,345 dzieci, a pomiędzy nimi 162 wypuszczono z więzienia, 46 uciekło od rodziców, 179 sypiało w przytuliskach, nie mając dachu, 253 żyło z żebraniny, 216 było bosych, 240 na pół ubranych, 101 nie nosiło bielizny, 68 było dziećmi galerników, a 306 było sierotami! Nie potrzeba nic więcéj dodawać do takiéj żałobnéj statystyki. Przygarnąć tę dziatwę, oczyścić materyalnie, trzymać spokojnie, wpajać w nie elementarne zasady uczciwości, mówić o Bogu i o obowiązkach, o czém nigdy przedtém nie zasłyszały, stało się zadaniem tych szkółek. Potrzeba było nie małego poświęcenia ze strony nauczycieli i dozorców tych zakładów: obsiadało ich nieraz robactwo. Ale apostolski zapał lorda Shaftesbury działał zachęcająco. Udało mu się zebrać do trzech tysięcy osób, jako członków dyrygującego komitetu i zawiązał unię szkółek łachmaniarzy. Przez lat 45 rok

w rok prezydował on na ogólném zebraniu, rozdawał nagrody, przemawiał do uczniów i do nauczycieli. W tych ostatnich starał się wpajać zasadę, że nie ma powodu sztucznie podnosić kilku uczniów, a zaniedbywać całość, ale że lepiéj jest zachować szkółkom charakter pomocy ewangelicznéj dla najbardziéj upośledzonéj warstwy społecznéj. Są tysiączne dowody umoralniającego wpływu, jakie one wywarły na dzieci. Garnęły się te biedne istoty pod skrzydła tych ludzi, którzy pierwsi dali im dobre słowo i karm dla ducha. Ci, co raz do szkółki zajrzeli, przyciągali do niéj rynsztokowych towarzyszy, braci i siostrzyczki. Gdy drzwi zastawali zamknięte, dobijali się do nich mówiąc, że choć trochę religii lepszém jest, aniżeli nie miéć jéj wcale! Powstawały szkółki niedzielne, do których regularnie uczęszczało 50,000 dzieci, szkółki dzienne, szkółki wieczorne, które same jedne miały 5,000 uczniów. W ten sposób przeszło 300,000 istot zostało wyrwanych armii występku i postawionych w normalnych warunkach życia.

Niebawem na tym pniu inne wystrzeliły gałęzie. Szukając zatrudnienia dla wałęsających się po ulicach chłopaków, Shaftesbury i jego pomocnicy utworzyli w roku 1851-ym brygady czyszczących obuwie. Dobrze to jest znany obecnie typ na rogu każdéj londyńskiéj ulicy ów chłopak w czerwonéj kurtce i czapeczce z numerem swéj brygady, czyszczący buty, ułatwiający przejście z jednego rogu na drugi, zamiatający błoto. Są oni wielce popularni, i uczciwość ich jest przysłowiowa. Jest ich kilka tysięcy i zarabiają corocznie sumy liczące się na przeszło 23,000 f. szt. wpływające do kasy Towarzystwa. Każdy z tych chłopców uczęszcza wieczorem do szkół specyalnych i gdy podrasta otrzymuje techniczne wykształcenie, rzemieślnicze lub fabryczne: jest przeszło 400 takich spółek.

Dzieci we wszystkich zakładach tego rodzaju traktowane są z nadzwyczajną pieczą i troskliwością, istotnie po rodzicielsku. Urządzane są dla nich zabawy, letnie wycieczki na wieś, rozdawane są im podarki i t. d. Każde ich dobre skłonności i postępy otrzymują nagrodę; nie karami, ale podniesieniem szlachetniejszych stron natury ludzkiéj posługują się ich nauczyciele. Nie dziwota tedy, że całe to młode pokolenie lgnie do tych opiekuńczych zakładów, że otaczało lorda Shaftesbury gorącą miłością. Z dumą nazywali siebie we wszystkich ważniejszych okolicznościach życia: „*I am Lord Shaftesbury's boy*“, a pochodzenie ze szkoły obdartusów stawało się najlepszém poleceniem, gdy ubiegali się o miejsce czeladników i zarobkującéj młodzieży. Sprawdził tedy ów dobry hrabia, jak go ogólnie nazywali, ową maksymę ewangeliczną, że poniżeni wywyższeni będą.

Trzeba było z jego strony istotnie pracy nadludzkiéj, i to nieprzerwanie trwającéj przez całe dziesiątki lat, aby wszystkim obowiązkom kierującego temi zakładami podołać. Ale jako nagrodę miał ten fakt niezbity, iż występki nieletnich zmniejszyły się w stosunku 75%. Cyfra ta, stwierdzona przez urzędowe wykazy statystyczne, nie potrzebuje komentarzy.

Niestrudzony w swych pomysłach odrodzenia podupadłéj moralnie dziatwy, Shaftesbury usiłował otwierać im coraz nowe zawody. Wiedząc, jak niezdrową jest dla nich atmosfera stolicy i na jaki nadmiar biednéj ludności ona systematycznie cierpi, starał się zawsze wysyłać chłopców podrastających na wieś, zwracać ich ku pracy rolnéj i szczególnego starania dokładał do wytwarzania ruchu emigracyjnego. W niezliczonych koloniach angielskich jest dla milionów rąk pracy i chleba podostatkiem; niezależność materyalna jest tam do pozyskania łatwą, a patryotyzm brytański z otuchą może na swych osadników spoglądać. Filantropijna działalność lorda Shaftesbury znalazła na tém szczegółowém polu daleko raźniejszą pomoc, aniżeli na innych; ale starał się wpoić przekonanie we wszystkie komitety, organizujące emigracyę młodzieży do kolonii, że ich celem nie jest rzucić w zamorskie światy jednostki niewystarczająco zahartowane, i obojętnie patrzéć na ich możliwą zagubę, ale przeciwnie, że powinny zostawać w stałym związku i zetknięciu się ze swymi wysłańcami, być dla nich wiernym przyjacielem, rodzinném ogniskiem, skądby zawsze ciepłe słowo zachęty i ewentualna pomoc być mogły im dawane. Rozmaite przykłady płodnych następstw téj taktyki znaleść można w każdéj biografii lorda Shaftesbury.

Na szczególną jednak uwagę zasługują w téj sferze jego działalności szkoły majtków. Myśl ta zrodziła się u niego w 1866 roku. Pewnego wieczora zaprosił on 300 chłopaków na wieczerzę do sali szkółki i ku wielkiéj ich niespodziance, nakarmiwszy ich, zapytał, czyby się przypadkiem nie znalazło wśród nich ochotników do służby okrętowéj. Ochotników odrazu znalazło się kilkudziesięciu i nazajutrz jedno z najświetniejszych jego przedsięwzięć zostało ufundowane. Admiralicya oddała na jego rozporządzenie stary okręt *Chichester*, a następnie i drugi *Arethusa*: oba służyły jako szkoły dla majtków. Tam pod ścisłą, systematyczną karnością chłopacy ćwiczyli się w zawodzie żeglarskim, w tym zawodzie, któremu Anglia swą potęgę zawdzięcza. Kilku miesięcy było dość, ażeby ze zwiędłego anemicznego dzieciaka zrobić krzepkiego i silnego majtka. Morze sprowadzało tę metarmofozę nietylko fizyczną, ale i moralną. Niebawem za inicyatywą lorda Shaftesbury w Londynie, poszły różne wielkie

miasta portowe i wkrótce szkoły majtków stały się dla marynarki krajowéj nieodzownym warunkiem. Od chwili założenia pierwszéj szkoły okrętowéj w r. 1866 aż do 1885, roku śmierci lorda Shaftesbury nie mniéj, jak 10,000 majtków zaciągnęło się do marynarki. Wielu z nich odznaczyło się bohatérskiemi czynami. Zwiedzając różne zakłady jego imienia, i oprowadzany po gmachach i salach przez samych jéj wychowańców, zauważyłem, że z największą ochotą zwracali się młodzi moi przewodnicy do tablic marmurowych, gdzie złotemi głoskami wyryte są nazwiska ich starszych braci, żeglarzy i niewyczerpani byli w opowiadaniach szczegółów do téj gałęzi zawodowéj się odnoszących.

Zakłady, o których tu mówię, noszą nazwę Narodowych przytułków dla opuszczonych dzieci. Pierwszy z nich ufundowany został w roku 1850-ym i tak drobne były wówczas fundusze, że zaledwie dziewięcioro dzieci było można przygarnąć: wkrótce było ich sto, a nie upłynęło dwóch lat, gdy pięć tego rodzaju domów na silnéj materyalnéj uorganizowało się podstawie. Ten, który się wznosi na wspaniałéj ulicy, noszącéj nazwisko tego lorda, a zbudowanéj na miejscu, gdzie przed kilku laty najohydniejsza gnieździła nędza, jest w całém słowa tego znaczeniu wzorowym zakładem. Do zakładów tych przyjmowane są wszystkie dzieci bez dachu i bez rodzin, i są wychowywane i kształcone ku celom praktycznym. Do wielu z tych domów przytułku należą wiejskie zakłady, gdzie chłopcy kształceni bywają na rolników: typowy jest folwark w Bisley, oraz drugi w Twickenhamie, niedaleko Londynu, gdzie się specyalnie kształcą dla rolniczego zawodu po koloniach. Osobne domy przytułku są utworzone dla dziewcząteк: najrozleglejsze są rozmiary tych, które wzniesiono w Sudbury i Ealing. Niestrudzoną działalność rozwijał Shaftesbury, ażeby pozyskać dla każdego z otwierających się domów przytułku stałych opiekunów i aby raz na zawsze ich byt materyalny zabezpieczyć. Posiadał taki wpływ towarzyski, że mu się w znacznéj części to przedsięwzięcie udało i że większa część istniejących zakładów posiada już swoje własne majątki z legatów i fundacyi. Dzieło, poczęte zuchwale, ma już obecnie zabezpieczoną przyszłość.

Nie podobna jest wyliczać wszystkiego, co zdziałał dla dzieci i wobec konieczności ograniczenia tego sprawozdania, pominięte zostały niektóre z najbardziéj charakterystycznych, najbardziéj wzruszających jego przedsięwzięć, jak np. oswobodzenie młodych kominiarzy od organizacyi pracy, która ich niechybnie na kalectwo jeżeli nie na śmierć skazywała. Czas jest przejść, albo dotknąć przynajmniéj

wielu innych gałęzi jego filantropijnéj działalności, obejmującéj nie dzieci już tylko ale i dorosłych. Od 1843 aż do roku swéj śmierci, a zatém przez czterdzieści lat z górą, poświęcał szczególną troskę kwestyi mieszkań i domów najuboższéj warstwy społecznéj. Jemu to należy się zasługa, że sprawa ta z żywotnych najżywotniejsza tak ogromne uczyniła postępy w ostatnich lat dziesiątkach. Udało mu się skierować uwagę publiczną na okropne warunki bytu najuboższych mieszkańców Londynu i społeczeństwo z razu obojętne, wstrząsło się z przerażenia, gdy na meetingach albo z ławy parlamentarnéj dawał szczegóły o mieszkańcach proletaryatu stołecznego. Były całe dzielnice miasta skazane raz na zawsze jako siedlisko zaraźliwych chorób, plugawéj nędzy, niemoralności, zbydlęcenia, występku, zbrodni. Gdy w czterech domach dwupiętrowych znalazł 431 osób mieszkających, gdy w pokoikach, na barłogu, z robactwem na ścianach i podłodze, spali bez różnicy płci i wieku wszyscy członkowie rodziny i to nie jednéj ale kilku, gdy tu spotykał ludzi grających w karty na trumnie zawierającéj zwłoki krewnego, tam matkę sprzedającą swą córkę za 5 szylingów, miało się ochotę posądzać go o przesadę, o melodramatyzowanie nędzy. Ale gdy stawił nie jednostki ale setki świadków, gdy poprowadził członków komisyi, wyznaczonéj z łona parlamentu do takich strasznych domów, ulic i zaułków, gdy pokazał jakie dochody skandaliczne z tych jam ciągną ich właściciele, wtedy przekonano się o potrzebie bezwłocznéj, energicznéj działalności. Kilka bilów przeszło przez parlament, jedne dopełniając drugie i miasto, stowarzyszenia, kościół, filantropowie zabrali się do dzieła. Zrobiono już niezmiernie wiele, a jeżeli jeszcze wypadnie zburzyć wiele cyrkułów, wiele zakątków, czarne plamy stanowiących na mapie czteromilionowego grodu, to przynajmniéj droga jest wytknięta i nie ma obawy, ażeby się ruch zbawczy w tym kierunku zatrzymał. Kto się tylko tą kwestyą zajmował, wié ile dla jéj rozwiązania zrobili ludzie jak sir Sydney Waterlow, amerykański milioner Peabody, lord Iveagh, baronowa Burdett-Coutts, panna Octavia Hill i kilku innych. Coraz bardziéj straszny Londyn przeszłości znika z powierzchni: zdrowie, życie, uszlachetnienie tysiąców rodzin jest bezpośredniém tego przeistoczenia następstwem. Shaftesbury był członkiem wszystkich towarzystw, a prezydował w wielu, które budowały domy zdrowe i przyzwoite na ruinach ohydnych „*slums.*“ Niektóre z jego przedsięwzięć były olbrzymie. I tak: w r. 1872 położył węgielny kamień nowéj dzielnicy Londynu, noszącéj nazwę Shaftesbury-Park. W dwa lata późniéj wzniesiono tam 1,200 domków, przeznaczonych dla 8,000 osób. Jestto obecnie jeden z najzdrowszych i najporządniejszą ludnością robo-

czą zamieszkały cyrkuł miasta. Za przykładem tym poszło wiele innych dzielnic, pomiędzy celniejszemi wymienić należy dwa: Noel-Park i Queen's-Park. Wzniesione są one na zasadzie małych, schludnych domów z ogródkami i podwórzami, każdy przedzielony na dwa całkiem niezależne od siebie mieszkania. Jako szczegół, charakteryzujący te nowo wzniesione cyrkuły dla robotniczéj ludności, trzeba wymienić ten, że statuty towarzystwa, które je zabudowało, zakazują otwiérania szynków i sprzedaży gorących trunków na całéj jego przestrzeni. Olbrzymie powodzenie, jakie ten system znalazł, nie przeszkadza także jednoczesnemu powodzeniu odwrotnego budowania olbrzymich, koszarowych domów, podług fundacyi p. Peabody: są to dwie formy, w których zabudowuje się Londyn dla przyszłych pokoleń. Bez chwili wahania trzeba jednakże oddać pierwszeństwo téj, z którą imię lorda Shaftesbury jest zespolone.

Nieraz nieprzyjaciele wielkiego reformatora wyrzucali mu, rozdrażnieni, gdy się ich egoistycznym interesom sprzeciwiał, że czynił dalekie kampanie a zaniedbywał właśnie tego wiejskiego ludu, który w jego własnych wiejskich majętnościach w bezpośredniéj od niego znajdował się zależności: słomkę miał widziéć w cudzém, a niedostrzegać belki w swém własném oku. Fakta dowiodły jak niezasłużony to był zarzut. Dopóki żył jego ojciec, lord Ashley nie miał najmniejszego prawa mieszać się do stosunków, istniejących pomiędzy właścicielem a czynszownikami, a nawet gdy sam został hrabią Shaftesbury i panem majoratu, specyalne kontrakty i umowy emfiteutyczne uprzednio zawarte krępowały mu ręce w niejednych okolicznościach. Ale gdy tylko miał prawo to uczynić, natychmiast przebudował całe wsi. Wzniósł dla swych czynszowników piękne domki, posiadające na dole wielki pokój mieszkalny i kuchnię a na piętrze trzy pokoje sypialne z oddzielnemi wejściami. Każdy *cottage* ma wyborną kanalizacyę, wodę źródlaną, ogródek owocowy i ćwierć akra zagonów. Czynsz zniżony został do 52 szylingów rocznie, czyli do szylinga tygodniowo. Nie powiększył wprawdzie przez taki system gospodarczy swego dochodu z majoratu, który przekazał swemu synowi w takiéj sumie 16,000 f. szt. roczněj, jak ją otrzymał sam, ale nie uważał téż nigdy zbogacenia się za najgłówniejszy cel życia; widział w posiadaczu wielkiéj fortuny jedynie administratora części fortuny publicznéj. Sam żył tak skromnie, że zwykłego w jego towarzyskiém położeniu komfortu zaledwie sobie pozwalał a o zbytkach nie marzył: za to wieśniacy uważali go za dobrodzieja i ojca. Zbytecznėm byłoby dodawać, że na całéj przestrzeni jego dóbr nie ma

karczem i szynków, ale są za to wzorowe szkółki, domy dla sierot, starców, biblioteki i wszystkie użyteczne zakłady publiczne.

Łatwiéj jest wyliczać rozmaite kategorye jego działalności, niż scharakteryzować we właściwych słowach te niezliczone rysy jego sympatyi dla cierpiących i upośledzonych, w które całe jego życie obfituje. Jeden fakt niechaj za wiele innych starczy. Wziął do serca położenie jednego z najobszerniejszych cyrkułów Londynu, Golden Lane. Na małéj przestrzeni gromadził się tam najniemoralniejszy żywioł społeczny, i osławienie tego zakątka było takie, że misyonarze delegowani byli przez kościół do nawracania tych wyrzutków społeczeństwa. Zbadawszy cały ogrom moralnego upadku tamecznéj ludności, Shaftesbury otworzył tam szkółki, kasy oszczędności, sale dla zebrań religijnych i t. d. Traf zdarzył, że osiadła tam wielka liczba przekupniów ulicznych, sprzedających na taczkach i małych wózkach, często pchanych rękami a czasami zaprzęganych w osły, tanie artykuły żywnościowe. Do nich zbliżył się Shaftesbury i przez tę warstwę społeczną o rubasznych formach ale dobrych instynktach postanowił oddziałać na całą ludność téj dzielnicy. Powiodło mu się to całkowicie. Przekupnie stali się tak zagorzałymi jego przyjaciółmi, że gdy ich odwiedzał, przyjmowali go jak króla, jak tryumfatora, lepiéj jeszcze, jak brata. Został on członkiem ich korporacyi i otrzymywał listy adresowane Do Jego Ekscelencyi hrabiego Shaftesbury, kawalera podwiązki i ulicznego przekupnia. Sam nigdy téj godności w swym całkowitym podpisie nie pomijał i cenił jako dar braterski osiołka, którego mu jego koledzy przekupnie podarowali: w ostatnim roku życia, gdy mu nogi odmawiały służby, osiołek ten ciągnął jego wózek, w którym odbywał przechadzkę. Cała rewolucya moralna zaszła w ciągu jednego dziesiątka lat u mieszkańców Golden Lane, którzy uważani są przez policyę stołeczną obecnie za ludność wyborową.

Oczywiście taka działalność wytrwała i taki duch poświęcenia pozyskał mu u całych upośledzonych warstw narodowych zaufanie i miłość nadzwyczajną. Wiedząc, że na niego zawsze rachować mogą nieograniczenie, otwiérali przed nim najtajniejsze serc swoich głębiny. Nie pogardzał on, nie odpychał nikogo. Niejednokrotnie opowiadany był fakt, jak go zawezwało do siebie towarzystwo złodziejów zawodowych. W imieniu tego oryginalnego związku, czterdziestu złoczyńców napisało doń odezwę, ażeby ich odwiedził na tygodniowém zebraniu i wskazał sposób zreformowania ich życia. Nietylko, że się na zebranie to udał i znalazł się wpośród 400 wyrzutków społeczeństwa wszelkiego wieku, stanu i wyglądu, ale obiecał im przybyć ile

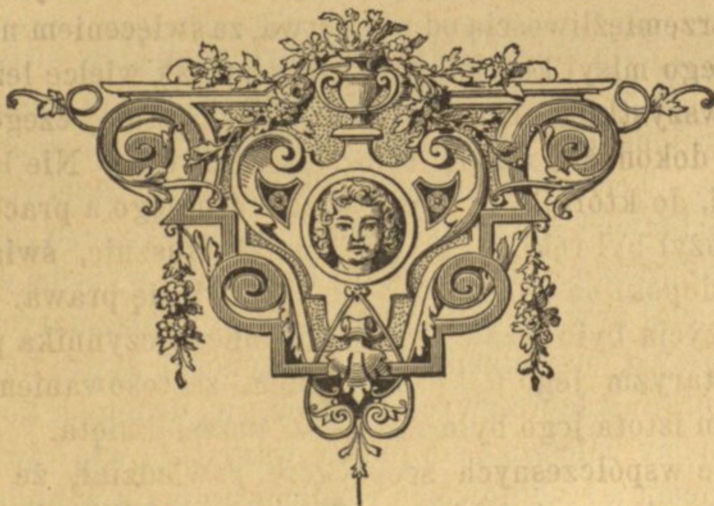
razy jego pomocy i rady potrzebować będą. Istotnie, Tomasz Jackson, misyonarz, który się specyalnie poświęcał nawracaniu na dobrą drogę złoczyńców stolicy, bywał odtąd w ciągłych stosunkach ze szlachetnym lordem i dzięki ich zabiegliwości, wszyscy ci, których na drogę występku pchnął brak środków utrzymania, wyratowani zostali z otchłani. Jeżeli takiém uczuciem miłosierdzia był zagrzany dla tych, których za straconych uważać można, to tém więcéj go okazywał dla niewinnie pokrzywdzonych. Ich cierpienia uważał za swoje i nie spoczął, póki im ulgi nie przyniósł. Nie było wdowy i sierot po ludziach, którzy mu pomagali w filantropijnych misyach, ażeby im bytu nie zapewnił, prowadził własnym kosztem procesa, jak np. téj biédnéj robotnicy pokaléczonéj w fabryce, a któréj fabrykant potrącił za dzień niedokończonéj pracy półtora szylinga. Otrzymał od najwyższego trybunału dla téj ofiary nietylko wynagrodzenie 100 funtów, ale uparty a okrutny fabrykant skazany został na grzywny 600 funtów szt. Takie rysy, postawione jedne obok drugich, pozwalają zupełnie zrozumiéć tą słynną definicyę prostaczka, który zapytany jak pojmuje Trójcę świętą, odpowiedział bez namysłu: „jak lorda Shaftesbury w trzech osobach!“

Nie widzieliśmy potrzeby w obrazie działalności publicznéj wielkiego filantropa wciągać ani jego wczesnych kampanii za zniesieniem niewolnictwa, ani agitacyi za przesiedleniem żydów do Palestyny, za wstrzemięźliwością od pijaństwa, za święceniem niedzieli, ani rozmaitych jego misyi kościelnych, które mu tak wielce leżały na sercu. Przedewszystkiém chodziło nam o wykazanie, czego jednostka jest w stanie dokonać w dziale reform socyalnych. Nie było żadnéj ich kategoryi, do któréjby w ciągu swego długiego a pracowitego życia nie przyłożył był ręki. Jak powiedział słusznie, światem rządzi siła i gwałt, dopóki na ich miejscu nie postawi się prawa. Całém zadaniem jego życia było zastępowanie ujemnego czynnika przez dodatni, a humanitaryzm jego był praktyczném zastosowaniem chrystyanizmu, którym istota jego była nawskroś przesiąknięta.

Jeden ze współczesnych sceptyków powiedział, że w gruncie rzeczy jedyny atrament, jakim po wsze czasy wielki człowiek wpisać może swe imię w roczniki ludzkości, jest — krew. Nikt lepiéj jak lord Shaftesbury nie zadaje w swojéj osobie kłamu temu pesymistycznemu poglądowi. Nie krwią rozlaną ale otartemi łzami i rozpogodzonemi czołami zaznaczył on swoją ziemską pielgrzymkę. Imię jego posiadać będzie historyczną nieśmiertelność. Zanim umarł, społeczeństwo, zrazu mu niedowierzające, miało czas sąd pierwotny sprostować. Zasiadał pomiędzy wybrańcami narodu, zajmował wysokie

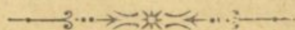
urzędy, ministerya rachowały się z jego opinią; rodzina królewska czciła go i ceniła jako osobistego przyjaciela, wielkie miasta, a między innemi Glasgow i Londyn ofiarowały mu swe honorowe obywatelstwo; raz odrzuciwszy, musiał przyjąć następnie Order podwiązki, najwyższy zaszczyt, jaki urzędowa Anglia wyświadczyć jest w stanie. Dzień ośmdziesięcioletnich urodzin obchodzony był tryumfalną apoteozą. Wznoszono mu pomniki za życia — żałobny obchód w opactwie Westminsterskiém był nieporównanéj świetności. A i na tém się nie skończyło. Sąd, jaki przez usta księcia Argyll i markiza Salisbury sformułowany o nim został, mianowicie, że pomiędzy reformatorami społecznymi naszego wieku, on był najznakomitszym, sąd ten potwierdzony został przez cały naród. Gdy syt lat i chwały, legł w grobie swych przodków, mógł unieść z sobą przeświadczenie, że dzieło jego nie zginie i że w rękach współdziałaczy jego rozwijać się będzie gwoli ogólnemu dobru.

Dr. M. E. Trepka.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



Roślina i zwierzę.—Podobieństwo pomiędzy niemi w budowie i w funkcyach fizyologicznych.—Pobudliwość komórek roślinnych.—Charakter reakcyi pobudliwości.—Podniety zewnętrzne: ciśnienie, światło, ciążenie i t. d.—Szybkość w ruchach pod wpływem zewnętrznych bodźców. — Intensywność bodźca. — Podniety wewnętrzne. — Wrażliwość roślinnych komórek i jéj stępianie. — Kombinowanie się rozmaitych reakcyi pobudliwości. — Wzajemne wspomaganie się fizyologii roślin i zwierząt.

Granicę, jaką umysł ludzki wzniósł pomiędzy światem roślinnym a zwierzęcym, zniweczono wówczas dopiéro, kiedy uzbrojone oko przeniknęło do świata najdrobniejszych żywych tworów. Ten nowo odkryty świat stał się ogniwem łączącém dwa wielkie oddawna znane królestwą, a bliższe jego poznanie doprowadziło do przekonania, że istotą i punktem wyjścia dla wspólności wszelkich ciał żywych jest ich budowa protoplazmatyczna. W najelementarniejszym organizmie, w pojedyńczéj żywéj komórce tkwi już zagadka organizacyi żywych tworów, w drobnym kosmku pełzającéj protoplazmy mieszczą się już te wszystkie właściwości, które, dzięki powolnemu a stopniowemu różnicowaniu się w budowie, dochodzą do najwyższych szczebłów doskonałości. Izolowana zaś komórka, wiodąca niezależne życie, jednakowém prawem zaliczona być może zarówno do zwierząt, jak i do roślin.

Od kilku już dziesiątków lat pogląd ten zdobywa słusznie należne miejsce w nauce i przeniknięte są nim wszelkie prace, skierowane ku poznaniu wewnętrznéj i zewnętrznéj organizacyi oraz zjawisk życia wegetacyjnego i funkcyi rozmnażania. Natomiast często

jeszcze spotykamy się z poglądami o zasadniczych różnicach fizyologicznych pomiędzy roślinami a zwierzętami. Przyjmowanie wszakże istotnych różnic w przeróbce materyi pomiędzy zwierzętami a roślinami, polega na zupełném zapoznawaniu istoty zjawisk odżywiania się roślinnego, a również na karb przejętéj tylko tradycyi położyć należy, że dotychczas nie zdobyło sobie ogólnego uznania przeświadczenie, iż w roślinie, tak jak i w zwierzęciu, cały mechanizm życiowy zależny jest od najrozliczniejszych zjawisk pobudliwości. Istocie téj właśnie pobudliwości, wrażliwości roślin na bodźce poświęcimy tu nieco uwagi [1]).

Stosunki ze światem zewnętrznym są, jak wiadomo, niezbędnemi warunkami dla zapewnienia życia tworom uorganizowanym. Bez dowozu pokarmu roślina, tak jak i zwierzę, umiéra śmiercią głodową, a w braku tlenu lub przy nieodpowiedniéj temperaturze i w roślinie mogą być zawieszone czynności życiowe. Lecz pozostawmy na uboczu te ogólne, niejako formalne warunki istnienia, natomiast skierujmy uwagę tylko na pobudliwość, czyli na te reakcye, w których żywa roślina odpowiada pewnemi zmianami na wewnętrzne i zewnętrzne bodźce. Dostrzegalne dla zmysłów naszych zjawisko, ruch, zmiana w przeróbce materyi lub t. p. stanowią wyłączną mowę, za pomocą któréj nieme rośliny zdradzają nam swą pobudliwość. W robaku, który zakrzywia się za dotknięciem, w motylu, który biegnie ku światłu, ruch także jest świadectwem pobudliwości, zupełnie tak samo, jak u czułka (*Mimosa pudica*), zamykającego swe listki, w roślinie doniczkowéj pnącéj się ku światłu lub w pełzających komórkach, wyciągających wyrostki ku nęcącemu je pokarmowi.

Lecz dotknięcie czułka jest tylko bodźcem, wyzwalającym ruch w jego listkach, które zamykają się dzięki sile złożonéj we własnéj ich substancyi i dzięki chwilowemu ich położeniu. Nie mamy tu przemiany siły ruchu dotykającego przedmiotu na ruch saméj rośliny. Działanie zewnętrzne jest wyłącznie tylko powodem, który wprawia w grę siły w saméj roślinie już skupione. Nie jestto przyczyna we właściwém znaczeniu, t. j. przyczyna, całkowicie przeobrażająca się na ilościowo równoznaczną sumę wyzwolonéj energii ruchu listków. I tak samo światło padające na motyla nie przeobraża się w ruch owadu, lecz tylko stanowi bodziec zniewalający go do lotu, podobnie jak i rażące światło może zmusić człowieka do szukania ciemności. Bodźce takie niejako zapoczątkowują tylko wykonywanie pewnych

[1]) W. Pfeffer. „Die Reizbarkeit der Pflanzen." Odczyt wygłoszony na 65-ym zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Norymberdze.

ruchów w żywych tworach, wyzwalają drzémiące w nich siły, i w tém właśnie mieści się charakterystyczna cecha wszelkich zjawisk pobudliwości (wrażliwości).

By wszakże umożliwić takie wyzwolenie zjawisk, potrzeba zarówno w przyrządach ludzką ręką zbudowanych, jak i w żywych organizmach odpowiednich urządzeń i zdolności, od których zależy jakość i ilość wyzwolonych reakcyi. Dotknięcie się palcem ściany kotła parowego pozostaje bez żadnego skutku, lecz odpowiednie naciśnięcie wentylu wprawia w ruch maszynę parową. Tak samo nie każda roślina oddziaływa na ucisk lub wstrząśnienia, skutki zaś podobnych pobudzeń występują w najrozmaitszych przejawach zewnętrznych. U jednéj rośliny następują ruchy mechaniczne, u innych zmiany w przemianie materyi, wydzielanie lub pochłanianie pewnych ciał i t. p. Gdy zaś tak ogólnie pojmować się zgodzimy zjawiska pobudliwości, zrozumiemy, że nie stanowią one właściwości cechujących pewne tylko rośliny, lecz przeciwnie są podstawowemi własnościami wszelkiéj żywéj materyi, a każda roślina jest uzdolniona do rozmaitego rodzaju reakcyi pod wpływem bodźców, które często uchodzą przed wzrokiem naszym, jak zresztą i same wyzwolone reakcye mogą czasami nie być przez nas dostrzegane przy powierzchownéj obserwacyi. Pobudliwość ta, czyli zdolność reagowania na bodźce, jest téż najogólniejszym środkiem oddziaływania wobec ustawicznych stosunków, jakie łączą żywe twory ze światem zewnętrznym. W jednym razie np. chodzi o to, ażeby roślina cała lub pewne jéj organa przybrały właściwe dla swéj działalności położenie, w innym znów o przystosowanie się do nowych warunków otoczenia i o uniknięcie szkodliwych wpływów zewnętrznych, które mogłyby wywołać pewne niekorzystne zmiany w jéj czynnościach. W istocie téż cały rozwój i wszystkie funkcye życiowe rośliny ściśle są związane z najrozliczniejszemi zjawiskami pobudliwości, z których uwzględnimy tu tylko bardziéj uderzające.

Wspomnieliśmy już o czułku, zamykającym swe listki za dotknięciem, a także o zjawisku heliotropizmu, t. j. zwracaniu się liści i łodyżek w stronę światła. Dla pozyskania odpowiedniego położenia duże ma téż znaczenie działanie siły ciężkości, t. zw. geotropizm. Bodziec ten zniewala łodygę do przybierania pionowego kierunku w górę, a korzeń do zwracania się ku centrowi kuli ziemskiéj. W ten sposób roślina dochodzi do stanu równowagi, w którym już pozostaje, pobudka bowiem do ruchu geotropicznego zachodzi wówczas tylko, kiedy sztucznie zakłócony został normalny stan równowagi. Nadmienić również wypada o pobudliwości hydrotropowéj, t. j. o ruchu

korzeni w kierunku ku wilgotnemu ośrodkowi. Gdy ten hydrotropizm działa jednocześnie z geotropizmem, oczywiście korzeń przybiera kierunek, będący wynikiem wspólnego działania dwu tych sił.

Prócz tego rozmaite wpływy chemiczne, termiczne (cieplikowe), elektryczne i in. wyzwalają różne zjawiska ruchowe. Na te bodźce wszakże roślina odpowiada nietylko ruchami, lecz bardzo często także reakcyami, które zewnętrznie nie natychmiast, albo nawet i wcale nie bywają dostrzegane. Do takich rezultatów pobudliwości zaliczyć można między innemi wzmacnianie się ścianek komórkowych wskutek bodźca, pochodzącego od siły ciążenia. Gałąź, zmuszona do wytrzymywania znaczniejszych działań mechanicznych, staje się istotnie silniejszą, a w miarę jak wyrastający owoc dyni staje się cięższy wzmacnia się także nosząca go łodyga. Korzeń energiczniéj pracuje, jeżeli, znalazłszy się na mocno zbitym gruncie, znaczniejsze pokonywać musi opory.

Taka wrażliwość również wyraźnie daje się spostrzegać w roślinnych organizmach uzdolnionych do zmiany miejsca, i znamy liczne tego rodzaju przykłady oddziaływania światła, ciepła, dotykania mechanicznego, elektryczności, siły ciążenia, wpływów chemicznych i t. p. Tak np. nader interesującém jest zjawisko, gdy bakterye, które dotąd bez żadnego celu swobodnie poruszały się w płynnym ośrodku, nagle za podaniem kawałeczka mięsa lub wyciągu mięsnego skupiają się i gromadą całą śpieszą ku nęcącemu je ciału. A gdy przyciągające je związki chemiczne w zbyt mocném znajdą się stężeniu wówczas z pewnéj odległości bakterye zwracają z drogi i uciekają, podobnie jak unikają także ciał szkodliwie lub zabójczo na nie działających. Kiedy obdarzone zdolnością ruchu bakterye zostają przyciągane przez pepton, asparaginę, sole potasowe i wogóle przez bardzo wielką liczbę ciał, natomiast nici nasienne paproci bardzo są w tym względzie wybredne. Przytém wrażliwość na bodziec jest w tych drobniutkich organizmach niezmiernie wyczuloną. Bilionowa lub trylionowa część jednego miligrama takiego nęcącego ciała wystarcza już do sprowadzenia reakcyi. Są one więc znacznie czulsze od najdokładniejszéj wagi i od najdoskonalszych w tym względzie odczynników chemicznych.

Ta pewność w płynięciu bakteryi ku przyciągającemu je celowi wzbudza w obserwatorze pozory rozumnego chcenia i działania, i to w znacznie wyższym stopniu, aniżeli najbardziéj uderzające ruchy roślin przytwierdzonych korzeniami do ziemi. Te ostatnie bowiem zdolne są tylko do ruchów przez skrzywianie swych organów i do ruchów w kierunku wzrostu. Jednakże forma reakcyi ruchowych nie

ma tu żadnego rozstrzygającego znaczenia co do istoty pobudliwości, która w jednakowém urozmaicaniu wydoskonalona jest zarówno w swobodnie poruszających się, jak i w przytwierdzonych do gruntu roślinach.

Gdy wszakże przeważna liczba zajmujących nas tu reakcyi u wyższych roślin przebiega nader powolnie, a o ruchach drobnych istotek dowiedziéć się możemy dopiéro po odpowiedniém uzbrojeniu oka, nie trudno przeto zrozumiéć, że człowiek zrósł się z przekonaniem, że rośliny nie są w tym stopniu pobudliwe, co zwierzęta. Nie bylibyśmy popadli w ten błąd, gdyby daném nam było od najwcześniejszéj młodości obserwować w wielotysiączném powiększeniu życie świata roślinnego. Widzielibyśmy bowiem całe roje niższych roślin z ich nieprzebraną rozmaitością ruchów, a pośpiech, z jakim bakterya zbliża się do podawanego jéj pokarmu, zapewne skłonni bylibyśmy porównywać z napadem drapieżnego zwierzęcia na łup. Oko, które dostrzegałoby takie zjawiska, niewątpliwie dojrzałoby téż zmiany w położeniu rosnących łodyg i korzeni i w każdéj wyżéj uorganizowanéj roślinie widziałoby mnóstwo reakcyi zachodzących pod wpływem najrozmaitszych bodźców zewnętrznych. Bezwątpienia zaliczylibyśmy wówczas pobudliwość i wrażliwość do najnaturalniejszych cech organizmów roślinnych. Z pewnością Arystoteles przyznałby w takim razie roślinom duszę, która z niemniejszą wrażliwością jak dusza zwierzęcia umiałaby odczuwać zmiany w otoczeniu.

Przy ocenianiu istoty reakcyi pobudliwości nie powinniśmy wogóle uwzględniać szybkości, z jaką reakcye te zachodzą, gdyż można ją mierzyć tylko według względnéj skali. Bakterya, która pod mikroskopem nader szybko przemyka przez pole widzenia i zręcznie rzuca się na nęcący ją pokarm, w rzeczywistości nie porusza się nawet w przybliżeniu tak szybko, jak powoli pełzający ślimak, ale za to niezmiernie szybko w porównaniu z długością własnego ciała. Gdy bowiem człowiek, dobre stawiając kroki, w ciągu sekundy przejść może mniéj więcéj połowę długości własnego ciała, bakterya w tym samym czasie przebiega trzy do pięciu razy większą przestrzeń od własnéj swéj średnicy. Ziemia natomiast, która szalonym pędem bieży w przestrzeni wszechświata, wykonywa na sekundę około 420-éj części swéj średnicy. A w porównaniu z taką absolutną szybkością, więcéj zaś jeszcze w porównaniu z szybkością, z jaką promień światła biegnie od słońca do naszéj planety, niezmiernie znów są powolne najszybsze ruchy i zjawiska pobudliwości u najzwinniejszych zwierząt.

Pomińmy wszelkie specyficzne osobliwości w przebiegu i skut-

kach reakcyi, a w takim razie przyznamy, że wspólną wszystkim zjawiskom pobudliwości właściwością jest to, iż noszą one charakter zjawisk, w których wyzwalają się złożone w organizmach, drzémiące niby siły. Pobudliwością i zjawiskami pobudliwości nazywamy właśnie takie tylko reakcye, które zachodzą w żywych organizmach. Bodziec każdy jest tylko pobudką do wyzwolenia pewnych reakcyi i zjawisk, które, bez względu na zawiłość swą i różnorodność, przebiegają zawsze stosownie do specyficznych właściwości i urządzeń organizmu, a mechaniczne wykonywanie tych reakcyi zachodzi dzięki siłom, jakiemi sam organizm rozporządza. Lecz z drugiéj strony wynika także z powyższego, że nie każdy dowolny bodziec sprowadza zjawisko pobudliwości, lecz przeciwnie potrzeba na to określonych wpływów i to takich, któreby koniecznie we właściwém miejscu, a nieraz i we właściwym czasie działały. Również jest zrozumiałém, że pomiędzy wyzwalającym daną reakcyę czynnikiem a samą reakcyą może nie isnićć żadna formalna, ani energetyczna proporcyonalność. Nieznaczna energia iskry wystarcza do zapalenia olbrzymiéj masy prochu i sprawienia wielkich skutków mechanicznych, lekkie uderzenie skrzydeł ptaka może spowodować stoczenie się lawiny, która zmiata lasy i domostwa ludzkie.

Pomimo to wszakże, wszelki bodziec musi koniecznie posiadać pewną minimalną intensywność, musi przekroczyć po za właściwy sobie „próg“, jeżeli ma dokonać jakiéj reakcyi. A wywołany przezeń skutek ujawnia się natychmiast, lub téż po pewnym okresie utajenia, poczém przebiega z mniejszą lub większą szybkością. Lecz i w tém znów nie ma nic osobliwie charakterystycznego dla reakcyi fizyologicznych. To samo dostrzegamy w machinach sporządzonych ręką ludzką.

Niemniéj nie jestto specyficzną właściwością zjawisk pobudliwości, że organizm odpowiada na bodźce reakcyami zgodnemi z pewnemi celami. Przyrządy służące nam w technice i w doświadczeniach naukowych również pracują samoregulująco i odpowiednio do pewnych celów. Genialna myśl Darwina, iż tylko korzystne dla organizmów właściwości rozwijają się i zachowują, czyni zrozumiałą tę zdolność reagowania w sposób sprzyjający dla utrzymania życia osobniczego.

Dla wywołania jakiegokolwiek zjawiska pobudliwości potrzeba w każdym razie zmiany w wewnętrznych lub zewnętrznych warunkach, w jakich organizm się znajduje. Czułek porusza swe listki nie pod wpływem stałego jakiegoś ciśnienia, lecz jedynie wskutek zmiany w ciśnieniu, wskutek wstrząśnienia, a łodyga zwraca się ku

w ten sposób możliwém jest prawidłowe samoregulowanie funkcyi życiowych, tylko tą drogą pozyskuje organizm odpowiedniość pomiędzy czynnościami oddzielnych swych części składowych. Gdy zaś z tego stanowiska rozpatrujemy życie rośliny, nie mamy już przed sobą prostych, niezłożonych zjawisk pobudliwości, lecz cały łańcuch najzawilszych procesów, które w pstréj różnorodności wiążą się z sobą, splatają i w różne rozbiegają kierunki.

Z tego chaosu krzyżujących się ze sobą zjawisk życia najczęściéj widzimy tylko ostateczne, w oczy niejako bijące, rezultaty, nie zdolni wszakże wyśledzić dokładnie tych poszczególnych dróg i ścieżek, jakiemi pierwotne bodźce dochodzą do ostatnich swych celów. Niekiedy co prawda docieramy do punktów wyjścia, do pierwszego zapoczątkowania zjawiska, lecz nie zawsze tą drogą, jaka w rzeczywistości w żywym organizmie została przebytą. Tymczasem musimy poprzestać na tém, że wiemy, czego szukać należy, że uświadamiamy sobie trudności tych poszukiwań i że w postępach wiedzy znaleźliśmy te stanowiska, z których najprawdopodobniéj z czasem uda nam się z całą dokładnością podpatrzéć sposoby, jakiemi przyroda zadania swe tu rozwiązuje.

Badanie przyczyn w dziedzinie zjawisk życiowych prowadzi nas z konieczności do śledzenia mechanizmu w najprostszych tworach przyrody, w żywém ciele protoplazmatyczném. Bo bez najprostszych komórek protoplazmatycznych nie ma życia. Elementarny zaś ten organizm, podobnie jak każdy organizm, niewątpliwie jest zbudowany z różnych, niejednakowéj doniosłości organów, z których współdziania dopiéro powstaje całkowity mechanizm życia. A te poszczególne części protoplazmy zapewne różne są nietylko pod względem czynnościowym, lecz i co do sposobu przejmowania bodźców, odpowiadania na nie i przenoszenia ich na dalsze części ciała. I dlatego w tych najelementarniejszych budowlach organicznych — w bakteryi, w wodoroście i grzybku — które w tak rozmaity i złożony sposób oddziaływają na podniety, musimy już upatrywać najprostsze stopnie wrażliwości.

Nietylko więc pod względem budowy anatomicznéj, lecz i co do czynności fizyologicznych jednokomórkowe najprostsze twory stanowią węzeł łączący świat roślinny ze zwierzęcym. Dla badań przeto fizyologicznych najwyższe ma znaczenie współczesne uwzględnianie roślin i zwierząt. Wszystkie wszakże nasze wiadomości przyrodnicze opierają się na porównawczém postrzeganiu, a rozszerzanie widnokręgu na możliwie dużą różnorodność zjawisk jest zawsze jednèm z najważniejszych narzędzi, które pozwala coraz głębiéj przenikać

w istotę zjawisk i oddzielać momenty uboczne, przypadkowe od rzeczywistych, istotnych, niezbędnych. W ogólnych kwestyach z zakresu zjawisk życia powinny koniecznie być brane w rachubę doświadczenia zarówno z życia roślin, jak i zwierząt. Podobnie jak fizyologia roślin niejednokrotnie znalazła już pomoc w fizyologii zwierząt, tak i ta ostatnia bezwątpienia dużo może skorzystać, uwzględniając postępy nauki o życiu roślinném. A przyznać trzeba, że w ostatnich lat dziesiątkach fizyologia roślin znakomicie powiększyła zapas swych zdobyczy, że z jasno i metodycznie wytkniętemi celami coraz pewniéj kroczy ku rozwiązaniu wielu tajemnic życia.

Maksymilian Flaum.





SPOŁECZEŃSTWO I HISTORYA

W ŚWIETLE TEORYI NAŚLADOWNICTWA

G. Tarde'a [1]).

IV.

Statystyka — przedstawiając graficzny wyraz każdego naśladownictwa — pozwala nam wyprowadzić coś w rodzaju empirycznych praw zjawisk socyalnych. Teraz więc mamy poznać prawa naukowe, kierujące niemi i w tym celu zbadamy osobno różne kategorye czynników i przyczyn, które dotąd rozważaliśmy ogółem.

Pytanie główne mianowicie na tém polega, z jakich powodów jedne zjawiska nowe szybko się rozpowszechniają; inne zaś, większość — przeciwnie, giną w fali zapomnienia. Oczywiście istnieją przedewszystkiém zjawiska fizyczne (klimat, gleba, meteorologia) — i zjawiska biologiczne (flora i fauna), które pominiemy, zwracając się przeważnie do przyczyn socyalnych.

Przyczyny socyalne podzielić musimy na dwa rodzaje: logiczne i poza-logiczne. Pod wpływem czynników logicznych człowiek przyjmuje to, co mu zdaje się użytecznem lub prawdziwém, bez względu na zaufanie lub przyjaźń dla twórców użyteczności lub głosicieli prawdy. Czynniki logiczne rzadko jednak występują w postaci czystéj: częściéj pod działaniem sił ubocznych (poza-logicznych)

---

[1]) Dokończenie. — Patrz „Ateneum,“ zeszyt listopadowy, r. 1893, str. 200.

duch naśladowczy chyli się w kierunku przykładu gorszego, który jednak ma wyższość pochodzenia co do stanowiska lub czasu.

Najprostsze zjawiska socyalne pozostaną niezrozumiałemi, jeżeli nie zwrócimy uwagi na te różnice. Lingwiści np. chcąc określić prawa językowe, napotykają jedynie masę wyjątków od swoich prawideł. Wynika to stąd, że tylko naśladownictwa, a nie wynalazki stosują się do reguł. Wynalazki te ostatecznie dążą do przekształcenia języka i nie zawsze są logiczne i szczęśliwe. W Sanskrycie widzimy najczęściéj szerokie dźwięki *a*, *o;* w łacinie i greckim — zwężają się one w *e*, *u*, *i*, *y*, a jednocześnie skracają i upraszczają wyrazy: jest-to więc zamiana użyteczna i logiczna. Ale czy było logiczném i użyteczném, aby język grecki zatracił *j* i *v* (digamma?) Czemuż we francuskim zamiast form logicznych, (zgodnych z fonetyką francuszczyzny) *porche*, *cheptel* — mamy czysto łacińskie wyrazy *portique*, *capital* — naśladowane poza-logicznie z pisarzy klasycznych [1]).

Zaznaczone tu przykłady dostatecznie wykazują, na czém polega różnica praw logicznych i pozalogicznych naśladownictwa.

Odkrycie i naśladownictwo jest-to zasadniczy proces społeczny. Czém jest odkrycie? Jest-to kształt zewnętrzny sądu lub zamiaru, idei lub żądzy, w których objawia się wierzenie lub chcenie. Wierzenie i chcenie — stanowi w gruncie duszę każdego słowa w języku, każdéj modlitwy w religii, każdego dekretu w państwie, każdéj pracy w przemyśle lub sztuce.

Wierzenie i chcenie są to wielkości psychiczne, które znajdują się w gruncie wszystkich zjawisk zmysłowych, a gdy kierują niemi wynalazczość i naśladownictwo — wówczas stają się one też wielkościami społecznemi. Społeczeństwo organizuje się właśnie drogą zgody i niezgody wierzeń i chceń — które się nawzajem podnoszą w sile, lub nawzajem się ograniczają. Przez tę zgodę i przeciwieństwo chceń i wierzeń — społeczeństwo funkcyonuje.

Wierzenia (religijne, moralne, naukowe, prawne, polityczne) — są to siły plastyczne społeczeństwa; chcenia (potrzeby) określają jego funkcye. Źródło tych wierzeń i chceń leży w świecie zjawisk życiowych; podobnie jak źródło sił, kształtujących budowę i funkcye istot żywych, leży w głębi świata zjawisk izycznych; jak wreszcie źródło sił cząsteczkowych i ruchowych świata fizycznego, spoczywa w świecie niedostępnym dla rozumu, świecie noumenów, który się zowie hypofizycznym albo niepoznawalnym. Najczęściéj tajemnica ta nazy-

---

[1]) Jako wzory nielogicznych naśladowań podaje Tarde jeszcze wyraz P o r t a — na oznaczenie Turcyi, g a b i n e t — zgromadzenie ministrów i t. d.

wana bywa energią: wyraz ten oznacza pewną rzeczywistość, która się zawsze objawia dwojako, niby na dwie sfery dzieląc wszechświat we wszystkich jego przejawach. Materya i ruch, organa i funkcye, instytucye i postęp, są to różne postaci tych dwóch stron bytu — statyki i dynamiki istnienia.

Aby określić bliżéj wzajemny stosunek między światem statycznym a dynamicznym, użyjemy spencerowskiéj formuły rozwoju. Wszelki rozwój polega na skupieniu materyi i rosproszeniu ruchu; rozkład — naodwrót. Mniéj materyalistycznym mówiąc językiem, znaczy to, że wszelki rozwój życia czy społeczności, polega na wzroście organizacyi przy jednoczesném osłabieniu funkcyi. Organizm dziecka — w stosunku do masy ciała — jest czynniejszy, niż ciało dorosłego człowieka, którego żywotność zatém się zmniejszyła: wynika to stąd, że człowiek te właśnie siły dynamiczne zwydatkował na rozwój organizmu. Społeczeństwo w miarę rozwoju i udoskonalenia swego języka, religii, prawa, sztuki i t. d. — traci częściowo swoje dążenia cywilizacyjne i postępowe, gdyż już w tym celu je zużytkowało. Innemi słowy społeczenstwo rośnie raczéj co do wierzeń niż chceń, gdyż istotą wszystkich urządzeń społecznych jest powiększenie wiary i zaufania, prawdy i bezpieczeństwa; a ostatecznym i jedynym celem każdego chcenia jest wiara i pewność prawdy. Namiętości zwolna krystalizują się w przekonania. Jedna wiara w jeden ideał lub jedno złudzenie — oparta na asymilacyi całéj ludzkości — oto wynik ostateczny wszystkich przewrotów, bez względu na to, czy one dążą czy nie dążą do tego. Takim jest postęp t. j. ruch świata społecznego na drodze logicznéj.

Postęp odbywa się szeregiem walk lub połączeń, stosownie do tego, czy nowe odkrycia przeczą dawnym czy téż im nie przeczą. Jak w pojedynczym człowieku tak i w społeczeństwie odbywa się ten proces; postęp — jest-to rodzaj myślenia gromadowego, w którym rolę zbiorowego mózgu odgrywa magnetyzm naśladowczy, a rolę pamięci zastępuje tradycya lub pismo, którego wpływy leżą poza granicą czasu i miejsca.

Postęp zatém odbywa się dwojaką drogą: przez zamianę i przez nagromadzenie odkryć. Wynalazki, które dawnym przeczą, znoszą tamte; wynalazki nie przeczące łączą się z poprzedniemi. Stąd pochodzą walki logiczne i związki logiczne.

Wspólną cechą tych walk i związków jest dążenie do jednomyślności. Żądza ta działa bezustannie, uderzając już to w urządzenia polityczne, już to w język, w religię, naukę lub organizacyę przemysłu — ale nie ustaje nigdy — i coraz bardziéj podnieca potrze-

bę odkryć. Sama wynalazczość rodzi naśladownictwo żądzy wynalazczéj, jakby duch ludzki dążył jednocześnie do największego ruchu i największéj równowagi. Odkrycia bowiem prowadzą do *maximum* wiary, do syntezy t. j. pogodzenia dążności krytycznych. W ten sposób ludzkość zaspakaja swoją żądzę powiększenia wiary i jéj oczyszczenia. Po wieku odkryć — wiek godzenia odkryć.

W epokach słabo krytycznych i wynalazczość sama słabo się rozwija i naśladownictwo bywa nieracyonalne, pełne antynomii logicznych i praktycznych. Długo np. istniało koło wodne i żarna, ale nikomu nie przychodziło na myśl połączyć je w młyn wodny; długo istniał wóz i kocioł parowy, a nikomu na myśl nie przychodziło, że można wóz kotłem poruszyć. Odwrotny przykład widzimy na końcu wieków średnich, gdy sztuka, literatura, obyczaje pogańskie, zapanowały w klasztorach chrześciańskich i na zamkach feudalnych. Ale potrzeba logiki społecznéj prowadzi zarówno do połączenia wozu z kotłem parowym, jak do rozłączenia chrystanizmu z pogaństwem. W ten sposób potrzeba logiki społecznéj rodzi samą logikę.

Rozważmy naprzód logiczne [1]) walki czyli pojedynki, jak mówi Tarde, gdyż w walkach tych występują zawsze dwaj przeciwnicy albo raczéj dwa przeciwieństwa: tak i nie.

Gdy się pokazuje odkrycie, wówczas zanika wiara w odkrycie dawne, a rozpowszechnia się wiara w nowe. Tak np. długie czasy panowało w Azyi pismo klinowe, kiedy alfabet fenicki zamykał się na szczupłéj przestrzeni ziemi; skoro jednak oba te pisma się spotkały, zawrzała między niemi walka i w niedługim stosunkowo czasie alfabet fenicki, różnie ukształtowany, zwyciężył pismo klinowe. Takaż sama walka odbyła się w dziedzinie języków, naprzód pomiędzy niemi, następnie co do oddzielnych form i wyrazów; tak język łaciński zwycięża celtycki i formuje nowe narzecza; w słowniku walczą ze sobą wyrazy *urbs* i *villa*, *equus* i *caballus*; w gramatyce końcówki łacińskiego *pluralis*, z których w języku włoskim zwycięża *i*, w hiszpańskim i francuskim *s*, kiedy rzymianin używał jużto *i*, jużto *s*.

We wszystkich dziedzinach możemy zauważyć taki pojedynek między *velle* i *nolle*, między tak i nie. Są to dwa cele (chcenia) albo dwa sądy (wierzenia) — sprzeczne. Przeciwieństwo ich i ten fakt, że prawie nigdy jeden sąd drugiemu ustąpić nie chce, stanowi *casus*

---

[1]) Zamiast logiczne (wierzeniowe) możnaby powiedzieć teleologiczne (celowe); ponieważ jednak cel, chcenie, ostatecznie staje się wierzeniem, zatém termin logiczne obejmuje już i celowość.

belli. Walka odbywa się zawsze między twierdzeniem a przeczeniem i dwa tylko zawsze są sztandary. Dwa przeciwne sądy, stanowią źródło walk religijnych; dwa sprzeczne cele, źródło walk politycznych. Jeżeli walki polityczne odbywają się między dwoma narodami, w takim razie mamy wojny międzynarodowe; jeżeli wewnątrz narodu, wojny domowe; w parlamentach widzimy walki partyjne, starcia rządu i opozycyi; w parlamentach również odbywają się niektóre walki prawne (o przeprowadzenie *bilów*) i niektóre ekonomiczne (np. między wolnym handlem a protekcyonizmem). Walki prawne najpowszechniéj odbywają się w sądach, przyczém akcya wzajemna częstokroć bardzo je komplikuje. Walki przemysłowe (jak np. między cukrem trzcinowym a buraczanym, między lokomotywą a dyliżansem) lub artystyczne (np. klasycyzm i romantyzm) — stanowią również wynik przeciwieństwa wierzeń lub celów. Zauważyć należy, że w sferze przemysłowéj walki są bardzo rozmaite; oprócz wzmiankowanych walk między wynalazkami jednego rodzaju, z jednéj strony zjawia się konkurencya przemysłowa samych producentów, z drugiéj współzawodnictwo robotników; daléj przeciwieństwo producentów i konsumentów, przeciwieństwo fabrykantów i klasy roboczéj, przeciwieństwa potrzeb jednego rodzaju i potrzeb różnych rodzajów.

Tak np. surowe obyczaje rzymskie napotykają rozpieszczoną miękkość Wschodu; walka ta z dziedziny przemysłowéj sięga już moralnéj, ale moralność w pewném znaczeniu jest rodzajem przemysłu, i z tego punktu widzenia rząd (państwo) jest pewnym, specyalnym przemysłem, który dzięki długowiecznéj praktyce stał się potrzebą wspólną i powszechną, i do czasu stoi poza możliwością sporu, ponieważześrodkowuje wszystkie pragnienia (potrzeby). Pragnienia narodu w grubych zarysach dadzą się na trzy kategorye podzielić: jedni pragną sławy, drudzy — ziemi, trzeci — pieniędzy, stosownie do tego, czy głównie pracowali mieczem, czy na roli, czy w fabrykach. Wszystkie te pragnienia znajdują się w wielokrotnych starciach pomiędzy sobą, ale idea państwowa w pewnym stopniu je reguluje; ona bowiem stanowi w społeczeństwie stan socyalny, tak jak starcie celów i sądów w jednostce tworzy stan psychiczny. Wynik ostateczny (z dodawania i odejmowania ich wypływający) daje wielkość zwaną ideałem. Ideał ten nie jest bynajmniéj rzeczą stałą i nieruchomą; przeciwnie życie społeczne jest-to łańcuch niewyraźnych nadziei i obaw, które powstają pod wpływem nowych idei, rodzących nowe potrzeby.

Wynalazki ściérają się ze sobą, jeżeli odpowiadają jednéj potrzebie, albo téż różnym potrzebom. Za przykład pierwszego rodzaju

służyć mogą np. zapałki, które usunęły hubkę, lub lokomotywa, która usunęła dyliżans.

Za przykład drugiego rodzaju wynalazek prochu, który dając monarchom silny oręż w ręce, obudził w nich dążność do złamania samodzielnych lenników, ukrytych w zamkach warownych, to znaczy, że wynalazek prochu służył potrzebom monarchów, a godził w potrzeby baronów.

Najczęściéj ściérają się potrzeby jednorodne: tak np. potrzeba zaszczytów, ambicyi, w danéj chwili walczyła ze sobą w formach rzymskich (patrycyusz, pretor, senator) i w formach chrześciańskich (dyakon, biskup): poganina zadawalniały raczéj pierwsze formy, chrześcianina drugie. Podobnież żądza chwały: z jednéj strony falanga, z drugiéj — klasztor. Styl gotycki walczy ze stylem greckim; wiersz rymowany z heksametrem. Ale późniéj te przeczące sobie formy pogodzić się mogą i współistnićć: tak godność senatora nie przeczy biskupiéj, hufiec bojowy współistnieje z klasztorem, styl gotycki łączy się z greckim, rym godzi się z heksametrem. Postęp jednak tylko z takich starć wyniknąć może; gdzie niemasz twierdzenia i przeczenia, gdzie nie masz tak i nie: tam nie może się odbyć usunięcie, ani zamiana. Nigdy żaden Lukian tyle nie wstrząsnął tronem Jowisza, co najpokorniejszy, wierzący chrześcianin. Dopóki nie masz nowego odkrycia, stare w sile trwa; dopóki nie narodził się dramat romantyczny, panował dramat klasyczny, w wielu krajach, blisko do r. 1830. Łacina dotąd byłaby żywym językiem, gdyby nie tysiączne wynalazki lingwistyczne barbarzyńców, którzy zdeformowali mowę klasyczną. Jak widzimy na ostatnim przykładzie, z czasem pomiędzy przeciwnikami następuje zamiana ról: języki barbarzyńców początkowo będące przeczeniem, stały się w końcu twierdzeniem. Podobnież dzieje się w walkach religijnych: chrystyanizm początkowo stanowił Nie, aż w dniach tryumfu zamienił się w Tak.

Ważném jest zaznaczenie różnicy między pojedynkiem logicznym osobistym a społecznym. Jest-to różnica bardzo jasna. Kiedy się kończy pojedynek indywidualny, rozpoczyna się społeczny i naodwrót. Każde naśladownictwo, zanim się w osobniku zaszczepi, przechodzi naprzód okres wahania, naruszając jego dotychczasowe (drogą naśladownictwa utrwalone) przyzwyczajenia: walki w osobnikach toczą się np. o wybór dwóch posłów do sejmu (dwóch systematów politycznych), lub dwóch teoryi naukowych, dwóch wyznań religijnych, albo wiary i niewiary, albo dwóch towarów lub dzieł sztuki.

Dopóki osobnik się waha, dopóty nie naśladuje; ale dopiéro wówczas stanie się członkiem społeczeństwa, gdy naśladować zaczyna.

Wyobraźmy sobie społeczeństwo, którego wszyscy członkowie znajdują się jednocześnie i bardzo długo w stanie wahania i niepewności. W rezultacie nie byłoby wojen, bitew wyborczych, herezyi, dysput naukowych, parlamentarnych, spraw sądowych; ponieważ dopóki trwa walka wewnętrzna, psychiczna osobników, niemożliwém jest działanie zewnętrzne, socyalne, naśladownictwo, t. j. dopóki trwają pojedynki logiczne jednostkowe, niemożliwy jest pojedynek społeczny. Na tém polega różnica tych dwóch logik i dwóch psychologii [1]).

Wyjście ze stanu wahania społecznego następuje, gdy się rodzą postanowienia (t. j. koniec wahań) indywidualne. Kiedy wreszcie zapanuje absolutna jednomyślność (oczywiście nigdy nie zupełna), wówczas zniknie wszelkie wahanie i osobnikowe i społeczne. Wszystko co widzimy dziś w społeczeństwie, co przyjmujemy bez wahania jako prawdę, stanowi rezultat walki i sporów. Gramatyka, katechizm, kodeks, konstytucya, panujący przemysł i sztuka, wszystko co stanowi kategoryczną stronę społeczeństwa, wszystko to wytworzyła dyalektyka społeczna.

Takie są walki logiczne w społeczeństwie: dwa odkrycia sprzeczne walczą ze sobą; jedno z nich, łamiąc dawne przyzwyczajenia, usuwa je i nowe formy, nowe wierzenia, nowe pojęcia przynosi. Zwycięstwo to, za którém idzie rozpowszechnienie, odbywa się trojako:

1) naturalną wyższością nowego odkrycia np. zwycięstwo pisma fenickiego nad klinowém;

2) zamianą ról, która odkrycie nowe czyni twierdzeniem i nakazuje uznanie ostatniego, np. ogłoszenie chrystyanizmu za wiarę panującą przez Konstantyna Wielkiego;

3) drogą pokojową, kompromisem, dobrowolném ustąpieniem np. wynalazek teleskopu zniósł spory zwolenników systemu Ptolemeusza i Kopernika.

Jednakże walki logiczne nie są pierwszemi co do czasu w społeczeństwie; przeciwnie, poprzedza je długi okres logicznych połączeń, zarówno jak po nich nowy okres związków następuje; okres logicznych walk zatém leży pośrodku.

W języku naprzód wynajdują się formy i wyrażenia, których

---

[1]) Można całe to rozumowanie uważać za grę wyrazów, gdyż cała ta różnica zniknie, jeżeli powiemy poprostu: wahanie jednostek daje w wyniku wahanie gromady a postanowienia (walka) jednostek dają postanowienie (walkę) gromady.

nie było dotąd; to znaczy takie, które żadnych przeszkód na drodze nie spotykały, a zatém i nie miały sposobności do walki. Podobnież pierwsze myty religijne, pierwsze obyczaje, pierwsza organizacya polityczna, pierwsze sposoby sztuki wojennéj, pierwsze obserwacye naukowe, pierwsze wynalazki techniczne i przemysłowe, nie znajdując żadnych mytów dawnych, dawnych obserwacyi naukowych, dawnych obyczajów, gromadziły się pokojową drogą połączeń w języki, religie, kodeksy, rządy, przemysły. Takiém jest nagromadzenie odkryć czyli wiązanie logiczne, poprzedzające walki. Inném wszakże jest wiązanie, które po nich następuje: różnica polega na tém, że w pierwszym szeregu odkrycia nie przeczą sobie, w drugim — się potwierdzają, tak jak np. przed Newtonem odkrycia astronomiczne nie przeczyły sobie, po Newtonie wzajemnie się potwierdzały.

Należy przytém pamiętać, że odkrycia, wiążące się — są dwóch rodzajów: jedne mogą się powiększać do nieskończoności, drugie do pewnéj granicy, ktorą, gdy raz zamknięta zostanie, już tylko pojedynek może naruszyć.

Ilość wyrazów t. j. słowozbiór nie ma granicy; może on jeden pierwiastek przetwarzać w najrozmaitszych kształtach, może przyjmować wyrazy obce, niweczyć dawne, formować nowe; przeciwnie gramatyka jest sferą zamkniętą i gdy raz się ukształtowała, stanowi prawo niezmienne.

We wszystkich dziedzinach socyalnych — widzimy to samo przeciwieństwo. Wszędzie znajduje się słownik i gramatyka.

W religii słownik stanowią gromadzące się do nieskończoności myty o bogach, podania o bohaterach, legendy o świętych. Gramatykę stanowi dogmat, określony, zamknięty i nienaruszony. Uczynimy tu nawiasową uwagę, że w stosunku do tego, który pierwiastek w danéj religii zajmuje wyższe stanowisko, mityczny czy dogmatyczny, religia jest ruchomą lub nieruchomą. W mitologii greckiéj dogmat żadnéj roli nie gra, legenda zaś jest wszystkiém; nadaje to mitologii wielką żywotność, ale słabo ją broni przeciw krytyce; pod tym względem daleko wyżéj stoją religie o zamkniętych i nieruchomych dogmatach, gdzie słownik tylko uboczne ma znaczenie.

Toż samo znajdujemy w nauce: badanie faktów, obserwacya, doświadczenie jest dziedziną bezgraniczną; co do praw i teoryi wszakże nauka zdaje się najmniéj uzdolnioną do wzrostu. Jéj uogólnienia o materyi, sile, czasie, przestrzeni, ruchu, toczą się w kole wiecznie powracających formuł: atomizm, dynamizm, monadologia, idealizm, są to niezmienne ramy dla nieskończonéj ilości faktów.

Podobnież słownik t. zw. *bulletin des lois* („Dziennik praw“) jest

bezgraniczny; gramatyka zaś — kodeks — jest zamkniętym systematem, na którego zasadzie może się na nowo rozwijać nowy słownik — kodeks handlowy, morski, wojenny i t. d.

W urządzeniach państwowych widzimy z jednéj strony określoną formę rządu (monarchia, republika i t. d.); z drugiéj administracyą, któréj przepisy liczby nie mają.

W przemyśle również narzędzia mogą być bardzo urozmaicone, ale ich zadania są zawsze te same. Dyliżans, równie jak lokomotywa, służy do zmiany miejsca; łuk jak karabin Mannlichera — do obrony. Przytém w przemyśle często związki logiczne polegają na tém, że nowy wynalazek pochłania stary, ale go nie znosi: lokomotywa nie usunęła dyliżansu, ale go pochłonęła; łuk spoczywa w kuszy, a kusza w strzelbie. Przeciwnie chrystyanizm zniósł pogaństwo, a system Kopernika obalił system Ptolemeusza. Przemysł może być pod pewnym względem porównany do nauki: jak w téj ostatniéj wiadomości, tak w nim narzędzia rosną ilościowo bez końca; jak zaś w nauce nagromadzona ilość faktów służy za podstawę danéj teoryi lub hypotezy, tak téż pewien zbiór narzędzi i sposobów postępowania jest podstawą pewnéj estetyki i moralności. Przemysł z tego punktu widzenia jest m a t e r y ą, która przybiéra rozmaite f o r m y stosownie do poglądów na piękno i sprawiedliwość. Po ukształtowaniu pewnéj estetyki i moralności, środki przemysłowe ciągle się mnożą, ale na jednéj powszechnéj zasadzie, jak to widzimy w Grecyi lub Europie XII w.

Nasza epoka nie znalazła jeszcze téj zjednoczonéj formuły estetyki i moralności. Nie napróżno zowie się ona naukowo-przemysłową: badanie faktów usunęło na bok dążność do uogólnień, a troska o środki kazała zapomniéć o celach. Znaczy to, że my wolimy odkrycia łączące niż odkrycia zamienne. A jednak czyż istotnie gramatyka (t. j. dziedzina zamknięta) mniéj zasługuje na uwagę niż słownik (t. j. dziedzina rosnąca bez miary)?

Przeciwnie. Dziedzina zamknięta, zamienna jest rzeczą istotną w tych zjawiskach: gramatyka jest istotą języka, dogmat — istotą religii, teorya — istotą nauki, moralność — istotą pracy, ideał — treścią sztuki. Wiek nasz dopóty nie stanie się wiekiem czynnym, dopóki nie przeniesie swego punktu ciężkości ze słownika na gramatykę i z mitologii na dogmat.

Walki i związki logiczne t. j. nagromadzenia i zamiany odkryć stanowią zatém zasadę postępu. Zapomina o tém Spencer — mówi Tarde — że należy rozróżniać oba te rodzaje, ponieważ w dziejach znajdujemy nietylko rozwoje, ale téż upadki i zaniki. Cesarstwo rzymskie nie rozwijało się, lecz zanikało w miarę szczepienia chrystya-

nizmu. Zamiast e w o l u c y i powszechnéj radzi Tarde przyjąć termin s z c z e p i e n i e powszechne (?).

Jeszcze jedna uwaga. Jakkolwiek usuniętyby został antagonizm wierzeń i interesów, i jakkolwiekby zgoda zapanowała między niemi: rodzi ona nowy antagonizm. Jest-to przeniesienie walk od jednostek do gromady: zamiast pojedyńczych walk o bydło, narzędzia i t. d. odbywają się wojny dwóch armii; zamiast oddzielnych, sprzecznych ze sobą prac technicznych, gromady łączą się w fabryce, ale jednocześnie rodzi się walka między kapitałem a pracą. Feudalizm i katolicyzm doskonale sharmonizowały świat średniowieczny, ale same zmuszone były do walki między sobą (papieże i cesarze).

Czy te przeniesienia są użyteczne? Użyteczne są, ponieważ w nich-to formy mniéj doskonałe ustępują doskonalszym, choćby nawet były one skutkiem walk i wojen. Konkurencya prowadzi do monopolu, wolny handel do gromadzkiéj organizacyi pracy, a wojna dąży do przekształtowania państw w jedną olbrzymią aglomeracyę, związaną zasadami jedności politycznéj i wiecznego pokoju.

V.

Przechodzimy teraz do przyczyn pozalogicznych. Przedewszystkiém jednak musimy zaznaczyć, że naśladownictwo bywa 1) d o k ł a d n e albo n i e d o k ł a d n e i 2) ś w i a d o m e lub n i e ś w i a d o m e.

Co do kwestyi dokładności, to najważniejszy punkt stanowi tu pytanie, czy w miarę rozwoju cywilizacyi dokładność słabnie czy téż niesłabnie. Pomimo pozorów, że logicznie biorąc, przykład z czasów odległych powinienby coraz bardziéj słabnąć, widzimy wcale odwrotne zjawisko: naśladownictwo staje się coraz bardziéj złożoném, ale téż i coraz dokładniejszém. Owszem, pewna forma coraz bardziéj się utrwala i przetwarza się w nieruchomą, niezmienną e t y k i e t ę, jak np. ortografia w języku, rytuał w religii, pewne procedury prawne, ceremonie w obyczajach. Z innego punktu widzenia znajdujemy coraz szersze ujednostajnienie armii w daném państwie, upowszechnienie jednéj monety (np. franka) w rozmaitych krajach, jedném słowem naśladownictwo, które się bezustannie powtarza. Na dworach Chin, Egiptu, Bizancyum, Ludwika XIV, w Watykanie, nawet w republice rzymskiéj i ateńskiéj, byli specyalni marszałkowie dworów, ceremonii którzy niejako kształtowali tę etykietę i bacznie śledzili za dokładnością naśladownictwa; u nas taką samą rolę grają dziennikarze, modystki i t. d. Nic téż dziwnego, że dokładność i ujednostajnienie

nie słabnie lecz rośnie. Lew albo dąb równie dobrze powtarza swoich przodków, jak monera albo jakiś zwierzokrzew.

Co do świadomości i nieświadomości naśladowania, to w gruncie rzeczy nie ma między niemi różnicy zbyt wielkiéj, a to z dwóch przyczyn: naprzód, wszelki akt wolnéj woli, stokrotnie powtarzany i przemieniony w przyzwyczajenie, staje się mimowolnym i nieświadomym; powtóre, sama chęć naśladowania jest dziełem naśladownictwa i raczéj nam zdaje się, że naśladujemy z wolnéj woli, niżeli tak jest rzeczywiście.

Wyjaśniwszy te dwa punkta, przechodzi Tarde do saméj sprawy wpływów nielogicznych i przedewszystkiém zaznacza, że przy jednakowych warunkach logicznych lub teleologicznych naśladownictwo płynie dwojako:

1) *Ab interioribus ad exteriora,*

2) *Ab inferioribus ad superiora,*

to znaczy, że 1) strona wewnętrzna naprzód staje się wzorem, a późniéj dopiéro zewnętrzna i że 2) pierwiastek niższy (cywilizacyjnie, rasowo, klasowo) naśladuje wyższy.

Z drugiéj strony bywają epoki, w których głównym wzorem naśladownictwa jest przeszłość, to znów teraźniejszość; naśladownictwo w czasie i w przestrzeni; obyczaj i moda [1]. Zazwyczaj właściwie obie siły panują; ale z przewagą już to pierwszéj, już drugiéj.

Naśladownictwo od wewnątrz na zewnątrz. W dwojakim kształcie występuje naśladownictwo: w kształcie zaufania i pokory. Zaufanie jest-to właściwie biorąc naśladownictwo wierzeń; pokora — naśladownictwo pragnień. Pokora, posłuszeństwo — jest-to siostra wiary, zaufania i dlatego tylko istniéć ona może, że istota, do któréj mamy zaufanie, stanowi dla nas wzór i że go bezustannie naśladujemy. Takim wzorem jest król, patryarcha, kapłan, ojciec. W bardzo naturalny sposób ojciec, przez długie lata, jest wzorem i wyrocznią dla dziecka; przyswaja ono sobie sposób jego myślenia, działania, głos, ruchy: zauważyć należy, że pierwéj chwyta ono wewnętrzne jego cechy, późniéj dopiéro zewnętrzne. Dziecko, wcześniéj rozumié mowę, zanim się mówić nauczy. Toż samo zjawisko znajdujemy wszędzie: stykają się ze sobą dwie religie, chrześcianie i poganie, buddyści i wyznawcy Konfucyusza; drudzy przejmują od pierwszych dogmaty i obrzędy, ale dogmaty prędzéj niż obrzędy: dlatego-to w nowych religiach trwają obrzędy religii da-

wnych [1]). Gallowie wcześniéj przyjęli od rzymian idee niż język. Francya XVI w. przejmowała kostyumy i obyczaje hiszpańskie; ale przedtém już zapanowała we Francyi literatura i sztuka hiszpańska. W w. XVII panują w całéj Europie mody, zabawy, kuchnie francuskie, ale przedtém już imię Francyi, literatura jéj, język i nauka rozpowszechniły się w téj części świata. Włochy XV w. dzięki papiestwu, wywierały wpływ na całą północ i zachód Europy, ale w w. XVI same uległy wpływom odrodzonéj kultury greko-pogańskiéj: w niedługim téż czasie i życie, obyczaje, mody we Włoszech, przyjęły kształt greko-pogański, ale i tu — jak zawsze — zjawiska wewnętrzne poprzedziły zewnętrzne. Nawet występki rozpowszechniają się w ten sposób: alkoholizm jest zaraźliwszy niż żarłoczność, a nadużycia płciowe zaraźliwsze niż alkoholizm.

Naśladownictwo wierzeń i chceń, bywa początkowo jednostronne i daje źródło zaufania i posłuszeństwa. Z chwilą jednak, kiedy Paryż syka na sztuki oklaskiwane w Wersalu, zaczyna się rewolucya. Minął podziw, prysnął czar, znikła miłość — obudziła się pogarda i zawiść. Droga odwrotna od pogardy do podziwu nigdy widzianą nie była. Zawiść jest-to dążenie do zmiany i zrównanie, uwzajemnienie naśladownictwa. Zrównanie to odbywa się w ten sposób, że w sferze wierzeń jakotéż i chceń, naprzód naśladowaną bywa idea, potém środek. W sztuce rozpowszechnienie pewnych uczuć poprzedza rozpowszechnienie talentów. Skoro naśladownictwo idei i celów ustępuje miejsca wyrazom i środkom, czyli gdy naśladownictwo z wewnętrznego staje się zewnętrznem, wówczas istota podziwiana i ukochana staje się nam równą i w nas znowu znajduje źródło naśladownictwa dla siebie. Przypomnijmy sobie tylko, jak wiele wyrazów ulicznych, złodziejskich lub szynkowych weszło do naszego słownika.

Ale na tém polega postęp ludzki, że pierwszém jest naśladownictwo nerwowe, drugiém dopiéro mięśniowe. U zwierząt tylko muskuł naśladuje muskuł, u nas nerw naśladuje nerw i dlatego u zwierząt, jeżeli nawet urodzi się myśl szczęśliwa, umrze w wynalazcy, gdyż ten nie ma środka udzielenia jéj towarzyszom.

Jak dziś jeszcze dla wielu nawet oświeconych ludzi pismo, druk, prasa, ma pewną tajemniczą, jakby hieratyczną powagę, tak też niegdyś miało ją słowo. Dotąd jeszcze w religiach Logos jest

---

[1]) Na téj saméj zasadzie polega przeżywanie zwyczajów np. *couvade* lub wyrażenie kamień w wodę i t. d.

świętą istotą, a Biblia — dzieło słowa — jest księgą świętą. Niegdyś każde słowo ojca lub patryarchy było świętością, i syn za grzéch uważał mówić wobec ojca, ponieważ mowa była tą tajemniczą wewnętrzną potęgą, która rodziła zaufanie i pokorę — dwie najważniejsze formy naśladownictwa, mające za źródło miłość i podziw dla tego, który miał prawo do przemawiania.

W świecie biologicznym taż sama koléj powtarzań: zapłodnienie — stanowi powtórzenie w embryonie najwewnętrzniejszéj istoty rodziców; a w świecie fizycznym udzielania się ruchu — powtarzania fal — niepodobna objaśnić inaczéj, jak uznając istnienie wewnętrznéj siły utajonéj, utajonego dążenia; toż samo tyczy się grupowania atomów w ciałach chemicznych.

Naśladownictwo z dołu do góry. O ile prawa logiczne nie paraliżują czynników nielogicznych — zazwyczaj istoty niższe naśladują wyższe. Prawda, że patrycyusze rzymscy przyjmowali ewangelię, którą roznosili prości Żydzi i niewolnicy; i że Egipcyanie przyjęli konia z Azyi, mimo pogardy dla Azyatów: ale tu działały wpływy wyższości moralnéj, potrzeb ducha i pożytku (wpływy logiczne). Ciało zimne udziela swego ciepła ciału gorącemu; szlachcic przejmuje wyrazy chłopa, ale w daleko wyższym stopniu ciało gorące ogrzéwa ciało zimne, a chłop przyjmuje mowę i obyczaje szlachcica.

Nawet walcząc, ludzie się naśladują. W XIV w. Florencya walcząc ze Sienną, przejęła od niéj nietylko jéj organizacyę wojskową, ale nawet jéj błędy i wprost szkodliwe narzędzia, jak wóz (*carroccio*), który przeszkadzał i dzwon (*martinella*), który był zdradliwym szkodnikiem.

Historya zbytku uczy nas najlepiéj zaraźliwości przykładu z góry na dół. Aksamity, atłasy, jedwabie, karty, kości i inne gry — rozpowszechniały się z ogromną szybkością śród mieszczan i wieśniaków. Czytamy w dziejach bezustanne zakazy co do zbytku. Ale podobnie jak z dworów królewskich na zamki baronów, do miast i wsi — idzie zbytek; idzie téż podobną drogą naśladowanie akcentu, mowy, grzeczności, obyczajów i wogóle wszystkich nowinek, jakie wprowadza lub przyjmuje bogata i żywotna arystokracya.

Arystokracya jest wielką inicyatorką nowości, wielkiém ogniskiem naśladownictwa, i żywotną jest dopóty, dopóki nowości przyjmuje; z chwilą, gdy staje się ona konserwatywną, rola jéj minęła; niemasz w niéj nic do naśladowania.

Toż samo tyczy się kościoła. Póki był on silny i żywotny, nie

lękał się nowości, a nawet sam był zawsze ich inicyatorem. Świątynia była centrem naśladownictwa przed tém, nim dwór królewski i arystokracya działać poczęły. Naśladownictwo zewnętrzne, dekoracyjne kultu—przy jednoczesném odrzucaniu wszelkiéj myśli nowéj—jest dowodem, że w religii wyschło źródło twórcze i że rola jéj w społeczności przestaje być kierowniczą.

W czasach, kiedy arystokracya zamyka się we wnętrzu form skostniałych, a kościół nowiny odpycha—rodzi się demokracya.

Demokratyczném zowie się takie urządzenie, w którém odległości socyalne maleją. Cudzoziemiec staje się tak bliskim jak swojak, a ludzie klas niższych ścierają się z wyższymi. Ale i demokracya ma swoją hierarchię: finansiści, politycy, artyści, dziennikarze, teatra, wielkie magazyny mód — zajęły miejsce baronów i zamków rycerskich; oni nadają ton, oni budzą naśladownictwo. Miasto jest szczególnie żywotne w społeczności demokratycznéj. Paryżanin jest zawsze istotą wyższą wobec wieśniaka, prowincyalisty, cudzoziemca. W stolicy zbiera się śmietanka ludności: znajdujemy tu przewagę ilości mężczyzn nad ilością kobiét, przewagę ilości dorosłych nad liczbą dzieci, wreszcie to, że najenergiczniejsze i najinteligentniejsze natury ze wsi do miast się przenoszą. Ten magnetyczny wpływ stolicy powoduje emigracyę wieśniaków do miasta. Stolice prowadzą do połączenia i asymilacyi narodów. Stolice — są to córy dworów królewskich i tak samo despotycznie panują nad prowincyą, jak panowali niegdyś królowie. Ta jest różnica, że zamiast opinii autokratycznéj panuje opinia publiczna. Prasa stanowi wyraz téj opinii, a jak się doskonale wyraża Tocqueville: wraz z rozwojem równości powiększa się panowanie gazet. Gdy upada wiara w powagę, rodzi się wiara w masę, we większość, ogół. Ogół, większość ma zawsze racyę.

Arystokracya — jak to wyżéj powiedziano — jest matką téj równości: jéj skłonność do nowinek zaraża sfery niższe — i prowadzi do uwzajemnienia zarazy. Ale naśladownictwo zawsze jest jednakowe, i tu również potrzebny jest człowiek wybitny. W demokracyi jednak warunki wyższości są bardziéj złożone: człowiek równy nie może być wywyższony przez wiarę w tę wyższość, ale przez chęć téj wiary. Kierowane szeregiem odkryć i wynalazków, zmieniają się koleją wieków formy socyalnego dobra: wybitnym człowiekiem jest ten, który najlepiéj pojmuje i spożytkować umié — odkrycia i wynalazki danéj chwili, i który przeto ówo dobro socyalne stworzyć umié: jestto więc raz Mahomet, drugi raz Napoleon, to znów Edison lub Spencer. Była epoka, w któréj najwyższe dobro socyalne

stanowiła siła fizyczna; późniéj — sztuka wojenna i krasomówstwo sejmowe; późniéj — artyzm, wynalazczość przemysłowa, wielka nauka.

Stąd też wynika odpowiedniość lub nieodpowiedniość ludzi w stosunku do swéj epoki. Artysta lub poeta w jakiémś mieście przemysłowém błądzi jak dziecko zgubione. Ramzes, którego twarz wyobraża zwierzęcy niemal typ czysto kryminalny, był jednym z najznakomitszych monarchów egipskich. Iluż-to dzisiejszych zbrodniarzy, gdyby się w odpowiednim czasie byli urodzili, odegrałoby rolę bohatérów narodowych!

Te wszakże jednostki nieodpowiednie stanowią wyjątki. Większość ulega naśladownictwu i przystosowuje się do warunków otoczenia, i—jak się wyraża Bordier—nietylko dżuma, ale i moda, jest zaraźliwą i epidemiczną.

Obyczaj i moda [1]). Moda, nowość — stanowi małą warstewkę na ogromnym pokładzie obyczaju. Weźmy np. niewielką ilość wyrazów obcych w słowniku i porównajmy ją z nieskończoną ilością słów dawno sformowanych i których naruszenie, lub zamiana nawet w myśli niczyjéj nie postoi.

A jednak ten niewielki dopływ mody wywołuje przewroty socyalne.

Przewroty są dwóch szeregów: przewroty wierzeń i przewroty chceń. Kiedy wiatr zwątpienia nadkruszy całość dogmatu, ślepa wiara ustępuje miejsca swobodnemu badaniu. Kiedy tenże wiatr naruszy podziw i posłuszeństwo dla klas wyższych, zbliża się wiek demokracyi. Do pewnego czasu umysł dziecka czy ludu stanowi *tabula rasa*, na któréj wypisać się dają bezkrytycznie wszystkie wierzenia i chcenia. Zaufanie i pokora dla przodków neutralizuje naśladowanie współczesnych. Mimo to jednak, zarówno obyczaj jak moda w najdawniejszych społeczeństwach działały bez przerwy ra-

---

[1]) Termin moda wydaje mi się niefortunnie wybranym; trudno jednakże znaleść wyraz odpowiedniejszy. Zaznaczyć należy, że H. Spencer w swojéj socyologii (§ 423—433) porusza tę samą kwestyę mody i obrzędu—i modę określa mniéj więcéj tak jak Tarde, dodając, że obrzęd jest cechą spółdziałania przymusowego, moda — spółdziałania swobodnego. Wnioski obu autorów za to są różne, a mianowicie Spencer uważa, że obrzęd z czasem zaniknie; Tarde zaś, że moda zmieni się w obyczaj. Takąż samą różnicę znajdujemy w poglądach obu pisarzy na naśladownictwo. Spencer uważa je za cechę dzikich ludzi, którzy zwolna ją tracą; przeciwnie, dla Tarde'a stanowi ono cechę istotną ludzi społecznych, cechę, która się rozwija, doskonali, racyonalizuje, ale jest wieczną. Różnice te dokładnie określają stanowisko Tarde'a.

zem, ale z przewagą już to obyczaju, już mody. Pierwotny ród lub gmina była kołem bardzo zamkniętém, gdzie poznawanie odkryć miało miejsce jedynie w wieku dziecinnym: ale zarówno ród jak gminę powiększali zbiegowie lub włóczęgi, którzy inne gminy opuszczali i oni to przynosili nowe odkrycia. Stąd-to w dziejach napotykamy epoki, których hasłem jest: dobre to, co stare! — i inne, których hasłem jest: dobre to, co nowe! Katon pisze: *Nihil mihi antiquius*, a dla Słowackiego ideał stanowi nowy duch i forma nowa. Zauważyć tu jednak należy, że narzędziem idei nowych bywa zawsze forma stara i późniéj dopiéro forma przystosowuje się do idei. Tak np. Luter przemawiał średniowieczną katolicką niemczyzną, a Wolter klasycznym językiem francuskim.

Odległość przestrzeni działa jak odległość czasu. W epokach obyczaju ludzie bardziéj przechwalają swój kraj, niż swój wiek; w epokach mody raczéj wiek swój kochają, niż swoją ziemię. Epoki mody są zazwyczaj kosmopolityczne, eksterytoryalne; epoki obyczaju żyją życiem wewnętrznèm.

Panowanie mody jest zazwyczaj krótkotrwałe, gdyż skoro nowość przesiąknie w krew narodu, staje się ona obyczajem i na nowo zamyka się w granicach wnętrza danego kraju, rasy, części świata. Trzy te stopnie, obyczaj, moda, obyczaj zauważyć można wszędzie. *Lingua rustica* była z początku modą w Galii, późniéj jednak stała się językiem narodowym. Chrystyanizm początkowo płynął jako zaraza nowości, późniéj jednak stał się zamkniętą, wewnętrzną religią Europy. Rolnicze niegdyś plemiona przerzuciły się zwolna do życia miejskiego, ale kiedyś znów do rolnictwa powrócą, jak to widzimy w Chinach, Egipcie, Peru, Europie XIII w. Zaraza mody idzie zazwyczaj luzem i uderza na pojedyńcze zjawiska: kostyumy, sposoby wyrażenia, religie, urządzenia prawne i t. d. Kryzysy powszechnego umiłowania nowości, jak to widzimy w Grecyi VI w., Europie XVIII w., Japonii współczesnéj—stanowią rewolucye, które na długi czas wstrząsają posadami narodu.

Język w najpierwotniejszéj epoce jest własnością rodu; na wyspie Tasmanii 50 mieszkańców mówiło czterema językami. We Francyi, Niemczech każda wieś mówi swojém narzeczem: jedno z nich paryskie, berlińskie zwyciężyło wszystkie inne i uważa się za język francuski, niemiecki [1]). Takie zwycięstwo przypisać należy szczęśliwym okolicznościom, jakiemi są np. wybór stolicy, zgromadzenie

---

[1]) Stany Zjednoczone, które nie powstały drogą połączenia rodów, nie znają dyalektów.

w niéj ludzi utalentowanych i t. d. Ale i w tym zwycięskim języku odbywają się kolejne dopływy neologizmów lub archaizmów. Utrwalenie pewnych form, które z trudem początkowo się przebijają, wytwarza język klasyczny. Widzimy więc tu kolejne przetwarzanie się języka rodowego w narodowy, narodowego w klasyczny. Dalszy rozwój stanowi rozpowszechnienie języka klasycznego w pewnéj sferze stosunków np. salonach, nauce, handlu—wśród innych narodowości. Taką rolę grają lub grały języki grecki, francuski, perski, arabski, łacina w ziemiach celt-iberyjskich i w wiekach średnich, niemiecki i angielski w sferze handlowéj. Dążenie do jedności prowadzi téż do jedności językowéj świata i tworzy pomysły volapücku i esperanto, nad któremi najpewniéj odniesie zwycięstwo język francuski lub angielski.

Religia podobnież zamyka się początkowo w granicach rodu lub plemienia. Jestto naprzód cześć przodka pojedyńczego lub powszechnego. Religie pierwotne są zazwyczaj nieprozelityczne. Nawet chrystyanizm początkowo miał na widoku tylko plemię żydowskie; Islam był w pierwszéj chwili tylko religią Arabów. W Grecyi każde plemię miało swojego boga, dopóki kult Apolina wszystkich nie połączył. Dopóki trwa panowanie obyczaju w religii, jest ona zamkniętą i miarą jéj rozpowszechnienia jest ilość potomstwa. Dopiéro to, co Tarde nazywa modą, rozszerza religię po za granice plemienia. Zamiana ta polega na tém, że czasami kult przodka ustępuje kultowi cudzoziemca; bogowie greccy przybywali z Indyi, z Egiptu, z Frygii, z Tracyi: byli to zapewne cudzoziemcy, którzy jakie znakomite poczynili odkrycia i zostali ubóstwieni. Nie inaczéj téż przedstawia się kult przodków, tych pierwszych bogów rodowych; źródłem ich jest gerontokracya, panowanie i cześć starców, które w samym zaczątku dziejów stanowiły przeciwdziałanie grubéj sile fizycznéj; starzec, przedewszystkiém ojciec, był samowładnym panem dzieci—i stanowił ich pierwsze bóstwo; tém wyższém, mistycznie i bohatérsko olbrzymiém bóstwem był ojciec i dziad ich ojca, nadnaturalny cudowny bohatér, który z biegiem czasu, z rozszerzeniem rodu w naród, zmieniał się w Apolina lub Jehowę.

Cześć cudzoziemców, jakkolwiek istniała zawsze w czasach pierwotnych, z konieczności była rzadkiém zjawiskiem. Rolę istoty obcéj grało najczęściéj *zwierzę*. Należy pamiętać, że pierwotny człowiek nie *polował* na zwierzę, ale *wojował* z niém, jak z równą sobie istotą. Było to bóstwo potężne i złośliwe: oddawano mu cześć, jako złemu duchowi, jako sile niszczącéj, którą należało zwal-

czać. Stąd bóg pierwotny występuje zawsze jako niszczyciel; późniéj dopiéro staje się twórcą. Pierwotną religią jest zoomorfizm; późniéj wytwarza się zeń antropomorfizm. Zwierzę się uczłowiecza i staje towarzyszem boga (orzeł Jowisza, sowa Minerwy i t. d.). Schlieman znalazł w Troi bardzo wiele posążków wyrażających przemianę krowy na boginię. Ale nie tu koniec rozwoju: antropomorfizm rozwija się w spirytualizm; człowieczeństwo się uduchownia. Kult Kronosa ustępuje czci Apolina, jehowizm—profetyzmowi, katolicyzm przetwarza się w protestantyzm.

Postęp nie niszczy religii, lecz ją oczyszcza, rozwija i przetwarza.

Panowanie obyczaju czyni religią ciasną i ograniczoną: treścią jéj staje się cześć przodków, lub troska o potomstwo. Prozelityzm (zaraza na zewnątrz) czyni ją bardziéj rozwartą dla pojęć ogólnych i rozszerza na nieskończoność astronomiczną (nieśmiertelność). Religia staje się zaraźliwą, gdy płynie w związku z moralnością (chrystyanizm). Bez prozelityzmu nie ma cywilizacyi: gdy drogą prozelityzmu utrwalił się w X w. Apolinizm, w wieku VI-ym rozwinął się on w najwspanialszą cywilizacyą grecką; gdy się utrwalił chrystyanizm, rozpoczęła się cywilizacya Europy XI — XIII w. [1]). Dodać wreszcie należy, że jakkolwiek daleko sięga zaraza prozelityzmu danéj religii, to jednakże i ona znajduje swe granice: chrystyanizm zamknął się w sferze rasy białéj, buddyzm śród mongołów, islam śród semitów.

W zjawiskach politycznych walka partyi konserwatywnéj i reformatorskiéj wyraża tę walkę mody i obyczaju. I tu również od najdawniejszych czasów widzimy kolejny kult praojców i kult cudzoziemców: konserwatywna rasa Doryjczyków przyjęła prawodawstwo cudzoziemca—Likurga; Słowianie, jak wiemy, szukali zazwyczaj królów za granicą, śród Waregów, we Francyi, Węgrzech, Szwecyi.

Temistokles i Arystydes byli to przedstawiciele greckich wigów i torysów, z których pierwszy miał na widoku interesy morskie Aten, zjawisko nowe i modne; drugi, sprawy właścicieli rolnych—zjawisko dziedziczne, przez ojców przekazane. Podobnież widzimy kolejny wpływ polityczny Francyi na Anglię w w. XVI-ym i Anglii na Francyę w w. XVIII-ym: z pierwszego wpływu narodził się parla-

---

[1]) Przykład odwrotny przedstawia cywilizacyę arabską, która się wylęgiwała nie tak długo.

mentaryzm, z drugiego rewolucya francuska. Nowe prądy mody, reformy, zazwyczaj płyną z zagranicy; późniéj jednak utrwalają się, jako instytucye narodowe, np. flota ateńska, parlament angielski, konstytucya francuska.

Partya nowatorów ma znaczenie chwilowe, ale jest konieczna, działa ona jak ferment i przeprowadziwszy reformy staje się partyą narodową i konserwatywną. Najwsteczniejsza zasada jest wynikiem jakiéjś rewolucyi, i naodwrót, każda rewolucya prowadzi do nowego konserwatyzmu. Analogiczne są odpływy i dopływy prądów narodowych i kosmopolitycznych.

Nie możemy się zbytnio rozwodzić nad tym przedmiotem, który łatwo czytelnik sam sobie dopełni, rozważając przejścia obyczaju — mody — obyczaju w dziedzinie prawa, ekononomii, sztuki, moralności. Prawa i konstytucye, tak samo jak religia, mają swój prozelityzm. Prawo rzymskie wszędzie niemal panuje dziś w Europie; konstytucya francuska zaraźliwsza od angielskiéj, ma téż większą przyszłość cywilizacyjną. Prawo, jak rząd, wypływa z religii; ojciec był pierwotnie naraz kapłanem, wodzem i sędzią. Zanim jego władza sędziowska rozpowszechniła się na gminę i naród, bywały od czasu do czasu najazdy obce, reformujące prawo w znaczeniu międzynarodowém. W samych początkach już w Rzymie istnieje *praetor urbanus* i *praetor peregrinus*. Ten *praetor peregrinus* przygotowywał prawo naturalne wbrew tradycyjnemu. W dziedzinie ekonomicznéj podobnież widzimy kolejną zmianę epok, w których przewagę ma dziedziczenie (głównie dóbr ziemskich) i epoki, w których samoistne zdobywanie majątku nadaje siłę t. zw. dorobkiewiczom [1]. W sztuce widzimy naprzód epoki rozmiłowane w bezustannném powtarzaniu jednych motywów (np. misterya średniowieczne, powieści o Rolandzie) lub spragnione ciągłych nowości, jak nasza.

W epokach obyczaju panuje religia tradycyjna, prawo tradycyjne, sztuka tradycyjna; w epokach mody, umysł szuka źródeł empirycznych, zewnętrznych, bardziéj kosmopolitycznych i uważa wyniki swych badań za religią naturalną, prawo naturalne, sztukę naturalną (naturalizm).

Ale i te zasady rewolucyjne zmieniają się stopniowe na konser-

---

[1] W rozdziale tym autor podaje swoją nową, jak się zdaje, teoryę ceny. Zbijając zasadę podaży i popytu, twierdzi on, że cenę reguluje już to obyczaj, już moda, stosownie do przewagi tego lub owego wpływu; dla tego téż i cena bywa dla niego obyczajowa, dziedziczna i modna, wzorowana na cenach jakiegoś rynku głównego np. Londynu dla srebra, Manchesteru dla tkanin i t. d.

watywne: stowarzyszenie gandawskie, pracujące nad kodyfikacyą prawa międzynarodowego, niejednokrotnie już występowało jako sędzia polubowny w zatargach politycznych; parweniusze wytwarzają nową warstwę rządzącą, plutokratów, optimatów, burżuazyi; sztuka, która występuje z modném hasłem nowości, staje się w końcu kodeksem akademickim, klasycznym czy romantycznym. Każdy prąd nowatorski przebywszy okres czynny, wchodzi w stan bierny i płynie pod hasłem *laissez-faire*. Oczywista, że celem ostatecznym wszystkich walk i związków logicznych, wszystkich naśladowań z wewnątrz na zewnątrz i z dołu do góry, wszystkich działań obyczaju i mody, jest powszechna, automatyczna bierność, jaką widzimy w Chinach, starożytnym Egipcie i Bizancyum.

Smutny ten konformizm, ujednostajnienie całéj kuli ziemskiéj podług jednéj modły przedstawia się jednak Tarde'owi w bardzo pięknych barwach. Cywilizacya się zatrzyma, a naśladownictwo w twardych brzegach osiądzie. Powszechne uspołecznienie ludzi, wskutek samego ogromu życia socyalnego, rozwinie skłonność do samotności, która każdemu z nas pozwoli najwszechstronniéj rozwijać swoją osobowość. Wówczas zakwitnie w całéj pełni najpiękniejszy kwiat życia społecznego, życie estetyczne, które dzisiaj stanowi wyjątek. Wówczas życie społeczne wystąpi w świetle rzeczywistém, t. j. stanie się życiem organiczném, którego jest rozwinięciem i dopełnieniem. Z pozbawionych własnego kształtu pierwiastków, sublimizuje się zasadnicza podstawa życia społecznego, wyraźna, przelotna i nigdy się niepowtarzająca rozmaitość osobistości, ich życia, uczuć i myśli.

Taką jest w swéj całości nowa teorya życia społecznego. W książce swéj, autor, wychodząc z zasad mechaniki i biologii, znajduje w całém istnieniu powszechne prawo powtarzania się zjawisk. W społeczeństwie powtarzanie przybiéra kształt naśladownictwa, którego rozmaite postaci albo szerzą się bez końca albo téż kombinują się ze sobą w rozmaity sposób, wydając odkrycia. Odkrycia, które stają się ogniskiem nowych szeregów naśladownictwa, stanowią, zasadę postępu i rozwoju. Dlatego téż w określeniu Tarde'a społeczeństwo jest naśladownictwem, a historya opowiada jego losy. Ostatecznym celem wszystkich odkryć jest połączenie wszystkich ludzi całéj ziemi w jednoforemny kształt naśladownictwa (t. j. w jedną kulturę).

Nie będziemy tu powtarzali uwag krytycznych, jakie podaliśmy na początku niniejszego artykułu. Widzieć się dają w teoryi Tarde'a

niemałe luki, mimo to wszakże, praca jego ma wielkie znaczenie, jako jedna z najlepszych prób krytyki Spencera; mianowicie w dziedzinie ewolucyi historycznéj są takie sprzeczności, że stawało się koniecznem ich wyjaśnienie; ewolucya historyczna płynie przez upadki, których źródło leży w szczepieniu zjawisk niespodzianych, swobodnie powstających na gruncie masy, która się mechanicznie porusza. Zjawiska swobodne są to odkrycia; ruch mechaniczny to naśladownictwo. Dzieło Tarde'a, które tu rozbiéramy, nie wyczerpuje sprawy całkowicie, rozwija bowiem tylko teoryę naśladownictwa. W następującéj pracy obiecuje autor podać teoryę odkryć.

Moglibyśmy na tém rzecz naszą zakończyć; dodamy jednak parę słów jeszcze z powodu, że w piśmiennictwie polskiém teorya naśladownictwa (a ściśléj biorąc, wynalazku), niezależnie od Tarde'a ogłoszoną została. Twórca téj teoryi nie rozszerzył jéj na całość zjawisk świata, ale ograniczył się do bardzo ciasnych ram specyalności mało popularnéj, mianowicie rytmiki czyli nauki o miarach wierszowych. Prof. Maksym. Kawczyński, w pracach swoich, Porównawcze badania nad rytmem (1886), *Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes* (1889), naściśléj trzyma się metody badania, wskazanéj przez Tarde'a i śledzi krok za krokiem, metr za metrem, strofa za strofą szczepienie rytmiki greko-rzymskiéj (przez kościelną poezyę łacińską) śród ludów Europy, a nawet Azyi (w muzyce). Uważając rytm, wierszowanie, sztukę, jako wynalazek, odkrycie jakiegoś bezimiennego geniusza, widzi on w dalszym rozwoju rytmiki wynik naśladownictwa tego pierwotnego wynalazku. Oczywiście rozwój późniejszy rytmiki greckiéj jest dziełem poszczególnych odkryć. Nie mamy zresztą zamiaru szczegółowo rozbiérać na tém miejscu prac p. Kawczyńskiego, chcieliśmy tylko zaznaczyć, podobieństwo teoryi obu uczonych; terminologia nawet ta sama. Prawda i to, że p. Kawczyński nie uogólnił tak szeroko swojego pomysłu, jak to uczynił Tarde: mimo to jednak w swojéj dziedzinie doszedł on do bardzo ciekawych uogólnień, jak np. w sprawie poezyi ludowéj, któréj istnienia wręcz zaprzecza, widząc wszędzie twórczość indywidualną, rozpowszechnioną przez naśladownictwo.

Ciekawą i charakterystyczną jest u pr. Kawczyńskiego krytyka twierdzeń Spencera o pochodzeniu muzyki: jest-to zupełnie Tarde'owski sposób rozumowania. Obaj autorowie — Tarde i Kawczyński — jak wszyscy opanowani jedną myślą ludzie, dochodzą w rozumowaniu

swém do ostateczności i wprost nawet negują zasadę ewolucyi. Tymczasem przy bliższém badaniu okazuje się, że owo szczepienie, naśladownictwo, jest tylko cząstkowym objawem śród objawów rozwoju powszechnego. Tak więc w uogólnieniach Tarde'a i wyszczególnieniach Kawczyńskiego znajdujemy też same wady i też same zalety. Dodać należy, że zarówno Kawczyński — filolog, jak i Tarde — prawnik, posiadają szczupłe wykształcenie przyrodnicze i w tém niewątpliwie tkwi przyczyna niektórych błędów ich teoryi.

A. Lange.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Ludwik Krzywicki. „Ludy.“ Zarys antropologii etniczéj. Warszawa, 1893, str. X + 431.

Antropologia i etnologia są niezawodnie kamieniami węgielnemi socyologii przyrodniczéj, téj umiejętności, która dotąd była raczéj przedmiotem upragnionym niż dokonanym; dzieło p. Krzywickiego najwięcéj zdaje mi się ze wszystkich dotychczasowych usiłowań zbliżyło się do tego, czém może być socyologia przyrodnicza, t. j. do zarysu fizyologii zbiorowego życia, pomijając to, czém ona być nie może, a co daremnie usiłowali wepchnąć w nią pisarze szkoły pozytywnéj, jak Spencer, Letournau i inni, którzy, pragnąc zrobić z niéj powszechną umiejętność społeczną, ostatecznie spaczyli zdrowe ziarno zawarte w pomyśle Comte'a, tém bardziéj, że na ową umiejętność społeczną zapatrywali się ze stanowiska bardzo ciasnego, nibyto przyrodniczego, w rzeczywistości materyalistycznego, najmniéj właściwego w dziedzinie społecznéj. Lekceważąc bowiem duchem społeczeństw, wyrażającym się w religii, poezyi, moralności, prawie, poczuciu narodowości i t. d., który właśnie przemienia proste zbiorowe pożycie na społeczeństwo, t. j. żywą, duchowo-zjednoczoną całość, socyologia angielsko-francuska nie potrafiła ani rozróżnić tych dwóch rzeczy, ani pojąć należycie swego zagadnienia. Błąd ten np. wyraźnie bardzo występuje u takiego Espinasa, który, opisując i uogólniając objawy zbiorowego życia zwierząt, daje książce swojéj za tytuł „Społeczeństwa zwierzęce“, a co więcéj jeszcze, poprzedza ją zarysem historycznym filozofii społecznéj, poczynając od Platona i Arystotelesa.

Miałem już w „Ateneum“ sposobność wypowiedzenia poglądu

swego na właściwość zastosowania metody przyrodniczéj do umiejętności społecznych. Ażeby wyjaśnić swoje stanowisko względem książki p. Krzywickiego, muszę powiedziéć kilka słów o tém, czém może być socyologia przyrodnicza i jaka jéj rola w rozwoju społecznym.

Jako fizyologia ludzkości, socyologia, będąc gałęzią wiedzy przyrodniczéj i posługując się jéj metodami i wynikami, może jednak przyczynić się do rozwoju wiedzy społecznéj, tak jak fizyologia osobnika ułatwia znajomość psychologii, bylebyśmy tylko nie próbowali zastąpić jednéj drugą lub zlać obie w jedno, wynikiem czego mógłby być tylko zamęt pojęć. Stanowisko bowiem każdéj z tych umiejętności jest zupełnie różne: socyologia (w znaczeniu, jakie jéj tu nadałem) i fizyologia badają społeczeństwo lub człowieka jako „przedmiot“, jako rzeczy należące do świata zewnętrznego, ulegające jego prawom mechanicznym, jako rzeczy pozbawione świadomości i woli; psychologia i umiejętności społeczne zapatrują się na swoję dziedzinę ze stanowiska „podmiotu“ (lub dualistycznego), t. j. wprowadzając czynnik świadomości i woli ludzkiéj. Czy to w prawie, czy w ekonomii społecznéj, czy w dziejach — zawsze bierzemy pod uwagę te czynniki. Pogląd na całość dać może tylko filozofia społeczna, obejmująca syntezę obu stanowisk w wyższéj jedności, tak jak filozofia wogóle łączy w jednę całość przedmiot i podmiot; nie może tego uczynić socyologia (a więc zająć roli, jaką jéj wyznacza pozytywizm), chyba zaprzeczając to, co jest najistotniejszém w życiu społeczném—„duszę społeczną“, jak wyraża się niekiedy p. Krzywicki, tak jak materyalizm zaprzecza psychologią, redukując ją do fizyologii mózgu.

Pojęta jako gałąź wiedzy przyrodniczéj, jako fizyologia życia zbiorowego, socyologia spełnia w pochodzie oświaty tę czynność, która przypadła wogóle naukom przyrodniczym [1]); — obok więc praktycznych korzyści, jakie daje poznanie rzeczywistości dla jéj opanowania, przez które socyologia może stać się podstawą polityki umiejętnéj, oddziaływa ona i w zakresie czysto teoretycznym — oczyszczając grunt społeczny od przesądów i nawyknień dawnych, a przygotowując miejsce dla nowéj budowli. Żadna inna umiejętność nie jest w stanie tak dobitnie wykazać względności urządzeń, wierzeń i przekonań ludzkich. W każdéj instytucyi, w każdym wytworze społecznym socyolog widzi tylko przemijającą kategoryą rozwoju, którego łańcuch nieprzerwany usiłuje nawiązać przez przestrzeń i czas — po-

---

[1]) Porów. „Oświata i wiedza przyrodnicza“ w „Ateneum“, marzec, 1892 roku.

równywując rozmaite stopnie kultury ludów, rozrzuconych na powierzchni ziemi z fazami rozwoju historycznego, tak jak niegdyś Bonnet, a w naszych czasach Darwin i jego następcy starali się połączyć z sobą ogniwa łańcucha istot żyjących.

Ale w tym względzie powinniśmy być ostrożni i pamiętać, że ta chwiejność instytucyi, którą nam wykazuje socyologia, jest wynikiem wzniesionego przez nas wymagania metodologicznego, wprowadzonych kategoryi kierowniczych; a gdy zechcemy znaleść coś trwałego wśród téj powszechnéj ruiny „niezachwianych" praw i zasad, jakiéjś podstawy do oceny tego, co powinno pozostać wobec rozkładającéj analizy socyologicznéj, szukać ich nie będziemy w socyologii, lecz w téj dziedzinie umysłu naszego, z któréj płyną ideały przyszłości i wiara w nie. Dopiéro wniesienie tego żywiołu zrobi z socyologii umiejętność społeczną i filozoficzną, z narzędzia krytyki — potęgę twórczą.

Jakiekolwiek więc byłyby wyniki „socyologii przyrodniczéj", nie może być ona naszą prawodawczynią w życiu społeczném, tylko przewodniczką po drodze, którą nam wskaże stanowisko ideału. Praca jednak p. Krzywickiego wykazuje, że wnioski te wcale nie są tém, za co je podają badacze, naciągający wiedzę do potrzeb chwili.

Z trzech części, składających książkę, pierwsza i trzecia roztrząsają zagadnienia ogólnéj natury. Część druga jest przeważnie etnograficzną; jestto historya naturalna rodzaju ludzkiego. Nie będziemy próbowali tu dać pojęcia o bogactwie treści tego działu, obejmującego charakterystykę antropologiczną i społeczną wszystkich głównych szczepów i ras kuli ziemskiéj. Zaznaczymy tylko główne działy: autor rozpatruje kolejno typy australskie, ludy Indyi przedgangesowych, plemiona Afryki czarnéj; typ żółtych krótkogłowców Azyi wschodniéj i południowo-wschodniéj; wyspiarzy oceanu Spokojnego, typ biały (gromady językowe semickie, hamickie i aryjskie — długogłowcy i krótkogłowcy w przeszłości Europy). Cały szereg uwag, zestawień i ciekawych wywodów robi tę część równie zajmującą w czytaniu, jak i dwie pozostałe. Autor zaznacza tu przedewszystkiém zwrot od przelotnego, dyletanckiego zbierania materyału ku poważnym badaniom etnograficznym takich pracowników, jak Morgan, który ożenił się z Irokezką i przez lat 40 mieszkał wśród tego plemienia, jak Cushing, który został wtajemniczony w obrzędy kultu i wybrany na członka rządu plemienia Zuniów, jak cały szereg innych ludzi z równém poświęceniem oddających się studyom, a co nierównie ważniejsza, pełniących w rzeczywistości i z prawdziwą miłością, tę misyę, która kupcom i awanturnikom europejskim służy-

ła za pozór do tępienia i rabowania tubylców. W naszéj literaturze dzieje się pod tym względem, jak i wszędzie: kiedy niektóre dzienniki wyśrubowały na wielkiego człowieka pewnego podróżnika, którego powierzchowność wytyka autor „Ludów“ (str. 61), nikt oprócz specyalistów nie wié o istnieniu sumiennego badacza Jana Kubarego, który narówni z wyżéj wymienionymi mężami oddaje się studyum na wyspach Karolińskich.

Nie możemy znaleść słów uznania dla téj sympatyi, z jaką p. Krzywicki mówi o nieszczęśliwych ofiarach chciwości i zepsucia białych, z jaką maluje dodatnie rysy charakteru ludów „barbarzyńskich“; dla szerokiego i ludzkiego poglądu na zwyczaje i wierzenia „nieucywilizowanych“ ludów, sympatyi, któréj najwyższym wyrazem jest dedykacya książki „tym dzikim a nagim bohatérom“, którzy staczali heroiczną walkę o niezależność z „cywilizacyą niższą moralnie i społecznie“ (str. VI). Sądzę jednak, że na równi z dzikimi bohatérami warto było uczcić i mężów, którzy, wychowani wśród téj cywilizacyi, mieli tyle odwagi i siły moralnéj, ażeby się jéj wyrzec i zbratać z plemionami powszechnie uważanemi za niższe, żyć z niemi i dopomagać im swoją wiedzą, — bo przecież nie sama ciekawość, nie chęć zbierania faktów etnograficznych kazała takiemu Morganowi 40 lat spędzić wśród Irokezów.

Pierwsza i trzecia część dzieła p. Krzywickiego poświęcone są zagadnieniom ogólnéj natury. W pierwszéj roztrząsa autor główne kwestye antropologii rasowéj: starożytność rodu ludzkiego; zagadnienie ras i gatunków; trwałość cech rasowych i wpływ rozmaitych czynników: krzyżowania, doboru, środowiska. Jako przykład oględności sądu autora przytaczamy ustęp końcowy z rozdz. III-go: „Mówiąc o przeszłości rasowéj rodu ludzkiego, wypadałoby rzec słów kilka o zagadnieniach, zaciekawiających zwykle publiczność, jak pierwotne siedziby ludzkości, wygląd zewnętrzny pra-człowieka i t. d. Są to jednak zagadnienia, na które można odpowiedziéć dopiéro po dokonaniu analizy rasowéj i głębszém poznaniu dziéjów antropologicznych ludzkości. Dzisiaj dociekania tego rodzaju są jeno przelewaniem z próżnego w puste. Zaznaczymy tylko, że w próbach podejmowanych dotychczas w téj mierze, daje się uczuć silnie wpływ klechd biblijnych. Moglibyśmy między innemi tutaj przypomniéć Lemuryą Haeckla, jako dowód takiego szukania rajów utraconych. Wspomnimy jedynie, że w ostatnich czasach monofyletyści, a ich tylko zajmują podobne zagadnienia, poczęli odsuwać „pra-siedzibę“ coraz bardziéj ku północy aż do krain podbiegunowych, które zresztą w epoce mioceniczné pokryte były bujną roślinnością. Jednocześnie

daje się spostrzedz, że poszukiwacze kształtów naszego pra-rodzica z pewném upodobaniem wybierają wzory po temu u grup czarnych. Zapisujemy tę dążność dla uwydatnienia nowego stanowiska, zajętego przez poezyą antropologiczną. Na tém poprzestajemy" (str. 39).

Najbardziéj zajmującym rozdziałem téj części jest VI-ty. Tłómaczy tu doskonale autor na przykładzie wynalezienia ognia, w jaki sposób, pomimo licznych ognisk powstawania cywilizacyi, przebieg jéj odbywa się dość jednostajnie. Sądzę jednak, że za daleko posuwa się, twierdząc jakoby znamioną antropologiczne, t. j. cechy rasowe, „wpływając na prędkość ewolucyi społecznéj, jéj większe bogactwo artystyczno-duchowe i dziejowo-awanturnicze, tłómacząc, czemu pewne grupy odegrały tę lub inną rolę dziejową, lub dlaczego przedstawiciele pewnéj rasy spełniają te lub inne funkcye w daném społeczeństwie, bynajmniéj jeszcze nie wyznaczają treści samych instytucyi społecznych, ani też nie stanowią i o ich następczości" (str. 51). Ta treść, ta następczość są z góry przepisane i jednakowe dla całéj ludzkości. Dzieje więc przedstawiają się nakształt wąwozu wielokrotnie się wykręcającego, ale mającego jedno wyjście; jedne rasy przejdą po nim poważnym krokiem, inne przebiegną w podskokach; mogą po drodze wywracać najrozmaitsze koziołki, ale ani zboczyć z drogi, ani pominąć któregolwiek z jéj wykrętów nie może żadna. Dlaczegóż? Jeśli cały typ życia duchowego może zależéć od tych czynników, jeśli natura antropologicznie rasowa „czyni jedne kultury względnie wojowniczemi, przedsiębiorczemi lub artystycznemi, inne pokojowemi wąsko-utylitarnemi, tchórzliwemi" (str. 51), jakżeby się usunęły z pod jéj wpływu instytucye, które są wynikiem tego życia duchowego? Czyliż republikanizm Hellady lub mandarynizm Chińczyków nie są wynikiem tych samych osobliwości duchowych, które zrobiły pierwszą krajem filozofów i poetów, drugich—narodem zastygłéj cywilizacyi? Toż samo dotyczy urządzeń społecznych, prawa i obyczajności. Ale właśnie owa chęć wtłoczenia wielokształtnych dziejów cywilizacyi w schemat rozwojowy, jest cechą pewnego chwilowego stanowiska zawdzięczającego swój byt wpływowi darwinizmu, a gdy większość autorów „socyologii" sądzi jak Letourneau, że na podstawie materyału, dostarczonego przez obserwacyą nad ludami dzikiemi i barbarzyńskiemi, „możemy zbudować embryologią wszystkich naszych urządzeń społecznych", to zapomina przytém, że owo przyjęcie rozrzuconych w przestrzeni, a jednoczesnych objawów za szereg zastygłych faz rozwoju w czasie nie jest wynikiem spostrzeżenia, lecz hypotezą kierowniczą, apryorycznie przyjętą, która może miéć chwilowo

swoję wartość metodyczną, lecz po za tém do niczego nie obowiązuje.

P. Krzywicki najmniéj może ze wszystkich uległ owemu schematyzmowi i w tém jego zasługa; ale w wyżéj zaznaczonéni twierdzeniu o powszechnie obowiązującym dla wszystkich ras i narodów schemacie rozwojowym, nie możemy nie widzieć śladów wpływu ewolucyjnie-fatalistycznego szablonu. Wprawdzie już samo stanowisko przyrodnicze pociąga za sobą, jak to zaznaczyliśmy w uwagach wstępnych, deterministyczny pogląd w socyologii, ale nie koniecznie determinizm ten powinien się objawiać w narzucaniu rozwojowi społecznemu takiéj ciasnéj miarki, jak ewolucyonizm zoologiczny.

Część trzecia „Ludów" jest próbą syntezy socyologicznéj, opartéj tak na poprzednio dokonanéj analizie, jako téż i na wynikach badań antropologicznych, fizyologicznych, psychologicznych i statystycznych. Opiérając się na studyach nad dziedzicznością talentów i charakterów, nad pomiarami czaszek i typami zbrodniczemi, próbuje autor dać naukowe podstawy dla szeregu zagadnień, przeważnie praktycznych i związanych z życiem bieżącém. Zaznaczymy tu jako przykład bardzo trafny rozbiór dowodów na korzyść domniemanéj niższości kobiéty (str. 323—326), który zakończa autor tak: „najcharakterystyczniejszém jest to, że nauka, zamiast szukania: środków, zabezpieczających zdrowie kobiéty w walce, którą toczy ona o swoją godność ludzką, bawi się w kazuistykę, czy gładkość skóry, zrośnięte kręgi lub większa szczękoskośność dają jéj prawo do swobody i nauki. Przypomina to dawne dowodzenie obrońców niewolnictwa: ponieważ murzyn jest „podobniejszy do małpy", zatém należy go trzymać w niewoli. Trafne są również uwagi dotyczące typów zawodowych; mniéj szczęśliwe natomiast przejście od patologicznych objawów do normalnych (str. 328), i przeniesienie uogólnień na sposób szerzenia się idei w społeczeństwie (str. 329), jak i wogóle zdaje się, że autor, idąc śladem za kryminologią włoską (któréj wniosków zresztą nie przyjmuje bezwzględnie, trafnie wykazując ich powierzchowność — str. 354—356), przecenia znaczenie „wrodzonych" skłonności i popędów. Dobór i jego ujemne wpływy w warunkach naszéj cywilizacyi, wpływ antropologii rasowéj na umiejętność historyczną, oraz poglądy na przyszłe zastosowania praktyczne jéj wyników dla systematycznego polepszenia rasy ludzkiéj zajmują trzy ostatnie rozdziały książki. Znajdujemy tu i doktrynę „arystokracyi ducha"; potępiając niedorzeczności, które pod tą nazwą wygłasza literatura pewnego kierunku, autor daje taki sąd o antropotechnice (sztucznéj hodowli ludzi): „Tylko na podstawie ogólnéj a masowéj wiedzy, kiedy każdy członek

społeczeństwa posiadać będzie znajomość swego stanowiska w przyrodzie i społeczeństwie, kiedy wykładana mu nauka antropologiczna (wspólnie) z kwestyą dziedziczności, otworzy mu oczy na skutki krzyżowania i obudzi poczucie moralnego obowiązku względem przyszłych pokoleń, tylko wtedy antropotechnika pozbędzie się właściwego jéj dzisiaj piętna kastowości. W ten sposób na dzisiaj mają znaczenie nie próby antropologiczne kształcenia i hodowania arystokratów, lecz hasła reformy społecznéj, któraby uczyniła wiedzę dobytkiem każdego obywatela kraju" (str. 428).

Ściśle wiąże się z tą trzecią częścią dzieła dziesiąty rozdział drugiéj, poruszający takie zagadnienia, jak krzyżowanie, aklimatyzacya, przeludnienie. Znajdujemy tu zupełnie oryginalne oświetlenie przyczyn, dla których cywilizacya białych tak niechętnie jest przyjmowana przez ludy barbarzyńskie: „Przyjęcie naszéj cywilizacyi byłoby zrzeczenieniem się tego stanu rzeczy, gdzie „wolność, równość i braterstwo, chociaż jasno nieokreślone, są zasadami społeczeństwa." Przedstawiciel najdzikszéj grupy rodu ludzkiego, prócz gabinetowych mędrców Europy, zrozumiał to, bo nawet Australczycy, wolni w swym prostym ustroju, równi i związani spójnią solidarności, odpowiadają, że nie chcą zostać „białymi", bo są i chcą być „dżentelmenami" (str. 288). „Kiedy król wysp Tonga w rozmowie z pewnym Europejczykiem dowiedział się, iż w Europie wszystkie przedmioty, potrzebne do życia, trzeba kupować i że obiad w obcym domu je się wyjątkowo, skoro otrzymano urzędowne zaproszenie, „wybuchnął śmiechem, kpiąc ze skąpstwa i sobkostwa białych ludzi. Rzekł potém, że panujący na wyspie Tonga zwyczaj jest daleko wyższy: jeżeli ktoś jest głodny, wolno mu wejść do najbliższéj chaty, w któréj jedzą i piją, i siąść obok towarzystwa, nie czekając zaproszenia" (str. 290). Na kilku krwią zapisanych stronicach znajdujemy epizody heroicznéj walki tych „dzikich" ze zwierzęcością i bezmyślném okrucieńswem „cywilizowanych", a dość jest przeczytać te karty, ażeby zrozumieć dedykacyą autora. Godném jest uwagi, że kiedy zwolennicy arystokracyi duchowéj, dogmatyzując fakt, wygłaszają Hobbesowską zasadę *homo homini lupus* nawet dla „najwyżéj" stojących gromad ucywilizowanych, srożąc się przeciwko „zgubnym teoryom" Rousseau'a, sumienne przedstawienie faktów zbliża społeczeństwo pierwotne do wyobrażeń tego ostatniego o „stanie natury". Socyologia naukowa podaje rękę szlachetnym marzeniom myślicieli, wierzących w przyszłość ludzkości.

Jakaż ogromna różnica istnieje pod tym względem pomiędzy poglądami autora „Ludów" a urzędową socyologią uczonych, przykra-

wującą swoje wnioski do przesądów lub interesów klasy, któréj służą; a gdy przedstawiciele téj ostatniéj szczycą się swoim radykalizmem, to przypominają przechwałki dzieciaka, który zwalczył niewinnego smoka w postaci kanapy lub krzesła; to też ta odwaga cywilna, powiada p. Krzywicki „przy pomocy świetnych i błyskotliwych fajerwerków i paradoksów ukrywa jedynie zupełne filisterstwo, niekiedy zaś hałaśliwe przekomarzanie się względem różnych drobnych przesądów“ (str. 431).

„Ależ to pamflet, nie książka naukowa!“ — zawołają świętoszki bezwyznaniowéj wiedzy rzezańców. Niech więc będzie pamfletem; przypomnijmy tylko w obronie téj formy, to co powiedział znakomity uczony i pamflecista Paweł Ludwik Courrier, i dodajmy, że każda umiejętność jest pamfletem na ciemnotę i nieuctwo życia. Jak przepisy hygieny są pamfletem na brud i niechlujstwo, tak socyologia naukowa jest pamfletem na ciemnotę, niezaradność i egoizm „ucywilizowanych“ społeczeństw. Nie wina to autora, że samo obiektywne przedstawienie rzeczy przybiera postać pamfletu.

P. Krzywicki nie należy do papiérowych fabrykantów socyologii, produkujących książki przy pomocy nożyczek z niekrytycznych anegdotek podróżników; pracował on i samodzielnie na polu etnografii, robiąc studya nad barwą włosów i oczu; ostatnia zaś jego oryginalna praca „O Kurpiach“ zwróciła na siebie powszechną uwagę. Książka też jego, owoc kilkoletniéj pracy, nie jest jedną z tych kompilacyi, które u nas często uchodzą za dzieła oryginalne; jest ona nie tylko samodzielnie pomyślaną, ale po części na nowo stworzoną — stosuje się to przeważnie do trzeciéj części. Pomimo zaś pewnego zaniedbania językowego i nie pretensyonalności stylowéj, czyta się z ogromném zajęciem dzięki żywemu powiązaniu zagadnień abstrakcyjnych z kwestyami chwili bieżącéj, dzięki „duszy“, którą autor w nią włożył. To też pragniemy jéj szczerze powodzenia, a literaturze naszéj jak najczęstszego ukazywania się podobnych, dziś niestety zbyt rzadkich zjawisk. Autorowi zaś pozwolimy sobie wynurzyć życzenie, aby w wypadku drugiego wydania usunął niektóre szorstkości, stanowiące niemiły rozdźwięk z szeroko humanitarną dążnością, bijącą z jéj kart.

Wł. M. Kozłowski.

„Klemens Janicki, poeta uwieńczony“ (1516 — 1543). Napisał Ludwik Ćwikliński. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1893, str. 194.

Najpoetyczniejszy z naszych humanistów po łacinie piszących w XVI-ém stuleciu, doczekał się gruntownego i wyczerpującego studyum.

Profesor Ludwik Ćwikliński, przygotowując do druku nowe krytyczne wydanie utworów Janickiego, musiał przedewszystkiém zbadać dokładnie zarówno szczegóły jego życia, jak treść i wartość jego twórczości, a wynikiem tych poszukiwań i zastanowień jest książka, któréj tytuł wypisano powyżéj.

Niedługi był żywot poety wielkopolskiego i nieliczne jego pisma; niezbyt trudno zatém było rozejrzéć się w tém wszystkiém, roztrząsnąć podane dotychczas wiadomości, poddać je krytyce, zgłębić charakter twórczości, wykazać jego właściwości, ocenić wpływ poetów starożytnych na kształcenie się pomysłów i dykcyi. Nie brakło też prof. Ćwiklińskiemu poprzedników, którzy albo, tak jak on, pragnęli ogarnąć całość życia i pism Janickiego (Walenty Masłowski, Zygmunt Węclewski), albo téż podali nieznane, bo nieogłoszone do téj pory drukiem dokumenta, wyjaśniające pewne szczegóły z téj dziedziny (Stanisław Windakiewicz, A. Brückner i inni).

Autor zna oczywiście prace poprzednie i w rozdziale wstępnym poddaje je ocenie, opuścił tylko, o ile wiem, Kazimierza Brodzińskiego, który jakkolwiek do życiorysu elegika naszego nie dostarcza żadnych materyałów, ale w charakterze jego utworów, schodzi się w zasadniczych punktach z p. Ćwiklińskim.

Ustalenie dat czy to co do wypadków zewnętrznych, czy co do czasu powstania utworów Janickiego było naturalnie dla autora główną troską, gdyż od dokonania téj pracy zależy nakreślenie życiorysu nie na dowolnych kombinacyach, ale na faktycznym przebiegu zdarzeń opartego. Dokonał tego p. Ć. bardzo gruntownie i trafnie, usuwając wątpliwości dotychczas istniejące, prostując omyłki poprzedników. Wszystkie ważniejsze poezye Janickiego mogą być obecnie ściśle oznaczone pod względem chronologicznym, a nawet wiele drobnych epigramatów.

W czterech rozdziałach obrobił p. Ć. życiorys Janickiego, dzieląc tenże na okresy następne: *a*) od urodzenia 17 listopada 1516 r. do śmierci Krzyckiego, pierwszego swego opiekuna; *b*) pobyt na dworze Piotra Kmity, drugiego z kolei opiekuna w r. 1537 i 1538; *c*) studya w Padwie w r. 1538—40; *d*) powrót do kraju, najobfitsza dzia-

łalność poetycka i śmierć (1541 r. do stycznia 1543). Wraz ze szczegółowém przedstawieniem wszystkich stosunków poety, począwszy od dzieciństwa aż do zgonu, autor ustala daty powstania utworów jego, wplatając w swe opowiadanie rozbiory krytyczne mniemań wyrażonych przez poprzedników. Chcąc wykazać, co w tym dziale swéj pracy p. Ć. dał nowego, trzebaby wchodzić w wielkie drobiazgi, lubo ich roztrząsanie sprowadza niekiedy ważne zmiany w uszeregowaniu faktów z życia Janickiego.

Odsyłając w téj mierze czytelnika do samego dzieła, zaznaczę tu jedynie pogląd autora na kwestyę uwieńczenia poety naszego.

Opiérając się głównie na własnych jego słowach, oraz na brzmieniu dokumentu wydrukowanego przez Józefa Łukaszewicza, p. Ć. dochodzi do przekonania, że Janicki pierwszy z Polaków otrzymał laur poetycki w imieniu papieża Pawła III-go, a niewątpliwie za staraniem nauczyciela swego, a zarazem druha serdecznego Łazarza Bonamico, które prawdopodobnie poparł swym możnym wpływem kardynał Bembo. Zdaje się, że laurem przyozdobił czoło jego Antonin Contarenus równocześnie z przyznaniem mu stopnia doktora filozofii. Znaczenie tego faktu określa p. Ć. temi słowy: „Błahy to napozór tytuł, korzyści poecie nie przyniósł, ani go téż nie posunął na wyższy szczebel społecznego porządku; słusznie jednak mógł Janicki szczycić się tym darem, a ceremonii naówczas odbytéj nie możemy i my odmówić ogólniejszego znaczenia. Wielkopolski wieśniak w 24 roku życia wyjednał dla polskiéj poezyi europejskie uznanie, niejako poświęcenie, stawiające ją w jednym rzędzie obok innych siostrzyc. Nie jego-to wyłącznie dziełem; pracowali przed nim inni i więcéj od niego, aby polską cywilizacyę pchnąć na europejskie tory; on zaś uwieńczył dzieło, bo we wieńcu papieskim uzyskał widomy znak przynależności polskiéj umysłowości do ogólno-europejskiéj“ (str. 87, 88).

Osobny obszerny rozdział poświęca p. Ć. rozbiorowi talentu i znaczenia Janickiego jako poety.

Wybitną cechę talentu elegika naszego widzi krytyk w cieple i prawdzie uczucia; nie odmawia mu wprawdzie fantazyi, ale sądzi, że w utworach jego „przeważa uczucie, mniéj wyraziście zaznacza się wyobraźnia“ (str. 148). Zgadza się w téj mierze mimowiednie z Brodzińskim, który w swoim kursie historyi literatury polskiéj („Pisma“, IV, 125) podał pierwszy trafną charakterystykę wielkopolskiego piewcy. „Janicki — mówi on — nie był, jak wielu w jego wieku, jedynie przez modę i szkolne nauki poetą; natura sama wlała w niego

ten talent, a łatwość jego wiersza, delikatność czucia i owa nieprzesadzona, nieszukana imaginacya są tego świadectwem. Poświęcał on elegie swoje częścią na słabe swe zdrowie, częścią wdzięczności znakomitym opiekunom nauk. Tkliwy, wdzięczny, czuły na przyjaźń, miłośnik swobodnego, towarzyskiego życia, zbogacony wiadomościami i przejęty duchem elegików rzymskich, byłby stanął na znakomitym stopniu między elegikami, gdyby żył dłużéj, gdyby ciągła i przykra słabość swobody umysłu jego nie struła. Jest on daleko skromniejszy w ozdobach niżeli Jan Kochanowski; język jego mniéj kwiecisty i poetyczny, ale za to żałość, smutek elegiczny wszędzie rozlany, daje mu w tym rodzaju nad Kochanowskim pierwszeństwo. Jest on mniéj poetą, lecz więcéj elegistą. U Kochanowskiego pierwsze miejsce trzyma imaginacya, u tego — czucie."

Trafność słów tych Brodzińskiego poznamy tém lepiéj, gdy się przyjrzymy szczegółowym wywodom p. Ć. Słuszną on robi uwagę, że uczucie nie jest tak skoncentrowane, by się przeobrażało w namiętność; „liryczna podmiotowość nie owładnęła nim w zupełności, pozostawała zawsze pewna refleksya, pewien spokój epiczny." Uczucie smutku góruje tu; jestto główny pierwiastek jego poezyi, lubo nie jedyny, gdyż i radość kiedy niekiedy w niéj błyska. Owe zaś żale nie są jednostajne i nie pozostawiają przykrego wrażenia, bo nie powtarza poeta wciąż tych samych myśli w odmienną tylko szatę słowa przybranych. Uczucie wdzięczności „odzywa się szczególnie dobitnie w elegiach", a szczerość jego nie może być podana w podejrzenie. „Przyjaźń i przyjacielskie stosunki natchnęły Janickiego do pieśni szczególnie wdzięcznych i miłych." P. Ć. nie zaznacza, jak Brodziński, rysu zamiłowania w „swobodném towarzyskiém życiu", które przecież widnieje w epigramatach i wierszu o zmianach ubioru u Polaków, a natomiast słusznie wykazuje pominięty przez Brodzińskiego pierwiastek religijny i patryotyczny, oraz odbicie się stosunków czasowych i miejscowych w jego poezyach.

Wogóle rzecz biorąc, wyznaje p. Ć., że „świat, w którym tkwią myśli i uczucia Janickiego, nie jest rozległy, ale jestto świat prawdziwy, niezmyślony. W obrębie tego zakresu wybiéra poeta tematy rozmaite, przeważnie drobne, a wybiera je szczęśliwie, z prawdziwém poczuciem artysty. I jak malarz powszednich scen życia, tak i on potrafi nawet w zwykłych wydarzeniach własnego życia i w skromnych stosunkach odszukać element poetyczny i uwydatnić go w sposób prosty a wdzięczny. Siły nadzwyczajnéj nie wyniósł Janicki ze (!) strzechy wieśniaczéj. Nic, prócz chyba lękliwości

i podejrzliwości nie przypomina w nim jego pochodzenia. Chłopek wielkopolski przeobraził się całkowicie w humanistę, przejął się jaknajzupełniéj finezyą kultury renesansu.“

Kompozycyą elegii Janickiego uznaje p. Ć. za „prostą i przejrzystą“ zazwyczaj i porównywa go pod tym względem z elegikiem rzymskim, Tybullem. W utworze przeważa jeden główny motyw; obok niego odzywają się inne; poeta napozór porzuca wątek zasadniczy, ażeby stanąć dłużéj przy obrazie podanym przez fantazyę, ale od takich zboczeń zwykle znajduje stosowną drogę, by do pierwotnego tematu powrócić. W niektórych jednak elegiach brak téj jedności, tegoześrodkowania; epizody są stosunkowo zbyt rozległe, zbyt samoistne, już to dlatego, że uczucie poety było słabsze (jak w 3-éj elegii „Żalów“), już to, że pierwotny pomysł nie mógł się utrzymać na stanowisku naczelném (jak w 6-éj i 8-éj elegii „Żalów“).

Epigramata Janickiego uważa p. Ć. za utwory znacznie słabsze od elegii, a pod względem układu za zaniedbane, tworzone pośpiesznie. Wrodzonego daru obserwacyi nie mógł poeta wykształcić, zdaniem krytyka, ponieważ zamkniętym był „w czterech ścianach swéj izby.“ Spostrzeżenie to nie wydaje mi się słusznėm. Janicki, jak na krótki okres życia, dużo widział i doświadczał, był na dworach panów, bawił za granicą; gdyby miał wrodzony dar obserwacyi, mógłby go był rozwinąć, a gdyby posiadał istotnie tę zdolność, która epigramatykowi jest nieodbicie potrzebna, t. j. dowcip, napisałby był więcéj zręcznych epigramatów, niż się ich w jego zbiorze znajduje. Zdaje się, że wielka uczuciowość poety główną stanowiła przeszkodę w rozwinięciu się dowcipu, nie zaś brak szerszych widnokręgów doświadczenia.

Wiele miejsca poświęcił p. Ć. wykazaniu pożyczek wziętych przez Janickiego od poetów i wogóle autorów rzymskich i kieruje się w tym względzie bardzo trafnie wyrażoną zasadą, mówiąc, że miarą samoistności poetów epoki odrodzenia piszących po łacinie „będzie nie tyle liczba reminiscencyi, ile swoboda, z jaką rozporządzają spuścizną starożytną, niezawisłość pomysłów poetyckich, oryginalny sposób przeprowadzania motywów już użytych.“ Z tego punktu zapatrywania można śmiało nazwać J-go poetą samoistnym. Oczytanie jego było wielkie, obeznanie z mitologią i szczegółami życia publicznego i prywatnego Greków i Rzymian — dokładne; a mimo to nie popisywał się on swemi wiadomościami starożytniczemi; „nigdy też nie gubił się w labiryncie ozdób i frazesów pożyczonych; myśli i uczucia nie otaczał mgłą uczoności“; pojęcia pogańskie mieszał zawsze bez skru-

pułu z chrześciańskiemi, lubo nazwisk bóstw starożytnych używa oszczędniéj, niż niejeden klasyk piszący po polsku.

Szczegółowo rozbiéra p. Ć. stosunek Janickiego do elegików rzymskich. Pod względem charakteru poezyi widzi najbliższe jego podobieństwo z Tybullem, gdyż co serce obu poetów porusza, wyrażają w sposób prosty i rzewny, „rozwijając obrazy, które to samo usposobienie wzniecają w duszy czytelnika, jakie mieli poeci“; przytém i w kompozycyi są jednakowi. Mimo to największy wpływ na Janickiego przyznaje krytyk Owidyuszowi, twierdząc, że na jego utworach najwięcéj się kształcił, z nich najwięcéj korzystał (str. 160). Brodziński już to zauważył; na przytoczoném bowiem miejscu powiada: „Miał widać Janicki przed sobą najwięcéj elegie Owidyusza z wygnania pisane. Jego styl listowy i ton narzekający zawsze to czytelnikowi przypomina.“ P. Ć. szczegółów dużo podawszy o téj zależności Janickiego od Owidyusza, dodaje wogóle, że zestawieniem podobieństw zapełniłby można osobną niemal monografię, gdyż Owidyusz pozostawił w poematach naszego piewcy ślady „liczniejsze i wyraźniejsze, aniżeli którybądź inny poeta rzymski“ (str. 168). Po za elegikami wykazuje autor wpływ innych poetów rzymskich na Janickiego, a mianowicie Lukrecyusza, Wergilego, Marcyalisa. Co do Horacyusza, to ściślejszego stosunku między nim a naszym poetą p. Ć. się nie dopatrzył, lub zaznacza, że Janicki najniewątpliwiéj rozczytywał się w utworach wenuzyjskiego piewcy. Z pomiędzy prozaików rzymskich wymienia p. Ć. głównie Cycerona, Liwiusza i Justyna, jako tych, których znajomość wykazać się daje w pismach poety z Januszkowa.

Co do literatury greckiéj, to p. Ć. zaznacza przedewszystkiém, że Janicki musiał posiadać język Hellenów, gdyż w Poznaniu uczył go Bedermann, autorów zaś greckich, obok łacińskich, objaśniał każdego roku Bonamico w Padwie. Homera wspomina Janicki często; swobodny przekład kilku wierszy z „Iliady“ zamieszcza w swojém „Epithalamium“. Jeden z epigramatów jego (*Querela capellae*) jest dość wiernem tłómaczeniem z Antologii greckiéj. W każdym atoli razie poezya grecka nie wywarła silniejszego wpływu ani na rodzaj pomysłów, ani na dykcyę naszego elegika.

Z poetów nowoczesnych wskazał p. Ć. podobieństwo drobne między wierszami Janickiego a utworami dwu humanistów włoskich: Antoniego Codrusa Urceusa i Hermolaja Barbara.

Wreszcie co do polskich poetów uwidocznił p. Ć. związek niektórych w pismach Janickiego i Krzyckiego.

Jaka była łacina i wiersz naszego poety? Zdaniem p. Ć. poe-

mata jego odznaczają się, ogółem biorąc, dykcyą poprawną, stosowną i potoczystą; dla różnych tonów, w które uderzał, potrafił znaleść właściwe wyrazy; pisał językiem poetów klasycznej epoki Augusta, zwłaszcza elegików, ale niejednokrotnie granice te przekraczał, czy to posługując się wyrazami i formami przestarzałemi, mało używanemi, lub też tworząc neologizmy. Konstrukcye składniowe, często nie są wzorowe, albo nawet wadliwe. Ucho miał delikatne, prawidła metryki znał dobrze, więc wiersze układał poprawnie, czasami tylko popełniając błędy w prozodyi. Heksametry jego (t. j. pierwsze wiersze dystychu) są mniéj dobre od pentametrów, które starannie budował wedle wzoru Owidyuszowego. W składaniu dystychów celuje. Jak u elegików rzymskich, tak i u niego każden dystych stanowi pewną całostkę dla siebie; pewna zaś liczba dystychów wiąże się we większą całość. Myśl wyrażona w dystychu rozpada się często na dwie części; dla jednéj wielokrotnie przeznacza poeta heksametr, dla drugiéj—pentametr. Ażeby jednak uniknąć monotonii, i ściśléj złączyć pierwszy wiersz z drugim, często też przenosi jeden lub więcéj wyrazów pierwszego członu w obręb pentametru, albo odwrotnie człon drugi rozpoczyna już przy końcu heksametru. W wiązaniu i ukształtowaniu zdań okazał Janicki „prawdziwy zmysł piękna i wiele artyzmu."

Taka jest w streszczeniu zawartość pracy p. Ćwiklińskiego. Jestto dzieło erudycyjne w całém znaczenia tego wyrazu. Autor całkowicie nad przedmiotem panuje, zna prawie w zupełności literaturę do tego przedmiotu się odnoszącą, gdyż co do mnie, oprócz wzmiankowanego już pominięcia Brodzińskiego, mógłbym wskazać jeden jeszcze drobny szczegół przezeń nie uwzględniony, mianowicie przekład polski Epithalamium, drukowany bezimiennie w „Pamiętniku naukowym" r. 1819 (t. II, str. 223—231). Obrobienie materyału jest krytyczne; wyniki badania sformułowane umiejętnie i ściśle.

Przyznając atoli zalety naukowe, nie mogę nazwać dzieła p. Ć. utworem sztuki dziejopisarskiéj, ani pod względem układu, ani pod względem stylu. Znakomite prace dzisiejszéj historyografii układane są na wzór epiki jako przedmiotowe zobrazowanie faktów przeszłości, ażeby czytelnik osiągał wrażenie, jak gdyby te fakty same przesuwały się przed oczyma wyobraźni czytelnika. Cały aparat krytyczny, za pomocą którego autor doszedł do tego zobrazowania, usunięty został z tekstu i pomieszczony albo w przypiskach, albo w dodatkach (ekskursach). U naszego badacza nie ma nawet śladu starań w tym kierunku. Po dawnemu obie owe czynności występują razem, ustępując sobie miejsca nawzajem. Zanim nam poda fakt jakiś, musi nam przedstawić autor, jak do niego doszedł, musi zwieść bój z po-

przednikami, którzy odmienne wyrazili zapatrywanie, musi poddać roztrząsaniu wartość źródła, z którego czerpie. Tym sposobem obraz życia przemienia się na rozprawę (dysertacyę) o tém, jak autor do ułożenia tego obrazu przystępował. Wyjaśnię to maleńkim przykładem. Autor (na str. 36) chce nam opowiedzieć o stosunku Janickiego z Kmitą i jego dworem. Zamiast nam dwór ten odmalować kilkoma wybitnemi rysami, autor przedewszystkiém wystawić musi względną wiarogodność wiadomości zawartych w dziełku „*Vita Petri Kmitae*“, i dopiéro potém owe rysy podaje. Zamiast wprost na podstawie pism Janickiego określić jego stanowisko do dworzan, woli przerwać malowidło, by się powołać na świadectwo poety (str. 37).

Wskutek takiego sposobu traktowania, nie otrzymujemy jednolitego wizerunku pisarza, ale szereg wiadomości o jego życiu i tworzeniu przeplatany wywodami krytycznemi.

Pod względem stylu, p. Ć. pisze zwięźle i jasno, używa określeń dokładnych i ścisłych, ale o piękność, barwność, dobitność nie stara się wcale; a pod względem poprawności i czystości języka, dość często grzeszy. Nietylko bowiem używa mnóstwa wyrazów z łaciny wziętych, bez których doskonale obejść się można, że tylko wspomnę o tym ulubionym i przez niego i przez galicyjskich uczonych „kontakcie“, ale nawet wprost posługuje się francuskim *sujet*, jakbyśmy nie mieli własnego „wątku“, własnéj „osnowy“ i t. p. U niego składnia tak niepoprawna, jak: „z tego powodu, p o n i e w a ż (zamiast: *że*) jest prawie stale się powtarza. Frazes: „licznie s ą z a s t ą p i e n i mieszczanie krakowscy“ (str. 128) ma znaczyć, że w epigramatach Janickiego często w y s t ę p u j ą mieszczanie krakowscy. Nawet taki zasadniczy błąd w szykowaniu wyrazów, jak ten np. „pisze do wojewody *i się* usprawiedliwia“ (str. 149) spotkać tu można nieraz.

Wzmiankując o tych usterkach, nie chcę bynajmniéj umniejszać zasługi autora w pierwszém wyczerpującém i krytycznem opracowaniu życia i twórczości Janickiego; owszem, pod tym względem pracy jego najszczerszy hołd składam.

Piotr Chmielowski.

„Wyrazy niemieckie w języku polskim, pod względem językowym i cywilizacyjnym,“ napisał Gabryel Korbut, odbitka z tomu IV „Prac filologicznych,“ str. 216, Warszawa, 1893.

Do pokaźnego już liczbą i pracami grona lingwistów, przybywa naukowéj literaturze naszéj młody badacz, p. Gabryel Korbut, uczeń

Jana Niecisława Baudouina de Courtenay, b. profesora dorpackiego. P. Korbut od pierwszego występu zalecił się świetnie rozprawą obszerniejszych rozmiarów, pod przytoczonym wyżéj napisem. Witamy ją tym radośniéj, że piśmiennictwo polskie w badania obcych żywiołów językowych, wsiąkłych w mowę naszą, nader jest ubogie. Oprócz bowiem prac Muchlińskiego i Karłowicza, zajmujących się wpływem języków wschodnich na polski, oraz L. Malinowskiego artykułu o przemianach głosowych w wyrazach przyswajanych z niemczyzny, niczém więcéj poszczycić się nie może. Jednę z luk na tém polu wypełnia właśnie p. Korbut bogactwem materyału, gruntownością i systematycznością obrobienia ściśle naukowego nad tamtymi niewątpliwie przodek dzierży. Przy braku słownika etymologicznego i słownika wyrazów cudzoziemskich, miał autor do pokonania trud niemały, a jednak zadanie swoje spełnił wybornie. Wyzyskał zarówno odpowiedni materyał źródłowy, jak i opracowania w języku własnym i obcych, czego dowodem nietylko przytoczona na początku rozprawy literatura, ale i sama robota.

Cała rozprawa oprócz wstępu (str. 12) zawiéra 3 części: 1) o wpływie języka niemieckiego na polski pod względem cywilizacyjnym (str. 12—32); 2) ogólne uwagi o zmianach językowych, spotykanych przy spolszczaniu wyrazów niemieckich (str. 32—54); 3) o przemianach wyrazów (54—177); nadto wnioski (str. 177—179); uzupełnienia (str. 179—180); słownik (str. 182—215).

We wstępie wyjaśnia autor, jak wraz z rozwojem cywilizacyi i rozszerzaniem się widnokręgu umysłowego, narody, stojące na niższym stopniu kultury, ulegają wpływom ludów, znajdujących się na wyższym szczeblu, i przejmują od nich nazwy rzeczy i pojęć oderwanych, lubo bywa niekiedy i odwrotnie. Wyosobnienie tedy z danego języka słów cudzoziemskich ma ważne znaczenie, gdyż wskazują one zarówno kierunek cywilizacyi, jak i wpływ tych lub innych narodów i języków na dany naród i język. Na kulturę i języki narodów nowożytnych oddziałała wielce cywilizacya rzymska i język łaciński. Od Giermanów temi żywiołami napojonych, Słowianie zachodni i północni przejmowali głównie za pośrednictwem chrześciaństwa w przeróbce niemieckiéj wyrazy terminologii kościelnéj a potém sami je na swój sposób przekształcali. Daléj objaśniane mamy przyczyny wpływu na polszczyznę języków czeskiego, łacińskiego, tatarskiego i tureckiego, włoskiego i łacińskiego. Najrozleglejszy i najgłębszy wpływ wywarła jednak niemczyzna. W I części wykazano różnorodne przyczyny tego zjawiska. Wyrazy zapożyczone od Niemców, wyżéj w kulturze posuniętych, dotyczą urządzeń i zwyczajów społecznych, dworskich

i wielkopańskich, handlu, przemysłu (hutnictwa, górnictwa), rzemiosł, budownictwa, żeglarstwa, wojskowości, kuchni i t. d.; okrom tego, przejęliśmy wiele nazw na oznaczenie pojęć abstrakcyjnych oraz imion własnych. Przyswojenia takie dokonane były przeważnie w epoce od w. XIII do XIX, ale odbywały się i wcześniéj. Dla umiejętnego wyjaśnienia zmian fonetycznych i morfologicznych w wyrazach zapożyczonych, ważném i niezbędném jest rozróżnienie w nich, ze względu na trzy stadya rozwoju języka niemieckiego przez J. Grimma wykryte, trzech kolejnych okresów. Zaznacza więc autor oraz ilustruje odpowiedniemi przykładami 3 kategorye pożyczek: 1) z jęz. gockiego i starogórno-niemieckiego; 2) ze średniogórno-niemieckiego, i 3) z nowogórno-niemieckiego, rzadko bierze jeszcze pod uwagę różnice dyalektyczne i gwarowe niemczyzny, zwraca baczenie na słowa niemieckie, przeniesione za pośrednictwem żargonu żydowskiego (*belfer* = niem. *behelfer*), oraz na wyrazy przejęte z języków romańskich, lecz w przeróbce niemieckiéj (np. *pancerz* = śrn. *panzer*, *panzier*, włosk. *panciera* = śrnłac. *pancerea*). W Lindem znalazł p. K. na 5,700 wyrazów obcych, przeszło 1,500 niemieckich; sam podał ich w swéj książce 1,700, nie wyczerpawszy bynajmniéj słów technicznych i gwarowych; język polski z gwarami, czytamy we wnioskach (str. 178), liczy conajmniéj 2,000 słów pochodzenia niemieckiego; w potocznéj mowie używamy około 500, w literackiéj około 800.

Taka moc niemczyzny w języku naszym nikogo nie powinna drażnić. Kto się gorszy i ubolewa nad tą mniemaną zakałą, niechaj przeczyta na pocieszenie zdanie znakomitego językoznawcy współczesnego, przytoczone przez p. K. na str. 8 rozprawy. Z całéj masy wyrazów, wziętych od Niemców i spolszczonych, mnóstwo jest takich, które Polakowi wydają się swojskiemi, jak np.: kupić, leczyć, mléko, chléw, chędogi, chorągiew, gaić, rada, bigos, wrzeciądz, sprężyna, rzępolić, bąk (bąki strzelać, zbijać) stosowany (kapelusz) rzesza, żur i t. p. oraz imiona własne, jak: Łańcut, Olkusz, Jaszczołd, Firlej, Jerzmanowski, Kondratowicz, Lenartowicz i. t. d. Niektóre z tego rodzaju słów inni uczeni uważają jednak za słowiańskie, pochodzące od pierwiastków wspólno-indoeuropejskich. Sam autor zresztą przyznaje (str. 179), że tylko część mniejsza zgromadzonych przezeń ma etymologię zupełnie pewną, większość zaś jeno hypotetyczną, może nawet fałszywą mimo całéj trafności wywodów; rzeczywiste pochodzenie wielu wyrazów nigdy chyba nie będzie zbadane.

W II części rozgatunkował autor wedle zasad nauki współcze-

snéj słowa obce na: 1) obce w ścisłém znaczeniu (*Fremdwörter*, cudzoziemskie), do których należą głównie „techniczne, mniéj popularne, świéżo zapożyczone,“ „które mało zmieniły się co do brzmienia swojego (np. *laufer*, dach) i 2) przyswojone, spolszczone, ludowe,“ „które lud tylko, nie posiadający obcych języków, nieświadomie spolszczył,“ „które co do brzmienia swojego najczęściéj się przekształciły i nie są już przez ogół poczuwane jako obce,“ „które zapożyczone były w dobie dawniéjszéj.“ W ostatniéj kategoryi, dla lingwisty ważniejszéj, odróżnia jeszcze wyrazy ogólnie używane (pieniądz, bawełna, żeglarz) od spolszczonych przez wieśniaków lub mieszczan (maltyk, hultaj lub Olkel). Następnie zastanawiając się nad zmianami językowemi w wyrazach przyswojonych, dowodzi, że działają dwa w téj mierze czynniki: 1) fizyologiczny i 2) psychiczny, które nieraz tak przeistaczają wyraz pod względem fonetycznym, iż wykazanie jego etymologii staje się rzeczą nader trudną, (czynnik fizyologiczny sprowadza zmiany fonetyczne, normalne, stałe, zbliżając dany dźwięk obcy lub grupę dźwiękową przez podstawienie do swojskich (np. ok*ręt* = n. Hochr*and*); czynnika zaś psychicznego objawem jest albo przesłyszenie, złudzenie akustyczne, wywołujące zmianę przyrostków czyli asymilacyą morfologiczną (np. antab*a* = n. Handhab*e*; flet*nia* = n. Flöt*e*), albo etymologia ludowa, sprawiająca zmianę leksykalną. Etymologii ludowéj zaznacza za Karłowiczem 3 sposoby: asonancyą (np. orczyk = n. *ortscheit*); adideacyą (np. struk*czaszy* = n. truch*sess*, upodobnienie do pod*czaszy*; arradykacyą (np. lu*krecya* = n. *lacritze*, asymilacya do Lukrecya). Nadto przy objaśnianiu zmian należy baczyć na chronologią i geografią, t. j. w jakiéj epoce wyraz przejęty i przez jaką warstwę narodu, oraz, czy przeniesiony z ogólno-niem. języka, czy z narzecza lub gwary; tak np. firanka przyswojona nie z nowo-niem. *Vorhang* (jak powszechnie mniemano), lecz połud.-niem. *Fürhang*, gdyż *i* zastępuje *ü*, lecz nie może nigdy zastępować *o*. W wielu wypadkach złożonych, jeden członek zachował swój obcy charakter, drugi został przetłómaczony lub zastąpiony wyrazem polskim lub lepiéj spolszczonym (np. *pióro*pusz = n. *Feder*busch). Spotykają się téż słowa jednego pochodzenia, ale w różnéj formie i z różném znaczeniem, co pochodzi stąd, że były przyswajane w różnych epokach lub przez różne warstwy narodu (np. niem. *Träger* mamy w postaci tragarz i bry*ftregier*); bywa téż i odwrotnie, np. szlaban pochodzi z niem. *Schlagbaum* i szlaban ze *Schlafbank*. Podobnież jednakie przyrostki wyrazów różnych, mogą być różnego pochodzenia; np. w sznur*ek* przyrostek—*ek*

jest przyłączony do słowa sznur, ale w gatun*ek* powstał przez wsunięcie *e* między końcowe *n* i *k*: n. *Gattung.* Zmieniają się też końcówki, jeśli są obce językowi przyswajającemu; wówczas albo zastępują się odpowiednimi swojskiemi (np. niem. *e* przez pol. *a*: Bind*e*=bind*a*), albo się przeistaczają wedle praw głosowni polskiéj; np. niem. — *er* = p. — *erz*, — *arz*, — *ar*; lub pozostaje bez zmiany: *Fälscher* = fałszerz; *drucker* = drukarz; *zentner* = centnar, ale *buchhalter* = buhalter. Mamy w języku naszym cały szereg przyrostków, które wydają się polskiemi a w rzeczywistości są pochodzenia niemieckiego; np. sufiks — ulec powstał z *holz* drugiego członka słów złożonych, np: bud*ulec* = n. Bau*holz*; o ile mi wiadomo pierwszy p. K. podaje ten wywód—i niewątpliwie trafny. Cała masa wyrazów pochodnych urabia się zapomocą rozmaitych przybranek (*ob*-rada, *wy*-szynk) i przyrostków (ster-*nik*, herb-*arz*). W znacznéj liczbie słów przyswojonych zmienia się rodzaj; zmianę tę pociąga zmiana formy (p. szynk = n. *die Schenke*; p. blacha = n. *das Blech*) lub znaczenia (belka = n. *der Balken*, może pod wpływem deska; sufiks — unek zawsze zamienia słowa niem. r. ż. na męskie (rach-*unek* = n. *die Rechnung*); niezmieniona forma może także sprowadzić zmianę rodzaju (mundur = n. *die Montur*); pozostaje zaś rodzaj ten sam, jeżeli forma stosownéj ulegnie zmianie (taf*la* = n. *die Taffel*). Za zmianą formy idzie też nieraz i zmiana liczby (konszachty = n. *die Kundschaft*). Wyrazy przyswojone podobnie jak czysto polskie mają akcent zawsze na drugiéj zgłosce od końca, bez względu na któréj samogłosce stał w niemczyźnie (poler*o*wać a nie pol*e*rować = n. poli*e*ren, p*a*pier = n. papi*e*r). Prócz zmian fonetycznych i morfologicznych, zdarzają się także i zmiany znaczeniowe; znaczenie np. szczegółowe przechodzi w ogólne (pieniądz = strgn. *Phenning* = pewna moneta) i odwrotnie (kres = n. *Kreis* = koło) i t. p. W końcu zaznaczamy jeszcze za autorem, iż od zmian, pojawiających się w chwili zapożyczania, trzeba odróżniać zmiany, zaszłe już po spolszczeniu danego wyrazu. Słowa bowiem takie, uznawane już za swojskie, łatwo ulegają na wzór szczeropolskich wszelkim zmianom fonetycznym i morfologicznym, przetwarzają się zapomocą różnych przybranek i przyrostków; powstaje w ten sposób mnogość wyrazów pochodnych.

W części III, najobszerniejszéj, zawiérającéj niemal ²/₃ całéj rozprawy, zgromadził p. K. nader skrzętnie bogaty materyał, na podstawie którego szczegółowo rozwija i uzasadnia wywody teoretyczne i prawa w dziale poprzedzającym podane i tam już odpowiedniemi przykładami stwierdzone. A więc traktuje bardzo drobiazgowo i w sposób wyczerpujący przemiany wszelkich samogłosek i dwugło-

sek samogłoskowych oraz spółgłosek; wszędzie, gdzie się nadarza sposobność, schodzi na drogę porównawczą. Objaśniając dane zjawisko fonetyczne i popiérając postawioną zasadę identycznemi zmianami i w słowach przeniesionych z innych języków; np. zastąpienie samogł. *o* przez *u* (str. 57), spółgł. *l* przez *ł* (str. 113), *ł* przez *r* (str. 116) i t. p. Daléj mówi o wyrzutni, wstawce, przestawce i ściąganiu dźwięków; wreszcie o przemianach morfologicznych w rzeczownikach pierwotnych i pochodnych, pojedyńczych i złożonych, w czasownikach, przymiotnikach i przysłówkach.

Z pośród wniosków autora, z całéj pracy przezeń wysnutych, prócz niektórych przywiedzionych już wyżéj, zasługują jeszcze na uwagę takie uogólnienia: 1) w Europie półn. język narodu zachodniego wywiera większy wpływ na język sąsiada wschodniego, niż odwrotnie; 2) żaden język nie oddziałał tak wszechstronnie na polszczyznę jak niemiecki; 3) stosunek przyswojeń niemieckich do języka polskiego jest taki, jak pożyczek francuskich do niemieckiego; 4) przeważną ilość stanowią wyrazy przyswojone, mniejszą cudzoziemskie; 5) między niemi znowu najwięcéj jest rzeczowników, z 1,700 bowiem słów przypada na same rzeczowniki 1,400.

Rozprawa opatrzona jest bardzo starannie ułożonym słownikiem, niezmiernie ułatwiającym korzystanie z książki.

Oto osnowa wielce cennego dzieła p. K.: obfitość materyału, oraz wyborna metoda w opracowaniu użyta, nadają mu niepospolitą wartość, ma ono tém większą doniosłość, że nietylko jest ważnym przyczynkiem na niwie badań naukowych języka ojczystego, rozświetlającym niejedną zawiłość, ale oddać może i powinno duże usługi pod względem praktycznym, pedagogicznym; jakkolwiek trzymane w tonie ściśle umiejętnym, odznacza się jednak przedstawieniem jasném, przystępném, popularném; wszyscy wykładający język polski, nawet mniéj naukowo przygotowani, przy dobrych chęciach korzystać zeń mogą; życzyć więc wypada, aby znalazło się w rękach jaknajwiększéj liczby nauczycieli i nauczycielek.

Nie czyniąc żadnych autorowi zarzutów, ośmielam się przecież na następujące, drobne zresztą, usterki zwrócić uwagę. Żałować trzeba, że obok przyswojonych przytaczając wyrazy niemieckie, zwłaszcza z okresów wcześniejszych, nie podaje p. K. właściwych ówczesnych ich znaczeń; stąd powstaje niepewność, czy i o ile znaczeniem słowo przyswojone odskoczyło od swego pierwotnego źródła; dla specyalisty może to i nie potrzebne, ale dla zwykłego nauczyciela — niezbędne. Do takich zaliczyłbym: *Kavel* = kawał; *spîze* = śpiża, skąd śpiżarnia; *Handvaz* = konwas; *Aschhofen* = aszow; *Schmeckostern* =

śmigus; *Harnasch* = harnasz; *vonnöten* = wnet i t. p.; dla wielu nieznane jest nawet znaczenie i spolszczonych, mianowicie przestarzałych, jak np. konwas, aszow, harnasz, biermuszka, knutel, gądziel, hawerz i t. d.; wymagałyby i one objaśnienia. Wprawdzie może się autor zasłonić, że takich czytelników nie miał na myśli; w każdym razie szkoda, że braki takie istnieją.

Niekiedy możnaby podnieść wątpliwość, czy rzeczywiście dany wyraz pochodzi z niemieckiego; dlaczego np. rybałt ma być zapożyczony ze śrgn. *ribalt* a nie wprost ze średniowiecznéj łaciny *ribaldus* lub z włosk. *ribaldo?* w podobnych wypadkach należałoby, zdaje mi się, przytaczyć dowody z pomników literackich; podobnież Witold (w słowniku opuszczony), Jaszczołd niby z *Askold* (ze skandynawskiego?) przy którym w dwu miejscach na 6 przytoczeń postawiony znak zapytania. Ażeby szarpie (str. 22) miały swe źródło w niemczyźnie, nie chce się wprost wierzyć, tembardziéj, że Heyse (*Fremdwörterbuch*, s. v. *charpie*) wywodzi je z francuskiego; czemu słowo to nie miało być bezpośrednio przyswojone z francuszczyzny? Wywód śmigus lub nawet w formie *szmigurst* ze *schmeckostern* czy nie jest zbyt śmiały? *Gamrat* jak wykazuje Al. Brückner („Średniowieczna poezya łacińska w Polsce," str. 8 i 61) pochodzi nie z niem. *Kamerad*, lecz łaciń. *gameratus* = rozwiązły.

Podług p. K. cecha używa się obecnie wyłącznie w znaczeniu przenośném: cecha charakteru (str. 51); w Królestwie kongresowém używa się jednak cecha jako znak wyrzezany na drzewach przeznaczonych do wyrębu, a więc nieprzenośnie. Nietylko na Śląsku i w Poznańskiém wymawia lud harbata (str. 60), ale podobniéż i w innych okolicach Polski.

Styl rozprawy prosty i jasny, język wzorowy. Zdaje mi się przecież, że zwrot: humanistów XV i XVI st. z wielkim pietyzmem odnoszącym się do języka Rzymian (str. 12) grzeszy przeciw czystości; rażą też ucho neologizmy: uobywatelnić się (str. 11), uobywatelać się (str. 31).

* *
*

Na zakończenie pozwól, szanowny redaktorze, zamieścić słówko pod adresem Komitetu kasy pomocy imienia Dr. Mianowskiego. „Prace filologiczne" nakładem téj Kasy wydawane, są z charakteru sobie właściwego, publikacyą ogółowi mało dostępną i drogą a więc niepokupną i niepoczytną. A jednak zdarzają się tam prace, które szersze koło czytelników mogłyby zainteresować a nawet i znaleść, gdyby były ogłaszane w licznych odbitkach. Podwójny wynikałby stąd pożytek

umysłowy dla tych, którzy „Prac filologicznych“ do rąk nie wezmą, ale odbitkę po niskiéj cenie w handel puszczoną nabyliby chętnie; materyalny zaś dla Kasy, gdyż sprzedanie choćby kilkudziesięciu egzemzemplarzy, przysporzyłoby funduszu na nakład wydawnictwa, z prenumeraty bynajmniéj się nie pokrywający. Taka rozprawa jak p. Korbuta po cenie np. 50 kop., rozeszłaby się niewątpliwie w paruset egzemplarzach. Redakcya, o ile wiem, dobrze to rozumié i radaby inaczéj postępować, ale ma nałożoną klauzulę przez szanowny Komitet, który odbitek puszczać w handel księgarski zabrania. Czy nieco dziwny ten zwyczaj nie mógłby być zmienionym?

St. Mieczyński.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Antoni Sienicki* — **Stosunek Psałterza**, przekładania Jana Kochanowskiego do „*Paraphrasis psalmorum*“ Jerzego Buchanana. (Sprawozdanie dyrekcyi gimnazyum w Samborze, za r. 1893, Sambor). — „Psałterz“ Kochanowskiego stanowi ze względu na styl, wierszowanie, nowość i rozmaitość form zwrotkowych, najważniejszy pomnik poezyi wieku XVI, najdonioślejszy krok w rozwoju sztuki słowa, dokonany przez mistrza, który pierwszy „wdarł się na skałę pięknéj Kalliopy, gdzie dotychmiast nie było znaku polskiéj stopy.“

Pomieszczając te słowa właśnie w dedykacyi „Psałterza“ swemu „jedynemu“ protektorowi i przyjacielowi, poeta zaznaczył tu świadomość swoją wartości artystycznéj dokonanego dzieła i osiągniętego w nim odnośnie do innych utworów, postępu.

Kilkanaście (około 18-tu) wydań „Psałterza“ w ciągu lat 60, świadczy najwymowniéj o niesłychanym dotąd w dziejach poezyi naczéj powodzeniu utworu, pociągającego czytelnika nie treścią, znaną dobrze z tylu innych przekładów, ile czarem nieznanéj dotąd muzyki słów, rzewnością i siłą, żywością i podniosłością, barwnością i prostotą wysłowienia, a przytém nowością i pięknością form wierszowych.

Ocena krytyczna „Psałterza“ wymaga mozolnych studyów, których nie mogli czy nie chcieli podejmować zarówno historycy literatury jak i specyalni biografowie Kochanowskiego, stąd poprzestawano na krótkich, pochwalnych, ogólnikowych sądach.

Wprawdzie już w r. 1804 Niemiec J. S. Kaulfuss, obeznany wybornie z językiem i literaturą polską, ocenił bardzo trafnie przekład

Kochanowskiego i określił jego swobodny stosunek do oryginału (w dziełku „*Ueber den Geist der polnischen Sprache*“ Halla, 1804), ale nikt z polskich pracowników nie zwrócił uwagi na tę zapomnianą dziś książkę. Najsumienniejszy z tych, co się zajmowali Kochanowskim, prof. Przyborowski, porównywał niektóre ustępy przekładu polskiego z oryginałem hebrajskim i zaznaczył już ważne, samoistne dodatki poety, lecz nie rozciągnął swych poszukiwań porównawczych na całość dzieła. Prof. Kryński we wstępie do „Psałterza,“ w wydaniu pomnikowém, zaznaczył zarówno niezgodność przekładu z tekstem Vulgaty jak i nieliczne zresztą ślady posługiwania się przez poetę przekładami Wróbla, Lubelczyka i Trzycieskiego. Najważniejszego odkrycia dokonał jednakże prof. Brückner odszukawszy w łacińskiéj „Parafrazie psalmów,“ Buchanana nieznany dotąd pierwowzór, którym najwięcéj się posiłkował przy swéj pracy Kochanowski. Idąc za tą wskazówką p. Sienicki, dokonał mozolnéj pracy porównania ze sobą czterech tekstów: Vulgaty, łacińskiego przekładu z oryginału hebrajskiego (Biblia polyglotta z w. XVII), parafrazy Buchanana i wreszcie obrobienia Kochanowskiego.

Już sam podział psalmów na 5 ksiąg, nie znajdujący się w Vulgacie, świadczy, że poeta opiérał się głównie na tekscie hebrajskim, który zarówno rozdziałem na księgi jak i ugrupowaniem psalmów różni się od wersyi katolickiéj. Psalm 9 w Vulgacie łączy w sobie 9 i 10 układu hebrajskiego, 113 powstał ze zlania 114 i 115 a za to 114 i 115 psalm Vulgaty odpowiadają 116 tekstu hebrajskiego a 146 i 147 także stanowią jeden, przez co dopiéro w trzech ostatnich psalmach zgadzają się liczby Vulgaty z pierwowzorem hebrajskim, którego się trzyma Kochanowski.

Już w XVI w. jak to zaznacza p. Sienicki, wiedziano u nas, że Kochanowski nie trzymał się wersyi katolickiéj. Mówi o tém ksiądz Wujek w przedmowie do swego „Psałterza“ (Kraków 1594). Ztąd też protestanci posługiwali się skwapliwie przekładem naszego poety i wcielali jego psalmy do swych kancyonałów. Karpiński usprawiedliwia potrzebę nowego przekładu tém, że Kochanowski w przeważnéj większości psalmów powprowadzał zmiany i dodatki niezgodne z tekstem psalmów.

W dalszym ciągu swéj pracy, p. Sienicki podaje pracowicie zebrany szereg ustępów Kochanowskiego zgodniejszych z parafrazą Buchanana niż z tekstem hebrajskim.

Jerzy Buchanan, szkot, współczesny Kochanowskiemu, poeta łaciński, głośny ze swych napaści na duchowieństwo, więziony za szerzenie pojęć nowatorskich, wydał swą „*Paraphrasis psalmorum*“

r. 1565. Kochanowski w pochwalnym epigramacie łacińskim wyraża się z zapałem o tém dziele i jego autorze. Najwymowniejszym wyrazem uznania naszego poety dla pracy Buchanana jest ciągłe posiłkowanie się jego „Parafrazą“ przy przekładaniu psałterza. P. Sienicki zapełnił 43 stron swéj rozprawy wyliczeniem ustępów (około 800 wierszy) przekładu Kochanowskiego, zgodnych z wersyą poety szkockiego. Utwór Buchanana nasunął również naszemu poecie pomysł urozmaicenia formy psalmów przez wprowadzenie do przekładu różnorodnych form wiersza i zwrotek. Z tego samego źródła wypłynęły reminiscencye mitologiczne, rzadsze jednak i mniéj rażące u Kochanowskiego niż u szkockiego poety.

Tylko w 33 psalmach (na 150) nie znalazł p. Sienicki śladów posługiwania się „Parafrazą“ Buchanana. Są to albo drobnych rozmiarów i ubogiéj treści psalmy, nie przedstawiające w przekładzie trudności, albo znowu takie, w których poeta polski spotykał odbicie myśli i uczuć pokrewnych ze stanem własnéj duszy zachęcających do samoistnéj parafrazy i dodatków (jak psalmy: 18, 85, 121, 123, 131, 140) a wreszcie pewna liczba psalmów przełożona poprzednio, w młodości jak 10, 91 (Kto się w opiekę), 103 (którego wiersze spotykamy w „Zuzannie i Dziewosłębie“). Pewna część psalmów z téj ostatniéj grupy uległa następnie poprawkom i przeróbkom z pomocą parafrazy Buchanana, jak to widoczne w psalmach 105 i 106. Szkoda, że p. Sienicki nie uzupełnił swéj tak starannie dokonanéj pracy, wykazem ustępów, będących samodzielnemi dodatkami poety. Parafrazując, nie tłómacząc, nie krępował się poeta wymaganiami wierności, wyłamywał się z pod wymagań „konieczności,“ by dać ujście popędom własnego natchnienia, jak to sam przyznaje w znanym liście. Ztąd do psalmów wcisnęło się nie mało osobistych wynurzeń, skarg i pragnień, wywołanych zawodami i cierpieniami moralnemi. Przyszły biograf Kochanowskiego powinien uwzględnić te ciekawe wyznania, z których najważniejszém jest wtrącona do psalmu 35, pełna siły skarga na dolegliwości dworskiego życia:

Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmozjadowie.

Skarga ta w zestawieniu ze słowami dedykacyi Myszkowskiemu:

Jedeneś ty nalezion, u którego miały
Miejsce Muzae wzgardzone...

oświetla dość jaskrawo stosunek poety do dworskiego otoczenia w Krakowie.

Dzięki sumiennéj i umiejętnie dokonanéj pracy p. Sienickiego, możemy dziś poznać zakres twórczości poety zarówno w treści jak i w formie przekładanych psalmów i potwierdzić zdanie Kaulfussa, uważającego „Psałterz" w połowie prawie za samoistne dzieło poety.

Br. Chlebowski.

= *Melania Parczewska.* **Obrazki.** — (Warszawa, T. Paprocki, 1893, str. 122). Autorka w pięciu obrazkach swoich smutne przeważnie opowiada nam dzieje — ztąd też i barw jasnych tak mało na jéj palecie. Rugi pruskie, plemienna nienawiść Niemców względem ludności polskiéj, tłumiąca w nich wszelkie ludzkie uczucia i bezskuteczna walka poznańskiego chłopa z samolubnym kulturtregerem — oto posępne tło, na którém osnuła ona trzy większe opowiadania swoje. (Na górnym Śląsku, Nad morzem, Wólka i Wilburg). Dokładna znajomość miejscowych stosunków i gorące a szczere umiłowanie sprawy prześladowanych, stanowią cenne zalety tych obrazków, sowicie okupujące pewną wadliwość kompozycyi i brak jednolitości w kreśleniu pojedyńczych postaci. Za chybiony w pomyśle uważać należy obrazek p. t. „Tatrzański przewodnik." Autorka stara się w nim zadać kłam twierdzeniu, iż lud, obojętny na wszystkie zjawiska natury, pozbawiony jest wszelkiego poczucia piękna; każe więc bohatérowi opowiadania swego Jontkowi, na widok wirchów, światłem księżycowém oblanych, zaniechać zemsty nad człowiekiem, który przed dwunastu laty uwiódł jego ukochaną, a którego zbieg okoliczności oddaje teraz na łaskę i niełaskę górala. Że lud rozumié i odczuwa piękno rozlane w naturze — tego chyba dowodzić nie potrzeba; autorka zbytecznie jednak idealizuje zakopańskiego górala, który krzywdę wyrządzoną mu długo pamięta i widzi w zemście jedyne zadosyćuczynienie. I w tém wszakże opowiadaniu piękno i niewymuszoność pojedynczych szczegółów, jak np. opis burzy w górach i za nią idącéj pogodnéj, księżycowéj nocy, wynagradzają inne braki. Jużto wogóle autorka celuje w opisie zjawisk przyrody, a nawet lubuje się w nich poniekąd. Taki np. opis burzy na Baltyku, rozpoczynający opowiadanie — „Nad morzem," prawdziwym nacechowany jest artyzmem. Najcenniejszą wszakże perełką tego zbiorku jest obrazek z Łużyc p. t. „Proboszcz." Z rzewną prostotą kreśli nam autorka ideał cichego pracownika, kapłana, całkowicie poświęcającego się dla dobra parafian. Jest nim t. zw. „farar" Serbów łużyckich, porzuconych śród wrogiego im plemienia germańskiego; ukochany przez parafian proboszcz, strzeże bacznie ich odrębności narodowéj, nie odmawiając nigdy rady, a nawet i zasiłku skromnego w potrzebie.

Autorka roztacza przed nami dzieje jednego dnia wyjętego z tego życia, które upływa mu szybko w ciągłéj, cichéj, a ofiarnéj pracy i w zupełném zaparciu się samego siebie. *Wł. N.*

= *Aleksander Semkowicz*, **Opowiadania historyczne.** Lwów, 1893 r. — „Każdy czas wytwarza swe postaci typowe, w których streszcza się życie ich wieku“; oto są znane słowa Ernesta Renana, które stanowią dlań i dla wielu innych podstawę t. zw. biograficznéj metody historycznéj. Metoda ta w części słuszna, nie może być jednak stosowaną z pożytkiem w dziejopisarstwie naukowém, w którém obok biografii musi się, z większą znacznie precyzyą, traktować dzieje ze stanowiska społeczno-politycznego, lub, jak inni chcą ze stanowiska ideowego. Co innego w pedagogii. Nim dziecku uczącemu się podamy—suchy częstokroć — materyał naukowy, trzeba wpierw rozbudzić jego zamiłowanie do jakiéjś gałęzi wiedzy, trzeba, do niewyrobionych jeszcze, iż tak powiemy, strun psychicznych nawiązać sporo uczucia i fantazyi, które są pierwszą podstawą t. zw. interesu dla nauki u dziecka w szkole. Wychodząc z takiego zapatrywania, zażądała pedagogia naukowa, ażeby w niższych klasach szkół średnich, uczyć historyi w sposób biograficzny, bo wówczas umysł dziecięcy, odnosząc się sympatycznie lub nieprzychylnie do różnych postaci dziejowych, zainteresuje się niemi i w klasach wyższych stanie się więcéj przystępnym dla tez historyi pragmatycznéj. Teorya, silnie popierana dowodami, stała się obecnie praktyką w Austryi, gdzie instrukcya ministeryalna poleciła radom szkolnym wprowadzenie powyż skreślonéj metody uczenia historyi w niższych klasach szkół średnich. W ślad za postanowieniem instrukcyi wyszły z druku niemieckie podręczniki szkolne historyczne, w których tak ściśle interpretowano słowa ministeryalne, że w powodzi biografii znikł zupełnie związek dziejowy. W Galicyi wydał podobny podręcznik profesor lwowskiego uniwersytetu dr. A. Semkowicz. „Opowiadania historyczne“ są rzeczywiście „opowiadaniami“. Historya Persów streszcza się w biografii Cyrusa, Grecya w swych wodzach, poetach i filozofach. Rzym w swych królach, politykach, prawnikach i cesarzach. Wojna np. peloponeska przedstawiona jest mimochodem przy Peryklesie, co może najjaśniéj wykazuje, o ile autor „Opowiadań“ zastosował się do wymagań „biograficznego traktowania dziejów“. W ściślejszym związku traktuje prof. Semkowicz dzieje Egipcyan i Fenicyan, historya zaś Izraelitów jest w stosunku do dawniejszych podręczników szkolnych, napisana wprost świetnie, chociaż rozumiemy, że autor nie mógł w niéj zastosować wyników najnowszych badań krytycznych.

Zastosował je natomiast prof. Semkowicz w dziejach innych narodów starożytnych, co za wielką zasługę i wielki postęp w jego podręczniku uważamy. Biografie prof. Semkowicza występują prawdziwie i barwnie przed oczy czytelnika i dla uczącéj się młodzieży będą miały z pewnością wielki urok. Jako zarzut podnosimy, że biografii tych, zdaniem naszém, zamało. Historya helenistycznego Wschodu kończy się u prof. Semkowicza na Aleksandrze Wielkim; uczniowie dowiadują się późniéj o Mithrydatesie Wielkim nagle, jakby o jakiéjś mytycznéj postaci, a przecież ten Wschód helenistyczny nie może być pomijany nawet w podręczniku szkolnym. Biografie Filipa V-go macedońskiego, Antyocha W-go i szersza nieco wzmianka o Mithrydatesie mogą zaradzić temu w dostateczny sposób. W biografiach cesarzy rzymskich dotkliwiéj jeszcze daje się uczuć brak Trajana, zwanego przez współczesnych „Najlepszym“ i najpotężniejszym z cesarzów. — To są nasze zarzuty, które już na inném miejscu przeciw „Opowiadaniom“ prof. Semkowicza podnieśliśmy; być może, że luki te powstały skutkiem ograniczenia obszerności książki przez radę szkolną krajową; są to usterki, które jednak łatwo przebaczyć i łatwo zresztą naprawić można dlatego, że wogóle książka p. Semkowicza tyle wyż wymienionych zalet posiada. Do zalet tych należy doliczyć wcale udatne ilustracye, które, jak to sam miałem sposobność przekonać się, nader ułatwiają uczniom zrozumienie tekstu pisanego. *K. J. Gorzycki.*

= **Ženy a milenky slovanských básniků.** Literarni črty *od Františka Kwapila.* W Praze, 1893, str. 246. — Książka ta powstała z felietonów, pisanych w różnych czasach i w różném usposobieniu; nie może się tedy odznaczać jednolitością tonu i nie może przedstawiać obecnego stanu badań krytycznych nad życiem znakomitych poetów słowiańskich. Autor, dobry znawca między innemi i literatury polskiéj, niejednokrotnie zwracał się do źródeł pierwotnych, chcąc odmalować postaci kobiét, ktore zdołały w sercach poetów zapisać się na dłużéj lub krócéj; najczęściéj jednak korzystał z opracowań obcych. Rozpoczyna od miłostek Jędrzeja Morsztyna, którego nazywa Don Juanem Parnasu polskiego, następnie mówi o Duniaszy Kolcowa, o Maryli Mickiewiczowskiéj, o pannie Korze Słowackiego, o Julii Preszerna, o przelotnéj znajomości Mickiewicza z signorą Rachelą, o „Nieznajoméj“ (Bobrowéj) Krasińskiego, o pannie Eglantynie, o Repninównie Szewczenki, o Ankwiczównéj, o Maryi Wodzińskiéj, o Nataszy Puszkina, o Delfinie Potockiéj, Florentynce i Moszczeńskiéj, o Celinie Szymanowskiéj, o Katuszce Lermontowa. Jak z tego wyliczenia widzimy, ani chronologia autorów, ani

grupowanie według osób nie były zasadą w uporządkowaniu luźnych artykułów, tylko zapewne czas ich powstania. Ponieważ p. Kwapil nie zamierzył uczynić swéj książki jednolitym obrazem i nie wysnuwał żadnych ogólniejszych wniosków z przedstawionych przez siebie szczegółów, właściwość powyżéj zaznaczona jego książki nie przynosi jéj ujmy; należałoby tylko właściwie czytać każdy artykuł oddzielnie. W wiadomościach podanych przez autora daje się uczuć dotkliwie brak zastosowania wyników krytyki nowszéj (np. w kwestyi Maryli), ale ogółem biorąc, książka jego miłe sprawia wrażenie i przyczyni się do rozpowszechnienia wśród Czechów znajomości znakomitych poetów słowiańskich, pomiędzy którymi nasi tak wybitne zajmują miejsce.

= **Wielka Encyklopedya ilustrowana**, wychodząca w Warszawie nakładem drukarza p. Saturnina Sikorskiego, a pod kierunkiem osób wybitne w nauce naszéj zajmujących stanowisko, doszła obecnie do ukończenia tomu X-go, w którym rozpoczęła się litera *C*. Słusznie redakcya postąpiła, starając się o większą zwięzłość artykułów pomieszczanych w tém wydawnictwie, gdyż ta objętość, jaką im nieraz dawniéj nadawano, nie pozwoliłaby rychło (stosunkowo przynajmniéj) doprowadzić dzieła do skutku, a przez to musiałaby się uszczuplić wartość jego informacyjna. I dziś jeszcze pojawiają się rozprawy (np. Bossuet), które znacznie przekraczają rozmiary, jakieby w Encyklopedyi miéć powinny, przez co powstaje niejednolitość w opracowaniu, gdy np. z powyżéj przytoczonym artykułem zestawimy krótką, sumaryczną wiadomość o Byronie, chociaż ten z powodu wpływu swojego nietylko na literaturę, ale i na życie, szczegółowszego domagałby się obrobienia. Taka atoli niejednostajność w obrabianiu części dzieła zbiorowemi siłami opracowywanego jest prawie nieunikniona; szkodzi tylko symetryi jego, lecz nie obniża wartości naukowéj. Wyrozumiałość krytyki pod tym względem powinna być całkiem usprawiedliwioną, gdy widzi, że wszystkie wogóle działy umiejętności mają kierowników i spółpracowników, stojących na poziomie wiedzy dzisiejszéj i ożywionych chęcią dokonania rzeczy pożytecznéj. Nie mamy zamiaru w téj pobieżnéj wzmiance roztrząsać po szczególe wszystkie działy i wskazywać celniejsze w nich artykuły; pragnęliśmy tylko nanowo zwrócić uwagę czytelników na wydawnictwo, które potrzebuje szczerego poparcia przez prenumeratorów, jeżeli ma się daléj rozwijać pomyślnie. Gdzie jest przewaga stron dodatnich, gdzie sumienność opracowania widnieje z każdego artykułu; tam drobne usterki zrażać nie powinny. Nie często po-

dejmowane bywają u nas przedsięwzięcia literacko-naukowe na tak wielką skalę, jak „Encyklopedya"; to też tembardziéj należy się im czynne spółczucie.

= **Les grands ecrivains français.** Pod tym tytułem ogólnym wychodzi szereg studyów, mających na celu dać charakterystyki najwybitniejszych postaci literatury francuskiéj, których większość jednak sięga wpływem swoim daleko po za granice narodowe i należy do literatury wszechświatowéj. Jestto historya myśli przedstawiona z punktu widzenia i w oświetleniu osobistém twórców téj myśli. Seryę rozpoczyna „*Cousin*" przez Juliusza Simona, daléj idzie szereg ludzi pióra, wśród których pokaźną liczbę stanowią pisarze filozoficzni i polityczni, jak Montesquieu, Turgot, d'Alembert, Mirabeau, Rousseau, Saint-Simon (historyk). Ostatnie dwa tomy zajmują „Kartezyusz" przez Alfreda Feuille'go i „Victor Hugo" przez Leopolda Mabilleau'a. — Pierwszy z tych autorów główną część książki poświęca doktrynom założyciela nowożytnéj filozofii, zaledwie kilkanaście stronic udzieliwszy jego życiu. Stara się on przytém odkryć w nauce Kartezyusza zawiązki wszystkich najnowszych poglądów przyrodniczych: miał on być twórcą mechaniczéj teoryi ciepła, teoryi związku sił fizycznych, ewolucyonizmu, psychologii fizyologicznéj i t. d. Nawet część zasługi Newtona, zwycięzkiego przeciwnika teoryi wirów, stara się autor przypisać twórcy téj ostatniéj. W zakresie zaś teoryi poznania przypisuje mu antycypacyą idei Kanta i Fichtego. Całość wogóle więcéj ma na celu łatwy i popularny wykład niż pogłębienie pisarza, o którym zresztą tyle pisano, że trudno zdobyć się na coś nowego. — Książka Mabilleau'a jest bardzo ciekawém studyum nad psychologią nie tyle osoby („*l'homme*" zajmuje tu wprawdzie już trzecią część tomu), ile twórczości największego z francuskich poetów naszego stulecia. Po życiorysie (zajmującym 95 stron) następuje druga część zatytułowana *Les sources*, gdzie autor poddaje analizie źródła twórczości poetyckiéj Victora Hugo na podstawie dzieł jego (światło i cień, ruch i dźwięki, kształt plastyczny, temperament). Trzecia *Le génie de Victor Hugo* — charakterystyka sposobów, któremi się posługuje w twórczości (obrazy, styl, ekspresya, świat wyobrażalny autora). Dziełko to czyta się z wielkiém zajęciem i zasługuje na polecenie nietylko ze względu na doniosłość pisarza, o którym traktuje, ale i na umiejętne zastosowanie analizy psychologicznéj do dzieł wielkiego poety, chociaż w tym względzie jest zbyt jednostronne, jak i większa część rzeczy pisanych przez krytyków szkoły Taine'a, pomijając prawie zupełnie czysto literacki rozbiór i krytykę.

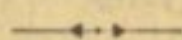
Tomy wchodzące w zakres tego wydawnictwa zawierają po 200 (mniéj więcéj) stron druku; każdy zaopatrzony jest doskonale wykonanym portretem; cena bardzo przystępna — 2 fr.; druk i papiér nie pozostawiają nic do życzenia. Udział w ułożeniu pojedyńczych życiorysów biorą najlepsi pisarze współcześni, jak Gaston Boissier, Edw. Rod, Caro, Juliusz Simon i in. *W. M. K.*

= Dnia 26 października r. b. odbyło się posiedzenie komisyi historyi sztuki w Akademii umiejętności, na którém przewodniczący prof. M. Sokołowski zawiadomił o rozpoczęciu druku „Materyałów do dziejów sztuki i kultury.“ Dr. Korzeniowski odnalazł w bibliotece Oxfordzkiéj nieznany dotąd łaciński modlitewnik króla Władysława Warneńczyka, ozdobiony portretem i herbem króla. Razem z innemi modlitewnikami będzie on publikowany przez komisyę kosztem funduszu udzielonego przez p. Konst. Przezdzieckiego. Przewodniczący następnie zdał sprawę z dwu publikacyi zagranicznych, t. j. z odczytu p. Neuwirtha, prof. historyi sztuki w Pradze, wygłoszonego na zjeździe tegorocznym historyków sztuki w Norymberdze p. t. „*Das mittelalterliche Krakau und seine Beziehungen zur deutschen Kunst*“—i z książki p. t. „*Geschichte der Kunst im Gebiete des Herzogthums Posen*“, napisanéj przez Hermana Ehrenberga, archwistę w Królewcu. Książka ta opiéra się w najznaczniejszéj części na materyale zebranym i ogłoszonym w Sprawozdaniach komisyi, i mieści wiele szczegółów i dokumentów bardzo nas żywo interesujących, a dotąd nieznanych. — Prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę komisyi na pracę architekta w Warszawie p. Dziekońskiego „O kościele parafialnym w Będkowie“, a następnie podał wiadomość o odnalezieniu dawnych fragmentów kamiennych z XVI w. w Krasnymstawie w Lubelskiém, a mianowicie tablic nagrobkowych, węgarów i t. p. Ułamki te, których fotografie okazał prelegent, mogą pochodzić z dawnego zamku, a po części z cerkwi erygowanéj przez Zygmunta Augusta. Prof. Łuszczkiewicz podał także wiadomość o obrazku na blasze malowanym, przedstawiającym Matkę Bożą z Dzieciątkiem i św. Annę, który miał służyć za ryngraf. Napis na odwrotnéj stronie z r. 1690 upamiętnia chwilę przebudowania kościoła Cystersów w Bledzewie w Wielkopolsce. Obrazek ów musiał wisiéć zatém dawniéj w tym kościele. — Tenże badacz, zestawiając stopki ludzkie wyrzeźbione na ścianie, oraz na drzwiach kaplicy z drugiéj połowy XVII wieku, mieszczącéj cudowny obraz Matki Bożéj w Myślenicach i opatrzone słowami „Jezus“, „Maria“, oraz napisem „czcijmy ten ślad“ ze znaną stopką na kaplicy przy kościele na Piasku w Krakowie, którą rów-

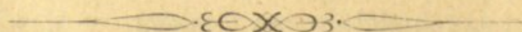
nież odnieść trzeba do czasu wzniesienia kaplicy w końcu XVII w., zaznaczył, że niemała liczba kamieni z wyrzeźbioną stopką ludzką w kraju naszym zawdzięcza powstanie swoje obyczajowi religijnemu, rozpowszechnionemu w Polsce po wojnach szwedzkich i wiąże się z kaplicami Matki Bożéj, a nie sięga wcale odległéj starożytności, jak utrzymywali niektórzy badacze. — Okazał następnie fotografię nieznanego portretu ks. Konstantego Ostrogskiego († 1532), który jest własnością hr. Tyszkiewicza. Prof. Łuszczkiewicz przedłożył nakoniec nadesłany przez prof. Gersona z Warszawy rysunek tezy Koprzywnickiego klasztoru, odbitéj na atłasie w r. 1770 wraz z objaśnieniem.—Hr. Konst. Przezdziecki okazał kurwaturę pastorału wyrobioną z bursztynu, oprawnego w srebro, która ma pochodzić z Litwy. — Prof. Odrzywolski przedłożył wreszcie kilka fotografii zabytków w Płocku, między niemi renesansowego nagrobka Głogowskiego.



NEKROLOGIA.



† **Jan Nowodworski**, syn powszechnie szanowanego nauczyciela, pedagog, urodzony r. 1837, ukończywszy uniwersytet w Moskwie, w 1862 r., mianowany został nauczycielem gimnazyum w Warszawie, poczém w 1865 r. kosztem b. kom. wyznań i oświecenia wysłany zagranicę celem kształcenia się w naukach historycznych. Słuchał wykładów w uniwersytecie w Berlinie, następnie w Getyndze, poczém w 1866 r. przeniósł się do Paryża. Za powrotem do kraju wykładał w gimnazyach (V-ém przy ul. Zielnéj) historyę powszechną, języki starożytne i polski. Na niwie literackiéj pracował w „Kronice rodzinnéj,“ a zwłaszcza w „Encyklopedyi kościelnéj“ i „Przeglądzie katolickim,“ wydawanych przez brata jego, obecnie biskupa płockiego, Michała. Prócz tego, przełożył, uzupełnił i rozszerzył dziejami Słowiańszczyzny „Historyę Powszechną“ Holzwarta (Warszawa, od 1879). Specyalnie w młodszych latach gorliwie oddawał się studyom źródłowym nad historyą Anglii, a zwłaszcza początków pierwotnego rozwoju parlamentu. Praca ta dość obszerna w rękopisie przechowywana, dotychczas światła dziennego nie ujrzała.



OGŁOSZENIA.

KONKURS „PRZYJACIELA DZIECI.“

Redakcya „Przyjaciela Dzieci,“ ogłasza niniejszém **Konkurs na powieść dla młodzieży**, w nadziei, że przez to wywoła nowe zdolności, a znanym da sposobność do ozdobienia się godnością zwycięstwa literackiego. Powieść powinna być budująca przez swą dążność moralno-chrześciańską, napisana zajmująco, językiem jasnym, wolnym od naleciałości cudzoziemskich, tak, aby mogła być bez żadnych poprawek w „Przyjacielu Dzieci“ drukowaną, i obejmować od 3 do 4 tysięcy wierszy czterdziestozgłoskowych. Za powieść uwieńczoną Redakcya „Przyjaciela Dzieci“ przeznacza nagrodę w ilości **150 rubli**, a za wydrukowanie jéj na kartach swego Pisma honoraryum przyjęte przez stałych jéj współpracowników. Prace nadesłane powinny być opatrzone godłem, powtórzoném na oddzielnéj kopercie, mieszczącéj w sobie zapieczętowaną kartkę z imieniem, nazwiskiem i miejscem zamieszkania autora. Termin ostateczny przyjmowania rękopismów upłynie w dniu 1 kwietnia 1894 roku. Mamy nadzieję, że osoby uzdolnione do pracy literackiéj na tém polu przyjmą życzliwie zaproszenie „Przyjaciela Dzieci,“ że zastęp współubiegających się będzie liczny, a plon konkursowy posilny dla naszych czytelników.

CZYTELNIA DZIEŁ I PISM NAUKOWYCH.

Jerozolimska 21 róg Brackiéj.

Posiada 4 tysiące tomów z literatury naukowéj i 80 czasopism. Stale zaopatrywana jest w nowości, z których świéżo otrzymano następujące: *Perez*, „Charakter dziecka i człowieka.“ *Gide K.* „Zasady Ekonomii społecznéj.“ *Sulima*, „Historya Franka i Frankistów.“ *Gostomski*, „Arcydzieło poezyi polskiéj — Pan Tadeusz.“ *Wilczyński*, „Historya Muzyki.“ *Янжулъ*, „Въ поискахъ лучшаго будущаго.“ *Голицынъ* кн. „Дѣти.“ *Вебъ*, „8-ми часовой робочій день.“ *Rocquigny*, „Les syndicats agricoles.“ *Durkheim*, „La division du travail social.“ *Briedel*, „Les droits des femmes, étude de législation comparée.“ *Tarde*, Les transformations du droit, étude sociologique.“ *Fouillée*, „La psychologie des idées-forces, 2 V.“ *Compayré*, „Evo-

lution intellectuelle et morale de l'enfant.“ *Lavisse et Rambaud*, „Histoire générale du IV sciècle à no sjours. V. 1 i 2.“ *Hoensbroech*, „Mein Austritt aus d. Jesuitenorden.“ *Buckman*, „Die Vererbungsgesetze und ihre Anwendung auf d. Menschen.“ *Conrad*, *Lexis* etc. „Handwörterbuch d. Staatswissenschaften, tomów 5.“ *Wettstein Minna* dr. „3½ Monate Fabrikarbeiterin.“ *Gneitze*, „Schillers Lehre v. d. ästetischen Wahrnehmung.“ *Hammerstein*, „Das preussische Schulmonopol.“ *Baumann*, „Volksschulen, höh. Schulen u. Universitäten wie sie heutzutage eingerichtet sein sollten.“ *Fr. Schultze*, „Deutsche Erziehung.“ *Endo*, „Das Leben und die pädagogische Bedeutung d. Confucius. etc.“

Nowości przez pierwszy miesiąc mogą być czytane tylko na miejscu. Opłata miesięczna za wypożyczanie kop. 50. Wejście jednorazowe dla czytania na miejscu książek i pism kop. 5. Czytelnia otwarta od g. 11 r. do 10 w.

GAZETA POLSKA

Nabyła na **wyłączną własność** nową wielką powieść HENRYKA SIENKIEWICZA, pod tytułem: **„QUO VADIS“** osnutą na tle pierwotnych dziejów chrześciańs twa, i zacznie ją drukować zaraz po ukończeniu „Rodziny Połanieckich.“ Mając ten nowy utwór Sienkiewicza wyłącznie dla siebie, będzie go mogła „Gazeta Polska“ drukować bez przerw, w jednym ciągu. Żadne pismo w kraju powieści **„QUO VADIS“** przedrukowywać nie będzie. **Nowi abonenci „Gazety Polskiéj“ przybywający od Nowego Roku, otrzymują numera z początkiem „Rodziny Połanieckich“ bezpłatnie.** — Z dniem 15 Grudnia roku 1893 „Gazeta Polska“ aby mieć więcéj miejsca na artykuły, **ZWIĘKSZA FORMAT** swego papieru, nie zmieniając ceny. **Staje się też „Gazeta Polska“ odtąd największym organem polskim w Warszawie.** „Gazeta Polska“ drukuje **codziennie** po dwa, trzy i więcéj artykuły z zakresu **Polityki, Literatury, Sztuki, Nauki,** tudzież artykuły **ekonomiczne, społeczne, militarne i feljetony** o sprawach bieżących. Nadto: Depesze polityczne, korespondencye ze stolic Europejskich i z miast krajowych, wiadomości handlowe, meteorologiczne, sportowe. „Gazeta Polska“ przyjmuje ogłoszenia na **ostatnią** i na **pierwszą** stronę. — Cena „Gazety Polskiéj“ w Warszawie kwartalnie **rs. 2 kop. 25**, miesięcznie **75 kop.** Na Prowincyi i w Cesarstwie rocznie **rs. 12**, półrocznie **rs. 6**, kwartalnie **rs. 3.** **Adres „Gazety Polskiej“: Warszawa, Warecka Nr. 14.** Adres Agentury „Gazety Polskiéj“ w Łodzi: **ulica Dzielna Nr. 4.** Agentura „Gazety Polskiéj“ w Łodzi przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*